Warłam Szałamow
Opowiadania kołymskie
REBIS

Warłam Szałamow

Opowiadania kołymskie

Przełożył
Juliusz Baczyński

DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

Od tłumacza

Tom I. PIERWSZA ŚMIERĆ

Przez śnieg

Pod kwit

Nocą

Cieśle

Indywidualny pomiar

Przesyłka

Deszcz

Kradzież

Kant

Na suchej racji

Inżektor

Apostoł Paweł

Jagody

Suka Tamara

Sherry brandy

Dziecinne obrazki

Skondensowane mleko

Cisza

Chleb

Zaklinacz węży

Tatarski mułła i czyste powietrze

Termometr Griszki Łoguna

Pierwsza śmierć

Ciocia Pola

Krawat

Dwa spotkania

Złota tajga

Waśka Denisow-Świniokrad

Serafin

Wolny dzień

Domino

Herkules

Terapia wstrząsowa

Cedrowiec

Czerwony krzyż

Spisek prawników

Kwarantanna tyfusowa

Tom II. ARTYSTA ŁOPATY

Wypadek

Słowo nad trumną

Jak to się zaczęło

Charakter pisma

Kaczka

Biznesmen

Kaligula

Artysta łopaty

Rur

Bogdanow

Inżynier kisielow

Miłość komandora Tolly’ego

Krzyż

Pierwszy czekista

Weismanista

Przystań piekieł

Do szpitala

Czerwiec

Maj

Mężne oczy

W łaźni

Diamentowe źródło

Zielony prokurator

Marcel Proust

Bezimienny kot

Pierwszy ząb

Echo w górach

Berdy tenże

Ogień i woda

Obława

Protezy

Kurs

Zmyta fotografia

Pogoń za dymem z parowozu

Pociąg

Tom III. LEWY BRZEG

Procurator Judei

Ból

Trędowaci

W izbie przyjęć

Geolodzy

Niedźwiedzie

Naszyjnik księżny Gagarinej

Akademik

Diamentowa mapa

Nienawrócony

Wizyta mister poppa

Łagrowe wesele

Potomek dekabrysty

Kombiedy

Magia

Rjabokoń

Życie inżyniera Kipriejewa

Lida

Tętniak aorty

Kawałek mięsa

Mój proces

Kobieta ze świata błatniaków

Esperanto

Naczelnik szpitala

Siergiej Jesienin i złodziejski świat

Ostatni bój majora Pugaczowa

Bukinista

Po list

Z lend-lease’u

Grafit

Sentencja

OD TŁUMACZA

Opowiadania kołymskie – to książka specjalna, wyjątkowa. I to nie tylko w odniesieniu do gatunku literackiego, lecz w ogóle, w skali światowej. Jest tak dlatego, gdyż w jednej osobie autora zespoliły się trzy fakty: jego indywidualność jako pisarza, osobiste, realne przeżycie opisywanych zdarzeń i sytuacji oraz zachowanie w owym strasznym czasie zdolności do filozoficznej refleksji, ratującej go przed wymuszonym przez głód, chłód i bicie upodleniem.

Biografia Szałamowa – studenta, pisarza – podobna jest do losów tysięcy, a właściwie, co bardziej pewne, do losów setek tysięcy przedstawicieli rosyjskiej i sowieckiej inteligencji. Widać to w jego opowiadaniach.

Podobieństwo jest znamienne i tym bardziej czyni wiarygodnym to, o czym pisze. I nie chodzi tu o materialne fakty, ani nawet o ich bystrą obserwację, lecz o odczucie rzeczywistości przeżywanej przez te masy ludzi, którym ani los, ani natura nie dały możliwości wypowiedzenia się. Można śmiało powiedzieć, że dzieło Szałamowa stanowi w pewnym stopniu zadośćuczynienie nieuświadomionemu najpewniej przez nich pragnieniu wykrzyczenia całej ludzkości niedoli zgotowanej jednym przez drugich. Z tym że tych pierwszych było tak wielu, a tych drugich tak mało…

Wartość literatury polega między innymi na tym, że pozwala utrwalić uczucia i myśli w sposób niepoddający się innym sztukom. Szałamow czyni to po mistrzowsku.

Nie wydaje mi się sensowne, jako autorowi przekładu, omawianie wartości literackiej jego tekstów. Doczekają się one na pewno wielu kompetentnych opracowań. Pragnę jednak dobitnie powiedzieć, a los dał mi to prawo, że rzeczywistości łagrów, przeżywanej przez miliony ludzi, nie można pojąć, a jeśli nie pojąć, to choć trochę zrozumieć, nie przeczytawszy *Opowiadań kołymskich* w całości.

Słynny *Archipelag Gułag* wniósł wiele w poznanie świata łagrów, zwłaszcza w zakresie materiału faktograficznego. Natomiast w sferze przeżyć, emocji, uczuć, myśli i refleksji nad ludzką nędzą to Szałamow jest tym

największym, który beznamiętnie prowadzi nas przez piekło zgotowane przez człowieka drugiemu człowiekowi w naszych czasach.

Rzeczywistość łagrów jest skondensowanym obrazem świata, w którym wszelkie zdarzenia, odczucia i emocje przebiegają w sposób ekstremalny, bo odbywa się to w ekstremalnych warunkach bytowania człowieka. Nie ma tam miejsca na „cywilizowane" skrywanie odczuć. Głód jest głodem, nienawiść – nienawiścią, a umieranie nie jest bohaterstwem, lecz brutalną, nieestetyczną codziennością głodowej biegunki. Człowiek zostaje wrzucony do kotłującej się wstrząsami nędzy straszliwej otchłani, której żadna wyobraźnia nie potrafi stworzyć. Szałamow zanurza nas w nią, wskazując, jakimi możemy być i co możemy uczynić jeden drugiemu.

Opowiadania kołymskie trzeba czytać w całości, jako jedną książkę. Jedynie tak potraktowana lektura jego prozy pozwoli na wzięcie swoistego udziału w losie tych milionów nieżywych już, nieszczęsnych i bezbronnych ludzi, którym takie towarzyszenie i, jak sądzę, nasze uczucia się należą.

TOM I

PIERWSZA ŚMIERĆ

PRZEZ ŚNIEG

Jak przedeptuje się drogę w śnieżnej caliźnie?

Przodem idzie człowiek, pocąc się i przeklinając, przestawiając z ledwością nogi, więznąc co minutę w sypkim, głębokim śniegu. Człowiek odchodzi daleko, znacząc swą drogę nierównymi czarnymi jamami. Męczy się, kładzie na śniegu, zapala papierosa i machorkowy dym snuje się niebieskim obłoczkiem nad białym, błyszczącym śniegiem. Człowiek już odszedł dalej, a tam, gdzie odpoczywał, wciąż jeszcze wisi obłoczek – powietrze jest prawie nieruchome. Drogi przedeptuje się zawsze w czasie spokojnych dni, żeby wiatry nie zamiotły ludzkiej pracy. Człowiek sam sobie wyznacza punkty orientacyjne w śnieżnym bezkresie – skałę, wysokie drzewo; człowiek prowadzi swoje ciało po śniegu tak, jak sternik prowadzi łódkę po rzece od cypla do cypla.

Przedeptanym i nierównym śladem porusza się pięciu do sześciu ludzi rzędem, ramię przy ramieniu. Stąpają obok śladu, nie w sam ślad. Doszedłszy do wyznaczonego wcześniej miejsca, zawracają i ponownie idą tak, żeby rozdeptać śnieżną caliznę, miejsce, gdzie nie stawała ludzka stopa. Droga przebita. Mogą po niej iść ludzie, karawany sań, traktory. Jeżeli iść śladem pierwszego, stąpając ślad w ślad, pojawi się wąska, ledwie do przejścia ścieżynka, a nie droga; jamy, przez które przebijać się trudniej niż przez caliznę. Pierwszemu jest ciężej od wszystkich, kiedy więc opada z sił, do przodu wychodzi następny z tej czołowej piątki. Każdy z idących w ślad, nawet najmniejszy, nawet najsłabszy, powinien stąpać na kawałeczek śnieżnej calizny, a nie w cudzy ślad. A traktorami i końmi jeżdżą nie pisarze, lecz czytelnicy.

POD KWIT

W karty grano u wozaka Naumowa. Pełniący dyżur nadzorcy nigdy nie zaglądali do baraku wozaków, słusznie uważając, że najważniejsze w służbie to pilnowanie osądzonych na podstawie paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Koni zaś, zgodnie z zasadą, nie powierzano kontrrewolucjonistom. Wprawdzie naczelnicy-praktycy zrzędzili po cichu – tracili najlepszych, zapobiegliwych robotników. Jednakże instrukcja była w tym względzie jasna i twarda. Tak więc najbezpieczniej było u wozaków i każdej nocy błatniacy zbierali się tam na swe karciane pojedynki.

W prawym kącie baraku, na dolnej pryczy, rozścielano różnokolorowe kołdry. Do słupa w rogu przykręcano za pomocą drutu palącą się kołymkę – własnej roboty lampkę pracującą na parach benzyny. Do pokrywki puszki po konserwach przylutowywało się trzy lub cztery otwarte rurki miedziane i oto całe urządzenie. W celu zapalenia lampki kładło się na pokrywce gorący węgiel, benzyna podgrzewała się, w rurkach unosiła się para i benzynowy gaz płonął od zapałki.

Na kołdrach leżała brudna, puchowa poduszka, a po jej obu stronach siedzieli „partnerzy”, podkurczywszy po buriacku nogi w klasycznej pozie więziennej bitwy karcianej. Na poduszce leżała nowiutka talia kart. Nie były to zwykłe karty, była to własnej roboty więzienna talia wykonana przez mistrzów tej sztuki z niezwykłą szybkością. Potrzebny do tego jest papier (jakakolwiek książka), kawałek chleba (aby go przeżuć i przecisnąć przez szmatkę w celu otrzymania krochmalu potrzebnego do sklejania kartek), ogryzek chemicznego ołówka (zamiast farby poligraficznej) i nóż (do wycinania szablonów kolorów i samych kart).

Używane dziś karty były dopiero co wycięte z tomiku Wiktora Hugo – książki, którą ktoś wczoraj zostawił w biurze. Papier był zwarty, gruby, kartek nie trzeba było sklejać, jak to bywa zazwyczaj, gdy papier jest cienki. Podczas wszystkich rewizji w łagrach nieubłaganie odbierano ołówki chemiczne. Odbierano je również w trakcie sprawdzania przysłanych paczek. Postępowano tak nie tylko w celu „zapobieżenia” możliwości wykonania

dokumentów i pieczątek (dużo było i tego rodzaju artystów), lecz także, aby zniszczyć wszystko, co może współzawodniczyć z państwowym monopolem karcianym. Z chemicznego ołówka robiono atrament i za pomocą szablonu nanoszono na karty wzory: damy, walety, dziesiątki wszystkich kolorów… Kolorów nie odróżniano według barw – odróżnienie to nie było graczowi potrzebne. Na przykład waletowi pikowemu odpowiadało wyobrażenie pika w przeciwległych rogach karty. Rozmieszczenie i forma wzorów były jednakowe w ciągu stuleci – umiejętność wykonania własnymi rękami kart wchodzi do programu „rycerskiego” wychowania młodego błatniaka.

Nowiutka talia kart leżała więc na poduszce, a jeden z grających poklepywał ją brudną ręką z cienkimi, białymi, nierobociarskimi palcami. Paznokieć małego palca był nadnaturalnej wielkości – to także błatniacki szyk, podobnie jak „fiksy”-złote, to znaczy koronki z brązu nakładane na zupełnie zdrowe zęby. Bywali nawet mistrzowie, zapamiętali technicy dentystyczni, którzy nieźle sobie dorabiali wykonywaniem takich koronek, niezmiennie cieszących się popytem. Co się zaś tyczy paznokci, to polerowanie ich na odpowiedni kolor na pewno weszłoby w obyczaj „świata przestępczego”, jeśli tylko byłoby możliwe w warunkach więziennych wprowadzenie lakieru. Wypielęgnowany żółty paznokieć pobłyskiwał jak drogocenny kamień. Lewą ręką właściciel paznokcia przeczesywał lepkie i brudne jasne włosy. Ostrzyżony był „pod boks”, nad wyraz starannie. Niskie, bez żadnej zmarszczki czoło, żółte pęczki brwi, usteczka jak kokardka – wszystko to nadawało jego fizjonomii ważną właściwość zewnętrznego wyglądu złodzieja: niezwracanie na siebie uwagi. Takiej twarzy nie można było zapamiętać. Popatrzywszy na nią, już się zapominało, gubiło wszelkie rysy, nie do rozpoznania przy ponownym spotkaniu. Był to Siewoczka, znakomity znawca „tierca”, „stosa” i „bury” – trzech klasycznych gier karcianych, natchniony interpretator tysiąca karcianych zasad, których przestrzeganie miało obowiązywać w mającym się odbyć spotkaniu. O Siewoczce mówiono, że wspaniale „odgrywa”, to jest wykazuje umiejętności i zręczność szulera. W istocie był on szulerem; oczywiście uczciwa złodziejska gra to gra polegająca na oszukiwaniu: śledź i demaskuj partnera, to twoje prawo; umiej sam oszukiwać, umiej „wydyskutować” wątpliwą wygraną.

Grano zawsze we dwójkę – jeden przeciw jednemu. Żaden z mistrzów nie poniżał się do uczestniczenia w grach grupowych w rodzaju „oczka”.

Nie bano się siadać z mocnymi graczami, tak jak i w szachach, gdzie prawdziwy wirtuoz poszukuje silniejszego przeciwnika.

Partnerem Siewoczki był sam Naumow, brygadzista wozaków. Starszy od swojego rywala (nawiasem mówiąc, ile lat miał Siewoczka – dwadzieścia? trzydzieści? czterdzieści?), czarnowłosy chłopak z takim męczeńskim wyrazem czarnych, głęboko osadzonych oczu, że nie wiedząc, iż Naumow to kolejny złodziej z Kubania, wzięłoby się go za jakiegoś pielgrzyma – mnicha albo członka znanej sekty „Bóg wie", sekty, którą już od dziesiątków lat spotyka się w naszych łagrach. Wrażenie to potęgowało się na widok sznurka z cynowym krzyżykiem zwisającego z szyi Naumowa – kołnierzyk jego koszulki był rozpięty. Krzyżyk ten wcale nie był bluźnierczym żartem, kaprysem ani też improwizacją. W owych czasach wszyscy błatniacy nosili na szyjach aluminiowe krzyżyki; był to rozpoznawczy znak zakonu, tak jak tatuaż.

W latach dwudziestych błatniacy nosili czapki personelu technicznego, wcześniej jeszcze „kapitanki". W czterdziestych latach zimą chodzili w kubankach, podginali cholewki walonek, a na szyi nosili krzyże.

Krzyż zazwyczaj był gładki, lecz jeśli natrafili na plastyków, zmuszali ich do wyrysowania igłą wzorów związanych z ulubionymi motywami: sercem, kratą, krzyżem, nagą kobietą.

Krzyż Naumowa był gładki. Dyndał na jego ciemnej piersi, uniemożliwiając odczytanie wykłutego na niebiesko tatuażu, cytatu z Jesienina – jedynego poety uznanego i kanonizowanego przez „świat przestępczy":

Jak mało przemierzonych dróg,
Jak dużo tam omyłek.

– Co grasz? – wycedził przez zęby Siewoczka z wyrazem niezmiernej wzgardy. To również uznawane było za dobry ton, obowiązujący przy rozpoczęciu gry.

– Ot, szmatki. Tę „lepiochę"… – Naumow poklepał się po ramionach.

– Gram za pięćset – ocenił garnitur Siewoczka.

W odpowiedzi rozległy się głośne, wielosłowne przekleństwa, które powinny były przekonać przeciwnika co do znacznie większej wartości rzeczy. Otaczający graczy widzowie cierpliwie czekali na zakończenie tej tradycyjnej uwertury. Siewoczka nie pozostawał dłużny i wymyślał jeszcze bardziej jadowicie, zbijając cenę. W końcu garnitur wyceniono na tysiąc.

Siewoczka ze swej strony „grał” kilka przenoszonych swetrów. Gdy tylko swetry zostały wycenione i rzucone na kołdrę, Siewoczka przetasował karty.

Ja i Garkunow, były inżynier włókienniczy, piłowaliśmy drewno dla baraku Naumowa. Była to praca nocna. Po zakończeniu swego roboczego dnia w wyrobisku trzeba było napiłować i nałupać drewna na całą dobę. Załaziliśmy do baraku wozaków od razu po kolacji; było tu cieplej niż w naszym baraku. Sprzątający Naumowa nalewał po pracy do naszych kociołków chłodną „juszkę” – resztki z jedynego i stałego dania, które według jadłospisu stołówki nazywało się „kluski ukraińskie”, i dawał nam po kawałku chleba. Siadaliśmy gdziekolwiek, w rogu, na podłodze, i pochłanialiśmy zarobioną strawę. Jedliśmy w zupełnej ciemności – barakowe „benzynki” oświetlały karciane pole – lecz według dokładnych spostrzeżeń dawnych mieszkańców więzień: „łyżką nie trafisz poza usta”. A teraz obserwowaliśmy Siewoczkę i Naumowa.

Naumow przegrał swoją „lepiochę”. Spodnie i marynarka leżały koło Siewoczki na kołdrze. Grana była poduszka. Paznokieć Siewoczki wyrysowywał w powietrzu wymyślne wzory. Karty to znikały, to znów pojawiały się w jego dłoni. Naumow był w podkoszulku, satynowa rubaszka poszła w ślad za spodniami. Usłużne ręce narzuciły mu na ramiona tiełogriejkę, ale on zrzucił ją gwałtownym ruchem na ziemię. Nagle wszystko ucichło. Siewoczka leniwie poskrobywał paznokciem po poduszce.

– Gram kołdrę – chrypliwie powiedział Naumow.

– Dwieście – obojętnym głosem powiedział Siewoczka.

– Tysiąc, ty suko! – wrzasnął Naumow.

– Za co? To nie jest rzecz! To „łoksz”, lichota – wymawiał Siewoczka. – Tylko dla ciebie gram za trzysta.

Bój trwał dalej. Zgodnie z zasadami, walka nie może być zakończona, dopóki partner jest jeszcze w stanie czymkolwiek „odpowiadać”.

– Gram walonki!

– Walonek nie gram – twardo rzekł Siewoczka. – Nie gram państwowych łachów.

Przegrany został jakiś ukraiński ręcznik z kogutami, wartości kilku rubli, jakaś cygarnica z wytłoczonym profilem Gogola. Wszystko przechodziło do Siewoczki. Na ciemnej skórze policzków Naumowa wystąpił gęsty rumieniec.

– Pod kwit – powiedział, przymilając się.

– Wielka mi potrzeba – żywo odpowiedział Siewoczka i wyciągnął do tyłu rękę. Natychmiast włożono mu w dłoń zapalonego papierosa z machorki. Siewoczka zaciągnął się i zakaszlał. – Co mi po twoim kwicie? Nowych etapów nie ma, skąd weźmiesz? Może od konwojentów?

Zgoda na grę „pod kwit”, to jest na kredyt, była przysługą według „prawa” nieobowiązującą, ale Siewoczka nie chciał obrażać Naumowa i pozbawiać go ostatniej szansy odegrania się.

– Na sto – powiedział wolno. – Daję na to godzinę.

– Dawaj kartę! – Naumow poprawił krzyżyk i usiadł. Odegrał kołdrę, poduszkę, spodnie i znowu wszystko przegrał.

– Może by tak czyfirku nawarzyć? – powiedział Siewoczka, składając wygrane rzeczy do dużej walizki z dykty.

– Ja poczekam.

– Zagotujcie, chłopcy – nakazał Naumow.

Rzecz była o zadziwiającym napoju Północy, mocnej herbacie – gdy w niewielkiej filiżance zaparza się pięćdziesiąt i więcej gramów czaju. Napój niezmiernie gorzki, pije się go małymi łykami pod zakąskę z solonej ryby. Usuwa on senność, dlatego cieszy się uznaniem u błatniaków i północnych kierowców na długich trasach. Czyfir powinien niszcząco oddziaływać na serce, jednakże znałem długoletnich czyfirystów, którzy wchłaniali go zupełnie bezkarnie.

Siewoczka upił jeden łyk z podanej filiżanki. Ciężkie, czarne spojrzenie Naumowa obiegało zebranych w krąg. Włosy splątały mu się na głowie. Wzrok dobiegł do mnie i zatrzymał się. Jakaś myśl błysnęła w mózgu Naumowa.

– Ano, wyjdź. – Wyszedłem do światła. – Zdejmij tiełogriejkę.

Było już jasne, o co chodzi, i wszyscy z zaciekawieniem śledzili poczynania Naumowa. Pod tiełogriejką miałem tylko państwową bieliznę – gimnastiorkę wydali dwa lata temu i dawno już zetlała. Ubrałem się.

– Ty, wychodź – powiedział Naumow, wskazując palcem na Garkunowa.

Garkunow zdjął tiełogriejkę. Twarz jego zbladła. Pod brudną koszulą miał wełniany sweter. Była to ostatnia przesyłka od żony przed udaniem się w daleką drogę. Ja wiedziałem, jak Garkunow go strzegł. Piorąc w łaźni, susząc na sobie, ani na minutę nie wypuszczał z rąk; taką rzecz ukradliby od razu towarzysze.

– Ano, zdejmuj – powiedział Naumow.

Siewoczka aprobująco kiwał palcem, wełniane rzeczy były w cenie. Jeśli oddać do prania, a jeszcze i wyparzyć wszy, można by samemu nosić, ładny wzór.

– Nie zdejmę – powiedział chrapliwie Garkunow. – Tylko razem ze skórą…

Rzucono się na niego i zbito z nóg.

– On kąsa! – krzyknął ktoś.

Garkunow powoli dźwignął się z podłogi, wycierając rękawem krew z twarzy. I od razu Saszka, sprzątający Naumowa, ten sam Saszka, który przed godziną nalewał nam „zupkę” za piłowanie drewna, przysiadł nieco i wyrwał coś zza cholewy walonka. Potem wyciągnął rękę w kierunku Garkunowa. Garkunow zaszlochał i zaczął padać na bok.

– Czyż nie mogliście bez tego?! – wrzasnął Siewoczka.

W migającym świetle benzynki widać było, jak szarzeje twarz Garkunowa. Saszka rozwarł ręce zabitego, rozerwał koszulę i ściągnął przez głowę sweter. Sweter był czerwony i krew była na nim ledwie widoczna. Siewoczka ostrożnie, aby nie pobrudzić palców, złożył sweter do walizki z dykty. Gra była skończona i mogłem iść do domu. Trzeba było teraz szukać nowego partnera do piłowania drewna.

NOCĄ

Wieczerza skończyła się. Glebow niespiesznie wylizał miskę, starannie zgarnął ze stołu okruszki chleba na lewą dłoń i uniósłszy ją ku ustom, ostrożnie zlizał je z dłoni. Nie łykając, wyczuwał, jak ślina w ustach gęsto i z pożądaniem obleka malutką grudeczkę chleba. Glebow nie mógłby powiedzieć, czy było to smaczne. Smak to coś innego, zbyt ubogiego w porównaniu z tym zapamiętałym do utraty świadomości odczuciem, jakie dawało pożywienie. Glebow nie spieszył się z przełykaniem, chleb sam tajał w ustach i tajał szybko.

Wpadnięte, błyszczące oczy Bagriecowa nieprzerwanie wpatrzone były w usta Glebowa; w nikim nie było tak potężnej woli, która potrafiłaby odwieść oczy od pokarmu znikającego w ustach innego człowieka. Glebow przełknął ślinę i Bagriecow natychmiast przeniósł wzrok w kierunku horyzontu – na wielki, pomarańczowy księżyc wypełzający na niebo.

– Pora – powiedział Bagriecow.

Milcząc, poszli po ścieżce w kierunku skały i wspięli się na niewielki występ otaczający stożkowaty pagór; chociaż słońce niedawno zaszło, kamienie, parzące w ciągu dnia podeszwy stóp poprzez gumowe kalosze wdziane na bosą nogę, były już teraz chłodne. Glebow zapiął waciak. Chód nie rozgrzewał go.

– Daleko jeszcze? – spytał szeptem.

– Daleko – odpowiedział cicho Bagriecow.

Siedli, by odpocząć. Mówić nie było o czym, a i myśleć nie było o czym – wszystko było jasne i proste. Na płaskiej powierzchni, u końca skalnego występu, leżały kupy rozwalonych kamieni i zerwanego, zeschniętego mchu.

– Ja mógłbym to i sam zrobić – uśmiechnął się Bagriecow – ale we dwójkę raźniej. No i dla starego przyjaciela…

Przywieźli ich jednym statkiem zeszłego roku.

Bagriecow zatrzymał się: „Trzeba się położyć – dostrzegą”. Położyli się i zaczęli odrzucać kamienne bloki. Dużych kamieni – takich, żeby nie

można było podnieść, przesunąć wspólnie – nie było, dlatego że ludzie, którzy narzucali je tutaj rano, nie byli silniejsi od Glebowa.

Bagriecow cicho zaklął. Zadrapał palec, ciekła krew. Przysypał ranę piaskiem, wyrwał z waciaka kawałek waty, przycisnął, ale krew ciekła dalej.

– Zła krzepliwość – obojętnie powiedział Glebow.

– Tyś lekarz czy co? – spytał Bagriecow, wysysając krew.

Glebow milczał. Czas, gdy był lekarzem, wydawał się bardzo odległy. I czy w ogóle był taki czas? Zbyt często ten świat za górami, za rzekami wydawał mu się snem jakimś, wymysłem. Realna była minuta, godzina od pobudki do wieczornego sygnału. Dalej nie sięgał myślą i nie znajdował w sobie sił, by sięgać. Jak wszyscy.

Nie znał przeszłości tych ludzi, którzy go otaczali, i nie interesował się tym. Zresztą, jeżeliby jutro Bagriecow oznajmił, że jest doktorem filozofii lub marszałkiem lotnictwa, Glebow uwierzyłby mu bez zastrzeżeń. Czy on sam kiedykolwiek był lekarzem? Utracił nie tylko automatyzm osądów, lecz także automatyzm postrzegania. Glebow widział, jak Bagriecow wysysał krew z brudnego palca, lecz nic nie powiedział. To tylko prześliznęło się w jego świadomości, lecz woli do odpowiedzi znaleźć w sobie nie mógł i nie szukał. Ta świadomość, która mu jeszcze pozostawała i która może nie była już ludzką świadomością, miała zbyt mało ostrzy i nakierowana była teraz jedynie na to, by jak najszybciej usunąć kamienie.

– Głęboko pewnie? – spytał Glebow, gdy położyli się, aby odpocząć.

– Jak ona może być głęboka? – powiedział Bagriecow.

I Glebow pojął, że niedorzecznie spytał i że jama rzeczywiście nie mogła być głęboka.

– Jest – powiedział Bagriecow. Dotknął ludzkiego palca. Duży palec stopy wyglądał spod kamieni, w świetle księżyca był doskonale widoczny. Palec ten nie był podobny do palców Glebowa czy Bagriecowa, ale nie dlatego, że był bez życia i zesztywniały. W tym była mała różnica. Na tym martwym palcu paznokcie były obcięte, on sam zaś był krągły i bardziej miękki od palca Glebowa. Szybko odrzucili kamienie, którymi było przywalone ciało.

– Zupełnie młody – powiedział Bagriecow.

Wspólnie z trudem wyciągnęli trupa za nogi.

– Jaki duży – powiedział Glebow, dysząc ciężko.

– Gdyby on nie był taki duży – powiedział Bagriecow – to pochowano by go tak, jak nas chowają, i nie musielibyśmy tu dzisiaj iść.

Rozgięli trupowi palce i ściągnęli koszulę.

– A kalesony zupełnie nowe – z zadowoleniem stwierdził Bagriecow.

Ściągnęli i podkoszulek. Glebow schował kłębek bielizny pod waciak.

– Włóż lepiej na siebie – powiedział Bagriecow.

– Nie, nie chcę – wymamrotał Glebow.

Ułożyli z powrotem trupa w mogile i zarzucili kamieniami. Niebieskie światło księżyca, który wzeszedł, kładło się na kamienie, na rzadki las tajgi, ukazując każdy występ, każde drzewo w niecodziennej postaci. Wszystko wydawało się prawdziwe, lecz nie tak jak za dnia. To było jakby drugie oblicze świata.

Bielizna trupa ogrzała się za pazuchą Glebowa i już nie wydawała się cudza.

– Zapalić by – powiedział Glebow w rozmarzeniu.

– Jutro zapalisz.

Bagriecow uśmiechnął się. Jutro sprzedadzą bieliznę, wymienią ją na chleb, a może nawet dostaną trochę tytoniu…

CIEŚLE

Przez całe doby utrzymywała się biała mgła, tak gęsta, że na dwa kroki nie widać było człowieka. Zresztą nikt pojedynczo nie musiał nigdzie daleko chodzić. Nieliczne kierunki – stołówka, szpital, strzeżona brama wyjściowa – odgadywane były nie wiadomo jak przyswojonym instynktem, pokrewnym temu poczuciu kierunku, który w pełni posiadają zwierzęta; i który, w pewnych, sprzyjających temu warunkach, budzi się również w człowieku. Termometru robotnikom nie pokazywano, nie było zresztą takiej potrzeby – do pracy należało wychodzić obojętnie przy ilu stopniach. Starzy mieszkańcy łagru prawie dokładnie określali, jak wielki jest mróz, bez użycia termometru: jeśli utrzymuje się mroźna mgła, znaczy to, że na zewnątrz jest 40 stopni poniżej zera; jeśli w trakcie oddychania powietrze wydobywa się ze świstem, ale jeszcze bez trudu – to jest 45 stopni; jeśli zaś pojawia się przy tym zadyszka – to na pewno jest 50 stopni. Powyżej 55 stopni ślina zamarza w locie. Już od dwu tygodni tak zamarzała.

Każdego dnia Potasznikow budził się z nadzieją – czy nie zelżał może mróz: z doświadczeń minionej zimy wiedział, że dla poczucia ciepła, nie zważając na to, jak niska jest temperatura, istotna jest wyraźna jej zmiana, kontrast. Jeśli mróz opadnie nawet tylko do 40–45 stopni, to przez dwa dni będzie ciepło, a dalej, ponad te dwa dni, nie ma sensu czegokolwiek planować.

Mróz jednak nie opadał i Potasznikow rozumiał, że dłużej już nie wytrzyma. Śniadania starczało najwyżej na jedną godzinę pracy, potem przychodziło zmęczenie i mróz przenikał całe ciało „do kości” – to ludowe powiedzenie wcale nie było metaforą. Jedno, co można było, to ruszać narzędziami i podskakiwać z nogi na nogę, aby nie zamarznąć do obiadu. Gorący obiad – cienka „zupka” i dwie łyżki kaszy – niewiele siły przywracał, ale jednak ogrzewał. I znów starczało tego na jedną godzinę, a potem Potasznikowa zaczynał przenikać chłód. Dzień jednak wreszcie się kończył i po kolacji, napiwszy się gorącej wody z chlebem, którego żaden z więź-

niów nie jadł razem z zupą w stołówce, lecz zabierał do baraku, Potasznikow natychmiast kładł się spać.

Spał oczywiście na górnych narach – w dole była lodowata piwnica i ci, którzy mieli tam miejsca, przez pół nocy stali przy piecu, obejmując go po kolei rękami – piec był ledwo ciepły. Wiecznie brak było drzewa – trzeba było po nie chodzić po pracy, cztery kilometry, i wszyscy, jak mogli, uchylali się od tej powinności. U góry było cieplej, wszyscy jednak spali oczywiście w tym, w czym chodzili do pracy – w czapkach, waciakach, buszłatach, w watowanych spodniach. U góry było cieplej, jednak i tam przez noc włosy przymarzały do poduszki.

Potasznikow czuł, że z każdym dniem coraz bardziej opada z sił. Trudno mu już było, przy trzydziestu latach, wleźć na górne nary, trudno było też zleźć. Wczoraj umarł jego sąsiad i nikt się nie zainteresował, dlaczego to się stało, jak gdyby przyczyna śmierci mogła być tylko jedna, dobrze wszystkim znana. Sprzątający cieszył się, że śmierć nie nastąpiła wieczorem, lecz dopiero nad ranem – całodobowe wyżywienie zmarłego przypadało sprzątającemu. Wszyscy rozumieli to doskonale i Potasznikow, zdobywszy się na odwagę, podszedł do sprzątającego. „Odłam skórkę” – ale ten obrzucił go takimi przekleństwami, jakich może użyć człowiek, który był słaby, a teraz stał się silnym i wie, że jego przekleństwa pozostaną bezkarne. Słaby wymyśla silniejszemu jedynie w wyjątkowych warunkach i jest to odwaga rozpaczy. Potasznikow zamilkł i odszedł.

Trzeba było na coś się zdecydować, coś wymyślić osłabionym mózgiem. Albo – umrzeć. Potasznikow nie bał się śmierci. Tkwiło w nim jednak jakieś utajone, namiętne pragnienie, ostatnie, uparte – aby umrzeć gdzieś w szpitalu, na łóżku, w pościeli, pod opieką innych ludzi, byle tylko nie na dworze, na mrozie, pod butami konwojentów ani też w baraku, pośród wzajemnych wymyślań, brudu i przy całkowitej obojętności otoczenia. Nie winił ludzi za ich obojętność. Już dawno zrozumiał, skąd się bierze to duchowe otępienie, ten chłód w duszy. To mróz, ten sam mróz przemieniający w lód lecącą ślinę, dobierał się do ludzkiej duszy. Jeśli mogły przemarznąć na wskroś kości, to mógł przemarznąć i otępieć mózg, mogła przemarznąć na wskroś dusza. Na mrozie nie dawało się o niczym myśleć. I dusza też – przemarzła, skurczyła się, być może już na zawsze. Potasznikowowi nie pozostawało nic innego, jak tylko pragnąć przetrwania, przeczekania tego mrozu i pozostania przy życiu.

Przełknąwszy miskę ciepłej zupy, przeżuwając resztkę chleba, Potasznikow dobrnął do miejsca pracy. Brygada stała uformowana przed rozpoczęciem pracy, a wzdłuż jej szeregów przechadzał się jakiś czerwonogęby grubas w reniferowej czapie, jakuckich futrzanych butach i w białym półkożuszku. Wpatrywał się w wynędzniałe, brudne twarze. Brygadzista podszedł, mówiąc coś z oznakami szacunku do człowieka w reniferowej czapie.

– Zapewniam pana, Aleksandrze Jewgienjewiczu, że nie mam takich ludzi. Trzeba by pójść do Sobolewa, do kryminalnych, bo tutaj to przecież sama inteligencja, Aleksandrze Jewgienjewiczu, istna męczarnia.

Człowiek w reniferowej czapie przestał przypatrywać się ludziom i obrócił się do brygadzisty.

– Brygadziści nie znają swych ludzi, nie chcą ich znać, nie chcą nam pomóc – powiedział ochrypłym głosem.

– Jak pan chce, Aleksandrze Jewgienjewiczu.

– Zaraz ci udowodnię. Jak się nazywasz?

– Nazywam się Iwanow.

– No, to popatrz! Hej, chłopcy, uwaga! – Człowiek w reniferowej czapie stanął przed brygadą. – Zarządowi potrzebni są cieśle – trzeba robić skrzynie do wożenia ziemi.

Wszyscy milczeli.

– No widzi pan, Aleksandrze Jewgienjewiczu – szepnął brygadzista.

Potasznikow nagle usłyszał własny głos.

– Jestem. Ja jestem cieślą – i zrobił krok do przodu.

Z prawej strony szeregu wystąpił drugi człowiek. Potasznikow znał go – to był Grigorjew.

– No i co – człowiek w reniferowej czapie obrócił się do brygadzisty – zasrana ciapo? Chodźcie ze mną, chłopcy.

Potasznikow i Grigorjew powlekli się za nim. Ale on się zatrzymał.

– Jeżeli tak będziemy iść – wychrypiał – to i do obiadu nie zajdziemy. Słuchajcie, ja pójdę szybciej, a wy idźcie do warsztatu, do kierownika robót Siergiejewa. Wiecie, gdzie jest warsztat stolarski?

– Wiemy, wiemy – zawołał Grigorjew. – Proszę nas poczęstować papierosem.

– Znajoma prośba – mruknął przez zęby człowiek w reniferowej czapie i nie wyjmując z kieszeni pudełka, wyciągnął dwa papierosy.

Potasznikow szedł przodem i w napięciu myślał. Dzisiaj w cieple warsztatu stolarskiego będzie ostrzyć topór i robić stylisko. Będzie także ostrzyć piłę. Nie trzeba się spieszyć. Aż do obiadu będą „pobierać” narzędzia – szukać magazyniera i wypisywać je. A pod wieczór, kiedy okaże się, że stylиska zrobić nie potrafi, a piły rozwieść nie umie, wygonią go i nazajutrz powróci do brygady. Ale dziś będzie w cieple. A może też i jutro, i pojutrze, jeżeli Grigorjew okaże się cieślą. Będzie pomocnikiem Grigorjewa. Zima już się kończy. A lato, to krótkie lato, już jakoś przeżyje.

Potasznikow zatrzymał się, czekając na Grigorjewa.

– Czy ty potrafisz, no… czy znasz się na ciesielce? – wykrztusił z nagłą nadzieją, która zapierała mu dech w piersiach.

– Widzisz – wesoło powiedział Grigorjew – ja jestem aspirantem Moskiewskiego Instytutu Filologicznego i myślę, że każdy człowiek posiadający wyższe wykształcenie, a tym bardziej humanistyczne, powinien potrafić wyciosać stylisko i rozwieść piłę. Tym bardziej, jeżeli trzeba to robić obok gorącego pieca.

– To znaczy, że i ty…

– To nic nie znaczy. Nabierzemy ich na dwa dni, a potem – co ci do tego, co będzie potem.

– Nabierzemy ich tylko na jeden dzień i jutro cofną nas do brygady.

Ledwie we dwójkę otworzyli przymarznięte drzwi. Pośrodku stolarskiego warsztatu płonął rozpalony do czerwoności piecyk i pięciu stolarzy bez waciaków i czapek pracowało przy swoich warsztatach. Przybysze uklękli przed otwartymi drzwiczkami piecyka jak przed bogiem ognia, jednym z pierwszych bogów ludzkości. Zrzuciwszy rękawice, wyciągali ku ciepłu pozbawione czucia ręce, ale nie od razu to ciepło odczuli. Po upływie minuty Grigorjew i Potasznikow zdjęli czapki i nie wstając z kolan, rozpięli buszłaty.

– Po co tu przyszliście? – spytał ich nieprzyjaźnie stolarz.

– Jesteśmy cieśle. Będziemy tu pracować – powiedział Grigorjew.

– Tak zarządził Aleksander Jewgienjewicz – pospiesznie dodał Potasznikow.

– A więc to o was mówił kierownik robót, ażeby wydać wam topory? – spytał Arnsztrem, podeszły wiekiem wydawca narzędzi, strugający w kącie trzonki do łopat.

– O nas, o nas…

– Bierzcie – powiedział Arnsztrem, przyglądając się im nieufnie. – Tu macie dwa topory, piłę i rozwieracz. Potem mi go oddacie. Oto mój topór, wyciosajcie mi stylisko. – Arnsztrem uśmiechnął się. – Dzienna norma dla mnie na styliska – trzydzieści sztuk.

Grigorjew wziął z rąk Arnsztrema klocek i zaczął go ociosywać. Zahuczała syrena na obiad. Arnsztrem, nie ubierając się, w milczeniu przypatrywał się robocie Grigorjewa.

– A teraz ty – powiedział do Potasznikowa.

Potasznikow postawił klocek na pniu, wziął z rąk Grigorjewa topór i zaczął ciosać.

Stolarze poszli już na obiad i w warsztacie, oprócz ich trzech, nie było nikogo.

– Weźcie tu moje dwa styliska – Arnsztrem podał dwa gotowe styliska Grigorjewowi – nasadźcie na nie topory. Naostrzcie piłę. Dziś i jutro grzejcie się przy piecu. A pojutrze wracajcie tam, skąd przyszliście. Macie tu kawałek chleba do obiadu.

Dzisiaj i jutro grzali się przy piecu, a pojutrze mróz spadł do 30 stopni – zima się już kończyła.

INDYWIDUALNY POMIAR

Wieczorem, zwijając taśmę mierniczą, nadzorca powiedział, że nazajutrz Dugajew będzie pracował oddzielnie. Brygadzista, który stał obok, prosząc nadzorcę o kredyt „dziesięciu kubików do pojutrza”, zamilkł nagle i zaczął się przyglądać rozbłyskującej za grzbietem nasypu gwieździe. Baranow, „para” Dugajewa, pomagający dotąd nadzorcy w mierzeniu wykonanej pracy, wziął łopatę i zaczął czyścić dawno wyczyszczony dół.

Dugajew miał lat dwadzieścia trzy i wszystko, co tu widział i słyszał, bardziej go dziwiło, niż napawało strachem.

Brygada zebrała się na apel, zdała narzędzia i w nierównym aresztanckim szyku wróciła do baraku. Ciężki dzień pracy był skończony. W stołówce Dugajew, nie siadając, wypił wprost z miski porcję cienkiego, zimnego krupniku. Chleb na cały dzień wydawano rano i nie było już po nim śladu. Chciało mu się palić. Rozejrzał się, rozmyślając, kogo poprosić o niedopałek. Pod oknem Baranow zbierał w kawałek papieru okruchy machorki wysypane z woreczka na parapet. Zebrawszy je starannie, Baranow skręcił i podał mu cieniutkiego papierosa.

– Zapal, zostawisz mi trochę – powiedział.

Dugajew zdziwił się – z Baranowem nigdy nie byli zaprzyjaźnieni. A zresztą głód, chłód i bezsenność nie sprzyjają nawiązaniu się przyjaźni. Mimo młodego wieku Dugajew rozumiał cały fałsz przysłowia o przyjaźni sprawdzonej w nieszczęściu i biedzie. Aby przyjaźń była przyjaźnią, jej mocne podstawy muszą powstać, zanim warunki życia sięgną ostatecznej granicy, poza którą nie ma już w człowieku niczego ludzkiego, a pozostaje tylko nieufność, kłamstwo i złość. Dobrze pamiętał obozowe powiedzenie, trzy przykazania więźnia: nie wierz, nie bój się, nie proś.

Chciwie wchłaniał słodki dym machorki, aż zakręciło mu się w głowie.

– Słabnę – powiedział.

Baranow nic nie odrzekł.

Dugajew wrócił do baraku, położył się i zamknął oczy. Ostatnio źle sypiał, głód nie pozwalał mu spać. Sny miał szczególnie męczące: bochny

chleba, tłuste, dymiące zupy. Budził się często. Półsen nadszedł późno, a mimo to już pół godziny przed pobudką oczy miał otwarte.

Brygada stanęła do pracy. Każdy zajął swoje miejsce.

– A ty poczekaj – powiedział do niego brygadzista. – Tobie pracę wyznaczy nadzorca.

Dugajew usiadł na ziemi. Był już tak znużony, że wszelka zmiana była mu obojętna.

Zadudniły pierwsze taczki na deskach, zazgrzytały łopaty o kamień.

– Chodź no tu – powiedział nadzorca. – Tu jest twoje miejsce.

Wymierzył kawał ściany i postawił znak, bryłkę kwarcu.

– Dotąd – powiedział. – Przeciągnie ci się tu deskę do głównego trapu, tam masz wozić. To wszystko. Masz tu łopatę, kilof, łom, taczkę i jazda.

Dugajew posłusznie zaczął pracować. Tak nawet lepiej, pomyślał. Nikt ze współtowarzyszy nie będzie go klął za to, że źle pracuje. Ci byli wieśniacy nie muszą ani wiedzieć, ani rozumieć, że jest nowicjuszem, że od razu po szkole poszedł na uniwersytet, a z ławy uniwersyteckiej tu, do roboty. Bliższa koszula ciału. Nie mają obowiązku, nie muszą wiedzieć, że od dawna już jest głodny i osłabiony, że nie umie kraść; umieć kraść to główna cnota obozowa, poczynając od chleba współwięźnia, a kończąc na wielotysięcznych premiach, które zarząd obozu przyznaje sobie za nieistniejące osiągnięcia. Nikomu nic do tego, że nie może wytrzymać szesnastogodzinnego dnia pracy.

Dugajew woził, kopał, ładował, znów woził i znów kopał i ładował.

Po przerwie obiadowej przyszedł nadzorca, popatrzył na to, co Dugajew zrobił, i odszedł bez słowa… Dugajew znów kopał i ładował. Do kawałka kwarcu było jeszcze bardzo daleko.

Wieczorem nadzorca znów przyszedł i rozwinął taśmę. Zmierzył to, co zrobił Dugajew.

– Dwadzieścia pięć procent – powiedział i spojrzał na niego. – Dwadzieścia pięć procent. Słyszysz?!

– Słyszę – odpowiedział Dugajew. Zdziwiła go ta liczba. Praca była tak ciężka, łopata nabierała tak mało kamienia, tak ciężko było wbijać łom. Wydawało mu się, że dwadzieścia pięć procent normy to bardzo dużo. Doskwierały mu łydki, od ciężaru taczki nieznośnie bolały ręce, ramiona, głowa. Uczucie głodu dawno minęło. Jadł, bo widział, że inni jedzą. Nie chciało mu się jeść.

– No cóż – powiedział nadzorca, odchodząc – bywaj zdrów.

Wieczorem Dugajewa wezwano do śledczego. Odpowiedział na cztery pytania: imię, nazwisko, paragraf, wyrok. Cztery pytania zadawane więźniowi trzydzieści razy dziennie. Potem poszedł spać. Następnego dnia znów pracował z brygadą, z Baranowem, a nocą poprowadzili go żołnierze za stajnię, potem ścieżką przez las do miejsca, gdzie niemal przegradzając niewielki wąwóz, wznosił się wysoki płot z naciągniętym górą drutem kolczastym i skąd nocami dochodził daleki warkot traktorów. I zrozumiawszy, pożałował, że niepotrzebnie pracował, niepotrzebnie męczył się dzisiaj, ostatniego dnia.

PRZESYŁKA

Przesyłki wydawano na wartowni. Tożsamość odbiorcy poświadczali brygadziści. Dykta pękała i trzeszczała po swojemu, po dykcianemu. Drzewa tutejsze łamały się nie tak, nie takim głosem krzyczały. Spoza bariery utworzonej z ławek ludzie z czystymi rękami i w przesadnie starannych wojskowych mundurach wykrzykiwali, sprawdzali, wytrząsali, wydawali. Skrzynki z przesyłkami, ledwo żywe na skutek wielomiesięcznej podróży, umiejętnie podrzucone padały na podłogę i się rozlatywały. Kawałki cukru, suszone owoce, nadgniła cebula, zmięte paczki machorki rozsypywały się po podłodze. Nikt tego nie podnosił. Właściciele przesyłek nie protestowali. Otrzymanie przesyłki było cudem ponad cudy.

Koło wartowni stali konwojenci z karabinami w rękach – w białej mroźnej mgle poruszały się jakieś nieznane figury.

Stałem przy ścianie i oczekiwałem na swoją kolej. Te niebieskie kawałki to przecież nie lód! To cukier! Cukier!

Cukier! Za godzinę będę trzymać w rękach takie kawałki i będą się one roztapiać tylko w ustach. Taki duży kawałek wystarczy na dwa, trzy razy.

A machorka? Własna machorka! Machorka ze stałego lądu, jarosławska „Biełka” lub „Kriemieńczug nr 2”. Będę palić, będę częstować wszystkich, a przede wszystkim tych, u których dopalałem okurki przez cały rok. Machorka ze stałego lądu! Nam dawano przecież w przydziale tytoń, usunięty z wojskowych magazynów na skutek przeterminowania – wydarzenie o gigantycznej skali: dla łagrów skreślano ze stanu wszystkie produkty, które nie przetrzymywały „okresu przechowywania”. Teraz jednak będę palił prawdziwą machorkę. Przecież jeśli żona nie wie, że potrzebna jest jak najmocniejsza machorka, to jej podpowiedzą.

– Nazwisko?

Paczka trzasnęła i z pudła wysypały się śliwki, pomarszczone śliwy. A gdzież jest cukier?! I śliwek tylko dwie, trzy garstki.

– Masz burki! Z gumową podeszwą, ha, ha, ha! Takie jak ma naczelnik odkrywki kopalnianej! Trzymaj, odbieraj!

Stałem zdetonowany. Po co mi burki? Tutaj można chodzić w burkach tylko od święta – a świąt przecież nie było. Gdyby tak buty ze skóry renifera, z futra lub chociaż zwykłe walonki. Burki to nadzwyczaj szykownie… to nawet nie przystoi. A przy tym…

– Słuchaj, ty. – Czyjaś ręka dotknęła mojego ramienia.

Obróciłem się w taki sposób, aby mieć na widoku i burki, i skrzynkę, na której dnie było trochę śliwek, i władzę, i twarz tego człowieka, który trzymał mnie za ramię. To był Andrzej Bojko, nasz nadzorca górniczy.

Bojko zaś szeptał pospiesznie:

– Sprzedaj mi te burki. Dam ci pieniądze. Sto rubli. Przecież ty nawet do baraku nie doniesiesz, odbiorą, wyrwą tamci. – Bojko wskazał palcem białą mgłę. – A i w baraku też ci ukradną. W pierwszą noc.

Ty sam podeślesz, pomyślałem.

– No, dobrze, dawaj pieniądze.

– Widzisz, jaki ja jestem! – Bojko odliczył pieniądze. – Nie oszukuję ciebie tak jak inni. Powiedziałem sto i daję sto.

Bojko bał się, że przepłacił.

Złożyłem brudne papierki w czworo, jeszcze raz zgiąłem i schowałem do kieszeni spodni. Śliwki wysypałem ze skrzynki do buszłatu – kieszenie jego były już dawno wyrwane na kapciuchy.

Kupię masło! Kilogram masła! I będę jeść z chlebem, z zupą, z kaszą. I cukru! I od kogoś zdobędę torbę – torebkę ze skórzanym sznurkiem. Nieodzowna przynależność każdego szanującego się więźnia, więźnia frajera. Błatniacy nie chodzą z torebkami.

Powróciłem do baraku. Wszyscy leżeli na pryczach, jedynie Jefremow siedział, położywszy ręce na ostygłym piecyku, podążając twarzą za znikającym ciepłem, bojąc się wyprostować, oderwać się od piecyka.

– Dlaczego nie rozpalasz?

Podszedł sprzątający.

– Dyżur Jefremowa! Brygadzista powiedział: niech bierze, skąd chce, a drewno musi być. Ja ci i tak spać nie pozwolę. Idź, póki jeszcze nie jest za późno.

Jefremow wysunął się przez drzwi baraku.

– Gdzie twoja przesyłka?

– Pomylili się…

Pobiegłem do sklepiku. Prowadzący go Szaparenko jeszcze sprzedawał. W sklepiku nie było nikogo.

– Szaparenko, daj mi chleba i masła.

– Ty mnie wykończysz. No, weź, ile ci trzeba? Cóż taki knot jak ty może mi dać? – powiedział Szaparenko.

– Widzisz, ile mam pieniędzy?

– Bierz chleb i masło i szybko spływaj.

Zapomniałem poprosić o cukier. Kilogram masła. Chleba kilogram. Pójdę do Siemiona Szejnina. Szejnin był to dawny referent Kirowa, dotychczas jeszcze nierozstrzelany. Kiedyś pracowałem z nim razem w jednej brygadzie, lecz los nas rozdzielił. Szejnin był w baraku.

– Jedzmy. Masło, chleb.

Zgłodniałe oczy Szejnina zabłysły.

– Zaraz, ja wrzątek.

– Nie trzeba wrzątku.

– Nie, ja zaraz… – i zniknął.

Wtenczas ktoś uderzył mnie po głowie czymś ciężkim, a kiedy oprzytomniałem i zerwałem się, torby już nie było. Wszyscy pozostali na swych miejscach i spoglądali na mnie ze złośliwą radością. Rozrywka była w najlepszym gatunku. W takich wypadkach cieszono się podwójnie: po pierwsze, że się komuś źle dzieje; po drugie, że to nie mnie. To jednak nie jest zawiść. Nie płakałem. Ledwo utrzymałem się przy życiu. Minęło trzydzieści lat i wciąż pamiętam wyraziście półciemny barak, wrogie, rozradowane twarze moich współtowarzyszy, surowe polano na podłodze, blade policzki Szejnina.

Poszedłem ponownie do sklepiku. Nie prosiłem więcej o masło i nie pytałem o cukier. Wyprosiłem chleb, wróciłem do baraku, natopiłem śniegu i zacząłem gotować śliwki.

Barak już spał: stękał, chrapał, kaszlał. We trzech gotowaliśmy na piecyku, co kto miał. Swincow rozgotowywał zaoszczędzoną z obiadu skórkę chleba, aby zjeść ją teraz rozmiękczoną, gorącą, i żeby potem chciwie wypić gorącą wodę ze śniegu, pachnącą deszczem i chlebem. A Gubariew nawtykał do kociołka liści zmarzniętej kapusty – szczęśliwiec i chytrus. Kapusta pachniała jak najlepszy barszcz ukraiński. Ja zaś warzyłem śliwki z przesyłki. I wszyscy nie mogliśmy nie spozierać do cudzych naczyń.

Ktoś kopniakiem rozwarł drzwi baraku. Z obłoku mroźnej pary wyszło dwu wojskowych. Jeden młodszy – naczelnik obozu Kowalenko; drugi starszy – naczelnik kopalni Riabow. Riabow był w lotniczych burkach –

w moich burkach! Z trudem uświadomiłem sobie, że to pomyłka – to były jego burki.

Wymachując przyniesionym ze sobą kilofem, Kowalenko rzucił się do piecyka.

– Znowu kociołki! Ja wam zaraz pokażę kociołki! Pokażę, jak roznosić błoto! – Kowalenko przewrócił kociołek z zupą, ze skórką chleba i liśćmi kapusty, ze śliwkami, i przebił kilofem dno każdego kociołka.

Riabow grzał ręce przy rurze od pieca.

– Są kociołki, to znaczy, że jest co gotować – z głęboką rozwagą powiedział naczelnik kopalni. – Jest to więc oznaka dostatku.

– Widziałbyś ty, co oni gotują – powiedział Kowalenko, rozdeptując kociołki.

Naczelnicy wyszli, a my zaczęliśmy rozginać pogniecione kociołki i zbierać każdy swoje: ja – śliwki, Swincow – rozmoknięty, nieforemny chleb, Gubariew – okruchy kapuścianych liści. Wszystkośmy od razu zjedli, tak było najpewniej.

Przełknąłem kilka śliwek i zasnąłem. Już dawno nauczyłem się zasypiać, zanim ogrzeją się nogi. Kiedyś nie potrafiłem, ale co może zdziałać praktyka, doświadczenie! Sen upodabniał się do zapomnienia.

Życie powracało jak senna jawa – ponownie rozwarły się drzwi: białe kłęby pary przylgnięte do podłogi, przetoczone do odległych ścian baraku, ludzie w białych i ciemnych półkożuszkach, śmierdzących świeżością, nieznoszonych, i coś, co runęło na podłogę nieruchome, lecz żywe, pokwikujące.

Sprzątający, zdumiony, lecz w pozie pełnej szacunku pochylony przed kożuchami dziesiętników.

– Czy to wasz człowiek? – i nadzorca wskazał grudę brudnych szmat na podłodze.

– To Jefremow – powiedział sprzątający.

– Na drugi raz będzie wiedział, jak kraść cudze drewno.

Jefremow wiele dni przeleżał obok mnie na pryczy, dopóki go nie wywieźli. Umarł potem w miasteczku inwalidzkim. Odbili mu „wnętrze” – mistrzów w takiej robocie było na kopalni wielu. Nie skarżył się – leżał i cicho stękał.

DESZCZ

Kopaliśmy w nowym terenie trzeci dzień. Każdy miał swój rozkop, lecz w ciągu trzech dni nikt nie wgłębił się więcej niż na pół metra. Do wiecznej zmarzliny nikt na razie nie dotarł, chociaż i łomy, i kilofy podostrzano bez przerwy. Rzadki przypadek, gdy kowale nie mieli okazji do „odciągania" – pracowała tylko nasza brygada. Przyczyną wszystkiego był deszcz. Padał już trzecią dobę bez ustanku. Kamienisty grunt nie pozwalał rozpoznać, czy pada godzinę, czy miesiąc. Chłodny, drobny deszcz. Sąsiadujące z nami brygady dawno już zdjęto z pracy, ale były to brygady błatniaków; nie mieliśmy nawet siły zazdrościć.

Dziesiętnik, w namokniętym ogromnym brezentowym płaszczu z kanciastym jak piramida kapturem, pojawiał się rzadko. Władza pokładała więcej nadziei w deszczu, w mokrych nahajkach z wody spadającej na nasze plecy. Przemoczeni byliśmy już od dawna – nie mogę powiedzieć, że do bielizny, bo jej nie mieliśmy. Prymitywna, skryta kalkulacja kierownictwa polegała na tym, że deszcz i chłód zmuszają nas do pracy. Jednakże nienawiść do niej była silniejsza i każdego wieczoru dziesiętnik miotał przekleństwa, opuszczając do rozkopu swój drewniany przymiar z nacięciami. Konwój pilnował nas, ukrywszy się pod „grzybem", znaną łagrową budowlą.

Nie mogliśmy wychodzić z rozkopów, zastrzelono by nas. Nie mogliśmy krzyczeć jeden do drugiego, zastrzelono by nas również. Staliśmy więc, milcząc, po pas w ziemi, w kamienistych jamach rozciągających się jako długie pasmo rozkopów wzdłuż brzegów wyschniętego strumienia.

W ciągu nocy nie zdążaliśmy wysuszyć naszych buszłatów, a gimnastiorki i spodnie suszyliśmy w ciągu nocy na ciele, i to nam się udawało.

Głodny i zły, wiedziałem jednak, że nikt na świecie nie zmusi mnie do samobójstwa. Właśnie wtedy zacząłem rozumieć istotę wielkiego instynktu życia – cechy, którą w najwyższym stopniu obdarzony jest człowiek. Widziałem nasze konie, jak padały z wycieńczenia i „umierały" – nie mogę tego wyrazić inaczej, użyć innego czasownika. Konie niczym nie odróżniały się od ludzi. Umierały od północnego zimna, od pracy ponad siły,

złego jedzenia, bicia – i chociaż wszystko to przypadało im w tysiąckroć mniejszym wymiarze niż ludziom, umierały wcześniej od nich. Zrozumiałem to, co najważniejsze: że człowiek stał się nim nie dlatego, iż jest stworzeniem Bożym, i nie dlatego, że ma dziwny wielki palec u każdej ręki. Dlatego, że był fizycznie silniejszy, bardziej wytrzymały niż wszystkie zwierzęta i jeszcze dlatego, że potrafił zmusić swoje duchowe siły do służby siłom fizycznym.

W owym rozkopie myślałem o tym wszystkim już setki razy. Wiedziałem, że nie skończę ze sobą, gdyż sprawdziłem tę swoją życiową siłę. W podobnym rozkopie, tylko że głębokim, odkryłem niedawno za pomocą kilofa ogromny kamień. Wyzwalałem ten ogrom kamienia ostrożnie przez wiele dni. Zamierzałem z tego niedobrego ciężaru stworzyć coś pięknego – zgodnie ze słowami rosyjskiego poety. Myślałem, że uratuję swe życie, łamiąc sobie nogę. Zaprawdę, był to wspaniały zamiar – w pełni estetycznego pochodzenia. Kamień powinien był runąć i rozkruszyć moją nogę. I wtedy – na zawsze jestem inwalidą! Ten namiętny cel należało wesprzeć obliczeniem, przygotowałem więc miejsce, gdzie podstawię nogę; wyobrażałem sobie, jak leciutko poruszę kilofem… kamień runie. Dzień, godzina i minuta były wyznaczone… nadeszły. Podstawiłem nogę pod zwisający kamień, sam siebie pochwaliłem za spokój, uniosłem rękę i obróciłem założony za kamień kilof niczym dźwignię. Kamień spełzł ze ściany w wyznaczone miejsce. Jednakże – sam nie wiem, jak to się stało – szarpnąłem nogę w bok. W ciasnym rozkopie została jedynie potrącona. Dwa siniaki, trzy zadraśnięcia – to cały rezultat tak dobrze przemyślanego dzieła. I wtedy zrozumiałem, że nie nadaję się ani do samookaleczenia, ani do samobójstwa. Pozostało tylko oczekiwanie, kiedy po małym niepowodzeniu nastąpi mały sukces. Najbliższym zaś „sukcesem” był koniec roboczego dnia i trzy łyki gorącej zupy. A nawet jeśli zupa będzie chłodna, to się ją podgrzeje na żelaznym piecyku; przecież posiadam kociołek – trzylitrową puszkę po konserwach. O możliwość popalenia, a raczej dopalenia, poproszę naszego sprzątającego Stiepana.

Tak oto, mieszając w mózgu sprawy „gwiezdne” i drobiazgi, czekałem przemoknięty do nitki, ale spokojny. Czy takie rozmyślania były swego rodzaju treningiem umysłu? W żadnym wypadku. Wszystko to było naturalne, to było życie. Rozumiałem, że ciało, a więc i komórki mózgowe, są niedostatecznie odżywiane. Mózg mój od dawna już jest na głodowej racji,

co niewątpliwie skończy się obłędem, wczesną sklerozą lub jakoś podobnie… I było mi wesoło myśleć, że nie zdążę dożyć sklerozy. Lał deszcz.

Przypomniałem sobie kobietę, która wczoraj przeszła mimo nas po ścieżynce, nie bacząc na okrzyki konwojentów. Pozdrawialiśmy ją i wydała nam się pięknością – pierwsza kobieta widziana przez nas od trzech lat. Pomachała do nas ręką, wskazała na niebo, gdzieś w róg niebieskiego sklepienia, i krzyknęła: „Już niedługo, chłopcy, niedługo!” Odpowiedział jej radosny wrzask. Nigdy więcej już jej nie widziałem, ale wspominałem przez całe życie – że tak dobrze potrafiła nas zrozumieć i pocieszyć. Wskazała na niebo, wcale nie mając na myśli świata pozagrobowego. Nie, ona tylko pokazywała, że niewidoczne słońce kłoni się ku zachodowi, że zbliża się koniec roboczego dnia. Po swojemu powtórzyła słowa Goethego o górskich szczytach. O mądrości tej prostej kobiety, jakiejś byłej lub może aktywnej prostytutki – w tej bowiem krainie nie było żadnych kobiet oprócz prostytutek – o jej mądrości, jej wielkim sercu właśnie myślałem i szmer deszczu stanowił dobre tło dla tych myśli. Szary, kamienny brzeg, szare góry, szary deszcz, szare niebo, ludzie w szarej, porwanej odzieży – wszystko było bardzo miękkie i bardzo zgodne jedno z drugim. Wszystko tworzyło jednolitą harmonię barw – diabelską harmonię.

I wtedy rozległ się słaby okrzyk, pochodzący z sąsiedniego rozkopu. Moim sąsiadem był niejaki Rozowski, stary agronom, którego poważna specjalistyczna wiedza, podobnie jak wiedza lekarzy, inżynierów, ekonomistów, nie mogła znaleźć zastosowania. Wołał mnie po imieniu. Odezwałem się, nie zwracając uwagi na groźny gest konwojenta, widoczny z daleka spod „grzyba”.

– Słuchajcie! – krzyczał. – Słuchajcie! Ja długo myślałem! I zrozumiałem, że nie ma sensu żyć… nie ma…

Wyskoczyłem wtedy ze swojego rozkopu i dobiegłem do niego, zanim zdążył rzucić się na konwojentów. Obydwaj zaczęli się zbliżać.

– On zachorował – powiedziałem.

W tym momencie doleciał z dala zagłuszony przez deszcz głos obozowej syreny i zaczęliśmy się ustawiać w szeregi.

Pracowaliśmy razem z Rozowskim jeszcze przez pewien czas, dopóki się nie rzucił pod toczący się z góry załadowany wagonik. Podstawił nogę pod koło, lecz wagonik całkiem po prostu odtrącił go, nie pozostawiając nawet siniaka. Mimo to za próbę samobójstwa wszczęto „sprawę” i został zasądzony. Rozstaliśmy się, gdyż istnieje zasada, że po osądzeniu skazany

nigdy nie zostaje skierowany tam, skąd przybył. Wynika to z obawy przed dokonaniem na gorąco zemsty wobec prowadzącego śledztwo i świadków. To mądra zasada. Jednak wobec Rozowskiego można jej było nie stosować.

KRADZIEŻ

Padał szary śnieg, niebo było szare, ziemia była szara i łańcuszek ludzi przeprawiających się z jednego śnieżnego wzgórza na drugie rozciągał się wzdłuż horyzontu. Potem zaś trzeba było czekać, aż brygadzista ustawi swoją brygadę tak, jak gdyby za wzgórzem ze śniegu ukryty był jakiś generał.

Brygada ustawiła się parami i skręciła ze ścieżynki stanowiącej najkrótszą drogę do domu, do baraku, na inną kopną drogę. Niedawno przejechał tędy traktor, śnieg nie zdążył jeszcze zasypać jego śladów podobnych do odcisków jakiegoś przedhistorycznego zwierzęcia. Iść było znacznie trudniej niż po ścieżce, wszyscy spieszyli się, co chwila ktoś się potykał, w pośpiechu wyciągał pełne śniegu watowe burki i biegł, doganiając towarzyszy. Wtem za zakrętem, koło wielkiej zaspy, pojawiła się czarna figura człowieka w ogromnym białym kożuchu. W miarę zbliżania się zobaczyłem, że zaspa to niewielki stos worków mąki. Przypuszczalnie w tym miejscu ugrzązł samochód i po zrzuceniu ładunku odholowany został przez traktor.

Brygada szła wprost w kierunku stróża, mijając stos szybkim krokiem. Potem nieco zwolniono i szyki się pomieszały. Potykając się w ciemności, więźniowie wkroczyli wreszcie w krąg światła wielkiej elektrycznej lampy wiszącej nad wrotami obozu. Nie zachowując większego porządku, brygada ustawiła się śpiesznie przed wrotami, skarżąc się na mróz i zmęczenie. Wyszedł nadzorca, otworzył wrota, wpuszczając ludzi do zony. Wewnątrz obozu ludzie w dalszym ciągu utrzymywali szyk, a ja wciąż nic nie rozumiałem. I dopiero nazajutrz, kiedy rozpoczęło się rozdawanie mąki za pomocą kociołka zamiast miarki, zrozumiałem, że po raz pierwszy w życiu uczestniczyłem w kradzieży.

Nie wywołało to u mnie większego zakłopotania – nie było czasu, aby o tym myśleć; należało ugotować swój przydział w dowolny, dostępny nam sposób, w postaci klusek, zacierki, słynnej „szczypanki” lub całkiem po prostu: żytnich placuszków, blinów i naleśników.

KANT

Sopki były białe z sinym połyskiem, jak głowy cukru. Okrągłe i bezleśne, pokryte cienką warstwą mocno sprasowanego wiatrami śniegu. W rozpadlinach śnieg był głęboki i mocny – utrzymywał człowieka; na stokach zaś sopek jak gdyby wydymał się w postaci ogromnych pęcherzy. Były to krzaki ścielącego się po ziemi cedrowca, zaległego na zimowy sen jeszcze przed pierwszym śniegiem. To on właśnie był nam potrzebny.

Ze wszystkich drzew północy bardziej od innych lubiliśmy ścielący się cedrowiec.

Od dawna już zrozumiały i drogi był dla mnie ten godny podziwu pośpiech, z którym uboga przyroda północy stara się podzielić z biednym jak ona człowiekiem swoim skromnym bogactwem – zakwitając dla niego wszystkimi kolorami. Zdawało się, że wszystko rozkwitało w ciągu jednego tygodnia, jak gdyby prześcigając się, i po miesiącu, na początku lata, w promieniach niezachodzącego prawie słońca, czerwieniło się od jagód, czerniało od ich ciemnosinego błękitu. Na krzakach nisko rosnących, tak że i ręki nie trzeba było podnosić, dojrzewała wodnista jarzębina. Miodowy górski głóg – różowe jego płatki były tutaj jedynymi kwiatami, które pachniały jak kwiaty; wszystko inne pachniało tylko wilgocią, błotem, i było to zgodne z wiosennym milczeniem ptaków, z milczeniem modrzewiowego lasu odziewającego się w zielone igliwie. Głóg zachowywał owoce aż do mrozów i spod śniegu wyciągał do nas pomarszczone, mięsiste jagody, których fioletowa sztywna skórka skrywała słodki, ciemnożółty miąższ. Znałem wesołość łóz zmieniających wielokrotnie wiosną swoje ubarwienie – to ciemnoróżowych, to bladozielonych – obciągniętych jak gdyby kolorową giemzą. Modrzewie wyciągały cienkie palce o zielonych paznokciach, wszędobylskie kiprzyce pokrywały leśne pogorzeliska. Wszystko to przepiękne, ufne, szalone i spieszne – ale wszystko to było latem – gdy matowa, zielona trawa mieszała się z odblaskiem glazury omszałych, pobłyskujących w słońcu skał, które nagle stawały się ani szare, ani brązowe, lecz zielone.

Zimą wszystko znikało pokryte grząskim, ostrym śniegiem, który wiatr namiatał w rozpadliny, sprasowując go tak, że aby wejść pod górę, trzeba było wyrąbywać toporkiem stopnie. W lesie widać było człowieka na odległość wiorsty – tak wszystko było obnażone. Tylko jedno drzewo zawsze było zielone, zawsze żywe – ścielący się, wiecznie zielony cedrowiec. Przepowiadał on pogodę. Na dwadzieścia dni przed pierwszym śniegiem, kiedy dzień był jeszcze po jesiennemu ciepły i bezchmurny i nikomu nie chciało się myśleć o zbliżającej się zimie, ścielący się cedrowiec rozciągał nagle po ziemi swoje ogromne, dwusążniowe łapy, lekko zginał prosty, gruby na dwie pięści, czarny pień i płasko układał się na ziemi. Mijał dzień po drugim, zjawiał się obłok i pod wieczór kurzyła śnieżna zadymka. Jeżeli natomiast późną jesienią gromadziły się niskie, błękitnawe chmury śniegowe, dął zimny wiatr, ale cedrowiec nie kładł się, to można było mieć absolutną pewność, że śnieg nie spadnie.

Gdy skończył się marzec, w kwietniu, kiedy jeszcze nawet nie pachniało wiosną i powietrze było jak w zimie rozrzedzone i suche, cedrowiec nagle podnosił się, strząsając śnieg ze swojej zielonej, nieco zrudziałej szaty. W ciągu dwóch dni zmieniał się wiatr i ciepłe strugi powietrza przynosiły wiosnę.

Ścielący się cedrowiec był przyrządem bardzo dokładnym i czułym, do tego stopnia, że czasem sam się oszukiwał – podnosił się w czasie odwilży, gdy ta się nieco przeciągnęła. Nie zdążyło się jeszcze ochłodzić, gdy on znowu układał się pośpiesznie na śniegu.

Bywało i tak: rozpali się z rana jak najgorętszy ogień, aby w czasie obiadu było gdzie ogrzać nogi i ręce, nakładzie się jak najwięcej drewna i odchodzi do pracy. Po dwóch godzinach cedrowiec wyciąga spod śniegu swe gałęzie, rozpościera się, myśląc, że to już wiosna przyszła. I nie zdąży ognisko zgasnąć, gdy ponownie układa się w śniegu.

Zima jest tutaj dwubarwna – sinoblade niebo i biała ziemia. Wiosną obnażają się zeszłoroczne brunatnożółte łachmany i długo jeszcze ziemia pozostaje w tej żebraczej szacie, dopóki nowa zieleń nie przybierze na sile i nie zacznie rozkwitać burzliwie i spiesznie. I oto na progu smętnej wiosny, po nieubłaganej zimie, błyszczy olśniewającą, oślepiającą zielenią cedrowiec. A przy tym rosną na nim orzechy – drobne cedrowe orzechy. Dzielą ten smakołyk między sobą ludzie, niedźwiedzie, wiewiórki i burunduki.

Wybrawszy miejsce po zawietrznej stronie sopki, naściągaliśmy gałęzi, drobnych i większych, narwaliśmy suchej trawy z „wymiecin” – odsłonię-

tych miejsc góry, z których śnieg zerwany został przez wiatr. Przynieśliśmy ze sobą z baraku kilka dymiących głowni, zabranych przed odejściem do pracy z palącego pieca – zapałek tutaj nie było.

Nosiło się te głownie w dużej puszce po konserwie z dorobioną rączką z drutu, bacząc uważnie, aby nie zagasły w czasie drogi. Po wyciągnięciu głowni z puszki, rozdmuchaniu i zetknięciu razem tlejących końców zapoczątkowałem ognisko z suchej trawy i drobnych gałęzi. Wszystko zostało pokryte większymi gałęziami i niebawem błękitnawy dymek niepewnie pociągnął się z wiatrem.

Nigdy jeszcze nie pracowałem w brygadach przygotowujących zapasy igliwia cedrowego. Praca wykonywana była ręcznie, zielone suche igły darło się jak pierze dzikiego ptactwa, napełniało nimi worki, a wieczorem oddawało wypracowany uzysk dziesiętnikowi. Następnie igliwie odwożono do tajemniczego „witaminowego kombinatu", gdzie wygotowywano z niego ciemnożółty, gęsty i lepki ekstrakt o niewypowiedzianie wstrętnym smaku. Zmuszano nas do picia lub jedzenia (jak kto umiał) tego ekstraktu przed każdym posiłkiem. Jego smakiem psuty był nie tylko obiad, lecz również kolacja i wielu upatrywało w tym „leczeniu" dodatkowy środek łagrowego „oddziaływania". Jednakże bez stopki tego specyfiku nie można było otrzymać obiadu – tego ostro przestrzegali. Szkorbut był wszędzie, a cedrowiec stanowił jedyne lekarstwo uznane przez medyków. Wiara pokonuje wszystko, chociaż więc później wykazano zupełną niemoc tego „preparatu" jako środka przeciw szkorbutowi i odstąpiono od niego, a „witaminowy kombinat" zamknięto, to jednak za naszych dni ludzie pili to śmierdzące świństwo, pluli i leczyli się ze szkorbutu, lubo wyleczyć się nie mogli. Albo nie pili i nie powracali do zdrowia. Wszędzie była masa głogu, ale nikt go nie zbierał i nie korzystał z niego jako ze środka przeciw szkorbutowi – w instrukcji z Moskwy nie wspominano o głogu. Po upływie kilku lat zaczęto dowozić głóg z „kontynentu", ale własnych zbiorów mimo wszystko nie podjęto.

Za przedstawiciela witaminy C instrukcja uznawała igliwie cedrowca. Dzisiaj ja byłem zbieraczem tego drogocennego surowca – osłabłem i ze „złotego" wykopu zostałem przeniesiony do „darcia igliwia".

– Pochodzisz trochę na cedrowiec – powiedział z rana dyspozytor. – Dam ci kant na kilka dni.

„Kant" to określenie szeroko rozpowszechnione w łagrach. Oznacza coś w rodzaju chwilowego odpoczynku, nie pełnego (w takim przypadku

mówią: on „puchnie”, „spuchł na dzisiaj”), lecz taką pracę, w czasie której człowiek nie opada z sił, pracę lekką, chwilową.

Praca na cedrowcu uważana była nie tylko za lekką, ale wręcz za jedną z najlżejszych; była przy tym pracą bez nadzoru strażników.

Po wielu miesiącach roboty w oblodzonych „przekrojach”, gdzie każdy przemrożony, błyszczący kamyczek parzy ręce, po szczękaniu karabinowych zamków, ujadaniu psów i ordynarnych przekleństwach nadzorców za plecami, praca przy cedrowcu była ogromną, odczuwaną przez każdy mięsień przyjemnością. Na cedrowiec wyprowadzano później niż zazwyczaj, do normalnej pracy, nie w ciemności.

Grzejąc ręce niosące puszkę wypełnioną dymiącymi głowniami, dobrze było iść, nie śpiesząc się, w kierunku sopek; będąc takim niedosiężnym, dalekim, jak mi się wcześniej wydawało, i wznosić się wciąż wyżej, i wyżej odczuwając przez cały czas swoją nieoczekiwaną samotność i głęboką, zimową, górską ciszę – jak gdyby wszystko zło na świecie znikło i jakbyś pozostał tylko ty i twój towarzysz, i wąskie, ciemne pasemko bez końca, wiodące gdzieś wysoko w góry.

Towarzysz niechętnie spoglądał na moje powolne ruchy. On od dawna już chodził na cedrowiec i słusznie widział we mnie nieumiejętnego i słabego kompana do pracy. Pracowało się bowiem parami, „zarobek” był wspólny i dzielono go po połowie.

– Ja będę rąbać, a ty siadaj drzeć igliwie – powiedział. – I ruszaj się żwawiej, bo nie wykonamy normy. A wracać stąd do wykopu nie chcę.

Narąbał gałęzi z cedrowca i przywlókł ogromny stos zielonych łap do ogniska. Odłamywałem najmniejsze gałęzie i zaczynając od góry, obdzierałem igliwie razem z korą. Było podobne do zielonych frędzli.

– Trzeba szybciej – powiedział mój towarzysz, wracając z nowym naręczem.

Sam rozumiałem, że źle pracuję, nie potrafiłem jednak szybciej.

Dzwoniło mi w uszach, a odmrożone na początku zimy palce rąk od dawna doskwierały znajomym, tępym bólem. Zdzierałem igły, łamałem gałązki na kawałeczki, nie obdzierając ich z kory, i wciskałem do worka. Lecz worek w żaden sposób nie chciał się napełnić. Już cała góra obdartych gałęzi, podobnych do obnażonych kości, wznosiła się koło ogniska, a worek wciąż się rozdymał i rozdymał, przyjmując ciągle nowe naręcza cedrowca.

Kolega siadł pomagać i praca poszła szybciej.

– Pora do domu – powiedział nagle. – Jeszcze spóźnimy się na kolację. Na normę i tak nie wystarczy. – I wziąwszy z popiołu ogniska duży kamień, wepchnął go do worka. – Tam nie rozwiązują – dodał nachmurzony. – Teraz będzie norma.

Wstałem, rozrzuciłem na boki palące się gałęzie i nagrzebałem nogami śniegu na tlące węgle. Ognisko zasyczało, zgasło i od razu zrobiło się zimno. Widać było, że wieczór się zbliża. Towarzysz pomógł mi zarzucić worek na plecy. Zachwiałem się pod jego ciężarem.

– Wlecz po ziemi – powiedział towarzysz. – Przecież na dół, nie w górę.

Ledwo zdążyliśmy dostać swą zupę. Przy tej lekkiej pracy drugie danie się nie należało.

NA SUCHEJ RACJI

Kiedyśmy doszli – cała nasza czwórka – do krynicy „Duskania”, byliśmy tak rozradowani, że prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Obawialiśmy się, że nasza wędrówka tutaj to czyjaś pomyłka, czyjś żart, że nas zawrócą do złowieszczych, zalanych zimną wodą, roztopionym lodem, kamiennych wyrobisk kopalni. Państwowe gumowe kalosze – „czunie” – nie ratowały od zimna naszych wielokrotnie odmrażanych nóg.

Szliśmy po śladach traktora jak po śladach jakiegoś przedhistorycznego zwierza, ale traktorowa droga skończyła się i starą wydeptaną ścieżką doszliśmy do maleńkiej zrębowej chatki z dwoma wyciętymi oknami i drzwiami zwisającymi na pojedynczych zawiasach zrobionych z przybitego gwoździami kawałka samochodowej opony. Na maleńkich drzwiach widniał ogromny drewniany uchwyt, podobny do klamki drzwi restauracyjnych w dużych miastach. Wewnątrz znajdowały się nagie prycze zrobione z okrąglaków; na gołej ziemi-podłodze walała się zakopcona, czarna puszka po konserwach. Podobne puszki, zardzewiałe i pożółkłe, walały się w dużej ilości wokół pokrytego mchem maleńkiego domku. To była izba zwiadu górniczego; nikt w niej nie mieszkał od wielu lat. My zaś mieliśmy tu mieszkać i wyrąbać przesiekę – dostaliśmy topory i piły.

Po raz pierwszy otrzymaliśmy do rąk swoje racje żywnościowe. Miałem drogocenny woreczek z kaszą, cukrem, rybą, tłuszczem. W kilku miejscach przewiązany był sznurkiem – tak jak przewiązuje się kiełbaski. Sypki cukier i kasza dwu gatunków – jęczmienna i „magara”. Sawieljew posiadał dokładnie taki sam woreczek, a Iwan Iwanowicz aż dwa, zszyte po męsku grubą fastrygą. Czwarty nasz kolega, Fiedia Szczapow, lekkomyślnie nasypał kaszy do kieszeni buszłata, a cukier zawiązał w onucy. Wyrwana wewnętrzna kieszeń buszłata służyła Fiedii jako kapciuch, do którego zbierane były znalezione niedopałki skrętów.

Dziesięciodniowe racje żywnościowe wyglądały przerażająco – nie chciało się myśleć, że wszystko to trzeba będzie podzielić na całych trzydzieści części, jeżeli będziemy chcieli mieć śniadanie, obiad i kolację, lub

na dwadzieścia, jeśli będziemy jeść dwa razy dziennie. Chleba zabraliśmy ze sobą na dwa dni – będzie go nam donosił dziesiętnik, ponieważ nie do pomyślenia byłaby nawet najmniejsza grupa robocza bez dziesiętnika. Kim on jest – zupełnie nas to nie interesowało. Powiedziano nam, że do czasu jego przybycia powinniśmy przygotować kwaterę.

Wszystkim nam dojadło już barakowe jedzenie, gdzie za każdym razem gotowi byliśmy płakać na widok wnoszonych na drągach do baraku cynkowanych kotłów z zupą. Byliśmy gotowi płakać ze strachu, że zupa okaże się rzadka. A gdy zdarzał się cud, że zupa była gęsta, nie chcieliśmy wierzyć i – ciesząc się – jedliśmy ją bardzo wolno; jednakże nawet po gęstej zupie pozostawał w ogrzanym żołądku ssący ból – głodowaliśmy już od dawna. Wszystkie uczucia ludzkie – miłość, przyjaźń, zazdrość, życzliwość, miłosierdzie, żądza sławy, uczciwość – odeszły od nas wraz z tym mięsem, którego pozbawieni byliśmy przez okres długotrwałego głodowania. W owej nic nieznaczącej już warstwie mięśni, która jeszcze pozostała na naszych kościach, która pozwalała nam się ruszać, jeść, oddychać, a nawet piłować pnie i nakładać łopatą kamienie i piasek do taczek, a nawet popychać taczki po niekończącym się trapie w wyrobisku złota, po wąskiej drewnianej drodze prowadzącej ku urządzeniu do przemywania – w tej warstwie mięśni mieściła się tylko złość, najbardziej długowieczne uczucie ludzkie.

Sawieljew i ja zdecydowaliśmy się żywić indywidualnie. Gotowanie to specjalnego rodzaju rozkosz aresztantów. Nieporównywalna z niczym przyjemność – przygotowywać jedzenie dla siebie, swoimi rękami, a potem je jeść, choćby gorzej przyrządzone, niż zrobiłyby to wprawne ręce kucharza; nasza wiedza kulinarna była znikoma, umiejętności kucharskich nie starczyło nawet na ugotowanie prostej zupy czy kaszy. Mimo wszystko pozbieraliśmy z Sawieljewem puste puszki po konserwach, poczyścili je, opalili na ogniu, a potem coś tam moczyliśmy i warzyliśmy, ucząc się jeden od drugiego.

Iwan Iwanowicz i Fiedia połączyli swoje produkty. Fiedia ostrożnie wywrócił kieszenie i przebadał każdy szew, wydłubując ziarenka kaszy brudnym, połamanym paznokciem. Wszyscy czterej byliśmy znakomicie przygotowani do podróży w przyszłość – czy to niebiańską, czy też ziemską. Wiedzieliśmy, co znaczą naukowo uzasadnione normy żywieniowe, co to takiego tabele zamienności produktów żywnościowych, według których wychodziło, że wiadro wody zastępuje kalorycznie sto gramów oleju. Nauczyliśmy się pokory, oduczyliśmy się dziwić czemukolwiek. Nie było

w nas dumy, samolubstwa, miłości własnej, a zazdrość i namiętność wydawały nam się marsjańskimi pojęciami, przy tym bzdurnymi. Znacznie ważniejsze było przyuczyć się zapinania spodni na mrozie – dorośli mężczyźni płakali, nie mogąc niekiedy tego dokonać. Rozumieliśmy, że śmierć wcale nie jest gorsza od życia, i nie baliśmy się obojga. Władała nami wielka obojętność. Wiedzieliśmy, że w naszej mocy leży skrócenie tego życia choćby już jutro, i czasem decydowaliśmy się to uczynić, lecz za każdym razem przeszkadzały nam jakieś drobnostki, z których składa się życie. To dzisiaj będą wydawać „sklepik” – premię w postaci kilograma chleba; przecież głupio byłoby popełnić samobójstwo w taki dzień. To znów sprzątający z sąsiedniego baraku obiecywał popalić wieczorem – oddać zadawniony dług.

Pojęliśmy, że życie, nawet najbardziej nędzne, składa się na zmianę z radości i biedy, sukcesów i niepowodzeń i że nie należy się obawiać, iż niepowodzeń będzie więcej niźli sukcesów.

Byliśmy zdyscyplinowani, posłuszni swoim kierownikom. Rozumieliśmy, że prawda i kłamstwo to rodzeństwo, że na świecie istnieją tysiące prawd… Uważaliśmy się za prawie świętych, sądząc, że podczas lat spędzonych w łagrach odkupiliśmy swoje grzechy. Nauczyliśmy się rozumieć ludzi, przewidywać ich postępki, odgadywać je. Zrozumieliśmy – i to było najważniejsze – iż nasza znajomość ludzi nie daje nam w życiu żadnych korzyści. Cóż z tego, że rozumiem, odgaduję, przewiduję postępki innego człowieka? Przecież swojego postępowania w stosunku do niego nie mogę zmienić, nie będę donosił na takiego samego więźnia jak ja sam, cokolwiek by on uczynił. Nie będę się nawet starał o stanowisko brygadzisty, pozwalające utrzymać się przy życiu, gdyż najgorsze, co może być w łagrze, to narzucanie swojej (lub czyjejś innej) woli drugiemu człowiekowi, takiemu samemu więźniowi jak ja. Nie będę szukał „korzystnych” znajomości, dawał łapówek. I cóż z tego, że wiem o Iwanowie, że to podły człowiek, a Pietrow to szpieg, a Zasławski to krzywoprzysięzca?

Niemożność korzystania ze znanych rodzajów oręża czyniła nas słabymi w porównaniu z niektórymi sąsiadami z łagrowych prycz. Nauczyliśmy się zadowalać małym i z małych rzeczy się cieszyć.

Zrozumieliśmy także coś zadziwiającego: w oczach Państwa i jego przedstawicieli człowiek silny fizycznie jest lepszy, właśnie lepszy, bardziej wartościowy moralnie, cenniejszy niż człowiek słaby – ten, który nie może wyrzucić z wykopu dwudziestu metrów sześciennych ziemi w ciągu

zmiany. Ten pierwszy jest bardziej cenny moralnie niż ten drugi. Właśnie on wykonuje „procenty”, to jest wypełnia swój główny obowiązek w stosunku do państwa i społeczeństwa i dlatego jest przez wszystkich szanowany. Słuchają jego rad i liczą się z nim, jest on zapraszany na narady i zebrania, których tematyka jest daleka od zagadnień wyrzucania ciężkiej i śliskiej ziemi z oślizłych, mokrych rowów. Dzięki swojej fizycznej wyższości nad innymi staje się on siłą moralną przy rozwiązywaniu wielorakich problemów życia w łagrze. Przy tym jest on siłą moralną dopóty, dopóki przedstawia sobą siłę fizyczną.

Aforyzm Pawła Pierwszego, który brzmi: „W Rosji zdobywa sławę ten, z kim ja rozmawiam, ale też tylko dopóki z nim rozmawiam”, znalazł nowy, nieoczekiwany wyraz w wyrobiskach Dalekiej Północy. W ciągu pierwszych miesięcy swojego życia w kopalni był Iwan Iwanowicz przodującym robotnikiem – „rabotiagą”. Obecnie nie mógł pojąć, dlaczego teraz, kiedy osłabł i wygłodniał, wszyscy przy każdej sposobności go biją, wprawdzie nie bardzo boleśnie, ale jednak biją: sprzątający z baraku, fryzjer, dyspozytor, starosta, brygadzista, konwojent. Oprócz prominentów – osób urzędowych – biją go „błatniacy-kryminaliści”. Iwan Iwanowicz był szczęśliwy, że udało mu się wydostać na tę leśną delegację.

Fiedia Szczapow, ałtajski podrostek, stał się wcześniej od innych „dochodiagą”, dlatego że jego na wpół dziecięcy organizm nie zdążył jeszcze okrzepnąć. Z tego właśnie powodu Fiedia trzymał się około dwóch tygodni krócej niż inni, szybciej osłabł. Był on jedynym synem wdowy, a sądzono go za niedozwolony ubój bydła – jedynej posiadanej owcy, którą Fiedia zarżnął. Ubój taki był wbrew prawu. Fiedia dostał dziesięć lat. Praca w kopalni, pospieszna, niepodobna do pracy na wsi, była dla niego ciężka. Fiedia zachwycał się swobodnym życiem błatniaków w kopalni, jednakże było w jego naturze coś, co nie pozwalało mu na zbliżenie się ze złodziejami. Ta zdrowa chłopska postawa, przyrodzona miłość do pracy, a nie pogarda – to mu trochę pomagało. Będąc najmłodszym spośród nas, od razu „przykleił się” do tego, kto był najstarszy i jednocześnie najbardziej wartościowy – do Iwana Iwanowicza.

Sawieljew, student Moskiewskiego Instytutu Łączności, był moim krajanem z więzienia na Butyrkach. Wstrząśnięty tym wszystkim, co widział, napisał jako wierny komsomolec list z celi do „wodza” partii w przekonaniu, że tego rodzaju doniesienia do wodza dochodzą. Jego sprawa była zupełnie błaha (korespondencja z własną narzeczoną); dowodem agitacji

(punkt 10. pięćdziesiątego ósmego paragrafu) były wzajemne listy narzeczonego do narzeczonej. Jego „organizacja” (punkt 11. tego samego paragrafu) składała się z dwóch osób. Wszystko to jak najbardziej poważnie zapisywano w formularzach zeznań. Jednak wszyscy myśleli, że ponad zesłanie, nawet według ówczesnych miar, Sawieljew nic więcej otrzymać nie może. W niedługim czasie po wysłaniu listu z celi – któregoś dnia, będącego dniem „podaniowym” – wywołano Sawieljewa na korytarz i wręczono mu za pokwitowaniem zawiadomienie. Prokurator naczelny informował w nim, że osobiście zajmie się jego sprawą. Potem już tylko jeden raz wezwano Sawieljewa – po to, aby wręczyć mu wyrok sądu specjalnego, *osobowo sowieszczanija*: dziesięć lat łagrów.

W łagrze Sawieljew „dopłynął” bardzo szybko. Do dziś nie mógł pojąć, dlaczego rozprawiono się z nim tak okrutnie. My obaj nie tyle przyjaźniliśmy się ze sobą, ile po prostu lubiliśmy razem wspominać Moskwę – jej ulice, pomniki i rzekę Moskwę muśniętą cienką warstwą ropy, lśniącą jak masa perłowa. Ani mieszkańcy Leningradu, ani Kijowa, ani Odessy nie mają pośród siebie takich wielbicieli, koneserów, miłośników. Gotowi byliśmy mówić o Moskwie bez końca…

Przyniesiony przez nas żelazny piecyk postawiliśmy w izbie i mimo że było lato, rozpaliliśmy w nim. Ciepłe, suche powietrze miało niezwykły, cudowny aromat. Każdy z nas przywykł oddychać kwaśnym zapachem noszonej odzieży i potu – dobrze jeszcze, że łzy nie wydzielały żadnej woni.

Zgodnie z radą Iwana Iwanowicza, zdjęliśmy z siebie bieliznę i zakopaliśmy ją w ziemi, oddzielnie każdą koszulę i kalesony, pozostawiając jedynie wystający na zewnątrz rąbek. Był to ludowy środek przeciwko wszom, pracując bowiem w kopalni, byliśmy bezsilni w ich zwalczaniu. Rzeczywiście, do rana wszystkie wszy zebrały się na tych wystających z ziemi skrawkach. Pokryta wieczną zmarzliną ziemia odtajała na tyle, że udało się bieliznę zakopać. Był to oczywiście grunt zawierający, jak tu wszędzie, więcej kamieni niż ziemi. Ale na tym kamienistym, zlodowaciałym gruncie wyrastały gęste rusztowania olbrzymich modrzewi, których pnie musiałoby objąć trzech ludzi – tak wielka była siła żywotna drzew, wielki pouczający przykład dawany nam przez przyrodę.

Wszy spaliliśmy, przybliżając do koszul gorejące głownie z ogniska. Niestety, ten przemyślny sposób nie zniszczył gnid, a zatem jeszcze tego

samego dnia długo i zawzięcie wygotowywaliśmy bieliznę w wielkich puszkach po konserwach; tym razem dezynfekcja okazała się skuteczna.

Z cudownymi własnościami ziemi zapoznaliśmy się później, gdy łowiliśmy myszy, kruki, mewy, wiewiórki. Mięso każdego zwierzęcia traci swój specyficzny zapach, jeśli zakopać je wstępnie do ziemi.

Zatroszczyliśmy się o to, aby nieustannie podtrzymywać ogień – mieliśmy przecież zaledwie kilka zapałek przechowywanych przez Iwana Iwanowicza. Zawiązał on te drogocenne zapałki niezwykle starannie w kawałek brezentu i szmatki. Każdego wieczoru składaliśmy razem dwie płonące głownie – tliły się one do rana, nie gasnąc i nie wypalając się. Gdyby były trzy – spaliłyby się. Zasadę tę znaliśmy obaj z Sawieljewem jeszcze z ławy szkolnej, a Iwan Iwanowicz i Fiedia wiedzieli o tym od dziecka (z domu). Rano dmuchaliśmy na głownie, zapalał się żółty ogień i na rozpalone ognisko narzucaliśmy co grubsze polana…

Podzieliłem kaszę na dziesięć części, ale przeraziło mnie to. Nakarmienie do syta pięciu tysięcy ludzi pięcioma bochenkami chleba było prawdopodobnie łatwiejsze i prostsze do przeprowadzenia niźli dla więźnia podział dziesięciodniowego przydziału żywnościowego na trzydzieści części. Przydziały i kartki były zawsze dziesięciodniowe. Na kontynencie dawno już odtrąbiono odwrót od wszelkiego rodzaju „pięciodniówek”, „dziesięciodniówek”, „okresów nieprzerwanej pracy”, ale tutaj ten dziesiętny system utrzymywał się o wiele bardziej uparcie. Nikt tu nie uważał, że niedziele są dniami wolnymi od pracy, dniami odpoczynku dla więźniów.

Zsypałem kaszę z powrotem, nie mogąc wytrzymać tej nowej dla mnie męki podziału. Poprosiłem Iwana Iwanowicza i Fiedię, aby przyjęli mnie do wspólnego kotła, i oddałem im swoje produkty. Za moim przykładem uczynił to samo Sawieljew. We czterech podjęliśmy mądrą decyzję gotowania strawy dwa razy dziennie; na trzy zdecydowanie nie starczało produktów.

– Będziemy zbierać jagody i grzyby – powiedział Iwan Iwanowicz.

– Będziemy łowić myszy i ptaki, a przez parę dni w dekadzie pozostaniemy na samym chlebie.

– Ale jeśli będziemy głodzić się przez parę dni przed otrzymaniem produktów – powiedział Sawieljew – to jak potem wytrzymać, aby nie zjeść za dużo, gdy przywiozą nam żywność?

Zadecydowaliśmy, że w żadnym przypadku nie będziemy jeść więcej niż dwa razy dziennie. W ostateczności będziemy gotować jedzenie bardziej

rzadkie. Przecież tutaj nikt nas nie okradnie. Otrzymaliśmy wszystko zgodnie z przysługującą nam normą, nie mamy tutaj kucharzy-pijaków ani złodziejaszkowatych magazynierów, nie ma chciwych obozowych nadzorców ani złodziei wydzierających najlepsze produkty żywnościowe, nie ma tych wszystkich niezliczonych przedstawicieli władzy, objadających i obdzierających więźniów bez żadnej kontroli, bez obaw i bez sumienia.

Otrzymaliśmy należny nam tłuszcz w pełnym wymiarze, w postaci grudki „hydrotłuszczu", otrzymaliśmy cukier-piasek, którego było mniej, niż udało mi się wypłukać złotego piasku na sicie; był też lepki, klajstrowaty chleb, nad którego wypiekiem trudzili się jedyni w swoim rodzaju mistrzowie „ciężkiej wagi", zapewniający dodatkowe utrzymanie kierownikom piekarń. Kasze miały około dwudziestu różnych przedziwnych nazw, z którymi nie zdołaliśmy się zetknąć w ciągu całego naszego życia: „magara", „sieczka pszeniczna"… – wszystko to było zagadkowe. I jednocześnie napawające strachem.

Ryby – zastępujące, zgodnie z tajemniczymi „tabelami zamiany produktów", mięso – zapleśniałe śledzie, miały uzupełnić wzmożony ubytek białka w naszych organizmach.

Niestety, nawet te w całości otrzymane „treściwe pasze" nie mogły nas wyżywić ani nasycić. Potrzebowaliśmy trzy, cztery razy więcej – organizm każdego z nas od dawna morzony był głodem. Nie rozumieliśmy wtedy jednej prostej rzeczy. Wierzyliśmy normom i nieznane nam było powszechne spostrzeżenie kucharzy, iż łatwiej gotować dla dwudziestu osób niż dla czterech. Zupełnie jasne było dla nas tylko jedno: że produktów nie wystarczy. I to nas nawet nie tyle przerażało, ile dziwiło.

Trzeba było koniecznie zacząć pracować, trzeba było wycinać przesiekę w wiatrołomach.

Na północy drzewa umierają, leżąc, podobnie jak ludzie. Ich ogromne, obnażone korzenie, wczepione w kamień, podobne są do szponów gigantycznego drapieżnego ptaka. Od tych potężnych szponów biegły w dół, w kierunku wiecznej zmarzliny, tysiące maleńkich czułek, białawych odrostków pokrytych brązową ciepłą korą. Każdego lata wieczna zmarzlina cofała się odrobinę i w każdy milimetr odtajałego gruntu natychmiast wczepiały się i umacniały najdrobniejszymi włoskami te korzenie-macki. Modrzewie osiągały dojrzałość, mając trzysta lat, powoli wznosząc swe ciężkie, potężne ciało, wspierające się na słabych korzeniach, rozpłaszczonych na kamienistej ziemi. Silna wichura z łatwością powalała tak niepew-

nie stojące drzewa. Modrzewie padały na wznak, skierowane w jedną stronę głowami, i umierały, leżąc na miękkiej, grubej warstwie mchu – zielonej lub purpurowej.

Jedynie poskręcane, pozwijane, niskopienne drzewa, wymęczone nieustannym obracaniem się w kierunku słońca, ku ciepłu, trzymały się mocno, pojedynczo, oddalone jedno od drugiego. Prowadziły one tak długo wytężoną walkę o życie, że ich rozszarpywane, rozgniatane drewno nie nadawało się do niczego. Krótki, sękaty pień, omotany strasznymi narostami, jakby łubkami po złamaniach, nie nadawał się do wykorzystania w budownictwie nawet na Północy, niestawiającej materiałom wielkich wymagań. Owe poskręcane pnie nie nadawały się nawet na drewno opałowe, gdyż opierając się uderzeniom siekiery, mogły zmęczyć każdego. Mściły się w ten sposób za swoje złamane przez Północ życie.

Naszym zadaniem było zrobienie przesieki, śmiało więc zabraliśmy się do roboty. Piłowaliśmy od wschodu do zachodu słońca, zwalaliśmy, odrąbywaliśmy i znosiliśmy w sągi. Zapomnieliśmy o wszystkim, chcieliśmy zostać tu jak najdłużej; obawialiśmy się wyrobisk kopalń złota. Jednakże sągi rosły zbyt wolno i pod koniec drugiego tak wypełnionego pracą dnia okazało się, że zrobiliśmy niewiele i że więcej zdziałać – to ponad nasze siły. Iwan Iwanowicz zrobił metrowy przymiar, równy pięciu rozpiętościom palców, na zrąbanym, młodym, dziesięcioletnim modrzewiu.

Pod wieczór przyszedł dziesiętnik, obmierzył naszą pracę za pomocą swojej ponacinanej pałeczki i pokręcił głową. Wykonaliśmy tylko dziesięć procent normy! Iwan Iwanowicz coś tam udowadniał, mierzył, lecz dziesiętnik był nieustępliwy. Burczał coś na temat „festmetrów”, „drewna w swojej masie” – co było poza naszymi możliwościami rozumienia. Jasne było tylko jedno: będziemy musieli wrócić do łagru, za druty, znowu wejść przez bramę z państwotwórczym napisem: „Praca jest sprawą honoru i chwały, sprawą dzielności i bohaterstwa”. Podobno na wrotach niemieckich obozów koncentracyjnych widniał cytat z Nietzschego: „Każdemu za swoje”. Beria, naśladując Hitlera, przeszedł go jednak w cynizmie. Łagier był miejscem, gdzie uczono nienawiści do fizycznej pracy i do pracy w ogóle. Najbardziej uprzywilejowaną grupą w łagrze byli błatniacy – czy to przypadkiem nie dla nich praca była sprawą dzielności i bohaterstwa?

Jednakże nie baliśmy się. Co więcej, to uznanie przez dziesiętnika beznadziejności naszych wysiłków, naszej fizycznej niedołężności, przyniosło nam niebywałą ulgę, bez żadnych śladów goryczy czy obaw.

Płynęliśmy z prądem i jednocześnie „dopływaliśmy”, jak to się mówi w obozowym języku. Nic już nas nie poruszało, żyło nam się łatwo we władzy cudzej woli. Nie troszczyliśmy się nawet o to, by zachować życie, i nawet śpiąc, ulegaliśmy porządkowi w łagrze. Osiągnięty dzięki przytępieniu uczuć spokój ducha przypominał o wyższego rodzaju wolności koszar, o której marzył Lawrence, lub o Tołstojowskim niesprzeciwianiu się złu – cudza wola zawsze ochraniała nasz spokój ducha.

Już dawno temu staliśmy się fatalistami i nie planowaliśmy naszego życia dalej niż na dwa dni naprzód. Zgodnie z logiką, najlepiej byłoby zjeść od razu cały przydział żywności, powrócić do łagru, odsiedzieć w karcerze należną karę i wyjść do pracy w wyrobisku. Jednakże tak nie zrobiliśmy. Każda ingerencja w to, co niesie los, w wolę bogów, była czymś, co nie przystoi i sprzeczne jest z kodeksem postępowania w łagrze.

Dziesiętnik odszedł, a nam pozostało wyrąbywanie przesieki, stawianie nowych sągów, jednak już bardziej spokojnie i z większą obojętnością. Teraz już nie spieraliśmy się o to, kto ma stanąć do dźwigania wierzchołka zwalonego pnia, a kto z drugiej strony – w trakcie znoszenia w stosy, zwanego w leśnej gwarze „trelowaniem”.

Częściej odpoczywaliśmy, zwracaliśmy więcej uwagi na słońce, las, na bladobłękitne, wysokie niebo. Całkiem po prostu zaczęliśmy się obijać.

Na drugi dzień rano udało nam się z Sawieljewem powalić ogromny modrzew, który jakimś cudem oparł się wichurom i pożarom. Piłę rzuciliśmy wprost na trawę – zadźwięczała, potrącając kamienie – a sami usiedliśmy na pniu zwalonego drzewa.

– No, tak – powiedział Sawieljew – spróbujmy pomarzyć. Przeżyjemy to, pojedziemy na kontynent, szybko się zestarzejemy i zostaniemy chorowitymi staruszkami: to serce zakłuje, to bóle reumatyczne nie dadzą spokoju, to piersi zabolą; wszystko, co teraz robimy, w jakich warunkach żyjemy w młodości, wszystko to nie minie bez śladu, jeśli pozostaniemy żywi. Będziemy chorować, nie znając przyczyn chorób, będziemy stękać i chodzić po przychodniach. Praca ponad siły zadała nam rany nie do wyleczenia i całe nasze życie w podeszłym wieku będzie życiem niekończącego się i różnorakiego bólu, fizycznego i duchowego. Jednak pośród tych strasznych przyszłych dni znajdą się i takie, kiedy będziemy oddychać lżej, kiedy będziemy prawie zdrowi, a nasze cierpienia nie będą nas przerażać. Takich dni będzie niewiele. Będzie ich tyle, ile każdy z nas potrafi ich w łagrze „przemarkierować”.

– A co z „uczciwą pracą”? – spytałem.

– Do uczciwej pracy w łagrze nawołują niegodziwcy i ci, którzy nas biją, kaleczą, wyjadają naszą żywność, zmuszają do pracy żywe szkielety – aż do samej śmierci. Ta „uczciwa praca” im przynosi korzyść, jakkolwiek oni sami jeszcze mniej w nią wierzą niż my.

Wieczorem siedzieliśmy wokół naszego miłego piecyka, a Fiedia Szczapow z uwagą wsłuchiwał się w chrypliwy głos Sawieljewa:

– No więc odmówił wykonania pracy. Sporządzono protokół: „ubrany zgodnie z porą roku”…

– A cóż to znaczy „ubrany zgodnie z porą roku”? – spytał Fiedia.

– Noo, po to, żeby nie wyliczać wszystkich zimowych czy letnich rzeczy, które masz na sobie. Nie można przecież pisać zimą w protokole, że posłano cię do pracy bez buszłata czy też rękawic. Ile razy pozostawałeś w baraku z powodu rękawic?

– U nas nie pozostawiano – nieśmiało odpowiedział Fiedia. – Naczelnik zaganiał nas wtedy do udeptywania drogi. W innym przypadku nazywałoby się to, że „nie wyszedł do pracy z powodu braku odzieży”.

– No właśnie.

– No, to opowiedz o metrze.

I Sawieljew opowiadał Fiedii o moskiewskim metrze. Nam obu z Iwanem Iwanowiczem również ciekawie się słuchało opowieści Sawieljewa, znał on bowiem takie rzeczy, których nawet ja, rodowity moskwianin, nie domyślałem się.

– Czy wiesz, Fiedia – mówił Sawieljew, ciesząc się, że mózg jego jeszcze pracuje – że mahometan zwołuje na modlitwę muezzin z minaretu? Mahomet wybrał głos jako sygnał wzywający do modlitwy. Wypróbował on wszystko: trąby, grę na tamburynie, ognie sygnałowe, i wszystko odrzucił… W półtora tysiąca lat później, w czasie badań przydatności sygnałów dla kolei metra, okazało się, że ani świst, ani gwizd, ani syrena nie są z taką dokładnością wychwytywane przez ucho ludzkie, ucho maszynisty kolejki metra, jak głos dyżurnego ruchu wołającego: „Gotowe!”

Fiedia aż postękiwał z zachwytu. Był on najbardziej z nas wszystkich przygotowany do życia w lesie i bez względu na swój wiek bardziej doświadczony niż którykolwiek z nas. Fiedia znał ciesielkę, potrafił zbudować prostą chatkę ze zrąbanych w tajdze drzew, wiedział, jak nakłonić drzewo i gałęziami wzmocnić miejsce noclegu. Fiedia był myśliwym – w jego stronach do strzelby przywykano od dziecinnych lat. Wszystkie te

zalety Fiedii zostały przez chłód i głód zniwelowane do zera, ziemia pogardzała jego wiedzą i jego umiejętnościami. Fiedia nie zazdrościł mieszczuchom, on po prostu ich podziwiał, a opowiadań o osiągnięciach techniki i innych miejskich cudach gotów był słuchać bez względu na dręczący głód.

Przyjaźń nie rodzi się ani w nieszczęściu, ani w biedzie. Te „trudne" warunki życia, które – jak mówią nam bajeczki literatury pięknej – są nieodzownym warunkiem powstawania przyjaźni, są całkiem po prostu nie aż tak trudne. Jeśli nieszczęście i bieda spowodowały zbliżenie, zrodziły przyjaźń – oznacza to, że bieda nie jest skrajna, nieszczęścia nie tak wielkie, a zmartwienie nie tak ostre i głębokie, jeśli można je dzielić z przyjaciółmi. W prawdziwej biedzie poznaje się jedynie własną wytrzymałość ducha i ciała; określone zostają granice własnych „możliwości", odporności fizycznej i siły moralnej.

Wszyscy rozumieliśmy, że jedynie przypadek pozwoli nam przeżyć. Dziwna sprawa – w czasach mojej młodości, kiedy trafiały się różne niepowodzenia i przegrane, mawiałem „no, ale z głodu to nie umrzemy". Głęboko do mnie przemawiała ta fraza-pogaduszka. A w wieku trzydziestu lat znalazłem się w sytuacji człowieka naprawdę umierającego z głodu, walczącego w sposób dosłowny o kawałek chleba, i wszystko to na wiele lat przed wojną.

Kiedy my czterej zetknęliśmy się ze sobą w krynicy „Duskania", wiedzieliśmy, że nie dla przyjaźni znaleźliśmy się tutaj; wiedzieliśmy, że jeśli przeżyjemy, to nie będziemy się chętnie spotykać. Przykro nam będzie wspominać głód zaćmiewający rozum, parzenie wszy w kociołkach służących do jedzenia, niedające się powstrzymać łgarstwa przy ognisku, zmyślania, rojenia, gastronomiczne baśnie, wzajemne kłótnie i jednakowe u wszystkich sny; wszystkim nam bowiem jawiło się jedno i to samo – przelatujące nad nami, jak jakieś bolidy czy też aniołowie, bochenki żytniego chleba.

Człowiek żyje dzięki właściwej sobie umiejętności zapomnienia. Pamięć zawsze gotowa jest pozbyć się tego, co złe, i zachować tylko to, co dobre. Nie było tego podczas naszego pobytu w krynicy „Duskania"; nie było niczego dobrego przed nami ani poza nami. Północ zatruła nasze życie na zawsze i wszyscyśmy to dobrze rozumieli. Trzech spośród nas zaprzestało opierania się losowi, jedynie Iwan Iwanowicz odznaczał się taką samą tragiczną pilnością pracy jak poprzednio.

Sawieljew próbował utemperować Iwana Iwanowicza w czasie jednej z „przerw na palenie”. „Przerwa na palenie” to najzwyklejsza przerwa na odpoczynek dla niepalących, nie mieliśmy bowiem ani razu machorki, przerwy natomiast były. W tajdze amatorzy palenia zbierali i suszyli liście czarnej porzeczki i prowadzili całe dyskusje, po aresztancku zapalczywe, który z liści bardziej „smakowity” – brusznicy czy czarnej porzeczki. Znawcy uważali, że ani jeden, ani drugi nie jest nic wart, albowiem organizm potrzebuje jadu nikotynowego, a nie zwykłego dymu, i nie można takim prostym sposobem oszukać komórek mózgowych. Ale dla przerw na palenie – „na odpoczynek” taki liść czarnej porzeczki zupełnie dobrze się nadawał, gdyż w łagrze słowo „odpoczynek” w czasie pracy zbyt jaskrawo odbiega od zasadniczych praw produkcyjnej moralności, wpajanych na Dalekiej Północy. Odpoczywać co godzinę to prowokacja i przestępstwo, ale cogodzinna „przerwa na palenie” należy do porządku rzeczy. Tak tutaj, jak i we wszystkim, co działo się na Północy, jawiąca się rzeczywistość nie zgadzała się z zasadami. Suszony liść czarnej porzeczki był oczywistym kamuflażem.

– Posłuchaj, Iwanie – powiedział Sawieljew – opowiem ci jedną historię. W Bamłagu, na „bocznym nasypie”, woziliśmy piasek w taczkach. Odwozić trzeba było daleko, a norma wynosiła dwadzieścia pięć metrów sześciennych. Wywieziesz poniżej tego, to karna norma żywnościowa: trzysta gramów chleba. I zupka „bałanda” jeden raz dziennie. Ten zaś, kto wykona normę, otrzymuje oprócz gorącego pożywienia kilogram chleba, a do tego ma prawo dokupić za własne pieniądze w sklepiku dodatkowy kilogram. Pracowaliśmy parami, a normy były nieprawdopodobne, wobec tego wpadliśmy na taki pomysł: dzisiaj wozimy obaj na twój rachunek, z twojego wyrobiska. Wykonujemy limit. Otrzymujemy dwa kilogramy chleba oraz trzysta gramów mojej karnej normy, dla każdego po kilo sto pięćdziesiąt gramów. Jutro pracujemy na ciebie. A pojutrze znowu na mnie. Przez cały miesiąc tak woziliśmy. Czego jeszcze chcieć od życia? Najważniejsze, że dziesiętnik był swój chłop, bo oczywiście wiedział o tym. Było to dla niego nawet korzystne, ludzie nie słabli, a urobek się nie zmniejszał. Potem jednak ktoś z kierownictwa odkrył tę sztuczkę i nasze szczęście się skończyło.

– No i co, chciałbyś tu spróbować? – spytał Iwan Iwanowicz.

– Ja nie. Całkiem po prostu tobie chcemy pomóc.

– A wy?

– Nam, kochany, już wszystko jedno.

– Mnie również. Niech przychodzi ten starszy.

Starszy, to znaczy dziesiętnik, przyszedł po paru dniach. Sprawdziły się nasze najgorsze obawy.

– No, odpoczęliście, ale przyszła pora i na przyzwoitość. Zróbcie miejsce dla innych. Wasz teren pracy to coś jakby Ozdrowieńczy Punkt czy Ozdrowieńcza Brygada, jakieś OP czy OB – pozwolił sobie na dowcip dziesiętnik.

– Tak – odpowiedział Sawieljew –

OP, OB, wszyscy wiemy:
Znak na nogę i do ziemi!

Pośmieliśmy się trochę dla przyzwoitości.

– No, to kiedy z powrotem?

– Pewnie jutro pójdziemy.

Iwan Iwanowicz o nic więcej nie pytał. Nocą powiesił się na rozwidlonych gałęziach drzewa, dziesięć kroków od naszej chatki. Takiego samobójstwa jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się widzieć. Znalazł go Sawieljew, spostrzegł ze ścieżki i zaczął krzyczeć. Dziesiętnik, podbiegłszy, nie pozwolił go zdejmować do czasu przyjścia „funkcjonariuszy", ponaglając jednocześnie do odejścia.

My obaj z Fiedią Szczapowem zbieraliśmy się bardzo zaambarasowani – Iwan Iwanowicz miał dobre jeszcze, całe onuce, woreczki, ręcznik, perkalową koszulę, z której zdążył już wygotować wszy, ponaprawiane watowe chodaki-burki; na pryczy leżał jeszcze jego waciak. Wszystkie te rzeczy wzięliśmy, po krótkiej naradzie, dla siebie. Sawieljew nie uczestniczył w podziale odzieży umarłego – przez cały czas chodził tylko wokół ciała Iwana Iwanowicza. Martwe ciało „na wolności" zawsze i wszędzie wywołuje jakąś dziwną ciekawość, przyciąga jak magnes. Inaczej jest w łagrze – pospolitość śmierci i stępienie uczuć anulują tę ciekawość względem zwłok.

Śmierć Iwana Iwanowicza rozświetliła w duszy Sawieljewa jakieś nieznane zakątki, dotknęła, poruszyła i naprowadziła na podjęcie jakiejś decyzji. Wszedł do chatki, wziął z kąta siekierę i przekroczył próg. Siedzący na przyzbie dziesiętnik poderwał się i zawrzeszczał niezrozumiale. Obaj z Fiedią wyskoczyliśmy na zewnątrz. Sawieljew podszedł do krótkiej i grubej kłody, na której zawsze piłowaliśmy drewno na opał. Była ona pocięta,

z porąbaną korą. Położył rękę na pień, rozpostarł palce i zamachnął się. Dziesiętnik zaczął przeraźliwie krzyczeć. Fiedia rzucił się do Sawieljewa, ale cztery palce znalazły się w trocinach. Nie było ich nawet widać pomiędzy gałązkami i szczapkami drewna. Szkarłatna krew buchnęła z kikutów. Razem z Fiedią rozerwaliśmy koszulę po Iwanie Iwanowiczu, zrobiliśmy zacisk na ręce i opatrzyliśmy ranę.

Dziesiętnik odprowadził nas do łagru. Sawieljewa – do ambulatorium na opatrunek, a potem do śledczego, aby rozpoczął sprawę o samookaleczenie. Fiedia i ja powróciliśmy do tego samego namiotu, z którego przed dwoma tygodniami wychodziliśmy pełni nadziei na oczekujące nas szczęście.

Nasze górne miejsca na pryczach były już zajęte przez innych, jednakże nie przejmowaliśmy się tym – trwało lato i na dole było chyba lepiej niż na górze. Zanim przyjdzie zima, jeszcze bardzo wiele się zmieni.

Zasnąłem szybko, a przebudziwszy się w nocy, podszedłem do stolika sprzątającego-dyżurnego tej nocy. Przysiadł się tam Fiedia z kawałkiem papieru w ręce. Przez ramię przeczytałem, co on tam nagryzmolił:

„Mamo – pisał Fiedia – mamo, żyje mi się dobrze. Mamo, ubrany jestem zgodnie z porą roku…”

INŻEKTOR

Kierownik odcinka
„Złote źródło”
Kudinow L.W.

Do
Kierownika kopalni
tow. A.C. Korolowa

RAPORT

Zgodnie z Waszym zarządzeniem dotyczącym podania wyjaśnień w związku z sześciogodzinnym przestojem 4. brygady z/k z/k, do którego doszło 12 listopada br. na odcinku „Złote źródło” powierzonej Wam kopalni, donoszę, co następuje: Temperatura powietrza rano wynosiła ponad 50 stopni. Termometr nasz został zniszczony przez dyżurnego nadzorcę, o czym już Wam meldowałem. Jednakże można było określić temperaturę, gdyż plwocina zamarzała w locie.

Brygada została wyprowadzona na czas, ale nie mogła przystąpić do pracy, gdyż przy bojlerze obsługującym nasz odcinek przy rozgrzewaniu gruntu zupełnie odmówił pracy inżektor. O złej pracy inżektora niejednokrotnie powiadamiałem głównego inżyniera, ale nie podejmuje się żadnych środków i inżektor zupełnie się rozregulował. W chwili obecnej główny inżynier nie chce go wymienić.

Zła praca inżektora spowodowała nieprzygotowanie gruntu i trzeba było brygadę trzymać przez kilka godzin bez pracy. Nie ma się u nas gdzie ogrzać, a ognisk rozpalać się nie zezwala. A na odesłanie brygady z powrotem do baraku nie zgadza się konwój.

Pisałem już wszędzie, gdzie tylko można, że z takim inżektorem nie mogę dalej pracować. On już przez pięć dni tak skandalicznie pracował,

a przecież od niego zależy wykonanie planu całego odcinka. Nie możemy sobie z nim poradzić, a główny inżynier nie zwraca na to uwagi i żąda tylko kubików.

Za powyższe
Naczelnik odcinka „Złote źródło”
Inżynier górniczy
L. Kudinow

Na raporcie, na ukos, napisano wyraźnym charakterem pisma:

1. Za odmowę pracy w ciągu pięciu dni, która spowodowała załamanie produkcji i przestoje odcinka, ukarać z/k Inżektora trzydniowym aresztem bez wyprowadzania do pracy, umieszczając go w kompanii o zaostrzonym reżimie. Sprawę przekazać do organów śledczych w celu pociągnięcia z/k Inżektora do przewidzianej przepisami odpowiedzialności.

2. Głównemu inżynierowi Goriewowi zwracam uwagę w związku z brakiem dyscypliny w pracy. Proponuję zamienić z/k Inżektora kimś z wolnego najmu.

Naczelnik kopalni
Aleksander Korolow

APOSTOŁ PAWEŁ

Kiedy wywichnąłem stopę, spadając w szurfie ze śliskich schodków wykonanych z żerdzi, naczalstwo zrozumiało, że będę długo kuleć, a ponieważ nie można było tak siedzieć bez pracy, przeniesiono mnie jako pomocnika do naszego stolarza, Adama Frühsorgera, z czego obaj – i on, i ja – byliśmy bardzo zadowoleni. W swym „pierwszym życiu" Frühsorger był pastorem w jakiejś niemieckiej wsi koło Marksstadtu na Wołdze. Spotkałem się z nim na jednym z większych tranzytowych punktów w czasie tyfusowej kwarantanny i przyjechaliśmy razem tutaj do pracy w oddziale zwiadu węglowego. Frühsorger, podobnie jak ja, zdążył już być w tajdze, zdążył stać się „dochodiagą" i na wpół obłąkany trafił z kopalni na punkt tranzytowy. Odesłano nas do zwiadu węglowego jako inwalidów, w charakterze „obsługi" – kadry pracowników zwiadu kompletowano jedynie wolnymi. Co prawda byli to tylko wczorajsi więźniowie, po niedawno odbytym wyroku, nazywani pogardliwie w łagrze „wolniaszkami". Kiedy jechaliśmy tutaj, pomiędzy czterdziestu ludźmi z ledwością udało się znaleźć dwa ruble na kupno machorki, ale jednak to już nie byli ci nasi. Wszyscy rozumieli, że gdy miną dwa, trzy miesiące, oni także będą mogli się ubrać, wypić, otrzymają dowód osobisty, a może za rok pojadą nawet do domu. Te nadzieje były tym bardziej żywe, że Paramonow, naczelnik zwiadu, obiecał im ogromne zarobki i polarne racje żywnościowe. „Wszyscy pojedziecie do domu w cylindrach" – stale im powtarzał. Natomiast z nami, aresztantami, nie rozpoczynano żadnych rozmów o cylindrach i polarnych racjach żywnościowych.

Zresztą naczelnik nie był w stosunku do nas ordynarny. Do pracy w zwiadzie nie dawano mu więźniów, i tych pięciu ludzi do obsługi – to było wszystko, co Paramonowowi udało się wyprosić.

Kiedy wywołano nas, nieznających się jeszcze wzajemnie, według listy z baraku, i zaprowadzono przed jasne i przenikliwe oczy Paramonowa, ten, po przepytaniu nas, wydał się bardzo zadowolony. Jeden z nas był zdunem – siwowąsy kpiarz z Jarosławia, Izgibin, który nie utracił w łagrze swej

wrodzonej żywości. Jego fach pomagał mu trochę i dlatego nie był tak wycieńczony jak pozostali. Drugim był jednooki olbrzym z Kamieńca Podolskiego – „palacz parowozu”, jak przedstawił się Paramonowowi.

„A więc potrafisz coś zrobić jako ślusarz” – powiedział Paramonow. „Potrafię, potrafię” – potwierdził skwapliwie „palacz”. On szybko zorientował się w korzyści pracy w zwiadzie zatrudniającym wolnych. Trzeci, Riazanow, był agronomem. Zawód ten wprawił Paramonowa w zachwyt. Na porwane łachmany, stanowiące odzież agronoma, nie zwrócił oczywiście żadnej uwagi. W łagrze nie sądzi się ludzi według ich ubioru, a Paramonow dostatecznie dobrze znał łagier. Czwartym byłem ja. Nie byłem ani zdunem, ani ślusarzem, ani agronomem. Ale widocznie Paramonowa uspokoił mój wysoki wzrost, nie warto było zresztą mozolić się z poprawianiem listy z powodu jednego człowieka. Skinął więc głową.

Natomiast nasz piąty zachowywał się bardzo dziwnie. Mamrotał jakieś słowa modlitwy i zakrywał rękami twarz, nie słysząc głosu Paramonowa. Ale i to nie było nowością dla naczelnika. Paramonow obrócił się do dyspozytora, stojącego tuż obok i trzymającego w rękach plik żółtych skoroszytów – tak zwanych „akt personalnych”.

– To stolarz – powiedział dyspozytor, odgadując pytanie Paramonowa.

Przyjmowanie zostało zakończone i odprowadzono nas na teren zwiadu.

Frühsorger opowiedział mi później, że kiedy go wywołano, to pomyślał, że wołają go na rozstrzelanie, tak bardzo go zastraszył śledczy jeszcze na kopalni. Mieszkaliśmy z nim razem przez okrągły rok w jednym baraku i nie zdarzyło się, żebyśmy się pokłócili. Jest to rzadkość w stosunkach pomiędzy aresztantami, zarówno w łagrze, jak i w więzieniu. Kłótnie wynikają z powodu byle głupstwa, wzajemne obrzucanie się wyzwiskami osiąga taki poziom, że dalej to już może być tylko nóż lub w najlepszym wypadku jakiś pogrzebacz. Ja szybko nauczyłem się jednak nie przywiązywać znaczenia do tych tak wyszukanych przekleństw. Gorączka szybko opadała i jeżeli obaj jeszcze przez jakiś czas obrzucali się leniwie wyzwiskami, odbywało się to raczej dla „porządku”, dla zachowania „twarzy”. Ale z Frühsorgerem nie pokłóciłem się ani razu. Myślę, że to jego zasługa, gdyż nie było bardziej od niego zgodnego człowieka. Nikogo nie obrażał i niewiele mówił. Głos miał starczy, drżący, ale w jakiś sztuczny sposób podkreślający jego drżenie. Takim głosem mówią młodzi aktorzy grający w teatrze starców. W łagrze wiele osób stara się (i nie bez powodzenia) uchodzić za starszych i fizycznie słabszych, niż nimi są naprawdę. Wszystko to robi się

nie zawsze świadomie, a jakoś tak instynktownie. Ironia życia zawiera się w tym, że więcej niż połowa z tych, co dodawali sobie lat i jakby się pozbawiali sił, rzeczywiście znalazła się w stanie znacznie gorszym od tego, który miał być na pokaz. Ale w głosie Frühsorgera nie było żadnego udawania. Codziennie, rano i wieczorem, Frühsorger cicho się modlił, odwróciwszy się od wszystkich i utkwiwszy wzrok w podłodze, a jeżeli już brał udział w ogólnych rozmowach, to jedynie na tematy religijne, a więc bardzo rzadko, gdyż aresztanci nie lubią takich tematów. Stary bezwstydnik, miły memu sercu Izgibin, próbował kiedyś pokpić sobie z Frühsorgera, ale jego dowcipy napotykały taki spokojny uśmiech, że wszystek ich ładunek szedł na marne. Cały zwiad lubił Frühsorgera, nawet sam Paramonow, któremu Frühsorger zrobił wspaniałe biurko, przepracowawszy przy nim chyba z pół roku.

Nasze łóżka stały obok siebie, więc często prowadziliśmy rozmowy i czasem Frühsorger, wymachując po dziecinnemu niewielkimi rękami, wyrażał zdziwienie, zetknąwszy się z moją znajomością jakichś popularnych historii ewangelicznych – co w prostocie swej duszy uważał za dostępne jedynie wąskiemu kręgowi religijnych ludzi. Chichotał i cieszył się, kiedy wykazywałem się znajomością tych spraw. I podniesiony na duchu, zaczynał opowiadać mi te miejsca z Ewangelii, których albo nie byłem pewien, albo w ogóle o nich nic nie wiedziałem. Bardzo mu się te rozmowy podobały.

Ale jednego razu, wyliczając imiona dwunastu apostołów, Frühsorger się pomylił. Wymienił imię Pawła Apostoła jako rzeczywistego twórcy religii chrześcijańskiej, jej przywódcy i teoretyka. Znałem trochę biografię świętego Pawła i nie przepuściłem okazji, aby poprawić Frühsorgera.

– Nie, nie – powiedział, śmiejąc się. – Pan nie wie, proszę – i zaczął wyliczać na palcach – Piotr, Paweł, Marek…

Opowiedziałem mu wszystko, co wiedziałem o apostole Pawle. Słuchał mnie uważnie i milczał. Było już późno i należało iść spać. W nocy przebudziłem się i w migoczącym, dymiącym świetle kopciłki ujrzałem otwarte oczy Frühsorgera i usłyszałem jego szept: „Boże, dopomóż mi! Peter, Paul, Markus…” Do rana już nie spał i wcześnie poszedł do pracy. Powrócił późno wieczorem, kiedy już zdążyłem zasnąć. Rozbudził mnie cichy, starczy płacz. Frühsorger modlił się, klęcząc.

– Co z panem? – spytałem, doczekawszy końca modlitwy.

Frühsorger znalazł mą rękę i uścisnął ją.

– Ma pan rację – powiedział. – Pawła nie było w liczbie dwunastu apostołów. Zapomniałem o Bartłomieju.

Milczałem.

– Pan się dziwi moim łzom? – powiedział. – To łzy wstydu. Ja nie mogę, nie powinienem zapominać takich rzeczy. To grzech, to wielki grzech. Mnie, Adamowi Frühsorgerowi, obcy człowiek wytyka niewybaczalny błąd. Nie, nie, pan tu nic nie zawinił – to ja sam, to jest mój grzech. Ale to dobrze, że pan mnie poprawił. Wszystko będzie dobrze.

Ledwo go uspokoiłem i od tej pory (było to krótko przed zwichnięciem stopy) staliśmy się jeszcze większymi przyjaciółmi.

Jednego razu, kiedy w warsztacie stolarskim nikogo nie było, Frühsorger wydobył z kieszeni zatłuszczony notatnik w płóciennej oprawie i przywołał mnie skinieniem ręki do okna.

– Spójrz – powiedział, wyciągając do mnie maleńką połamaną fotografię-„momentówkę”.

Było to zdjęcie młodej kobiety, z jakimś przypadkowym, jak na wszystkich „momentówkach”, wyrazem twarzy. Pożółkła, popękana fotografia była starannie oklejona kolorowym papierkiem.

– To moja córka – powiedział uroczyście Frühsorger. – Moja jedyna córka. Żona już dawno umarła. Córka co prawda do mnie nie pisze, ale pewnie nie zna adresu. Pisałem do niej wiele razy i teraz też piszę. Tylko do niej. Nikomu tej fotografii nie pokazuję. Jeszcze z domu ją mam. Sześć lat temu wziąłem ją z komody.

W drzwiach warsztatu bezszelestnie pojawił się Paramonow.

– Czy to córka? – powiedział, szybko spojrzawszy na zdjęcie.

– Córka, obywatelu naczelniku – odrzekł, uśmiechając się, Frühsorger.

– Pisze?

– Nie.

– Cóż to, zapomniała o starym? Napisz do mnie podanie, aby ją odszukano, wyślę gdzie należy. Jak twoja noga?

– Kuleję, obywatelu naczelniku – odpowiedziałem.

– No, to kulej sobie, kulej – i Paramonow wyszedł.

Od tego czasu, nie kryjąc się już przede mną, Frühsorger po ukończeniu modlitwy i położeniu się do łóżka wyciągał fotografię córki i głaskał jej barwne obramowanie.

I tak żyliśmy spokojnie przez prawie pół roku, aż jednego razu przywieziono pocztę. Paramonowa nie było, gdzieś wyjechał, i pocztę przyjmował

jego sekretarz, więzień Riazanow, który, jak się okazało, wcale nie był agronomem, lecz jakimś tam esperantystą, co mu zresztą nie przeszkadzało w zręcznym zdzieraniu skór z padłych koni, w wyginaniu grubych żelaznych rur po napełnieniu ich piaskiem i rozgrzaniu w ognisku oraz w prowadzeniu kancelarii naczelnika.

– Spójrz no – powiedział do mnie – przysłali jakieś oświadczenie związane z Frühsorgerem.

W pakiecie było oficjalne „pismo” zawierające prośbę o zapoznanie więźnia Frühsorgera (paragraf, wyrok) z podaniem jego córki, którego kopia znajduje się w załączeniu. W podaniu krótko i jednoznacznie napisała, że po przekonaniu się, iż jej ojciec jest wrogiem ludu, wyrzeka się go i prosi, aby uznać jej pokrewieństwo za niebyłe.

Riazanow pokręcił papierek w rękach. „Cóż to za paskudztwo – powiedział. – Po co jej to? Czyżby miała zamiar zapisać się do partii?”

Ja myślałem o czymś innym: po co przesyła się ojcu-aresztantowi takie oświadczenia? Czy jest to swego rodzaju sadyzm, podobny do praktykowanego zwyczaju zawiadamiania krewnych o rzekomej śmierci więźnia, czy też całkiem po prostu pragnienie przeprowadzenia wszystkiego zgodnie z prawem. A może jeszcze coś innego?

– Słuchaj, Waniuszka – powiedziałem Riazanowowi. – Czy już zarejestrowałeś pocztę?

– Skądże, dopiero co nadeszła.

– Daj mi ten pakiet – i opowiedziałem mu, o co chodzi.

– A list? – powiedział niepewnie. – Przecież ona na pewno napisze też do niego.

– To list też zatrzymasz.

– No to bierz.

Zmiąłem pakiet i wrzuciłem go w otwarte drzwiczki palącego się pieca. Po miesiącu przyszedł także list, równie krótki jak podanie. Spaliliśmy go w tym samym piecu.

Wkrótce mnie dokądś wywieziono, a Frühsorger pozostał na miejscu. Nie wiem, jak mu się dalej żyło. Często go wspominałem, dopóki starczało mi na to sił. Słyszałem wówczas jego drżący, pełen przejęcia szept: „Peter, Paul, Markus…”

JAGODY

Fadiejew powiedział: „Poczekajcie no, ja sam z nim pogadam”; podszedł do mnie i postawił kolbę karabinu koło mojej głowy. Leżałem w śniegu, trzymając w objęciach bierwiono, które upuściłem z ramienia, nie mogąc go podnieść i zająć swego miejsca w szeregu schodzących z góry ludzi – u każdego z nich spoczywało na ramieniu podobne bierwiono, „pałka drew”, u jednych większe, u drugich mniejsze. Wszyscy, konwojenci i więźniowie, spieszyli się do domu – wszystkim dał się we znaki niekończący się zimowy dzień. A ja – leżałem w śniegu.

Fadiejew zawsze zwracał się do więźniów per „pan”.

– Słuchaj pan, staruszku – powiedział – to niemożliwe, aby takie chłopisko jak pan nie miało siły nieść takiego polana, prawie kija, można by rzec. Pan jesteś oczywistym symulantem. Pan jesteś faszystą. Podczas gdy ojczyzna zmaga się z wrogiem, pan wtykasz kij w jej szprychy.

– Nie jestem faszystą – odpowiedziałem – jestem chorym i głodnym człowiekiem. To ty jesteś faszystą. Przecież czytasz w gazetach, jak faszyści mordują starych ludzi. Pomyśl tylko, w jaki sposób opowiesz swojej narzeczonej o tym, co robiłeś na Kołymie?

Było mi już wszystko jedno. Nie znosiłem tych rumianolicych, krzepkich, sytych, należycie ubranych… i nie bałem się. Zwinąłem się, chroniąc brzuch, ale był to wrodzony, instynktowny odruch – wcale nie bałem się takich uderzeń. Fadiejew kopnął mnie w plecy. Zrobiło mi się nagle ciepło i zupełnie nie odczułem bólu. Jeżeli umrę – tym lepiej.

– Słuchaj no pan – powiedział Fadiejew, odwróciwszy mnie czubkiem buta twarzą ku niebu – nie jesteś pan pierwszy, z którym pracuję. Widziałem już takie towarzystwo.

Podszedł drugi konwojent, Sieroszapka.

– Ano, pokaż się, zapamiętam ciebie. Jakiś ty zły…

Zaczęło się bicie. A potem, gdy się skończyło:

– Zrozumiałeś?! – warknął Sieroszapka.

– Zrozumiałem. – Podniosłem się, wypluwając krwawą ślinę. Powlokłem bierwiono, ciągnąc je w takt podszczuwania, krzyków i przekleństw kolegów; w czasie gdy mnie bito, oni marzli.

Następnego dnia z rana Sieroszapka wyprowadzał nas do pracy, do wyrąbanego jeszcze w ciągu zeszłej zimy lasu, aby zbierać wszystko, co nadaje się do palenia zimą w żelaznych piecykach. Las rąbano zimą – pozostałe po wyrębie pnie były wysokie. Karczowaliśmy, wydzierając je z ziemi za pomocą dźwigni, piłowaliśmy i składali w sągi.

Na rzadko stojących wokół miejsca naszej pracy drzewach Sieroszapka porozwieszał „wiechy” wiązane z wyschniętej trawy, żółtej i szarej, zakreśliwszy w ten sposób „zakazaną strefę”.

Nasz brygadzista rozniecił dla Sieroszapki ognisko na wzgórku – w czasie pracy jedynie konwojenci mają prawo do ogniska; naściągał również drew na zapas.

Śnieg, który spadł przedtem, wydmuchały wiatry. Zastygła, oszroniona trawa ślizgała się w rękach i zmieniała swą barwę przy dotknięciu ludzkich rąk. Na pagórkach marzł górski głóg; jego ciemnoliliowe, przymrożone jagody miały niezwykły aromat. Jeszcze smaczniejsze od owoców głogu były brusznice, tknięte już mrozem, przejrzałe, szarobłękitne… Na króciutkich, prostych gałązkach zwisały jagody łochyni – jaskrawoniebieskiego koloru, zmarszczone jak pusta sakiewka, ale zawierające w sobie ciemny, niebieskoczarny sok o niewypowiedzianie dobrym smaku.

Jagody tknięte mrozem były zupełnie niepodobne do dojrzałych, soczystych jagód. Smak ich był o wiele bardziej delikatny. Rybakow, mój kolega, zbierał jagody nie tylko w czasie „przerw na palenie” – zbierał do puszki po konserwach – lecz i w chwilach, gdy Sieroszapka patrzył gdzie indziej. Jeżeli Rybakow uzbiera pełną puszkę, to kucharz oddziału strażników da mu chleba. Przedsięwzięcie Rybakowa stawało się od razu ważną sprawą.

Ja nie miałem takich zamówień i sam zjadałem jagody, ostrożnie i chciwie, przyciskając każdą z nich do podniebienia; słodki, aromatyczny sok rozduszonej jagody na moment mnie odurzał.

Nie miałem zamiaru pomagać Rybakowowi w zbiorze, a i on sam nie chciałby tego, bo trzeba by się dzielić chlebem.

Puszka Rybakowa zapełniała się zbyt wolno, jagody pojawiały się coraz rzadziej. Niepostrzeżenie, nie zauważywszy tego, pracując i zbierając jagody, przybliżyliśmy się do granicy „strefy” – wiechy zawisły nad naszymi głowami.

– Uważaj no – powiedziałem do Rybakowa – wracamy.

A z przodu, przed nami, były kępki z owocami głogu, łochyni i bruszniсy… Widzieliśmy je od dawna. Drzewo, na którym wisiała wiecha, powinno by stać dwa metry dalej.

Rybakow wskazał na nienapełnioną jeszcze puszkę, na zniżające się nad horyzontem słońce i z wolna zaczął podchodzić do czarownych jagód.

Sucho szczęknął strzał i Rybakow padł między kępy twarzą w dół. Sieroszapka, wymachując karabinem, wrzeszczał:

– Pozostać na miejscu, nie podchodzić!

Sieroszapka zarepetował i wystrzelił ponownie. Wiedzieliśmy, co znaczy ten drugi wystrzał. Wiedział o tym również Sieroszapka. Powinny być dwa wystrzały, pierwszy zazwyczaj uprzedza.

Rybakow leżał pomiędzy kępami, nagle zmalały. Niebo, góry, rzeka były ogromne, i Bóg jeden wie, ilu ludzi można ułożyć w tych górach na ścieżkach, wśród pagórków.

Puszka Rybakowa stoczyła się daleko, zdążyłem ją podnieść i schować do kieszeni. Być może dadzą mi chleba za jagody – wiem przecież, dla kogo zbierał je Rybakow.

Sieroszapka spokojnie ustawił nasz niewielki oddziałek, przeliczył, wydał komendę i poprowadził do domu. Końcem karabinu szturchnął mnie w ramię – odwróciłem się.

– Miałem ochotę na ciebie – powiedział Sieroszapka – ale nie podlazłeś, swołocz!

SUKA TAMARA

Sukę Tamarę przyprowadził z tajgi nasz kowal, Mojżesz Mojżeszowicz Kuzniecow. Sądząc po nazwisku, zawód jego był zawodem rodzinnym. Mojżesz Mojżeszowicz urodził się w Mińsku i był sierotą, co można było wywnioskować z jego imienia i imienia ojca – u Żydów imię ojca daje się jedynie, ale też koniecznie, dzieciom urodzonym po śmierci ojca. Pracy w kuźni uczył się od małego u swego wuja – takiego samego kowala, jakim był jego ojciec.

Żona Kuzniecowa była kelnerką w jednej z mińskich restauracji. Znacznie młodsza od swego czterdziestoletniego męża, poszła za radą przyjaciółki od serca – bufetowej – i napisała na męża donos. W tamtych latach sposób ten był o wiele pewniejszy niż jakakolwiek zmowa czy pomówienie, bardziej nawet pewny niż jakiś tam kwas siarkowy – mąż, Mojżesz Mojżeszowicz, znikł natychmiast.

Kuzniecow nie był zwykłym kowalem. Pracował w fabryce, był mistrzem – trochę poetą – w swoim zawodzie, z tego rodzaju kowali, którzy potrafili wykuć nawet róże. Narzędzia, którymi pracował, wykonywał własnoręcznie. Narzędzia te – szczypce, dłuta górnicze, młotki, kamieniarskie młoty – odznaczały się niewątpliwą elegancją, ukazując miłość mistrza do swego dzieła i zrozumienie duszy ukrytej w materiale. Nie była to sprawa symetrii czy asymetrii, było to coś głębszego, bardziej intymnego. Każda podkowa, każdy gwóźdź były prawie wytworne, każdy przedmiot wychodzący z jego rąk niósł na sobie odbicie jego mistrzostwa. Pracując nad każdym – rozstawał się z nim z żalem: zdawało mu się, że należałoby uderzyć raz jeszcze, zrobić to lepiej, właściwiej.

Mimo że na potrzeby geologów nie było wiele pracy do wykonania w kuźni, Mojżesz Mojżeszowicz był bardzo ceniony przez kierownictwo. Pozwalał sobie niekiedy na żarty z władzą, ale wybaczano mu to przez wzgląd na jego dobrą pracę. Na przykład przekonał kierownictwo o tym, że świdry lepiej hartują się w maśle niż w wodzie i naczelnik zapotrzebował je dla kuźni; oczywiście w znikomej ilości. Niewiele z tego wrzucał Kuznie-

cow do wody i wtedy koniuszki świdrów uzyskiwały miękki blask, którego zazwyczaj nie miały. Resztę masła Kuzniecow zjadał wspólnie ze swym podręcznym. Wkrótce doniesiono naczelnikowi o tych „kombinacjach" kowala, ale nie pociągnęło to za sobą żadnych represji. Później Kuzniecow, uparcie zapewniając, że „maślane" wiercenie odznacza się wysoką jakością, wyprosił u naczelnika obrzynki nadpleśniałych brył masła ze składu. Obrzynki te przetapiał i otrzymywał gorzkawe nieco, topione masło. Kowal był człowiekiem dobrym i dobrze wszystkim życzył.

Nasz naczelnik obznajmiony był ze wszystkimi „subtelnościami" życia. Podobnie jak Likurg, zatroszczył się o to, aby w jego gospodarstwie w tajdze było dwóch felczerów, dwóch kowali, dwóch dziesiętników, dwóch kucharzy, dwóch buchalterów. Jeden z felczerów leczył, a drugi pracował jako zwykły robotnik i pilnował, czy jego kolega nie dopuszcza się przypadkowo jakiegoś bezprawia. Jeśli felczer niewłaściwie posługiwał się „narkotykami" – różnymi „kodeinkami", „kofeinkami" – zostawał zdemaskowany, ukarany i wysłany do zwykłej roboty, a jego kolega po ułożeniu i podpisaniu aktu przejęcia wprowadzał się do lekarskiego namiotu. Zgodnie z koncepcją naczelnika, rezerwowe kadry specjalistów nie tylko zapewniały zmianę w odpowiednim czasie, ale również sprzyjały utrzymaniu dyscypliny, która oczywiście od razu by upadła, gdyby choć jeden specjalista poczuł, że jest nie do zastąpienia.

Lecz buchalterzy, felczerzy i dziesiętnicy zamieniali się miejscami zupełnie bezmyślnie, a już w żadnym razie nie odmawiali stopki spirytusu, nawet gdy częstował nim prowokator.

Kowalowi dobranemu przez naczelnika w charakterze „przeciwwagi" Mojżesza Mojżeszowicza nie dane jednak było chwycić za młot. Mojżesz Mojżeszowicz był bez zarzutu, na niczym nie można było go przyłapać, a przy tym posiadał wysokie kwalifikacje.

On właśnie natknął się na ścieżce w tajdze na nieznanego mu jakuckiego psa, podobnego do wilka; była to suka z pasmem wytartej sierści na piersiach, a więc pies pociągowy.

Wokół nie było żadnej osady ani też żadnego jakuckiego koczowiska – pies pojawił się nagle na ścieżce, porażając strachem Kuzniecowa. Mojżesz Mojżeszowicz pomyślał, że to wilk, i pobiegł z powrotem, tupiąc butami po ścieżce – za Kuzniecowem szli inni ludzie.

Lecz wilk położył się na brzuchu i kręcąc ogonem, zaczął pełznąć w ich kierunku. Pogłaskali go, poklepali po wychudłych bokach i nakarmili.

Pies pozostał u nas. Wkrótce stało się jasne, dlaczego nie odważył się szukać swych prawowitych właścicieli. Suka miała się szczenić – jeszcze tego samego wieczoru poczęła spiesznie wygrzebywać jamę pod namiotem, odrywając się tylko na dźwięk ludzkiego głosu. Każdemu z pięćdziesięciu chciało się ją pogłaskać, przytulić, opowiedzieć i przekazać swą tęsknotę za czułością.

Sam Kasajew, prowadzący prace trzydziestoletni geolog, obchodzący niedawno dziesięciolecie pracy na Dalekiej Północy, wyszedł – i nie przestając brzdąkać na swej nieodłącznej gitarze – obejrzał naszego nowego współmieszkańca.

– Niech się nazywa Bojec – powiedział.

– To suka, Walentynie Iwanowiczu – radośnie oznajmił Sławek Ganuszewicz, kucharz.

– Suka? Ach tak. No to niech się wabi Tamara. – I Kasajew oddalił się.

Pies jakby uśmiechnął się w ślad za nim i pomachał ogonem. Tamara szybko nawiązała stosunki ze wszystkimi potrzebnymi jej ludźmi. Rozumiała rolę, jaką odgrywają w naszej osadzie Kasajew i dziesiętnik Wasylenko, pojmowała ważność przyjaźni z kucharzem. Na noc kładła się obok stróża nocnego.

Szybko się wyjaśniło, że Tamara bierze jedzenie tylko z rąk i że niczego nie rusza ani w kuchni, ani w namiocie, czy są tam ludzie, czy też ich nie ma.

Ten twardy charakter specjalnie rozczulał mieszkańców osady, którzy wiele widzieli i bywali w wielu sytuacjach.

Kładziono przed Tamarą na podłodze mięso konserwowe i chleb z masłem. Suka obwąchiwała te zapasy żywności, ale wybierała i unosiła zawsze to samo – kawałek solonego syberyjskiego łososia – to, co było jej najbliższe, najsmaczniejsze i na pewno bezpieczne.

Wkrótce suka oszczeniła się – w ciemnej jamie pojawiło się sześć maleńkich szczeniąt. Zrobiono im budę i przeniesiono je tam. Tamara długo niepokoiła się, łasiła, kręciła ogonem, ale widać wszystko było w porządku, szczeniaki były całe.

W tym czasie zwiad geologiczny musiał przenieść się około trzech kilometrów w góry; od bazy, w której znajdowały się składy, kuchnia, kierownictwo, dzieliło nas około siedmiu kilometrów. Budę ze szczeniętami przeniesiono na nowe miejsce i Tamara dwa, trzy razy dziennie biegała do kucharza, po czym taszczyła szczeniakom jakąś ofiarowaną przez niego

kość. Szczenięta i tak by nakarmiono, ale Tamara nigdy nie była tego pewna.

Zdarzyło się, że do naszej osady przybył oddział narciarzy „operatywki”, myszkujących po tajdze w poszukiwaniu uciekinierów. Ucieczka w czasie zimy to niesłychanie rzadkie wydarzenie, ale doszły wiadomości, że z sąsiedniej kopalni uciekło pięciu więźniów, w związku z czym „przeczesywano” tajgę.

Oddziałowi narciarzy oddano do dyspozycji jedyną w naszej osadzie budowlę z bierwion – łaźnię, a nie namiot podobny do takich, w jakich my mieszkaliśmy. Zbyt poważna była misja narciarzy, aby przeciwko temu protestować – wyjaśnił nam to prowadzący roboty Kasajew.

Stosunek mieszkańców do nieproszonych gości był obojętnie pokorny. Jedna tylko istota okazała z tego powodu swe ostre niezadowolenie.

Suka Tamara, milcząc, rzuciła się na najbliższego strażnika i przegryzła mu jeden z walonków. Sierść się na niej zjeżyła, a w oczach pojawiła się nieposkromiona wściekłość. Z trudem psa odegnano i powstrzymano.

Naczelnik „grupy operacyjnej” Nazarow, o którym już wcześniej co nieco słyszeliśmy, chwycił za automat, żeby zastrzelić psa, ale Kasajew przytrzymał go za rękę i wciągnął za sobą do łaźni.

Za radą cieśli Siemiona Parmienowa nałożono Tamarze sznurkową obrożę i przywiązano do drzewa – przecież ci z grupy operacyjnej nie będą tu mieszkać wiecznie.

Jak każdy jakucki pies, Tamara nie umiała szczekać. Warczała, starając się przegryźć starymi kłami sznur; nie był to już ten sam spokojny pies, który przeżył z nami zimę. Jej nienawiść była niezwykła, a spoza niej wyzierała przeszłość; nie po raz pierwszy pies spotkał się z „konwojentami” – każdy to widział.

Jakaż to leśna tragedia utkwiła na zawsze w psiej pamięci? Czyżby ta straszna przeszłość stała się przyczyną pojawienia się jakuckiej suki w sąsiadującej z osadą tajdze?

Przypuszczalnie mógł coś na ten temat powiedzieć Nazarow. Jeśli pamiętał ludzi, to chyba i zwierzęta. Po pięciu dniach trzej narciarze odeszli, a Nazarow wraz z przyjacielem i naszym kierownikiem zbierali się wyruszyć nazajutrz. Przez całą noc pili, o świcie poprawili i poszli.

Tamara zawarczała i Nazarow zawrócił. Zdjął z ramienia automat i z bliska wypuścił w psa całą serię. Tamara szarpnęła się i zamilkła. Na dźwięk

strzałów biegli już z namiotów ludzie, chwytając topory i łomy. Kierownik rzucił się naprzeciw robotnikom, a Nazarow zniknął w lesie.

Niekiedy życzenia się spełniają, a – być może – nienawiść tych pięćdziesięciu była tak żywiołowa i silna, że stała się realną mocą i dogoniła Nazarowa.

Nazarow uciekł na nartach razem ze swoim pomocnikiem. Nie poszli korytem zamarzniętej do dna rzeki – najlepszą zimową drogą do dużej szosy, odległej o dwadzieścia kilometrów od naszej osady – lecz górami przez przełęcz. Nazarow obawiał się pościgu. Był doskonałym narciarzem, a droga przez góry była bliższa.

Ściemniało się już, gdy osiągnęli przełęcz; tylko na wierzchołkach gór utrzymywał się jeszcze dzień, natomiast zagłębienia wąwozów były ciemne. Nazarow zaczął zjeżdżać. Na zboczu las gęstniał i Nazarow zrozumiał, że powinien się zatrzymać, ale narty niosły go w dół, aż wleciał na ukryty pod śniegiem, długi, wygładzony na ostro przez czas, powalony pień modrzewia. Pień rozpruł brzuch Nazarowa i przebił plecy, rozrywając szynel. Drugi strażnik był już daleko w dole; na nartach dobrnął do szosy i dopiero nazajutrz wszczął alarm. Nazarowa odnaleziono po dwóch dniach; wisiał na owym pniu zesztywniały, zastygły w ruchu, podobny do postaci z panoramy batalistycznej.

Z Tamary zdjęto skórę i rozciągnięto na gwoździach wbitych w ścianę stajni. Rozciągnięto jednak źle – wyschnięta skóra skurczyła się tak, że nie sposób było pomyśleć, iż był to kiedyś duży jakucki pies pociągowy.

Niedługo potem przyjechał leśniczy, aby wypełnić dokumenty związane z nieprawidłowym wyrębem lasu. Kiedy powalaliśmy drzewa, nikt nie myślał o wysokości pozostawianych pni; okazały się one wyższe, niż zezwalała norma – konieczna była dodatkowa praca.

Sprawa okazała się jednak łatwa. Leśniczemu umożliwiono zakup czegoś tam w sklepiku, dano pieniądze i spirytus. Odjeżdżając, leśniczy wyprosił jeszcze wiszącą na stajni skórę psa – wyprawi ją i uszyje północne „psie rękawice”, futrem na wierzch. Dziury po kulach nie miały według niego żadnego znaczenia.

SHERRY BRANDY

Poeta umierał. Wielkie, spuchnięte od głodu kiście rąk z białymi, bezkrwistymi palcami i brudnymi paznokciami, które poodrastały w kształcie rurek, spoczywały na piersiach, nie kryjąc się przed chłodem. Przedtem chował je za pazuchę, na gołe ciało, lecz teraz było tam zbyt mało ciepła. Rękawice skradziono mu już dawno – do tego potrzeba było jedynie bezczelności – kradziono więc w biały dzień. Zmatowiałe elektryczne słońce, opaskudzone przez muchy i zakute w okrągłą kratkę, umocowane było wysoko pod sufitem. Światło padało na nogi poety – a on leżał jak w pudle, w ciemnej głębi dolnego rzędu piętrowych nar. Od czasu do czasu palce jego rąk poruszały się, wydając suchy dźwięk, jak kastaniety, i obmacywały guzik, pętelkę, wgłębienie na buszłacie, strzepywały jakieś śmieci i ponownie nieruchomiały. Poeta tak długo umierał, że już przestał rozumieć, iż rzeczywiście umiera. Niekiedy pojawiała się, boleśnie i prawie dotykalnie przenikająca jego mózg, jakaś silna i prosta myśl – że ukradziono mu chleb, który położył pod głową. I było to takie okropne, oblewające żarem, że gotów był się kłócić, bić, przeklinać, szukać, udowadniać. Ale nie miał na to już sił i myśl o chlebie stawała się słabsza… I od razu zaczynał myśleć o czymś innym – o tym, że wszystkich powinni wywieźć gdzieś za morze, a statek z jakiegoś tam powodu spóźnia się, i jak to dobrze, że on jest tutaj. Podobnie łatwo i niepewnie zaczynał myśleć o wielkim znamieniu na twarzy sprzątającego w baraku. Przez większą część doby rozmyślał o tych wydarzeniach, które wypełniały tutaj jego życie. Przywidzenia, które pojawiały się przed jego oczami, nie były obrazami dzieciństwa, młodości, sukcesów. Przez całe życie gdzieś się spieszył. To wspaniale, że nie trzeba się spieszyć, że można myśleć powoli. I nie spiesząc się, myślał o wielkiej jednolitości przedśmiertnych ruchów – o tym, co zrozumieli i opisali lekarze – wcześniej, niż zrobili to artyści i poeci. Twarz Hipokratesa – to przedśmiertna maska człowieka, znana każdemu studentowi wydziału lekarskiego. Ta zagadkowa jednolitość przedśmiertnych ruchów posłużyła Freudowi za powód do tworzenia najśmielszych hipotez. Jednolitość i powta-

rzalność – to niezbędne ugruntowanie nauki. Tego, co jest w śmierci niepowtarzalne, poszukiwali nie lekarze, lecz poeci. Przyjemna była świadomość, że jeszcze potrafi myśleć. Głodowe nudności stały się już od dawna czymś zwykłym. I wszystko było dlań jednakowo ważne – Hipokrates, sprzątający ze znamieniem na twarzy i jego własny brudny paznokieć. Życie powracało do niego, to znów uchodziło, i wtedy umierał. Ale życie zjawiało się znowu, oczy się otwierały, pojawiały się myśli. Jedynie nie pojawiały się pragnienia. On już od dawna żył w tym świecie, gdzie często trzeba było przywracać ludziom życie – sztucznym oddychaniem, za pomocą glukozy, kamfory czy kofeiny. Martwy znów stawał się żywym. A dlaczegóż by nie? On wierzył w nieśmiertelność, w prawdziwą ludzką nieśmiertelność. Często myślał o tym, że całkiem po prostu nie ma żadnych biologicznych przyczyn, z powodu których człowiek nie miałby żyć wiecznie… Starość – to tylko uleczalna choroba, i gdyby nie to, do tej chwili niewyjaśnione, tragiczne nieporozumienie – to on sam mógłby żyć wiecznie. Albo do tego momentu, aż się zmęczy. On wcale nie zmęczył się życiem. Nawet teraz, w tym etapowym baraku, w tej „tranzytce”, jak czule wymawiali to słowo tutejsi mieszkańcy. To był przedsionek zgrozy i rozpaczy, ale w nim samym niczego takiego nie było. Przeciwnie, panował tu duch wolności, i wszyscy to czuli. Przed nimi był łagier, a poza nimi – więzienie. To był „pokój na drogę” i poeta rozumiał to.

Istniała jeszcze jedna droga do nieśmiertelności – Tiutczewa:

Szczęśliwy, kto odwiedził świat,
Gdy losy jego się ważyły.

Ale jeśli już, jak widać, nie uda mu się być nieśmiertelnym, zachowując ludzką postać, jako ktoś fizycznie istniejący, to na nieśmiertelność jako twórca zasłużył na pewno. Nazywano go największym rosyjskim poetą dwudziestego wieku i on często myślał, że tak jest naprawdę. Wierzył w nieśmiertelność swych wierszy. Nie miał swoich uczniów, ale czy poeci mogą ich ścierpieć? Pisał również prozę – słabą, pisał także artykuły. Ale, jak zawsze mu się wydawało, jedynie w wierszach odkrył coś nowego i ważnego dla poezji. Całe jego przeszłe życie było literaturą, książką, baśnią, snem i tylko dzień powszedni był prawdziwym życiem.

Myślało mu się o tym wszystkim bez jakichś wewnętrznych sprzeciwów, odbywało się to samo z siebie, gdzieś głęboko w nim utajone. Rozmyślania

te pozbawione były pasji. Już dawno owładnęła nim obojętność. Jakie to wszystko było nieważne, jakaś „mysia krzątanina” w porównaniu z niedobrym ciężarem życia. Sam się sobie dziwił – jak on może tak myśleć o wierszach, kiedy wszystko zostało już zdecydowane, i on o tym wiedział bardzo dobrze, lepiej niż ktokolwiek. I któż to by mógł być? Komu on tu jest potrzebny i kto się może z nim równać? Po co więc należało to zrozumieć i po co on czekał… i zrozumiał.

W tych chwilach, kiedy życie z powrotem pojawiało się w jego ciele i jego na wpół otwarte, zmętniałe oczy zaczynały nagle widzieć, powieki zaczynały drżeć, a palce się poruszać – powracały również myśli i nie wydawało mu się, że są to już myśli ostatnie.

Życie pojawiało się samo, jak pełnoprawny władca; nie przywoływał go, a mimo wszystko wnikało w jego ciało, w jego mózg, przepełniało go podobnie jak wiersze, jak natchnienie. I znaczenie tego słowa po raz pierwszy ujawniło się przed nim w pełni. Wiersze były tą życiodajną siłą, dzięki której on żył. To właśnie tak było. On nie żył dla wierszy, on żył wierszami.

Teraz było to tak oczywiste, tak dotkliwie jasne, że natchnienie to właśnie było życie: przed śmiercią dane mu było poznać, że życie było natchnieniem, właśnie natchnieniem.

I cieszył się z poznania tej ostatniej prawdy.

Wszystko, cały świat równał się wierszom – praca, odgłosy końskich kopyt, dom, ptaki, skała, miłość – całe życie układało się w wiersze i wygodnie tam bytowało. I tak powinno być, gdyż wiersze były słowem.

Strofy wierszy i teraz powstawały z łatwością, jedna za drugą, i jakkolwiek od dawna już nie zapisywał ich i nie mógł zresztą tego robić, to słowa pojawiały się łatwo w jakimś zadanym i za każdym razem niezwykłym rytmie. A rym był czujnikiem, magnetycznym narzędziem odnajdywania słów i pojęć. Każde słowo było częścią świata, odpowiadało na wezwanie rymu, i cały świat przelatywał z prędkością właściwą elektronicznej maszynie. Wszystko krzyczało – weź mnie. Nie, to mnie! Niczego nie trzeba było szukać. Jedynie odrzucać. Jakby dwaj ludzie tu istnieli – jeden, który tworzy, włączywszy pełne obroty, i drugi, który wybiera i od czasu do czasu zatrzymuje rozpędzoną maszynę. I ujrzawszy w sobie dwóch ludzi, poeta pojął, że właśnie teraz tworzy prawdziwe wiersze. Cóż z tego, że niezapisane? Zapisać, wydrukować – wszystko to marność nad marnościami. To, co najlepsze – to bezinteresowne. Najlepsze jest to, co nie zostało zapisane, co powstało i znikło, roztopiło się bez śladu, i tylko odczucie twórczej pracy,

której nie sposób z niczym pomylić, dowodzi, że powstał wiersz, że powstało piękno. A może się myli? Czy jego twórcza radość nie niesie w sobie błędu?

Przypomniał sobie, jakie słabe, jak poetycko bezradne były ostatnie wiersze Błoka, i jak Błok tego, zdaje się, nie rozumiał.

Poeta zmusił się do powstrzymania tego nawału myśli. Było to łatwiej zrobić tu niż gdzieś w Leningradzie czy Moskwie.

Połapał się naraz w tym, że przecież już od dawna o niczym nie myśli. Życie uchodziło z niego ponownie.

Przez długie godziny leżał nieruchomo i nagle ujrzał w pobliżu siebie coś w rodzaju tarczy strzelniczej czy też mapy geologicznej. Mapa była niema i on na próżno starał się zrozumieć, co ona przedstawia. Minęło wiele czasu, zanim się zorientował, że to – jego własne palce. Na ich koniuszkach pozostały jeszcze brązowe ślady dopalanych, wysysanych do końca machorkowych papierosów – na opuszkach wydzielały się wyraźnie linie papilarne, jakby odwzorowanie górskiego reliefu. Rysunek ich był jednakowy na wszystkich dziesięciu palcach – koncentryczne kręgi podobne do słojów ściętego drzewa. Przypomniał sobie, jak jednego razu, w dzieciństwie, zatrzymał go na bulwarze Chińczyk z pralni znajdującej się w suterenach domu, w którym wyrósł. Chińczyk przypadkiem chwycił go za rękę, potem za drugą, obrócił dłonie do góry i coś w podnieceniu zawołał w swoim języku. Okazało się, że uznał go za szczęściarza, naznaczonego przez los. O tym znamieniu szczęścia poeta przypominał sobie wielokrotnie, zwłaszcza wtedy, kiedy wydrukował swoją pierwszą książkę. A teraz wspominał Chińczyka bez złości i bez ironii – było mu wszystko jedno.

Najważniejsze, że jeszcze nie umarł. A przy tym, co to znaczy: umarł jak poeta? W takiej śmierci powinno być coś dziecięco naiwnego. Albo coś rozmyślnie teatralnego – jak u Jesienina czy Majakowskiego.

Umarł jak aktor – to jeszcze da się zrozumieć. Ale umarł jak poeta? Tak, on domyślał się czegoś, co było przed nim. Na punkcie tranzytowym zdążył wiele zrozumieć i odgadnąć. I cieszył się, spokojnie cieszył się z własnej bezsilności, mając nadzieję, że umrze. Przypomniał sobie dawny już więzienny spór, co jest gorsze, straszniejsze – łagier czy więzienie – nikt niczego naprawdę nie wiedział, argumenty były wydumane. Przypomniał sobie również, jak okrutnie uśmiechał się przywieziony do tego więzienia człowiek z łagru. Zapamiętał ten uśmiech na zawsze, tak, że bał się o nim wspominać.

Pomyślcie, jeśli teraz umrze, jak sprytnie ich oszuka – tych, co go tu przywiedli na całe dziesięć lat. Przed kilkoma laty był na zesłaniu i wiedział, że umieszczono go na specjalnej liście, na zawsze. Na zawsze? Skala odniesień została przemieszczona i słowa utraciły swój sens.

Ponownie poczuł rozpoczynający się przypływ sił, tak właśnie jak w morzu. Wielogodzinny przypływ. A potem – odpływ. Ale morze nie odchodzi przecież od nas na zawsze. Jeszcze wyzdrowieje.

Nagle zachciało mu się jeść, ale nie miał sił, aby się poruszyć. Powoli i z trudem przypomniał sobie, że oddał dzisiejszą miskę zupy swojemu sąsiadowi, że jedynym jego pożywieniem w ciągu ostatniego dnia był kubek gorącej wody. Oczywiście oprócz chleba. Ale chleb wydawano dawno temu, bardzo dawno. A wczorajszy – ukradli. Ktoś jeszcze miał dość siły, aby móc ukraść.

Leżał tak, lekki i bez czucia, aż nastąpił ranek. Elektryczne światło trochę zżółkło i przyniesiono chleb na dużych tacach z dykty, tak jak każdego dnia.

Ale on już się nie denerwował, nie wypatrywał piętki, nie płakał, jeśli trafiła się innemu; nie wpychał do ust drżącymi palcami „doważonego” kawałka, który natychmiast topniał w ustach, nozdrza rozszerzały się i całe jestestwo przenikał smak i zapach świeżego, żytniego chleba. A w ustach nie było już tego kawałeczka chleba, chociaż nie zdążył go przełknąć ani też poruszyć szczękami. Kawałek chleba roztopił się, znikł i to było jak cud, jak wiele z tutejszych cudów. Nie, teraz już się nie denerwował. Kiedy jednak włożyli mu do ręki jego dobową porcję, otoczył ją bezkrwistymi palcami i przycisnął chleb do ust. Gryzł go nadwerężonymi przez szkorbut zębami, dziąsła krwawiły, zęby chwiały się, ale on nie odczuwał bólu. Z całych sił przyciskał chleb do ust, wpychał go, ssał, szarpał i gryzł…

Sąsiedzi powstrzymywali go:

– Nie jedz wszystkiego na raz, potem zjesz, potem…

I poeta zrozumiał. Nie wypuszczając okrwawionego chleba z brudnych sinawych palców, szeroko otworzył oczy.

– Kiedy potem? – powiedział wyraźnie i jasno. I zamknął oczy.

Umarł pod wieczór.

Ale „spisali” go w dwa dni później – przez dwie doby udawało się pomysłowym sąsiadom otrzymywać chleb za zmarłego; podnosił on rękę jak marionetka. Tak więc umarł przed oficjalną datą swej śmierci – wcale znaczący szczegół dla jego przyszłych biografów.

DZIECINNE OBRAZKI

Wyganiano nas do pracy, nie posługując się żadnymi spisami, odliczając jedynie piątki przy przechodzeniu przez bramę. Ustawiano nas zawsze piątkami, gdyż biegle posługiwać się tabliczką mnożenia potrafiło bardzo niewielu konwojentów. Jakiekolwiek działanie arytmetyczne, wykonywane na mrozie, a przy tym na żywym materiale, to sprawa poważna. Miara aresztanckiej cierpliwości może się nagle przebrać i naczalstwo brało to pod uwagę.

Dzisiaj mieliśmy lekką pracę, błatną – piłowanie drzewa na tarczowej pile. Piła wirowała, leciutko postukując w stojaku. Zwalaliśmy na nią ogromne bierwiono i z wolna posuwaliśmy je w kierunku piły. Piła wydawała jękliwy głos i zaczynała wściekle warczeć – jej, podobnie jak i nam, nie podobała się praca na Północy, ale przesuwaliśmy pień wciąż do przodu, aż rozpadał się na dwie części, dwa nieoczekiwanie lekkie kawałki.

Trzeci nasz towarzysz rozłupywał drwa ciężkim niebieskawym toporem, osadzonym na długim, żółtym stylisku. Grubsze kloce rozkuwał, zaczynając od brzegu, a te cieńsze – rozrąbywał jednym uderzeniem. Uderzenia były słabe – nasz kolega był tak samo głodny jak i my, ale przemarznięty modrzew rozłupuje się łatwo. Przyroda na Północy wcale nie jest pozbawiona charakteru – jest w zmowie z tymi, co nas tu przysłali.

Skończyliśmy pracę, poukładali drwa i zaczęliśmy czekać na konwój. Wprawdzie nasz konwojent był na miejscu, grzał się w tym biurze, dla którego piłowaliśmy drzewo, ale do domu należało wracać w pełnej paradzie, całą grupą, która rozdzieliła się w mieście na mniejsze.

Po ukończeniu pracy nie poszliśmy się grzać. Już dawno zauważyliśmy wielką kupę śmieci w pobliżu płotu – rzecz, którą nie można wzgardzić. Obydwaj moi towarzysze zręcznie, utartym sposobem zbadali śmietnik, zdejmując zlodowaciałe warstwy jedna za drugą. Zdobycz ich stanowiły kawałki przemrożonego chleba, zamarznięta bryłka kotletów i porwane męskie skarpety. Najcenniejszym znaleziskiem były oczywiście skarpety i żałowałem, że nie przypadły mi one w udziale. Skarpety, szaliki, rękawice,

koszule, „wolne” spodnie – „cywilne” – to wszystko stanowi wielką wartość dla ludzi noszących przez całe dziesięciolecia państwową odzież. Skarpety można było pocerować, załatać – i jest tytoń, i jest chleb.

Powodzenie kolegów nie dawało mi spokoju. Również zacząłem odłamywać za pomocą rąk i nóg różnokolorowe kawałki zlodowaciałej kupy śmieci; odsunąwszy jakąś szmatę, podobną do ludzkich kiszek, ujrzałem po raz pierwszy od wielu lat – uczniowski zeszyt.

Był to zwykły szkolny zeszyt, dziecinny zeszyt do rysunków.

Wszystkie jego stronice były zamalowane farbami, starannie i pracowicie. Przewracałem kruchy od mrozu papier, zaszronione, jaskrawe i zimne, naiwne stronice. Ja też kiedyś rysowałem – jakże to było dawno – usadowiwszy się koło siedmioliniowej naftowej lampy na obiadowym stole. Pod dotykiem czarodziejskich pędzelków ożywał martwy bohater z bajki, jakby spryskany ożywiającą wodą.

Akwarelowe farby, podobne do damskich guzików, leżały w białym blaszanym pudełku. Iwan-carewicz galopował przez jodłowy las na szarym wilku. Choinki były mniejsze od wilka. Carewicz siedział na wilku tak, jak Ewenkowie jeżdżą na reniferach, dotykając prawie piętami mchu. Dym unosił się spiralą do góry, a na granatowym gwiaździstym niebie majaczyły jakieś ptaszki, przypominające urzędnicze znaczki.

I czym wyraźniej wspominałem swoje dzieciństwo, tym bardziej stawało się jasne, że już się ono nie powtórzy, że nawet nie natknę się na jego cień w cudzym dziecięcym zeszycie.

A był to groźny zeszyt.

Północne miasta budowano z drewna, płoty i ściany domów malowano jasną ochrą i pędzel młodego artysty uczciwie powtarzał tę barwę wszędzie tam, gdzie chłopczyk chciał mówić o zabudowaniach ulic, o dziele ludzkich rąk.

W zeszycie było bardzo, bardzo wiele płotów. Prawie na każdym rysunku równe, żółte płoty, zwieńczone czarnymi liniami drutów kolczastych, otaczały ludzi i domy. Żelazne nici wykonane według państwowego wzorca pokrywały wszystkie płoty w dziecięcym zeszycie.

Koło płotów stali ludzie. Ci ludzie z zeszytu nie byli ani chłopami, ani robotnikami, ani myśliwymi – byli to żołnierze, konwojenci i wartownicy z karabinami. Podobne do grzybów, chroniące przed deszczem budki stały u stóp ogromnych wieży strażniczych. A na wieżach chodzili żołnierze, rozbłyskiwały lufy karabinów.

Zeszycik był niewielki, ale chłopczyk zdołał namalować w nim wszystkie pory roku w swoim rodzinnym mieście.

Jaskrawa ziemia, jednostajnie zielona, jak na obrazach wczesnego Matisse’a, i sine, sine niebo, świeże, czyste i jasne. Zachody i wschody słońca były solidnie purpurowe, i nie wynikało to z dziecięcej nieumiejętności znajdowania półtonów, barwnych przejść czy odkrywania sekretów światłocienia. Nie było też sztuką według recepty Gauguina, zalecającego malować wszystko to, co wywołuje wrażenie zieleni, najmocniejszym kolorem.

Zestawienie barw w szkolnym zeszycie bardzo prawdziwie oddawało koloryt nieba na Dalekiej Północy, niezwykle czysty i jasny, bez półtonów.

Przypomniałem sobie starą północną legendę o Bogu, który był jeszcze dzieckiem, gdy stwarzał Tajgę. Barw było w niej niewiele, ale były one po dziecinnemu czyste, rysunek prosty i jasny, a tematy niewyszukane.

Później, kiedy Bóg wyrósł i stał się dorosłym, nauczył się wycinać dziwaczne wzory liści, wymyślił mnóstwo postaci różnobarwnych ptaków. Dziecięcy świat sprzykrzył mu się jednak i zasypawszy śniegiem swoje tajgowe dzieło, odszedł na południe. Tak mówiła legenda.

I w zimowych rysunkach dzieciak także nie rozminął się z prawdą. Drzewa były czarne i nagie. To były daurskie modrzewie, a nie sosny i choiny z mojego dzieciństwa.

Odbywało się północne polowanie: szczerzący zęby owczarek niemiecki napinał smycz, którą trzymał w ręku Iwan-carewicz. Był on w czapce uszance wojskowego kroju, w białym półkożuszku z owczej skóry i długich rękawicach – „kragach”, jak je zwą na Północy. Na plecach Iwana-carewicza zwisał automat. W śniegu tkwiły nagie drzewa o kształcie trójkąta.

Dzieciak niczego nie zobaczył ani nie zapamiętał oprócz żółtych domów, drutu kolczastego, wieżyczek strażniczych, owczarków niemieckich, konwojentów z automatami i sinego, sinego nieba.

Mój towarzysz zaglądnął do zeszytu i pomacał kartki.

– Lepiej byś gazety poszukał na palenie. – Wyrwał mi z rąk zeszyt, zgniótł go i rzucił z powrotem na kupę śmieci. Zeszyt zaczął pokrywać się szronem.

SKONDENSOWANE MLEKO

Z głodu nasza zawiść, podobnie jak wszystkie inne uczucia, była tępa i bezsilna. Brakowało nam na nie siły, na to, żeby poszukać sobie łatwiejszej pracy, żeby chodzić, pytać, prosić… Zazdrościliśmy tylko znajomym, tym, z którymi razem zjawiliśmy się w tym świecie, tym, którym udało się trafić do pracy w biurze, w szpitalu, w stajni – nie było tam wielogodzinnej, ciężkiej, fizycznej pracy, wysławianej na frontonach wszystkich wrót, że jest to sprawa dzielności i bohaterstwa. Słowem – zazdrościliśmy tylko Szestakowowi.

Jedynie coś z zewnątrz mogło odmienić nasze zobojętnienie, odwieść od zbliżającej się z wolna śmierci. To musiałaby być zewnętrzna, a nie wewnętrzna siła. Wewnątrz wszystko się wypaliło, została pustka, było nam wszystko jedno, i poza jutrzejszy dzień nie planowaliśmy niczego.

Tak było i teraz – chciało mi się pójść do baraku, lec na nary, a tymczasem sterczałem u drzwi sklepiku z żywnością. Mogli w nim kupować tylko skazani za przestępstwa „pospolite”, a także zaliczeni do „przyjaciół ludu” złodzieje-recydywiści. Nie mieliśmy tam co robić, ale nie sposób było oderwać oczu od chlebnych bochenków koloru czekolady; słodki i ciężki zapach świeżego chleba drażnił nasze nozdrza – aż w głowie się od tego kręciło. A ja stałem, nie wiedząc, kiedy znajdę w sobie dość siły, aby odejść do baraku, i patrzałem na ten chleb. Wtedy właśnie zawołał mnie Szestakow.

Znałem go jeszcze z „Wielkiej Ziemi”, z więzienia na Butyrkach; siedziałem z nim w jednej celi. Nie było między nami przyjaźni, całkiem po prostu zwykła znajomość. W kopalni Szestakow nie pracował na przodku. Był inżynierem, geologiem, więc wzięli go do pracy w zwiadzie geologicznym, czyli do biura. Szczęśliwiec, ledwie raczył się witać ze swymi znajomymi z Moskwy. Nie obrażaliśmy się – nie wiadomo, co mogli mu rozkazać w tym względzie. Własna koszula bliższa ciału itd.

– Zapal – powiedział Szestakow i podał mi kawałek oderwanej gazety, nasypał machorki, zapalił zapałkę, prawdziwą zapałkę…

Zapaliłem.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział.

– Ze mną?

– Tak.

Odeszliśmy za baraki i usiedli na skraju starego wykopu. Moje nogi od razu stały się ciężkie, a Szestakow wesoło majtał swoimi nowiutkimi służbowymi trzewikami, zalatującymi tranem. Spodnie mu się odwinęły, odsłaniając skarpetki z wzorem szachownicy. Oglądałem jego nogi z prawdziwym zachwytem i nawet z pewną dumą – chociaż jeden człowiek z naszej celi nie nosił onuc. Ziemia pod nami trzęsła się od głuchych wybuchów – przygotowywano grunt dla nocnej zmiany. Maleńkie kamyki padały, szeleszcząc, koło naszych nóg, szare i prawie niedostrzegalne, jak ptaszki.

– Odejdźmy dalej – powiedział Szestakow.

– Nie zabiją, nie bój się. Skarpetki będą całe.

– To nie o skarpetki chodzi – powiedział Szestakow i obwiódł horyzont palcem wskazującym. – Jak ty to wszystko widzisz?

– Pewnie poumieramy – powiedziałem. Już najmniej ze wszystkiego chciało mi się o tym myśleć.

– No, nie, nie zgadzam się umierać.

– A więc?

– Mam mapę – z wolna powiedział Szestakow. – Wezmę robotników, zabiorę ciebie i pójdziemy na Czarne Źródła – to piętnaście kilometrów stąd. Będę miał przepustkę. Uciekniemy w kierunku morza. Zgadzasz się? – Wszystko to wyłożył mi szybkim, beznamiętnym głosem.

– A co z morzem? Popłyniemy?

– Wszystko jedno. Ważne, żeby tylko zacząć. Tak żyć nie potrafię. Lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach – oznajmił z namaszczeniem Szestakow. – Kto tak powiedział?

W rzeczy samej. Znajome zdanie. Ale brakowało sił, aby sobie przypominać, kto i kiedy to powiedział. Wszystko, co było w książkach, zostało zapomniane, przestano książkom wierzyć.

Podwinąłem spodnie i pokazałem czerwone rany od szkorbutu.

– To właśnie w lesie je wyleczysz – powiedział Szestakow – za pomocą jagód, witamin. Przeprowadzę, znam drogę. Mam mapę.

Przymknąłem oczy i myślałem. Do morza prowadzą trzy drogi – każda długości nie mniej niż pięćset kilometrów. Nie tylko ja, ale i Szestakow nie zdoła dojść. Chyba nie bierze mnie ze sobą w charakterze żywności? Oczy-

wiście, że nie. Ale dlaczego on kłamie? Wie przecież o tym nie gorzej ode mnie; nagle przestraszyłem się Szestakowa – jedynego z nas, który dostał pracę we własnym zawodzie. Kto go tam urządził i za jaką cenę? Przecież za wszystko trzeba płacić. Cudzą krwią, cudzym życiem.

– Zgadzam się – powiedziałem, otwierając oczy. – Tylko powinienem się odkarmić.

– No, to pięknie, pięknie. Oczywiście, że musisz się odkarmić. Przyniosę ci… konserw. Przecież u nas można…

Istnieje wiele konserw na świecie – mięsne, rybne, owocowe… Ale najlepsze ze wszystkich są mleczne – skondensowane mleko. Oczywiście, że nie należy pić rozprowadzonego wrzątkiem. Powinno się je jeść łyżką albo rozsmarowywać na chlebie lub też po troszkę łykać, powoli wyjadać z puszki, patrząc, jak żółknie rzadka, jasna masa i jak przylepia się do ścianki cukrowa gwiazdka.

– Jutro – powiedziałem z zapartym od szczęścia oddechem – mlecznych.

– Dobrze, dobrze. Mlecznych. – I Szestakow odszedł.

Powróciłem do baraku, położyłem się i zamknąłem oczy.

Niełatwo było mi myśleć. Po raz pierwszy w całej okazałości objawił mi się fizyczny charakter naszej psychiki, w pełni odczuwalny. Myślenie sprawiało ból. Ale trzeba było myśleć.

On zbierze nas wszystkich i „zda” – to zupełnie jasne. Zapłaci za swą biurową pracę naszą krwią, moją krwią. Zabiją nas tam na miejscu, na Czarnych Źródłach, albo przyprowadzą żywych i osądzą – dodadzą po piętnaście lat. Przecież on nie może nie wiedzieć, że stąd uciec nie sposób. Ale mleko, zgęszczone mleko…

Usnąłem i w swoim poszarpanym, głodowym śnie widziałem tę jego puszkę ze skondensowanym mlekiem – ogromne monstrum oklejone granatowym papierem. To gigantyczne, granatowe niczym nocne niebo naczynie podziurawione było w tysiącach miejsc i wyciekało z niego mleko, tworząc szeroką strugę Drogi Mlecznej. Z łatwością dosięgałem rękami nieba i jadłem gęste, słodkie, gwiezdne mleko.

Nie pamiętam, co robiłem w tym dniu i jak pracowałem. Czekałem, oczekiwałem zachodu słońca i rżenia koni, które lepiej niż ludzie odgadują koniec roboczego dnia.

Chrypliwie zahuczała syrena i poszedłem do baraku, w którym mieszkał Szestakow. Oczekiwał mnie na ganku. Kieszenie jego waciaka odstawały.

Siedliśmy za wielkim wyszorowanym stołem w baraku i Szestakow wyciągnął z kieszeni dwie puszki skondensowanego mleka. Rogiem siekiery przebiłem wieczko puszki. Gęsta, biała struga pociekła na wieczko i na moją rękę.

– Trzeba było przebić drugi otwór. Dla powietrza – powiedział Szestakow.

– Nie szkodzi – powiedziałem, oblizując brudne, słodkie palce.

– Dajcie łyżkę – powiedział Szestakow, obracając się do obstępujących nas robotników.

Nad stołem pojawiło się dziesięć błyszczących, wylizanych łyżek. Wszyscy stali i przyglądali się, jak jem. Nie było w tym wcale niedelikatności ani oczekiwania na poczęstunek. Nikt z nich nie spodziewał się, że podzielę się tym mlekiem. Czegoś takiego nikt nigdy nie widział – ich zaciekawienie było zupełnie bezinteresowne, gdy patrzyli, jak jem. Ja też wiedziałem, że nie sposób nie patrzeć na jedzenie znikające w ustach innego człowieka. Usadowiłem się wygodnie i jadłem mleko bez chleba, popijając od czasu do czasu zimną wodą. Zjadłem zawartość obu puszek. Widzowie rozeszli się – widowisko było skończone. Szestakow przyglądał mi się ze współczuciem.

– Wiesz co – powiedziałem, wylizując dokładnie łyżkę – rozmyśliłem się. Idźcie beze mnie.

Szestakow zrozumiał i wyszedł, nie powiedziawszy ani słowa.

Była to oczywiście mizerna zemsta, słaba jak wszystkie moje uczucia. Ale co ja mogłem jeszcze zrobić? Uprzedzić innych – przecież ich nie znałem. A trzeba było uprzedzić – Szestakow zdążył namówić pięciu. Po tygodniu uciekli; dwóch zostało zabitych niedaleko od Czarnych Źródeł, a trzech sądzono po upływie miesiąca. Sprawa samego Szestakowa została „wyłączona w związku z zatrudnieniem”; w niedługim czasie gdzieś go wywieziono, a po pół roku natknąłem się na niego w innej kopalni. Za ucieczkę nie otrzymał dodatkowego wyroku – naczalstwo prowadziło z nim uczciwą grę, a przecież mogło być inaczej.

Pracował w zwiadzie geologicznym, był „syty i golony”, a jego skarpetki w szachownicę wciąż jeszcze były całe. Nie witał się ze mną, a przecież nic się nie stało. Dwie puszki skondensowanego mleka to w końcu nic takiego ważnego…

CISZA

My wszyscy – cała brygada – siadaliśmy przy stołach w łagrowej stołówce ze zdziwieniem, niedowierzaniem, ostrożnością i strachem. Stoły były brudne i lepkie – jedliśmy przy nich przez cały okres naszego tutaj życia. Nie wiadomo, od czego te stoły były takie – przecież nikt tutaj zupy nie wylewał, nikt „poza usta łyżki nie wtykał”, nie zrobiłby zresztą tego, bo łyżek nie było, a rozlaną zupę zbierano palcami i po prostu ją z nich zlizywano.

Była to obiadowa pora dla nocnej zmiany. Na tej właśnie zmianie upchano naszą brygadę, usunięto ją sprzed czyichś oczu – jeśli takie były! – w naszej brygadzie byli sami słabeusze, bezsilni i głodni. Byliśmy ludzkimi odpadami, a jednak trzeba nas było żywić – przy tym wcale nie odpadami, i nawet nie resztkami. Na nas też przydzielono jakiś tam tłuszcz, gotowane jedzenie, a co najważniejsze – chleb, zupełnie takiej samej jakości jak ten, który otrzymywały najlepsze brygady, zachowujące jeszcze siły i wypełniające plan „przy podstawowej produkcji” – dającej złoto, złoto, złoto.

Jeżeli jednak wydawano nam jedzenie, to czyniono to zawsze na końcu, czy w dzień, czy w nocy – wszystko jedno. Tej nocy również przyszliśmy w ostatniej kolejności.

Mieszkaliśmy w jednym baraku, w jednej sekcji. Znałem niektórych spośród tych półtrupów – z więzienia czy z punktu tranzytowego. Codziennie poruszałem się razem z tymi kłębami buszłatów, płóciennych uszanek niezdejmowanych z głowy od łaźni do łaźni, obuwia ze starych watowanych spodni poprzepalanych przy ogniskach, i jedynie kierując się pamięcią, rozpoznawałem, że to wśród nich jest czerwonolicy Tatar Mutałow – jedyny mieszkaniec Czimkientu, posiadający piętrowy dom pokryty blachą, i Jefremow – były pierwszy sekretarz czimkienckiego komitetu miejskiego partii, który w trzydziestym roku likwidował Mutałowa jako klasę.

Był tu i Oksman, były naczelnik oddziału politycznego, którego marszałek Timoszenko, nie będąc wtedy marszałkiem, przegnał ze swojej dywizji

jako Żyda. Był też Łupinow, pomocnik prokuratora generalnego ZSRR Wyszyńskiego. Żaworonkow – maszynista parowozowni sawiełowskiej. Był również były naczelnik NKWD z miasta Gorki, który na punkcie tranzytowym wszczął sprzeczkę z jakimś tam swoim „podopiecznym".

– Bili cię? No to co? Podpisałeś – toś wróg, wprowadzasz w błąd władzę radziecką, przeszkadzasz nam pracować. Właśnie przez takich gadów dostałem piętnaście lat.

Wtrąciłem się:

– Słucham ciebie i nie wiem – czy śmiać się, czy napluć ci w twarz.

Różni ludzie byli w tej „dopływającej" brygadzie… Był też członek sekty „Bóg wie", a może sekta nazywała się inaczej – była to bowiem jedyna stała odpowiedź sekciarza na wszystkie pytania naczalstwa.

Pozostało w pamięci nazwisko sekciarza, oczywiście – Dmitriew, chociaż on sam nigdy się nie odzywał, gdy go tak wołano. Ustawiały go w szeregu, przesuwały i prowadziły ręce brygadzisty i kolegów.

Konwój często się zmieniał i prawie każdy nowy dowódca starał się pojąć tajemnicę odmowy odpowiedzi na głośną komendę: „Odlicz!" przy wychodzeniu do tak zwanej pracy.

Brygadzista krótko wyjaśniał „okoliczności" i ucieszony konwojent kontynuował odliczanie.

Sekciarz uprzykrzył się już wszystkim w baraku. Nocami, nie mogąc spać z głodu, grzaliśmy się i grzali przy żelaznym piecyku, obejmując go rękami, chwytając uchodzące ciepło stygnącego żelaza, tuląc do niego twarz.

Oczywiście odgradzaliśmy od tego marnego ciepła innych mieszkańców baraku leżących w pokrytych szronem oddalonych kątach i, podobnie jak my, nieśpiących z głodu. Stamtąd to, z tych odległych zaszronionych kątów, wyskakiwał ktoś, kto miał prawo krzyczeć, a nawet i bić, i odganiał od piecyka głodnych robociarzy wyzwiskami i kopniakami.

Przy piecyku można było stać i legalnie suszyć chleb, ale któż miał chleb, by go legalnie suszyć? I ile godzin można suszyć skrawek chleba?

Nienawidziliśmy naczalstwa, nienawidziliśmy jeden drugiego, a nade wszystko nienawidziliśmy sekciarza – za jego pieśni, za hymny, za psalmy…

Obejmowaliśmy piecyk w milczeniu. A sekciarz śpiewał, śpiewał ochrypłym, przeziębionym głosem – śpiewał cicho, ale były to jakieś hymny, psalmy, wiersze. Śpiewanie nigdy się nie kończyło.

Pracowałem z sekciarzem w parze. Inni mieszkańcy sekcji odpoczywali w czasie pracy od tych hymnów i psalmów, a ja nawet i tej ulgi nie mogłem zaznać.

– Pomilcz trochę!

– Dawno już bym umarł, gdyby nie pieśni. Uciekłbym – w ten mróz. Ale brak mi sił. Gdybyż mieć ich trochę więcej! Nie proszę Boga o śmierć. On wszystko sam widzi.

W brygadzie byli jeszcze jacyś inni ludzie, obmotani szmatami, jednakowo brudni i głodni, z jednakowym blaskiem w oczach. Kim są? Generałami? Bohaterami hiszpańskiej wojny? Rosyjskimi pisarzami? Kołchoźnikami z Wołokołamska?

Siedzieliśmy w stołówce, nie pojmując, dlaczego nie dają nam jeść. Na kogo czekają? Co to za nowinę nam obwieszczą? Dla nas ona mogła być tylko dobrą nowiną. Istnieje taka granica, kiedy wszystko, co może się jeszcze zdarzyć z człowiekiem – to tylko coś lepszego. Nowina może być tylko dobrą nowiną. Rozumieliśmy to wszyscy, rozumieliśmy to ciałem, a nie mózgiem.

Otworzyło się do wewnątrz okienko do rozdawania posiłków i zaczęto nam nosić w miskach zupę – gorącą! Kaszę – ciepłą! I kisiel – trzecie danie – prawie chłodny! Każdemu wydano łyżkę i brygadzista uprzedził, że trzeba ją oddać. Oczywiście, że oddamy łyżki. Po co nam łyżki? Żeby zamienić na tytoń w drugim baraku? Oczywiście, zwrócimy je. Do czego nam łyżki? Od dawna przywykliśmy jeść „przez burtę”. Po cóż tu łyżka? To, co pozostanie na dnie, można podsunąć palcami na brzeg miski…

Nie było się co zastanawiać – przed nami stało jedzenie, pożywienie. Rozdali nam chleb – każdemu po dwusetce do ręki. „Chleba tylko według przydziału – uroczyście oświadczył brygadzista – a reszta «ile wlizie»”.

I my jedliśmy „ile wlizie”. Każda zupa dzieli się na dwie części: „gęste” i „rzadkie”. „Ile wlizie” dawano nam rzadkiego. Za to drugie danie – kasza – wcale nie było w niej oszukaństwa. Trzecie danie – ciepła woda z lekkim posmakiem krochmalu i ledwo wyczuwalnym śladem rozpuszczonego cukru. Był to kisiel.

Aresztanckie żołądki wcale nie są zobojętniałe, ich zdolności odczuwania smaku wcale nie zostały przytępione głodem i prymitywnym jedzeniem. Odwrotnie, smakowe wyczulenie aresztanckiego, wygłodzonego żołądka jest wprost niezwykłe. Jakościowa reakcja w żołądku aresztanta nie ustępuje pod względem precyzji żadnemu laboratorium fizycznemu. Żaden

„wolny” żołądek nie wykryłby obecności cukru w tym kisielu, który jedliśmy, a raczej pili, w tą kołymską noc, na kopalni „Partyzant”. A nam kisiel wydawał się słodki, nieprzeciętnie słodki – jak cud, i każdy wspominał, że jeszcze istnieje cukier na białym świecie i nawet trafia do aresztanckiego kotła. Jakiż to czarodziej…

Czarodziej był niedaleko. Przyjrzeliśmy się jemu po drugim daniu tego drugiego obiadu.

„Chleb tylko według przydziału – powiedział brygadzista – reszta «ile wlizie»”. – I spojrzał na czarodzieja.

– Tak, tak – odpowiedział czarodziej.

Był to malutki, czyściutki, czarniutki, dobrze domyty człowiek z niepoodmrażaną twarzą.

Nasi naczelnicy, nadzorcy, dziesiętnicy, kierownicy robót, naczelnicy łagrów, konwojenci – wszyscy oni popróbowali już Kołymy, i na każdej, każdej twarzy wypisała ona swe litery, pozostawiła swój ślad, wyryła dodatkowe zmarszczki, na zawsze usadowiła plamy odmrożeń, piętna nie do zmycia – nacechowała swym niezniszczalnym znakiem!

Na różowej twarzy czyściutkiego czarnego człowieczka nie było jeszcze ani jednej plamy, żadnego piętna. Był to nowy starszy wychowawca naszego łagru, który dopiero co przyjechał z kontynentu. Starszy wychowawca przeprowadzał doświadczenie.

Dogadał się z naczelnikiem, wymógł na nim, żeby naruszyć stary kołymski obyczaj – codziennie resztki zupy i kaszy odnoszono zgodnie z dawną tradycją do baraku błatniaków – „to, co najgęstsze z dna” – i rozdawano również w barakach lepszych brygad, ażeby podtrzymać nie te najbardziej wygłodzone, lecz te najmniej głodne brygady, żeby wszystko zamienić na „plan”, wszystko przemienić w złoto – dusze i ciała wszystkich – naczelników, konwojentów i więźniów.

Brygady te – i błatniacy także – przyuczyli się, przywykli liczyć na te resztki. Ale nowy wychowawca nie zgodził się z tym obyczajem i wymógł, żeby resztki jedzenia rozdawać najbardziej głodnym. Wtedy i sumienie się w nich przebudzi.

– Na miejscu sumienia wyrosły im rogi – próbował wmieszać się dziesiętnik, ale wychowawca był nieustępliwy i otrzymał zezwolenie na eksperyment.

Aby go przeprowadzić, wybrano najbardziej wygłodzoną brygadę – naszą.

– Zobaczycie, człowiek podje i z wdzięczności dla państwa będzie lepiej pracować. Czyż można wymagać pracy od tych dochodiagów. Dochodiagi – to pierwsze słowo, z błatniackiego narzecza, którego nauczyłem się na Kołymie. Czy dobrze mówię?

– Dobrze – powiedział naczelnik odcinka, „wolniaszka”, stary kołymianin, który posłał „pod sopkę” niejeden tysiąc ludzi z tej kopalni. Przyszedł podziwiać przebieg „eksperymentu”.

– Tych nierobów, symulantów trzeba żywić przez miesiąc mięsem i czekoladą, przy zupełnym zwolnieniu od pracy. I nawet wtedy nie będą pracować. W ich czaszkach coś się zmieniło na zawsze. To – szlaka, odpady. Dla kopalni większą wartość przedstawia dokarmianie tych, co jeszcze pracują, a nie tych nierobów!

Przy okiennym okienku zaczęto się kłócić i krzyczeć. Wychowawca coś tam z zapałem dowodził. Naczelnik odcinka słuchał z niezadowolonym wyrazem twarzy, a kiedy padło nazwisko Makarenki, machnął na to ręką i odszedł na bok.

Modliliśmy się każdy do swego Boga, sekciarz też – do swojego. Modliliśmy się, żeby nie zamknęli okienka, żeby wychowawca zwyciężył. Aresztancka wola dwudziestu ludzi napięła się – i wychowawca zwyciężył.

Jedliśmy dalej, wcale nie pragnąc rozstania z cudem.

Naczelnik odcinka wyjął zegarek, ale już zawył sygnał – przenikliwy dźwięk łagrowej syreny wzywał nas do pracy.

– No, robociarze – niepewnie wymawiając to niepotrzebne w tym miejscu słowo, powiedział nowy wychowawca. – Zrobiłem wszystko, co mogłem. Uzyskałem to dla was. Do was należy, aby odpowiedzieć na to pracą, tylko pracą.

– Popracujemy, obywatelu naczelniku – poważnie powiedział były pomocnik prokuratora generalnego ZSRR, podwiązując buszłat brudnym ręcznikiem i dysząc w rękawice, nagrzewając ich wnętrze ciepłym powietrzem.

Drzwi się otworzyły, wpuszczając białą parę, a my wyleźliśmy na mróz, ażeby na całe życie zapamiętać ten sukces – jeżeli komuś będzie dane przeżyć. Wydało nam się, że mróz złagodniał. Ale to było niedługo. Mróz był zbyt wielki, aby nie postawić na swoim.

Doszliśmy do wykopu i usiedli w krąg, czekając na brygadzistę. Siedliśmy w tym samym miejscu, gdzie kiedyś rozpalaliśmy ognisko i grzaliśmy się przy nim, dmuchając na złoty płomień, gdzie przepalaliśmy rękawice,

czapki, spodnie, buszłaty, burki, na próżno starając się ogrzać, ratować przed mrozem. Ale ognisko – to było dawno, zdaje się, w zeszłym roku. Tej zimy nie zezwalano robotnikom na grzanie się, grzał się tylko konwojent, poukładał głownie swego ogniska i rozdmuchał płomień. Owinął się kożuchem i usiadł na pniu.

Biała mgła otaczała wykop oświetlony jedynie płomieniem ogniska. Siedzący obok mnie sekciarz wstał i poszedł mimo konwojenta w tę mgłę, do nieba…

– Stój! Stój!

Konwojent był niezły chłop, ale z karabinem umiał się dobrze obchodzić.

– Stój!

Potem rozległ się wystrzał, suchy szczęk karabinu – sekciarz jeszcze nie znikł we mgle – drugi wystrzał…

– Widzisz więc, ty jeleniu – powiedział po błatniacku naczelnik do starszego wychowawcy – obaj przyszli do wykopu. – Ale wychowawca nie śmiał wyrażać zdziwienia z powodu zabicia więźnia, a naczelnika już takie rzeczy nie dziwiły. – Masz tutaj swój eksperyment. Te psy jeszcze gorzej zaczęły pracować. Dodatkowy obiad – to dodatkowe siły na walkę z mrozem. Od nich robotę – zapamiętaj to sobie, jeleniu – wymusza tylko mróz. Ani twój obiad, ani moje walenie po pysku, tylko mróz. Oni machają rękami, żeby się zagrzać. A my wkładamy w nie kilofy, łopaty, przecież wszystko jedno, czym machać – podstawiamy taczki, skrzynie, grabiarki i kopalnia wykonuje plan. Daje to złotko… Teraz są syci i już wcale nie będą pracować. Dopóki nie przemarzną. Wtedy pomachają łopatami. A karmić ich nie ma sensu. Sfrajerowałeś mocno z tym obiadem. Za pierwszym razem wybacza się. Wszyscyśmy byli takimi samymi jeleniami.

– Nie wiedziałem, że to takie gady – powiedział wychowawca.

– Na drugi raz będziesz wierzyć starszym. Jednego już dzisiaj zastrzelono. Nierób – fiłon. Pół roku na darmo jadł państwowy chleb. Powtórz to – fiłon!

– Fiłon – powtórzył wychowawca.

Stałem tuż obok, ale naczalstwo nie krępowało się mną. Miałem legalny powód oczekiwania – brygadzista powinien mi przyprowadzić innego towarzysza pracy. Przyprowadził Łupiłowa – byłego pomocnika prokuratora generalnego ZSRR. I zaczęliśmy wspólnie nasypywać do skrzyń wysa-

dzone wybuchem i rozkruszone kamienie – robić to, co robiłem razem z sekciarzem.

Powracaliśmy znajomą drogą, jak zawsze, nie wykonawszy normy, ani nie troszcząc się o nią. Ale wydawało się, że marzliśmy trochę mniej niż zazwyczaj.

Staraliśmy się pracować, ale zbyt wiele dzieliło nasze życie od tego, co można wyrazić w liczbach, w teczkach, w procentach planu. Liczby były bluźnierstwem. Ale na jakąś godzinę, na jakąś chwilę nasze siły – duchowe i fizyczne – okrzepły po tym nocnym obiedzie.

I zimno mi się zrobiło, gdy odgadłem i zrozumiałem, że ten nocny obiad przysporzył sił sekciarzowi do samobójstwa. To była właśnie ta porcja kaszy, której brakowało mojemu towarzyszowi w pracy, ażeby zdecydować się umrzeć. Czasem człowiek powinien się spieszyć, żeby nie utracić woli śmierci.

Jak zawsze okrążyliśmy piecyk. Tylko nie było komu śpiewać hymnów. I byłem bodaj nawet rad – że zapanowała cisza.

CHLEB

Ogromne, dwuskrzydłowe drzwi rozwarły się i do etapowego baraku wszedł rozdawca. Stanął w szerokim paśmie porannego światła, odbijanego przez niebieskawy śnieg. Ze wszystkich stron spoglądało na niego dwa tysiące oczu: z dołu – spod nar, na wprost, z boku, z góry – z wysokości trójpiętrowych nar, dokąd wdrapali się po drabince ci, co jeszcze zachowali siły. Dzisiaj był dzień śledziowy i za rozdawcą niesiono ogromną tacę z dykty, uginającą się pod górą śledzi, poprzecinanych na pół. Za tacą szedł dyżurny nadzorca w białym, błyszczącym jak słońce półkożuszku z garbowanej owczej skóry. Śledzie wydawano rano – co drugi dzień po połowie. Jakie tu przeprowadzono obliczenia dotyczące ilości białka i kalorii – tego nikt nie wiedział i nikt zresztą nie interesował się tego rodzaju scholastyką.

Szept setek ludzi powtarzał jedno i to samo słowo: ogonki. Jakiś mądry naczelnik, biorąc pod uwagę psychologię aresztantów, zarządził, aby wydawano jednocześnie albo głowy śledzi, albo ogony. Zalety jednych i drugich zostały już wielokrotnie przedyskutowane: w ogonkach było chyba więcej rybiego mięsa, ale za to głowa dawała znacznie więcej zadowolenia: wysysano skrzela, wyjadano rybi mózg. Śledzie wydawano nieoprawione i wszystkim to dogadzało: przecież jedli je z ośćmi, ze skórą. Żal, że to nie głowy, przemknął i znikł: ogonki były faktem, zostały dane. A do tego taca już się zbliżała i miała nastąpić najbardziej denerwująca chwila – jakiej wielkości kawałek się trafi – nie można było go zamienić ani zaprotestować – wszystko było na los szczęścia – wyciągniętą kartą w tej rozgrywce z głodem. Człowiek nieuważnie dzielący śledzie na porcje nie zawsze rozumie (albo szybko zapomniał), że dziesięć gramów więcej czy mniej – dziesięć gramów, tak na oko – może doprowadzić do dramatu, być może nawet do krwawego dramatu. A o łzach nawet nie warto mówić. Łzy się często zdarzają, wszyscy je rozumieją i nikt się nie śmieje z płaczącego.

Zanim rozdawca się zbliżył, każdy już wyliczył, jaki właśnie kawałek zostanie mu podany przez tę obojętną rękę. Każdy zdążył już się zmartwić, ucieszyć, przygotować na cud i znaleźć na krawędzi rozpaczy, jeżeli pomy-

lił się w swoich spiesznych obliczeniach. Niektórzy przymykali oczy, nie panując nad zdenerwowaniem, aby otworzyć je dopiero wtedy, gdy rozdawca szturchnie, podając przydzieloną porcję. Schwyciwszy śledzia brudnymi palcami, gładząc go i przyciskając szybko i delikatnie, żeby ocenić, jaki kawałek się trafił – chudy czy tłusty (zresztą śledzie z Morza Ochockiego nie bywają tłuste i ten ruch palców to także oczekiwanie na cud), nie mogą się powstrzymać, żeby nie obrzucić szybkim spojrzeniem rąk tych, co się znajdują obok i co również gładzą i ściskają swe porcje, bojąc się zbyt spiesznie przełknąć ten maleńki ogonek. Nie zjadają śledzia od razu. Liżą, liżą, aż ogonek po trochu wyślizguje się z palców i znika. Pozostają ości, przeżuwane ostrożnie i delikatnie, aż roztają i znikną. Potem biorą się do chleba – pięćset gramów wydaje się z rana na cały dzień – odszczypują go po kawałeczku i wsuwają do ust. Wszyscy zjadają cały chleb od razu – dzięki temu nikt go nie ukradnie i nie odbierze, a i tak nie starcza siły woli, aby go zostawić na później. Nie należy się tylko spieszyć, nie należy zapijać wodą, nie należy go przeżuwać. Trzeba go ssać jak cukier, jak landrynkę. Potem można wziąć kubek herbaty – ciepławej wody, zabarwionej paloną chlebową skórką.

Zjedzony został śledź, zjedzony chleb, wypita herbata. Od razu robi się gorąco i nie chce się nigdzie iść, tylko położyć, ale już trzeba się odziewać – naciągać na siebie oberwany waciak, który był twoją kołdrą, podwiązać sznurkiem podeszwy do porwanych burek z pikowanej waty, do burek, które służyły ci za poduszkę, i trzeba się spieszyć, gdyż drzwi już otwarto na oścież i za ogrodzonym kolczastym drutem placykiem oczekują konwojenci z psami.

Odbywamy kwarantannę, tyfusową, ale nie dają nam próżnować. „Gonią” nas do pracy – nie według list, a całkiem po prostu odliczają piątkami w bramie. Istnieje sposób, dostatecznie pewny, ażeby każdego dnia trafić do względnie korzystnej pracy. Trzeba tylko cierpliwości i opanowania. Korzystna praca – to zawsze taka, do której biorą mało ludzi – dwóch, trzech, czterech. Praca, do której biorą dwudziestu, trzydziestu, stu – to praca na pewno ciężka, najczęściej roboty ziemne. I chociaż aresztantom nigdy zawczasu nie podają miejsca pracy – dowiadują się o tym w drodze – sukces w tej strasznej loterii przypada w udziale ludziom odznaczającym się cierpliwością. Należy przeciskać się do tyłu, do cudzych szeregów, odchodzić na bok i rzucać się do przodu, kiedy ustawiają małą grupkę.

Natomiast dla dużych grup najbardziej korzystna praca – to przebieranie warzyw w magazynie, piekarnia, jednym słowem, te wszystkie miejsca, gdzie praca wiąże się z żywnością, czy to w stanie surowym, czy też nadającym się do spożycia – tam zawsze znajdują się resztki, odłamki, skrawki tego, co da się zjeść. Ustawiono nas i poprowadzono po grząskiej kwietniowej drodze. Nogi konwojentów żwawo człapały po kałużach. Nie zezwalano nam łamać szyku w obrębie miasta – nikt więc tych kałuż nie omijał. Nogi robiły się mokre, ale nikt na to nie zwracał uwagi – przeziębień się nie obawialiśmy. Zdarzało się to nam tysiące razy, a przy tym najbardziej niebezpieczne, co mogło nas spotkać – powiedzmy, zapalenie płuc – zaprowadziłoby nas do upragnionego szpitala. W szeregach słychać było urywany szept: „Do piekarni, słuchajcie, do piekarni” – istnieją ludzie, którzy zawsze o wszystkim wiedzą i wszystko odgadują. Są także tacy, którzy we wszystkim chcą widzieć to najlepsze. Dla innych, przeciwnie, wszystko idzie ku gorszemu i każde polepszenie przyjmują z niedowierzaniem, jak jakieś niedopatrzenie losu. I ta różnica w sposobie podejścia niewiele zależy od własnego doświadczenia – jest jakby dana w dzieciństwie – na całe życie…

Nasze najśmielsze nadzieje ziściły się – staliśmy przed bramą piekarni. Dwudziestu ludzi, wsunąwszy ręce w rękawy, dreptało w miejscu, odwracając się plecami do przejmującego wiatru. Konwojenci odeszli na bok i zapalili. Przez maleńkie drzwi wycięte w bramie wyszedł człowiek bez czapki, w granatowym fartuchu. Pogadał z konwojentami i podszedł do nas. Z wolna obwiódł wszystkich wzrokiem. Kołyma z każdego robi psychologa, a on musiał w jednej chwili we wszystkim się zorientować. Spomiędzy tych dwudziestu oberwańców trzeba wybrać dwóch ludzi do pracy wewnątrz piekarni, w „oddziałach”. Powinni mieć dość siły, aby mogli dźwigać nosze z potłuczoną cegłą, która pozostała po przebudowie pieca. Nie mogą być złodziejami, „błatniakami”, gdyż wtedy cały roboczy dzień zejdzie na różnego rodzaju spotkaniach, przekazywaniu „grypsów”, karteczek, a nie na pracy. Trzeba, żeby nie osiągnęli jeszcze tej granicy, poza którą każdy z głodu staje się złodziejem, bo przecież na oddziałach nikt ich pilnować nie będzie. Trzeba, żeby nie byli „skłonni do ucieczki”. Trzeba…

I wszystko to trzeba wyczytać w jednej chwili z dwudziestu aresztanckich twarzy i od razu wybrać.

– Wychodź – powiedział do mnie człowiek bez czapki. – I ty. – Wskazał na mojego piegowatego, wszechwiedzącego sąsiada. – Wezmę tych – powiedział do konwojenta.

– Dobrze – obojętnie odpowiedział tamten.

Odprowadzały nas spojrzenia pełne zazdrości.

U ludzi pięć zmysłów nigdy nie działa jednocześnie w tym samym pełnym napięciu. Nie słyszę radia, kiedy uważnie czytam. Linijki tekstu przebiegają mi przed oczami, kiedy słucham audycji radiowej – automatyzm czytania zostaje zachowany – podążam wzrokiem za nimi i nagle okazuje się, że nic nie pamiętam z tego, co przed chwilą przeczytałem. To samo bywa, kiedy w czasie czytania pomyślisz o czymś innym – działają tu jakieś wewnętrzne przełączniki. Ludowe powiedzonko „kiedy jem, tom głuchy i niem” – znane jest każdemu. Dodać by można „i ślep”, gdyż przy takim jedzeniu z apetytem funkcja wzroku skupia się na pomocy smakowym odczuciom. Kiedy staram się coś wymacać głęboko w szafie i cały mój zmysłowy odbiór lokalizuje się w koniuszkach palców – niczego nie widzę ani nie słyszę – wszystko zostaje wyparte przez napięcie tego, co odczuwam. Tak i teraz, przekroczywszy próg piekarni, stałem, nie widząc życzliwych i współczujących twarzy robotników (pracowali tu i byli, i rzeczywiści więźniowie), nie słyszałem słów majstra – tego znajomego bez czapki, który mówił nam, że mamy wynieść na dwór potłuczoną cegłę, że nie powinniśmy chodzić po innych oddziałach, że nie powinniśmy kraść, bo chleba i tak nam da – niczego nie słyszałem. Nie odczuwałem też tego ciepła silnie nagrzanego oddziału, ciepła, za którym stęskniło się moje ciało przez długą zimę.

Wdychałem zapach chleba, gęsty aromat „bochenków”, w których zapach przypalonego tłuszczu mieszał się z zapachem podpiekanej mąki. Znikomą część tego upajającego aromatu usiłowałem wyłowić każdego ranka, przycisnąwszy nos do skórki niezjedzonej jeszcze „porcji” chleba. Ale tutaj istniał on w całej swej stężonej mocy i wydawało się, że rozrywa moje nieszczęsne nozdrza.

Ten czar przerwał majster.

– Zapatrzyłeś się – powiedział. – Chodźmy do kotłowni.

Zeszliśmy do piwnicy. W czysto wymiecionej kotłowni siedział już przy stoliku palacza mój towarzysz pracy. W takim samym granatowym fartuchu jak u majstra stał przy piecu palacz, ćmiąc papierosa, i przez otwory w żeliwnych drzwiczkach paleniska widać było, jak wewnątrz, pobłyskując, szalał płomień, to czerwony, to żółty, a ściany kotła drżały i huczały od

ognistych konwulsji. Majster postawił na stole czajnik, kubek z powidłem i położył bochenek chleba.

– Daj im się napić – powiedział do palacza. – Ja przyjdę za dwadzieścia minut. Tylko nie ciągnijcie, jedzcie szybko. Wieczorem damy jeszcze, tylko połamiecie na kawałki, bo w łagrze wam odbiorą.

Majster wyszedł.

– Widziałeś psa – powiedział palacz, obracając w rękach ten bochenek chleba. – Pożałował gad trzydziestki. Ale poczekaj.

Wyszedł w ślad za majstrem i po minucie powrócił, podrzucając w rękach nowy bochenek.

– Cieplutki – powiedział, rzucając chleb piegowatemu chłopakowi. – Z trzydziestki. A to, widzisz, chciał was zbyć mieszanym. Daj go tu. – I wziąwszy w ręce bochenek, który pozostawił nam majster, palacz otworzył drzwiczki kotła i wrzucił chleb w huczący i wyjący ogień. Zatrzasnął drzwiczki i zaśmiał się. – No tak – powiedział wesoło, odwracając się ku nam.

– Po co to? – spytałem. – Lepiej wzięlibyśmy ze sobą.

– Ze sobą to jeszcze wam damy – powiedział palacz.

Ani ja, ani piegowaty chłopak nie mogliśmy przełamać chleba.

– Nie masz noża? – spytałem palacza.

– Nie mam. Po co ci nóż?

Palacz ujął bochenek w dwie ręce i z łatwością go przełamał. Z rozłamanego bochenka unosiła się aromatyczna para. Palacz tknął palcem miąższ.

– Dobrze piecze ten Fiedka, zuch z niego – pochwalił.

Ale my nie mieliśmy czasu na dopytywanie się – kto taki Fiedka. Zabraliśmy się do jedzenia, parząc się i chlebem, i wrzątkiem, który mieszaliśmy z powidłem. Lał się z nas strumieniami gorący pot. Spieszyliśmy się – majster już po nas wrócił. Przyniósł ze sobą nosze, przyciągnął je do kupy potłuczonej cegły, przyniósł też łopaty i sam załadował pierwszą skrzynię. Przystąpiliśmy do pracy. I nagle stało się jasne, że to nie na nasze siły. Kręciło się w głowie, kiwało nami. Drugie nosze ja sam ładowałem i nałożyłem o połowę mniej, niż wynosił poprzedni ładunek.

– Starczy, starczy – powiedział piegowaty chłopak. Był jeszcze bardziej blady niż ja, a może to tylko piegi podkreślały jego bladość.

– Odpocznijcie, chłopcy – wesoło i nie naśmiewając się z nas wcale, powiedział przechodzący mimo piekarz i my posłusznie usiedliśmy.

Przeszedł obok nas majster, ale też nic nie powiedział.

Odpocząwszy, znowu zabraliśmy się do roboty, ale po każdych dwu noszach siadaliśmy – kupa gruzu nie zmniejszała się.

– Zapalcie, chłopcy – powiedział ten sam piekarz, pojawiając się ponownie.

– Nie mamy tytoniu.

– No to dam wam na papieroska. Tylko trzeba wyjść. Tutaj nie wolno palić.

Podzieliliśmy machorkę i każdy zapalił swojego papierosa – luksus już dawno zapomniany. Zaciągnąłem się wolno kilka razy, ostrożnie przygasiłem palcem papierosa, zawinąłem go w papier i schowałem za pazuchę.

– Słusznie – powiedział piegowaty chłopak. – A ja nawet o tym nie pomyślałem.

Do przerwy obiadowej oswoiliśmy się tu na tyle, że zaglądaliśmy i do sąsiadujących pomieszczeń z takimi samymi piekarniczymi piecami. Wszędzie wychodziły z nich z piskiem żelazne formy i blachy, a na półkach wszędzie leżał chleb. Od czasu do czasu podjeżdżał wagonik na kółkach, ładowano do niego wypieczony chleb i gdzieś go wywożono, tylko nie tam, gdzie mieliśmy powrócić wieczorem – to był biały chleb.

Przez szerokie okno (bez krat) widać było, że słońce kłoni się ku zachodowi. Od drzwi pociągnęło chłodem. Przyszedł majster.

– No, to kończcie. Nosze zostawcie na gruzie. Coś mało zrobiliście. Dla was tygodnia nie starczy na wyniesienie tej kupy gruzu, pracusie.

Dali nam po bochenku chleba, porozłamywaliśmy każdy na kawałki, ponapychali kieszenie… Ale ile chleba może wejść do naszych kieszeni?

– Chowaj wprost do spodni – komenderował piegowaty chłopak.

Wyszliśmy na zimne wieczorem podwórze – grupa już się ustawiała – poprowadzono nas z powrotem. Przy przejściu przez łagrową „wartownię” nikt nas nie rewidował – nikt z nas nie niósł w rękach chleba. Wróciłem na swoje miejsce, podzieliłem się z sąsiadami przyniesionym chlebem, ległem i zasnąłem, od razu jak nagrzały się przemoknięte i zziębnięte nogi.

Przez całą noc przemykały przed moimi oczami bochenki chleba i pojawiała się łobuzerska twarz palacza, wrzucającego chleb w ognistą gardziel pieca.

ZAKLINACZ WĘŻY

Siedzieliśmy na powalonym przez burzę ogromnym modrzewiu. W kraju wiecznej zmarzliny drzewa ledwo trzymają się niegościnnej ziemi i burza z łatwością wyrywa je z korzeniami i wali na ziemię. Płatonow opowiadał mi właśnie historię swojego życia tutaj – powtórnego naszego życia na tym świecie. Gdy wspomniał o kopalni Dżanchara, nachmurzyłem się. Bywałem w różnych trudnych i parszywych miejscach, jednak straszna sława Dżanchary huczała wszędzie.

– I długo pan był w Dżancharze?

– Rok – cicho powiedział Płatonow. Oczy mu się zwęziły, zmarszczki ostro uwydatniły; przede mną był inny Płatonow, starszy o dziesięć lat od poprzedniego. – Zresztą, trudno było tylko z początku, przez pierwsze dwa, trzy miesiące. Tam są sami złodzieje. Ja byłem jedynym wykształconym człowiekiem. Opowiadałem im powieści, „ciskałem romanse”, jak to mówią błatniacy; opowiadałem Dumasa, Conan Doyle’a, Wellsa. W zamian za to oni mnie żywili, odziewali; pracowałem niewiele. Przypuszczam, że pan w swoim czasie również wykorzystywał tę jedyną zaletę wykształcenia?

– Nie – odpowiedziałem. – Nie. Wydawało mi się to zawsze krańcowym poniżeniem. Końcem. Za zupę nigdy nie opowiadałem „romansów”. Ale wiem, co to takiego. Słyszałem tych „opowiadaczy”.

– Czy to potępienie? – spytał Płatonow.

– Ani trochę – powiedziałem. – Głodnemu człowiekowi można wiele wybaczyć, bardzo wiele.

– Jeśli przeżyję – Płatonow wypowiedział uświęconą formułę rozpoczynającą wszystkie myśli o czasie wykraczającym poza dzień jutrzejszy – napiszę o tym opowiadanie. Już nawet wymyśliłem tytuł: *Zaklinacz węży.* Ładny?

– Ładny. Trzeba tylko przeżyć. To najważniejsze.

Andrzej Fiodorowicz Płatonow, w swoim pierwszym życiu scenarzysta, umarł w trzy tygodnie po tej rozmowie. Umarł tak, jak umierało wielu –

zamachnął się kilofem i upadł twarzą na kamień. Wstrzyknięta dożylnie glukoza czy inne środki nasercowe mogłyby go na pewno przywrócić do życia, a tak, chrapliwie oddychał jeszcze przez jakieś półtorej godziny i ucichł, gdy przysłano nosze ze szpitalika. Sanitariusze unieśli maleńkie martwe ciało do trupiarni – nieważką masę skóry i kości.

Lubiłem Płatonowa za to, że nie przestawało go ciekawić to odległe za morzami i górami życie, od którego oddzielało nas tyle wiorst i tyle czasu i w którego istnienia już prawie przestaliśmy wierzyć; a raczej wierzyliśmy tak, jak uczniacy wierzą w istnienie jakiejś tam Ameryki. Płatonow miewał również książki, które Bóg jeden wie jak do niego trafiały, i gdy nie było zbyt zimno, na przykład w lipcu, nie uczestniczył w rozmowach na tematy, którymi żyła cała nasza „społeczność": jaka była lub będzie zupa na obiad, czy chleb wydawany będzie trzy razy dziennie, czy też w całości z rana, czy będzie jutro deszcz, czy też piękna pogoda.

Lubiłem Płatonowa, spróbuję więc napisać projektowane przez niego opowiadanie *Zaklinacz węży.*

Koniec pracy wcale jeszcze nie oznacza jej zakończenia. Po sygnale należy jeszcze zebrać narzędzia, odnieść je do składu, zdać, ustawić się, przebrnąć przez dwukrotne przeliczanie (dwukrotne z codziennych dziesięciu) przy wtórze ordynarnych przekleństw konwojentów, bezlitosnych, obraźliwych krzyków własnych towarzyszy niedoli, jeszcze na razie silniejszych od ciebie, ale także zmęczonych, spieszących się do domu i wściekłych z powodu każdego opóźniania powrotu. Trzeba odliczyć jeszcze raz, uformować się i wyruszyć do odległego o pięć kilometrów lasu po drewno; pobliski las dawno już wyrąbano i spalono. Drewno na opał przygotowywane jest w lesie przez brygadę drwali i każdy z pracujących robociarzy zabiera po jednym polanie. W jaki sposób te ciężkie bierwiona, które trudno unieść nawet dwóm ludziom, docierają na miejsce, tego nikt nie wie. Samochodów po drewno nigdy się nie posyła, a wszystkie konie stoją chore w stajni. Konie słabną o wiele szybciej niż ludzie, jakkolwiek różnica pomiędzy ich poprzednim i obecnym bytowaniem jest oczywiście niewspółmiernie mniejsza niż w przypadku ludzi. Wydaje się często, i chyba tak jest naprawdę, że człowiek właśnie dlatego opuścił królestwo zwierząt i stał się istotą ludzką, tj. taką, która potrafiła wymyślić coś takiego, jak te nasze wyspy z niewiarygodnym na nich bytowaniem, iż wytrzymałością fizyczną przewyższał każde zwierzę. To nie posługiwanie się rękami przekształciło małpę w czło-

wieka, ani zarodek mózgu, ani dusza – trafiają się i psy, i niedźwiedzie, które postępują rozumniej i wykazują więcej charakteru niż człowiek. Nie było to też zawładnięcie ogniem; główny warunek przemiany pojawił się przed tym. W swoim czasie w tych samych warunkach człowiek okazał się silniejszy i bardziej wytrzymały niż jakiekolwiek zwierzę. Powiedzenie „żywotny jak kot” nie jest słuszne w odniesieniu do człowieka. To o kocie należałoby raczej powiedzieć „żywotny jak człowiek”. Koń nie wytrzymuje nawet miesiąca w warunkach tutejszej zimy w chłodnej stajni po wielogodzinnej pracy na mrozie. Chyba że jest to koń jakucki. Ale jakuckich koni nie używa się do takiej pracy. I nie karmi się ich. Podobnie jak renifery, rozgrzebują one kopytami śnieg i wyszczypują zeszłoroczną suchą trawę. A człowiek – żyje. Czyżby nadzieją? Przecież on nie ma nadziei. Jeżeli nie jest durniem, to nie może żyć nadzieją. Dlatego jest tak wielu samobójców. Jednakże uporczywe fizyczne trzymanie się życia, instynkt samozachowawczy, który rządzi jego świadomością – ratuje go. Żyje on tak samo jak kamień, drzewo, ptak czy pies. Ale trzyma się życia mocniej. I wytrzymałością góruje nad każdym zwierzęciem.

O tym wszystkim myślał właśnie Płatonow, stojąc z bierwionem na ramieniu u wrót wejściowych w oczekiwaniu na ponowne przeliczanie. Po przyniesieniu i złożeniu drewna ludzie, cisnąc się, spiesząc i przeklinając, weszli do ciemnego, zbudowanego z drewnianych bali baraku.

Gdy oczy przywykły do ciemności, Płatonow zauważył, że wcale nie wszyscy wychodzili do pracy. W odległym kącie baraku, na prawo, na górnej pryczy, w świetle zawłaszczonej, jedynej w baraku lampy – benzynowego kopcidła bez szkła – siedziało siedmiu czy ośmiu ludzi otaczających dwóch, którzy skrzyżowawszy po tatarsku nogi i położywszy między sobą zatłuszczoną poduszkę, grali w karty. Kopcący kaganek drgał i wydłużał swoim płomieniem chybotliwe cienie grających.

Płatonow przysiadł na skraju pryczy. Czuł łamanie w barkach, a kolana i mięśnie drżały. Dopiero dziś rano przywieziono go do Dżanchary i był to jego pierwszy dzień pracy. Na pryczach nie było wolnego miejsca. Jak wszyscy wyjdą, to się położę – pomyślał Płatonow i zaczął drzemać.

Na górze skończono grać. Czarnowłosy człowiek z wąsikiem i długim paznokciem na lewym małym palcu przewalił się na skraj pryczy.

– Zawołaj no tego „Iwana Iwanowicza” – powiedział.

Kuksaniec w plecy obudził Płatonowa.

– Ty, wołają ciebie.

– No, gdzież on jest, ten Iwan Iwanowicz?! – wołano z górnej pryczy.

– Ja nie jestem Iwan Iwanowicz – powiedział Płatonow, mrużąc oczy.

– Fiedieczka, on nie idzie!

– Jak to nie idzie?

Wypchnięto Płatonowa na światło.

– Czy ty myślisz żyć? – spytał cicho Fiedia, kręcąc przed oczyma Płatonowa odhodowanym, brudnym paznokciem.

– Myślę – odpowiedział Płatonow.

Silne uderzenie pięścią w twarz zwaliło go z nóg. Płatonow podniósł się i wytarł krew rękawem.

– Tak nie można odpowiadać – dobrotliwie wyjaśnił Fiedia. – Czyżby was, Iwanie Iwanowiczu, tak w instytucie uczono odpowiadać?

Płatonow milczał.

– Idź, bydlaku – wycedził Fiedia. – Idź i kładź się przy kiblu. Tam będzie twoje miejsce. A jeśli będziesz krzyczeć, zadusimy.

To nie była czcza pogróżka. Dwukrotnie na oczach Płatonowa w rezultacie jakichś własnych złodziejskich porachunków duszono ludzi ręcznikiem… Płatonow położył się na śmierdzących deskach.

– Ale nudno, koledzy! – powiedział Fiedia, ziewając. – Chociażby który pięty poskrobał, czy co…

– Maszka, hej, Maszka, chodź skrobać pięty Fiedieczce!

W smudze światła pojawił się Maszka, blady, ładniutki, osiemnastoletni złodziejaszek. Zdjął z nóg Fiedieczki znoszone, żółte półbuciki, ostrożnie ściągnął brudne, porwane skarpetki i uśmiechając się, zaczął skrobać Fiedii pięty. Fiedia chichotał, podrygując z łaskotek.

– Poszedł won! – wykrztusił nagle. – Nie potrafisz skrobać, nie umiesz…

– Przecież ja, Fiedieczka…

– Poszedł won, jak ci mówię. Skrobie, drapie bez żadnej delikatności…

Dookoła kiwano ze zrozumieniem głowami.

– Był u mnie na Krzywym taki Żyd. Ten dopiero skrobał pięty. Ten dopiero skrobał! Inżynier!

I Fiedia pogrążył się we wspomnieniach o skrobiącym go w pięty Żydzie.

– Fiedia, posłuchaj, a ten nowy? Nie chcesz spróbować?

– A niech go – powiedział Fiedia. – Czy tacy jak on potrafią skrobać? A zresztą, każcie mu wstać.

Płatonowa wprowadzono w krąg światła.

– Ej, ty, Iwanie Iwanowiczu, podkręć lampę – zadysponował Fiedia. – I będziesz w nocy dorzucał drew do pieca. A rano wyniesiesz kibel. Sprzątający pokaże, gdzie wylać…

Płatonow pokornie milczał.

– Za to – wyjaśnił Fiedia – otrzymasz miseczkę zupki. Ja przecież i tak tej wody nie jem. A teraz idź, śpij.

Płatonow położył się na starym miejscu. Prawie wszyscy spali, przytuliwszy się jeden do drugiego, a nawet w trójkę. Tak było cieplej.

– Ech, nuda, a noce takie długie – przeciągając się, powiedział Fiedia. – Choćby kto jakiś romans cisnął. Ot, u mnie na Krzywym…

– Fiedia, słuchaj, Fiedia, a może ten nowy? Nie chcesz spróbować?

– A właśnie – ożywił się Fiedia. – No, to podnieście go na nogi.

Kazano Płatonowowi wstać.

– Słuchaj – powiedział Fiedia, uśmiechając się prawie przymilnie – trochę się tu pogorączkowałem.

– Nie szkodzi – rzekł przez zęby Płatonow.

– Słuchaj, a romanse ty potrafisz ciskać?

Zmętniałe oczy Płatonowa zabłysły ogniem. Jeszcze by nie! Cała cela w więzieniu śledczym zasłuchiwała się, gdy opowiadał *Hrabiego Drakulę*. Tam jednak byli ludzie. A tutaj? Zostać błaznem na dworze księcia Mediolanu, błaznem, którego żywiono w nagrodę za dobre żarty, a bito za złe? Można jednak na to spojrzeć również z innej strony. Zapozna ich z prawdziwą literaturą. Będzie krzewicielem oświaty. Rozbudzi w nich zainteresowanie dla kunsztu słowa i tutaj, będąc na dnie ludzkiego życia, wypełni swoje dzieło, wykona swój obowiązek. Zgodnie ze starym przyzwyczajeniem Płatonow nie chciał się przyznać przed sobą, że całkiem po prostu będzie dokarmiany, będzie otrzymywał dodatkową zupkę nie za wynoszenie kibla, a za inną, szlachetniejszą pracę. Czyżby? To przecież bliższe jest czochraniu brudnych złodziejskich pięt niż krzewieniu oświaty. Ale przecież głód, chłód, bicie…

Fiedia uśmiechał się w napięciu, oczekując odpowiedzi.

– Potrafię – wymamrotał Płatonow i po raz pierwszy w ciągu tego tak trudnego dnia uśmiechnął się. – Potrafię cisnąć.

– Ach, mój ty kochany – rozweselił się Fiedia – chodź, właź tutaj. Masz tu chlebek. Jutro pożywisz się lepiej. Siadaj tu, na kocu. Masz, zapal.

Niepalącemu od tygodnia Płatonowowi machorkowy niedopałek dostarczył niebywałej rozkoszy.

– A jak ci na imię?

– Andriej – powiedział Płatonow.

– No to, Andrieju, znaczy się, coś dłuższego, mocnego. Tak jak *Hrabia Monte Christo*. O oberżach nie trzeba.

– *Nędznicy* mogą być? – zaproponował Płatonow.

– To o Żanie Walżanie? To mnie na Krzywym ciskali.

– No to może *Klub waletów kierowych* albo *Wampira*?

– Właśnie, właśnie. Dawaj te walety. Uciszcie się, bydlaki! – krzyknął Fiedia.

Płatonow odkaszlnął.

– W Petersburgu roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego popełniono tajemnicze przestępstwo…

Świtało już, gdy Płatonow zupełnie opadł z sił.

– Na tym kończy się pierwsza część – powiedział.

– To rozumiem! – zawołał Fiedia. – Jak on ją! Kładź się tu, razem z nami. Długo wprawdzie nie pośpimy, już świta. Prześpisz się trochę w pracy. Nabieraj sił na wieczór.

Płatonow zasnął.

Wyprowadzano do pracy. Wysoki, wiejski chłopak, który przespał wczorajsze walety kierowe, popchnął ze złością Płatonowa przy przechodzeniu przez drzwi.

– Ty gadzie, nie rozglądaj się!

Natychmiast powiedziano mu coś szeptem na ucho.

Ustawiano się w szeregi, gdy do Płatonowa podszedł ten wysoki chłopak.

– Nie mów Fiedii, że cię uderzyłem. Ja, bratku, nie wiedziałem, żeś ty opowiadacz.

– Nie powiem – odrzekł Płatonow.

TATARSKI MUŁŁA I CZYSTE POWIETRZE

Taki upał panował w więziennej celi, że nie widać było ani jednej muchy. Ogromne, okratowane żelazem okna otwarte były na oścież, ale nie dawało to żadnej ulgi – rozpalony asfalt więziennego podwórca wysyłał w górę fale gorąca i w celi było nawet cieplej niż na zewnątrz. Zrzucono wszystką odzież i setki nagich ciał, buchających ciężkim, wilgotnym żarem, wierciło się na podłodze, ociekając potem – na narach było zbyt gorąco. Więźniowie ustawiali się w samych kalesonach w czasie komendanckich apeli, godzinami sterczeli w ustępach podczas „załatwiania potrzeby", polewając się wodą z umywalni. Pomagało to jednak nie na długo. Ci, którzy z powodu ciasnoty zmuszeni byli leżeć pod pryczami, stali się nagle posiadaczami najlepszych miejsc. Żartowano, w związku z nieuniknionym przygotowywaniem się do „odległych obozów" – żarty były po więziennemu ponure – że to tortura pary przed torturą mrozu.

Tatarski mułła, więzień znajdujący się w śledztwie dotyczącym słynnej sprawy „Wielkiej Tatarii", o której wiedzieliśmy o wiele wcześniej, nim wspomniały o niej gazety, silny jeszcze sześćdziesięciolatek o typie sangwinika, z potężną piersią pokrytą siwymi włosami i żywym spojrzeniu ciemnych oczu, mówił nieustannie, wycierając mokrą szmatą łysą, lśniącą czaszkę.

– Byle tylko nie rozstrzelali. Dadzą dziesięć lat, głupstwo. Taki wyrok przerazić może tylko tego, kto zbiera się żyć do czterdziestki. A ja mam zamiar dożyć osiemdziesięciu lat.

(Mułła, wracając ze „spaceru", wbiegał na czwarte piętro bez żadnej zadyszki).

– Jeżeli dadzą więcej niż dziesięć – ciągnął swoje wywody – to w więzieniu zdołam przeżyć dwadzieścia lat. A w łagrze – tu mułła zamilkł – na czystym powietrzu, to dziesięć.

Przypomniałem sobie dzisiaj tego rzeźwego, mądrego mułłę, gdy ponownie czytałem *Wspomnienia z domu umarłych*. Mułła wiedział, co to

jest „czyste powietrze”.

Mikołaj Morozow i Wiera Figner przebywali w Twierdzy Pietropawłowskiej, przy nadzwyczaj srogim reżimie, przez dwadzieścia pięć lat i wyszli na wolność jako ludzie całkowicie zdolni do pracy. Wiera Nikołajewna, nie zmuszając się do tego, znalazła w sobie siły do dalszej aktywnej pracy dla rewolucji, a potem napisała wielotomowe wspomnienia o przebytych okrucieństwach. Mikołaj Aleksandrowicz z kolei napisał szereg znanych prac naukowych (których zasadniczy trzon stworzył jeszcze w twierdzy) i ożenił się z miłości z jakąś gimnazjalistką.

W łagrze, aby stać się „dochodiagą” – cieniem człowieka, młody, zdrowy człowiek rozpoczynający swą karierę w wyrobisku na „czystym powietrzu” potrzebuje nie mniej niż dwadzieścia do trzydziestu dni przy szesnastogodzinnej pracy bez wolnych dni, przy stałym głodzie, porwanej odzieży i noclegach w dziurawych brezentowych namiotach na sześćdziesięciostopniowym mrozie; bijący dziesiętnicy, bijący starostowie-kryminaliści, bijący konwojenci – przyspieszają nieco ten proces. Sprawdzono to wielokrotnie. Brygady rozpoczynające sezon wydobywania złota i noszące imiona swoich brygadzistów nie zachowują w składzie do końca sezonu ani jednego człowieka z tych, którzy go rozpoczynali. Oczywiście oprócz samego brygadzisty, sprzątającego i jeszcze kogoś z osobistych przyjaciół brygadzisty. Pozostały skład brygady zmienia się kilkakrotnie w ciągu lata. Kopalnia złota nieustannie wyrzuca ludzkie odpady produkcji do szpitali, do tak zwanych brygad ozdrowieńczych, do miasteczek inwalidzkich i na bratnie cmentarze.

Sezon wydobywczy rozpoczyna się piętnastego maja, a kończy piętnastego września. O pracy w zimie nie ma nawet co mówić. Wraz ze zbliżającym się latem podstawowe brygady do pracy formuje się z ludzi nowych, którzy jeszcze nie zimowali.

Więźniowie, po otrzymaniu swojego „terminu”, rwali się z więzienia do łagru. Tam praca, wiejskie powietrze, przedterminowe zwolnienia, możliwość korespondencji i paczek od rodziny, możliwość zarobienia pieniędzy. Człowiek zawsze wierzy w to, co lepsze. Przy szczelinach w drzwiach wagonu towarowego, którym wieziono nas na Daleki Wschód, bez przerwy tłoczyli się pasażerowie więziennego etapu, z upojeniem wdychając poruszane przejazdem pociągu chłodne, przesycone zapachem polnych kwiatów powietrze łagodnego wieczoru. Było ono odmienne od gęstego, pachnącego karbolem i ludzkim potem powietrza więziennej celi, tak znienawidzonej

przez wiele miesięcy śledztwa. W celach tych zostawiano wspomnienia poniżeń i zniewag, wspomnienia, których nie chciano zachować.

Ludzie prostodusznie wyobrażali sobie, że więzienie śledcze jest najbardziej okrutnym przeżyciem, które tak gwałtownie obróciło wniwecz ich egzystencję. W szczególności aresztowanie stało się niesłychanie silnym wstrząsem moralnym. Teraz, wyrwawszy się z więzienia, podświadomie chcieli uwierzyć w wolność, chociażby względną, ale jednak wolność, i życie bez przeklętych krat, bez obrażających i poniżających przesłuchań. Rozpoczynało się nowe życie, bez tego napięcia woli, koniecznego w czasie przesłuchań w śledztwie. Głęboką ulgę sprawiała im świadomość tego, że otrzymany wyrok pozwala nie myśleć, co akurat należy mówić śledczemu, że nie trzeba układać życiowych planów, nie trzeba walczyć o kawałek chleba – poddani bowiem zostali cudzej woli, bez możliwości żadnej zmiany ani opuszczenia tej drogi – wyznaczonej przez błyszczące tory – powoli, lecz nieustępliwie wiodącej na północ.

Pociąg szedł na spotkanie zimie. Każda noc była chłodniejsza od poprzedniej, a zielone, grube liście topoli pociągnięte już były bladą żółcizną. Słońce przestało już tak jaskrawo świecić ani tak nie grzało; jak gdyby jego złocista moc została pochłonięta przez liście topoli, klonów, brzóz i osik. Liście same jarzyły się złocistym światłem. A blade, anemiczne słońce, skrywające się przez większą część dnia za ciepłymi chmurkami, od których jeszcze nie pachniało śniegiem, nie potrafiło nawet ogrzać wagonów. Ale i do śniegu nie było już tak daleko.

Punkt tranzytowy to jeszcze jeden element „marszruty” wiodącej na Północ. Dalekowschodnia zatoka powitała ich niewielką zamiecią. Śnieg jeszcze się nie trzymał – wiatr zdmuchiwał go z przemarzniętych, żółtych urwisk do jam wypełnionych mętną i brudną wodą. Zamiecie tworzyły lekką, przezroczystą siatkę, podobną do sieci rybackiej, której białe nici tworzone przez opad śniegu narzucono na miasto. Nad morzem śniegu w ogóle nie było widać – ciemnozielone, grzywiaste fale nabiegały na oślizłe, zielonkawe kamienie. Patrząc z góry na stojący na redzie parowiec, można było mieć złudzenie, że jest załadowany; i nawet kiedy ich podwieziono kutrem pod samą burtę i gdy wdrapali się jeden za drugim na pokład, aby od razu się rozproszyć i zniknąć w gardzielach ładowni – nawet wtedy parowiec wydał się nieoczekiwanie mały, tak wiele wody go okrążało.

Po pięciu dniach wyładowano ich na surowym, posępnym brzegu, gdzie rozpoczyna się tajga, i rozwieziono ciężarówkami do tych różnych miejsc,

gdzie mieli żyć i przeżyć.

Zdrowe wiejskie powietrze pozostawili za morzem. Tu otaczało ich przepojone zapachem błot, rozrzedzone powietrze tajgi. Stożkowate wzgórza pokryte były warstwą błota i tylko ich niezalesione miejsca połyskiwały nagim, wypolerowanym przez burze i wiatry wapieniem. Nogi tonęły w grząskim mchu i rzadko kiedy w ciągu lata były suche. Zimą wszystko skuwał lód. Pięćdziesięciostopniowy mróz skuwał wszystko w jedną całość – złowieszczą i nieprzyjazną; a góry i rzeki, i błota zdawały się być jakąś jedną istotą.

Dla sercowców powietrze było latem zbyt ciężkie, zimą zaś nie do wytrzymania. W czasie wielkich mrozów ludzie oddychali nierówno. Tutaj nikt nie poruszał się biegiem, chyba tylko bardzo młodzi; a i to nie biegiem, tylko jakimiś zrywami.

Twarze oblepiały chmury komarów – bez siatki nie można było zrobić kroku. W czasie pracy trudno było przez nią oddychać, a na uniesienie jej nie pozwalały komary.

Pracowali wtedy po szesnaście godzin na dobę i normy były obliczone na szesnaście godzin. Jeśli uwzględnić, że ranne wstawanie, posiłek, wyprowadzenie do pracy i dojście na miejsce zajmują minimum półtorej godziny, to na sen, po ciężkiej, morderczej fizycznej pracy na świeżym powietrzu, zostawały tylko cztery godziny. Człowiek zasypiał natychmiast, z chwilą gdy przestawał się ruszać, lecz udawało się także zasypiać, stojąc, a nawet w marszu. Brak snu zabierał więcej sił niż głód. Niewykonanie normy groziło karą w postaci czterystu gramów chleba na dzień i pozbawienia zupy – „bałandy”.

Z pierwszą iluzją rozprawiono się szybko. Była to iluzja pracy, tej pracy, o której nad wrotami wszystkich łagrów głosił ustawowy napis: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa”. Ale łagier nie potrafił zaszczepić miłości do pracy – jedynie nienawiść i wstręt.

Raz w miesiącu obozowy listonosz odwoził do ocenzurowania nagromadzoną korespondencję. Listy szły z kontynentu i na kontynent po pół roku – jeżeli w ogóle szły. Paczki wydawano tylko tym, którzy wykonali normę, pozostałe podlegały konfiskacie. Wszystko to w żadnym wypadku nie było bezprawiem. Na ten temat czytano odpowiednie zarządzenia, a w szczególnie ważnych przypadkach wszyscy musieli złożyć podpis pod zarządzeniem. Nie był to wybryk dzikiej fantazji jakiegoś naczelnika-degenerata, było to zarządzenie z góry.

Jeżeli jednak paczki do kogoś docierały (można było na przykład obiecać jedną połowę zawartości paczki jakiemukolwiek łagrowemu nadzorcy, a drugą wówczas otrzymać samemu), to nie było takiej przesyłki gdzie zanieść. W baraku błatniacy tylko czekali, żeby na oczach wszystkich odebrać paczkę i podzielić się ze swoimi „Wanieczkami" i „Sienieczkami". Trzeba ją było natychmiast zjeść (co fizycznie niemożliwe) lub sprzedać. Nabywców było ilu tylko chcieć: dziesiętnicy, naczelnicy, lekarze.

Było jeszcze trzecie wyjście, najbardziej rozpowszechnione. Paczki oddawało się na przechowanie swoim znajomym z łagru czy też z więzienia, pracującym na różnych stanowiskach i w miejscach, gdzie można było paczki schować i zamknąć. Oddawano też komukolwiek z wolnych pracowników. I w jednym, i w drugim przypadku zawsze jednak istniało ryzyko – nikt nie wierzył w rzetelność owych powierników, ale był to jedyny sposób ratowania otrzymanych przesyłek.

Pieniędzy nie płacono wcale. Ani kopiejki. Płacono tylko najlepszym brygadzistom, ale i to były śmiechu warte sumy, niemogące w niczym pomóc. Wielu brygadzistów postępowało w taki sposób: to, co brygada wypracowała, zapisywali na konto dwóch, trzech ludzi, dając im taki procent wykonania normy, za który przysługiwała premia pieniężna. Pozostałym dwudziestu, trzydziestu ludziom w brygadzie przypadała w udziale karna norma żywnościowa. Było to sprytne rozwiązanie. Gdyby rozdzielić ten zarobek po równo – nikt nie dostałby kopiejki. A w ten sposób otrzymywało go dwóch, trzech ludzi, wybieranych zupełnie przypadkowo, często bez udziału brygadzisty, przy sporządzaniu raportu.

Wszyscy wiedzieli, że normy są nie do wykonania, że zarobków pieniężnych nie ma i nie będzie, mimo to chodzono w ślad za dziesiętnikiem, interesując się urobkiem, czy biegano naprzeciw kasjerowi, zachodzono do biura po informacje.

Cóż to więc takiego? Czyżby to było pragnienie, aby przedstawić się jako prawdziwi „robociarze", czy też podnieść swoją reputację w oczach kierownictwa? A może całkiem po prostu było to jakieś psychiczne zboczenie na tle spadku wyżywienia i ogólnej słabości? To ostatnie chyba najbardziej prawdopodobne.

Jasne, ciepłe, czyste więzienne powietrze, tak jeszcze niedawno i jednocześnie nieskończenie dawno opuszczone, wydawało się wszystkim, absolutnie wszystkim, najlepszym miejscem na ziemi. Zapominano wszystkie więzienne urazy i wszyscy z entuzjazmem wspominali, jak to słuchali

wykładów prawdziwych uczonych i opowiadań ludzi bywałych w świecie, jak czytali książki, jak spali i jedli do syta, chodzili do cudownej, pachnącej farbą więziennej łaźni, jak wyraźnie czuli, że ich rodziny znajdują się tutaj blisko, za podwójnymi żelaznymi wrotami, jak mówili swobodnie, o czym tylko chcieli (w łagrze należy się za to dodatkowy wyrok), nie bojąc się ani szpiegów, ani nadzorców. Więzienie śledcze wydawało im się bliższe niż dom rodzinny i niejeden, choć zostało mu niewiele dni życia, mówił w rozmarzeniu, leżąc na szpitalnym łóżku: „Chciałbym, oczywiście, zobaczyć się jeszcze z rodziną, wyjechać stąd. Ale jeszcze bardziej chciałbym trafić do celi więzienia śledczego – tam było lepiej i ciekawiej niż w domu. I teraz dopiero opowiadałbym wszystkim znajomym, czym jest czyste powietrze”.

Do tego trzeba dodać szkorbut (na który chorowali prawie wszyscy), stający się jak za czasów Beringa groźną, niebezpieczną epidemią, porywającą dziesiątki istnień; dyzenterię, ponieważ jedzono wszystko, co udało się znaleźć, w dążeniu do napełnienia żołądka, zbierając kuchenne odpadki z wysypisk gęsto pokrytych muchami; pelagrę – tę chorobę biedaków, wycieńczenie organizmu, objawiające się tym, że skóra na stopach i dłoniach schodziła jak stara rękawiczka, na całym ciele łuszczyła się w postaci płatków przypominających odciski daktyloskopijne; i wreszcie słynną dystrofię głodową – chorobę głodujących, którą dopiero po blokadzie Leningradu zaczęto nazywać właściwym imieniem. Przedtem nosiła ona różne nazwy: OWF – tajemnicze litery figurujące w historiach chorób, oznaczające ostre wyczerpanie fizyczne; częściej jednak – poliawitaminoza, piękna łacińska nazwa mówiąca o braku całego szeregu witamin w organizmie ludzkim, a uspokajająca lekarzy tym, że znaleźli wywodzącą się z łaciny wygodną i uprawnioną formę mówienia o skutkach zawsze tego samego, głodu.

Nieopalane, wilgotne baraki, gdzie wszystkie szczeliny pokryte były od zewnątrz grubą warstwą lodu, podobną do stearyny spływającej z jakiejś ogromnej świecy w rogu baraku, marna odzież i głodowe porcje, odmrożenia – męki, których skutki pozostaną już na zawsze, nawet bez uciekania się do amputacji. Jeśli wyobrazić sobie, ile przy tym, w owych pokrytych błotem górach, tak zgubnych dla sercowców, musiało pojawić się zachorowań na grypę, zapaleń płuc, różnego rodzaju przeziębień i gruźlicy. Jeśli przypomnieć całe epidemie samookaleczeń. Jeśli jeszcze uwzględnić zarówno

ogromną moralną udrękę, jak i brak nadziei, to jasno widać, jak „czyste powietrze” górowało nad więzieniem, zagrażając ludzkiemu życiu.

Dlatego nie ma co polemizować z Dostojewskim na temat „pracy” na katordze w porównaniu z więzienną bezczynnością i zalet „czystego powietrza”. Czasy Dostojewskiego to inne czasy i katorga nie wzniosła się wówczas na te wyżyny, o których będzie mowa. Trudno sobie to wcześniej dokładniej wyobrazić, dlatego że wszystko to jest zbyt niezwykłe i nieprawdopodobne, a biedny ludzki mózg nie może po prostu stworzyć konkretnego wyobrażenia o tym życiu, o którym mgliste, słabo zarysowane, chwiejne pojęcie miał znajomy z więzienia – tatarski mułła.

TERMOMETR GRISZKI ŁOGUNA

Ogarnęło nas takie zmęczenie, że przed odejściem do domu usiedliśmy wprost na śniegu przy drodze.

Zamiast wczorajszych czterdziestu stopni było ich zaledwie dwadzieścia i dzień wydawał się letni.

Obok nas przeszedł ubrany w kożuszek Griszka Łogun, kierownik robót z sąsiedniego odcinka, trzymając w ręku nowy trzonek od kilofa. Griszka był młody, gorący, zadziwiająco czerwonolicy. Wywodził się z dziesiętników, a nawet z młodszych dziesiętników, i częstokroć nie mógł się powstrzymać, by samemu nie podeprzeć grzęznącego w śniegu samochodu, nie pomóc dźwignąć jakiejś kłody lub nie ruszyć z miejsca przymarzniętego do gruntu kosza pełnego ziemi; były to postępki jawnie nielicujące z funkcją kierownika robót. On stale zapominał, kim jest.

Szła mu naprzeciw brygada Winogradowa – robociarze byle jacy, tak jak i my. Jej skład osobowy był dokładnie taki sam jak u nas: byli sekretarze komitetów wojewódzkich i miejskich, profesorowie, docenci, wojskowi średniej rangi…

Ludzie bojaźliwie zbili się w gromadkę przy śnieżnym obrzeżu, chcąc zrobić przejście Griszce Łogunowi, on jednak zatrzymał się – brygada pracowała na jego odcinku.

Z grupy wysunął się Winogradow – gaduła, były dyrektor jednego z ukraińskich POM-ów.

Łogun zdążył już znacznie oddalić się od tego miejsca, gdzie siedzieliśmy, i jego głos do nas nie docierał. Ale i bez słów wszystko było zrozumiałe. Winogradow objaśniał coś Łogunowi, wymachując rękami. Potem Łogun pchnął Winogradowa w pierś trzonkiem kilofa i ten upadł na wznak. Nie podnosił się. Łogun skoczył na niego nogami, depcząc i wymachując trzonkiem. Żaden z dwudziestu członków brygady Winogradowa nie ruszył się w obronie swego brygadzisty. Łogun podniósł z ziemi czapkę, która mu spadła z głowy, pogroził pięścią i ruszył przed siebie. Winogradow zaś wstał i poszedł jak gdyby nic. Również pozostali – brygada przechodziła

mimo nas – nie wyrażali ani swego współczucia, ani oburzenia. Zrównawszy się z nami, Winogradow skrzywił rozbite, krwawiące wargi.

– No, termometr to ma ten Łogun – powiedział, mając na myśli trzonek kilofa.

– Tak deptać – to po błatniacku „tańczyć”. Albo: „Ach w tej sieni, mojej sieni”.

– No – rzekłem do Wawiłowa, mego przyjaciela, z którym razem przyjechałem do kopalni aż z samego więzienia na Butyrkach – i co ty na to? Trzeba coś przedsięwziąć. Do wczoraj nas jeszcze nie bito. Mogą to zrobić jutro. Co byś zrobił, gdyby Łogun potraktował cię tak jak Winogradowa? Co?

– Pewnie wytrzymałbym – odparł cicho Wawiłow.

Zrozumiałem, że od dawna już zastanawiał się nad tym, co nieuchronne.

Potem i ja pojąłem, że wszystko polega na przewadze fizycznej, jeżeli odnieść to do brygadzistów, sprzątających, nadzorców – wszystkich funkcyjnych nienoszących broni. Dopóki jestem silniejszy, nikt mnie nie uderzy. Jeżeli osłabłem, bije mnie każdy. Bije sprzątający, bije łaziebny, fryzjer i kucharz. Dziesiętnik i brygadzista, bije każdy błatniak, nawet najsłabszy. Natomiast fizyczna przewaga konwojenta to jego karabin.

Siła bijącego mnie naczelnika to prawo i sąd, i trybunał wojskowy, i straż obozowa, i wojsko. Nietrudno mu być silniejszym ode mnie. Siła błatniaków leży w ich liczbie, ich „kolektywie”, w tym, że mogą po paru słowach zarżnąć człowieka (jak widziałem to wiele razy). Ale ja też jeszcze jestem silny. Może mnie bić naczelnik, konwojent, błatniak. Sprzątający, dziesiętnik, fryzjer jeszcze mnie bić nie zdołają.

Niegdyś Polański, w przeszłości działacz sportowy, otrzymujący wiele paczek, który nigdy nie podzielił się z nikim najmniejszym kawałkiem, mówił mi w formie zarzutu, że zupełnie nie rozumie, jak ludzie mogą doprowadzić się do takiego stanu, że ich biją – i obruszał się, gdy byłem innego zdania. Nie minął jednak rok, a spotkałem Polańskiego już jako „dochodiagę”, „knota” zbierającego niedopałki, szukającego okazji, aby podrapać pięty przed nocą jakimś błatniackim wodzom – „pachanom”.

Polański był uczciwy. Targały nim jakieś tajemne męczarnie, tak silne, ostre, drążące, że zdołały się przebić przez lód, przez śmierć, przez obojętność i bicie, przez głód, bezsenność i strach.

Kiedyś wydarzył się dzień świąteczny, a w święta sadzano nas pod klucz – nazywało się to świąteczną izolacją – i byli ludzie, którzy spotykali się,

poznawali wzajemnie, zaczynali darzyć zaufaniem właśnie na tych „izolacjach”. Jakkolwiek okropna byłaby izolacja, jaka bądź poniżająca – była jednak dla więźniów z pięćdziesiątego ósmego paragrafu lżejsza niż praca. Przecież izolacja była wypoczynkiem – choćby chwilowym. Któż wtedy był w stanie się zorientować, czy właśnie minuta, doba czy rok lub stulecie potrzebne są nam, aby odzyskać kondycję fizyczną? Bo na powrót do poprzedniego stanu ducha nie liczyliśmy. I tak się oczywiście działo.

– Od dawna chcę cię o coś spytać.

– Cóż to takiego?

– Gdy przed paru miesiącami patrzyłem na ciebie, jak chodzisz, jak nie możesz przekroczyć leżącej na drodze kłody, którą przekroczyłby pies, i obchodzisz ją, jak szurasz nogami po kamieniach i jak najmniejsza nierówność, nieznaczny wzgórek napotkany na drodze wydaje ci się przeszkodą nie do pokonania, wywołującą bicie serca, zadyszkę i wymagającą dłuższego odpoczynku, myślałem: to symulant, to spryciarz, doświadczona swołocz, próżniak.

– No, a potem zrozumiałeś?

– Potem zrozumiałem. Pojąłem, kiedy sam osłabłem. Gdy wszyscy poczęli mnie szturchać, bić; a dla człowieka nie ma nic przyjemniejszego niż świadomość, że ktoś jest jeszcze słabszy, w gorszym stanie.

– Dlaczego przodowników zaprasza się na zebrania, dlaczego siła fizyczna stanowi miarę moralną? Fizycznie silniejszy oznacza, że lepszy ode mnie, cenniejszy moralnie. No bo jakżeby. Podnosi głaz ważący dziesięć pudów, a ja zginam się pod półpudowym kamieniem.

– Ja to wszystko zrozumiałem i chcę ci o tym powiedzieć.

– Dzięki i za to.

Wkrótce potem Polański zmarł, upadł gdzieś tam na wyrobisku. Uderzył go pięścią w twarz brygadzista. Brygadzistą tym był nie Griszka Ługun, lecz swój, Firsow, wojskowy z pięćdziesiątego ósmego paragrafu.

Ja sam doskonale pamiętam, kiedy uderzono mnie po raz pierwszy. Pierwszy z setek tysięcy razów otrzymywanych w dzień i w nocy.

Zapamiętać wszystkie razy to niemożliwe, ale pierwsze uderzenie pamiętam dobrze – byłem nawet na to przygotowany, ponieważ widziałem zachowanie Griszki Łoguna i pokorę Wawiłowa.

Pośród głodu i chłodu, czternastogodzinnego roboczego dnia w mroźnej mgle kamienistego wyrobiska złota błysnęło nagle coś innego, jakieś szczę-

ście, jakaś jałmużna wetknięta po drodze – nie jałmużna chleba czy lekarstwa, ale czasu, dodatkowego wypoczynku.

Nadzorcą górniczym, dziesiętnikiem na naszym odcinku, był Zujew, „wolniaszka", były więzień, który zaznał łagru. Było coś takiego w czarnych oczach Zujewa, jak gdyby wyraz jakiegoś współczucia dla nieszczęsnego ludzkiego losu.

Władza to deprawacja. Spuszczone z łańcucha zwierzę ukryte w duszy człowieka szuka pożądliwie wypełnienia swej ludzkiej treści w biciu i zabójstwach.

Nie wiem, czy może sprawiać zadowolenie podpis na wyroku skazującym na rozstrzelanie. Pewnie w tym również kryje się ponura rozkosz, imaginacja nieszukająca usprawiedliwienia.

Widziałem ludzi, wielu ludzi, którzy kiedyś rozkazywali rozstrzeliwać, a teraz zabijano ich samych. Sama w nich już tylko tchórzliwość i krzyk: „To przecież jakaś omyłka!", „To nie ja!", „Ja sam umiem zabijać tego, kogo trzeba zgładzić w interesie państwa!"

Nie znam ludzi, którzy wydawali rozkazy dotyczące rozstrzelań. Widziałem ich tylko z daleka. Myślę jednak, że wydanie takiego rozkazu opiera się na istnieniu tych samych stanów duszy, tych samych sił duchowych, co rzeczywiste rozstrzelanie, własnoręczne zabójstwo.

Władza to deprawacja.

Upojenie władzą nad ludźmi, bezkarność, znęcanie się, poniżenia i zachęty to moralna miara służbowej kariery naczelnika.

Lecz Zujew był taki w mniejszym stopniu niż inni – mieliśmy szczęście.

Dopiero co przyszliśmy do pracy i brygada stłoczyła się w „zaciszu", schowała się przed ostrym, tnącym wiatrem za występ skalny. Zakrywając twarz rękawicami, podszedł do nas Zujew, dziesiętnik. Rozprowadzono nas do różnych prac, do różnych wykopów, a ja pozostałem bez zajęcia.

– Mam do ciebie prośbę – powiedział Zujew, dławiąc się własną śmiałością. (Prośbę! To nie rozkaz!) – Napisz mi podanie do Kalinina. Żeby skreślono karalność. Powiem ci, w czym rzecz…

Miało to być w maleńkiej budce dziesiętnika, gdzie palił się piecyk i dokąd nasz ludek nie był wpuszczany; wyganiano kuksańcami, szturchańcami każdego robociarza, który ośmielił się otworzyć drzwi, aby choć trochę, przez chwilę odetchnąć tym gorącym, życiodajnym powietrzem. Ale zwierzęcy instynkt wiódł nas wciąż do owych upragnionych drzwi. Wymyślano prośby i zapytania: Powiedzcie, która godzina? Czy wykop pójdzie

w prawo, czy w lewo? Pozwólcie przypalić! Nie ma tu Zujewa? A Dobriakowa?

Lecz prośby nie myliły nikogo w budce. Tych, co chcieli wejść, wyszturchiwano z otwartych drzwi. Mimo wszystko, ta chwila ciepła…

Mnie teraz nie goniono, siedziałem przy samym piecyku.

– Cóż to, jesteś prawnikiem? – syknął ktoś pogardliwie.

– Tak, polecił mnie Paweł Iwanowicz.

– No dobrze. – Starszy dziesiętnik pobłażliwie potraktował potrzebę swojego podwładnego.

Sprawa Zujewa (skończył odsiadkę w zeszłym roku) była najzwyklejszą wiejską sprawą o płacenie alimentów rodzicom – oni właśnie wsadzili go do więzienia. Do zakończenia terminu pozostawało już niewiele, ale naczalstwo zdążyło przerzucić Zujewa na Kołymę. Kolonizacja kraju wymaga trzymania się twardej linii, stwarzania wszelkiego rodzaju przeszkód przy próbach wyjazdu, okazywania pomocy państwa i poświęcania uwagi wszystkiemu, co związane jest z przyjazdem i przywożeniem ludzi na Kołymę. Transport więźniów to najprostszy sposób zaludniania nowego, trudnego terytorium.

Zujew chciał odejść z pracy w Dalstroju, prosił o skreślenie karalności i wypuszczenie go chociażby na „kontynent”.

Pisanie sprawiało mi trudność i to nie dlatego, że zgrubiały mi ręce, że palce zginały się w kształt trzonka łopaty czy kilofa i nieprawdopodobnie trudno dawały się rozginać. Jedyne, co można było zrobić, to owinąć ołówek czy pióro grubszymi szmatkami, aby uczynnić te drzewca.

Jak tylko na to wpadłem, byłem gotów do pracy. Pisanie sprawiało mi trudność również dlatego, że podobnie do rąk miałem zgrubiały mózg; dlatego, że tak jak ręce, mózg ociekał krwią. Trzeba było ożywić, wskrzesić słowa, które dawno uleciały z mojego życia i – jak sądziłem – na zawsze.

Zapisywałem ten papier, pocąc się i ciesząc. W budce było gorąco, od razu poruszyły się i zaczęły pełzać po ciele wszy. Bałem się poskrobać, żeby – jako zawszonego – nie wyrzucono mnie na mróz; bałem się obudzić wstręt w swoim wybawcy.

Pod wieczór ukończyłem to zażalenie do Kalinina. Zujew podziękował mi i wsunął do ręki porcję chleba. Należało ją natychmiast zjeść. Zresztą, nic, co można zjeść od razu, nie powinno być odkładane do jutra – tego mnie już nauczono.

Dzień się kończył – według zegarków dziesiętników, bo biała mgła była jednakowa i rano, i o północy, i w południe – poprowadzono nas więc do domu.

Spałem i, jak zawsze dotychczas, śniłem swój stały kołymski sen: bochenki chleba, które płynęły w powietrzu, zapełniały wszystkie ulice, całą ziemię.

Z rana oczekiwałem spotkania z Zujewem – może da zapalić.

I Zujew przyszedł. Nie kryjąc się przed brygadą i konwojem, wrzasnął, wyciągając mnie z zacisza na wiatr:

– Oszukałeś mnie, psie!

W nocy przeczytał podanie. Nie spodobało mu się. Jego sąsiedzi, dziesiętnicy, także przeczytali i nie zaaprobowali tego podania. Zbyt suche. Za mało łez. Takiego podania nie ma nawet co posyłać. Takim byle czym nie rozczuli się Kalinina.

Ja nie mogłem, nie potrafiłem wycisnąć ze swego wysuszonego przez łagier mózgu ani jednego zbędnego słowa. Nie udało mi się zagłuszyć nienawiści. Nie poradziłem sobie z tą pracą i to nie dlatego, że istniała zbyt wielka przepaść między wolnością i Kołymą, nie dlatego, że mózg mój był zmęczony i chory, lecz dlatego, że tam, gdzie powinny kryć się w nim przymiotniki wyrażające uniesienie, nie było niczego oprócz nienawiści. Pomyślcie, jak biedny Dostojewski przez całe dziesięć lat swojej sybirskiej żołnierki, już po napisaniu *Wspomnień z domu umarłych*, słał żałosne, łzawe, poniżające, ale poruszające duszę władz listy. Dostojewski pisał nawet wiersze do carycy. W „Domu umarłych” nie było jednak Kołymy. Dostojewskiego dosięgłaby niemota, ta sama niemota, która nie dała mi napisać podania Zujewowi.

– Oszukałeś mnie, ty psie! – ryczał Zujew. – Ja ci pokażę, co znaczy mnie oszukiwać!

– Ja nie oszukiwałem…

– Cały dzień przesiedział w budce, w cieple! Ja narażam się na wyrok przez ciebie, ty gadzie, przez twoje markieranctwo! Myślałem, żeś ty człowiek!

– Ja jestem człowiekiem – wyszeptałem niepewnie sinymi, poodmrażanymi wargami.

– Zaraz ci pokażę, jaki z ciebie człowiek!

I Zujew wyrzucił rękę, a ja poczułem lekkie, prawie nieważkie dotknięcie, nie bardziej silne niż podmuch wiatru, który nie raz zbijał mnie z nóg

w tym samym wykopie.

Upadłem i zakrywając twarz rękami, zlizałem językiem coś słodkiego, lepkiego, co pojawiło się na skraju warg.

Zujew przyłożył mi kilka razy w bok walonkami, ale mnie to nie bolało.

PIERWSZA ŚMIERĆ

Wiele śmierci widziałem na Północy, chyba nawet za wiele jak na jednego człowieka, ale pierwszą, jaką widziałem, zapamiętałem na całe życie.

Tej zimy musieliśmy pracować na nocnej zmianie. Na czarnym niebie widzieliśmy maleńki, jasnoszary księżyc, otoczony tęczową aureolą. Słońca nie widywaliśmy wcale – przychodziliśmy do baraku (nie do domu – domem nikt go nie nazywał) w ciemnościach i wychodzili z niego też, gdy było jeszcze ciemno. Zresztą słońce ukazywało się na tak krótko, że nie potrafiło nawet obejrzeć ziemi poprzez białą, gęstą tkaninę mroźnej mgły. Położenie słońca określaliśmy, zgadując – nie dawało ani światła, ani ciepła.

Musieliśmy daleko chodzić do kopalni dwa, trzy kilometry, droga prowadziła między dwoma ogromnymi, wysokimi na trzy sążnie zwałami śniegu – tej zimy naniosło go bardzo dużo i po każdej zawiei trzeba było kopalnię odgrzebywać. Żeby umożliwić przejazd samochodom, tysiące ludzi wychodziło z łopatami. Wszystkich pracujących przy odśnieżaniu okrążał zmieniający się konwój z psami i trzymał ich okrągłą dobę przy pracy, nie zezwalając na ogrzanie się ani na zjedzenie czegokolwiek w cieple. Konie dowoziły przemarznięte chlebowe „racje”, a czasem, jeżeli praca się przeciągała, również konserwy – po jednej puszce na dwóch. Tymi samymi końmi odwożono do łagru chorych i tych, co zupełnie osłabli. Puszczano dopiero wtedy, kiedy praca była skończona – po to, aby mogli się wyspać i ponownie wyjść na mróz do swej „prawdziwej” roboty. Spostrzegłem wtedy coś zadziwiającego – w takiej wielogodzinnej pracy ciężko i bardzo trudno jest tylko przez pierwszych siedem-osiem godzin. Potem traci się poczucie czasu, podświadomie jedynie uważając, żeby nie zamarznąć: drepczesz na miejscu, machasz łopatą, o niczym nie myśląc, niczego się nie spodziewając.

Zakończenie takiej pracy bywa zawsze czymś nieoczekiwanym, nagłym szczęściem, na które jakbyś w ogóle nie śmiał liczyć. Wszyscy stają się weseli, hałaśliwi i na jakiś czas nie ma już głodu ani śmiertelnego zmęcze-

nia. Szybko uformowawszy się w szeregi, wszyscy wesoło biegną do „domu”. A po bokach wznoszą się nasypy ogromnego śnieżnego okopu, wały odcinające nas od całego świata.

Zamieci już dawno nie było, sypki śnieg osiadł, sprasował się i wydawał się jeszcze bardziej mocny i twardy. Można było iść po grzbiecie wału, zupełnie się nie zapadając. Z obu stron przecinały je w kilku miejscach biegnące w poprzek drogi.

Na obiad przychodziliśmy o drugiej w nocy, wypełniając barak hałasem przemarzniętych ludzi, szczękiem łopat, głośnym gwarem tych, którzy dopiero co przyszli z dworu, gwarem, który stopniowo cichnie i gaśnie, powracając do normalnego poziomu ludzkiej mowy. Nocą obiad był zawsze w baraku, a nie w wymrożonej stołówce z wybitymi szybami, której wszyscy nienawidziliśmy. Po obiedzie ci, co mieli machorkę, zapalali, a tym, co nie mieli, koledzy zostawiali „popalić” i w rezultacie każdy zdążył „podyszeć dymem”.

Nasz brygadzista, Kola Andriejew, były dyrektor MTS – stacji naprawy traktorów i samochodów, a obecnie prawdziwy więzień, zasądzony na dziesięć lat według modnego pięćdziesiątego ósmego paragrafu, chodził zawsze na czele brygady i zawsze szybko. Nasza brygada chodziła bez konwoju. Brakowało go w owych czasach – tym dało się tłumaczyć to „zaufanie” naczalstwa. Jednakże, chociaż to bardzo naiwne, poczucie własnej odrębności, możliwość chodzenia bez konwoju, stanowiły coś istotnego. Takie chodzenie do pracy wszystkim się rzeczywiście podobało, było przedmiotem dumy i przechwałek. Brygada naprawdę pracowała lepiej niż potem, kiedy starczało konwojentów, i brygadę Andriejewa zrównano w prawach ze wszystkimi.

Tej nocy Andriejew prowadził nas nową drogą – nie dołem, lecz wprost, grzbietem śnieżnego nasypu. Widzieliśmy migotanie złotych ogników kopalni, ciemny masyw lasu i stapiające się z niebem dalekie wierzchołki wzgórz. Po raz pierwszy nocą ujrzeliśmy z daleka nasze miejsce zamieszkania.

Dochodząc do skrzyżowania dróg, Andriejew nagle skręcił ostro w prawo i zbiegł w dół, wprost po śniegu. Za nim, pokornie powtarzając jego niezrozumiałe ruchy, posypali się w dół ludzie całą hurmą, grzechocząc łomami, kilofami, łopatami – narzędzi nigdy nie pozostawiano w pracy, kradziono je tam, a za utratę narzędzia groziła kara.

Dwa kroki od skrzyżowania stał człowiek w mundurze. Był bez czapki, krótkie ciemne włosy miał jakby zjeżone i przysypane śniegiem, a szynel rozpięty. Trochę dalej, wprowadzony wprost w głęboki śnieg, stał koń zaprzężony w lekkie sanie z koszem.

A koło nóg tego człowieka leżała na wznak kobieta. Futerko było rozpięte, a pstra sukienka pomięta. Koło głowy walał się pognieciony czarny szal, wdeptany w śnieg podobnie jak jasne włosy kobiety, prawie białe w księżycowym świetle. Chudziutka szyja była obnażona, a z prawej i lewej strony występowały ciemne, owalne plamy. Twarz była biała, bezkrwista i dopiero gdy się przypatrzyłem, rozpoznałem Annę Pawłowną, sekretarkę naczelnika naszej kopalni.

Wszyscy znaliśmy ją dobrze z widzenia – na kopalni było mało kobiet. Przed sześcioma miesiącami, latem, przechodziła wieczorem koło naszej brygady i jej chudziutką figurkę długo odprowadzały zachwycone spojrzenia aresztantów. Uśmiechnęła się do nas wtedy i wskazała na słońce, ociężale już opuszczające się ku zachodowi.

– Już niedługo, chłopcy, niedługo! – krzyknęła.

Jak łagrowe konie, przez cały roboczy dzień myśleliśmy tylko o momencie jego zakończenia. I to właśnie tak nas wzruszyło, że te nasze nieskomplikowane myśli zostały tak dobrze zrozumiane, a do tego jeszcze, według naszych ówczesnych pojęć, przez tak piękną kobietę. Nasza brygada lubiła Annę Pawłowną.

A teraz leżała przed nami martwa, uduszona rękami człowieka w mundurze, który z zakłopotaniem i jednocześnie z dzikim przerażeniem w oczach rozglądał się dokoła. Jego znałem znacznie lepiej. To był nasz śledczy z kopalni, Sztiemienko, który wielu więźniów „obdarzył sprawami”. Niestrudzenie przesłuchiwał, najmował za machorkę lub miskę zupy fałszywych świadków, werbując ich spośród wygłodniałych więźniów. Jednych zapewniał, że państwo tego wymaga, by kłamali, niektórym groził, innych przekupywał. Nie zadawał sobie trudu, aby przed momentem aresztowania swojego nowego obiektu śledztwa poznać go osobiście, wezwać do siebie, chociaż wszyscy mieszkali na terenie tej samej kopalni.

To właśnie Sztiemienko był tym „naczelnikiem”, który odwiedzając nasz barak przed trzema miesiącami, poniszczył wszystkie aresztanckie „kociołki” zrobione z puszek od konserw – gotowano w nich wszystko, co tylko można było ugotować i zjeść. Noszono w nich obiad ze stołówki – żeby zjeść go, siedząc i na gorąco, podgrzawszy na piecyku we własnym

baraku. Jako zwolennik czystości i dyscypliny, Sztiemienko zażądał, aby podano mu kilof i własnoręcznie poprzebijał denka kociołków.

Teraz, spostrzegłszy Andriejewa dwa kroki od siebie, chwycił za kaburę pistoletu, lecz zobaczywszy tłum ludzi uzbrojonych w łomy i kilofy, nie wyciągnął jednak broni. Ale już wiązano mu ręce. Robiono to z zaciekłością – węzeł został tak mocno zaciągnięty, że trzeba było potem sznur rozcinać nożem.

Zwłoki Anny Pawłownej położono do kosza sań i ruszono do osady, do domu naczelnika kopalni. Nie wszyscy tam poszli z Andriejewem – wielu rzuciło się co prędzej do baraku, do zupy.

Naczelnik długo nie otwierał, gdy dostrzegł przez okno tłum aresztantów zebranych przed jego domem. Na koniec Andriejewowi udało się wyjaśnić, o co chodzi, i razem ze związanym Sztiemienką i dwoma więźniami weszli do środka.

Tej nocy jedliśmy obiad bardzo długo. Andriejewa zaś ciągali na przesłuchania. Potem przyszedł, zarządził wyjście do pracy i poszliśmy.

W niedługim czasie Sztiemienkę skazano na dziesięć lat za zabójstwo z zazdrości. Kara była minimalna. Sądzono go w naszej kopalni i po wyroku dokądś go wywieziono. Byłych naczelników łagrów trzymają w takich przypadkach gdzieś oddzielnie – nikt ich nigdy nie spotykał w zwykłych łagrach.

CIOCIA POLA

Ciocia Pola umarła w szpitalu na raka żołądka w wieku pięćdziesięciu lat. Sekcja potwierdziła diagnozę lekarza, który ją leczył. Zresztą w naszym szpitalu diagnoza patologiczno-anatomiczna rzadko kiedy nie pokrywa się z kliniczną – tak właśnie bywa w najlepszych i najgorszych szpitalach.

Nazwisko cioci Poli znano tylko w biurze. Nawet żona naczelnika, u którego ciocia Pola była „sprzątającą”, czyli służącą, nie pamiętała jej nazwiska.

Wszyscy wiedzą, kim jest sprzątający czy sprzątająca, ale nie wszyscy wiedzą, kim oni mogą być. Zaufana osoba niedostępnego władcy tysięcy ludzkich istnień; świadek jego słabości i ciemnych stron jego osobowości. Człowiek znający mniej świetlane sekrety jego domu. Niewolnik, ale też nieodłączny uczestnik podwodnej czy podziemnej wojny domowej; uczestnik lub co najmniej obserwator domowych starć. Utajony arbiter w kłótniach męża z żoną. Prowadzący gospodarstwo rodziny naczelnika, pomnażający jego bogactwo i to nie tylko przez oszczędność oraz uczciwość. Pewien sprzątający handlował dla naczelnika machorkowymi papierosami, sprzedając je więźniom po dziesięć rubli sztuka. Łagrowe biuro miar i wag ustaliło, że do pudełka od zapałek wchodzi machorki na osiem papierosów, a „ósemka” machorki to osiem takich pudełek. Podobne miary ciał sypkich używane są na 1/8 terytorium Związku Radzieckiego – w całej Syberii Wschodniej.

Nasz sprzątający otrzymywał za każdą paczkę machorki sześćset czterdzieści rubli. Ale i ta liczba nie stanowiła, jak to się mówi, granicy możliwości. Można było nasypać niepełne pudełko – różnica prawie niezauważalna, a przy tym nikt nie zechce kłócić się ze sprzątającym naczelnika. Można „zawijać” cieńsze papierosy. Cały skręt to dzieło rąk i sumienia sprzątającego. Nasz sprzątający odkupował od naczelnika machorkę po pięćset rubli za paczkę, a stuczterdziestorublowa różnica trafiała do jego kieszeni.

Gospodarz cioci Poli nie handlował machorką i w ogóle nie zdarzało jej się zajmować żadnymi ciemnymi sprawkami. Ciocia Pola była doskonałą kucharką, a sprzątający, którzy posiadali wiedzę kulinarną, cenieni byli szczególnie wysoko.

Ciocia Pola mogła – i rzeczywiście podejmowała się – urządzić kogo chciała z rodaków-Ukraińców: załatwić lżejszą pracę lub włączyć do jakiejkolwiek listy na zwolnienie. Pomoc cioci Poli dla nich była naprawdę poważna. Natomiast innym nie pomagała, chyba tylko wspierała radą.

Ciocia Pola pracowała u naczelnika siódmy rok i myślała, że wszystkie swoje dziesięć „rokiw” przeżyje dostatnio.

Ciocia Pola była przezornie bezinteresowna i słusznie uważała, że jej obojętność na podarunki i pieniądze nie może nie przypaść do gustu naczelnikowi. Przypuszczenia jej sprawdziły się. Była swoim człowiekiem w rodzinie naczelnika i zaplanowany już został sposób jej zwolnienia – miała figurować na liście pracowników kopalni, gdzie pracował brat naczelnika, jako ładowaczka samochodów ciężarowych, a kopalnia wystąpiłaby o jej zwolnienie.

Jednak ciocia Pola zachorowała, czuła się coraz gorzej i odwieziono ją do szpitala. Lekarz naczelny przydzielił cioci Poli oddzielną izbę szpitalną. Dziesięć półtrupów wywleczono na zimny korytarz, aby zwolnić miejsce dla sprzątającej naczelnika.

Szpital ożywił się. Każdego dnia po południu zajeżdżały willisy, podjeżdżały ciężarówki; z kabin wychodziły damy w kożuchach i wojskowi – wszyscy spieszyli do cioci Poli. I ciocia Pola każdemu obiecywała: jeżeli wyzdrowieje, to szepnie słówko naczelnikowi.

W każdą niedzielę wjeżdżała w szpitalne wrota limuzyna ZIS-110 – to przywożono cioci Poli paczkę i kartkę od żony naczelnika. Ciocia Pola przekazywała wszystko sanitariuszkom; popróbuje łyżeczkę i oddaje. Ona znała swoją chorobę.

Ale przyjść do zdrowia ciocia Pola nie mogła. I oto kiedyś w szpitalu pojawił się z kartką od naczelnika niezwykły gość: ojciec Piotr (tak przedstawił się dyspozytorowi). Okazało się, że ciocia Pola chce się wyspowiadać. Tym niezwykłym gościem był Pietka Abramow. Znali go wszyscy. Leżał parę miesięcy wcześniej w tym samym szpitalu. A teraz był to ojciec Piotr.

Wizyta świątobliwego poruszyła cały szpital. Okazało się, że w naszej krainie są duchowni! I spowiadają chętnych! W największej sali szpitalnej,

sali nr 2, gdzie zawsze ktoś z chorych opowiadał pomiędzy obiadem i kolacją jakieś historie gastronomiczne – nie dla polepszenia apetytu w każdym razie, a z potrzeby wygłodniałego człowieka, dla pobudzenia emocji związanych z odżywianiem – w tej sali mówiono tylko o spowiedzi cioci Poli.

Ojciec Piotr ubrany był w buszłat, a na głowie miał czapkę. Watowane spodnie wpuszczone były w cholewy starych kirzowych butów. Włosy ostrzyżone krótko – jak na osobę duchowną przystało – znacznie krócej niż włosy elegantów lat pięćdziesiątych. Ojciec Piotr rozpiął buszłat i watowaną kurtkę-tiełogriejkę, ukazując niebieską kosoworotkę i wielki krzyż na piersi. Nie był to prosty krzyż, lecz krucyfiks; wykonany ręcznie, umiejętnie, ale bez niezbędnych narzędzi.

Ojciec Piotr wyspowiadał ciocię Polę i odszedł. Dłuższy czas stał przy drodze, podnosząc ręce do nadjeżdżających ciężarówek. Dwa samochody przejechały, nie zatrzymując się. Wtedy ojciec Piotr wyjął zza pazuchy przygotowanego skręta, podniósł go nad głową i od razu pierwsza z nadjeżdżających maszyn przyhamowała, a kierowca gościnnie otworzył drzwi szoferki.

Ciocia Pola zmarła i pochowano ją na szpitalnym cmentarzu. Był to duży cmentarz u podnóża góry (chorzy mawiali zamiast „umrzeć” – „trafić pod sopkę”), tworzący łuk z bratnich mogił „A”, „B”, „C”, „D”; kilka szeregów pojedynczych mogił umiejscowiono na cięciwach łuku. Na pogrzebie cioci Poli nie było ani naczelnika, ani jego żony, ani ojca Piotra. Obrządek pogrzebowy odbył się jak zawsze: dyspozytor przywiązał do lewej goleni cioci Poli drewnianą deseczkę z numerem. Był to numer jej sprawy. Według instrukcji numer powinien być napisany zwykłym czarnym ołówkiem, w żadnym przypadku nie chemicznym – tak jak na leśnych zaciosach, tworzących repery topograficzne.

Przyzwyczajeni do tego sanitariusze-grabarze zarzucili kamieniami wysuszone ciało cioci Poli. Dyspozytor umocował w nich kijek – znowu z tym samym numerem sprawy.

Minęło kilka dni i w szpitalu zjawił się ojciec Piotr. Był już na cmentarzu i teraz grzmiał w biurze:

– Krzyż trzeba postawić, krzyż!

– Jeszcze czego – odrzekł dyspozytor.

Kłócili się długo. W końcu ojciec Piotr oświadczył:

– Daję wam tydzień. Jeżeli w ciągu tego tygodnia nie stanie krzyż, poskarżę się kierownikowi Zarządu. Gdy ten nie pomoże, napiszę do

naczelnika Dalstroju. Jeśli i ten odmówi, poskarżę się na niego Radzie Ministrów. Gdy ci odmówią, napiszę do Synodu! – wrzeszczał ojciec Piotr.

Dyspozytor był starym więźniem i dobrze znał tę „krainę cudów”; wiedział zatem, że mogą się tam zdarzać najbardziej nieoczekiwane sprawy i, pomyślawszy, zdecydował się powiadomić naczelnego lekarza. Naczelny, będący kiedyś czy to ministrem, czy to wiceministrem, poradził, aby się nie spierać i postawić ten krzyż na grobie cioci Poli.

– Jeśli pop gada tak pewnie, znaczy to, że coś w tym jest. Coś on tam wie. Wszystko być może, wszystko być może – mruczał były minister.

I postawiono krzyż, pierwszy na tym cmentarzu. Widać go było z daleka. Chociaż był to krzyż jedyny, cały teren przybrał dzięki niemu charakter prawdziwego cmentarza. Wszyscy mogący poruszać się chorzy chodzili oglądać ten krzyż. I przybitą deseczkę z napisem w czarnym obramowaniu. Wykonanie napisu poruczono staruszkowi malarzowi, który leżał w szpitalu już drugi rok. Właściwie to on nie leżał, a tylko zapisany był jako leżący chory; cały swój czas poświęcał na masową produkcję trzech rodzajów kopii: *Złota jesień*, *Trzej bohaterowie* i *Śmierć Iwana Groźnego*. Malarz przysięgał, że potrafi je malować z zawiązanymi oczami. Zamawiającymi byli ludzie ze szpitalnego naczalstwa i z osady.

Ale deseczkę na grób cioci Poli malarz zgodził się zrobić. Spytał tylko, co ma napisać. Dyspozytor zaczął ryć w swoich wykazach.

– Nie znajduję niczego oprócz inicjałów – powiedział. – Timoszenko P.I. Pisz: Polina Iwanowna. Umarła takiego to dnia, miesiąca i roku.

Malarz, nigdy niespierający się z klientami, tak też napisał. A dokładnie w tydzień później pojawił się Pietka Abramow, to znaczy ojciec Piotr. Powiedział, że ciocia Pola zwała się nie Polina, lecz Praskowia, i nie Iwanowna, lecz Iljiniczna. Podał też datę jej urodzenia i zażądał wstawienia jej do napisu na mogile. Napis poprawiono w obecności ojca Piotra.

KRAWAT

Jak tu opowiedzieć o tym przeklętym krawacie?

Jest to prawda specjalnego rodzaju, prawda rzeczywistości. Nie jest to jednak esej, lecz opowiadanie. Jak mam je uczynić utworem prozy przyszłości – czymś w rodzaju opowiadań Saint-Exupéry'ego, który odkrył dla nas powietrze?

Obecnie, podobnie jak i w przeszłości, niezbędne jest, aby pisarz chcący osiągnąć sukces był jakby cudzoziemcem w kraju, o którym pisze. Aby pisał z punktu widzenia ludzi, pomiędzy którymi wyrósł – ich zainteresowań, horyzontów myślowych; ludzi, których upodobania i których poglądy zostały przez niego przejęte. Pisarz wyraża się językiem tych, w których imieniu pisze. I nic ponad to. Bo jeżeli pisarz zna materiał zbyt dobrze, to ci, dla których pisze, nie zrozumieją go. Przeszedł bowiem, sprzeniewierzywszy się, na stronę swojego materiału. Nie powinno się być nadmiernie obznajomionym z materiałem. Tacy są właśnie wszyscy poprzedni i obecni pisarze, ale proza przyszłości wymaga czego innego. Przemówią nie pisarze, lecz przedstawiciele różnych profesji obdarzeni zdolnością pisania. I opowiedzą oni tylko o tym, co wiedzą i co sami widzieli. Autentyczność – oto siła literatury przyszłości.

A może te rozważania nie mają sensu i najważniejsze to starać się przypomnieć we wszystkim, co jej dotyczy, Marusię Kriukową, chromą dziewczynę, która truła się weronalem? Zgromadziła trochę drobniutkich, błyszczących, owalnych, żółtych tabletek i przełknęła je. Na weronal wymieniła chleb, kaszę, porcję śledzia u sąsiadek ze szpitalnej izby, którym ten środek przepisano. Felczerzy wiedzieli o handlu weronalem i zmuszali chorych, aby połykali tabletkę na ich oczach, ale powłoka tabletki była twarda i zazwyczaj chorym udawało się wsunąć tabletkę pod język lub skryć za zębami w policzku; wypluwali ją na dłoń po odejściu felczera.

Marusia Kriukowa nie odmierzyła właściwej dawki. Nie umarła, lecz całkiem zwyczajnie zwymiotowała, zatem po udzieleniu pierwszej pomocy

– płukaniu żołądka – wypisano Marusię na punkt tranzytowy. Ale wszystko to było w wiele lat później niż historia z krawatem.

Marusia Kriukowa przyjechała z Japonii pod koniec lat trzydziestych. Córka emigranta mieszkającego na przedmieściu Kioto, wstąpiła z bratem do związku „Powrót do Rosji", skontaktowała się z sowiecką ambasadą i w 1939 r. otrzymała rosyjską wizę. We Władywostoku Marusia została aresztowana ze wszystkimi swoimi towarzyszami i bratem, przewieziona do Moskwy i więcej już nikogo z nich nigdy nie spotkała.

W śledztwie złamano Marusi nogę, a gdy kość się zrosła, zawieziono na Kołymę, aby odbyła tam dwudziestoletnią karę pozbawienia wolności.

Marusia była znakomitą rękodzielnicą, mistrzynią haftu – z jej wyszywania utrzymywała się w Kioto cała rodzina. Na Kołymie naczelnicy rychło odkryli tę umiejętność Marusi, ale nigdy jej nie płacili za wyszywanie; przynoszono czy to kawałek chleba, czy dwie kostki cukru, czy papierosy, których Marusia zresztą nie nauczyła się palić. I tak cudownej roboty ręczny haft pozostawał w rękach naczalstwa.

Dowiedziawszy się o zdolnościach więźniarki Kriukowej, naczelnica oddziału sanitarnego położyła Marusię w szpitalu i odtąd wyszywała ona lekarce. Kiedy do sowchozu – państwowego gospodarstwa rolnego, w którym nominalnie pracowała Marusia – przyszedł telegram, aby wszystkie mistrzynie-rękodzielnice skierować najbliższym samochodem do dyspozycji… naczelniczka łagru ukryła Marusię, gdyż miała duże zamówienie dla wspaniałej hafciarki. Jednakże ktoś napisał donos wyżej i musiano Marusię wysłać. Dokąd?

Przez trzy tysiące kilometrów ciągnie się i wije centralna kołymska „trasa" – szosa pośród wzgórz i wąwozów, „słupki, szyny, mosty"…. Szyn nie ma na kołymskiej „trasie", ale wszyscy powtarzali i powtarzają tu Niekrasowowską *Kolej żelazną* – po co układać wiersze, skoro ma się pod ręką nadający się, odpowiedni tekst. Cała droga wybudowana została kilofem i łopatą, za pomocą taczki i świdra…

Co pięćset, sześćset kilometrów na „trasie" tej stoi „Dom Dyrekcji" – ponad miarę wystawny hotel-„luks", będący do osobistej dyspozycji dyrektora Dalstroju, innymi słowy, generała-gubernatora Kołymy. Jedynie on może tam nocować podczas swoich podróży po powierzonym mu kraju. Drogie dywany, brązy i lustra. Obrazy-oryginały; niemało nazwisk pierwszorzędnych malarzy, jak np. Szuchajewa. Szuchajew był na Kołymie dziesięć lat. W 1957 roku odbyła się wystawa jego prac na Kuźnieckim Moście,

księga jego życia. Rozpoczynały ją jasne pejzaże Belgii i Francji oraz autoportret w złocistej kamizeli arlekina. Potem okres magadański – dwa niewielkie portrety olejne: żony i autoportret (w mrocznej, ciemnobrązowej tonacji) – dwie prace w ciągu dziesięciu lat. Na portretach ludzie, którzy widzieli rzeczy straszne. Oprócz tych dwu portretów – projekty teatralnych dekoracji.

Po wojnie zwalniają Szuchajewa. Jedzie do Tyflisu – na południe, unosząc nienawiść do Północy. Jest załamany. Maluje obraz *Przysięga Stalina w Gori* – podlizuje się. Jest załamany. Portrety szturmowców – przodowników produkcji. *Dama w złotej sukni*. W portrecie tym jest blasku bez miary – zda się, że malarz zmusza siebie do zapomnienia ubóstwa północnej palety. I to wszystko. Można umierać.

Dla „Domu Dyrekcji” malarze wykonywali również kopie: *Iwan Groźny zabija swojego syna* i *Poranek w lesie* Szyszkina – te dwa obrazy zaliczają się do klasyki chałtury.

Lecz najbardziej zadziwiały tam hafty. Jedwabne zasłony, story, portiery ozdobione były ręcznym haftem. Dywaniki, narzutki, ręczniki – każda szmatka stawała się drogocenna po tym, kiedy się znalazła w rękach mistrzyń-więźniarek.

Dyrektor Dalstroju nocował w swych domach – było ich kilka na trasie – dwa, trzy razy w roku. Przez resztę czasu oczekiwali go stróż, zaopatrzeniowiec, kucharz i administrator domu – czterech ludzi wolnych, otrzymujących dodatki za pracę na Dalekiej Północy; oczekiwali, przygotowywali się, palili zimą w piecach, wietrzyli „Dom”.

Do haftowania zasłon, narzut i wszystkiego, co do głowy przyjdzie, przywieziono tu właśnie Maszę Kriukową. Były jeszcze dwie mistrzynie haftu dorównujące jej umiejętnościami i pomysłowością.

Rosja to kraina stałego sprawdzania i kontroli. Marzeniem każdego szczerego Rosjanina – zarówno więźnia, jak i wolnego – jest, aby mu powierzono sprawdzanie czegoś lub kogoś. Po pierwsze: kimś komenderuję. Po drugie: okazano mi zaufanie. Po trzecie: ponoszę mniejszą odpowiedzialność niż za bezpośrednią pracę. A po czwarte – pamiętacie, jak wyglądał atak w powieści W. Niekrasowa *W okopach Stalingradu*?

Dla nadzorowania Marusi i jej nowych znajomych zatrudniono kobietę, członka partii, która każdego dnia wydawała im materiał i nici. Pod koniec roboczego dnia przyjmowała i sprawdzała wykonaną pracę. Kobieta ta nie pracowała, lecz figurowała w spisie etatów Centralnego Szpitala jako star-

sza siostra operacyjna. Nadzorowała ona pilnie więźniarki w przekonaniu, że jak tylko się odwróci, to od razu gdzieś zniknie kawałek ciężkiego, niebieskiego jedwabiu.

Hafciarki już od dawna przywykły do tego rodzaju opieki. I chociaż oszukanie tej kobiety na pewno nie wymagałoby większego wysiłku, nie kradły. Wszystkie trzy bowiem osądzone zostały na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu – politycznego.

Umieszczono je w łagrze, w „zonie", za drutami, gdzie na wrotach, jak wszędzie w sowieckich łagrach, wypisane były „niezapomniane" słowa: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa". I nazwisko autora cytatu. Słowa te miały ironiczny wydźwięk, w zadziwiający sposób ujmując sens i treść słowa „praca" w łagrze. Praca była tam bowiem wszystkim, tylko nie sprawą chwały. W 1906 roku wydawnictwo, w którym partycypowali eserowcy, wypuściło książkę *Kompletny zbiór przemówień Mikołaja II*. Były to przedruki z „Gońca Rządowego" z czasu koronacji cara, na które składały się wygłoszone wtedy toasty: „Piję za zdrowie Keksholmskiego pułku" i „Piję za zdrowie chwatów-czernihowców". Toasty te poprzedzono słowem wstępnym, utrzymanym w hurra-patriotycznej tonacji: „W słowach tych, jak w lustrze wody, odzwierciedlała się mądrość naszego wielkiego monarchy" itd.

Autorów tego zbioru zesłano na Sybir.

A co stało się z ludźmi, którzy wynieśli sentencję o pracy na wrota łagrowych zon w całym Związku Radzieckim?

Za wzorowe zachowanie i pomyślne wykonanie planu pozwolono hafciarkom na uczestniczenie w seansie filmowym kina dla więźniów. Aparat był tylko jeden – pomiędzy poszczególnymi częściami filmu robiono przerwy. Pewnego razu wyświetlano film *Biada temu, kto ma rozum*. Skończyła się pierwsza część, jak zawsze zapaliło się światło, jak zawsze zgasło i zaterkotał projektor – żółta smuga światła dotknęła ekranu. Wszyscy zaczęli tupać i krzyczeć. Operator, to jasne, omylił się – ponownie biegła pierwsza część… Trzysta osób, byli frontowi żołnierze, zasłużeni lekarze, którzy przyjechali na konferencję – wszyscy posiadacze biletów na ten seans przeznaczony dla wolnych krzyczeli i tupali nogami.

Operator, nie spiesząc się, „przejechał" pierwszą część i zapalił światło w sali. Wtedy wszyscy pojęli, w czym rzecz. W kinie zjawił się zastępca dyrektora szpitala do spraw gospodarczych, Dołmatow; spóźnił się na pierwszą część, więc film wyświetlano jeszcze raz od początku. Zaczęła się

druga część i wszystko poszło dalej jak trzeba. Kołymskie obyczaje znane były wszystkim – nieco mniej frontowym żołnierzom, więcej natomiast lekarzom.

Kiedy biletów sprzedawało się niewiele, seans był wspólny – lepsze miejsca dla wolnych, z tyłu, a pierwsze rzędy dla więźniów: kobiety z lewej, mężczyźni z prawej strony przejścia. Przejście dzieliło widownię na krzyż, co było bardzo wygodne z punktu widzenia łagrowych prawideł.

Chroma dziewczyna, którą zauważano i na seansach w kinie, znalazła się w szpitalu na oddziale kobiecym. Małych izb szpitalnych jeszcze wtedy nie wybudowano – cały oddział umieszczony został w powojskowej sypialni, co najmniej na pięćdziesiąt łóżek. Marusia Kriukowa trafiła na leczenie do chirurga.

– Co jej jest?

– Osteomelitis – powiedział chirurg Walentin Nikołajewicz.

– Czy noga przepadnie?

– No, dlaczego ma przepaść?

Chodziłem opatrywać Marusię Kriukową i już opowiedziałem o jej życiu. Po upływie tygodnia temperatura spadła, a gdy minął następny – wypisano Marusię ze szpitala.

– Podaruję panu krawat. Panu i Walentinowi Nikołajewiczowi. To będą ładne krawaty.

– Dobrze, dobrze, Marusiu.

Pasek jedwabiu wśród dziesiątków, setek metrów kilku kompletów tkaniny wyszytej i przyozdobionej dla „Domu Dyrekcji”.

– A kontrola?

– Poproszę o to Annę Andriejewną. – Tak chyba nazywała się nadzorczyni.

– Anna Andriejewna zezwoliła. Wyszywam, wyszywam, wyszywam… Nie wiem, jak to powiedzieć. Dołmatow wszedł i odebrał.

– Jak to: odebrał?

– No, jak wyszywałam. Dla Walentina Nikołajewicza krawat był już gotowy. A dla pana zostało niewiele do zrobienia. Koloru szarego. Nagle otworzyły się drzwi: „Krawaty szyjecie?” Zrewidował szafkę, włożył krawat do kieszeni i wyszedł.

– Teraz panią stąd wyślą.

– Mnie nie wyślą. Jeszcze jest dużo pracy. Ale tak bardzo chciałam panu krawat…

– Drobiazg, Marusiu. Ja i tak bym go nie nosił. Chyba że na sprzedaż.

Na koncert łagrowego „zespołu amatorskiego” Dołmatow spóźnił się podobnie jak na film. Ociężały, z dużym, nieproporcjonalnym do wzrostu brzuchem, kierował się do pierwszej pustej ławki.

Kriukowa podniosła się z miejsca i machała rękami. Zrozumiałem, że te znaki przeznaczone są dla mnie.

– Krawat, krawat!

Zdążyłem obejrzeć krawat naczelnika. Krawat Dołmatowa był wzorzysty, w szarym kolorze i wysokiej jakości.

– Pański krawat! – wołała Marusia. – Pana albo Walentina Nikołajewicza.

Dołmatow usiadł na swojej ławce, kurtyna się rozsunęła jak zwykle i rozpoczął się koncert zespołu amatorskiego.

DWA SPOTKANIA

Moim pierwszym brygadzistą był Kotur, Serb, który trafił na Kołymę po rozgromieniu klubu międzynarodowego w Moskwie. Kotur nie odnosił się poważnie do swoich obowiązków, rozumiejąc, że jego los – tak jak i wszystkich nas – nie rozstrzyga się w sztolniach kopalni złota, a zupełnie gdzie indziej. Pomimo to Kotur codziennie rozstawiał nas na stanowiskach pracy, mierzył jej wyniki, kiwał z wyrzutem głową. Wyniki były opłakane.

– No, na przykład ty, znasz przecież łagier. Pokaż, jak trzeba machać łopatą – poprosił Kotur.

Wziąłem łopatę i rozpulchniwszy kilofem lekki grunt, naładowałem taczkę. Wszyscy się roześmiali.

– Tak pracują tylko markieranci.

– Pomówimy o tym za dwadzieścia lat.

Jednakże nie udało nam się spotkać po dwudziestu latach. Do kopalni przyjechał nowy naczelnik, Leonid Michajłowicz Anisimow. Już podczas pierwszego obchodu wyrobisk usunął Kotura z pracy. I Kotur zniknął.

Nasz brygadzista siedział w taczce i nie wstał, gdy zbliżył się naczelnik. Taczka bez wątpienia stanowi trafne rozwiązanie jako narzędzie pracy, ale jeszcze lepiej, zwłaszcza jej skrzynia, nadaje się do odpoczynku. Trudno jest wstać, podnieść się z tak głębokiego fotela – potrzeba na to wysiłku woli, niezbędna jest siła. Kotur siedział w taczce i nie zdążył wstać na widok nowego naczelnika. Rozstrzelany.

Wraz z przyjazdem nowego naczelnika – początkowo był on zastępcą naczelnika kopalni – każdego dnia, każdej nocy zabierano z baraków i wywożono. Nikt z nich nie wracał już do kopalni. Aleksandrow, Kliwański – nazwiska zatarły się w pamięci.

Nowe uzupełnienie nie miało już całkiem nazwisk. W zimie trzydziestego ósmego roku naczalstwo zadecydowało, aby etapy z Magadanu do kopalni Północy wysyłać piechotą. Z pięćsetosobowej kolumny w czasie pięćsetkilometrowego marszu dochodziło do Jagodnego trzydzieści do czterdziestu osób. Pozostali osuwali się w drodze – głodni, poodmrażani,

zastrzeleni. Nikogo z tych, co przybyli, nie znano z nazwiska; byli to ludzie z obcych etapów, nieróżniący się pomiędzy sobą ani odzieżą, ani głosem, ani plamami odmrożeń na policzkach, ani pęcherzami odmrożeń na palcach.

Brygady topniały liczebnie w drodze do „Serpentynki”, bo tam w ekspozyturach kierownictwa Północy rozstrzeliwano część ludzi; i w dzień, i w nocy toczyły się powracające bez ładunku maszyny. Każdy naczelnik kopalni wiedział, że nie zostanie obciążony odpowiedzialnością za tych ludzi – tego by jeszcze brakowało; a przecież to, co najważniejsze, to ludzie, kadry. Wszystko to każdy naczelnik zgłębiał na zebraniach koła kształcenia politycznego, a praktyczną ilustrację znajdował w złotych wyrobiskach swojej kopalni.

W tym czasie naczelnikiem kopalni „Partyzant”, należącej do Północnego Zarządu Górniczego, był Leonid Michajłowicz Anisimow – w przyszłości wielki naczelnik Kołymy, który całe swe życie poświęcił Dalstrojowi jako naczelnik Zarządu Zachodniego i jako naczelnik Czukotstroju. Swoją łagrową karierę rozpoczął Anisimow właśnie w kopalni „Partyzant”, w mojej kopalni. Pod jego to kierownictwem kopalnia została dosłownie zalana żołnierzami straży więziennej, wybudowane zostały zony – odrutowane strefy; powiększono zarząd aparatu operacyjno-śledczego, rozpoczęły się rozstrzeliwania pojedynczych osób i całych brygad. Zaczęło się odczytywanie na apelach i przy wyjściach do pracy niekończących się rozkazów o rozstrzałach. Rozkazy te nosiły podpis pułkownika Garanina, ale nazwiska ludzi z kopalni – a było ich wiele – przekazywał Garaninowi Anisimow. Kopalnia „Partyzant” to małe przedsiębiorstwo. Na jego liście osobowej w 1938 roku figurowało wszystkiego razem dwa tysiące nazwisk. Sąsiednie kopalnie „Waturiach” i „Szturmowa” liczyły po dwanaście tysięcy osób.

Anisimow był naczelnikiem gorliwym. Osobiście doskonale zapamiętałem dwie bezpośrednie rozmowy z obywatelem Anisimowem. Pierwsza odbyła się w styczniu trzydziestego ósmego, kiedy obywatel Anisimow raczył się pojawić podczas wyprowadzania do pracy i stał z boku, przyglądając się, jak jego pomocnicy poruszają się pod naczelnikowym spojrzeniem żwawiej, niż się tego zazwyczaj wymaga. Jednakże dla Anisimowa było to jeszcze zbyt wolno.

Właśnie ustawiła się nasza brygada i kierownik robót Sotnikow, wskazawszy na mnie palcem, wywlókł mnie z szeregów i postawił przed obliczem Anisimowa.

– Oto markierant. Nie chce pracować.

– Kim jesteś?

– Jestem dziennikarzem, pisarzem.

– Podpisywać to ty będziesz tutaj puszki od konserw. Pytam cię: kim jesteś?

– Rębacz przodowy brygady Firsowa, więzień, imię, nazwisko, wyrok: pięć lat.

– Dlaczego nie pracujesz? Dlaczego przynosisz szkodę państwu?

– Jestem chory, obywatelu naczelniku.

– Ty – chory? Taki zdrowy byk?

– Mam chore serce.

– Serce. Masz chore serce. Ja sam choruję na serce. Lekarze zabronili mi przebywać na Dalekiej Północy. Jednakże jestem tu.

– Pan to co innego, obywatelu naczelniku.

– Patrzcie go! Ile słów na minutę! Powinieneś milczeć i pracować. Zastanów się, póki nie jest za późno. Bo inaczej rozliczymy się.

– Tak jest, obywatelu naczelniku!

Druga pogawędka z Anisimowem odbyła się latem, na czwartym odcinku, gdy padał deszcz i trzymano nas na wskroś przemokniętych. Wierciliśmy szurfy. Brygadę błatniaków dawno już zwolniono do baraków z powodu ulewy, ale my byliśmy pięćdziesiąty ósmy paragraf, polityczny, i tylko grzyb chronił nas od ulewy.

W tę właśnie ulewę, w ten deszcz odwiedził nas Anisimow, razem z kierownikiem sprawującym w kopalniach nadzór nad pracami przy użyciu materiałów wybuchowych. Naczelnik przyszedł sprawdzić, czy aby porządnie mokniemy, czy wypełniany jest jego rozkaz o pięćdziesiątym ósmym paragrafie, do którego nie stosują się żadne ulgi i który powinien przygotowywać się do raju, do raju, do raju…

Anisimow ubrany był w długi płaszcz z jakimś specjalnym kapturem. Szedł, wymachując skórzanymi rękawicami. Znałem zwyczaj Anisimowa – bicia więźnia rękawicami po twarzy. Znałem te rękawice, które zimą przemieniały się w zachodzące aż po łokcie futrzane „kragi”, znałem owo przyzwyczajenie bicia rękawicami po twarzy. Dziesiątki razy widziałem rękawice w akcji. O tym osobliwym zwyczaju Anisimowa wiele mówiono w więźniarskich barakach kopalni „Partyzant”. Byłem świadkiem burzliwych dyskusji, niemal krwawych sporów toczących się w baraku o to, czy naczelnik bije rękawicami, czy pięścią, czy pałką, czy trzciną, czy nahajką,

czy przykładając „ręczny rewolwer”. Człowiek to skomplikowana istota. Omal nie dochodziło do bójek w rezultacie tych sporów, a przecież ich uczestnicy to byli profesorowie, partyjniacy, kołchoźnicy, dowódcy wojskowi…

A w ogóle to chwalono Anisimowa: bije, ale kto nie bije? Za to jego rękawice nie zostawiają sińców, a jeśli komuś rozbił nos aż do krwi, to przecież z powodu „patologicznych zmian w systemie ukrwienia człowieka na skutek długotrwałego uwięzienia” – jak to wyjaśnił pewien lekarz, którego za anisimowskich czasów nie dopuszczano do praktyki medycznej, lecz zmuszono do pracy razem z nami.

Dawno już dałem sobie słowo, że jeśli zostanę uderzony, to będzie to jednocześnie koniec mojego życia. Uderzę naczelnika i zostanę rozstrzelany. Niestety, byłem tylko naiwnym dzieciakiem. Kiedy osłabłem fizycznie, osłabła również moja wola i rozsądek. Z łatwością przekonałem sam siebie, że trzeba ścierpieć, i nie znalazłem w sobie siły, aby odpowiedzieć uderzeniem, popełnić samobójstwo, zaprotestować. Byłem najzwyczajniej „dochodiagą” i żyłem według praw rządzących taką psychiką.

Wszystko to działo się jednak dużo później, bo wówczas, gdy spotkałem się z obywatelem Anisimowem, byłem jeszcze silny fizycznie, silny wiarą, twardy i zdecydowany. Skórzane rękawice Anisimowa przybliżyły się, a ja przygotowałem kilof. Jednakże Anisimow nie uderzył. Spojrzenie jego ładnych, dużych, głębokich, czarnych oczu spotkało się z moim i Anisimow odwrócił wzrok.

– Wszyscy oni tacy – powiedział naczelnik kopalni swojemu towarzyszowi. – Wszyscy. Nie będzie z nich pociechy.

ZŁOTA TAJGA

„Mała zona” to obóz przejściowy. „Duża zona”, łagier Zarządu Górniczego, to niekończący się ciąg niskich baraków, więźniarskie ulice, potrójne ogrodzenie z drutu kolczastego, wieżyczki strażnicze podobne do domków dla szpaków w ich zimowej szacie. W małej zonie jest jeszcze więcej kolczastego drutu, więcej wieżyczek, zamków i klamek – bo przecież mieszkają tam więźniowie przejeżdżający tranzytem, po których można spodziewać się wszystkiego najgorszego.

Architektura małej zony jest idealna. To pojedynczy, ogromny, kwadratowy barak, zawierający cztery rzędy nar, formalnie posiadający nie mniej niż pięćset miejsc, co oznacza, że jeśli zachodzi potrzeba, można pomieścić tam tysiące osób. Jednakże teraz jest zima, przychodzi mało etapów i zona od wewnątrz wydaje się pusta. Barak nie zdążył jeszcze w środku wyschnąć – unosi się w nim biała para, a sosnowe drewno pokryte jest lodem. Przy wejściu ogromna, tysiącświecowa lampa elektryczna, której światło raz żółknie, raz oślepia swym blaskiem. To dopływ energii tak się zmienia.

W ciągu dnia zona śpi. A nocami drzwi się otwierają, pod lampą pojawiają się ludzie trzymający w rękach zapałki i zachrypłymi, przeziębionymi głosami wykrzykują nazwiska. Wywołani zapinają na wszystkie guziki swoje buszłaty, przekraczają próg i znikają na zawsze. Czekają tam na nich konwojenci, warczą gdzieś silniki ciężarówek. Więźniowie uwożeni są do kopalń, do sowchozów, do rejonów dróg.

Ja też tutaj leżę, niedaleko od drzwi, na dolnych narach. Na dole jest zimno, ale wyżej, tam gdzie ciepło, nie decyduję się wleźć – wyrzuciliby mnie z powrotem na dół. Miejsca na górze przeznaczone są dla silniejszych, przede wszystkim dla złodziei. A przy tym nie dałbym rady wdrapać się tam po szczebelkach przybitych gwoździami do słupa. Tu mi najlepiej, na dole. Jeśli zaś powstanie spór o miejsce na dolnych narach, po prostu pod nie wpełznę.

Nie potrafię kąsać ani bić się, chociaż doskonale przyswoiłem sobie wszystkie sposoby więziennych bójek. To ograniczoność przestrzeni wię-

ziennej celi, aresztanckiego wagonu, ciasnego baraku narzuciła te „chwyty”: łapania, kąsania, wyłamywania. Teraz jednak nie starcza na to siły. Potrafię tylko drzeć gardło i kląć. Walczę o każdy dzień, o każdą godzinę odpoczynku. Każdy strzęp mojego ciała podpowiada mi, jak mam się zachować.

Wywołują mnie już podczas pierwszej nocy, jednakże ja nie opasuję się sznurkiem, chociaż go posiadam, nie zapinam porządnie wszystkich guzików. Drzwi zamykają się za mną i stoję w sieni. Brygada – dwudziestu ludzi (jest to zwykła norma dla jednej ciężarówki) – stoi już przy następnych drzwiach, skąd bucha gęsta, mroźna para. Dyspozytor i starszy konwojent przeliczają i przeglądają ludzi. A z prawej strony stoi jeszcze jeden człowiek w pikowanym kubraku, watowanych spodniach, w czapce-uszance; macha futrzanymi „kragami” – rękawicami z dużymi mankietami. Tego właśnie mi trzeba. Wożono mnie już tyle razy, że znałem „prawidła gry” znakomicie. Człowiek z „kragami” to „przedstawiciel”, który przyjmuje ludzi i który ma prawo odmówić ich przyjęcia.

Dyspozytor wykrzykuje na cały głos moje nazwisko, zupełnie tak samo, jak robił to w ogromnym baraku. Ja patrzę tylko na człowieka z ,,kragami”.

– Nie bierzcie mnie, obywatelu naczelniku. Jestem chory i nie będę pracował w kopalni. Ja muszę iść do szpitala.

„Przedstawiciel” waha się. W kopalni, u niego, mówiono mu, żeby wybrał tylko „robociarzy”; innych kopalnia nie potrzebuje. Po to właśnie przyjechał. „Przedstawiciel” przypatruje mi się. Mój podarty buszłat, zatłuszczona bluza bez guzików, pod którą widać brudne ciało z porozdrapywanymi miejscami ukąszeń przez wszy, strzępy szmatek, którymi poobwiązywane są palce u rąk, sznurkowe obuwie na nogach, sznurkowe przy sześćdziesięciostopniowym mrozie, oczy zaognione, wygłodniałe, niezwykła kościstość – on doskonale wie, co to oznacza.

„Przedstawiciel” bierze czerwony ołówek i stanowczym ruchem wykreśla moje nazwisko.

– Idź, draniu – mówi do mnie dyspozytor zony.

I drzwi zamykają się, i znowu jestem wewnątrz małej zony. Moje miejsce zostało już zajęte, ale odciągam na bok tego, co się na nim położył. Ten mimo woli się drze, ale rychło się uspokaja. A ja zapadam w sen podobny do utraty przytomności, budząc się przy najmniejszym szmerze. Nauczyłem się budzić jak zwierzę, jak dziki człowiek, który nie wie, co to półsen.

Otwieram oczy. Z górnych nar zwisa noga w znoszonym do ostateczności, ale jednak pantoflu, nie w państwowym bucie. Pojawia się przede mną brudny chłopak, błatniaczek, i mówi gdzieś w górę melancholijnym głosem pederasty:

– Powiedz Waliuszy – informuje kogoś niewidocznego na górnych narach – że przyprowadzili artystów…

Pauza. Potem ochrypły głos z góry:

– Waliusza pyta, kim oni są?

– Artyści z „kultbrygady”. Iluzjonista i dwóch śpiewaków. Jeden pochodzi z Charbina.

Pantofel poruszył się i zniknął. Dał się słyszeć głos z góry:

– Prowadź ich.

Przesunąłem się na brzeg nar. Pod lampą stało trzech ludzi: dwóch w buszłatach, a jeden w „wolnej” kurtce – „moskwiczce”. Twarze ich wyrażały pokorę i cześć.

– Kto tu jest z Charbina? – zapytał głos.

– To ja – z uszanowaniem rzecze człowiek w bekieszy.

– Waliusza rozkazuje, abyś coś zaśpiewał.

– Po rosyjsku? Po francusku? Po włosku? Po angielsku? – pytał śpiewak, wyciągając szyję w górę.

– Waliusza powiedział: po rosyjsku.

– A strażnicy? Mogę śpiewać cicho.

– To nic, to nic… Wal, bracie, na całego. Tak, jak w Charbinie.

Śpiewak odstąpił parę kroków i odśpiewał kuplety toreadora. Wraz z każdym jego wydechem ukazywała się para. W górze coś jakby głuche warczenie i głos:

– Waliusza przecież powiedział: jakąkolwiek piosenkę.

Pobladły śpiewak zaczął:

Szumi zołotaja, szumi zołotaja,
Moja zołotaja, tajga,
Oj, wiejties’, dorogi, odna i drugaja
W razdolnyje naszi kraja.

Głos z góry:

– Waliusza powiedział: dobrze.

Śpiewak odetchnął z ulgą. Z mokrego od podniecenia czoła unosiła się para, tworząc coś na kształt nimbu wokół jego głowy. Jak tylko wytarł dło-

nią czoło, nimb zniknął.

– No, a teraz – powiedział głos z góry – zdejmuj swoją „moskwiczkę”. Masz tu na zmianę! – Z góry zrzucono waciak.

Milcząc, śpiewak zdjął z siebie „moskwiczkę” i wdział waciak.

– Idź teraz – nakazał głos z góry. – Waliusza chce spać.

Charbiński śpiewak wraz z towarzyszami rozpłynęli się we mgle wypełniającej barak. Ja zaś odsunąłem się, skurczyłem mocno, zasunąłem ręce w rękawy i zasnąłem. Prawie natychmiast, jak mi się wydawało, rozbudził mnie wyrazisty szept:

– W trzydziestym siódmym w Ułan Bator idziemy z kolegą ulicą. Nadchodzi pora obiadu. Na rogu chińska jadłodajnia. Wchodzimy. Zaglądam do spisu potraw: chińskie kołduny. Jako Sybirak znam syberyjskie, uralskie kołduny, a tu nagle chińskie. Zdecydowaliśmy się wziąć ich po setce. Gospodarz, Chińczyk, śmieje się: duża będzie. I szczerzy zęby od ucha do ucha. No, a po dziesięć? Chichocze: duża będzie. No to po parze! Wzruszywszy ramionami, poszedł do kuchni i taszczy, każdy kołdun wielkości dłoni, a wszystko zalane gorącym tłuszczem. Zjedliśmy pół kołduna we dwóch i wyszliśmy.

– A ja na przykład…

Całym wysiłkiem woli zmuszam się, żeby nie słuchać, i ponownie zasypiam.

Budzi mnie zapach dymu. To gdzieś tam, w górze, palą w złodziejskim królestwie. Któryś z nich zlazł na dół z machorkowym papierosem i słodkawy aromat dymu rozbudził tu wszystkich.

I ponownie szept:

– W Północnym, w komitecie rejonowym, Boże, Boże, ile tych niedopałków! Ciocia Pola, sprzątaczka, klnąc cały czas, nie nadążała z podmiataniem. A ja nie rozumiałem wtedy, co to znaczy niedopałek papierosa, pet, byczek.

Znowu zasypiam.

Ktoś szarpie mnie za nogę. To dyspozytor. Jego zaognione oczy pełne są złości. Ustawia mnie w smudze żółtego światła przy drzwiach.

– No tak – mówi – do kopalni ty jechać nie chcesz.

Milczę.

– A do sowchozu? Niech cię diabli porwą! Do sowchozu „Ciepły” sam bym pojechał. A na odcinek drogowy wiązać miotły? Pomyśl.

– Znam to – mówię. – Dzisiaj wiązać miotły, a jutro taczki do rąk.

– Czego więc chcesz?

– Do szpitala. Jestem chory.

Dyspozytor coś tam notuje w zeszycie i odchodzi. Po trzech dniach do małej zony przychodzi felczer i wywołuje mnie. Daje termometr, ogląda wrzody karbunkułów na plecach i wciera jakąś maść.

WAŚKA DENISOW-ŚWINIOKRAD

Na tę wieczorną jazdę trzeba było pożyczyć buszłat od kolegi. Własny buszłat Waśki był zbyt brudny i podarty – nawet dwóch kroków nie można by zrobić po osiedlu, pierwszy lepszy „wolniaszka” od razu by go capnął.

Takich jak Waśka prowadzą konwojenci tylko w szyku zwartym. Ani wojskowi, ani cywilni mieszkańcy nie lubią, kiedy podobni Waśce chodzą pojedynczo po osiedlu. Nie wywołują oni podejrzeń jedynie wtedy, gdy niosą drwa; niewielki pieniek lub, jak tu mówią, „pałkę drew” na ramieniu.

Taka właśnie „pałka” zakopana była w śniegu niedaleko garażu, za słupem telegraficznym w przydrożnym rowie. Zrobiono to jeszcze wczoraj po pracy. Teraz znajomy szofer przyhamował i Denisow, przegiąwszy się przez kraj skrzyni ładunkowej, zsunął się na ziemię. Od razu znalazł to miejsce, gdzie zakopał kawał pnia; sinawy śnieg był tu odrobinę ciemniejszy i przygnieciony – widać to było w rozpoczynającym się zmierzchu. Waśka wskoczył do rowu i rozrzucił śnieg nogami. Ukazał się kloc, szary, o spadzistych bokach, jak wielka zamrożona ryba. Waśka wytaszczył pień na drogę, ustawił go w pozycji pionowej, ostukał ze śniegu i przygiął się, podstawiając ramię i unosząc pień rękami. Kloc zakołysał się i spoczął na barku. Waśka ruszył w kierunku osiedla, zmieniając co pewien czas ramię. Był słaby i wycieńczony, dlatego szybko się rozgrzał; ale nie na długo. Nie pomagał dokuczliwy ciężar pnia – Waśka nie mógł utrzymać ciepła. Zmierzch zgęstniał od białej mgły, w osiedlu zapalono wszystkie żółtawe, elektryczne światła. Waśka uśmiechnął się, zadowolony ze swojej kalkulacji – w tej białej mgle z łatwością dotrze do celu niezauważony. Oto złamany ogromny modrzew, srebrząca się od szronu kłoda, a więc – do następnego domu!

Waśka zrzucił pień przy ganku, obił rękawicami śnieg z walonek i zapukał do mieszkania. Drzwi otworzyły się i wpuściły Waśkę. Starsza już kobieta w kożuszku i bez chustki na głowie z obawą spoglądała na więźnia.

– Przyniosłem wam drwa na opał – powiedział Waśka, z trudem rozciągając w uśmiechu zmarzniętą skórę twarzy. – Chciałbym z Iwanem Pietrowiczem.

Ale właśnie Iwan Pietrowicz wychodził zza zasłony, uchylając ją ręką.

– Dobra. Gdzie one są?

– Na dworze – powiedział Waśka.

– No to poczekaj, popiłujemy. Zaraz się ubiorę.

Iwan Pietrowicz długo szukał rękawic. Potem obaj wyszli na ganek i bez kozła, dociskając pień nogami i unosząc, przepiłowali go. Piła była nienaostrzona i źle rozwiedziona.

– Później zajdziesz – powiedział Iwan Pietrowicz – i rozwiedziesz. A teraz weź topór i porąb. Potem złożysz, ale nie w korytarzu. Wtaszcz je wprost do mieszkania.

Waśce kręciło się w głowie z głodu, ale porąbał wszystkie drwa i zaciągnął je do mieszkania.

– No, to już po wszystkim – powiedziała kobieta, wyłażąc zza zasłony. – Koniec.

Ale Waśka nie odchodził i przestępował z nogi na nogę przy drzwiach. Iwan Pietrowicz pojawił się ponownie.

– Słuchaj – powiedział – nie mam teraz chleba, zupę także całą odniesiono prosiętom. Nie mam ci co teraz dać. Zajdź w tygodniu…

Waśka milczał i nie odchodził.

Iwan Pietrowicz pogrzebał w portfelu.

– Masz tu trzy ruble. To tylko dla ciebie za takie drwa. A tytoniu, sam rozumiesz, tytoń obecnie drogi.

Waśka schował za pazuchę papierek i wyszedł. Za te trzy ruble nie kupiłby nawet szczypty machorki. Ciągle stał jeszcze na ganku. Nudziło go z głodu. Jego chleb i zupę zjadły prosięta. Waśka wyjął zielony papierek i porwał go na drobne kawałeczki. Podchwytywane wiatrem, długo jeszcze przewracały się po wypolerowanej, błyszczącej, przemarzniętej skorupie śnieżnej. A gdy ostatnie strzępki znikły w białej mgle, Waśka zszedł z ganku. Z lekka chwiejąc się z osłabienia, szedł nie do domu, lecz w głąb osiedla, szedł i szedł w kierunku parterowych, piętrowych i dwupiętrowych pałaców…

Wszedł do pierwszego z brzegu przedsionka i szarpnął za klamkę. Drzwi zaskrzypiały, otwierając się z trudem. Waśka wszedł do ciemnego korytarza, skąpo rozjaśnionego przyćmionym światłem elektrycznej żarówki, przeszedł obok drzwi prowadzących do mieszkań. W końcu korytarza znajdowała się komórka; Waśka, napierając na drzwi, otworzył je i przestąpił przez próg. W komórce stały worki z cebulą, a może z solą. Waśka rozerwał

jeden z worków – kasza. Ze złością, podniecony, naparł barkiem i odwalił worek na bok – pod spodem leżały zamrożone tusze świń. Waśka westchnął z radości, zabrakło mu jednak sił, aby oderwać chociaż kawałek od tuszy. Lecz dalej pod workami leżały zamrożone tuszki prosiąt i Waśka przestał już cokolwiek widzieć. Oderwał jedno przymarznięte prosię i trzymając je w rękach jak lalkę czy dziecko, ruszył w kierunku wyjścia.

Ale już z mieszkań wychodzili ludzie i biały żar światła napełnił korytarz. Ktoś krzyknął: „Stój!” i rzucił się Waśce do nóg. Waśka uskoczył, trzymając mocno prosię, i wybiegł na zewnątrz. Pomknęli za nim mieszkańcy domu. Ktoś strzelił w ślad za nim, ktoś inny ryczał jak zwierzę, a Waśka leciał, nie zważając na nic i niczego nie widząc. Po paru minutach spostrzegł, że nogi same go niosą w kierunku jedynego państwowego budynku, który znał w osiedlu – do Zarządu Delegatur Witaminowych; w jednej takiej Waśka pracował jako zbieracz cedrowca.

Pogoń zbliżała się. Waśka wbiegł do przedsionka, odepchnął dyżurnego i pomknął wzdłuż korytarza. Za nim dudniły kroki tłumu prześladowców. Waśka wpadł do gabinetu zawiadującego działalnością kulturalną i wyleciał przez drugie drzwi – do czerwonego kącika. Dalej nie było gdzie uciekać. Waśka teraz dopiero spostrzegł, że zgubił czapkę. Zamrożony prosiak wciąż jeszcze był w jego rękach. Waśka złożył go na podłodze, obrócił masywne ławki i zagrodził nimi drzwi. Zawlókł tam również coś, co było katedrą czy trybuną… Ktoś ruszył drzwiami i zapadła cisza. Wtedy Waśka siadł na podłodze, chwycił w obie ręce prosiaka i surowego, zamarzniętego począł gryźć, gryźć, gryźć…

Gdy po zawezwaniu oddziału żołnierzy otworzono drzwi i rozebrano barykadę, Waśka zdążył już zjeść pół prosiaka.

SERAFIN

List leżał na czarnym, zakopconym stole niczym kawałek lodu. Drzwiczki zrobionego z blaszanej beczki pieca były otwarte, węgiel jarzył się w nim podobny do konfitury z borówek w konserwowej puszce i ten kawałek lodu powinien był się roztopić, stoczyć się, zniknąć. Jednakże lód nie topniał i Serafin zląkł się, zrozumiawszy, że to nie lód, lecz list, i to list właśnie do niego, do Serafina. Serafin lękał się listów, zwłaszcza tych nieopłacanych, ze służbowymi pieczęciami. Wychował się w wiosce, gdzie po dziś dzień otrzymany czy wysłany, „wystukany" telegram mówi o tragicznym zdarzeniu: pogrzebie, śmierci, ciężkiej chorobie.

List leżał na stole Serafina odwrócony adresową stroną do dołu. Rozwiązując szalik i rozpinając zesztywniały od mrozu barani kożuch, Serafin spoglądał na kopertę, nie odrywając od niej oczu.

Odjechał już na odległość dwunastu tysięcy wiorst, za wysokie góry i sine morza, chcąc o wszystkim zapomnieć i wszystko przebaczyć. Jednakże przeszłość nie chce pozostawić go w spokoju. List przyszedł spoza gór, z tego niezapomnianego jeszcze świata, skąd wieziono go pociągiem, samolotem, parostatkiem, samochodem, wreszcie reniferami – aż do tego osiedla, gdzie się schronił. I oto list jest tutaj, w maleńkim laboratorium chemicznym, w którym Serafin jest laborantem.

Ściany wykonane z bierwion, sufit i laboratoryjne szafy poczerniały nie ze starości, lecz od całodobowego palenia w piecu; i dlatego wnętrze domku wygląda jak wiejska izba. Kwadratowe okienka laboratorium podobne są do okienek wykonywanych za czasów Piotra Wielkiego z miki. Szkło pochodzi z kopalni. Oprawa okienna wykonana jest w postaci drobnej kraty, tak aby wykorzystać każdy najmniejszy odłamek szkła, a w razie potrzeby nawet rozbitą butelkę.

Żółta, elektryczna lampka, zwisająca pod abażurem z drewnianej belki, podobna była do samobójcy. Jej światło to ciemniało, to znów rozjarzało się – w elektrowni zamiast agregatów pracowały traktory.

Serafin rozebrał się i przysiadł u pieca, wciąż jeszcze nie dotykając koperty. Był w laboratorium sam. Rok temu, gdy wydarzyło się to, co zazwyczaj nazywa się „rodzinnym nieporozumieniem”, on nie chciał ustąpić. Wyjechał na Daleką Północ wcale nie dlatego, żeby był romantykiem czy też człowiekiem obowiązku. „Wielki rubel” też go nie interesował. Uważał jednak, podobnie jak tysiące filozofów i dziesiątki znajomych obywateli, że rozłąka niszczy miłość, że wiorsty i lata poradzą sobie z każdym nieszczęściem.

Minął rok, a w sercu Serafina nic się nie zmieniło i trwałość tego uczucia po cichu go zdumiewała. Przecież nie dlatego, że przestał już rozmawiać z kobietami. Całkiem po prostu ich nie było. Te zaś, które były, to żony wysokich naczelników – klasy społecznej niepomiernie odległej od laboranta Serafina. Każda z nich, dobrze odżywiona dama, uważała się za piękność. I takie damy mieszkały w osiedlach, gdzie więcej było rozrywek, a znawcy ich wdzięków byli bogatsi. Do tego zaś w osiedlach tych było wielu wojskowych, nie zagrażał więc nagły grupowy gwałt ze strony szoferów czy też błatniaków-więźniów (tego typu przypadki zdarzały się co rusz w drodze lub na małych odcinkach roboczych). Dlatego pracownicy zwiadu geologicznego i naczelnicy łagrów pozostawiali swoje żony w dużych osiedlach – w miejscach, gdzie manikiurzystki dorabiały się majątków.

Była też druga strona medalu – „tęsknota ciała”. Okazało się, że nie jest ona tak straszna, jak myślał Serafin kiedyś, w młodości. Całkiem po prostu trzeba było mniej o tym myśleć.

W kopalni pracowali więźniowie i Serafin wielokrotnie patrzył na szare, aresztanckie szeregi, wpełzające do głównej sztolni albo wypełzające z niej przy końcu zmiany.

W laboratorium pracowało dwóch inżynierów-więźniów. Przyprowadzali ich i odprowadzali konwojenci. Serafin obawiał się z nimi rozmawiać, oni zaś zwracali się do niego tylko w sprawach służbowych – o wyniki analizy czy też próby. Odpowiadał im, odwracając wzrok. Nastraszono go jeszcze przedtem, w Moskwie, kiedy zgłosił się do pracy na Dalekiej Północy. Powiedziano mu, że przebywają tam groźni przestępcy i Serafin bał się nawet przynieść kawałek cukru czy też białego chleba swoim towarzyszom pracy. Zresztą uważał na niego kierownik laboratorium Priesniakow, komsomolec, któremu zakręciło się w głowie od własnej niezwykle wysokiej pensji i wysokiego stanowiska, otrzymanego zaraz po skończeniu instytutu. Za swój główny obowiązek uważał on nadzór polityczny nad pracownikami

– być może tego tylko od niego żądano – nad wolnymi i więźniami. Serafin był starszy od swojego kierownika, ale posłusznie wypełniał wszystko to, co tamten nakazywał w sferze przysłowiowej „czujności” i rozwagi.

W ciągu całego roku nie zamienił z tymi inżynierami-więźniami nawet dziesięciu słów na tematy niezwiązane z pracą. A ze sprzątającym i nocnym stróżem Serafin w ogóle nie rozmawiał.

Po upływie każdych sześciu miesięcy płaca każdego takiego „kontraktowego” zwiększała się o dziesięć procent. Po otrzymaniu drugi raz dodatku Serafin wyprosił sobie zwolnienie na wyjazd do sąsiedniego osiedla, położonego raptem o sto kilometrów dalej, aby coś kupić, pójść do kina, zjeść obiad w prawdziwej jadłodajni, „popatrzeć na baby”, ogolić się u fryzjera.

Wdrapał się do skrzyni ciężarówki, podniósł kołnierz, szczelnie się zawinął i samochód pomknął. Po upływie półtorej godziny maszyna zatrzymała się obok jakiegoś domku. Serafin zlazł i przymrużył oczy od wiosennego, ostrego światła. Przed nim stało dwóch ludzi z karabinami.

– Dokumenty!

Serafin sięgnął do kieszeni marynarki i zrobiło mu się zimno – dowód osobisty zostawił w domu. I jak na złość, żadnego papierka potwierdzającego jego personalia. Nic poza analizą powietrza w kopalni. Rozkazano Serafinowi wejść do domku. Nieogolony i krótko ostrzyżony nie wzbudzał zaufania u naczelnika.

– Skąd uciekłeś?

– Znikąd…

Nieoczekiwany policzek zwalił Serafina z nóg.

– Odpowiadać jak należy!

– Ja złożę zażalenie!

– Ooo, to ty będziesz się na nas skarżyć? Hej, Siemion!

Siemion przymierzył się i zgrabnie, jak na gimnastyce, uderzył Serafina nogą w splot słoneczny.

Serafin jęknął i stracił świadomość. Coś mu się majaczyło, że go gdzieś wlekli wprost po ziemi i że zgubił czapkę. Dźwięknął zamek, skrzypnęły drzwi i żołnierze wrzucili Serafina do jakiejś śmierdzącej, ale ciepłej komórki. Po kilku godzinach Serafin przyszedł do siebie i zrozumiał, że znajduje się w „izolatorze”, gdzie zbierano wszystkich uciekinierów i podlegających karze więźniów z osiedla.

– Masz tytoń? – spytał ktoś z ciemności.

– Nie, jestem niepalący – z poczuciem winy odpowiedział Serafin.

– No, toś dureń. Czy on ma cokolwiek?

– Nie, nie ma nic. Czy cokolwiek może się ostać po tych bakłanach?

Z wielkim trudem Serafin pojął, że to o nim mowa, a „bakłanami” nazywają, jak widać, żołnierzy konwoju, za ich chciwość i wszystkożerność.

– Miałem pieniądze – powiedział Serafin.

– No właśnie, miałeś.

Serafin ucieszył się i zamilkł. Wziął ze sobą na drogę dwa tysiące rubli i chwała Bogu, że zabrano mu te pieniądze, bo są pewnie na przechowaniu u konwojentów. Wszystko się niebawem wyjaśni, Serafina zwolnią i oddadzą mu pieniądze. Serafin poweselał. Trzeba będzie dać ze setkę konwojentom – pomyślał. Za przechowanie. Ale właściwie za co dawać? Za to, że go pobili?

W ciasnej izdebce bez żadnego okna, gdzie dostęp świeżego powietrza był możliwy jedynie przez drzwi wejściowe i porośnięte lodem szczeliny w ścianach, leżało wprost na podłodze dwadzieścia osób. Serafinowi zachciało się jeść i spytał sąsiada, kiedy będzie kolacja.

– Czy ty naprawdę jesteś wolny, czy co? Jutro sobie zjesz. Jesteśmy przecież na państwowym wikcie: kubek wody i norma chleba, trzysta gramów na dobę. Oraz siedem kilogramów drew.

Serafina nigdzie nie wołano i przeżył tu całych pięć dni. Pierwszego dnia krzyczał i stukał do drzwi, ale po tym, jak dyżurujący konwojent, przymierzywszy się sprytnie, przyłożył mu kolbą w głowę, przestał się skarżyć. Zamiast zagubionej czapki dano mu jakiś strzęp materiału, który z trudem naciągnął na głowę. Szóstego dnia wywołano go do „biura”, gdzie za stołem siedział ten sam naczelnik, który go „przyjmował”, a pod ścianą stał kierownik laboratorium – skrajnie niezadowolony zarówno z nieobecności Serafina w pracy, jak i z niepotrzebnej straty czasu na tę jazdę dla poświadczenia personaliów laboranta.

Priesniakow jęknął z lekka, zobaczywszy Serafina – pod prawym okiem niebieski siniak, na głowie porwana, brudna, szmaciana czapka bez tasiemek. W porwanej, watowanej kurtce bez guzików, zarośnięty, bez brudnego kożucha (który trzeba było zostawić w karcerze), z czerwonymi, zaognionymi oczami wywierał silne wrażenie.

– No – powiedział Priesniakow – to rzeczywiście on. Możemy już iść? – Kierownik laboratorium pociągnął Serafina ku wyjściu.

– A pie… pieniądze? – wybełkotał Serafin, opierając się i odpychając Priesniakowa.

– Jakie pieniądze? – w głosie naczelnika zadźwięczał metal.

– Dwa tysiące rubli. Miałem je ze sobą.

– Widzi pan – zaśmiał się naczelnik, szturchając palcem w bok Priesniakowa. – Przecież opowiadałem panu. Po pijanemu, bez czapki…

Serafin przekroczył próg i milczał aż do samego domu. Po tym wypadku zaczął przemyśliwać o samobójstwie. Zapytał nawet jednego z inżynierów, dlaczego on, będąc więźniem, nie popełnia samobójstwa? Inżynier był zdumiony – przez cały rok Serafin nie zamienił z nim nawet dwóch słów. Milczał, starając się zrozumieć.

– A jak pan… jak pan żyje? – gorączkowo szeptał Serafin.

– Życie więźnia to nieprzerwany łańcuch poniżeń, od tej chwili, kiedy otworzy oczy i zacznie słyszeć, aż do momentu zapadnięcia w dobroczynny sen. Tak, to wszystko prawda, ale do wszystkiego się przywyka. Tutaj też bywają lepsze i gorsze dni. Dni pogrążone w beznadziejności przeplatają się z dniami przepełnionymi nadzieją. Człowiek żyje nie dlatego, że w coś wierzy czy też czegoś się spodziewa. Chroni go instynkt życia, tak samo jak każde zwierzę. To samo mogłoby powtórzyć dowolne drzewo i każdy kamień. Należy uważać na siebie w chwili, kiedy nerwy są napięte, rozognione. Trzeba wystrzegać się obnażenia swojego serca, swojego umysłu – nagle i z jakiejkolwiek strony. Koncentrując ostatki sił przeciw jakiemukolwiek wydarzeniu, trzeba wystrzegać się ciosu z tyłu. Dla nowej walki, do której się nie przywykło, może nie starczyć sił. Każde samobójstwo jest wynikiem podwójnego oddziaływania co najmniej dwóch przyczyn. Czy pan mnie zrozumiał?

Serafin rozumiał.

Siedział teraz w zakopconym laboratorium i wspominał tę swoją jazdę z jakimś nie wiadomo dlaczego wstydem, z poczuciem przytłaczającej odpowiedzialności, która zaległa w nim na zawsze. Nie chciał już żyć.

List wciąż jeszcze leżał na czarnym laboratoryjnym stole, a strach nie pozwalał wziąć go do ręki. Serafin wyobrażał sobie linijki listu zapełnione pochylonym nieco w lewo pismem jego żony; charakter tego pisma zdradzał jej wiek – w latach dwudziestych nie uczono już w szkołach, że trzeba pisać z lekkim pochyleniem w prawo. Pisała więc, jak chciała.

Serafin przedstawił sobie wiersze tego listu, jakby przeczytał go bez rozrywania koperty. Zaczynać się mógł od słów: „Mój Drogi” albo „Drogi Sima”, albo „Serafinie”. Tego ostatniego właśnie się obawiał. A co by było, gdyby nie przeczytawszy tego listu, porozrywał go na drobne kawałeczki

i rzucił do pałającego rubinowym ogniem pieca? Skończy się ta zmora i znów będzie mógł spokojnie oddychać, chociażby tylko do następnego listu. Ale przecież w końcu nie jest takim tchórzem! W ogóle nie jest tchórzem. To inżynier jest tchórzem i on mu to udowodni. Wszystkim udowodni.

Serafin wziął list do ręki i obrócił adresem ku górze. Domyślał się słusznie – list był z Moskwy, od żony. Z wściekłością rozerwał kopertę i podszedłszy do lampki, przeczytał list na stojąco. Żona pisała o rozwodzie. Serafin rzucił list do pieca. Biały płomień, obramowany niebieskim obrzeżem, buchnął i zniknął.

Serafin zaczął działać pewnie i bez pośpiechu. Wydostał z kieszeni klucz i otworzył szafę w pokoju Priesniakowa. Ze szklanego słoika nasypał do menzurki szczyptę szarego proszku, zaczerpnął z wiadra kubek wody, dolał do menzurki, pomieszał i wypił.

Palenie w gardle, lekki odruch wymiotny – i to wszystko. Przesiedział tak, spoglądając na chodzący zegar i o niczym nie myśląc, całe trzydzieści minut. Oprócz bólu w gardle, żadnego działania. I wtedy dopiero Serafin zaczął się śpieszyć. Odsunął szufladę stołu i wyjął swój składany nóż, potem zaś otworzył żyłę na lewej ręce. Na podłogę polała się ciemna krew. Serafin poczuł radosne uczucie słabości, ale krew ciekła coraz słabiej i wolniej.

Zrozumiał, że krew nie spłynie, że pozostanie przy życiu, że samoobrona własnego organizmu jest mocniejsza niźli chęć śmierci. Od razu sobie przypomniał, co należy zrobić. Byle jak, na jeden rękaw założył kożuszek – bez kożuszka na dworze było zbyt chłodno – i bez czapki, podniósłszy tylko kołnierz, pobiegł w kierunku rzeczki, która przepływała w odległości stu kroków od laboratorium. Była to górska rzeczka z wypłukanymi przez siebie wąskimi, głębokimi jamami, które teraz, w ciemnym, mroźnym powietrzu, dymiły jak wrzątek.

Serafin wspomniał, jak zeszłego roku spadł późną jesienią pierwszy śnieg i rzekę zaciągnęło cienkim lodem. I kaczkę, która nie odleciawszy, pozostała i usiadła na świeżym lodzie, osłabiona walką ze śniegiem. Wspomniał, jak na lód wybiegł człowiek, jakiś więzień, i – rozstawiwszy śmiesznie ręce – próbował pochwycić kaczkę. Kaczka odbiegała po lodzie do wypłukanej jamy, nurkowała pod lód i wyskakiwała w innym miejscu. Człowiek biegał, przeklinając ptaka; zmęczył się wcale nie mniej niż kaczka, ale wciąż biegał za nią od jamy do jamy. Dwukrotnie załamał się

pod nim lód i on długo, ordynarnie przeklinając, gramolił się nań z powrotem.

Dookoła stało wielu ludzi, ale nikt nie pospieszył z pomocą ani kaczce, ani polującemu. Była to przecież jego zdobycz, on ją znalazł, a za pomoc musiałby płacić, dzielić się… Umęczony człowiek pełznął po lodzie, przeklinając wszystko na świecie. Skończyło się na tym, że kaczka, kolejny raz zanurkowawszy, nie wynurzyła się. Pewnie utonęła ze zmęczenia.

Serafin wspomniał, jak usiłował wtedy wyobrazić sobie śmierć kaczki, gdy tłucze ona głową o lód, widząc przezeń błękitne niebo. Obecnie Serafin biegł w kierunku tego samego miejsca na rzeczce.

Wskoczył wprost do lodowatej, dymiącej wody, odłamując niepokryty śniegiem brzeżek niebieskawego lodu. Woda sięgała po pas, ale prąd był silny i zwalił Serafina z nóg. Zrzucił z siebie kożuszek i złączył ręce, zmuszając się do zanurzenia pod lód, jednakże już dookoła krzyczeli i biegli ludzie, ciągnąc deski i układając je w poprzek jamy. Ktoś zdążył pochwycić Serafina za włosy.

Zaniesiono go wprost do szpitala, rozebrano i ogrzano, starając się wlać do gardła trochę ciepłej, słodkiej herbaty. Serafin milczał i tylko ruszał głową.

Podszedł do niego szpitalny lekarz, trzymając w ręku strzykawkę z roztworem glukozy, ale spostrzegłszy rozszarpaną żyłę, podniósł oczy i spojrzał na Serafina. Serafin uśmiechnął się. Glukozę wstrzyknięto mu do prawej ręki. Staruszek lekarz, który już wiele widział w życiu, rozwarł szpachelką zęby Serafina, obejrzał gardło i wezwał chirurga. Operację przeprowadzono natychmiast, ale było już za późno. Kwas zdążył przeżreć ścianki żołądka i przewodu pokarmowego – założenia Serafina okazały się słuszne.

WOLNY DZIEŃ

Dwie wiewiórki o niebieskawym odcieniu futra, z czarnymi mordkami i czarnymi ogonkami, przypatrywały się z wielkim zajęciem czemuś, co działo się za srebrzystymi modrzewiami. Podszedłem prawie na styk do drzewa, na którym siedziały, i dopiero wtedy mnie spostrzegły. Zaszurały pazurki po korze drzewa, niebieskawe ciała zwierzątek śmignęły w górę i ucichły gdzieś tam wysoko, wysoko. Drobinki kory przestały osypywać się na śnieg. Ujrzałem to, co obserwowały wiewiórki.

Na leśnej polanie modlił się człowiek. Czapka-uszanka ze zwykłego materiału leżała zwinięta u jego nóg i szron zdążył już wybielić ostrzyżoną głowę. Twarz jego wyrażała coś dziwnego – to samo, co bywa na twarzach ludzi wspominających dzieciństwo albo coś równie drogiego i cennego. Człowiek z rozmachem kreślił znak krzyża, jakby ciągnął w dół trzema złożonymi palcami swą głowę. Nie od razu go rozpoznałem – tak wiele nowego rysowało się na jego twarzy. Był to więzień Zamiatin, duchowny, z tego samego baraku co ja.

Wciąż jeszcze mnie nie widział i wargi jego, niemiejące od chłodu, poruszały się, wymawiając cicho i uroczyście zwyczajne, zapamiętane przeze mnie z dzieciństwa słowa. Były to starocerkiewne formuły liturgii. W tym srebrzystym lesie Zamiatin odprawiał mszę.

Powoli przeżegnał się i wyprostował – i spostrzegł mnie. Uroczysty nastrój oraz wzruszenie malujące się na jego twarzy zniknęły, a codzienne zmarszczki pomiędzy brwiami ściągnęły je ku sobie. Zamiatin nie lubił drwin. Podniósł czapkę, otrząsnął ze śniegu i włożył na głowę.

– To była liturgia? – rozpocząłem rozmowę.

– Nie, nie – odrzekł Zamiatin, uśmiechając się z powodu mojej ignorancji. – Jakże mógłbym odprawiać mszę? Przecież nie posiadam ani chleba, ani wina, ani stuły. To jest państwowy ręcznik.

I poprawił zwisający mu z szyi brudny, „waflowy” ręcznik, który rzeczywiście przypominał stułę. Mróz pokrył tkaninę ręcznika kryształkami zmar-

zniętego śniegu, które lśniły w słońcu, upodabniając ją do wyszywanej cerkiewnej szaty.

– A przy tym wstydzę się, bo nie wiem, gdzie jest wschód. Obecnie słońce wschodzi na dwie godziny i zaraz zachodzi za tą samą górą, zza której się pojawiło. Gdzie więc wschód?

– Czy to takie ważne: wschód?

– Nie, oczywiście. Proszę nie odchodzić. Przecież mówię panu, że nie odprawiam mszy i że nie mogę jej odprawić. Całkiem po prostu wspominam i odtwarzam niedzielną mszę. I nie wiem, czy dziś jest niedziela.

– Czwartek – powiedziałem. – Mówił rano nadzorca.

– No, widzi pan, czwartek! Nie, nie, nie odprawiam mszy. Po prostu tak jest mi lżej. A i jeść mniej się chce – uśmiechnął się Zamiatin.

Ja wiem, każdy człowiek tutaj ma coś swojego, coś, co jest najbardziej OSTATECZNE i najważniejsze, coś, co pomaga żyć, czepiać się tego życia, odbieranego nam tak usilnie i z takim uporem. Jeśli dla Zamiatina tym ostatecznym była liturgia Jana Złotoustego, to moją wartością „ostateczną” były wiersze, ulubione wiersze pisane przez innych, które przedziwnym sposobem pozostały w pamięci, tam gdzie wszystko inne dawno już zostało zapomniane, wyrzucone i wygnane. To jedyne, co nie zostało jeszcze zdławione przez zmęczenie, głód, mróz i niekończące się poniżenia.

Słońce zaszło. Napierająca mgła wczesnego zimowego wieczoru zapełniła już przestrzeń między drzewami. Pobrnąłem do baraku, w którym mieszkaliśmy, do niziutkiej izdebki z maleńkimi oknami, podobnej do stajni. Chwyciwszy obiema rękami za ciężkie, oblodzone drzwi, usłyszałem jakiś szmer w sąsiednim pomieszczeniu. Znajdowała się tam „instrumentałka” – skład narzędzi, gdzie przechowywano piły, łopaty, topory, łomy i kilofy robotników górniczych. W dni wolne od pracy był on zamknięty, ale tym razem kłódki nie było. Przekroczyłem próg i ciężkie drzwi omal mnie nie przytrzasnęły. W składzie było tyle szpar w ścianach, że oczy szybko przywykły do półmroku.

Dwóch błatniaków łaskotało dużego szczeniaka-owczarka, mającego już chyba ze cztery miesiące. Szczeniak leżał na grzbiecie, popiskując i podrygując wszystkimi czterema łapami. Starszy z błatniaków przytrzymywał go za obrożę. Moje wejście w niczym im nie przeszkodziło – byliśmy z jednej brygady.

– Ej ty, czy jest ktoś na zewnątrz?

– Nie ma nikogo – odpowiedziałem.

– No to już – powiedział starszy.

– Poczekaj, daj mi się jeszcze trochę pogrzać – odpowiedział młody. – Widzisz, jak się rzuca? – Pomacał ciepły bok szczeniaka w pobliżu serca i połaskotał go.

Szczeniak ufnie zapiszczał i polizał ręce człowieka.

– O, chce ci się lizać… No to nie będziesz już lizać. Sienia!

Siemion, trzymając lewą ręką szczeniaka za obrożę, prawą wyciągnął zza pleców topór i szybko, krótkim rozmachem opuścił na głowę psa. Szczeniak szarpnął się, na lodowatą podłogę składu bluznęła krew.

– Trzymaj go mocniej! – wrzasnął Sienia, wznosząc powtórnie topór.

– Po co mam go trzymać, to nie kogut – odparł młody.

– Zdejmij no skórkę, póki ciepła – pouczał Siemion. – I zakop ją w śniegu.

Wieczorem w baraku zapach mięsnej zupy nie pozwalał nikomu zasnąć, dopóki nie najedli się błatnicy. Ale w naszym baraku było ich zbyt mało, żeby zjeść całego szczeniaka. W kociołku zostały resztki mięsa.

Siemion kiwnął palcem na mnie.

– Weź.

– Nie chcę – powiedziałem.

– No to – Siemion powiódł oczami po pryczach – no to oddamy mięso popu. Ej, ojczulku, przyjmij od nas baraninkę. Tylko kociołek umyj…

Zamiatin wychynął z ciemności na żółte światło benzynowej kopciłki, wziął kociołek i zniknął. Po pięciu minutach wrócił z wymytym już naczyniem.

– Już? – spytał z zainteresowaniem Sienia. – Szybko łykasz, jak mewa. To ojczulku, nie baraninka, lecz psie mięso. Tutaj do ciebie piesek przychodził. Wabił się Nord.

Zamiatin milcząco spoglądał na Siemiona. Potem obrócił się i wyszedł. Wyszedłem w ślad za nim. Stał na śniegu za drzewami, wymiotował. W świetle księżyca twarz jego wyglądała jak z ołowiu. Lepka, klejąca się ślina zwisała z jego sinych warg. Zamiatin otarł twarz rękawem i gniewnie spojrzał na mnie.

– To parszywcy – powiedziałem.

– Tak, oczywiście – odparł. – Ale mięso było smaczne. Nie gorsze od baraniny.

DOMINO

Z platformy wagi dziesiętnej sprowadzili mnie sanitariusze. Mocne, chłodne ręce nie pozwoliły mi osunąć się na ziemię.

– Ile? – krzyknął lekarz, maczając ze stukiem pióro w nieprzelewającym się kałamarzu.

– Czterdzieści osiem.

Ułożono mnie na noszach. Mój wzrost to sto osiemdziesiąt centymetrów; normalna waga ciała – osiemdziesiąt kilogramów. Ciężar kości stanowi czterdzieści dwa procent całkowitej wagi ciała, czyli trzydzieści dwa kilo. W ten lodowaty wieczór pozostało na mnie wszystkiego szesnaście kilogramów: skóry, mięsa, wnętrzności i mózgu. Nie mogłem tego wszystkiego wówczas policzyć, ale rozumiałem niejasno, że czyni to spoglądający na mnie spode łba lekarz.

Odemknął biurko, wysunął szufladę, ostrożnie wyjął termometr, potem pochylił się nade mną i ostrożnie włożył go we wnękę pod moim lewym ramieniem. Natychmiast jeden z sanitariuszy przycisnął mi rękę do piersi, a drugi obiema rękami objął zapięstek mojej prawej ręki. Sens tych wyuczonych, wydoskonalonych ruchów stał się dla mnie jasny dopiero później – w całym szpitalu na sto łóżek był tylko jeden termometr. W stosunku więc do innych przedmiotów szkiełko to zmieniło swą wartość – chroniono je niczym jakąś drogocenność. Jedynie ciężko chorym i nowo przybyłym zezwalano na pomiar temperatury za pomocą tego przyrządu. Zdrowiejącym wpisywano temperaturę „według pulsu” i jedynie w wątpliwych przypadkach otwierano szufladę biurka.

Wahadło zegara odliczyło dziesięć minut, lekarz ostrożnie wyjął termometr, ręce sanitariuszy zwolniły ucisk.

– Trzydzieści cztery i trzy – stwierdził lekarz. – Czy ty jesteś w stanie odpowiadać na moje pytania?

Odpowiedziałem ruchem oczu: „potrafię”. Oszczędzałem siły. Słowa dawały się wymawiać wolno i z trudnością; to było coś jak tłumaczenie z obcego języka. Zapomniałem wszystko. Odwykłem od wspominania. Spi-

sywanie historii choroby dobiegło końca i sanitariusze lekko unieśli nosze, na których leżałem na wznak.

– Na szóstą – powiedział lekarz. – Jak najbliżej pieca.

Położono mnie na pryczy koło pieca. Materace były wypchane gałązkami cedrowca, igły poodpadały i nagie witki niebezpiecznie wyginały się pod pasiastą tkaniną. Z brudnej, ciasno napchanej poduszki sypały się przegniłe resztki siana. Przetarty, wysłużony sukienny koc z naszytymi szarymi literami „nogi” ukrył mnie przed całym światem. Bardziej doskwierały podobne do powrozów mięśnie rąk i nóg, swędziały odmrożone palce. Jednakże zmęczenie było silniejsze od bólu. Zwinąłem się w kłębek, objąłem nogi rękami, podbródek podparłem brudnymi kolanami pokrytymi szorstką, jakby krokodylą skórą – i zasnąłem.

Obudziłem się po wielu godzinach. Na podłodze przy łóżku stały moje śniadania, obiady i kolacje. Wyciągnąłem rękę, chwyciłem najbliżej stojącą blaszaną miskę i zacząłem jeść wszystko po kolei, odgryzając od czasu do czasu drobniutkie kawałki od mojej „pajki” chleba leżącej tuż obok. Chorzy z sąsiednich prycz przypatrywali się, jak łykam pożywienie. Nie pytali, kim jestem i skąd – moja krokodyla skóra mówiła sama za siebie. Nie patrzyliby na mnie, ale – wiedziałem to z własnego doświadczenia – nie sposób odwrócić wzroku od człowieka, który zajada ze smakiem.

Przełknąłem pozostawione koło mnie jedzenie. Ciepło, cudowna ociężałość żołądka i ponowny sen – niedługi, bo przyszedł po mnie sanitariusz. Narzuciłem na ramiona jedyny tutaj wyjściowy szlafrok – palto – brudne, przepalone niedopałkami, przyciężkie od wchłoniętego potu setek ludzi; wsunąłem stopy w ogromne człapaki i z wolna przestawiając nogi, aby nie upaść, pobrnąłem za sanitariuszem do „zabiegówki”.

Przy oknie stał ten sam lekarz i patrzył przez szybę, oszronioną i kosmatą od narośniętego lodu. Z rogu parapetu zwisała szmatka; kropla po kropli skapywała z niej woda do podstawionej obiadowej miski. Żelazny piec huczał. Stanąłem, chwyciwszy się obiema rękami sanitariusza.

– No, to kontynuujemy – powiedział lekarz.

– Zimno – odrzekłem cicho. Zjedzone niedawno pożywienie przestało już mnie grzać.

– Siądź przy piecu… Gdzie pan pracował na wolności?

Rozwarłem wargi, poruszyłem szczękami – powinien z tego wyjść uśmiech. Lekarz zrozumiał i w odpowiedzi również się do mnie uśmiechnął.

– Nazywam się Andriej Michajłowicz – oznajmił. – Nie ma potrzeby, aby pan się leczył.

Poczułem ssanie w piersiach.

– Tak – powtórzył lekarz – nie ma potrzeby się leczyć. Trzeba pana tylko odżywiać i myć. Powinien pan leżeć, leżeć i jeść. Co prawda nasze materace to nie to, co pierzyna, ale z panem nie będzie tak źle. Trzeba się często przewracać z boku na bok i nie będzie odleżyn. Poleży pan dwa miesiące, a potem to już wiosna.

Lekarz uśmiechnął się. Oczywiście, że odczuwałem radość. Jakżeby nie. Całe dwa miesiące! Brakowało mi jednak siły, aby wyrazić tę radość. Trzymałem się rękami taboretu i milczałem. Lekarz coś tam zapisał w historii choroby.

– Proszę iść.

Powróciłem do sali. Spałem i jadłem. Po upływie tygodnia chodziłem chwiejnym nieco krokiem po sali, po korytarzu, po innych salach. Odszukiwałem ludzi przeżuwających, przełykających, zaglądałem im w usta, czym bowiem więcej odpoczywałem, tym bardziej chciało mi się jeść.

W szpitalu, podobnie jak w łagrze, nie dawano łyżek. Bez widelca i noża nauczyliśmy się obchodzić jeszcze w więzieniu śledczym. Od dawna przyuczeni byliśmy do przyjmowania pożywienia „przez burtę”, bez łyżki; ani zupa, ani kasza nigdy nie były tak gęste, żeby potrzebna była łyżka. Palec, skórka od chleba i język doczyszczały dno kociołka lub miski bez względu na głębokość. Poszukiwałem przeżuwających i pragnąłem ich widzieć. Była to prawdziwa, władająca mną potrzeba. Andriej Michajłowicz znał to uczucie.

W nocy rozbudził mnie sanitariusz. Salę wypełniały zwykłe odgłosy szpitala w nocy: chrypienie, stękanie, rozmowy przez sen, kaszel; wszystko to mieszało się, tworząc swoistą symfonię, jeśli z takich dźwięków można ułożyć symfonię. Niech tylko ktoś zaprowadzi mnie z zawiązanymi oczami w takie miejsce, natychmiast rozpoznam łagrowy szpital.

Na parapecie – lampa, blaszane naczynko napełnione jakimś olejem (byle nie tranem!), z dymiącym knotem skręconym z waty. Przypuszczalnie nie było jeszcze zbyt późno. Nasza noc zaczynała się po „capstrzyku”, o godzinie dziewiątej wieczorem i zasypialiśmy od razu, jakoś dziwnie, byle nieco rozgrzały się nogi i ręce.

– Andriej Michajłowicz wzywają – powiedział sanitariusz. – To Koziołek, on cię zaprowadzi.

Chory nazwany Koziołkiem stał przede mną. Podszedłem do blaszanej umywalki, obmyłem się i wróciwszy do sali, wytarłem twarz i ręce o powłoczkę. Na całą salę liczącą trzydzieści osób był tylko jeden ogromny ręcznik ze starego pasiastego materaca i wydawano go tylko rano. Andriej Michajłowicz mieszkał przy szpitalu, w jednej z maleńkich salek przy końcu budynku; kładziono tam chorych pooperacyjnych. Zapukałem do drzwi i wszedłem. Na stole leżały odsunięte na bok książki. Były dla mnie obce, nieprzyjazne i niepotrzebne. Obok książek stał czajnik, dwa blaszane kubki i miska napełniona jakąś kaszą…

– Nie chciałby pan zagrać w domino? – spytał Andriej Michajłowicz, przyjaźnie mi się przyglądając… – Jeżeli ma pan czas.

Nienawidzę domina. Jest to najbardziej nudna, najbardziej bezmyślna i głupia gra. Ciekawsze jest lotto, nie mówiąc o kartach, jakiejkolwiek grze w karty. Najlepsze byłyby szachy lub chociażby warcaby; popatrzyłem z ukosa na szafę, czy nie widać tam szachownicy, ale niestety nie było. Nie mogłem jednak obrazić Andrieja Michajłowicza odmową. Powinienem go rozerwać, odpłacić dobrem za dobro. Nigdy w życiu nie grałem w domino, jednak byłem przekonany, że opanowanie tej sztuki nie wymaga większej mądrości. A przy tym na stole stały dwa kubki herbaty i miska kaszy. I było ciemno.

– Napijmy się herbaty – powiedział Andriej Michajłowicz. – Oto cukier, proszę się nie krępować. Niech pan je kaszę i opowiada. Chociaż… te dwie czynności nie bardzo dają się wykonać jednocześnie.

Zjadłem kaszę, chleb i wypiłem trzy kubki herbaty z cukrem. Cukru nie widziałem już od dziesięciu lat. Rozgrzałem się i Andriej Michajłowicz zmieszał kostki domina.

Wiedziałem, że grę rozpoczyna ten, kto posiada podwójną szóstkę. Wyłożył ją Andriej Michajłowicz. Potem grający dostawiają po kolei kostki, odpowiednio do znajdujących się na nich oczek. Niczego więcej do nauczenia się tu nie było, śmiało więc włączyłem się do gry, bezustannie pocąc się i czkając z sytości.

Graliśmy na łóżku Andrieja Michajłowicza. Z przyjemnością patrzyłem na oślepiająco białą powłokę wypełnionej pierzem poduszki. Patrzeć na czystą poduszkę i widzieć, jak drugi człowiek ugniata ją rękami, było dla mnie wprost fizyczną rozkoszą.

– Nasza gra – powiedziałem – pozbawiona jest swojego największego uroku: gracze w domino powinni, kładąc kostki, stukać nimi z pełnego roz-

machu o stół. – Wcale nie żartowałem. Właśnie to wydawało mi się najważniejsze w czasie gry w domino.

– Przenieśmy się więc na stół – odparł Andriej Michajłowicz.

– Nie, no co pan, ja po prostu przypominam sobie wielostronność tej gry.

Rozgrywaliśmy partię wolno, opowiadaliśmy sobie wzajemnie własne życie. Andriej Michajłowicz, będąc lekarzem, nie pracował na tak zwanych „ogólnych robotach” w wyrobiskach kopalni i widział jedynie ich odbicie w postaciach ludzkich resztek, odpadów, wymiocin, które kopalnia wyrzucała do szpitala i kostnicy.

– No proszę, wygrał pan – powiedział Andriej Michajłowicz. – Gratuluję, a jako premię proszę… – Tu wyjął z szafy plastikową papierośnicę. – Dawno temu pan palił?

Oderwałem kawałek gazety i skręciłem machorkowego papierosa. Niczego bardziej pasującego do machorki niźli papier gazetowy nie da się wymyślić. Pozostałości farby drukarskiej nie tylko nie psują machorkowego „bukietu”, ale wręcz znakomicie go uwydatniają. Przyłożywszy pasek papieru do żarzących się w piecyku węgli, przypaliłem skręta, chciwie wciągając w płuca duszący, słodkawy dym.

Cierpieliśmy na stały brak tytoniu i już dawno należało rzucić palenie – sprzyjały temu warunki specjalne. Lecz ja nigdy nie przestawałem palić. Strach nawet było pomyśleć, że sam, z własnej woli, mogę się pozbawić tej wielkiej aresztanckiej przyjemności.

– Dobranoc – powiedział, uśmiechając się, Andriej Michajłowicz. – Już szedłem spać, ale tak zachciało mi się rozegrać partyjkę. Dziękuję panu.

Wyszedłem z pokoju do ciemnego korytarza. Przy ścianie stał ktoś na mojej drodze. Po sylwetce poznałem Koziołka.

– To ty? Czego tu chcesz?

– Popalić. Chciałbym popalić. Nie dał?

Zrobiło mi się wstyd mojej chciwości, wstyd, że nie pomyślałem ani o Koziołku, ani o nikim z sali, żeby im przynieść niedopałek papierosa, skórkę chleba, garść kaszy.

A Koziołek wyczekiwał przez kilka godzin w ciemnym korytarzu.

Minęło jeszcze parę lat, skończyła się wojna, w kopalni złota zastąpili nas własowcy, a ja trafiłem do „małej zony”, do etapowych baraków Zarządu Zachodniego. Ogromne baraki z wielopiętrowymi pryczami mieściły po pięćset, sześćset osób. Stąd wysyłano do zachodnich kopalni.

Nocami zona nie spała – przychodziły etapy i w „czerwonym kąciku” zony, wyścielanym brudnymi kocami błatniaków, każdej nocy odchodziły koncerty. I to jakie koncerty! Z udziałem najznamienitszych śpiewaków i narratorów – nie tylko tych z łagrowych agitbrygad, ale i wysokiego szczebla. Jakiś charbiński baryton naśladujący Leszczenkę i Wertyńskiego, naśladujący samego siebie Wadim Kozin i wielu, wielu innych wyśpiewywało błatniakom swój najlepszy repertuar. Obok mnie leżał Swiecznikow, porucznik wojsk pancernych, delikatny, różowolicy młodzieniec, który zakończył służbę wojskową. Znajdował się tu także jako więzień pod śledztwem – w czasie pracy w kopalni przyłapany został na tym, że jadł ludzkie mięso, mięso trupów z kostnicy, wyrąbując kawałki „oczywiście nie tłuste”, jak najspokojniej wyjaśniał.

Na punkcie łagrowym nie wybiera się sąsiadów i pewnie są jeszcze gorsze sprawy niż obiad z ludzkich zwłok.

Rzadko, bardzo rzadko pojawiał się w małej zonie felczer i przyjmował „gorączkowców”. Na gęsto oblepiające mnie czyraki nie chciał nawet spojrzeć. Natomiast mój sąsiad, znajomy felczera ze szpitalnej kostnicy, rozmawiał z nim jak z dobrym znajomym. Nieoczekiwanie felczer wymienił nazwisko Andrieja Michajłowicza.

Ubłagałem felczera, aby przekazał Andriejowi Michajłowiczowi kartkę. Szpital, w którym pracował, położony był w odległości jednego kilometra od „małej zony”. Plany moje uległy zmianie. Należało teraz utrzymać się w zonie do chwili nadejścia odpowiedzi od Andrieja Michajłowicza.

Dyspozytor zdążył już mnie zauważyć i włączał w skład każdego odchodzącego etapu. Jednakże przyjmujący etap przedstawiciele równie nieustępliwie wykreślali mnie z listy. Podejrzewali, że coś ze mną niedobrze, a przy tym mój wygląd mówił sam za siebie.

– Dlaczego nie chcesz jechać?

– Jestem chory. Powinienem iść do szpitala.

– Nie masz co robić w szpitalu. Jutro będą wysyłać do robót drogowych. Czy chcesz wiązać miotły?

– Nie chcę na roboty drogowe. Nie chcę wiązać mioteł.

Mijał dzień za dniem, odchodził etap za etapem, a o felczerze i Andrieju Michajłowiczu ani słychu, ani dychu. Pod koniec tygodnia udało mi się wkręcić na przegląd lekarski w ambulatorium, odległym około stu metrów od „małej zony”. Nowa karteczka do Andrieja Michajłowicza tkwiła zaci-

śnięta w mej pięści. Wziął ją ode mnie statystyk z ambulatorium i obiecał przekazać nazajutrz Andriejowi Michajłowiczowi.

W czasie przeglądu spytałem kierownika przychodni o Andrieja Michajłowicza.

– Owszem, jest taki lekarz, więzień. Nie ma potrzeby, aby pan się z nim widział.

– Ale ja go znam osobiście.

– Cóż z tego, że ktoś go zna osobiście?

Zaraz obok stał felczer, który w „małej zonie” wziął ode mnie karteczkę. Cicho spytałem go, gdzie ona się podziała.

– Żadnej kartki na oczy nie widziałem…

Jeżeli do pojutrza nie dowiem się niczego o Andrieju Michajłowiczu, to jadę… Na roboty drogowe, do sielchozu, do kopalni, do diabła wreszcie…

Następnego dnia wieczorem, już po apelu, wezwano mnie do dentysty. Poszedłem, myśląc, że to jakaś pomyłka, ale w korytarzu ujrzałem znajomy czarny kożuszek Andrieja Michajłowicza. Uściskaliśmy się.

Gdy minęła następna doba, wywołano mnie i pośród czterech chorych z łagru poprowadzono i powieziono do szpitala. Dwóch leżało, objąwszy się nawzajem, na wiejskich saniach, a dwóch pozostałych szło za nimi. Andriej Michajłowicz nie zdążył mnie uprzedzić, jaka ma być diagnoza; nie wiedziałem, na co jestem chory. Nękające mnie choroby – dystrofia, szkorbut, pelagra – nie dorosły jeszcze do tego, aby być powodem hospitalizacji w łagrze. Wiedziałem, że idę na oddział chirurgiczny. Tam właśnie pracował Andriej Michajłowicz, ale jaki mogłem zgłosić rodzaj choroby wymagającej interwencji chirurgicznej? Przepukliny nie miałem. Zapalenie kości czterech palców u nogi po odmrożeniu to męczące, ale niewystarczające dla hospitalizacji. Byłem pewien, że Andriej Michajłowicz potrafi mnie uprzedzić przy jakimś spotkaniu.

Koń podwiózł pod szpital, sanitariusze wyciągnęli „leżących”, a my – ja wraz z nowym towarzyszem – rozebraliśmy się na ławeczce i rozpoczęliśmy mycie. Każdemu dawano tu miednicę ciepłej wody.

Do „łazienki” wszedł starszy wiekiem lekarz w białym fartuchu i patrząc sponad okularów, obejrzał nas obu.

– Ty na co? – spytał, dotykając palcem ramienia mojego towarzysza.

Ten obrócił się i wymownie pokazał ogromną przepuklinę pachwinową.

Oczekując na to samo pytanie, zdecydowałem, że będę się uskarżał na bóle brzucha. Jednakże stary lekarz spojrzał na mnie obojętnie i wyszedł.

– Kto to? – spytałem.

– Mikołaj Iwanowicz jest tutaj naczelnym chirurgiem. Kierownikiem oddziału.

Sanitariusz wydał nam bieliznę.

– Ciebie dokąd? – odnosiło się to do mnie.

– A czort jego wie! – Kamień spadł mi z serca i przestałem już się bać.

– No, ale co ci „naprawdę” dolega, powiedz.

– Brzuch mnie boli.

– Pewnie ślepa kiszka – powiedział obeznany z tym sanitariusz.

Andrieja Michajłowicza ujrzałem dopiero następnego dnia. Naczelny chirurg został przez niego uprzedzony o mojej hospitalizacji w związku z „podostrym zapaleniem ślepej kiszki”. Tego samego dnia Andriej Michajłowicz opowiedział mi swoją niewesołą historię.

Zapadł na gruźlicę. Zdjęcie rentgenowskie i analizy w laboratorium wskazywały na silne zagrożenie. Szpital rejonowy czynił starania, aby wywieźć Andrieja Michajłowicza na „kontynent” na leczenie. Znajdował się on już na statku, gdy ktoś doniósł naczelnikowi wydziału zdrowia, Czerpakowowi, że choroba Andrieja Michajłowicza jest nieprawdziwa, pozorowana – „tufta”, według używanego w łagrze żargonu. A może nawet nikt nie doniósł – major Czerpakow był godnym synem swojego wieku, wieku podejrzeń, nieufności i „czujności”.

Major rozgniewał się, kazał zabrać Andrieja Michajłowicza ze statku i posłać do najgłębszej głuszy, daleko od tego odległego Zarządu, w którym się z nim spotkałem. I Andriej Michajłowicz odbył tysiąckilometrową podróż na mrozie. Jednakże w tym odległym Zarządzie okazało się, że nie ma ani jednego lekarza, który potrafiłby zakładać odmę. Robiono to już przedtem Andriejowi Michajłowiczowi kilka razy, ale dziarski major orzekł, że odma to oszustwo i szachrajstwo.

Tymczasem z Andriejem Michajłowiczem było wciąż gorzej i gorzej. Był już ledwie żywy, gdy udało się uzyskać u Czerpakowa zwolnienie na odesłanie Andrieja Michajłowicza do Zarządu Zachodniego – najbliższego, w którym lekarze umieli zakładać odmę.

Teraz Andriej Michajłowicz miał się lepiej. Kilkakrotne wdmuchiwanie przeprowadzono pomyślnie. Za jego poparciem i zgodnie z jego żądaniem pojechałem na kursy felczerów, ukończyłem je i praktykowałem jako felczer. W szpitalu, w którym obaj pracowaliśmy, żyliśmy w przyjaźni.

Wyroki nasze kończyły się w tym samym czasie i to jakby wiązało nasze losy, zbliżało. Później powróciłem na „kontynent”.

To Andriej Michajłowicz jest tym człowiekiem, któremu zawdzięczam życie. On sam dawno już umarł – gruźlica i major Czerpakow zrobili swoje.

Przypominam sobie teraz, jak kiedyś w szpitalu, gdy ukończono wieczorne sprzątanie, sanitariusze zasiedli w kącie do gry w domino i poczęli stukać kostkami.

– Durna gra – powiedział wtedy Andriej Michajłowicz, wskazując na sanitariuszy i marszcząc się od stuku kostek.

– Tylko raz w życiu grałem w domino – odrzekłem. – Z panem. Pan mnie zaprosił. I nawet wygrałem.

– Nie sztuka wygrać – powiedział Andriej Michajłowicz. – Ja też wtedy wziąłem po raz pierwszy domino do rąk. Chciałem zrobić panu przyjemność.

HERKULES

Ostatnim, spóźnionym gościem na srebrnym weselu naczelnika szpitala, Sudarina, był lekarz Andriej Iwanowicz Dudar. Niósł on w ręku pleciony koszyk, obwiązany merlą ozdobioną malowanymi kwiatami. Przy dźwięku szkła i gwarze pijanych głosów ucztujących Andriej Iwanowicz ofiarował koszyk jubilatowi. Sudarin spytał, ważąc go na ręce:

– Co to?

– Zobaczy pan.

Zdjęto merlę. Na dnie koszyka leżał duży, czerwony kogut. Kręcił z niewzruszonym spokojem głową, spoglądając na poczerwieniałe twarze hałaśliwych, pijanych gości.

– Ach, Andrieju Iwanowiczu, jak to w porę – zaszczebiotała siwa jubilatka, gładząc koguta.

– Cudowny prezent – zaterkotały lekarki. – I jaki czerwony! To przecież nasz ulubieniec, prawda, Andrieju Iwanowiczu?

Jubilat z uczuciem uścisnął rękę Dudara.

– Pokażcie, pokażcie! – nieoczekiwanie zabrzmiał cienki, zachrypnięty głos.

Na honorowym miejscu u szczytu stołu, po prawej ręce gospodarza, siedział znamienity gość z zewnątrz, dawny przyjaciel Sudarina, który przyjechał jeszcze z rana z wojewódzkiego miasta, odległego o sześćset wiorst, swoją osobistą „Pobiedą” na srebrne wesele kolegi.

Przed zmętniałymi oczami przybyłego gościa pojawił się kosz.

– Tak, wspaniały kogucik. Czy to twój? – Palec honorowego gościa wskazał na Andrieja Iwanowicza.

– Teraz to mój – uśmiechając się, pospieszył zameldować jubilat.

Honorowy gość był wyraźnie młodszy od otaczających go łysych i siwych neuropatologów, internistów, psychiatrów. Miał czterdzieści lat. Niezdrowa, żółta, obrzmiała twarz, niewielkie oczka, elegancki mundur ze srebrnymi naramiennikami pułkownika służby sanitarnej. Mundur wyraźnie uciskał pułkownika; widać było, że uszyto go jeszcze wtedy, gdy brzuszek

nie był tak wyraźny, a szyja nie napierała na stojący kołnierz. Twarz honorowego gościa wyrażała nudę, ale wraz z każdym wypitym kieliszkiem spirytusu (jako Rosjanin, a do tego jeszcze mieszkaniec Północy, honorowy gość nie uznawał żadnych innych napojów rozgrzewających) ożywiała się i gość coraz częściej spozierał na otaczające go medyczne damy i coraz częściej wtrącał się do rozmów, które niezmiennie cichły na dźwięk naderwanego tenorka.

Gdy temperatura wewnętrzna osiągnęła odpowiedni poziom, honorowy gość wydostał się zza stołu, odepchnął jakąś lekarkę, która nie zdążyła się usunąć, zakasał rękawy i począł podnosić ciężkie modrzewiowe krzesła, chwytając je za tylną nogę na przemian to prawą, to lewą ręką, czyli demonstrując harmonię swego fizycznego rozwoju.

Nikt spośród zachwyconych gości nie potrafił tyle razy unieść owych krzeseł, które podnosił honorowy gość. Z krzeseł przeniósł się na fotele i podobnie jak przedtem, towarzyszył mu sukces. Podczas gdy inni podnosili krzesła, honorowy gość mocarną dłonią przygarniał do siebie różowe ze szczęścia lekarki i zmuszał je do obmacywania swych napiętych bicepsów, co też czyniły z jawnym zachwytem.

Po tych ćwiczeniach nasz honorowy gość, którego pomysłowość nie ustawała, przeszedł do następnego numeru, rosyjskiego, narodowego: opartą na łokciu ręką przygniatał do stołu podobnie ustawioną rękę przeciwnika. Siwi i łysi neuropatolodzy i terapeuci nie potrafili mu stawić czoła i jedynie główny chirurg wytrzymał nieco dłużej niż inni.

Honorowy gość chciał poddać próbom swoją rosyjską siłę. Przeprosiwszy damy, zdjął z siebie mundurową kurtkę, natychmiast podchwyconą i powieszoną na oparciu krzesła przez gospodynię domu. Po nagłym ożywieniu twarzy widać było, że honorowy gość znowu coś wymyślił.

– Ja baranowi, rozumiecie, baranowi przekręcam do tyłu głowę. Trach i gotowe! – Honorowy gość złapał za guzik Andrieja Iwanowicza. – A temu twojemu… podarunkowi żywcem oderwę głowę – powiedział, rozkoszując się wywartym wrażeniem. – Gdzie kogut?

Wywleczono go natychmiast z domowego kurnika, dokąd został wpuszczony przez zapobiegliwą gospodynię. Na Północy wszyscy naczelnicy trzymają (oczywiście w zimie) po kilkadziesiąt kur w mieszkaniach; czy żonaci, czy kawalerowie – dla wszystkich kury to bardzo, bardzo dobry interes.

Honorowy gość wyszedł na środek pokoju, trzymając koguta w rękach. Ulubieniec Andrieja Iwanowicza leżał przez cały czas tak samo spokojnie, złożywszy nogi i zwiesiwszy na bok głowę. Andriej Iwanowicz ze dwa lata hołubił go w swoim samotnym mieszkaniu.

Mocarne palce chwyciły koguta za szyję. Na twarzy honorowego gościa poprzez nieczystą, grubą skórę wystąpił rumieniec. Podobnie jak rozgina się podkowy, takim ruchem honorowy gość oderwał kogutowi głowę. Odprasowane spodnie i jedwabną koszulę zbryzgała kogucia krew. Damy, chwyciwszy jedwabne chusteczki, na wyścigi rzuciły się wycierać spodnie honorowego gościa.

– Wody kolońskiej!

– Amoniakiem!

– Zamoczyć w zimnej wodzie!

– Ale siła! To dopiero po rosyjsku! Trach i gotowe! – zachwycał się jubilat.

Honorowego gościa pociągnięto do łazienki, aby się obmył.

– Tańczyć będziemy w sali – zakrzątnął się jubilat. – Ale Herkules…

Nakręcono patefon. Zasyczała igła. Andriej Iwanowicz wydostał się zza stołu, aby wziąć udział w tańcach (honorowy gość lubił, by wszyscy tańczyli), i nastąpił nogą na coś miękkiego. Nachyliwszy się, ujrzał martwe ciało koguta, bezgłowe zwłoki swego ulubieńca.

Wyprostował się, oglądnął i nogą wepchnął głęboko pod stół martwego ptaka. Potem spiesznie wyszedł z pokoju – honorowy gość nie lubił, gdy się spóźniano na tańce.

TERAPIA WSTRZĄSOWA

Jeszcze w tych błogosławionych czasach, kiedy Mierzlakow pracował jako wozak i można było we własnego wyrobu łuszczarce (dużej puszce po konserwach, z podziurawionym na wzór sita dnem) produkować z przeznaczonego dla koni owsa kaszę dla ludzi, gotować ją i zagłuszać głód tą gorzką, gorącą masą – wtedy jeszcze zastanawiał się on nad jednym prostym zagadnieniem. Duże taborowe konie z kontynentu codziennie otrzymywały porcję państwowego owsa, dwukrotnie większą niż maleńkie i kosmate koniki jakuckie, chociaż jedne i drugie woziły równie mało. Mieszańcowi-perszeronowi o imieniu Grom sypano do żłobu tyle owsa, że starczyłoby go dla pięciu „jakutków". Było to słuszne, wszędzie tak postępowano i nie to męczyło Mierzlakowa. Nie mógł pojąć, dlaczego przydział żywnościowy dla człowieka w łagrze, ten tajemniczy wykaz białka, witamin, tłuszczów i kalorii przeznaczonych do spożycia przez więźniów i nazywany arkuszem kotłowym, sporządzany jest bez uwzględnienia wagi człowieka. Jeżeli stosunek do niego jest taki sam jak do zwierzęcia roboczego, to w zagadnieniach przydziału żywności należałoby być bardziej konsekwentnym i nie wkładać tyle trudu w obliczanie jakiejś średniej arytmetycznej, stanowiącej jedynie biurokratyczny wymysł. Ta straszna średnia w najlepszym wypadku odpowiadała jedynie niskorosłym osobnikom i rzeczywiście – mali „dochodzili" później od innych. Kompleksja Mierzlakowa odpowiadała perszeronowi Gromowi i żałosne trzy łyżki kaszy na śniadanie powiększały tylko bolesne ssanie w żołądku.

A przecież oprócz swej ustawowej porcji pracujący w brygadzie nie mógł otrzymać prawie niczego więcej. Wszystko, co najbardziej wartościowe – i tłuszcz, i cukier, i mięso – trafiało do kotła w zupełnie innej proporcji, niż wpisywano do arkusza kotłowego. Mierzlakow wiedział jeszcze coś innego: przede wszystkim umierali ludzie rośli. Żaden nawyk do ciężkiej pracy nic tu nie potrafił zmienić. Szczuplutki inteligent mimo wszystko trzymał się dłużej niż gigant-kałużanin, urodzony kopacz, jeśli byli jednakowo żywieni według łagrowej „racji". Ze zwiększonego za

wyrobione procenty przydziału również niewiele było korzyści, bo zasadniczy przydział składników żywności pozostawał bez zmiany – zupełnie nieobliczony na dorosłych ludzi. Po to, aby lepiej zjeść, trzeba było lepiej pracować; aby zaś lepiej pracować, trzeba było lepiej jeść. Estończycy, Łotysze, Litwini zawsze umierali pierwsi. Zawsze pierwsi „dochodzili”, co było przyczyną wyrażanych przez lekarzy spostrzeżeń: cała Przybałtyka jest słabsza niźli lud rosyjski. Normalne warunki bytowania Łotyszy i Estończyków o wiele bardziej różniły się od bytowania w łagrze niż życie rosyjskiego wieśniaka i było im znacznie trudniej. Ale rzeczywisty powód tkwił w czym innym – oni nie to, że byli mniej wytrzymali, lecz całkiem po prostu bardziej rośli.

Półtora roku temu, po szkorbucie, który szybko powalił nowicjusza, trafiła się Mierzlakowowi praca sanitariusza w miejscowym szpitaliku. Tam dowiedział się, że dozowania lekarstw dokonuje się według wagi ciała. Badanie nowych lekarstw przeprowadza się na królikach, myszach, świnkach morskich, a doza lekarstwa przeznaczonego dla człowieka wyliczona jest na podstawie wagi jego ciała. Doza dziecięca jest mniejsza niż dla dorosłych.

Jednakże racjonowanie w łagrze nie jest obliczone odpowiednio do masy ludzkiego ciała. To właśnie było to zagadnienie, które dziwiło i niepokoiło Mierzlakowa. Ale zanim ostatecznie osłabł, udało mu się cudem urządzić w charakterze wozaka tam, gdzie można było okradać konie z owsa i napychać nim swój żołądek. Mierzlakow myślał już, że uda mu się przezimować, a potem będzie, co Bóg da. Tak się jednak nie stało. Kierownik bazy konnej usunięty został za pijaństwo, na jego miejsce wyznaczono starszego wozaka, jednego z tych, którzy w swoim czasie wyuczyli Mierzlakowa obchodzenia się z blaszaną łuszczarką.

Starszy wozak sam nakradł niemało owsa i doskonale wiedział, jak to się robi. Dążąc jednak do przedstawienia się w jak najlepszym świetle przed naczalstwem, własnoręcznie poniszczył wszystkie łuszczarki, nie będąc sam zainteresowany pozyskiwaniem owsianej kaszy. Zaczęto więc owies prażyć, gotować i jeść w naturalnej postaci, w pełni dorównując koniom pod względem żołądków. Nowy kierownik napisał raport i kilku wozaków, w tym Mierzlakowa, posadzono do karceru za kradzież owsa, a potem odesłano z bazy konnej z powrotem tam, skąd przyszli – na „roboty ogólne”.

Na robotach ogólnych Mierzlakow szybko zrozumiał, że śmierć już blisko. Giął się pod ciężarem bierwion, które musiał taszczyć. Dziesiętnik, któremu nie spodobał się ten „leniwy łeb” (w miejscowym żargonie „łeb” znaczy rosły), za każdym razem ustawiał Mierzlakowa „pod komelek”, zmuszając go do dźwigania grubszego końca pnia – „komla”.

Pewnego razu Mierzlakow upadł, nie mógł od razu powstać w śniegu i zdecydowawszy się nagle, odmówił dźwigania tego przeklętego pnia. Było już późno, ciemno, konwojenci spieszyli się na szkolenie polityczne, więźniowie chcieli jak najprędzej dostać się do baraku, do jedzenia, dziesiętnik spóźniony już był tego wieczoru na karciane boje – a winę za całą tę zwłokę ponosił Mierzlakow. Ukarano go. Najpierw pobili właśni koledzy, potem dziesiętnik i konwojenci. I tak pień pozostał w śniegu. Zamiast pnia przyniesiono do łagru Mierzlakowa. Dostał zwolnienie i leżał na narach. Bolało go w krzyżu.

Felczer posmarował plecy Mierzlakowa solidolem – innych środków do nacierania nie było w ambulatorium. Mierzlakow cały czas leżał na wpół zgięty, skarżąc się na uporczywe bóle w krzyżu. Bólów dawno już nie było, żebro zrosło się bardzo szybko, lecz Mierzlakow za cenę każdego rodzaju kłamstwa starał się odsunąć moment wypisania go do pracy. I nie wypisywano go. Któregoś razu ubrano go i położono na noszach, umieszczając wraz z innymi chorymi w skrzyni ciężarówki. Odwieziono ich do szpitala rejonowego, gdzie nie było rentgena. Należało pomyśleć o wszystkim poważnie i Mierzlakow pomyślał. Przeleżał tak, nie rozginając się, kilka miesięcy i został przewieziony do szpitala centralnego, gdzie oczywiście był gabinet rentgenologiczny i gdzie umieszczono Mierzlakowa na oddziale chirurgii, w sali wypadków urazowych – traumatycznych, które chorzy w prostocie ducha nazywali „dramatycznymi”, nie myśląc nawet, ile goryczy zawiera ten kalambur.

– To jeszcze i tego przenosimy do pana, Piotrze Iwanowiczu – powiedział chirurg. – Nie ma co z nim zrobić na chirurgii.

– Ale przecież pisze pan w diagnozie: ankiloza na tle urazu kręgosłupa. Po cóż mi tu on? – powiedział neuropatolog.

– Oczywiście, że ankiloza. Co jeszcze mogę napisać? W kopalni „Szary” zdarzył się taki przypadek. Dziesiętnik pobił robotnika…

– Nie mam czasu, Sierioża, słuchać o pańskich przypadkach. Pytam, dlaczego pan go przenosi?

– Przecież napisałem: dla przeprowadzenia badań nad niezdolnością do pracy. Pokłuje go pan igłami, spiszemy protokół i na statek. Niech się stanie wolnym człowiekiem.

– No, ale przecież pan robił zdjęcia. Uszkodzenia powinny być widoczne i bez igieł.

– Robiłem. Niech pan raczy spojrzeć. – Chirurg nakierował ciemną błonę negatywową na firankę z merli. – Ni czorta tu nie pojmiesz. Dopóki nie będzie dobrego światła, dobrego prądu, nasi technicy od rentgena cały czas oddawać będą takie męty.

– Rzeczywiście, męty – powiedział Piotr Iwanowicz. – No, niech będzie – i podpisał swoje nazwisko na historii choroby, zgodę na przeniesienie Mierzlakowa do siebie.

Na oddziale chirurgicznym, hałaśliwym, bałaganiarskim, przepełnionym odmrożeniami, wywichnięciami, złamaniami, oparzeniami – z kopalniami Północy nie było żartów – na oddziale, gdzie część chorych leżała wprost na podłodze w salach i korytarzach, gdzie pracował jedyny chirurg, młody, bezgranicznie zmęczony, wraz z czterema felczerami (wszyscy oni sypiali po trzy, cztery godziny na dobę) – tam nie było możliwości uważnego zajęcia się Mierzlakowem. Zrozumiał on, że prawdziwe dochodzenie zacznie się dopiero na oddziale neurologicznym, dokąd go przeniesiono.

Cała jego wola zdecydowanego na wszystko aresztanta skupiła się na jednym: nie rozgiąć się. I on się nie rozgiął. Jakże ciało tego pragnęło choć na sekundę! Ale wspominał kopalnie, chłód zatykający oddech, obmarzłe, śliskie, błyszczące od mrozu kamienie w wyrobiskach złota, miskę „zupki”, którą wypijał w czasie obiadu jednym haustem, nie używając zupełnie niepotrzebnej do tego łyżki, kolby konwojentów, buty dziesiętników – i znajdował w sobie dość siły, aby się nie rozgiąć. Zresztą, teraz było już łatwiej niż przez pierwsze tygodnie. Spał mało, bojąc się, aby się nie wyprostować we śnie. Wiedział, że dyżurującym sanitariuszom nakazano go śledzić, aby przyłapać na oszustwie. A w ślad za tym – to także Mierzlakow wiedział – szło wysłanie do karnej kopalni. A jaka musiała być ta karna kopalnia, skoro zwykła pozostawiła Mierzlakowowi tak straszne wspomnienia?

Następnego dnia po przeniesieniu poprowadzono Mierzlakowa do lekarza. Ordynator oddziału krótko wypytał go o początek choroby, pokiwał ze współczuciem głową. Wyjaśnił jakby od niechcenia, że nawet zupełnie zdrowe mięśnie, gdy w ciągu wielu miesięcy są niewłaściwie używane, przywykają do tego i człowiek sam może zrobić z siebie inwalidę. Następ-

nie Piotr Iwanowicz przystąpił do badania. Na pytania zadawane podczas nakłuwania igłą, postukiwania gumowym młotkiem, przy uciskaniu Mierzlakow odpowiadał na chybił trafił.

Więcej niż połowę swego czasu pracy tracił Piotr Iwanowicz na ujawnianie symulantów. Oczywiście, rozumiał przyczyny skłaniające więźniów do symulacji – sam był niedawno więźniem i nie dziwił go ani dziecinny upór symulantów, ani lekkomyślna prymitywność ich udawania. Piotr Iwanowicz, były docent jednego z syberyjskich instytutów, utracił, zakopał swą naukową karierę w tych samych śniegach, w których jego chorzy, ratując swoje życie, oszukiwali go. Nie można było powiedzieć, aby nie litował się on nad ludźmi, ale był w większej mierze lekarzem niż człowiekiem, był przede wszystkim specjalistą. Dumny był z tego, że rok pracy fizycznej nie zdusił w nim lekarza specjalisty.

Zadanie ujawnienia symulantów pojmował wcale nie z jakiegoś ogólnopaństwowego punktu widzenia ani też z pozycji moralności. Widział w tym zadaniu możliwość odpowiedniego i godnego wykorzystania swojej wiedzy, swojej psychologicznej umiejętności zastawiania pułapek, w które, w pełnej chwale nauki, powinni byli wpadać głodni, na wpół obłąkani, nieszczęśni ludzie. W tym starciu lekarza i symulanta było po stronie lekarza wszystko – i tysiące przemyślnych lekarstw, i setki podręczników, i duża liczba aparatury, i pomoc konwojentów, i doświadczenie specjalisty; a po stronie chorego jedynie przerażenie tym światem, z którego przyszedł do szpitala i do którego obawiał się wrócić. I właśnie ten strach dawał siły do walki. Piotr Iwanowicz odczuwał głębokie zadowolenie, demaskując kolejnego szachraja; jeszcze raz w życiu zaświadczał, że jest dobrym lekarzem, że nie utracił swoich kwalifikacji, a na odwrót – dopracował i doszlifował swe umiejętności; jednym słowem, że jeszcze „potrafi”…

Durnie, ci chirurdzy, myślał, skręcając papierosa po odejściu Mierzlakowa. Anatomię topograficzną albo zapomnieli, albo jej nie znają, a odruchów to pewnie nigdy nie poznali. Ratują się jedynie za pomocą rentgena, ale gdy brak zdjęcia, to już nie potrafią niczego powiedzieć z całą pewnością nawet o prostym złamaniu. A jaki fason! To, że Mierzlakow jest symulantem, było dla Piotra Iwanowicza zupełnie jasne. No, ale niech poleży z tydzień. W ciągu tego czasu zgromadzimy wszystkie analizy, żeby wszystko było w porządku. Podkleimy do historii choroby wszystkie papierki. Piotr Iwanowicz uśmiechnął się, odczuwając już przedsmak teatralnego efektu swojej demaskacji.

W tydzień później kompletowano w szpitalu etap dla przewozu chorych parostatkiem na Wielką Ziemię. Protokoły spisywano na miejscu, w szpitalnej sali, i przewodniczący komisji lekarskiej, przysłany przez kierownictwo, osobiście dokonywał przeglądu chorych wytypowanych przez szpital do wyjazdu. Cała jego rola sprowadzała się do przejrzenia dokumentów, sprawdzenia prawidłowości ich wystawienia; badanie chorego zajmowało mu pół minuty.

– Na mojej liście – powiedział chirurg – znajduje się niejaki Mierzlakow. Przed rokiem konwojenci złamali mu kręgosłup. Chciałbym go odesłać. Niedawno został przeniesiony na oddział neurologiczny. Oto dokumenty przygotowane na wyjazd.

Przewodniczący komisji odwrócił się do neuropatologa.

– Przyprowadźcie Mierzlakowa – powiedział Piotr Iwanowicz.

Przyprowadzono na wpół zgiętego pacjenta. Przewodniczący obrzucił go krótkim spojrzeniem.

– Ależ to goryl – powiedział. – Tak, oczywiście, nie ma po co takich trzymać. – I wziąwszy pióro do ręki, nachylił się nad listą.

– Ja nie złożę swego podpisu – oświadczył Piotr Iwanowicz dźwięcznym, jasnym głosem. – To symulant i jutro będę miał zaszczyt udowodnić to i panu, i chirurgowi.

– No to odłóżmy – obojętnie rzekł przewodniczący, odkładając pióro. – I w ogóle to kończmy, już późno.

– On jest symulantem, Sierioża – powiedział Piotr Iwanowicz, biorąc pod rękę chirurga, gdy wychodzili z sali.

Chirurg wyswobodził rękę.

– Być może – powiedział, marszcząc się pogardliwie. – Niech Bóg przysporzy panu powodzenia w demaskacji. Będzie pan miał mnóstwo zadowolenia.

Następnego dnia na zebraniu u naczelnika szpitala Piotr Iwanowicz zreferował szczegółowo sprawę Mierzlakowa.

– Myślę, że ujawnienie symulacji Mierzlakowa przeprowadzimy w dwóch etapach. Najpierw będzie to narkoza rauszowa, o której pan zapomniał, Siergieju Fiodorowiczu – powiedział triumfalnie, obracając się ku chirurgowi. – Trzeba było to zrobić od razu. A jeżeli już i rausz nic nie da, to… – Piotr Iwanowicz rozłożył ręce – wtedy terapia wstrząsowa. To bardzo interesujące, zapewniam was.

– Czy tego nie za wiele? – odezwała się Aleksandra Siergiejewna, ordynator największego w szpitalu oddziału gruźliczego, otyła, korpulentna kobieta, która niedawno przyjechała z kontynentu.

– No – odpowiedział naczelnik szpitala – ale taka swołocz… – Niezbyt krępował się w obecności dam.

– Zobaczymy potem, po wynikach rauszu – rzekł pojednawczo Piotr Iwanowicz.

Narkoza rauszowa to ogłuszająca, o krótkim, doraźnym działaniu narkoza za pomocą eteru. Chory zasypia na piętnaście, dwadzieścia minut, a w tym czasie chirurg powinien zdążyć nastawić zwichnięcie, amputować palec czy też otworzyć jakikolwiek bolący wrzód.

Ubrane w białe fartuchy kierownictwo okrążyło stół operacyjny w pokoju zabiegowym, gdzie położono posłusznego, na wpół zgiętego Mierzlakowa. Sanitariusze chwycili za płócienne taśmy, którymi przywiązuje się zazwyczaj do stołu operacyjnego.

– Nie trzeba, nie trzeba! – krzyknął, podbiegając Piotr Iwanowicz. – Właśnie nie trzeba taśm.

Twarz Mierzlakowa odwróciła się ku górze. Chirurg nałożył mu maskę do narkozy i wziął do ręki buteleczkę z eterem.

– Proszę zaczynać, Sierioża!

Eter zaczął skapywać.

– Głębiej, głębiej oddychaj, Mierzlakow! Licz głośno!

– Dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem – Mierzlakow odliczał leniwym głosem i przerwawszy nagle liczenie, zaczął wymawiać jakieś niezrozumiałe, oderwane wyrazy, przeplatane ordynarnymi przekleństwami.

Piotr Iwanowicz trzymał w swojej dłoni lewą rękę Mierzlakowa. Po kilku minutach ręka rozluźniła się. Piotr Iwanowicz wypuścił ją – ręka martwo i miękko opadła na brzeg stołu. Piotr Iwanowicz z wolna i triumfalnie rozgiął ciało Mierzlakowa. Wszyscy wydali okrzyk zdziwienia.

– Teraz dopiero go przywiążcie – powiedział Piotr Iwanowicz do sanitariuszy.

Mierzlakow otworzył oczy i ujrzał owłosiony kułak naczelnika szpitala.

– No cóż, gadzie – chrypiał naczelnik – pójdziesz teraz pod sąd.

– Zuch z ciebie, Piotrze Iwanowiczu, zuch – powiedział przewodniczący komisji, klepiąc neuropatologa po ramieniu. – A ja wczoraj byłem prawie gotów obdarzyć go wolnością.

– Rozwiążcie go! – komenderował Piotr Iwanowicz. – Złaź ze stołu!

Mierzlakow jeszcze do końca nie oprzytomniał. Waliło mu w skroniach, w ustach miał nudzący, słodkawy smak eteru. Jeszcze i teraz nie pojmował – sen to czy jawa? Być może widział niejednokrotnie takie sny już wcześniej.

– A niech was wszystkich jasna cholera! – ryknął nieoczekiwanie i zgiął się jak przedtem. Szerokoplecy, kościsty, dotykający prawie ziemi długimi, grubymi palcami, z mętnym spojrzeniem i zmierzwionymi włosami, rzeczywiście podobny do goryla, Mierzlakow wyszedł z pokoju zabiegowego.

Piotrowi Iwanowiczowi doniesiono, że chory Mierzlakow leży na łóżku w swojej zwykłej pozie. Lekarz kazał go przyprowadzić do gabinetu.

– Zostałeś zdemaskowany, Mierzlakow – powiedział neuropatolog. – Ale ja prosiłem naczelnika: nie oddadzą cię pod sąd, lecz pójdziesz do karnej kopalni. Całkiem po prostu wypiszę cię ze szpitala i wrócisz do starej pracy. Chwat z ciebie, przez cały rok zawracałeś nam głowę.

– Ja nic o tym nie wiem – powiedział goryl, nie podnosząc oczu.

– Jak to nie wiesz! Przecież dopiero co ciebie rozgięto!

– Nikt mnie nie rozginał.

– No, mój miły – rozsierdził się neuropatolog. – Tego już za wiele. Chciałem z tobą po dobremu. A tak, zobaczysz, sam będziesz prosił za tydzień, żeby cię wypisano.

– Eee, co tam jeszcze będzie za tydzień – cicho odrzekł Mierzlakow. Jak miał wyjaśnić lekarzowi, że nawet dodatkowy tydzień, dodatkowy dzień, dodatkowa godzina przeżyta poza kopalnią to jest właśnie jego Mierzlakowowskie szczęście. Jeżeli lekarz sam tego nie pojmuje, to jak mu to przekazać? Mierzlakow milczał i patrzył w ziemię.

Odprowadzono go, a Piotr Iwanowicz udał się do naczelnika szpitala.

– Można przecież jutro, nie za tydzień – powiedział naczelnik, wysłuchawszy propozycji Piotra Iwanowicza.

– Obiecałem mu tydzień – odparł Piotr Iwanowicz. – Przecież szpital nie zbiednieje.

– No dobrze – mruknął naczelnik. – Niech będzie za tydzień. Tylko proszę mnie zawołać. A będziecie go przywiązywać?

– Nie wolno przywiązywać – powiedział neuropatolog. – Wywichnie jeszcze rękę lub nogę. Będą go trzymać.

I neuropatolog, wziąwszy do ręki historię choroby Mierzlakowa, wpisał w rubryce „postępowanie”: terapia wstrząsowa. Następnie postawił datę.

Podczas terapii wstrząsowej wprowadza się do krwi chorego olej kamforowy w ilości kilkakrotnie przekraczającej dawkę tego lekarstwa, które zazwyczaj aplikuje się podskórnym zastrzykiem osobom ciężko chorym dla podtrzymania pracy serca. Działanie takiej ilości olejku prowadzi do nagłego ataku, podobnego do ataku szału lub epilepsji. Pod uderzeniowym działaniem kamfory ostro wzmaga się czynność wszystkich mięśni, wszystkich ruchowych sił człowieka. Mięśnie doprowadzone zostają do stanu niebywałego napięcia i siła nieprzytomnego staje się dziesięciokrotnie większa.

Minęło kilka dni, a Mierzlakow nawet nie myślał o tym, aby się rozgiąć z własnej woli. Nadszedł jednak poranek wpisany do historii choroby i przewieziono Mierzlakowa do Piotra Iwanowicza. Na Północy ceni się rozrywkę – gabinet lekarski był zapełniony. Ośmiu krzepkich sanitariuszy ustawiło się wzdłuż ściany. Na środku gabinetu stała kozetka.

– Będziemy to robić tutaj – powiedział Piotr Iwanowicz, wstając zza stołu. – Nie pójdziemy do chirurgów. Ale, ale, gdzie jest Siergiej Fiodorowicz?

– On nie przyjdzie – powiedziała Anna Iwanowna, siostra dyżurna. – Powiedział: jestem zajęty.

– Zajęty, zajęty – powtórzył Piotr Iwanowicz. – Przydałoby mu się popatrzeć, jak wykonuję za niego robotę.

Mierzlakowowi podwinięto rękaw i felczer posmarował mu przedramię jodyną. Wziąwszy strzykawkę do prawej ręki, felczer wprowadził igłę do żyły w pobliżu zgięcia łokcia. Z igły trysnęła do wnętrza strzykawki ciemna krew. Miękkim ruchem dużego palca felczer nacisnął tłoczek i żółty roztwór zaczął wpływać do żyły.

– Szybciej, szybciej proszę wprowadzać! – odezwał się Piotr Iwanowicz. – I prędko odstąpić. A wy – zwrócił się do sanitariuszy – trzymajcie go.

Ogromne ciało Mierzlakowa podskoczyło i poczęło się rzucać w rękach sanitariuszy. Trzymało go ośmiu ludzi, a on chrypiał, rzucał się, kopał. Sanitariusze trzymali go jednak mocno i powoli zaczął się uspokajać.

– Tak można tygrysa utrzymać, tygrysa! – krzyczał triumfalnie Piotr Iwanowicz. – Na Zabajkalu tak tygrysy rękami chwytają. Proszę zwrócić uwagę – mówił teraz do naczelnika szpitala – jak Gogol przesadza. Pamięta pan koniec *Tarasa Bulby*?: „Bez mała trzydzieści osób zawisło u jego rąk i nóg”. A ten goryl przecież większy od Bulby. I tylko ośmiu ludzi.

– Tak, tak, rzeczywiście – powiedział naczelnik. Wprawdzie Gogola nie pamiętał, ale terapia wstrząsowa niezwykle mu się spodobała.

Nazajutrz w czasie obchodu Piotr Iwanowicz zatrzymał się przy łóżku Mierzlakowa.

– No to jak? – spytał. – Jaka jest twoja decyzja?

– Wypisujcie – powiedział Mierzlakow.

CEDROWIEC

Na Dalekiej Północy, na styku tajgi i tundry, pośród karłowatych brzóz, nisko rosnących krzaków jarzębiny z ich nieoczekiwanie dużymi, jasnożółtymi jagodami, pośród sześćsetletnich modrzewi osiągających dojrzałość w trzysta lat, wiedzie swój żywot dziwne drzewo – cedrowiec. Jest to daleki krewny cedru – wiecznie zielonego iglastego krzewu z pniami grubszymi od ludzkiego ramienia, a wysokiego na dwa do trzech metrów. Cedrowiec jest niewybredny i rośnie na kamienistych stokach gór, uchwyciwszy się korzeniami szczelin. Jak wszystkie drzewa Północy, jest mężny i uparty. Niezwykła jest również jego wrażliwość.

Już późna jesień. Dawno pora, by spadł śnieg i nastała zima. Po brzegach białego nieboskłonu przez wiele dni przesuwają się niskie, zaniebieszczone, jakby całe w siniakach chmury. A dzisiaj jesienny, przejmujący chłodem wiatr złowrogo ucichł z samego rana. Czy to pachnie śniegiem?

Nie. Śniegu nie będzie. Jeszcze nie położył się cedrowiec. I mijają dni za dniami, śniegu nie ma, chmury błądzą gdzieś za sopkami, wysoko na niebie pojawia się blade, maleńkie słońce i wszystko jest tak jak jesienią.

A cedrowiec? Przygina się ku ziemi. Chyli się wciąż niżej, jakby pod narastającym bez miary ciężarem. Już skrobie wierzchołkiem kamienie i przyciska się do gruntu, rozciągając swe szmaragdowe łapy. Ściele się podobny do upierzonej, zielonej ośmiornicy. Leżąc tak, czeka jeden dzień, drugi, i oto z białego nieba sypie się jak proszek śnieg, i cedrowiec pogrąża się, na podobieństwo niedźwiedzia, w zimowym śnie. Na białej górze pęcznieją ogromne śnieżne bąble – to krzewy cedrowca zaległy na zimę.

A pod koniec zimy, kiedy śnieg pokrywa jeszcze ziemię trzymetrową warstwą, a w rozpadlinach tkwi ugnieciony przez zawieje w zwartą, ustępującą tylko żelazu masę, ludzie na próżno wypatrują oznak wiosny, choć według kalendarza już pora, by nadeszła. Dni jednak nie różnią się od zimowych, powietrze jest rozrzedzone i suche jak w styczniu. Na szczęście zdolność odczuwania u człowieka jest zbyt nikła, percepcja otaczającego go

świata zbyt prosta, a przy tym posiada on tylko pięć zmysłów; wszystko to nie pozwala odgadnąć i prognozować.

Przyroda jest w swoich odczuciach bardziej subtelna niż człowiek. Coś o tym wiemy. Pamiętacie o rybach łososiowatych składających ikrę tylko w tej rzece, gdzie urodziły się same ze złożonej tam ikry? Pamiętacie o tajemniczych trasach przelotów ptaków? Niemało jest też roślin-barometrów i kwiatów-barometrów.

I oto pośród śnieżnej, bezkresnej bieli, pośród pełnej beznadziei podnosi się nagle cedrowiec. Strząsa z siebie śnieg, wyprostowuje się na całą wysokość, wznosi ku niebu swe zielone, oblodzone, zrudziałe nieco igliwie. Słyszy nieuchwytny dla nas zew wiosny i wierząc w nią, podnosi się wcześniej od innych na Północy. Zima się skończyła.

Bywa też inaczej. Oto ognisko. Cedrowiec jest zbyt łatwowierny. Tak bardzo nie lubi zimy, że gotów jest zawierzyć ciepłu ognia. Jeśli zimą rozniecі się ognisko obok zgiętego, po zimowemu zgarbionego cedrowca – podniesie się on. Ale gdy ognisko zgaśnie, rozczarowany cedrowiec, płacząc urażony, ponownie ułoży się na starym miejscu. Zostanie zaniesiony śniegiem.

Nie, nie jest jedynie przepowiadaczem pogody. Cedrowiec jest drzewem nadziei, jedynym na Dalekiej Północy wiecznie zielonym drzewem. Pośród błyszczącej bielizny śniegu jego matowozielone, iglaste łapy mówią o południu, o cieple, o życiu. Latem wygląda skromnie i nie wyróżnia się – wszystko dokoła rozkwita spiesznie, starając się zdążyć z kwitnieniem przez okres krótkiego, północnego lata; wiosenne, letnie i jesienne kwiaty przeganiają się wzajemnie w bujnym rozwoju. Lecz jesień już blisko i oto, obnażając drzewa, osypuje się żółte, miękkie igliwie modrzewi, zwija się i usycha polna trawa, pustoszeje las. I tylko z daleka widać, jak pośród bladożółtej trawy i szarego mchu goreją w lesie ogromne, zielone pochodnie cedrowca.

Dla mnie cedrowiec jest zawsze najbardziej pełnym poezji rosyjskim drzewem, bardziej niż rozsławione płaczące wierzby, bardziej niźli wschodni jawor czy cyprys. I drwa z cedrowca płoną goręcej.

CZERWONY KRZYŻ

Życie w łagrze tak jest zorganizowane, że naprawdę realną pomoc więźniowi może okazać jedynie pracownik medyczny. Ochrona pracy to ochrona zdrowia, a ochrona zdrowia to ochrona życia. Naczelnik łagru i podporządkowani mu nadzorcy, dowódca straży wraz z oddziałem żołnierzy służby konwojenckiej, naczelnik rejonowego oddziału MWD ze swoim aparatem śledczym, naczelnik wydziału kulturalno-wychowawczego, działający wraz ze swym inspektoratem na niwie łagrowej oświaty – oto jak liczne jest naczalstwo łagru. Woli tych ludzi, dobrej lub złej, powierza się stosowanie „reżimu”. W oczach więźnia wszyscy ci osobnicy stanowią symbol ucisku i przymusu. Zmuszają więźnia do pracy, pilnują dniem i nocą, aby nie uciekł, śledzą, żeby nie zjadł i nie wypił niczego ponad normę. Wszyscy ci ludzie codziennie, co godzinę powtarzają tylko to jedno: „Pracuj! Pracuj!”

I tylko jeden człowiek w łagrze nie mówi więźniowi tych uprzykrzonych, znienawidzonych i strasznych słów. Jest nim lekarz. Mówi on do więźnia inaczej: odpocznij, jesteś przemęczony, nie idź jutro do pracy, jesteś chory. Jedynie lekarz nie wysyła więźnia w zimowych ciemnościach do oblodzonego, kamiennego wykopu – każdego dnia na wiele godzin. Lekarz to obrońca więźnia z urzędu, chroniący go przed samowolą naczelników, strzegący przed gorliwością weteranów łagrowych służb.

Bywało, że w łagrowych barakach wisiały na ścianach wielkie drukowane obwieszczenia: „Prawa i obowiązki więźnia”. Było tam wiele obowiązków i mało praw. „Prawo” pisania podań do naczelnika, byle nie kolektywnych… „Prawo” do pisania listów do rodziny, przechodzących przez łagrową cenzurę… „Prawo” do pomocy lekarskiej.

To ostatnie prawo było niezmiernie ważne, jakkolwiek biegunkę leczono w wielu kopalnianych ambulatoriach roztworem nadmanganianu potasu. I tym samym, nieco gęstszym roztworem opatrywano ropiejące rany czy odmrożenia.

Lekarz może człowieka oficjalnie zwolnić z pracy, wpisawszy go do księgi; może położyć do szpitala, skierować na „punkt ozdrowieńczy”; może zwiększyć porcję żywieniową… A co najważniejsze w „obozie pracy” – lekarz ustala „kategorię roboczą”, stopień zdolności do pracy, na podstawie którego oblicza się roboczą normę. Lekarz może nawet przedstawić do zwolnienia – jako inwalidę, zgodnie ze słynnym paragrafem 458. Zwolnionego z pracy z powodu choroby nikt nie może do niej zmusić – w tego rodzaju działaniach lekarz jest poza kontrolą. Jedynie oficjalnie wyżsi rangą lekarze mogą go sprawdzić. W pracy medycznej lekarz nikomu nie podlega.

Trzeba jeszcze pamiętać, że kontrola nad umieszczaniem produktów żywnościowych w „kotle” to obowiązek lekarza; podobnie jak nadzór nad jakością przyrządzanej strawy.

Jedyny zatem obrońca więźnia, realny obrońca, to łagrowy lekarz. Posiada on wielką władzę, gdyż nikt z łagrowego naczalstwa nie potrafi kontrolować czynności tego specjalisty.

Jeżeli lekarz stawiał nieprawdziwą diagnozę, niesumienną, stwierdzić to mógł jedynie także lekarz na równorzędnym lub wyższym stanowisku – również specjalista. Prawie wszyscy naczelnicy łagrów wojowali ze swymi lekarzami. Sam rodzaj pracy stawiał ich na różnych stanowiskach. Naczelnik pragnął, aby grupa „W” (czasowe zwolnienie chorobowe) była jak najmniejsza, najmniej liczna, żeby łagier wystawiał jak najwięcej ludzi do pracy. Lekarz natomiast widział, że granice „dobra i zła” dawno tu już przekroczono, że ludzie udający się do pracy – chorzy, zmęczeni, wycieńczeni – mają prawo do zwolnienia w znacznie większej liczbie dni, niż się to wydawało władzy. Mając wystarczająco twardy charakter, lekarz mógł się uprzeć i nie wypuścić ludzi do pracy. Bez zgody lekarza żaden naczelnik łagru nie wysłałby ludzi do pracy.

Lekarz mógł uchronić więźnia przed ciężką harówką – wszyscy robotnicy byli podzieleni jak konie według „kategorii roboczych”. Owe grupy zatrudnienia – bywało ich cztery, trzy, pięć – nazywano roboczymi „kategoriami”, choć wydawałoby się, że jest to termin ze słownika filozoficznego. To jeden z życiowych kawałów, a raczej grymasów życia.

Przyznanie „lekkiej” kategorii pracy było często ratunkiem człowieka przed śmiercią. Jednak najbardziej smutne było to, że ludzie starający się o lekką kategorię pracy i usiłujący oszukać lekarza byli w rzeczywistości o wiele bardziej chorzy, niż im się to wydawało.

Lekarz mógł dać odpocząć od pracy, mógł skierować do szpitala, a nawet „spisać”, co oznaczało spisanie aktu inwalidztwa, i wtedy więzień podlegał wywozowi na kontynent. Co prawda szpitalne łóżko i spisanie aktu w komisji lekarskiej nie zależało od lekarza, ale najważniejszy był początek tej drogi.

Wszystko to, a i wiele jeszcze innych, codziennych spraw towarzyszących, doskonale rozumieli i uwzględniali błatniacy. Do kodeksu złodziejskiej moralności wprowadzony został specjalny stosunek do lekarza. Razem z „więzienną porcją” i „złodziejem-dżentelmenem” zakorzeniła się w świecie łagrów i więzień legenda o „Czerwonym krzyżu”.

„Czerwony krzyż” to termin błatniacki i za każdym razem jeżę się, gdy słyszę to wyrażenie. Błatniacy w sposób demonstracyjny okazywali swój szacunek pracownikom medycznym, obiecywali im wszelką pomoc i wsparcie, wydzielając lekarzy z przeogromnego świata „frajerów” i „sztympów”.

Stworzono legendę – do dziś żyje ona w łagrach – jak to małe złodziejaszki-,,szpice” okradły lekarza i jak wielcy złodzieje odszukali i z przeprosinami zwrócili ukradzione przedmioty. Nic dodać, nic ująć.

Co więcej, lekarzy nie okradali, starali się u nich nie kraść. Jeśli to byli wolni lekarze, sprawiali im nawet podarunki z przedmiotów czy pieniędzy. Natomiast upraszali i grozili zabójstwem, jeśli lekarze byli więźniami. Wychwalali okazujących im pomoc.

Mieć lekarza „na haczyku” to marzenie każdej błatniackiej kompanii. Błatniak może być grubiański i zuchwały wobec każdego naczelnika – w pewnych okolicznościach jest nawet zobowiązany pokazać ten „szyk”, tego „ducha” – ale przed lekarzem płaszczy się i podlizuje, i nie pozwala sobie na ordynarne słowa wobec niego dopóty, dopóki nie spostrzeże, iż nikt mu nie wierzy, iż nikt nie zamierza spełnić jego zuchwałych żądań.

Właściwie żaden pracownik medyczny nie musiałby się troszczyć o swój los – błatniacy wesprą go materialnie i moralnie: pomoc materialna to kradzione „lepiochy” i „szkiery” (marynarki i buty); moralną pomoc stanowi to, że błatniak zaszczyci lekarza swoimi wizytami, swoją sympatią i rozmową.

Chodzi właściwie o rzecz błahą – aby zamiast chorego „frajera”, wycieńczonego pracą ponad siły, bezsennością i biciem, położyć do szpitalnego łóżka rozrośniętego pederastę, mordercę i wymusiciela. Położyć i trzymać go w tym łóżku, dopóki sam łaskawie nie zgodzi się wypisać.

Chodzi właściwie o niewiele: aby regularnie zwalniać błatniaków od pracy, by mogli „potrzymać króla za brodę”.

Aby posyłać ich ze skierowaniami do innych szpitali, jeśli tego im trzeba dla „wyższych” błatniackich celów.

Aby kryć symulujących – a wszyscy oni to symulanci i kreatorzy chorób, z ich wiecznymi „mostyrkami” wrzodów wyhodowanych na goleniach i biodrach, z lekkimi, ale robiącymi wrażenie, częstymi ranami brzucha i temu podobnymi.

Aby częstować błatniaków „proszeczkami”, „kodeinką”, „kofeinką”, wydzielając cały apteczny zapas narkotyków i roztworów spirytusowych na użytek „dobroczyńców”.

Przez szereg lat przyjmowałem etapy w wielkim łagrowym szpitalu. Sto procent symulantów, którzy przybywali na podstawie skierowań lekarskich, to byli złodzieje. Albo przekupywali, albo zastraszali swojego lekarza i ten produkował fałszywy dokument medyczny.

Bywało często i tak, że miejscowy lekarz lub naczelnik łagru, chcąc pozbyć się dokuczliwego, a przy tym niebezpiecznego elementu ze swojego „gospodarstwa”, wysyłał błatniaków do szpitala w nadziei, że jeśli nawet nie znikną, to „gospodarstwo” trochę odpocznie.

Jeżeli lekarz był przekupny – to źle, to bardzo źle. Natomiast jeżeli był zastraszony, można mu było wybaczyć, bo pogróżki błatniaków to wcale nie puste słowa. Do ambulatorium kopalni „Spokojna”, gdzie było wielu błatniaków, oddelegowano młodego lekarza, a co najważniejsze – młodego stażem aresztanta Surowego, który niedawno ukończył Moskiewski Instytut Medyczny. Koledzy odradzali mu. Można było odmówić i pójść na „roboty ogólne”, nie podejmując się jawnie niebezpiecznej pracy. Lecz Surowy trafił do szpitala właśnie z robót ogólnych i obawiając się powrotu, zgodził się pojechać do kopalni, aby pracować w swoim zawodzie. Kierownictwo dało mu instrukcje, ale nie poradziło, jaką ma przyjąć postawę. Tyle że kategorycznie zabroniło mu skierowywać do szpitala zdrowych złodziei. Po upływie miesiąca został zabity w trakcie przyjmowania chorych – na jego ciele naliczono pięćdziesiąt dwie rany zadane nożem.

W kobiecej zonie innej kopalni starsza już lekarka o nazwisku Szicel została zarąbana toporem przez własną sanitariuszkę, błatniaczkę „Kruszynkę”, która wykonała wyrok błatniaków.

Tak w praktyce wyglądał ,,Czerwony krzyż” w tych przypadkach, gdy lekarze nie byli ugodowi i nie brali łapówek.

Naiwni medycy szukali wyjaśnienia sprzeczności u ideologów błatniackiego świata. Jeden z takich filozofów-przywódców leżał w tym czasie w szpitalu na oddziale chirurgicznym. Dwa miesiące wcześniej, znajdując się w „izolatorze” i pragnąc stamtąd wyjść, zastosował zwykły i pewny, ale niezupełnie bezpieczny sposób: nasypał sobie do oczu proszku z ołówka chemicznego. Tak się złożyło, że pomoc lekarska przyszła z opóźnieniem i błatniak oślepł; leżał w szpitalu jako inwalida, przygotowując się do wyjazdu na „kontynent”. Ale podobnie jak ów słynny sir Williams z *Rocambole*, mimo ślepoty uczestniczył w opracowywaniu planów przestępstw, a już w „sądach honorowych” był wprost niepodważalnym autorytetem. Na pytanie lekarza o „Czerwony krzyż” i zabójstwa lekarzy dokonywane przez złodziei w kopalniach „sir Williams” odpowiedział, zmiękczając samogłoski po dźwiękach syczących, jak czynią to błatniacy:

– W życiu mogą się zdarzyć różne sytuacje, w których prawo nie znajduje zastosowania.

Ten „sir Williams” był dialektykiem.

Dostojewski we *Wspomnieniach z domu umarłych* z rozrzewnieniem zwraca uwagę na postępowanie „nieszczęśliwych”, którzy zachowują się jak „duże dzieci” – zabawiają się teatrem, po dziecięcemu, bez gniewu sprzeczając się. Dostojewski nie spotykał i nie znał ludzi z prawdziwego świata kryminalistów. W stosunku do tego świata nie pozwoliłby sobie na wyrażanie żadnego współczucia.

Trudno wyliczyć wszystkie złodziejskie zbrodnie w łagrze. Robociarze to nieszczęśni ludzie, którym złodzieje wydzierają resztki odzienia, ostatnie pozostałe pieniądze. Boją się oni poskarżyć, bo widzą, że złodziej jest silniejszy od władzy. Złodziej bije robociarza i zmusza go do pracy; dziesiątki tysięcy ludzi zostało na śmierć pobitych przez złodziei. Setki tysięcy ludzi, którzy byli więźniami, zostało zdeprawowanych przez złodziejską ideologię i przestało być ludźmi. Coś błatniackiego na zawsze osiadło w ich duszach – złodzieje ze swoją moralnością zostawili na zawsze w świadomości każdego z nich ślad nie do zatarcia.

Grubiański i okrutny naczelnik, zakłamany łagrowy wychowawca, pozbawiony sumienia lekarz – to drobiazgi w porównaniu z deprawującą siłą błatniackiego świata. Tamci to jednak ludzie i od czasu do czasu wyjrzy z nich coś ludzkiego. Błatniacy zaś to nie ludzie. Ich wpływ na życie w łagrze jest wszechstronny i nie ma granic. Łagier to w całej pełni negatywna szkoła życia. Nikt nie wyniesie stamtąd niczego, co potrzebne i może

przynieść korzyść – ani sam więzień, ani jego naczelnik, ani straż, ani mimowolni świadkowie owego życia, inżynierowie, geolodzy, lekarze, ani kierowcy, ani podwładni.

Każda minuta życia w łagrze jest trucizną.

Jest w nim zbyt wiele tego, o czym człowiek nie powinien wiedzieć ani czego widzieć; a jeśli widział, to lepiej mu umrzeć.

Więzień uczy się tam nienawiści do pracy i niczego innego nauczyć się nie może.

Uczy się tam schlebiania, kłamstwa, drobnych i większych podłości, staje się egoistą.

Powracając na „swobodę”, spostrzega, że nie tylko się w łagrze nie rozwinął, lecz jego zainteresowania się skurczyły, stały się nędzne i prostackie.

Gdzieś odsunęły się bariery moralne.

Okazuje się, że można czynić podłości i żyć.

Można kłamać i żyć.

Można obiecywać i nie dotrzymując obietnic, mimo wszystko żyć.

Można przepić pieniądze kolegi.

Można wypraszać datki i żyć! Żebrać i żyć!

Okazuje się, że człowiek nie umiera po dokonaniu podłego czynu.

Przyucza się do markieranctwa, oszustwa, nienawiści do wszystkich i wszystkiego. „Opłakując swój los”, obwinia cały świat.

Ponad miarę ocenia własne cierpienia, nie pamiętając o tym, że każdy człowiek ma swoje nieszczęście. Oduczył się współczucia wobec zmartwień innych ludzi; całkiem po prostu nie rozumie, nie chce ich rozumieć.

Sceptycyzm – to jeszcze dobrze, to jeszcze najlepsze z łagrowego dziedzictwa.

On się boi – stał się tchórzem. Obawia się powtórzenia swojego losu, obawia się donosów, obawia się sąsiadów, boi się wszystkiego, przed czym człowiek nie powinien odczuwać strachu.

Jest moralnie zgnieciony. Jego pojęcia o moralności uległy zmianie i on sam tego nie zauważa.

Naczelnik przyucza się w łagrze do prawie niekontrolowanej władzy nad aresztantami, uczy się patrzeć na siebie jak na boga, jak na jedynego przedstawiciela władzy, jak na człowieka wyższej rasy.

Konwojent, w którego rękach wielokrotnie znajduje się ludzkie życie i który często zabijał tych, co przekroczyli „zakazaną strefę” – cóż on opo-

wie swej narzeczonej o pracy na Dalekiej Północy? Czy o tym, jak walił kolbą głodnych, niemających siły się poruszać, starych ludzi?

Młody wieśniak, który trafił za kratki, widzi, że jedynie „urki” – złodzieje – żyją względnie dobrze, że z nimi się liczą, a wszechmocne naczalstwo czuje respekt przed nimi. Zawsze są ubrani i syci, wspomagając się wzajemnie.

Wieśniak zastanawia się. Zaczyna mu się wydawać, że prawda życia w łagrze jest w posiadaniu błatniaków, że tylko naśladując ich, znajdzie realną drogę ratunku dla swego życia. Bo okazuje się, że są „ludzie”, którzy „potrafią żyć” także na samym „dnie”. I tak oto wieśniak zaczyna iść za przykładem błatniaków, podobnie się zachowując i postępując. Potakuje każdemu słowu błatniaka, gotów wypełnić każde jego polecenie. Mówi o błatniakach ze strachem i czcią. Spiesznie ubarwia swój język błatnymi słówkami – bez ich wpływu nie pozostał zresztą żaden człowiek, mężczyzna czy kobieta, więzień czy wolny, który kiedykolwiek był na Kołymie.

Owo słownictwo to jad, trucizna sącząca się w duszę człowieka; i właśnie opanowanie błatniackiego dialektu jest początkiem zbliżenia „frajera” z błatniackim światem.

Więzień-inteligent zostaje przez łagier zaduszony. Wszystko, co dotąd było mu drogie, rozdeptano w proch; powłoka cywilizacji i kultury pęka w najkrótszym możliwie czasie, liczącym się w tygodniach.

Argumentem w sporze jest kułak i pałka. Środkiem przymusu – kolba karabinu i cios w zęby.

Inteligent przemienia się w tchórza i własny jego mózg podpowiada, jak „usprawiedliwić” swoje postępowanie. Może sam siebie przekonać do wszystkiego, może dołączyć do którejkolwiek ze stron sporu. W błatniackim środowisku inteligent widzi „nauczycieli życia”, bojowników o „prawa ludu”.

Kułak, uderzenie przemienia inteligenta w pokornego sługę jakiegoś „Sienieczki” czy „Kostieczki”.

Oddziaływanie fizyczne staje się oddziaływaniem moralnym.

Inteligent nastraszony jest na zawsze. Jego duch został złamany. Ten przestrach i traumę duchową przenosi potem do życia na wolności.

Inżynierowie, geolodzy, lekarze przybywający na Kołymę na podstawie umowy z Dalstrojem szybko się demoralizują: „wielki rubel”, „prawo tajga”, niewolnicza praca innych, którą posługiwać się jest tak łatwo i zyskownie, zawężenie zainteresowań kulturalnych – wszystko to depra-

wuje, demoralizuje; człowiek, który długo pracował w łagrze, nie wyjeżdża już na „kontynent”; tam nie jest wart złamanego grosza, a przyzwyczaił się do „bogatego” i „zabezpieczonego” życia. Ten właśnie typ demoralizacji nazywa się w literaturze „zewem Północy”.

Za ową deprawację ludzkiej duszy w znacznej mierze ponosi winę świat błatniaków. Kryminalistów-recydywistów, których gusty i nałogi wyciskają swe piętno na całym życiu Kołymy.

SPISEK PRAWNIKÓW

Do brygady Szmielowa zgarniano ludzką szlakę – odpady wyrzucane przez kopalnię złota. Z „wyrobiska”, gdzie zdejmowano „torf” i wydobywano „piaski”, prowadziły trzy drogi: „pod sopkę” do bratnich bezimiennych mogił, do szpitala albo do brygady Szmielowa – trzy drogi „dochodiagów”. Brygada Szmielowa pracowała tam, gdzie i inne brygady, tylko poruczano jej mniej ważne zadania. Hasła: „wykonanie planu – rzecz święta” i „uświadomić plan rębaczom” nie były tylko zwykłymi słowami. Rozumiano je w ten sposób: nie wykonałeś normy – naruszyłeś prawo, oszukałeś państwo, więc powinieneś za to odpowiadać, odsiadując karę, a nawet tracąc życie. I dlatego „szmielowców” karmiono gorzej, dawano im mniej do jedzenia. Ale ja doskonale znałem tutejsze powiedzonko: „W łagrze zabija duża porcja chleba, a nie mała”. Nie usiłowałem więc zarobić na dużą porcję w jednej z podstawowych – przodkowych brygad.

Do brygady Szmielowa zostałem przeniesiony niedawno, przed trzema tygodniami i nie widziałem dotąd jego twarzy – była pełnia zimy, głowa brygadzisty była przemyślnie omotana jakimś porwanym szalem, a wieczorem w baraku było ciemno – benzynowa „kołymka” zaledwie oświetlała drzwi. Nie pamiętam więc jego twarzy. Jedynie głos – ochrypły i przeziębiony.

Pracowaliśmy w grudniu na nocnej zmianie i każda noc wydawała się torturą – pięćdziesiąt stopni to nie żarty. Mimo to nocą było lepiej, spokojniej, mniej naczalstwa w przodku, mniej wyzwisk i bicia.

Brygada ustawiała się „do wyjścia”. Zimą robiliśmy to w baraku i te ostatnie minuty przed wyjściem w lodowatą noc na dwunastogodzinną zmianę nawet dzisiaj wspominam boleśnie. Tutaj, w tym niezdecydowanym ścisku przy na wpół otwartych drzwiach, skąd wpełzała lodowata para, ujawniały się cechy ludzkiego charakteru. Jeden, opanowując drżenie ciała, wkraczał wprost w ciemność, drugi spiesznie dosysał nie wiadomo gdzie znaleziony niedopałek machorkowego skręta, chociaż nawet nie pachniał machorką, nie było po niej śladu; trzeci osłaniał twarz przed zimnym wia-

trem, czwarty stał, trzymając nad piecykiem rękawice, naładowując je ciepłem.

Tych ostatnich wypychał z baraku sprzątający. Postępowano tak zawsze z najsłabszymi, w każdej brygadzie.

Mnie jeszcze w tej brygadzie nie wypychano. Byli tu ludzie słabsi ode mnie i to przynosiło mi jakieś uspokojenie, jakąś niespodziewaną radość. Byłem tu jeszcze człowiekiem. Wypychanie i pięści sprzątającego pozostały za mną, w tej „złotej brygadzie", skąd przeniesiono mnie do Szmielowa.

Brygada stała przy drzwiach gotowa do wyjścia. Podszedł do mnie Szmielow.

– Zostaniesz w domu – wychrypiał.

– Przeniesiono mnie na rano, czy co? – powiedziałem z niedowierzaniem. Z jednej zmiany do drugiej przenoszono zawsze w kierunku przeciwnym do wskazówek zegarka, ażeby nie tracić roboczego dnia i żeby więzień nie mógł zyskać kilku dodatkowych godzin odpoczynku. Znałem ten mechanizm.

– Nie, wzywa cię Romanow.

– Romanow? Kto to taki Romanow?

– Ot, gad, nie zna Romanowa – wmieszał się sprzątający.

– Pełnomocny, zrozumiałeś? Mieszka przed biurem. Masz tam być o ósmej.

– O ósmej!

Opanowało mnie uczucie wielkiej ulgi. Jeżeli pełnomocny przetrzyma mnie do dwunastej, do „nocnego" obiadu, a może i dłużej – to mam prawo wcale nie wychodzić dzisiaj do pracy. Od razu w całym ciele poczułem zmęczenie. Ale było to radosne zmęczenie, choć mięśnie zaczęły doskwierać.

Rozwiązałem to coś, czym byłem przepasany, rozpiąłem buszłat i siadłem koło piecyka. Od razu zrobiło się ciepło i pod bluzą poruszyły się wszy. Obgryzionymi paznokciami podrapałem szyję, piersi, i zapadłem w drzemkę.

– Już czas, już czas. – Sprzątający targał mnie za ramię. – Idź, a nie zapomnij przynieść popalić.

Zastukałem w drzwi domu, w którym mieszkał pełnomocny. Szczęknęły zasuwy, zamki – wiele ich było – i ktoś niewidoczny krzyknął zza drzwi:

– Kto tam?

– Więzień Andriejew, na wezwanie.

Ponownie szczęknęły zasuwy, zadźwięczały zamki – i wszystko umilkło.

Zimno wciskało się pod buszłat, marzły stopy. Zacząłem obijać jedną o drugą, odziane w burki nogi – nie nosiliśmy walonek, lecz zszyte ze starych spodni i waciaków, wypchane watą, pikowane burki.

Znowu szczęknęły rygle i otworzyły się podwójne drzwi, przepuszczając smugę światła, ciepła i dźwięki muzyki.

Wszedłem. Drzwi do pierwszego pokoju nie były zamknięte – grało w nim radio.

Przede mną stał Romanow, pełnomocny. Dokładniej – to ja stałem przed nim, a on, niziutki, pełny, pachnący perfumami, ruchliwy, kręcił się koło mnie, przyglądając się mojej postaci czarnymi, żywymi oczkami.

Zapach więźnia dotarł do jego nozdrzy, wyjął więc śnieżnobiałą chusteczkę do nosa i wstrząsnął nią. Ogarnęła mnie fala muzyki, ciepła i zapachu wody kolońskiej. Najważniejsze – to ciepło. Holenderski piec był mocno rozpalony.

– No to poznaliśmy się – z entuzjazmem stwierdził Romanow, kręcąc się koło mnie i wymachując naperfumowaną chusteczką. – No to poznaliśmy się. Wejdź. – I otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju – gabineciku z biurkiem i dwoma krzesłami. – Siadaj. Za nic nie zgadniesz, dlaczego cię wezwałem. Zapal. – Zaczął przerzucać jakieś papiery na biurku. – Jak masz na imię i po ojcu?

Powiedziałem.

– A rok urodzenia?

– 1907.

– Prawnik?

– Właściwie to ja nie jestem prawnikiem, ale uczyłem się w Moskiewskim…

– A więc prawnik. No to świetnie. Na razie siedź, a ja gdzieś zadzwonię i razem pojedziemy.

Romanow wyśliznął się z pokoju i zaraz potem w stołowym wyłączono radio – rozpoczęła się rozmowa telefoniczna.

Siedząc na krześle, zdrzemnąłem się. Zaczęło mi się nawet coś śnić. Romanow co pewien czas pojawiał się i znikał.

– Słuchaj, czy ty masz jakieś rzeczy w baraku?

– Wszystko mam na sobie.

– No to świetnie, naprawdę świetnie. Samochód zaraz będzie i obaj pojedziemy. Czy wiesz, dokąd pojedziemy? Nie odgadniesz? Do samego Chatynnachu, do Zarządu! Byłeś tam kiedyś? No, żartuję, żartuję…

– Wszystko mi jedno.

– No to dobrze.

Zdjąłem moje obuwie, rozmasowałem rękami palce nóg, przewinąłem onuce.

Stojący na stole budzik wskazywał pół do dwunastej. Nawet jeżeli to żart z tym Chatynnachem – to wszystko jedno, dzisiaj już do roboty nie pójdę. Zawarczał w pobliżu samochód i światło latarni prześliznęło się po okiennicach, zahaczając o sufit gabinetu.

– Jedźmy, jedźmy.

Romanow był w białym półkożuszku, jakuckiej czapie z nausznikami i wyszywanych, reniferowych futrzanych butach. Zapiąłem buszłat, podpasałem się, potrzymałem przez chwilę rękawice w pobliżu pieca. Wyszliśmy do samochodu. Była to półtoratonówka z otwartą skrzynią.

– Ile dziś stopni, Misza? – spytał Romanow szofera.

– Sześćdziesiąt, towarzyszu pełnomocny. Nocne brygady odwołano z pracy.

A więc i nasza, szmielowska jest w domu. Nie tak już bardzo mi się udało.

– No, Andriejew – powiedział pełnomocny, kręcąc się koło mnie – siadaj na górę. To niedaleko. A Misza pojedzie jak najszybciej. Prawda, Misza?

Misza przemilczał. Wlazłem do skrzyni i zwinąłem się w kłębek, obejmując rękami nogi. Romanow wcisnął się do kabiny i pojechaliśmy.

Droga była marna i tak rzucało, że nie zamarzłem. Nie chciało mi się o niczym myśleć, zresztą przy takim mrozie nawet nie daje się myśleć. Po dwu godzinach zamigotały światła i samochód zatrzymał się koło piętrowego domu, zbudowanego z ociosanych pni. Wszędzie było ciemno, tylko w jednym oknie na piętrze paliło się światło. Koło dużego ganku stało dwu wartowników w kożuchach.

– No i dojechaliśmy, to świetnie. Niech on tu zaczeka. – I Romanow znikł na wielkich schodach.

Była druga w nocy. Wszędzie światła były zgaszone, tylko na stole dyżurnego paliła się lampka.

Nie trzeba było długo czekać. Romanow – już rozebrany, w mundurze NKWD – zbiegł ze schodów i pomachał rękami.

– Tędy, tędy.

Razem z pomocnikiem dyżurnego poszliśmy na górę i na korytarzu na piętrze zatrzymaliśmy się przed drzwiami z tabliczką „St. pełnomocny MWD Smiertin”. Taki groźny pseudonim (bo przecież to nie prawdziwe nazwisko) nawet na mnie, bezgranicznie zmęczonym, wywarł wrażenie.

To już za wiele jak na pseudonim, pomyślałem, ale trzeba było już wejść i iść dalej przez ogromny pokój z portretem Stalina na całą ścianę, zatrzymać się przed gigantycznych rozmiarów biurkiem i spoglądać w bladą twarz rudego człowieka, który całe swoje życie spędził wewnątrz, w takich właśnie pokojach. Romanow, w pełnej szacunku postawie, stał przed biurkiem.

Mętne, niebieskie oczy starszego pełnomocnego zatrzymały się na mnie. Na krótką chwilę. Szukał czegoś na biurku, przekładając papiery. Usłużne palce Romanowa znalazły to, co trzeba było znaleźć.

– Nazwisko? – spytał Smiertin, wpatrując się w papiery.

– Imię i imię ojca?

– Paragraf?

– Wyrok?

Odpowiedziałem.

– Prawnik?

– Prawnik…

Blada twarz uniosła się znad stołu.

– Skargi pisałeś?

– Pisałem.

Smiertin zaczął sapać:

– Z powodu chleba?

– Z powodu chleba i tak, całkiem po prostu.

– Dobrze! Wyprowadzić go.

Nie starałem się nawet niczego wyjaśniać ani o nic pytać. Po co? Przecież nie jestem na mrozie ani nocą w przodku kopalni złota. Niech wyjaśniają, co tam chcą.

Przyszedł pomocnik dyżurnego z jakąś kartką i poprowadzono mnie przez ciemne osiedle na sam jego koniec, gdzie pod strażą trzech wieżyczek strażniczych, za potrójnym rzędem drutów kolczastych mieścił się „izolator”, łagrowe więzienie.

Były w nim pojedyncze cele, ale były też duże. Wepchnięto mnie właśnie do jednej z nich. Opowiedziałem o sobie, nie oczekując od sąsiadów

odpowiedzi i o nic ich nie pytając. Tak powinno być, aby nie pomyśleli, że jestem „podsadzony”.

Nastał ranek, kolejny kołymski zimowy ranek, bez światła, bez słońca, niczym nieróżniący się od nocy. Uderzyli w szynę, przynieśli wiadro dymiącego wrzątku. Przyszedł po mnie konwój i pożegnałem się z towarzyszami. Nie wiedziałem o nich nic.

Przyprowadzono mnie do tego samego domu. Wydał mi się mniejszy niż nocą. Przed świetlane oczy Smiertina nie zostałem już dopuszczony. Dyżurny kazał mi siedzieć i czekać, i ja siedziałem i czekałem, dopóki nie usłyszałem znajomego głosu:

– No i dobrze! No i świetnie. Zaraz pan pojedzie. – Na obcym terytorium Romanow mówił mi *per* „pan”.

Myśli leniwie przewalały mi się w mózgu – prawie fizycznie odczuwalne. Należało myśleć o czymś nowym, do czego nie byłem przyzwyczajony, czego nie znam. To nowe nie ma nic wspólnego z kopalnią. Jeśli wracalibyśmy do swojej kopalni „Partyzant”, to Romanow powiedziałby: „Zaraz pojedziemy”. A więc wiozą mnie gdzie indziej. Niech to licho porwie! Po schodach zbiegł, prawie w podskokach, Romanow. Wydawało się, że mało brakuje, aby siadł na poręcz i zjechał po niej jak mały chłopczyk. Trzymał w rękach prawie cały bochenek chleba.

– Proszę, ma pan na drogę. I jeszcze to.

Znikł gdzieś na górze i powrócił z dwoma śledziami.

– W porządku, co? Zdaje się, że to wszystko. Aha, zapomniałem o najważniejszym – co to znaczy niepalący! – Romanow znów udał się na górę i wrócił z gazetą. Z wierzchu nasypana była machorka.

Pewnie ze trzy pudełeczka – oceniłem to doświadczonym okiem. W paczce-ósemce mieściło się osiem zapałczanych pudełeczek. Była to łagrowa miara objętości.

– To dla pana na drogę. Suchy prowiant, można powiedzieć.

Milczałem.

– Czy konwój już wezwany?

– Wezwany – powiedział dyżurny.

– Starszego proszę przysłać na górę.

Przyszło dwóch konwojentów – jeden starszy, ospowaty, w papaszy kaukaskiego typu na głowie; drugi młody, chyba dwudziestoletni, z różowymi policzkami w czerwonoarmijskiej, sukiennej pikielhaubie.

– To ten – powiedział dyżurny, wskazując na mnie.

Obaj – młody i ospowaty – obejrzeli mnie bardzo uważnie od stóp do głów.

– A gdzie naczelnik? – spytał ospowaty.

– Na górze. I pakiet też jest tam.

Ospowaty poszedł na górę i szybko wrócił razem z Romanowem.

Obaj cicho rozmawiali i ospowaty pokazywał na mnie.

– Dobrze – powiedział w końcu Romanow – damy na piśmie.

Wyszliśmy na dwór. Koło ganku, tam gdzie w nocy zatrzymała się ciężarówka z „Partyzanta", stał teraz komfortowy „czarny kruk" – więzienny autobus z zakratowanymi oknami. Wszedłem do środka. Zakratowane drzwi zamknęły się, konwojenci usiedli w przeznaczonej dla nich klitce i samochód ruszył. Przez pewien czas jechaliśmy trasą – centralną drogą, przecinającą przez pół całą Kołymę, ale potem skręciliśmy gdzieś w bok. Droga wiła się pomiędzy sopkami, samochód cały czas rzęził na podjazdach, wzdłuż skalnych nawisów, porośniętych rzadkim liściastym lasem i oszronionymi krzakami wikliny. W końcu, kilkakrotnie okrążywszy sopki, samochód posuwający się wzdłuż koryta strumienia wyjechał na niewielkie płaskie miejsce. Była to przesieka, przy której znajdowały się wieżyczki strażnicze, a w głębi, trzysta metrów dalej, widniała ciemna masa baraków, otoczona drutem kolczastym, z wieżyczkami po rogach.

Otworzyły się drzwi maleńkiej budki czy domku stojącego przy drodze i wyszedł dyżurny z rewolwerem na pasie. Szofer wyskoczył z kabiny i przeszedł mimo mojego okna.

– Ależ kręciło. Rzeczywiście „Serpentynowe".

Była to znajoma nazwa i moja reakcja na nią była chyba silniejsza niż na nazwisko Smiertina. Było to „Serpentynowe" – sławne więzienie śledcze Kołymy, gdzie tak wielu ludzi zginęło w zeszłym roku. Jeszcze ich trupy nie zdążyły się rozłożyć. Zresztą ich zwłoki pozostaną niezniszczalne – zmarli wiecznej zmarzliny.

Starszy konwojent poszedł po ścieżce w kierunku więzienia, a ja siedziałem przy okienku i myślałem, że nadszedł mój czas, że i na mnie przyszła kolej. Myślenie o śmierci przedstawiało taką samą trudność jak o czymkolwiek innym. Nie starałem się wyobrazić sobie, jak mnie rozstrzelają. Siedziałem i czekałem.

Zaczął już zapadać zimowy zmierzch. Drzwi „czarnego kruka" otworzyły się i starszy konwojent rzucił mi walonki.

– Obuwaj! Zdejmuj burki.

Zdjąłem je z nóg i przymierzyłem te walonki. Nie, nie włażą, za małe.

– W burkach nie dojedziesz – powiedział ospowaty.

– Dojadę.

Ospowaty cisnął walonki w kąt samochodu.

– Jedziemy.

Samochód wykręcił i pomknął – „czarny kruk” oddalał się od „Serpentynowego”. Po niedługim czasie, widząc migające za oknem samochody, zorientowałem się, że znowu jesteśmy na „trasie”. Samochód zwolnił – wokół paliły się światła wielkiego osiedla. Autobus podjechał przed ganek jasno oświetlonego domu i wszedłem do jasnego korytarza, bardzo podobnego do tego, gdzie gospodarzem był Smiertin – za drewnianą barierką, przy wiszącym na ścianie aparacie telefonicznym siedział dyżurny z pistoletem u boku. Było to osiedle Jagodne. Pierwszego dnia podróży przejechaliśmy tylko siedemnaście kilometrów. Dokąd pojedziemy dalej? Dyżurny odprowadził mnie do odległego pokoju, który okazał się karcerem, z pryczą, wiadrem wody i kiblem. W drzwiach wycięty był „judasz”.

Przemieszkałem tam dwa dni. Zdążyłem nawet wysuszyć i przewinąć bandaże na nogach – ropiały rany spowodowane szkorbutem.

W domu rejonowego oddziału MWD panowała jakaś głucha cisza.

Siedząc w swoim kącie, przysłuchiwałem się w napięciu. Nawet w ciągu dnia rzadko kto maszerował po korytarzu. Rzadko otwierały się wejściowe drzwi, rzadko obracały klucze w zamkach. I strażnik, zawsze ten sam, nieogolony, w starym waciaku, z naganem przewieszonym przez ramię – wszystko wyglądało bardzo zaściankowo w porównaniu ze wspaniałym Chatynnachem, gdzie towarzysz Smiertin tworzył wielką politykę. Telefon też dzwonił bardzo rzadko.

– Tak, tankują. Tak. Nie wiem, towarzyszu naczelniku.

– Dobrze, przekażę im.

O kim tu była mowa? O moich konwojentach? Raz dziennie, pod wieczór, otwierały się drzwi mojej celi i dyżurny wnosił menażkę zupy i kawałek chleba. „Jedz!” To był mój obiad. Państwowy. Przynosił też łyżkę. Drugie danie zmieszane było z pierwszym, z zupą. Brałem w ręce menażkę i wylizywałem do połysku, zgodnie z kopalnianym nawykiem.

Trzeciego dnia otworzyły się drzwi i ospowaty żołnierz, odziany w baranicę z wierzchu swego półkożuszka, przekroczył próg karceru.

– No co, odpocząłeś? Jedziemy.

Stałem na ganku rejonowego oddziału. Myślałem, że znowu pojedziemy „ocieplonym”, więziennym autobusem, ale nigdzie nie było widać „czarnego kruka”. Przy ganku stała zwyczajna trzytonówka.

– Siadaj.

Posłusznie przelazłem przez burtę.

Młody żołnierz wlazł do kabiny szofera. Ospowaty usiadł obok mnie. Samochód ruszył i po paru minutach znaleźliśmy się na „trasie”. Dokąd mnie wiozą? Na północ czy na południe? Na zachód czy na wschód? Nie należało pytać, a konwój i tak nie ma prawa mówić. Przekazują na inny odcinek? Na jaki? Samochód trząsł mną tak przez wiele godzin i nagle się zatrzymał.

– Tutaj zjemy obiad. Złaź.

Zlazłem.

Weszliśmy do stołówki „na trasie”.

„Trasa” to aorta i główny nerw Kołymy. W obydwu kierunkach nieprzerwanie płyną ładunki techniki – te są bez straży; żywność – koniecznie z konwojem: uciekinierzy napadają i grabią. Przed szoferem i zaopatrzeniowcem konwój stanowi być może niepewną ochronę, ale jednak jest zdolny zapobiec złodziejstwu.

W stołówkach spotykają się geolodzy, pracownicy górniczego zwiadu, jadący na urlop z wypracowanymi „wielkimi rublami”, konspiracyjni handlarze tytoniem i herbatą, północni bohaterowie i północni szubrawcy. Wszędzie w stołówkach sprzedaje się spirytus. Wszyscy oni spotykają się, biją, przekazują nowości i spieszą się, spieszą. Samochody zostawiają z pracującymi silnikami, a sami kładą się przespać w kabinie na dwie, trzy godziny. Tutaj też prowadzą więźniów: czyściutkich, w równych szeregach w górę tajgi; z góry – jako odpady z kopalni o porozbijanych, brudnych ciałach ludzi, którzy już nimi być przestali. Tutaj są też wywiadowcy – operatywnicy wyłapujący zbiegów. I sami uciekinierzy – często w wojskowych mundurach. Tędy przejeżdża w czarnych zisach naczalstwo, panowie życia i śmierci tych wszystkich ludzi, więźniów i wolnych. Dramaturgowi należy pokazywać Północ właśnie w przydrożnej stołówce – to najlepsza scena. Wszystko to umieściłem w mej opowieści oczywiście później.

Stałem w stołówce, starając się przecisnąć do pieca, ogromnego piecabeczki, rozpalonego do czerwoności. Konwojenci wcale nie obawiali się, że im ucieknę – zbyt byłem osłabiony i było to dobrze widać. Dla każdego

było zupełnie jasne, że przy 50-stopniowym mrozie dochodiaga nie ma gdzie uciekać.

– Siadaj tu, jedz.

Konwojent kupił mi talerz gorącej zupy i dał chleba.

– Zaraz pojedziemy dalej – powiedział młody. – Przyjdzie starszy i pojedziemy.

Ale ospowaty przyszedł nie sam. Towarzyszył mu niemłody „bojec” (żołnierzami ich jeszcze w tych czasach nie nazywano), z karabinem i w półkożuszku. Spojrzał na mnie, a potem na ospowatego.

– No cóż, niech będzie – powiedział.

– Chodźmy – zwrócił się do mnie ospowaty.

Przeszliśmy do drugiego kąta ogromnej stołówki. Siedział tam skurczony przy ścianie, na podłodze, człowiek w buszłacie i bamłagowskiej czapce, w czarnej flanelowej uszance.

– Siadaj tu – powiedział do mnie ospowaty.

Posłusznie usiadłem obok tego człowieka. Nie odwrócił do mnie głowy.

Ospowaty i nieznajomy żołnierz gdzieś poszli. Z nami został „mój” konwojent.

– Idą sobie odpocząć, zrozumiałeś? – zaszeptał do mnie nagle człowiek w aresztanckiej czapeczce. – Nie mają prawa.

– A niech ich szlag trafi – powiedziałem. – Niech robią, co chcą. Co ci do tego – źle ci się dzieje?

Człowiek podniósł głowę:

– Mówię ci – nie mają prawa.

– A dokąd nas wiozą? – spytałem.

– Dokąd ciebie wiozą, to nie wiem, a mnie do Magadanu. Na rozstrzelanie.

– Na rozstrzelanie?

– Tak. Zostałem skazany. Z Zachodniego Zarządu. Z Susumana.

Wcale mi się to nie spodobało. Ale przecież nie znałem postępowania, procedury przy „najwyższym wymiarze kary”. Zmieszany zamilkłem. Podszedł tymczasem ospowaty żołnierz razem z naszym nowym towarzyszem drogi. Zaczęli o czymś ze sobą rozmawiać. Jak tylko konwojentów zrobiło się więcej, od razu zaczęli się surowiej odnosić, stali się bardziej szorstcy. Więcej mi już nie kupowali zupy w stołówce.

Przejechaliśmy jeszcze kilka godzin i w kolejnej stołówce przyprowadzono do nas jeszcze trzech – zebrał się już pokaźny „etap”, cała „partia”.

Nie wiadomo, w jakim byli wieku, tak jak wszystkie kołymskie dochodiagi; napięta biała skóra, napuchnięte twarze mówiły o głodzie i o szkorbucie. Widniały też na nich plamy odmrożeń.

– Dokąd was wiozą?

– Do Magadanu. Na rozstrzelanie. Jesteśmy już skazani.

Leżeliśmy w skrzyni ciężarówki, skuleni, oparci plecami o siebie, z podkurczonymi kolanami. Trzytonówka miała dobre resory, a „trasa” dobrą nawierzchnię, prawie nas nie podrzucało – zaczęliśmy więc zamarzać.

Krzyczeliśmy, jęczeli, ale konwój był nieubłagany. Trzeba było jeszcze za dnia dojechać do Spornego. Skazany na rozstrzelanie, ten pierwszy, błagał o „rozgrzanie się”, chociażby w ciągu pięciu minut. Samochód wleciał do Spornego, gdy już paliły się światła.

Przyszedł ospowaty.

– Zostaniecie ulokowani w łagrowym izolatorze, a jutro pojedziecie dalej.

Przemarzłem do kości i oniemiały od mrozu resztkami sił tupałem podeszwami burek o śnieg. Ale nie mogłem się rozgrzać. „Bojcy” wciąż poszukiwali łagrowego naczalstwa. W końcu, po godzinie, odprowadzili nas do wychłodzonego, nieopalanego izolatora na teren łagru. Wszystkie jego ściany pokrywał szron, a na podłodze był lód. Ktoś wniósł wiadro wody. Zazgrzytał zamek. A drwa? A piecyk? Właśnie tutaj, w tę noc na Spornym, ponownie odmroziłem wszystkie dziesięć palców u nóg, bezskutecznie starając się zasnąć chociażby na minutę.

Rano nas wyprowadzili i wsadzili do samochodu. Znowu mijane sopki, znowu warkot silników napotykanych samochodów. Zjechaliśmy z przełęczy i zrobiło się nam tak ciepło, że chciało się nigdzie nie jechać, poczekać, choć trochę pochodzić po tej cudownej ziemi. Różnica wynosiła nie mniej niż dziesięć stopni. A i wiatr był jakiś taki ciepły, prawie wiosenny.

– Konwój! Załatwić się…! – Jak jeszcze można powiedzieć żołnierzom, że radzi jesteśmy ciepłu, że cieszy nas południowy wiatr i wyzwolenie od dzwoniącej ciszą tajgi.

– No to wyłazić!

Konwojentom też było przyjemnie rozprostować nogi, popalić. Mój poszukiwacz sprawiedliwości już zbliżał się do konwojenta.

– Zostawi pan dopalić, obywatelu żołnierzu?

– Zostawię. Idź na miejsce.

Jeden z tych nowych nie chciał złazić. Ale widząc, że „załatwianie się” coś się przeciągnęło, przysunął się do burty skrzyni i kiwnął do mnie ręką.

– Pomóż zleźć.

Podałem rękę temu bezsilnemu dochodiadze i nagle poczułem niezwykłą lekkość jego ciała, jakby śmiertelną lekkość. Odszedłem. Trzymając się burty samochodu, człowiek ten zrobił kilka kroków.

– Jak ciepło.

Ale oczy miał mętne, bez żadnego wyrazu.

– No, jedźmy, jedźmy. Trzydzieści stopni.

Z każdą godziną robiło się coraz cieplej.

W stołówce osiedla „Namiot” nasi konwojenci zjedli obiad po raz ostatni. Ospowaty kupił mi kilogram chleba.

– Weź tu, białego. Wieczorem już przyjedziemy na miejsce.

Padał drobny śnieg, gdy daleko w dole pokazały się ognie Magadanu. Było dziesięć stopni. Bez wiatru. Śnieg spadał prawie prostopadle – drobne, miękkie śnieżynki. Samochód zatrzymał się w pobliżu rejonowego oddziału MWD. Konwojenci weszli do środka.

Pojawił się człowiek, ubrany po cywilnemu, bez czapki. W rękach trzymał rozerwaną kopertę. Wywołał czyjeś nazwisko, nawykłym, dźwięcznym głosem. Człowiek o lekkim ciele powlókł się na jego znak na bok.

– Do więzienia!

Człowiek w garniturze znikł w budynku i zaraz pojawił się ponownie. Trzymał w rękach nowy plik papierów.

– Iwanow Konstantin Iwanowicz! Do więzienia! Urgackij Siergiej Fiodorowicz! Do więzienia! Simonow Jewgienij Pietrowicz! Do więzienia!

Nie żegnałem się ani z konwojem, ani z tymi, co jechali ze mną do Magadanu. To nie jest przyjęte.

Przed gankiem rejonowego oddziału stałem tylko ja sam z moimi konwojentami.

Człowiek w garniturze znów pokazał się na ganku z kopertą.

– Andriejew! Do rejonowego oddziału! Zaraz wam dam pokwitowanie – powiedział do moich konwojentów.

Wszedłem do pomieszczenia. Przede wszystkim – gdzie piec? O, jest – kaloryfer. Za drewnianą barierką dyżurny. Telefon. Trochę skromniej niż u towarzysza Smiertina w Chatynnachu. A może tak mi się wydaje, gdyż taki gabinet widziałem po raz pierwszy w moim kołymskim życiu. W końcu korytarza strome schody prowadziły na górę.

Wszedł człowiek w cywilnym ubraniu, który przyjmował nas na dworze.

– Proszę tędy.

Po wąskich schodkach weszliśmy na piętro i doszli do drzwi z tabliczką: „J. Atłas, st. pełnomocny”.

– Proszę siadać.

Usiadłem. W maleńkim gabinecie główne miejsce zajmował stół. Na nim papiery, teczki, jakieś spisy. Atłas miał chyba ze trzydzieści osiemczterdzieści lat. Pełny, o sportowym wyglądzie mężczyzna, czarnowłosy, trochę łysiejący.

– Nazwisko?

– Andriejew.

– Imię, imię ojca, paragraf, wyrok?

Odpowiedziałem.

– Prawnik?

– Prawnik.

Atłas zerwał się z miejsca i obszedł stół: „Świetnie!”

– Będzie z panem rozmawiać kapitan Riebrow!

– A kto to jest kapitan Riebrow?

– Naczelnik SPO – specjalnego politycznego oddziału. Proszę zejść na dół.

Powróciłem na swoje miejsce koło kaloryferu. Pomyślawszy, zdecydowałem, że należy zawczasu zjeść ten kawałek „białego”, co dali mi konwojenci. Bak z wodą i przykuty do niego kubek znajdowały się tuż obok. Na ścianie rytmicznie tykał zegar. Półdrzemiąc, słyszałem, jak ktoś szybko przeszedł koło mnie i zaraz dyżurny mnie rozbudził.

– Do kapitana Riebrowa!

Poprowadzono mnie na piętro. Otworzyły się drzwi niewielkiego gabinetu i usłyszałem ostry głos:

– Tutaj, tutaj!

Zwyczajny gabinet, trochę większy od tego, w którym byłem przed dwoma godzinami. Szkliste oczy kapitana Riebrowa skierowane były wprost na mnie. Na rogu biurka stała niedopita szklanka herbaty z cytryną, na spodeczku obgryziona resztka sera. Telefony. Teczki. Portrety.

– Nazwisko?

– Andriejew.

– Imię, imię ojca, paragraf, wyrok?

– Prawnik?

– Prawnik.

Kapitan Riebrow przechylił się przez biurko, zbliżył do mnie swoje szklane oczy i spytał:

– Parfientjewa pan zna?

– Tak, znam.

Parfientjew był moim brygadzistą w brygadzie pracującej na przodku w kopalni, jeszcze zanim trafiłem do brygady Szmielowa. Stamtąd przeniesiono mnie do Poturajewa, a z niej – do Szmielowa. U Parfientjewa pracowałem przez kilka miesięcy.

– Tak. Znam. To mój brygadzista, Dmitrij Timofiejewicz Parfientjew.

– Dobrze. Więc zna pan Parfientjewa?

– Tak, znam.

– A Winogradowa?

– Winogradowa nie znam.

– Winogradowa, przewodniczącego sądu w Dalstroju?

– Nie znam.

Kapitan Riebrow zapalił papierosa, głęboko się zaciągnął i wycedził, gasząc papierosa o spodeczek:

– A więc znasz Winogradowa i nie znasz Parfientjewa.

– Nie, ja nie znam Winogradowa…

– Ach, tak. Znasz Parfientjewa i nie znasz Winogradowa. No cóż!

Kapitan Riebrow nacisnął guzik dzwonka. Znajdujące się za mną drzwi otworzyły się.

– Do więzienia!

Spodeczek z niedopałkiem i niedojedzoną resztką sera pozostał w gabinecie naczelnika SPO na biurku, po prawej stronie, obok karafki z wodą.

Głęboką nocą konwojent prowadził mnie przez uśpiony Magadan.

– Idź szybciej.

– Nie mam dokąd się spieszyć.

– Powiedz jeszcze jedno słowo! – Żołnierz wyciągnął pistolet. – Zastrzelę jak psa. Spisać protokół nietrudno.

– Nie spiszesz – powiedziałem. – Odpowiesz przed kapitanem Riebrowem.

– Idź, zarazo!

Magadan – to małe miasto. Szybko więc dotarliśmy do „Domu Waśkowa”, jak nazywa się tu miejscowe więzienie. Waśkow był zastępcą Bierzina, gdy budowano Magadan, a drewniane więzienie było jednym

z pierwszych magadańskich budynków. Zachowało ono imię człowieka, który je wybudował. W Magadanie już dawno wybudowano nowe, kamienne, „nowoczesne” więzienie, według najnowszych osiągnięć techniki penitencjarnej, ale ono również nazywa się „Domem Waśkowa”.

Po krótkich pertraktacjach na wartowni wpuszczono mnie na podwórzec więzienny. Znajdował się tam niski, przysadzisty blok, zbudowany z gładkich modrzewiowych pni. A w poprzek stały dwie drewniane przybudówki zwane „salkami”.

– Do drugiej – powiedział głos za mną.

Chwyciłem za klamkę, otworzyłem drzwi i wszedłem.

Podwójne nary zapełnione ludźmi. Ale nie jeden na drugim. Podłoga – goła ziemia. Na długich nóżkach piec – półbeczka. Zapach potu, lizolu i brudnych ciał. Z trudem wpełzłem na górne nary – na górze zawsze cieplej – i przelazłem na wolne miejsce. Mój sąsiad przebudził się.

– Z tajgi?

– Z tajgi.

– Z wszami?

– Z wszami.

– To kładź się w kącie. U nas nie ma wszy. Tu dezynfekcja działa.

Dezynfekcja – to dobrze, myślałem. A najważniejsze – że ciepło.

Z rana dawano jeść. Chleb, wrzątek. Mnie się jeszcze chleb nie należał. Zdjąłem z nóg burki, położyłem je pod głowę, opuściłem w dół watowane spodnie, żeby zagrzać nogi, i zasnąłem, aby obudzić się po dwudziestu czterech godzinach, gdy dawano już chleb, a ja zostałem wpisany na pełne utrzymanie „Domu Waśkowa”.

Na obiad dawano wodę, w której gotowały się kluski, i trzy łyżki pszenicznej kaszy. Spałem do rana następnego dnia, aż do tej chwili, kiedy rozbudził mnie dziki głos dyżurnego.

Zlazłem z nar.

– Wyjdź na podwórzec i idź do tego ganku.

Drzwi prawdziwego „Domu Waśkowa” otworzyły się przede mną i wszedłem do niskiego, słabo oświetlonego korytarza. Nadzorca przekręcił zamek, odciągnął masywną żelazną zasuwę i otworzył malutką celę z podwójnymi narami. W kącie, na dolnych narach siedzieli, zgiąwszy się, dwaj ludzie.

Podszedłem do okna i usiadłem. Ktoś szarpał mnie za ramię. Był to mój brygadzista z łagru, Dmitrij Timofiejewicz.

– Czy ty coś rozumiesz?

– Nic nie rozumiem.

– Kiedy ciebie przywieźli?

– Przed trzema dniami. Osobowym samochodem. Atłas przywiózł.

– Atłas? On mnie przesłuchiwał w oddziale rejonowym. Czterdzieści lat, łysawy. Po cywilnemu.

– Ze mną jechał w mundurze.

– A o co cię pytał kapitan Riebrow?

– Czy nie znam Winogradowa.

– No i co?

– Skądże mam go znać?

– Winogradow – to przewodniczący sądu w Dalstroju.

– To ty wiesz, a ja nie – kto to taki Winogradow.

– Uczyłem się z nim.

Zaczynałem już coś rozumieć. Parfientjew, karelski prokurator, był przed aresztowaniem obwodowym prokuratorem w Czelabińsku. Winogradow, bawiąc przejazdem w kopalni „Partyzant", dowiedział się, że jego uniwersytecki kolega pracuje w przodku, przekazał mu więc pieniądze i poprosił naczelnika „Partyzanta", Anisimowa, ażeby pomógł Parfientjewowi. Przeniesiono go do kuźni jako pomocnika kowala. Anisimow doniósł o prośbie Winogradowa do MWD, Smiertinowi, a ten – do Magadanu, do kapitana Riebrowa, który jako naczelnik SPO przystąpił do rozpracowania sprawy Winogradowa. Zostali aresztowani wszyscy prawnicy we wszystkich kopalniach Północy. Reszta była dziełem techniki śledczej.

– A po co my tu jesteśmy? Ja byłem w salce…

– Nas wypuszczają – powiedział Parfientjew.

– Wypuszczają? Na wolność? To znaczy, nie na wolność, na punkt tranzytowy, tranzytkę?

– Tak – powiedział trzeci człowiek, pojawiając się w świetle i oglądając mnie z jawną pogardą.

Odkarmiona, różowa morda. Ubrany w czarne futerko, w zefirowej koszuli, rozpiętej na piersiach.

– Co, znajomi? Jeszcze was nie zdążył wydusić kapitan Riebrow. Wrogowie ludu…

– A ty co, przyjaciel ludu?

– W każdym razie nie jestem polityczny. Rombów nie nosiłem. Nie znęcałem się nad ludźmi pracy. To przez was, przez takich jak wy, to i nas

sadzają.

– Błatny czy co?

– Komu błatny, komu zdatny.

– No, przestańcie, przestańcie – stanął w mojej obronie Parfientjew.

– Gad! Nie znoszę takich.

Szczęknęły drzwi.

– Wychodzić!

Koło wartowni cisnęło się siedmiu ludzi. Podeszliśmy z Parfientjewem trochę bliżej.

– Wy co – jesteście prawnikami, tak?

– Tak! Tak!

– A co się stało? Dlaczego nas wypuszczają?

– Kapitan Riebrow został aresztowany. Kazano zwolnić wszystkich aresztowanych z jego nakazu – powiedział cicho ktoś wszystkowiedzący.

KWARANTANNA TYFUSOWA

Człowiek w białym fartuchu wyciągnął rękę i Andriejew włożył mu pomiędzy różowe, czysto domyte palce z krótko obciętymi paznokciami swą bluzę-gimnastiorkę, kruchą od słonego, zaschniętego potu. Człowiek odsunął się i strzepnął dłonią.

– Nie mam bielizny – powiedział obojętnie Andriejew.

Wtedy felczer wziął gimnastiorkę Andriejewa w obie ręce i zręcznym, nawykłym ruchem wywrócił rękawy i przyjrzał się im.

– Są, Lidio Iwanowna. Cóżeś się tak zawszawił, co?! – wrzasnął na Andriejewa.

Lecz lekarka, Lidia Iwanowna, przerwała mu.

– Czyż oni są winni? – powiedziała cicho i z wyrzutem, kładąc nacisk na słowo „oni”. I wzięła ze stołu stetoskop.

Andriejew na całe życie zapamiętał tę rudawą Lidię Iwanowną, błogosławiąc ją tysiąckrotnie i wspominając ciepło, tkliwie. Ale za co? Za to, że podkreśliła słowo „ONI” w tym zdaniu – jedynym, które od niej usłyszał. Za dobre słowo na czas wypowiedziane. Czy dotarły do niej te błogosławieństwa?

Oględziny nie trwały długo. Stetoskop nie był w tym przypadku potrzebny. Lidia Iwanowna chuchnęła na fioletową pieczęć i z siłą, obiema rękami, przycisnęła ją do jakiegoś drukowanego blankietu. Wpisała tam kilka słów i Andriejewa odprowadzono.

Czekający w sieni ambulatorium konwojent nie poprowadził Andriejewa z powrotem do więzienia, lecz w głąb osady, do jednego z dużych składów. Przylegający do składu dziedziniec ogrodzony był drutem kolczastym w dziesięć przepisowych rzędów, z furtką, przed którą chodził odziany w kożuch wartownik z karabinem. Weszli na dziedziniec i zbliżyli się do magazynu. Przez szczelinę w drzwiach przebijało jaskrawe światło elektryczne. Konwojujący żołnierz z trudem rozwarł te ogromne drzwi, wykonane raczej dla samochodu ciężarowego niż dla ludzi. Na Andriejewa wionęło smrodem brudnych ciał, zleżałej odzieży i kwaśnego ludzkiego potu.

Niewyraźny gwar ludzkich głosów wypełniał tę ogromną drewnianą skrzynię. Czteropiętrowy ciąg nar wyciosanych z modrzewia, bez przejść, był budowlą wieczną, obliczoną na wiekuiste trwanie jak mosty Cezara. Na półkach tego ogromnego magazynu leżało ponad tysiąc osób. Był to jeden z dwudziestu składów wypełnionych aż po sufit świeżym, żywym towarem; w porcie obowiązywała kwarantanna tyfusowa i już ponad miesiąc nie było wywozu czy – jak to się mówi w więziennym żargonie – „etapu”.

Krwiobieg łagru, którego erytrocytami byli żywi ludzie, został naruszony. Przewożące ludzi ciężarówki stały. W kopalniach zwiększono więźniom dniówki. W samym mieście zakład piekarniczy nie nadążał z wypiekiem chleba, albowiem każdemu trzeba go było dać po pięćset gramów dziennie; próbowano zatem dodatkowo piec w prywatnych domach. Złość kierownictwa była tym większa, że z tajgi trafiał z wolna do miasta wyrzucony przez kopalnie aresztancki odpad. W „sekcji”, jak zgodnie z modą nazywano ten skład, do którego przyprowadzono Andriejewa, znajdowało się ponad tysiąc osób, nie od razu jednak można to było spostrzec. Z powodu gorąca ludzie leżeli na górnych narach rozdziani do naga, a na dolnych narach i pod nimi – w waciakach, buszłatach i czapkach. Większość z nich leżała na wznak lub na brzuchu (nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego aresztanci nie śpią na boku); na masywnych pryczach ciała ich podobne były do narośli, drewnianych garbów lub zgiętych desek.

Ludzie zbijali się w ciasne grupy obok lub wokół opowiadacza-„romansisty” albo też z okazji jakiegoś przypadku – a wydarzały się one co chwila, wymuszane przez takie mnóstwo ludzi. Leżeli tutaj już ponad miesiąc, nie chodzili do pracy – jedynie do łaźni i do dezynfekcji odzieży. Tracono codziennie dwadzieścia tysięcy dni roboczych, sto sześćdziesiąt tysięcy roboczogodzin, a może i trzysta dwadzieścia tysięcy – dni robocze bywają różne. A może to dwadzieścia tysięcy uratowanych dni ludzkiego życia? Dwadzieścia tysięcy dni życia. Różnie można myśleć o liczbach – statystyka to przewrotna nauka.

W czasie rozdawania jedzenia wszyscy znajdowali się na swoich miejscach (rozdawano je w grupach po dziesięć osób). Ludzi było tak wielu, że rozdawcy zaledwie zdążyli wydać śniadanie, gdy nastawał już czas obiadu. A gdy kończono rozdawanie obiadu, przychodziła pora na kolację. W „sekcji” od rana do wieczora rozdawano jedzenie. A przecież rano wydzielano tylko przeznaczony na cały dzień chleb i herbatę – ciepłą, gotowaną wodę,

i co drugi dzień po połówce śledzia. Na obiad – tylko zupę, na kolację – tylko kaszę.

I mimo wszystko nie starczało na to czasu. Dyspozytor podprowadził Andriejewa do nar i wskazał mu miejsce na drugim poziomie. Z góry zaprotestowano, na co dyspozytor odpowiedział przekleństwami. Andriejew uczepił się skraju pryczy, bezskutecznie starając się zarzucić na nią nogę. Podepchnęła go mocna ręka dyspozytora i ciężko zwalił się na deski pośród nagich ciał. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Procedura meldunku i wprowadzenia się była zakończona.

Jakkolwiek w tym tranzytowym pomieszczeniu niewiele było osób z tajgi, nikt go o nic nie wypytywał, chociaż wszystkim pozostałym sądzona była jedynie ta droga. Oni doskonale to rozumieli i właśnie dlatego nie chcieli niczego wiedzieć o tej nieuniknionej tajdze. Andriejew uznał to za słuszne. To wszystko, co on widział, do niczego nie było im potrzebne. Niczego tu się nie da uniknąć, niczego nie można przewidzieć. Dodatkowy strach – po co? Tu jeszcze byli ludzie, Andriejew zaś był przedstawicielem umarlaków. I jego wiedza, wiedza martwego człowieka, nie mogła im, jeszcze żywym ludziom, do czegokolwiek się przydać.

Po upływie dwóch dni przyszła pora na łaźnię. Dezynfekcje i łaźnie tak już wszystkim dojadły, że zbierano się niechętnie; ale Andriejew miał wielką ochotę rozprawić się ze swoimi wszami. Miał teraz mnóstwo czasu i kilka razy dziennie przeglądał wszystkie szwy swojej bluzy. Lecz ostateczny efekt zapewnić mogła jedynie komora dezynfekcyjna. Dlatego szedł tam z chęcią i chociaż nie dano mu świeżej bielizny – na gołe ciało trzeba było wdziać zrudziałą bluzę – to nie czuł już więcej dobrze znanych ukąszeń.

Wodę w łaźni wydawano według normy: miednicę gorącej i miednicę zimnej, ale Andriejew oszukał łaziebnego i otrzymał dodatkową ilość. Dawano jedynie okruch mydła, ale na podłodze można było nazbierać niezmytych kawałków i Andriejew postanowił wypucować się jak należy. W ciągu ostatniego roku była to najlepsza łaźnia. I niech cieknie krew i ropa z wywołanych szkorbutem ran na goleniach Andriejewa. Niech odskakują od niego ludzie w łaźni. Niech z obrzydzenia odsuwają się od jego zawszawionej odzieży.

Z komory dezynfekcyjnej wydano rzeczy i sąsiad Andriejewa, Ogniew, zamiast skarpet z owczego futra otrzymał zabaweczki, tak skurczyła się skóra. Ogniew rozpłakał się – futrzane skarpety były ratunkiem na Północy.

Andriejew jednak nie patrzył na to ze współczuciem. Tak wielu widział płaczących mężczyzn i to z tylu różnych powodów. Byli w tej liczbie symulanci-chytrusy, byli nerwowo chorzy, byli ci, co stracili wszelką nadzieję, byli rozwścieczeni. Byli płaczący z zimna. Płaczących z głodu Andriejew nie widział.

Wracali przez ciemne, milczące miasto. Kałuże wyglądały jak zastygłe aluminium, ale powietrze było świeże, wiosenne. Po tej łaźni Andriejew spał szczególnie mocno, „spał syto", jak powiedział jego sąsiad Ogniew, który zdążył już zapomnieć o swojej przygodzie z komorą dezynfekcyjną.

Nikogo nigdzie nie wypuszczano, jednakże w „sekcji" było stanowisko, które umożliwiało wyjście za „druty". Co prawda nie chodziło tu o wyjście z łagrowej osady, poza zewnętrzne odrutowanie – poza trzy przegrody po dziesięć „nitek" kolczastego drutu wraz ze „strefą zakazaną", otoczoną nisko naciągniętym drutem. O tym nawet nikt nie marzył. Chodziło jedynie o wyjście z odrutowanego podwórka. Tam była stołówka, kuchnia, szpital, składy, jednym słowem – życie niedostępne dla Andriejewa. Jedynym człowiekiem, który wychodził poza druty, był asenizator. I kiedy on nagle umarł (życie pełne jest błogosławionych przypadków), Ogniew, sąsiad Andriejewa, objawił cuda energii i domyślności. Przez dwa dni nie jadł chleba, a potem zamienił go na wielką fibrową walizkę.

– U barona Mandela, Andriejew!

Baron Mandel! Potomek Puszkina! O, tam, tam. Baron, wysoki, wąski w ramionach, z maleńką łysą czaszką, widoczny był z daleka. Jednakże Andriejewowi nie udało się z nim poznać.

Ogniew przechował, jeszcze z „wolności", wełnianą marynarkę – na kwarantannie był dopiero kilka miesięcy. Podarowawszy dyspozytorowi marynarkę i fibrową walizkę, Ogniew otrzymał miejsce po zmarłym asenizatorze. Po upływie dwóch tygodni błatniacy przydusili Ogniewa w ciemnościach, na szczęście nie na śmierć, i zabrali mu około trzech tysięcy rubli.

W czasie tego rozkwitu handlowej kariery Ogniewa Andriejew prawie się z nim nie spotykał. Teraz, pobity i wymęczony, Ogniew wyspowiadał się Andriejewowi w nocy ze swoich przejść, zająwszy stare miejsce.

Andriejew mógłby mu opowiedzieć co nieco z tego, co widział w kopalni, ale Ogniew nie skarżył się wcale ani niczego nie żałował.

– Dzisiaj oni mnie, jutro ja ich. Ja ich… ogram… W stosa, w terca, w burę ogram. Wszystko odzyskam!

Ogniew nie wspomógł Andriejewa ani chlebem, ani pieniędzmi, ale w takich przypadkach nie było to przyjęte – z punktu widzenia łagrowej etyki wszystko było w porządku.

Któregoś dnia Andriejew ze zdziwieniem stwierdził, że jeszcze żyje. Jakkolwiek by było trudno wdrapywać się na nary, to jednak mu się to udawało. Najważniejsze, że nie pracował, leżał i wystarczało pięćset gramów żytniego chleba, trzy łyżki kaszy i miska rzadkiej zupy dziennie, aby człowiek był wskrzeszony, byle tylko nie pracował.

Właśnie tutaj pojął, że nie opanował go jeszcze strach i że nie przywiązuje wielkiej wagi do życia. Zrozumiał i to, że poddany został wielkiej próbie i zachował życie. Że okropne doświadczenia wyniesione z kopalni musi zużyć na swoją korzyść. Pojął, że jakakolwiek by była mizerna możliwość wyboru i wolnej woli więźnia, to jednak ona istnieje: jest to poczucie realizmu, które może przy okazji uratować życie. I Andriejew przygotowany był do tego wielkiego starcia, w którym bestii powinien przeciwstawić zwierzęcą chytrość. Oszukiwano jego, to i on oszuka. Nie umrze, nie szykuje się na śmierć.

Będzie spełniał pragnienia swojego ciała – te, o których mu ono mówiło w kopalni złota. Tam przegrał bitwę, ale nie była to bitwa ostatnia. Jest odpadem wyrzuconym z kopalni. Oszukała go rodzina, oszukała ojczyzna. Miłość, energia, zdolności – wszystko zostało rozdeptane i rozbite. Wszystkie usprawiedliwienia, których szukał umysł, były kłamliwe, fałszywe; i Andriejew to rozumiał. Jedynie rozbudzony przez pobyt w kopalni instynkt samozachowawczy mógł podpowiedzieć – i podpowiadał – wyjście z tej sytuacji.

Właśnie tu, na tej pryczy na miarę cyklopów, Andriejew zrozumiał, że jest coś wart, że może sam siebie szanować. Pozostał jeszcze przy życiu i nikogo nie wydał ani nie zdradził, czy to w śledztwie, czy w łagrze. Udało mu się wyjaśnić wiele prawd, udało mu się zwalczyć strach, co nie oznacza, że się zupełnie przestał bać. Nie, to bariery moralne zarysowały się wyraźniej, wszystko stało się prostsze i jaśniejsze. Jasne było na przykład, że Andriejewa nie można obciążyć żadną winą. Posiadane przedtem zdrowie naruszone zostało na zawsze, uleciało bez śladu po dawnej kondycji. Czy jednak na zawsze? Gdy przywieziono Andriejewa do tego miasta, myślał, że pozostało mu życia dwa lub trzy tygodnie. A żeby odzyskać poprzednią siłę, konieczny jest wielomiesięczny, pełny odpoczynek na świeżym powietrzu, i – jak w kurorcie – z mlekiem i czekoladą. Ponieważ jednak takiego

kurortu Andriejew nigdy nie zobaczy, trzeba będzie umrzeć. Zresztą, to znów nie takie straszne. Umarło wielu jego towarzyszy. Coś silniejszego od śmierci nie dawało mu jednak umrzeć. Czy to miłość? Czy nienawiść? Nie. Człowiek żyje dzięki tym samym przyczynom, co drewno, kamień, pies. To właśnie pojął i nie tylko pojął, ale doskonale odczuł właśnie tu, w tym miejskim punkcie tranzytowym, w czasie tyfusowej kwarantanny.

Rozdrapana skóra zagoiła się o wiele wcześniej niż inne rany Andriejewa. Powoli zanikał ten jakby żółwi pancerz, w który przeistoczyła się w kopalni ludzka skóra. Pociemniała jaskrawa różowość odmrożonych palców; zgrubiała pokrywająca ją zaraz po pęknięciu pęcherzy odmrożeniowych cieniutka skórka. A wreszcie – co najważniejsze – rozgięła się kiść lewej ręki. W ciągu półtora roku pracy w kopalni kiście obu rąk dogięły się do kształtu i grubości trzonka łopaty lub kilofa i zastygły – jak się Andriejewowi wydawało – na zawsze. Jedząc, trzymał rączkę łyżki, podobnie jak jego towarzysze, koniuszkami palców i zapomniał, że można ją trzymać inaczej. Żywa dłoń podobna była do haczykowatej protezy, bo wykonywała tylko ruchy protezy. Oprócz tego można się było nią przeżegnać, gdyby Andriejew się modlił. Niczego jednak nie było w jego duszy oprócz przepełniającej ją złości. Jego rany duchowe nie zaleczyły się tak łatwo. Nigdy nie były zaleczone.

Wszakże rękę Andriejew rozgiął. Raz, było to w łaźni, rozgięły się palce jego lewej ręki. Zdziwiło to Andriejewa. Przyjdzie jeszcze kolej na prawą, zgiętą po staremu. I po nocach Andriejew leciutko dotykał prawej, próbując odgiąć palce. Zdawało mu się, że już, już i ręka się rozegnie. Jak najdokładniej poobgryzał paznokcie, a teraz kawałek po kawałku odgryzał brudną, grubą, trochę już odmoczoną skórę. Ten zabieg higieniczny był jedną z niewielu rozrywek, kiedy nie jadł i nie spał.

Krwawe pęknięcia na stopach nie były już tak dotkliwie bolesne jak przedtem. Wrzody na nogach, po szkorbucie, nie zagoiły się jeszcze i wymagały opatrunku, ale ran było coraz mniej – ich miejsce zajmowały sinoczarne plamy, podobne do piętna wypalonego przez właściciela niewolników. Nie goiły się tylko palce obu nóg – tam odmrożenie sięgnęło szpiku kostnego i wyciekała stamtąd ropa. Oczywiście było jej znacznie mniej niż podczas pobytu w kopalni, kiedy ropa i krew tak naciekały do gumowych kaloszy zwanych czuniami (będących letnim obuwiem więźniów), że chlupało przy każdym kroku, jakby noga tkwiła w kałuży.

Minie jeszcze wiele czasu, nim zagoją się palce Andriejewa. Przez długie lata po wygojeniu przy najmniejszym zimnie będą przypominać ćmiącym bólem o północnej kopalni. Ale Andriejew nie myślał o przyszłości. Przyuczony w kopalni do tego, by nie myśleć o życiu dalej niż na dzień naprzód, starał się walczyć o to, co obok niego – jak czyni to każdy człowiek niedaleki od śmierci. Na razie pragnął tylko jednego: aby ta tyfusowa kwarantanna ciągnęła się bez końca. Tak jednak być nie mogło i nadszedł dzień, gdy kwarantanna się skończyła.

Tego ranka wszystkich mieszkańców „sekcji” wygnano na dziedziniec. Przez wiele godzin więźniowie tłoczyli się w milczeniu za drucianą zagrodą i marzli. Dyspozytor, stojąc na beczce, wykrzykiwał nazwiska okropnym, zachrypniętym głosem. Wywołani szli do furty, aby już nie wrócić. Na szosie huczały ciężarówki; huczały tak głośno w mroźnym powietrzu, że przeszkadzały dyspozytorowi.

– Żeby tylko nie wywołali, żeby tylko nie wywołali – tym dziecinnym zaklęciem Andriejew starał się przebłagać los. Nie, nie uda mu się. Jeżeli nawet dziś nie wezwą, to wezwą jutro. Znowu pojedzie do wyrobisk złota, na głód, na bicie i śmierć. Zaczęły doskwierać, dały znać o sobie odmrożone palce rąk i nóg, uszy i policzki. Andriejew coraz częściej przestępował z nogi na nogę, chuchając, zgiąwszy się, na palce zwiniętych w rurkę dłoni; ale nie było to takie proste – rozgrzać zdrętwiałe nogi i chore ręce. Wszystko nadaremno. W walce z tą gigantyczną machiną, której zęby rozgniatały jego ciało, był bezsilny.

– Woronow, Woronow! – nadrywał głos dyspozytor. – Woronow, przecież jesteś tu, psie! – i dyspozytor rzucił ze złością cieniutką, żółtą teczkę „sprawy” na beczkę, i przydeptał ją nogą.

I wtedy Andriejew wszystko zrozumiał. Było to jak światło błyskawicy wskazujące drogę ratunku. Rozgorączkowany i wzburzony zbliżył się natychmiast do dyspozytora, a ten wymieniał nazwisko za nazwiskiem. Ludzie opuszczali dziedziniec jeden za drugim, jednak tłum był jeszcze duży. To już zaraz, zaraz…

– Andriejew! – krzyknął dyspozytor.

Andriejew milczał, przyglądając się wygolonym policzkom dyspozytora. Potem wzrok jego skierował się na teczki „spraw”. Było ich niewiele. Ostatnia ciężarówka, pomyślał Andriejew.

Dyspozytor potrzymał teczkę Andriejewa i nie wywołując go po raz drugi, odłożył ją na bok, na beczkę.

– Syczkow, odzywaj się! Imię i po ojcu!

– Władimir Iwanowicz – odpowiedział jak należy jakiś podeszły wiekiem aresztant i przepchnął się przez tłum.

– Paragraf? Ile lat? Wychodź!

Jeszcze parę osób odpowiedziało na wezwanie i odeszło, a po nich odszedł dyspozytor. Pozostałych więźniów cofnięto z powrotem do „sekcji". Kaszel, tupot, okrzyki – wszystko rozpłynęło się i wyrównało w rozgwarze setek ludzi.

Andriejew chciał żyć. Postawił przed sobą dwa cele i postanowił je osiągnąć. Było nader oczywiste, że trzeba się utrzymać jak najdłużej, do ostatniego dnia. Nie popełniać błędów, panować nad sobą… Złoto to śmierć. Nikt lepiej od Andriejewa nie wie o tym. Trzeba za wszelką cenę uniknąć tajgi z wyrobiskami złota. Jak może to osiągnąć on, znajdujący się poza prawem niewolnik Andriejew? A tak: w czasie kwarantanny tajga wyludniła się; chłód, głód, ciężka, wielogodzinna praca i bezsenność pozbawiły ją ludzi. A więc w pierwszej kolejności ciężarówki z ludźmi z kwarantanny będą kierowane do „złotych" zarządów; i tylko wtedy, gdy zapotrzebowanie kopalń na ludzi („Przyślijcie dwieście drzew" – jak piszą w telegramach) będzie zaspokojone, tylko wtedy będą wysyłać nie do tajgi, nie do wydobywania złota. A dokąd – to już Andriejewowi obojętne. Byle nie na złoto.

O tym wszystkim nie powiedział Andriejew ani słowa. Z nikim się nie naradzał – ani z Ogniewem, ani ze swoim kolegą z kopalni, Parfientjewem, ani z żadnym z tego tysiąca ludzi, którzy leżeli z nim razem na narach. Wiedział bowiem, że każdy, komu opowie o swoim planie, wyda go władzy – za cenę pochwały, machorkowego okurka lub tak, całkiem po prostu… On wiedział, jaka jest waga tajemnicy, i potrafił ją zachować. Tylko w takiej sytuacji mógł się niczego nie obawiać. Jednemu było łatwiej. We dwóch, trzech czy czterech nietrudno było wpaść w zęby machiny. Jego gra była jego własną grą – tego się doskonale nauczył w kopalni.

Przez wiele dni Andriejew nie odpowiadał na wezwania. Ale jak tylko kwarantanna się skończyła, zaczęto więźniów „wyganiać" do pracy i przy wychodzeniu trzeba było tak pokombinować, żeby nie trafić do którejś z dużych grup, bo prowadzono je zazwyczaj do prac ziemnych, z łomami, kilofami i łopatami. Maleńkie grupy, po dwie, trzy osoby, stwarzały zawsze nadzieję na zarobienie dodatkowego kawałka chleba lub nawet cukru – od

ponad półtora roku Andriejew nie widział cukru. Oczywiście posyłanie do pracy ludzi znajdujących się na „etapie” było nielegalne, ale znajdowało się wielu chętnych do wykorzystania darmowej siły roboczej. Ci, którzy trafiali do prac ziemnych, chodzili tam, licząc na to, że wyproszą gdziekolwiek tytoniu czy chleba. Udawało się to nawet dostać od przechodniów. Andriejew chodził do składu warzyw, gdzie do woli jadł buraki i marchew; przynosił także „do domu” po kilka surowych ziemniaków, które piekł w piecu, w popiele, i zjadał w stanie półsurowym – życie tu wymagało, aby wszelkie żywieniowe „operacje” przeprowadzać szybko – dokoła zbyt wielu było głodujących ludzi.

Nastały dni, które jakby miały jakiś sens, wypełnione były jakimiś czynnościami. Co dzień z rana trzeba było przestać na mrozie dwie godziny, a dyspozytor krzyczał:

– Hej, wy, odzywajcie się! Imię i po ojcu!

I kiedy codzienna ofiara składana Molochowi była już zakończona, a wszyscy tupiąc, biegli do baraku, dopiero wtedy wyprowadzano stamtąd do pracy.

Andriejew trafiał do pracy w piekarni, wynosił śmieci z żeńskiego punktu tranzytowego, mył podłogę w pomieszczeniu obozowej straży, gdzie w półciemnej stołówce zgarniał z pozostawionych talerzy lepkie i smaczne resztki z oficerskich stołów. Po pracy wynoszono do kuchni pełne miednice słodkiego kisielu i góry chleba, wszyscy więc – zasiadłszy w krąg – jedli i napychali kieszenie chlebem.

Tylko jeden raz kalkulacja Andriejewa się nie sprawdziła. Czym mniejsza grupa, tym lepsza – to było jego hasło. A najlepiej w pojedynkę. Jednakże rzadko kiedy brano jednego. Pewnego dnia dyspozytor, pamiętając jego twarz (znał go jako Murawjowa), powiedział:

– Znalazłem ci taką robotę, że nigdy jej nie zapomnisz. Piłowanie drewna na opał u wysokiej rangi naczelnika. Pójdziesz we dwójkę z kimkolwiek.

Pobiegli wesoło przed przewodnikiem w kawaleryjskim płaszczu. Ten zaś, w butach, ślizgał się, potykał, przeskakiwał kałuże, a potem doganiał ich biegiem, przytrzymując obiema rękami poły płaszcza. Wkrótce dotarli do niewielkiego domu z zamkniętą furtką w pokrytym kolczastym drutem płocie. Przewodnik zastukał. W podwórzu zaszczekał pies. Otworzył im sprzątający naczelnika, zaprowadził milcząco do drewutni, gdzie ich zamknął, a na podwórze wypuścił ogromnego owczarka. Przyniósł wiadro

wody. I dopóki więźniowie nie przepiłowali i nie porąbali wszystkiego drewna, dopóty trzymał ich w zamknięciu. Późno wieczorem zostali odprowadzeni do łagru. Następnego dnia chciano ich tam posłać ponownie, lecz Andriejew schował się pod nary i w ogóle nie wyszedł do pracy.

Na drugi dzień rano, przed wydawaniem chleba, wpadł mu do głowy pewien prosty pomysł, który od razu urzeczywistnił. Zdjął z nóg burki i położył je na skraju nar, jeden but na drugim, podeszwami na zewnątrz – tak jakby sam leżał w burkach na pryczy. Położył się przy nich na brzuchu i oparł głowę na łokciu. Rozdawca szybko przeliczył kolejną dziesiątkę i wydał Andriejewowi dziesięć porcji. W ten sposób dostały mu się dwie porcje. Lecz sposób nie był pewny i mógł udać się tylko jeden raz. Andriejew znów zaczął szukać pracy poza barakiem.

Czy rozmyślał wtedy o rodzinie? Nie. O wolności? Nie. Czy deklamował wiersze z pamięci? Nie. A może wspominał przeszłość? Nie. On żył tylko przepełniającą go spokojną złością. I właśnie wtedy natknął się na kapitana Sznajdera.

Miejsce w pobliżu pieca zajmowali błatniacy. Nary zaścielone były brudnymi, watowanymi kołdrami i pokryte mnóstwem różnego rodzaju poduszek z pierza. Watowana kołdra to nieodłączny towarzysz złodzieja, któremu dobrze się powodzi; jedyna rzecz, którą taszczy ze sobą po więzieniach i łagrach. Kiedy jej nie posiada, to kradnie lub zabiera siłą. A poduszka? Poduszkę nie tylko kładzie pod głowę, lecz stanowi ona również karciany stolik podczas niekończących się gier. Można temu stolikowi nadać dowolną formę, a mimo wszystko pozostaje poduszką. Karciarze wcześniej przegrywają spodnie niż poduszkę.

Na kołdrach i poduszkach rozkładali się złodziejscy przywódcy, a raczej ci, którzy nimi byli w danym czasie. Jeszcze wyżej, na trzecich narach, gdzie było ciemno, również leżały kołdry i poduszki – zaciągano tam kobietopodobnych młodych złodziejaszków; i nie tylko – prawie każdy złodziej był pederastą.

Złodziei otaczała rzesza fagasów i lokajów – nadwornych opowiadaczy, albowiem u błatniaków do dobrego tonu należy interesowanie się „romansami”; nadwornych fryzjerów z flakonikami perfum – nawet w tych warunkach; i jeszcze rzesza spełniających różne posługi, gotowych na wszystko, byle im tylko odłamano kawałek chleba lub nalano zupki.

– Ciszej! Sienieczka coś mówi. Ciszej! Sienieczka kładzie się spać. – Obrazek znany z kopalni.

Nagle pośród tej żebraczej rzeszy, wiecznej świty otaczającej błatniaków, Andriejew ujrzał znajomą twarz, znajome rysy, posłyszał znajomy głos. Bez wątpienia był to kapitan Sznajder – towarzysz Andriejewa w więzieniu na Butyrkach.

Kapitan Sznajder był niemieckim komunistą, działaczem Kominternu. Znakomicie władał językiem rosyjskim, był znawcą Goethego i wykształconym teoretykiem-marksistą. W pamięci Andriejewa zachowały się prowadzone z nim dyskusje w długie więzienne noce, dyskusje „o wysokim napięciu". Wesołek z natury, były kapitan żeglugi wielkiej podtrzymywał bojowego ducha w więziennej celi.

Andriejew nie wierzył teraz własnym oczom.

– Sznajder!

– No, czego chcesz? Sienieczkę obudzisz.

Ale już uniósł się brzeg kołdry i blada, niezdrowa twarz wysunęła się do światła.

– Aa, kapitan – zadźwięczał rozmarzony tenorek Sienieczki – nie mogę zasnąć bez ciebie…

– Zaraz, zaraz – zakrzątnął się Sznajder. Wlazł na nary, usiadł, podniósł kołdrę, wsunął pod nią rękę i począł skrobać Sienieczce pięty.

Andriejew z wolna szedł na swoje miejsce. Nie chciało mu się żyć. I chociaż nie było to ani wielkie, ani straszne wydarzenie w porównaniu z tym, co już widział i co jeszcze miał zobaczyć, zapamiętał kapitana Sznajdera na zawsze.

A tymczasem ludzi było coraz mniej. Tranzytka pustoszała. Andriejew zetknął się twarzą w twarz z dyspozytorem.

– Jak twoje nazwisko?

Ale Andriejew już dawno się na to przygotował.

– Gurow – odpowiedział pokornie.

– Poczekaj! – Dyspozytor przekartkował cieniutki papier spisów. – Nie, nie ma.

– Mogę iść?

– Idź, bydlaku! – ryknął dyspozytor.

Pewnego razu Andriejew trafił do sprzątania i mycia naczyń w stołówce punktu tranzytowego tych, którzy odbyli wyrok i wyjeżdżali na wolność.

Partnerem jego był wycieńczony, o nieokreślonym wieku „knot”, dochodiaga, dopiero co wypuszczony z miejscowego więzienia. Było to pierwsze wyjście do pracy tego dochodiagi. Wciąż rozpytywał, co będą robić, czy dadzą im coś zjeść i czy wypada prosić o jedzenie przed rozpoczęciem pracy. Dochodiaga powiedział, że jest profesorem-neuropatologiem i Andriejew zapamiętał jego nazwisko.

Z doświadczenia wiedział, że łagrowi kucharze, i nie tylko oni, nie lubią „Iwanów Iwanowiczów”, jak pogardliwie nazywali inteligentów. Powiedział profesorowi, żeby o nic wcześniej nie prosił, i pomyślał ze smutkiem, że główna robota związana z myciem i sprzątaniem stanie się udziałem jego, Andriejewa. Profesor był zbyt słaby. To było słuszne i nie należało się gniewać. Ile razy w kopalni Andriejew sam był marnym, słabym partnerem dla ówczesnych swoich kolegów i nikt nie powiedział mu ani słowa? Gdzie oni wszyscy? Gdzie Szejnin? Riutin? Chwostow? Wszyscy poumierali, a on, Andriejew, ożył. Tak naprawdę to jeszcze nie ożył i wątpliwe, czy ożyje. Ale będzie walczył o życie.

Przypuszczenia Andriejewa okazały się słuszne – profesor krzątał się, ale był zbyt słaby jako pomocnik. Zakończyli robotę i kucharz usadził ich w kuchni, stawiając przed nimi ogromny baniak gęstej, rybnej zupy i duży, żelazny talerz kaszy. Profesor zaklaskał w dłonie z radości, ale Andriejew, który widział w kopalni, jak jeden człowiek potrafi zjeść dwadzieścia obiadowych porcji z trzech dań, z chlebem, krzywo spojrzał na to ugoszczenie.

– Bez chleba czy jak? – spytał, chmurząc się, Andriejew.

– No jakże bez chleba. Dam trochę – i kucharz wyjął z szafy dwie pajdy chleba.

Z poczęstunkiem uporali się szybko. Będąc w takiej gościnie, przewidujący Andriejew zawsze jadł bez chleba. Także teraz schował chleb do kieszeni. Profesor natomiast łamał chleb, łykał zupę, żuł, aż na jego krótko ostrzyżonej głowie pojawiły się krople brudnego potu.

– Macie tu jeszcze po rublu – powiedział kucharz. – Chleba dziś nie mam.

Było to wspaniałe wynagrodzenie. Na punkcie tranzytowym znajdował się kiosk-sklepik, gdzie wolni mogli kupować chleb. Andriejew powiedział o tym profesorowi.

– Tak, tak, ma pan rację – odparł profesor – ale ja widziałem, że sprzedają tam słodki kwas. A może to lemoniada? Ogromnie chce mi się lemoniady, w ogóle czegoś słodkiego.

– To pańska sprawa, profesorze, ale ja na pana miejscu raczej bym kupił chleb.

– Tak, tak, ma pan rację – powtórzył profesor – ale bardzo chce mi się słodkiego kwasku. Niech i pan wypije.

Lecz Andriejew kategorycznie odmówił.

W końcu Andriejew dopiął swego – dostał pracę w pojedynkę. Zaczął myć podłogę w biurze działu gospodarczego przy punkcie tranzytowym. Każdego wieczoru przychodził po niego sprzątający, którego obowiązkiem było utrzymanie czystości w biurze. Były to dwa maleńkie pokoiki, po cztery metry kwadratowe każdy, zastawione stołami. Podłogi były malowane. Robota śmieszna, na dziesięć minut, i początkowo Andriejew nie mógł pojąć, dlaczego sprzątający „wynajmuje" kogoś do takiego sprzątania. Przecież nawet wodę do mycia nosił sam przez cały łagier, a czyste szmaty także były zawczasu przygotowane. A wynagrodzenie było szczodre – machorka, zupa i kasza, chleb i cukier. Sprzątający obiecał nawet dać Andriejewowi „lekką marynarkę", ale nie zdążył.

Widać sprzątającemu wydawało się, że to wstyd, aby sam mył podłogi, choćby przez pięć minut dziennie, skoro może nająć do tego „robociarza". Tę właściwą Rosjanom cechę zauważył Andriejew już w kopalni. Gdy naczelnik da sprzątającemu garść machorki za sprzątnięcie baraku, ten połowę jej wysypie do kapciucha, a za drugą połowę najmie sprzątacza z baraku pięćdziesiątego ósmego paragrafu – politycznego. Z kolei ten znowu „przepołowi" machorkę i wynajmie robociarza ze swego baraku za dwa machorkowe skręty. Tak oto, po czternastogodzinnej zmianie, robociarz myje w nocy podłogi za dwa skręty tytoniu. Uważa to jeszcze za szczęście – przecież zamieni tytoń na chleb.

Problemy walutowe to najbardziej skomplikowane zagadnienie teoretyczne ekonomii. Również w łagrze problemy walutowe nie są proste – odniesienia wartości są zadziwiające – herbata, tytoń, chleb; ich cena podlega wahaniom „kursu".

Sprzątający działu gospodarczego płacił niekiedy Andriejewowi talonami do kuchni. Były to opieczętowane kawałki kartonu, coś jakby żetony – dziesięć obiadów, pięć drugich dań itp. Kiedyś sprzątający dał Andriejewowi żeton na dwadzieścia porcji kaszy i te dwadzieścia porcji nie pokryło dna blaszanej miedniczki.

Andriejew widział, jak błatniacy wtykali w okienko zamiast żetonów podobne do nich jaskrawopomarańczowe trzydziestorublówki. Działało to

niezawodnie. W odpowiedzi na taki „żeton” miedniczka napełniała się i wyskakiwała z okienka.

Ludzi na punkcie tranzytowym było ciągle mniej, aż wreszcie nastał dzień, kiedy po wyprawieniu ostatniej ciężarówki pozostało na dziedzińcu wszystkiego około trzydziestu osób. Tym razem nie puszczono ich do baraku, lecz uformowano i poprowadzono przez cały łagier.

– Chyba jednak nie prowadzą nas na rozstrzelanie – powiedział idący obok Andriejewa ogromny, z bardzo dużymi rękami, jednooki człowiek.

No właśnie, przecież nie będą rozstrzeliwać, pomyślał także Andriejew.

Przyprowadzono wszystkich do dyspozytora, do działu ewidencji.

– Będziemy brać wasze odciski palców – powiedział dyspozytor, wychodząc na ganek.

– Jeżeli chodzi o palce, to można i bez palców – wesoło rzekł jednooki. – Moje nazwisko Filipowski. Gieorgij Adamowicz.

– A twoje?

– Andriejew. Paweł Iwanowicz.

Dyspozytor odszukał ich „sprawy osobowe”.

– Coś dawno was poszukujemy – powiedział bez złości. – Idźcie do baraku, później wam powiem, dokąd was wyznaczą.

Andriejew wiedział już, że wygrał bitwę o życie. Po prostu nie mogło tak być, żeby tajga nie nasyciła się jeszcze ludźmi. Jeśli nawet będą wysyłki, to tylko na bliskie, miejscowe punkty. Albo też w samym mieście, to jeszcze lepiej. Daleko wysyłać nie mogą nie tylko dlatego, że Andriejew posiada kategorię „lekkiej fizycznej pracy”. Znana mu była praktyka nagłych „komisji rewizyjnych”. Nie mogą wysyłać daleko, dlatego że zapotrzebowanie „tajgi” zostało już wypełnione. I tylko pobliskie punkty, gdzie życie jest łatwiejsze, prostsze, bardziej dostatnie, gdzie nie ma „złotych” wyrobisk, a więc gdzie jest nadzieja na uratowanie się – oczekują w kolejce. W ciągu dwuletniej pracy w kopalni wymęczył się dostatecznie, aby móc teraz stanąć przed taką ewentualnością. Sprężony jak zwierzę do skoku. Zbyt wiele zostało zrobione i nadzieje powinny się spełnić, cokolwiek by się miało stać.

Trzeba było czekać na to tylko jedną noc.

Po śniadaniu dyspozytor wleciał z listą do baraku, z maleńką listą, jak to od razu zauważył Andriejew. Kopalniane listy zawierały po dwadzieścia

pięć osób na jedną ciężarówkę i takich papierków było zawsze kilka, a nie jeden.

Andriejewa i Filipowskiego wywołano według tej listy; było na niej więcej ludzi i jakkolwiek niewiele, nie były to jednak ani dwie, ani trzy osoby.

Wywołanych poprowadzono w kierunku znajomych drzwi działu ewidencji. Stało tam jeszcze trzech mężczyzn – siwy, dostojny, o powolnych ruchach staruszek w ładnym baranim półkożuszku i walonkach oraz brudny, wiercący się człowiek w waciaku i watowanych spodniach, mający na nogach gumowe kalosze i onuce. Trzecim był urodziwy starzec spoglądający sobie pod nogi. Opodal stał człowiek w wojskowym kożuszku i kubance na głowie.

– To wszyscy – powiedział dyspozytor. – Nadadzą się?

Człowiek w kożuszku kiwnął palcem na staruszka.

– Ktoś ty?

– Izgibin, Jurij Iwanowicz, pięćdziesiąty ósmy paragraf, wyrok dwadzieścia pięć lat – dziarsko złożył raport staruszek.

– Nie, nie. – Ten w kożuszku się zmarszczył. – Kim ty jesteś z zawodu? Wasze dane znajdę i bez was…

– Zdun, obywatelu naczelniku.

– A co jeszcze potrafisz?

– Znam się jeszcze na blacharce.

– Bardzo dobrze.

– Ty? – naczelnik skierował się do Filipowskiego.

Jednooki wielkolud odpowiedział, że jest palaczem z Kamieńca Podolskiego.

– A ty?

Urodziwy starzec nieoczekiwanie wymamrotał kilka słów po niemiecku.

– Cóż to? – powiedział ten w kożuszku z zaciekawieniem.

– Proszę się nie niepokoić – wtrącił się dyspozytor.

– To stolarz, dobry stolarz, Frühsorger. Jemu trochę nieswojo, ale przyjdzie do siebie.

– A dlaczegóż to on po niemiecku?…

– On jest spod Saratowa, z republiki autonomicznej.

– Aaa… A ty? – było to pytanie do Andriejewa.

On potrzebuje specjalistów i w ogóle dobrych robotników, pomyślał Andriejew, ja będę tym od skóry.

– Garbarz, obywatelu naczelniku.

– Bardzo dobrze. A ile masz lat?

– Trzydzieści jeden.

Naczelnik pokiwał głową. Ponieważ jednak był człowiekiem doświadczonym i widywał już zmartwychwstania, przemilczał i przeniósł wzrok na piątego.

Piąty, wiercący się człowiek okazał się ni mniej, ni więcej, tylko działaczem towarzystwa esperantystów.

– W ogóle ja, rozumie pan, jestem agronomem, agronomem z wykształcenia. Nawet wykłady prowadziłem. Ale moja sprawa związana jest z esperantystami.

– Szpiegostwo. Czyż nie tak? – obojętnie rzucił ten w kożuszku.

– Właśnie, właśnie, coś w tym rodzaju – powiedział wiercący się człowiek.

– No to jak? – spytał dyspozytor.

– Biorę – powiedział naczelnik. – Wszystko jedno, lepszych nie da się znaleźć. Nie ma teraz bogatego wyboru.

Wszystkich pięciu poprowadzono do oddzielnego pokoju-celi, znajdującego się przy baraku. Ale na liście były jeszcze dwa czy trzy nazwiska – Andriejew dobrze to zauważył. Przyszedł dyspozytor.

– Dokąd jedziemy?

– Tutaj, na miejscowy punkt, dokąd by jeszcze – powiedział dyspozytor. – A tamten to wasz naczelnik. Za godzinę was odeślemy. Trzy miesiące wałkoniliście się tutaj, przyjaciele, i pora już mieć trochę honoru.

Po upływie godziny wywołano ich, ale nie do samochodu, lecz do magazynu odzieżowego. Oczywiście, aby zmienić uniformy, myślał Andriejew. Przecież wiosna za pasem – kwiecień. Wydadzą im letnie, a te zimowe, znienawidzone, kopalniane, odda się, wyrzuci, zapomni. Lecz zamiast letnich wydano im zimowe. Przez pomyłkę? Nie. Na liście było zaznaczone czerwonym ołówkiem: „zimowe”.

Niczego nie rozumiejąc, odziali się wiosennego dnia w waciaki „wtórnego użytku”. I w buszłaty, i w stare, naprawiane walonki. W strachu, przeskakując jak bądź kałuże, dobrnęli do tego pokoju w baraku, skąd poszli do magazynu. Wszyscy byli niezwykle strwożeni i milczeli, jedynie Frühsorger mamrotał i mamrotał po niemiecku.

– To on modlitwy odmawia, jego mać… – szepnął Filipowski Andriejewowi.

Siwy, podobny do profesora zdun wyliczył wszystkie „najbliższe punkty”: port, czwarty kilometr, czterdziesty siódmy… Dalej zaczynały się już odcinki drogowe, miejsca niewiele lepsze od kopalni złota.

Przybiegł dyspozytor.

– Wychodzić! Marsz do wyjścia!

Wszyscy wyszli i skierowali się ku wrotom punktu tranzytowego. Po drugiej stronie stała duża ciężarówka przykryta zielonym brezentem.

– Konwój, przyjmujcie!

Konwojent przeprowadził odliczanie. Andriejew poczuł, jak robi mu się chłodno w nogi, w plecy…

– Siadać do samochodu!

Konwojent odrzucił skraj brezentu pokrywającego ciężarówkę – była ona zapełniona przez siedzących ludzi, jak każą przepisy.

– Włazić!

Wszyscy w pięciu siedli razem. Wszyscy milczeli. Konwojent siadł do kabiny. Zadudnił silnik i samochód ruszył szosą, wyjeżdżając na główną „trasę”.

– Na czwarty kilometr wiozą – powiedział zdun.

Słupy oznaczające wiorsty przepływały obok. Pięciu mężczyzn zbliżyło głowy do szczeliny w brezencie i nie wierzyło własnym oczom…

– Siedemnasty…

– Dwudziesty trzeci – powiedział Filipowski.

– Na miejscowy, parszywcy! – gniewnie zachrypiał zdun.

Samochód od dawna już jechał drogą wijącą się między skałami. Szosa podobna była do liny, przy pomocy której wleczono morze do nieba. Wlekli je, zginając plecy, burłacy – góry.

– Czterdziesty siódmy – bez nadziei w głosie zapiszczał wiercący się esperantysta.

Samochód przeleciał mimo.

– Dokąd jedziemy? – spytał Andriejew, chwyciwszy kogoś za ramię.

– Na Atce, na dwieście ósmym, będziemy nocować.

– A potem?

– Nie wiem… Daj zapalić.

Ciężarówka, pracując ciężko, wdrapywała się na przełęcz Jabłonowego Grzbietu.

TOM II

ARTYSTA ŁOPATY

WYPADEK

Ściana zakołysała się i znajome, słodkie nudności chlusnęły mi do gardła. Spalona zapałka z podłogi po raz tysięczny przepłynęła przed oczami. Wyciągnąłem rękę, by złapać tę uprzykrzoną zapałkę, i zapałka znikła – przestałem widzieć. Ale świat jeszcze mnie nie porzucił: tam, na bulwarze, był gdzieś głos, daleki, nalegający głos siostry medycznej. Potem mignęły białe fartuchy, róg domu, gwiaździste niebo… Pojawił się ogromny, szary żółw, jego oczy pobłyskiwały obojętnym blaskiem. Ktoś wyłamał skorupę żółwia, a ja wpełzłem do jakiejś nory, czepiając się i podciągając na rękach, bo im tylko dowierzałem.

Przypomniały się cudze, uparte palce, umiejętnie przyginające moją głowę i ramiona do pościeli. Wszystko ucichło i pozostałem, jak Guliwer, sam na sam z kimś ogromnym. Podobnie do owada leżałem na desce i ktoś z uporem wpatrywał się we mnie przez lupę. Obracałem się, a straszna lupa podążała w ślad za moimi ruchami. Wiłem się pod tym potwornym szkłem. I dopiero wtedy, gdy po przeniesieniu mnie na szpitalne łóżko nastąpił błogi spokój samotności, pojąłem, że guliwerowa lupa to nie koszmar, że to były okulary dyżurnego lekarza. Bardzo się z tego ucieszyłem.

Kręciło mi się w głowie i odczuwałem w niej ból przy najmniejszym poruszeniu. Nie można było myśleć. Dało się jedynie wspominać – i zaczęły się pojawiać, jak kadry niemego filmu, dawne, napawające strachem obrazy, dwukolorowe postacie. Nie przechodziły słodkawe nudności, podobne do skutków przeprowadzonej eterem narkozy. Były mi nieobce i teraz rozszyfrowałem to pierwsze odczucie. Przypomniałem sobie, jak wiele lat przedtem, na Północy, po sześciomiesięcznej pracy bez wypoczynku, ogłoszony został wolny dzień. Każdy chciał tylko leżeć i leżeć, nie ruszać się, nie naprawiać odzieży… Jednakże wszystkich poderwano o świcie i wygnano po drewno.

W odległości ośmiu kilometrów od osady prowadzono wyrąb lasu – należało wybrać odpowiadające własnym możliwościom bierwiono i przytaszczyć je do siebie, do baraku w zonie. Zadecydowałem, że pójdę w drugą

stronę – tam, w odległości dwu kilometrów, stały stare sągi i można było wybrać odpowiednią kłodę. Pod górę trudno było iść. Gdy dobrnąłem do sągu, okazało się, że nie ma tam już lekkich bierwion. Powyżej czerniały porozwalane inne sągi, zacząłem się więc wspinać do nich. Było tutaj jedno tylko cienkie polano, nadające się dla mnie, odpowiadające moim możliwościom. Niestety, jego koniec tkwił zaciśnięty w sągu, a nie starczało mi krzepy, żeby go wyszarpnąć. Kilka razy próbowałem, aż zupełnie opadłem z sił.

Nie wolno było jednak wracać bez drew. Zebrawszy resztkę sił, popełzłem w górę, do sągu przysypanego śniegiem. Długo rozgrzebywałem nogami i rękami sypki, skrzypiący śnieg i w końcu wyrwałem jedno bierwiono. Było jednak zbyt ciężkie. Zdjąłem z szyi brudny ręcznik, służący mi za szalik, i przywiązawszy go do cieńszego końca bierwiona, pociągnąłem je w dół. Bierwiono podskakiwało i uderzało po nogach albo wyrywało się i leciało z góry szybciej ode mnie. Miejscami przechwytywał je podobny do ośmiornicy cedrowiec, lecz wyswobodziwszy się z jego łap, bierwiono rozpędzało się i wbijało w śnieg. Podpełzałem do niego i zmuszałem do ruchu. Byłem jeszcze wysoko w górze, gdy się ściemniło, i zrozumiałem, że minęło już wiele godzin, a droga do osady i do zony była jeszcze daleko. Szarpnąłem za szalik i bierwiono, podskakując, ponownie ruszyło w dół. W końcu wytaszczyłem je na drogę.

Las zakołysał się przed moimi oczami i słodkawe nudności chlusnęły do gardła. Ocknąłem się w budce obsługującego wyciąg – nacierał mi ręce i twarz szorstkim śniegiem.

Wszystko to jawiło mi się teraz na szpitalnej ścianie. Ale zamiast obsługującego wyciąg moją rękę trzymał lekarz.

– Gdzie jestem?

– W instytucie neurologii.

Lekarz pytał mnie o coś. Odpowiadałem z trudem. Pragnąłem być sam. Nie obawiałem się wspomnień.

SŁOWO NAD TRUMNĄ

Wszyscy pomarli…

Mikołaj Kazimierzowicz Barbe, kolega, który pomógł mi wyciągnąć duży kamień z wąskiego wyrobiska, brygadzista, rozstrzelany na skutek raportu naczelnika odcinka, komunisty Arma. Arm otrzymał odznaczenie za 1938 rok, a później został naczelnikiem kopalni, wreszcie naczelnikiem zarządu kopalń. Wielką karierę zrobił ten Arm.

Mikołaj Kazimierzowicz Barbe posiadał jedną troskliwie chronioną rzecz – szalik z wielbłądziej sierści, błękitny, długi, ciepły. Ukradli go w łaźni złodzieje. Całkiem po prostu wzięli i już, kiedy Barbe się odwrócił. I na drugi dzień odmroził sobie policzki, mocno odmroził, rany nie zdążyły się zagoić aż do jego śmierci.

Umarł Jośka Riutin. Pracował ze mną w parze, podczas gdy inni „robociarze” nie chcieli ze mną pracować. A Jośka pracował. Był o wiele silniejszy i zręczniejszy ode mnie.

Rozumiał, po co nas tu przywieziono. I nie gniewał się na mnie, że źle pracuję. W końcu starszy nadzorca (tak nazywały się górnicze stopnie w 1937 roku – jak za carskich czasów) zarządził, aby dano mi „oddzielny pomiar”. Jośka zaś zaczął pracować w parze z kimś innym. Ale w baraku leżeliśmy obok siebie, więc od razu się obudziłem, usłyszawszy niezgrabne ruchy kogoś odzianego w skórę i pachnącego baranem. Ten ktoś, obrócony do mnie plecami w wąskim przejściu pomiędzy narami, budził mojego sąsiada:

– Riutin! Ubieraj się!

I Jośka począł spiesznie się ubierać, a pachnący baranem człowiek przystąpił do przeszukiwania jego skromnego dobytku. Znalazły się tam szachy i człowiek odziany w skórę odłożył je na bok.

– To moje – pospiesznie powiedział Riutin. – Moja własność. Zapłaciłem za nie.

– No i cóż? – powiedział kożuch.

– Proszę je zostawić.

Barani kożuch zaczął się śmiać. A kiedy zmęczył się śmiechem i otarł twarz skórzanym rękawem, rzekł:

– One tobie już się nie przydadzą.

Umarł Dymitr Mikołajewicz Orłow, były referent Kirowa. Piłowaliśmy z nim drewno na nocnej zmianie w kopalni i, jako posiadacze piły, w ciągu dnia w piekarni. Doskonale pamiętam, jak krytycznie spoglądał na nas magazynier z narzędziowni, wydając nam piłę, zwykłą poprzeczną piłę.

– Słuchaj, staruszku – powiedział narzędziowiec. Wszystkich nas w owych czasach nazywano staruszkami; nie tak jak w dwadzieścia lat później. – Potrafisz naostrzyć piłę?

– Oczywiście – pospiesznie odpowiedział Orłow. – A jest przyrząd do rozwodzenia?

– Siekierą rozwiedziesz – powiedział magazynier, pojąwszy, że jesteśmy ludźmi znającymi się na rzeczy. Nie to co inteligenci.

Orłow, zgięty, szedł ścieżką, zasunąwszy ręce w rękawy. Piłę trzymał pod pachą.

– Proszę posłuchać, Dymitrze Mikołajewiczu – powiedziałem, doganiając z doskoku Orłowa. – Przecież ja nigdy nie ostrzyłem piły.

Orłow odwrócił się, wetknął piłę w śnieg i wdział rękawice.

– Ja myślę – powiedział pouczającym tonem – że każdy człowiek z wyższym wykształceniem powinien umieć ostrzyć i rozwodzić piłę.

Przyznałem mu rację.

Umarł Szymon Aleksiejewicz Szejnin – ekonomista, dobry człowiek, który pracował w parze ze mną. Długo nie rozumiał, co z nami wyczyniają, ale w końcu pojął i spokojnie czekał na śmierć. Miał na to dość męstwa. Jakimś dziwnym trafem otrzymałem paczkę. To, że doszła, było wielką rzadkością. Były w niej lotnicze filcowe buty-burki i nic więcej. Doskonale wiedziałem, że burki mi ukradną, zabiorą już w pierwszą noc, więc, nie wychodząc z komendantury, sprzedałem je za sto rubli dziesiętnikowi Andrzejowi Bojce. Burki warte były siedemset, ale i tak była to zyskowna sprzedaż. Mogłem przecież kupić sto kilogramów chleba, a jeżeli nie sto, to dokupić również masła i cukru. Ostatni raz jadłem je w więzieniu.

I kupiłem cały kilogram masła w sklepie. Kosztowało czterdzieści jeden rubli. Kupiłem je w ciągu dnia (pracowałem w nocy) i pobiegłem do Szejnina – mieszkaliśmy w różnych barakach – aby wspólnie uczcić tę paczkę. Kupiłem także chleba. Siemion Aleksiejewicz był poruszony i uradowany.

– No, ale co ja? Jakie ja mam prawo? – mamrotał niezwykle poruszony. – Nie, nie, nie mogę… – Przekonałem go jednak i pełen radości pobiegłem po wrzątek.

Nagle runąłem na ziemię, powalony strasznym uderzeniem w głowę. Kiedy się podniosłem, nie było już torby z chlebem i masłem. Koło nar walało się metrowej długości polano, którym mnie uderzono, a wszyscy dookoła się śmiali. Przybiegł z wrzątkiem Szejnin. Przez długie lata potem nie mogłem wspominać tej kradzieży, nie denerwując się ogromnie. A Siemion Aleksiejewicz umarł.

Umarł Iwan Jakowlewicz Fiediachin. Jechaliśmy z nim jednym pociągiem, płynęliśmy jednym statkiem. Trafiliśmy do tej samej kopalni, do tej samej brygady. Z pochodzenia wołokołamski wieśniak, był filozofem, organizatorem pierwszego kołchozu w Rosji. Jak wiadomo, pierwsze kołchozy organizowane były w latach dwudziestych przez eserów, a grupa Czajanowa-Kondratiewa reprezentowała ich interesy „na górze”. Iwan Jakowlewicz był takim właśnie wiejskim eserem – jednym z tego miliona ludzi, którzy w 1917 roku głosowali na tę partię. I za organizację pierwszego kołchozu dostał właśnie wyrok – pięć lat pozbawienia wolności.

Jakoś tak na samym początku, podczas pierwszej kołymskiej jesieni, w 1937 roku, pracowaliśmy z nim przy grabiarce, zatrudnieni na słynnej kopalnianej „taśmie”. Wózki-grabiarki były dwa, odczepiane. Kiedy prowadzący konia wiódł jeden do urządzenia przemywającego, dwóch robotników z ledwością zdążało napełnić drugi. Nie udawało się nawet popalić, zresztą nadzorcy nie pozwalali. Natomiast ten przy koniu palił ogromnego skręta z prawie pół paczki machorki (wtedy jeszcze była) i pozostawiał nam na brzegu wykopu, abyśmy się zaciągnęli.

Wozakiem był Miszka Wawiłow, niegdyś zastępca prezesa trustu „Promimport”, a rębaczami – Fiediachin i ja. Bez pośpiechu, dorzucając urobku do grabiarki, gaworzyliśmy. Opowiadałem o normach wyznaczanych dekabrystom w Nerczyńsku. Według *Notatek Marii Wołkońskiej* była to masa trzech pudów rudy przypadająca na człowieka.

– A ile waży wasza norma, Wasylu Piotrowiczu? – spytał Fiediachin.

Podliczyłem – około 800 pudów.

– No proszę, Wasylu Piotrowiczu, jak to normy podrosły…

Później, w okresie zimowego głodu, zdobywałem tytoń, wypraszając, zbierając, wykupując, i wymieniałem go na chleb. Fiediachin nie pochwalał mojej „działalności handlowej”.

– Nie przystoi to panu, Wasylu Piotrowiczu, nie trzeba tego robić.

Ostatni raz widziałem go zimą w stołówce. Dałem mu sześć kartek na obiad, które tego dnia otrzymałem za nocne przepisywanie w biurze. Ładny charakter pisma niekiedy mi pomagał. Kartki mogłyby przepaść – widniały na nich pieczątki z datą. Fiediachin otrzymał te obiady. Siedział przy stole i przelewał z miski do miski „juszkę" – zupa była maksymalnie rzadka i nie pływała w niej ani jedna kropelka tłuszczu. Kasza-śrut pochodząca z sześciu kartek nie zdołała napełnić jednej miski. Łyżki Fiediachin nie posiadał, więc kaszę wybierał językiem. I płakał.

Umarł Derfel. Francuski komunista, który zdążył już być w kamieniołomach Cayenne. Oprócz głodu i chłodu zadręczyły go własne myśli – nie chciał uwierzyć, że on, członek Kominternu, mógł trafić tutaj, na sowiecką katorgę. Byłby się mniej przejmował, gdyby zobaczył, że nie on jeden. Wszyscy, z którymi przyjechał, razem żył i umierał, byli właśnie takimi ludźmi. On sam był drobny i słaby, a wchodziło już w modę bicie. Jednego razu brygadzista uderzył go po prostu kułakiem, tak – można powiedzieć – dla podtrzymania obyczaju, ale Derfel upadł i już nie wstał. Umarł jako jeden z pierwszych, tych najszczęśliwszych. W Moskwie pracował w agencji TASS jako jeden z redaktorów. Dobrze władał rosyjskim.

– W Cayenne było źle – powiedział mi kiedyś. – Ale tutaj jest bardzo źle.

Umarł Fryc Dawid. Holenderski komunista, członek Kominternu, oskarżony o szpiegostwo. Miał piękne, kręcące się włosy, głębokie, niebieskie oczy i dziecięcy zarys warg. Rosyjskiego prawie nie znał. Spotkałem go w baraku tak zapchanym ludźmi, że można było spać, stojąc. Staliśmy obok siebie, Fryc uśmiechnął się do mnie i przymknął oczy.

Przestrzeń pod narami była zapełniona do ostateczności. Trzeba było czekać, aby móc usiąść w kucki i żeby potem, przycisnąwszy się do nar, do słupa lub do cudzego ciała – zasnąć. Oczekiwałem z zamkniętymi oczami. Nagle coś zwaliło się obok mnie. To upadł Fryc Dawid, mój sąsiad. Podniósł się skonfundowany.

– Zasnąłem – powiedział z przestrachem.

Ten właśnie Fryc Dawid był pierwszym z naszego etapu, który otrzymał paczkę. Wysłała mu ją z Moskwy jego żona. W paczce był aksamitny garnitur, nocna koszula i wielka fotografia pięknej kobiety. W tym właśnie garniturze siedział w kucki obok mnie.

– Chce mi się jeść – powiedział, uśmiechając się i czerwieniąc. – Bardzo chcę jeść. Proszę mi przynieść coś do zjedzenia.

Fryc Dawid zwariował i gdzieś go odprowadzono.

Nocną koszulę i fotografię ukradziono mu od razu pierwszej nocy. Kiedy później opowiadałem o tym, zawsze oburzałem się, nie mogąc tego pojąć, dlaczego, komu była potrzebna cudza fotografia?

– Wszystkiego to i pan nie wie – powiedział kiedyś jakiś szczwany uczestnik rozmowy. – Nietrudno się domyślić. Tę fotografię ukradli błatniacy „na seans", jak oni to mówią. Aby się onanizować, mój naiwny kolego…

Umarł Sierioża Kliwański, mój kolega z pierwszego roku uniwersytetu, z którym spotkałem się po dwudziestu latach w etapowej celi butyrskiego więzienia. W 1927 roku usunięto go z Komsomołu za referat o chińskiej rewolucji, wygłoszony w kole bieżącej polityki. Udało mu się ukończyć studia uniwersyteckie i rozpocząć pracę w Gospłanie jako ekonomista, dopóki nie zmieniła się tam sytuacja. Wtedy Sierioża musiał odejść. W wyniku konkursu mógł podjąć pracę jako drugi skrzypek w orkiestrze Teatru im. Stanisławskiego – aż do momentu aresztowania w 1937 roku. Był to typ sangwinika i kpiarza, ironia nigdy go nie opuszczała. Ciekawość życia i wydarzeń – także.

W etapowej celi wszyscy chodzili prawie nago, zlewali się wodą i spali na podłodze. Jedynie bohaterowie wytrzymywali na narach. A Kliwański dowcipkował:

– To jest tortura pary. Po niej zostaniemy poddani na Północy torturze mrozu.

Owa precyzyjna przepowiednia nie była jednak kwękaniem tchórza. W kopalni Sierioża był wesoły i towarzyski. Z entuzjazmem starał się opanować błatniacki słownik i cieszył się jak dziecko, wymawiając z należytą intonacją błatniackie wyrażenia.

– No, to teraz zdaje się „przypuchnę" – mówił Sierioża, wpełzając na górne nary, aby pospać. Lubił wiersze i w więzieniu deklamował je często z pamięci. W łagrze już tego nie robił. Dzielił się ostatnim kęsem, a raczej jeszcze się dzielił… Znaczy to, że nie zdążył już dożyć tej chwili, kiedy nikt nie posiadał już ostatniego kęsa, gdy już nikt z nikim się nie dzielił.

Umarł brygadzista Diukow. Nie wiedziałem i teraz też nie wiem, jak miał na imię. Był jednym z „kryminalnych" i nie pozostawał w żadnym stosunku do pięćdziesiątego ósmego, politycznego paragrafu. W łagrach na

„kontynencie” był tak zwanym „przewodniczącym kolektywu”. Nie oznacza to, że był romantycznie nastrojony, ale że przygotowywał się do „odegrania roli”. Przyjechał zimą i od razu, na pierwszym zebraniu, wystąpił z zadziwiającym przemówieniem. „Kryminalni” miewali zebrania, bo przecież zarówno ci, co popełnili kryminalne tudzież administracyjne przestępstwa, jak i złodzieje-recydywiści, uważani byli za przyjaciół ludu i podlegali oddziaływaniu wychowawczemu – a nie tylko karze. To w odróżnieniu od „wrogów ludu”, zasądzonych na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Później, gdy recydywistom zaczęto przypisywać czternasty punkt pięćdziesiątego ósmego paragrafu – „sabotaż” (za odmowę pracy), cały ten punkt został stamtąd usunięty oraz uwolniony od wieloletnich i różnorodnych kar. Recydywiści zawsze byli uważani za „przyjaciół ludu”, aż do sławnej beriowskiej amnestii z 1953 roku. Ofiarą i teorii, i krylenkowskiej „gumki”, i przesławnego „przekuwania” padło wiele setek tysięcy nieszczęsnych ludzi.

Na pierwszym zebraniu Diukow zaproponował, że obejmie kierownictwo brygady „pięćdziesiątego ósmego paragrafu” – bo zazwyczaj brygadzistą politycznych był ktoś spośród nich. Diukow był niezłym chłopcem. Zaproponował to, wiedząc, że doskonale, lepiej od wszystkich pracują w łagrze wieśniacy, i pamiętając, że wśród nich było bardzo wielu z paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Należy w tym upatrywać szczególnej mądrości Jeżowa i Berii, rozumiejących, że robocza wartość inteligencji jest bardzo mała, a więc łagry mogą nie wypełnić swego produkcyjnego zadania, w odróżnieniu od zadania politycznego. Ale Diukow nie wdawał się w rozważania na tak wysokim poziomie. Wątpliwe, czy cokolwiek poza roboczą wartością ludzi przychodziło mu do głowy. Dobrał sobie brygadę złożoną wyłącznie z wieśniaków i przystąpił do pracy. Było to wiosną 1938 roku. Wieśniacy Diukowa przetrwali już całą głodową zimę z trzydziestego siódmego na trzydziesty ósmy rok, ale Diukow nie bywał razem z członkami swej brygady w łaźni. Inaczej dawno już pojąłby, w czym rzecz.

Ale nie pracowali źle, trzeba ich było tylko dożywić. Jednakże prośba Diukowa w tym względzie spotkała się z ostrą odmową kierownictwa. Wygłodzona brygada po bohatersku wypracowywała normę, harując ponad siły, ale wtedy Diukowa zaczęli oszukiwać mierniczowie, rejestratorzy, nadzorcy i kierownicy robót, on zaś począł składać skargi, coraz ostrzej protestując. Tymczasem efektywność pracy brygady wciąż się obniżała i wyżywienie stawało się coraz gorsze. Diukow spróbował zwrócić się do

„wysokiego naczalstwa”, ale to wysokie naczalstwo poradziło odpowiednim osobom, aby wpisać brygadę Diukowa wraz z nim samym na odpowiednią listę. Tak też zrobiono i wszyscy zostali rozstrzelani za przesławną „Serpentynką”.

Umarł Piotr Michajłowicz Chwostow. To, co najbardziej straszne u głodnych ludzi, to ich zachowanie. Niby wszystko jak u zdrowych, ale jednak są pomyleńcami. Głodni zawsze bronią zawzięcie sprawiedliwości (jeśli nie są zbyt głodni ani zbyt wycieńczeni). To wieczni dyskutanci i kłótnicy, zuchwali zawadiacy. Zazwyczaj w jednym przypadku na tysiąc – i to w przypadku skrajnym – dochodzi do bójki między kłócącymi się ludźmi. Głodni zaś tłuką się wiecznie. Rozpalają spory z najbardziej dzikich i nieoczekiwanych powodów. „Dlaczego wziąłeś mój kilof, zająłeś moje miejsce?” Który jest mniejszy czy niższy, ten stara się zbić z nóg przeciwnika, podstawiając mu nogę. Wyższy natomiast rzuci się całym ciałem, aby swoim ciężarem powalić przeciwnika na ziemię, a potem drapać, kąsać, bić… Wszystko to jest zbyt słabe, aby zadać ból lub doprowadzić do śmierci, i najczęściej odbywa się po to, by wzbudzić zainteresowanie otoczenia. Bijących się nie rozdzielało.

Takim właśnie był Chwostow. Każdego dnia brał udział w bójce – czy to w baraku, czy to w głębokim rowie odwadniającym, kopanym przez własną brygadę. Był moim „zimowym” znajomym – nie widziałem jego włosów. Miał czapkę-uszankę z porwanym białym futrem. I oczy – ciemne, błyszczące oczy głodomora. Czasem mówiłem wiersze i wtedy on spoglądał na mnie, jakbym był pozbawiony rozumu.

Pewnego razu zaczął w rowie rozpaczliwie walić kilofem po kamieniach. Kilof był ciężki, a Chwostow bił nim z rozmachem, prawie nie przestając. Zdziwiłem się na widok takiej siły. Od dawna już byliśmy razem i od dawna głodowaliśmy. Potem kilof dźwięknął, padając. Obejrzałem się. Chwostow zatoczył się i runął twarzą w dół. Wyciągnął daleko przed siebie ręce w rękawicach, cerowanych codziennie w baraku. Rękawy się obsunęły – na obu przedramionach widniał tatuaż. Paweł Michajłowicz był kapitanem żeglugi wielkiej.

Roman Romanowicz Romanow umierał na moich oczach. Kiedyś był u nas kimś w rodzaju „dowódcy kompanii”, wydawał paczki, nadzorował zachowanie czystości w łagrowej zonie. Jednym słowem, zajmował uprzywilejowaną pozycję, o której nie mógł nawet marzyć żaden z nas, osądzonych według paragrafu pięćdziesiątego ósmego albo z „literek”, jak

mawiali błatniacy, czy „literników”, jak wymawiali to słowo łagrowi urzędnicy [1]. Szczytem naszych marzeń było zatrudnienie przy praniu, w łaźni lub przy naprawie odzieży u nocnego krawca. Dostęp do wszystkiego oprócz kamienia był nam wzbroniony na mocy „specjalnej dyrektywy”. Taki papierek dołączono do sprawy każdego z nas.

A Roman Romanowicz był właśnie na takim niedostępnym stanowisku. I nawet posiadł jego wszystkie tajniki: jak otwierać paczkę, aby cukier wysypywał się na podłogę, jak umiejętnie rozbić słoik z konfiturami czy wepchnąć pod drewniany tapczan suchary i suszone owoce. Tego wszystkiego Roman Romanowicz nauczył się szybko i już nie podtrzymywał z nami znajomości. Był ściśle oficjalny, zachowywał się jak uprzejmy przedstawiciel tego wysokiego kierownictwa, z którym nie mogliśmy mieć styczności. Niczego nam nigdy nie doradzał. Jedynie wyjaśniał: list można wysłać raz na miesiąc, paczki wydawane są w komendanturze łagru od 8.00 do 10.00 wieczór i inne podobne sprawy. Nie zazdrościliśmy Romanowi Romanowiczowi, tylko się dziwiliśmy. Było jasne, że odegrała tu rolę jakaś przypadkowa osobista znajomość. Zresztą niedługo pozostawał dowódcą kompanii – wszystkiego dwa miesiące. Czy to na skutek kolejnej kontroli etatów (od czasu do czasu, a już obowiązkowo przed Nowym Rokiem, urządzano takie kontrole), czy też ktoś „szepnął” – jak to obrazowo mówią w łagrze. Roman Romanowicz znikł. Był wojskowym, chyba pułkownikiem.

Po czterech latach trafiłem na „ekspozyturę witaminową”, gdzie zbieraliśmy igliwie cedrowca – jedynej tutaj wiecznie zielonej rośliny. Igliwie to zwożono do odległego o wiele setek wiorst witaminowego kombinatu, tam je gotowano i zamieniano w ciągnącą się, brązową maź o zapachu i smaku nie do zniesienia. Rozlewano ją do beczek i rozwożono po łagrach. Według ówczesnej miejscowej medycyny był to jedyny ogólnie dostępny środek przeciwko szkorbutowi. A szkorbut szalał. Do tego jeszcze w połączeniu z pelagrą i innymi awitaminozami. Wszyscy, którym przydarzyło się przełknąć choć kroplę tego strasznego leku, zgadzali się raczej umierać, niż leczyć owym diabelstwem. Istniały jednak rozkazy, a rozkaz to rozkaz. W łagrach nie dawano nic do zjedzenia, dopóki porcja lekarstwa nie została przełknięta. Dyżurny był zawsze na miejscu ze specjalnym maleńkim czerpaczkiem. Nie można było wejść do stołówki, omijając rozdawcę cedrowca, i to, co było specjalnie cenne dla aresztanta – obiad, jedzenie –

zostawało nieodwołalnie zepsute tą wstępną obowiązkową porcją. Trwało to ponad dziesięć lat.

Bardziej wykształceni lekarze zdumiewali się, jak w owej lepkiej mazi może się uchować witamina C, niezmiernie czuła na każdą zmianę temperatury. Żadnego sensu nie było w takim leczeniu, jednak nie zaprzestano podawania ekstraktu. Tuż obok, wzdłuż całej osady, było wiele głogu. Nikt jednak nie decydował się na to, by zbierać jego owoce – w rozkazie o tym nie było mowy. I dopiero znacznie później, chyba w 1952 roku, otrzymano od miejscowych władz medycznych pismo, w którym kategorycznie zabraniano podawania ekstraktu z cedrowca jako niszczącego nerki. Kombinat witaminowy został zamknięty.

Ale w tym czasie, gdy spotkałem Romanowa, zbierano cedrowiec na całego. Zbierany był przez dochodiagi – głodnych półinwalidów. Wyrobisko złota w trzy tygodnie robiło ze zdrowych ludzi inwalidów: głód, brak snu, wielogodzinna ciężka praca, bicie… Do brygady „włączano” nowych ludzi i moloch przeżuwał…

W tej brygadzie pod koniec sezonu nie pozostał nikt z wyjątkiem brygadzisty Iwanowa. Pozostali szli do szpitala, „pod sopkę” i do ekspozytur witaminowych, gdzie karmiono jeden raz dziennie, a racja żywnościowa nie mogła przekroczyć 600 gramów chleba. Tej jesieni nie pracowaliśmy z Romanowem przy zbiórce igliwia. Pracowaliśmy „na budowie”. Budowaliśmy sobie dom na zimę, bo w lecie mieszkaliśmy w porwanych namiotach.

Krokami odmierzono powierzchnię, wbito kołki, a my wtykaliśmy w ziemię dwa rzędy rzadkiej palisady. Przestrzeń pomiędzy nimi zapełniano kawałkami zlodowaciałego mchu i torfu. Wewnątrz znajdowały się zrobione z żerdzi parterowe nary. Pośrodku stał żelazny piecyk. Na każdą noc wydawano porcje drewna według empirycznych wyliczeń. Jednakże nie mieliśmy ani piły, ani siekiery – te ostre przedmioty przechowywane były przez żołnierzy straży, którzy mieszkali w oddzielnym namiocie, ocieplonym i przykrytym dyktą. Piły i siekiery wydawane były tylko z rana, podczas wyprowadzania do pracy. Rzecz w tym, że w sąsiedniej „ekspozyturze witaminowej” kilku kryminalistów napadło na brygadzistę. Błatniacy są niezwykle skłonni do teatralności, wprowadzają ją do życia tak, że pozazdrościłby im Jewrieinow. Zdecydowali zabić brygadzistę, a wniosek jednego z błatniaków, żeby odpiłować mu głowę, spotkał się z zachwytem. Głowę odpiłowano zwykłą piłą. Dlatego właśnie wydany został nakaz

zabraniający pozostawiać na noc więźniom piły i siekiery. Dlaczego na noc? Nikt jednak w rozkazach nie doszukiwał się logiki.

Jakże wszak pociąć drwa, aby wlazły do piecyka? Co cieńsze łamano nogami, a grube wkładano w wiązce, cieńszymi końcami do otworu buzującego piecyka, i spalano stopniowo. Nocą ktokolwiek wsuwał je głębiej – zawsze się taki znalazł – i to światło z otwartych drzwi piecyka było jedynym światłem w naszym domu.

Dopóki nie spadł śnieg, domek przedmuchiwany był na wylot, ale potem nagarniano śniegu wokół ścian, oblewano wodą – i nasze zimowisko było gotowe. Drzwi zawieszano kawałkiem brezentu.

W takiej właśnie szopie spotkałem się z Romanem Romanowiczem. Ubrany był niczym „ogień", według trafnego jak zawsze określenia błatniaków: z tiełogriejki, ze spodni, z czapki sterczały kłaki waty. Pewnie niejeden raz zdarzało się Romanowi Romanowiczowi ganiać „po węgielek", aby przypalić papierosa jakiemuś błatniakowi. Jego oczy błyszczały od głodu. Policzki były rumiane jak dawniej, ale nie przypominały już baloników, tylko szczelnie przylegały do kości policzkowych. Roman Romanowicz leżał w kącie i głośno wciągał w siebie powietrze. Podbródek podnosił się i opadał.

– Kona – powiedział Denisow, jego sąsiad. – Ma dobre onuce. – I zręcznie ściągnąwszy burki z nóg umierającego, odwinął mocne jeszcze, zielone onuce, zrobione z koca. – Ot tak – mruknął, surowo patrząc na mnie. Ale mnie było wszystko jedno.

Zwłoki Romanowa wynoszono w czasie, gdy ustawialiśmy się przed wyjściem do pracy. Czapki już także nie miał. Poły rozpiętego buszłata wlokły się po ziemi.

Umarł Wołodia Dobrowolcew, pointysta. Pointysta to rodzaj pracy czy narodowość? To była praca wywołująca zawiść w barakach pięćdziesiątego ósmego paragrafu. (Wydzielenie baraków dla politycznych w ogólnym łagrze, gdzie były też baraki przeznaczone dla zwykłych więźniów i kryminalistów-recydywistów, wszystkie za tym samym, wspólnym drutem, nie było niczym innym jak przewrotnym pastwieniem się prawa. Nikogo to nie chroniło przed napadami zwykłych złodziejaszków i krwawymi porachunkami bandyckimi).

Point to żelazna rura przewodząca gorącą parę. Para ta podgrzewa kamienny kruszec, zamarznięty kopalniany żwir, a robotnik od czasu do

czasu wygrzebuje rozgrzany kamień metalową łyżką wielkości ludzkiej dłoni, przytwierdzoną do trzymetrowego trzonka.

Ponieważ pointysta musi otwierać i zamykać zawory z gorącą parą płynącą przez rury z bojlera – prymitywnego urządzenia usytuowanego w budce – pracę tę uważa się za wymagającą kwalifikacji. Obsługiwanie bojlera to jeszcze lepsza robota niźli praca pointysty. Nie każdy inżynier-mechanik wywodzący się spośród więźniów pięćdziesiątego ósmego paragrafu mógł marzyć o takiej pracy. I to nie dlatego, że wymagała specjalnych umiejętności. Czysty przypadek, że skierowano do niej Wołodię, ale to go odmieniło. Nie musiał już myśleć o tym, jakby się ogrzać – wieczna myśl… Lodowaty chłód nie przenikał jego jestestwa, nie zatrzymywał pracy jego mózgu. Ratowała go gorąca rura. I to była właśnie przyczyna, dla której wszyscy zazdrościli Dobrowolcewowi.

Były też gadki, że nie tak po prostu zrobiono go pointystą, że to pewny dowód, iż jest donosicielem, szpiegiem. Oczywiście błatniacy zawsze mawiali: jeśli już pracował w łagrze jako sanitariusz, musiał pić robociarską krew. Wartość tego rodzaju ocen ludzie znali: zawiść to zły doradca. Wołodia jakoś niezmiernie urósł w naszych oczach, tak jakby pośród nas ujawnił się wspaniały skrzypek. A Dobrowolcew – wymagały tego warunki pracy – wychodził sobie indywidualnie, wychodząc zaś z łagru przez wartownię, otworzywszy okienko, wykrzykiwał w nie takim radosnym, silnym głosem swój numer: „Dwadzieścia pięć!” Od myśli o takiej możliwości już dawno się odzwyczailiśmy.

Niekiedy pracował w pobliżu naszego wykopu, a wtedy my, z racji znajomości, kolejno biegaliśmy pogrzać się przy rurze. Rura miała półtora cala średnicy, można ją było uchwycić ręką, zacisnąć w dłoni – i ciepło wyraźnie przepływało z rąk do ciała. I nie było siły, żeby się od niej oderwać, żeby powrócić do wykopu, na mróz…

Wołodia nie odganiał nas jak inni pointyści. Nigdy nam nie powiedział ani słowa, choć – jak wiem – pointystom nie wolno było wpuszczać nam podobnych. Stał otoczony obłokami gęstej, białej pary. Jego odzież była zupełnie oblodzona, każdy włosek buszłata lśnił jak kryształowa igła. Nigdy z nami nie rozmawiał – mimo wszystko wartość tej pracy była oczywiście zbyt cenna.

W wigilijny wieczór tego roku siedzieliśmy przy piecyku. Jego żelazne boki były z racji święta czerwieńsze niż zazwyczaj. Człowiek natychmiast

odczuwa różnicę temperatury. Ogarniał nas, siedzących przy piecyku, senny, liryczny nastrój…

– Dobrze by tak, braciszkowie, powrócić do domu. Bywają przecież cuda… – powiedział Glebow, poganiacz kopalnianych koni, były profesor filozofii, znany w naszym baraku z tego, że miesiąc temu zapomniał imienia swojej żony. – Tylko, prawda, nie zauroczyć.

– Do domu?

– Tak.

– Powiem wam prawdę – odpowiedziałem. – Lepiej do więzienia. Ja nie żartuję. Nie chciałbym teraz wracać do swojej rodziny. Tam nigdy mnie nie zrozumieją, nie potrafią zrozumieć. Wiem, że to, co dla nich ważne, to dla mnie głupstwo. To zaś, co ważne dla mnie, to, czego niewiele mi pozostało – nie dane jest im ani zrozumieć, ani odczuć. Przyniosę im nowy strach, jeszcze jeden do tysiąca strachów przepełniających ich życie. To, co widziałem, tego człowiek nie powinien widzieć, nie powinien o tym wiedzieć.

Więzienie – inna sprawa. Więzienie to swoboda. Jedyne miejsce, jakie znam, gdzie ludzie mówili wszystko, co myśleli, gdzie odpoczywały ich dusze. Gdzie odpoczywały ich ciała, bo nie pracowali. Tam każda godzina istnienia miała swój sens.

– Ale mielesz – powiedział były profesor filozofii. – To dlatego, że ciebie nie bili. Ale ten, kto przeszedł przez metodę numer trzy, ten inaczej sądzi…

– No a ty, Piotrze Iwanowiczu, co sądzisz?

Piotr Iwanowicz Timofiejew, były dyrektor Trustu Uralskiego, uśmiechnął się i przytaknął Glebowowi.

– Ja powróciłbym do domu, do żony, do Agnieszki Michajłownej. Kupiłbym bochenek żytniego chleba, bochenek! Nagotowałbym kaszy z magary, wiadro! Zupę „kluski”, również wiadro! I jadłbym to wszystko. Pierwszy raz w życiu najadłbym się do syta owych dobrych rzeczy, a Agnieszkę Michajłowną zmusiłbym, aby jadła to, co pozostało.

– A ty? – zwrócił się Gleb do Zwonkowa, górnika przodkowego w naszej brygadzie (w poprzednim życiu zaś – wieśniaka z Jarosławskiego czy z Kostromskiego).

– Do domu – poważnie, bez uśmiechu, odpowiedział Zwonkow. – Wydaje mi się, że gdybym teraz przyszedł, to na krok bym żony nie odstępował. Gdzie ona, tam i ja, gdzie ona, tam ja. Tylko że oduczono mnie tu pracować, utraciłem miłość do ziemi. No, ale urządzę się gdziekolwiek…

– A ty? – Ręka Glebowa dotknęła kolana naszego sprzątającego.

– Przede wszystkim poszedłbym do komitetu rejonowego partii. Tam, jak pamiętam, niedopałków na podłodze cała masa…

– Ale ty nie żartuj.

– A ja nie żartuję.

Nagle spostrzegłem, że pozostał do odpowiedzi tylko jeden człowiek. I był nim Wołodia Dobrowolcew. Podniósł głowę, nie czekając na pytanie. Z otwartego piecyka padało na jego oczy światło żarzących się węgli. Oczy były żywe, głębokie.

– A ja – głos jego był spokojny, mówił bez pośpiechu – chciałbym być samym kadłubem. Kadłubem człowieka, rozumiecie, bez rąk i nóg. Wtedy znalazłbym w sobie siłę, by im napluć w twarz za wszystko, co z nami robią.

1. „Literki” to OSO, czyli Osoboje Sowieszczanije – Komisja Specjalna, KRTD – Kontrrewolucyjna Trockistowska Działalność (wszystkie przypisy tłumacza). [wróć]

JAK TO SIĘ ZACZĘŁO

Jak to się zaczęło? Brygadę Klujewa przetrzymano w pracy. To niesłychany przypadek. Wykop został otoczony przez żołnierzy konwoju. Wykop to „wykrój”, ogromna jama, na której brzegu stał właśnie konwój. A wewnątrz krzątali się ludzie, spiesząc się i poganiając jeden drugiego. Jedni ze skrytą obawą, a drudzy z mocną wiarą, że ten dzień to tylko przypadek, że ten wieczór – to przypadek. Przyjdzie poranek, świt i wszystko się rozwieje, wyjaśni. I życie potoczy się dalej, choć po łagrowemu, ale jak dawniej.

Przetrzymanie w pracy. Ale dlaczego?

– Dopóki nie wykonają zadania.

Jękliwie pogwizdywała zamieć, miękki, suchy śnieg smagał policzki niczym piasek. W trójkątnych światłach „jupiterów”, rozjaśniających wykopy w nocy, śnieg wirował jak pyłki w promieniu słońca, podobny do pyłków w świetle słonecznym u wrót ojcowskiej stodoły. Tylko że w dzieciństwie wszystko było maleńkie, ciepłe, żywe, a tu – ogromne, chłodne i złe. Skrzypiały drewniane pudła, w których wywożono grunt na wysypisko. Czterech ludzi chwytało za pudło i popychało, taszczyło, podsuwało, spychało i ciągnęło je na brzeg wysypiska, obracało i wysypywało zmarznięte kamienie na stromą pochyłość. Kamienie staczały się cicho w dół…

Oto Krupiański, dalej – Nejman, a tam – sam brygadzista Klujew. Wszyscy się spieszą, ale końca pracy nie widać. Podobno było już koło jedenastej wieczór, a gwizdek był o piątej. O piątej gwizdała kopalniana syrena, o piątej!

Brygadę puszczono do domu. Do domu – do baraku. A jutro o piątej rano – pobudka i nowy roboczy dzień, nowy plan dzienny. Nasza brygada zmieniała brygadę Klujewa w wykopie. Dzisiaj rozstawiono nas do pracy w wykopie sąsiednim i dopiero o dwunastej w nocy nastąpiła zmiana.

Jak to się zaczęło? Na teren kopalni przyjechało nagle dużo, bardzo dużo żołnierzy. Dwa nowe, ciosane baraki, budowane przez więźniów dla siebie, oddane zostały żołnierzom łagrowej straży. Zostaliśmy na zimę w namio-

tach – dziurawych, brezentowych namiotach, poprzebijanych kamieniami przy wybuchach w wyrobiskach. Namioty były zabezpieczone przed zimnem: w ziemię wkopano słupy, a na przytwierdzone do nich listwy położono papę. Pomiędzy płótnem namiotu a papą – warstwa powietrza. Zima, jak mówią, zatka śniegiem.

Ale wszystko to było później. Nasze baraki oddano ochranie – łagrowej straży – w tym była istota rzeczy. Ochranie nie spodobały się baraki zbudowane z surowego drewna. Modrzew to drzewo perfidne, nie lubi ludzi – podłogi, ściany i sufity nie wyschną przez całą zimę. Wszyscy już wcześniej to zrozumieli – i ci, których ciała miały osuszyć baraki, i ci, co dostali owe baraki przypadkowo. Ochrana przyjęła swoje „nieszczęście" jako oczywistą trudność pobytu na Północy.

Po co w kopalni „Partyzant" ochrana? Kopalnia niewielka, wszystkiego dwa, trzy tysiące więźniów w 1937 roku. Sąsiedzi „Partyzanta" – kopalnie „Szturmowa" i „Bierzino" (późniejsza „Górny At-Uriach") – to były miasta zaludnione przez dwanaście do czternastu tysięcy więźniów. Wichry niosące śmierć w 1938 roku?… Ależ to wszystko było później. A teraz – po co „Partyzantowi" ochrana? W 1937 roku był jeden jedyny, niezmieniający się „bojec", uzbrojony w nagan, bez trudu utrzymujący porządek w pokornym królestwie „trockistów". Błatniacy? Dyżurny patrzył przez palce na miłe sprawki błatniaków, na ich rozbójnicze ekspedycje i gościnne występy, dyplomatycznie usuwał się w szczególnie ostrych przypadkach. Wszystko odbywało się „po cichu". A teraz nagle całe mnóstwo strażników. Po co?

Wywieziono raptem całą brygadę odmawiających pracy trockistów (w owych czasach nazywano ich o wiele łagodniej – „niepracującymi"). Mieszkali w oddzielnym baraku pośrodku nieogrodzonej więźniarskiej osady, której nie nazywano tak strasznie, jak w niedalekiej przyszłości, „zoną". Zgodnie z prawem, trockiści otrzymywali sześćset gramów chleba dziennie i należną gorącą strawę, nie pracując przy tym zupełnie oficjalnie. Każdy aresztant mógł się do nich przyłączyć i przejść do niepracującego baraku. Jesienią trzydziestego siódmego roku mieszkało tam siedmiuset pięciu ludzi. Wszyscy oni nagle znikli i wiatr tylko poruszał niezamknięte drzwi, a wnętrze ziało czarną, niezamieszkaną próżnią.

Nagle okazało się, że więzienny przydział żywności – „pajki" – nie wystarcza, że bardzo chce się jeść, a kupić nic nie można i wyprosić u kolegi nie sposób. Jeszcze kawałek śledzia, ale chleb? Stało się nagle tak, że nikt nikogo niczym nie częstował, a wszyscy zaczęli coś tam po kryjomu

żuć, prędko, w ciemności, starając się namacać okruchy chleba we własnej kieszeni. Poszukiwanie tych okruchów stało się prawie automatycznym zajęciem w każdej wolnej chwili. Ale tych wolnych chwil ubywało.

W warsztacie szewskim zawsze stała ogromna beczka napełniona tranem. Beczka wysoka była do pasa i wszyscy chętni maczali w niej brudne szmaty i smarowali buty. Nie od razu wpadłem na to, że tran to tłuszcz, olej, pożywienie, że ten szewski smar można jeść – było to olśnienie podobne do Archimedesowej eureki. Rzuciłem się, to znaczy powlokłem, do warsztatu. Niestety, beczki już w warsztacie nie było. Inni od dawna wpadli na ten trop, na który ja dopiero zamierzałem wejść.

Przywieziono do kopalni psy, owczarki niemieckie. Psy?

Jak to się zaczęło? W listopadzie nie zapłacono rębaczom pieniędzy. Pamiętam, jak w czasie pierwszych dni pracy w kopalni, w sierpniu i wrześniu, zatrzymywał się koło nas, robociarzy, kopalniany nadzorca – ta nazwa pozostała jeszcze z czasów Niekrasowa – i mówił: źle, bardzo źle. Jeśli tak będziecie pracować, to nie będzie co posłać do domu. Minął miesiąc i wyjaśniło się, że każdemu przypadł jakiś tam zarobek. Jedni wysyłali pieniądze do domu przekazem pocztowym, uspokajając swoje rodziny. Inni kupowali za te pieniądze w łagrowym sklepiku papierosy, konserwowe mleko, biały chleb… Wszystko to nagle, niespodziewanie się skończyło. Jak pędzona wiatrem, poniosła się wieść, że już więcej nie będą płacić pieniędzy. Jak wszystkie wieści w łagrze i ta potwierdziła się w całości. Jedyną zapłatą stało się wyżywienie. Nadzór nad wykonaniem planu sprawować miała, oprócz łagrowych pracowników, całego ich legionu, oprócz łagrowego „naczalstwa”, powiększanego dostatecznie wiele razy – także łagrowa „ochrana”, żołnierze.

Jak to się zaczęło? Przez wiele dni szalała zamieć, drogi dla samochodów zawiało śniegiem, górska przełęcz została „zamknięta”. Jak tylko ustały opady śniegu, od razu pierwszego dnia – w czasie zamieci siedzieliśmy w barakach – nie poprowadzono nas po pracy do „domu”. Okrążeni konwojem, szliśmy kilka godzin jakimiś nieznanymi ścieżkami, posuwając się w górę w kierunku przełęczy, cały czas w górę, w górę. Zmęczenie, stromizna, rozrzedzone powietrze, głód, złość – to wszystko nas zatrzymywało. Krzyki konwojentów działały jednak jak uderzenia nahajek. Zrobiło się już zupełnie ciemno, nastała noc bez gwiazd, kiedy ujrzeliśmy światła wielu ognisk na drogach w pobliżu przełęczy. Im głębsza stawała się noc, tym jaśniej gorzały płomienie ognisk, płomienie nadziei, nadziei na odpoczynek

i pożywienie. Niestety, nie dla nas rozpalono te ogniska. Były to ogniska konwojentów. Mnóstwo ognisk w czterdziesto- czy pięćdziesięciostopniowym mrozie. Na długości trzydziestu wiorst wiły się światła ognisk. A gdzieś tam, na dole, w śnieżnych jamach, stali ludzie z łopatami w rękach i odśnieżali drogę. Śnieżne ściany wąskich wykopów wznosiły się na pięć metrów w górę. Śnieg odrzucano do góry na raty, przerzucając go po dwa, trzy razy. Kiedy wszyscy ludzie zostali rozstawieni i otoczeni konwojem – wijącą się linią ognisk – robociarzy pozostawiono samych sobie.

Te dwa tysiące ludzi mogły nie pracować, mogły pracować albo źle, albo z pełnym samozaparciem – nikogo to nie interesowało. Przełęcz powinna zostać oczyszczona i dopóki się to nie stanie, nikt stąd nie odejdzie. Przez wiele godzin staliśmy w tej śniegowej jamie, machając łopatami, aby nie zamarznąć. Owej nocy pojąłem coś strasznego, spostrzegłem coś, co wiele razy potem się potwierdziło. Trudna, okropnie trudna jest dziesiąta, jedenasta godzina takiej „dodatkowej” pracy, lecz później nie zauważasz już mijającego czasu, opanowuje cię Wielka Obojętność. Godziny płyną w takt minut, jeszcze szybciej niż minuty.

Powróciliśmy do domu po dwudziestoczterogodzinnej pracy – jeść zupełnie się nie chciało i wszyscy żuli skomasowany dobowy posiłek niezwykle wolno. Z trudem udało się zasnąć.

Trzy śmiercionośne wichry skrzyżowały swe drogi i biły w ściany ośnieżonych wykopów wyrobisk złota na Kołymie zimą trzydziestego siódmego – trzydziestego ósmego roku. Pierwszy to „sprawa Bierzina”. Odkrywcę łagrowej Kołymy, naczelnika Dalstroju Edwarda Bierzina, rozstrzelano pod koniec trzydziestego siódmego roku jako japońskiego szpiega. Został wezwany do Moskwy i rozstrzelany. Wraz z nim zginęli jego najbliżsi współpracownicy: Filipow, Majsuradze, Jegorow, Waśkow, Ćwirko – cała gwardia „wiszerców”, która przyjechała razem z Bierzinem w 1932 roku w celu kolonizacji Kraju Kołymskiego. Iwan Gawriłowicz Filipow był naczelnikiem USWITŁ – Zarządu Północno-Wschodnich Poprawczych Obozów Pracy, zastępcą Bierzina do spraw łagrowych. Stary czekista, członek kolegium OGPU, należał kiedyś Filipow do „rozładowującej trójki”, która przyjechała na Wyspy Sołowieckie. Istnieje film dokumentalny z lat dwudziestych – *Sołówki*. W tym właśnie filmie znalazł się Iwan Gawriłowicz w swojej ówczesnej roli. Filipow umarł w więzieniu magadańskim – serce nie wytrzymało w „Domu Waśkowa”.

„Dom Waśkowa” – tak nazywało się i nazywa po dzień dzisiejszy więzienie w Magadanie, zbudowane na początku lat trzydziestych. Później przebudowane z drewnianego na murowane, zachowało swoją znaczącą nazwę, pochodzącą od nazwiska naczelnika. Sam Waśkow nie umarł w tym więzieniu, rozstrzelano go w Moskwie. Na Wiszerze Waśkow, człowiek samotny, spędzał dni wolne od pracy zawsze jednakowo: siadywał na ławeczce w ogródku czy też w lasku, który zastępował mu ogród, i cały dzień strzelał do liści z małokalibrowego karabinka.

Aleksiej Jegorow – „Ryży Loszka”, jak go nazywano na Wiszerze, był na Kołymie naczelnikiem zgrupowania przemysłowego, w którego skład wchodziło kilka kopalń złota, chyba z Zarządu Południowego.

Ćwirko był naczelnikiem Zarządu Północnego, do którego właśnie należała kopalnia „Partyzant”. W 1929 roku Ćwirko był dowódcą granicznej strażnicy i przyjechał na urlop do Moskwy. Tutaj, po pijatyce w restauracji, Ćwirko rozpoczął strzelaninę do rydwanu Apollina nad wejściem do Teatru Wielkiego i ocknął się w więziennej celi. Z munduru zdarto mu naramienniki i wypruto guziki. W składzie aresztanckiego etapu przybył Ćwirko w 1929 roku na Wiszerę i odbywał tam należną karę. Z chwilą przyjazdu na Wiszerę Bierzina kariera Ćwirki szybko posunęła się naprzód. Jeszcze będąc więźniem, Ćwirko został naczelnikiem delegatury „Parma”. Bierzin nie widział poza nim świata i wziął go na Kołymę. Rozstrzelano go, jak mówią, w Magadanie.

Majsuradze – naczelnik URO, który odsiedział niegdyś wyrok za „rozpalanie nacjonalistycznych waśni” i zwolnił się jeszcze na Wiszerze – był także jednym z ulubieńców Bierzina. Aresztowano go w Moskwie w czasie urlopu i wtedy także rozstrzelano.

Wszyscy ci nieżyjący to ludzie z najbliższego otoczenia Bierzina. W związku z jego sprawą aresztowano, rozstrzelano lub obdarowano wyrokami wiele, wiele tysięcy ludzi – wolnych i więźniów, naczelników kopalń i naczelników zespołów łagrowych, oddzielnych łagrów, łagrowych wychowawców i sekretarzy komitetów partyjnych, dziesiętników i kierowników robót, starostów i brygadzistów. Ilu ludzi rozstrzelano w sprawie Bierzina na Kołymie? Ile tysięcy lat zawierały wyroki łagru i więzienia? Kto to wie?… W duszącym dymie prowokacji kołymskie wydanie sensacyjnych procesów moskiewskich wyglądało całkiem godnie.

Drugim wichrem, który wstrząsnął kołymską ziemią, były niekończące się rozstrzały, tzw. „garaninszczyzny”. Rozprawa z „wrogami ludu”, roz-

prawa z „trockistami”.

Przez wiele miesięcy, dniem i nocą, w czasie porannych i wieczornych apeli czytano niezliczone rozkazy rozstrzału. Przy pięćdziesięciostopniowym mrozie łagrowi muzycy – wywodzący się z niepolitycznych – grali tusz przed i po odczytaniu każdego rozkazu. Dymiące benzynowe pochodnie rozświetlały ciemności, przyciągając setki oczu do oszronionych kartek cienkiego papieru, na których były wydrukowane takie straszne słowa. A jednocześnie – mówiono jakby nie o nas. Wszystko to jawiło się jakieś obce, zbyt straszliwe, aby było rzeczywistością. Ale tusz grzmiał rzeczywiście. Muzycy odmrażali wargi przywarte do ustników fletów, srebrzystych helikonów, kornetów. Papierosowa bibułka porastała szronem i jakiś czytający rozkaz naczelnik strzepywał rękawicą śnieżynki z kartki, aby móc odcyfrować i wykrzyknąć kolejne nazwisko rozstrzelanego. Każda lista kończyła się jednakowo: „Wyrok wykonano. Naczelnik USWITŁ, pułkownik Garanin”.

Widziałem Garanina z pięćdziesiąt razy. Czterdziestopięcioletni, barczysty, z brzuchem, łysawy, o ciemnych, żywych oczach, rozjeżdżał się dniem i nocą po wszystkich północnych kopalniach swoim czarnym samochodem ZIS-110. Mówiono o nim, że osobiście rozstrzeliwał ludzi. Nie, nikogo „osobiście” nie rozstrzelał. On jedynie podpisywał rozkazy. Garanin przewodniczył „rozstrzeliwującej trójce”. Rozkazy odczytywano i w dzień, i w nocy: „Wyrok wykonano. Naczelnik USWITŁ, pułkownik Garanin”. Zgodnie ze stalinowską tradycją tych lat, Garanin powinien był szybko umrzeć. Rzeczywiście, pochwycono go, aresztowano i rozstrzelano w Magadanie. Osądzono go jako japońskiego szpiega. Lecz ani jeden z owych licznych wyroków w garaninowskich czasach nie został nigdy przez nikogo odwołany. Garanin – jeden z wielu stalinowskich katów – zabity został przez drugiego w odpowiednim czasie. Aby wyjaśnić jego aresztowanie i śmierć, puszczono w świat „maskującą” plotkę. Garanin miał być zabity przez japońskiego szpiega w drodze do miejsca pracy, a ujawniła to siostra Garanina, która przyjechała do brata w gościnę. Legenda – jedna z wielu setek tysięcy bajek, które stalinowskie czasy wtłaczały w uszy i mózgi mieszkańców.

Za co rozstrzeliwał pułkownik Garanin? Za co zabijał?

„Za agitację kontrrewolucyjną” – tak zwał się jeden z akapitów garaninowskich rozkazów… Co oznaczała w 1937 roku na wolności „agitacja kontrrewolucyjna” – nie trzeba tłumaczyć. Wychwalał zagraniczną rosyjską

powieść – dziesięć lat „asa” [1]. Powiedział, że kolejki po płynne mydło są zbyt długie – pięć lat „asa”.

I zgodnie z rosyjskim obyczajem, zgodnie z rosyjskim charakterem, każdy, kto dostał pięć lat, cieszy się, że to nie dziesiątka. Dostanie dziesięć i cieszy się, że nie dwadzieścia pięć. Dostanie dwadzieścia pięć – tańczy z radości, że go nie rozstrzelano.

Tej drabiny – pięć, dziesięć, piętnaście… – nie ma w łagrze. Powiedzieć głośno, że robota ciężka – wystarcza dla rozstrzału. Za najbardziej niewinną uwagę pod adresem Stalina – rozstrzał. Nie odezwać się, gdy Stalinowi krzyczą „hurra!” – także rozstrzał. Że milczenie to agitacja – o tym wiedziano od dawna. Spisy tych, którzy mieli jutro umrzeć, sporządzane były w każdej kopalni przez śledczych na podstawie donosów, informacji własnych donosicieli-stukaczy oraz licznych ochotników, członków orkiestry znanego łagrowego oktetu: siedmiu dmie [2], jeden stuka – wedle aforystycznej pogaduszki błatniackiego świata. A rzeczywistej „sprawy” w ogóle nie było. I śledztwa też nie prowadzono; śmierć była skutkiem protokołów „trójki”, owej ponurej instytucji stalinowskich lat.

I chociaż nie znano wtedy jeszcze kart perforowanych, łagrowi statystycy starali się ułatwić sobie pracę, wypuszczając w świat formularze opatrzone specjalnymi znakami. Formularze posiadające ciemnoniebieski pasek po przekątnej to „akta personalne” trockistów. Zielone (czy też liliowe?) paski oznaczały recydywistów – oczywiście recydywistów politycznych. Ewidencja jest ewidencją. Nie da się zabarwić każdego formularza własną krwią.

Za co jeszcze rozstrzeliwano? „Za zniewagę łagrowej straży”. Cóż to takiego? W tym przypadku chodziło o zniewagę słowną, niedostatecznie uprzejmą odpowiedź, o jakiekolwiek „gadanie” – w odpowiedzi na kuksańce, uderzenia, bicie. Każdy zbyt swobodny gest więźnia w czasie rozmowy z konwojentem traktowany był jako „napaść na konwój”.

„Za odmowę pracy”. Bardzo wielu ludzi zginęło, nie zrozumiawszy do końca, jak śmiertelnie niebezpieczne było ich postępowanie. Bezsilni starcy, głodni, wymęczeni ludzie nie byli w stanie zrobić kroku poza wrota w czasie porannego rozprowadzania do pracy. Odmowę protokołowano za pomocą odpowiednio sporządzonego aktu. Takie formularze odbijano na specjalnych urządzeniach do drukowania, przy użyciu szklanych płyt. A w zamożnych łagrach zamawiano nawet w drukarniach odpowiednie blankiety, gdzie wystarczało tylko wstawić nazwisko, imię, rok urodzenia,

paragraf, termin… Trzy odmowy – i rozstrzał. Zgodnie z prawem. Wielu ludzi nie mogło pojąć zasadniczego prawa łagru – przecież po to właśnie wymyślono łagry – że nie wolno tu odmawiać pracy, że taka odmowa traktowana jest jako najstraszniejsze przestępstwo, znacznie gorsze niż jakikolwiek sabotaż. Choćby ostatkiem sił, ale koniecznie należy dopełznąć do miejsca pracy. Dziesiętnik pokwituje „jednostkę”, „roboczą jednostkę”, i praca zostanie „zaznaczona”. To cię uratuje. Na dzisiaj jesteś uratowany od rozstrzału. A w pracy wcale nie musisz się trudzić, zresztą i tak nie potrafisz pracować. Wytrzymaj do końca mękę tego dnia. W pracy zdziałasz bardzo niewiele, ale nie jesteś tym, co pracy odmawia. Nie mogą cię rozstrzelać. W tym przypadku naczalstwo, jak to się mówi, nie ma żadnych „praw”. Czy istnieje takie „prawo” – nie wiem, ale przez wiele lat walczyłem sam ze sobą, aby nie zdecydować się na odmowę pracy u wrót zony w czasie wyprowadzania z łagru.

„Za kradzież kruszcu”. Każdego, u kogo znaleziono „kruszec”, rozstrzeliwano. Później darowywano życie, dokładano jednak pięć, dziesięć lat wyroku. Przez moje ręce przeszło wiele samorodków. Kopalnia „Partyzant” obfitowała w samorodki, ale żadnego innego uczucia oprócz głębokiego wstrętu złoto we mnie nie wywoływało. Samorodki trzeba umieć widzieć, nauczyć się je odróżniać od kamieni. Doświadczeni robociarze szkolili nowicjuszy w tej ważnej umiejętności, aby nie rzucali złota do taczki, aby nadzorca nie krzyczał od rzeszota: „Hej, gapy! Znowu wepchnęliście samorodki do przemywania”. Za samorodki płacono więźniom premie – po rublu za jeden gram powyżej pięćdziesięciu jeden gramów. Na wyrobisku nie ma wagi. Tylko nadzorca mógł zdecydować, czy znaleziony przez ciebie samorodek waży czterdzieści, czy sześćdziesiąt gramów. Poza brygadzistą nie zwracaliśmy się do nikogo. Znajdowałem wiele „zabrakowanych” samorodków, ale do wypłaty przedstawiono mnie jedynie dwa razy. Jeden samorodek ważył sześćdziesiąt, drugi osiemdziesiąt gramów. Żadne pieniądze nie trafiły do moich rąk. Otrzymałem tylko na jedną dekadę „stachanowską” kartkę i po szczypcie machorki od dziesiętnika oraz brygadzisty. I na tym się skończyło.

Ostatnia, najbardziej obsadzona „rubryka”, na podstawie której rozstrzelano mnóstwo ludzi, to „niewykonanie normy”. Za owo przestępstwo łagrowe rozstrzeliwano całymi brygadami. Przywiedziona została nawet teoretyczna podstawa. W całym kraju „przekazywano” państwowy plan do „każdego warsztatu pracy”, do każdej fabryki i zakładu przemysłowego. Na

aresztanckiej Kołymie przekazywano plan do przodka, do taczki, do kilofa. Państwowy plan to najwyższe prawo! Niewykonanie państwowego planu to przestępstwo kontrrewolucji. Tych, co nie wypełnili normy – na księżyc!

Trzecim śmiertelnym wichrem, który porywał więcej aresztanckich istnień niźli dwa pierwsze, była powszechna śmiertelność – z głodu, bicia, z powodu chorób. Ogromną rolę odegrali tutaj błatniacy, kryminaliści, „przyjaciele ludu".

W ciągu całego 1937 roku w kopalni „Partyzant", liczącej dwa do trzech tysięcy ludzi, zmarło dwóch: jeden wolny, a drugi – więzień. Pochowano ich obok siebie pod sopką. Na obydwu mogiłach postawiono coś na kształt obelisków: wolnemu nieco wyższy, więźniowi – niższy. W 1938 roku wystawiono całą brygadę do kopania mogił. Kamień i wieczna zmarzlina nie chcą przyjmować martwych. Trzeba wiercić, wysadzać, wyrzucać skalisty grunt. Metody pracy przy kopaniu mogił i przy ryciu wykopów zwiadu geologicznego są bardzo do siebie podobne, zarówno pod względem materiału, narzędzi, jak i ,,wykonawców". Cała brygada zajmowała się jedynie kopaniem grobów, ale tylko wspólnych, „bratnich", w których spoczywali bezimienni martwi. Zresztą, nie tak zupełnie bezimienni. Według instrukcji, przed „pogrzebaniem" dyspozytor, jako przedstawiciel władzy w łagrze, przywiązywał do lewej goleni nieboszczyka zrobioną z dykty tabliczkę z numerem „akt personalnych". Zakopywano wszystkich nago – jakże by inaczej! Wyłamane, znów zgodnie z instrukcją, złote zęby wpisywano do specjalnego formularza pochówkowego. Napełnioną trupami jamę przywalano kamieniami, ale ziemia nie przyjmowała martwych – sądzone im było trwać w wiecznej zmarzlinie dalekiej Północy.

Lekarze bali się wypisywać w diagnozach prawdziwe przyczyny śmierci. Pojawiały się „poliawitaminozy", „pelagra", „dyzenteria", „OFW" – prawie *Zagadka NFW*, jak u Andronikowa. W tym jednak przypadku OFW to „ostre fizyczne wyczerpanie", krok w kierunku prawdy. Ale takie diagnozy stawiali jedynie śmiali lekarze, niebędący więźniami. Formułę „dystrofia alimentarna" wypowiedzieli kołymscy lekarze znacznie później, już po blokadzie leningradzkiej, w czasie wojny, kiedy uznali za dopuszczalne nazwanie, choćby tylko po łacinie, prawdziwej przyczyny śmierci.

Dogasanie płomienia świecy marnej,
Wszystkie oznaki, suche wyliczenia
Tego, co dystrofią alimentarną
Zwą, ci uczeni mędrcy od leczenia,
I tego, co nie zwie się uczenie
Łaciną – to zwykle wygłodzenie.

Niejeden raz powtarzałem ten wiersz Wiery Inber. Od dawna nie było już blisko mnie tych ludzi, co lubili wiersze. Ale dla każdego kołymianina miały one swój wydźwięk.

Więźniów bili wszyscy: dyżurny, fryzjer, brygadzista, wychowawca, nadzorca, konwojent, starosta, kierownik gospodarczy, dyspozytor – każdy. Bezkarność bicia, jak i bezkarność zabójstw, demoralizowała, deprawowała ludzkie dusze, wszystkich, i tych, co to czynili, i tych, co widzieli, wiedzieli…

Zgodnie z pomysłem jakiegoś wyższego naczalstwa, konwojenci odpowiadali w owych czasach za wykonanie planu. Dlatego postępowali jeszcze gorzej: zwalali ten ważny obowiązek na błatniaków, których zawsze włączali w skład brygady paragrafu pięćdziesiątego ósmego. Błatniacy nie pracowali. Oni zabezpieczali wykonanie planu, chodzili po wykopie z pałką – nazywano ją „termometrem” – i tłukli potulnych „frajerów”. Potrafili zatłuc na śmierć. Brygadziści z paragrafu pięćdziesiątego ósmego, zasmakowawszy władzy, poczęli bić własnych kolegów, starając się wszystkimi sposobami pokazać naczalstwu, że trzymają z nimi, a nie z aresztantami. Brygadziści owi starali się zapomnieć, że są również politycznymi. A przecież nigdy nimi nie byli, jak zresztą wszyscy z ówczesnego paragrafu pięćdziesiątego ósmego.

Bezkarna rozprawa z milionami ludzi dlatego właśnie się udała, że byli to ludzie niewinni.

Byli to męczennicy, a nie bohaterowie.

1. „Asa” – antysowiecka agitacja. [wróć]
2. Dmie – donosi; to samo oznacza „stuka”. [wróć]

CHARAKTER PISMA

Późną nocą wywołano Krista za „konbazę”. Tak nazywano w łagrze przytulony do sopki domek na skraju osady. Mieszkał tam śledczy od „specjalnie ważnych spraw”, jak żartowano w łagrze, bo w łagrze nie bywało „spraw”, które by nie były specjalnie ważne – każde przewinienie, a nawet pozór przewinienia mogły być karane śmiercią. Albo śmierć, albo pełne uniewinnienie. Zresztą, kto mógł powiedzieć o swoim pełnym uniewinnieniu?

Gotów na wszystko, obojętny na wszystko szedł Krist po dobrze wydeptanej wąskiej ścieżynce, wiodącej za „konbazę”. Oto w domku-kuchni zapaliło się światło – pewnie „chleborez” zacznie zaraz krajać „pajki” na śniadanie. Na jutrzejsze śniadanie. Czy będzie jutrzejsze śniadanie i jutrzejszy dzień dla Krista? Tego nie wiedział i cieszył się, że nie wie. Pod nogi Krista trafiło coś, co nie było podobne ani do śniegu, ani do kawałka lodu. Krist pochylił się, podjął obmarzniętą skorupkę i od razu poczuł, że jest to obierek, oblodzona skórka rzepy. Lód zdążył już roztajać w rękach i Krist wepchnął skórkę do ust. To jasne, że nie trzeba się spieszyć. Krist ominął całą ścieżkę, poczynając od skraju baraków, i pojął, że on, Krist, przechodzi jako pierwszy po tej długiej śnieżnej drodze, że dziś jeszcze nikt przed nim tędy nie przechodził – brzegiem osady, w drodze do śledczego. Wzdłuż całej ścieżki leżały przymarznięte do śniegu, jakby owinięte w celofan, kawałki rzepy. Krist znalazł ich całe dziesięć kawałków – jednych większych, innych mniejszych. Dawno już Krist nie widział ludzi, którzy rzucaliby w śnieg skórki rzepy. To nie był więzień, to oczywiście wolny. Możliwe, że to sam śledczy. Krist poprzeżuwał i zjadł wszystkie te skórki, w ustach zapachniało czymś dawno zapomnianym – rodzinną ziemią, żywymi warzywami – i w radosnym nastroju Krist zastukał do drzwi domku śledczego.

Śledczy był niewielkiego wzrostu, chudawy i nieogolony. Tutaj był jego służbowy gabinet, z żelaznym łóżkiem pokrytym wojskowym kocem i zmiętą, brudną poduszką… Za stół służyło własnej roboty biurko z prze-

krzywionymi, wysuwanymi szufladami, ciasno wypchanymi papierami i jakimiś teczkami. Na parapecie skrzynka z kartkami. Etażerka też zawalona ciasno nabitymi teczkami. Popielniczka zrobiona z połowy puszki po konserwach. Na oknie budzik. Zegar wskazywał pół do jedenastej. Śledczy rozpalał papierami w żelaznym piecyku. Miał białą cerę i był, jak wszyscy śledczy, blady. Nie miał ani sprzątającego, ani rewolweru.

– Niech pan siada, Krist – powiedział, zwracając się do więźnia *per* „pan", i przysunął mu stary taboret. Sam siedział na krześle, własnej roboty krześle z wysokim oparciem. – Przejrzałem pana sprawę – powiedział śledczy – i mam dla pana jedną propozycję. Nie wiem, czy będzie panu odpowiadała.

Krist zamarł w oczekiwaniu. Śledczy milczał przez chwilę.

– Powinienem coś niecoś wiedzieć o panu.

Krist podniósł głowę i w żaden sposób nie mógł się powstrzymać od beknięcia. Przyjemnie mu się odbiło niedającym się stłumić smakiem rzepy.

– Proszę napisać podanie.

– Podanie?

– Tak, podanie. Tu jest kartka papieru, a tu pióro.

– Podanie? Ale w jakiej sprawie? Do kogo?

– Do kogokolwiek. No, jeśli nie podanie, to wiersz Błoka. Wszystko jedno! Zrozumiał pan? Albo Puszkinowskiego *Ptaszka*:

Wczoraj otwarłem ja ciemnicę
Mojego więźnia z niebios dróg.
Zwróciłem gajom niewolnicę,
Ptaka, by znów w nich śpiewać mógł.

– zadeklamował śledczy.

– To nie jest Puszkinowski *Ptaszek* – wyszeptał Krist, wysilając resztki swojego wyschniętego mózgu.

– A czyjże?

– Tumańskiego.

– Tumańskiego? Pierwszy raz słyszę.

– Aha, panu potrzebna jest jakaś ekspertyza? Czyżbym kogoś zabił? Albo napisał list? A może podrobiłem dla błatniaków kartkę do sklepu?

– Wcale nie. Tego rodzaju ekspertyzy nas nie zajmują. – Śledczy uśmiechnął się, obnażając drobne zęby i opuchnięte, krwawiące dziąsła.

Jakikolwiek by był ten uśmiech, który na chwilę błysnął, przydał jednak trochę światła tej izbie. I duszy Krista także. Mimo woli spojrzał śledczemu w usta.

– Tak – powiedział śledczy, złowiwszy jego wzrok. – Szkorbut, szkorbut. Tutaj szkorbut nawet wolnych nie omija. Brak świeżych warzyw.

Krist pomyślał o rzepie. Witaminy. Większość ich, zawartych w skórce rzepy, a nie w miąższu, trafiło się Kristowi, nie śledczemu. Krist chciał podtrzymać tę rozmowę, opowiedzieć o tym, jak obgryzał, wysysał skórki rzepy porzucone przez śledczego, ale nie zdecydował się na to, obawiając się posądzenia o nadmierną poufałość.

– No, to zrozumiał pan czy nie? Muszę zobaczyć pański charakter pisma.

Krist w dalszym ciągu niczego nie rozumiał.

– Proszę pisać. – Śledczy zaczął dyktować: – „Do naczelnika kopalni. Od więźnia Krista, rok urodzenia, paragraf, wyrok. Podanie. Proszę o przeniesienie mnie do lżejszej pracy”… Wystarczy.

Śledczy wziął niedokończone podanie Krista, podarł i rzucił w ogień. Światło z piecyka rozjarzyło się na moment.

– Proszę usiąść przy stole. Z samego brzegu.

Krist posiadał piękny, kaligraficzny charakter pisma, który jemu samemu się podobał, choć wszyscy jego koledzy podśmiewali się, że niepodobny jest do profesorskiego czy doktorskiego. To nie jest pismo uczonego, pisarza, poety. To pismo magazyniera. Śmiali się – Krist mógłby zrobić karierę jako pisarz carski, o którym opowiadał Kuprin. Ale te kpiny nie zbijały Krista z tropu i w dalszym ciągu przekazywał do przepisania na maszynie swoje czytelne rękopisy. Maszynistki chwaliły, ale po cichu podśmiewały się z niego.

Palce, przyzwyczajone do kilofa i trzonka łopaty, w żaden sposób nie mogły uchwycić rączki pióra, ale w końcu się udało.

– Bałagan u mnie, chaos – mówił śledczy. – Ja sam to rozumiem. Ale przecież pomoże mi pan zaprowadzić porządek.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Krist. Piecyk już się rozpalił i w izbie zrobiło się ciepło. – Zapaliłbym…

– Nie palę! – szorstko odburknął śledczy. – I chleba także nie mam. Nie pójdzie pan jutro do pracy. Powiem dyspozytorowi.

I tak, raz w tygodniu, w ciągu kilku miesięcy Krist przychodził do nieogrzanego, nieprzytulnego mieszkania śledczego przepisywać i zszywać

papiery.

Bezśnieżna zima trzydziestego ósmego roku wtargnęła już do baraków swoimi śmiercionośnymi wiatrami. Każdej nocy biegali po barakach dyspozytorzy, wyszukując i budząc ludzi według jakichś spisów na „etap”. Przedtem już nie powracali z etapów, a tutaj przestali rozmyślać o tych nocnych sprawach – etap to etap – praca była zbyt ciężka, żeby jeszcze o czymkolwiek dumać.

Przybyło godzin pracy, pojawił się konwój, ale mijał kolejny tydzień i Krist, ledwie żywy, docierał do znajomego gabinetu śledczego i podszywał, podszywał papierzyska. Przestał się myć i golić, ale śledczy jakby nie dostrzegał zapadniętych policzków i rozgorączkowanego wzroku Krista. A Krist wciąż pisał, wciąż podszywał. Ilość papierów i teczek wciąż rosła i rosła, i w żaden sposób nie udawało się ich doprowadzić do porządku. Krist przepisywał jakieś niekończące się listy, gdzie figurowały jedynie nazwiska, a wierzch listy był zagięty. Krist nigdy nie próbował przeniknąć tajemnic tego gabinetu, choć wystarczyło jedynie odgiąć leżącą przed nim kartkę. Czasem śledczy brał w ręce paczkę „spraw”, które pojawiały się nie wiadomo skąd, bez wiedzy Krista, i pospiesznie dyktował spisy, a Krist pisał.

Dyktowanie kończyło się o dwunastej. Krist wracał do swojego baraku i spał, spał – jutrzejsza praca mogła go nie obchodzić. Mijał tydzień za tygodniem, a on wciąż chudł i wciąż pisał.

Aż kiedyś śledczy, wziąwszy kolejną paczkę, aby odczytać kolejne nazwisko, nagle się zaciął. Spojrzał na Krista i spytał:

– Jak pan ma na imię i po ojcu?

– Robert Iwanowicz – odpowiedział Krist, uśmiechając się. Czyżby śledczy chciał zwracać się do niego „Robercie Iwanowiczu” zamiast „Krist” albo *per* „pan”? Nie zdziwiłoby go to. Śledczy był młody, mógł być synem Krista.

Trzymając wciąż teczkę w ręce, śledczy pobladł. I dalej bladł, dopóki nie stał się biały jak śnieg. Zręcznymi palcami przekartkował papierki tworzące teczkę – było ich ani więcej, ani mniej niż w każdej z teczek leżących stosami na podłodze. Następnie zdecydowanym ruchem otworzył drzwiczki piecyka i nagle w izbie zrobiło się jasno, jak gdyby dusza rozjaśniła się do końca, gdzie znalazło się coś bardzo ważnego, ludzkiego. Śledczy porwał teczkę na kawałki i wepchnął do piecyka. Zrobiło się jeszcze jaśniej. Krist niczego nie rozumiał. A śledczy powiedział, nie patrząc na Krista: „Sza-

blon. Nie zdają sobie sprawy, co robią. Ich to nie interesuje”. I spojrzał twardo na Krista.

– Piszemy dalej. Jest pan gotów?

– Gotów – odpowiedział Krist.

I dopiero w wiele lat później pojął, że to była jego, Krista, teczka.

Rozstrzelano już wielu towarzyszy Krista. Rozstrzelano także śledczego. A Krist wciąż jeszcze żył i czasem, co kilka lat, wspominał gorejącą teczkę, zdecydowane palce śledczego, które rwały „sprawę” Krista – dar skazującego dla skazańca.

Kaligraficzny charakter pisma Krista był charakterem zbawczym.

KACZKA

Górski potok ścięty był już lodem, choć na płyciznach nie było go zupełnie. Wymarzanie potoku zaczynało się z płycizn i w ciągu miesiąca nic nie pozostawało po grzmiącej latem groźnej wodzie. Nawet lód został wydeptany, rozdrobniony, porozgniatany kopytami, kołami samochodów, walonkami. Ale potok jeszcze żył, woda w nim oddychała – nad niezamarzniętymi miejscami unosiła się biała para.

W wodę chlupnęła, utraciwszy siły, kaczka-nurek. Stado już dawno odleciało na południe, kaczka pozostała. Było jeszcze jasno tą osobliwą jasnością śniegu pokrywającego cały nagi las i wszystko aż po horyzont. Kaczka chciała odpocząć, trochę odpocząć, a potem unieść się i polecieć – tamże, w ślad za stadem. Nie miała siły lecieć dalej. Stupudowy ciężar skrzydeł przygniatał ją do ziemi, ale na wodzie znalazła oparcie, ratunek. Woda w miejscach niepokrytych lodem wydawała się jej żywą rzeką.

Nie zdążyła się jednak kaczka rozejrzeć, gdy jej ostry słuch wyłowił odgłos niebezpieczeństwa. A nie był to zwykły dźwięk, lecz łoskot. Z wierzchołka ośnieżonej góry, osuwając się na zamarzniętych już i jeszcze bardziej pod wieczór sztywniejących kępkach, zbiegał człowiek. On już dawno zobaczył kaczkę. Śledził ją z tajoną nadzieją i oto nadzieja się spełniła – kaczka opadła na lód.

Człowiek zaczął się do niej podkradać, ale się potknął. Kaczka go spostrzegła i wtedy człowiek począł biec, nie kryjąc się już, ale kaczka nie potrafiła ulecieć – zbytnio była zmęczona. Powinna była tylko wzlecieć, a nic by jej nie zagrażało. Lecz by ulecieć ku niebu, potrzeba siły w skrzydłach, kaczka zaś była zmęczona. Udało jej się tylko zanurkować. Znikła w wodzie i człowiek uzbrojony w jakąś sękatą gałąź zatrzymał się przed miejscem, gdzie kaczka zanurkowała; czekał, aż się wynurzy – przecież kaczka musi oddychać. Dwadzieścia metrów dalej było takie samo wolne od lodu miejsce i człowiek, klnąc, spostrzegł, że kaczka przepłynęła pod lodem i wynurzyła się. Ale i stamtąd nie potrafiła ulecieć, wykorzystując sekundy na odpoczynek.

Człowiek popróbował przełamać, zgnieść lód, ale zrobione ze szmat obuwie nie nadawało się do tego celu. Walił więc kijem w granatowy lód, lód trochę się kruszył, ale nie pękał. Człowiek wreszcie opadł z sił i ciężko dysząc, usiadł na lodzie.

Kaczka pływała dalej w wolnym od lodu miejscu. Człowiek podniósł się i podbiegł, klnąc i ciskając w kaczkę kamieniami. Kaczka znów zanurkowała i pojawiła się tam, gdzie była pierwszym razem. I tak uganiali się człowiek i kaczka, dopóki się nie ściemniło.

Po nieudanym polowaniu czas było wracać do baraku. Człowiek żałował, że zużył tyle sił na gonitwę. Głód nie pozwalał obmyślić, ułożyć niezawodnego planu jak podejść kaczkę. Wywołana głodem niecierpliwość naprowadziła na niewłaściwy sposób postępowania. Kaczka pozostała na lodzie, tam gdzie była woda. Człowiek musiał powrócić do baraku. Łapał kaczkę nie po to, by ją gotować i zjeść. Aby ugotować mięso w blaszanym kociołku albo – jeszcze lepiej – zakopać w popiele ogniska. Oblepić kaczkę gliną i zanurzyć w gorącym liliowym popiele albo całkiem po prostu rzucić do ogniska. Ognisko się wypali i pęknie gliniana powłoka. Wewnątrz będzie gorący, śliski tłuszcz. Pocieknie po rękach, będzie zastygać na wargach.

Nie, nie po to człowiek łapał kaczkę. W jego mózgu niejasno, mgliście powstawał inny plan. Odnieść kaczkę dziesiętnikowi w prezencie, a wtedy dziesiętnik wykreśli go ze złowrogiej listy, którą sporządzano w nocy. O tej liście wiedział cały barak i człowiek starał się nie myśleć o tym, co niemożliwe: „jak by wybawić się od etapu”, jak by tu pozostać. Tutejszy głód był jeszcze do zniesienia, a człowiek nigdy nie szukał czegoś lepszego od tego, co już uznał za dobre.

Ale kaczka pozostawała na tym wolnym od lodu miejscu. Trudno było człowiekowi samemu podjąć decyzję, jak postąpić, uczynić coś, czego nie nauczyło go codzienne życie. Nie uczono go, jak przemyśleć możliwości takiego polowania – mózg nie potrafił rozwiązywać nieoczekiwanych problemów, które stwarzało życie. Uczono go żyć bez potrzeby podejmowania własnych decyzji, gdy kieruje czyjaś wola. Nadzwyczaj trudno jest wówczas ingerować w swój los. Może tak lepiej – kaczka umiera w wodzie, człowiek w baraku.

Zmarznięte, podrapane przez lód palce z trudem rozgrzewały się wetknięte za pazuchę – człowiek wsunął tam obie dłonie, drżąc od ćmiącego bólu na zawsze już odmrożonych palców. W wygłodzonym ciele nie-

wiele było ciepła i człowiek, powróciwszy do baraku, przecisnął się do pieca, ale mimo wszystko nie potrafił się rozgrzać. Ciałem wstrząsały niedające się powstrzymać dreszcze. Przez drzwi baraku zajrzał dziesiętnik. On również widział kaczkę i obserwował umarlaka polującego na umierającą kaczkę. Dziesiętnikowi także nie chciało się odjeżdżać z tej osady – któż wie, co go czeka na nowym miejscu. Dziesiętnik liczył na to, że dzięki hojnemu prezentowi (żywa kaczka i „wolne" spodnie) pozyska sobie „proraba" – prowadzącego prace – który jeszcze spał. „Prorab" mógł wykreślić z listy nie owego robociarza, który schwytał kaczkę, ale jego – dziesiętnika.

„Prorab" rozgniatał papierosa, „rakietę", nawykłymi do tego palcami. On także widział przez okno polowanie. Jeżeli złapią kaczkę, to cieśla zrobi klatkę i „prorab" odniesie ptaka wysokiemu naczelnikowi, a raczej jego żonie Agnieszce Pietrownej.

Ale kaczka pozostała na lodzie, by tam umrzeć. I wszystko potoczyło się tak, jak gdyby kaczka w ogóle nie zaleciała w te strony.

BIZNESMEN

Rączkinów jest w szpitalu wielu. „Rączkin” to przezwisko określające charakterystyczną cechę: oznacza ono, że to ręka jest uszkodzona, a nie np. wybite zęby. Który Rączkin? Grek? Ten długi z siódmej sali? Tak, ten – Kola Rączkin, biznesmen.

Prawa kiść ręki Koli urwana została przez wybuch. Kola sam się okaleczył – postrzelił. W lekarskich sprawozdaniach umieszcza się takich jak on w rubryce, gdzie figurują samookaleczeni za pośrednictwem ran ciętych. Nie wolno ich kłaść w szpitalu, jeśli nie mają wysokiej, „septycznej” gorączki. Kola miał taką gorączkę. Przez dwa miesiące zmagał się z gojeniem rany, aż wreszcie młodość zrobiła swoje – Kola miał już niedługo pozostać w szpitalu. Pora było wracać do kopalni, lecz Kola się tego nie obawiał – cóż dla niego, jednorękiego, znaczą złote wyrobiska? Minęły już te czasy, kiedy zmuszano jednorękich do „przedeptywania drogi” dla ludzi i traktorów na leśnych wyrębach – przez cały roboczy dzień w głębokim, sypkim, kryształowym śniegu; naczalstwo walczyło jak umiało z umyślnymi postrzeleniami. Ale wtedy aresztanci zaczęli odstrzeliwać sobie nogi, wkładając zapalnik wprost do jednego z walonków i podpalając lont Bickforda przy samym kolanie. Jeszcze wygodniej.

Przestano więc posyłać jednorękich do „przedeptywania drogi”. A zmusić do przemywania złota za pomocą sita – jedną ręką? No, jeszcze latem można się przespacerować jeden dzień, jeżeli nie będzie deszczu. I Kola uśmiecha się, ukazując wszystkie śnieżnobiałe zęby – szkorbut nie zdążył ich jeszcze napocząć. Kola już się nauczył kręcić papierosa lewą ręką. Prawie syty, wypoczęty dzięki pobytowi w szpitalu, Kola uśmiecha się, uśmiecha. Jest biznesmenem – on, Kola Rączkin. Wciąż coś wymienia, niesie chorym na biegunkę zabronionego śledzia, a od nich przynosi chleb. Przecież oni też chcą zatrzymać się dłużej, zakotwiczyć w szpitalu. Kola wymienia zupę na kaszę, a kaszę na dwie zupy. Potrafi „przepołowić” powierzoną sobie do wymiany na tytoń porcję chleba. Zlecali mu to pacjenci leżący – opuchnięci szkorbutnicy, chorzy z ciężkimi złamaniami,

z sal przeznaczonych dla przypadków traumatycznych (lub „dramatycznych” – jak wymawiał to felczer Paweł Pawłowicz, nie podejrzewając w swoim przejęzyczeniu gorzkiej ironii).

Prawie syty, prawie w cieple. A wymyślania naczalstwa, pogróżki lekarzy – wszystko dla Koli drobiazgi. Bo też to są drobiazgi.

W ciągu tych dwóch błogosławionych miesięcy, kiedy Kola Rączkin przebywał w szpitalu, przydarzały mu się dziwne i straszne rzeczy. Oderwana przez wybuch ręka, nieistniejąca kiść, bolała jak przedtem. Kola czuł ją całą: zgięte palce ręki ułożone w tej samej pozycji, w której znieruchomiały na trzonku łopaty czy też na trzonku kilofa w kopalni, ni mniej, ni więcej. Taką ręką trudno trzymać łyżkę, ale w kopalni akurat łyżka nie była niezbędna – wszystko, co przeznaczone było do zjedzenia, dawało się wypić „przez burtę” miski: zupa i kasza, kisiel i herbata. Jedynie porcję chleba dawało się utrzymać w tych na zawsze już zgiętych palcach. Ale Rączkin odrąbał je, odstrzelił w diabły. Dlaczego więc odczuwa ich istnienie – tych po kopalnianemu zgiętych palców? Przecież lewa kiść już przed miesiącem zaczęła się rozginać, obracać jak zardzewiały zawias potraktowany odrobiną smaru, i Rączkin płakał wtedy z radości. On i teraz ją rozgina, położywszy się brzuchem na lewej dłoni. A prawa, urwana, nie rozgina się. Wszystko to przydarzało się w nocy. Ogarnięty zimnym strachem Rączkin budził się, płakał i nawet sąsiadów bał się spytać – bo jeżeli to ma jakieś znaczenie? Może mu się już miesza w głowie?

Z „kabiny” wyszedł felczer, Paweł Pawłowicz, trzymając w ręce niezapalonego papierosa, i usiadł obok Rączkina.

– Może ognia, Pawle Pawłowiczu? – Rączkin usłużnie zgina się przed felczerem. – Jedną chwileczkę!

Rzuca się Rączkin w kierunku pieca, otwiera drzwiczki, zgarnia lewą ręką na podłogę kilka drobnych, gorejących węgielków. Zręcznie podrzuciwszy jeden z nich, tlejący, łowi go dłonią i przetaczając go na niej, spieszy podać „ogień” felczerowi. Unosi poczerniały, ale zachowujący jeszcze resztkę płomienia, zaciekle go rozdmuchuje, aby nie zgasł, i podsuwa wprost felczerowi pod nos. Ten zaś, trzymając papierosa w ustach, z całą mocą wciąga powietrze i w końcu przypala. Nad głową felczera unoszą się pasma błękitnego dymu. Nozdrza Rączkina rozszerzają się. Zapach ten budzi chorych, którzy nadaremnie wciągają dym – właściwie nie dym, lecz biegnący przed nim jego cień.

I wszyscy wiedzą, że to Rączkinowi przypadnie w udziale dopalenie papierosa. Rączkin zaś kombinuje: sam zaciągnie się ze dwa razy, a potem zaniesie niedopałek na oddział chirurgiczny frajerowi z odbitym grzbietem. Tam na Rączkina czeka obiadowa porcja chleba – to nie byle co. Jeśli zaś Paweł Pawłowicz zostawi więcej, to z „byczka” powstanie drugi papieros, który będzie wart więcej niż jedna porcja chleba.

– Chyba już niedługo pojedziesz, Rączkin – wolno mówi Paweł Pawłowicz. – Pokantowałeś tutaj porządnie, przypuchłeś sumiennie, ale to nieważne… Powiedz, jak ty się odważyłeś? Może będzie co dzieciom opowiadać. Jeżeli jeszcze je ujrzę.

– Przecież ja się z tym nie kryję, Pawle Pawłowiczu – odpowiada Rączkin i kombinuje: słabo widać skręcił papierosa Paweł Pawłowicz. Patrzcie no, jak zrobi wdech, wciągnie powietrze, to ogień przesuwa się i papier się opala. Nie żarzy się felczerski papieros, lecz płonie jak lont Bickforda. Właśnie jak taki lont. Wynika z tego, że należy opowiadać jak najkrócej.

– No?

– Rano wstaję, pobieram chleb, chaps i za pazuchę. Dawano nam pajki na cały dzień. Idę do Miszki, strzałowego. „No jak?” – mówię. „Jest”. Oddaję mu całą swoją pajkę-osiemsetkę, a otrzymuję za nią zapalnik i lont. Idę do krajan, do swojego baraku. Po prawdzie to nie krajanie, ale tak się mówi. Fiedia i jakiś tam Pietro. „Gotowe?” – pytam. „Gotowe” – mówią. „No, to dawajcie”. Oddają mi swoje pajki. Biorę te dwie pajki za pazuchę i człapiemy do pracy. Tam, w czasie gdy brygada pobiera narzędzia, wyciągam z piecyka głownię i odchodzimy na nasyp. Ustawiliśmy się jak najciaśniej, trzymamy we trzech zapalnik – każdy swoją prawą ręką. Podpaliliśmy lont, ciach! – i palce odleciały. Brygadzista się drze: co wy dobrego robicie?! A naczelnik konwoju: marsz do łagru, do sanitariatu! Tam nas opatrzyli. A potem krajan gdzieś odesłali, a ja z temperaturą trafiłem do szpitala.

Paweł Pawłowicz prawie do końca wypalił skręta, ale Rączkin tak zajął się opowiadaniem, że omal nie zapomniał o papierosie.

– A pajeczki, te dwie pajeczki, co ci zostały, zjadłeś?

– A jakże! Od razu po opatrunku zjadłem. Moi krajanie przystawiali się do mnie: odłam kawałeczek. „Idźcie do diabła!” – mówię. „To mój handel”.

KALIGULA

Kartkę otrzymano w RUR-ze jeszcze przed syreną o zmierzchu. Komendant zapalił benzynówkę, przeczytał papierek i pospiesznie poszedł wydać rozporządzenie. Nie dziwił się niczemu.

– Czy on przypadkiem nie… tego? – spytał dyżurny nadzorca, wskazując na czoło.

Komendant spojrzał zimno na żołnierza i dyżurny przeraził się swojej lekkomyślności. Skierował wzrok na drogę.

– Prowadzą – powiedział – sam Ardatjew idzie.

We mgle widniały sylwetki dwu konwojentów z karabinami. Za nimi wozak prowadził za lejce szarego, wychudzonego konia. Z tyłu kroczył wprost po śniegu, obok drogi, masywny, wysoki człowiek. Biały półkożuszek z owczej skóry był rozpięty, a czapka-barnaułka zsunięta na tył głowy. W ręce trzymał kij i bezlitośnie walił nim po kościstych, brudnych, zapadniętych bokach konia. Koń wzdrygał się przy każdym uderzeniu i wlókł się dalej, nie mając sił przyspieszyć.

Przy budce wartowniczej konwojenci zatrzymali konia i do przodu wyszedł, chwiejąc się na nogach, Ardatjew. Dyszał jak zgoniony koń, owiewając wyprężonego jak struna komendanta zapachem spirytusu.

– Gotowe? – wychrypiał.

– Tak jest – odpowiedział komendant.

– Zabieraj go! – wrzasnął Ardatjew. – Bierz na utrzymanie. Ludzi karzę – to mam się nad koniem litować? Ja go zmuszę do pracy. Trzeci dzień już nic nie robi – mamrotał, szturchając komendanta kułakiem w pierś. – Chciałem posadzić wozaka. Przecież plan się wali. Pla-a-a-n… Wozak zaklina się: „To nie ja, to koń nie chce pracować”. Ja r-rozumiem – Ardatjewowi odbijało się – w-wierzę. Wziąłem lejce – nie idzie. Biję – nie idzie. Daję cukier – specjalnie wziąłem z domu – nie chce wziąć. Ach ty, myślę, gadzino, gdzież ja teraz podzieję twoje roboczodni? Tam ją – do wszystkich filonów-nierobów, do wszystkich wrogów ludzkości – do karceru! Na samą wodę! Trzy doby na pierwszy raz…

Ardatjew usiadł na śniegu i zdjął czapkę. Mokre, poskręcane włosy spełzały mu na oczy.

Próbując wstać, zachwiał się i nagle upadł na plecy.

Nadzorca i komendant wciągnęli go do dyżurki. Ardatjew spał.

– Odniesiemy do domu?

– Lepiej nie. Żona tego nie lubi.

– A co z koniem?

– Trzeba go zaprowadzić. Przebudzi się i dowie, żeśmy go nie zamknęli – pozabija. Wsadź go do czwórki. Razem z inteligencją.

Dwaj stróże, więźniowie, wnieśli do dyżurki drwa na noc i zaczęli je układać obok pieca.

– No i co pan powie, Piotrze Grigorjewiczu? – odezwał się jeden z nich, wskazując oczami na drzwi, za którymi chrapał Ardatjew.

– Powiem, że to nic nowego… Kaligula…

– Tak, tak jak u Dzierżawina – podchwycił drugi i wyprostowawszy się, zadeklamował z uczuciem:

Kaligulo, twój koń w senacie
Zabłysnąć nie mógł, cały w złocie,
Wspaniale błyszczą dobre sprawy…

Starzy zapalili i niebieski machorkowy dym popłynął po pokoju.

ARTYSTA ŁOPATY

W niedzielę, po pracy, Kristowi powiedziano, że przenoszą go w celu uzupełnienia do szybko topniejącej, złotej kopalnianej brygady Kostoczkina. Nowina była ważna. Czy to dobrze, czy źle – o tym nie warto było myśleć, bo nic się nie da zmienić. A o samym Kostoczkinie Krist wiele słyszał w tej pozbawionej jakichkolwiek wieści kopalni, w tych głuchych, niemych barakach. Krist, podobnie jak każdy inny więzień, nie wiedział, skąd pojawiają się w jego życiu nowi ludzie – jedni na krótko, inni na dłużej, ale za każdym razem ludzie ci znikali z jego życia, niczego o sobie nie powiedziawszy, odchodzili tak, jakby umierali, umierali – niby odchodząc. Naczelnicy, brygadziści, kucharze, magazynierzy, sąsiedzi z nar, bracia od taczki, towarzysze od kilofa…

Ten kalejdoskop, to przesuwanie się coraz to nowych twarzy, nie męczył Krista. Całkiem po prostu nie myślał o tym, życie nie pozostawiało czasu na takie rozmyślania. „Krist, nie denerwuj się, nie myśl o nowych naczelnikach. Ty jesteś jeden, a naczelników będziesz mieć jeszcze wielu”. Tak mawiał jakiś żartowniś i filozof – a kto to był, Krist zapomniał. Nie mógł sobie przypomnieć ani nazwiska, ani twarzy, ani głosu tego, co mu powiedział te żartobliwe, ale ważne zdania. Ważne właśnie dlatego, że żartobliwe. Któż ośmielał się żartować, uśmiechać, choćby najbardziej skrycie, potajemnie, ale jednak uśmiechać, na pewno uśmiechać? Tacy ludzie istnieli, ale Krist do nich nie należał.

Jakich brygadzistów miał Krist… Albo to byli swoi, z pięćdziesiątego ósmego, którzy brali się do zbyt poważnej sprawy i szybko byli usuwani, zostawali usunięci, zanim zdążyli zamienić się w morderców. Albo swoi (pięćdziesiąty ósmy) – choć frajerzy, to jednak kuci na cztery nogi, doświadczeni, umiejący nie tylko wydawać w pracy rozkazy, ale i ją organizować, będący przy tym w zgodzie z ustalającymi normy, biurem, wszelkiego rodzaju naczalstwem i potrafiący dać łapówkę. No i ci, swoi, nie chcieli nawet pomyśleć o tym, że najgorszym grzechem w łagrze jest przymuszanie do pracy, że tam gdzie się odbywa krwawa rozprawa, gdzie czło-

wiek jest poza prawem, branie na siebie odpowiedzialności za rozporządzanie cudzą wolą na życie lub śmierć – jest zbyt wielkim, śmiertelnym grzechem, którego się nie wybacza. Byli brygadziści umierający razem z brygadą. Byli i tacy, których ta straszna władza nad cudzym życiem natychmiast deprawowała i w rozmowach ze swoimi towarzyszami zaczęły im pomagać rączka łopaty i trzonek kilofa. I kiedy wspominali o tym, to powtarzali jak modlitwę ponure łagrowe powiedzenie: „Umrzyj ty dzisiaj, a ja jutro". Jednak bardzo często brygadzistami Krista wcale nie byli więźniowie skazani na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Najczęściej – a w te najbardziej straszne lata zawsze – brygadzistami Krista byli pospolici przestępcy, osądzeni za zabójstwa, za przestępstwa związane z pracą. Byli to normalni ludzie, tylko z powodu władzy, która znalazła się w ich rękach i silnego nacisku z góry w postaci potoku zbrodniczych instrukcji, postępowali w sposób, na który przedtem nigdy by się nie zdecydowali. Granica pomiędzy przestępstwem a „działaniem niepodlegającym karze" w „administracyjnych" paragrafach, a także w większości tych, które dotyczą przestępstw pospolitych, jest bardzo subtelna, czasami wprost nieuchwytna. Często dzisiaj sądzono za to, za co wczoraj by nie sądzono, nie mówiąc już o „środkach prewencyjnych" – o tej całej gamie odcieni pomiędzy wykroczeniem a przestępstwem.

Brygadziści, przestępcy pospolici, stawali się zwierzętami na rozkaz. Ale nie na rozkaz byli nimi brygadziści-błatniacy. Błatniak-brygadzista – to najgorsze, co się może brygadzie przytrafić. Kostoczkin nie był ani błatniakiem, ani pospolitym przestępcą. Był on jedynym synem ni to wielkiego partyjniaka, ni to wysokiego urzędnika na Kolei Wschodniochińskiej – KWŻD, którego pociągnięto do odpowiedzialności w sprawie tej właśnie kolei i uśmiercono. Jedynak, który uczył się w Charbinie i niczego oprócz Charbina nie znał, został, mając swoje dwadzieścia pięć lat, zasądzony jako „CzR" – „członek rodziny", jako „liternik" na… piętnaście lat. Wychowany za granicą, w Charbinie, gdzie tylko w powieściach czytano o niewinnie skazanych – głównie w przekładach – młody Kostoczkin w głębi swego umysłu nie znajdował pewności, że ojciec został niewinnie skazany. Ojciec wychował go w wierze w nieomylność NKWD. Kostoczkin zupełnie nie był przygotowany na to, aby mógł myśleć inaczej. I kiedy ojciec został aresztowany, kiedy został aresztowany on sam i wysłany z Bardzo Dalekiego Wschodu na Bardzo Daleką Północ – był zły przede wszystkim na ojca, który mu zniszczył życie swoim tajemniczym przestępstwem. Cóż on,

Kostoczkin, wie o życiu dorosłych. On, który zna cztery języki – dwa europejskie i dwa wschodnie, najlepszy tancerz w Charbinie, który się uczył najprzeróżniejszych bluesów i rumb u przyjeżdżających mistrzów, najlepszy bokser Charbina w wadze średniej, przechodzący do półciężkiej, uczący się prostych i podbródkowych od byłego championa Europy – co on wie o tej wielkiej polityce? Jeżeli rozstrzelali ojca – to musiało coś tam być. Możliwe, że NKWD pospieszyło się, może trzeba było dać dziesięć, piętnaście lat. A jemu, młodemu Kostoczkinowi – jeśli już trzeba było – pięć zamiast piętnastu.

Kostoczkin powtarzał cztery słowa – zmieniając ich kolejność – i za każdym razem wychodziło źle, niepokojąco. „Coś tam musiało być". „Coś tam być musiało".

Przez wywołanie nienawiści do rozstrzelanego ojca i namiętnego pragnienia pozbycia się tego piętna, tego ojcowskiego przekleństwa – pracownicy organów śledczych osiągnęli istotny sukces. Ale śledczy nie wiedział o tym. Ten, który prowadził sprawę Kostoczkina, już dawno sam został rozstrzelany w kolejnej „sprawie NKWD".

Młody Kostoczkin uczył się w Charbinie nie tylko fokstrotów i rumb. Ukończył Politechnikę Charbińską i otrzymał dyplom inżyniera mechanika.

Kiedy przywieziono Kostoczkina do kopalni, tam gdzie miał odbywać karę, udało mu się zobaczyć z naczelnikiem kopalni, którego prosił o pracę zgodną z jego zawodem, wyklinając ojca i błagając miejscowych naczelników, obiecując uczciwie pracować. „Będziesz malować nalepki na puszki do konserw" – sucho powiedział naczelnik kopalni, ale obecny przy rozmowie miejscowy pełnomocny NKWD wychwycił jakieś znane mu nutki w głosie charbińskiego inżyniera. Naczelnicy porozmawiali ze sobą, później pełnomocny porozmawiał z Kostoczkinem i nagle przodkowe brygady obleciała wiadomość, że brygadzistą jednej z brygad mianowany został nowy, swój, z pięćdziesiątego ósmego. Optymiści upatrywali w tej nominacji zapowiedź szybkich zmian na lepsze, pesymiści mruczeli coś na temat nowej miotły. Ale i jedni, i drudzy byli zdziwieni – oczywiście oprócz tych, co już dawno oduczyli się czemukolwiek dziwić.

Każda brygada żyje swoim życiem, w swojej „sekcji" w baraku, posiadającej oddzielne wejście, i z pozostałymi jego mieszkańcami spotyka się jedynie w stołówce. Krist często spotykał Kostoczkina – takiego okazałego, czerwonego na twarzy, barczystego, potężnego. Jego kragi – rękawice z szerokimi mankietami – były z futra. Co biedniejsi brygadziści mają kragi

zrobione ze szmat, zszyte z watowanych, pikowanych spodni. Czapkę też miał „wolną”, futrzaną uszankę, a walonki – prawdziwe, nie jakieś tam burki czy sznurkowe chodaki-czunie. Wszystko to wyróżniało Kostoczkina. Pracował jako brygadzista już cały ten zimowy miesiąc – a więc musiał wypełniać plan, dawać procenty, a ile, o tym można było się dowiedzieć z tablicy wiszącej koło wartowni. Ale Krist, jako stary aresztant, nie zaprzątał sobie głowy takimi sprawami.

Życiorys swojego przyszłego brygadzisty Krist ułożył sobie, rozmyślając na narach. Ale był pewien, że się nie pomylił, nie może się mylić. Żadne inne drogi nie mogły wprowadzić charbińczyka na stanowisko brygadzisty.

Brygada Kostoczkina topniała, tak jak to zresztą powinno być z każdą brygadą pracującą w przodku kopalni złota. Od czasu do czasu – co powinno brzmieć: co tydzień, a nie co miesiąc – do brygady Kostoczkina kierowano uzupełnienie. Dzisiaj był nim Krist. Pewnie Kostoczkin wie, kto to taki Einstein, pomyślał Krist, zasypiając na nowym miejscu. Jako nowemu w brygadzie, Kristowi przydzielono miejsce oddalone od pieca. Lepsze miejsca zajmowali ci, co przyszli do brygady wcześniej, i Krist o tym dobrze wiedział.

Brygadzista siedział w kącie przy stole, blisko lampy i czytał jakąś książkę. Jako brygadzista, pan życia i śmierci swoich robociarzy, mógł dla własnej wygody postawić tę jedyną lampę koło swojego stolika, pozbawiając światła innych mieszkańców baraku – nie dlatego zresztą, aby czytać czy rozmawiać… Rozmawiać można również w ciemności, a przy tym nie ma o czym i nie ma kiedy. Ale brygadzista Kostoczkin sam urządził się przy ogólnej lampie i czytał, czytał, od czasu do czasu rozchylając w uśmiechu swoje dziecinne, pulchne usta, mrużąc swe ładne, duże, szare oczy. Kristowi tak spodobał się ten tak dawno niewidziany, spokojny obraz brygadzisty wypoczywającego wraz ze swą brygadą, że postanowił sobie pozostać w tej brygadzie i oddać wszystkie swoje siły nowemu brygadziście.

Był też zastępca brygadzisty – Ośka, człowiek niskiego wzrostu, który mógłby być ojcem Kostoczkina. Pełnił on jednocześnie funkcję gospodarza baraku, sprzątał go i zajmował się sprawami związanymi z wyżywieniem brygady – tak jak powinno być u ludzi. I zasypiając, Krist pomyślał, że jego brygadzista na pewno wie, kto to taki Einstein. Uszczęśliwiony tą myślą, zagrzany dopiero co wypitym na noc kubkiem wrzątku, Krist usnął.

W nowej brygadzie nie było awantur przy wychodzeniu do pracy. Kristowi pokazano przechowalnię narzędzi – wszyscy je tam pobrali, a Krist przystosował sobie łopatę, podobnie jak to robił tysiące razy przedtem. Wyrzucił w diabły krótki trzonek z poprzeczką, przymocowany do amerykańskiej łopaty-szufli, obuchem topora poszerzył ją nieco na kamieniu, wybrał ze stojących w kącie szopy nowy, długi, bardzo długi trzonek, wprawił go w gniazdo łopaty, zamocował, przystawił pod kątem, opierając szuflę koło nóg, odmierzył, zaznaczył, umieszczając koniec trzonka naprzeciw swojego podbródka, i według tej miary odciął. Ostrym toporem zestrugał i starannie wygładził czołową stronę trzonka. Wstał i odwrócił się. Za nim stał brygadzista, uważnie przypatrując się poczynaniom nowego. Zresztą Krist spodziewał się tego. Kostoczkin nic nie powiedział i Krist zrozumiał, że swój osąd brygadzista odkłada do momentu pracy w przodku.

Przodek był niedaleko i praca się rozpoczęła. Trzonek drgnął, a w plecach pojawił się ćmiący ból, gdy palce obu dłoni ustawionych w zwykłej pozycji mocno go objęły. Trzonek był nieco za gruby, ale Krist poprawi to wieczorem. I podostrzy pilnikiem łopatę. Ręce poczęły ją unosić raz za razem i w melodyjny zgrzyt metalu o kamień wniknął jakiś przyspieszony rytm. Łopata szorowała, zgrzytała, kamienie ześlizgiwały się z niej przy podrzucie i padały na dno taczki, które odpowiadało drewnianym głosem, a potem kamień odzywał się do kamienia – całą tę muzykę górniczego przodka Krist znał doskonale. Wszędzie stały takie same taczki i zgrzytały takie same łopaty, szeleścił odrąbany kilofem, osypujący się kamień i znów zgrzytały łopaty.

Krist położył łopatę i zastąpił pracującego z nim w parze kolegę przy „maszynie OSO” – dwie rączki i kółko, jak po aresztancku nazywano na Kołymie taczki. Nie było to po błatniacku, ale coś koło tego. Krist postawił taczkę opartą dnem o deskę trapu, zwróconą rączkami w kierunku przodka i szybko ją napełnił. A potem, uchwyciwszy za rączki, nagiął się, napiął brzuch i złapawszy równowagę, potoczył swoją taczkę do butary, do przemywania. Z powrotem przyprowadził ją podobnie, jak to przez katorżnicze stulecia czynili taczkarze – rączkami do góry i kołem naprzód. Ręce Krista odpoczywały, trzymając uchwyty, a potem postawił taczkę i wziął łopatę. Łopata znów zazgrzytała. Charbiński inżynier, brygadzista Kostoczkin, stał wsłuchany w symfonię wyrobiska i przyglądał się ruchom Krista.

– Toś ty, jak widzę, artysta łopaty – i Kostoczkin zaczął się śmiać. Był to dziecinny, niepohamowany śmiech. Wytarł usta rękawem. – Jaką kategorię

otrzymywałeś tam, skąd przyszedłeś?

Mowa była o „kategorii wyżywienia”, o tej „skali żołądka” podganiającej aresztanta. „Kategorie” te – Krist o tym wiedział – wynalezione zostały na Kanale Białomorskim, w czasie „przekuwania” – reedukacji. Śliniący się romantyzm „przekuwania” miał swoją realistyczną bazę, okrutną i złowrogą w postaci tej „żołądkowej skali”.

– Trzecią – powiedział, starając się jak najbardziej podkreślić intonacją głosu swą pogardę dla poprzedniego brygadzisty, który nie docenił talentu artysty łopaty. Zrozumiawszy przyszłą korzyść, Krist już z przyzwyczajenia troszkę kłamał.

– U mnie będziesz dostawać drugą. Od razu, od dzisiaj.

– Dziękuję – powiedział Krist.

W nowej brygadzie było chyba nieco ciszej niż w innych brygadach, z którymi musiał mieszkać i pracować Krist, było nieco czyściej w baraku, trochę mniej ordynarnych przekleństw. Krist chciał, zgodnie ze swoim wieloletnim przyzwyczajeniem, podpiec kawałeczek chleba, który pozostał mu z obiadu, ale sąsiad – Krist nie znał i nigdy zresztą nie dowiedział się jego nazwiska – szturchnął go i powiedział, że brygadzista nie lubi, kiedy podpieka się chleb.

Krist podszedł do żelaznego, wesoło palącego się piecyka, rozpostarł dłonie nad strumieniem ciepła i wsunął twarz w strugę gorącego powietrza. Z najbliższych nar podniósł się Ośka, zastępca brygadzisty, i silną ręką odsunął go. „Idź na swoje miejsce. Nie zagradzaj piecyka. Niech wszystkim będzie ciepło”. W ogóle to było sprawiedliwie, ale trudno jest utrzymać własne ciało, gdy pcha się ono do ognia. Aresztanci z brygady Kostoczkina nauczyli się tego. I Krist też będzie się musiał nauczyć. Powrócił na miejsce i zdjął buszłat. Wsunął nogi do rękawów, poprawił czapkę, skurczył się i zasnął.

Usypiając, Krist jeszcze widział, jak ktoś wszedł do baraku, by przekazać jakieś polecenie, i jak Kostoczkin zaklął, nie odrywając się od czytania przy lampie. Ośka przyskoczył i uchwyciwszy intruza zręcznie i szybko za łokcie, wypchnął go z baraku. W minionym życiu Ośka był wykładowcą historii w jakimś instytucie.

Łopata Krista zgrzytała przez wiele jeszcze następnych dni i przez wiele dni szeleścił piasek. Kostoczkin szybko się zorientował, że za precyzyjną techniką ruchów Krista od dawna nie kryje się już żadna siła i że jakkolwiek by się on starał, jego taczki napełniają się zawsze nieco mniej niż

potrzeba – to przecież nie zależy od jego własnej woli, taką miarę dyktuje jakiś wewnętrzny instynkt, kierujący mięśniami – wszystkimi – zdrowymi i słabymi, młodymi i zniszczonymi, jednakowo umęczonymi. Za każdym razem okazywało się, że przy obmiarze wyrobiska, w którym pracował Krist, wcale tak wiele nie zostało zrobione, jak tego oczekiwał brygadzista na podstawie profesjonalizmu ruchów artysty łopaty. Ale Kostoczkin nie czepiał się Krista, nie objeżdżał go bardziej niż innych, nie wyżywał się w klątwach, nie perorował. Być może rozumiał, że Krist pracuje, oddając wszystkie swe siły, zachowując dla siebie jedynie to, czego nie można roztrwonić dla przypodobania się żadnemu brygadziście na świecie, w żadnym z łagrów. A może tylko wyczuwał, jeśli nie rozumiał – przecież nasze odczucia są znacznie bogatsze od myśli – bezkrwisty język aresztantów przekazuje nie to, co kryje się w głębi duszy. Uczucia także bledną, słabną, ale znacznie później niż myśli, o wiele później niż ludzka mowa, język. A Krist rzeczywiście pracował tak, jak już dawno tego nie czynił – i chociaż tego, co zrobił, nie starczało na „drugą kategorię", to jednak ją otrzymywał. Za gorliwość, za staranie się…

Przecież „druga kategoria" – to było coś najwyższego, co mógł osiągnąć. Pierwszą otrzymywali rekordziści – wykonujący sto dwadzieścia procent normy i więcej. W brygadzie Kostoczkina nie było rekordzistów. Byli natomiast tacy, którzy otrzymali „trzecią kategorię" – wypełniający normę, a także „czwartą" – ci nie dawali rady i wypełniali ją w siedemdziesięciu, osiemdziesięciu procentach. Ale nie filony-nieroby, zasługujące jedynie na karną rację według piątej kategorii. Takich w brygadzie Kostoczkina również nie było.

Mijał dzień za dniem, a Krist stawał się wciąż słabszy i słabszy. Pokorna cisza w baraku brygady Kostoczkina coraz mniej mu przypadała do gustu. Ale jakoś tak wieczorem Ośka, wykładowca historii, odprowadził Krista na bok i cicho oznajmił: „Dzisiaj przyjedzie kasjer. Brygadzista wypisał ci pieniądze, wiedz o tym". Serce Krista zabiło. A więc Kostoczkin docenił gorliwość Krista, jego mistrzostwo. Jednak ten charbiński brygadzista, który wiedział, kto to jest Einstein, ma jeszcze sumienie. W brygadach, w których przedtem Krist pracował, nigdy nie wypisywano mu pieniędzy. W każdej brygadzie zawsze znajdowali się ludzie bardziej tego godni – albo rzeczywiście silniejsi fizycznie i lepiej pracujący, albo całkiem po prostu przyjaciele brygadzisty – takimi bezpłodnymi rozważaniami Krist nigdy się nie zajmował, uznając otrzymaną kartkę obiadową – a kategorie zmieniane

były co dziesięć dni – za zrządzenie losu, za szczęście lub nieszczęście, powodzenie albo pech, które zakończą się, odmienią, nie będą trwać wiecznie.

Wiadomość o pieniądzach, które mu dzisiaj wieczorem wypłacą, przepełniła duszę Krista i całe jego ciało gorącą, niepowstrzymaną radością. Okazuje się, że starcza mu jeszcze uczuć i sił, aby móc się cieszyć. Ile pieniędzy mogą mu wypłacić… Nawet pięć, sześć rubli – to pięć, sześć kilogramów chleba. Krist gotów był adorować Kostoczkina i z trudnością doczekał się końca pracy.

Przyjechał kasjer. Był to zupełnie zwykły człowiek, ale w dobrym, garbowanym półkożuszku i z wolnego najmu. Przyszedł z nim strażnik, który gdzieś ukrył rewolwer czy pistolet lub pozostawił broń na wartowni. Kasjer usiadł za stołem, otworzył teczkę wypchaną pogniecionymi, różnokolorowymi banknotami, podobnymi do wypranych szmat. Wyciągnął gęsto poliniowaną listę, upstrzoną najróżniejszymi podpisami ludzi – uradowanych lub rozczarowanych tym, co im wyliczono. Kasjer wywołał Krista i wskazał mu odznaczone ptaszkiem miejsce. Krist zauważył, poczuł w tej wypłacie, w tym, co mu miano dać, coś osobliwego. Nikt oprócz Krista nie podszedł do kasjera. Nie było żadnej kolejki. Być może pozostali byli tak przyuczeni przez troskliwego brygadzistę. Ale po cóż o tym myśleć! Pieniądze zostały wypisane, kasjer płaci. A więc to Krista szczęście.

Samego brygadzisty nie było w baraku, nie przyszedł jeszcze z biura i poświadczaniem tożsamości otrzymującego pieniądze zajmował się Ośka, wykładowca historii. Wskazującym palcem pokazał, gdzie Krist ma się podpisać.

– A… a… ile? – tracąc oddech, wychrypiał Krist.

– Pięćdziesiąt rubli. Zadowolony?

W sercu Krista coś zaśpiewało, przyspieszając jego rytm. To jest właśnie szczęście. Pospiesznie, rozrywając ostrym piórem papier i omal nie przewracając kałamarza, Krist podpisał się na liście.

– No toś zuch – powiedział z aprobatą Ośka.

Kasjer zamknął teczkę.

– Więcej nie ma nikogo z waszej brygady?

– Nie.

Krist wciąż jeszcze nie mógł pojąć, co tu się dzieje.

– A pieniądze? A pieniądze?

– Dałem Kostoczkinowi – powiedział kasjer. – Jeszcze w ciągu dnia.

A niski Ośka żelazną ręką, z siłą, której nie posiadał żaden rębacz z tej brygady, oderwał Krista od stołu i cisnął go w ciemność.

Brygada milczała. Żaden człowiek nie podtrzymał Krista, o nic nie spytał. Nawet nie nazwali go durniem… To było straszniejsze od tej bestii Ośki, od jego chwytnej jak szpony, żelaznej ręki. Bardziej straszne niż dziecinne, pulchne wargi brygadzisty Kostoczkina. Drzwi baraku otwarły się na oścież i do oświetlonego stołu szybkimi, lekkimi i sprężystymi krokami podszedł brygadzista Kostoczkin. Belkowanie podłogi prawie nie drgnęło pod nim.

– Oto i sam brygadzista, pomów z nim – powiedział Ośka, cofając się. I wyjaśnił Kostoczkinowi, o co chodzi, wskazując na Krista: – Pieniędzy mu się zachciewa!

Ale brygadzista jeszcze na progu wszystko zrozumiał. Kostoczkin od razu poczuł się jak na charbińskim ringu. Wyprowadził w kierunku Krista piękny, dobrze opanowany bokserski cios „z ramienia” i Krist upadł ogłuszony na podłogę.

– Nokaut, nokaut – chrypiał Ośka, tańcząc wokół półżywego Krista, w roli sędziego na ringu – osiem… dziewięć… Nokaut.

Krist nie wstawał z podłogi.

– Pieniądze? Jemu pieniądze? – mówił Kostoczkin, sadowiąc się z wolna przy stole i biorąc z rąk Ośki łyżkę, aby wziąć się do miski z grochem. – To właśnie ci trockiści – ciągnął Kostoczkin wolno i pouczająco – to oni gubią mnie i ciebie, Osia. – Kostoczkin podniósł głos. – Przynieśli zgubę krajowi i nas obu gubią. Pieniędzy mu się zachciało, artyście łopaty, pieniędzy. Hej, wy! – wrzeszczał Kostoczkin do brygady. – Wy, faszyści! Słyszycie? Nie zarżniecie mnie. Tańcz, Ośka.

Krist wciąż leżał na ziemi. Ogromne postacie brygadzisty i sprzątającego zasłaniały mu światło. I nagle spostrzegł, że Kostoczkin jest pijany, bardzo pijany. To te same pięćdziesiąt rubli wypisane dla Krista… Ile za nie można było „wykupić” spirytusu, który został już wydany i wydaje się brygadzie…

Ośka, zastępca brygadzisty, posłusznie ruszył w tan, przyśpiewując:

Ja kupiłem dwa koryta
Żona moja ta Rozita…

– To nasza, odeska, brygadzisto. Nazywa się *Od mostu do rzeźni*. – I wykładowca historii w jakimś stołecznym instytucie, ojciec czworga dzieci, znowu poszedł w tan.

– Stój, nalej.

Ośka namacał pod narami jakąś butelkę i coś tam nalał do puszki po konserwach. Kostoczkin wypił i zakąsił, wybierając palcami resztkę grochu z miski.

– Gdzie ten artysta łopaty?

Ośka podniósł Krista i popchnął w kierunku stołu.

– Co, nie masz siły? Czyżbyś nie dostawał swojej porcji? Drugą kategorię to kto dostaje? Jeszcze ci tego mało, trockistowska swołocz?

Krist milczał. I brygada milczała.

– Wszystkich powyduszam. Przeklęci faszyści! – szalał Kostoczkin.

– Idź, idź na swoje miejsce, artysto łopaty, bo ci brygadzista jeszcze przyłoży – dobrotliwie poradził Ośka, obejmując pijanego Kostoczkina, i zaprowadziwszy do kąta, położył go na wspaniałą, brygadierską, pojedynczą pryczę – jedyną w całym baraku, gdzie wszystkie nary były podwójne, dwupiętrowe, typu „kolejowego”. A sam Ośka, zastępca brygadzisty i gospodarz baraku, śpiący na skrajnych narach, podejmował teraz swoją trzecią ważną funkcję, w pełni oficjalną, nocnego stróża snu brygadzisty, jego spokoju i życia.

Krist po omacku dolazł do swojej pryczy. Nie udało się jednak zasnąć ani Kostoczkinowi, ani Kristowi. Drzwi baraku otworzyły się, wpuszczając strumień białej pary, i pojawił się w nich jakiś człowiek w futrzanej uszance i ciemnym zimowym płaszczu z karakułowym kołnierzem. Płaszcz był porządnie wymięty, karakuły przetarte, ale jednak był to prawdziwy płaszcz i prawdziwe karakuły. Człowiek przeszedł przez cały barak, kierując się do stołu, światła i do pryczy Kostoczkina. Powitawszy gościa z szacunkiem, Ośka zabrał się do budzenia brygadzisty.

– Prosi cię Minia Grek.

Krist znał to imię. Był to brygadzista błatniaków.

– Ciebie prosi Minia Grek.

Ale Kostoczkin już się ocknął i siadł na pryczy twarzą do światła.

– Wciąż zabawiasz się, pogromco?

– Sam widzisz… doprowadzili gady…

Minia Grek coś mruknął ze współczuciem.

– Wysadzą cię kiedyś w powietrze, pogromco. Co? Wsadzą amonit pod łóżko, podpalą sznur i znajdziesz się tam… – Grek pokazał palcem w górę. – Albo ci głowę piłą odetną. Szyję masz grubą, trzeba będzie długo piłować.

Kostoczkin, powoli dochodząc do siebie, czekał, co mu powie Grek.

– Nie nalać po maleńkim? Powiedz, obalimy raz-dwa.

– Nie. Tego spirytusu mamy w brygadzie pełno, sam przecież wiesz. Mam poważniejszą sprawę.

– Chętnie służę.

– Chętnie służę – zaśmiał się Minia Grek. – Więc tak uczono cię w Charbinie rozmawiać z ludźmi.

– Ja tak sobie – pospiesznie wtrącił Kostoczkin. – Po prostu nie wiem jeszcze, o co ci chodzi.

– No to słuchaj. – Grek zaczął coś szybko mówić, a Kostoczkin kiwał zgodnie głową. Grek narysował coś na stole i Kostoczkin pokiwał ze zrozumieniem.

Ośka z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie.

– Chodziłem do ekspozytury – mówił Minia Grek ani ponuro, ani z ożywieniem, całkiem zwyczajnym głosem. – Wyznaczający normy mówi: to kolej Kostoczkina.

– Przecież zabierano mi także w zeszłym miesiącu…

– A cóż ja mam począć… – i głos Greka poweselał. – Mam naszym odebrać kubiki? Mówiłem mu. A ten na to, że to kolej Kostoczkina.

– Ale przecież…

– E, co tam. Sam przecież znasz naszą sytuację…

– No dobrze – powiedział Kostoczkin. – Podliczysz tam w biurze i powiesz, żeby wzięli od nas.

– Nie bój się, frajerze – powiedział Minia Grek i poklepał Kostoczkina po ramieniu. – Dzisiaj ty pomogłeś mnie, a jutro – ja tobie.

– Jutro pocałujemy się obaj. – Ośka zaczął tańczyć, uradowany z podjętej ostatecznie decyzji, wcześniej pełen obaw, że ociąganie się brygadzisty wszystko popsuje.

– No to żegnaj, pogromco – powiedział Minia Grek, wstając z ławki. – Ten w biurze powiedział: „Idź śmiało do Kostoczkina, do pogromcy. On ma w sobie kroplę krwi żulika”. Nie bój się, nie przejmuj. Twoi chłopcy dadzą sobie radę. Masz takich artystów łopaty…

RUR

No – nie byliśmy robotami. Robotami z „RUR” według powieści Čapka? Górnikami z węglowego Zagłębia Ruhry? Nie, nasz RUR to „Rota Usilionnogo Rieżyma” – kompania zaostrzonego reżimu – czyli kompania karna, więzienie w więzieniu, łagier w łagrze. Nie, to nie robotami byliśmy, bo w nieczułości metalu robotów bywa coś z człowieka.

Zresztą, kto z nas w trzydziestym ósmym roku myślał o Čapku czy o węglowym Zagłębiu Ruhry? Dopiero po dwudziestu, trzydziestu latach pojawiają się siły dla dokonania porównań i prób wskrzeszenia minionego czasu, jego barw i odczucia przeszłości.

Wtedy jedynym naszym doznaniem była niejasna, bolesna radość ciała, wysuszonych przez głód mięśni, które chociaż na moment, na godzinę, na jeden dzień mogą uwolnić się od złotego wyrobiska, od przeklętej roboty, od znienawidzonej pracy. Praca i śmierć to synonimy i to synonimy nie tylko dla skazanych na zgubę „wrogów ludu”. Praca i śmierć są również synonimami dla łagrowego naczalstwa i dla Moskwy, gdyż w innym wypadku nie pisano by w specjalnych instrukcjach, w moskiewskich skierowaniach na śmierć: „wykorzystać jedynie do ciężkich robót”.

Przywieziono nas do RUR jako nierobów, markierantów, tych, co nie wykonują normy. Ale nie jako tych, co odmawiają pracy. Odmowa pracy w łagrze to przestępstwo, za które karze się śmiercią. Rozstrzeliwują za trzykrotną odmowę pracy, za trzykrotne „niewyjście” do pracy. Trzy protokoły. Wychodziliśmy więc z łagrowej zony i dopełzali jakoś do miejsca pracy. Do jej wykonywania nie starczało już sił. Ale nie byliśmy tymi, co odmawiają.

Doprowadzono nas do wrót łagru. Dyżurny nadzorca wyciągnął rękę w kierunku mojej piersi, a ja od razu zatoczyłem się, ledwie utrzymując się na nogach – szturchnięcie naganem w pierś złamało mi żebro. Ból nie dawał mi spokoju przez kilka lat. Nie było to właściwie złamanie, jak mi to później objaśnili specjaliści, lecz rozdarcie okostnej.

Poprowadzono nas do RUR, ale na tym miejscu nie było niczego. Ujrzałem żywą jeszcze ziemię, czarną i kamienistą, pokrytą nadpalonymi korzeniami drzew i krzewów, wypolerowanymi przez ludzkie ciała. Zobaczyłem czarny prostokąt nadpalonej ziemi, jednakowo rażący i pośród bujnej zieleni żywiołowego kołymskiego lata, i wśród martwej bieli niekończącej się zimy. Czarną jamę po ogniskach, ślad ciepła, ślad ludzkiego życia.

Jama jednak żyła. Ludzie przewracali kłody, spieszyli się, klęli, i na moich oczach podnosił się odmłodzony RUR, wznosiły się ściany karnego baraku. Od razu, na miejscu, wyjaśniono nam, w czym rzecz. Wczoraj wsadzono do ogólnej celi RUR pijanego kierownika sklepu, ze środowiska kryminalistów. Po pijanemu porozwalał ściany RUR, rozbierając to więzienie belka po belce. Wartownik nie strzelał. Szalał przecież kryminalista, a wartownicy znakomicie orientowali się w kodeksie karnym, w łagrowej polityce i nawet w kaprysach władzy. Wartownik więc nie strzelał do niego. Wyprowadzono go i wsadzono do karceru mieszczącego się przy oddziale łagrowej straży. Ale nawet ów kryminalista-kierownik sklepu, oczywisty bohater, nie odważył się wtedy wyjść z czarnej jamy. Rozebrał jedynie ściany. A teraz setka ludzi z pięćdziesiątego ósmego paragrafu, którymi wypchany był RUR, uważnie i cierpliwie odbudowywała swoje więzienie, wznosząc jego ściany, lecz bojąc się przekroczyć brzeg tej jamy poprzez jakiś nieostrożny krok na pozbawionym ludzkich śladów białym śniegu.

Ci z pięćdziesiątego ósmego spieszyli się z odbudową. Bez gróźb i popędzania.

Setka ludzi cisnęła się na pryczach, na szkieletach połamanych nar. Nie były to nary, lecz same belki i żerdzie, z których się je składa bez jednego gwoździa; na Kołymie gwoździe to rzecz cenna. Nary zostały spalone przez błatniaków siedzących w RUR. Paragraf pięćdziesiąty ósmy nie odważyłby się odłamać nawet kawałeczka ze swoich nar, aby ogrzać zziębnięte ciała i wyschnięte, podobne do powrozów mięśnie.

Niedaleko RUR stał już mniej zakopcony budynek mieszkalny oddziału łagrowej straży. Zewnętrznie barak strażników niczym nie różnił się od aresztanckich pomieszczeń, a i wewnątrz różnice były niewielkie – brudny dym, w oknach worki zamiast szyb. Mimo wszystko był to barak straży.

RUR wychodził do pracy. Ale nie do złotego wyrobiska, lecz do lasu, przygotować drewno opałowe, kopać rowy lub przedeptywać drogę. W RUR wszystkich karmiono jednakowo i to także cieszyło. Dla RUR dzień roboczy kończył się wcześniej niż dla tych w wyrobisku. Jakże wiele

razy, podnosząc oczy znad taczki, kilofa czy łopaty w wykopie, przyglądaliśmy się z zazdrością ciągnącym na nocleg, nierównym szeregom RUR! Nasze konie rżały na widok rurowców, domagając się zakończenia pracy. A może wiedziały same – lepiej niż ludzie – że właśnie nadszedł już czas i niepotrzebny był im do tego RUR…

Teraz ja sam podskakiwałem, to utrafiając w krok, to z niego wypadając, gubiąc ogólny rytm; to doganiając, to pozostając w tyle… Miałem tylko jedno pragnienie: aby RUR nigdy się nie skończył. Nie wiedziałem, na ile dni – dziesięć, dwadzieścia czy trzydzieści – zostałem „osadzony w RUR”.

„Osadzony” – doskonale byłem zaznajomiony z tym więziennym zwrotem. Wydaje mi się, że czasownik „osadzić” używany bywa tylko w miejscach pozbawienia wolności. Natomiast zwrot „wydalić” znalazł szerokie zastosowanie w języku dyplomacji – „wydalić poza granice” i tak dalej. Czasownikowi „osadzić” starano się nadać groźne, bliskie znęcaniu się zabarwienie, ale życie zmienia relacje i w naszym przypadku „osadzić” znaczyło prawie „uratować”.

Każdego dnia po zakończeniu pracy „goniono” rurowców po drewno „dla siebie”, jak mówiło naczalstwo. „Goniono” zresztą także brygady z wyrobisk. Były to wyprawy saniami wyposażonymi w druciane szleje, druciane pętle, w które można było wsunąć głowę i ramiona, poprawić je i ciągnąć, ciągnąć… Sanie trzeba było zawlec cztery kilometry pod górę, gdzie znajdowały się sterty przygotowanego w czasie lata cedrowca – czarnego, poskręcanego i lekkiego. Sanie ładowało się i puszczało wprost na dół. Sadowili się na nich błatniacy – ci zachowali jeszcze siły – i zjeżdżali, chichocząc, z góry. A my spełzaliśmy, nie mając dość siły, aby zbiec. Lecz ześlizgiwaliśmy się szybko, hamując za pomocą zmrożonych, obłamanych na zboczu gałęzi wikliny czy olchy. Było to pełne radości – kończył się dzień.

Owe ukryte pod śniegiem sterty cedrowca trzeba było wyszukiwać każdego dnia wciąż dalej, ale nie burczeliśmy – wyprawa po drewno była czymś w rodzaju uderzenia młotkiem w szynę czy głosu syreny – sygnałem wzywającym do jedzenia i snu.

Wyładowaliśmy drewno i zaczęliśmy z radością ustawiać się w szeregu.

– W tył zwrot!

Nikt się nie obrócił. Ujrzałem we wszystkich oczach śmiertelny smutek, brak wiary w to, że coś się powiedzie; zawsze ich się przecież oszukuje, fał-

szuje obliczenia i pomiary. Nawet jeśli drewno to nie kamień, a sanie – nie taczki.

– W tył zwrot!

Nikt się nie obrócił. Aresztanci są niezwykle uczuleni na niedotrzymywanie obietnic, chociaż wydawałoby się, że o jakiej sprawiedliwości mogłaby tu być mowa?

U drzwi baraku straży, na ganku, ustawiło się dwóch ludzi – naczelnik łagru, starszy wiekiem porucznik, i naczelnik oddziału straży, porucznik – młodszy. Nie ma nic gorszego, niż kiedy działają jednocześnie dwaj naczelnicy równi sobie szarżą. Zamiera w nich wtedy wszystko, co ludzkie, i każdy chce ujawnić swą „czujność", nie „wykazać słabości", wypełniać państwowe nakazy.

– Wprzęgnijcie się do sań!

Nikt się nie odwrócił.

– To zorganizowana akcja!

– Dywersja!

– Nie pójdziecie po dobremu?

– Nie potrzebujemy waszego dobra.

– Kto to powiedział? Wystąp!

Nikt nie wyszedł.

Na rozkaz wybiegło z baraku straży jeszcze kilku konwojentów, którzy otoczyli nas, grzęznąc w śniegu. Szczękali zamkami karabinów, dusząc się od złości na ludzi, którzy pozbawili ich odpoczynku, korzystania ze zmiany, z rozkładu zajęć.

– Padnij!

Legliśmy w śniegu.

– Powstań!

Wstaliśmy.

– Padnij!

Legliśmy.

– Powstań!

Wstaliśmy.

– Padnij!

Legliśmy.

Z łatwością uchwyciłem ten nieskomplikowany rytm. I dobrze pamiętam: nie było ani zimno, ani gorąco. Jak gdyby działo się to poza mną.

Klasnęło kilka wystrzałów, ostrzegawczych.

– Powstań!

Wstaliśmy.

– Kto pójdzie, przejść na lewą stronę!

Nikt się nie poruszył.

Naczelnik podszedł, zbliżył się na styk z rozpaczliwym smutkiem tych szalonych oczu. Podszedł i tknął w pierś najbliżej stojącego.

– Ty, pójdziesz?

– Pójdę.

– Odejść w lewo! Ty, pójdziesz?

– Pójdę.

– Wprzęgaj się! Konwój, przyjmujcie ludzi, liczcie.

Zaskrzypiały drewniane płozy sań.

– Jechać! Tak to się robi – powiedział ów starszy porucznik.

Nie wszyscy jednak odjechali. Dwóch pozostało na miejscu: Sierioża Usolcew i ja. Sierioża Usolcew był błatniakiem. Wszystkie młode złodziejaszki już dawno ciągnęły sanie razem z tymi z pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Ale Sierioża nie mógł dopuścić do tego, żeby wytrzymał jakiś parszywy frajer, a on, złodziej z dziada pradziada, poddał się.

– Zaraz nas puszczą do baraku… Trochę postoimy – ponuro uśmiechnął się Usolcew. – I do baraku, grzać się.

Ale do baraku nas nie puszczono.

– Psa! – zarządził starszy porucznik.

– Weź to – powiedział Usolcew, nie odwracając głowy, a jego palce położyły mi na dłoni coś bardzo cienkiego i lekkiego. – Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem.

Trzymałem w palcach ułamane ostrze żyletki i niepostrzeżenie dla konwojentów pokazywałem je psu. Pies widział to i rozumiał. Warczał, skowyczał, szarpał się, ale nie próbował chwycić ani mnie, ani Sierioży. W ręce Usolcewa widniał drugi kawałek żyletki.

– Jeszcze młody! – powiedział wszystkowiedzący, doświadczony naczelnik łagru, ten porucznik starszy wiekiem. – Młody! Gdyby tu był Walet, pokazałby, jak to się robi. Zostaliby goli! Do baraku!

Otworzyli drzwi, odsunęli ciężki, żelazny rygiel – przegroda usunięta. Zaraz będzie ciepło, ciepło.

Ale starszy porucznik powiedział coś dyżurnemu nadzorcy i ten wyrzucił tlejące głownie z pieca na śnieg. Głownie zasyczały, pokryły się ciemno-

niebieskim dymem, a dyżurny zarzucił je śniegiem, podgarniając go nogami.

– Wchodźcie do baraku!

Usiedliśmy na szkielecie nar. Nie poczuliśmy niczego oprócz nagle objawionego zimna. Wsunęliśmy ręce do rękawów i skuliliśmy się…

– Nie bój się – powiedział Usolcew. – Zaraz wrócą chłopcy z drewnem. A tymczasem zatańczymy. – I zaczęliśmy skakać.

Zgiełk, radosny zgiełk zbliżających się głosów przerwany został czyjąś ostrą komendą. Otworzyły się nasze drzwi, lecz nie było w nich światła, tylko ciemność baraku.

– Wychodzić!

Latarnie typu „nietoperz” pobłyskiwały w rękach konwojentów.

– Stanąć do szeregu.

Nie od razu spostrzegliśmy, że tuż obok stoją w szeregu ci, co powrócili z pracy. Że wszyscy stoją i czekają. Ale na kogo?

W ćmie białej mgły słychać było wycie psów i poruszały się pochodnie oświetlające drogę szybko zbliżającym się ludziom. Po sposobie przesuwania się światła można było wywnioskować, że to nie idą więźniowie.

Na przedzie szybko kroczył, wyprzedzając swoją obstawę, brzuchaty, ale sprężyście poruszający się pułkownik, którego rozpoznałem od razu – niejednokrotnie zaglądał do złotych wyrobisk, gdzie pracowała nasza brygada. Był to pułkownik Garanin. Ciężko dysząc, rozpiąwszy kołnierz munduru, zatrzymał się przed szeregiem i wetknąwszy miękki, wypielęgnowany palec w brudną pierś najbliżej stojącego więźnia powiedział:

– Za co siedzisz?

– Ja z artykułu…

– Na diabła mi twój artykuł! Za co siedzisz w RUR?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Ej, naczelniku!

– Oto dziennik rozkazów, towarzyszu pułkowniku.

– Na diabła mi twój dziennik! Ech, gady!

Garanin ruszył dalej, zaglądając każdemu w twarz.

– A ty, staruszku, za co trafiłeś do RUR?

– Ja jestem w trakcie śledztwa. Zjedliśmy zdechłego konia. Jesteśmy stróżami.

Garanin splunął.

– Słuchać rozkazu! Wszyscy do baraków, do swoich brygad! A jutro do przodka!

Szereg rozsypał się, wszyscy pobiegli drogą, śnieżną ścieżką do baraków i do brygad. I my z Usolcewem powlekliśmy się również.

BOGDANOW

Bogdanow – to był elegancik. Zawsze gładko wygolony, domyty, pachnący – Bóg jeden wie, co to były za perfumy – na głowie wspaniała czapka-uszanka z futra białego rena, zawiązana u góry na jakąś skomplikowaną kokardę z czarnej mory, w jakuckiej wyszywanej we wzory kurtce, w futrzanych, wzorzystych butach-pimach. Wypolerowane paznokcie, bielusieńki, krochmalony, podszywany kołnierzyk.

W ciągu całego trzydziestego ósmego, rozstrzeliwującego roku pracował jako oficer operacyjny NKWD w jednym z kołymskich zarządów. Kiedy zachwiały się enkawudzistowskie trony i jedna za drugą zaczęły spadać głowy naczelników, przyjaciele ukryli Bogdanowa na Czarnym Jeziorze, w zwiadzie geologicznym poszukującym węgla.

Nowy naczelnik z wypolerowanymi paznokciami pojawił się w głuchej tajdze, gdzie chyba od stworzenia świata nie było błota, pojawił się z żoną i trojgiem dzieci, jednym mniejszym od drugiego. Zarówno dzieciom, jak i żonie nie wolno było wychodzić z domu, w którym mieszkał Bogdanow, dlatego też jego rodzinę widziałem tylko dwa razy – w dniu przyjazdu i w dniu odjazdu.

Produkty żywnościowe przynosił magazynier prosto do domu, a dwustulitrową beczkę spirytusu przetoczyli robociarze po deskach – ścieżce z drewna położonej w tajdze dla takich właśnie przypadków, prowadzącej do domu naczelnika. Bo, jak uczono Bogdanowa na Kołymie, spirytus to jest to, co należy chronić przede wszystkim. A pies? Nie, Bogdanow nie miał psa. Ani psa, ani kota.

Zwiad posiadał barak mieszkalny i namiot robociarzy. Wszyscy mieszkali razem – i wolni, i więźniowie-robotnicy. Nie było między nimi żadnej różnicy, ani w postaci drewnianych prycz, ani w przedmiotach osobistych, gdyż „wolniaszki”, do wczoraj będący więźniami, nie zdążyli się jeszcze wyposażyć w kuferki – owe własnej roboty obozowe walizki, znane każdemu więźniowi.

W rozkładzie dnia i w „reżimie” też nie było różnic, gdyż poprzedni naczelnik, uruchamiający wiele odkrywek i przebywający na Kołymie prawie od stworzenia świata, nie znosił z jakiegoś powodu wszystkich owych „tak jest” i „melduję”. Przy Paramonowie, bo tak się nazywał poprzedni naczelnik, nie było żadnych apeli – i bez nich wstawaliśmy ze wschodem słońca, a kładliśmy się, gdy zachodziło. Zresztą, wiosną słońce już prawie nie opuszczało nieba, a na początku lata – jakie tu mogą być apele? Noc w tajdze jest krótka. I „pozdrawiać” naczelnika też nie byliśmy przyuczeni. Toteż kiedy Bogdanow wszedł do baraku, nikt nie zawołał „baczność!”, a jeden z nowych robociarzy, Rybin, nie przestał nawet naprawiać swojego porwanego brezentowego płaszcza.

Bogdanow był oburzony. Krzyczał, że zaprowadzi porządek wśród faszystów. Że polityka władzy sowieckiej ma dwa oblicza – wychowujące i karzące. I że on, Bogdanow, obiecuje nam wypróbować to drugie w pełnej mierze i nie pomoże nam żadne prawo poruszania się bez konwoju. Mieszkańców baraku, tych więźniów, do których zwracał się Bogdanow, było pięciu czy sześciu – raczej sześciu, bo na piątym z kolei miejscu siedzieli, jeden za drugim, dwaj nocni stróże.

Wychodząc, Bogdanow chwycił za drewniane drzwi namiotu, chcąc nimi trzasnąć, ale uległy brezent tylko się zakołysał, nie wydając żadnego dźwięku. Następnego dnia odczytany został nam, pięciu więźniom plus nieobecnemu stróżowi, rozkaz – pierwszy rozkaz naczelnika. Sekretarz naczelnika głośno i wyraźnie przeczytał pierwszy literacki utwór nowego dowódcy – „Rozkaz nr 1”. Jak się okazało, zeszyt szkolny córki Bogdanowa przemieniony został w książkę rozkazów rejonu węglowego:

Zauważyłem, że więźniowie tego rejonu rozpuścili się i zapomnieli o łagrowej dyscyplinie, co wyraża się niestawaniem do apelu i niepozdrawianiem naczelnika.

Uważając, iż jest to naruszenie podstawowych nakazów władzy sowieckiej, kategorycznie polecam…

W tym samym rozkazie powołane zostało stanowisko starosty, wyznaczony został dyżurny sprzątający, wypełniający tę czynność równolegle z zasadniczą pracą. Namioty zostały przedzielone brezentową zasłoną, oddzielając czystych od nieczystych. Nieczyści ustosunkowali się do tego obojętnie, ale czyści – jeszcze wczoraj nieczyści – nigdy nie wybaczyli

Bogdanowowi tego postępku. Rozkaz ten zasiał wrogość pomiędzy wolnymi robotnikami i naczelnikiem.

Bogdanow na robocie się nie znał i wszystkie związane z tym sprawy przerzucił na barki kierownika robót – „proraba”. Natomiast cała administracyjna gorliwość czterdziestoletniego, nudzącego się naczelnika zwrócona została przeciwko sześciu więźniom. Codziennie zauważane były jakieś wykroczenia naruszające łagrowy reżim i graniczące z przestępstwem. W tajdze wyciosany został pospiesznie karcer, a u kowala Mojżesza Mojżeszowicza Kuźniecowa – zamówiono rygiel. Żona naczelnika ofiarowała własną kłódkę. Kłódka ta bardzo się przydała. Każdego dnia wędrował do karceru któryś z więźniów. Pojawiły się słuchy, że niedługo wezwany zostanie konwój, oddział łagrowej straży.

Przestano nam wydawać przydziałową – polarną – porcję wódki. Ustanowiona została norma na cukier i machorkę.

Każdego wieczoru wzywano któregoś z zeków do biura, gdzie rozpoczynała się rozmowa z naczelnikiem rejonu. Ja także zostałem wezwany. Kartkując moje wypchane „akta personalne”, Bogdanow czytał wyjątki z licznych not, zachwycając się bez miary ich składnią i stylem. Czasem wydawało się nawet, że Bogdanow zapomniał, jak się czyta – w jego mieszkaniu, oprócz pomiętych dziecięcych książek, żadnych innych nie było.

Nagle spostrzegłem, ku swojemu zdziwieniu, że Bogdanow jest całkiem po prostu pijany. Zapach tanich perfum mieszał się ze spirytusowym odorem. Oczy miał mętne, zamglone, ale mówił zupełnie jasno. Poza tym wszystko, co mówił, było takie właśnie jak zawsze.

Na drugi dzień spytałem wolnego, Kartaszowa, który był sekretarzem naczelnika, czy to możliwe…

– Coś ty, dopiero teraz zauważyłeś? On cały czas jest pijany. Każdego dnia od rana. Wiele nie pije, ale jak poczuje, że mija rausz, na nowo pół szklaneczki. Żonę bije, podlec – powiedział Kartaszow. – Dlatego właśnie ona się nie pokazuje. Wstyd jej siniaków.

Bogdanow bił nie tylko swoją żonę. Uderzył Szatalina, uderzył Klimowicza. Do mnie jeszcze kolejka nie doszła. Ale kiedyś wieczorem ponownie zostałem wezwany do biura.

– Po co? – spytałem Kartaszowa.

– Nie wiem. – Kartaszow był jednocześnie posłańcem, sekretarzem i nadzorującym karcer.

Zastukałem i wszedłem do biura.

Bogdanow siedział za biurkiem i przyczesywał się, starając się zrobić pięknym, przed wtaszczonym do biura ciemnym lustrem.

– A, faszysta – powiedział, odwracając się do mnie. Nie zdążyłem wypowiedzieć przepisowego zwrotu. – Będziesz pracować czy nie? Taki łeb. – „Łeb” to wyrażenie błatniackie. Zwykła formuła, zwykła rozmowa.

– Ja pracuję, obywatelu naczelniku. – A to zwykła odpowiedź.

– Widzisz, listy do ciebie nadeszły. – Od dwóch lat nie miałem łączności z żoną, nie mogłem się z nią skontaktować, nie wiedziałem, co dzieje się z nią i moją półtoraroczną córką. I oto nagle jej charakter pisma, jej ręka, od niej listy. Wyciągnąłem po nie dygoczące ręce.

Bogdanow, nie wypuszczając z rąk listów, podsunął je wprost w kierunku moich wyschniętych warg.

– Masz tu swoje listy, faszystowska swołocz! – Bogdanow porwał listy na drobne kawałeczki i rzucił je do palącego się piecyka. Listy, na które czekałem od dwóch lat w atmosferze krwi, rozstrzałów i bicia w złotych wyrobiskach Kołymy.

Odwróciłem się i wyszedłem bez zwykłej formuły „czy mogę odejść”, a pijany chichot Bogdanowa jeszcze dzisiaj, po wielu latach, dźwięczy mi w uszach.

Plan nie był wykonany. Bogdanow nie był inżynierem. Wolni robotnicy nienawidzili go. Kropla, która przepełniła kielich, była kroplą spirytusu, gdyż zasadniczy konflikt między naczelnikiem a robociarzami polegał na tym, że beczka spirytusu powędrowała do mieszkania naczelnika i szybko zmniejszała swoją zawartość. Bogdanowowi można było darować wszystko – i znęcanie się nad więźniami, i bezradność w pracy, i pańskość. Ale gdy sprawa doszła do podziału spirytusu, to mieszkańcy osady podjęli już z naczelnikiem walkę – i otwartą, i podziemną.

Zimową, księżycową nocą pojawił się w rejonie ubrany po cywilnemu człowiek w starym palcie z baranim kołnierzem i skromnej czapce-uszance na głowie. Rejon odległy był od szosy o dwadzieścia kilometrów i człowiek przebył je piechotą, po zamarzniętej rzece. Rozebrawszy się w biurze, przyjezdny poprosił, aby obudzić Bogdanowa. Ten odpowiedział, że jutro, jutro. Ale przyjezdny upierał się i poprosił Bogdanowa, aby ten wstał, ubrał się i przyszedł do biura, wyjaśniając, iż przybył jako nowy naczelnik rejonu węglowego, któremu Bogdanow powinien wszystko przekazać w ciągu dwudziestu czterech godzin. Prosi o przeczytanie rozkazu. Bogdanow ubrał

się, wyszedł i zaprosił przyjezdnego do mieszkania. Gość odmówił, oświadczając, że od razu zacznie przejmować rejon.

Nowinka rozeszła się momentalnie. Biuro zaczęło się wypełniać nieodzianymi ludźmi.

– Gdzie macie spirytus?

– Jest u mnie.

– Niech przyniosą.

Sekretarz Kartaszow i sprzątający wnieśli bidon.

– A beczka?

Bogdanow wybełkotał coś niezrozumiałego.

– Dobrze. Zaplombujcie bidon. – Przyjezdny przystawił pieczęć. – Proszę o papier na sporządzenie protokołu.

Następnego dnia wieczorem Bogdanow, świeżo ogolony, naperfumowany, wymachując wesoło wzorzystymi rękawicami, wyjechał do „centrali”. Był zupełnie trzeźwy.

– Czy to nie ten Bogdanow, który był w zarządzie wodnym?

– Pewnie nie. Proszę pamiętać, że w tej służbie oni zmieniają swoje nazwiska.

INŻYNIER KISIELOW

Nie rozumiałem duszy inżyniera Kisielowa. Był to młody, energiczny w pracy, trzydziestoletni inżynier, który bezpośrednio po ukończeniu instytutu przyjechał na Daleką Północ dla odbycia obowiązkowej trzyletniej praktyki. Jeden z niewielu naczelników czytających Puszkina, Lermontowa, Niekrasowa – mówiła o tym karta biblioteczna. A co najważniejsze – bezpartyjny; oznaczało to, że przyjechał na Daleką Północ nie dla sprawdzania czegoś tam na podstawie odgórnych poleceń. Nie spotkawszy nigdy wcześniej na swej drodze aresztantów, prześcignął w swym katostwie wszystkich katów.

Oczywiście bijąc więźniów, Kisielow dawał przykład swoim dziesiętnikom, brygadzistom oraz konwojowi. Nie mogąc uspokoić siebie, Kisielow chodził po zakończonej pracy od baraku do baraku, wyszukując ludzi, których mógłby bezkarnie znieważyć, uderzyć, pobić. Takich, którzy mu podlegali, było dwustu. Żyjąca w duszy Kisielowa mroczna żądza zabijania znalazła w warunkach bezprawia i samowładzy Dalekiej Północy ujście oraz warunki wzrostu i rozwoju. Nie chodziło o to, aby tylko zwalić z nóg – takich amatorów było wielu wśród wielkich i małych naczelników na Kołymie; swędziały ich ręce, bili, aby sobie dogodzić, a już po minucie potrafili zapomnieć o wybitym zębie, zakrwawionej twarzy aresztanta, w którego pamięci owo uderzenie naczelnika pozostało na całe życie. Chodziło więc nie tylko o to, aby uderzyć, lecz zwalić z nóg i deptać na wpół żywego swoimi podkutymi butami. Niemało więźniów widziało przy swej twarzy żelazne okucia Kisielowowskich butów.

Któż to dzisiaj siedzi na śniegu, wala się pod butami Kisielowa? Zelfugarow. To mój sąsiad z góry w więziennym przedziale pociągu zmierzającego wprost do piekła, osiemnastoletni chłopak, słabo zbudowany, ze zwiotczałymi mięśniami, przedwcześnie zwiotczałymi. Twarz Zelfugarowa zalana jest krwią i jedynie po czarnych, krzaczastych brwiach rozpoznaję swojego sąsiada: Zelfugarow to Turek, fałszerz pieniędzy. Fałszerz pieniędzy według paragrafu pięćdziesiątego dziewiątego – dwanaście – żywy!

Przecież nie uwierzy w to ani żaden prokurator, ani sędzia śledczy. Przecież za fałszywą monetę państwo ma tylko jedno – śmierć. Ale kiedy to się zdarzyło, Zelfugarow miał szesnaście lat.

– Robiliśmy dobre pieniądze, nic się nie różniły od prawdziwych – szeptał poruszony wspomnieniami Zelfugarow w baraku, w ocieplonym namiocie, w którego brezentowe wnętrze wstawiało się drewniany szkielet z dykty – bywają i takie wynalazki.

Rozstrzelano ojca, matkę oraz dwóch wujów Zelfugarowa, a on pozostał przy życiu. Zresztą i on niedługo umrze, zapewnią mu to pięści i buty inżyniera Kisielowa.

Pochyliłem się nad Zelfugarowem, a ten wypluł wprost na śnieg swoje powybijane zęby. Jego twarz puchła w oczach.

– Proszę iść, proszę iść. Kisielow zobaczy, rozgniewa się. – Szturcha mnie w plecy inżynier Wroński, górnik z Tuły, urodzony w Twerze, najnowszy model górniczych procesów. Podlec i donosiciel.

Po wąziutkich, wyrąbanych w skale stopniach wdrapujemy się na miejsce pracy. To „wręby” kopalni. Sztolnia „bita” na pochyłości, z której wytaszczono już niemało kamienia. Szyny uchodzą gdzieś daleko w głąb, gdzie wiercą, palują i podają „do góry” skalny materiał.

I Wroński, i ja, i Sawczenko, charbiński poczciarz, i maszynista parowozu Kriukow – wszyscy jesteśmy zbyt słabi, żeby być przodkowymi, żebyśmy zostali uhonorowani dopuszczeniem do kilofa i łopaty, do „wzmocnionego” przydziału, który różni się od naszego, normalnego roboczego, tylko – zdaje się – dodatkową kaszą.

Doskonale wiem, co oznacza ta skala łagrowego wyżywienia, jaką groźną treść skrywają te mające być dodatkowym bodźcem do pracy żywnościowe porcje, i nie skarżę się. Inni, nowicjusze, gorąco dyskutują najważniejszy problem: jaka kategoria wyżywienia zostanie im przydzielona na następne dziesięć dni – przydziały i kartki zmieniane są co dziesięć dni. Jaka? Jesteśmy zbyt słabi, aby liczyć na „wzmocnioną” porcję, mięśnie naszych rąk i nóg już dawno przemieniły się w coś na kształt sznurków. Ale pozostały nam jeszcze mięśnie na plecach i piersiach, mamy jeszcze skórę i kości, więc – wypełniając wolę inżyniera Kisielowa – nacieramy sobie pęcherze na piersiach. Wszyscy czterej mamy te odciski, podobnie jak białe łaty na naszych tiełogriejkach, umiejscowione na piersiach. Jak gdyby to był ujednolicony aresztancki krój.

W sztolni położone są szyny i po tych szynach, za pomocą sznura, konopnego powrozu, opuszczamy wagonetkę. Na dole ją ładują, a my wyciągamy na wierzch. Oczywiście, nawet gdybyśmy we czterech jednocześnie, jak konie moskiewskich zaprzęgów, ciągnęli tę wagonetkę, to jej nie wytaszczymy. W łagrze każdy ciągnie na pół albo na półtorej siły. Zgodnie ciągnąć w łagrze nie potrafią. Ale posiadamy mechanizm, ten sam mechanizm, który istniał w starożytnym Egipcie i pozwolił zbudować tam piramidy. Piramidy, a nie jakąś tam kopalenkę. To konny kołowrót. Tylko że tutaj zamiast koni zaprzęga się ludzi, nas, i każdy napiera piersiami na swoją belkę, pcha, a wagonetka powoli wypełza na wierzch. Tu zaś, opuściwszy kołowrót, toczymy wagonetkę na wysypisko, rozładowujemy, taszczymy z powrotem, ustawiamy na szynach i pchamy w kierunku czarnej gardzieli sztolni.

Krwawe odciski na piersi każdego, białe łaty na piersi każdego – to ślad od belkokonnego kołowrotu, egipskiego kołowrotu.

Oczekuje nas tutaj, podparłszy się pod boki, inżynier Kisielow. Pilnuje, abyśmy zajęli swe miejsce w szyku. Po dopaleniu papierosa i starannym roztarciu, wdeptaniu niedopałka w kamień Kisielow odchodzi. I chociaż wiemy, że Kisielow zrobił to specjalnie, aby nie trafiła nam się ani jedna okruszynka tytoniu, „prorab” widział rozognione pożądaniem oczy i aresztanckie nozdrza wdychające z daleka zapach tego Kisielowowskiego papierosa. Nikt nie może się opanować i całą czwórką biegniemy do skatowanego, zniszczonego skręta, usiłujemy odzyskać choć drobinkę, choć szczyptę tytoniu, ale oczywiście nie udaje nam się zebrać ani tej szczypty, ani nawet pyłka. Wszyscy mamy łzy w oczach i powracamy na swoje robocze stanowiska, do wytartych ubraniami belek konnego kołowrotu, do kręciołka-jarzma.

To Kisielow, Paweł Dymitrowicz Kisielow wskrzesił na Arkagale lodowy karcer z 1938 roku, wyrąbany w skale, w wiecznej zmarzlinie, lodowy karcer. Latem rozbierano ludzi do bielizny – odpowiadającej gułagowskiej instrukcji na lato – i sadzano do tego karceru boso, bez czapek i rękawic. Zimą sadzano w odzieży zgodnej z instrukcją na zimę. Wielu więźniów, którym zdarzyło się pobyć w tym karcerze choć jedną noc, na zawsze pożegnało się ze zdrowiem.

Wiele mówiono o Kisielowie i w barakach, i w namiotach. Metodyczne, codzienne bicie aż do śmierci wydawało się wielu z tych, którzy nie prze-

szli szkoły trzydziestego ósmego roku, czymś nazbyt strasznym, nie do zniesienia.

Wszystkich zdumiewało (czy zadziwiało lub może dręczyło) osobiste uczestnictwo naczelnika odcinka w owych codziennych egzekucjach. Aresztanci z łatwością wybaczali uderzenia, szturchańce konwojentom, nadzorcom, wybaczali je swoim brygadzistom, ale wstyd im było za naczelnika odcinka, bezpartyjnego inżyniera. Kisielowowska aktywność wywoływała oburzenie nawet u tych, których zdolność odczuwania została już dawno przytępiona przez wiele lat uwięzienia, którzy widzieli „różności" i posiedli tę wielką obojętność, jakiej łagier uczy ludzi.

To straszne zobaczyć łagier. Żaden człowiek na świecie nie powinien znać łagrów. W łagrowym doświadczeniu wszystko jest negatywne – co do jednej minuty. Człowiek staje się jedynie gorszy. I nie może być inaczej. W łagrze jest wiele tego, o czym człowiek nie powinien wiedzieć. Ale ujrzeć dno życia – to nie jest najstraszniejsze. Najstraszniejsze jest, gdy owo dno staje się własnością człowieka, gdy miara jego moralności zapożyczana jest z łagrowego doświadczenia, kiedy zastosowanie w waszym życiu znajduje moralność błatniaków. Gdy rozum człowieka stara się nie tylko usprawiedliwić owe łagrowe uczucia, ale też im służyć. Znam wielu inteligentów – i nie tylko – których postępowanie na wolności ograniczane jest po cichu jedynie tym, co wyznaczają błatniackie granice. W starciu tych ludzi z łagrem – on odniósł zwycięstwo. To – przyswojenie sobie takiego typu moralności, że „lepiej ukraść, niż poprosić". To – fałszywe błatniackie rozróżnienie między prywatną i państwową „pajką". To – zbyt swobodny stosunek do wszystkiego, co „państwowe". Wiele jest przykładów demoralizacji. A granica moralna jest bardzo ważną granicą dla więźnia. Jest to główny problem jego życia: czy pozostał człowiekiem czy też nie.

Rozróżnienie jest bardzo subtelne i nie trzeba się wstydzić wspomnień o tym, jak się było „dochodiagą", dopalającym się „knotem", biegającym „jak kurwa z kociołkiem", grzebiącym w zlewiskach pomyj. Ale trzeba – przyswojenia sobie błatniackiej moralności, nawet gdyby dawała szansę przeżycia, udawania, że jak błatniacy jest się „kryminalnym", i zachowywania się w taki sposób, żeby broń Boże nie odkrył tego ani naczelnik, ani towarzysze.

Wszystko jedno, czyś sądzony według paragrafu pięćdziesiątego ósmego, czy innego, związanego z wykonywaniem obowiązków, spowodowaniem manka lub niedbalstwem. Inteligent chce być łagrową Zoją

Kosmodemiańską: z błatniakami być błatniakiem, z kryminalistami – kryminalistą. Kradnie i pije, ciesząc się nawet, gdy złapie „kryminalny” wyrok – przynajmniej wreszcie zostaje z niego zdjęte przeklęte piętno politycznego. A przecież niczego politycznego w nim nigdy nie było. W łagrach nie było politycznych. Byli tylko urojeni, wymyśleni wrogowie, z którymi jednakże państwo rozliczało się jak z prawdziwymi wrogami – rozstrzeliwało, zabijało, morzyło głodem. Stalinowska kosa śmierci cięła wszystkich bez różnicy, opierając się na rozdzielnikach, spisach i wykonaniu planu. Pośród tych, co zginęli w łagrze, był taki sam odsetek niegodziwców i tchórzy co na wolności. Wszystko to byli ludzie przypadkowi – spośród obojętnych, tchórzy, zwykłych obywateli, a nawet spośród katów – wszystkich ich przypadek uczynił ofiarami.

Łagier był dla człowieka wielką próbą siły charakteru, zwykłej ludzkiej moralności i dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi nie wytrzymywało tej próby. Wraz z tymi, co nie wytrzymali, umierali ci, co zdołali wytrzymać, starając się być lepszymi niż wszyscy, twardszymi dla samych siebie…

Była głęboka jesień i mocno już miotło śniegiem. Młoda kaczka, spóźniona w odlocie, nie miała siły walczyć z zamiecią, opadała z sił. Na placyku zapalono „jupiter” i kaczka, zmylona jego niegrzejącym światłem, rzuciła się ku niemu jak ku słońcu, ciepłu, ciężko łopocząc namokniętymi skrzydłami. Ale zimny ogień reflektora nie był słonecznym, życiodajnym promieniem i kaczka przestała walczyć ze śniegiem. Usiadła na placyku przed sztolnią, gdzie my, szkielety, napieraliśmy piersiami na belki kołowrotu w takt urągań konwoju. Sawczenko złapał kaczkę rękami. Ogrzał ją za pazuchą w kościstym wnętrzu swej pachy, wysuszył jej pióra swym wygłodzonym i wychłodzonym ciałem.

– Zjemy ją? – spytałem, choć liczba mnoga zupełnie nie miała tu sensu, bo było to polowanie Sawczenki i zdobycz należała do niego, nie do mnie.

– Nie, lepiej ją oddam…

– Komu? Konwojentom?

– Kisielowowi.

Sawczenko odniósł kaczkę do domu, w którym mieszkał naczelnik odcinka. Żona naczelnika wyniosła Sawczence dwa odłamane kawałki chleba – ze trzysta gramów – i kociołek chudego kapuśniaku z kwaszonej kapusty. Kisielow wiedział, jak rozliczać się z aresztantami, i nauczył tego swoją żonę. Rozczarowani przełknęliśmy ten chleb: Sawczenko większy kawałek, ja – mniejszy. Wychłeptaliśmy zupę.

– Lepiej było samemu zjeść kaczkę – powiedział ze smutkiem Sawczenko.

– Nie trzeba było odnosić Kisielowowi – potwierdziłem.

Pozostawszy dzięki przypadkowi przy życiu po rozstrzeliwującym trzydziestym ósmym roku, nie miałem zamiaru ponownie skazywać siebie na znane mi męczarnie. Skazywać na codzienne, cogodzinne poniżenia, na bicie, na znęcanie się, na połajanki z konwojentami, z kucharzem, z łaziebnym, z brygadzistą, z każdym naczelnikiem, na nieustającą walkę o kawałek czegokolwiek, co dałoby się zjeść, aby nie umrzeć z głodu, dożyć takiego samego dnia nazajutrz.

Trzeba było zebrać resztki rozchwianej, udręczonej, wymęczonej woli, aby nawet za cenę życia skończyć ze znęcaniem się władzy. Życie nie jest już aż tak wielką stawką w łagrowej rozgrywce. Wiedziałem, że wszyscy myślą tak samo, tylko o tym nie mówią. Ja znalazłem sposób, aby uwolnić się od Kisielowa.

Półtora miliona ton półkoksującego węgla, nieustępującego pod względem kaloryczności węglowi donbaskiemu – taki jest zapas węgla Arkagały, rejonu węglowego w Kraju Kołymskim, gdzie modrzewiowy drzewostan, mając stale nad wierzchołkami chłód, a pod korzeniami wieczną zmarzlinę, staje się dojrzały dopiero po trzystu latach. Znaczenie węglowych rezerw pochodzących z takich lasów rozumiał każdy naczelnik na Kołymie. Dlatego w kopalni arkagalińskiej bywało często kołymskie naczalstwo najwyższej rangi.

– Jak tylko jakiekolwiek wysokie naczalstwo przyjedzie do Arkagały, trzeba dać Kisielowowi po mordzie. Publicznie. Będą przecież obchodzić baraki, a już obowiązkowo kopalnię. Wyjść z szeregu i w gębę.

– Dadzą wyrok.

– Dadzą, dwa lata. Za takiego psa więcej nie dadzą. A dwa lata trzeba przyjąć.

Nikt z grona starych kołymian nie liczył, że wróci żywy z Północy, wyrok nie miał dla nas znaczenia. Oby tylko nie rozstrzelali, nie zabili. A nawet…

– A że Kisielowa po takim policzku zabiorą od nas, przeniosą, zdegradują, to jasne. W środowisku wysokich naczelników policzek uważany jest za hańbę.

My, aresztanci, tak nie myślimy, a i Kisielow też pewnie nie. Lecz takie uderzenie w gębę stanie się głośne na całej Kołymie.

Pomarzywszy w ten sposób przy piecu, u stygnącego paleniska, o tym, co najważniejsze w naszym życiu, wlazłem na górne nary, na swoje miejsce, gdzie było trochę cieplej, i zasnąłem.

Nic mi się nie przyśniło. Rano przyprowadzono nas na miejsce pracy. Drzwi kantorka otworzyły się i próg przekroczył naczelny odcinka. Kisielow nie był tchórzem.

– Ej ty! – wrzasnął. – Wychodź!

Wyszedłem.

– A więc stanie się głośne na całej Kołymie?! Co?! No, to się trzymaj…

Kisielow mnie nie uderzył, nawet się nie zamachnął dla przyzwoitości, dla zachowania swojej godności naczelnika. Odwrócił się i odszedł. Musiałem uważać. Kisielow już więcej do mnie nie podchodził i nie robił żadnych uwag. Całkiem po prostu usunął mnie ze swego życia, ale ja rozumiałem, że on niczego mi nie zapomni, i czasami czułem na swych plecach pełen nienawiści wzrok człowieka, który jeszcze nie wymyślił sposobu zemsty.

Wiele rozmyślałem nad wielkim łagrowym arcydziełem – arcydziełem szpiegostwa, donosicielstwa. Kiedyż to doniesiono Kisielowowi? To znaczy, że szpicel nie spał w nocy, żeby pobiec do wartowni czy też do mieszkania naczelnika. Umęczony całodzienną pracą, prawowierny szpicel kradł nocne godziny swego wypoczynku, męczył się, cierpiał i „udowadniał". Któż to? Przy rozmowie było nas czterech. Ja sam nie donosiłem, to wiedziałem na pewno. Zdarzają się takie sytuacje w życiu, że człowiek sam nie wie, czy nie doniósł na swoich towarzyszy. Na przykład bezustanne, pełne skruchy podania różnego rodzaju partyjnych odchyleńców. Czy to są donosy czy też nie? Nie mówię już nic o nieprzytomnych zeznaniach z udziałem palącej się lutowniczej lampy. Tak też bywało. Do dziś chodzi po Moskwie jeden taki Buriat, profesor, z bliznami na twarzy po lutowniczej lampie trzydziestego siódmego roku. Kto jeszcze? Sawczenko? Sawczenko spał obok mnie. Inżynier Wroński? Tak, inżynier Wroński. To on. Należało się spieszyć. Napisałem karteczkę.

Następnego dnia wieczorem z odległej o jedenaście kilometrów Arkagały przyjechał okazyjnym samochodem lekarz-więzień Kunin. Trochę go znałem z punktu przesyłowego sprzed lat. Po przeglądzie chorych i zdrowych Kunin dał mi znak i udał się do Kisielowa.

– No, jak przegląd? W porządku?

– Tak, tak jakby. Mam prośbę do pana, Pawle Dymitrowiczu.

– Chętnie słucham.

– Proszę puścić Andriejewa do Arkagały. Dam skierowanie.

Kisielow poczerwieniał.

– Andriejewa? Nie. Kogo tylko pan chce, Siergieju Michajłowiczu, ale nie Andriejewa. – I zaśmiał się. – To, jakby wyrazić literackim językiem, mój osobisty wróg.

Istnieją dwie szkoły naczelników w łagrach. Jedni uważają, że wszystkich więźniów, i to nie tylko każdego, kto personalnie dokuczy naczelnikowi, należy czym prędzej odesłać, przenieść gdzie indziej, wygonić z danej pracy. Według drugiej szkoły, wszystkich osobistych wrogów i znieważycieli trzeba trzymać jak najbliżej siebie, na oczach, sprawdzając osobiście skuteczność tych karzących zabiegów, które zostały przedsięwzięte przez naczelnika dla zadośćuczynienia miłości własnej i własnej bezwzględności.

Kisielow wyznawał zasady drugiej szkoły.

– Nie śmiem nalegać – powiedział Kunin. – Prawdę mówiąc, to ja wcale nie po to przyjechałem. Mam tutaj protokoły, dość dużo – Kunin rozpiął wygniecioną brezentową teczkę. – Protokoły pobić. Jeszcze ich nie podpisywałem. Ja, wie pan, trzymam się prostego, „ludowego” poglądu na te sprawy. Umarłych się nie wskrzesi, a złamanych kości nie sklei. A zresztą martwych nie ma w tych protokołach. Wspominam tak o martwych, żeby być w zgodzie z powiedzonkiem. Nie życzę panu źle, Pawle Dymitrowiczu, mógłbym zmiękczyć niektóre lekarskie orzeczenia. Nie zniszczyć, lecz właśnie zmiękczyć. Przedstawić to, co było, łagodniej. Ale widząc pana stan nerwowy, nie będę oczywiście pana niepokoić swoją osobistą prośbą.

– Nie, nie, Siergieju Michajłowiczu – powiedział Kisielow, powstrzymując za ramię podnoszącego się z taboretu Kunina. – Dlaczego? A nie można by zupełnie porwać tych głupich protokołów? Przecież naprawdę, słowo honoru, to tak w uniesieniu. A przy tym to tacy niegodziwcy. Każdego doprowadzą do furii.

– Co do tego, że ci niegodziwcy każdego doprowadzą do ostateczności, to ja mam swój pogląd, Pawle Dymitrowiczu. A protokoły… Nie można ich oczywiście zniszczyć, ale złagodzić można.

– Więc proszę to zrobić!

– Chętnie bym to zrobił – chłodno powiedział Kunin, patrząc Kisielowowi prosto w oczy. – Ale przecież prosiłem pana o jednego aresztancika

do Arkagały, tego oto dochodiagę Andriejewa, a pan nawet słyszeć nie chce. Tylko się pan zaśmiał…

Kisielow milczał.

– Wy wszyscy to swołocz! – powiedział wreszcie. – Proszę pisać skierowanie do szpitala.

– Zrobi to felczer pańskiego odcinka, z pańskiego nakazu – odpowiedział Kunin.

Tego samego wieczoru odwieziono mnie do Arkagały, do głównej łagrowej zony, z diagnozą „ostre zapalenie kiszki”, i więcej nie widziałem Kisielowa. Ale nie minęło nawet pół roku, gdy znowu o nim usłyszałem.

W ciemnych chodnikach kopalni szeleszczono gazetą i śmiano się. W gazecie wydrukowano wiadomość o nagłej śmierci Kisielowa. Po raz setny opowiadano sobie wszystkie szczegóły, zachłystując się z radości. Nocą do mieszkania inżyniera wlazł przez okno złodziej. Kisielow nie był tchórzem, a nad jego łóżkiem wisiała zawsze nabita myśliwska dwururka. Usłyszawszy szelest, Kisielow wyskoczył z łóżka, odwiódł kurki i rzucił się do sąsiedniego pokoju. Na odgłos kroków gospodarza złodziej porwał się w kierunku okna, lecz przełażąc przez wąski otwór zakleszczył się na moment. Kisielow uderzył złodzieja z tyłu kolbą, tak jak przy obronie w walce na bagnety – według wszelkich zasad, jak uczono wszystkich wolnych w czasie wojny, według sposobów walki wręcz ich dziadów. Dwururka wystrzeliła i cały ładunek trafił do brzucha Kisielowa. Po dwóch godzinach Kisielow zmarł – bliżej niż w odległości czterdziestu kilometrów nie było chirurga, a Siergiejowi Michajłowiczowi, jako więźniowi, nie zezwolono na tę pilną operację.

Dzień, w którym przyniesiono do kopalni wiadomość o śmierci Kisielowa, był dla więźniów dniem świątecznym. Nawet, zdaje się, wypełniono w tym dniu plan.

MIŁOŚĆ KOMANDORA TOLLY'EGO

Najlżejsza praca w brygadzie wydobywającej złoto to praca „trapowego" – cieśli dosztukowującego drewniany chodnik-trap; za pomocą gwoździ łączy on deski, po których pcha się taczki z kruszywem do „butary" – prymitywnego, w kształcie beczki, sita do przemywania. Drewniane „wąsy" doprowadzone są od centralnego trapu do każdego przodka. Wszystko to, gdy spojrzeć z góry, od butary, podobne jest do gigantycznej, rozpłaszczonej stonogi, wyschniętej i przygwożdżonej do dna złotego wyrobiska.

Praca trapowego to „kant" – lekka praca w porównaniu z robotą rębacza czy też pchającego taczki. Nie miewa on w ręku ani rączek taczki, ani trzonka łopaty czy kilofa, ani łomu. Topór i garść gwoździ to wszystkie jego narzędzia. Do tej niezbędnej, nie do pominięcia pracy brygadzista wyznacza robociarzy po kolei, dając im w ten sposób choć trochę odpoczynku. Oczywiście w ciągu jednego dnia lekkiej pracy palce, obejmujące na zawsze martwym chwytem trzonek łopaty, nie zdążą się rozgiąć – na to trzeba rocznej albo i dłuższej bezczynności. Ale w owych kolejnych zamianach ciężkiej pracy na lekką istnieje jakaś kropla sprawiedliwości. Nie ma tu sztywnej kolejki – kto jest słabszy, ten ma większe szanse pracy w charakterze trapowego. Do tego, aby przybijać gwoździe i podciosywać deski, nie trzeba być ani stolarzem, ani cieślą. Ludzie posiadający wyższe wykształcenie doskonale dawali sobie z tym radę.

W naszej brygadzie „kant" nie podlegał kolejce. Miejsce trapowego zajmował zawsze jeden i ten sam człowiek – Izaak Rabinowicz, były prezes Państwowej Ubezpieczalni ZSRR. Rabinowicz liczył sobie blisko siedemdziesiąt lat, ale był z niego jeszcze krzepki staruszek, mający nadzieję, że przetrzyma swój dziesięcioletni łagrowy wyrok. W łagrze zabija praca, dlatego każdy, kto wychwala pracę w łagrze, to ktoś podły albo dureń. Dwudziestoletni i trzydziestoletni ludzie umierali jeden za drugim – po to ich przywieziono do tej „spec-zony" – a trapowy Rabinowicz żył. Miał jakieś tam znajomości z łagrowym naczalstwem, jakieś tajemnicze więzy, gdyż pracował to w dziale gospodarczym, to jako biuralista – Izaak Rabinowicz

rozumiał, że każdy dzień spędzony poza przodkiem niesie mu obietnicę życia, niesie ratunek, podczas gdy praca na przodku to zguba, śmierć. Do spec-zony nie należało przywozić staruszków w wieku emerytalnym. Dane znajdujące się w ankiecie personalnej Rabinowicza wiodły go do spec-zony na śmierć.

I tutaj Rabinowicz zaparł się, nie chciał umierać.

Pewnego razu zamknęli nas obu razem, „odizolowali" na Pierwszego Maja, jak zwykle każdego roku.

– Ja już od dawna patrzę na pana – powiedział Rabinowicz, a mnie sprawiło nieoczekiwaną przyjemność to, że ktoś zwraca na mnie uwagę, że coś tam bada, i to ktoś nienależący do tych, którzy mają obowiązek to robić.

Uśmiechnąłem się do Rabinowicza swoim krzywym uśmiechem, który rozdzierał moje poranione wargi i chore od szkorbutu dziąsła.

– Z pana to pewnie porządny człowiek. Nigdy pan nie wyraża się nieprzyzwoicie o kobietach.

– Nie zwróciłem na to uwagi. A czy tutaj rozmawia się o kobietach?

– Rozmawiają. Tylko że pan się nie miesza do tych rozmów.

– Jeśli mam powiedzieć prawdę, Izaaku Dawidowiczu, to ja uważam, że kobiety są lepsze od mężczyzn. Rozumiem, że dwoje ludzi, mąż i żona, stanowi jedność i tak dalej. Ale jednak macierzyństwo i praca… Kobiety pracują lepiej od mężczyzn.

– To rzeczywiście prawda – powiedział sąsiad Rabinowicza, buchalter Bieznożenko. – Na wszystkich udarnikach, na wszystkich subotnikach nigdy nie ustawiaj się razem z babą. Zagoni, zamęczy. Ty chcesz popalić, a ona się złości.

– To też – z roztargnieniem powiedział Rabinowicz. – Pewnie, pewnie… Na przykład Kołyma – kontynuował. – Bardzo wiele kobiet przyjechało tu w poszukiwaniu swoich mężów; straszny los, zaloty naczalstwa, tych wszystkich chamów, którzy pozarażali się syfilisem. Wie pan o tym lepiej ode mnie. A żaden mężczyzna nie przyjechał w poszukiwaniu zasądzonej i zesłanej żony. Prezesem ubezpieczalni byłem bardzo krótko – mówił Rabinowicz. – Ale wystarczyło, aby złapać „dziesiątkę". Przez wiele lat podlegały mi jej zewnętrzne aktywa. Czy pan rozumie, w czym rzecz?

– Rozumiem – odpowiedziałem bezmyślnie, gdyż nic nie rozumiałem.

Rabinowicz uśmiechnął się bardzo uprzejmie, dla przyzwoitości.

– Oprócz tej ubezpieczalnianej pracy, za granicą… – Spojrzawszy mi nagle w oczy, Rabinowicz odczuł, że nic mnie to nie obchodzi. Przynaj-

mniej do obiadu.

Rozmowa została podjęta po pierwszej łyżce zupy.

– Chce pan, opowiem panu o sobie. Przez wiele lat mieszkałem za granicą i teraz, w szpitalach, w których leżałem, w barakach, w jakich mieszkałem, wszyscy prosili, aby opowiedzieć im o jednym: jak, gdzie i co tam jadłem. To motywy gastronomiczne. Gastronomiczne koszmary, marzenia i sny. Czy panu też potrzebne takie opowiadanie?

– Owszem, mnie też – odpowiedziałem.

– Dobrze. Jestem agentem ubezpieczeniowym z Odessy. Pracowałem w „Rossiji", istniała taka agencja ubezpieczeniowa. Byłem młody, starałem się pracować dla właściciela jak najuczciwiej i jak najlepiej. Wyuczyłem się języków. Wysłano mnie za granicę. Ożeniłem się z córką właściciela. Mieszkałem za granicą do samej rewolucji. Rewolucja nie bardzo przeraziła mego pryncypała, który – podobnie jak Sawwa Morozow – stawiał na bolszewików. W czasie rewolucji byłem z żoną i córką za granicą. Teść mój umarł jakoś tak przypadkowo, nie przez rewolucję. Miałem wielu znajomych, ale im do niczego nie była potrzebna rewolucja październikowa. Czy pan mnie pojmuje?

– Owszem.

– Władza sowiecka dopiero stanęła na nogi. Przyjechali do mnie ludzie; Rosja, RSFRR, dokonywała pierwszych zakupów za granicą. Potrzebny był kredyt. Ale dla otrzymania kredytu nie wystarczało zobowiązanie Banku Państwa. Wystarczała natomiast karteczka ode mnie i moja rekomendacja. W ten sposób skontaktowałem z RSFRR Kreigera, szwedzkiego króla zapałczanego. Kilka takich operacji i pozwolono mi wrócić do ojczyzny. Zająłem się tu pewnymi delikatnymi sprawami. Słyszał pan coś niecoś o sprzedaży Spitsbergenu i związanych z tą sprzedażą rozliczeniach?

– Coś tam słyszałem.

– No więc ja przeładowywałem na Morzu Północnym norweskie złoto na nasz szkuner. Jak pan widzi, oprócz zajmowania się zagranicznymi aktywami spełniałem cały szereg takich oto poleceń. Nowym moim gospodarzem została władza sowiecka. A ja, podobnie jak w towarzystwie ubezpieczeniowym, służyłem uczciwie.

Inteligentne oczy Rabinowicza spoglądały na mnie spokojnie.

– Ja umrę. Jestem już stary i widziałem życie. Żal mi tylko żony. Mieszka w Moskwie. I córka też tam. Jeszcze nie uwięzły w obławie na

członków rodzin… Nie uda mi się chyba ich zobaczyć. Często do mnie piszą. Przysyłają paczki. A panu? Przysyłają panu paczki?

– Nie. Napisałem, że nie trzeba mi paczek. Jeżeli przeżyję, to bez żadnej pomocy z zewnątrz. Będę zobowiązany jedynie sobie.

– W tym jest coś rycerskiego. Żona i córka nie zrozumieją tego.

– Nie ma w tym niczego rycerskiego, a my obaj nie jesteśmy po drugiej stronie dobra i zła, ale poza wszystkim, co ludzkie. Po tym, co widziałem, nie chcę być nikomu w czymkolwiek zobowiązany, nawet własnej żonie.

– Trochę to mętne. A ja piszę i proszę. Paczka to zapewnione na miesiąc miejsce w łagrowej obsłudze; za to stanowisko dałem swoje najlepsze ubranie. Pan pewnie myśli, że naczelnik zlitował się nad staruszkiem…

– Myślałem, że ma pan z łagrowym naczalstwem jakieś specjalne stosunki.

– Niby donosiciel, czy tak? Ależ komu tu potrzebny siedemdziesięcioletni donosiciel! Nie, ja całkiem po prostu dałem łapówkę, dużą łapówkę. I z nikim się nie podzieliłem rezultatami tej łapówki, nawet z panem. Otrzymuję, piszę i proszę.

Po odsiedzeniu Pierwszego Maja powróciliśmy do baraku razem i zajęliśmy obok siebie miejsca na narach, ustawionych jak w wagonie. To nie było tak, że się zaprzyjaźniliśmy, w łagrze nie można się zaprzyjaźnić, ale całkiem po prostu odnosiliśmy się z szacunkiem jeden do drugiego. Ja posiadałem duże łagrowe doświadczenie, a staruszek Rabinowicz – młodzieńczą ciekawość życia. Zorientowawszy się, że nie sposób przytłumić mojej złości, zaczął odnosić się do mnie z szacunkiem, ale nic poza tym. A może wynikało to z niezaspokojonej tęsknoty staruszka – jak to bywa w wagonie – za opowiadaniem o sobie pierwszemu przygodnemu osobnikowi. O życiu, które chciało się pozostawić na ziemi.

Wszy nas nie przerażały. Właśnie w okresie mojej znajomości z Izaakiem Rabinowiczem ukradziono mi szalik, oczywiście bawełniany, ale jednak zrobiony szydełkiem, prawdziwy szalik.

Razem wychodziliśmy na odprawę po pracy, na rozprowadzanie „bez ostatniego”, jak wyraziście i jednocześnie strasznie nazywają w łagrach takie odprawy. Rozprowadzenie do pracy „bez ostatniego”. Nadzorcy łapali ludzi, konwojent popychał kolbą, zaganiając, spychając tłum oberwańców z lodowej góry, zrzucając ich na dół, a tego, kto nie zdążył (to właśnie nazywało się rozprowadzaniem „bez ostatniego”), chwytano za ręce i nogi i ciskano w dół, po zboczu tej góry. I ja, i Rabinowicz staraliśmy się jak

najszybciej zeskoczyć w dół, dotoczyć się i stanąć na placyku, gdzie już oczekiwał konwój, uderzeniami w zęby ustawiający nas w szeregi do pracy. W większości przypadków udawało się nam szczęśliwie stoczyć na dół i żywym dobrnąć do wykopu – a tam, co Bóg da.

Tego ostatniego, który się spóźnił i został zrzucony z góry, przywiązywano do konnego włoku za nogi i wleczono do miejsca pracy w wykopie. I Rabinowicz, i ja szczęśliwie jakoś unikaliśmy owej śmiertelnej przejażdżki.

Miejsce łagrowej zony dobrano w taki sposób, aby przy powrocie z pracy trzeba było wdrapywać się po wąziutkich stopniach, czepiając się resztek gołych, obłamanych krzaczków, pełznąc w ten sposób do góry. Wydawałoby się, że po pracy w wykopie kopalni złota człowiek nie znajdzie w sobie sił, ażeby jeszcze pełznąć w górę. A jednak – pełzliśmy. I chociaż po półgodzinie, po godzinie, wszak przypełzaliśmy do wrót straży, do „zony", do baraków, do mieszkania. Na frontonie wrót widniał, jak zawsze, napis: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa". Szliśmy do stołówki, coś tam piliśmy z misek, szliśmy do baraku, kładliśmy się spać. Z rana wszystko zaczynało się od początku.

Nie wszyscy tutaj głodowali, ale dlaczego, nie dowiedziałem się nigdy. Kiedy zrobiło się cieplej, na przedwiośniu, nastały białe noce i w łagrowej stołówce rozpoczęły się straszne zabawy zwane „na żywca". Kładziono na stół pajkę chleba i chowano się gdzieś w kącie, czekając, aż wygłodzona ofiara, jakiś tam dochodiaga podejdzie – zaczarowany przez ten chleb – dotknie go i chwyci. Wtedy wszyscy rzucali się z ciemnego kąta i rozpoczynało się bicie na śmierć złodzieja, żywego szkieletu. Była to nowa dla mnie rozrywka, z którą nie spotkałem się nigdzie poza Dżełgałą. Inicjatorem tych rozrywek był doktor Kriwicki, stary rewolucjonista, były zastępca ludowego komisarza przemysłu zbrojeniowego. Razem z dziennikarzem z „Izwiestii", Zasławskim, Kriwicki był głównym organizatorem owych krwawych, strasznych przynęt „na żywca".

Miałem szalik, bawełniany oczywiście, ale robiony szydełkiem, prawdziwy szalik. Podarował mi go felczer w szpitalu, gdy mnie wypisywano. Kiedy wyładowano nasz etap przy kopalni Dżełgała, pojawiło się przede mną szare, pozbawione uśmiechu oblicze z głęboko wyrytymi przez Północ zmarszczkami i plamami starych odmrożeń.

– Wymieniamy?

– Nie.

– Sprzedaj.

– Nie.

Wszyscy miejscowi, a zbiegło się ich przy naszym samochodzie ze dwie dziesiątki, spoglądali na mnie ze zdziwieniem, zdumieni moim nieopatrznym postępowaniem, głupotą i hardością.

– To starosta, łagrowy starosta – podszepnął mi ktoś, ale nadal kręciłem odmownie głową.

Na obliczu pozbawionym uśmiechu brwi uniosły się w górę. Starosta kiwnął na kogoś, wskazując na mnie.

Jednakże w tej zonie nie decydowano się na żaden rozbój ani grabież. O ileż prościej było zrobić coś innego – i ja wiedziałem, co to ma być. Zawiązałem szalik na węzeł wokół szyi i nigdy go więcej nie zdejmowałem: ani w łaźni, ani w nocy, nigdy.

Łatwo byłoby zachować szalik, ale przeszkadzały wszy. Było ich w szaliku tyle, że kiedy go zdjąłem na moment, żeby strząsnąć z siebie wszy, i położyłem przy lampie na stole, to się ruszał.

Przez dwa tygodnie walczyłem ze złodziejskimi cieniami, wmawiając sobie, że to cienie, nie złodzieje. Wystarczył jeden raz, gdy po upływie dwóch tygodni powiesiłem szalik wprost przed sobą na narach i obróciłem się, aby nalać sobie kubek wody, a szalik zniknął, pochwycony doświadczoną złodziejską ręką. Taki byłem zmęczony tą nieustanną walką o szalik, takiego wytężenia sił wymagała ta mająca nastąpić kradzież, którą wyraźnie przeczuwałem, że nawet ucieszyłem się, iż nie potrzebuję niczego pilnować. I po raz pierwszy od czasu przyjazdu do Dżełgały mocno usnąłem i miałem dobre sny. A może dlatego, że znikły tysiące wszy i ciało odczuło ulgę.

Izaak Rabinowicz ze współczuciem przypatrywał się mojej bohaterskiej walce. Oczywiście nie pomagał mi w strzeżeniu zawszonego szalika – w łagrze każdy sam dba o siebie, więc i ja nie oczekiwałem pomocy. Ale Izaak Rabinowicz pracował przez kilka dni w administracji gospodarczej i wsunął mi obiadowy talon, chcąc pocieszyć mnie po mej stracie. Podziękowałem mu.

Po pracy wszyscy od razu się kładą, podścielając pod siebie swoją brudną roboczą odzież.

Izaak Rabinowicz rzekł do mnie:

– Pragnę poradzić się pana w jednej sprawie, niezwiązanej z łagrem.

– A z generałem de Gaulle’em?

– Nie, niechże pan się nie śmieje. Otrzymałem ważny list. To znaczy ważny dla mnie.

Odegnałem morzący mnie sen, sprężyłem się całym ciałem, otrząsnąłem się i począłem słuchać.

– Mówiłem już panu, że moja żona i córka znajdują się w Moskwie. Nie ruszyli ich. Córka chce wyjść za mąż. Otrzymałem od niej list. I od jej narzeczonego, o, proszę. – Rabinowicz wyciągnął spod poduszki paczkę listów, paczkę złożoną z ładnych kartek zapisanych wyraźnym i pospiesznym charakterem pisma. Przypatrzyłem się, nie były to litery pisane grażdanką, lecz łacińskie. – Moskwa zezwoliła na przesłanie tych listów do mnie. Czy pan zna angielski?

– Ja? Angielski? Nie.

– To po angielsku. Od narzeczonego. Prosi o zezwolenie na małżeństwo z moją córką. Pisze: „Moi rodzice wyrazili już zgodę. Pozostała tylko zgoda rodziców mojej przyszłej żony. Proszę pana, mój drogi ojcze…” A oto list od mojej córki: „Ojcze, mój narzeczony, morski attaché Stanów Zjednoczonych Ameryki, komandor Tolly, prosi o twoje zezwolenie na nasze małżeństwo. Tato, odpowiedz szybko”.

– Cóż to za brednie? – powiedziałem.

– To nie brednie, lecz list komandora Tolly’ego do mnie. I list od mojej córki. I od mojej żony. – Rabinowicz z wolna namacał wesz za pazuchą, wyjął ją i rozdusił na pryczy.

– Pana córka prosi o zezwolenie na małżeństwo?

– Tak.

– Narzeczony pańskiej córki, morski attaché Stanów Zjednoczonych, komandor Tolly, prosi o zgodę na małżeństwo z pańską córką?

– Tak.

– To leć pan do naczelnika i pisz pan podanie o zezwolenie na list w trybie nadzwyczajnym.

– Ale ja nie chcę dawać zezwolenia na małżeństwo. W tym właśnie chcę się pana poradzić.

Byłem całkiem po prostu oszołomiony tymi listami, opowiadaniem i postępowaniem.

– Jeżeli zgodzę się na małżeństwo, to już jej nigdy więcej nie zobaczę. Ona pojedzie z komandorem Tollym.

– Niech pan posłucha, Izaaku Rabinowiczu, pan niedługo będzie miał siedemdziesiąt lat. Uważam pana za rozsądnego człowieka…

– Ja po prostu tak czuję, jeszcze tego do końca nie przemyślałem. Odpowiedź wyślę jutro. Pora spać.

– Lepiej jutro świętujmy już to wydarzenie. Zjemy kaszę przed zupą. A zupę po kaszy. Można jeszcze podpiec chleb. Nasuszyć sucharów. Ugotować chleb na wodzie. Co, Izaaku Rabinowiczu?

Nawet trzęsienie ziemi nie powstrzymałoby mnie przed snem, snem-zapomnieniem. Zamknąłem oczy i zapomniałem o komandorze Tollym.

Następnego dnia Rabinowicz napisał list i wrzucił do skrzynki przy strażnicy.

Wkrótce po tym zawieziono mnie na sąd, osądzono i po roku przywieziono znowu do tej samej spec-zony. Nie miałem już szalika, ale też nie było starosty. Przyjechałem jako najzwyklejszy łagrowy dochodiaga, dopalający się człowiek-knot, bez żadnych charakterystycznych cech. Ale Izaak Rabinowicz mnie poznał i przyniósł kawałek chleba. Izaak Rabinowicz umocnił się w dziale gospodarczym i nauczył się nie myśleć o dniu jutrzejszym. Nauczyła go tego praca na przodku.

– Pan, zdaje się, był tutaj wtedy, gdy moja córka miała wyjść za mąż?

– Byłem, a jakże.

– Ta historia ma swój dalszy ciąg.

– Niechże pan mówi.

– Komandor Tolly ożenił się z moją córką, na tym chyba wtedy się zatrzymałem – począł opowiadać Rabinowicz. Oczy mu się śmiały. – Pomieszkał komandor Tolly trzy miesiące. Trzy miesiące potańczył. Otrzymał dowództwo okrętu liniowego na Oceanie Spokojnym i wyjechał na miejsce swej służby. Mojej córce, żonie komandora Tolly’ego, nie zezwolono na wyjazd. Stalin zapatrywał się na takie małżeństwa jak na osobistą zniewagę, a w Ministerstwie Spraw Zagranicznych szeptano komandorowi Tolly’emu na ucho: jedź sam, zabaw się, chłopie, co cię wiąże? Ożeń się jeszcze raz. Jednym słowem, to ostateczna odpowiedź, ta kobieta pozostanie tutaj. Komandor odjechał i przez rok nie było od niego listów. A po roku skierowano moją córkę do pracy w poselstwie w Sztokholmie.

– Jako wywiadowczynię czy co? Do tajnej roboty?

Rabinowicz spojrzał na mnie z dezaprobatą, jakby ganiąc moje gadulstwo.

– Nie wiem, nie wiem, do jakiej pracy. Do ambasady. Córka przepracowała tam jeden tydzień. Przyleciał samolot z Ameryki i odleciała do Ameryki, do męża. Teraz już nie będę oczekiwał listów z Moskwy.

– A miejscowe naczalstwo?

– Miejscowi nie ośmielają się… obawiają się mieć swoje zdanie w takich kwestiach. Przyjeżdżał moskiewski sędzia śledczy, przesłuchiwał mnie w tej sprawie. I odjechał.

Na tym nie zakończyło się szczęście Izaaka Rabinowicza. Cudem nad cudy było zakończenie się jego wyroku dokładnie w terminie, dzień w dzień, bez żadnych doliczeń dni roboczych. Organizm byłego agenta ubezpieczeniowego był na tyle silny, że Izaak Rabinowicz pracował jeszcze jako wolny człowiek w charakterze inspektora finansowego na Kołymie. Na „kontynent” go nie puszczono. Umarł na dwa lata przed XX zjazdem partii.

KRZYŻ

Ślepy duchowny szedł przez podwórze, wymacując nogami wąską deskę, coś na kształt okrętowego trapu położonego na ziemi. Szedł wolno, pewnym krokiem, prawie się nie potykając, gdy zaczepiał czworokątnymi noskami ogromnych, wydeptanych, synowskich butów o tę swoją ścieżkę z drewna. W obu rękach niósł wiadra z dymiącym poidłem dla swoich kóz, zamkniętych w niziutkiej, ciemnej szopie. Było ich trzy: Maszka, Ela i Tonia – imiona dobrane zostały umiejętnie, różniąc się między sobą samogłoskami. Zazwyczaj gdy zawołał, odzywała się tylko ta koza, którą wołał; natomiast rano, gdy zbliżał się czas karmienia, beczały jedna przez drugą przenikliwymi głosami, wysuwając po kolei mordki przez szczelinę w drzwiach szopy. Przed półgodziną ślepy duchowny wydoił je do wielkiego szkopka i odniósł parujące mleko do domu. Ogarnięty wieczną ciemnością, często mylił się przy dojeniu i cienka stróżka mleka trafiała bez szmeru obok szkopka, na ziemię – kozy oglądały się bojaźliwie na swe mleko dojone wprost na ziemię. A może i się nie oglądały.

Mylił się często nie tylko dlatego, że był ślepy. Przeszkadzało mu również to, że gdy ciepłą ręką ściskał wymię kozy, zapominał o sobie i o tym, co robi. Rozmyślał o rodzinie. Duchowny oślepł wkrótce po śmierci syna, czerwonoarmisty w kompanii chemicznej, zabitego na froncie północnym. Glaukoma. „Żółta woda” zaostrzyła się silnie i duchowny stracił wzrok. Miał jeszcze inne dzieci – dwóch synów i dwie córki – ale ten średni był dzieckiem ukochanym i tak jakby jedynym.

Doglądaniem kóz, karmieniem, dojeniem i sprzątaniem zajmował się sam – i ta desperacka, niepotrzebna praca była dla niego miarą samoutwierdzania się w życiu. Ślepiec przyzwyczajony był do tego, że utrzymywał dużą rodzinę, przywykł do zajmowania swego miejsca w życiu w niezależności od nikogo – ani od społeczeństwa, ani od własnych dzieci. Nakazał żonie, aby skrupulatnie zapisywała wydatki ponoszone na utrzymanie kóz i dochody pochodzące ze sprzedaży mleka w lecie. Kozie mleko kupowano w mieście chętnie, uznając je za szczególnie potrzebne chorym na gruźlicę.

Pogląd ten nie miał większej wartości w aspekcie medycznym, w każdym razie nie więcej niż znana, polecana przez kogoś dla gruźlików dieta z mięsa czarnych szczeniąt. Ślepy i jego żona pili po kubku czy po dwa dziennie, a wartość tego mleka duchowny też kazał zapisywać.

Od razu, w ciągu pierwszego lata, okazało się, że pasza kosztuje znacznie więcej niż uzyskiwane mleko, a przy tym podatki od „drobnych zwierząt" wcale nie były takie małe. Ale żona popa ukrywała prawdę przed mężem i powiedziała, że kozy przynoszą dochód. I ślepy duchowny dziękował Bogu, że znalazł w sobie jeszcze siły, aby w czymkolwiek pomóc swojej żonie.

Jego żona, którą do 1928 roku wszyscy w mieście nazywali mateczką (w 1929 zaś przestali – kiedy prawie wszystkie cerkwie w miastach wysadzono w powietrze, a „zimny sobór", w którym niegdyś modlił się Iwan Groźny, przekształcono w muzeum), jego żona była kiedyś tak otyła, gruba, że jej własny syn, mający wtedy sześć lat, kaprysił i płakał, powtarzając: „Ja nie chcę z tobą iść, ja się wstydzę, taka jesteś gruba!"

Od dawna nie była już taka gruba, ale otyłość, niezdrowa otyłość osoby chorej na serce pozostała w jej olbrzymim ciele. Ledwo chodziła po pokoju, z trudem przemieszczając się od pieca w kuchni do okna w pokoju. Z początku duchowny prosił, aby mu coś poczytała, ale żona nie miała czasu – w gospodarstwie pozostawało zawsze tysiące spraw do załatwienia, trzeba było ugotować jedzenie dla siebie i dla kóz. Do sklepów nie chodziła, niewielkie zakupy robiły dla niej sąsiedzkie dzieci, którym nalewała trochę koziego mleka lub wtykała w rękę landrynkę.

Na przedpiecku rosyjskiego pieca stał kocioł – „sagan", tak zwą to naczynie na Północy. Sagan miał odbity brzeg, odbity jeszcze w pierwszym roku małżeństwa. Kipiące poidło dla kóz przelewało się przez ten wyszczerbiony brzeg i ściekało na przedpiecek, a stamtąd skapywało na podłogę. Obok sagana stał garnek z kaszą – obiad dla popa i jego żony. Ludzie potrzebowali znacznie mniej od zwierząt.

Ale i oni czegoś tam potrzebowali.

Zajęć było właściwie niewiele, lecz kobieta zbyt wolno poruszała się po pokoju, trzymając się rękami mebli, i pod koniec dnia była tak zmęczona, że nie znajdowała w sobie sił na czytanie. Zasypiała, a duchowny się złościł. On sypiał bardzo mało, chociaż przymuszał się, żeby spać, spać… Kiedyś jego syn, który przyjechał do domu na urlop, zmartwiony tym beznadziejnym stanem ojca, spytał w zdenerwowaniu:

– Tato, dlaczego ty ciągle śpisz, i dniem, i nocą? Dlaczego ty tak dużo śpisz?

– Głupiś – odpowiedział duchowny – przecież właśnie we śnie widzę…

I syn nie mógł zapomnieć tych słów aż do samej śmierci.

Radio przeżywało swój dziecięcy wiek. Detektorowe odbiorniki skrzypiały u miłośników radia i nikt nie odważał się podłączyć przewodu uziemienia do kaloryfera czy aparatu telefonicznego. Duchowny wprawdzie tylko słyszał o odbiornikach radiowych, ale czuł, że jego dzieci, które wyleciały w świat, nie zdołają zebrać pieniędzy dla niego nawet na słuchawki.

Ślepiec nie rozumiał dobrze, dlaczego musieli opuścić pokój, w którym przeżyli ponad trzydzieści lat. Żona coś mu tam szeptała swoimi bezzębnymi, ogromnymi i sepleniącymi ustami, coś niezrozumiałego, w podnieceniu i złości. Nigdy nie powiedziała mu prawdy: o tym, jak milicjanci wynosili przez drzwi nieszczęsnego pokoju połamane krzesła, starą szafę, skrzynkę z fotografiami, dagerotypami, sagany i garnuszki oraz trochę książek – resztkę ogromnej kiedyś biblioteki, a także kufer, w którym przechowywany był złoty krzyż do noszenia na piersi, ostatnie, co im pozostało. Ślepiec nic nie zrozumiał. Odprowadzono go do nowego mieszkania, a on milczał, modląc się w duszy do Boga. Drące się kozy przeprowadzono na nowe miejsce, urządził je tam znajomy cieśla. W owym zamieszaniu jedna z kóz zaginęła, ta czwarta – Ira.

Ci, co mieli teraz zamieszkać tam nad brzegiem rzeki – młody prokurator i jego żona-modnisia – oczekiwali w Hotelu Centralnym na zawiadomienie, że mieszkanie jest już wolne. Do pokoju popa wprowadzono ślusarza wraz z rodziną, z mieszkania naprzeciwko, a dwa pokoje ślusarza przechodziły na użytek prokuratora. Miejski prokurator nigdy nie widział i później też nie zobaczył ani duchownego, ani ślusarza, na których miejscu, jeszcze „ciepłym” miejscu, miał zamieszkać.

Duchowny i jego żona rzadko wspominali poprzednie mieszkanie; on dlatego, że był ślepy, a ona dlatego, że zbyt wiele nieszczęść musiała w tym mieszkaniu oglądać – więcej niźli radości. Pop nigdy nie dowiedział się, że żona – dopóki mogła – piekła pierożki i sprzedawała na targu, że przez cały czas pisała listy do znajomych i krewnych, prosząc o jakąkolwiek pomoc dla siebie i ślepego męża. I zdarzało się, że przychodziły pieniądze, niewielkie, ale jednak można było za nie kupić siano i wytłoki dla kóz, opłacić pastucha.

Kozy należało już dawno sprzedać – sprawiały tylko kłopot. Ale żona bała się nawet o tym myśleć – przecież było to jedyne zajęcie ślepego męża. I pamiętając, jakim żywym i energicznym człowiekiem był mąż do czasu owego strasznego kalectwa, nie znajdowała w sobie dość siły, aby zacząć z nim rozmowę o sprzedaży kóz. Wszystko zatem pozostawało bez zmian.

Pisała również do dzieci, które dawno wyrosły i miały swoje rodziny. Dzieci odpowiadały na jej listy – wszystkie miały własne kłopoty, własne dzieci; zresztą, nie wszystkie dzieci odpisywały.

Starszy syn już dawno, jeszcze w latach dwudziestych, wyrzekł się ojca. Istniała wtedy taka moda wyrzekania się swoich rodziców – niemało znanych później pisarzy i poetów rozpoczęło swoją działalność literacką od tego rodzaju oświadczeń. Starszy syn nie był ani poetą, ani niegodziwcem. Całkiem po prostu obawiał się życia i kiedy zaczęto mu dokuczać w pracy rozmowami o „pochodzeniu społecznym”, skierował stosowne oświadczenie do gazety. Nie przyniosło mu ono korzyści i to kainowe piętno niósł ze sobą aż do trumny.

Córki duchownego powychodziły za mąż. Starsza mieszkała gdzieś na południu, nie rozporządzała w swojej rodzinie pieniędzmi, obawiając się męża, ale często pisała do domu łzawe, pełne udręki listy; a stara matka odpowiadała, płacząc nad jej listami i pocieszając ją. Starsza córka co roku przysyłała matce paczkę zawierającą kilkadziesiąt kilogramów winogron. Paczka z południa szła długo, lecz matka nigdy nie napisała córce, że winogrona zawsze przychodzą zepsute – z całej paczki mogła wybrać zaledwie kilka jagód dla siebie i męża. Za każdym razem dziękowała, uniżenie dziękowała i wstydziła się poprosić o pieniądze.

Druga córka była felczerką. Po wyjściu za mąż miała zamiar odkładać swą mizerną pensyjkę i przekazywać ją ślepemu ojcu. Jej mąż, pracownik związków zawodowych, pochwalił ten zamiar i przez trzy miesiące mogła przekazywać swoją „wypłatę” do rodzinnego domu. Ale po porodzie przestała pracować, krzątając się dniami i nocami przy swoich bliźniętach. W niedługim czasie okazało się, że mąż – ów pracownik związków zawodowych – to nałogowy pijak. Staczał się w swojej zawodowej karierze i po dwóch latach był już tylko zaopatrzeniowcem; ale i przy tej pracy nie mógł się długo utrzymać. Żona, pozostawszy z dwojgiem małych dzieci bez żadnych środków do życia, musiała ponownie podjąć pracę i borykała się, jak

mogła, utrzymując za pensję siostry medycznej dwójkę dzieci i siebie. Jak więc mogła pomóc swej starej matce i ślepemu ojcu?

Młodszy syn nie ożenił się. Jemu właśnie wypadałoby żyć wspólnie z ojcem i matką, ale on wolał próbować szczęścia w pojedynkę. Po średnim bracie został spadek – myśliwska strzelba, prawie nowiutki bezkurkowy sauer – i ojciec kazał go matce sprzedać za dziewięćdziesiąt rubli. Za dwadzieścia uszyto dwie satynowe koszule-tołstojówki i młodszy syn pojechał do ciotki w Moskwie, gdzie najął się do pracy w fabryce. Posyłał do domu pieniądze, ale niewiele, po pięć, po dziesięć rubli miesięcznie. Wkrótce jednak, za udział w konspiracyjnym zebraniu, został aresztowany, zesłany i ślad po nim zaginął.

Ślepy duchowny i jego żona wstawali zawsze o szóstej rano. Staruszka matka rozpalała w piecu, a ślepiec szedł doić kozy. Pieniędzy w ogóle już nie było, ale starej kobiecie udawało się czasem pożyczyć kilka rubli od sąsiadów. Cóż, kiedy trzeba je było oddawać, a nic nie pozostało do sprzedania – wszystko, co nadawało się do noszenia, wszystkie obrusy, bielizna, krzesła, wszystko już dawno zostało sprzedane lub wymienione na mąkę dla kóz i kaszę do zupy. Obydwie ślubne obrączki i srebrny łańcuszek na szyję zostały sprzedane jeszcze w zeszłym roku w „Torgsinie”.

Tylko z okazji wielkich świąt gotowana była zupa na mięsie, a i cukier staruszkowie kupowali jedynie przy święcie. Chyba że zaszedł ktoś i wetknął cukierek lub bułkę – stara matka brała to wtedy, niosła do swego pokoju i wsuwała między suche, nerwowe, bezustannie poruszające się palce męża. Śmiali się i całowali wzajemnie; stary duchowny całował zniekształcone przez ciężką domową pracę, popuchnięte, popękane i brudne palce żony. Stara kobieta płakała i całowała staruszka w głowę. Dziękowali sobie wzajemnie za całe dobro, którym obdarzyli się w życiu, i za to, co ofiarowywali sobie teraz.

Każdego wieczoru duchowny stawał przed ikoną, gorąco się modlił i dziękował Bogu, że ma taką żonę. Bywało czasem, że nie stanął zwrócony twarzą do ikony, a wtedy żona spełzała z łóżka i objąwszy jego ramiona, ustawiała go twarzą skierowaną na obraz Jezusa Chrystusa. A ślepy duchowny złościł się.

Staruszka starała się nie myśleć o dniu jutrzejszym. Lecz oto nastąpił taki poranek, że nie było co dać jeść kozom, a ślepy duchowny obudził się i zaczął się odziewać, wymacując buty pod łóżkiem. Wtedy staruszka

poczęła krzyczeć i płakać, jak gdyby to ona była winna temu, że nie ma już co jeść.

Starzec wdział buty i usiadł na swoim połamanym, miękkim fotelu. Pozostałe meble zostały dawno sprzedane, ale ślepiec o tym nie wiedział – matka podarowała je jakoby córkom. Ślepy pop siedział, odchyliwszy się na oparcie fotela, i milczał. Na twarzy jego nie widać było zakłopotania.

– Daj mi krzyż – powiedział, wyciągając obie ręce i poruszając palcami.

Żona pokusztykała do drzwi i założyła haczyk. Unieśli we dwójkę stół i wyszarpnęli spod niego kufer. Z drewnianego pudełka z nićmi żona duchownego wydostała kluczyk i otworzyła kufer. Był pełen rzeczy, ale co to były za rzeczy – dziecinne koszulki synów i córek, wiązki pożółkłych listów, które przed czterdziestu laty pisali do siebie, ślubne świece z drucianymi ozdobami (już dawno wykruszył się z nich wosk), kłębki różnokolorowej wełny, wiązki szmacianych skrawków na łaty. A na samym dnie dwie niewielkie skrzyneczki, w jakich bywają przechowywane ordery, zegarki lub kosztowności.

Kobieta, prostując się, westchnęła ciężko i z godnością otworzyła skrzyneczkę, w której na nowiutkiej jeszcze, atłasowej poduszeczce leżał krzyż do noszenia na piersi – z maleńką rzeźbioną figurką Jezusa Chrystusa. Był czerwonawy, z dukatowego złota.

Ślepy duchowny obmacał krzyż.

– Przynieś topór – powiedział cicho.

– Nie trzeba, nie trzeba – zaszeptała i objęła ślepca, starając się zabrać krzyż z jego rąk.

Ale ślepy duchowny wyrwał krzyż ze zgrubiałych i opuchniętych palców swojej żony, boleśnie ją przy tym urażając.

– Przynieś – powiedział – przynieś!… Czy w tym jest Bóg?

– Ale ja nie będę… Jeśli chcesz, to sam…

– Tak, tak, ja sam.

Na wpół oszalała z głodu żona popa pokusztykała do kuchni, gdzie zawsze leżał topór i suche polano na szczapki do rozpalania samowara. Przyniosła topór do pokoju, założyła haczyk i głośno, bez łez, poczęła lamentować.

– Nie patrz – powiedział ślepy duchowny, układając krzyż na podłodze.

Ale ona nie mogła, nie potrafiła nie patrzeć. Krzyż leżał figurką w dół. Ślepiec namacał krzyż i zamachnął się toporem. Uderzył, a krzyż odskoczył po podłodze, z lekka podzwaniając. Duchowny chybił. Namacał go ponow-

nie, położył znowu tam, gdzie przedtem, i uniósł topór. Tym razem krzyż wygiął się tak, że udało się palcami odłamać kawałek. Żelazo było twardsze od złota; okazało się, że wcale nietrudno porąbać krzyż.

Żona popa już nie płakała i nie lamentowała, jak gdyby krzyż porąbany na kawałki przestał być czymś świętym, a stał się całkiem po prostu tylko cennym metalem, czymś na kształt złotego samorodka. Spiesznie i jednocześnie bardzo wolno zawijała kawałki krzyża w szmatki, wkładając je z powrotem do skrzynki na ordery. Nałożywszy okulary, uważnie obejrzała ostrze topora, czy nie zostały na nim okruszynki złota.

Kiedy już wszystko zostało schowane i kufer postawiony na miejscu, duchowny wdział swój brezentowy płaszcz, nałożył czapkę, wziął szkopek i poszedł wzdłuż położonej na podwórzu deski doić kozy. Spóźnił się z dojeniem. Był już pełny dzień i sklepy dawno zostały otwarte. Sklepy „Torgsinu”, gdzie sprzedawali produkty spożywcze za złoto, otwierano o dziesiątej rano.

PIERWSZY CZEKISTA

Tracą barwę ciemnobłękitne oczy. Chabrowe w dzieciństwie, przemieniają się wraz z mijającymi latami w brudnomętne oczka filistra; lub też w szklane macki śledczych i strażników; albo w „stalowe” oczy żołnierzy – tych odcieni bywa wiele. I bardzo rzadko oczy zachowują barwę dzieciństwa.

Splot więziennych krat rozdzielił czerwony pęk promieni słonecznych na kilka mniejszych; gdzieś pośrodku celi zlewały się one w jeden ciągły, czerwonozłoty strumień światła. W tej świetlnej strudze złocił się gąszcz drobinek pyłu, a muchy, znalazłszy się w niej, same stawały się złote jak słońce. Promienie zachodu biły wprost w drzwi okute błyszczącym żelazem.

Brzęknął zamek – był to dźwięk słyszany w więziennej celi przez każdego aresztanta, śpiącego czy na jawie – w każdej chwili. Nie ma takiej rozmowy w celi, która mogłaby zagłuszyć ten dźwięk. Nie ma takiego snu w celi, który uwolniłby aresztanta od tego dźwięku. Nie ma takiej myśli, która mogłaby… Nikt nie zdoła tak się skupić na niczym, by móc przegapić ten dźwięk, nie usłyszeć go. Każdemu zamiera serce, gdy słyszy stuk zamka – przeznaczenie pukające do drzwi celi, do serc, umysłów i duszy. Ten dźwięk każdego napełnia obawą. I nie można go pomylić z żadnym innym.

Brzęknął zamek, drzwi się otworzyły i potok promieni wyrwał się z celi. Widać było przez otwarte drzwi, jak przebiegły one korytarz, uderzyły w jego okna, przeleciały przez więzienny podwórzec i rozbiły się na szybach drugiego więziennego bloku. Zdążyło to spostrzec sześćdziesięciu mieszkańców celi przez ten krótki moment, gdy drzwi były otwarte. Zamykając się, wydały one dźwięk podobny do tego, z jakim zatrzaskuje się wieko starych kufrów. I od razu wszyscy aresztanci – śledzący ten przerzut strumienia światła, jakby to była żywa istota, ich towarzysz i brat – pojęli, że słońce zamknięto wraz z nimi.

Wtedy dopiero wszyscy zobaczyli, że przy drzwiach, mrużąc oczy od ostrego światła i chwytając na swą szeroką czarną pierś uderzenie złoci-

stych promieni zachodzącego światła, stoi człowiek.

Niemłody, wysoki i barczysty, z głową całą pokrytą jasnymi włosami. Dopiero przyjrzawszy się bliżej, można było pojąć, że to już od dawna siwizna rozjaśniała jego złote włosy. Pełna zmarszczek, podobna do plastycznej mapy geograficznej twarz pokryta była mnóstwem głębokich śladów po ospie, przypominających księżycowe kratery.

Człowiek odziany był w czarną, sukienną, wojskową bluzę bez pasa, rozpiętą na piersiach, w czarne sukienne spodnie galife, w długie buty. W rękach miętosił czarny wojskowy płaszcz porządnie już przetarty. Ubranie jakoś tam się trzymało – wszystkie guziki zostały odprute.

– Aleksiejew – powiedział cicho, skierowując dużą, owłosioną kiść ręki dłonią ku swej piersi. – Witajcie…

Ale już szli ku niemu, ośmielając go nerwowym aresztanckim śmiechem, poklepywali po ramionach, ściskali ręce. Już zbliżał się starosta celi, wybrana władza, aby wskazać nowemu miejsce.

– Gawryił Aleksiejew – powtarzał niedźwiedziowaty człowiek. I ponownie: – Gawryił Timofiejewicz Aleksiejew…

Czarny człowiek odsunął się w bok i promień słońca nie przeszkadzał już widzieć oczu Aleksiejewa – dużych, chabrowych, dziecinnych oczu.

Cela szybko dowiedziała się o szczegółach życia Aleksiejewa – naczelnika straży pożarnej narofomińskiej fabryki – stąd jego czarne, urzędowego kroju ubranie. Tak, członek partii od 1917 roku. Tak, jako żołnierz-artylerzysta brał udział w październikowych walkach w Moskwie. Tak, usunięty z partii w dwudziestym siódmym roku. Potem przywrócony w prawach członka. I ponownie usunięty – przed tygodniem.

Będąc aresztowanymi, ludzie różnie się zachowują. U jednych przełamanie bariery nieufności to trudna sprawa. Powoli, dzień po dniu, przywykają oni do swojego losu, zaczynają coś niecoś rozumieć.

Aleksiejew był inny. Tak jakby przez wiele lat milczał i dopiero areszt, więzienna cela, przywróciły mu dar mowy. Znalazł tu możliwość tego, co najważniejsze – rozeznania własnego losu i zrozumienia dlaczego… Znalezienia odpowiedzi na ogromne, gigantyczne „dlaczego”, co nawisło nad jego życiem i przeznaczeniem, i nie tylko nad nim, lecz nad setkami tysięcy innych.

Aleksiejew liczył na uniewinnienie, nie pytając, lecz starając się po prostu zrozumieć, porównać, rozeznać.

Od rana do wieczora chodził tam i z powrotem po celi, ogromny, podobny do niedźwiedzia, w czarnej wojskowej bluzie bez pasa, objąwszy kogokolwiek swoim ogromnym łapskiem, i rozpytywał, rozpytywał, rozpytywał… Albo opowiadał.

– Za cóż ciebie usunęli, Gawriusza…

– No, rozumiesz, tak. Były to zajęcia kółka politycznego. Temat – „Październik w Moskwie". A przecież ja jestem żołnierzem Murałowa, artylerzysta, miałem dwie rany. Osobiście nakierowywałem działa na junkrów, było to przy Nikitskich Wrotach. Mówi do mnie wykładowca na zajęciach: „Kto dowodził wojskami sowieckiej władzy w Moskwie w czasie przewrotu?" Ja mówię – Murałow, Mikołaj Iwanowicz. Dobrze go znałem, osobiście. Jakże inaczej powiem? Co powiem?

– To było prowokacyjne pytanie, Gawriło Timofiejewiczu. Przecież wiedziałeś, że Murałowa ogłoszono wrogiem ludu?

– No, ale jak inaczej powiesz? Przecież ja to wiem nie z ich politycznych nauk. Tejże nocy zostałem aresztowany.

– A jak trafiłeś do Narofomińska? Do straży pożarnej?

– Dużo piłem. Zdemobilizowano mnie z Czeki jeszcze w osiemnastym roku. A tam właśnie skierował mnie Murałow. Jako nadzwyczaj pewnego… No i tam zaczęła się moja choroba.

– Jaka choroba, Gawriusza… Ty, taki zdrowy niedźwiedź.

– Jeszcze zobaczycie. Ja sam nawet nie wiem, jaką to mam chorobę. Nie potrafię zapamiętać. Nie pamiętam, co się ze mną dzieje. A coś się jednak dzieje. Pojawia się niepokój, złość, i przychodzi Ona…

– To od wódki?

– Nie, nie od wódki… Od życia. Wódka swoją drogą.

– A gdyby tak uczyć się… Były po temu wszystkie możliwości.

– Jak jednak mogłem się uczyć. Dla jednych nauka, a dla innych obrona tego uczenia się. Co, niełądnie mówię rodaku? A potem nadeszły te lata – przecież nie do rabfaku trzeba było iść. Pozostał tylko ten przeklęty WOCHR. I wódka. I Ona.

– A dzieci masz?

– Była córka, od pierwszej żony. Odeszła ode mnie. Żyję teraz z jedną tkaczką. No, a mój areszt uczynił ją półżywą ze strachu. Jeżeli jej nie przerazi na śmierć. A dla mnie areszt – od razu zrobiło się lekko. O niczym nie trzeba myśleć. Wszystko zadecyduje się poza mną. Beze mnie pomyślą. Jakże dalej żyć Gawriuszy Aleksiejewowi?

Niewiele dni minęło, wszystkiego kilka dni. Przyszła Ona.

Aleksiejew krzyknął żałośnie, rozrzucił ręce i runął na wznak na nary. Twarz jego poszarzała, a z jego posiniałych, bezwładnych warg ściekała przepełniona pęcherzykami piana. Na szarych policzkach i uwłosionych piersiach wystąpił zimny pot. Sąsiedzi z nar uchwycili za ręce i zwalili się na nogi Aleksiejewa. Ciało jego drgało, silnie wstrząsane. „Chrońcie mu głowę, głowę", ktoś podsunął mu czarny szynel pod spoconą głowę ze zwichrzonymi włosami. Przyszła Ona. Atak padaczki trwał długo. Potężne kłęby muskułów wciąż się napinały, pięści kogoś biły, a niezręczne palce sąsiadów starały się rozginać te mocarne kułaki. Nogi gdzieś tam biegły, ale ciężar kilku ludzi utrzymywał Aleksiejewa na narach.

W końcu muskuły zwiotczały i palce się rozgięły. Aleksiejew spał.

Przez cały czas dyżurny celi stukał do drzwi, zaciekle wzywając lekarza. Przecież powinien być jakiś lekarz w Butyrkach. Jakiś Fiodor Pietrowicz Gaas. Lub całkiem po prostu wojskowy lekarz jakiegoś tam stopnia, porucznik służby medycznej.

Okazało się, że to nie takie proste wezwać lekarza, ale w końcu lekarz przyszedł. Pojawił się w lekarskim fartuchu, założonym na mundur oficera, w towarzystwie dwu krzepkich pomocników, wyglądających na felczerów. Lekarz wlazł na nary i zbadał Aleksiejewa. Atak już minął i Aleksiejew spał. Nie mówiąc ani słowa ani nie odpowiadając na żadne z pytań, którymi go zasypali aresztanci, lekarz odszedł. W ślad za nim odeszli jego milczący pomocnicy. Zadźwięczał zamek, powodując wybuch oburzenia. I dopiero kiedy pierwsze podniecenie opadło, otworzyło się „okienko" w więziennych drzwiach i dyżurny nadzorca rzekł: „Lekarz powiedział – nic nie trzeba robić. To epilepsja. Zwracajcie uwagę, aby język się nie zapadał… Jeśli nastąpi kolejny atak – nie trzeba wzywać. Na tę chorobę nie ma lekarstwa".

Tak więc cela nie wzywała już więcej lekarza do Aleksiejewa. A ataków epilepsji miał on jeszcze bardzo wiele.

Po atakach Aleksiejew leżał, skarżąc się na ból głowy. Mijał jeden czy dwa dni i znów wypełzała ogromna, podobna do niedźwiedzia postać w czarnej, sukiennej, wojskowej bluzie, w czarnych sukiennych spodniach galife i chodziła, chodziła po cementowej podłodze celi. Znów błyskały ciemnobłękitne oczy. Po dwu więziennych dezynfekcjach – „przeparkach" czarne sukno odzieży Aleksiejewa stało się bure i nie wydawało się już tak czarne.

A Aleksiejew wciąż chodził, chodził – prostodusznie opowiadał o swoim minionym życiu, o życiu przed chorobą, spiesząc się wyłożyć swojemu rozmówcy to, co jeszcze nie zostało powiedziane w tej celi.

– …Teraz, jak mówią, są specjalni wykonawcy. A wiesz jak u Dzierżyńskiego była postawiona sprawa?

– Jak?

– Jeżeli Kolegium orzeka najwyższy wymiar, to wyrok powinien wykonać ten sam śledczy, który prowadził sprawę, ten, który ją referował i żądał takiej kary. Żądasz kary śmierci dla tego człowieka? Jesteś przekonany o jego winie, pewien, że jest on wrogiem i winien jest śmierci? Zabij go własnoręcznie. To bardzo wielka różnica – czy podpisać papierek potwierdzający wyrok, czy zabić samemu.

– Wielka…

– Oprócz tego każdy śledczy powinien był sam znaleźć czas i miejsce dla tych swoich spraw… Różnie bywało. Jedni w gabinecie, drudzy na korytarzu, inni w jakiejś piwnicy. Wszystko to przy Dzierżyńskim śledczy sam przygotowywał… Tysiąc razy pomyślisz, zanim poczniesz prosić o karę śmierci dla człowieka…

– Gawriusza, a widziałeś rozstrzeliwania?

– No, widziałem. Kto ich nie widział?

– A czy to prawda, że ten, kogo rozstrzeliwują, pada na twarz do przodu?

– Tak, to prawda. Gdy patrzy na ciebie.

– A jeśli strzelać z tyłu…

– Wtedy upadnie na wznak.

– A czy tobie przydarzali się… tak…

– Nie, ja nie byłem śledczym. Przecież nie mam wykształcenia. Po prostu byłem w oddziale. Zwalczałem bandytyzm i tak dalej. Ale zachorowałem na to i zdemobilizowali mnie. Jako epileptyka. No i zacząłem popijać. Co także, jak mówią, nie sprzyja wyzdrowieniu.

Więzienie nie lubi spryciarzy. W celi każdy przez dwadzieścia cztery godziny jest u wszystkich na oczach. Człowiekowi nie starczy sił, aby w celi więzienia śledczego skryć swój charakter, udawać, że jest kimś innym w ciągu tych minut, godzin, dób, tygodni, miesięcy napięcia i nerwów – kiedy wszystko, co zbędne, na pokaz, zlatuje z ludzi jak łuska. I pozostaje prawda – nie ta, którą stworzyło więzienie, ale ta przez więzienie sprawdzona i wypróbowana. Wola jeszcze niezłamana, niezmiażdżona, jak to nieuchronnie bywa w łagrze. Ale kto wtedy myślał o łagrze, o tym, co

to jest. Być może niektórzy wiedzieli i chętnie opowiedzieliby o łagrze, uprzedzili nowicjusza. Człowiek jednak wierzy w to, w co chce wierzyć.

Oto siedzi czarnobrody Weber, śląski komunista, kominternowiec, którego przywieźli z Kołymy na dodatkowe śledztwo. On wie, co to łagier. A oto Aleksander Grigorjewicz Andriejew, dawny sekretarz generalny towarzystwa katorżan-więźniów politycznych, prawicowy eser, znający zarówno carską katorgę, jak i sowieckie zesłanie, Andriejew, ten zna pewną prawdę nieznaną większości. Nie wolno o niej powiedzieć. Nie dlatego, że to sekret, lecz dlatego, że w nią nie można uwierzyć. Dlatego Weber i Andriejew milczą. Więzienie – to więzienie. Więzienie śledcze – jest więzieniem śledczym. Każdy ma swoją sprawę, własną walkę, własny sposób bycia, którego nie podpowiesz, własny obowiązek, własny charakter, swoją duszę, swój zapas sił duchowych, swoje doświadczenie. Wartości ludzkie zostają poddane próbie nie tylko w samej więziennej celi czy poza jej ścianami, w jakimś gabinecie śledczego. Ten los, uzależniony jak gdyby od łańcucha przypadkowości, najczęściej jednak wcale od nich nie zależy.

Nawet śledcze więzienie – nie tylko doraźne – lubi ludzi prostodusznych, otwartych. Do Aleksiejewa cela odnosiła się życzliwie. Czy lubiła go? Czy można kogoś lubić w celi śledczej? Przecież to śledztwo, punkt przesyłowy, tranzytka. Do Aleksiejewa cela odnosiła się życzliwie.

Mijały tygodnie, miesiące i wciąż Aleksiejewa nie wywoływano na przesłuchanie. A Aleksiejew wciąż chodził, chodził.

Wśród śledczych istnieją dwie szkoły. Według pierwszej należy aresztowanego natychmiast oszołomić, ogłuszyć. Szkoła ta buduje swoje powodzenie na szybkim ataku psychologicznym, nacisku, stłamszeniu woli znajdującego się pod śledztwem aresztanta, dopóki ten się nie pozbierał, nie rozejrzał, nie zebrał się wewnętrznie. Sędziowie śledczy należący do tej szkoły rozpoczynają przesłuchania w noc aresztu, wielogodzinne, pełne wszystkich możliwych pogróżek. Druga szkoła uważa, że jedynie cela więzienna wymęczy, osłabi wolę sprzeciwu u aresztanta. Czym dłużej pobędzie aresztant w celi śledczej przed spotkaniem z prowadzącym śledztwo, tym jest to dla śledczego dogodniejsze. Aresztowany przygotowuje się do przesłuchania, pierwszego w jego życiu, pełen napięcia. A przesłuchania nie ma! Nie ma go tydzień, miesiąc, dwa miesiące. Całą pracę mającą na celu zgnębienie psychiki aresztanta wykonuje za śledczego więzienna cela.

Nie wiadomo, jak jedna i druga szkoła wykorzystuje tak efektywne narzędzie pracy jak tortury. Opowiadanie to dotyczy początku trzydziestego

siódmego roku, a stosowanie tortur rozpoczęto w drugiej połowie tego roku.

Śledczy Gawryiła Timofiejewicza Aleksiejewa należał do drugiej grupy.

Pod koniec trzeciego miesiąca Aleksiejewskiego chodzenia po celi przybiegła dziewczyna w wojskowej bluzie i wywołała Aleksiejewa – „według inicjałów", ale „bez rzeczy" – a więc na przesłuchanie.

Aleksiejew przygładził swoje jasne kędziory własnym łapskiem – i poprawiwszy swoją wyszarzałą bluzę, przekroczył próg celi.

Z przesłuchania powrócił szybko. A więc przesłuchiwano go w specjalnym korpusie więzienia, przeznaczonym na przesłuchania, nigdzie nie wożąc. Aleksiejew był zdziwiony, przygnębiony, porażony, wstrząśnięty i przestraszony.

– Czy coś się stało, Gawryile Timofiejewiczu?

– Tak, stało się. Coś nowego na przesłuchaniu. Oskarżają mnie o spisek przeciwko rządowi.

– Spokojnie, Gawriusza… W tej celi wszystkich oskarżają o spisek przeciwko rządowi.

– Mówią, że chciałem zabić.

– I tak też często bywa. A o co ciebie przedtem oskarżali?

– A w Narofomińsku, po aresztowaniu. Byłem naczelnikiem straży pożarnej w fabryce włókienniczej. Czyli że niewysokie stanowisko.

– Tutaj nie zwracają uwagi na stopnie, Gawriusza.

– No i pytali wtedy o zajęcia kółka politycznego. Kto chwalił Murałowa. A ja przecież byłem u niego w oddziale w Moskwie. Ja powiem… A teraz nagle wcale nie było mowy o Murałowie.

Ślady po ospie i zmarszczki wystąpiły wyraźniej. Aleksiejew uśmiechał się tak jakoś specjalnie spokojnie i jednocześnie niepewnie, a jego ciemnobłękitne oczy rozpalały się coraz rzadziej. Ale dziwna sprawa – ataki epilepsji stały się rzadsze. Bliskie niebezpieczeństwo, konieczność walki o życie tak jakby odsunęły na bok te ataki.

– Co robić, oni mnie wykończą.

– Nic nie trzeba robić. Mów tylko prawdę. Zeznawaj prawdę, dopóki masz siłę.

– To myślisz, że nic się nie stanie?

– Na odwrót, obowiązkowo coś tam się stanie. Bez tego stąd nie wypuszczają, Gawriusza. A rozstrzał to nie to samo, co dziesięć lat wyroku. A dziesięć lat to nie pięć.

– Zrozumiałem.

Gawryił Timofiejewicz zaczął częściej śpiewać. A śpiewał cudownie. Takim czystym, jasnym tenorem. Śpiewał cicho w kąciku oddalonym od „judasza”.

Jaka piękna była ta niebieska nocka,
Jak łagodnie świeci! bladolicy księżyc…

Ale częściej, coraz częściej inną:

Otwórzcie mi okno, otwórzcie,
Niedługo mi zostało żyć.
Na wolność, na wolność mnie puśćcie,
By miłość i ból mógł się zbyć.

Aleksiejew przerywał pieśń, zrywał się i chodził, chodził…

Bardzo często się kłócił. Więzienne życie w śledztwie sprzyja powstawaniu kłótni. Trzeba o tym wiedzieć, rozumieć, cały czas trzymać się w ryzach albo umieć się oderwać… Gawryił Aleksiejew nie znał tych więziennych subtelności i pchał się do kłótni, do awantury.

Ten coś tam powiedział Aleksiejewowi nie tak, tamten obraził Murałowa. Murałow był bogiem Aleksiejewa. Był to bóg jego młodości, bóg jego całego życia.

Kiedy Wasia Żaworonkow, maszynista z parowozowni sawiełowskiej coś tam powiedział o Murałowie w stylu ostatnich partyjnych podręczników, Aleksiejew rzucił się na niego, chwycił miedziany czajnik, w którym rozdawano w celi wrzątek.

Czajnik ten, pozostały w butyrskim więzieniu jeszcze z carskich czasów – to ogromny miedziany cylinder. Wyczyszczony cegłą połyskiwał jak zachodzące słońce. Przynoszono ten czajnik na drągu, a nasi dyżurni musieli go trzymać we dwóch, gdy rozlewali ten wrzątek.

Siłacz, herkules Aleksiejew śmiało uchwycił rączkę czajnika, ale nie mógł go ruszyć z miejsca. Czajnik był napełniony wodą – do kolacji, kiedy go zabierano, było jeszcze daleko.

I tak wszystko skończyło się na śmiechu, chociaż Wasia Żaworonkow zbladł i przygotował się na uderzenie. Wasia Żaworonkow był prawie z tej samej sprawy co Gawryił Timofiejewicz. Jego również aresztowali po zajęciach kółka politycznego. Prowadzący zajęcia zapytał go: „Co byś zrobił,

Żaworonkow, gdyby władza sowiecka nagle przestała istnieć?” Prostoduszny Żaworonkow opowiedział: „Jak to co? Pracowałbym jako maszynista w parowozowni, tak jak teraz. Ja mam czworo dzieci”. Następnego dnia Żaworonkow został aresztowany i śledztwo już ukończono – maszynista czekał na wyrok. Sprawa była podobna i Gawryił Aleksiejew radził się Żaworonkowa – byli przyjaciółmi. Ale kiedy okoliczności sprawy Aleksiejewa zmieniły się – zaczęto go oskarżać o spisek przeciwko rządowi – tchórzliwy Żaworonkow odsunął się od przyjaciela. I nie omieszkał wstawić uwagi na temat Murałowa.

Ledwie uspokojono Aleksiejewa po tym na wpół komicznym starciu z Żaworonkowem, gdy wybuchła nowa kłótnia. Aleksiejew ponownie przezwał kogoś chytrusem. Znowu Aleksiejewa odciągali od kogoś. Już cała cela rozumiała i widziała: już wnet powinna przyjść Ona. Koledzy chodzili za Aleksiejewem, wziąwszy go pod ręce, gotowi w każdej sekundzie uchwycić je, złapać za nogi, podtrzymać głowę. Ale Aleksiejew nagle wyrwał się, wyskoczył na parapet okienny, wczepił się obu rękami w więzienną kratę i wstrząsał nią, wstrząsał, klnąc i wrzeszcząc. Czarne ciało Aleksiejewa zawisło na kracie jak ogromny, czarny krzyż. Aresztanci odrywali od krat palce Aleksiejewa, rozginali jego dłonie, spieszyli się, bo strażnik na wieżyczce już spostrzegł krzątaninę przy otwartym oknie.

I wtedy Aleksander Grigorjewicz Andriejew, sekretarz generalny związku katorżan-więźniów politycznych, rzekł, wskazując na czarne, spełzające z kraty ciało:

– Pierwszy czekista…

Ale w głosie Andriejewa nie było złośliwej satysfakcji.

WEISMANISTA

Na ziemi, u progu laboratorium widniały świeże ślady niedźwiedzich pazurów. Zameczek, zmyślny śrubowy zameczek, na który zamykano drzwi, walał się w krzakach wyrwany razem ze skoblem, całkiem po prostu – z „mięsem”…

Wewnątrz butelki, flakoniki, słoiki zmiecione zostały z półek na ziemię i zamienione w szklaną kaszę. W domku utrzymywał się ostry zapach kropli walerianowych.

Zeszyty z felczerskich kursów, na których uczył się Andriejew, porwane były w strzępy. Przez kilka godzin zbierał z trudem, kartkę po kartce, swoje drogocenne notatki – przecież na tych kursach nie było żadnych podręczników. Do walki z chorobami w głębokiej tajdze felczer Andriejew uzbrojony był tylko w te notatki. Jeden z zeszytów ucierpiał bardziej niż inne: zeszyt z anatomii i jego pierwsza strona, gdzie nieprzyuczoną do rysowania ręką Andriejewa przedstawiony został schemat podziału komórki, elementy jej jądra, tajemnicze chromosomy. Niedźwiedzie pazury znęcały się tak wściekle nad tym rysunkiem, nad tym zeszytem z celuloidową okładką, że trzeba było rzucić go do pieca, do żelaznego piecyka. Strata była nie do powetowania. Był to cykl wykładów profesora Umańskiego.

Kursy felczerów prowadzone były przy szpitalu dla więźniów, a Umański był anatomopatologiem, prosektorem prowadzącym kostnicę. Anatomopatolog – to jakby zza grobu prowadzona kontrola pracy lekarzy. W czasie sekcji, otwarcia ciała, rozkrojenia trupa, sądzi się o słuszności diagnozy, o prawidłowości leczenia.

Ale kostnica dla więźniów – to specjalna kostnica. Zdawałoby się, że wielka demokratka, śmierć, nie powinna interesować się tym, kto leży na stole sekcyjnym kostnicy, nie powinna w różnych językach rozmawiać z trupami.

Leczenie chorego więźnia, a do tego jeszcze przez lekarza-więźnia, to nie takie proste, jeżeli ten lekarz nie jest nikczemnikiem.

I w szpitalu, i w kostnicy dla więźniów wszystko odbywa się według tego samego schematu, do którego należy się stosować w każdym szpitalu na świecie. Ale proporcje są przesunięte – i „historia choroby” więźnia to co innego niż „historia choroby” wolnego.

Rzecz nie tylko w tym, że przedstawiciel śmierci – anatomopatolog, sam jest żywym jeszcze człowiekiem ze swoimi namiętnościami, urazami, zaletami i wadami – człowiekiem o różnym doświadczeniu. Tu chodzi o coś więcej, gdyż oficjalna suchość protokołu sekcji nie wystarcza ani dla potrzeb życia, ani śmierci.

Jeżeli chory umierał, mając postawioną diagnozę raka, a w czasie sekcji nie znaleziono tej złośliwej opuchliny – gdyż było to głębokie, zapuszczone wycieńczenie, Umański oburzał się i nie przebaczał lekarzom, którzy nie potrafili uratować chorego od śmierci wywołanej głodem. Ale jeżeli widać było, że lekarz rozumie, o co chodzi, i nie mając prawa postawienia diagnozy w postaci „dystrofii alimentarnej”, szuka gorączkowo synonimów (głód upostaciowany awitaminozami, poliawitaminoza, szkorbut III, pelagra, nazw tych cały legion), Umański wspierał wtedy lekarza swoim pewnym osądem. A nawet więcej. Jeżeli lekarz chciał ograniczyć się do pełni respektowanej diagnozy w postaci pogrypowego zapalenia płuc albo niewydolności serca, to wskazujący palec anatomopatologa zwracał uwagę lekarzy na łagrową osobliwość każdej choroby.

Lekarskie sumienie Umańskiego również było skrępowane, skute. Pierwsza oficjalna diagnoza – „dystrofia alimentarna”, postawiona została po wojnie, po blokadzie leningradzkiej, kiedy głód w łagrach doczekał się właściwej nazwy.

Anatomopatolog powinien być sędzią, a Umański był współsprawcą… I właśnie dlatego był sędzią, że mógł być współsprawcą. Jakkolwiek by był związany instrukcją, nakazem, objaśnieniami, Umański patrzył głębiej, dalej, bardziej zasadniczo. Swoje obowiązki upatrywał nie w tym, żeby przyłapywać lekarzy na drobiazgach, na drobnych błędach, lecz w tym, żeby widzieć i wskazywać innym! – to wielkie, co kryło się za tymi drobiazgami, to „tło” utworzone przez głodowe wycieńczenie, zmieniające obraz choroby, którą lekarz studiował z podręczników. Podręcznik chorób więźniów nie był jeszcze napisany. Nigdy nie został napisany.

Odmrożenia w łagrze są czymś szokującym frontowych lekarzy przybyłych z „kontynentu”. Leczenie złamań prowadzi się wbrew woli chorych. Po to, aby trafić na oddział chorych na gruźlicę, chorzy wiozą ze sobą

cudzą plwocinę i przed analizą, przy przyjęciu do szpitala, biorą do ust jawnie „bakteryjną” truciznę. Chorzy dodają do moczu krew z własnego rozdrapanego palca, aby trafić do szpitala, aby chociaż na dzień, na godzinę wyzwolić się od tego, co najstraszniejsze dla pozbawionych wolności – od zabójczej i poniżającej pracy.

Umański, podobnie jak i wszyscy starzy kołymianie-lekarze, wiedział o tym, uznawał i wybaczał. Podręcznik chorób więźniów nie był jeszcze napisany.

Wykształcenie medyczne Umański zdobył w Brukseli, a w czasie rewolucji powrócił do Rosji, leczył…

W łagrze zrozumiał, że dla spokoju sumienia lepiej jest ciąć martwych, niż leczyć żywych. Umański został prowadzącym kostnicę anatomopatologiem.

Siedemdziesięcioletni, wcale jeszcze nie niedołężny staruszek, z rozchwianymi obu szczękami, ze srebrzystą, krótko, po aresztancku ostrzyżoną głową, kpiarz o zadartym nosie wszedł do klasy.

Wykład jego miał dla uczestników kursu specjalne znaczenie. Nie dlatego, że był to pierwszy wykład, lecz dlatego, że od teraz, od pierwszego wypowiedzianego przez profesora Umańskiego słowa, rozpoczynało się życie kursu, jawnie i na serio, wbrew temu, że mogło się to wydać bajką. Minął czas obaw. Decyzja o otwarciu kursów została podjęta. Dla wielu skończy się wyniszczająca praca w złotych wyrobiskach, codzienna walka o życie. Nauka rozpoczęła się cyklem wykładów profesora Umańskiego: „Anatomia i fizjologia człowieka”.

Srebrnowłosy staruszek w rozpiętym półkożuszku, czarnym i znoszonym – nie w watowanym buszłacie, jak myśmy chodzili, a w półkożuszku – podszedł do tablicy i ujął swoją ręką ogromny kawał kredy. Pomiętą czapkę-uszankę profesor rzucił na stół – był kwiecień, jeszcze było chłodno.

– Swoje wykłady rozpocznę opowieścią o budowie komórki. Obecnie wiele jest sporów w nauce…

Gdzie? Jakie spory? Uprzednie życie wszystkich tych trzydziestu ludzi – od sędziego śledczego do sprzedawcy z wiejskiego sklepu – było bardzo dalekie od życia jakiejkolwiek nauki. Uprzednie życie uczestników kursu było bardziej oddalone od teraźniejszego niż życie pozagrobowe – każdy był tego pewien… Co oni mieli do tego, że istnieją jakieś tam spory w jakiejś tam nauce. A przy tym, co to za nauka – anatomia? fizjologia?

biologia? mikrobiologia? W tym dniu żaden z uczestników kursu nie potrafiłby powiedzieć, co to takiego „biologia”. Ci zaś z nich, bardziej wykształceni, zbyt długo głodowali, aby zachować zainteresowanie sporami w jakiejś tam nauce…

– …wiele jest sporów w nauce. Dziś przyjęło się wykładać tę część tematyki kursu inaczej, ale przedstawiam ją tak, jak uważam za słuszne. Dogadałem się z waszą administracją, że ten rozdział przedstawię po swojemu.

Andriejew spróbował wyobrazić sobie tę administrację, z którą dogadał się brukselski profesor: naczelnika szpitala, który ostrym spojrzeniem strażnika przeszywał każdego kursanta podczas egzaminu wstępnego, albo pachnącego spirytusem, jąkającego się, o czerwonym nosie, pełniącego obowiązki naczelnika wydziału zdrowia. Poza tym żadnej wyższej administracji Andriejew nie potrafił sobie ani wyobrazić, ani wymyśleć.

– …ten rozdział przedstawię po swojemu. I nie chcę ukrywać przed wami swoich poglądów.

– Ukrywać swoich poglądów – szeptem powtórzył Andriejew, zachwycony tymi niezwykłymi słowami z niezwykłej nauki.

– …nie chcę ukrywać swoich poglądów. Ja jestem weismanista, moi drodzy…

Umański zrobił pauzę, żebyśmy mogli docenić jego śmiałość i delikatność.

Weismanista? Kursantom było to obojętne.

Nikt spośród trzydziestu ludzi nie wiedział i nigdy się nie dowiedział, co to takiego mitoza i co to takiego nukleoproteidowe nici – chromosomy, zawierające kwas dezoksyrybonukleinowy.

Nie interesowała się również dezoksyrybonukleinowym kwasem administracja szpitala.

Ale minął rok czy dwa i życie społeczne zaczęły przecinać we wszystkich kierunkach ciemne promienie biologicznej dyskusji i słowo „weismanista” stało się dostatecznie jasnym pojęciem dla sędziów śledczych ze średnim wykształceniem prawniczym i dla zwykłych ludzi, wystawionych na burze politycznych represji. „Mendlista-weismanista” – zadźwięczało groźnie, zadźwięczało złowrogo, tak jak dobrze znane – „trockista” i „kosmopolita”.

Wtedy właśnie, gdy minął rok biologicznej „dyskusji”, Andriejew wspominał i doceniał śmiałość i delikatność staruszka Umańskiego.

Trzydzieści ołówków w trzydziestu zeszytach rysowało wyobrażone przez siebie chromosomy. Ten właśnie zeszyt z chromosomami wywołał taką specjalną wściekłość niedźwiedzia.

Ale nie tylko dzięki tajemniczym chromosomom, nie tylko z powodu wyrozumiale prowadzonych i mądrych sekcji utkwił Umański w pamięci Andriejewa.

Pod koniec kursu, gdy medyczni rekruci czuli już na sobie biały, felczerski fartuch oddzielający ich od zwykłych śmiertelników, Umański wystąpił z dziwnym oświadczeniem.

– Nie będę prowadzić wykładu o anatomii organów płciowych. Dogadałem się z waszą administracją. Poprzednie grupy miały ten wykład i nic dobrego z tego nie wyszło. Lepiej poświęcę te godziny na praktykę terapeutyczną – przynajmniej bańki nauczycie się stawiać.

Tak więc kursanci otrzymali dyplomy, nie przechodząc ważnego rozdziału anatomii. Ale czyż tylko tego nie znali przyszli felczerzy?

Jakieś dwa miesiące po rozpoczęciu kursu, kiedy udało się powstrzymać bezustanne ssanie głodu, zwalczyć go, zagłuszyć, i Andriejew nie rzucał się już na każdy niedopałek, który spostrzegł na drodze, ulicy, na ziemi, na podłodze, a na jego twarzy poczęły się pojawiać jakieś nowe – a może stare? – ludzkie rysy, i samo spojrzenie, nie tylko oczy, stało się bardziej ludzkie, Andriejew został zaproszony do profesora Umańskiego na herbatę.

Podrapany, emaliowany kubek z gorącą herbatą oczekiwał Andriejewa. Obok kubka stała szklanka gospodarza – prawdziwa szklanka, zielonkawomętna i nieprawdopodobnie brudna, nawet jak na przyzwyczajone do wszystkiego oczy Andriejewa. Umański nigdy nie mył swojej szklanki. To także było odkrycie Umańskiego, jego wkład w naukę, higienę, zasada, którą wprowadzał twardo w życie z uporem i pedagogiczną nietolerancją.

– Niemyta szklanka jest w naszych warunkach czystsza, bardziej sterylna niż myta. To najlepsza higiena – jedyna być może… Czy pan pojmuje? – Umański pstryknął palcami. – Ręcznik zawiera więcej infekcji niż powietrze. *Ergo*: szklanki nie należy myć. Ja posiadam starowierską, prywatną szklankę. I płukać nie trzeba – w powietrzu mniej jest infekcji niż w wodzie. To abecadło wymogów sanitarnych i higieny. Pojmuje pan?

Umański przymrużył oczy.

– To odkrycie nie tylko dla kostnicy.

Herbata – to właśnie była herbata. Ani chleb, ani cukier tu się nie należał i Andriejew nie oczekiwał takiego picia herbaty z chlebem. Herbata – to

była wieczorna pogawędka z profesorem Umańskim, pogawędka w cieple, sam na sam.

Umański mieszkał w kostnicy, w kancelarii. Do prosektorium drzwi w ogóle nie istniały i z pokoju widać było, ze wszystkich jego kątów, stół do sekcji, zaścielony zresztą ceratą. Do prosektorium nie było drzwi, ale Umański tak przywykł do wszystkich zapachów na świecie, że zachowywał się, jakby drzwi były. Andriejew nie od razu się zorientował, co powoduje, że ten pokój jest pokojem, ale potem zrozumiał, że podłoga w pokoju położona została o pół metra wyżej niż podłoga w prosektorium. Gdy praca dobiegała końca, Umański ustawiał na swoim roboczym stole fotografię młodej kobiety, zdjęcie w jakiejś blaszanej ramce z nierówno i niedokładnie wprawionym szkłem okiennym. Prywatne życie profesora Umańskiego zaczynało się właśnie tym sprawdzonym, nawykłym ruchem. Palce prawej ręki chwytały ściankę szuflady, wysuwały ją, opierając o brzuch profesora. Lewą ręką Umański brał fotografię i stawiał przed sobą na biurku…

– Córka?

– Tak. Gdyby syn, to byłoby znacznie gorzej, prawda?

Na czym polegała dla więźnia różnica pomiędzy synem i córką, Andriejew rozumiał dobrze. Z szuflad stołu – okazało się, że jest ich bardzo wiele – profesor Umański wyciągnął niezliczone kartki, nacięte z rulonów papieru, pomięte, zniszczone, poliniowane w słupki – mnóstwo takich słupków, mnóstwo wierszy. W każdej komórce drobnym pismem Umańskiego wpisane było słowo. Tysiące, dziesiątki tysięcy zapisanych wyblakłym pod wpływem działania czasu atramentem, gdzieniegdzie wpisanych na nowo. Umański znał pewnie ze dwadzieścia języków.

– Znam dwadzieścia języków – powiedział Umański. – Jeszcze przed Kołymą je znałem. Doskonale znam hebrajski. To korzeń wszystkiego. Tutaj, w tej samej kostnicy, wyuczyłem się arabskiego, tureckiego, farsyjskiego, gruzińskiego… Sporządziłem tablice – zestawienie wspólnego, jednolitego języka. Rozumie pan, w czym rzecz?

– Wydaje mi się, że tak – powiedział Andriejew. – Matka – „mutter”, brat – „bruder”.

– To to, ale wszystko jest bardziej złożone, ważniejsze. Poczyniłem pewne odkrycia. Ten słownik będzie moim wkładem do nauki, potwierdzeniem mojego życia. Czy pan nie jest lingwistą?

– Nie, profesorze – powiedział Andriejew i kłujący ból przeszył mu serce – tak zapragnął nim być w tym momencie.

– Szkoda.

Deseń zmarszczek twarzy Umańskiego zmienił się nieco i ponownie przybrała ona swój zwykły, ironiczny wyraz.

– Szkoda. To jest zajęcie bardziej interesujące niż medycyna. Ale medycyna – bardziej pewna, zbawcza.

Umański uczył się w Brukseli. Po rewolucji powrócił do ojczyzny, pracował jako lekarz, leczył. Umański rozszyfrował istotę trzydziestego siódmego roku. Rozumiał, że jego długi pobyt za granicą, jego znajomość języków, jego wolnomyślicielstwo – to wystarczający powód do represji; staruszek popróbował przechytrzyć los. Zrobił śmiały krok – podjął służbę w Dalstroju i wyjechał na Kołymę, na Daleką Północ w charakterze lekarza i przybył do Magadanu jako wolny. Leczył i żył. Umański nie wziął pod uwagę uniwersalności działających instrukcji – Kołyma nie uratowała go, podobnie jak by go nie uratował i biegun północny. Został aresztowany, osądzony przez trybunał i otrzymał dziesięcioletni wyrok. Córka wyrzekła się „wroga ludu” i znikła z życia Umańskiego, pozostała jedynie przypadkowo ocalona fotografia na biurku brukselskiego profesora. Dziesięcioletni wyrok dobiegał końca, premiowane zaliczenia roboczych dni Umański otrzymywał punktualnie i bardzo się nimi interesował.

Jeszcze w czterdziestym szóstym roku, po kolejnej herbatce w kostnicy z Andriejewem i lingwistycznym czarowaniu, Umański, tracąc prawie oddech, wyszeptał na ucho Andriejewowi:

– Najważniejsze to przeżyć Stalina. Wszyscy, którzy przeżyją Stalina – będą żywi. Pan zrozumiał? Nie może tak być, żeby przekleństwa milionów ludzi spadające na jego głowę nie zmaterializowały się. Zrozumiał pan? On na pewno umrze od tej ogólnej nienawiści. Będzie miał raka albo jeszcze coś innego. Pan rozumie? Jeszcze będziemy żyć.

Andriejew milczał.

– Rozumiem i uznaję pańską ostrożność – powiedział Umański, już nie szeptem. – Myśli pan, że jestem jakimś tam prowokatorem? Przecież mam siedemdziesiąt lat.

Andriejew milczał.

– Słusznie pan milczy – powiedział Umański. – Prowokatorami bywali też siedemdziesięcioletni staruszkowie. Wszystko było…

Andriejew milczał, zachwycając się Umańskim, nie mając siły, aby się przemóc i przemówić. To bezwiedne, mechaniczne milczenie było częścią sposobu bycia, do którego przywykł Andriejew w ciągu swojego życia

w łagrze, z oskarżeniami, śledztwami, przesłuchaniami i wewnętrznymi zasadami, które nie tak łatwo było naruszyć, odrzucić. Andriejew uścisnął rękę Umańskiego, suchą, gorącą, maleńką, starczą dłoń z chwytliwymi, gorącymi palcami.

Kiedy profesor skończył swój wyrok, otrzymał w przydziale pobyt do końca życia w Magadanie. Umański zmarł 4 marca 1953 roku, do ostatniej minuty kontynuując swoją nikomu niepokazaną, przez nikogo niepodjętą pracę z zakresu lingwistyki. I tak profesor nigdy się nie dowiedział, że skonstruowany został mikroskop elektronowy i że teoria chromosomów została eksperymentalnie potwierdzona.

PRZYSTAŃ PIEKIEŁ

Ciężka pokrywa ładowni otworzyła się nad nami i po wąskiej, żelaznej drabince zaczęliśmy pojedynczo wychodzić na pokład. Konwojenci byli ustawieni jeden przy drugim wzdłuż relingu na rufie statku ze skierowanymi na nas karabinami. Ale nikt nie zwracał na nich uwagi. Ktoś tam krzyczał – szybciej, szybciej, tłum cisnął się jak na każdym dworcu przy wsiadaniu do pociągu. Drogę wskazywano tylko tym z przodu – wzdłuż karabinów do szerokiego trapu – na barkę, a z barki drugim trapem – na ląd. Nasz rejs się skończył. Dwanaście tysięcy ludzi przywiózł nasz parowiec i dopóki ich wyładowywano – był czas, aby się rozejrzeć.

Minęły już gorące, rozświetlone jesiennym słońcem, władywostockie dni, zniknęły przeczyste kolory dalekowschodniego nieba o zachodzie – nieskazitelne i wyraziste, bez półtonów i przejść, pozostające w pamięci na całe życie.

Z białawomętnego, posępnego, jednobarwnego nieba padał chłodny, drobny deszcz. Wprost przed nami stały gołe, bezleśne, kamieniste zielonawe sopki, a w prześwitach pomiędzy nimi, u samych podnóży przewijały się brudnoszare, poszarpane chmury. Jak gdyby strzępy olbrzymiego koca okrywały ten posępny, górzysty kraj. Pamiętam dobrze – byłem zupełnie spokojny, gotowy na wszystko, ale serce mi zabiło i ścisnęło się mimo woli. I odwracając wzrok, pomyślałem: Przywieźli nas tu na śmierć.

Kurtka moja z wolna namakała. Siedziałem na walizce, którą przy aresztowaniu zabrałem z domu powodowany wieczną ludzką zapobiegliwością. Wszyscy, wszyscy mieli jakieś rzeczy: walizki, plecaki, pozwijane koce… Znacznie później zrozumiałem, że idealny ekwipunek aresztanta – to niewielka płócienna torba, a w niej drewniana łyżka. Cała reszta, czy to ogryzek ołówka, czy koc – wszystko to tylko przeszkoda. Czego jak czego, ale pogardy do własności osobistej to nas nauczono niezgorzej.

Spoglądałem na parowiec, który przycisnął się do nabrzeża, taki maleńki i przechylany ciemnoszarymi falami.

Poprzez szarą siatkę deszczu przebijały posępne sylwetki skał okrążających zatokę Nagajewo i tylko tam, skąd przypłynął parowiec, widniał pofałdowany w nieskończoność ocean, który jak ogromny zwierz warował u brzegu, ciężko wzdychając, a wiatr poruszał jego sierścią, układającą się łuskowatymi, błyszczącymi także w deszczu falami. Było zimno i strasznie. Gorąca, jesienna wyrazistość kolorów słonecznego Władywostoku pozostała gdzieś tam, w innym, prawdziwym świecie. Tutaj był świat nieprzyjemny i posępny.

W pobliżu nie było widać żadnych budynków mieszkalnych. Jedna droga, omijająca sopkę, uchodziła gdzieś wyżej.

Wyładunek zakończył się wreszcie i już o zmierzchu „etap” wolno ruszył w góry. Nikt o nic nie pytał. Ludzki tłum popełzł drogą, często zatrzymując się dla odpoczynku. Walizki zaczęły ciążyć, a odzież namokła.

Po dwu zakrętach zobaczyliśmy obok nas w skalnym załomie szeregi drutów kolczastych. Od wewnątrz do drutów cisnęli się ludzie. Coś tam krzyczeli i nagle poleciały w naszym kierunku bochenki chleba. Przerzucali je przez drut, a my łapaliśmy, rozłamywaliśmy i dzielili. Mieliśmy za sobą miesiące więzienia, 45 dni etapu koleją, 5 dni morza. Głodni byli wszyscy. Nikomu nie dano pieniędzy na drogę. Chciwie jedliśmy ten chleb. Szczęśliwiec, któremu udało się złapać bochenek, obdzielał nim wszystkich chętnych – szlachetne postępowanie, którego po trzech tygodniach oduczyliśmy się na zawsze.

Prowadzono nas wciąż dalej i dalej. Zatrzymywaliśmy się coraz częściej. I wreszcie drewniane wrota, drut kolczasty, a wewnątrz szeregi pociemniałych od deszczu brezentowych namiotów – białych i ciemnozielonych, ogromnych. Dzielono nas, odliczając i zapełniając jeden namiot za drugim. W namiotach znajdowały się drewniane piętrowe nary „wagonowego typu” – każda nara na ośmiu ludzi. Zajęliśmy swoje miejsca. Brezent przeciekał, na podłodze i na narach stały kałuże, ale byłem tak zmęczony (i inni nie mniej ode mnie) – przez ten deszcz, powietrze, przemarsz, namokniętą odzież, walizkę – że zwinąłem się byle jak, nie myśląc o przesuszeniu odzieży – zresztą gdzie ją było suszyć – ległem i zasnąłem. Było ciemno i chłodno…

DO SZPITALA

Krist był wysokiego wzrostu, ale felczer był jeszcze wyższy. Barczysty i z dużą gębą – już od dawna, od wielu lat Kristowi wydawało się, że wszyscy naczelnicy mają takie same wielkie gęby. Ustawiwszy Krista w kącie, felczer oglądał swą zdobycz z wyraźnym uznaniem

– Więc mówisz, że byłeś sanitariuszem?

– Byłem.

– To dobrze. Potrzebuję sanitariusza. Prawdziwego sanitariusza. Żeby był porządek. – I felczer powiódł rękami po ogromnym ambulatorium podobnym do stajni.

– Potrzebny jest mi szpital – powiedział Krist przypochlebnie. – Jestem chory.

– Wszyscy są chorzy. Zdążysz. Zaprowadzimy porządeczek. Uruchomimy tę oto szafę. – Felczer postukał w drzwi ogromnej, pustej szafy. – No, już późno. Wyszoruj podłogę. I kładź się… Obudzisz mnie po pobudce.

Zanim Krist zdążył rozprowadzić lodowatą wodę po wszystkich zakątkach przemrożonego ambulatorium, jego pracę przerwał senny głos nowego gospodarza. Krist wszedł do sąsiedniego pokoju, także o wyglądzie stajni, z wciśniętą w kąt pryczą. Schowany pod kupą porwanych koców, półkożuszków, szmat, usypiający felczer wołał Krista.

– Zdejmij mi walonki, sanitariuszu!

Krist ściągnął z nóg felczera śmierdzące walonki.

– Postaw przy piecu – nieco wyżej. A z rana podasz mi cieplutkie. Lubię cieplutkie.

Krist ściągnął szmatą brudną, lodowatą wodę, wytarł podłogę ambulatorium, legł na pryczy, pogrążył się w półsennym zapomnieniu i – jak gdyby po chwili – przebudził się. Felczer targał go za ramię.

– Co ty wyczyniasz? Już od dawna wychodzą do pracy!

– Ja nie chcę być sanitariuszem. Proszę odesłać mnie do szpitala.

– Do szpitala? Na szpital trzeba zasłużyć… A więc nie chcesz być sanitariuszem?

– Nie – odpowiedział Krist, chroniąc nawykłym ruchem twarz przed uderzeniem.

– No to wychodź do pracy! – Felczer wypchnął Krista z ambulatorium i poprzez mgłę zaczął iść z nim w kierunku wartowni. – Przegońcie go, przegońcie – wykrzykiwał felczer do konwojentów wyprowadzających kolejną partię więźniów za „druty” – to próżniak, symulant!

Doświadczeni konwojenci szturchali bezboleśnie Krista bagnetami i kolbami. Grupa ruszyła szybciej. Nosili do łagru drewno dryftowe – lekka praca. Drewno to pochodziło z odległych o dwa kilometry zatorów wiosennych górskiej, przemarzniętej do dna rzeki. Wymyte, wysuszone przez wiatr bierwiona trudno było wytaszczyć z zatoru – trzymały je ręce wodorostów, kamieni i sęków. Ale drewna było dużo i nie było bierwion niedających się unieść. Krist cieszył się z tego. Każdy więzień wybrał sobie bierwiono odpowiadające jego siłom. Dwukilometrowa wędrówka zabrała prawie pół dnia. Była to „delegatura” dla inwalidów – zapotrzebowanie osady było niewielkie. Witaminowy OŁP. Oddzielny Łagrowy Punkt – Witaminowy. Niech żyje Wita! Krist jednak nie rozumiał, nie chciał rozumieć tej strasznej ironii. Mijał dzień za dniem, a Krista nie odsyłali do szpitala. Odesłali innych, ale nie Krista, który nie zechciał być „sanitariuszem” u felczera. Każdego dnia felczer przychodził pod wartownię i wskazywał rękawicą na Krista: „Przegońcie go, przegońcie!” – krzyczał. I wszystko rozpoczynało się od nowa.

Szpital, upragniony szpital był odległy od osady zaledwie o cztery kilometry. Ale żeby tam trafić, potrzebne było skierowanie. Felczer wiedział, że jest panem życia i śmierci Krista. Krist też to rozumiał.

Od baraku, w którym Krist spał – w łagrze nazywa się to „mieszkał” – było do wartowni wszystkiego sto metrów. Ta witaminowa osada była jedną z najbardziej zapuszczonych – tym wyższy więc, grubszy, większy wydawał się felczer i tym bardziej nędzny – Krist. Na tej stumetrowej drodze Krist spotkał – i nie mógł sobie przypomnieć – kogo? Aczkolwiek już przeszedł mimo niego i skrył się we mgle. Osłabiona głodem pamięć nie potrafiła niczego podpowiedzieć. A jednak… Krist myślał dzień i noc, walcząc z mrozem, głodem i bólem poodmrażanych rąk i nóg. Kto? Kto spotkał się z nim na leśnej ścieżce? Czyżby zaczęło mu się mieszać w głowie? Krist znał tego człowieka, który odszedł we mgle. Znał go nie z wolności, z Moskwy. Nie, to znacznie bliższe, znacznie ważniejsze, o wiele bardziej potrzebne. I Krist przypomniał sobie. Przed dwoma laty ten człowiek był

naczelnikiem łagru. Też OŁP-u. Ale nie witaminowego, lecz złotego, kopalni złota, gdzie Krist spotkał się oko w oko z Kołymą. Był to naczelnik, „obsys”, jak mówią błatniacy, naczelnik z wolnego najmu – sądzono go, gdy Krist tam był. Naczelnik gdzieś znikł. Mówiono, że go rozstrzelali – i oto on spotkał się z Kristem na leśnej ścieżce witaminowej delegatury. Krist odnalazł go w łagrowym biurze. Pracował na jakimś nieznanym stanowisku, ale bez wątpienia – „kancelaryjnym”. Były naczelnik miał oczywiście pięćdziesiąty ósmy paragraf, ale nie „litery”, mógł więc pracować w biurze.

Oczywiście, że Krist mógł znać i rozpoznać naczelnika. Ale naczelnik nie mógł go pamiętać. A jednak… Krist podszedł do barierki, za którą na całym świecie siedzą urzędnicy biurowi.

– Co, rozpoznajesz, czy jak? – powiedział po błatniacku były naczelnik łagru, obracając się twarzą do Krista.

– Tak, przecież ja z kopalni – powiedział Krist.

– Miło widzieć krajana. – I doskonale rozumiejąc Krista, były naczelnik rzekł: – Zajdź do mnie wieczorem. Wyniosę ci śledzia.

Obaj nie znali ani swoich imion, ani nazwisk. Ale coś znikomego, przelotnego, co ich kiedyś przypadkowo łączyło, nagle stało się siłą, która mogła zmienić ludzkie życie. I człowiek, oddając swojego śledzia nie swoim witaminowym kolegom, lecz Kristowi, który był na złocie, sam pamiętał, że złoto i witaminowa delegatura – to dwie różne rzeczy. Ani jeden, ani drugi nie mówili o tym. Obaj odczuwali, obaj rozumieli: Krist – swoje skryte prawo, a były naczelnik – swój obowiązek. Każdego wieczoru wynosił Kristowi śledzia – coraz to większego. Łagrowy kucharz nie dziwił się z powodu nagłego kaprysu pracownika biura, który przez całe miesiące nie pobierał tych śledzi z kuchni. Krist zjadał je zgodnie ze swoim kopalnianym nawykiem – wraz ze skórą, głową i ośćmi. Czasami były naczelnik przynosił także obgryziony, niedojedzony chleb. Można było rozważyć – co dalej?

Krist opowiedział byłemu naczelnikowi, że jego, Krista, odsyłano do szpitala, ale felczer, na mocy swej władzy, zatrzymał go tu i oto…

– Tak, tutejszy felczer to dobra suka. Jestem tutaj więcej niż rok, ale nikt go jeszcze nie pochwalił. Oszukamy go. Do szpitala odsyłają każdego dnia. A listy ja sporządzam.

I były naczelnik uśmiechnął się.

Wieczorem wywołano Krista na wartownię. Stało tam już dwoje więźniów – jeden miał w rękach maleńką walizeczkę z dykty.

– Nie ma konwoju, żeby was odesłać. – Dyżurny wyszedł na ganek. – Jutro odeślemy.

Dla Krista było to śmiercią: jutro wszystko się wykryje. Felczer zapędzi go do jakiegoś… Krist nie wiedział, jak zwie się to piekło, gdzie on może trafić – co może być gorszego od tego, co już widział? Ale Krist nie wątpił, że takie miejsca, gdzie jest jeszcze gorzej – istnieją. Pozostawało czekać i milczeć.

Ponownie wyszedł dyżurny.

– Idźcie do baraku. Konwoju nie będzie.

Ale aresztant z walizeczką zaczął błagać:

– Dajcie mi skierowanie, obywatelu dyżurny, ja wszystkich doprowadzę. Lepiej niż każdy żołnierz. Przecież znacie mnie. Robiono tak wiele razy. Ja jestem „bezkonwojny”, a ci – dokąd oni uciekną? Nocą i w mróz.

Dyżurny, wszedłszy do wartowni do środka, zaraz powrócił i podał papier człowiekowi z walizeczką.

– Macie rzeczy ze sobą?

– Jakie rzeczy…

– No to jazda…

Żelazny rygiel odsunął się i wypuścił trzech aresztantów w białą, mroźną mgłę.

Bezkonwojny szedł przodem – Krist uważał, że biegł. Mgła gdzieniegdzie rozsuwała się, przepuszczając żółte światło osiedlowych latarni elektrycznych.

Minęło nieskończenie wiele czasu. Krople gorącego potu spełzały po wpadniętym brzuchu Krista i po kościstych plecach. A serce biło, biło, biło. Krist wciąż biegł za swoimi towarzyszami uchodzącymi we mgle.

Przy rogu osady rozpoczynała się duża szosa.

– Jeszcze czekać na ciebie!

Krist przeraził się, że go zostawią, porzucą.

– Słuchaj, ty – powiedział bezkonwojny. – Wiesz, gdzie jest szpital?

– Wiem.

– My pójdziemy naprzód. A przy szpitalu poczekamy.

Towarzysze znikli we mgle, a Krist, złapawszy oddech, popełzł wzdłuż rowu, zatrzymując się co minutę i ponownie rzucając się do przodu. Rękawice zgubił i nie zauważył, że drapie śnieg, lód i kamienie gołymi rękami.

Wrzeszczał, sapał, darł ziemię. Z przodu nic nie było widać oprócz mgły. Wyskakiwały z niej, wyjąc wściekle, ogromne ciężarówki i natychmiast ponownie się w niej skrywały. Ale Krist nie zatrzymywał się, żeby przepuścić samochód i ponownie pełznąć w kierunku szpitala. Trzymał się rękami za nasyp rowu – ogromną linę przeciągniętą przez lodowatą otchłań ku ciepłu i ocaleniu.

Krist pełzł, pełzł, pełzł.

Mgła z lekka się przerzedziła i Krist zobaczył zakręt prowadzący do szpitala oraz maleńkie domki szpitalnej osady. Trzysta metrów, nie więcej. I rycząc, Krist popełzł ponownie.

– Myśleliśmy już, żeś zdechł – obojętnie, ale bez złości powiedział stojący na ganku szpitalnego baraku bezkonwojnik. – Nie przyjmują tu nas bez ciebie.

Ale Krist nie słuchał i nie odpowiedział. Teraz miało nadejść to, co najważniejsze i najtrudniejsze – położą go w szpitalu czy nie położą?

Przyszedł lekarz – młody, czysty człowiek w nieprawdopodobnie białym fartuchu. Zapisał wszystkich do książki.

– Rozbierajcie się.

Skóra Krista łuszczyła się, złażąc w postaci lekkich płatków, podobnych do odcisków daktyloskopijnych w „aktach sprawy”.

– To się nazywa pelagra – powiedział bezkonwojnik.

– Ja to już miałem – powiedział trzeci z ich grupy, i były to pierwsze i jedyne słowa, które usłyszał Krist. – Jakby rękawice zdejmowali. Z obu rąk. Posłali do muzeum w Magadanie.

– Do muzeum? – pogardliwie powiedział bezkonwojny. – Czy mało takich rękawic w Magadanie?

Ale trzeci aresztant nie słuchał bezkonwojnego.

– Ty – szarpał za rękę Krista – słuchaj mnie. Tobie, z tą chorobą przepiszą gorące zastrzyki, na pewno. Mnie przepisali – a ja je za chleb z błatniakami wymieniałem. I tak się podreperowałem.

Wydostano z szafy „historie choroby”. Trzy blankiety. Położą wszystkich. Wszedł sanitariusz.

– Na razie do drugiej.

Polewanie ciepłą wodą, bielizna bez wszy. Korytarz, gdzie na stole dyżurnego niezgaszony jeszcze knot kopciłki z tranem, nalanym na spodek zrobiony z denka puszki po konserwach. Drzwi do pustej izby, skąd powiało mrozem, dworem, lodem. Sanitariusz poszedł po drewno – rozpalić

piec. „Wiecie co – powiedział bezkonwojnik – położymy się razem, bo inaczej wyciągniemy kopyta”.

Położyli się do jednego łóżka, objąwszy się nawzajem, jakby na zgodę. Potem bezkonwojnik wyśliznął się spod trzech kocy, zebrał wszystkie sienniki i wszystkie koce znajdujące się w izbie szpitalnej. Zwalił wszystko na kupę na łóżko, do którego położyli się towarzysze, i sam dał nura w kościste objęcia Krista. Chorzy usnęli.

CZERWIEC

Andriejew wyszedł ze sztolni i udał się do lampowni, aby zdać swoją wygasłą „wolfę”.

Znowu się przyczepią, pomyślał leniwie o służbie bezpieczeństwa kopalni. – Drut zerwany…

W szybie palili, nie oglądając się na zakazy. Palenie groziło wyrokiem, ale jeszcze nikt nie wpadł.

Niedaleko od stożkowatego wysypiska rudy Andriejew spotkał Stupnickiego, profesora Akademii Artylerii. Chociaż miał on swój pięćdziesiąty ósmy paragraf, pracował jako dziesiętnik na powierzchni. Był zręcznym służbistą, sumienny i wnikliwy pomimo swoich lat; tacy dziesiętnicy nie śnili się nawet kopalnianemu naczalstwu.

– Niech pan posłucha – powiedział Stupnicki. – Niemcy bombardowali Sewastopol, Kijów, Odessę.

Andriejew słuchał z uprzejmości. Informacja ta miała taki wydźwięk jak wiadomość o wojnie w Paragwaju czy Boliwii. Co mu, Andriejewowi, do tego? Stupnicki jest syty, jest dziesiętnikiem – to i interesują go takie sprawy jak wojna.

Podszedł Grisza Grek, złodziej.

– A co to takiego automaty?

– Nie wiem. Pewnie coś w rodzaju karabinów maszynowych.

– Nóż jest groźniejszy niż jakakolwiek kula – pouczająco powiedział Grisza.

– Słusznie – rzekł Borys Iwanowicz, chirurg-więzień. – Nóż w brzuchu to pewna infekcja, stałe zagrożenie zapaleniem otrzewnej. Rana postrzałowa jest lepsza, czystsza…

– Najlepszy jest gwóźdź – rzekł Grisza Grek.

– Zbiórka!

Ustawiwszy się w szeregi, poszli z kopalni do łagru, prowadzeni przez konwój. Konwojenci nigdy nie wchodzili do środka kopalni – podziemna ciemność chroniła ludzi przed biciem. Wolni dziesiętnicy też się pilnowali.

Nie daj Boże zwali się na głowę „z komina” bryła węgla… Nawet Mikołaj Antonowicz, „starszy”, zawsze tak chętny do rękoczynów, prawie się odzwyczaił od swego starego nawyku. Tłukł tylko Miszka Timoszenko, młody nadzorca więźniów, „robiący karierę”.

Miszka Timoszenko szedł i myślał: Złożę podanie na front. Posłać nie poślą, a korzyść będzie. A tak, wojuj nie wojuj – niczego oprócz wyroku nie zwojujesz. Z rana poszedł do naczelnika łagpunktu, Kosarenki – chłop z niego był niezły. Miszka przyjął „przepisową pozycję”.

– Oto podanie na front, obywatelu naczelniku.

– Patrzcie go… No dawaj, dawaj. Będziesz pierwszy… Ale ciebie nie wezmą.

– Z powodu paragrafu, obywatelu naczelniku?

– No tak.

– Co mam począć z tym paragrafem? – powiedział Miszka.

– Nie zginiesz. Jesteś spryciarz – wychrypiał Kosarenko. – Zawołaj do mnie Andriejewa.

Andriejewa zdziwiło to wezwanie. Nigdy nie wołano go przed dostojne oblicze samego naczelnika łagpunktu. Ale pozostała zwykła obojętność, gotowość na wszystko, apatia. Andriejew zastukał do zrobionych z dykty drzwi gabinetu.

– Melduję się zgodnie z rozkazem. Więzień Andriejew.

– Ty jesteś Andriejew? – zapytał Kosarenko, przyglądając się mu z ciekawością.

– Andriejew, obywatelu naczelniku.

Kosarenko poszperał w papierach na stole, coś tam znalazł i zaczął w milczeniu czytać. Andriejew czekał.

– Mam robotę dla ciebie.

– Ja pracuję jako wozak na trzecim odcinku…

– U kogo?

– U Koriagina.

– Jutro zostaniesz w domu. Będziesz pracować w łagrze. Koriagin nie umrze bez wozaka.

Kosarenko wstał, potrząsnął papierkiem i wychrypiał:

– Będziesz likwidować zonę. Zwijać drut. Waszą zonę.

Andriejew pojął, że mowa była o zonie pięćdziesiątego ósmego paragrafu – w odróżnieniu od wielu łagrów, barak, w którym mieszkali „wrogowie ludu”, był otoczony wewnątrz łagrowej zony drutem kolczastym.

– Sam?

– Razem z Maslakowem.

Pewnie wojna, pomyślał Andriejew, to zgodnie z planem mobilizacyjnym.

– Czy mogę odejść, obywatelu naczelniku?

– Poczekaj! Dlaczego Koriagin skarży się na ciebie?

– Koriagin?

– Tak. Mam dwa raporty na ciebie.

– Pracuję nie gorzej od innych, obywatelu naczelniku…

– No, idź już…

Rozginali zardzewiałe gwoździe i zdejmowali drut kolczasty, nawijając go na drąg. Dziesięć rzędów, dziesięć żelaznych nici, do tego jeszcze poprzeczne i ukośne – starczyło pracy na cały dzień. Dla Andriejewa i Maslakowa. Praca ta w niczym nie była lepsza od jakiejkolwiek innej. Kosarenko pomylił się – odczucia więźniów nie były podatne na zmiany.

W porze obiadowej jeszcze nowa wiadomość: przydział chleba został obniżony z kilograma do pięciuset gramów – była to złowieszcza wiadomość, gdyż gorąca strawa nic w łagrze nie znaczyła. Decydował chleb.

Następnego dnia Andriejew powrócił do kopalni.

Było tam jak zwykle chłodno i ciemno. Andriejew zszedł zejściem dla ludzi na dolny chodnik. Próżnych wagonów jeszcze z góry nie podawano i Kuzniecow, drugi wozak tej zmiany, siedział niedaleko dolnej płyty, w świetle i czekał na nie.

Andriejew usiadł obok niego. Kuzniecow był kryminalistą, wiejskim zabójcą.

– Słuchaj – powiedział Kuzniecow. – Wołano mnie.

– Dokąd?

– Tam. Za most.

– No i co?

– Kazano mi złożyć oświadczenie na ciebie.

– Na mnie?

– Tak.

– A ty?

– Złożyłem. Co zrobisz?

Rzeczywiście, pomyślał Andriejew, co zrobisz?

– I coś ty tam napisał?

– Napisałem to, co powiedzieli. Że chwalił Hitlera…

Przecież on nie jest łajdakiem, całkiem po prostu nieszczęśliwy człowiek…

– Co teraz ze mną zrobią? – spytał Andriejew.

– Nie wiem. Oficer polityczny powiedział: „To tak, dla porządku”.

– No tak – powiedział Andriejew. – Oczywiście, dla porządku. Przecież w tym roku kończę wyrok. Zdążą spreparować nowy.

Po pochyłości gruchotały wagoniki.

– Hej, wy – krzyknął starszy pokładu – bajarze! Zabierajcie wagoniki!

– Ja chyba odmówię pracy z tobą – powiedział Kuzniecow – będą przecie mnie znowu wzywać, a ja wtedy powiem: „Nie wiem, nie pracuję z nim”. Ot tak…

– Tak chyba najlepiej – zgodził się Andriejew.

Od następnej zmiany towarzyszem pracy Andriejewa został Czudakow, również niepolityczny. W odróżnieniu od skorego do rozmów Kuzniecowa ten – milczał. Albo taki już był od urodzenia, albo uprzedzono go „za mostem”.

Minęło parę zmian i Andriejewowi wraz z Czudakowem wyznaczono miejsce pracy w chodniku wentylacyjnym prowadzącym do górnego pokładu – mieli spuszczać po trzydziestometrowej pochyłości puste wagoniki i wyciągać załadowane.

Wagoniki obracali, ustawiali kółka na szynach uchodzących po pochyłości, przymocowywali do wagonika stalową linę i przyczepiwszy ją do liny windy, spychali wagonik w dół. Zaczepiali na zmianę. Teraz była kolej Czudakowa.

Wagoniki szły i szły, jeden za drugim, dzień roboczy był w pełnym toku, gdy nagle Czudakow pomylił się – zepchnął wózek, nie zaczepiwszy go za linę. Uwaga! Awaria w kopalni! Rozległ się głuchy łoskot, wizg żelaza, trzeszczenie podpór; słupy białego pyłu zapełniły pochyłość.

Czudakowa od razu aresztowali, a Andriejew wrócił do baraku. Wieczorem wezwano go do Kosarenki, naczelnika.

Kosarenko miotał się po gabinecie.

– Coś ty narobił? Coś ty narobił, pytam. Sabotażysta!

– Pan chyba zwariował, obywatelu naczelniku – powiedział Andriejew. – Przecież to Czudakow, przypadkiem…

– Tyś go poinstruował, gadzie! Sabotażysta! Zatrzymał kopalnię!

– Co ja mam do tego? I nikt kopalni nie zatrzymywał – pracuje… Czego pan wrzeszczy?

– On nie wie! Tu Koriagin pisze… On jest członkiem partii.

Rzeczywiście, napisany drobnym charakterem pisma Koriagina, leżał na stole naczelnika duży raport.

– Odpowiesz!

– Pańska wola.

– Idź, gadzie!

Andriejew wyszedł. W baraku, w „kabince” dziesiętników prowadzono głośną rozmowę, przerwaną przy wejściu Andriejewa.

– Ty do kogo?

– Do pana, Mikołaju Antonowiczu – zwrócił się do „starszego” Andriejew. – Dokąd mam iść do pracy jutro?

– Najpierw dożyj do jutra – powiedział Miszka Timoszenko.

– Nie troszcz się o to.

– O właśnie, przez takich uczonych ja mam wyrok, słowo daję Antonyczu – rzekł Miszka. – Przez tych Iwanów Iwanowiczów.

– Pójdziesz do Miszki – powiedział Mikołaj Antonowicz. – Tak zarządził Koriagin. Jeżeli cię nie aresztują. A Miszka już z ciebie wyciśnie, co trzeba.

– Musisz pojąć, gdzie się znajdujesz – powiedział Timoszenko. – Przeklęty faszysta.

– Ty sam jesteś faszysta, durniu – powiedział Andriejew i poszedł oddać kolegom różne swoje rzeczy: zapasowe onuce, stary, ale jeszcze mocny, bawełniany szalik – tak żeby przed aresztem nie mieć żadnych zbędnych rzeczy.

Sąsiadem Andriejewa na narach był dziekan wydziału górnictwa, Tichomirow. W kopalni pracował przy obudowach. Główny inżynier starał się „wysunąć” profesora chociażby na stanowisko dziesiętnika, ale naczelnik rejonu górnictwa węglowego Swiszczew kategorycznie odmówił i nieprzyjemnie spojrzał na swojego zastępcę.

– Jeżeli wyznaczyć Tichomirowa – powiedział Swiszczew do głównego inżyniera – to pan nie ma co robić na kopalni. Jasne? I żebym nigdy takiej gadki nie słyszał.

Tichomirow czekał na Andriejewa.

– No i co?

– Lepiej prześpijmy tę sprawę – powiedział Andriejew.

– Wojna.

Nie aresztowano Andriejewa. Okazało się, że Czudakow nie chce kłamać. Przetrzymali go coś koło miesiąca na karcerowej porcji – kubek wody

i trzysta gramów chleba – ale nie mogli go skłonić do żadnych oświadczeń. Czudakow nie pierwszy raz był pozbawiony wolności i wiedział, co ile jest warte.

– Co ty mnie pouczasz? – powiedział śledczemu. – Andriejew nic złego mi nie zrobił. Ja znam te sprawy. Przecież was to nie interesuje, aby mnie sądzić. Andriejew jest wam potrzebny. No, ale póki jestem żywy, nie zasądzicie go, jeszcze za mało łagrowej kaszy zjedliście.

– A więc w tobie jedyna nadzieja – powiedział Koriagin do Miszki Timoszenki. – Ty dasz radę.

– Tak jest, rozumiem – rzekł Timoszenko. – Najpierw „po żołądku” go – obniżymy rację żywnościową. I gdy wygada się…

– Dureń – powiedział Koriagin. – Co to ma do rzeczy, że się wygada. Pierwszy dzień żyjesz na tym świecie, czy co?

Koriagin usunął Andriejewa z roboty pod ziemią. W zimie temperatura w kopalni spadała tylko do dwunastu stopni na najniższych poziomach, a na dworze do sześćdziesięciu. W czasie nocnej zmiany Andriejew stał na wysokim usypisku, gdzie zwalano urobek. Napełnione nim wagoniki podjeżdżały tam od czasu do czasu i zadaniem Andriejewa był ich rozładunek. Wagoników było mało, chłód straszny i nawet najlżejszy wiatr zamieniał noc w piekło. Tam, po raz pierwszy na kołymskiej ziemi, Andriejew rozpłakał się – przedtem nigdy mu się to nie zdarzało, chyba tylko za młodych lat, gdy przychodziły listy od matki i Andriejewowi nie starczało sił, aby przeczytać je bez łez i bez łez o nich wspominać. Ale to było dawno. A dlaczego tutaj się rozpłakał? To poczucie bezsilności, samotność, chłód – Andriejew przyzwyczaił się, nastawił na przypominanie sobie wierszy w łagrze, żeby coś szeptać, cichutko powtarzać – na mrozie nie udawało się myśleć. Ludzki mózg nie potrafi pracować na mrozie.

Kilka takich lodowatych zmian i Andriejew, znów w kopalni, znowu na sprowadzaniu wagoników, z Kuzniecowem jako towarzyszem pracy.

– Dobrze, że tu jesteś! – ucieszył się Andriejew. – I mnie również wzięli z powrotem do kopalni. Co się stało z Koriaginem?

– Mówią, że na ciebie już zebrano materiał. Wystarczy – więcej nie trzeba. To i wróciłem. Z tobą dobrze się pracuje. I Czudakow wyszedł. Dali mu izolator. Wygląda jak szkielet. Na razie będzie łaziennym. Więcej w kopalni nie będzie pracować.

Nowości były znaczące.

Dziesiętnicy-aresztanci, po wypełnieniu obowiązkowej sprawozdawczości, chodzili do łagru bez konwoju. Miszka Timoszenko postanowił pójść do łaźni przed przyjściem robociarzy, tak jak to zawsze robił.

Otworzył mu drzwi nieznajomy, kościsty łazienny.

– Ty dokąd?

– Jestem Timoszenko.

– Widzę, żeś Timoszenko.

– Ty tu mniej gadaj – powiedział dziesiętnik. – Nie próbowałeś mojego termometru – to popróbujesz. Idź, dawaj parę. – I odsunąwszy łaziennego, Timoszenko wszedł do łaźni.

Górniczą łaźnię wypełniał wilgotny, czarny mrok. Czarny, zakopcony sufit, czarne cebrzyki, czarne ławki wzdłuż ścian, czarne okna. W łaźni było sucho i zimno jak w szybie, a pośrodku wisiała wetknięta w stojący tam słup górnicza lampa „wolfa”, podobnie jak w kopalni.

Miszka szybko się rozdział, wybrał sobie beczkę z zimną wodą, wprowadził do niej parową rurkę – w pomieszczeniu łaźni znajdował się bojler i wodę ogrzewano gorącą parą.

Kościsty łazienny przypatrywał się z progu pulchnemu, różowemu ciału Timoszenki i milczał.

– Ja lubię tak – powiedział Timoszenko – żeby pareczka była żywa. Nagrzejesz trochę wodę, ja wlizę do beczki, a ty puszczaj z wolna parę. Jak będzie dobrze, zastukam w rurę i ty wyłączysz parę. Poprzedni łazienny, ten jednooki, znał dobrze moje przyzwyczajenia. Gdzie on jest?

– Nie wiem – odpowiedział kościsty łazienny. Obojczyki wypierały mu bluzę.

– A ty skąd?

– Z izolatora.

– Toś ty Czudakow?

– Tak, Czudakow.

– Nie poznałem. Będziesz bogaty – zaśmiał się dziesiętnik.

– Ja tak w izolatorze dopłynąłem, to i nie poznajesz. Słuchaj, Miszka – powiedział Czudakow – a ja ciebie widziałem…

– Gdzie?

– A za mostem. Słyszałem, coś ty tam wyśpiewał politycznemu…

– Każdy ratuje sam siebie – powiedział Timoszenko. – Prawo tajgi. Wojenny czas. A ty jesteś cudak. Jesteś dureń, Czudakow. Dureń z chłodnymi uszami. Tak ci się dostało przez tego czorta Andriejewa.

– No, to już moja sprawa – powiedział łazienny i wyszedł.

Para zahurkotała, zabulgotała w beczce, woda się nagrzała. Miszka zastukał – Czudakow wyłączył parę.

Miszka wlazł na ławeczkę i z niej zsunął się do wąskiej, wysokiej beczki… Były beczki niższe, były szersze, ale dziesiętnik lubił się parzyć właśnie w tej. Woda sięgała Miszce do gardła. Mrużąc oczy z zadowolenia, dziesiętnik zastukał w rurę. Natychmiast zabulgotała para. Zrobiło się ciepło. Miszka przesłał sygnał po rurze, ale rura nie przestawała chlustać gorącą parą. Para paliła ciało i Timoszenko przestraszył się, jeszcze raz zastukał, starając się wyrwać, wyskoczyć z beczki, ale beczka była wąska, żelazna rura przeszkadzała mu wyleźć – w łaźni nic nie było widać prócz białej, kłębiącej się, gęstniejącej pary i Miszka zaczął wrzeszczeć dzikim głosem.

Tego dnia nie było łaźni dla robotników.

Kiedy otworzono drzwi i okna, rozwiała się mętnobiała mgła, przyszedł łagrowy lekarz. Timoszenko już nie oddychał – ugotował się żywcem.

Czudakowa przeniesiono gdzieś z pracy w łaźni, powrócił jednooki – nikt nie usuwał go z pracy, po prostu przez jeden dzień był w grupie „W” – czasowo zwolniony z pracy z powodu choroby. Miał „temperaturę”.

MAJ

Dno beczki zostało wybite i wstawiono w to miejsce kratę zrobioną z płaskownika. W beczce siedział pies Kazbek. Sotnikow karmił Kazbeka surowym mięsem i prosił wszystkich przechodzących mimo, aby go szturchali kijem. Kazbek warczał i gryzł kij na drobne szczepki. Kierownik robót Sotnikow wyrabiał złość w przyszłym psie łańcuchowym.

Przez całą wojnę wymywano złoto za pomocą korytek – osiągnięcia poszukiwaczy, zabronionych przedtem do stosowania w kopalniach. Dawniej mógł ich używać jedynie przemywacz, należący do zwiadu geologicznego. Przed wojną plan dobowy podawany był w metrach sześciennych gruntu, w czasie wojny – w gramach metalu.

Jednoręki przemywacz zręcznie zgrzebywał zgarniakiem grunt na korytko i dodawszy wody, ostrożnie wstrząsał naczyniem nad strumieniem, usuwając wraz z wodą kamieniste cząstki. Na dnie pozostawała złota krupka.

Robotnik chwytał ją pod paznokieć i położywszy korytko na ziemię, przenosił krupkę na kawałeczek papieru, który następnie zawijany był podobnie jak proszek w aptece. Cała brygada jednorękich okaleczeńców latem i zimą „myła” złoto. I oddawała te krupki metalu, te złote ziarenka do kopalnianej kasy. Za to dawano jednorękim jeść.

Śledczy Iwan Wasiljewicz Jefremow schwytał tajemniczego zabójcę, którego poszukiwano już ponad tydzień. Przed tygodniem w izdebce członków zwiadu geologicznego zostali zarąbani toporem czterej strzałowi. Ukradziono chleb i machorkę, pieniądze nie zostały znalezione. Minął tydzień i w robotniczej stołówce Tatar z ciesielskiej brygady Rusłanowa wymieniał gotowaną rybę za szczyptę machorki. Nie było jej na kopalni od początku wojny, przywozili jedynie „amonal” – zieloną, nieprawdopodobnej mocy samosiejkę, próbowano też hodować tytoń. Machorkę mieli tylko wolni. Tatar został aresztowany i przyznał się do wszystkiego, a nawet wskazał miejsce w lesie, gdzie wyrzucił w śnieg okrwawiony topór. Iwanowi Wasiljewiczowi Jefremowowi przypadła więc wielka nagroda.

Tak się akurat zdarzyło, że Andriejew był sąsiadem tego Tatara na narach – był on zupełnie zwykłym, głodnym chłopakiem – „knotem”. Aresztowano więc również Andriejewa. Wypuszczono go po dwu tygodniach – przez cały ten czas wydarzyło się wiele nowego: Kolka Żukow zarąbał znienawidzonego brygadzistę Korolowa. Brygadzista ten co dzień bił Andriejewa na oczach całej brygady, bił bez złości, nie spiesząc się, i Andriejew obawiał się go.

Andriejew namacał w kieszeni buszłata kawałek amerykańskiego, białego chleba, który został mu z obiadu. Istniało z tysiąc sposobów rozkoszowania się pożywieniem. Można było ten chleb lizać, dopóki nie zniknie z dłoni; można było odszczypywać z niego najdrobniejsze okruchy, przewracać je językiem w ustach, ssąc oddzielnie każdy z nich. Można było go podpiec na piecyku, który zawsze się palił, podsuszyć go i jeść ciemnobrązowe, opalone kawałeczki, które nie stały się jeszcze sucharami, a przestały już być chlebem. Można było krajać chleb na cieniutkie plasterki i dopiero wtedy je suszyć. Można było zaparzyć chleb gorącą wodą, zagotować, zamieszać i przemienić go w gorącą zupę – takie mączne poidło. Można było kruszyć kawałeczki do zimnej wody i solić – wychodziło z tego coś w rodzaju „tiury”. Wszystko to trzeba było zrobić w ciągu tego kwadransa, który pozostał Andriejewowi do dyspozycji z przerwy obiadowej. Andriejew dojadał chleb po swojemu. W maleńkiej puszce po konserwie gotowała się woda ze śniegu, zanieczyszczona drobnymi węgielkami lub igłami cedrowca. Andriejew wsadził swój chleb do białej kipieli i czekał. Chleb pęczniał jak gąbka. Pręcikiem lub szczepką Andriejew odrywał gorące kawałeczki i wkładał je do ust. Rozmoczony chleb znikał w nich natychmiast.

Nikt nie zwracał uwagi na te przedsięwzięcia Andriejewa. Był on jednym z setek tysięcy kołymskich „knotów”, „dochodiagów” – o zachwianym od dawna rozumie.

Kasza również była z *lend-lease’*u [1] – amerykańska owsianka z cukrem. I chleb z *lend-lease’*u, z kanadyjskiej mąki z domieszką mączki kostnej i ryżu. Chleb wypiekali nadzwyczaj pulchny i żaden rozdawca nie ważył się przygotować „pajki” w przeddzień wieczorem – każda „dwusetka” traciła w ciągu nocy dziesięć do piętnastu gramów i najbardziej uczciwy rozdawca chleba mógł się mimo woli okazać żulikiem. Z białego chleba prawie nie było odchodów – organizm ludzki raz na kilka dni wyrzucał to, co zbędne.

Zupa – pierwsze danie – była także z *lend-lease'*u; każdemu trafiały się w obiadowych miskach włókna mięsa, podobne do pałeczek gruźlicy pod mikroskopem, oraz zapach konserwowej wieprzowiny w sosie własnym.

Była podobno jeszcze kiełbasa, konserwowana kiełbasa, ale dla Andriejewa pozostawała ona legendą, podobnie jak zagęszczone mleko „Alfa", które wielu pamiętało z dzieciństwa, z paczek „Ara". Firma „Alfa" wciąż jeszcze istniała.

Z *lend-lease'*u pochodziły też czerwone, skórzane buty na grubej klejonej podeszwie. Wydawano je tylko naczalstwu – nawet nie każdy mistrz górniczy mógł posiąść to importowane obuwie. Do kopalnianego naczalstwa przychodziły też „garnitury" w paczkach – ubrania, marynarki i koszule z krawatami.

Podobno wydawano i wełniane rzeczy, zebrane pośród ludności Ameryki, ale do więźniów one nie trafiały – żony naczelników doskonale orientowały się w gatunkach materiałów.

Natomiast dochodziły do więźniów narzędzia pracy. Były one również z *lend-lease'*u – amerykańskie wygięte łopaty z krótkimi malowanymi rączkami. To były „zgrabne" łopaty – ktoś myślał nad samym ich kształtem. Wszyscy byli zadowoleni z tych łopat. Trzonki łopat powybijano i zrobiono nowe, proste i długie, każdemu do miary – koniec trzonka powinien sięgać do podbródka.

Kowale rozprostowali nieco nosek łopaty, podostrzyli i wyszło z tego znakomite narzędzie.

Amerykańskie topory były marne. Właściwie nie były to topory, lecz toporki podobne do meinreedowskich indiańskich tomahawków i nie nadawały się do poważnej ciesielskiej roboty. Te topory z *lend-lease'*u wywarły na naszych cieślach silne wrażenie – widać było, że używane przez tysiące lat narzędzie już się „kończy".

Piły poprzeczne były ciężkie, grube i niewygodne w pracy.

Znakomity natomiast okazał się solidol, podobny do masła, biały i bez zapachu. Błatniacy spróbowali sprzedawać go zamiast masła w kopalni, ale nie było już nikogo, kto mógłby kupować masło.

Po stromiznach Kołymy uganiały się studebakery otrzymane z *lend-lease'*u. Był to jedyny samochód, który nie miał problemów ze wzniesieniami.

Ogromne diamondy, także z *lend-lease'*u, taszczyły dziewiętnastotonowe ładunki.

A i my byliśmy leczeni amerykańskimi lekarstwami. Po raz pierwszy pojawiła się, cudotwórcza z początku, sulfidyna. Naczynia laboratoryjne także były podarunkiem otrzymanym z Ameryki. Aparaty rentgenowskie, gumowe grzałki i gumowe pęcherze…

O tym, że rychło nastąpi koniec amerykańskiego białego chleba, mówiono jeszcze zeszłego roku po łuku kurskim, ale Andriejew nie zwracał uwagi na łagrowe „parasze”. Co będzie, to będzie. Przeszła jeszcze jedna zima, a on, nigdy nie planujący niczego dalej niż do wieczora, wciąż jeszcze żył.

Razowiec będzie niebawem, razowiec. Czarny chleb. Nasi dochodzą do Berlina, myślał.

– Czarny chleb zdrowszy – mówili lekarze.

– Amerykanie to pewnie durnie.

Na tej mającej dopiero powstać kopalni nie było ani jednego radioodbiornika.

„Infekcja zabójstw”, mawiał Woronow – przypomniał to sobie teraz Andriejew.

Dokonywanie zabójstw jest zaraźliwe. Jeżeli gdzieś zamordują brygadzistę – to od razu znajdą się naśladowcy, i brygadziści wyszukują ludzi, którzy pełnią dyżury, by chronić sen brygadzisty. Ale to wszystko na darmo. Jednego zarąbali, drugiemu rozłupali głowę łomem, trzeciemu przepiłowali dwuręczną piłą szyję…

Jeszcze miesiąc temu Andriejew siedział przy ognisku – była to jego kolej, aby się pogrzać. Zmiana się już skończyła, ogień wygasał i czworo kolejnych aresztantów siedziało z czterech stron ogniska i zgiąwszy się, wyciągało ręce do gasnącego płomienia, do uchodzącego ciepła. Każdy z nich prawie dotykał odmrożonymi, pozbawionymi czucia palcami czerwonych węgli. Biała mgła spadała na barki i plecy, wstrząsane dreszczami z zimna. Coraz większe stawało się pragnienie przyciśnięcia się do ognia i brakowało sił, aby się podnieść i pójść na swoje miejsce, każdy do swojego szurfu, gdzie oni wiercili, wiercili, wiercili… Brakowało sił, aby wstać i uciec od brygadzisty, który już do nich podchodził. Andriejew – leniwie zastanawiał się, czym będzie bić brygadzista, jeśli się wda w bójkę. Oczywiście głownią lub kamieniem… najlepiej jednak głownią…

Brygadzista był już w odległości dziesięciu kroków od ogniska. Wtem z przyległego do ścieżki szurfu, którędy szedł brygadzista, wypełzł człowiek z łomem w rękach. Dognał brygadzistę i zamachnął się łomem. Bry-

gadzista upadł twarzą naprzód. Człowiek rzucił łom w śnieg i przeszedł mimo ogniska, przy którym siedział Andriejew z trzema innymi. Poszedł dalej do wielkiego ogniska, przy którym grzali się konwojenci.

W czasie zabójstwa Andriejew nie zmienił pozy. Nikt z czterech nie ruszył się z miejsca, nie starczyło siły, aby odejść od ogniska, od uchodzącego ciepła. Każdy chciał siedzieć aż do końca, aż do momentu, kiedy go przegonią. Ale nie miał ich kto odegnać. Brygadzista został zabity i Andriejew, podobnie jak dzisiejsi towarzysze, był szczęśliwy. Ostatnim wysiłkiem swojego biednego, wysuszonego mózgu Andriejew rozumiał, że trzeba szukać jakiegoś wyjścia. Nie chciał dzielić losu jednorękich przemywaczy. On, który kiedyś poprzysiągł sobie, że nigdy nie będzie brygadzistą, nie szukał ratunku w niebezpiecznych łagrowych stanowiskach. Jego droga jest inna – nie będzie ani kraść, ani bić swoich towarzyszy, ani nie będzie na nich donosić. Cierpliwie czekał.

Tego ranka nowy brygadzista posłał Andriejewa po amonit – żółty proszek, który był przez strzałowego przesypywany do papierowych pakietów. W dużej fabryce amonitowej, gdzie rozładowywano i rozdzielano przybyły z „kontynentu" materiał wybuchowy, pracowały kobiety-więźniarki, bo praca uważana była za lekką. Na tych swoich pracownicach amonitowa fabryka zostawiała piętno – ich włosy, tak jakby po perhydrolu, stawały się złociste.

Żelazny piecyczek w izdebce strzałowych opalany był żółtymi kawałkami amonitu.

Andriejew pokazał pisemko nadzorcy, rozpiął buszłat i rozwinął swój dziurawy szalik.

– Potrzebuję onuc, chłopcy – powiedział – worka.

– Ale czyż nasze worki… – zaczął młody strzałowy, ale ten nieco starszy trącił kolegę łokciem i ten zamilkł.

– Damy ci worek – powiedział – masz.

Andriejew zdjął szalik i oddał go strzałowemu. Potem rozerwał worek, aby zrobić z niego onuce – po chłopsku; istnieją bowiem trzy sposoby „zawijania" onuc: chłopski, wojskowy i miejski. Zrobił to po chłopsku, narzucając je z wierzchu stopy. Z trudem wcisnął nogi w burki, wstał i wziąwszy skrzynkę z amonitem, wyszedł. Nogi miał gorące, ale gardło – zimne. Andriejew wiedział, że i jedno, i drugie to już nie na długo. Oddał amonit nadzorcy i powrócił do ogniska. Trzeba było poczekać, aż ten tam podejdzie.

Wreszcie podszedł.

– Popalimy – rozległo się spiesznie kilka głosów.

– Kto popali, a kto nie popali. – Nadzorca odwinął ciężką połę półkożuszka i dobył blaszaną puszkę z machorką.

Dopiero teraz Andriejew rozwiązał szmatki, na których trzymały się burki, i ściągnął je z nóg.

– Dobre onucki – bez żadnej zazdrości powiedział ktoś zamotany w szmatki, wskazując na nogi Andriejewa owinięte kawałkami zwartej, białej workowiny.

Andriejew usadowił się wygodnie, poruszył nogami i wrzasnął. Buchnął żółty płomień. Przesiąknięte amonitem onuce płonęły jaskrawo i wolno. Tlały pochwycone ogniem spodnie i waciak. Nadzorca powalił Andriejewa na wznak i przysypał śniegiem.

– Jak mogłeś, gadzie!

– Poślij po konia. I wypisz kartę o nieszczęśliwym wypadku.

– Prędko obiad, może doczekasz…

– Nie, nie doczekam – zełgał Andriejew i zamknął oczy.

W szpitalu zalano nogi Andriejewa ciepłym roztworem nadmanganianu potasu i nie bandażując, położono go do łóżka. Koc został umocowany na prętach – wyszło z tego coś w rodzaju namiotu. Dla Andriejewa szpital był zapewniony na długo.

Pod wieczór przyszedł na salę lekarz.

– Słuchajcie, panowie katorżanie – powiedział – wojna się skończyła. Przed tygodniem się skończyła. Właśnie drugi już kurier dotarł z Zarządu. A pierwszego, jak mówią, zabili uciekinierzy.

Ale Andriejew nie słuchał, co mówi lekarz. Podniosła mu się gorączka.

1. Pożyczka-dzierżawa (ang.); *Lend-Lease Act* z 1941 r. upoważniał prezydenta USA do sprzedaży, wynajmu, pożyczki towarów i broni państwom będącym w stanie wojny z Niemcami. [wróć]

MĘŻNE OCZY

Świat baraków cisnął się w wąskim, górskim wąwozie. Granice wyznaczały kamienie i niebo. To, co było w przeszłości, pojawiało się jedynie spoza ścian, drzwi i okien. Wewnątrz nikt niczego nie wspominał. Wewnątrz był świat tego, co istnieje realnie, świat codziennych drobnostek, który nie mógłby być nazwany codzienną krzątaniną, gdyż świat ten zależał od czyjejś cudzej, nie naszej woli.

Po raz pierwszy wyszedłem z tego świata po niedźwiedziej ścieżce.

Stanowiliśmy bazę zwiadu geologicznego i każdego lata, krótkiego lata, udawało się nam zrobić kilka wypadów do tajgi – były to pięciodniowe wyprawy wzdłuż koryt strumieni, mimo źródeł podziemnych rzeczuszek.

Dla tych, co w bazie – rowy, grzebanina w ziemi, szurfy; dla tych, co w drodze – zbieranie próbek. Ci, co w bazie – to silniejsi; ci, co w drodze – słabeusze. Wie o tym wieczny dyskutant Kałmajew – poszukiwacz sprawiedliwości, odmawiający pracy.

Budowano baraki dla zwiadu i zwożenie poprzez rzadziznę w tajdze spiłowanych, ośmiometrowych modrzewiowych bierwion – to była praca dla koni. Ale koni nie było i wszystkie pnie wlekli ludzie za pomocą pasów, sznurów, po burłacku: raz, dwa – wzięli.

Nie spodobało się to zajęcie Kałmajewowi i w czasie rozprowadzania do pracy powiedział: „Widzę, że potrzebny nam traktor. Wsadźcie do obozu traktor i włóczcie, ciągajcie te drzewa. Ja nie koń”.

Drugim był pięćdziesięcioletni Pikulew – sybirak, cieśla. Pośród nas nie było bardziej spokojnego człowieka od niego. Ale dziesiętnik Bystrow wypatrzył swoim doświadczonym i wyćwiczonym w łagrze okiem pewną właściwość Pikulewa.

– Co z ciebie za cieśla – mówił Bystrow do Pikulewa – jeżeli twój tyłek wciąż szuka miejsca. Ledwo skończysz pracę – nie postoisz ani minuty, nie pochodzisz, a od razu w tymże miejscu sadowisz się na pniu.

Staremu trudno było, ale Bystrow mówił z przekonaniem.

Tym trzecim byłem ja – od dawna nieprzyjaciel Bystrowa. Jeszcze minionej zimy, kiedy po raz pierwszy wyprowadzono mnie do pracy i podszedłem do dziesiętnika, Bystrow, powtarzając swój ulubiony dowcip, w który wkładał całą swoją duszę, swoją całą głęboką pogardę, swoją wrogość i nienawiść do takich jak ja, powiedział:

– A pan, jaką pracę każe sobie wyznaczyć – białą czy czarną?

– Wszystko jedno.

– Białej u nas nie ma. Pójdziemy do wykopu.

I chociaż znałem doskonale to powiedzonko, chociaż potrafiłem wszystko, umiałem nie gorzej od innych wykonać dowolną pracę i innych nauczyć – dziesiętnik Bystrow odnosił się do mnie wrogo. Oczywiście ja nie podlizywałem się, nie dawałem ani nie obiecywałem łapówek – można było oddać Bystrowowi spirytus. Czasem go nam wydawano. Więc kiedy zapotrzebowano trzeciego człowieka na wyprawę – Bystrow wymienił moje nazwisko.

Czwartym był zatrudniony na umowie geolog z wolnego najmu, Machmutow.

Geolog był młody i wszystko wiedział. W drodze ssał cukier, czekoladę, jadł oddzielnie, wydobywając z woreczka suchary i konserwy. Obiecał nam ustrzelić kuropatwę czy cietrzewia i rzeczywiście, dwukrotnie w czasie naszej drogi łopotały skrzydła, nie był to jednak cietrzew, lecz głuszec, ale geolog strzelał, denerwując się i pudłując. Nie umiał strzelać w locie. Upadła nadzieja na to, że ustrzeli nam ptaka. Konserwy mięsne dla geologa gotowaliśmy w oddzielnym kociołku, nie uważano jednak, że jest to naruszenie obyczaju. W barakach więźniów nikt nie żąda, aby dzielić się pożywieniem, a tutaj – to już zupełnie specjalna sytuacja współistnienia dwu różnych światów. Jednakże nocą wszyscy trzej – i Pikulew, i Kałmajew, i ja – budziliśmy się, słysząc, jak Machmutow chrupie, ciamka i jak mu się odbija. Ale nie bardzo to nas drażniło.

Nadzieja na dziczyznę rozwiała się jeszcze pierwszego dnia. Stawialiśmy o zmierzchu namiot nad brzegiem strumienia, który srebrną nicią wił się u naszych nóg, a po drugiej stronie rosła gęsta trawa, rozciągająca się na przestrzeni trzystu metrów aż do skalistego prawego brzegu. Trawa ta rosła na dnie strumienia – wiosną było wszystko w krąg zalane – i teraz tworzyła z całą potęgą zieleni łąkę, podobną do górskiego ujęcia.

Nagle wszyscy stali się czujni. Zmierzch jeszcze nie zdążył zgęstnieć. Po trawie, kołysząc się, sunął jakiś zwierz – niedźwiedź, rosomak czy ryś.

W morzu trawy ruchy jego były dobrze widoczne – Pikulew i Kałmajew wzięli topory, a Machmutow, czując się w roli bohatera powieści Jacka Londona, zdjął z ramienia małokalibrową strzelbę nabitą „żakanem” – kawałkiem ołowiu, przygotowanym na spotkanie niedźwiedzia.

Ale trawiaste zarośla skończyły się i pełznąc na brzuchu i machając ogonem, przybliżył się do nas szczeniak, Henryk – syn zabitej suki Tamary.

Szczeniak odmachał dwadzieścia kilometrów przez tajgę i dogonił nas. Po naradzie odegnaliśmy szczeniaka z powrotem. Przez dłuższy czas nie mógł zrozumieć, dlaczego go tak okrutnie traktujemy. W końcu pojął i ponownie ruszył w trawę, trawa znów zafalowała, ale tym razem w drugim kierunku.

Mrok zgęstniał, a wraz ze słońcem i silnym wiatrem rozpoczął się drugi dzień. Szliśmy w górę wzdłuż rozwidleń niekończących się rzeczek, szukaliśmy osypisk na skłonach, ażeby doprowadzić Machmutowa do obnażonych miejsc, z których geolog mógłby odczytać istnienie węgla. Ale ziemia milczała i ruszyliśmy wzdłuż niedźwiedziej ścieżki – w tym wiatrołomie, w tym chaosie drzew zwalonych do wąwozu przez wiatr w ciągu stuleci nie było innej drogi. Kałmajew i Pikulew ponieśli namiot w górę strumienia, a ja i geolog weszliśmy w głąb tajgi i znalazłszy niedźwiedzią ścieżkę, przerąbując się przez wiatrołom, ruszyliśmy wzdłuż niej.

Modrzewie pokryte były zielenią, zapach igliwia przenikał przez delikatną woń butwiejących, umarłych pni – wydawało się, że pleśń jest również wiosenna, zielona, że jest także żywa, a martwe pnie wydzielają zapach życia. Zielona pleśń na pniach zdawała się żyć, zdawała się być symbolem, znakiem wiosny. A w rzeczywistości to barwa uwiądu, kolor gnicia. Ale Kołyma stawiała przed nami trudniejsze pytania i podobieństwo życia i śmierci nie napełniało nas niepokojem.

Ścieżka była pewna – stara, sprawdzona niedźwiedzia ścieżka. Teraz szli nią ludzie po raz pierwszy od stworzenia świata, geolog z małokalibrową strzelbą, z młotkiem geologicznym w ręku i ja z tyłu z toporem.

Była wiosna, wszystkie kwiaty kwitły naraz, ptaki śpiewały razem wszystkie swoje pieśni, zwierzęta starały się w pośpiechu dogonić drzewa w ich szaleńczym przedłużaniu gatunku. Niedźwiedzią ścieżkę przegradzał krzywy, martwy pień modrzewia, ogromne drzewo, którego wierzchołek był ułamany przez burzę, utrącony. Kiedy? Rok temu albo dwieście lat wstecz. Nie znam pozostawionych przez stulecia znaków i czyż one istnieją? Nie wiem, jak długo tkwi w ziemi to, co było drzewem, i jakie ślady

na pniu rok za rokiem odkłada czas. Żywe drzewa odliczają czas poprzez słoje – pierścieniowe, co rok to nowy. A jak znaczona jest zmiana czasu w przypadku martwych drzew – nie wiem. Jak długo można korzystać z martwego modrzewia, rozwalonego przez skałę, z lasu powalonego przez burzę – wykorzystywać na norę, na legowisko – wiedzą to tylko zwierzęta. Ja tego nie wiem. Co zmusza niedźwiedzia, aby wybrał inne legowisko? Co zmusza zwierzę, aby dwukrotnie i trzykrotnie kładło się do tej samej nory?

Burza położyła złamany modrzew, ale nie zdołała wyrwać go z ziemi, zabrakło jej siły. Złamany pień zawisł nad ścieżką i niedźwiedzi ślad okrążył martwy pień i dalej skierował się prosto. Można łatwo obliczyć wzrost czworonoga.

Machmutow uderzył geologicznym młotkiem w pień i drzewo odezwało się głuchym dźwiękiem, głosem pustego pnia, pustego wnętrza, które tworzyło dziuplę, ochronę z kory, osłonę życia. Z dziupli wypadła wprost na ścieżkę łasica, maleńkie zwierzątko. Nie znikło ono jednak w trawie leśnej, w tajdze. Łasiczka spojrzała ludziom w oczy wzrokiem pełnym odwagi i zaciekłości. Łasica była w sytuacji na moment przed porodem, który rozpoczął się na ścieżce przed nami. Zanim zdołałem cokolwiek uczynić, krzyknąć, zrozumieć, zatrzymać, geolog wypalił wprost w łasicę ze swojej małokalibrówki, nabitej „żakanem”, ołowianym pociskiem przygotowanym na spotkanie z niedźwiedziem. Machmutow źle strzelał nie tylko do ptaków w locie…

Raniona łasica popełzła po niedźwiedziej ścieżce wprost na Machmutowa i Machmutow odstąpił, cofając się przed jej wzrokiem. Tylna łapka brzemiennej łasicy została odstrzelona i łasica ciągnęła za sobą krwawą kaszę nienarodzonych jeszcze zwierzątek, dzieci, które urodziłyby się, gdybyśmy obaj z Machmutowem byli już daleko od złamanego modrzewia – narodziłyby się i wyszły w trudny i pełen powagi świat zwierząt tajgi.

Widziałem, jak łasica pełzła do Machmutowa, widziałem śmiałość, złość, pragnienie zemsty, zaciekłość malującą się w jej oczach. Widziałem, że nie było w nich strachu.

– Przegryzie buty, ścierwo – powiedział geolog, cofając się, aby uchronić swoje nowiutkie, przeznaczone na błoto buty. I uchwyciwszy berdankę za lufę, podstawił kolbę pod pyszczek umierającej łasicy.

Ale jej oczy zgasły i znikła z nich nienawiść.

Podszedł Pikulew, pochylił się nad martwym zwierzątkiem i powiedział:

– Miała mężne oczy.

Czyżby coś pojął? A może nie? Nie wiem. Po niedźwiedziej ścieżce weszliśmy na brzeg rzeki, przed namiot w miejscu zbiórki. Jutro rozpoczniemy drogę powrotną – ale już nie tą ścieżką, lecz inną.

W ŁAŹNI

W tych niedobrych żartach, którymi tylko łagier potrafi się zabawiać, łaźnię często nazywa się „bezprawiem”. „Frajerzy krzyczą: bezprawie! – naczelnik zagania do łaźni!” – to zwykła, powiedzieć można, tradycyjna ironia, pochodząca od błatniaków, jak zawsze spostrzegawczych. W tym żartobliwym spostrzeżeniu skryta jest gorzka prawda.

Łaźnia – to zawsze przykre wydarzenie dla więźniów, utrudniające ich bytowanie. Uwaga ta jest jeszcze jednym świadectwem tej „zmiany skali”, która jest najistotniejszą cechą wprowadzaną do psychiki człowieka przez łagier, do którego trafił i w którym odbywa swój wyrok lub – jak określa to Dostojewski – „termin”.

Wydawałoby się, jak to może być? Unikanie łaźni – to zawsze zaskoczenie dla lekarzy i naczelników, upatrujących w tej łaziennej absencji rodzaj protestu, naruszenie dyscypliny, wyzwanie rzucone łagrowemu reżimowi. Ale fakt jest faktem. I przez całe lata, zawsze, dzień łaźni w łagrze jest wydarzeniem. Mobilizowany i instruowany jest konwój, wszyscy naczelnicy biorą udział w łowach na unikających łaźni, nie mówiąc już o lekarzach. Łaźnia w łagrze i dezynfekcja odzieży w komorze dezynfekcyjnej jest bezpośrednim obowiązkiem służby sanitarnej. Cała łagrowa administracja niższego szczebla składająca się z więźniów (starostowie, dyspozytorzy) również pozostawia wszystko i zajmuje się tylko łaźnią. W końcu i naczalstwo związane z produkcją zmuszone jest zająć się tym wielkim problemem i uruchomić cały szereg środków w dni łaźni (jest ich trzy w ciągu miesiąca).

I w takie dni wszyscy są na nogach od rana do wieczora.

O co więc chodzi? Czyż człowiek, bez względu na poziom jego nędzy, na który został sprowadzony, nie zgodzi się umyć w łaźni, zmyć z siebie brud i pot, które pokryły jego zżerane przez choroby skóry ciało, i nie zechce chociażby na godzinę poczuć się czystym?

Istnieje takie rosyjskie powiedzonko: „Szczęśliwy jak po łaźni”. Jest ono słuszne i dokładnie oddaje tę fizyczną błogość, którą odczuwa człowiek,

mając czyste, wymyte ciało.

Czyż do tego stopnia zanikł u ludzi rozum, że nie pojmują, nie chcą zrozumieć, iż bez wszy jest lepiej niż z wszami? A wszy jest dużo i nie można się ich pozbyć bez komory dezynfekcyjnej, zwłaszcza przy tak ciasno nabitych barakach.

Oczywiście zawszenie jest pojęciem wymagającym uściślenia. Jakiś tam dziesiątek wszy w bieliźnie nie jest uważany za coś istotnego. Zawszenie dopiero wtedy zaczyna niepokoić zarówno kolegów, jak i lekarzy, kiedy wszy dają się strzepywać z bielizny, a wełniany sweter rusza się od zagnieżdżonych w nim insektów.

Czyż więc człowiek – kimkolwiek by on był – nie chce uwolnić się od tej męczarni, niepozwalającej mu spać i zmuszającej do rozdrapywania swojego brudnego ciała?

Oczywiście, że nie. Ale – pierwszym „ale” jest to, że na łaźnię nie ma wolnych dni. Do łaźni prowadzą albo po, albo przed pracą. A po wielogodzinnej pracy na mrozie (latem również nie jest lżej), kiedy wszystkie nadzieje i zamiary skupiają się na pragnieniu jak najszybszego dostania się do pryczy, do pożywienia i snu – zwłoka związana z łaźnią staje się nie do wytrzymania. Łaźnia znajduje się zawsze w znacznej odległości od baraku. Jest tak dlatego, że ta sama łaźnia służy również wolnym, nie tylko więźniom – i zazwyczaj nie jest umiejscowiona na terenie łagru, lecz w osiedlu dla wolnych.

Przetrzymanie w łaźni to nie jakaś tam godzina przeznaczona na umycie się i dezynfekcję odzieży z wszy. Ludzi myje się wielu, partiami, jedna za drugą, i wszyscy, którzy się spóźnili (dowiezieni wprost z pracy z pominięciem łagru, bo tam rozbiegliby się, znajdując sposoby ukrycia się przed łaźnią), oczekują na mrozie swej kolejki. W czasie wielkich mrozów naczalstwo stara się skrócić ten czas pobytu aresztantów na mrozie – wpuszcza się ich do szatni mieszczących 10–15 osób, zaganiając tam setkę odzianych ludzi. Szatnia nie jest opalana albo jest opalana słabo. Wszystko jest tam wymieszane – nadzy i odziani w półkożuszki, wszyscy tłoczą się, przeklinają, hałasują. Korzystając z ciasnoty i hałasu kradną – złodzieje i niezłodzieje – rzeczy swoich towarzyszy (przyszły przecież inne, niemieszkające razem brygady – nigdy kradzionego się nie znajdzie).

Drugie, a ściśle trzecie „ale” – to to, że podczas kiedy brygada myje się w łaźni, obsługa powinna pod kontrolą służby sanitarnej przeprowadzić sprzątanie baraku: podmieść, wymyć, wyrzucić wszystko, co jest zbędne.

To wyrzucanie zbędnych rzeczy przeprowadza się w sposób bezwzględny. A przecież każda szmatka jest cenna i trzeba zużyć niemało energii, aby posiąść zapasowe rękawice, zapasowe onuce, nie mówiąc już o innych, mniej przenośnych rzeczach. A o żywności nawet mówić nie warto. Wszystko to znika bez śladu i dopóki odbywa się łaźnia – zgodnie z prawem. Zupełnie bezcelowe jest zabieranie ze sobą zapasowych rzeczy do pracy i potem do łaźni: bystre, wprawne oczy błatniaków szybko je wypatrzą. Każdemu złodziejowi dadzą chociażby zapalić za jakiekolwiek rękawiczki czy onuce.

Człowiek ma to do siebie, że szybko obrasta różnymi drobnymi przedmiotami, bez względu na to, czy jest żebrakiem czy jakimś laureatem. Przy każdej zmianie miejsca pobytu (wcale niemającego nic wspólnego z więzieniem) u każdego ujawnia się tyle drobiazgów, że aż dziw, skąd ich się tak wiele mogło zebrać. I oto są one rozdawane, sprzedawane, wyrzucane aż do uzyskania możliwości zamknięcia wieka walizy. Obrasta tak i aresztant. Przecież jest on robotnikiem – musi mieć igłę i materiał na łatki, i być może dodatkową starą miskę.

Wszystko to było wyrzucane – i po kolejnej łaźni wszyscy na nowo „zagospodarowywali się”, jeżeli nie zdążyli wcześniej upchać tego głęboko w śniegu, ażeby na drugi dzień wydobyć.

Za czasów Dostojewskiego dawano w łaźni jeden cebrzyk gorącej wody (co ponad – było kupowane przez frajerów). Norma ta pozostała bez zmiany po dzień dzisiejszy. Drewniany cebrzyk nie bardzo gorącej wody i palące, przylepiające się do palców kawałki lodu zwalonego do beczki – w nieograniczonej ilości. Cebrzyk jest jeden, żadnego innego naczynia do rozprowadzenia gorącej wody się nie wydaje. A więc gorąca woda schłodzona jest kawałkami lodu i to jest cała porcja wody, za pomocą której aresztant powinien umyć głowę i ciało. Latem wydawana jest zimna woda zamiast lodu, mimo wszystko woda, a nie lód.

Załóżmy, że aresztant powinien umieć wymyć się każdą ilością wody, od łyżki do cysterny. Jeśli jest jej łyżka, to przemyje on nią zlepiające się, zaropiałe oczy i uzna toaletę za zakończoną. Jeżeli jest jej cała cysterna, to będzie obryzgiwać nią sąsiadów, będzie co minutę zmieniać wodę i tak wykombinuje, aby zużyć swoją porcję w przepisanym czasie.

Wszystko to obrazuje pomysłowość w rozwiązywaniu takiego bytowego problemu, jakim jest problem łaźni. Ale oczywiście nie rozwiązuje pro-

blemu czystości. Marzenie o tym, aby wymyć się w łaźni – to marzenie nieziszczalne.

W samej łaźni, wyrażającej się wciąż tym samym zgiełkiem, dymem, krzykiem i ciasnotą (krzyczeć jak w łaźni – to wyrażenie żywego języka), nie ma żadnej wody w nadmiarze, a także nie można jej dokupić. Ale tam nie tylko brakuje wody. Tam nie starcza ciepła. Żelazne piece nie zawsze rozpalone są do czerwoności i w łaźni (w ogromnej większości przypadków) całkiem po prostu jest chłodno. To odczucie potęguje się za sprawą tysięcy maleńkich przeciągów przez drzwi i szczeliny: pomiędzy bierwionami ścian ułożony jest mech, który szybko wysycha i wykrusza się, tworząc w nich otwory. Każda łaźnia – to ryzyko przeziębienia – wszyscy o tym wiedzą (w tej liczbie oczywiście i lekarze). Zawsze w dzień po łaźni powiększa się lista zwolnionych z pracy z powodu choroby, rzeczywiście chorych, i o tym również wiedzą wszyscy lekarze.

Pamiętajmy, że drewno opałowe dla łaźni przynoszą w jej przeddzień same brygady na swoich barkach, co znowu odciąga powrót do baraków i mimo woli nastraja przeciw łaźni.

Ale to jeszcze nie wszystko. Najstraszniejsze – to komora dezynfekcyjna, obowiązkowa, zgodnie z instrukcją, przy każdym myciu się.

Bielizna w łagrze bywa „indywidualna” i „ogólna”. To biurokratyczne, oficjalnie przyjęte wyrażenia obok takich perełek, jak „zawszawienie”, „zapluskwienie” itd. „Indywidualna” bielizna – to bielizna nowa i lepsza, którą zachowuje się dla obsługi łagrowej, dla dziesiętników-więźniów i innych uprzywilejowanych osób. Bielizna ta nie jest przydzielana indywidualnie każdemu z tych aresztantów, ale za to jest prana oddzielnie i częściej wymieniana na nową. Natomiast „ogólna” bielizna – jest bielizną wspólną. Rozdaje się ją od razu w łaźni po umyciu się, w zamian za brudną, zbieraną zresztą i podliczaną oddzielnie wcześniej. Nie może być nawet mowy o dobieraniu jej sobie według wzrostu. Czysta bielizna – to prawdziwa loteria i dziwny to był widok, wyciskający łzy z moich oczu, gdy dorośli ludzie płakali skrzywdzeni, otrzymując w zamian za oddaną mocną bieliznę – czystą, ale zetloną. Nic nie potrafi zmusić człowieka, aby stanął jakby obok tych przykrości, z których składa się życie. Nie zastanawia się nad tym, że to tylko do następnej łaźni, że w końcu to życie jest stracone i co tu myśleć o parze bielizny, którą ostatecznie otrzymał też przypadkowo – a oni spierają się i płaczą. Jest to oczywiście zjawisko z tego samego rodzaju odchyleń psychiki więźniów od normy, które charakteryzuje prawie

wszystkie ich poczynania, ta sama „demencja”, którą pewien lekarz-neuropatolog nazwał chorobą uniwersalną.

Życie aresztanta, w sferze jego przeżyć duchowych, zeszło na takie pozycje, że odbiór bielizny z ciemnego okienka, wiodącego do tajemniczych głębin łaziennych pomieszczeń – to wydarzenie kosztujące wiele nerwów. Już długo przedtem ci, którzy się wymyli, tłoczą się przy tym okienku. Zastanawiają się i rozważają, jaką bieliznę wydano zeszłym razem, jaką wydawano przed pięciu laty w Bamłagu, i jak tylko odsunie się deska zakrywająca okienko od wewnątrz, wszyscy rzucają się ku niemu, odpychając jeden drugiego, śliskimi, brudnymi i śmierdzącymi ciałami.

Bielizna ta nie zawsze była sucha. Zbyt często bywa ona mokra – nie nadążają z suszeniem, nie starcza drzewa. A wkładanie mokrej bielizny po łaźni to wątpliwa przyjemność. I sypią się przekleństwa na głowy przywykłej do wszystkiego obsługi łaźni. Ci, co włożyli wilgotną bieliznę, zaczynają przemarzać do kości, ale muszą czekać na dezynfekcję wierzchniej odzieży.

Cóż to takiego komora dezynfekcyjna? To wylepiona od wewnątrz gliną, pokryta brezentowym dachem jama, opalana żelaznym piecykiem, z paleniskiem wychodzącym na przedsionek. Wiesza się w niej na drągach buszłaty, waciaki i spodnie, zamyka drzwi i dezynfektor zaczyna „dawać żaru”. Nie ma tam żadnych termometrów, żadnych woreczków z siarką, ażeby można było określić temperaturę. Sukces tego zabiegu zależy od przypadku albo od sumienności dezynfektora.

W najlepszym przypadku tylko te rzeczy dobrze się nagrzeją, które wiszą blisko pieca. Pozostałe, przykryte innymi, tylko wilgotnieją, a te zawieszone w oddalonym kącie pozostają chłodne. Komora ta nie zabija żadnych wszy. To tylko *pro forma* i zabieg ten służy dodatkowemu męczeniu aresztantów.

Doskonale wiedzą o tym również lekarze, ale nie pozostawią przecież łagru bez komory dezynfekcyjnej. I oto po godzinie oczekiwania w dużej „odziewalni” zaczynają naręczami wyciągać rzeczy, zupełnie jednakowe „komplety”; rzucają je na ziemię, pozostawiając każdemu odszukanie swoich. Aresztanci, przeklinając, wciągają przesiąknięte parą buszłaty, waciaki i watowane spodnie. Teraz, nocą, kradnąc resztki swojego snu, będą suszyć te waciaki i spodnie przy barakowym piecu.

Nic dziwnego, że dzień łaźni nikomu się nie podoba.

DIAMENTOWE ŹRÓDŁO

Ciężarówka zatrzymała się przy przeprawie i ludzie zaczęli się „wyładowywać”, niezgrabnie i leniwie przerzucając swoje niezginające się nogi przez klapę samochodu. Lewy brzeg rzeki był niski, a prawy skalisty, tak jak to powinno być według teorii akademika Baera. Zeszliśmy z drogi wprost do koryta górskiej rzeki i przeszliśmy dwieście kroków po wymytych suchych kamieniach, stukoczących pod naszymi nogami. Ciemny pasek wody, który wydawał się tak wąski z brzegu, okazał się szeroką i bystrą, płytką, górską rzeką. Oczekiwała nas łódka-płaskodenka i przewoźnik z drągiem zamiast wioseł, „przeganiający” łódkę z trzema pasażerami na drugą stronę i powracający samotnie. Przeprawa ciągnęła się aż do wieczora. Na drugim brzegu długo drapaliśmy się w górę po wąskiej ścieżynce, pomagając jeden drugiemu jak alpiniści. Ledwie widzialna pomiędzy wyległą, pożółkłą trawą ścieżynka prowadziła do wąwozu, gdzie w błękitniejącej dali widniały z prawa i lewa schodzące się szczyty gór – znajdujący się w tym wąwozie potok nazywał się właśnie Diamentowe Źródło.

Była to zadziwiająca „delegatura” – właśnie to Diamentowe Źródło, do którego staraliśmy się tak usilnie i nadaremnie dostać ze złotych wyrobisk i o którym wszyscy słyszeli tak wiele nieprawdopodobnych rzeczy. Mówiono, że w tym miejscu nie ma konwojentów, nie ma apeli, nie ma niekończącego się sprawdzania, nie ma drutu kolczastego, nie ma psów.

Przywykliśmy do szczękania karabinowych zamków, wyuczyliśmy się na pamięć ostrzeżeń konwojentów – krok w lewo, krok w prawo uważam za ucieczkę – naprzód marsz! – i szliśmy. Jakiś dowcipniś, a oni zawsze istnieją, w każdych, najcięższych nawet warunkach, gdyż ironia to broń bezbronnych; jakiś dowcipniś powtarzał odwieczny łagrowy żart: „Podskok uważam za agitację”. Ten złośliwy żart wypowiadany był tak, aby konwojent nie słyszał. Wnosił on pokrzepienie, okruch ulgi na sekundę. Uprzedzenie otrzymywaliśmy czterokrotnie w ciągu dnia: rano, gdy wychodziliśmy do pracy, w dzień, gdy szliśmy na obiad i z powrotem, i wieczorem – jak pożegnalne słowa przed powrotem do baraku. I za każdym razem, po tej

znajomej formule, ktoś podrzucał uwagę na temat podskoku; nikogo to nie drażniło i nigdy się nie uprzykrzyło. Na odwrót, byliśmy gotowi słuchać tego żartu tysiące razy.

I oto teraz urzeczywistniły się nasze marzenia, jesteśmy na Diamentowym Źródle, nie ma z nami konwoju, jedynie młody człowiek z czarną brodą, wyraźnie zapuszczoną dla dodania sobie „solidności”, pilnuje naszej przeprawy. Objaśniono już nam, że to naczelnik leśnego rejonu, nasz naczelnik, dziesiętnik z wolnego najmu.

Na Diamentowym Źródle prowadzone były prace nad przygotowaniem słupów dla linii elektrycznej wysokiego napięcia.

Niewiele jest miejsc na Kołymie, gdzie rosną wysokie drzewa; my będziemy prowadzić „wyrywkowy” wyrąb lasu – najkorzystniejsza praca dla naszej braci.

Złote wyrobisko – to praca zabijająca człowieka i do tego – szybko. Tam racja żywnościowa większa, ale właśnie ona zabija w łagrze, a nie ta mała. Już dawno przekonaliśmy się o słuszności tego powiedzenia. Rębacza, który stał się „dochodiagą”, nie odkarmi żadna czekolada.

Wyrywkowy wyrąb lasu jest dla nas korzystniejszy od wyrębu ciągłego, gdzie las jest rzadki, niskorosły – wyrośnięty na błotach, nie ma w nim olbrzymów, a zwózka – znoszenie pni na własnych plecach po sypkim śniegu i układanie w stosy – to bardzo męcząca praca. A przecież dwunastometrowe słupy dla linii elektrycznej nie powinny być ściągane przez ludzi. Zrobi to koń lub traktor. A więc da się żyć. Oprócz tego ta delegatura jest bez konwoju, a więc nie ma żadnych karcerów, żadnego bicia, naczelnik odcinka – z wolnego najmu, inżynier albo technik; bez wątpienia udało się nam.

Przenocowaliśmy na brzegu, a z rana po ścieżce ruszyliśmy do naszego baraku. Jeszcze słońce nie zaszło, gdy doszliśmy do niskiego zrębowego zabudowania z dachem pokrytym mchem i zasypanym kamieniami. W baraku mieszkało pięćdziesięciu dwóch ludzi, a i nas doszło dwudziestu. Nary zrobione były z belek, wysokie, sufit był niski – jedynie w przejściu można było stać wyprostowanym.

Naczelnik był ruchliwym i obrotnym chłopcem. Młodymi oczyma, ale doświadczonym wzrokiem obejrzał szereg swoich nowych robociarzy. Natychmiast zainteresował go mój szalik. Nie był to oczywiście wełniany szalik, lecz tylko bawełniany, ale mimo wszystko – szalik, „wolny” szalik. Podarował mi go poprzedniego roku felczer w szpitalu i od tego czasu nie

zdejmowałem go z szyi ani zimą, ani latem. Prałem go jak mogłem w łaźni, ale ani razu nie oddawałem go do odwszalni. Nie zniszczyłaby ona tych wszy, które znajdowały się w nim w dużej ilości, natomiast szalik zostałby od razu ukradziony. Regularne polowanie na niego i tak było prowadzone przez moich sąsiadów z baraku, towarzyszy codziennego życia i pracy. Bywało też inne – prowadzone przez każdego przypadkowego człowieka – bo któż by odrzucił okazję zdobycia pieniędzy na tytoń, na chleb – taki szalik kupi każdy „wolniaszka", a wszy można łatwo wyparzyć. Tylko aresztantowi jest to trudno zrobić. Ja jednak bohatersko wiązałem go w węzły na swojej szyi przed snem, cierpiąc przez te wszy, do których nigdy nie można się przyzwyczaić, podobnie jak nie można przywyknąć do chłodu.

– Nie sprzedałbyś? – zagadnął czarnobrody.

– Nie – odpowiedziałem.

– No, jak chcesz. Tobie szalik nie jest potrzebny.

Nie spodobała mi się ta rozmowa. Niedobre było i to, że karmiono nas tylko jeden raz na dobę – po pracy. A rano – tylko wrzątek i chleb. Ale coś takiego spotkałem już przedtem. Naczelnicy zwracali niewiele uwagi na żywienie aresztantów. Każdy urządzał to jak najprościej.

Wszystkie produkty były przechowywane u wolnego dziesiętnika – mieszkał on wraz ze swoją strzelbą „iżówką" w maleńkiej, zrębowej chatce w odległości dziesięciu kroków od baraku. Ten sposób przechowywania produktów też był nowością – zazwyczaj nie znajdują się one w rękach naczalstwa związanego z pracą, lecz na terenie łagru, ale widać porządki na Diamentowym Źródle były lepsze – pozostawianie w rękach aresztantów zapasów żywności to zawsze sprawa ryzykowna i niebezpieczna – wszyscy o tym wiedzą.

Do pracy chodziliśmy daleko – cztery kilometry i jasne było, że dzień po dniu ten wyrywkowy wyrąb będzie się odsuwał wciąż dalej i dalej w głąb wąwozu.

Daleki marsz, choćby nawet z konwojem, to dla aresztanta sytuacja raczej dobra niż zła – im więcej czasu schodzi na drogę, tym mniej – na pracę, jakkolwiek by liczyli normalizatorzy i dziesiętnicy.

Praca nie była ani gorsza, ani lepsza od każdej aresztanckiej pracy w lesie. Zwalaliśmy drzewa oznaczone zaciosami przez dziesiętnika, obrąbywali gałęzie, oczyszczaliśmy pnie z sęków i zbierali je na kupę. Najtrudniejsze było zwalenie drzewa tak, aby gruby jego koniec pozostał przy pniu,

by uratować go przed śniegiem, ale dziesiętnik wiedział, że wywóz drzew będzie terminowy, że nadejdą traktory, wiedział, że na początku zimy nie będzie głębokiego śniegu, który przykryłby te zwalone drzewa, i nie zawsze wymagał, aby podnosić drzewo na pieniek.

Coś zadziwiającego czekało na mnie dopiero wieczorem.

Kolacja na Diamentowym Źródle – to było śniadanie, obiad i kolacja: połączone razem wcale nie wyglądały obficiej i bardziej sycąco niż jakikolwiek obiad czy kolacja na kopalni. Mój żołądek upewniał mnie uporczywie, że ogólna kaloryczność i zdolność odżywcza jest mniejsza niż na kopalni, gdzie otrzymywaliśmy mniej niż połowę należnych nam racji – reszta zatrzymywała się w miskach naczelników, obsługi i błatniaków. Ale ja nie wierzyłem mojemu, wygłodzonemu na Kołymie żołądkowi. Jego oceny były przesadzone albo w jednym, albo w drugim kierunku – chciał zbyt wiele, zbyt nieustępliwie wymagał, był nadmiernie stronniczy.

Po kolacji nikt, nie wiadomo dlaczego, nie kładł się spać, wszyscy na coś czekali. Na apel? Nie, apeli tu nie było. Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł nasz niestrudzony dziesiętnik z papierem w ręku. Sprzątający zdjął benzynową kopciłkę z góry nar i postawił ją na stole wkopanym pośrodku baraku. Dziesiętnik usiadł przy świetle.

– Co to ma być? – spytałem sąsiada.

– Procenty za dzień dzisiejszy – powiedział sąsiad i z tonu jego głosu wyłowiłem coś takiego, co mnie przestraszyło – taki ton słyszało się w bardzo poważnych sytuacjach, kiedy ofiarom trzydziestego ósmego roku mierzono wyniki ich każdego dnia pracy na zasadzie „indywidualnego pomiaru”. Nie mogłem się mylić. Tutaj było coś takiego, czego jeszcze nie znałem, jakaś niebezpieczna nowość.

Dziesiętnik, nie spoglądając na nikogo, odczytał znudzonym głosem nazwiska i procenty wypełnienia norm przez każdego, zwinął papierek i wyszedł. Barak milczał. W ciemności słychać było tylko ciężkie oddechy kilku dziesiątków ludzi.

– U kogo się zmniejszyło – objaśnił poweselały sąsiad – temu jutro nie wydadzą chleba.

– Zupełnie?

– Zupełnie!

Czegoś takiego rzeczywiście nigdy i nigdzie nie spotkałem. Na kopalniach racje żywnościowe określane były według tego, co wypracowała bry-

gada w czasie dekady. W najgorszym przypadku karny przydział, ale nie pozbawiano całkowicie chleba.

Rozmyślałem w napięciu. Chleb – to nasze podstawowe tutaj wyżywienie. W chlebie otrzymujemy połowę wszystkich kalorii. Natomiast gorąca strawa – to rzecz nieokreślona – jej wartość odżywcza uzależniona jest od tysiąca różnych przyczyn – od uczciwości kucharza, od jego sytości, od jego pracowitości, gdyż kucharzowi-próżniakowi pomagają robociarze, których on podkarmia; od sprzątającego, sytości i przyzwoitości konwojentów; od istnienia lub nieobecności błatniaków. I w końcu wydarzenie zupełnie przypadkowe – czerpak rozdawcy, podchwytujący jedynie samą wodę, może sprowadzić całą wartość gorącej strawy do zera.

Oczywiście obrotny dziesiętnik wyliczał procenty „z sufitu”. I wtedy dałem sobie słowo: jeżeli mnie dotknie to pozbawienie chleba jako metoda oddziaływania – nie będę czekać.

Minął tydzień, w czasie którego pojąłem, dlaczego procenty przechowywane są u dziesiętnika pod łóżkiem. O szaliku on nie zapomniał.

– Słuchaj, Andriejew, sprzedaj mi szalik.

– Podarowany, obywatelu naczelniku.

– Nie rozśmieszaj mnie.

Ale ja kategorycznie odmówiłem. Tego samego wieczoru znalazłem się na liście tych, co nie wypracowali normy. Nie zamierzałem niczego udowadniać. Rano rozwiązałem swój szalik i odniosłem go naszemu szewcowi.

– Tylko uważaj, wyparz go.

– Wiem, nie jestem dzieckiem – wesoło odpowiedział szewc, ciesząc się ze swojego nieoczekiwanego nabytku.

Szewc dał mi za szalik porcję chleba, pięćsetkę. Odłamałem od niej kawałek i schowałem resztę za pazuchę. Napiłem się wrzątku i wyszedłem ze wszystkimi do pracy, ale pozostawałem nieco w tyle, a potem skręciłem z drogi do lasu i okrążając z daleka naszą osadę, poszedłem wzdłuż tej samej drogi, którą przyszedłem miesiąc temu. Szedłem w odległości pół wiorsty od ścieżki, śnieg, który upadł, nie utrudniał mi marszu, myśliwskich psów czarnobrody dziesiętnik nie posiadał i dopiero później dowiedziałem się, że zdążył on przybiec na nartach do budki przewoźnika – bo czarna rzeka nie zamarzała tutaj na długo – i zdążył dać znać do łagru o mojej ucieczce przez udających się tam konwojentów.

Usiadłem na śniegu i zacisnąłem szmatkami burki poniżej kolan. Ten rodzaj obuwia był tylko z nazwy „burkami”. Był to miejscowy model –

ekonomiczna produkcja czasów wojny. Burki wykrawano setkami tysięcy ze starych, znoszonych watowanych spodni. Podeszwa wykonana była z tego samego materiału, przestebnowanego kilkakrotnie i zaopatrzonego w tasiemki. Do burek wydawano flanelowe onuce – w taki sposób obuwano robotników wydobywających złoto przy 50-, 60-stopniowym mrozie. Takie burki rozłaziły się po kilku godzinach pracy w lesie – rozrywały się o sęki, gałęzie; po kilku zaś dniach – przy pracy w złotym wyrobisku. Dziury w burkach łatane były „na żywą nitkę” w warsztatach szewskich pracujących w nocy. Do rana „naprawa” była zakończona. Na podeszwę naszywano warstwę za warstwą, aż ostatecznie stawała się bezkształtna, podobna do brzegu górskiej rzeki, obnażonego po obwale.

W takich burkach, z kijem w ręce szedłem w kierunku rzeki – kilka kilometrów powyżej przeprawy. Spełzłem z kamiennej stromizny i pod moimi stopami zachrzęścił lód. Przegrodziła mi drogę luka w lodzie, której końca nie było widać. Lód nadłamał się i lekko wstąpiłem w dymiącą się perlistą wodę, a moja podeszwa wyczuła wypukłe kamienie dna. Podniosłem wysoko nogę – oblodzone burki zabłyszczały, stąpiłem głębiej, powyżej kolan i pomagając sobie kijem, przeprawiłem się na drugą stronę. Tam dokładnie obiłem burki kijem, zdrapałem z nich lód, a także ze spodni – nogi były suche. Pomacałem kawałek chleba za pazuchą i poszedłem wzdłuż brzegu. Po jakichś dwóch godzinach wszedłem na drogę. Przyjemnie było iść bez zawszawionego szalika – gardło i szyja jakby odpoczywały, okryte starym ręcznikiem, który szewc dał w zamian za mój szalik. Szedłem bez obciążenia. To bardzo ważne przy długich przemarszach – i zimą, i latem – aby ręce były swobodne. Ręce uczestniczą w ruchu i podobnie jak nogi rozgrzewają się w ruchu. Nie należy tylko niczego nieść w rękach – nawet ołówek wyda się nieznośnym ciężarem po dwudziestu-trzydziestu kilometrach. O tym wszystkim już od dawna i dobrze wiedziałem. Wiedziałem też o czymś innym: jeżeli człowiek potrafi przenieść jedną ręką jakiś ciężar na odległość kilku kroków – to może nieść, taszczyć ten ciężar bez końca – pojawi się drugi, trzeci, dziesiąty oddech. Ja sam jestem „dochodnikiem” – dojdę wszędzie. Po równej drodze zimą idzie się nawet łatwiej niż latem, jeżeli mróz nie jest zbyt silny. Nie myślałem o niczym, a i myśleć na mrozie nie można – mróz usuwa myśli i przemienia cię w zwierza. Szedłem, na nic nie licząc, chciałem jedynie wydostać się z tej przeklętej delegatury bez konwoju. Przy trzydziestu kilometrach od łagru, przy drodze,

w izdebce mieszkali drwale i tam liczyłem na odegrzanie się, a jeśli się uda, na nocleg.

Było już późno, gdy dotarłem do tej izdebki, otworzyłem drzwi i przekroczywszy mroźną parę, wszedłem do środka. Spoza rosyjskiego pieca podniósł się na moje spotkanie człowiek – znajomy mi brygadzista drwali Stiepan Żdanow, oczywiście z więźniów.

– Rozbieraj się, siadaj.

Powoli rozebrałem się, rozzułem i rozwiesiłem odzież koło piecyka.

Stiepan otworzył drzwiczki piecyka i włożywszy rękawice, wyciągnął stamtąd garnek.

– Siadaj i jedz. – Podał mi chleb i zupę.

Położyłem się spać na podłodze, ale nie zasnąłem od razu – doskwierały mi nogi i ręce.

Skąd i dokąd idę – Stiepan nie pytał. Oceniłem na zawsze jego delikatność. Nigdy już więcej go nie widziałem. Ale i teraz wspominam gorącą pszeniczną zupę, zapach przypalonej kaszy, podobny do zapachu czekolady, smak ustnika fajki, wyciągniętego do mnie po obtarciu go rękawem, abym „dymnął" na drogę.

Mglistym zimowym wieczorem dotarłem do łagru i usiadłem w śniegu nieopodal wrót.

Oto zaraz wejdę i wszystko się skończy. Skończą się te cudowne dwa dni wolności po wielu latach więzienia – i znowu wszy, znowu lodowate kamienie, biała para, głód i bicie.

Właśnie wszedł przez wachtę do łagru aktor z kultbrygady – samotny bezkonwojnik. Znałem go. Przyszli robotnicy z tartaku – przytupują, aby nie zmarznąć, a konwojent wszedł na wachtę, do ciepła, i nie spieszy mu się. Wszedł naczelnik łagru lejtnant Kozaczew, rzucił niedopałek „kazebka" w śnieg i od razu rzucili się tam drwale stojący koło wachty. Już czas. Całą noc nie będziesz siedzieć. Trzeba starać się doprowadzić do końca wszystko, co się zaplanuje. Pchnąłem drzwi i wszedłem do przejścia. Trzymałem w ręku oświadczenie skierowane do naczelnika o tych wszystkich porządkach panujących na bezkonwojowej delegaturze. Kozaczew przeczytał oświadczenie i odesłał mnie do izolatora. Spałem tam, dopóki nie wezwano mnie do śledczego, ale tak jak myślałem, nie zaczęli mi „robić sprawy" – miałem zbyt duży wyrok. „Pojedziesz do karnej kopalni" – powiedział śledczy. Odesłano mnie tam po kilku dniach – na centralnym punkcie tranzytowym nie trzymano ludzi długo.

ZIELONY PROKURATOR

Wszystko nabrało innego wymiaru i każde ludzkie pojęcie, zachowując swą treść w mowie i w piśmie w postaci znanego układu liter i dźwięków, zawiera w sobie coś innego, co na „kontynencie” nie ma imienia: przykłada się tu inne miary, inne są obyczaje i nawyki; zmieniło się znaczenie każdego słowa.

W tych przypadkach, kiedy nowego wydarzenia, uczucia, pojęcia nie sposób wyrazić zwykłymi ludzkimi słowami, rodzi się słowo nowe, zapożyczone z języka błatniaków – dyktatorów mody i gustów na Dalekiej Północy.

Metamorfozy znaczeniowe dotyczą nie tylko takich pojęć, jak Miłość, Rodzina, Charakter, Honor, Praca, Cnota, Wada, Przestępstwo, ale również charakterystycznych dla tego świata i w nim zrodzonych – na przykład UCIECZKA…

We wczesnej młodości zdarzyło mi się czytać o ucieczce Kropotkina z Twierdzy Pietropawłowskiej. Elegancka dorożka podstawiona przed więzienne wrota, a w niej przebrana dama z rewolwerem w rękach, odliczenie kroków do drzwi wartowni, bieg aresztanta pod kulami strażników, stukot kopyt rysaka po kamiennym bruku – to była niewątpliwie ucieczka w klasycznym stylu.

Później przeczytałem wspomnienia zesłańców z Jakucji, z Wierchojańska i gorzko się rozczarowałem. Żadnego przebierania się, żadnej pogoni! Jazda w czasie zimy końmi, zaprzężonymi „gęsiego”, jak w *Córce kapitana*, przybycie na stację kolei żelaznej, kupno biletu w kasie… Nie rozumiałem, dlaczego nazywa się to „ucieczką”. Tego rodzaju ucieczkom dawano niegdyś nazwę „samowolne oddalenie się z miejsca pobytu”, i według mnie taka formuła lepiej oddaje istotę rzeczy niż romantyczne słowo „ucieczka”.

Nawet ucieczka esera Zienzinowa z Zatoki Opatrzności, kiedy amerykański jacht podpłynął do łódki, z której łowił on ryby, i wziął uciekiniera

na pokład, nie wygląda jak prawdziwa ucieczka – tak jak w wypadku Kropotkina.

Na Kołymie zawsze było dużo ucieczek i zawsze – nieudanych.

Przyczyną tego są szczególne właściwości tego surowego, polarnego kraju, którego nigdy nie zdecydowały się zasiedlić więźniami carskie rządy, tak jak na Sachalinie, po to, ażeby „zagospodarować" ten kraj, „skolonizować" go.

Odległość do „kontynentu" liczona była tysiącami wiorst, „najwęższe" miejsce, taka „próżnia" w tajdze – odległość do najbliższych osiedli górniczych Dalstroju i Ałdanu – to około tysiąca kilometrów głuchej tajgi.

To prawda, że w kierunku Ameryki odległości były znacznie mniejsze – Cieśnina Beringa w swoim najwęższym miejscu ma tylko trochę ponad sto kilometrów – ale za to straż na tym kierunku, uzupełniona oddziałami wojsk pogranicza, była absolutnie „nie do przejścia".

Pierwotna droga doprowadzała do Jakucka, a stamtąd dalej, albo końmi, albo wodą – linii lotniczych jeszcze wtedy nie było, a przy tym nie ma nic prostszego, niż zamknąć samoloty na głucho.

To zrozumiałe, że w czasie zimy żadne ucieczki się nie zdarzają; przeżycie zimy pod dachem, gdzie jest żelazny piecyk – to namiętne marzenie każdego aresztanta, i nie tylko jego.

Niewola staje się nie do zniesienia wiosną – tak bywa zawsze i wszędzie. Tutaj do tego naturalnego „meteorologicznego" czynnika, tak skrajnie oddziałującego na zmysły człowieka, dołącza i rozwaga zrodzona przez chłodną logikę rozumu.

Podróżowanie po tajdze możliwe jest tylko latem, kiedy można – gdy produkty się skończą – jeść trawę, grzyby, jagody, korzenie roślin, piec placki z roztartego na mąkę mchu reniferowego, łowić myszy polne, burunduki, wiewiórki, orzechówki, zające…

Jakkolwiek chłodne by były letnie noce w krainie wiecznej zmarzliny, to jednak doświadczony człowiek nie przeziębi się, jeżeli urządzi sobie nocleg na jakichkolwiek kamieniach. Jeśli będzie w odpowiednim czasie przewracać się na drugi bok, nie będzie spać na plecach, podścieli sobie trawę czy gałązki…

Ucieczka z Kołymy jest niemożliwa. Miejsce pod łagry wybrane zostało genialnie. A jednak moc iluzji, za którą płaci się ciężkimi dniami karceru, dodatkowym wyrokiem, biciem, głodem, a często i śmiercią – ta moc działa i tutaj, jak wszędzie i zawsze.

Ucieczek bywa bardzo wiele. Zaledwie odrosty modrzewi pokryją się szmaragdem – a już uciekinierzy „idą”.

Są to prawie zawsze nowicjusze-pierwszoroczniacy, w których sercach nie została zabita wola, miłość własna i których rozsądek nie rozpoznał jeszcze warunków Dalekiej Północy, zupełnie niepodobnych do znanego im świata na „kontynencie”. Nowicjusze znieważeni są tym, co widzieli, do głębi duszy – biciem, dręczeniem, znęcaniem się, deprawacją człowieka… Nowicjusze uciekają – jeden sprawniej, drugi mniej – ale wszystkich spotyka ten sam koniec. Jednych chwytają już po dwu dniach, drugich – po tygodniu, innych – po dwóch… Te wędrówki uciekinierów „z ukierunkowaniem” (ten termin później zostanie wyjaśniony) dłużej nie trwają.

Ogromna ilość etatowego konwoju i „operatywki” wraz z tysiącami owczarków niemieckich oraz z oddziałami wojsk pogranicza i ta armia, która rozmieszczona na Kołymie, skrywa się pod nazwą „kołympułku” – wystarcza, aby wyłapać stu ze stu możliwych uciekinierów.

Jakże więc możliwa staje się ucieczka i czy nie prościej skierować siły „operatywki” na bezpośrednie pilnowanie, a nie na łowy na ludzi?

Względy ekonomiczne wykazują, że utrzymywanie etatowych „łowców czaszek” jest jednak mniej kosztowne niż „głuche” pilnowanie więziennego typu. Zapobieganie samej ucieczce jest niezwykle trudne. Nie pomoże tu też gigantyczna sieć informatorów spośród samych więźniów, którym naczalstwo wypłaca się machorkowymi papierosami i „zupką”.

To sprawa psychiki człowieka z jej zawiłościami i odchyleniami, i niczego tu się nie da przewidzieć – kto i kiedy zdecyduje się na ucieczkę. To, co zdarza się w rzeczywistości, w niczym nie jest podobne do zamierzeń.

Oczywiście istnieją w tej mierze zabiegi profilaktyczne – areszty, umieszczanie w karnej zonie, w tym „więziennym więzieniu”, przenoszenie podejrzanych z miejsca na miejsce – wypracowano bardzo wiele „przedsięwzięć”, które prawdopodobnie mają wpływ na zmniejszanie się liczby ucieczek – i być może byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie było karnych zon, z pewną i wieloosobową strażą rozmieszczoną daleko w głuszy.

Ale z karnych zon też uciekają, natomiast na bezkonwojowych delegaturach nikt tego nie próbuje. W łagrze bywa wszystko. Wiąże się z tym wnikliwe spostrzeżenie Stendhala w *Pustelni parmeńskiej*, że „więziennik mniej myśli o swoich kluczach niż aresztant o swoich kratach” – spostrzeżenie trafne i słuszne.

Ech, Kołyma, ty, Kołyma
Cudnaś ty planeta.
Prawie cały czas jest zima,
Cała reszta lato.

Dlatego, gdy nadchodzi wiosna, wszyscy się przygotowują – straż i operatywka zwiększają etatowe stany ludzi i psów, jednych instruują, drugich przyuczają; aresztanci chowają konserwy i suchary, dobierają sobie „partnerów”…

Istnieje tylko jeden przypadek klasycznej ucieczki z Kołymy, starannie przemyślanej i przygotowanej, zrealizowanej z talentem i bez pośpiechu. Jest to właśnie ten wyjątek, który potwierdza regułę. Ale i ta ucieczka pozostawiła za sobą wijącą się nitkę, posiadającą koniec, niewielkie, zdawałoby się nieistotne zaniedbanie, które pozwoliło odnaleźć uciekiniera – ni mniej, ni więcej, aż po dwu latach. Jak widać miłość własna Vidoców i Lecoqów była silnie urażona i udzielono tej sprawie znacznie więcej uwagi oraz sił i środków, niż to robiono w zwykłych przypadkach.

Ciekawe, że człowiek, który „poszedł na ucieczkę”, realizując ją z bajeczną energią i pomysłowością, wcale nie był „politycznym” aresztantem i nie był też „błatniakiem” – specjalistą w takich sprawach. Był osądzonym na dziesięć lat oszustem.

To zrozumiałe. Ucieczka „polityka” zawsze wykazuje związek z nastawieniem „woli” i, podobnie jak więzienna głodówka, czerpie siły z takiego związku.

Trzeba wiedzieć, dobrze wiedzieć zawczasu – po co i dlaczego uciekasz. Jakiż „polityk” 1937 roku mógł odpowiedzieć na takie pytanie? Ludzie przypadkowi w polityce nie uciekają z więzień. Mogliby uciekać do rodzin, do znajomych, ale w trzydziestym ósmym roku oznaczało to wystawić na ciosy represji wszystkich, na kogo spojrzą na ulicy.

Tu nie wykręcisz się ani piętnastoma, ani dwudziestoma latami. Wystawienie na śmiertelne niebezpieczeństwo życia bliźnich i znajomych – to jedyny możliwy rezultat ucieczki takiego „polityka”. Trzeba przecież, żeby go ktoś chował, ukrywał i pomagał. Pomiędzy „politykami” 1938 roku takich ludzi nie było.

W rzadkich przypadkach powrotu po zakończeniu wyroku pierwszym, co robiły ich własne żony, było sprawdzenie prawdziwości i prawomocności dokumentów powracającego z łagru, a potem, na wyścigi z właścicielem

odnajmowanego mieszkania, bieg na milicję, aby zawiadomić naczalstwo o przybyciu męża.

Rozprawa z przypadkowymi, niewinnymi ludźmi była bardzo prosta. Zamiast upomnieć, uprzedzić, męczono ich, a potem dawano dziesięć, dwadzieścia lat „odległych taborów" albo katorgi czy więzienia. Pozostawało tylko umierać. I umierali, nie myśląc o żadnych ucieczkach, wykazując kolejny raz narodową cechę cierpliwości, sławioną jeszcze przez Tiutczewa i bezwstydnie odnotowywaną przez polityków wszystkich szczebli.

Błatniacy nie uciekali, gdyż nie wierzyli, że dotrą do „kontynentu". A przy tym wiedzieli, że wywiadowcy milicyjni i ludzie z łagrowego aparatu, doświadczeni pracownicy, rozpoznają ich jakimś szóstym zmysłem, zapewniając, że błatniacy noszą na sobie jakieś kainowe piętno, które jest nie do ukrycia. Najbardziej jaskrawym wyjaśnieniem, jak działa ten szósty zmysł, był przypadek, kiedy ponad miesiąc łowiono zabójcę i grabieżcę na kołymskich drogach – z rozkazem natychmiastowego rozstrzelania po rozpoznaniu.

Operatywnik Siewastjanow zatrzymał w pobliżu stacji benzynowej nieznajomego człowieka w baranim kożuchu i gdy człowiek ten odwrócił się, Siewastjanow strzelił mu prosto w łeb. I chociaż Siewastjanow nigdy nie widział jego twarzy, chociaż działo się to zimą i uciekinier był ubrany w zimową odzież, chociaż cechy podane operatywnikowi miały bardzo ogólny charakter (nie będziesz przecież oglądać tatuażu każdego spotkanego na drodze), a fotografia była źle wykonana, niewyraźna, to jednak wyczucie nie zawiodło Siewastjanowa.

Spod poły zabitego wypadł obcięty karabin, a w kieszeni znaleziono browning.

Jak ocenić energię zadziałania tego szóstego zmysłu? Jeszcze minuta – i Siewastjanow sam zostałby zastrzelony.

A jeśli zastrzeliłby niewinnego człowieka?

Do ucieczki na „kontynent" błatniacy nie znajdowali w sobie ani siły, ani chęci. Zważywszy na wszystkie „za" i „przeciw", świat przestępczy zdecydował nie ryzykować, a jedynie ograniczyć się do urządzenia się w nowych miejscach – co, oczywiście, było rozsądne. Ucieczki z tych miejsc wydawały się kryminalistom zbyt śmiałą awanturą, niepotrzebnym ryzykiem.

Któż więc będzie uciekać? Wieśniak? Pop? Zdarzyło mi się spotkać tylko jednego popa-uciekiniera, a do tego ucieczka ta zdarzyła się przed tym słynnym spotkaniem patriarchy Siergieja z Bullittem, kiedy przekazano

pierwszemu amerykańskiemu posłowi z rąk do rąk listy słynnych duchownych odbywających wyroki więzienia i zesłania na całym terytorium Związku Radzieckiego. Patriarcha Siergiej, w czasie gdy był on metropolitą, sam zaznajomił się z więzieniem butyrskim. Po Rooseveltowskim *démarche* wszystkie osoby duchowne, co do jednej, zostały zwolnione z więzień i zesłania. Projektowany był konkordat z uwagi na zbliżającą się wojnę.

A może osadzony za przestępstwo kryminalne – deprawację nieletnich, defraudację, łapówki, zabójstwo? Dla nich ucieczka nie miała żadnego sensu. Ich wyrok, „termin" według wyrażenia Dostojewskiego, bywał zazwyczaj niewielki, w czasie pozbawienia wolności korzystali z wszelkich udogodnień i pracowali w łagrowej „obsłudze", w łagrowej administracji i w ogóle na wszystkich uprzywilejowanych stanowiskach. Zaliczenia pracy skracające ich pobyt w łagrze mieli dobre, a co najważniejsze – po powrocie, do wioski i do miast, spotykali się z życzliwością. Nie dlatego, że życzliwość jest cechą narodu rosyjskiego, współczującego „nieszczęśnikom"; współczucie do nich już dawno odeszło w krainę baśni, stało się miłą i literacką bajeczką. Czasy się zmieniły. Wielkie zdyscyplinowanie społeczeństwa podpowiadało „prostym ludziom" rozeznanie stosunku „władzy" w tym przedmiocie. Stosunek ten był jak najbardziej życzliwy, ten „kontyngent" bowiem wcale nie niepokoił naczalstwa. Nienawidzić należało jedynie „trockistów", „wrogów" ludu.

Była i druga, również ważna przyczyna obojętnego stosunku do powracających z więzień. Trzymano w nich tak wiele ludzi, że nie było chyba w kraju ani jednej rodziny, której członkowie lub ich znajomi nie byliby ścigani i represjonowani. Po szkodnikach nadeszła kolej na kułaków; po kułakach – na trockistów, po trockistach – na ludzi o niemieckich nazwiskach. Mało brakowało, aby została ogłoszona wyprawa krzyżowa przeciwko Żydom.

Wszystko to doprowadziło ludzi do stanu wielkiego zobojętnienia, wyrobiło obojętność w stosunku do tych napiętnowanych przez kodeks karny, jakimkolwiek jego paragrafem.

Jeżeli w dawnych czasach człowiek, po bytności w więzieniu i powrocie do rodzinnej wioski, wywoływał postawę czujności, wrogości, pogardy lub też – jawnego czy tajonego współczucia, to teraz na takich ludzi nikt nie zwracał uwagi. Moralna izolacja „napiętnowanych katorżan" od dawna pogrążyła się w niebycie.

Ludzie wychodzący z więzienia – pod warunkiem że za zezwoleniem naczalstwa – witani byli jak najserdeczniej. W istocie każdy „czubarowiec", który zdeprawował i zaraził syfilisem swoją małoletnią ofiarę, mógł po odbyciu wyroku liczyć na pełną „duchową" swobodę w tych kręgach, w których wcześniej się obracając, „wychylił się poza ramy" kodeksu karnego.

Beletrystyczna interpretacja kategorii prawnych odegrała tu niepoślednią rolę. Nie wiadomo dlaczego, w charakterze teoretyków prawa występowali pisarze i dramaturdzy. A więźniowie i łagrowa praktyka pozostawała księgą zamkniętą na siedem pieczęci; z raportów sporządzanych na drodze służbowej nie wyprowadzano żadnych wniosków…

Po co więc mieli uciekać z łagrów przestępcy niepolityczni? Nie uciekali, pokładając całe zaufanie w staraniach naczalstwa.

Tym bardziej dziwna była ucieczka Pawła Michajłowicza Kriwoszeja.

Krępy, krótkonogi, z grubą szyją, łączącą się w jedno z tyłem głowy, Paweł Michajłowicz nie na darmo nosił swoje nazwisko.

Inżynier-chemik w jednej z charkowskich fabryk, doskonale znał kilka obcych języków, wiele czytał, dobrze znał się na malarstwie i rzeźbie, miał dużą kolekcję antyków.

Będąc wyróżniającą się osobistością wśród specjalistów Ukrainy, bezpartyjny inżynier Kriwoszej do głębi duszy pogardzał wszystkimi wszelakiego rodzaju politykami. Mądrala i chytrus, już od młodzieńczych lat chowany był w namiętnym pragnieniu rozkoszowania się życiem, nie przez dorabianie się – to byłoby dla Kriwoszeja zbyt ordynarne, niemądre – rozumiał to po swojemu, a oznaczało to – wypoczynek, rozpustę. Przyjemności duchowe nie były w jego guście. Kultura i wysoki poziom wiedzy otwierały przed nim, na równi z materialnym dostatkiem, większe możliwości w zaspokajaniu niskich, nikczemnych pragnień i potrzeb.

Dobrego rozumienia malarstwa Paweł Michajłowicz także nauczył się, aby podnieść swoją wartość, zająć wysokie miejsce pomiędzy znawcami i koneserami, aby nie zblamować się przed kolejnym obiektem swoich uczuciowych zainteresowań, czy to żeńskiej, czy to męskiej płci. Malarstwo samo w sobie ani trochę go nie poruszało, ale uważał za swój obowiązek móc wyrazić własny pogląd nawet na kwadratową salę Luwru.

Podobnie i literatura, którą czytywał przeważnie po francusku lub po angielsku i głównie dla wprawy w językach – literatura sama w sobie mało go interesowała. Jedną powieść mógł czytać nieskończenie długo – po jed-

nej stroniczce na sen. Ale już niepodobna było pomyśleć, aby mogła istnieć taka książka na świecie, którą Paweł Michajłowicz czytałby do samego rana. Swojego snu strzegł on starannie i żadna powieść detektywistyczna nie mogła naruszyć wymierzonego, Kriwoszejewskiego reżimu.

W muzyce Paweł Michajłowicz był zupełnym profanem. Nie miał słuchu, a o rozumieniu muzyki w stylu Błoka nie zdarzyło mu się nawet słyszeć. Ale Kriwoszej już dawno zrozumiał, że brak mu słuchu muzycznego – to „nie wada, lecz nieszczęście" – i pogodził się z tym. W każdym razie starczało mu cierpliwości, aby wysłuchać jakiejś fugi czy sonaty i podziękować wykonawcy, a raczej wykonawczyni.

Cieszył się znakomitym zdrowiem, ciałem o budowie pyknika, z pewną skłonnością do tycia, co z resztą nie groziło mu w łagrze.

Kriwoszej urodził się w 1900 roku.

Zawsze nosił okulary w rogowej oprawie lub zupełnie bez niej – okrągłe szkła. Powolny w ruchach, niezgrabny, z wysokim, łysiejącym czołem, Paweł Michajłowicz był niebywale okazałą figurą. Tkwiło tu prawdopodobnie też wyrachowanie – wyniosłe maniery robiły wrażenie na naczelnikach i powinny były ulżyć losowi Kriwoszeja w łagrze.

Pozbawiony uczucia dla sztuki, pozbawiony emocji twórcy czy odbiorcy sztuki, Kriwoszej odnalazł siebie w działalności zbieracza, w antykach. Oddał się temu z całą pasją – było to zyskowne i ciekawe oraz przysparzało Kriwoszejowi nowych znajomości. A wreszcie takie hobby uszlachetniało nikczemne prowadzenie się inżyniera.

Inżynierska pensja – według „specstawki" tamtych czasów – stała się niewystarczająca, aby prowadzić życie na tak wysokiej stopie, jak to robił Paweł Kriwoszej, antykwariusz-amator.

Potrzebne były odpowiednie środki – państwowe, a już na to Paweł Michajłowicz decydował się łatwo.

Otrzymał rozstrzał, zamieniony na dziesięć lat – wyrok olbrzymi w środku lat trzydziestych. Musiały więc tam być milionowe oszustwa. Majątek jego został skonfiskowany i poszedł pod młotek, ale oczywiście taki finał został już wcześniej przewidziany przez Pawła Michajłowicza. Byłoby dziwne, gdyby Kriwoszej nie potrafił ukryć kilkuset tysięcy. Ryzyko było niewielkie, a rachunek prosty. Kriwoszej, „niepolityczny", odsiedzi jako „przyjaciel ludu" połowę wyroku, albo i jeszcze mniej, i wyjdzie albo na podstawie zaliczeń pracy skracających odbywanie wyroku, albo na podstawie amnestii, i będzie wydawać przechowane pieniądze.

Jednakże w „kontynentalnym” łagrze trzymano Kriwoszeja niedługo – odwieziono go, jako więźnia z długoterminowym wyrokiem, na Kołymę. Skomplikowało to jego plany. Co prawda to, że liczył na „paragraf” i na pańskie maniery, sprawdziło się w zupełności i Kriwoszej nie był ani jednego dnia na „robotach ogólnych” w kopalnianym wyrobisku. Wkrótce skierowano go, zgodnie z jego specjalnością inżyniera, do laboratorium chemicznego Arkagalińskiego Rejonu Górniczego.

Były to czasy, kiedy jeszcze nie odkryto słynnego czaj-urjińskiego złota i na miejscu licznych osiedli z tysiącami mieszkańców stały jeszcze stare modrzewie i sześćsetletnie topole. Były to czasy, kiedy nikt jeszcze nie myślał, że samorodki z doliny At-Urjachskiej mogą się wyczerpać albo gdzie indziej mogą być lepsze; życie nie przesuwało się jeszcze na północny zachód w kierunku ówczesnego bieguna zimna – Ojmjakona. Kończono wydobycie w starszych kopalniach i otwierano nowe. Życie kopalni – to sprawa czasu.

Węgiel Arkagały – przyszłego arkagalińskiego zagłębia – był wysuniętą placówką poszukiwaczy złota i przyszłą bazą paliwową kraju, usytuowaną wokół maleńkiej sztolni, w której, stanąwszy na szynach, można było dosięgnąć dachu, sufitu sztolni drążonej ekonomicznie, „po tajgowemu”, jak mówiło naczalstwo. Sztolni ręcznej roboty – wykonanej kilofem i łopatą, podobnie jak wszystkie ówczesne tysiącwiorstowe drogi Kołymy.

Drogie były kopalnie tych pierwszych lat – drążone ręcznie, gdzie stosowano tylko jeden rodzaj mechanizmów: „maszynę OSO – dwie rączki i kółko”; aresztancka praca – tanizna.

Geologiczne grupy poszukiwaczy zachłystywały się jeszcze złotem Susumana, złotem Górnego At-Urjacha.

Ale i Kriwoszej doskonale to zrozumiał – geologiczne marszruty wyjdą poza okolice Arkagały i przesuną się dalej w kierunku Jakucka. W ślad za geologami przyjdą cieśle, górnicy, straż…

Trzeba się było spieszyć.

Minęło kilka miesięcy i do Pawła Michajłowicza przyjechała z Charkowa jego żona. Nie przyjechała ona jednak na widzenie się z nim, przyjechała w ślad za mężem, powtarzając bohaterski czyn żon dekabrystów. Żona Kriwoszeja nie była ani pierwszą, ani ostatnią spomiędzy „rosyjskich bohaterek” – na Kołymie szeroko jest znane imię Fainy Rabinowicz. Rabinowicz – to wybitny geolog. Jej los – to wyjątek.

Żony, przyjechawszy tutaj, skazywały same siebie na stałe męczarnie wędrówek za mężem, którego co rusz to gdzieś przenosili, i trzeba było rzucać z trudem znalezioną pracę i jechać w krainę pełną niebezpieczeństw dla kobiety, gdzie może spotkać się z gwałtem, grabieżą, znęcaniem się… Ale nawet bez konieczności takich podróży każdą taką męczennicę oczekiwało ordynarne nadskakiwanie i czepianie się naczalstwa, od najwyższego poczynając, a kończąc na jakimkolwiek konwojencie, który już zasmakował kołymskiego życia. Propozycje uczestniczenia w pijackim towarzystwie kawalerów były udziałem wszystkich bez wyjątku kobiet i jeżeli więźniarce wydawano po prostu komendę – „rozbieraj się i kładź!" – bez żadnych tam Puszkinów czy Szekspirów i zarażano ją syfilisem, to traktowanie żon zeków było jeszcze bardziej swobodne. Przy zgwałceniu więźniarki bowiem można się było napatoczyć na donos swojego przyjaciela lub konkurenta, podwładnego lub naczelnika, a za „miłość" z żonami zeków, jako z osobami prawnie niezależnymi, nie można było dopasować żadnego paragrafu.

Najważniejsze – że cała ta podróż, trzydzieści tysięcy wiorst, okazywała się zupełnie bezsensowna: żadnych widzeń z mężem biednej kobiecie nie dawano, a obietnice na takie zezwolenie służyły ułatwieniu własnych zalecanek.

Niektóre żony przywoziły pozwolenie z Moskwy na widzenie raz na miesiąc, pod warunkiem przykładnego zachowania się męża i wypracowania normy. Oczywiście bez możliwości wspólnego noclegu, przy obowiązkowej obecności łagrowego naczelnika.

Prawie nigdy nie udawało się żonie znaleźć pracy w tym samym osiedlu, gdzie odbywał wyrok jej mąż.

A jeśli już, wbrew wszelkim oczekiwaniom, udawało jej się znaleźć pracę w pobliżu męża – to natychmiast przenoszono go w inne miejsce. Nie było to zabawą naczelników – było to wykonanie instrukcji służbowej – „rozkaz to rozkaz". Takie przypadki były przez Moskwę przewidziane.

Żonie nie udawało się przekazać żadnych produktów żywnościowych – w tej mierze także istniały nakazy, normy, uzależnienie od rezultatów pracy i zachowania.

Przekazać mężowi chleb przez konwojentów? – będą się bać, nie wolno im tego robić. Przez naczelnika? Naczelnik zgadza się, ale żąda zapłaty w naturze – własnym ciałem. Pieniędzy nie potrzebuje, nie wie i tak co z nimi robić, nie darmo od dawna jest „stoprocentnikiem", tzn. otrzymuje

poczwórną pensję. A przy tym mało prawdopodobne, aby taka kobieta miała pieniądze na łapówki, zwłaszcza według kołymskich miar. Takie to właśnie położenie bez wyjścia stwarzano żonom więźniów. A jeżeli jeszcze była ona żoną „wroga ludu”, to od razu przestawano się z nią patyczkować – każde sponiewieranie jej uważane było za zasługę, za wyczyn i oceniane było pozytywnie w sensie politycznym.

Wiele żon przyjechało, zawerbowawszy się na trzy lata, i zmuszone były czekać w tym potrzasku na powrotny statek. Te silne duchem – a potrzebna była im ta siła bardziej niż ich mężom-aresztantom – doczekały się końca umowy i odjechały z powrotem, nie zobaczywszy męża. Słabe, wspominając prześladowania na „kontynencie” i bojąc się tam powracać, żyjąc w warunkach rozpasania, odurzenia, pijaństwa, dużych pieniędzy – powychodziły ponownie za mąż, raz i drugi, narodziły dzieci i machnęły ręką na męża-aresztanta i na samą siebie.

Żona Pawła Michajłowicza Kriwoszeja, jak należało się spodziewać, nie znalazła pracy w Arkagale i odjechała po krótkim tam pobycie do stolicy kraju – Magadanu. Urządziwszy się tam w pracy jako księgowa – Angelina Grigorjewna nie posiadała żadnego zawodu, całe swe życie była gospodynią domową – żona Kriwoszeja wyszukała jakiś kąt i zamieszkała w Magadanie, gdzie mimo wszystko było weselej niż w tajdze, w Arkagale.

A stamtąd właśnie, do tegoż Magadanu, do naczelnika Oddziału Śledczego mieszczącego się na tej samej, prawie jedynej ulicy, gdzie znajdował się podzielony na przegródki barak dla tych „z rodzinami”, w którym znalazła schronienie Angelina Grigorjewna, poleciała po tajnym przewodzie zaszyfrowana wiadomość:

Zbiegł z/k Kriwoszej Paweł Michajłowicz, urodzony w 1900 roku, paragraf 163, wyrok 10, numer akt personalnych…

Myślano, że ukrywa go żona w Magadanie. Aresztowano ją, ale niczego od niej nie uzyskano. Tak, byłam, widziałam, odjechałam, pracuję w Magadanie. Długa obserwacja i inwigilacja nie dały żadnych rezultatów. Wzmocniono kontrolę odpływających parowców i odlatujących samolotów, ale wszystko na darmo – nie było żadnych śladów męża Angeliny Grigorjewnej.

Kriwoszej uciekał w stronę przeciwną do morza, trzymając się kierunku na Jakuck. Szedł bez obciążenia. Oprócz brezentowego płaszcza, młotka

geologicznego i torby z niewielką ilością „próbek” minerałów, zapasu zapałek i pieniędzy nie miał nic ze sobą.

Szedł jawnie i bez pośpiechu, drogami jucznych koni, ścieżkami reniferów, trzymając się obozowisk, osad, nie odchodząc daleko w tajgę i zawsze nocując pod dachem – szałasu, czumu lub izby… W pierwszym dużym jakuckim osiedlu od razu wynajął robotników, którzy kopali według jego wskazówek „szurfy”, jamy, rowy, jednym słowem wykonywali taką samą pracę jak przedtem, dla prawdziwych geologów. Kriwoszejowi wystarczało wiedzy, aby być zbieraczem, a przy tym Arkagała, gdzie mieszkał około roku, była ostatnim postojem bazowym wielu grup geologicznych i Kriwoszej przypatrzył się manierom i nawykom geologów. Powolność ruchów, rogowe okulary, codzienne golenie się, opiłowane paznokcie – wszystko to wzbudzało bezgraniczne zaufanie do niego.

Kriwoszej nie spieszył się. Zapełniał podróżny zeszyt tajemniczymi znakami, nieco podobnymi do polowych dzienników geologów. Z wolna, niezachwianie posuwał się ku Jakuckowi.

Czasami nawet zawracał, odchodził w bok, zatrzymywał się – wszystko to było potrzebne dla zbadania zagłębia wokół źródła „Pstrego”, dla uprawdopodobnienia, dla zatarcia śladów. Nerwy Kriwoszej miał żelazne i przyjazny uśmiech sangwinika nie schodził z jego twarzy.

Po upływie miesiąca przeszedł górski grzbiet (Jabłonowy); dwóch Jakutów, przydzielonych mu przez kołchoz dla ważnej rządowej pracy, niosło jego torby z „próbkami”.

Zaczęli zbliżać się do Jakucka. W Jakucku Kriwoszej zostawił swoje kamienie w przechowalni bagażu na przystani parowców i udał się do miejscowego urzędu geologicznego – z prośbą o pomoc w przesłaniu kilku ważnych przesyłek do Moskwy, do Akademii Nauk. Następnie Paweł Michajłowicz poszedł do łaźni, do fryzjera, kupił drogie ubranie, kilka kolorowych koszul, bieliznę i zaczesawszy swoje rzednące włosy, zgłosił się do wysokiego naukowego naczalstwa, dobrodusznie się uśmiechając.

Wysokie naukowe naczalstwo odniosło się do Kriwoszeja życzliwie. Znajomość języków obcych, ujawniona przez niego, wywarła należyte wrażenie.

Widząc, że przyjezdny odznacza się wielką kulturą, czego brakowało ówczesnemu Jakuckowi, naukowe naczalstwo ubłagało Kriwoszeja, aby pobył u nich dłużej. W odpowiedzi na pełną zakłopotania replikę Kriwoszeja, że spieszy mu się do Moskwy, naczalstwo obiecało urządzić mu na

państwowy koszt przejazd do Irkucka. Kriwoszej, nie tracąc godności, spokojnie podziękował. Ale naukowe naczalstwo miało swoje plany odnośnie do Pawła Michajłowicza.

– Nie odmówi pan, drogi kolego – mówiło naczalstwo schlebiającym tonem – wygłosić ze dwa, trzy wykłady dla naszych pracowników naukowych… o… na wolny temat, oczywiście według pańskiego wyboru. Może coś na temat złóż węgla na Wyżynie Średnio-Jakuckiej, co?

Kriwoszej poczuł ssanie w dołku.

– Oczywiście, z wielką przyjemnością. Ale, jak by to powiedzieć, w dopuszczalnych granicach… Wiadomości, sam pan rozumie, bez zgody Moskwy…

W tym miejscu Kirwoszej puścił się w komplementy dla sił naukowych Jakucka.

Żaden śledczy nie sformułowałby chytrzej pytania, niż zrobił to jakucki profesor z sympatii dla swojego gościa, dla jego postawy, okularów w rogowej oprawie i chęci jak najlepszego przysłużenia się rodzinnemu krajowi.

Wykład odbył się i nawet zebrał sporą liczbę słuchaczy. Kriwoszej uśmiechał się, cytował po angielsku Szekspira, coś tam kreślił, wyliczając dziesiątki zagranicznych nazwisk.

– Niewiele wiedzą ci moskwianie – mówił w bufecie do profesora jego sąsiad z audytorium. – Wszystko, co jest w tym wykładzie z geologii, w gruncie rzeczy znane jest każdemu uczniowi szkoły średniej, czyż nie tak? A analiza chemiczna węgla – to już nie z geologii, no nie? Jedynie okulary błyszczą!

– Proszę tak nie mówić – nachmurzył się profesor. – Wszystko to przyda się, a nasz stołeczny kolega posiada niewątpliwy dar popularyzacji. Trzeba będzie go poprosić o powtórzenie tego dla studentów.

– No, chyba tylko dla studentów… pierwszego roku – nie ustępował sąsiad profesora.

– Proszę milczeć. W końcu to uprzejmość, przysługa. Darowanemu koniowi…

Okazując wielką uprzejmość, Kriwoszej powtórzył wykład dla studentów. Wywołał ogólne zainteresowanie i uzyskał w pełni przychylną ocenę słuchaczy.

Ze środków jakuckich organizacji naukowych moskiewski gość zawieziony został do Irkucka.

Jego kolekcję – kilka skrzyń napełnionych kamieniami – odesłano wcześniej. W Irkucku „kierownikowi ekspedycji geologicznej” udało się odesłać te kamienie pocztą do Moskwy, pod adresem Akademii Nauk, gdzie dotarłszy, przeleżały kilka lat w składach jako tajemnica naukowa, której rzeczywistej wartości nikt się nie domyślił. Przypuszczano, że za tą tajemniczą przesyłką, zebraną przez jakiegoś pomylonego geologa, który utracił swą wiedzę i zapomniał, jak się nazywa, kryje się jakaś tragedia zza kręgu polarnego, jeszcze dotychczas niewyjaśniona.

– Co najdziwniejsze – mawiał Kriwoszej – że w ciągu mojej prawie trzymiesięcznej wędrówki nikt i nigdzie – ani w radach koczowisk, ani w wysokich naukowych urzędach – nie pytał o dokumenty. Ja je posiadam, ale nigdzie, ani razu nie miałem okazji ich przedstawić.

Do Charkowa oczywiście nawet nie wtykał nosa. Zatrzymał się w Mariupolu, kupił tam dom i podjął pracę na fałszywych dokumentach.

Dokładnie po dwu latach, w rocznicę swojej „wyprawy”, Kriwoszej został aresztowany, sądzony i ponownie skazany na dziesięć lat i skierowany do odbywania kary znowu na Kołymę.

Gdzie doszło do przeoczenia, które obróciło wniwecz to prawdziwie bohaterskie działanie, wyczyn wymagający zadziwiającego opanowania, giętkości umysłu, siły fizycznej – wszystkich cech ludzkich jednocześnie?

Ucieczka ta jest bezprecedensowa ze względu na staranność jej przygotowania, finezyjną i głęboką koncepcję oraz psychologiczną kalkulację, leżącą u podstaw całego przedsięwzięcia.

Zadziwia maksymalnie mała liczba osób biorących udział w organizacji tej ucieczki. Od tego właśnie zależało jej powodzenie.

Wspaniałość tej ucieczki polega jeszcze na tym, że to w pojedynkę, w bezpośredniej walce z państwem, z tysiącami ludzi uzbrojonych w karabiny, w kraju Czałdonów i Jakutów, przyuczonych do otrzymywania pół puda białej mąki za każdego zbiega – taka była taryfa carskich czasów, również potem prawomocna – wystąpił człowiek słusznie mogący widzieć w każdym spotkanym na drodze donosiciela i tchórza – wystąpił do walki, walczył i zwyciężył!

Gdzież więc było to przeoczenie, które zgubiło tak błyskotliwie pomyślane i wspaniale przeprowadzone dzieło?

Żonę zatrzymano na Północy. Nie zezwolono jej na wyjazd na „kontynent” – potrzebne dokumenty wydawał ten sam urząd, który zajmował się sprawą męża.

Zresztą to było przewidziane. Zaczęła oczekiwać na zezwolenie. Ciągnęły się miesiące za miesiącami, jej wciąż odmawiano – jak zawsze bez podania przyczyny odmowy. Spróbowała wyjazdu z drugiego końca Kołymy – samolotem nad tymi samymi rzekami w tajdze i wąwozami, po których posuwał się jej mąż przed kilkoma miesiącami. Ale tam również czekała ją odmowa. Okazało się, że jest zamknięta w olbrzymim kamiennym więzieniu wielkości jednej ósmej Związku Sowieckiego – i nie mogła znaleźć wyjścia.

Była kobietą; zmęczyła się niekończącą się walką z kimś, czyjej twarzy nie mogła ujrzeć, walką z kimś, kto był znacznie silniejszy od niej, silniejszy i bardziej chytry.

Pieniądze, które przywiozła ze sobą, skończyły się – życie na Północy jest drogie: jabłko na magadańskim bazarze kosztowało sto rubli. Angelina Grigorjewna zaczęła pracować na państwowej posadzie, ale urzędniczkom z miejscowego najmu, nie „zawerbowanym” z „kontynentu” płacono inne pensje, mało różniące się od tych w obwodzie charkowskim.

Mąż jej często powtarzał: „Wojnę wygrywa ten, co ma silniejsze nerwy” i Angelina Grigorjewna często szeptała te słowa niemieckiego generała w czasie bezsennych, białych, polarnych nocy. Czuła, że jej nerwy zaczynają słabnąć. Wymęczyła ją ta biała, milcząca przyroda, głucha ściana ludzkiej obojętności, brak wiadomości i niepokój, obawa o los męża – przecież mógł on po prostu umrzeć w drodze z głodu. Mogli go zabić inni uciekinierzy, mogli zastrzelić „operatywnicy” i jedynie na podstawie nieustannego zainteresowania jej osobą i jej prywatnym życiem ze strony Urzędu Angelina Grigorjewna z radością wnioskowała, że jej mąż nie został schwytany, że „jest poszukiwany”, a więc ona nie cierpi nadaremnie.

Chciałaby zwierzyć się komuś, kto mógłby ją zrozumieć, coś poradzić – przecież tak mało znała Daleką Północ. Chciała zmniejszyć ten straszny ciężar zalegający w jej duszy, który, jak jej się wydawało, rósł z każdym dniem, z każdą godziną.

Ale komu mogła zaufać? W każdym i w każdej widziała, wyczuwała szpiega, donosiciela, i to odczucie nie było mylne – wszyscy jej znajomi, we wszystkich osiedlach i miastach Kołymy zostali wezwani i uprzedzeni przez Urząd. Wszyscy oni oczekiwali od niej szczerości.

W drugim roku poczyniła kilka prób skontaktowania się za pośrednictwem poczty z charkowskimi znajomymi – wszystkie jej listy zostały skopiowane, a kopie przesłane do charkowskiego Urzędu.

Pod koniec drugiego roku swojego wymuszonego „pozbawienia wolności”, bliska rozpaczy i prawie nędzarka, wiedząc jedynie, że jej mąż żyje i chcąc się z nim skontaktować, wysłała do wszystkich większych miast listy na nazwisko Pawła Michajłowicza Kriwoszeja „urząd pocztowy, *poste restante*”.

W odpowiedzi otrzymała przekaz pieniężny i w ślad za nim zaczęła otrzymywać każdego miesiąca niewielkie sumy, po pięćset, osiemset rubli, z różnych miejsc, od różnych osób. Kriwoszej był zbyt mądry, aby wysyłać pieniądze z Mariupola, a Urząd zbyt doświadczony, żeby tego nie zrozumieć. Mapa geograficzna, przeznaczona w takich przypadkach dla oznakowania „bojowych operacji”, upodobniała się do wojskowych map sztabowych. Chorągiewki na niej zatknięte – miejsca wysyłki przekazów pieniężnych do adresatki na Dalekiej Północy – układały się wzdłuż stacji kolejowych w pobliżu Mariupola w kierunku na północ, nigdy dwukrotnie się nie powtarzając.

Teraz już wydział śledczy niewiele musiał się wysilić: trzeba było tylko ustalić nazwiska ludzi, którzy przyjechali do Mariupola na stałe w ciągu ostatnich dwu lat, zidentyfikować fotografie…

Tak został aresztowany Paweł Kriwoszej. Żona była jego śmiałą i wierną pomocnicą. Przywiozła mu do Arkagały dokumenty, pieniądze – ponad pięćdziesiąt tysięcy rubli.

Jak tylko Kriwoszej został aresztowany, od razu zezwolono jej wyjechać. Wymęczona moralnie i fizycznie, Angelina Grigorjewna porzuciła Kołymę pierwszym parowcem.

A sam Kriwoszej odbył drugi wyrok, kierując laboratorium chemicznym w centralnym szpitalu dla więźniów, korzystając z niewielkich ulg u naczelników i podobnie jak przedtem, ostrożny w rozmowach, czujnie tchórzliwy przy cudzych słowach… Ta tchórzliwość i nadmierna ostrożność miała jednakże inne podłoże niż u zwykłego tchórza-filistra. Dla Kriwoszeja wszystko to było obce, nic „politycznego” go nie interesowało, i wiedząc, że za tego rodzaju „kryminał” płaci się w łagrze najwyższą cenę, nie chciał poświęcać swojego, zbyt mu drogiego, życiowego, materialnego i duchowego spokoju.

Kriwoszej mieszkał w laboratorium, a nie w łagrowym baraku – uprzywilejowanym aresztantom zezwalano na to.

Za szafami zawierającymi kwasy i zasady przytuliło się jego łóżko, urzędowe, czyste. Chodziły słuchy, że uprawia on rozpustę w tej swojej piecza-

rze w jakiś specjalny sposób, że nawet irkucka prostytutka Sonieczka, gotowa „na wszystkie podłości”, była zdumiona zdolnościami i umiejętnościami Pawła Michajłowicza w tym względzie. Ale mogła być to również nieprawda, łagrowy „świst”.

Niemało było „wolnych” dam, pragnących „zakręcić romans” z kwitnącym mężczyzną, jakim był Paweł Michajłowicz. Ale więzień Kriwoszej był ostrożny i miał silną wolę, przerywał wszystkie „awanse”, którymi był szczodrze obdarowywany. Nie chciał żadnych niedozwolonych, nadmiernie ryzykownych i zbyt wysoko karanych związków. Pragnął spokoju.

Paweł Michajłowicz regularnie otrzymywał zaliczenia pracy, bez względu na ich wielkość, i po kilku latach wyszedł na wolność, bez prawa wyjazdu z Kołymy. To zresztą nie zbijało z tropu Pawła Michajłowicza. Już następnego dnia po zwolnieniu okazało się, że posiada pierwszorzędne ubranie i płaszcz jakiegoś zagranicznego kroju oraz doskonałego gatunku welurowy kapelusz.

Urządził się w jednej z fabryk, zgodnie ze swoją specjalnością, w charakterze inżyniera-chemika – był on rzeczywiście specjalistą „wysokiej miary”. Przepracowawszy tydzień, wziął urlop „na załatwienie spraw rodzinnych”, jak było napisane w dokumencie.

– ???

– Jadę po kobietę – lekko uśmiechnąwszy się, powiedział Kriwoszej. – Po kobietę!… Na targ narzeczonych do sowchozu Elgen. Chcę się ożenić.

Powrócił tego samego wieczoru z „kobietą”.

Koło sowchozu Elgen, „żeńskiego sowchozu”, znajduje się stacja paliwowa – na skraju osady, „w przyrodzie”. Wokoło, sąsiadując z beczkami benzyny – wiklinowe zarośla, krzewy olchy. Tutaj zbierają się wieczorem „oswobodzone” kobiety Elgenu. W to samo miejsce przyjeżdżają na ciężarówkach „narzeczeni” – byli więźniowie, poszukując towarzyszki życia. Swaty przebiegają szybko – jak wszystko na kołymskiej ziemi (oprócz łagrowego wyroku), i samochody powracają z oblubienicami. W razie potrzeby dokładne wzajemne poznanie odbywa się w krzakach – wystarczająco gęstych, wystarczająco wysokich.

Zimą wszystko to przenosi się do prywatnych, mieszkalnych domków. Oczywiście wzajemne oględziny zabierają wtedy znacznie więcej czasu niż w lecie.

– A co na to Angelina Grigorjewna?

– Nie koresponduję z nią teraz.

Czy to była prawda czy nie, nie warto było się dopytywać. Kriwoszej mógł odpowiedzieć znakomitym łagrowym powiedzeniem: Nie wierzysz – przyjmij to za bajkę!

Kiedyś tam, w latach dwudziestych, w zaraniu „chmurnej młodości" łagrowych instytucji, w nielicznych zonach zwących się obozami koncentracyjnymi, ucieczki w ogóle nie były karane żadnym dodatkowym wyrokiem i jakby nie stanowiły przestępstwa. Wydawało się naturalne, że aresztant, więzień powinien uciekać, a strażnicy powinni go łapać, i że to zupełnie zrozumiałe i prawidłowe wzajemne stosunki dwu ludzkich grup, stojących z dwu stron więziennej kraty i tą samą kratą wzajemnie złączonych. Były to romantyczne czasy, kiedy, używając słów Musseta, „przyszłość jeszcze nie nastąpiła, a przeszłość już przestała istnieć". To jeszcze wczoraj ataman Krasnow, wzięty do niewoli, zwalniany był na słowo honoru. A co najważniejsze – to były czasy, kiedy granice cierpliwości rosyjskiego człowieka nie były jeszcze wystawiane na próbę, nie były przesuwane na nieskończoną odległość, jak to uczyniono w latach trzydziestych.

Jeszcze nie został napisany, nieułożony *Kodeks 1926 roku*, z jego przesławnymi artykułami 16 („zgodnie z…") i 35, wyznaczającym w społeczeństwie całą grupę „trzydziestopiątników".

Pierwsze łagry zostały utworzone na niepewnej podstawie prawnej. Było tam wiele improwizacji, a więc i tego, co nazywa się lokalnym bezprawiem. Słynny sołowiecki „Kuriłka", wystawiający w tajdze więźniów na pieńki – na pastwę komarów, był oczywiście empirykiem. Empiryzm życia w łagrze i jego układów był empiryzmem krwawym – przecież doświadczenia były prowadzone na ludziach, na żywym materiale. Wysokie naczalstwo mogło zaaprobować eksperyment jakiegoś tam „Kuriłki", i wtedy jego działania wchodziły do łagrowej składnicy przepisów, instrukcji, wskazań. Albo też eksperyment nie zostawał uznany i wtedy „Kuriłka" sam szedł pod sąd. Zresztą wtedy nie było dużych wyroków – w całym IV oddziale Sołówek było tylko dwu więźniów mających wyroki po dziesięć lat. Pokazywano ich palcami, jak jakieś znakomitości. Jednym z nich był pułkownik żandarmerii Rudenko, a drugim – Mardżanow, biały oficer. Pięcioletni wyrok był wyrokiem dużym, a większość to dwu- i trzyletnie.

W tych właśnie latach – przed trzydziestymi – za ucieczkę nie dawano żadnego dodatkowego wyroku. Uciekłeś – twoje szczęście, złapali cię ŻYWEGO – to znów twoje szczęście. Nieczęsto łapali żywych – smak

ludzkiej krwi rozpalał nienawiść konwojentów do więźniów. Aresztant obawiał się o swoje życie, zwłaszcza podczas przemarszów, „etapów”, kiedy nieostrożne słowo, coś powiedzianego konwojentom, mogło zaprowadzić na tamten świat, na „księżyc”. W czasie etapu obowiązują jeszcze surowsze zasady i konwojowi uchodzi wiele rzeczy. W czasie przemarszów z jednej „delegatury” do drugiej więźniowie żądali od naczalstwa, aby związano im ręce za plecami, widząc w tym pewien rodzaj gwarancji na życie i mając nadzieję, że w takiej sytuacji nie może być sporządzony „akt” w postaci sakramentalnej formuły – „zabity przy próbie ucieczki”.

W takich przypadkach śledztwo prowadzone było byle jak i jeżeli zabójca był wystarczająco domyślny, ażeby oddać drugi strzał w powietrze, to sprawa kończyła się dla konwojenta zawsze pomyślnie – według instrukcji należy oddać strzał ostrzegawczy przed wzięciem na muszkę uciekiniera.

Na Wiszerze, w czwartym oddziale SŁONA-a – uralskiej filii sołowieckich łagrów – na spotkanie schwytanych uciekinierów wychodził komendant Zarządu, Niestierow – krępy, niski, z długimi, białymi rękami o krótkich, grubych palcach, porośniętych gęstym, czarnym włosem; wydawało się, że na dłoniach również rosną włosy.

Pod jego nogi rzucano więźniów – brudnych, głodnych, pobitych, zmęczonych i pokrytych od nóg do głowy kurzem.

– Ano, podejdź, bliżej podejdź.

Więzień podchodził.

– A więc zachciało ci się pospacerować! Słusznie, słusznie!

– Proszę wybaczyć, Iwanie Spirydonyczu.

– Ja przebaczam – śpiewnie i uroczyście mówił Niestierow, wstając z krzesła. – Jeżeli o mnie chodzi, to przebaczam. Państwo – nie przebaczy… – Jego błękitne oczy mętniały i pokrywały się czerwonymi nićmi naczyń krwionośnych. Ale głos brzmiał życzliwie i dobrodusznie jak przedtem. – No, wybieraj – leniwie wymawiał słowa – w gębę czy izolator…

– W gębę, Iwanie Spirydonyczu.

Uwłosiony kułak Niestierowa wzlatywał nad głową uciekiniera i szczęśliwiec odlatywał na bok, ocierając krew i wypluwając wybite zęby.

– Idź do baraku!

Iwan Spirydonycz zwalał z nóg każdego jednym uderzeniem pięści, jednym „plaśnięciem” – tym się sławił i z tego był dumny.

Aresztant też nie był stratny – „plaśnięciem” Iwana Spirydonycza kończyły się rozrachunki za ucieczkę.

Jeżeli zaś uciekinier nie chciał zakończyć sprawy po rodzinnemu i nalegał na oficjalną karę, pragnąc odpowiadać zgodnie z prawem – czekał go łagrowy izolator, więzienie z żelazną podłogą. Spędzenie w nim jednego, dwu czy trzech miesięcy na karcerowej porcji wydawało się więźniowi gorsze niż Niestierowskie „plaśnięcie”.

Tak więc, jeżeli uciekinier pozostawał przy życiu – żadne nieprzyjemne następstwa ucieczki go nie czekały, może jedynie przy typowaniu „na zwolnienie”, gdy „rozładowywano” łagier, były uciekinier nie mógł już liczyć na swe szczęście.

Zwiększała się liczba łagrów, rosła też liczba ucieczek. Zwiększenie liczebności straży było bezcelowe – zbyt kosztowne, a przy tym w owych czasach bardzo mało było chętnych do pracy w łagrowej straży.

Problem odpowiedzialności za ucieczkę rozwiązywany był w niezadowalający sposób, niesolidnie, jakoś tak po dziecinnemu.

W niedługim czasie odczytano nowe moskiewskie wyjaśnienie: dni ucieczki i okres przebywania w izolatorze nie wliczają się do okresu odbywania kary.

Rozkaz ten wywołał wielkie niezadowolenie w komórkach ewidencyjnych w łagrach – należało zwiększyć liczbę etatów, a do tego tak skomplikowane arytmetyczne obliczenia nie zawsze odpowiadały umiejętnościom ludzi zajmujących się tym w łagrze.

Rozkaz został wprowadzony w życie, przeczytano go na apelach wszystkim przebywającym w łagrze – więźniom i obsłudze.

Niestety, nie odstraszył on przyszłych uciekinierów.

Każdego dnia w meldunkach dowódców kompanii rosła rubryka „zbiegł” i naczelnik łagru, czytający codzienne zestawienia, z dnia na dzień chmurzył się coraz bardziej.

Gdy zaś uciekł ulubieniec naczelnika, muzyk łagrowej orkiestry dętej Kapitonow, powiesiwszy swój *cornet-á-pistons* na sęku najbliższej sosny – Kapitonow wyszedł z łagru ze swoim błyszczącym instrumentem jako przepustką – naczelnik utracił równowagę ducha.

Późną jesienią zabito w czasie ucieczki trzech więźniów. Po identyfikacji naczelnik zarządził, aby ich trupy wystawić na widok publiczny u wrót łagru, tam gdzie wszyscy wychodzili do pracy. Ale i taki nieoficjalny, ostry środek nie powstrzymał, nie zmniejszył liczby ucieczek.

Wszystko to działo się pod koniec lat dwudziestych. Potem nastąpiło „przekuwanie”; Kanał Białomorski – „koncłagry” przemianowane zostały w łagry „pracy wychowawczej”, liczba więźniów wzrosła setki tysięcy razy, ucieczka traktowana już była jako przestępstwo samo w sobie: w *Kodeksie 1926 roku* istniał paragraf 82, orzekający dodatkowy rok do kary zasadniczej.

Wszystko to działo się na „kontynencie” – na Kołymie, w łagrach istniejących od 1932 roku, problem uciekinierów postawiony został dopiero w roku 1938. Od tej pory kara za ucieczkę została zwiększona, „termin” urósł do trzech lat.

Dlaczego kołymskie lata od 1932 do 1938 włącznie nie znalazły się w kronikach ucieczek? Był to okres, gdy pracował tam Edward Piotrowicz Bierzin, pierwszy kołymski naczelnik posiadający uprawnienia wyższej partyjnej, radzieckiej i związkowej władzy w kraju, twórca Kołymy, rozstrzelany w 1938 roku i w 1956 zrehabilitowany, były sekretarz Dzierżyńskiego, były dowódca dywizji strzelców łotewskich, który wykrył słynny spisek Lokkarta. Edward Piotrowicz Bierzin próbował, i to z dużym powodzeniem, rozwiązać problem kolonizacji surowego kraju oraz problem „przekuwania” i izolacji. Były to zaliczenia pracy pozwalające dziesięcioletnikom powracać do domu po dwu-, trzyletnim tam pobycie. Doskonałe wyżywienie, odzież, roboczy dzień trwający zimą 4–6 godzin, a latem – 10, ogromne zarobki dla więźniów, które pozwalały im pomagać swym rodzinom i powracać na „kontynent” jako ludziom mającym zabezpieczony byt. W „przekuwanie” błatniaków Edward Piotrowicz nie wierzył, zbyt dobrze bowiem znał ten niepewny i podły ludzki materiał. W czasie pierwszych lat Kołymy złodziejom trudno było tam trafić – ci, którym to się udało, później tego nie żałowali.

Cmentarzy dla więźniów w owych czasach było tak niewiele, że wydawać by się mogło, że kołymianie są nieśmiertelni.

Uciekać z Kołymy – tego nikt nie robił – byłaby to jakaś brednia, bzdura…

Te nieliczne lata – to złote czasy Kołymy, o których z takim oburzeniem mówił zdekonspirowany szpieg i wróg ludu Mikołaj Iwanowicz Jeżow na jednej z sesji CKW ZSRR – niedługo przed „jeżowszczyzną”.

W 1938 roku Kołyma została przemieniona na „specłagier” dla recydywy i „trockistów”. Ucieczki zaczęto karać trzyletnimi wyrokami.

– Jak więc uciekaliście? Przecież nie mieliście ani mapy, ani kompasu.

– Tak i uciekaliśmy. To Aleksander obiecał wyprowadzić…

Razem oczekiwaliśmy w „tranzytce” na odesłanie. Pechowych zbiegów było trzech: Mikołaj Kariew, dwudziestopięcioletnie chłopisko, były leningradzki dziennikarz, jego rówieśnik Fiodor Wasiljew – rostowski buchalter, i kamczackiej narodowości – Aleksander Kotielnikow, kołymski aborygen, a z zawodu kajur – poganiacz reniferów, zasądzony za kradzież państwowego ładunku. Kotielnikow miał pięćdziesiąt lat, a może znacznie więcej – określić na oko wiek Jakuta, Ewenka czy mieszkańca Kamczatki – to rzecz trudna. Nie tylko dobrze mówił po rosyjsku, chociaż w żaden sposób nie mógł wymówić dźwięku „sz” i zamieniał go na „s”, podobnie jak to jest we wszystkich dialektach Czukotów, ale miał pewne pojęcie o Puszkinie, Niekrasowie, bywał w Chabarowsku, jednym słowem – był podróżnikiem doświadczonym; w głębi duszy był romantykiem – nazbyt młodo błyszczały jego oczy.

To on właśnie podjął się wyprowadzić na wolność swoich młodych przyjaciół.

– Mówiłem im: bliżej do Ameryki, chodźmy do Ameryki, ale oni chcieli na „kontynent” i ja prowadziłem na „kontynent”. Trzeba dojść do Czukczów, koczowników. Czukcze tu byli, odeszli, jak przyszedł ruski człowiek, to właśnie do nich… Nie zdążyłem.

Zbiegowie szli wszystkiego cztery dni. Uciekli z początkiem września, w trzewikach, w letniej odzieży, pewni, że dojdą do czukockich koczowisk, gdzie, według zapewnień Kotielnikowa, czeka ich pomoc i przyjaźń.

Ale spadł śnieg, gęsty, wczesny śnieg. Kotielnikow poszedł do osady Ewenków kupić torbazy – reniferowe buty. Kupił je, a pod wieczór oddział operatywników dogonił zbiegów.

– Tunguz – wróg, sprzedawczyk – zapluwał się Kotielnikow.

Wyprowadzenia z tajgi Kariewa i Wasiljewa podejmował się stary kajur zupełnie bezpłatnie. Nowy, trzyletni „dodatek” nie napawał smutkiem Kotielnikowa.

– Przyjdzie wiosna – wypuszczą do kopalni, do pracy, to ja znowu ucieknę.

Ażeby zabić czas, uczył Kariewa i Wasiljewa języka czukockiego, kamczackiego. Inicjatorem tej skazanej na fiasko ucieczki był oczywiście Kariew. Od jego postaci, teatralnej nawet w tych więzienno-łagrowych warunkach, od modulacji jego aksamitnego głosu wiało lekkomyślnością –

nawet nie awanturnictwem. Z każdym dniem coraz lepiej pojmował beznadziejność takich prób, coraz częściej zamyślał się i słabł.

Wasiljew był całkiem po prostu dobrym towarzyszem, gotowym dzielić każdy los przyjaciela. Uciekali oczywiście w PIERWSZYM roku pozbawienia wolności, kiedy jeszcze istniały iluzje… i siła fizyczna.

Z namiotu-kuchni wędrownej osady geologów znikło letnią, „białą” nocą dwanaście puszek konserw mięsnych. Zaginięcie ich było w najwyższym stopniu zagadkowe – wszyscy, czterdziestu robotników wraz z technikami, byli ludźmi wolnymi, z wysokimi zarobkami, i wątpliwe było, aby odczuwali taką potrzebę konserw. Nawet gdyby posiadały one bajeczną cenę, to nie było gdzie ich sprzedać w głuchym, niekończącym się lesie. „Niedźwiedzi” wariant też został od razu odrzucony, gdyż nic nie zostało w kuchni ruszone z miejsca. Można było pomyśleć, że zrobił to ktoś „na złość” kucharzowi, który zawiadował produktami kuchni: ale kucharz, człowiek niezwykle dobroduszny, zaprzeczał temu, że pomiędzy jego czterdziestu towarzyszami skrywa się i szkodzi jego osobisty wróg. Jeśli i to przypuszczenie było niesłuszne, to pozostawało jeszcze tylko jedno. I właśnie w celu sprawdzenia tego ostatniego przypuszczenia prowadzący prace zwiadu Kasajew udał się na przegląd przyległego terenu, wziąwszy ze sobą dwu najbardziej obrotnych robotników uzbrojonych w noże, a sam – z jedyną bronią palną znajdującą się w „delegaturze” – małokalibrowym karabinkiem. Najbliższą okolicę tworzyły szarobrązowe parowy bez śladu zieleni, prowadzące na wielkie, wapienne *plateau*. Osada geologów ulokowała się jakby w jamie, na zielonym brzegu rzeczki. Nie trzeba było dużo czasu, aby odkryć tajemnicę. Po dwu godzinach, kiedy nie spiesząc się, weszli na *plateau*, jeden z robotników, najbardziej bystrooki, podniósł rękę – na horyzoncie widać było poruszający się punkt. Poszli skrajem młodych, chwiejnych tufów, młodego kamienia, który nie zdążył jeszcze się nim stać i podobny był do białego oleju o wstrętnym słonym smaku. Noga w nim grzęzła jak w błocie, a buty zanurzały się w tym na wpół ciekłym, oleistym kamieniu, pokrywały się jakby białą farbą. Poruszanie się po skraju tufów było łatwe i po półgodzinie dogonili człowieka. Odziany był w strzępy buszłata i watowane, podarte spodnie, obnażające kolana. Obydwie nogawki były obcięte – zrobione z nich było obuwie, poszarpane już i przetarte do ostateczności. W tym samym celu zostały wcześniej odcięte znoszone rękawy buszłata. Skórzane trzewiki, lub może gumowe czunie,

dawno już zostały zniszczone przez kamienie i sęki, i oczywiście – porzucone.

Człowiek był mocno zarośnięty, z brodą, i blady od cierpień nie do wytrzymania. Miał biegunkę, straszliwą biegunkę. Jedenaście caluteńkich puszek konserwowych leżało obok na kamieniach. Jedna była rozbita i jeszcze wczoraj zjedzona do czysta.

Szedł już od miesiąca do Magadanu, krążąc po lesie, podobnie jak wioślarz w gęstej mgle na jeziorze, i błądząc, utraciwszy poczucie kierunku, szedł na los szczęścia, dopóki nie natknął się na „delegaturę” – wtedy gdy już zupełnie osłabł. Łowił myszy polne, jadł trawę. Trzymał się aż do wczorajszego dnia. Zauważył jeszcze wczoraj dymek, doczekał nocy, wziął konserwy i do rana dopełzł na *plateau.* W kuchni wziął zapałki, ale nie było potrzeby, aby z nich skorzystać. Zjadł konserwę i straszne pragnienie, wyschnięte usta, zmusiły go do zejścia drugim parowem do strumyka. I tam pił, pił chłodną, smaczną wodę. W ciągu doby twarz mu opuchła, a rozpoczynający się rozstrój kiszek odebrał mu ostatnie siły.

Teraz cieszył go koniec wędrówki, jakikolwiek by on był.

Innym zbiegiem, którego przywlekli z tajgi na „delegaturę” operatywnicy, była jakaś ważna persona. Uczestnik zbiorowej ucieczki z sąsiedniej kopalni, ucieczki połączonej z grabieżą i zabójstwem samego naczelnika kopalni – był on ostatnim z całej dziesiątki uciekinierów. Dwu zabito, siedmiu złapano i oto ostatni został pojmany w 21 dniu ucieczki. Nie miał obuwia i popękane podeszwy jego stóp broczyły krwią. W ciągu tygodnia zjadł, według jego słów, tylko malusieńką rybkę, którą łowił przez kilka godzin, osłabiony głodem. Twarz była opuchnięta, pozbawiona krwi. Konwojenci bardzo dbali o niego, o jego dietę i o wyzdrowienie – zmobilizowali felczera delegatury, przykazując mu jak najsurowiej dbać o zbiega. Przemieszkał on w łaźni osady całe trzy dni i w końcu, ostrzyżony, wymyty, syty, został poprowadzony na śledztwo, którego wynikiem mógł być tylko rozstrzał. Sam uciekinier o tym oczywiście dobrze wiedział, ale był to aresztant obyty, zobojętniały, który już dawno przekroczył w więzieniu tę krawędź życia, kiedy człowiek staje się fatalistą i żyje „zgodnie z prądem”. Cały czas byli przy nim żołnierze straży, nie dając mu z nikim rozmawiać. Każdego wieczoru siadywał na ganku łaźni i obserwował ogromny, wiśniowej barwy zachód słońca. Ogień tego słońca wdzierał się do jego oczu, i wydawało się, że to oczy płoną – niezwykle piękny był to widok.

W jednej z kołymskich osad, w Ortukanie, stoi pomnik Tatiany Małandinej, także ortukański klub nosi jej imię. Tatiana Małandina była pracownicą kontraktową, komsomołką, która trafiła w łapy kryminalistów-uciekinierów. Ograbili ją, zgwałcili – „chórem”, według podłego, błatniackiego określenia, i zamordowali o kilkaset metrów od osady, w tajdze. Było to w 1938 roku i naczalstwo na próżno rozpuszczało wieści, że to zrobili „trockiści”. Oszczerstwo tego rodzaju było już zbyt niedorzeczne i oburzyło nawet rodzonego wujka zabitej komsomołki – porucznika Małandina, pracownika łagru, który po śmierci bratanicy gwałtownie zmienił swój stosunek do złodziei i pozostałych więźniów, nienawidząc jednych i przyznając ulgi drugim.

Obaj zbiedzy zostali pojmani wtedy, gdy siły ich były bliskie wyczerpania. Inaczej zachowywał się uciekinier zatrzymany przez grupę robotników na ścieżce w pobliżu szurfów zwiadu geologicznego. Już trzeci dzień padał bez przerwy przewlekły deszcz i kilku robotników, wciągnąwszy na siebie brezentowe „specówki” – kurtki i spodnie – poszło, aby zobaczyć, czy nie ucierpiał od deszczu maleńki namiot – kuchnia z naczyniami i produktami – oraz polowa kuźnia z kowadłem, paleniskiem i zapasem narzędzi wiertniczych. Kuźnia wraz z kuchnią stały w korycie strumienia, w wąwozie odległym o trzy kilometry od miejsca zamieszkania.

Górskie rzeki bardzo silnie wylewają w czasie deszczów i można się było spodziewać jakichś złośliwych kawałów pogody. Jednak to, co ujrzeli, wyprowadziło ich zupełnie z równowagi. Nie było niczego. Nie było kuźni, w której przechowywano narzędzia dla całego odcinka – świdry, ich gniazda, kilofy, łopaty, narzędzia kowalskie; nie było kuchni z zapasem produktów żywnościowych na całe lato; nie było kotłów, naczyń – nie było niczego. Wąwóz przybrał nową postać – wszystkie kamienie stanęły w nim na nowo, skądś przyniesione przez rozszalałą wodę. Cały inwentarz został zniesiony w dół strumienia i robotnicy poszli brzegiem aż do samej rzeczki, do której wpadał strumień w odległości siedmiu, ośmiu kilometrów, i nie znaleźli ani kawałeczka żelaza. Znacznie później, u ujścia tego strumienia, kiedy woda opadła, na brzegu, w zapchanych piaskiem zaroślach znaleziono zgniecioną, pokiereszowaną, poskręcaną, emaliowaną miskę ze stołówki osady – i to było wszystko, co pozostało po burzy, po powodzi. Powracając, robotnicy natknęli się na człowieka w brezentowych butach, w namokniętym płaszczu, z dużą torbą na plecach.

– Tyś zbieg, czy co? – spytał człowieka Waśko Rybin, jeden z „rowowych” zwiadu.

– Zbieg – na wpół twierdząco odpowiedział człowiek. – Obsuszyłbym się…

– No to chodźmy do nas, u nas pali się piecyk. – Latem w czasie deszczu zawsze paliły się żelazne piecyki w dużym namiocie – wszyscy, czterdziestu robotników, mieszkali w nim.

Zbieg zdjął buty, porozwieszał onuce wokół piecyka, wydostał blaszaną papierośnicę, nasypał machorkę do oderwanego kawałka gazety i zapalił.

– Dokąd to idziesz w taki deszcz?

– Kieruję się na Magadan.

– Chcesz żreć?

– A co macie?

Zupa i kasza perłowa nie skusiły zbiega; rozwiązał swój worek i wyjął kawałek kiełbasy.

– No, bracie – powiedział Rybin – ty nie jesteś prawdziwym zbiegiem.

Najstarszy z robotników, zastępca brygadzisty Wasilij Koczetow, podniósł się.

– Ty dokąd? – spytał go Rybin.

– Na stronę. – I przekroczył deskę, próg namiotu.

Rybin uśmiechnął się.

– No więc tak, bratku – powiedział do zbiega – zaraz zbieraj się i idź, dokąd chciałeś. Ten – powiedział tak o Koczetowie – pobiegł do naczalstwa. Żeby cię złapać, znaczy się. No, ale u nas nie ma żołnierzy, nie bój się, całkiem po prostu idź i idź. Weź tu chleba i paczuszkę tytoniu. I deszczyk jakby zmniejszył się na twoje szczęście. Utrzymuj kierunek na dużą sopkę, nie omylisz się.

Zbieg okręcił stopy suchymi końcami niewysuszonych jeszcze onuc, wciągnął buty, zarzucił worek na ramię i wyszedł.

Po dziesięciu minutach kawałek brezentu zastępujący drzwi odwinął się i do namiotu wlazło naczalstwo – prowadzący prace Kasajew z małokalibrowym karabinkiem zwisającym z ramienia i Koczetow, który wszedł ostatni do namiotu.

Kasajew chwilę postał w milczeniu, dopóki nie przywykł do ciemności, i rozglądnął się. Nikt nie zwracał uwagi na przybyszów. Wszyscy zajmowali się swoimi sprawami – jedni spali, inni naprawiali odzież, ktoś wycinał

jakieś zmyślne figurki z korzenia – kolejne ćwiczenia erotyczne, ktoś grał w burę zrobionymi własnoręcznie kartami…

Rybin wstawiał do piecyka na gorejące węgle zakopcony kociołek, zrobiony z puszki po konserwach.

– Gdzie zbieg?! – wrzasnął Kasajew.

– Zbieg poszedł – powiedział spokojnie Rybin – zabrał się i poszedł. Cóż to – powinienem go zatrzymać?

– Przecież on był rozebrany – krzyknął Koczetow – zamierzał spać!

– Ty przecież także zamierzałeś pójść na stronę, a dokąd to biegałeś w ten deszcz? – spytał Rybin.

– Chodźmy do domu – powiedział Kasajew. – A ty, Rybin, uważaj: to dobrze się nie skończy…

– Cóż ty mi możesz zrobić? – powiedział Rybin, podchodząc bliżej do Kasajewa. – Nasypać soli na głowę? Czy może zarżnąć we śnie? Co?

Prowadzący prace i dziesiętnicy wyszli.

To maleńki, liryczny epizod w jednostajnie mrocznej opowieści o uciekinierach Kołymy.

Naczelnik delegatury, zaniepokojony ciągłymi odwiedzinami zbiegów – trzech w ciągu jednego miesiąca – na próżno starał się u wyższych instancji o zorganizowanie na terenie delegatury posterunku złożonego z żołnierzy straży. Zarząd jednak nie poszedł na to, aby ponosić takie wydatki na wolnych, pozostawiając jego własnym siłom to, jak sobie poradzić z uciekinierami. I jakkolwiek wtedy były już, oprócz Kasajewskiego karabinka, dwie myśliwskie dwururki na naboje, ładowane podobnie do „żakanów” kawałkami ołowiu, tak jakby na niedźwiedzia – jednak dla wszystkich było jasne, że w przypadku napaści głodnych i zdecydowanych na wszystko uciekinierów te „żakany” – to niepewna pomoc.

Naczelnik, chłop bywały, wybudował nagle dwie wieżyczki strażnicze, dokładnie takie same, jakie stoją w rogach łagrowych zon.

Był to sprytny kamuflaż. Fałszywe wieżyczki powinny były uciekinierów utwierdzić w przekonaniu, że „w delegaturze znajduje się uzbrojona straż”.

Przypuszczenie naczelnika było prawdopodobnie słuszne – uciekinierzy nie odwiedzali już więcej tej delegatury, odległej od Magadanu zaledwie o dwieście kilometrów.

Kiedy prace związane z „pierwszym metalem”, tj. ze złotem, przesunęły się do doliny Czaj-Urjiń, drogą, którą kiedyś przeszedł Kriwoszej, ruszyły dziesiątki uciekinierów. Tędy było najbliżej do „kontynentu”, ale o tym wiedziało również naczalstwo. Ilość „czujek” i „posterunków” została znacznie zwiększona – polowanie na zbiegów rozgorzało w pełni. Lotne oddziały przeczesywały tajgę i zupełnie zablokowały „zwolnienia przez zielonego prokuratora” – tak nazywano ucieczki. „Zielony prokurator” zwalniał coraz mniej i mniej, i w końcu przestał zwalniać zupełnie.

Schwytanych zabijano zazwyczaj na miejscu i niemało trupów leżało w kostnicy Arkagały, czekając na identyfikację – na przyjazd pracowników zajmujących się ewidencją więźniów, dla pobrania odcisków palców.

W lesie, w odległości dziesięciu kilometrów od arkagalińskiej kopalni węgla w osadzie Kadyczan, znanej z tego, że potężne pokłady węgla wychodziły prawie na powierzchnię – grubości 8, 13 i 21 metrów – usytuowany był taki „posterunek”, gdzie żołnierze spali, jedli, krótko mówiąc – „bazowali”.

W lecie czterdziestego roku, na czele tego lotnego oddziału stał starszy szeregowiec Postniakow, człowiek o rozbudzonej żądzy zabijania, wykonujący swą pracę z ochotą, gorliwie i namiętnie. Sam osobiście schwytał aż pięciu więźniów, otrzymał medal oraz, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, pewną nagrodę pieniężną. Nagrodę dawano jednakową – za martwych i za żywych, tak więc nie było żadnego sensu dostarczać schwytanych w „całości”.

Postniakow natknął się wraz ze swoimi żołnierzami o bladym, sierpniowym świcie na zbiega, który wszedł do strumienia w miejscu, gdzie była zasadzka.

Postniakow wystrzelił z mauzera i zabił uciekiniera. Zdecydowano nie ciągnąć go do osady, lecz porzucić w tajdze – było tu wiele rysich i niedźwiedzich śladów.

Postniakow wziął topór i odrąbał ręce zbiega, aby w dziale ewidencji mogli zrobić odciski palców. Włożył obie martwe kiście do swojej torby i skierował się do domu – tworzyć swoje kolejne doniesienie o udanym polowaniu.

Zostało ono odesłane tego samego dnia – jeden z żołnierzy poniósł „pakiet”, a pozostałym Postniakow dał wolny dzień na cześć swojego sukcesu…

Nocą trup podniósł się i przyciskając do piersi okrwawione kikuty rąk, wyszedł po śladach z tajgi i jakoś tam dobrnął do namiotu, w którym mieszkali robotnicy-więźniowie. Z bladą, pozbawioną krwi twarzą, przyciskając się do ramy drzwiowej, zgięty, spoglądał spode łba i coś mamrotał. Wstrząsały nim silne dreszcze. Na spodniach, na waciaku i gumowych czuniach zbiega widniały czarne plamy krwi. Napojono go gorącą zupą, zawinięto jakimiś szmatami jego straszne ręce i poprowadzono do lekarza, do ambulatorium. Ale już z izdebki, gdzie mieszkali ci z „posterunku", lecieli żołnierze, biegł sam starszy szeregowiec Postniakow.

Żołnierze odprowadzili gdzieś zbiega, ale nie do ambulatorium – i więcej nikt nie słyszał o uciekinierze z odrąbanymi rękami.

Postniakow i cały jego „posterunek" pracowali do pierwszego śniegu. Przy pierwszych mrozach, gdy zmniejsza się liczba spraw związanych z poszukiwaniami w tajdze, przeniesiono tę grupę operacyjną z Arkagały w inne miejsce.

Ucieczka – to wielka próba charakteru, opanowania, woli, siły fizycznej i duchowej. Wydaje się, że na żadne polarne zimowisko, na żadną ekspedycję nie jest tak trudno dobrać sobie towarzysza jak na ucieczkę. Do tego dochodzi głód, ostry głód – stałe zagrożenie uciekiniera. Jeśli przyjąć, że właśnie z głodu ucieka aresztant, a więc się go nie obawia, to wyrasta jeszcze jedno dręczące niebezpieczeństwo, z którym może się zetknąć uciekinier – może zostać zjedzony przez własnych towarzyszy. Oczywiście przypadki ludożerstwa w trakcie ucieczki są rzadkie. Mimo to zdarzają się i, jak się wydaje, nie ma ani jednego starego kołymianina, który by nie stykał się z takimi ludźmi, którzy otrzymali wyrok właśnie za zabójstwo towarzysza ucieczki i spożywanie ludzkiego mięsa.

W centralnym szpitalu dla więźniów przez dłuższy czas przebywał chory o nazwisku Sołowiew, z ostrym zapaleniem kości biodrowej. Zapalenie kości – zapalenie szpiku kostnego powstało po postrzałowej ranie kości, umiejętnie rozjątrzone przez samego Sołowiewa. Zasądzony za ucieczkę i ludożerstwo, „kotwiczył się" w szpitalu i z chęcią opowiadał, jak przygotowując się z kolegą do ucieczki, celowo zaprosił trzeciego – „na wypadek, gdy zaczniemy głodować".

Uciekinierzy szli długo, około miesiąca. Kiedy trzeci został zabity, częściowo zjedzony, a częściowo „upieczony na drogę", obaj zabójcy rozeszli się w różne strony – każdy obawiał się zostać zabity nocą.

Spotykani byli i inni ludożercy. To najzwyklejsi ludzie. Nie ma na nich żadnego kainowego piętna, i dopóki nie znasz szczegółów ich biografii, wszystko jest w porządku. Nawet jeśli dowiesz się o tym – nie brzydzi cię to, nie oburza. Nie starcza siły fizycznej na wstręt i oburzenie z powodu takich rzeczy, całkiem po prostu nie starcza miejsca na tego rodzaju subtelne uczucia. A przy tym historia normalnych wypraw polarnych naszych czasów nie jest wolna od podobnych postępków: tajemnicza śmierć szwedzkiego uczonego Malmgrena, członka wyprawy Nobilego – to za naszej pamięci. Czegóż więc wymagać od głodnego, zaszczutego pół człowieka, pół zwierzęcia?

Wszystkie ucieczki, o których była mowa – to ucieczki do rodzinnych stron, na „kontynent", ucieczki, mające na celu wyrwanie się z chwytliwych łap tajgi i dotarcie do Rosji. Wszystkie kończą się jednakowo – nikt nie jest w stanie wyrwać się z Dalekiej Północy. Fiasko tego rodzaju przedsięwzięć i ich beznadziejność to jedno, a drugie – to władcza tęsknota za wolnością, nienawiść i wstręt do przymusowej pracy, pracy fizycznej – bo niczego innego w więźniu łagier wzbudzić nie może. Na wrotach każdej łagrowej zony wywiedziono, jakby drwiąc, napis: „Praca to sprawa honoru i chwały, sprawa dzielności i bohaterstwa" oraz nazwisko autora tych słów. Napis wykonywany był według specjalnego okólnika i obowiązywał we wszystkich łagrach.

Ta właśnie tęsknota za wolnością, palące pragnienie znalezienia się w lesie, gdzie nie ma drutu kolczastego, wieżyczek strażniczych z błyszczącymi w słońcu lufami karabinów, gdzie nie ma bicia ani ciężkiej, wielogodzinnej pracy bez snu i odpoczynku – rodzi ucieczki o osobliwym charakterze.

Aresztant odczuwa nieuniknioność swojego losu: jeszcze miesiąc, dwa – i umrze, podobnie jak umierający na jego oczach towarzysze.

Umrze tak czy tak, więc niech umrze na wolności, a nie w wykopie, w rowie, padając ze zmęczenia i głodu.

Praca w kopalni jest latem cięższa niż zimą. Właśnie latem przemywa się piasek. Osłabiony mózg podpowiada więźniowi pewne wyjście, przy którym można przetrzymać lato, a i początek zimy przebyć w ciepłym pomieszczeniu.

Tak rodzą się ucieczki „wzdłuż trasy", barwnie nazywane „ucieczką w lody".

Więźniowie uciekają we dwóch, trzech czy czterech w tajgę, w góry i urządzają się gdzieś w pieczarze, w niedźwiedzim barłogu w odległości kilku kilometrów od „trasy” – ogromnie długiej szosy (dwa tysiące kilometrów) przecinającej całą Kołymę.

Uciekinierzy zaopatrzeni są w zapałki, tytoń, produkty żywnościowe, odzież – wszystko, co udało się zebrać w tym celu. Prawie nigdy jednak nie udaje się niczego wcześniej zebrać, bo wywołałoby to podejrzenia, unicestwiając zamiar uciekinierów.

Czasami dokonują grabieży łagrowego sklepu, „kiosku” – jak mówią w łagrze, i uciekają z zagrabionymi produktami w góry. Większość jednak bez niczego – na „ziemną karmę”. Tym znajdującym się pod nogami pokarmem wcale nie jest trawa ani korzenie roślin, ani nie myszy czy burunduki.

Ogromną szosą dzień i noc jadą samochody. Między nimi – wiele samochodów z produktami żywnościowymi. Szosa w górach – to wszystko podjazdy i zjazdy, samochody bardzo wolno wpełzają na przełęcze. Wystarczy skoczyć na samochód z mąką, zrzucić worek – i już masz zapas pożywienia na całe lato. A wiozą przecież nie tylko mąkę. Już po pierwszych przypadkach grabieży samochodów z produktami zaczęto je wysyłać pod ochroną konwojentów, ale nie wszystkie.

Oprócz otwartej grabieży na szosie uciekinierzy grabili sąsiadujące z ich „bazą” osady, maleńkie „delegatury” drogowe, gdzie mieszka dwóch czy trzech obchodowych dróżników. Co śmielsze i co większe grupy uciekinierów zatrzymują samochody, ograbiają pasażerów i ładunek. Jeśli się to udaje, w ciągu lata tacy uciekinierzy poprawiają się fizycznie i duchowo.

Gdy ogniska rozkładano ostrożnie, ślady grabieży starannie zacierano, warty były czujne i bystre – to uciekinierzy żyli tak do późnej jesieni. Mróz i śnieg „wypierały” ich z gołego, nieprzytulnego lasu.

Opadały liście z osik i topoli, modrzewie osypywały swoim rudawym igliwiem brudny, chłodny mech. Uciekinierzy nie mieli sił dalej się trzymać – wychodzili na „trasę” i poddawali się na najbliższym posterunku. Aresztowano ich i sądzono, nie zawsze szybko – mijało sporo czasu od nadejścia zimy, dawano im wyrok za ucieczkę, i powracali w szeregi „robociarzy” na kopalni, gdzie (jeżeli udało im się powrócić do tej samej kopalni, skąd uciekli) nie było już ich zeszłorocznych towarzyszy z brygady – ci już umarli lub odeszli na wpół martwi do kompanii inwalidów.

W 1939 roku po raz pierwszy zostały utworzone dla opadłych z sił robociarzy tak zwane „brygady ozdrowieńcze” i „punkty ozdrowieńcze”. Ale

ponieważ „uzdrawiać” trzeba było kilka lat, a nie kilka dni, instytucje te nie wywarły pożądanego wpływu na odtwarzanie siły roboczej. Natomiast wszystkim kołymianom, wierzącym, że dopóki aresztant potrafi zachować ironię, to pozostaje człowiekiem, zapadła w pamięć przewrotna czastuszka:

OB, OP, wszyscy wiemy
Znak na nogę i do ziemi!

Przywieszka z numerem sprawy przywiązywana jest do lewej nogi aresztanta przy jego pochówku.

Natomiast uciekinier, chociaż otrzymał pięć lat w dodatkowym wyroku – jeżeli śledczemu nie udało się „przyszyć” do sprawy grabieży samochodów – pozostawał żywy i zdrowy. A mieć wyrok 5, 10, 15 czy 20 lat – nie czyni to żadnej różnicy, dlatego że i pięciu lat nie daje się przepracować w wyrobisku. W kopalnianym wyrobisku można przepracować pięć tygodni.

Zwiększyła się częstotliwość „uzdrowiskowych” ucieczek, grabieży, zabójstw. Ale to nie grabieże i nie zabójstwa drażniły wyższe naczalstwo, przywykłe mieć do czynienia z papierem, z liczbami, a nie z żywymi ludźmi.

A liczby mówiły, że wartość tego, co zostało zagrabione – utrata życia spowodowana zabójstwem wcale nie była brana pod uwagę – jest znacznie mniejsza, nieporównanie mniejsza niż wartość utraconych godzin i dni.

„Uzdrowiskowe” ucieczki przestraszyły naczalstwo najbardziej. Paragraf 82 Kk został zupełnie zapomniany i nigdy więcej nie był stosowany.

Ucieczki zaczęto traktować jako przestępstwa przeciwko porządkowi, kierownictwu, przeciwko państwu, jako akt polityczny.

Uciekinierów zaczęto „pociągać do odpowiedzialności” na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu, ni mniej, ni więcej, tak jak za zdradę ojczyzny. Prawnicy dobrali również odpowiedni punkt pięćdziesiątego ósmego paragrafu – dobrze im znany, stosowany wcześniej w procesie „szkodników” w kopalniach. Był to punkt czternasty – „kontrrewolucyjny sabotaż”. Ucieczka stanowi odmowę pracy – jest więc kontrrewolucyjnym sabotażem. Właśnie na podstawie tego punktu pięćdziesiątego ósmego paragrafu zaczęto sądzić uciekinierów. Dziesięć lat za ucieczkę stało się minimalnym dodatkowym wyrokiem. Powtórna ucieczka karana była dwudziestu pięciu latami.

Nikogo to nie przestraszyło i nie zmniejszyło ani liczby ucieczek, ani liczby grabieży.

Jednocześnie z tym każde uchylanie się od pracy, odmowa pracy, zaczęto uważać za sabotaż, a wymiar kary za odmowę pracy – największe przestępstwo w łagrze – począł się ciągle zwiększać. „Dwadzieścia pięć i pięć pozbawienia praw" – oto formuła praktykowana przez wiele lat przy ferowaniu wyroków w stosunku do odmawiających pracy i uciekinierów w okresie wojny i po wojnie.

Te specyficzne cechy odróżniające ucieczki na Kołymie od zwykłych ucieczek nie czynią tych pierwszych łatwiejszymi. Jeżeli w większości przypadków łatwo przekroczyć to, co rozgranicza ucieczkę od samowolnego oddalenia się, to trudności pojawiają się z każdym dniem, każdą godziną przemieszczania się w niegościnnej, wrogiej wobec wszystkiego, co żywe, przyrodzie Dalekiej Północy. Skrajnie krótkie okresy możliwych ucieczek, skracane przez pory roku, wymuszają zarówno pośpiech w przygotowaniach, jak i konieczność pokonywania wielkich i trudnych odległości w krótkim czasie. Ani niedźwiedź, ani ryś nie stanowią niebezpieczeństwa dla zbiega. Gubi go własna bezsilność w tym surowym kraju – gdzie tak mało środków pomocnych w walce o życie.

Rzeźba terenu męczy piechura, przełęcze następują za przełęczami, wąwozy za wąwozami. Zwierzęce ścieżki trudno jest zauważyć, podłoże w rzadkim, kalekim lesie tajgi – to grząski, mokry mech. Spanie bez rozniecania ogniska jest ryzykowne – podziemny chłód wiecznej zmarzliny nie pozwala kamieniom nagrzać się w ciągu dnia. Po drodze nie ma żadnego pożywienia oprócz suchego chrobotka, mchu reniferowego, który można rozetrzeć, zmieszać z mąką i piec placki. Trafić kijem w kuropatwę czy orzechówkę – to trudne zadanie. Grzyby i jagody nie są dobrym pożywieniem w drodze. A przy tym bywają tylko pod koniec krótkiego lata. Wynika z tego, że cały zapas pożywienia należy wziąć ze sobą z łagru.

Trudne są drogi ucieczki w tajdze, ale jeszcze trudniejsze jest przygotowanie się do niej. Każdego dnia, o każdej godzinie, przyszli uciekinierzy mogą być wykryci, wydani przez swoich kolegów naczalstwu. Największe niebezpieczeństwo – to nie konwój ani nie nadzorcy, lecz właśni koledzy-aresztanci, żyjący tym samym życiem ze zbiegiem, żyjący obok niego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Każdy uciekinier wie, że oni nie tylko nie pomogą mu, jeżeli cokolwiek podejrzanego zauważą, ale nie przejdą obojętnie mimo tego, co zobaczyli.

Resztką sił, głodny, wymęczony aresztant dobrnie do „wachty”, ażeby donieść i zdemaskować kolegę. Robi to nie za darmo – naczelnik może poczęstować machorką, pochwalić, podziękować. Swoje tchórzostwo, swą podłość ukazuje jako coś w rodzaju wypełniania obowiązku. Nie donosi jedynie na błatniaków – dlatego, że obawia się ciosu noża lub uduszenia sznurem.

Ucieczka przy udziale dwóch, trzech osób jest nie do pomyślenia, chyba że jest nagła, żywiołowa jak bunt. Nie jest możliwe przygotowanie takiej ucieczki z powodu wypełniających łagry zdeprawowanych i sprzedajnych, głodnych i nienawidzących się ludzi.

To wcale nie przypadek, że jedyna grupowa PRZYGOTOWANA ucieczka – bez oglądania się na finał – udała się dlatego, że w tym łagrze, skąd uciekli zbiedzy, zupełnie nie było starych kołymian – zatrutych już, zdemoralizowanych kołymskim „doświadczeniem”, poniżonych przez głód, chłód i bicie – nie było ludzi, którzy mogliby wydać uciekinierów naczalstwu.

Ilf i Pietrow w swojej *Parterowej Ameryce* pół żartem, pół serio wskazują na nieprzezwyciężone pragnienie skarżenia się jako na narodową cechę Rosjanina, coś związanego z charakterem Rosjan. Ta narodowa cecha, skażona w krzywym zwierciadle łagrowego życia, wyraża się w donosach na kolegów.

Ucieczka może się zrealizować nagle, jak improwizacja, podobnie do żywiołu, do leśnego pożaru. Tym bardziej tragiczny jest los jej współuczestników – przypadkowych, spokojnych obserwatorów, wciągniętych mimo swej woli w wir działań.

Nikt z nich jeszcze się dobrze nie przypatrzył temu, jak podstępna bywa jesień na Kołymie, nikt nie podejrzewa, że purpurowego żaru liści, drzew i trawy wystarcza na dwa, trzy dni, a z wysokiego, bladobłękitnego nieba, o barwie nieco bledszej niż zazwyczaj – może zacząć się sypać miękki, chłodny śnieg. Nikt z uciekinierów nie wie, jak należy tłumaczyć nagłe ścielenie się po ziemi zielonych gałęzi cedrowca, przyciskających się do niej na ich oczach. Jak tłumaczyć nagłą migrację ryb w dół strumienia?

Nikt nie wie, czy są w tajdze osiedla. I jakie. Mieszkańcy Dalekiego Wschodu, Sybiracy, na darmo pokładają nadzieję w swojej wiedzy o tajdze i myśliwskim talencie.

Pod koniec jesieni, jesieni powojennej, jechał samochód – otwarta ciężarówka, z dwudziestu pięciu więźniami – jechał do jednego z „katorżni-

czych” łagrów. Kilkadziesiąt kilometrów od miejsca przeznaczenia aresztanci rzucili się na konwój i uciekli – wszystkich dwudziestu pięciu.

Padał śnieg, okrutny lodowaty śnieg, więźniom brakowało odzieży. Psy szybko znalazły ślady czterech grup, na które rozdzielili się uciekinierzy. Grupę posiadającą broń odebraną konwojowi wystrzelano całą. Dwie grupy schwytano następnego dnia, a ostatnią – na czwarty dzień. Tych dostarczono wprost do szpitala: wszyscy mieli odmrożenia czwartego stopnia – rąk i nóg; kołymski mróz, kołymska przyroda były zawsze sprzymierzone z naczalstwem i wrogie w stosunku do pojedynczego uciekiniera.

Zbiedzy długo leżeli w szpitalu, w oddzielnej sali, przy której drzwiach siedział konwojent – szpital, chociaż i aresztancki, nie był jednak katorżniczym. Wszystkich pięciu miało amputowane albo ręce, albo nogi, a dwaj – obie nogi od razu.

Tak rozprawił się kołymski mróz ze spieszącymi się i naiwnymi nowicjuszami.

Wszystko to doskonale rozumiał podpułkownik Janowski. Zresztą podpułkownikiem był on na wojnie – tutaj był więźniem Janowskim, „kulturalnym” wielkiego łagru, który sformowany został zaraz po wojnie z samych nowicjuszy, własowców, byłych jeńców wojennych, służących w niemieckich oddziałach, „policajów” i mieszkańców okupowanych wiosek, podejrzanych o przyjaźnienie się z Niemcami.

Tutaj byli ludzie, którzy mieli za sobą doświadczenia wojenne, doświadczenia codziennych spotkań ze śmiercią, ryzyka, doświadczenie umiejętnej, zwierzęcej walki o byt, doświadczenie zabijania.

Tutaj byli ludzie, którzy uciekali i z niemieckiej, i z rosyjskiej, i z angielskiej niewoli… Ludzie, którzy przywykli stawiać swoje życie na jedną kartę, odznaczający się śmiałością przejętą i wyuczoną. Zwiadowcy i żołnierze przyuczeni do zabijania przedłużali wojnę w nowych warunkach, wojnę o siebie – przeciwko państwu.

Naczalstwo, które przywykło mieć do czynienia z posłusznymi „trockistami”, nie podejrzewało, że tutaj znajdują się ludzie czynu, a przede wszystkim – działań.

Jeszcze kilka miesięcy przed zdarzeniami, o których będzie mowa, łagier ten odwiedził jakiś wielki naczelnik. Zaznajamiając się z życiem nowicjuszy i ich pracą produkcyjną, naczelnik ów utyskiwał, że praca w dziedzinie kultury, zespoły amatorskie w łagrze pozostawiają wiele do życzenia. I wtedy były podpułkownik Janowski, kulturalny łagru, z szacunkiem

zameldował: „Proszę się nie niepokoić, przygotujemy taki koncert, że będzie o nim mówić cała Kołyma”.

Była to bardzo ryzykowna wypowiedź, ale nikt na nią wówczas nie zwrócił uwagi; Janowski był tego pewien.

Przez całą zimę dobierali się i przemieszczali na różnych stanowiskach w łagrowej obsłudze uczestnicy przyszłej, planowanej na wiosnę ucieczki. Dyspozytor, starosta, felczer, fryzjer i brygadzista – wszystkie etatowe stanowiska zajmowane przez więźniów, obsadzone były przez ludzi dobranych przez samego Janowskiego. Byli tu lotnicy, szoferzy, zwiadowcy – wszyscy, którzy mogli przyczynić się do powodzenia śmiało pomyślanej ucieczki. Kołymskie warunki zostały przestudiowane i nikt nie lekceważył trudności i w niczym się nie mylił. Celem była wolność – albo szczęście śmierci, ale nie z głodu, pobicia, nie na narach w łagrze, a w walce z bronią w ręku.

Janowski rozumiał, jakie to ważne dla jego towarzyszy, aby zachować siłę fizyczną, wytrzymałość, na równi z siłą moralną i duchową. Na stanowiskach obsługi można było być prawie sytym, nie słabnąć.

Nadeszła kołymska wiosna – zwykła, milcząca, bez śpiewu ptaków, bez jednej kropli deszczu. Modrzewie odziały się w jasnozielone, młode igliwie, a rzadki, nagi las jak gdyby się zagęścił, drzewa przysunęły się jedno do drugiego, kryjąc swoimi gałęziami ludzi i zwierzęta. Zaczęły się białe, a ściślej, bladoliliowe noce…

Strażnicza wartownia w pobliżu wrót łagru ma dwoje drzwi – na zewnątrz i do wewnątrz – taka jest architektoniczna specyfika tego rodzaju budowli. Dyżuruje w niej dwu nadzorców.

Równo o piątej rano zastukano do okienka wartowni. Dyżurny nadzorca spojrzał w szybę – przyszedł łagrowy kucharz Sołdatow po klucz od szafy z produktami – klucz znajdował się w wartowni, wisiał na gwoździu wbitym w ścianę. Przez kilka miesięcy pod rząd, dokładnie o piątej rano, przychodził tutaj kucharz po klucz. Dyżurny uniósł haczyk i wpuścił Sołdatowa. Drugiego nadzorcy nie było, dopiero co wyszedł przez zewnętrzne drzwi – mieszkanie, w którym żył wraz z rodziną, odległe było o trzysta metrów od wartowni.

Wszystko zostało wyliczone i autor przedstawienia patrzył przez maleńkie okno, jak rozpoczyna się pierwszy akt zamyślonego spektaklu, jak wszystko to, co tysiące razy powtarzała wyobraźnia i rozum, obleka się w krew i ciało.

Kucharz podszedł do ściany, gdzie wisiał klucz, a w okienko zastukano ponownie. Nadzorca doskonale znał tego, co stukał – był to więzień Szewcow, mechanik i rusznikarz, który niejednokrotnie naprawiał automaty, karabiny i pistolety oddziału – człowiek „swój”.

W tym momencie Sołdatow rzucił się z tyłu na nadzorcę i zadusił go z pomocą Szewcowa, który zdążył wejść do wartowni. Trupa rzucili pod nary w rogu wartowni i przykryli drzewem. Ściągnęli z zabitego szynel, czapkę, buty i Sołdatow, ubrawszy się w mundur nadzorcy i uzbrojony w nagan, zasiadł za stołem dyżurnego. W tym czasie powrócił drugi nadzorca. Zanim zdążył się w czymkolwiek zorientować, został uduszony, podobnie jak pierwszy. Jego odzież włożył Szewcow.

Nieoczekiwanie weszła do wartowni żona drugiego nadzorcy, który chodził do domu na śniadanie. Nie zabili jej, związali tylko ręce i nogi, zakneblowali usta i położyli razem z martwymi.

Konwojent przyprowadził brygadę z nocnej zmiany i wszedł do wartowni „rozliczyć się z ludzi”. Został również zabity. W ten sposób został zdobyty karabin i jeszcze jeden szynel.

Na zewnątrz, koło wartowni, chodzili już ludzie, jak zwykle w czasie rozprowadzania do pracy, i w tym momencie pułkownik Janowski objął dowodzenie.

Przestrzeń koło wachty znajdowała się pod obstrzałem z narożnych wieżyczek strażniczych, na których byli wartownicy. Ale w mglistym poranku po białej nocy niczego podejrzanego nie zauważali na placyku przed wartownią. Jak zawsze wyszło dwu konwojentów, aby przyjąć brygadę. Ustawili ją, maleńką – wszystkiego dziesięciu, a nawet tylko dziewięciu ludzi, i poprowadzili… To, że brygada skręciła z drogi na ścieżynkę, która prowadziła mimo oddziału straży, także nie niepokoiło wartowników – również przedtem konwojenci prowadzili nią „robociarzy”, jeżeli byli opóźnieni przy wyjściu.

„Brygada” przechodziła mimo oddziału straży i senny dyżurny, widząc ją przez otwarte drzwi, zdążył się tylko zdziwić, dlaczego prowadzą brygadę jeden za drugim, gęsiego, a nie jak zwykle drogą, w zwartym szyku – i został ogłuszony i rozbrojony, a „brygada” rzuciła się do „piramidy” karabinów stojących tu w zasięgu wzroku dyżurnego, w pierwszej części koszar.

Uzbrojony w automat Janowski otworzył na oścież drzwi, gdzie spało czterdziestu żołnierzy straży – młodych „kadrowców” służby konwojenc-

kiej. Seria z automatu oddana w sufit ułożyła wszystkich na podłodze pod narami. Przekazawszy automat Szewcowowi, Janowski wyszedł na dziedziniec, gdzie jego towarzysze ciągnęli z rozbitych składów oddziału straży produkty i broń wraz z amunicją.

Wartownicy z wieżyczek strażniczych nie zdecydowali się otworzyć ognia – mówili później, że nie można było zobaczyć i pojąć, co tam się dzieje w oddziale straży. Nie dano wiary ich zeznaniom i w następstwie zostali ukarani.

Uciekinierzy przygotowywali się do drogi, nie spiesząc się. Janowski rozkazał brać jedynie broń i naboje, a z produktów – tylko suchary i czekoladę. Felczer Nikolski wypchał torbę ze znakiem czerwonego krzyża opatrunkami osobistymi. Wszyscy przebrali się w nowe mundury wojskowe, każdy dobrał sobie ze składu oddziału buty na nogę.

Jeszcze podczas wychodzenia w szeregach z łagru, a potem przy zdobywaniu oddziału straży wyjaśniło się, że nie wszyscy uczestniczą w ucieczce – brakowało brygadzisty Piotra Kuzniecowa, przyjaciela podpułkownika Janowskiego. Został on nieoczekiwanie przeniesiony na nocną zmianę, zamiast chorego dziesiętnika. Janowski nie chciał uciekać bez kolegi, z którym wiele przeżył i przemyślał.

Posłano po brygadzistę do miejsca pracy i Kuzniecow przyszedł i przebrał się w żołnierską odzież.

Dowódca atakowanego oddziału straży i naczelnik łagru wyszli ze swoich mieszkań, dopiero gdy dowiedzieli się od swoich sprzątających, że zbiedzy opuścili teren łagru.

Przewód telefoniczny został przecięty i dopiero wtedy, gdy zbiedzy już wyszli na „trasę”, zdołano dać znać o ucieczce do najbliższego łagru.

Wyszedłszy na szosę, uciekinierzy zatrzymali pierwszą pustą ciężarówkę. Pod groźbą rewolweru szofer wylazł z kabiny i Kabaridze, lotnik, pilot myśliwców, ujął kierownicę. Janowski usiadł obok niego w kabinie i rozpostarł na kolanach mapę zabraną w oddziale straży; samochód pomknął do Siejmczanu – do najbliższego lotniska. Zdobyć samolot i odlecieć!

Drugi, trzeci, czwarty zakręt w lewo. Piąty zakręt!

Samochód skręcił z dużej szosy w lewo i pomknął ponad kipiącą rzeką, wzdłuż przytulonej do skały drogi, po chrzęszczących kamieniach. Kabaridze zmniejszył szybkość – niewiele brakowało, aby zlecieć po zboczu do wody z dziesięciosążniowej wysokości. W dole, koło rzeczki, widniały

podobne do zabawek domki „delegatury”. Okrążając skałę za skałą, droga zakręcała i opuszczała się w dół – samochód zjeżdżał z przełęczy. Domki osiedla wynurzyły się z tajgi w zupełnie bliskiej odległości i Janowski zobaczył przez przednią szybę kabiny biegnącego naprzeciw żołnierza, z karabinem gotowym do strzału. Żołnierz odskoczył w bok, samochód przemknął obok niego i od razu szczęknęły wystrzały – straż została już uprzedzona.

Wyjście z takiej sytuacji Janowski przygotował już wcześniej i po dziesięciu kilometrach Kabaridze przyhamował samochód. Uciekinierzy porzucili ciężarówkę i przekroczywszy zarośnięty mchem rów, znikli w tajdze. Do lotniska było jeszcze z siedemdziesiąt kilometrów i Janowski zdecydował się iść przebojem.

Po wystawieniu straży zanocowali w pieczarze w pobliżu górskiego potoku, grzejąc się jeden od drugiego.

Następnego dnia rano, ledwie uciekinierzy ruszyli w drogę, natknęli się na oddział operacyjny – miejscowa ich grupa przeszukiwała las. Czterech z nich zostało zabitych pierwszymi strzałami zbiegów. Janowski kazał podpalić las – wiatr dął w kierunku pogoni i uciekinierzy poszli dalej.

Ale już po wszystkich kołymskich drogach leciały ciężarówki wypełnione żołnierzami – nieprzejrzana armia regularnych wojsk spieszyła na pomoc łagrowej straży i „operatywce”. Dziesiątki wojskowych samochodów przejeżdżały centralną szosą.

Wiele dziesiątków kilometrów drogi do Siejmczanu zostało zapchanych oddziałami wojska. Najwyższe kołymskie naczalstwo kierowało tą rzadką operacją.

Odgadnięto koncepcję Janowskiego i do ochrony lotniska zmobilizowano taką ilość regularnego wojska, że z trudem dało się je rozmieścić na przedpolach.

Pod wieczór drugiego dnia grupa Janowskiego została ponownie odkryta i podjęła walkę. Oddział wojsk pozostawił na miejscu dziesięciu zabitych. Janowski, wykorzystując kierunek wiatru, ponownie podpalił tajgę i uciekł, przeprawiwszy się przez wielki górski potok. Trzeci nocleg zbiegów, którzy jeszcze nie stracili ani jednego człowieka, został wybrany przez Janowskiego na błotach, na których stały stogi siana.

Uciekinierzy nocowali w stogach i kiedy skończyła się biała noc, kiedy słońce oświetliło wierzchołki drzew w tajdze, okazało się, że błoto jest oto-

czone przez żołnierzy. Prawie nie kryjąc się, przebiegali oni od drzewa do drzewa.

Dowódca tego samego oddziału, na który napadli na początku swej drogi, zaczął machać szmatką i krzyknął:

– Poddajcie się, jesteście okrążeni. Nie macie gdzie iść…

Ze stogu wysunął się Szewcow:

– Twoja prawda. Chodź, przyjmuj broń…

Dowódca oddziału wyskoczył na błotnistą ścieżkę, podbiegł do stogów, zachwiał się, zgubił czapkę i upadł twarzą w błoto. Kula Szewcowa trafiła go wprost w czoło.

Od razu rozpoczęła się bezładna strzelanina, słychać było rozkazy, żołnierze rzucili się ze wszystkich stron na stogi, ale okrężna obrona niewidocznych zbiegów ukrytych w sianie przerwała atak. Ranieni stękali, ci, co ocaleli, zalegli w błocie; od czasu do czasu szczęknął wystrzał i żołnierz, szarpnąwszy się, wyprostowywał się.

Obstrzał stogów rozpoczął się ponownie, ale tym razem pozostał bez odpowiedzi. Po godzinnej strzelaninie przedsięwzięto nowy atak, znowu zatrzymany strzałami uciekinierów. Ponownie leżały w błocie trupy i stękali ranni.

Rozpoczęto długi obstrzał. Ustawiono dwa karabiny maszynowe, i po kilku seriach – ponowny atak.

Stogi milczały.

Kiedy żołnierze rozrzucili każdy stóg w różne strony, wyjaśniło się, że przy życiu pozostał tylko jeden zbieg – kucharz Sołdatow. Miał przestrzelone obie golenie, ramię i przedramię, ale jeszcze oddychał. Wszyscy pozostali byli martwi, zastrzeleni. Ale tych pozostałych było nie jedenastu, tylko dziewięciu.

Nie było samego Janowskiego i Kuzniecowa.

Tego samego wieczoru, w odległości dwudziestu kilometrów w górę rzeki, został zatrzymany nieznany człowiek, ubrany w mundur wojskowy. Otoczony przez żołnierzy, skończył ze sobą za pomocą pistoletu. Od razu go zidentyfikowano. Był to Kuzniecow.

Brakowało tylko przywódcy – podpułkownika Janowskiego. Los jego pozostał na zawsze nieznany. Szukano go długo – przez wiele miesięcy. Nie mógł popłynąć rzeką ani pójść górskimi ścieżkami – wszystko było starannie zablokowane. Najprawdopodobniej popełnił samobójstwo, ukrywszy się

w jakiejś głębokiej pieczarze czy niedźwiedzim legowisku, gdzie zamieszkujące tajgę zwierzęta pożarły jego martwe ciało.

Z centralnego szpitala zapotrzebowano na tę bitwę najlepszego chirurga z dwoma felczerami z wolnego najmu, koniecznie z takimi. Szpitalna półtoratonówka dopiero pod wieczór dobrnęła do sowchozu Elgen, gdzie mieścił się sztab działającego oddziału – tak dużo studebakerów przegradzało jej drogę.

– Co tutaj – wojna, czy co? – spytał chirurg wysokiego naczelnika dowodzącego operacją.

– Wojna, nie wojna, a na razie dwudziestu ośmiu zabitych. A ilu rannych – to sam pan się dowie.

Chirurg opatrywał i operował do późna w nocy.

– Iluż tych zbiegów?

– Dwunastu.

– A wy wezwaliście samoloty i bombardowali ich. Atomowymi bombami.

Naczelnik spojrzał z ukosa na chirurga.

– Z pana to wieczny żartowniś, już dawno pana znam. Zobaczy pan – usuną mnie z pracy, zmuszą do przedwczesnego odejścia w stan spoczynku.

Naczelnik ciężko westchnął. Był domyślny. Przenieśli go z Kołymy i zwolnili z pracy właśnie za tę ucieczkę.

Sołdatow wyleczył się i został zasądzony na dwadzieścia pięć lat. Naczelnik łagru dostał dziesięć, a wartownicy, stojący na wieżyczkach wartowniczych – po pięć lat więzienia. Zasądzono bardzo wielu ludzi z kopalni w związku z tą „sprawą”, więcej niż sześćdziesiąt osób – wszystkich, co wiedzieli i milczeli, tych, co pomagali i chcieli pomóc, ale nie zdążyli. Dowódca oddziału straży otrzymałby większy wyrok, ale kula Szewcowa wybawiła go od nieuniknionej kary.

Nawet lekarz Potapowa, naczelniczka wydziału zdrowia, u której pracował na etacie zbiegły felczer Nikolski, została pociągnięta do odpowiedzialności, ale udało się ją uratować, przenosząc w inne miejsce.

MARCEL PROUST

Książka znikła. Leżący na ławce, ogromny, ciężki foliał znikł na oczach dziesiątków więźniów. Ten, kto widział kradzież – nie powie. Mówią, że nie ma na świecie kradzieży bez świadków – bądź żywych, bądź też nieobdarzonych życiem. No, a jeżeli istnieje takie przestępstwo? Kradzież powieści Marcela Prousta – to nie taka tajemnica, którą strach zapomnieć. A przy tym milczą pod groźbą rzuconą mimochodem. Kto widział – będzie milczał „za cenę strachu". Książkę mógł ukraść według wskazówki złodzieja każdy frajer, aby wykazać się odwagą i chęcią należenia do świata przestępczego – gospodarzy życia w łagrze. Mógł ukraść jakikolwiek frajer, po prostu dlatego, że książka nie tak leżała. Rzeczywiście, książka leżała źle: na samym brzegu ławki znajdującej się na ogromnym, szpitalnym dziedzińcu dwupiętrowego, kamiennego budynku. Na ławce siedziałem ja i Nina Bogatyriewa. Miałem za sobą kołymskie sopki, dziesięcioletnie błąkanie się po tych górskich osiedlach, a Nina – okupację i front. Bolesna i niepokojąca rozmowa skończyła się już dawno.

W słoneczny dzień chorzy wychodzili na spacer – kobiety oddzielnie. Nina, jako sanitariuszka, pilnowała chorych.

Odprowadziłem Ninę do rogu, wróciłem, ławka była wciąż pusta – spacerujący chorzy obawiali się na tej ławce usiąść, uważając, że to ławka felczerów, sióstr medycznych, nadzoru czy konwoju.

Książka znikła. Kto będzie czytać tę dziwną prozę, niemającą wagi, jakby gotową do wzlotu w kosmos, gdzie wszystkie wymiary są inne, gdzie nie ma niczego, co jest wielkie lub małe? Pamięć, podobnie jak śmierć, równa wszystkich i wszystko – autor ma prawo zapamiętać suknię służącej, zapomnieć klejnoty jej pani. Sztuka posługiwania się słowem rozszerzyła niezwykle swe horyzonty dzięki tej książce. Ja, kołymianin, zek, przeniesiony zostałem do dawno utraconego świata, innych, zapomnianych, niepotrzebnych przyzwyczajeń. Miałem dużo czasu do czytania. Byłem nocnym felczerem. Kiedy przeczytałem *Stronę Guermantes*, ogarnęła mnie depresja. Od tego właśnie tomu rozpoczęła się moja znajomość z Proustem. Książkę

przysłano mojemu znajomemu, felczerowi Kalityńskiemu, który już paradował po sali w aksamitnych spodniach-golfach, z fajką w zębach, roznoszącą nieprawdopodobny zapach capstaina. I capstain, i spodnie-golfy przysłane zostały w paczce razem ze *Stroną Guermantes*. Ach, żony, żony, drogie i naiwne towarzyszki życia! Zamiast machorki – capstain, zamiast spodni z moleskinu – aksamitne spodnie-golfy, zamiast wełnianego, szerokiego, dwumetrowego szalika z wielbłądziej sierści – coś zwiewnego, podobnego do wstążki, do motyla – jedwabny, wspaniały szalik, skręcający się na szyi w sznurek grubości ołówka.

Takie same aksamitne spodnie i taki sam jedwabny szalik przysłano w trzydziestym siódmym roku Frycowi Dawidowi, mojemu sąsiadowi z RUR – „kompanii zaostrzonego reżimu”. Fryc Dawid nie mógł pracować – był zbyt wycieńczony, aksamitnych spodni i jedwabnego, wspaniałego szalika-wstążki nie można było na kopalni wymienić nawet na chleb. I Fryc Dawid zmarł – upadł na podłogę w baraku i umarł. Było zresztą tak ciasno, że wszyscy spali na stojąco i martwy Fryc nie od razu dotarł do podłogi. Najpierw umarł, a potem upadł.

Wszystko to było przed dziesięciu laty – co ma z tym wspólnego *W poszukiwaniu straconego czasu*? Kalityński i ja – obaj wspominaliśmy swój świat, swój stracony czas. Dla mojego nie było spodni-golfów, ale był Proust i byłem szczęśliwy, że czytam *Stronę Guermantes*. Nie chodziłem spać do baraku. Proust był mi droższy od snu. A do tego Kalityński mnie gonił.

Książka znikła. Kalityński był wściekły. Mało się znaliśmy i on był pewien, że to ja ukradłem książkę, aby ją sprzedać. Taka kradzież mimochodem była kołymską tradycją, głodową tradycją. Szalik, onuce, ręczniki, kawałki chleba, odsypana machorka, wyduszona – znikały bez śladu. Według Kalityńskiego na Kołymie wszyscy umieli kraść. Ja również tak uważałem. Książkę ukradziono. Jeszcze można było do wieczora oczekiwać, że podejdzie jakiś ochotnik, bohaterski stukacz i „dmuchnie”, powie, gdzie jest książka i kto jest złodziejem. Ale minął wieczór, dziesiątki wieczorów, a po *Stronie Guermantes* nie zostało śladu.

Jeśli nie sprzeda jej miłośnikowi Prousta (miłośnicy Prousta wśród łagrowych naczelników! Jeszcze miłośnicy Jacka Londona – takich spotyka się w tym świecie, ale Prousta!!), to pójdzie na karty – *Strona Guermantes* swoje waży. To była jedna z przyczyn, dla których nie trzymałem książki na

kolanach, lecz położyłem ją na ławce. To grube tomisko. Tak, na karty, na karty… Potną – i koniec.

Nina Bogatyriewa była pięknością, rosyjską pięknością niedawno przywiezioną z „kontynentu” do naszego szpitala. Zdrada ojczyzny. Pięćdziesiąt osiem, jeden „a” lub jeden „b”.

– Spod okupacji?

– Nie, nie byliśmy pod okupacją. To teren przyfrontowy. Dwadzieścia pięć i pięć – to bez Niemców. To od majora. Aresztowali, major chciał, abym z nim żyła. Nie zrobiłam tego. I oto wyrok. Kołyma. Siedzę na tej ławce. Wszystko to prawda. I wszystko – nieprawda. Nie zaczęłam z nim żyć. Lepiej już z kimś swoim będę się zabawiać. Na przykład z tobą…

– Zajęty jestem, Nino.

– Słyszałam.

– Trudno ci będzie, Nino. Z powodu twej piękności.

– Niech będzie przeklęta ta piękność.

– Co ci obiecuje naczalstwo?

– Że zostawią w szpitalu jako sanitariuszkę. Wyuczę się na siostrę.

– Tutaj nie zostawiają kobiet, Nino. Na razie.

– A mnie obiecują zostawić. Jest taki jeden człowiek. Pomoże mi.

– Kto to taki?

– Tajemnica.

– Uważaj, to szpital państwowy, oficjalny. Nikt tutaj nie ma takiej władzy. Żaden z więźniów. Lekarz czy felczer – wszystko jedno. To nie kopalniany szpital.

– Wszystko jedno. Jestem szczęśliwa. Będę robić abażury. A potem pójdę na kurs, tak jak ty.

Nina pozostała w szpitalu i robiła papierowe abażury. A kiedy skończyła, posłali ją znów na etap.

– Czy to twoja baba jedzie z tym etapem?

– Moja.

Obejrzałem się. Za mną stał Wołodia, stary wilk z tajgi, felczer bez medycznego wykształcenia. W przeszłości jakiś tam działacz oświatowy czy sekretarz rady miejskiej.

Wołodii było już dawno po czterdziestce i Kołymę znał od dawna. Kołyma również go znała. Sprawki z błatniakami, łapówki dla lekarzy. Wołodię przysłano tutaj, aby wzmocnił swe stanowisko tytułem. Ale kurs nie został otwarty. I Wołodia uznał, że dobrze będzie powrócić do kopalni,

gdzie był panem i władcą. Miał nazwisko – Raguzin chyba, ale wszyscy nazywali go Wołodia. Czyżby on był opiekunem Niny? To okropne.

Spokojny głos Wołodii mówił za plecami: „Kiedyś, na «kontynencie», miałem w żeńskim łagrze pełny porządek. Jak tylko zaczną dmuchać, że żyjesz z babą – to ja ją na listę i buch! – na etap. I nową biorę. Do abażurów. I znów wszystko w porządku”.

Nina odjechała. W szpitalu pozostała jej siostra, Tonia. Żyła z krajaczem chleba, Zołotnickim, pięknym, smagłym, potężnym mężczyzną ze środowiska kryminalistów – była to zyskowna przyjaźń. Na stanowisko krajacza chleba w szpitalu, które obiecywało ogromne dochody, Zołotnicki przybył dzięki dużej łapówce, wręczonej, jak mówiono, samemu naczelnikowi szpitala. Wszystko było pięknie, ale smagły, dorodny Zołotnicki okazał się syfilitykiem: konieczne było ponowne leczenie. Usunięto go i odesłano do kołymskiej wenzony, łagru dla chorych na choroby weneryczne. W szpitalu Zołotnicki pozostawał przez kilka miesięcy i zdążył zarazić tylko jedną kobietę – Tonię Bogatyriewą. Zabrano ją do kobiecej wenzony.

W szpitalu zaniepokojono się. Cały personel medyczny poddano analizie na reakcję Wassermana. U felczera Wołodii Raguzina – cztery krzyżyki. Syfilityk Wołodia znikł ze szpitala.

A po kilku miesiącach konwój przywiózł do szpitala chore kobiety i między nimi Ninę Bogatyriewą. Wieziono ją jednak dalej – w szpitalu tylko wypoczęła. Wieziono ją do żeńskiej wenzony.

Wyszedłem do etapu. Jedynie zapadnięte, duże, czarne oczy – nic więcej nie pozostało z poprzedniej Niny.

– Widzisz, jadę do wenzony…

– Ale dlaczego do wenzony?

– Jakże? Ty, felczer, i nie wiesz, dlaczego odsyłają do wenzony? To abażury Wołodii. Urodziły mi się bliźniaki. Ale nie były do życia. Umarły.

– Dzieci umarły? To twoje szczęście, Nino.

– Tak. Teraz jestem wolna jak ptak. Podleczę się. Znalazłeś wtedy książkę?

– Nie, nie znalazłem.

– To ja ją wzięłam. Wołodia prosił o coś do poczytania.

BEZIMIENNY KOT

Kot nie zdążył wyskoczyć na dwór i szofer Misza złapał go w sieni. Wziąwszy stary przyrząd do nawiercania – krótki stalowy łom, Misza przełamał kotu kręgosłup i żebra. Uchwyciwszy za ogon, szofer otworzył nogą drzwi i wyrzucił kota na dwór, w śnieg i noc, na pięćdziesięciostopniowy mróz. Kot był własnością Kruglaka, sekretarza organizacji partyjnej szpitala. Kruglak zajmował całe mieszkanie w jednopiętrowym domu w osiedlu dla wolnych i w pokoju ponad Miszą trzymał prosiaka. Tynk na suficie Miszy wilgotniał, puchł, ciemniał, a wczoraj odskoczył i z sufitu pociekł na głowę Miszy gnój. Misza poszedł do sąsiada, aby się rozmówić, ale Kruglak przegnał szofera. Misza nie był złym człowiekiem, uraza była jednak zbyt wielka i kiedy kot trafił pod rękę…

Na górze, w mieszkaniu Kruglaka milczano – nikt nie wyszedł na skowyt, przeraźliwy głos kota, aby mu pomóc. Nie wzywał on chyba pomocy. Kot nie wierzył, że ludzie mogą mu pomóc – wszystko jedno – czy Kruglak, czy szofer.

Znalazłszy się w śniegu, kot wypełzł z zaspy na lodową ścieżkę, błyszczącą w świetle księżyca. Przechodziłem mimo i wziąłem go ze sobą do szpitala, do więziennego szpitala. Nie zezwalano nam trzymać kota w sali, chociaż szczurów było mnóstwo i żadna strychnina, żaden arszenik nie był w stanie pomóc, nie mówiąc już o łapkach czy sidłach. Arszenik i strychnina przechowywane były za siedmiu zamkami i nie były przeznaczone dla szczurów. Ubłagałem felczera z oddziału neuropsychiatrycznego, aby wziął kota do psychicznych. Tam odżył i okrzepł. Odmrożony ogon odpadł, pozostał kikut, łapka była złamana, żebra też. Ale serce było całe i kości się zrosły. Po dwu miesiącach kot już walczył ze szczurami i uwolnił od nich oddział neuropsychiatryczny szpitala.

Opiekunem kota został Lonieczka – symulant, którego nawet nie chciało się demaskować, miernota, przez całą wojnę ratujący się w szpitalu dzięki niepojętemu kaprysowi lekarza – opiekuna błatniaków, którego każdy recydywista wprawiał w drżenie, ale nie ze strachu, a z zachwytu, szacunku,

uwielbienia. „Wielki złodziej”, mówił szanowny doktor o swoich pacjentach – jawnych symulantach. To nie o to chodziło, że miał on jakiś „handlowy cel” – łapówki, ściąganie pieniędzy. Nie. Całkiem po prostu nie starczało mu energii na dobre inicjatywy i dlatego rządzili nim złodzieje. A prawdziwi chorzy nie umieli trafić do szpitala, nie potrafili nawet pokazać się na oczy doktorowi. Oprócz tego – gdzie w łagrze leży granica pomiędzy rzeczywistą i pozorowaną chorobą? Symulanci, agrawanci i rzeczywiście cierpiący chorzy mało się odróżniają jeden od drugiego. Prawdziwy chory powinien być symulantem, aby trafić do szpitalnego łóżka.

Ale kotu ta zachcianka psychicznych zachowała życie. W niedługim czasie kot, a właściwie kocica, odbyła wesele i się okociła. Życie jest życiem.

A później przyszli na oddział błatniacy, zabili kotkę wraz z dwoma kociętami, ugotowali i dali kociołek mięsnej zupy mojemu przyjacielowi, dyżurnemu felczerowi – za milczenie i na znak przyjaźni. Felczer uratował dla mnie kociaka, tego trzeciego, szarego, dla którego nie miałem imienia: bałem się go nazwać, ochrzcić, aby nie wywołać nieszczęścia.

Jechałem wtedy do swojego rejonu w tajdze i wiozłem za pazuchą kociaka, córkę tej bezimiennej kaleki, zjedzonej przez błatniaków. W swoim ambulatorium nakarmiłem kotkę, zrobiłem jej zabawkę ze szpulki, postawiłem blaszankę z wodą. Kłopot polegał tylko na tym, że moja praca związana była z wyjazdami.

Nie można było zamykać kotki na kilka dni w ambulatorium. Trzeba ją było oddać komuś, czyje stanowisko pozwoliłoby żywić drugiego – obojętne, człowieka czy zwierzę. Dziesiętnik? Dziesiętnik nienawidził zwierząt. Konwojenci? W pomieszczeniu straży trzymano kilka psów, owczarków. Skazać kociaka na wieczne męczarnie, na codzienne znęcanie się, na szczucie, kopniaki…

Oddałem kociaka łagrowemu kucharzowi, Wołodii Bujanowowi. Wołodia rozdawał jedzenie w szpitalu, w którym przedtem pracowałem. Znalazł on w kotle z zupą dla chorych, w baku, mysz, ugotowaną mysz. Wołodia wszczął alarm, ale niewielki i daremny, bo żaden z chorych nie odmówiłby zjedzenia dodatkowej miski tej zupy z myszą. Historia skończyła się na tym, że Wołodię oskarżono, że on celowo i tak dalej… Kierowniczka kuchni była z wolnego najmu, na umowie, i Wołodię usunięto z tej pracy i posłano na teren wyrębu lasu. Tam właśnie pracowałem jako felczer. Zemsta kierowniczki kuchni dosięgła Wołodię w lesie. Stanowisko kucharza – to stanowisko godne zazdrości. Ochotnicy pisali na niego donosy, śle-

dzili w dzień i w nocy. Każdy wie, że nie trafi mu się to stanowisko, ale jednak donosi, śledzi, ujawnia. W końcu Wołodię usunięto z pracy i przyniósł mi kociaka z powrotem.

Oddałem kotkę przewoźnikowi.

Rzeczka lub, jak mówią na Kołymie, „zdrój” Duskania, na której brzegach prowadzono wyrąb lasu, była, podobnie jak wszystkie kołymskie rzeki, rzeczki i strumienie, nieokreślonej szerokości, uzależnionej od ilości wody, a ta z kolei zależała od deszczów, śniegu i słońca. Bez względu na stopień, w jakim zdrój wysychał latem, konieczny był jednak przewóz, łódka dla przeprawienia ludzi z jednego brzegu na drugi.

Przy strumieniu stała izdebka, a w niej mieszkał przewoźnik i jednocześnie rybak.

Szpitalne stanowiska, osiągane na zasadzie „błatu”, nie zawsze są łatwe. Zazwyczaj ludzie ci wypełniają zamiast jednej pracy – trzy. A dla chorych, ewidencjonowanych jako leżący, sprawa była jeszcze bardziej skomplikowana, bardziej delikatna.

Wybrano takiego przewoźnika, żeby łowił ryby dla naczalstwa. Świeżą rybę na stół naczelnika szpitala. W zdroju Duskania mało jest ryb, ale jednak są. Przewoźnik ten łowił ryby dla naczelnika szpitala bardzo gorliwie. Każdego dnia wieczorem szofer wiozący drewno brał od rybaka ciemny, mokry worek, wypchany rybą i mokrą trawą, pakował go do kabiny i samochód odjeżdżał do szpitala. Rano szofer przywoził rybakowi pusty worek. Jeśli ryb było dużo, to naczelnik wołał naczelnego lekarza i innych niższych rangą.

Naczalstwo nawet machorki nie dało nigdy rybakowi, uważając, że stanowisko rybaka powinno być cenione przez tego, kto jest na „historii”, czyli na historii choroby.

Zaufani ludzie – brygadziści, pracownicy biura, z własnej woli pilnowali, aby rybak nie sprzedał ryby za plecami naczelnika. I znowu wszyscy pisali, ujawniali, donosili. Rybak był starym łagiernikiem, dobrze rozumiał, że przy pierwszym niepowodzeniu wyleci z hukiem do kopalni. Ale niepowodzeń nie było.

Chariusy, lenki, omule spływały w dół rzeczki, wzdłuż jaśniejącego nurtu wraz z wartkim strumieniem wody do cienistej głębi pod skałą, gdzie było spokojniej i bezpieczniej. Ale tutaj stało czółenko rybaka i z dzioba zwisały wędki wabiące chariusy. I kotka siedziała w kamiennym bezruchu,

jak rybak, spoglądając na spławiki. Wydawało się, że to właśnie ona zarzuciła wędki z przynętą. Kotka szybko przywykła do rybaka.

Zrzucona z łódki, kotka łatwo, ale niechętnie dopływała do brzegu, do domu – nie trzeba jej było uczyć pływać. Nie nauczyła się jednak sama przypływać do rybaka, gdy jego łódka stała w poprzek rzeczki, ustawiona tam za pomocą dwu żerdzi. Cierpliwie oczekiwała na brzegu powrotu gospodarza.

Rybak przeciągał przez rzeczkę, a czasem wzdłuż brzegu, w jamach i wypłuczyskach, sznur z haczykami i nadzianą na nie przynętą z małych rybek. W ten sposób łowił większą rybę. Później przegrodził kamieniami jedną z odnóg rzeczki, pozostawiając cztery wolne przejścia, które zamknął węcierzami, zrobionymi przez siebie z wikliny. Kotka uważnie przypatrywała się tej pracy. Węcierze stawiało się zawczasu, ażeby nie przegapić zdobyczy, gdy zacznie się jesienna wędrówka ryb. Do jesieni było jeszcze daleko, ale rybak rozumiał, że gdy jesienią ryba zacznie spływać – to będzie koniec jego rybackiej pracy w szpitalu. Poślą go do kopalni. Może przez pewien czas zbierać jagody i grzyby. Przeciągnie dodatkowy tydzień – i to dobre. Kotka natomiast nie umiała zbierać jagód i grzybów.

Ale jesień nie przyjdzie jeszcze ani jutro, ani pojutrze.

Na razie kotka łowiła ryby łapką na płyciznach, mocno zapierając się nogami w przybrzeżny żwir. Polowanie to nie bardzo jej się udawało, za to rybak oddawał kotce wszystkie resztki.

Po każdym połowie, każdego dnia rybak sortował zdobycz: większą – dla naczelnika, do specjalnego wiklinowego schowka w wodzie. Rybę średniej wielkości – dla niższego naczalstwa, każdy przecież chce świeżej ryby. Jeszcze mniejsze – dla siebie i dla kotki.

Żołnierze naszej „delegatury” przejeżdżali na nowe miejsce i pozostawili u rybaka trzymiesięcznego szczeniaka, aby go później zabrać. Chcieli sprzedać go komuś z naczalstwa, ale czy to nie było żadnych chętnych na widoku, czy też nie zgodzili się co do ceny – nikt, aż do późnej jesieni, nie przyjeżdżał po szczeniaka.

Szczeniak bez trudu stał się członkiem rybackiej rodziny, zaprzyjaźnił się z kotką, która była starsza od niego – nie wiekiem, lecz pod względem mądrości życiowej. Kotka zupełnie się go nie bała i pierwszy jego atak, taki na żarty, napotkał pazury, którymi bezgłośnie podrapała mu mordkę. Potem pogodzili się i zaprzyjaźnili.

Kotka uczyła szczeniaka polować. Miała do tego podstawy. Dwa miesiące wcześniej, kiedy mieszkała jeszcze u kucharza, zabito niedźwiedzia, zdarto z niego skórę i kotka rzuciła się, triumfalnie wbijając pazury w świeżą, czerwoną niedźwiedzią tuszę. Szczeniak natomiast zaskowyczał i schował się pod nary w baraku.

Kotka nigdy nie polowała z matką. Nikt nie uczył jej takiego rzemiosła. Wykarmiłem ją mlekiem po śmierci matki. I proszę – była to bojowa kotka, umiejąca wszystko, co powinien umieć każdy kot.

Jeszcze będąc u kucharza, maleńki kotek złapał mysz, swoją pierwszą mysz. Na Kołymie ziemne myszy są duże, niewiele mniejsze od kociaka. Zadusił on jednak wroga. Kto go nauczył tej złości, tej wrogości? Sytego kotka mieszkającego w kuchni.

Kotka godzinami siedziała koło nory ziemnej myszy i szczeniak zamierał podobnie jak kotka, naśladując jej każdy ruch, oczekując rezultatów polowania, skoku…

Kotka dzieliła się ze szczeniakiem jakby z kociakiem, rzucała mu pojmaną mysz i szczeniak warczał, ucząc się ją złapać.

Sama kotka niczego się nie uczyła. Wszystko umiała od urodzenia. Ileż to razy widziałem, jak pojawiał się ten zmysł myśliwski – i nie tylko zmysł, ale też mistrzowska umiejętność.

Kiedy kotka czatowała na ptaki, szczeniak, ogromnie poruszony, nieruchomiał, oczekując skoku, uderzenia.

Myszy i ptaków było wiele. Kotka nie leniła się.

Bardzo zaprzyjaźniła się ze szczeniakiem. Wynaleźli razem jedną zabawę, o której wiele opowiadał mi rybak, ale i ja sam obserwowałem ją trzy czy cztery razy.

Przed rybacką izdebką znajdowała się wielka polana, a pośrodku niej gruby pień modrzewia o wysokości około trzech metrów. Zabawa zaczynała się od tego, że kotka ze szczeniakiem uganiali się po tajdze i zapędzali razem na tę polanę jednego za drugim pręgowane burunduki – wiewiórki ziemne, maleńkie zwierzątka z wielkimi oczami. Szczeniak biegał w koło, starając się schwycić burunduka, a burunduk ratował się bardzo łatwo, wspinając się na pień i oczekując, kiedy szczeniak się zagapi, aby zeskoczyć i zniknąć w tajdze. Szczeniak biegał, zataczając koła, ażeby widzieć i polanę, i pień, i burunduka siedzącego na jego wierzchołku.

Do pnia podbiegała po trawie kotka i wspinała się za burundukiem, który skacząc na ziemię, trafiał wprost w zęby szczeniaka. Kotka zeskakiwała za

nim i szczeniak wypuszczał zdobycz. Kotka oglądała martwe zwierzątko, a potem łapką podsuwała je szczeniakowi.

Często jeździłem wtedy tą drogą, gotowałem w izbie przewoźnika „czyfir”; spałem przed daleką, pieszą drogą przez tajgę – trzeba było przejść dwadzieścia kilometrów, aby dostać się do domu, do ambulatorium.

Patrzyłem na kotkę, szczeniaka, rybaka, na ich zabawy i za każdym razem myślałem o nieubłaganej jesieni, o kruchości tego małego szczęścia i o przyporządkowaniu każdego temu prawu: zwierzęcia, człowieka, ptaka. Jesień ich rozłączy, myślałem. Ale rozłąka przyszła wcześniej niż jesień. Rybak pojechał po produkty do łagru, a kiedy wrócił – kotki nie było w domu. Szukał jej przez dwie noce, chodził daleko w górę strumienia, przeglądnął wszystkie swoje sidła, wszystkie łapki, krzyczał, wołał ją po imieniu, którego nie miała i nie znała.

Szczeniak był w domu, niczego jednak nie potrafił powiedzieć. Wył i wzywał kotkę.

Ale kotka nie przyszła.

PIERWSZY ZĄB

To był właśnie aresztancki etap, jaki mi się marzył długo w ciągu mych lat dziecięcych. Poczerniałe twarze i granatowe wargi spalone przez uralskie kwietniowe słońce. Olbrzymi konwojenci wskakują w biegu do sań, sanie lecą; cięta rana przez całą twarz jednookiego konwojenta – tego z przodu, wyraziste, szafirowe oczy naczelnika konwoju. W drugiej połowie dnia znaliśmy już jego nazwisko – Szczerbakow. Aresztanci – a było nas około dwustu – wiedzieli już, jak się nazywa naczelnik. Jakimś cudownym sposobem, niedostępnym, niepojętym dla mnie. Wymawiali to nazwisko zwyczajnie, tak jakby nasza podróż ze Szczerbakowem trwała wiecznie. I rzeczywiście wszedł on na zawsze w nasze życie. Dla wielu z nas tak właśnie było. Gibka, ogromna postać Szczerbakowa pojawiała się tu i tam, wypadając do przodu, spotykał i odprowadzał wzrokiem każdy, aż do ostatniego, wóz etapu i dopiero potem puszczał się w ślad, doganiając i objeżdżając. Tak, mieliśmy wozy, klasyczne wozy, na których syberyjscy „czałdoni” wieźli „rzeczy” – etap szedł w swoją pięciodniową podróż w aresztanckich szeregach, bez rzeczy, przypominając na postojach i apelach nierówne szeregi poborowych na jakimś dworcu. Ale wszystkie dworce pozostały daleko od naszych życiowych dróg. Był ranek, rzeźwy kwietniowy ranek, wyłaniający się z rzednącego półmroku klasztornego podwórca, gdzie ziewając i kaszląc, ustawił się nasz etap, aby puścić się w dalszą drogę.

Przebyliśmy noc w piwnicach solikamskiej milicji, w byłym klasztorze, po zamianie moskiewskiego starającego się i małomównego konwoju na hałastrę, składającą się z ogorzałych zuchów pod komendą szafirowookiego Szczerbakowa. Wczoraj wieczorem zstępowaliśmy do chłodnego, wyziębionego podziemia – wokół cerkwi był lód i śnieg. Trochę tajał w ciągu dnia i zamarzał wieczorem – granatowo-szare zaspy pokrywały cały podwórzec i żeby dobrać się do istoty śniegu, do jego białości, trzeba było nadłamać sztywną, raniącą ręką skorupę lodu i dopiero wtedy można było wytaszczyć z jamki gruboziarnisty, rozsypujący się śnieg, który tak rado-

śnie roztapiał się w ustach i paląc swoim przaśnym smakiem, trochę je chłodził.

Wchodziłem do lochu jeden z pierwszych, mogłem więc wybrać sobie jakieś cieplejsze miejsce. Ogromne, lodowate sklepienia napawały mnie strachem i ja – niedoświadczony młodzian – poszukiwałem wzrokiem czegoś podobnego do pieca – chociaż czegoś takiego jak u Figner czy u Morozowa. I nie znajdowałem niczego. Ale mój przypadkowy towarzysz, z którym los zetknął mnie tylko w tej krótkiej minucie zejścia do więziennego lochu w klasztorze, błatniak Gusiew, popchnął mnie aż do ściany, do jedynego zakratowanego okna z podwójnymi szybami. Miało ono półokrągły kształt, metr wysokości i zaczynało się od samej podłogi lochu, podobne do strzelnicy. Chciałem zająć inne miejsce, cieplejsze, ale tłum ludzi parł nieprzerwanym strumieniem przez wąskie drzwi i nie było żadnej możliwości cofnięcia się. Gusiew, nie mówiąc do mnie ani słowa, spokojnie uderzył noskiem buta w szybę, rozbijając pierwszą, a potem drugą. Strumień chłodnego powietrza wdarł się przez wybity otwór, parząc jak wrzątek. Ogarnięty strumieniem tego powietrza, i bez tego już przemarznięty przez długie oczekiwanie i niekończące się przeliczanie na podwórcu, zadrżałem z zimna. Nie od razu pojąłem całą mądrość Gusiewa – jedynie my dwaj pośród dwustu aresztantów oddychaliśmy przez całą noc świeżym powietrzem. Ludzie byli tak wepchani, wprost wbici do lochu, że nie można było ani się położyć, ani usiąść – tylko stać.

Do połowy ścian podziemie było objęte białą parą oddechów, nieczystą i duszną, zakrywającą sufit tak, że nie wiedzieliśmy, czy jest on wysoko, czy nisko nad nami. Zaczęły się omdlenia. Ci, co się dusili, starali się przebić do drzwi, w których była szczelina i judasz, „oczko”, próbując oddychać przez nie. Ale stojący na zewnątrz konwojent szturchał od czasu do czasu w to miejsce nasadzonym na karabin bagnetem i próby złapania świeżego powietrza poprzez więzienne „oczko” ustały. Oczywiście żadnych felczerów ani lekarzy nie wzywano do tych, co zemdleli. Jedynie my obaj szczęśliwie przetrwaliśmy tę noc – przy oknie, tak roztropnie rozbitym przez Gusiewa.

Ustawialiśmy się długo… Wychodziliśmy ostatni, mgła się rozeszła i odkryła sklepiony sufit – więzienne i cerkiewne niebo było całkiem blisko, na odległość ręki. I na sklepionych ścianach sufitu lochu solikamskiej milicji znalazłem napisy, zrobione zwykłym węglem ogromnymi literami przez całą powierzchnię:

Koledzy! W tej mogile umieraliśmy przez trzy doby, a jednak nie umarliśmy. Trzymajcie się, przyjaciele!

Przy okrzykach oddziału etap wypełzł poza okolice Solikamska i skierował się na nizinę. Niebo było szafirowe, szafirowe jak oczy naczelnika konwoju. Słońce piekło, wiatr chłodził nasze twarze – stały się one brązowe już po pierwszym noclegu w drodze. Przygotowany wcześniej nocleg etapu odbywał się zawsze według ustalonego rytuału. Na aresztancki nocleg wynajmowano u wieśniaków dwie izby – jedną czystszą, drugą uboższą, coś w rodzaju szopy, która czasem rzeczywiście nią była. Trzeba było oczywiście trafić do „czystszej". Ale nie zależało to od mojej woli: każdego wieczoru, o zmierzchu, wszystkich wpuszczano przy stojącym obok naczelniku konwoju, który jednym podrzutem ręki wskazywał, gdzie aresztant powinien spędzić kolejną noc. Wtedy to Szczerbakow wydał mi się najmądrzejszym z mądrych, dlatego że nie grzebał się w jakichś tam papierzyskach, spisach, by odszukać „dane według paragrafu", ale natychmiast, kiedy etap zatrzymywał się, podnosił rękę i wydzielał każdego kolejnego uczestnika etapu. Później pomyślałem sobie, że Szczerbakow to spostrzegawczy człowiek: zawsze jego wybór, dokonany jakimś niepojętym sposobem, okazywał się słuszny – cały pięćdziesiąty ósmy był razem, a trzydziesty piąty – także. A jeszcze później, po dwu, trzech latach, pomyślałem, że w ówczesnej mądrości Szczerbakowa nie było niczego nadzwyczajnego – wprawy w rozpoznawaniu człowieka po wyglądzie może nabyć każdy. W naszym etapie dodatkową oznaką mogły być rzeczy, walizki. Ale wieziono je przecież oddzielnie na „podwodach", na chłopskich wozach. Już na pierwszym noclegu wydarzyło się to, co jest przyczyną, dla której powstało to opowiadanie. Dwustu ludzi stało, oczekując nadejścia naczelnika konwoju, a z lewej strony słychać było jakieś krzyki, harmider, sapanie ludzi, wycie, przekleństwa i w końcu wyraźny krzyk: „Potwory! Potwory!" Przed szeregi aresztantów rzucono na śnieg człowieka. Miał rozbitą do krwi twarz, a czapka-papacha, wciśnięta na głowę cudzą ręką, sterczała, nie mogąc przykryć wąskiej, sączącej krwią rany. Człowiek odziany był w brązową tkaninę domowej roboty – jakiś Ukrainiec, „chochoł". Znałem go. Był to Piotr Zając, sekciarz. Wieźli go z Moskwy w jednym wagonie ze mną. Cały czas się modlił i modlił.

– Nie chce stać na apelu! – zameldował, dysząc ciężko, rozgorączkowany tarmoszeniem się konwojent.

– Postawić go – rozkazał naczelnik konwoju.

Dwu ogromnych konwojentów postawiło Zająca na nogi, podtrzymując go pod ręce. Ale Zając był o głowę od nich wyższy, większy, cięższy. Szczerbakow uderzył Zająca pięścią w twarz. Zając splunął na śnieg. Nagle poczułem piekący żar w sercu. Zrozumiałem nagle, że w tym momencie rozstrzygnie się moje życie. I jeżeli nic nie uczynię – a co, tego sam nie wiem – to znaczy, że na darmo przyjechałem z tym etapem, że niepotrzebnie przeżyłem swoje dwadzieścia lat.

Palący wstyd spowodowany własnym tchórzostwem spłynął z moich policzków – poczułem, jak stają się chłodne, a ciało – lekkie.

Wyszedłem z szeregu i drżącym głosem powiedziałem:

– Nie ważcie się bić człowieka.

Szczerbakow spoglądał na mnie ze zdziwieniem.

– Wstąp do szeregu.

Powróciłem. Szczerbakow wydał komendę i etap, dzieląc się na dwie izby według wskazań jego palca, począł znikać w mroku. Palec Szczerbakowa wyznaczył mnie do „czarnej” izby.

Układaliśmy się do snu na wilgotnej, pachnącej zgnilizną, zeszłorocznej słomie, rozsypanej na gołej, gładkiej ziemi. Kładliśmy się pokotem, aby było cieplej, i jedynie błatniacy urządzili się koło lampy zwisającej z belki, by grać w swoją wieczną „burę” czy „stosa”. Ale niedługo i oni zasnęli. Zasnąłem i ja, rozmyślając o swoim postępku. Nie miałem starszego kolegi, nie miałem z kogo brać przykładu. Byłem sam w tym etapie, nie miałem ani przyjaciół, ani kolegów. Mój sen został przerwany. Latarnia świeciła mi w twarz i któryś z moich rozbudzonych sąsiadów-błatniaków służalczo powtarzał:

– To on, on…

Latarnię trzymał konwojent.

– Wychodź.

– Zaraz, ubiorę się.

– Tak wychodź.

Wyszedłem. Trzęsły mną nerwowe dreszcze, nie rozumiałem, co ma się teraz stać.

Wraz z dwoma konwojentami wyszedłem na ganek.

– Zdejmuj bieliznę!

Zdjąłem.

– Stań na śniegu.

Stanąłem. Spojrzałem na ganek i zobaczyłem wycelowane we mnie dwa karabiny. Ile minęło czasu w ciągu tej uralskiej nocy, mojej pierwszej uralskiej nocy – nie pamiętam.

Usłyszałem rozkaz:

– Ubieraj się.

Wciągnąłem na siebie bieliznę. Uderzenie w ucho zwaliło mnie w śnieg. Cios ciężkiego obcasa trafił w zęby i usta wypełnione krwią zaczęły szybko puchnąć.

– Do baraku!

Wszedłem, dobrnąłem do swego miejsca, zajętego już przez inne ciało. Wszyscy spali lub udawali, że śpią… Słonawy smak krwi nie znikał – w ustach było coś obcego, coś niepotrzebnego. Uchwyciłem to palcem i siłą wyciągnąłem z własnych ust. Był to wybity ząb. Porzuciłem go tam w stęchłej słomie, na gołej ziemnej podłodze.

Objąłem rękami brudne, śmierdzące ciała towarzyszy i zasnąłem. Zasnąłem. Nawet się nie przeziębiłem.

Rano etap ustawił się do drogi i szafirowe, niewzruszone oczy Szczerbakowa objęły nawykłym spojrzeniem aresztanckie szeregi. Piotr Zając stał w szeregu, nie bili go, a i on nie krzyczał nic o potworach. Błatniacy spoglądali na mnie nieprzyjaźnie i z obawą – w łagrze każdy uczy się odpowiadać sam za siebie.

Jeszcze dwie doby w drodze i doszliśmy do „zarządu” – nowego, zbudowanego z bierwion domku na brzegu rzeki.

Przyjmować etap wyszedł komendant Niestierow – naczelnik z owłosionymi kułakami. Wielu z błatniaków idących obok mnie znało tego Niestierowa. Bardzo go chwalili: „Przyprowadzają uciekinierów. Wychodzi Niestierow: – Aha, zuchy, zjawili się. No to wybierajcie: plasnąć czy do izolatora? – A tam izolator z żelazną podłogą, trzech miesięcy ludzie nie wytrzymują, a jeszcze śledztwo, a jeszcze dodatkowy wyrok. – Plasnąć, Iwanie Wasiljewiczu. Zamach – i z nóg! Ponowny zamach i znowu nakrył się nogami. To był mistrz. – Idź do baraku. – I to wszystko. Koniec śledztwa. Fajny naczelnik”.

Niestierow obszedł szeregi, uważnie spoglądając każdemu w twarz.

– Nie ma skarg na konwój?

– Nie ma, nie ma – odpowiedział nierówny chór głosów.

– A ty. – Owłosiony palec dotknął mojej piersi. – Dlaczego ty niewyraźnie odpowiadasz? Coś tam chrypisz.

– Zęby go bolą – odpowiedzieli moi sąsiedzi.

– Nie – odrzekłem, starając się zakryć swoje rozbite usta i wymawiać słowa jak tylko można twardo. – Nie ma skarg na konwój.

– Opowiadanie niezłe – rzekłem do Sazonowa. – Literacko poprawne. Tylko że go nie wydrukują. I koniec jakiś bezpostaciowy.

– Mam jeszcze inne zakończenie – powiedział Sazonow. – Po roku byłem w łagrze wielkim naczelnikiem – wtedy przecież odbywało się „przekuwanie” – i Szczerbakowowi przypadło miejsce młodszego oficera operacyjnego w tym łagrze, gdzie ja pracowałem. Tam wiele ode mnie zależało i Szczerbakow obawiał się, że zapamiętałem tę historię z zębem. On sam również nie zapomniał tego przypadku. Miał dużą rodzinę, praca była zyskowna, znacząca, i on, człowiek prostoduszny i bezpośredni, zgłosił się do mnie, aby się dowiedzieć, czy nie będę oponować przeciwko jego nominacji. Przyszedł z butelką na „zgodę”, w myśl rosyjskiego obyczaju, ale ja nie zacząłem z nim pić, zapewniając, że nic złego mu nie uczynię.

Szczerbakow ucieszył się, długo przepraszał, kręcił się przy drzwiach, cały czas zaczepiając obcasem o dywanik, i nie mógł zakończyć rozmowy.

– Przecież to droga, etap, sam rozumiesz. Byli z nami uciekinierzy.

– Ten koniec też do niczego – powiedziałem do Sazonowa.

– No to mam jeszcze jeden.

Zanim otrzymałem nominację do pracy w tym łagrze, gdzie ponownie spotkaliśmy się ze Szczerbakowem, natknąłem się na ulicy łagrowego osiedla na sanitariusza Piotra Zająca. Młody, czarnowłosy, czarnobrody gigant znikł. Zamiast niego był chromy, siwy starzec z krwawym kaszlem. Nie poznał mnie nawet, a kiedy ująłem go za rękę i wymieniłem jego nazwisko – wyrwał się i poszedł swoją drogą. I po jego oczach widać było, że Zając rozmyśla o czymś własnym tylko, niedostępnym dla mnie, gdzie moje pojawienie się jest albo niepożądane, albo obraźliwe dla gospodarza, który prowadzi rozmowy z ludźmi nie tak przyziemnymi.

– I ten wariant się nie nadaje – powiedziałem.

– No to pozostawię pierwszy.

Jeśli nawet nie można wydrukować – to lżej na duszy, kiedy się napisze. Napiszesz – i można zapomnieć…

ECHO W GÓRACH

W wydziale ewidencji w żaden sposób nie mogli sobie dobrać starszego referenta. Później, kiedy wszystko się rozrosło, pracę wykonywaną na tym stanowisku musiał już prowadzić cały samodzielny oddział – „grupa zwolnień”. Starszy referent wydawał dokumenty na zwolnienie i był ważną figurą w tym świecie, gdzie całe życie nakierowane jest na ten moment, kiedy aresztant otrzyma dokument zezwalający mu nie być już aresztantem. Starszy referent powinien być dobrany ze środowiska więźniów – tak przewiduje oszczędny wykaz etatów. Oczywiście, można było obsadzić to wakujące stanowisko na zasadzie partyjnego skierowania lub jakiejś organizacji związkowej. Można było też nakłonić jakiegoś oficera zwalniającego się z wojska – ale to jeszcze nie były te czasy. Znaleźć chętnych do pracy w łagrze, nawet przy „oczywistej” pensji – nie było takie proste. Dobrowolna praca w łagrze uważana była jeszcze za hańbiącą i w całym dziale ewidencji, zawiadującym wszystkimi sprawami więźniów, pracował tylko jeden człowiek z wolnego najmu – inspektor Paskiewicz, cichy, nałogowy pijak. W dziale bywał mało – większa część czasu schodziła mu na kurierskie wyjazdy, gdyż łagier znajdował się, tak jak powinien, daleko od ludzkich oczu.

I tak oto w żaden sposób nie mogli znaleźć starszego referenta. To się nagle wyjaśni, że nowo mianowany pracownik ma powiązania ze światem błatniaków i wykonuje ich tajne rozkazy. To znów się okaże, że referent zwalnia za pieniądze jakichś tam spekulantów-waluciarzy z południa. To wreszcie zdarzy się, że chłopak jest uczciwy i nieprzekupny, ale fajtłapa, gmatwa wszystko i zwalnia nie tych, co trzeba.

Wysokie naczalstwo z całą energią poszukiwało potrzebnego mu człowieka – przecież, jakkolwiek by było, pomyłki w sprawie zwolnień to kryminał, który mógł doprowadzić do szybkiego zakończenia kariery weterana z łagrów, do „zwolnienia z wojsk OGPU!”, a może jeszcze i na ławę oskarżonych.

To był ten sam łagier, który przed rokiem nazywał się Czwartym Oddziałem Sołowieckich Łagrów, a teraz był już samodzielnym, ważnym łagrem na północnym Uralu.

Brakowało tylko w tym łagrze starszego referenta.

I oto z Sołówek, z samej wyspy przybył specjalny konwój. Jak na Wiszerę, był to rzadki przypadek. Nie ma tam kogo wozić ze specjalnym konwojem. To albo cielęce wagony – koloru czerwonego z narami wewnątrz, albo znane, pasażerskie z przedziałami i zakratowanymi oknami – wydawałoby się, że wagon nie przestaje nim być z powodu tych żelaznych woalek, przesłaniających jego oczy.

W tych czasach chodziły jeszcze na uralskich i odległych syberyjskich liniach kolejowych słynne „stołypińskie wagony” – nazwa, którą przez wiele dziesiątków lat zachowają więzienne wagony, zupełnie już nie będąc „stołypińskimi”.

„Stołypiński” wagon ma dwa maleńkie okienka z jednej strony i kilka większych – z drugiej. Te okienka, zaciągnięte kratami, nie pozwalają zobaczyć z zewnątrz, co się dzieje w środku, nawet kiedy się patrzy z bliska.

Wewnątrz wagon podzielony jest masywnymi kratami z umieszczonymi w nich hurkoczącymi drzwiami na dwie części. Każda połowa wagonu ma swoje maleńkie okno.

W obu końcach – pomieszczenia dla konwojentów. Korytarz także dla nich.

Konwój specjalny nie jeździ w „stołypińskich” wagonach. Konwojenci przewożą pojedynczych ludzi w zwykłych pociągach, zajmując jeden ze skrajnych przedziałów – wszystko jeszcze było po „rodzinnemu”, po prostu, jak przed rewolucją. Jeszcze nie zdobyto doświadczenia.

Przybył speckonwój z „Wyspy” – tak zwano wtedy Sołówki, całkiem po prostu „Wyspa”, podobnie jak wyspę Sachalin – i przekazał niewysokiego, starszego człowieka, chodzącego o kulach, w obowiązkowym „sołowieckim” buszłacie z szynelowego sukna i takiej samej czapce-uszance – „sołowczance”.

Był to siwy, spokojny człowiek, ale po jego gwałtownych ruchach widać było, że dopiero uczy się chodzić o kulach, że niedawno stał się inwalidą.

W ogólnym baraku z podwójnymi narami było ciasno i duszno, pomimo otwartych na oścież drzwi z obu jego końców. Drewniana podłoga posypana była trocinami i siedzący przy drzwiach dyżurny rozpraszał w świetle siedmioliniowej, naftowej lampy skaczące w trocinach pchły. Od czasu do

czasu, pośliniwszy palec, dyżurny zabierał się do szukania tych ruchliwych owadów.

W tym właśnie baraku przydzielono miejsce nowo przybyłemu. Nocny dyżurny baraku wykonał nieokreślony gest ręką, wskazując na ciemny i śmierdzący kąt, gdzie pokotem spali odziani ludzie i gdzie nie było miejsca nie tylko dla człowieka, ale i dla kota.

Ale przyjezdny spokojnie naciągnął czapkę na uszy i położywszy swoje kule na długim, obiadowym stole, wlazł z wierzchu na leżących ludzi, położył się i zamknął oczy, nie wykonując żadnego ruchu. Ciężarem swojego ciała wyrobił sobie zagłębienie pomiędzy innymi ciałami, a gdy tylko jego senni sąsiedzi wykonywali jakiś ruch – ciało przyjezdnego wciskało się w tę znikomą wolną przestrzeń. Namacawszy łokciem i biodrem deski nar, przyjezdny rozluźnił mięśnie i zasnął.

Na drugi dzień rano wyjaśniło się, że przybyły inwalida – to właśnie ten długo oczekiwany starszy referent, na którego tak czeka zarząd obozu.

W porze obiadowej wezwano go do naczalstwa, a wieczorem przeniesiono do drugiego baraku – administracji, gdzie mieszkali wszyscy łagrowi urzędnicy będący więźniami. Był to bardzo dziwny, rzadkiej konstrukcji barak.

Budowano go, gdy naczelnikiem łagru był marynarz, który zatapiał w osiemnastym roku flotę czarnomorską, gdy przyjeżdżał tam sławny miczman Raskolnikow.

Marynarz robił na lądzie łagrową karierę, a budowa baraku dla obsługi była jego pomysłem, hołdem dla jego morskiej przeszłości. Piętrowe nary w tym baraku były podwieszone na stalowych linach. Leżało na nich tak jak w kubryku po czterech ludzi. Dla wzmocnienia konstrukcja ta była z jednej strony przewiązana długim stalowym drutem.

Dlatego wszystkie nary kołysały się jednocześnie przy najmniejszym poruszeniu chociażby jednego mieszkańca baraku.

A ponieważ poruszało się jednocześnie kilka osób, to te wiszące łóżka znajdowały się w ciągłym ruchu i cicho, ale jednak wyraźnie skrzypiały i skrzypiały. Jedynie w czasie wieczornych apeli ruchome nary zatrzymywały się jak zmęczone wahadło i milkły.

W tym właśnie baraku zawarłem znajomość ze Stiepanowem, z Michałem Stiepanowiczem Stiepanowem. Tak bowiem nazywano nowego starszego referenta. Bez żadnych „tenże”, tak tutaj rozpowszechnionych.

Zresztą dzień wcześniej widziałem jego „pakiet”, który przywiózł konwój, jego „akta sprawy”. Była to cieniutka „sprawa”, w zielonej okładce, rozpoczynająca się rutynową ankietą, zaopatrzoną w dwa numerowane zdjęcia *en face* i z profilu, oraz z kwadracikiem odcisku daktyloskopijnego, podobnego do miniaturowego drzewka.

W ankiecie podany był rok urodzenia – 1888 – dobrze zapamiętałem te ósemki, miejsce ostatniej pracy – Moskwa, NK RKI… Był członkiem WKP(b) od 1917 roku.

Odpowiedź na jedno z ostatnich pytań: karany, był członkiem partii eserów od 1905 roku… Zapis prowadzony jak zwykle krótko, urzędowo.

Wyrok – 10 lat, a dokładniej kara śmierci, z zamianą na dziesięć lat.

Praca w łagrach – był starszym referentem na Sołówkach przez ponad pół roku. Ankieta naszego Michała Stiepanowicza nie była specjalnie ciekawa. W łagrze było wielu kołczakowskich i anienkowskich oficerów, był oficer z przesławnej Dzikiej Dywizji, była awanturnica podająca się za córkę Mikołaja Romanowa, był słynny złodziej kieszonkowy Karłow, pseudonim „Przedsiębiorca”, istotnie podobny do niego, łysy, z ogromnym brzuchem i obrzmiałymi palcami – jeden z najbardziej zręcznych złodziei kieszonkowych, artysta, którego pokazywano naczalstwu.

Był Majerowski, włamywacz i artysta jednocześnie, bez przerwy rysujący na wszystkim – na desce, na kartce papieru – jedno i to samo: kontakty cielesne nagich kobiet i mężczyzn, splecionych ze sobą na wszelkie możliwe, nienaturalne sposoby. Nic innego nie potrafił rysować. Majerowicz był wyklętym synem bogatych rodziców ze środowiska naukowego. Błatniakom był obcy.

Było kilku hrabiów i kilku gruzińskich książąt ze świty Mikołaja II.

Akta Stiepanowa włożono do nowej łagrowej okładki i wstawiono na półkę z literą „S”.

I niczego bym się nie dowiedział o tej zadziwiającej historii, gdyby nie przypadkowa rozmowa w gabinecie służbowym.

Po raz pierwszy zobaczyłem Stiepanowa bez kul: w rękach miał wygodną laskę, zamówioną, jak widać, przez niego w łagrowej stolarni. Laska miała rączkę szpitalnego typu – wygiętą do środka, a nie na zewnątrz jak u zwykłej laski.

Powiedziałem „oho!” i przywitałem się z nim.

– Zdrowieję – powiedział Stiepanow. – Przecież wszystko mam całe. To szkorbut.

Zakasał nogawkę i ujrzałem ciągnący się ku górze liliowoczarny pas skóry. Przez chwilę pozostaliśmy w milczeniu.

– Michale Stiepanowiczu, za co ty siedzisz?

– No, jakże? – i uśmiechnął się. – Przecież zwolniłem Antonowa.

Siedemnastoletni, petersburski gimnazjalista Misza Stiepanow, syn nauczyciela gimnazjum, wstąpił przed 1905 rokiem, jak pan Bóg przykazał, do partii, zgodnie z panującą ówcześnie wśród inteligencji modą. W blaskach legendarnego światła „Woli Ludu” dopiero co utworzona partia eserów dzieliła się na wiele odłamów i odłamków. Wśród nich wysoką pozycję zajmowali eserzy-maksymaliści – grupa znanego terrorysty Michała Sokołowa. Więzy rodzinne zaprowadziły Miszę Stiepanowa do tej właśnie grupy. Szybko i z zapałem wciągnął się on w podziemne życie Rosji: w konspiracyjne lokale, kontakty, naukę strzelania, dynamit…

W laboratoriach stała na stole, zgodnie z obyczajem, butelka z nitrogliceryną – na wypadek rewizji, aresztu.

Policja okrążyła konspiracyjny lokal z siedmiu bojownikami. Eserzy odstrzeliwali się, dopóki starczało naboi. Odstrzeliwał się również Misza Stiepanow. Wszystkich aresztowano, sądzono i powieszono, z wyjątkiem nieletniego Miszy. A Michał zamiast sznura otrzymał w wyroku wieczną katorgę i trafił niedaleko od rodzinnego Pitra – do Szlisselburga.

Katorga oznacza określony reżim więzienny – zmienia się on w zależności od sytuacji i charakteru samowładcy. Za carskich czasów za „wieczną” katorgę uważano katorgę 20-letnią, z dwoma latami ręcznych kajdanów i czterema latami nożnych.

W Szlisselburgu za czasów Stiepanowa stosowano efektowną „nowość” – skuwano katorżników parami – najlepszy sposób, aby ich skłócić pomiędzy sobą.

W jakimś opowiadaniu Barbusse pokazał nam tragedię zakochanych, którzy zostali razem skuci. Poczęli się wzajemnie okrutnie nienawidzić…

Z katorżnikami robiono to już od dawna. Dobór łańcuchowych par – był to wspaniały wymysł mistrzów od tych spraw; tutaj więzienne naczalstwo mogło się popisywać dowcipem, jak tylko umiało – skuwać wysokiego z niskim, sekciarza z ateistą, i co najważniejsze – tworzyć asortyment politycznych „bukietów” – skuwać razem anarchistów z eserami, esdeka z czarnosecińcem.

Ażeby nie pokłócić się z przykutym do siebie człowiekiem, obaj musieli się wykazać najwyższym opanowaniem albo też młodszy musiał ślepo

uwielbiać starszego, a starszy – namiętnie pragnąć przekazać towarzyszowi wszystko, co jest najlepsze w jego duszy.

Niekiedy ludzka wola, którą wystawiano na nową, ciężką próbę, krzepła jeszcze bardziej. Hartował się charakter, duch.

Tak minął okres kajdanów Michała Stiepanowicza, czas ich noszenia na rękach i nogach.

Szły zwykłe katorżnicze lata – numer i as karowy na kaftanie to były sprawy zwyczajne i niezauważalne.

Wtedy właśnie Michał Stiepanowicz, młody, dwudziestodwuletni człowiek, spotkał się w Szlisselburgu z Sergo Ordżonikidzem. Sergo był wybitnym propagandzistą i przegadali ze Stiepanem wiele dni w szlisselburskim więzieniu. Spotkanie i przyjaźń z Ordżonikidzem zmieniły Michała Stiepanowa z esera-maksymalisty na bolszewika-esdeka.

On wierzył wiarą Sergo w przyszłość Rosji i swoją. Jest jeszcze młody, i nawet jeżeli odbędzie swą „wieczną” co do dnia, to jednak wyjdzie na wolność, nie mając czterdziestu lat i jeszcze potrafi służyć pod nowym sztandarem. Będzie czekać te dwadzieścia lat.

Ale czekać trzeba było znacznie mniej. Luty siedemnastego roku otworzył wrota carskich więzień i Stiepanow znalazł się na wolności o wiele wcześniej, niż się tego spodziewał i do czego się przygotowywał. Odnalazł Ordżonikidzego, wstąpił do partii bolszewików, brał udział w szturmowaniu Zimowego, a po rewolucji październikowej ukończył kursy wojskowości, poszedł na front jako czerwony oficer i przesuwał się po wojskowej drabinie służbowej, od frontu do frontu, wciąż wyżej i wyżej.

Na frontach tambowskim i antonowskim brygadier Stiepanow dowodził połączonymi oddziałami pociągów pancernych, a przy tym dowodził nie bez powodzenia.

Antonowszczyzna upadała. Naprzeciw Armii Czerwonej stały na Tambowszczyźnie bardzo osobliwe oddziały – mieszkańcy miejscowych wsi, przemieniający się nagle w regularne wojsko razem z własnymi dowódcami.

W odróżnieniu od wielu innych band okresu wojny domowej Antonow pilnował „morale oddziałów” i napawał otuchą swoich żołnierzy przy pomocy komisarzy politycznych, powołanych przez niego na wzór Armii Czerwonej.

Samego Antonowa już dawno skazano zaocznie na karę śmierci i był wyjęty spod prawa. Do wszystkich oddziałów Armii Czerwonej rozesłany

został rozkaz Naczelnego Dowództwa nakazujący, aby przy pojmaniu i rozpoznaniu Antonowa natychmiast go rozstrzelać jako wroga ludu.

Antonowszczyzna upadała. I oto kiedyś dowódcy brygady Stiepanowowi zameldowano, że działania pułku WCzK zakończyły się pełnym powodzeniem i że Antonow, sam Antonow został schwytany.

Stiepanow kazał przyprowadzić jeńca. Antonow wszedł i zatrzymał się w progu. Światło „nietoperza" zawieszonego przy drzwiach padało na kanciaste, surowe i natchnione oblicze.

Stiepanow kazał wyjść konwojentowi i czekać za drzwiami. Potem podszedł blisko do Antonowa – był od niego o całą głowę niższy – i powiedział:

– Saszka, to ty?

Byli obaj skuci jednym łańcuchem w Szlisselburgu przez cały rok i ani razu się nie pokłócili. Stiepanow objął związanego jeńca. Ucałowali się. Długo chodził Stiepanow po wagonie – chodził i rozmyślał, a Antonow smutno się uśmiechał, spoglądając na dawnego towarzysza.

– Nie mogę cię rozstrzelać i nie rozstrzelam – powiedział Stiepanow, gdy rozwiązanie jak gdyby się znalazło. – Znajdę sposób, aby ci dać wolność. Ale ty ze swej strony daj mi słowo, że znikniesz, zakończysz walkę przeciwko sowieckiej władzy, ten ruch skazany jest na zgubę. Daj mi słowo, twoje słowo honoru…

I Antonow, któremu było łatwiej – on doskonale rozumiał moralne męki swojego towarzysza z katorgi – dał słowo honoru. Wyprowadzono go.

Sesję trybunału wyznaczono na jutro, a w nocy Antonow uciekł. Trybunał, który powinien ponownie sądzić Antonowa, sądził zamiast niego dowódcę warty, że źle rozstawił posterunki i tym samym umożliwił ucieczkę tak ważnemu przestępcy. W skład trybunału wchodził sam Stiepanow i jego rodzony brat. Dowódca warty został obwiniony i skazany warunkowo na rok więzienia – za niewłaściwe rozstawienie posterunków.

Jak to się stało, że Stiepanow nie wiedział, iż Antonow to ten sam – były więzień polityczny z katorgi? Przebywając tak krótko na froncie tambowskim, Michał Stiepanow nie zdążył się jeszcze zapoznać z jedną, najważniejszą ulotką Antonowa. Pisał on w niej:

Jestem stary narodowolec, byłem przez wiele lat na carskiej katordze. Nie równają się ze mną wasi wodzowie Lenin i Trocki, którzy poza zesłaniem niczego nie widzieli. Byłem zakuty w kajdany…

i tak dalej. Z tą ulotką wypadło mu się zapoznać o wiele później.

A wtedy zdawało się, że już po wszystkim, sumienie jest czyste – i w stosunku do Antonowa, który Stiepanowowi uratował życie, i wobec władzy sowieckiej, gdyż Antonow znika – koniec z antonowszczyzną.

Tak się jednak nie zdarzyło: Antonow ani myślał dotrzymywać swojego słowa. Pojawił się, porywając swoje zielone „wojsko", i boje rozgorzały z nową siłą.

– I wtedy właśnie posiwiałem – mówił Stiepanow. – Nie później. W niedługim czasie dowództwo objął Tuchaczewski i działania związane z likwidacją antonowszczyzny zakończyły się pełnym sukcesem – ogniem z dział zostały zniesione z powierzchni ziemi najbardziej wrogie wioski. Antonowszczyzna zbliżała się do końca. Sam Antonow leżał chory na tyfus i kiedy szpital został okrążony przez czerwoną konnicę, brat Antonowa zastrzelił go leżącego w łóżku i sam się zastrzelił. Tak umarł Aleksander Antonow.

Skończyła się wojna domowa, Stiepanow wyszedł z wojska i rozpoczął pracę pod zwierzchnictwem Ordżonikidzego. Będąc członkiem partii od 1917 roku, został jej pracownikiem na stanowisku kierownika działu administracyjnego NK RKI.

Było to w 1924 roku. Przepracował tam jeden, drugi i trzeci rok, ale pod koniec trzeciego roku zauważył, że jest jak gdyby śledzony – ktoś przeglądał jego papiery i korespondencję.

Spędził wiele bezsennych nocy. Przypomniał sobie każdy krok wykonany w swoim życiu, każdy jego dzień – wszystko w nim było jak najbardziej czyste, oprócz tej historii z Antonowem. Ale przecież Antonow nie żyje. A swojemu bratu nigdy niczego nie mówił.

W niedługim czasie wezwano go na Łubiankę i śledczy, wysoki rangą w Czeka, spytał go, nie śpiesząc się: czy nie zdarzyło się przypadkiem tak, że Stiepanow, będąc dowódcą Armii Czerwonej, w czasie działań wojennych wypuścił na wolność wziętego do niewoli Antonowa?

I Stiepanow powiedział, jak było naprawdę. Wtedy wyjaśniła się cała tajemnica.

Okazuje się, że w ową tambowską, letnią noc Antonow uciekł nie sam. Złapano go razem z jednym z jego oficerów. Po śmierci Antonowa uciekł on na Daleki Wschód, przekroczył granicę do atamana Siemionowa i kilka razy przychodził stamtąd jako dywersant. Ujęty, siedział na Łubiance

i „poddany został dochodzeniu”. W pojedynczej celi, szybko spisując ze wszystkimi szczegółami swą spowiedź, wspomniał, że w takim to roku został wzięty do niewoli przez czerwonych razem z Antonowem i tej samej nocy uciekł. Antonow nic mu nie mówił, ale on, jako carski oficer, uważa, że doszło tu do zdrady ze strony czerwonego dowództwa. Tych kilka linijek z jego niespokojnego, pełnego gorączki życia poddano sprawdzeniu. Odszukano protokół trybunału, w którym dowódca warty Grieszniew otrzymał swój rok z zawieszeniem za nieprawidłowe rozstawienie posterunków.

Gdzież teraz jest Grieszniew? Zabrano się do wojskowych archiwów – został dawno zdemobilizowany, mieszka w swoich stronach, pracuje jako wieśniak. Ma żonę i troje maleńkich dzieci w wioszczynie pod Kremienczugiem. Grieszniewa nagle aresztują i wiozą do Moskwy.

Jeśliby Grieszniewa aresztowano w czasie wojny domowej, to być może zdecydowałby się na śmierć i nie wydał swojego dowódcy. Ale czas płynie, czym teraz jest dla niego wojna i jego dowódca – Stiepanow? Ma troje dzieci, jedno mniejsze od drugiego, młoda żona, całe życie przed nim. Grieszniew opowiedział, że spełnił prośbę Stiepanowa, a nawet nie prośbę, pewnie rozkaz – że, jak by to powiedzieć, ucieczka potrzebna jest dla dobra sprawy i że dowódca obiecuje, że Grieszniewa nie zasądzą.

Pozostawiają Grieszniewa i biorą się do Stiepanowa. Sądzą go, skazują na rozstrzelanie, zamieniają na dziesięć lat łagru, wiozą na Sołówki.

W 1933 roku szedłem przez Strastną Płoszczad’. Puszkin jeszcze jej nie przekroczył i stał przy końcu, a raczej na początku bulwaru Twerskiego – tam gdzie postawił go Opiekuszyn, rozumiejąc, jak wielką sztuką jest architektoniczna zgodność kamienia, metalu i nieba. Ktoś szturchnął mnie z tyłu laską. Obejrzałem się – Stiepanow! Już dawno zwolnił się i pracował jako kierownik portu lotniczego. Laska była wciąż ta sama.

– Wciąż jeszcze kulejesz?

– Tak. Następstwo szkorbutu. Po medycznemu nazywa się to kontraktura.

BERDY TENŻE

Anegdota, która przemieniła się w mistyczny symbol… Żyjąca realność, gdyż ludzie obcowali z podporucznikiem Kiże jak z żywym człowiekiem – tego wszystkiego, co tak pięknie nam opowiedział Jurij Tynianow, przez dłuższy czas nie odbierałem jako zapisu czegoś, co rzeczywiście się zdarzyło. Zadziwiająca historia z pawłowskich czasów była dla mnie jedynie genialnym dowcipem, złośliwym żartem jakiegoś próżnego współczesnego dygnitarza, co, pomimo woli autora, przemieniło się w wyraziste świadectwo charakterystycznych cech tego osobliwego panowania. Wartownik Leskowa – to historia tego samego rodzaju, potwierdzająca dziedziczność charakteru samowładztwa. Ale sam fakt carskiej „omyłki w druku” budził moje wątpliwości – aż do 1942 roku.

Ucieczka została wykryta przez lejtnanta Kurszakowa na stacji Nowosybirsk. Aresztantów wyprowadzono z wagonów towarowych i pod drobnym, zimnym deszczem przeliczano, sprawdzano obecność znajdujących się na liście według paragrafu i wyroku – wszystko na darmo. Ustawionych pełnych piątek było trzydzieści osiem, a w trzydziestej dziewiątej stał tylko jeden człowiek, a nie dwóch, jak było przy odjeździe. Kurszakow przeklinał tę chwilę, kiedy zgodził się przyjąć etap bez „akt sprawy”, według listy, gdzie pod numerem sześćdziesiątym figurował zbiegły aresztant. Lista była pobrudzona, a do tego w żaden sposób nie udawało się uchronić papieru przed deszczem. Zdenerwowany Kurszakow zaledwie rozróżniał nazwiska, bo i rzeczywiście litery się pozamazywały. Brakowało numeru 60. Już przejechali pół drogi. Za takie zguby karano ostro i Kurszakow już żegnał się z epoletami i oficerską racją żywnościową. Obawiał się również odesłania na front. Był drugi rok wojny, a on szczęśliwie służył w konwojenckiej straży. Dał się poznać jako obowiązkowy i sumienny oficer. Dziesiątki razy przewoził etapy, duże i małe, prowadził pociągi, bywał też w konwojach specjalnych i nigdy nie miał przypadku ucieczki. Nagrodzono go nawet medalem „Za bojowe zasługi” – takie medale dawano też na tyłach.

Kurszakow siedział w wagonie, gdzie mieściła się straż, i drżącymi, śliskimi od deszczu palcami przekładał zawartość swojego nieszczęsnego „pakietu” – kartę zaopatrzenia żywnościowego, list z więzienia na adres łagru, dokąd wiózł etap, i lista, lista, lista. Spoza wszystkich papierów i pism widział jedynie liczbę „192”. A w zamkniętych na głucho wagonach siedziało 191 aresztantów. Przemoknięci ludzie klęli i zdjąwszy z siebie kurtki i płaszcze, starali się je podsuszyć na wietrze przedostającym się przez szczeliny w drzwiach.

Kurszakow był zdetonowany i przygnębiony ucieczką. Wolni od służby konwojenci milczeli w kącie wagonu, bojąc się odezwać, a na twarzy pomocnika Kurszakowa, sierżanta Łazariewa, odbijało się wszystko to, co widać było na twarzy jego naczelnika – bezradność, strach…

– Co robić? – powiedział Kurszakow. – Co robić?

– Podaj no listę.

Kurszakow wyciągnął do Łazariewa kilka pomiętych, spiętych szpilką kartek papieru.

– Numer sześćdziesiąt – przeczytał Łazariew. – Tenże Berdy, paragraf sto sześćdziesiąty drugi, wyrok dziesięć lat. – Właśnie – powiedział, wzdychając Łazariew. – Właśnie. Jakiś zwierz.

Częste obcowanie ze światem złodziei przyuczyło konwojentów do posługiwania się „błatniacką fienią”, słownikiem złodziei, który zwierzami nazywa mieszkańców Azji Średniej, Kaukazu i Zakaukazia.

– Zwierz – powiedział Kurszakow. – I pewnie nie umie nawet mówić po rosyjsku. Coś tam pewnie mruczał na apelach. Obedrą nas za to ze skóry, braciszku… – Kurszakow przysunął kartkę bliżej do oczu i przeczytał z nienawiścią: Berdy…

– A może nie obedrą – powiedział nagle mocnym głosem Łazariew, kierując ku górze błyszczące, rozbiegane oczy. – Mam myśl. – Szybko począł szeptać na ucho Kurszakowowi.

Lejtnant pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Nic z tego nie wyjdzie…

– Spróbować można – powiedział Łazariew. – Przecież jest front… Przecież wojna.

– Działaj – rzekł Kurszakow. – Postoimy tutaj jeszcze z dwie doby – dowiadywałem się na stacji.

– Daj pieniądze – powiedział Łazariew.

Powrócił pod wieczór.

– Turkmen – rzekł do Kurszakowa.

Kurszakow poszedł do wagonów, otworzył pierwszy i spytał więźniów, czy jest wśród nich ktoś, kto zna choć kilka słów po turkmeńsku. W wagonie odpowiedzieli, że nie, i Kurszakow dalej już nie chodził. Przeniósł „z rzeczami” jednego z więźniów do tego wagonu, skąd uciekł aresztant, a do pierwszego wagonu konwojenci wepchnęli jakiegoś obdartego człowieka, zachrypniętego i wykrzykującego w niezrozumiałym języku coś bardzo ważnego i strasznego.

– Złapali, cholernicy – powiedział wysoki aresztant, zwalniając miejsce dla uciekiniera.

Ten objął jego nogi i rozpłakał się.

– Daj spokój, słyszysz, daj spokój – chrypiał wysoki.

Zbieg zaczął coś szybko mówić.

– Nie rozumiem cię, bracie – powiedział wysoki. – Masz, jedz zupę, została w menażce.

Zbieg przełknął zupę i zasnął. Rano znów krzyczał i płakał, wyskoczył z wagonu, rzucając się Kurszakowowi do nóg. Konwojenci zagnali go z powrotem do wagonu i aż do samego końca podróży przeleżał pod narami, wyłażąc jedynie wtedy, gdy rozdawano jedzenie. Milczał i płakał.

Przekazanie etapu odbyło się zupełnie szczęśliwie dla Kurszakowa. Rzuciwszy kilka przekleństw pod adresem więzienia, które wysłało etap bez „akt sprawy”, dyżurny komendant wyszedł, aby przyjąć etap i wywoływać według listy. Pięćdziesięciu dziewięciu więźniów odeszło na bok, a sześćdziesiąty nie wychodził.

– To zbieg – powiedział Kurszakow. – Urwał mi się w Nowosybirsku, ale znaleźliśmy go. Na bazarze. Ale biedy sobie napytał. Pokażę go. Zwierz, ani słowa po rosyjsku.

Kurszakow wyprowadził Berdy za ramię. Szczęknęły zamki karabinów i Berdy wszedł do środka łagru.

– Jak nazwisko?

– O tu, proszę – wskazał Kurszakow.

– Tenże Berdy – przeczytał komendant. – Paragraf sto sześćdziesiąty drugi, wyrok dziesięć lat. Zwierz, a taki bojowy…

Komendant zdecydowanym ruchem ręki napisał naprzeciw nazwiska Berdy: „Skłonny do ucieczki, próbował uciec w trakcie podróży”.

Po godzinie Berdy wywołano. Podskoczył z radości, wydało mu się, że wszystko się wyjaśni, że zaraz będzie wolny. Wesoło pobiegł przed konwo-

jentem.

Odprowadzili go na koniec podwórza, do baraku ogrodzonego potrójnym rzędem drutu kolczastego, wepchnęli przez najbliższe drzwi w śmierdzący mrok, skąd huczały głosy…

– Zwierzak, braciszkowie…

Spotkałem się z Berdy Tenże w szpitalu. Mówił już trochę po rosyjsku i opowiedział, jak przed trzema laty na bazarze w Nowosybirsku przez dłuższy czas usiłował się z nim rozmówić rosyjski żołnierz, pewnie patrolujący bazar. Żołnierz poprowadził Turkmena na dworzec, aby go wylegitymować. Porwał jego dokumenty i wepchnął go do aresztanckiego wagonu. Prawdziwe nazwisko Berdy – Toszajew i jest on wieśniakiem z głuchego aułu w pobliżu Czardżou. W poszukiwaniu chleba i pracy dowlókł się wraz z krajanem znającym rosyjski do Nowosybirska. Na bazarze towarzysz gdzieś odszedł. On, Toszajew, napisał już kilka podań, ale jeszcze nie ma odpowiedzi. Jego „akta sprawy” nie nadeszły i został zaliczony do grupy „bezewidencyjnych” – osób przetrzymywanych w więzieniu bez dokumentów. Przyzwyczaił się już do odzywania się na dźwięk nazwiska Tenże, chce mu się do domu, tutaj jest chłodno, często choruje, pisał w swoje strony, ale sam listów nie otrzymuje – być może dlatego, że często przenoszą go z miejsca na miejsce.

Berdy Tenże nauczył się mówić po rosyjsku, ale nie nauczył się jeść łyżką. Ujmował miskę w dwie ręce – zupa bywała zawsze ledwo ciepła i miska nie mogła mu sparzyć ani warg, ani palców… Berdy wypijał zupę, a to, co pozostawało na dnie, wybierał palcami… Kaszę jadł także palcami, odłożywszy łyżkę na bok. Cała sala miała uciechę. Po przeżuciu kawałka chleba Berdy zamieniał go na ciasto i rozwałkowywał razem z popiołem wygrzebanym z pieca. Zamiesiwszy gęste ciasto, zwijał je w kulkę i ssał. Był to „haszysz”, „anasza”, opium. Nie wyśmiewano tego erzacu – każdemu nie raz przytrafiło się kruszyć brzozowe liście lub korzenie porzeczki i palić je zamiast machorki.

Berdy zdziwił się, że ja od razu zrozumiałem, w czym rzecz: pomyłka maszynistki, która postawiła numer przy dalszym ciągu „pseudonimów” tego człowieka, który figurował pod numerem 59. Skutek nieporządków i bałaganu w spiesznych etapach więziennych okresu wojny, niewolniczego strachu Kurszakowa i Łazariewa przed swoim naczalstwem.

Przecież istniał żywy człowiek – pięćdziesiąty dziewiąty numer; czy nie mógł powiedzieć, że pseudonim „Berdy” przysługuje jemu? Oczywiście, że

mógł. Ale każdy zabawia się jak może. Każdy się cieszy z zamieszania powstałego w szeregach naczalstwa. Naprowadzić naczalstwo na prawdziwą drogę może tylko frajer, a nie złodziej. A pięćdziesiąty dziewiąty numer był złodziejem.

OGIEŃ I WODA

Bywałem w ogniu wielokrotnie. Jeszcze będąc małym chłopcem, przebiegałem przez ulice miasta, przy których płonęły drewniane domy, i zapamiętałem na całe życie jaskrawo, jak w dzień oświetlone ulice, jak gdyby miastu nie starczało słońca i samo poprosiło o ogień. Bezwietrzne zagrożenie jasnobłękitnego, płonącego, rozpalonego nieba. Siła skupiona była w samym ogniu, w samym narastającym płomieniu. Nie było żadnego wiatru, ale domy miasta ryczały, drżąc całym ciałem i wyrzucając płonące deski na dachy domów po drugiej stronie.

Pomiędzy nimi wszystko było proste – sucho, ciepło, jasno – i ja, mały chłopiec, przeszedłem bez trudu i bez obawy przez te ulice, które przepuściły mnie żywego, a potem spaliły się do cna. Spaliło się całe zarzecze i jedynie rzeka uratowała główną część miasta.

Tego odczucia spokoju w szczytowym momencie szalejącego pożaru doświadczyłem jeszcze raz – już jako dorosły. Dzieciństwo już dawno się skończyło i jako więzień kończyłem swój wyrok w zwiadzie geologicznym Uralu. Zapalił się skład ekspedycji i chociaż był blisko rzeki – samochodu straży pożarnej nie było – na gaszenie narastającego ognia przy pomocy łańcucha ludzi z wiadrami było za późno.

W składzie przechowywano wiele państwowego mienia i naczelnik ekspedycji rozumiał, że nie uniknie kary przyprawionej dodatkowo jeszcze jakimś polityczno-dywersyjnym akcentem. Wołał o pomoc, ale nikt z więźniów nie wszedł w ogień. Naczelnik obiecywał wszelkiego rodzaju dobra: wolność, zaliczenia roboczych dni – sto za jeden dzień, za jedną godzinę pożaru. Chociaż nie wierzyłem w te puste obietnice, to jednak poszedłem w ogień, nie bałem się pożaru. Ktoś z naczalstwa, widząc, że nie giniemy, nie palimy się, również przekroczył próg rozwartych wrót płonącego składu.

Była noc. W składzie było ciemno i nie dostalibyśmy się ani do przyrządów niwelacyjnych, ani do teodolitów, nie odszukalibyśmy worków z prochem – a było ich wiele – gdyby nie ogień. Pożar oświetlił ściany, oświetlił

skład, podobnie jak oświetla się scenę. Zrobiło się sucho, ciepło i jasno. Wyciągnęliśmy prawie wszystko na brzeg rzeczki. Spłonęła jedynie znajdująca się w rogu góra odzieży – roboczych i zwykłych ubrań, kożuchów, walonek.

Naczelnik zezłościł się raczej, niż uradował – nieprzyjemności związane ze składem groziły w dalszym ciągu: na pewno trzeba będzie zapłacić za spaloną odzież. Nie otrzymałem ani jednego dodatkowego dnia zaliczeń pracy. Nikt nie powiedział mi nawet dziękuję za walkę z tym pożarem, z tym ogniem. Ale brak strachu wobec bliskości ognia, uczucie pozostałe jeszcze z dzieciństwa umocniło się.

Pożarów w tajdze widziałem wiele. Stąpałem po gorącym, pulchnym, przepalonym na podobieństwo tkaniny, metrowej grubości mchu. Przedzierałem się przez powalony przez pożar modrzewiowy las. Modrzewie wyrywane były z korzeniami i zwalane, ale nie przez wiatr – przez ogień. Ogień był burzą i tworzył burzę, walił drzewa, zostawiając na zawsze czarny ślad w tajdze. I opadał bezsilny na brzegu jakiegokolwiek strumienia. Po suchej trawie biegł jasny, żółty płomień. Trawa kołysała się, ruszała, jakby tam przebiegła żmija. Ale na Kołymie żmij się nie spotyka.

Żółty płomień wzlatywał na drzewo, na pień modrzewia, i przybierając już na sile, huczał jako ogień, wstrząsając pniem. Te konwulsyjne ruchy, przedśmiertne konwulsje drzew wszędzie były jednakowe. Nie raz widziałem hipokratesową maskę drzew.

Przez całe trzy dni lał z nieba nad szpitalem deszcz i dlatego rozmyślałem o pożarze, wspominałem ogień.

Wszystkich ozdrowieńców „wyganiano” po jagody, po grzyby za rzeczkę – było tam zatrzęsienie borówek bagiennych, brusznic, całe zarośle pełne różnokolorowych maślaków ze śliskimi i chłodnymi kapeluszami. Grzyby były chłodnymi, zimnokrwistymi istotami, czymś w rodzaju żmij – tylko nie grzybami.

Grzyby wyrastają późno, po deszczach i nie każdego roku, ale jeśli już rosną – okrążają każdy namiot, zapełniają każdy las, każdy zagajnik.

Grzyby należało zebrać do koszy i posortować – szły one na solenie, suszenie i marynaty do wujka Saszy, szpitalnego kucharza, który odprawiając nad nimi czary, chociaż w ten sposób przypominał sobie swoją słynną przeszłość w restauracji „Praga” i swoje genewskie wykształcenie kulinarne. Wujek Sasza bywał szefem kuchni obiadów rządowych i kiedyś, w owych czasach, powierzono mu przygotowanie obiadu na cześć Bullitta.

Obiad w rosyjskim stylu, z rosyjskim smakiem. Barszcz, kapuśniak ze słodkiej kapusty, prosię z kaszą. Asystenci wujka Saszy przywieźli z Kostromy pięćset glinianych garnczków – a w każdym porcja kaszy. Pomysł był udany.

Bullitt pochwalił kaszę. A prosiaka! Prosiaka odsunął na bok, a kaszę zjadł i poprosił o drugą porcję. Wujka Saszę nagrodzono Orderem Lenina.

Wkrótce wujek Sasza został aresztowany. W aktach jego sprawy napisano, że dyrektor moskiewskiej restauracji „Praga" Filipow zapraszał wujka Saszę do pracy u siebie na stanowisko szefa kuchni, obiecywał mieszkanie, ogromną pensję, wyjazdy zagraniczne. „Potem, jak odmówiłem przejścia do «Pragi», Filipow zaproponował mi otrucie rządu. I ja się zgodziłem".

Wujek Sasza kierował naszą pracą. Zbieranie tego, co dziko rośnie – jagód, grzybów – to jedna z kołymskich psychoz. Po te „dzikorosty" chodzimy każdego dnia. Dzisiaj było chłodno, dął zimny wiatr, ale deszcz ustał, poprzez poszarpane chmury widniało blade, jesienne niebo i stało się jasne, że w ciągu dnia nie będzie deszczu.

Trzeba było iść. Chory czuje się w szpitalu niezupełnie pewnie, jeżeli nie wykonuje czegoś dla lekarza czy dla szpitala; kobiety wyszywają, jakiś stolarz robi stół. Inżynier rozrysowuje na zapas jakieś formularze i tablice. Niewykwalifikowani robotnicy przynoszą koszyk grzybów, wiaderko jagód.

Można i trzeba było iść na grzyby. Po deszczu – urodzaj na nie. W niewielkiej łódce przeprawiliśmy się we trójkę przez rzeczkę – zawsze tak robiliśmy z rana. Wody trochę przybyło, płynęła jakby nieco szybciej niż zawsze. Fale były trochę ciemniejsze niż zwykle. Safonow wskazał palcem na wodę, w górę jej biegu i wszyscy trzej zrozumieliśmy, co chciał powiedzieć.

– Zdążymy, jest dużo grzybów – powiedział Wierigin.

– Nie będziemy chyba wracać – powiedziałem z kolei ja.

– To zrobimy tak – powiedział Safonow – około czwartej godziny naprzeciw tej góry pojawi się słońce, trzeba o tej godzinie powrócić na brzeg. Łódkę przywiążemy wyżej…

Rozeszliśmy się w różne strony – wszyscy mieliśmy ulubione grzybowe miejsca. Już po zrobieniu kilku kroków zobaczyłem, że nie trzeba się spieszyć, że królestwo grzybów znajduje się tu, wprost pod nogami. Kapelusze były wielkości czapki, dłoni – aby napełnić dwa kosze, wcale nie trzeba było wiele czasu.

Zaniosłem kosze na polanę, w pobliżu drogi dla traktorów, ażeby je od razu odnaleźć, a sam poszedłem nieobciążony naprzód, ażeby chociaż rzucić okiem – jakie to grzyby tam wyrosły, na moich najlepszych miejscach, od dawna już zapamiętanych.

Wszedłem do lasu i moja grzybowa dusza doznała wstrząsu – wszędzie stały, oddzielnie jeden od drugiego, olbrzymie borowiki, wyższe od trawy, przewyższające krzaki brusznic – twarde, prężne, świeże – niezwykłe grzyby.

Popędzane przez kołymską deszczową wodę, grzyby wyrosły monstrualnie, z półmetrowymi kapeluszami, stały – gdziekolwiek by spojrzeć, takie zdrowe, takie mocne, że żadnej innej decyzji nie można było podjąć. Wrócić, wyrzucić w trawę wszystko wcześniej zebrane i przyjechać do szpitala z tymi grzybowymi cudami w rękach.

Tak właśnie zrobiłem.

Na wszystko trzeba było czasu, ale obliczyłem, że dojdę po ścieżce za pół godziny. Zszedłem z pagórka, rozsunąłem krzaki – zimna woda zalała wiele metrów ścieżki, która znikła pod wodą przez ten czas, gdy zbierałem grzyby.

Las szeleścił, chłodna woda podnosiła się wciąż wyżej i wyżej. Coraz silniej huczało. Poszedłem w górę i skierowałem się wzdłuż zbocza w kierunku naszego spotkania. Grzybów nie rzuciłem – powiązane ręcznikiem, dwa ciężkie kosze zwisały mi z ramienia.

Idąc wyżej, podszedłem do zagajnika, gdzie powinna być łódka. Zagajnik zalany był wodą i wciąż jej przybywało. Wydostałem się na brzeg, na pagórek.

Rzeka huczała, wyrywając drzewa i rzucając je w nurt. Nie pozostało śladu z lasu, przy którym przybiliśmy do brzegu – drzewa zostały podmyte, wyrwane i uniesione. Straszna siła tej jakby uniesionej wody upodobniła ją do zmagającego się zapaśnika. Z tamtej strony brzeg był skalisty – rzeka odegrała się na prawym, na moim, na liściastym brzegu. Rzeczka, przez którą przeprawialiśmy się rano, już dawno zamieniła się w monstrum.

Ściemniało się i zrozumiałem, że powinienem iść po ciemku w góry i tam przeczekać aż do świtu, jak najdalej od wściekłej, lodowatej wody. Przemoknięty do nitki, przeskakując z kępy na kępę, osuwając się co chwila w wodę, zawlokłem kosze do podnóża góry. Była jesienna, czarna, bezgwiezdna, chłodna noc, głuchy ryk rzeki nie pozwalał nasłuchiwać żadnych głosów – a zresztą, gdzie one mogły dać się słyszeć?

W wąwozie nieoczekiwanie zabłysło światło, i nie od razu zrozumiałem, że to nie jest wieczorna gwiazda, lecz ognisko. Zbiedzy? Ognisko rybaków? Kosiarzy siana? Poszedłem w kierunku ognia, pozostawiwszy dwa kosze przy dużym drzewie aż do świtu, a mały koszyczek wziąłem ze sobą.

Odległości w tajdze są złudne – izba, skała, las, rzeka, morze mogą się okazać nieoczekiwanie blisko lub wbrew oczekiwaniom daleko. Decyzja „w jedną czy drugą stronę" była prosta. Ogień – trzeba było iść do niego, wiele nie rozmyślając. Ogień stawał się nową ważną siłą w tę moją dzisiejszą noc. Zacząłem uparcie iść, chociażby po omacku – przecież ten ogień tam był, a więc byli tam również ludzie, było życie i ratunek.

Szedłem wzdłuż wąwozu, nie tracąc ognia z oczu, i po półgodzinie, ominąwszy ogromny kamień, ujrzałem nagle wprost przed sobą, trochę wyżej, ognisko na kamiennym placyku. Ognisko zostało rozłożone przed niziutkim, wysokości kamienia namiotem. Przy ognisku siedzieli ludzie. Nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Nie spytałem ich, co tu robią, tylko podszedłem do ogniska i zacząłem się grzać. Chciało mi się jeść, ale w kołymskiej tajdze nie prosi się spotkanego człowieka o chleb. Byli to kosiarze siana ze szpitala – tego samego, dla którego zbierałem grzyby.

Prosić o chleb nie można, ale można było prosić o pustą puszkę po konserwach; ja poprosiłem o kociołek, zakopcony i pogięty, zaczerpnąłem wody i ugotowałem w niej jeden z grzybów-gigantów.

Rozwinąwszy brudną szmatkę, starszy kosiarz podał mi, milcząc, kawałeczek soli, woda niedługo zaszumiała i zaczęła wylatywać gorąca, bielejąca piana. Zjadłem swój cudaczny grzyb pozbawiony smaku, zapiłem go wrzątkiem i trochę się rozgrzałem.

Zdrzemnąłem się przy ognisku i powoli, niezauważalnie zaczęło świtać, zaczynał się dzień. Poszedłem w kierunku brzegu, nie podziękowawszy kosiarzom za przygarnięcie mnie. Moje dwa kosze przy drzewie widoczne były z odległości wiorsty. Woda już opadała. Przeszedłem przez las, chwytając się za ocalałe drzewa – z obłamanymi gałęziami i poobdzieraną korą. Szedłem po kamieniach, następując czasami na naniesiony górski piasek. Doszedłem do brzegu. Tak, to był brzeg – nowy brzeg – niewyraźna linia przyboru rzeki. Rzeka płynęła, ciężka jeszcze od deszczu, ale widać było, że osiada.

Daleko, daleko, na drugim brzegu, jakby na drugim brzegu życia – zobaczyłem figurki ludzi machających rękami. Zobaczyłem łódkę. Zacząłem też machać, zrozumieli mnie, rozpoznali. Łódkę podprowadzili za pomocą żer-

dzi wzdłuż brzegu, o dwa kilometry powyżej tego miejsca, gdzie stałem. Safonow i Wierigin dobili do mnie znacznie niżej. Safonow wyciągnął do mnie dzisiejszą porcję, 600 gramów chleba, ale nie chciało mi się jeść.

Przywlokłem swoje kosze z grzybami-monstrami. Deszcz zrobił swoje i ja też dodałem, taszcząc grzyby przez las, zaczepiając w nocy o korzenie – w koszach walały się już tylko resztki połamanych grzybów.

– Wyrzucić je, czy co?

– Nie, dlaczego…

– Myśmy swoje wczoraj wyrzucili. Ledwie zdążyliśmy przeprowadzić łódkę. A o tobie to tak pomyśleliśmy – że bardziej będziemy się tłumaczyć z powodu łódki niż z twojego powodu – twardo powiedział Safonow.

– Z mojego powodu niewiele – powiedziałem.

– No właśnie. Ani my, ani naczelnik niewiele będzie odpowiadać przez ciebie, ale z powodu łódki… Czy słusznie postąpiłem?

– Słusznie – powiedziałem.

– Siadaj – rzekł Safonow – i zabieraj te przeklęte kosze.

Odepchnęliśmy się od brzegu i poczęliśmy płynąć – wątłe czółenko po wzburzonej, jeszcze dyszącej burzą rzece.

W szpitalu przywitano mnie, nie wymyślając, ale też nie ciesząc się. Safonow miał rację, gdy zatroszczył się przede wszystkim o łódkę.

Zjadłem obiad, kolację, śniadanie i znowu obiad i kolację – swój cały dwudniowy przydział – i zaczęła mnie ogarniać senność. Zagrzałem się. Ale zachciało mi się, gwoli większego błogostanu, herbaty – oczywiście zwykłego wrzątku. Prawdziwą herbatę pije tylko naczalstwo.

Siadłem przy piecu w baraku, postawiłem na ogień blaszankę z wodą. Na ujarzmiony ogień ujarzmioną wodę. I niedługo zabulgotała, zakipiała. Ale ja już spałem…

OBŁAWA

Willys z czterema żołnierzami ostro skręcił z drogi i dodając gazu, począł podskakiwać po szpitalnych wertepach grząskiej, zdradliwej, posypanej białym wapnem drogi. Willys przedostawał się do szpitala i serce Krista zabiło w trwodze, jak zwykle przy spotkaniach z naczalstwem, z konwojem, z losem.

Willys szarpnął i uwiązł w błocie. Od głównej drogi do szpitala było pięćset metrów. Naczelny lekarz szpitala budował ten kawałek drogi sposobem gospodarczym, stosowanym przez państwo – metodą sobotników, które na Kołymie zwą „udarnikami" – szturmowymi dniami. Jest to ten sam sposób, za pomocą którego prowadzone były wszystkie wielkie budowy pięciolatki. Na tę drogę wyganiano ozdrowieńców, ażeby przenieśli kamień lub dwa, trochę kruszywa na noszach. Chorzy pracujący na stanowiskach sanitariuszy – etatowych nie wolno było posyłać, bo szpitalik był dla więźniów – wychodzili bez sprzeciwu na te szturmowe sobotniki, gdyż inaczej czekała ich kopalnia, złote wyrobisko. Nigdy nie posyłano na sobotniki tych, którzy pracowali na oddziale chirurgicznym – poobdrapywane, poranione palce na długo usuwały ich z czynnego życia. Ale żeby przekonać o tym łagrowe naczalstwo, konieczna była dyrektywa Rosji. Ten przywilej niewychodzenia do pracy w szturmowe sobotniki był przedmiotem chorobliwej, obłąkańczej zazdrości innych więźniów. Wydawałoby się, czegóż tu zazdrościć? Cóż, odpracowałeś dwie, trzy godziny jak inni ludzie. Okazuje się jednak, że kolegów zwalniają z tego obowiązku, a ciebie nie. I to jest właśnie przykrość bez miary, którą zapamiętuje się na całe życie.

Chorzy, lekarze, sanitariusze – każdy brał kamień albo i dwa, podchodził do skraju grzęzawiska i rzucał w błoto. W ten sposób budował drogi, zasypywał morza Dżyngis-chan, miał on jedynie więcej ludzi niż naczelny lekarz Rejonowego Szpitala dla Więźniów, tak bowiem górnolotnie ów szpital się nazywał.

Dżyngis-chan miał więcej ludzi, ale też zasypywał on morza, a nie bezdenną, wieczną zmarzlinę, która tajała w okresie krótkiego, kołymskiego

lata.

Letnia droga znacznie ustępowała „sannej”, nie potrafiła zastąpić śniegu i lodu. Im bardziej błoto się roztapiało, tym dalej było do dna, tym więcej trzeba było kamienia, i sznur więźniów nie mógł w ciągu trzech letnich pór zapełnić ich w odpowiedni sposób. Jedynie blisko jesieni, gdy ziemię już chwytał mróz i kończyło się tajanie wiecznej zmarzliny, można było uzyskać jakiś efekt w tym budowaniu na modłę Dżyngis-chana. Beznadziejność tego przedsięwzięcia już od dawna była jasna i dla naczelnego lekarza, i dla pracowników szpitala, ale wszyscy już od dłuższego czasu przywykli do bezmyślnej pracy.

Każdego lata na tę przeklętą drogę nosili kamienie ozdrowieńcy, lekarze, felczerzy, sanitariusze. Błoto tylko mlaskało, rozstępowało się i wsysało bez końca kamień za kamieniem. Droga posypana białym, iskrzącym się wapnem wybrukowana była niepewnie.

To było grzęzawisko, topiel, błoto nie do przejścia, a dróżka posypana białym, kruchym wapnem wskazywała tylko, jak jechać, w jakim kierunku. Te pięćset metrów każdy – więzień czy konwojent – mógł pokonać, przemieszczając się z płyty na płytę, przeskakując z kamienia na kamień. Szpital stał na pagórku – dziesięć parterowych baraków, odkrytych na wiatr ze wszystkich czterech stron. Wokoło szpitala nie było zony z kolczastego drutu. Po wypisanych ze szpitala przysyłano konwój z zarządu odległego o sześć kilometrów od szpitala.

Willys dwa razy podskoczył i ostatecznie uwiązł. Żołnierze zeskoczyli z samochodu i w tym momencie Krist zobaczył coś niezwykłego. Na starych szynelach żołnierzy widniały nowiutkie naramienniki. A człowiek, który wylazł z samochodu, miał na ramionach srebrne. Krist zobaczył naramienniki po raz pierwszy. Widział je jedynie na zdjęciach filmowych i jeszcze w kinie, na ekranie, w kronikach w rodzaju *Słońca Rosji*. Przecież jeszcze po rewolucji, w prowincjonalnym mieście, w którym urodził się Krist, o zmierzchu zrywano naramienniki z barków jakiegoś schwytanego na ulicy oficera, stojącego na baczność przed… Przed kim stał ten oficer? Tego Krist nie pamiętał. Po wczesnym dzieciństwie nastąpiło późne dzieciństwo i młodość, taka, że każdy rok, jeśli chodzi o ilość wrażeń, ich wyrazistość i życiowe znaczenie, pomieściłby w sobie dziesiątki żywotów. Krist myślał, że w jego wędrówce nie było oficerów i żołnierzy. A teraz oficer i żołnierze wyciągali z błota willysa. Nie było nigdzie widać operatora, nie widać było reżysera, który przyjechał na Kołymę ekranizować jakąś współ-

czesną sztukę. Tutejsze sztuki rozgrywane były niezmiennie z udziałem samego Krista – inne go nie interesowały. To było jasne, że willys, żołnierze, oficer grają w jakimś akcie scenę z udziałem Krista. Ten z naramiennikami – to chorąży. Nie, teraz nazywa się inaczej: lejtnant…

Willys przeskoczył najbardziej niepewne miejsce – samochód podjechał do szpitala, do piekarni, gdzie jednonogi dozorca piekarni, błogosławiący swój los za inwalidztwo, za jednonogość, wyskoczył, salutując po wojskowemu wyłażącemu z kabiny willysa oficerowi. Na ramionach oficera błyszczały piękne srebrne gwiazdki – dwie, nowiutkie. Oficer wylazł z willysa, jednonogi zrobił szybki ruch, zakusztykał, podskoczył jakby w górę i w bok. Ale oficer śmiało i bez obrzydzenia zatrzymał jednonogiego za buszłat.

– Nie trzeba.

– Obywatelu naczelniku, pozwólcie…

– Powiedziałem, nie trzeba. Idź do piekarni. Sami sobie damy radę.

Lejtnant machnął rękami, wskazując w prawo i w lewo, i trzech żołnierzy pobiegło, okrążając wyludnioną nagle szpitalną osadę. Szofer wylazł z samochodu. A lejtnant, z czwartym żołnierzem, rzucił się na ganek oddziału chirurgicznego.

Postukując obcasami żołnierskich butów, schodziła z góry kobieta – naczelny lekarz – której nie zdążył uprzedzić jednonogi stróż.

Dwudziestoletni naczelnik łagru był frontowcem, ale uratowany został przed powrotem na front dzięki uwięźniętej przepuklinie – a być może tak tylko mówiono. Najpewniej jednak nie była to przepuklina, a błat, czyjaś ręka z wysoka, przemieściła lejtnanta – awansując go, dalej od tanków Guderiana – na Kołymę.

Kopalnie żądały ludzi, ludzi. Zabroniony uprzednio, rabunkowy sposób wydobywania złota stosowany przez jego poszukiwaczy, obecnie był popierany przez rząd. Lejtnant Sołowjow został wysłany, aby udowodnił, co umie, wykazał się wiedzą, rozeznaniem – i swym prawem.

Naczelnicy łagrowych instytucji nie zajmują się osobiście wysyłaniem etapów, nie wtykają nosów do historii chorób, nie zaglądają w zęby ludziom i koniom, nie obmacują mięśni niewolników.

W łagrze wszystko to robią lekarze. Dwudziestoletni Sołowjow nie dowierzał nikomu.

Liczba znajdujących się na liście więźniów – roboczej siły kopalni – topniała z każdym dniem lata, każdej kołymskiej nocy liczba wychodzących

do pracy stawała się coraz mniejsza i mniejsza. Ludzie ze złotych wyrobisk szli pod sopkę, do szpitala.

Zarząd rejonu już dawno wycisnął, co mógł, zredukował wszystko, co się dało, oprócz, co zrozumiałe, osobistych ordynansów i sprzątających, jak ich nazywają po kołymsku, oprócz tych sprzątających wyższego naczalstwa, oprócz osobistych kucharzy, osobistych służących dobieranych spośród więźniów. Wyczyszczone zostało wszystko.

Tylko jeden oddział podległy młodemu naczelnikowi nie dawał tego, co należy – był to szpital! Tutaj właśnie skrywają się rezerwy. Przestępcy-lekarze ukrywają symulantów.

My, rezerwa, wiedzieliśmy, po co przyjechał do szpitala naczelnik, w jakim celu zbliżył się jego willys do wrót szpitala. Tak naprawdę wrót i ogrodzenia w szpitalu nie było. Rejonowy szpital stał na wzgórku, pośród błota w tajdze, a dwa kroki od niego w bok – brusznice, burunduki, wiewiórki. Szpital nazywał się Wiewiórczy, chociaż już od dawna nie było wiewiórek na jego terenie. W górskim parowie, pod pulchnym purpurowym mchem płynął chłodny, lodowaty strumień. Tam właśnie, gdzie strumień wpada do rzeczki, stoi szpital. Strumień i rzeczka nie mają imienia.

Lejtnant Sołowjow znał topografię terenu, gdy planował swoją operację. Aby okrążyć szpital w tym tajgowym błocie, nie starczyłoby i kompanii żołnierzy. Plan bitwy był inny. Wojskowe wiadomości lejtnanta nie dawały mu spokoju, szukały ujścia w śmiertelnej grze bez przegranej, w starciu z pozbawionym prawa aresztanckim światem.

Krew Sołowjowa burzyła ta myśliwska zabawa, polowanie na ludzi, polowanie na niewolników. Lejtnant nie szukał literackich porównań – była to gra wojenna, dawno już przez niego przemyślana operacja, „dzień D”.

Ze szpitala konwojenci wyprowadzili ludzi, zdobycz Sołowjowa. Wszystkich ubranych, wszystkich, których naczelnik zastał na nogach, a nie w łóżku, a i tych też, co leżeli, ale opalenizna budziła podejrzenia Sołowjowa, prowadzono w kierunku składu, gdzie zatrzymał się willys. Szofer wyciągnął pistolet.

– Tyś kto?

– Lekarz.

– Pod skład! Tam wyjaśnimy.

– A ty?

– Felczer.

– Pod skład!

– Kim ty jesteś?

– Nocnym sanitariuszem.

– Pod skład!

Lejtnant Sołowjow osobiście przeprowadzał operację uzupełnienia siły roboczej w kopalniach złota.

Naczelnik sam, osobiście przeglądnął wszystkie szafy, wszystkie strychy, wszystkie piwnice, gdzie według niego mogli ukrywać się ci, co chowali się przed metalem, przed „najważniejszym metalem”.

Jednonogiego stróża też postawiono przed składem – tam wyjaśnimy.

Przed składem postawiono też cztery kobiety, siostry medyczne. Tam wyjaśnimy.

Osiemdziesiąt trzy osoby cisnęły się koło składu.

Lejtnant wygłosił krótkie przemówienie.

– Ja pokażę, jak kompletuje się etapy. Rozgromimy wasze gniazdo. Papiery!

Szofer wydostał z naczelnikowego mapnika kilka kartek papieru.

– Lekarze – wychodzić!

Wyszło troje – więcej ich w szpitalu nie było.

Felczerów wyszło dwóch – pozostali czterej nie wyszli z szeregu. Sołowjow trzymał w ręku wykaz etatów szpitala.

– Kobiety – wychodzić; pozostali – czekać!

Ze szpitalnego biura Sołowjow zadzwonił. Zamówione przez niego jeszcze wczoraj dwie ciężarówki wjechały do szpitala.

Sołowjow wziął ołówek chemiczny i papier.

– Podchodzić, zapisywać się. Bez paragrafu i wyroku. Jedynie nazwiska – tam się zorientują. Ano, już!

I naczelnik osobiście ułożył listę etapu – etapu na złoto, na śmierć.

– Nazwisko?

– Jestem chory.

– Na co on chory?

– Zapalenie stawów – powiedziała naczelny lekarz.

– No, takich słów to ja nie znam. Zdrowy łeb. Do kopalni.

Naczelny lekarz nie spierała się.

Krist stał w tłumie – znajoma złość pulsowała mu w skroniach. Krist wiedział już, co ma robić.

Stał spokojnie i myślał: Jakże niewiele ci zawierzają naczelniku, że ty osobiście przeszukujesz szpitalne strychy, sam zaglądasz swymi dostojnymi

oczami pod każde szpitalne łóżko. Przecież mogłeś jedynie wydać rozporządzenie i przysłaliby ci wszystkich bez tego widowiska. Jeżeli ty, naczelnik łagrowej służby na kopalniach, własnoręcznie układasz listy, własnoręcznie łowisz… To ja ci pokażę, jak trzeba biegać. Niech dadzą jedynie pięć minut na przygotowanie się do drogi…

– Pięć minut na przygotowanie się do drogi! Szybko!

Tych właśnie słów Krist oczekiwał. I wszedłszy do baraku, w którym mieszkał, nie wziął rzeczy – jedynie waciak, czapkę-uszankę, kawałek chleba, zapałki, machorkę, gazetę – wepchnął do kieszeni swoje wszystkie „przechówki”, a do waciaka pustą puszkę po konserwach i wyszedł – ale nie pod skład, a za barak, do tajgi, z łatwością obchodząc wartownika, tego, dla którego operacja, polowanie było już zakończone.

Krist cały czas szedł w górę strumienia, dopóki nie znalazł pewnego miejsca, legł na mchu i pogrążył się w oczekiwaniu.

Na co liczył? A na to: jeżeli jest to zwyczajna obława – kogo chwytają na zewnątrz, tego wpychają do samochodu i wiozą do kopalni – to z powodu jednego człowieka nie będą samochodu trzymać aż do nocy. Ale jeżeli jest to polowanie według wszystkich prawideł, to przyślą po Krista wieczorem, nie wpuszczą nawet do szpitala i postarają się go dosłać, wyrwać spod ziemi i dosłać.

Za takie samowolne oddalenie się wyrok nie grozi. Jeżeli kula nie trafiła Krista, gdy uciekał – a przecież w niego nie strzelali – to będzie on ponownie sanitariuszem w szpitalu. A jeżeli trzeba odesłać właśnie Krista – zrobi to lekarz naczelny bez pomocy lejtnanta Sołowjowa.

Krist zaczerpnął wody, napił się, zapalił, puszczając dym do rękawa, poleżał, i gdy słońce zaczęło siadać, poszedł w dół jaru do szpitala.

Na mostku Krist spotkał naczelnego lekarza. Uśmiechnęła się i Krist zrozumiał, że będzie żyć.

Martwy, opróżniony szpital ożywał. Nowi chorzy ubierali się w stare szlafroki i rozprowadzani byli przez sanitariuszy, rozpoczynając, być może, drogę ku ocaleniu. Lekarze i felczerzy rozdawali lekarstwa, mierzyli temperaturę, liczyli puls ciężko chorych.

PROTEZY

Łagrowy izolator był stary, bardzo stary. Wydawało się, że wystarczy pchnąć drewnianą ściankę karceru, aby upadła – bierwiona potoczą się i izolator się rozpadnie. Izolator nie padał jednak i siedem pojedynczych karcerów pełniło wierną służbę. Oczywiście każde głośno wypowiedziane słowo byłoby słyszane przez sąsiada. Ale ci, co siedzieli w karcerze, obawiali się kary. Dyżurny nadzorca stawiał na drzwiach kredą krzyż – i cela pozostawała bez gorącego pożywienia. Gdy postawił dwa krzyże – pozbawiona była również chleba. Był to karcer dla przestępstw związanych z samym łagrem; wszystkich podejrzanych o coś bardziej niebezpiecznego odwożono do kierownictwa łagrów.

Teraz po raz pierwszy zostali niespodziewanie aresztowani wszyscy naczelnicy łagrowych instytucji wywodzący się z więźniów – wszyscy kierownicy. Szykowała się jakaś duża sprawa, przygotowywano jakiś łagrowy proces. Według czyjegoś rozkazu.

I oto wszyscy, w sześciu, staliśmy w ciasnym korytarzu izolatora, okrążeni przez konwojentów, czując i rozumiejąc tylko to jedno: że ponownie chwyciła nas w swoje tryby ta sama maszyna sprzed kilku lat, że przyczynę poznamy dopiero jutro, nie wcześniej.

Rozebrano wszystkich do bielizny i zaprowadzono każdego do oddzielnego karceru. Magazynier zapisywał przyjęte na przechowanie rzeczy, upychał je do worków, przywiązywał metki, pisał. Operacją kierował śledczy – znałem jego nazwisko – Piesniakiewicz.

Pierwszy był ten o kulach. Siadł na ławce koło lampy, położył kule na podłodze i zaczął się rozbierać. Obnażył się stalowy gorset.

– Zdejmować?

– Oczywiście.

Człowiek począł rozwiązywać sznurki gorsetu i śledczy Piesniakiewicz nachylił się, aby mu pomóc.

– Rozpoznałeś, stary przyjacielu? – powiedział po błatniacku człowiek, wkładając w słowo „rozpoznałeś” błatniacki sens bez obraźliwej treści.

– Poznaję, Plewe.

Człowiekiem w gorsecie był Plewe, kierujący krawieckim warsztatem w łagrze. Była to ważna placówka, z dwudziestoma majstrami pracującymi na zamówienie, za zgodą naczalstwa – również dla wolnych.

Nagi człowiek zgiął się na ławce. Stalowy gorset leżał na podłodze – wprowadzono do protokołu zapis odebranych rzeczy.

– Jak wpisać coś takiego? – spytał Plewego magazynier izolatora, szturchając gorset szpicem buta.

– Stalowa proteza, gorset – odpowiedział goły człowiek.

Śledczy Piesniakiewicz odszedł na bok i ja spytałem wtedy Plewego:

– Naprawdę znałeś tego szpicla na wolności?

– A jakże – powiedział Plewe. – Jego matka miała burdel w Mińsku, chodziłem tam. Jeszcze przy Mikołaju Krwawym.

Z głębi korytarza wyszli Piesniakiewicz i czterech konwojentów. Wziąwszy Plewego za ręce i nogi, wnieśli go do karceru. Szczęknął zamek.

Następny był zarządzający konnym transportem – konbazą – Karawajew. Były budionnowiec i uczestnik wojny domowej, stracił rękę. Karawajew stuknął żelazem protezy w stół dyżurnego.

– Wy, psy.

– Zdejmij swoje żelazo. Oddawaj rękę.

Karawajew zamachnął się odwiązaną protezą, ale konwojenci rzucili się na niego i wepchnęli do karceru. Rozlegały się wymyślne przekleństwa.

– Słuchaj, ty, Rączka – rzekł kierownik izolatora – za hałas pozbawiamy gorącego pożywienia.

– Idź w cholerę ze swoim gorącym pożywieniem.

Kierownik izolatora wyciągnął z kieszeni kawałek kredy i postawił na drzwiach karceru Karawajewa krzyż.

– Ale kto podpisze, że oddał rękę?

– Nikt nie podpisze. Postaw jakiegoś ptaszka – zarządził Piesniakiewicz.

Przyszła kolej na lekarza, naszego doktora Żitkowa. Głuchy staruszek oddał swoją trąbkę słuchową. Następny był pułkownik Panin, kierujący warsztatem stolarskim. Pułkownikowi wybuch pocisku oderwał nogę gdzieś w Prusach Wschodnich na niemieckim froncie pierwszej wojny. Był znakomitym stolarzem i opowiadał mi, że szlacheckie dzieci często były przyuczane do wykonywania jakiejś ręcznej, rzemieślniczej pracy. Staruszek Panin odwiązał protezę i poskakał na jednej nodze do karceru.

Pozostało nas dwóch – Szor, Grisza Szor, starszy brygadzista i ja.

– Spójrz, jak gładko idzie – powiedział Grisza, owładnęła nim nerwowa wesołość aresztowanego – ten nogę, tamten rękę, a ja – sam widzisz – oddam oko. – I Grisza zręcznie wyjął swoje prawe, porcelanowe oko i pokazał mi je na dłoni.

– Co, ty masz sztuczne oko? – powiedziałem ze zdziwieniem. – Nigdy nie zauważyłem.

– To marnie uważasz. A poza tym dobrze dobrali oko, udało im się.

Kiedy zapisywali Griszy oko, kierownik izolatora rozweselił się i począł niepowstrzymanie chichotać.

– Ten więc rękę, ten nogę, ten ucho, ten plecy, a ten – oko. Zbierzemy wszystkie części ciała. A ty co? – z uwagą obejrzał mnie nagiego.

– Co ty oddasz? Duszę oddasz?

– Nie – powiedziałem. – Duszy nie oddam.

KURS

Przede wszystkim:

Człowiek nie lubi przypominać sobie złego. Ta właściwość ludzkiej natury czyni życie lżejszym. Proszę to sprawdzić na sobie. Wasza pamięć stara się zachować to, co dobre i jasne, a pozbyć się tego, co ciężkie i ciemne. W trudnych warunkach życia nie zawiąże się żadna przyjaźń. Pamięć wcale nie „oddaje” przeszłości beznamiętnie, wszystkiego kolejno. Nie, ona wybiera tylko to, co weselsze, z czym łatwiej żyć. To jakby obronna reakcja organizmu. W rzeczywistości ta właściwość ludzkiej natury stanowi zniekształcenie prawdy. Ale co to jest prawda?

Z mojego kołymskiego życia najlepszy jego okres – to miesiące nauki na kursach felczerów przy łagrowym szpitalu w pobliżu Magadanu. Tak samo uważają wszyscy więźniowie, którzy byli chociaż miesiąc lub dwa na 23 kilometrze magadańskiej „trasy”.

Kursanci zjeżdżali się ze wszystkich krańców Kołymy – z Północy i z Południa, z Zachodu i Południowego Zachodu. Najbardziej południowe Południe było o wiele bardziej północne od tej osady, na której pobrzeże przyjechali.

Kursanci pochodzący z odległych zarządów łagrowych starali się zająć dolne nary – nie dlatego, że rozpoczynała się wiosna, ale z powodu nietrzymania moczu, które występowało prawie u każdego „czarnego” więźnia. Ciemne plamy dawnych odmrożeń na policzkach podobne były do urzędowego piętna, do państwowej pieczęci przyłożonej przez Kołymę. Na twarzach prowincjuszy widniał wciąż ten sam ponury uśmiech, pełny niedowierzania i tajonego gniewu. Wszyscy „górnicy” trochę kuleli – zdarzyło się im być w pobliżu bieguna zimna i osiągnęli biegun głodu. Delegowanie na kursy felczerów było niedobrą przygodą. Każdemu wydawało się, że jest jakby myszą – na wpół martwą, którą wypuścił ze swych pazurów, podobnie do kota, los i przygotowuje się, aby się nieco zabawić. Ale cóż – myszy też nic nie mają przeciwko takiej zabawie – niech kot o tym wie.

Prowincjusze chciwie dopalali machorkowe skręty różnych „frantów” – nie decydowali się jednak na podnoszenie niedopałków na oczach wszystkich, jakkolwiek w kopalniach złota i ołowiu otwarte polowanie na „byczki” było zachowaniem w pełni licującym z godnością prawdziwego łagiernika. I tylko widząc, że wokół nie ma nikogo, prowincjusz szybko chwytał niedopałek i wsuwał go do kieszeni, rozgniótłszy przedtem w dłoni, aby potem w wolnej chwili swobodnie skręcić „samodzielnego” papierosa. Liczni „franci”, niedawno przybyli zza morza – ze statku, z etapu – zachowali jeszcze „wolną” koszulę, krawat czy czapkę.

Żeńka Kac co minutę wydostawał z kieszeni maleńkie żołnierskie lusterko i połamanym grzebykiem ostrożnie przyczesywał swoje gęste kędziory. Ostrzyżonym na pałę prowincjuszom zachowanie Kaca wydawało się fircykowate, ale nic mu nie mówili, „nie uczyli, jak żyć” – niepisane prawo łagru zabrania tego.

Kursantów umieszczono w czyściutkim baraku „wagonowego typu”, tj. z piętrowymi narami i oddzielnym miejscem dla każdego. Jak mówią, takie nary są bardziej higieniczne, a przy tym są miłe dla oczu naczalstwa – jakżeby, każdy ma swoje miejsce. Ale zawszeni weterani, którzy przybyli tu z odległych miejsc, wiedzieli, że nie wystarczy ciała na ich kościach, aby zagrzać się w pojedynkę, a walka ze wszami jest jednakowo trudna zarówno w „wagonowych”, jak i w „ciągłych” narach. Prowincjusze z tęsknotą wspominali jednolite nary dalekich baraków w tajdze, woń i przytulny zapach tranzytek.

Kursantów karmiono w stołówce, gdzie żywiła się obsługa szpitala. Obiady były o wiele „gęstsze” od kopalnianych. „Górnicy” podchodzili po repetę – dawano im. Podchodzili po raz drugi – i znów kucharz spokojnie napełniał wsuniętą przez okno miskę. W kopalni tak się nigdy nie zdarzało.

Myśli z wolna wędrowały przez opustoszały mózg i decyzja dojrzewała coraz jaśniej, coraz bardziej kategoryczna – należało za wszelką cenę pozostać na tych kursach, zostać „studentem”, sprawić, aby jutrzejszy dzień był również podobny do dzisiejszego. Jutrzejszy dzień – to dosłownie jutrzejszy. Nikt nie myślał o pracy felczera, o kwalifikacjach medycznych. O tak odległej przyszłości bano się myśleć. Nie, liczył się jedynie jutrzejszy dzień – z taką samą kapuścianą zupą na obiad, z gotowaną flądrą, z kaszą z pszona, z zanikającym bólem zapaleń kości ukrytych w porwanych onucach, wetkniętych w watowane, własnej roboty burki.

Kursanci byli już u kresu sił z powodu różnych pogłosek – „łagrowych paraszy”. To mówią, że do egzaminów nie będą dopuszczani więźniowie powyżej 30 lat. A może 40? W baraku przyszłych uczestników kursu znajdowali się ludzie i dziewiętnasto-, i pięćdziesięcioletni. To mówią, że kursów w ogóle nie będą rozpoczynać – rozmyślili się, brak środków i jutro wyślą na roboty ogólne i, co najstraszniejsze, *wrócą* ich na poprzednie miejsce, do kopalń złota, do kopalń ołowiu.

I rzeczywiście, następnego dnia zrobiono kursantom pobudkę o szóstej rano, ustawiono przy wartowni i wyprowadzono do pracy odległej o dziesięć kilometrów – wyrównywać drogę. Praca leśnego drogowca, o której marzył każdy więzień z kopalni, wydała się tutaj wszystkim niezwykle ciężka, obrażająca, niesprawiedliwa. Kursanci „napracowali” się tak, że następnego dnia już ich tam nie posłano.

Chodziły słuchy, że naczelnik zabronił wspólnej nauki mężczyznom i kobietom. Że paragraf pięćdziesiąty ósmy, punkt 10 (antysowiecka agitacja), dotąd w pełni „bytowy paragraf’, nie będzie dopuszczany do egzaminów. *Do egzaminów!* Oto ważne słowo. Przecież powinny być egzaminy wstępne. Ostatnim wstępnym egzaminem mego życia był egzamin na uniwersytet. Było to bardzo, bardzo dawno temu. Nie mogłem sobie niczego przypomnieć. Komórki mózgowe nie były ćwiczone przez wiele lat, morzone głodem na zawsze straciły zdolność wchłaniania i reprodukcji wiedzy. Egzamin! Spałem niespokojnie. Nie potrafiłem znaleźć żadnego rozwiązania. Egzamin „w zakresie siedmiu klas”. To było nieprawdopodobne. Zupełnie nie było związane z pracą na wolności i z życiem w uwięzieniu. Egzamin!

Na szczęście pierwszy był egzamin z języka rosyjskiego. Dyktando – stronice z Turgieniewa – odczytał nam miejscowy znawca literatury rosyjskiej, felczer ze środowiska więźniów, Borski. Dyktando uzyskało najwyższą ocenę Borskiego i zostałem zwolniony z egzaminu ustnego. Dokładnie dwadzieścia lat wcześniej w auli Uniwersytetu Moskiewskiego pisałem pracę – egzamin wstępny – i zostałem zwolniony od składania ustnego. Historia się powtarza – raz jako tragedia, raz jako farsa. Mojego przypadku nie można było nazwać farsą.

Powoli, odczuwając fizyczny ból, przebiegałem komórki pamięci – coś ważnego i ciekawego powinno było się ujawnić. Razem z radością pierwszego sukcesu przyszła radość przywracania sobie przeszłości – już dawno zapomniałem swoje życie, swój uniwersytet.

Następnym egzaminem była matematyka – praca pisemna. Nieoczekiwanie dla siebie samego rozwiązałem szybko zadanie egzaminacyjne. Już dawała o sobie znać nerwowa koncentracja, mobilizowały się resztki sił i jakimś cudem, w niewyjaśniony sposób dały potrzebne rozwiązanie. Ani na godzinę przed egzaminem, ani w godzinę po nim nie rozwiązałbym takiego zadania.

We wszystkich instytucjach zajmujących się nauczaniem istnieje obowiązkowy przedmiot egzaminacyjny – „Konstytucja ZSRR”. Jednakże, biorąc pod uwagę „kontyngent”, naczelnik KWO – kulturalno-wychowawczego oddziału zarządu – usunął, ku ogólnemu zadowoleniu, ten przedmiot z egzaminów.

Trzecim przedmiotem była chemia. Egzaminował były kandydat nauk chemicznych, były pracownik naukowy Ukraińskiej Akademii Nauk A.I. Bojczenko – obecnie kierownik szpitalnego laboratorium, ambitny kpiarz i pedant. Ale nie chodziło tu o to, jakim człowiekiem był Bojczenko. Dla mnie chemia była ponad siły ze specjalnego powodu. Chemię przechodzi się w średniej szkole. Moja średnia szkoła przypadła na lata wojny domowej. Tak się akurat przydarzyło, że nauczyciel chemii, były oficer, został rozstrzelany w czasie likwidacji spisku Nułansa w Wołogdzie i ja pozostałem na zawsze bez chemii. Nie wiedziałem, jaki jest skład powietrza, a formułę chemiczną wody zapamiętałem jedynie ze starej studenckiej piosenki:

Takie moje buty są:
Przepuszczają H_2O.

Ostatnie lata wykazały, że bez chemii też można żyć, zacząłem zapominać o tej całej historii, gdy nagle, w czterdziestym roku mego życia, okazało się, że konieczna jest znajomość chemii – i to właśnie według programu szkoły średniej.

W jaki sposób po napisaniu w ankiecie – ukończone wykształcenie średnie, niezakończone wyższe – wyjaśnię Bojczence, że właśnie chemii się nie uczyłem.

Nie zwróciłem się do nikogo z prośbą o pomoc – ani do kolegów, ani do naczalstwa. Moje życie w więzieniu i w łagrze nauczyło mnie polegać jedynie na sobie samym. Rozpoczęła się „chemia”. Aż do dnia dzisiejszego pamiętam ten egzamin.

– Co to są tlenki i kwasy?

Zacząłem coś tam mętnie tłumaczyć i do tego błędnie. Potrafię mu opowiedzieć o ucieczce Łomonosowa do Moskwy, o rozstrzelaniu dzierżawcy Lavoisiera, ale tlenki…

– Proszę podać wzór chemiczny wapna.

– Nie wiem.

– A formuła sody?

– Nie znam.

– To po co przyszliście na egzamin? Przecież zapisuję pytania i odpowiedzi do protokołu.

Milczałem. Ale Bojczenko nie był już młody i coś niecoś rozumiał. Z niezadowoleniem zajrzał do moich poprzednich stopni: dwie piątki. Wzruszył ramionami.

– Proszę napisać symbol tlenu.

Napisałem dużą literę „H”.

– Co pan wie o okresowym układzie pierwiastków Mendelejewa?

Odpowiedziałem. W moim opowiadaniu mało było „chemii” i wiele Mendelejewa. O Mendelejewie coś tam wiedziałem. Bo jakże, przecież był on ojcem żony Błoka!

– Może pan odejść – powiedział Bojczenko.

Nazajutrz dowiedziałem się, że dostałem trójkę z chemii i zostałem przyjęty, przyjęty na kurs felczerów przy Centralnym Szpitalu Zarządu Północno-Wschodnich Łagrów NKWD.

Przez następne dwa dni nic nie robiłem: leżałem w łóżku, wdychałem smród baraku i gapiłem się na zakopcony sufit. Rozpoczynał się bardzo ważny, niezwykle ważny okres mojego życia. Odczuwałem to całym swoim jestestwem. Wkraczałem na drogę, która mogła być ocaleniem. Należało przygotować się nie do śmierci, lecz do życia. I nie zdawałem sobie sprawy, że jest to trudniejsze.

Wydano nam papier – ogromne arkusze opalone na brzegach – ślad zeszłorocznego pożaru wywołanego wybuchem, który zniszczył całe miasteczko Nachodkę. Z tego papieru pozszywaliśmy zeszyty. Wydano nam również ołówki i pióra.

Szesnastu mężczyzn i osiem kobiet! Kobiety siedziały po lewej stronie klasy, bliżej światła, mężczyźni – z prawej, tam gdzie ciemniej. Klasę rozdzielało metrowej szerokości przejście. Mieliśmy nowiutkie wąskie stoły z dolną półką. Dokładnie przy takich stołach uczyłem się w średniej szkole.

Później zdarzyło mi się trafić do rybackiej osady Oła – obok eweńskiej szkoły stały sanie i przez dłuższy czas przyglądałem się zagadkowej konstrukcji, aż w końcu pojąłem, co to takiego – sanie Erismana.

Nie mieliśmy żadnych podręczników, a z pomocy szkolnych – kilka anatomicznych plakatów. Uczenie się było bohaterstwem, a nauczanie – wyczynem.

Najpierw o bohaterach. Nikt z nas – ani z kobiet, ani z mężczyzn – nie miał zamiaru zostać felczerem po to, aby pożyć w łagrze bez kłopotów, ażeby jak najszybciej zamienić się w „konowała".

Dla niektórych – i dla mnie w tej liczbie – kurs stanowił ocalenie życia. I chociaż dobiegałem już do czterdziestki, dawałem z siebie wszystko, uczyłem się na granicy swych sił, fizycznych i duchowych. Oprócz tego liczyłem na to, że komuś tam pomogę, a z kimś innym wyrównam rachunki, niewyrównane przez dziesięć lat. Miałem nadzieję ponownego stania się człowiekiem.

Innym kurs dawał profesję na całe życie, rozszerzał horyzonty, dużo znaczył dla ogólnego wykształcenia, stwarzał podstawy mocnej pozycji w łagrze.

Przy pierwszym stole, na pierwszym miejscu od przejścia siedział Min Garipowicz Szabajew – tatarski pisarz, zasądzony według paragrafu „asa" (antysowiecka agitacja), ofiara trzydziestego siódmego roku.

Szabajew dobrze władał językiem rosyjskim, notował lekcje po rosyjsku, chociaż, jak sprawdziłem to po wielu latach, pisał prozą po tatarsku. W łagrze wielu ukrywa swoją przeszłość. To usprawiedliwione i logiczne, nie tylko jeżeli chodzi o prokuratorów i śledczych. Pisarz, jako inteligent, jako człowiek pracy umysłowej, „okularnik", wywołuje zawsze w miejscach uwięzienia nienawiść wśród swoich towarzyszy i naczalstwa. Szabajew dawno już to zrozumiał, podając się za pracownika handlu i nie mieszając się do dyskusji o literaturze – tak było według niego najlepiej, najspokojniej. Do wszystkich się uśmiechał i wiecznie coś tam przeżuwał. Był jednym z pierwszych, u którego pojawiły się obrzęki – zaczął puchnąć: lata spędzone w kopalni nie przeszły bez śladu dla Mina Garipowicza. Kurs przepełniał go zachwytem.

– Czy rozumiesz, że mając czterdzieści lat, po raz pierwszy dowiedziałem się, że człowiek ma jedną wątrobę? Myślałem, że dwie, że wszystkiego jest po dwa.

Istnienie śledziony u człowieka wprawiło Mina Garipowicza w uniesienie.

Po zwolnieniu Min Garipowicz nie podjął pracy felczera, a powrócił do miłej jego sercu pracy zaopatrzeniowca. Zostać agentem zaopatrzeniowym – to jeszcze bardziej oszałamiająca perspektywa niż kariera medyczna.

Obok Szabajewa siedział Bokis – ogromnego wzrostu Łotysz, przyszły czempion Kołymy w ping-ponga. W szpitalu „kotwiczył się" już nie pierwszy rok, początkowo był chorym, później sanitariuszem spośród chorych. Lekarze obiecali i stworzyli Bokisowi możliwość uzyskania „dyplomu". Już jako felczer wyjechał do tajgi, zobaczył kopalnie złota. Dla niego tajga była czymś upiornym, ale obawiał się nie tego, czego należy się obawiać – zwyrodnienia własnej duszy. Obojętność nie jest jeszcze podłością.

Jako trzeci siedział Buka – jednooki żołnierz drugiej wojny światowej, zasądzony za to, że był maruderem. Kopalnia już po trzech miesiącach zwróciła Bukę z powrotem – na szpitalne łóżko. Siedmioletnie wykształcenie Buki, układny charakter, ukraińska chytrość – wszystko to razem złożyło się na to, że Buka został przyjęty na kurs. Jednym okiem zobaczył Buka w kopalni nie mniej, niż inni widzą dwoma; najważniejsze, co zobaczył, to że powinien kierować swym losem, unikając pięćdziesiątego ósmego paragrafu i wszelkich jego odmian. Na kursie nie było bardziej skrytego człowieka od Buki.

Po dwóch miesiącach Buka zamienił czarną przepaskę na sztuczne oko. Tylko że w szpitalnym zestawie nie było piwnych oczu i trzeba było wziąć niebieskie. Wrażenie było silne, ale wszyscy szybko przywykli – prędzej niż on sam – do różnego koloru oczu Buki. Próbowałem go pocieszyć opowieścią o oczach Aleksandra Macedońskiego. Buka uprzejmie mnie wysłuchał – oczy Aleksandra Macedońskiego były czymś w rodzaju „polityki" – coś tam wymamrotał i odszedł.

Czwartym siedzącym w kącie przy ścianie był Łabutow, podobnie jak Buka – żołnierz drugiej wojny światowej. Bystry i ambitny, będąc radiooperatorem, zbudował miniaturowy odbiornik, za pomocą którego słuchał faszystowskiego radia. Opowiedział o tym koledze i został „zdemaskowany". Trybunał dał mu dziesięć lat według „asa". Łabutow miał za sobą dziesięć lat szkoły i lubił kreślić wszelkiego rodzaju schematy, podobne do ogromnego rozmiaru map sztabowych, ze strzałkami, oznaczeniami zajęć, na przykład w przypadku anatomii – „Operacja", „Serce". Nie znał Kołymy. Tego wiosennego dnia, kiedy nas „wygoniono do pracy", przyszło

mu do głowy wykąpać się w najbliższym rowie. Z trudem powstrzymaliśmy go od tego. Wyszedł z niego dobry felczer; okazało się to później, kiedy opanował tajniki fizjoterapii, co dla niego, jako elektryka i radiooperatora, nie było trudne. Zatrzymał się na stałe, pracując w gabinecie elektroterapii.

W drugim rzędzie siedzieli Czernikow, Kac i Maliński. Czernikow był to zadowolony z siebie, wiecznie uśmiechnięty chłopak – również frontowiec, zasądzony na podstawie jakiegoś kryminalnego paragrafu. Kołymy nawet nie powąchał – dostał się na kurs z Magłagu, z łagru Miejskiego. Dostatecznie wykształcony, aby móc się uczyć, słusznie zakładał, że z kursu go nie przegonią, nawet jeżeli przytrafią mu się „naruszenia”, i szybko związał się z jedną z kursantek.

Żeńka Kac, przyjaciel Czernikowa, był spryciarzem zasądzonym za jakieś gospodarcze przestępstwo i nadzwyczaj dbał o swoje puszyste kędziory. Jako starosta kursu był łagodny i nie miał żadnego autorytetu. Już po ukończeniu kursu, pracując w ambulatorium w czasie przyjęcia chorych i usłyszawszy od lekarza, który badał chorego: „Nadmanganian!”, Żeńka przyłożył do rany nie gazę umoczoną w słabym roztworze nadmanganianu potasu, lecz zasypał ją ciemnofioletowymi kryształkami. Chory, który doskonale wiedział, jak leczy się oparzenia, nie odsunął ręki, nie zaprotestował, nie mrugnął nawet okiem. To był stary kołymianin. Niedbalstwo Żeńki Kaca zapewniło mu zwolnienie od pracy prawie na cały miesiąc. Na Kołymie rzadko się coś udaje. Trzeba to chwytać i mocno trzymać, dopóki starcza sił.

Maliński był najmłodszy w klasie. Miał dziewiętnaście lat; powołany do wojska w ostatnim roku wojny, wychowany w wojennym okresie, moralnie chwiejny, zasądzony został jako maruder. Przypadkowo trafił do szpitala, w którym pracował jako jeden z lekarzy jego wuj – moskiewski terapeuta. On właśnie pomógł mu zostać słuchaczem kursu, który zresztą Kostię mało interesował. Ułomna natura, a być może młodość, wciągały go w różne łagrowe przygody: pobranie oleju na podstawie podrobionej kartki, sprzedaż obuwia, przejażdżka do Magadanu. Uwikłany był w wieczne z tym związane wyjaśnienia (ale czy tylko z tym?) w gabinecie „pełnomocnika”. Ktoś przecież musiał być donosicielem.

Kurs dał mu zawód. Po kilku latach natknąłem się na niego w osadzie Oła. Kostia podawał się tam za felczera, który ukończył dwuletni wojenny kurs, i ja mogłem mimo woli stać się przyczyną wydania się jego łgarstwa.

W 1957 roku w Moskwie jechałem z Kostią jednym autobusem – miał na sobie welurowy kapelusz i miękki płaszcz.

– Czym się zajmujesz?

– W medycynie robię, w medycynie! – krzyknął mi na pożegnanie.

Pozostali kursanci byli ludźmi z górniczych łagrów, ludźmi innego losu.

Orłow był „literką”, zasądzony według „literowego paragrafu”, tj. przez „trójkę” lub inaczej – Komisję Specjalną.

Moskiewski mechanik Orłow „dopływał” w kopalniach trzykrotnie. Kołymska maszyna wyrzuciła go jako odpad do miejscowego szpitala, a stamtąd trafił na kurs. Stawką było życie. Orłow niczego nie miał w głowie oprócz kursu – z tak ogromną trudnością poddawała mu się nauka medycyny. Stopniowo wciągnął się w zajęcia i uwierzył w swoją przyszłość.

Nauczyciel średniej szkoły, geograf Suchowienczenko był starszy od Orłowa – miał ponad czterdzieści lat. Z dziesięciu – odsiedział około ośmiu lat – pozostawało mu niewiele. A przy tym był jednym z tych, co ocaleli i ustabilizowali się – miał spokojną pracę i mógł wyżyć. Odbył swój staż jako „dochodiaga” i pozostał przy życiu. Pracował jako geolog, pobierał próbki i pomagał naczelnikowi grupy. Ale to całe szczęście mogło zniknąć jak dym – wystarczyłoby zmienić naczelnika, a Suchowienczenko nie miał dyplomu. Pamięć o latach spędzonych w kopalni była zbyt świeża, a możliwość skierowania na kurs realna. Kurs przewidywany był na osiem miesięcy – a więc do skończenia „terminu” pozostałoby zupełnie niewiele i uzyskałby niezły zawód w łagrze. Suchowienczenko porzucił geologiczną grupę i uzyskał felczerskie wykształcenie. Ale nie wyszedł z niego medyk – może z powodu wieku, a może duszę miał inną. Po ukończeniu kursów Suchowienczenko poczuł, że nie potrafi leczyć, że brak mu siły woli do podjęcia decyzji. Przed nim znajdowali się ludzie, a nie kamienie przeznaczone do kolekcji. Po krótkotrwałej pracy felczera Suchowienczenko powrócił do zawodu geologa. Oznaczało to, że należał do tych, których uczono na darmo. Jego rzetelność i dobroć były niewątpliwe. „Polityki” obawiał się jak ognia, ale nie zgodziłby się donosić.

Siłajkin nie ukończył siedmiu klas, w podeszłym wieku uczyć się było mu bardzo trudno. Jeśli Kundusz, Orłow i ja czuliśmy się coraz pewniej, to Siłajkinowi było coraz trudniej. Ale on wciąż się uczył, licząc na swoją pamięć, a miał ją doskonałą, liczył również na swoją zręczność i nie tylko, liczył też na to, że rozumie ludzi. Według jego obserwacji, poza błatniakami

przestępców nie ma. Wszyscy inni więźniowie prowadzili takie samo życie na wolności jak i inni – tak samo okradali państwo, tak samo mylili się, podobnie naruszyli prawo, jak i ci, co nie zostali zasądzeni na podstawie kodeksu karnego i w dalszym ciągu zajęci byli swą pracą. Trzydziesty siódmy rok zaznaczył to niezwykle silnie – zniszczywszy Rosjanom wszelkie proste gwarancje. Stało się niemożliwe uniknięcie więzienia, dla wszystkich.

Jedynymi przestępcami na wolności i w łagrze byli błatniacy. Siłajkin był mądralą, wielkim znawcą serc ludzkich i, zasądzony za oszustwo, był po swojemu porządnym człowiekiem. Cecha ta pochodzi ze sfery uczuciowej, z serca. Ale też może być wynikiem rozsądku. Siłajkinowi nie brakowało uczciwych przekonań, lecz „uczciwych przyzwyczajeń". Zachowywał się zgodnie ze swoją naturą, gdyż zrozumiał, że jest to korzystne. Nie zrobił niczego, co byłoby niezgodne z przepisami, pojmując, że tego nie można robić. Nie wierzył w ludzi i za główny czynnik postępu społecznego uważał osobistą korzyść. Był dowcipny. Na zajęciach z chirurgii ogólnej, kiedy Mejerzon, bardzo doświadczony nauczyciel, nie mógł w żaden sposób wytłumaczyć kursantom, co to jest „supinacja" i „propacja", Siłajkin wstał, poprosił o słowo i wyciągnął rękę: dłonią do góry – „daj zupę", grzbietem do góry – „przenieśli obok". Wszyscy, w tym gronie na pewno też Mejerzon, zapamiętali na całe życie mroczną mnemonikę Siłajkina i docenili jego kołymskie poczucie humoru. Końcowe egzaminy Siłajkin zdał pomyślnie i pracował jako felczer w kopalni. Prawdopodobnie pracował dobrze, gdyż był mądry i „rozumiał życie". „Rozumieć życie" – to według niego było najważniejsze.

Podobne wykształcenie posiadał jego sąsiad przy stole, Łogwinow, Iljusza Łogwinow. Zasądzony za rozbój, nie będąc przy tym błatniakiem, coraz bardziej poddawał się wpływowi kryminalnej recydywy. Widział jasno siłę błatniaków w łagrze – siłę moralną i materialną. Naczalstwo przymilało się do błatniaków i bało się ich. Dla błatniaków łagier był „domem rodzinnym". Prawie nie pracowali, korzystali ze wszystkich przywilejów i chociaż skrycie przed nimi układano listy na etap i od czasu do czasu przyjeżdżał „czarny kruk" wraz z konwojem, by zabrać tych, którzy szczególnie popuścili sobie wodze, to jednak takie było życie – na nowym miejscu błatniakom nie było wcale gorzej. W karnych zonach byli oni również gospodarzami.

Łogwinow, pochodząc z trudnej rodziny, popełniwszy przestępstwo w czasie wojny, widział, że czeka go potem tylko jedna droga. Naczelnik łagru, znający „sprawę” Łogwinowa, namówił go na kurs. Egzamin został jakoś tam zdany i zaczęła się nauka namiętna i beznadziejna. Dla Iljuszy przedmioty medyczne stanowiły zbyt skomplikowany materiał. Ale znalazł on w sobie tyle sił duchowych, aby nie poddać się, ukończył kurs i przez szereg lat pracował jako starszy felczer wielkiego oddziału terapeutycznego. Zwolnił się, ożenił, założył rodzinę. Kurs otworzył przed nim drogę w życie.

Odbywała się lekcja z chirurgii ogólnej. Wykładowca wyliczał ludzi znajdujących się na szczytach światowej medycyny.

„…i za naszych czasów jeden uczony zrobił odkrycie stanowiące przewrót w chirurgii i w ogóle w medycynie…”

Mój sąsiad nachylił się do przodu i powiedział:

– Fleming.

– Kto to powiedział? Proszę wstać!

– Ja.

– Nazwisko?

– Kundusz.

– Proszę siadać.

Odczułem wielką krzywdę. Przecież ja wcale nie wiedziałem, kto to taki Fleming. Przesiedziałem w więzieniu i w łagrze prawie dziesięć lat, od trzydziestego ósmego roku bez gazet i książek, i o niczym nie wiedziałem oprócz tego, że skończyła się wojna, że jest jakaś tam penicylina, że jest jakiś tam streptocyd. Ale Fleming!

– Ktoś ty taki? – po raz pierwszy spytałem o to Kundusza. Przecież razem przyjechaliśmy z Zarządu Zachodniego zgodnie z rozdzielnikiem, obu nas skierował na kursy nasz zbawca, lekarz Andriej Maksimowicz Pantiuchow. Razem głodowaliśmy, on – mniej, ja – więcej, ale obaj jednakowo wiedzieliśmy, co to kopalnia. O sobie zaś nie wiedzieliśmy nic.

I Kundusz opowiedział mi zadziwiającą historię.

W 1941 roku został mianowany naczelnikiem umocnionego rejonu na wyspie Dickson. Budowniczowie wznosili, nie spiesząc się, drewniane i betonowe schrony ogniowe aż do momentu, gdy w czerwcowy ranek przerzedziła się mgła w zatoce i garnizon wyspy Dickson ujrzał przed sobą niemiecki okręt liniowy *Admirał Speer*. Rajder podszedł bliżej i bezpośrednim ogniem porozwalał wszystkie niedokończone jeszcze umocnienia, przemie-

nił je w popiół i kupę kamieni. Kundusz dostał dziesięć lat. Historia była ciekawa i pouczająca, była tam tylko jedna niejasność – paragraf Kundusza: „asa”. Takiego paragrafu nie mogą dać za „niedbalstwo” ujawnione przez *Admirała Speera*. Kiedy zbliżyliśmy się bardziej, dowiedziałem się, że Kundusz zasądzony został w słynnej „sprawie NKWD” – w jednym z masowych jawnych i niejawnych „procesów” za czasów Ławrientija Berii: „sprawa leningradzka”, „sprawa NKWD”, „proces Rykowa”, „proces Bucharina”, „sprawa Kirowa” – wszystko to były „etapy wielkiej drogi”. Kundusz był gorącym, porywczym człowiekiem, nie zawsze umiejącym powstrzymać w łagrze swą wybuchowość. Był bezwzględnie porządnym człowiekiem, zwłaszcza po tym, jak naocznie ujrzał „praktykę” miejsc uwięzienia. Jego własna praca w nie tak dalekiej przeszłości – kierownika oddziału u Zakowskiego w Leningradzie – stanęła przed nim w prawdziwym, rzeczywistym świetle. Nie utraciwszy zainteresowania książkami, wiedzą i tym, co nowe, umiejący cenić żart, Kundusz był jednym z najbardziej interesujących uczestników kursu. Popracował jako felczer przez kilka lat, ale po zwolnieniu podjął pracę zaopatrzeniowca, był szefem ładunków w magadańskim porcie aż do momentu rehabilitacji i powrotu do Leningradu.

Będąc miłośnikiem książek, zwłaszcza przypisów i komentarzy, nigdy nieprzepuszczającym tego, co napisane drobnym drukiem, Kundusz posiadał szeroką, ale nieuporządkowaną wiedzę i z zadowoleniem dyskutował na wszelkie abstrakcyjne tematy, mając w stosunku do każdego zagadnienia jakiś swój pogląd. Cała jego natura protestowała przeciwko łagrowemu reżimowi, przeciwko przemocy. Wykazał swoją odwagę osobistą później, jadąc do uwięzionej dziewczyny, Hiszpanki, córki któregoś z członków madryckiego rządu.

Kundusz miał rozlaną budowę ciała. Oczywiście, myśmy wszyscy jedli – jeżeli udało się dostać – koty, psy, wiewiórki, kruki i końską padlinę. Ale stawszy się felczerami, nie robiliśmy już tego. Kundusz, pracując na oddziale nerwic, ugotował w sterylizatorze kota i zjadł go sam jeden. Ledwie udało się zatuszować skandal. Z Panem Głodem Kundusz zapoznał się w kopalni i dobrze zapamiętał jego oblicze.

Czy Kundusz wszystko o sobie opowiedział? Któż to wie? A właściwie po co o tym wiedzieć? „Nie wierzysz – uznaj to za bajkę”. W łagrze nie pyta się ani o przeszłość, ani o przyszłość.

Z lewej strony obok mnie siedział Barateli, Gruzin, zasądzony za jakieś administracyjne przestępstwo. Źle władał językiem rosyjskim. Na kursie spotkał „krajana” – wykładowcę farmakologii, znalazł w nim materialną i moralną pomoc. Móc przyjść późnym wieczorem do „kabinki” przy oddziale szpitala, gdzie sucho i ciepło tak samo jak latem w iglastym lesie, napić się herbaty z cukrem czy pojeść, nie spiesząc się, perłowej kaszy skropionej obficie olejem słonecznikowym, poczuć ćmiącą, rozluźniającą radość wszystkich ożywających mięśni – czyż nie jest to najwyższy cud dla człowieka z kopalni? A Barateli był w kopalni.

Kundusz, ja i Barateli siedzieliśmy razem za czwartym stołem. Trzeci był krótszy od innych – powodował to występ kaflowego pieca. Przy nim siedzieli we dwóch – Siergiejew i Pietraszkiewicz. Siergiejew, „nie-polityczny”, był jako więzień zaopatrzeniowcem – szkoła felczerów nie bardzo była mu potrzebna. Odnosił się do zajęć niedbale. Podczas pierwszych praktycznych ćwiczeń z anatomii w kostnicy – czego jak czego, ale w rozporządzeniu kursantów trupów było, ile chcieć – Siergiejew zemdlał i został usunięty z kursu.

Pietraszkiewicz nie zemdlałby. Przyszedł z kopalni, a do tego był „liternikiem”, według „ka-er-owskiego” paragrafu. W trzydziestym siódmym roku litery te były częste: „zasądzony jako członek rodziny” i nic więcej. W taki sposób otrzymywały „terminy” dzieci, matki, ojcowie, siostry i inni krewni zasądzonych. Dziadek Pietraszkiewicza (nie ojciec, lecz dziadek!) był wybitnym ukraińskim nacjonalistą. Na tej podstawie został w 1937 roku rozstrzelany ojciec Pietraszkiewicza – ukraiński nauczyciel. Sam Pietraszkiewicz, szesnastoletni uczeń, otrzymał *desjat’ rokiw* – dziesięć lat, jako „członek rodziny”.

Wielokrotnie już zauważałem, że uwięzienie, zwłaszcza na Północy, działa na ludzi tak jak konserwant – ich rozwój duchowy, zdolności, zamierają na poziomie z okresu ich aresztowania. Ta nekrobioza trwa aż do wyjścia na wolność. Człowiek, który przesiedział w więzieniu czy łagrze dwadzieścia lat, nie nabywa doświadczeń normalnego życia – uczeń pozostaje uczniem, człowiek mądry – pozostaje nim nadal, nie stając się mądrzejszym.

Pietraszkiewicz miał dwadzieścia cztery lata. Biegał po klasie, krzyczał, przywieszał do pleców Szabajewa czy Siłajkina jakieś papierki, puszczał jaskółki, śmiał się. Wykładowcom odpowiadał tak, jak to robią w szkole.

Był to niezły chłopak i został dobrym felczerem. Unikał „polityki” jak ognia i bał się czytać gazety.

Organizm chłopca nie był wystarczająco silny jak na Kołymę. Po kilku latach Pietraszkiewicz zmarł na gruźlicę, nie zdążywszy wydostać się na „Wielką Ziemię”.

Kobiet było osiem. Starościną była Muza Dmitriewa, w przeszłości jakaś partyjna lub raczej związkowa urzędniczka – ten rodzaj pracy pozostawia po sobie niezatarte piętno na zwyczajach, sposobie bycia i zainteresowaniach. Miała czterdzieści pięć lat i starała się nie zawieść „zaufania naczalstwa”. Chodziła w aksamitnej kurteczce i dobrej, wełnianej sukni. W czasie wojny ofiarowano kołymianom mnóstwo amerykańskich wełnianych rzeczy. Oczywiście podarunki te nie dochodziły w głąb tajgi, do kopalni. Na wybrzeżu także starało się je rozchwytywać miejscowe naczalstwo – wypraszając lub całkiem po prostu odbierając więźniom te swetry i kubraki. Ale u niektórych z Magadanu uratowały się te „szmatki”. I Muza właśnie je miała.

Do spraw kursu nie mieszała się, ograniczając swą „władzę” jedynie do kobiecej grupy. Muza przyjaźniła się z najmłodszą uczestniczką kursu – Nadią Jegorową, chroniąc ją przed pokusami świata łagru. Opieka ta nie ciążyła Nadii zbytnio i Muza nie potrafiła przeszkodzić burzliwemu rozwojowi jej romansu z łagrowym kucharzem.

„Droga do serca kobiety prowadzi przez żołądek” – Siłajkin z zadowoleniem powtarzał te słowa. Przed Nadią i jej sąsiadką Muzą pojawiły się dietetyczne dania – różne pulpety, rumsztyki, naleśniki. Porcje były podwójne, a nawet potrójne. Szturm trwał niedługo i Nadia poddała się. Szlachetna Muza nie przestała chronić Nadii – ale już nie przed kucharzem, lecz przed łagrowym naczalstwem.

Nadia uczyła się źle. Ale odbijała to sobie w „kultbrygadzie”. Kultbrygada, klub, „twórczość amatorska” – to jedyne miejsce w łagrze, gdzie wolno się spotykać kobietom i mężczyznom. I chociaż stale otwarte oczy łagrowego nadzoru śledzą, ażeby stosunki kobiet i mężczyzn nie przekroczyły dozwolonych granic – a według miejscowego obyczaju cudzołóstwo należy wykazać tak samo dowodnie, jak to uczynił komisarz policji w *Bel Ami* Maupassanta – chociaż nadzorcy śledzą i łowią, to nie zawsze wystarcza cierpliwości, gdyż – jak mówił Stendhal – więzień więcej myśli o swych kratach niż dozorca więzienny o swych kluczach. Nadzór słabnie.

Jeżeli nawet w kultbrygadzie nie można było liczyć na miłość w jej najbardziej zamierzchłym i wiecznym wariancie, to mimo wszystko próby wydają się więźniom innym światem, bardziej zbliżonym do tego, w którym żyli dawniej. To ważka racja, chociaż łagrowy cynizm nie zezwala na przyznanie się do takich uczuć. Zupełnie realny zysk leży w drobnych przywilejach kultbrygady – nieoczekiwanej możliwości kupienia machorki czy cukru. A zezwolenie na noszenie włosów to w łagrze też się liczy. Z powodu strzyżenia włosów wydarzały się całe bitwy, skandale, w których bynajmniej nie uczestniczyli aktorzy ani złodzieje…

Pięćdziesięcioletni Jakub Zawodnik, były komisarz kołczakowskiego frontu (kolega szkolny Zieleńskiego, sekretarza MK, rozstrzelanego w związku z procesem Rykowa), bronił się pogrzebaczem przed łagrowymi fryzjerami i z powodu włosów trafił do karnej kopalni. Cóż to takiego? Czyżby siła Samsona nie była legendą? Gdzie leży przyczyna takiego afektu? To jasne, psychika nadszarpnięta pragnieniem samoutwierdzenia choćby w czymś najmniejszym jeszcze raz daje świadectwo zmiany skali.

Nienaturalność więziennego życia rozdzielającego kobiety i mężczyzn zostaje w jakiś sposób złagodzona w kultbrygadzie. Ostatecznie – to także złudzenie, mimo wszystko cenniejsze niż „poniżająca realność”. Wszyscy, którzy potrafią popiskiwać, śpiewać, wszyscy, którzy deklamowali w domu wiersze i brali udział w domowych spektaklach, każdy, kto pobrzękiwał na mandolinie i trochę tam stepował – wszyscy „mają szansę” trafienia do kultbrygady.

Nadia Jegorowa śpiewała w chórze. Nie umiała tańczyć i niezgrabnie poruszała się na scenie, ale chodziła „na próby”. Wiele czasu zabierało jej prywatne burzliwe życie.

Helena Siergiejewna Miełodze, Gruzinka, również była „członkiem rodziny” swojego rozstrzelanego męża. Poruszona do głębi duszy jego aresztem, naiwnie myślała, że jej mąż coś tam jest winien. Uspokoiła się dopiero wtedy, gdy sama trafiła do więzienia. Wszystko stało się jasne, logiczne i proste – takich jak ona było dziesiątki tysięcy.

Oto, na czym polega różnica pomiędzy człowiekiem podłym i uczciwym: kiedy podlec trafia niewinnie do więzienia, to uważa, że tylko on jest niewinny, a wszyscy inni – to wrogowie państwa i narodu, przestępcy i niegodziwcy. Człowiek uczciwy, po znalezieniu się niewinnie za więzienną kratą uważa, że z jego sąsiadami z nar stało się podobnie.

To – „Hegel i książkowa mądrość, to – i całej filozofii sens” wydarzeń 1937 roku.

Miełodze odzyskała spokój duszy i równy, wesoły nastrój. Na Elgenie, kobiecej delegaturze w tajdze, nie trafiła do ciężkiej pracy. I oto jest tutaj – na kursach felczerów. Nie wyszła z niej medyczna pracownica. Po zwolnieniu (jej wyrok zakończył się na początku lat pięćdziesiątych) została „przypisana”, podobnie jak wszyscy wtedy zwalniani, do kołymskiej ziemi do końca życia. Wyszła za mąż.

Obok Miełodze siedziała pełna życia śmieszka Gałoczka Bazarowa, młoda dziewuszka, zasądzona za jakieś wykroczenia w czasie wojny. Gałoczka zawsze śmiała się, nawet zaśmiewała, z czym jej nie było do twarzy – miała ogromne, rzadkie zęby. Ale jej to nie martwiło. Uzyskała na kursie zawód siostry operacyjnej i wiele lat po zwolnieniu przepracowała w magadańskim szpitalu, gdzie za pierwsze zarobione pieniądze zrobiła na zęby koronki ze stali nierdzewnej – od razu wyładniała.

Za Bazarową siedziała Ajno – białozęba Finka. Zaczęła odsiadywanie wyroku w czasie wojennej zimy 1939–1940 roku. Rosyjskiego nauczyła się już w więzieniu i będąc pracowitą dziewczyną, po fińsku dokładną, zwróciła na siebie uwagę któregoś z lekarzy i trafiła na kurs. Trudno jej było się uczyć, ale uczyła się i wyuczyła na siostrę… Życie na kursie przypadło jej do gustu.

Obok Ajno siedziała maleńka kobieta. Nie potrafię sobie przypomnieć ani nazwiska, ani jej twarzy. Może to była jakaś zwiadowczyni, a może rzeczywiście cień człowieka.

W następnej ławce siedziała Marusia Dmitriewa, przyjaciółka Czerniakowa, ze swoją przyjaciółką Tamarą Nikiforową. Obydwie sądzone według ,,bytowego” paragrafu, obydwie nie zdążyły być w tajdze, obydwie uczyły się z ochotą.

Obok nich siedziała czarnooka Wala Cukanowa, kubańska Kozaczka – chora ze szpitala. Na pierwsze zajęcia przychodziła jeszcze w szpitalnym szlafroku. Zdążyła być w tajdze, uczyła się, robiąc dobre postępy. Ślady głodu i choroby nieprędko znikły z jej twarzy, ale kiedy to się w końcu stało, okazało się, że Wala – to piękność. Kiedy wzmocniła się, zaczęła z kimś kręcić jeszcze przed ukończeniem kursu. Wielu się do niej zalecało, ale bez powodzenia. Zeszła się z kowalem i biegała na randki do kuźni. Po zwolnieniu przez wiele lat pracowała jako felczer w oddzielnym rejonie.

My chcieliśmy się uczyć, a nasi wykładowcy chcieli nas nauczyć. Stęsknili się za żywym słowem, za przekazywaniem wiedzy stanowiącej do momentu aresztu sens ich życia. Profesorowie i docenci, kandydaci nauk medycznych, lektorzy kursów doskonalenia lekarzy po raz pierwszy w życiu uzyskali ujście swojej energii. Wszyscy wykładający na kursach, oprócz jednego – to był pięćdziesiąty ósmy paragraf.

Naczalstwo uświadomiło sobie, że poznanie tajemnic krwiobiegu wrotnego nie wiąże się z antysowiecką propagandą, i zapewniło kursom wysoko wykwalifikowanych wykładowców. Co prawda słuchaczami kursów powinni byli zostać „nie-polityczni”, ale gdzie ich znaleźć z ukończonymi siedmioma klasami? Oni i tak odsiadywali wyrok, pracując na uprzywilejowanych stanowiskach, i takie kursy wcale im nie były potrzebne. O tym, ażeby do kursów dopuścić „pięćdziesiąty ósmy”, naczalstwo nawet nie chciało słyszeć. W końcu znaleziono kompromis: „asa” i dziesiąty punkt pięćdziesiątego ósmego paragrafu – coś jakby zbliżonego do „bytu” – dopuszczono do egzaminów.

Ułożono i wywieszono na ścianie rozkład zajęć. Rozkład zajęć! Wszystko jak w prawdziwym życiu. Podobna do ciężko naładowanej, byle jak skleconej, stareńkiej ciężarówki maszyna ruszyła niepewnie po wybojach i błotach Kołymy.

Pierwsza lekcja była z anatomii. Wykładał ją szpitalny anatomopatolog Dawid Umański, siedemdziesięcioletni staruszek.

Carski emigrant, Umański uzyskał dyplom doktora medycyny w Brukseli. Mieszkał i pracował w Odessie, gdzie praktyka lekarska była bardzo korzystna – w ciągu kilku lat Umański stał się posiadaczem wielu domów. Rewolucja wykazała, że posiadanie domów to nie najpewniejsza lokata kapitału. Umański powrócił do działalności lekarza. W połowie lat trzydziestych, czując, jakie wiatry wieją, zdecydował ulokować się jak najdalej i zaangażował się do pracy w Dalstroju. To go jednak nie uratowało. W 1938 roku, włączony do „rozdzielnika” dla Dalstroju, został aresztowany i zasądzony na piętnaście lat. Od tego czasu pracował jako kierownik kostnicy. W dobrej pracy przeszkadzała mu pogarda w stosunku do ludzi i poczucie zwichniętego życia. Starczało mu jednak rozsądku, aby nie kłócić się z prowadzącymi leczenie medykami – przy sekcjach mógłby ich narazić na wiele nieprzyjemności. Być może też, że nie był to rozsądek, lecz pogarda, i decydował się na ustępstwa w czasie sporów przy sekcji z prostego jej odczuwania.

Doktor Umański miał jasny umysł. Był niezłym lingwistą – było to jego hobby, jego ulubione zajęcie. Znał wiele języków, w łagrze wyuczył się wschodnich, i próbował sformułować prawa tworzenia się języków, przeznaczając na to cały swój wolny czas w kostnicy, gdzie mieszkał razem z asystentem – felczerem Dunajewem. Przy okazji, z łatwością i jakby żartując, Umański wyłożył kurs łaciny potrzebnej przyszłym felczerom. Co to była za łacina, tego już nie wiem, ale używanie dopełniacza w receptach przychodziło mi z łatwością.

Doktor Umański był człowiekiem żywym, ustosunkowującym się do każdego wydarzenia politycznego i posiadającym własny, przemyślany pogląd na dowolne zagadnienie związane ze sprawami życia międzynarodowego i krajowego. „Najważniejsze, drodzy przyjaciele – mawiał w czasie swoich prywatnych pogadanek – to wyżyć i przeżyć Stalina. Śmierć Stalina jest tym, co przyniesie nam wolność”. Niestety, Umański umarł w Magadanie w 1952 roku, nie dożywszy tego, czego przez tyle lat oczekiwał.

Wykładał nieźle, ale jakoś tak bez chęci. Był on najbardziej obojętnym ze wszystkich wykładowców. Od czasu do czasu przepytywał, urządzał powtórki, przechodził od anatomii ogólnej do szczegółowej. Kategorycznie jednak odmówił przedstawienia jednego z działów swej nauki: anatomii narządów płciowych. Nic go nie mogło przekonać, i tak kursanci zakończyli naukę, nie otrzymawszy wiadomości z tego zakresu, z powodu nadmiernej wstydliwości brukselskiego profesora. Czym kierował się Umański? Wydawało mu się, że zarówno poziom moralny i kulturalny, jak i poziom wykształcenia uczestników kursu nie wystarczą, aby ten temat nie wyzwalał niezdrowego zainteresowania. Tego typu zaciekawienie wywoływał w gimnazjach atlas anatomiczny i Umański pamiętał o tym. Nie miał racji – „prowincjusze”, na przykład, na pewno ustosunkowaliby się do tego z całą powagą.

Umański był człowiekiem porządnym i wcześniej od wielu wykładowców zobaczył w kursantach – ludzi. Był on przekonanym weismanistą. Opowiadając nam o podziale chromosomów, mimochodem poinformował, że zdaje się istnieje inna teoria ich podziału, ale całkiem po prostu on jej nie zna i decyduje się nam wyłożyć tylko to, co jest mu dobrze znane. W ten sposób zostaliśmy wychowani na weismanistów. Pełen triumf weismanistów, dzięki wynalezieniu mikroskopu elektronowego, nie zastał Umańskiego przy życiu. Ten triumf sprawiłby staremu doktorowi wielką radość.

Nazwy kości, mięśni wkuwaliśmy na pamięć – oczywiście nazwy rosyjskie, a nie po łacinie. Wkuwaliśmy je przejęci, pełni natchnienia. W takim wkuwaniu istnieje jakiś demokratyczny pierwiastek: wszyscy byliśmy równi wobec nauki – anatomii. Nikt nie starał się niczego zrozumieć. Starano się tylko zapamiętać. Najlepiej szło Bazarowej i Pietraszkiewiczowi – niedawnym uczniom (jeżeli odrzucić okres pozbawienia wolności, który w przypadku Pietraszkiewicza zbliżał się do ośmiu lat).

Skrupulatnie wkuwając lekcje, przypominałem sobie dom studencki I Uniwersytetu Moskiewskiego w 1926 roku – Czerkaskę, gdzie nocą chodzili po ciemnych korytarzach pijani od zajęć medycy i zatkawszy uszy palcami, wkuwali i wkuwali. Cały dom był pełen hałasu, śmiechu, życia. Tryskający życiem lingwiści, literaturoznawcy, historycy śmiali się z nieszczęsnych kujonów z medycyny. Pogardzaliśmy nauką, która nie wymaga rozumienia, lecz tylko kucia.

Po dwudziestu latach wkuwałem anatomię. W ciągu tych lat dobrze zrozumiałem, co to takiego profesja, czym są nauki ścisłe, czym jest medycyna, czym jest inżynieria. I oto Bóg sprawił, że sam tym się zajmuję.

Mózg był jeszcze zdolny i do pobierania, i do przekazywania wiedzy.

Doktor Błagorazumow wykładał podstawy ochrony zdrowia i higieny. Przedmiot był nudny, Błagorazumow nie potrafił się zdobyć na ożywienie go żartem, a być może też nie potrafił ze względów politycznej rozwagi – pamiętał trzydziesty ósmy rok, kiedy wszystkich specjalistów, wszystkich lekarzy, inżynierów, buchalterów zmuszano do pracy przy taczce i kilofie, zgodnie z „instrukcją specjalną” przysłaną z Moskwy. Błagorazumow przez dwa lata pchał taczkę, trzykrotnie „dochodził” z głodu, chłodu, szkorbutu i bicia. Na trzeci rok zezwolono mu na pracę w charakterze felczera w ambulatorium, przy lekarzu „nie-politycznym”. Wielu lekarzy wtedy umarło. Błagorazumow pozostał przy życiu i gruntownie przyswoił sobie jedną zasadę: żadnych rozmów, z nikim. Przyjaźń tylko dla „wypicia i zakąski”. W szpitalu lubiano go. Felczerzy ukrywali lekarskie picie, a gdy się już nie udawało, Błagorazumowa wlekli do karceru, do kicia. Po wyjściu stamtąd kontynuował wykłady. Nikogo to nie dziwiło.

Wykład prowadził starannie, zmuszając do zapisywania tego, co ważne, pod jego dyktando, sprawdzał systematycznie notatki i wiedzę, jednym słowem, Błagorazumow był wykładowcą rzetelnym i rozsądnym.

Wykłady z farmakologii prowadził szpitalny felczer Gogoberidze, były dyrektor Zakaukaskiego Instytutu Farmakologicznego. Dobrze władał językiem rosyjskim, z gruzińskim akcentem nie silniejszym niż u Stalina. W przeszłości był on ważnym partyjniakiem – jego podpis figurował na sapronowskiej „Platformie 15”. Okres od 1928 roku do 1937 spędził na zesłaniu, a w 1937 roku ogłoszono mu nowy wyrok – piętnaście lat kołymskich łagrów. Gogoberidze dobiegał sześćdziesiątki. Męczyło go nadciśnienie. Wiedział, że prędko umrze, ale nie bał się śmierci. Nienawidził różnych szubrawców i zdemaskowawszy na oddziale, w którym pracował, swego lekarza o nazwisku Król, że bierze od więźniów łapówki i ściąga podatki, pobił go i zmusił do oddania chromowych butów i pasiastych „szkotów”. Gogoberidze nie wyjechał z Kołymy. Został zwolniony na zesłanie do końca życia w Narymie, ale poprosił o zezwolenie zamiany Narymy na Kołymę. Mieszkał w osadzie Jagodnyj i umarł na początku lat pięćdziesiątych.

Jedynym „nie-politycznym” pośród naszych wykładowców był doktor Król – charkowski specjalista chorób skórnych i wenerycznych. Wszyscy nasi nauczyciele starali się w nas wykształcić moralną prawość i w lirycznych dygresjach przedstawiali nam ten ideał moralnej czystości, starali się wpoić poczucie odpowiedzialności za wielką sprawę niesienia pomocy choremu, do tego jeszcze więźniowi, uwięzionemu jeszcze przy tym wszystkim na Kołymie – powtarzali, każdy jak umiał, to, czego w ich młodości, w instytutach, na wydziałach medycyny uczyła przysięga lekarza. Wszyscy oprócz Króla. Król rysował przed nami inne perspektywy, podchodził do naszej przyszłej pracy z innej, lepiej mu znanej strony. Nie zaprzestawał nam obrazować materialnego dobrobytu felczerów. „Zarobicie na masło” – chichotał Król z pożądliwym uśmiechem. Miał wiecznie jakieś sprawy ze złodziejami – przychodzili do niego nawet w przerwie pomiędzy lekcjami. Coś tam kupował, sprzedawał, wymieniał, niewiele krępując się obecnością uczniów. Duży dochód przynosiło Królowi leczenie impotencji u osób z naczalstwa i chroniło go w czasie uwięzienia. Król podejmował się jakichś tajemniczych znachorskich operacji – nie miał go kto pociągnąć do odpowiedzialności, miał za duże stosunki.

Dwa policzki otrzymane od felczera Gogoberidze nie wybiły go z kontenansu.

– Uniosłeś się bratku, uniosłeś – mówił do zielonego ze złości Gogoberidze.

Gardzili nim zarówno koledzy-wykładowcy, jak i kursanci. Do tego, nie posiadając zdolności nauczania, wykłady prowadził w pogmatwany sposób. Choroby skóry – to był ten dział, który musiałem ponownie uważnie przeczytać z papierem i ołówkiem w ręku.

Olga Stiepanowna Siemieniak, były docent katedry terapii diagnostycznej Charkowskiego Instytutu Medycznego, nie wykładała na naszych kursach. Ale przechodziliśmy u niej praktykę. Ona to nauczyła mnie opukiwać i osłuchiwać chorego. Pod koniec praktyki podarowała mi stareńki stetoskop – to jedna z niewielu moich kołymskich relikwii. Zasądzona została za kontrrewolucyjną agitację. Jej mąż i dwoje dzieci pozostali na Ukrainie – wszyscy zginęli w czasie wojny. Ale wojna skończyła się i skończył się okres uwięzienia Olgi Stiepanownej. Nie miała jednak dokąd jechać i po zwolnieniu została w Magadanie. W kobiecym rejonie Elgen spędziła kilka lat. Znalazła w sobie tyle sił, aby dać sobie radę ze swym nieszczęściem. Olga Stiepanowna była człowiekiem spostrzegawczym i widziała, że jedyną grupą zachowującą ludzkie oblicze w łagrze byli oddani religii – sektanci i ludzie Cerkwi. Własne nieszczęście wpłynęło na zbliżenie się jej z sektantami. W swojej „kabince” dwa razy w ciągu dnia modliła się, czytała Ewangelię, starała się robić dobre uczynki. To nie było trudne. Nikt nie może zdziałać więcej dobrego niż łagrowy lekarz, ale przeszkadzał jej w tym własny charakter – uparty, wybuchowy, dumny. Nie zwracała uwagi na to, aby zmienić go we właściwym kierunku.

Była surową i pedantyczną kierowniczką, trzymała personel żelazną ręką. Do chorych odnosiła się z uwagą.

Po zakończeniu roboczego dnia „studentom” dawano obiad w szpitalnej „wydawalni”. Siemieniak zazwyczaj siedziała w pobliżu i piła herbatę.

– A co pan czyta?

– Nic innego oprócz wykładów.

– To proszę to przeczytać. – Podała mi maleńką książeczkę, podobną do książeczki do nabożeństwa. Był to tomik Błoka, z małej serii „Biblioteki poety”.

Po trzech dniach zwróciłem jej wiersze.

– Spodobały się?

– Tak. – Nie miałem sumienia powiedzieć jej, że dobrze je znam, że znałem te wiersze.

– Proszę przeczytać *Dziewczyna śpiewała w cerkiewnym chórze*.

Przeczytałem.

– A teraz – *O dalekiej, jasnej Mary.*

– Dobrze. Teraz to tutaj…

Przeczytałem *W dalekiej, błękitnej sypialence.*

– Pan rozumie, że chłopak umarł…

– Tak, oczywiście.

– Umarł chłopak – powtórzyła suchymi wargami Olga Stiepanowna i zmarszczyła swoje wysokie, białe czoło. Milczała przez chwilę. – Czy dać panu coś jeszcze?

– Tak, proszę.

Olga Stiepanowna wysunęła szufladę biurka i wyjęła książkę podobną do tomiku Błoka. Była to Ewangelia.

– Proszę poczytać. Zwłaszcza to – *Do Koryntian* Pawła Apostoła.

Po kilku dniach zwróciłem jej książkę. Ta bezreligijność, w której przeżyłem całe swoje świadome życie, nie uczyniła ze mnie chrześcijanina. Ale nie spotkałem w łagrach bardziej godnych ludzi niż tych oddanych religii. Demoralizacja ogarnęła wszystkich, jedynie oni się trzymali. Było tak i przed piętnastoma, i przed pięciu laty.

W kabince Olgi Sitepanownej poznałem dziesiętnika budowlanych, więźnia, Wasię Szewcowa. Dwudziestopięcioletni, piękny mężczyzna, cieszył się olbrzymim powodzeniem u wszystkich łagrowych dam. Na oddziale Siemieniakowej odwiedzał rozdawczynię Ninę. Rozsądny, spokojny chłopak, jasno widział wiele rzeczy i zrozumiale objaśniał, ale zapamiętałem go ze specjalnego powodu. Nawymyślałem mu za Ninę – była w ciąży.

– Przecież sama lizie – powiedział Szewcow. – Co tutaj wymyślisz? Ja wyrosłem w łagrze. Już jako chłopak byłem w więzieniu. Ile ja ich, tych bab, miałem – nie uwierzysz – nie da się zliczyć. I wiesz co? Przecież z żadną nie przespałem nawet jednej godziny w łóżku. A zawsze jakoś tak – w sieniach, w szopie, o mało co nie w marszu. Wierzysz? – tak mi opowiadał Wasia Szewcow, największy szpitalny pięknіś.

Mikołaj Siergiejewicz Minin, chirurg-ginekolog, kierował oddziałem kobiecym. Nie prowadził u nas wykładów, odbywaliśmy u niego jedynie praktykę, praktykę bez żadnej teorii.

W czasie wielkich burz śnieżnych osadę zanosiło aż po dachy i można było tylko orientować się według dymu z komina. Przy każdym oddziale wyrąbane były schodki prowadzące w dół – do wejściowych drzwi. Wyleźliśmy z naszego pomieszczenia w górę, pobiegli do oddziału kobiecego,

weszliśmy o wpół do dziewiątej do gabinetu Minina, ubrali fartuchy i uchyliwszy drzwi, wśliznęliśmy się do pokoju. Odbywała się zwykła pięciominutówka, przekazywanie dyżuru przez nocną siostrę. Minin, ogromny, siwobrody starzec, siedział, marszcząc się, przy stoliku. Sprawozdanie z nocnego dyżuru zakończyło się i Minin skinął ręką. Wszyscy podnieśli gwar… Minin obrócił głowę w prawo. Na niewielkiej, szklanej tacce starsza siostra przyniosła szklaneczkę napełnioną niebieskawym płynem. To był znajomy zapach. Minin wziął szklaneczkę, wypił i przygładził siwe wąsy.

– Likier „Błękitna noc” – powiedział, robiąc oko do kursantów.

Byłem kilka razy na jego operacjach. Operował zawsze „pod muchą”, ale zapewniał, że ręce mu drżeć nie będą. Siostry operacyjne potwierdzały to. Ale po operacji, kiedy „odmywał się”, płucząc ręce w dużej miednicy, jego grube, mocne palce delikatnie drżały, a on ze smutkiem przyglądał się tym swoim nieposłusznym rękom.

– Skończyłeś się, Mikołaju Siergiejewiczu, skończyłeś się – cichutko mówił do siebie. Jednakże operował jeszcze przez kilka lat.

Przed Kołymą pracował w Leningradzie. Aresztowany w trzydziestym siódmym, przez dwa lata popychał taczkę na Kołymie. Był współautorem dużego podręcznika ginekologii. Drugi autor nazywał się Sieriebriakow. Po aresztowaniu Minina podręcznik zaczął być wydawany tylko z nazwiskiem Sieriebriakowa. Na prawowanie się po zwolnieniu Mininowi nie starczyło sił. Zwolniono go, podobnie jak wszystkich, bez prawa wyjazdu z Kołymy. Zaczął jeszcze więcej pić i w 1952 roku powiesił się w swoim pokoju w osadzie Diebin.

Po rewolucji stary bolszewik Mikołaj Siergiejewicz Minin prowadził w imieniu sowieckiego rządu rozmowy z ARA i spotykał się z Nansenem. Później prowadził w radio wykłady na tematy antyreligijne.

Wszyscy bardzo go lubili – tak jakoś to wychodziło, że Minin dla wszystkich chciał dobrze, chociaż nikomu nie zrobił niczego dobrego ani niczego złego.

Doktor Siergiej Iwanowicz Kulikow wykładał „gruźlicę”. W latach trzydziestych usilnie wmawiano mieszkańcom „Wielkiej Ziemi”, że klimat Kołymy i klimat Dalekiego Wschodu – to jedno i to samo. Kołymskie góry jakoby sprzyjają leczeniu gruźlicy, a w każdym razie stabilizują stan chorych. Zwolennicy tego twierdzenia zapominali o tym, że kołymskie sopki pokryte są błotami, że rzeki złotych regionów Kołymy przebiły sobie drogę

przez błota, że lasotundra Kołymy – to najbardziej szkodliwe miejsce dla chorych na płuca. Zapominali o prawie powszechnej zachorowalności na gruźlicę Ewenków, Jakutów i Jukagirów Kołymy. W szpitalach dla więźniów nie planowano oddziałów gruźliczych. Ale bakteria Kocha pozostaje bakterią Kocha i trzeba było tworzyć takie oddziały – i to wcale pokaźne.

Siergiej Iwanowicz, sądząc po wyglądzie, był siwy i niedołężny, wyraźnie przygłuchy, ale rzeźki i duszą, i ciałem. Uważał swój przedmiot za najważniejszy i złościł się, gdy się z nim nie zgadzano. Był milczkiem, ale gdy słyszał jakieś ważne wiadomości z gazet, uśmiechał się z błyskiem w oku.

Doktor Kulikow odsiedział dziesięć lat na podstawie jakiegoś tam punktu pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Kiedy się zwolnił, otrzymał „dożywotnie osiedlenie". Przyjechała do niego na Kołymę rodzina: staruszka-żona i córka – także lekarz zajmujący się gruźlicą.

Chemik Bojczenko prowadził laboratoryjne zajęcia kursantów. Zapamiętał mnie dobrze i odnosił się z pełną pogardą do człowieka nieznającego chemii.

Choroby nerwów wykładała Anna Izrailewna Ponizowska. W tym czasie była już na wolności i zdążyła nawet obronić dysertację kandydacką. Mimo że przez szereg lat była uwięziona, zdarzyło jej się popracować razem z profesorem Skobło, który wiele jej pomógł w opracowaniu tematu – tak przynajmniej mówiono w szpitalu. Z profesorem Skobło spotykała się już po tym, jak zawarłem z nim znajomość – w 1939 roku myłem z nim podłogi w magadańskim punkcie tranzytowym. Świat jest mały. Anna Izrailewna była damą nadzwyczaj ważną. Łaskawie zgodziła się poprowadzić kilka wykładów na kursach dla felczerów. Sam wykład organizowany był tak uroczyście, że z nich wszystkich zapamiętałem tylko czarną, jedwabną, szeleszczącą suknię Anny Izrailewnej i ostry zapach jej perfum – żadna z kursantek nie miała perfum. Co prawda kucharz podarował Nadii Jegorowej maluteńki flakonik taniutkiej wody kolońskiej „Bez", ale Nadia tak ostrożnie i pożądliwie wąchała ją w czasie zajęć, że do mnie nie dochodził żaden zapach. Być może, że przeszkadzał też mój wieczny katar, złapany na Kołymie.

Pamiętam, że przynoszono do klasy jakieś tam plakaty przedstawiające chyba schemat powstawania odruchu warunkowego, ale czy był z tego jakikolwiek pożytek – nie wiem.

Zdecydowano, że chorób psychicznych nie będzie się nam wykładać, co skróciło i bez tego już kusy program. A wykładowcy byli. Przewodniczący

komisji przyjmującej na kursy, doktor Sidkin, był szpitalnym psychiatrą.

Choroby ucha, nosa i gardła wykładał nam doktor Zader, Węgier. Piękny jak malowanie, z wyłupiastymi oczami, doktor Zader bardzo słabo znał język rosyjski i prawie niczego nie mógł przekazać kursantom. Prowadzenia wykładów podjął się z chęci poduczenia się rosyjskiego. Zajęcia z nim to była czysta strata czasu. Dokuczaliśmy doktorowi Mejerzonowi, który w owym czasie został mianowany naczelnym lekarzem szpitala, pytając go, w jaki sposób mamy nauczyć się tego, co wykłada doktor Zader.

– No, jeżeli tylko tego nie będziecie wiedzieć, to nic się nie stanie – odpowiadał na swój zwykły sposób Mejerzon.

Na Kołymę doktor Zader trafił dopiero co – od razu po wojnie. W 1956 roku został zrehabilitowany, a ponieważ stało się to w końcu roku, zdecydował, że nie powróci do kraju, a otrzymawszy kupę pieniędzy po rozliczeniu z Dalstrojem, osiedlił się gdzieś na południu. Wkrótce potem, jak doktor Zader załatwił zaliczenia kursantów, przydarzyła mu się pewna historia.

Doktor Janos Zader, otolaryngolog, był węgierskim jeńcem wojennym, a więc „sałaszystą”. Jego „termin” wynosił 15 lat. Nauczył się po rosyjsku, był medykiem, a do tego o najbardziej poszukiwanej specjalności – ucha, gardła i nosa. Okres, kiedy medyków pozostawiano na robotach ogólnych, już minął (instrukcja ta dotyczyła tylko litery „T” – trockistów) – Zader leczył i operował z powodzeniem. Pracował jako ordynator na oddziale chirurgicznym – stanowiło to dodatkowe obciążenie przy jego zasadniczej specjalności. Przy operacjach organów wewnętrznych asystował zazwyczaj kierującemu oddziałem chirurgowi Mejerzonowi. Jednym słowem, doktorowi Zaderowi powodziło się dobrze, nawet między wolnymi miał pewną liczbę klientów, ubierał się w „wolną” odzież, nosił długie włosy, był syty i mógł być również pijany, ale nie brał do ust ani kropli spirytusu. Stawał się coraz bardziej znany, aż do czasu, kiedy przydarzyła się ta historia, która pozbawiła nasz szpital otolaryngologa na długo.

Cała sprawa polega na tym, że erytrocyt, tj. czerwone ciałko krwi, żyje 21 dni. Żywa ludzka krew znajduje się w stałej odnowie. Ale wyprowadzona z ludzkiego organizmu nie potrafi żyć dłużej niż 21 dni. Przy oddziale chirurgicznym znajdowała się, tak jak to powinno być, własna stacja krwiodawstwa, w której oddawali krew dawcy – zarówno wolni, jak i więźniowie; wolni otrzymywali za 1 centymetr sześcienny krwi 1 rubel, a więźniowie 10-krotnie mniej. Dla każdego nadciśnieniowca był to poważny dochód. Brano od nich 300–400 gramów krwi miesięcznie –

oddasz, bo tak wymaga leczenie, a oprócz tego otrzymasz dodatkowe wyżywienie i pieniądze. Dawcami spośród więźniów byli pracownicy obsługi (sanitariusze i inni), którzy dzięki temu trzymali się w szpitalu. Potrzeba transfuzji krwi występowała tu silniej niż gdziekolwiek na ziemi, ale oczywiście stosowanie jej nie następowało w wyniku ogólnych wskazań medycznych, na przykład w przypadkach wycieńczenia, ale jedynie w tych przypadkach, kiedy powstawała taka potrzeba przed czy po operacji lub w wyjątkowo trudnych przypadkach na oddziałach terapeutycznych.

W stacji krwiodawstwa zawsze znajdował się zapas wcześniej pobranej krwi. I było to dumą naszego szpitala. We wszystkich innych szpitalach, jeżeli nawet robiono transfuzje, to odbywało się to w sposób bezpośredni – od jednego człowieka do drugiego. W czasie tego zabiegu dawca i biorca leżeli obok siebie na stołach.

Krew, która utraciła dozwolony okres przechowywania, była wylewana.

Niedaleko od szpitala znajdowała się ferma świń, gdzie od czasu do czasu, w czasie uboju, gromadzono krew i przywożono do szpitala. Tutaj, dla przeciwdziałania krzepnięciu, dolewano do niej roztwór kwasku cytrynowego i dawano chorym do picia – coś w rodzaju własnego hematogenu, bardzo pożywnego i lubianego przez chorych, karmionych zupkami i kaszą perłową. Podawanie chorym hematogenu nie było żadną nowością. Tak się zdarzyło, że kierujący oddziałem chirurgicznym lekarz Mejerzon wyjechał na delegację i kierowanie oddziałem przypadło doktorowi Zaderowi.

W czasie obchodu oddziału uznał on za konieczne odwiedzenie również stacji krwiodawstwa, gdzie stwierdził, że znaczny zapas krwi zbliża się do końca dozwolonego okresu przechowywania i usłyszał informację od siostry, że zamierza wylać tę krew. Zdziwiło to doktora Zadera. „Czyż trzeba ją wylewać?” – spytał. Siostra powiedziała, że zawsze tak się robi.

– Proszę przelać tę krew do czajników i wydać ciężko chorym – zarządził doktor Zader.

Siostra rozdała krew, z czego chorzy byli bardzo zadowoleni. „W przyszłości – powiedział Węgier – całą przedawnioną krew proszę podawać w ten sposób chorym”. Tak to zaczęła się praktyka rozdawania na salach krwi pobranej od dawców. Kiedy powrócił kierownik oddziału, zrobił ogromną awanturę, na wysokich rejestrach: ni mniej, ni więcej, że faszysta Zader poi chorych ludzką krwią. Tego samego dnia dowiedzieli się o tym chorzy, w szpitalu bowiem wszelkie pogłoski rozchodzą się jeszcze szybciej niż w więzieniu, i ci, co otrzymali kiedyś krew, zaczęli wymiotować.

Zadera odsunięto od pracy, bez żadnych zbędnych wyjaśnień, i do Zarządu Sanitarnego poszła notatka ujawniająca wszystkie, jakie tylko były możliwe, przestępstwa Zadera. Zdetonowany Zader usiłował wyjaśnić, że przecież nie ma żadnej zasadniczej różnicy pomiędzy podawaniem krwi przez usta czy przez żyłę, że krew – to znakomita dodatkowa odżywka, ale nikt go nie słuchał. Ostrzyżono mu włosy, zdjęto wolną marynareczkę i w aresztanckim stroju przeniesiono do brygady Lurie na wyrąb lasu. I doktor Zader zdążył już trafić na stachanowską tablicę leśnego rejonu, gdy zjawiła się komisja Zarządu Sanitarnego, zaniepokojona zresztą nie przez sam fakt takiego podawania krwi, ale tym, że klientela od nosów i gardeł pozostała bez lekarza.

Szczęśliwym trafem na czele tej komisji stał major służby medycznej, dopiero co zdemobilizowany, który przez całą wojnę był w oddziałach chirurgicznych medyczno-sanitarnego batalionu. Zaznajomiwszy się z materiałami „oskarżenia”, w żaden sposób nie mógł pojąć – o co tu chodzi? Za co karany jest Zader? A kiedy wyjaśniło się, że Zader rozdawał chorym ludzką krew, major, wzruszając ramionami, powiedział:

– Na froncie robiłem to przez cztery lata. A co, tego tu nie wolno robić? Ja przecież nie wiem, jestem tu niedługo.

Zadera zabrano z lasu i przywrócono do pracy na oddziale chirurgicznym, nie uwzględniwszy pisemnego protestu brygadzisty, który uważał, że na podstawie czyjejś tam zachcianki zabiera mu się najlepszego drwala.

Ale Zader przestał się interesować pracą i nie formułował więcej żadnych wniosków racjonalizatorskich.

Doktor był skończonym łajdakiem. Mówiono, że jest łapownikiem i samozaopatrzeniowcem, ale czy na Kołymie istnieli naczelnicy o innych nawykach? Mściwi nadgorliwcy – a to wybaczalne.

Doktor Doktor nienawidził więźniów. Nie polegało to na tym, że się źle do nich odnosił czy nie dowierzał. Nie, on ich tyranizował, poniżając co dzień i co godzinę, czepiał się wszystkiego, obrażał i szeroko wykorzystywał swoją bezgraniczną władzę (w granicach szpitala) dla zapełnienia karcerów i karnych oddziałów. Byłych więźniów nie uważał za ludzi i niejednokrotnie groził chirurgowi Trautowi tym na przykład, że nie zawaha się spowodować, aby ten otrzymał nowy wyrok. Każdego dnia zwożono mu do mieszkania czy to świeże ryby – brygada „chorych” łowiła je w morzu sieciami – czy to warzywa ze szklarni, czy znów mięso z sowchozu –

i wszystko to w ilościach wystarczających dla wykarmienia Guliwera. Doktor Doktor miał służącego – więźnia, sprzątającego, i on właśnie pomagał mu w realizacji wszystkich darów. Pod adresem doktora Doktora przychodziły z „kontynentu” paczki z machorką, walutą Kołymy. Naczelnikiem szpitala był przez wiele lat, aż do czasu, kiedy inny gangster obalił doktora Doktora. Naczelnikowi Doktora wydawało się, że „odpisy” są nieco za małe.

Ale wszystko to przyszło później, bo w okresie trwania kursu doktor Doktor był panem i władcą. Co dzień urządzane były zebrania i Doktor występował na nich z przemówieniami, silnie zbaczając w kierunku kultu jednostki. Doktor był mistrzem w preparowaniu oszczerczych „memorandów” i potrafił „załatwić”, kogo chciał.

Jako naczelnik był mściwy, drobiazgowo mściwy.

„Nie ukłoniłeś mi się przy spotkaniu, to ja napiszę na ciebie donos, nie ordynarny donos, a oficjalne «memorandum». Napiszę «kadrowy trockista i wróg ludu» i wtedy, bądź pewien – karna kopalnia cię nie ominie”.

Właśnie dziecię doktora Doktora – kurs, przysparzał mu zmartwień. Znalazło się na nim zbyt wielu uczestników z pięćdziesiątym ósmym paragrafem – doktor Doktor obawiał się o swoją karierę. Typowy administrator z okresu trzydziestego siódmego roku, zwolnił się z Dalstroju pod koniec lat czterdziestych, ale zobaczywszy, że wszystko zostało po staremu i że na „kontynencie” trzeba pracować, powrócił na kołymską służbę. I chociaż trzeba było od nowa wysługiwać „procentowe dodatki”, Doktor znalazł się ponownie w dobrze mu znanym otoczeniu.

„Wizytując” kurs przed egzaminami końcowymi, Doktor życzliwie wysłuchał sprawozdania o postępach uczących się kursantów, ogarnął wszystkich swoim jasnoniebieskim, szklanym wzrokiem i spytał:

– A czy wszyscy potrafią stawiać bańki?

Odpowiedzią był pełen szacunku śmiech wykładowców i „studentów”. Niestety, właśnie baniek nie nauczyliśmy się stawiać – nikt z nas nie pomyślał, że ta prosta procedura ma jakieś swoje tajemnice.

Choroby oczu wykładał doktor Łoskutow. Miałem szczęście znać Fiodora Jefimowicza Łoskutowa – jedną z najbardziej godnych uwagi postaci na Kołymie – i przez wiele lat z nim pracować. Komisarz batalionu z okresu wojny domowej – kołczakowska kula na zawsze utkwiła w lewym płucu – Łoskutow otrzymał wykształcenie medyczne na początku lat dwudziestych i pracował jako lekarz wojskowy. Przypadkowy żarcik pod adre-

sem Stalina zaprowadził go przed trybunał wojenny. Mając trzyletni wyrok, przyjechał na Kołymę i przez pierwszy rok pracował jako ślusarz w kopalni „Partyzant". Później został dopuszczony do pracy lekarza. Zbliżał się koniec trzyletniego wyroku. Był to okres znany na Kołymie pod mianem „garaninszczyzny", chociaż słuszniej byłoby go nazwać „pawłowszczyzna", zgodnie z nazwiskiem ówczesnego naczelnika Dalstroju. Pułkownik Garanin był jedynie zastępcą Pawłowa, naczelnikiem łagrów, ale właśnie on był przewodniczącym „rozstrzeliwującej" trójki i przez cały 1938 rok podpisywał niekończące się listy skazanych na rozstrzelanie. Zwalnianie się w 1938 roku było czymś strasznym dla tych, co byli skazani na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Wszystkim kończącym wyrok groziła nowa „sprawa", sfingowana, doczepiona, zorganizowana. O wiele spokojniej było mieć dziesięcioletni czy piętnastoletni wyrok niż trzy, cztery lata. Można było łatwiej oddychać.

Łoskutow został ponownie zasądzony – przez kołymską „trójkę" z Garaninem na czele – na dziesięć lat. Będąc zdolnym lekarzem, specjalizował się w chorobach oczu, operował i był nadzwyczaj cenionym specjalistą. Zarząd Sanitarny trzymał go w pobliżu Magadanu, na 23 kilometrze – w koniecznych przypadkach odwożono go do miasta pod konwojem, na konsultacje i operacje. Jako jeden z ostatnich rejonowych lekarzy Łoskutow był omnibusem: potrafił przeprowadzać nieskomplikowane operacje organów wewnętrznych, znał ginekologię i był specjalistą chorób oczu.

W 1947 roku, kiedy jego ponowny wyrok zbliżał się do końca, została sfabrykowana kolejna sprawa przez upełnomocnionego oficera politycznego, Simanowskiego. W szpitalu aresztowano kilku felczerów i kilka sióstr, skazując na różne okresy pozbawienia wolności. Sam Łoskutow znowu dostał dziesięć lat. Tym razem nalegano, aby usunąć go z Magadanu i przekazać do Bierłagu – nowego, „wewnętrznego" łagru na Kołymie z ostrym reżimem, przeznaczonego dla politycznych recydywistów. Przez kilka lat udawało się szpitalnemu naczalstwu wybronić Łoskutowa przed Bierłagiem, ale w końcu tam trafił, i po trzecim wyroku!, przy zastosowaniu zaliczeń, zwolnił się w 1954 roku. W 1955 roku został w pełni zrehabilitowany, w zastosowaniu do wszystkich trzech wyroków.

Kiedy się zwolnił, posiadał jedną zmianę bielizny, bluzę i spodnie.

Doktor Łoskutow, człowiek o wysokich wartościach moralnych, całą swoją działalność łagrowego lekarza podporządkował jednemu zadaniu: stałej, aktywnej pomocy ludziom, przede wszystkim aresztantom. Nie była

to jedynie pomoc medyczna. On zawsze po wypisaniu ze szpitala kogoś urządzał, kogoś polecał do pracy. Zawsze kogoś tam podkarmiał, komuś nosił paczki – jednemu szczyptę machorki, innemu kawałek chleba.

Chorzy uważali za wielkie szczęście znalezienie się u niego na oddziale (pracował jako terapeuta).

Łoskutow stale o coś się starał, chodził, pisał.

I tak – nie jeden miesiąc, nie jeden rok, a całych dwadzieścia – dzień po dniu, otrzymując od naczalstwa jedynie dodatkowe wyroki.

Znamy taką postać z historii. To więzienny lekarz Fiodor Piotrowicz Gaaz, o którym napisał książkę A.F. Koni. Ale czasy Gaaza były innymi czasami. To były sześćdziesiąte lata zeszłego stulecia – okres moralnego ożywienia rosyjskiego społeczeństwa. Lata trzydzieste dwudziestego wieku nie odznaczały się takim „ożywieniem”. W atmosferze donosów, oszczerstw, kar, bezprawia, otrzymywania jednego za drugim wyroków na podstawie sfingowanych spraw spełnianie dobrych uczynków było znacznie trudniejsze niż za czasów Gaaza.

Łoskutow organizował jednym, jako inwalidom, wyjazd na „kontynent”, drugim wyszukiwał lekką pracę – nie pytając o nic chorych. Rozporządzał ich losem rozsądnie i z korzyścią.

Fiodorowi Jefimowiczowi Łoskutowowi brakowało trochę wykształcenia – w szkolnym znaczeniu tego słowa: rozpoczął naukę w instytucie medycznym, mając niskie wykształcenie. Ale wiele czytał, wiele myślał, dobrze obserwował życie, swobodnie oceniał wiele różnych spraw – jednym słowem był człowiekiem o rozległym wykształceniu.

W najwyższym stopniu skromny, nieśpieszący się w ocenach – był postacią godną uwagi. Miał pewną wadę – według mnie jego pomoc nie była zbyt selektywna i dlatego próbowali go „osiodłać” błatniacy, wyczuwając sławetną „słabiznę”. Ale później dobrze się w tym zorientował.

Trzy łagrowe wyroki, niespokojne kołymskie życie, pełne zagrożeń ze strony naczalstwa, pełne poniżeń i niepewności co do jutrzejszego dnia, nie uczyniły z Łoskutowa ani sceptyka, ani cynika.

I po wyjściu na prawdziwą wolność, otrzymawszy rehabilitację razem z kupą pieniędzy, podobnie jak przedtem rozdawał je potrzebującym, podobnie pomagał i otrzymując kilka tysięcy rubli miesięcznie, nie posiadał dodatkowej pary bielizny.

Taki był wykładowca chorób oczu. Po ukończeniu kursu wypadło mi przepracować kilka tygodni – moich pierwszych felczerskich tygodni –

właśnie u Łoskutowa. Pierwszy wieczór zakończył się w pokoju zabiegowym. Przyprowadzono chorego z ropniem pozakrtaniowym.

– Co to takiego? – spytał mnie Łoskutow.

– Ropień pozakrtaniowy.

– A leczenie?

– Spuścić ropę, uważając, aby chory się nią nie zakrztusił.

– Proszę wygotować narzędzia.

Włożyłem narzędzia do sterylizatora, zagotowałem i zawołałem Łoskutowa.

– Gotowe.

– Proszę przyprowadzić chorego.

Chory usiadł na taborecie i otworzył usta. Lampka oświetlała mu krtań.

– Proszę myć ręce, Fiodorze Jefimowiczu.

– Nie, to pan niech myje. Pan przeprowadzi tę operację.

Poczułem chłodny pot na plecach. Wiedziałem jednak, dobrze wiedziałem, że jeżeli własnymi rękami czegokolwiek się nie zrobi, to nie można powiedzieć, że umie się to robić.

To, co łatwe, okazuje się ponad siły, a to skomplikowane – nieprawdopodobnie proste.

Wymyłem ręce i ze zdecydowaniem podszedłem do chorego. Szeroko otwarte oczy chorego spoglądały na mnie z wyrzutem i obawą.

Przymierzyłem się i tępym końcem noża przebiłem dojrzały ropień.

– Głowę! Głowę! – krzyknął Fiodor Jefimowicz.

Zdążyłem pochylić głowę chorego do przodu i ten wypluł ropę wprost na poły mojego fartucha.

– No, ot i wszystko. A fartuch proszę zmienić.

Następnego dnia Łoskutow skierował mnie do „półszpitalnego” oddziału szpitala, poruczywszy mi zmierzenie wszystkim ciśnienia krwi. Wziąwszy ze sobą aparat Rosa-Roggi, zmierzyłem całej sześćdziesiątce ciśnienie i wpisałem do papierów. Byli to nadciśnieniowcy. Mierzyłem tam ciśnienie przez cały tydzień, każdemu po dziesięć razy, i dopiero potem Łoskutow pokazał mi karty tych chorych.

Cieszyło mnie to, że prowadzę te pomiary w pojedynkę. Wiele lat później pojąłem, że był to zamierzony sposób – stworzenie możliwości spokojnej adaptacji; zupełnie innego postępowania wymagał pierwszy przypadek, gdzie konieczna była szybka decyzja i pewna ręka.

Każdego dnia odkrywało się przede mną coś nowego i jednocześnie znanego – z materiałów wykładów.

Symulantów i agrawantów Fiodor Jefimowicz nie demaskował.

– Im się tylko wydaje – mówił ze smutkiem Łoskutow – że są symulantami i agrawantami. Oni są bardziej chorzy, niż im się wydaje. Symulacje i agrawacja na tle dystrofii alimentarnej i duchowego marazmu życia w łagrze – to zjawiska jeszcze nieopisane…

Aleksander Aleksandrowicz Maliński, który wykładał nam choroby wewnętrzne, był odkarmionym, zaczynającym tyć sangwinikiem. Domyty, wygolony, siwy, lubił sobie pożartować. Miał ciemnoróżowe wargi w kształcie serduszka, a na plecach arystokratyczne pieprzyki-brodawki drżące na długich nóżkach, gdy czasem ukazywał się kursantom, parząc się w szpitalnej łaźni. Sypiał – jako jedyny z kołymskich lekarzy, a przypuszczam, że i jedyny spośród wszystkich kołymian – w uszytej na zamówienie, męskiej, długiej do pięt koszuli. Zostało to odkryte w czasie pożaru na jego oddziale. Udało się go od razu zagasić i szybko o nim zapomniano, ale o nocnej koszuli Malińskiego szpital rozprawiał jeszcze przez wiele miesięcy.

Będąc uprzednio lektorem na kursach doskonalenia lekarzy w Moskwie, z trudem przystosowywał się do poziomu wiedzy kursantów.

Pomiędzy lektorami a słuchaczami zawsze istniał pewien chłodek obcości. Aleksander Aleksandrowicz chciałby zerwać tę zasłonę, ale nie wiedział, jak to zrobić. Kilka niewybrednych anegdot, które skomponował, nie uczyniło jego przedmiotu bardziej dostępnym.

Poglądowość? Nawet na lekcjach anatomii obchodziliśmy się bez szkieletu. Umański rysował nam kredą na tablicy wszystkie potrzebne kości.

Maliński wykładał, starając się z całego serca przekazać nam jak najwięcej wiadomości. Znał dobrze łagier – był aresztowany w trzydziestym siódmym roku – i w swoich wykładach dał nam wiele ważnych rad dotyczących etyki lekarskiej, zwłaszcza traktowanej przez pryzmat łagru. „Nauczcie się wierzyć choremu” – nawoływał gorąco od tablicy, podrygując i postukując w nią kredą. Mowa była o „postrzałach”, „lumbago”, ale rozumieliśmy, że to wezwanie dotyczy materii o wiele ważniejszej – mowa tu o funkcjonowaniu prawdziwej medycyny w łagrze, o tym, że zwyrodnienie życia w łagrze nie powinno sprowadzać medyka z jego prawdziwej drogi.

Wiele zawdzięczamy doktorowi Malińskiemu – wiadomości, wiedzę, i chociaż jego stałe usiłowanie trzymania się na znaczny dystans od nas, jak nam się wydawało – jakby powyżej nas – nie wywoływało sympatii, to jednak uznawaliśmy jego zalety.

Aleksander Aleksandrowicz dobrze znosił klimat Kołymy. Już po rehabilitacji z własnej chęci pozostał, aby dożywać swoich dni w Sejmczanie, jednym z warzywnych gospodarstw Kołymy.

Regularnie czytał gazety, ale z nikim nie dzielił się swoimi uwagami – doświadczenie, doświadczenie… Książki czytał tylko lekarskie.

Kierownikiem kursu była lekarka z wolnego najmu, Tatiana Michajłowna Iljina, siostra Siergieja Iljina, znanego futbolisty, jak sama się przedstawiała. Tatiana Michajłowna była damą, starającą się w najdrobniejszych szczegółach utrafić w „gusty” wyższego naczalstwa. Zrobiła na Kołymie wielką karierę. Jej duchowe wazeliniarstwo nie miało prawie granic. Kiedyś poprosiła, aby przynieść jej coś „lepszego” do poczytania. Przyniosłem drogocenny tomik Hemingwaya zawierający *Piątą kolumnę* i *49 opowiadań.* Iljina pokręciła książką w rękach, przekartkowała i rzekła:

– Nie, proszę to zabrać: to luksus, a nam potrzebny jest czarny chleb.

Były to jawnie cudze słowa, pełne obłudy, wypowiedziane z zadowoleniem, chociaż niezupełnie na miejscu. Po takim afroncie przestałem myśleć o roli książkowego doradcy Iljinej.

Tatiana Michajłowna była zamężna. Na Kołymę przyjechała z dwojgiem dzieci – jako żona przy mężu. Jej mąż, oficer liniowy, podpisał po wojnie umowę z Dalstrojem i przyjechał z rodziną na Północny Wschód: tam bowiem pozostawały w mocy oficerskie przydziały, stopnie i ulgi, a rodzina była stosunkowo duża – dwoje dzieci. Został mianowany naczelnikiem wydziału politycznego jednego z Górniczych Zarządów Kołymy – było to niemałe stanowisko, prawie generalskie, i do tego z perspektywami. Ale Nikołajew – tak nazywał się mąż Tatiany Michajłownej – był człowiekiem spostrzegawczym, o wrażliwym sumieniu i wcale nie karierowiczem. Przypatrzywszy się temu bezprawiu, spekulacji, donosom, złodziejstwu, wygryzaniu, samozaopatrzeniu, łapówkom, okradaniu państwowej kasy i okrucieństwu naczalstwa w stosunku do więźniów, Nikołajew zaczął pić. Pojął, jak demoralizujące jest ludzkie okrucieństwo, i potępił je w całości i ostatecznie. Życie odkryło przed nim najstraszniejsze strony, przewyższające to, co przeżył na froncie. Nie był ani łapownikiem, ani łajdakiem. Zaczął pić.

Został szybko usunięty ze stanowiska naczelnika wydziału politycznego i w ciągu krótkiego czasu – zaledwie w dwu, trzech lat – przeszedł po stopniach kariery z góry na dół i doszedł do nisko opłacanego i nic nieznaczącego stanowiska inspektora KO szpitala dla więźniów. Jego wymuszoną namiętnością stało się łowienie ryb. Głęboko w tajdze, na brzegu rzeki Nikołajew czuł się lepiej, spokojniej. Po wygaśnięciu umowy pojechał na „kontynent".

Tatiana Michajłowna nie pojechała za nim. Przeciwnie, wstąpiła do partii, stworzyła podstawę kariery. Dzieci rozdzielili pomiędzy siebie: dziewczynka została przy ojcu, a chłopak przy matce.

Ale wszystko to wydarzyło się później, a teraz Iljina była starającą się i taktowną kierowniczką kursu. Bojąc się trochę więźniów, starała się mieć z nimi jak najmniej do czynienia i, zdaje się, nawet nie zorganizowała sobie służącej, więźniarki.

Chirurgię – „ogólną" i „szczegółową" – wykładał Mejerzon. Był uczniem Spasokukockiego, chirurgiem o wielkiej przyszłości, predestynowanym do wielkiej kariery naukowej. Ale – ożenił się z krewną Zinowjewa i w 1937 roku został aresztowany i zasądzony na 10 lat – jako przywódca jakiejś terrorystycznej, szkodniczej, antysowieckiej organizacji… W 1946 roku, kiedy rozpoczynał się kurs felczerski, on właśnie się zwolnił. (Na robotach „ogólnych" popracował mniej niż rok – przez cały okres pozbawienia wolności był chirurgiem). Wtedy zaczynało być modne „przypisanie do końca życia" – i Mejerzon został tak przypisany. Świeżo po zwolnieniu był wyjątkowo ostrożny, wyjątkowo oficjalny, wyjątkowo nieprzystępny. Świadomość rozbitej wielkiej kariery powodowała rozdrażnienie, które szukało ujścia i znajdowało je w żartach i drwinach…

Wykładał znakomicie. Będąc przez dziesięć lat pozbawiony tak lubianej pracy dydaktycznej – bo przecież dyskusje w „ruchu" z siostrami operacyjnymi się nie liczyły – po raz pierwszy ujrzał przed sobą audytorium, „studentów", „kursantów" pragnących uzyskać wiedzę medyczną. I chociaż skład kursantów był bardzo pstry – nie zbijało go to z tropu. Pierwsze jego wykłady były pasjonujące, pełne ognia. Kubłem zimnej wody wylanej na rozgorączkowanego Mejerzona stało się pierwsze przepytywanie. Audytorium było zbyt prymitywne: słowa „czynnik", „forma" wymagały wyjaśnienia i to wyjaśnienia szczegółowego. Mejerzon to zrozumiał i bardzo się tym zmartwił, ale nie dał poznać po sobie i postarał się przystosować do

poziomu. Trzeba było równać do najsłabszego – Finki Ajno, kierownika Siłantjewa itd.

– Tworzy się przetoka – mówił profesor. – Kto wie, co to takiego przetoka?

Milczenie.

– To dziura, taka dziura.

Wykłady stały się bardziej blade, chociaż nie straciły swej merytorycznej wartości.

Tak jak przystoi chirurgowi, Mejerzon odnosił się z jawną pogardą do wszystkich innych lekarskich specjalności. Starania personelu swojego oddziału o sterylność doprowadził do poziomu stolicy, wymagając skrupulatnego spełniania wymogów stawianych przez kliniki chirurgiczne. Na innych oddziałach zachowywał się z umyślnym lekceważeniem. Przychodząc na konsultacje, nigdy nie zdejmował ani kożuszka, ani czapki i siadał tak wprost na łóżku chorego – robił to na każdym oddziale terapeutycznym. Robione to było specjalnie i wyglądało jak zniewaga. Sale były mimo wszystko czyste i kiedy konsultant wychodził, sanitariusze, gderając, długo wycierali ślady mokrych walonek Mejerzona. To była jedna z rozrywek Mejerzona. Będąc obrotnym w języku, zawsze był gotów „wylać” całą swą żółć na terapeutę, całą swą złość i niezadowolenie z tego świata.

Na wykładach nie zabawiał się. Wykład był jasny, dokładny i wyczerpujący, Mejerzon potrafił znaleźć zrozumiałe dla wszystkich przykłady, żywe ilustracje, i cieszył się, jeśli widział, że jest to dobrze przyswajane. Był przodującym chirurgiem szpitala, a później naczelnym lekarzem, i na naszym kursie jego opinia miała decydujące znaczenie we wszystkich problemach związanych z kursem. Wszystkie jego czynności wobec kursantów i wszystko, co mówił, było przemyślane i celowe.

Pierwszego dnia naszego kontaktu z „prawdziwą” operacją, kiedy tłoczyliśmy się w sterylnych fartuchach i wymyślnych maseczkach z merli w kącie sali, operował właśnie Mejerzon. Asystowała mu jego stała siostra operacyjna – Nina Dmitriewna Charczenko, pracująca na umowie, sekretarz komsomolskiej organizacji szpitala. Mejerzon podawał krótkie komendy.

– Kocher!

– Igłę!

I Charczenko, biorąc ze stolika narzędzia, wkładała je do wyciągniętej ręki chirurga, w żółtej gumowej rękawiczce.

Nagle podała nie to, co trzeba, i Mejerzon zakląwszy ordynarnie, zamachnął się i rzucił pęsetę na podłogę. Pęseta zadźwięczała, Nina Dmitriewna poczerwieniała i nieśmiało podała potrzebne narzędzie.

Byliśmy urażeni za Ninę Charczenko i źli na Mejerzona. Uważaliśmy, że nie powinien tak postępować. Chociażby z naszego powodu, jeżeli nawet już jest takim grubianinem.

Po operacji zwróciliśmy się do Niny Dmitriewnej z wyrazami współczucia.

– Chłopcy, chirurg odpowiada za operację – powiedziała poważnie, jakby zwierzając się. W jej głosie nie wyczuwało się ani zakłopotania, ani urazy.

Jak gdyby rozumiejąc, co się dzieje w duszach neofitów, następne zajęcia Mejerzon poświęcił oddzielnemu tematowi. Był to wspaniały wykład o odpowiedzialności chirurga, o jego woli, o konieczności przełamywania woli chorego, o psychologii lekarza i psychologii chorego.

Wykład ten zachwycił wszystkich bez wyjątku i od tej pory my wszyscy, w naszym środowisku uczestników kursu, stawialiśmy Mejerzona najwyżej pośród wykładowców.

Podobnie wspaniały, prawie poetycki był jego wykład „Ręce chirurga”, w którym rzecz o zawodzie lekarza, o pojęciu sterylności przedstawiona została w niezwykłym uniesieniu. Mejerzon prowadził ten wykład jakby dla siebie, prawie nie patrząc na słuchaczy. Było w nim wiele opowiadań. Również o panice, która ogarnęła klinikę Spasokukockiego na skutek tajemniczej infekcji chorych w trakcie czystych operacji – powodem była brodawka na palcu asystenta. Był to wykład o strukturze skóry i o nienaganności pracy chirurga.

A także o tym, dlaczego żaden chirurg, żadna siostra operacyjna, żaden felczer z oddziału chirurgii nie ma prawa brać udziału w łagrowych „udarnikach”, nie ma prawa fizycznie pracować. Widzieliśmy za tym wieloletnią, uporczywą walkę chirurga Mejerzona z ciemnym łagrowym naczalstwem.

Czasami, w ciągu dnia poświęconego na sprawdzenie stopnia przyswojenia materiału, Mejerzon kończył przepytywanie szybciej, niż zamierzał. Reszta czasu była poświęcona niezwykle ciekawym opowiadaniom *à propos*: o wybitnych rosyjskich chirurgach, o Opplu, Fiodorowie, a zwłaszcza o Spasokukockim, którego Mejerzon ubóstwiał. Wszystko to było powiedziane celnie, rozumnie i z korzyścią dla nas, wszystko było jak najbardziej „prawdziwe”. Zmieniało się nasze spojrzenie na świat, dzięki Mejerzonowi

stawaliśmy się medykami. Uczyliśmy się lekarskiego myślenia i robiliśmy to z powodzeniem. Po ośmiomiesięcznym kursie, prowadzonym według programu dwuletniego, każdy z nas stał się inny.

Mejerzon przejechał później z Magadanu do Nieksikanu – na teren Zarządu Zachodniego. W 1952 roku został nagle aresztowany i odwieziony do Moskwy – próbowano go „podszyć" do „sprawy lekarzy". Wraz z nimi został zwolniony w 1953 roku. Po powrocie na Kołymę Mejerzon przepracował tam już niewiele i bojąc się pozostawać dłużej w tak „niepewnym" i niebezpiecznym terenie, odjechał na „kontynent".

Przy szpitalu był klub, ale kursanci do niego nie chodzili – oprócz dziewczyn, Żeńki Kaca i Borysowa.

Wydawało nam się świętokradztwem tracenie czasu na cokolwiek innego poza zajęciami. Uczyliśmy się w dzień i w nocy. Początkowo próbowałem przepisywać notatki na czysto do specjalnego zeszytu, ale nie starczało na to ani czasu, ani papieru.

Łagrowy szpital był już przepełniony ludźmi czasu wojny – rosyjskimi emigrantami z Mandżurii, Japończykami wziętymi do niewoli, którym zamiast chleba wydawano ryż, wieloma setkami ludzi zasądzonych przez wojenne trybunały jako szpiedzy – ale wszystko to nie nabrało jeszcze tego rozmachu nieco późniejszych represji z końca nawigacji 1946 roku, kiedy pięć tysięcy więźniów przywiezionych parowcem *Kim* zostało w grudniu zalanych wodą z pomp w czasie przedłużającego się rejsu. Prace związane z transportem i amputacjami odmrożeń tych ludzi prowadziliśmy już jako pełnoprawni felczerzy i nie w Magadanie.

Każdego z nas dręczyła niepewność – czy kursy nie zostaną zamknięte? Pogłoski, jedne straszniejsze od drugich, nie dawały nam spać. Ale zajęcia pomału posuwały się naprzód i w końcu nastał dzień, kiedy skrajni malkontenci i niedowiarki mogli odetchnąć z ulgą.

Minęło ponad trzy miesiące, a kurs wciąż trwał. Powstały nowe wątpliwości – czy podołamy końcowemu egzaminowi? Przecież kurs był oficjalną instytucją, uprawniał do leczenia. Co prawda w 1953 roku sanitarny wydział Dalstroju wyjaśnił wydziałowi zdrowia w Kalininie, że ci, co ukończyli te kursy, mogą leczyć tylko na Kołymie, ale tak dziwne rozgraniczenie wiedzy medycznej nie zostało wzięte na miejscu pod uwagę.

Wielce martwiło nas to, że program był skrócony i dawał jedynie uprawnienia siostry medycznej (czy brata). Ale i to było sprawą drugorzędną. Gorzej było, że nie wydawano nam żadnych dokumentów. „Zaświadczenia znajdą się w waszych aktach” – wyjaśniła Iljina. Okazało się jednak, że w aktach personalnych nie było żadnych śladów naszego medycznego wykształcenia. Niektórzy z nas po zwolnieniu musieli zbierać zaświadczenia potwierdzone przez wykładowców tych kursów.

Po upływie trzech miesięcy czas zaczął biec coraz szybciej. Zbliżający się dzień egzaminów nie cieszył nas – stanowił koniec tego wspaniałego życia na 23 kilometrze. My, co widzieliśmy już Kołymę, weterani trzydziestego siódmego roku, wiedzieliśmy, że lepszego życia już nie będzie. I dlatego niepokoiliśmy się i smucili, ale nie za bardzo, gdyż Kołyma nauczyła nas nie planować dalej niż na dzień naprzód.

Dzień egzaminów przybliżał się. Już otwarcie mówiono o tym, że szpital zostanie przeniesiony o 500 kilometrów w głąb tajgi – na „lewy brzeg” rzeki Kołymy, do osady Diebin.

Na miesiąc przed zakończeniem kursu urządzono próbny egzamin ze wszystkich przedmiotów. Nie przywiązywałem do niego żadnej wagi i dopiero po egzaminie uświadomiłem sobie, że wszystkie kartki z pytaniami, które kursanci otrzymali na prawdziwym egzaminie, były powtórzeniami pytań „wstępnego” egzaminu. Oczywiście członkowie komisji – wysokie naczalstwo z sanitarnego wydziału Dalstroju – mogli zadawać i zadawali dodatkowe pytania. Ale podstawa pewności egzaminowanego, podstawa wrażenia egzaminatora wynikała z wcześniejszych dobrych odpowiedzi na pytania ze znajomego zestawu. Pamiętam swoją kartkę z zakresu chirurgii – „żylakowe rozszerzenie żył”.

Jeszcze przed egzaminami przyszła uspokajająca pogłoska, że wszyscy ukończą kurs, koniecznie wszyscy, że nikt nie zostanie pozbawiony skromnych uprawnień medycznych. Ucieszyło to wszystkich. Pogłoska okazała się prawdziwa.

Pomału umacniały się i poszerzały nasze wiadomości. Nie byliśmy już obcymi, dostąpiwszy wtajemniczenia, byliśmy członkami lekarskiego zakonu. Tak na nas patrzyli lekarze i chorzy.

Przestaliśmy być zwykłymi ludźmi. Staliśmy się specjalistami.

Poczułem się – po raz pierwszy na Kołymie – potrzebnym człowiekiem: szpitalowi, łagrowi, życiu i samemu sobie. Poczułem się pełnoprawnym człowiekiem, na którego nikt nie mógł krzyczeć ani się nad nim znęcać.

I chociaż wielu naczelników wsadzało mnie do karceru za różne występki przeciw łagrowemu reżimowi – prawdziwe czy wymyślone – pozostawałem w karcerze tym samym człowiekiem, potrzebnym szpitalowi. I wychodziłem z karceru znów do pracy felczera.

Zniweczona, pokruszona na drobne cząstki miłość własna otrzymywała niezbędne spoiwo, cement, za pomocą którego można było odtworzyć to, co zostało zupełnie rozbite.

Kurs zbliżał się do końca i młodzi chłopcy, tak jak to powinno być, nawiązali kontakty z dziewczętami. Ale ci starsi nie pozwolili uczuciu wpływać na ich los. Miłość była zbyt niską stawką w łagrowej rozgrywce. Latami uczono nas wstrzemięźliwości i uczono nie na darmo.

Rosła we mnie silna ambicja. Doskonałą czyjąś odpowiedź na jakichkolwiek zajęciach odbierałem jako osobistą obrazę, stawała się dla mnie zniewagą. Powinienem był potrafić odpowiedzieć na wszystkie pytania wykładowcy.

Nasza wiedza po trosze wzrastała, a co najważniejsze – rosło zainteresowanie i wciąż rozpytywaliśmy lekarzy – nieważne, że naiwnie, że głupio. Za każdym razem dawano nam zdecydowaną odpowiedź. Odpowiedzi wywoływały nowe pytania. Nie ważyliśmy się jeszcze na medyczne spory pomiędzy nami samymi. Byłoby to zbytkiem pewności siebie.

Ale… kiedyś wezwano mnie, abym nastawił wywichnięte ramię. Lekarz dawał narkozę typu „rausz”, a ja nastawiałem – nogą – według sposobu Hipokratesa. Coś tam zachrzęściło pod piętą i kość weszła na swoje miejsce. Byłem szczęśliwy. Tatiana Michajłowna Iljina, obecna przy nastawianiu wywichnięcia, powiedziała:

– O, jak dobrze was wyuczono – a ja nie mogłem się z nią nie zgodzić.

Oczywiście ani razu nie byłem w kinie, ani też na przedstawieniach kultbrygady, która zarówno w Magadanie, jak i w szpitalu była na dobrym poziomie i wyróżniała się pomysłowością i smakiem, zdolnymi się przebić przez kurtynę cenzury KWO. Magadańską kultbrygadą kierował w owym czasie L.W. Warpachowski, potem główny reżyser Moskiewskiego Teatru im. Jermołowej. Nie miałem na to czasu, a przy tym powoli otwierające się przede mną tajniki medycyny interesowały mnie znacznie bardziej.

Medyczna terminologia przestała być dla mnie abrakadabrą. Zabierałem się do czytania medycznych artykułów i książek bez uprzedniego strachu i poczucia bezsilności.

Nie byłem już zwykłym człowiekiem. Byłem zobowiązany nieść pierwszą pomoc, orientować się chociażby w ogólnym zarysie w stanie ciężko chorego. Zobowiązany byłem postrzegać niebezpieczeństwo zagrażające ludzkiemu życiu. Było to jednocześnie radosne i niepokojące. Obawiałem się – czy wypełnię ten wielki obowiązek.

Wiedziałem, jak posłużyć się syfonową lewatywą, aparatem Bobrowa, skalpelem, strzykawką…

Potrafiłem prześcielić łóżko ciężko choremu i mogłem tego nauczyć sanitariuszy. Umiałem im wyjaśnić, czemu służy dezynfekcja i sprzątanie.

Poznałem tysiące nowych rzeczy, o których wcześniej nie miałem pojęcia – rzeczy przydatnych, potrzebnych, koniecznych.

Kurs się zakończył i pomału zaczęto wysyłać nowych felczerów na ich miejsca pracy. I oto lista, lista w ręku konwojenta, na której figuruje również moje nazwisko. Siadam jednak ostatni do ciężarówki. Wiozę chorych na lewy brzeg. Samochód ciasno nabity, więc siadam z samego brzegu, przysunięty plecami do klapy ciężarówki. W czasie sadowienia wysunęła mi się koszula i wiatr dmucha poprzez szczeliny oparcia. W rękach mam węzełek z flaszeczkami waleriany, kroplami konwaliowymi, z jodyną i amoniakiem. A w nogach – ciasno wypchany worek z moimi notatkami z kursu. Przez wiele lat stanowiły one dla mnie najlepszą podporę, aż do czasu, kiedy już odjeżdżałem – porwał je na strzępy niedźwiedź, który wtargnął do ambulatorium w tajdze, tłukąc również wszystkie słoiki i flaszeczki.

ZMYTA FOTOGRAFIA

Jedno z najważniejszych odczuć w łagrze – to bezmiar poniżenia, ale też pociecha, że zawsze, w każdych warunkach istnieje ktoś, komu jest jeszcze gorzej. To stopniowanie ma wiele realizacji. A pociecha jest ratunkiem i być może w niej kryje się główny sekret człowieka. To odczucie stanowi deskę ratunku i jest jednocześnie pogodzeniem się z tym, z czym się zgodzić nie można.

Krist dopiero co uratował się od śmierci, uratował do jutrzejszego dnia, nie więcej, gdyż ten dzień – to dla aresztanta tajemnica, której nie należy odgadywać. Krist stał się niewolnikiem, robakiem – na pewno robakiem, gdyż zdaje się, że spośród całego świata ożywionego on jeden nie posiada serca.

Krist został umieszczony w szpitalu. Sucha, pelagryczna skóra łuszczyła się, a zmarszczki wypisały na jego twarzy ostateczny wyrok. Starając się odnaleźć na dnie duszy, w ostatnich ocalonych komórkach swego kościstego ciała jakąś siłę fizyczną i duchową – aby przeżyć do następnego dnia, Krist wkłada brudny fartuch sanitariusza, zamiata sale, ściele łóżka, myje i mierzy temperaturę chorym.

Krist jest już bogiem – i nowi, głodni i chorzy, patrzą na Krista jak na swoje przeznaczenie, jak na bożyszcze, które może im pomóc, może wybawić. Od czego, chory tego nie wie. On wie tylko jedno, że przed nim jest sanitariusz spośród chorych, który może szepnąć słówko lekarzowi, i choremu dadzą poleżeć dodatkowy dzień w szpitalu. A może nawet, gdy się wypisze, to przekaże swoje stanowisko, swą miskę zupy, swój sanitarny fartuch – właśnie jemu, choremu.

Krist wdział fartuch i stał się bóstwem.

– Wypiorę ci koszulę. W łaźni. Nocą. I wysuszę na piecu.

– Tu nie ma wody. Dowożą.

– No to zostaw pół wiadra.

Krist już od dawna chciał wyprać swą bluzę. Sam by ją wyprał, ale walił się z nóg ze zmęczenia. Bluza była jeszcze z kopalni – przesycona słonym

potem, same kawałki, a nie bluza. I być może pierwsze pranie zamieni ją w proch, w pył – bluza rozpadnie się. Jedna kieszeń była w niej oderwana, a druga cała i w niej mieściło się wszystko, co było dla Krista dlaczegoś tam ważne i potrzebne.

Mimo wszystko trzeba ją było wyprać. Całkiem po prostu – to szpital, Krist jest sanitariuszem, a bluza jest brudna. Przypomniał sobie, jak przed kilku laty wzięto go do przepisywania w dziale gospodarczym dziesięciodniowych kart żywieniowych – według wypracowanych procentów. I jak wszyscy mieszkający razem z nim w baraku znienawidzili go za te bezsenne noce, dające mu dodatkowy talon na obiad. I jak Krista od razu „sprzedali", „spławili", wskazując komuś z etatowych buchalterów-więźniów, „nie-politycznych", kołnierzyk Krista, po którym pełzła wesz, głodna i blada jak on sam. I jak Krist w jednym momencie został czyjąś żelazną ręką wyciągnięty z biura i wyrzucony na dwór.

Tak, lepiej było wyprać bluzę.

– Przepiorę, jak będziesz spać. Za kawałeczek chlebka, a jeśli nie masz, to i tak.

Krist nie miał chleba. Ale na dnie duszy coś tam krzyczało, że należy zostać głodnym, a bluzę jednak wyprać. I Krist przestał stawiać opór rozpaczliwej chęci drugiego, głodnego człowieka.

Krist spał jak zawsze – nie był to sen, ale odrętwienie.

Przed miesiącem, kiedy Krist nie leżał jeszcze w szpitalu, a tylko snuł się w ogromnym tłumie „dochodiagów" – od stołówki do ambulatorium, od ambulatorium do baraku, w białej mgle łagrowej zony – wtedy przydarzyło się nieszczęście. Ukradziono mu kapciuch. Oczywiście pusty. Nie pierwszy rok nie było w nim żadnej machorki. Ale Krist przechowywał w nim – po co? – fotografie i listy żony: wiele listów i wiele fotografii. I chociaż Krist nigdy tych listów nie odczytywał ponownie ani nie przeglądał fotografii – było to zbyt ciężkie – przechowywał tę paczuszkę na lepsze czasy. Trudno było wyjaśnić, dlaczego woził te listy, napisane dużym, dziecinnym charakterem pisma, po wszystkich aresztanckich drogach. W czasie rewizji listów nie odbierano. Kupa listów nagromadziła się w kapciuchu. I ukradli go. Na pewno myśleli, że są tam pieniądze, że pomiędzy fotografiami przechowuje się jakiś cieniutki rubel. Rubla nie było… Krist nigdy nie odnalazł tych listów. Zgodnie ze znanymi prawami kradzieży, przestrzeganymi na wolności, należy dokumenty podrzucać do koszy na śmieci, a fotografie przesyłać pocztą lub wyrzucać na śmietnisko. Krist wiedział jednak, że w kołymskim

świecie te pozostałości ludzkich odruchów zostały wytępione bez reszty. Listy zostały oczywiście spalone w jakimś ognisku lub łagrowym piecu, aby barak rozświetlić w nocy nagłym ogniem. Ale fotografie – dlaczego fotografie?

– Nie odnajdziesz – powiedział mu sąsiad. – Zabrali błatniacy.

– A im to po co?

– Ech, ty! Żeńska fotografia?

– No tak.

– A na seans.

I Krist przestał pytać.

W kapciuchu trzymał stare fotografie. Nowy list i nowa fotografia – maleńka, z dowodu osobistego – znajdowały się w lewej kieszeni bluzy.

Krist spał jak zawsze – jak odrętwiały. I obudził się z uczuciem, że powinno się zdarzyć coś dobrego. Przypominał sobie niedługo. Czysta bluza! Krist spuścił ociężałe nogi z pryczy i wyszedł do kuchni. Spotkał Krista wczorajszy chory.

– Suszę, suszę. Na piecu suszę.

Nagle Krist poczuł zimny pot.

– A list?

– Jaki list?

– W kieszeni.

– Nie rozpinałem kieszeni. Czyż mógłbym je rozpinać?

Krist sięgnął ręką po koszulę. List był cały wilgotny, mokry. Bluza była sucha, a list był wilgotny z zaciekami wody lub łez. Fotografia była zmyta, zatarta, zniekształcona i jedynie ogólny zarys przypominał mu znajomą twarz.

Litery listu były zatarte, ale Krist znał go na pamięć i odczytał każde zdanie. Był to ostatni list od żony, który otrzymał. Niedługo nosił go przy sobie. Słowa tego listu wyblakły, rozpłynęły się i jego tekst Krist przestał pamiętać tak dobrze. Fotografia natomiast ostatecznie uległa zniszczeniu i znikła podczas jakiejś specjalnie dokładnej dezynfekcji w Magadanie, na kursach felczerów, które przemieniły Krista w rzeczywistego już, a nie wymyślonego kołymskiego boga.

POGOŃ ZA DYMEM Z PAROWOZU

Tak, to było moim marzeniem: posłyszeć gwizd parowozu, ujrzeć jego biały dym, ścielący się po zboczu kolejowego nasypu.

Czekałem na ten dym, oczekiwałem prawdziwego parowozu.

Pełzliśmy u kresu sił, nie decydując się na porzucenie buszłatów i półkożuszków. Pozostało tylko piętnaście kilometrów do domu, do baraków. Ale baliśmy się porzucić te buszłaty i półkożuszki wprost na drodze, rzucić do rowu i biec, iść, pełznąć, wybawieni od strasznego ciężaru odzieży. Baliśmy się ją porzucić – w zimową noc odzież przemieni się w ciągu kilku minut w zamarznięty krzew cedrowca czy w oblodzony kamień. Nocą nigdy nie odnajdziemy odzieży, zagubi się w zimowej tajdze, tak jak latem potrafi zginąć waciak pomiędzy krzakami cedrowca, jeżeli nie przywiąże się go do wierzchołka jak wiechy, wiechy życia. Wiedzieliśmy, że bez buszłatów i półkożuszków nie uratujemy się. I tracąc siły, wlekliśmy się, grzejąc się własnym potem i czując przy zatrzymaniu ruchu, jak ścinający chłód pełznie po bezsilnym ciele, które utraciło swą zasadniczą właściwość – bycia źródłem ciepła, zwykłego ciepła, rodzącego nadzieję lub chociaż złość.

Wlekliśmy się wszyscy razem, wolni i więźniowie. Szofer, któremu skończyła się benzyna, pozostał, czekając na pomoc, którą my wezwiemy. Pozostał przy ognisku, roznieconym z jedynego suchego drzewa, które znalazło się pod ręką – z wiech wyznaczających drogę. Być może ocalenie szofera groziło śmiercią innym maszynom – przecież wszystkie wiechy drogowe zostały zebrane, połamane i włożone do ogniska o niewielkim płomieniu, który jednak ratował, i szofer, zgiąwszy się nad ogniskiem, nad płomieniem, dorzucał – od czasu do czasu kolejne drewienko, szczepkę – szofer nie myślał nawet o rozgrzaniu się, o wygrzaniu. On jedynie chronił życie… Jeśliby porzucił samochód i powlókł się razem z nami po zimnych, ostrych kamieniach górskiej szosy – to otrzymałby wyrok, a my – wlekliśmy się po pomoc.

Wlokłem się, starając się wyzbyć wszelkich myśli, bo myśli podobnie do ruchu wymagały energii – a jej nie można było tracić na nic innego, niż

wdrapywanie się, przewalanie, taszczenie własnego ciała naprzód po zimowej górskiej drodze.

I mimo wszystko na tym pięćdziesięciostopniowym mrozie nasze oddechy były jak dym z parowozu. I srebrzące się w tajdze modrzewie strzelały w niebo jak dym z parowozu, a biała, przesłaniająca niebo mgła, którą wypełniona była nasza noc, też była dymem z parowozu, dymem moich wieloletnich marzeń. W tej białej ciszy usłyszałem coś, co nie było szumem wiatru, lecz frazą muzyczną wprost z nieba i jasnym, melodyjnym, dźwięcznym ludzkim głosem, dającym się słyszeć w mroźnym powietrzu wprost nad nami. Muzyczna fraza była halucynacją, złudzeniem dźwiękowym, mającym coś z parowozowego dymu wypełniającego nasz wąwóz. Ludzki głos stanowił tylko logiczną kontynuację dźwiękowego mirażu.

Spostrzegłem, że nie tylko ja jeden słyszę ten głos. Cała pełznąca grupa to słyszała. Zmartwiała, nie mając sił się ruszyć. W głosie z nieba było coś większego od nadziei, ważniejszego od naszego żółwiego poruszania się w kierunku życia. Głos z nieba powtarzał:

„Przekazuję komunikat TASS. Piętnastu lekarzy… Zostali bezprawnie oskarżeni, w niczym nie zawinili, a ich zeznania uzyskano przez stosowanie niedopuszczalnych metod śledztwa, bezwzględnie zabronionych przez sowieckie prawo”. Zwolnili lekarzy. A to ci numer! Jak się mają do tego listy Lidii Timaszuk i order? A jak dziennikarka Olga Czeczotkina, wysławiająca samą czujność, a także bohaterkę, tę czujność przejawiającą, jako uosobienie czujności, jej personifikację, czujność przedstawioną całemu światu do akceptacji…

Bo przecież śmierć Stalina nie wywarła na nas, tak doświadczonych, należytego wrażenia.

Niebiańska muzyka już długo dźwięczała, gdy ponownie popełzliśmy do przodu. Nikt nie wyrzekł ani słowa – każdy sam przetrawiał nowinę.

Zamrugały ognie osady. Naprzeciw wlokącym się powychodziły ich żony, podwładni, naczelnicy. Na moje spotkanie nikt nie wyszedł – musiałem sam dowlec się do baraku, do pokoju, do łóżka, i rozpalić żelazny piecyk. I kiedy odegrzałem się, napiłem gorącej wody, nagrzanej w kubku wprost na gorejących w piecyku drwach, czując, jak ciepłe światło biegnie po mojej twarzy – bo przecież nie była cała przedtem odmrożona, były w niej jakieś ocalałe części, wysepki, resztki – podjąłem decyzję.

Następnego dnia złożyłem podanie o zwolnienie.

– Zwolnienie – w ręku Boga – z ironią powiedział naczelnik rejonu, ale podanie przyjął, i zostało ono zawiezione razem z kolejną pocztą.

Jestem na Kołymie od siedemnastu lat i proszę o zwolnienie. Jako były więzień nie posiadam praw do wysługi lat, do dodatków. Moje zwolnienie nie obciąży państwa prawie żadnymi wydatkami. Proszę o zwolnienie.

Po dwu tygodniach otrzymałem odpowiedź: odmowę bez żadnego uzasadnienia. Z miejsca napisałem odwołanie do prokuratora, żądając interwencji i tak dalej.

Rzecz była w tym, że jeśli błyśnie jakiś promyk nadziei – to powinny być usunięte wszystkie prawne bariery, ażeby nie stanęły na przeszkodzie żadne formalności i papierki. Najprawdopodobniej ta korespondencja nie da rezultatu. A może…

W klubie zerwano portret Berii, a ja wciąż pisałem i pisałem… Areszt Berii nie umocnił moich nadziei. Wydarzenia te działy się jakby same dla siebie i ich łączność z moim losem nie dawała się jawnie odczuć. Nie o Berii powinienem był myśleć.

Prokurator odpowiedział po dwu tygodniach. Był to prokurator zajmujący niegdyś wysokie stanowisko w sąsiednim zarządzie. Został z niego usunięty i przeniesiony do naszej dziury. Bo żona prokuratora handlowała maszynami do szycia po cenach dziesięciokrotnie wyższych, o czym nawet napisano felieton. Prokurator próbował się bronić najbardziej znanym orężem – doniósł, że sprzątający naczelnika zarządu Azbukina handluje z więźniami machorką po dziesięć rubli za skręta. A machorkę otrzymuje w paczkach samolotami z „kontynentu”, omalże pocztą dyplomatyczną – według specjalnych bagażowych norm przysługujących wyższemu naczalstwu, a nawet i bez żadnych norm. Za stołem naczelnika zarządu zasiadało codziennie po dwadzieścia osób i żadne polarne stawki, żadne wysługi lat nie mogły pokryć wydatków na wino i owoce. Naczelnik zarządu był czułym ojcem rodziny, miał dwoje dzieci. Wszystkie wydatki pokrywała sprzedaż machorki: własnej roboty papieros kosztował dziesięć rubli, a z paczki – ósmej części funta, zawierającej osiem zapałczanych pudełek machorki, wychodziło sześćdziesiąt papierosów. Sześćset rubli taka paczka, 50 gramów – gra warta była świeczki.

Prokurator, który znalazł swój sposób na bogacenie się, został natychmiast usunięty i przeniesiony do naszej dziury. Rozgorączkowany walką

z naczalstwem, wiedziony nienawiścią, pilnował trzymania się przepisów prawa i szybko odpowiadał na listy.

Napisałem powtórne podanie: *Odmówiono mi zwolnienia. Obecnie przesyłam zaświadczenie prokuratora…* Po dwu tygodniach otrzymałem odmowę. Bez żadnego uzasadnienia – tak jakby mi był potrzebny zagraniczny paszport, gdzie nie podaje się przyczyny odmowy.

Napisałem do prokuratora obwodowego, do Magadanu, i otrzymałem odpowiedź, że mam prawo do zwolnienia i wyjazdu. Walka „sił wyższych" przeszła w jakieś nowe stadium. Każda „zmiana kursu" pozostawia ślady w postaci wielorakich nakazów, wyjaśnień, zezwoleń. Wyczuwało się jakąś odpowiedniość, moje podania trafiały, jak mówią błatniacy, „w kolor". W barwę czasu?

Po dwu tygodniach otrzymałem odmowę. Bez żadnego uzasadnienia. I chociaż wielokrotnie pisałem łzawe listy do mojego naczelnika – naczelnika oddziału sanitarnego, felczera Capko – nie otrzymałem od niego żadnej odpowiedzi.

Od mojej siedziby do najbliższego lekarskiego rejonu w zarządzie było trzysta kilometrów.

Zrozumiałem, że konieczne jest osobiste spotkanie. I Capko przyjechał razem z nowym naczelnikiem łagrów, obiecując wiele, wszystko, nawet zwolnienie.

– Znajdę kogoś, gdy wrócimy. A ty zostań jeszcze przez zimę. Na wiosnę pojedziesz.

– Nie. Jeśli mnie nawet zupełnie nie zwolnią, to z waszego zarządu odejdę na pewno.

Rozstaliśmy się. Sierpień zamienił się we wrzesień. Skończyła się powrotna wędrówka ryb ze strumieni. Ale mnie nie interesowały ani więcierze, ani wybuchy, po których wypływała ryba i na górskich falach kołysały się białe brzuchy gorbuszy i kiety, kołysały się, unoszone do zatoczek, gdzie psuły się i gniły.

Potrzebny był, jak widać, przypadek. I taki się przydarzył. Rejon nasz odwiedził sam naczelnik Zarządu Dróg inżynier pułkownik Kondakow. Nocował w pokoju naczelnika rejonu. Spiesząc się, z bojaźni, że Kondakow zaśnie, zastukałem do drzwi.

– Proszę wejść.

Kondakow siedział przy stole w rozpiętym mundurze i rozmasowywał czerwony ślad pozostawiony przez kołnierzyk okalający jego okrągłą białą

szyję.

– Jestem felczerem rejonowym. Czy mogę się zwrócić w sprawie osobistej?

– W podróży z nikim nie rozmawiam.

– Przewidziałem to – odrzekłem spokojnie i chłodno. – Napisałem list z podaniem. Proszę, jest w kopercie – tam wszystko jest napisane. Proszę o przeczytanie w dogodnym dla siebie czasie.

Sytuacja stała się niezręczna i Kondakow przestał się zajmować kołnierzykiem. Cokolwiek by powiedzieć, Kondakow był inżynierem, człowiekiem z wyższym, chociaż technicznym wykształceniem.

– Proszę siadać i opowiedzieć, o co chodzi.

Siadłem i opowiedziałem.

– Jeśli wszystko jest rzeczywiście tak, jak pan mówi, to obiecuję zwolnienie zaraz po moim powrocie do zarządu. Za dziesięć dni.

Po dziesięciu dniach zadzwoniono do mnie z zarządu – dzwonili przyjaciele – jeżeli tacy tam byli. Lub też całkiem po prostu ciekawscy, nie aktorzy, ale widzowie, którzy spokojnie, przez wiele godzin pod rząd, przez wiele lat przypatrują się, jak ryba usiłuje się wydostać z dziurawego więcierza, jak lis odgryza sobie łapę, aby uwolnić się od wnyków. Przypatrują się, nie próbując otworzyć pułapki i wypuścić lisa. Całkiem po prostu obserwują walkę zwierzęcia i człowieka.

Telefonogram z rejonu do zarządu – na mój rachunek. Zezwolenie na taki telegram wymodliłem u naczelnika rejonu… Żadnej odpowiedzi.

Nastąpiła kołymska zima. Potoki zaciągnęło lodem i tylko gdzieś na bystrzynach ciekła, płynęła żyjąca woda, dymiąc jak para z lokomotywy.

Trzeba było się spieszyć. Spieszyć.

– Odsyłam ciężko chorego do zarządu – zameldowałem naczelnikowi.

U chorego wytworzyło się wrzodowe zapalenie jamy ustnej na tle niedojadania i awitaminozy; zapalenie to łatwo było pomylić z dyfterytem. Mieliśmy prawo takie przypadki odsyłać, co więcej – byliśmy zobowiązani to robić. Zgodnie z nakazem, prawem i sumieniem.

– A kto go odwiezie?

– Ja.

– Sam?

– Tak. Zamkniemy ambulatorium na tydzień.

Takie przypadki zdarzały się wcześniej i naczelnik o tym wiedział.

– Zrobię spis rzeczy. W celu uniknięcia kradzieży. A szafę na plombę pełnomocnego oficera.

– O tak, to słusznie. – Naczelnik uspokoił się.

Pojechaliśmy okazją. Marzliśmy, odgrzewając się co trzydzieści kilometrów, i na trzecią dobę, jeszcze przed zmrokiem, w żółtobiałej mgle kołymskiego dnia dotarliśmy do zarządu.

Pierwszym człowiekiem, którego ujrzałem, był felczer Capko, naczelnik wydziału sanitarnego.

– Przywiozłem ciężko chorego – zameldowałem, ale Capko nie patrzył na chorego, lecz na walizki. Miałem nawet walizki – własnej roboty, z dykty. Znajdowały się w nich książki, moje taniutkie ubranie, bielizna, koc, poduszka… Capko wszystko zrozumiał.

– Bez naczelnika nie wydam zezwolenia na wyjazd.

Poszliśmy do naczelnika. Był to jakiś maleńki naczelnik w porównaniu z inżynierem pułkownikiem Kondakowem. Po jego niepewnym tonie i niezdecydowanych odpowiedziach zorientowałem się, że nadeszły jakieś nowe rozporządzenia, nowe „wyjaśnienia”…

– Nie chcesz jeszcze pozostać na zimę? – Był to już koniec października i była pełnia zimy.

– Nie.

– No cóż. Jak nie chce, to nie zatrzymujcie…

– Tak jest, towarzyszu naczelniku! – Capko wyprostował się przed naczelnikiem łagru, trzasnął obcasami i wyszliśmy na brudny korytarz.

– No więc tak – z zadowoleniem powiedział teraz Capko. – Dopiąłeś swego. Zwalniamy cię zupełnie, dokąd chcesz. Pojedziesz na „kontynent”. Na twoje miejsce wyznaczony został felczer Nowikow. To frontowiec, podobnie jak i ja, z wojny. Pojedziesz razem z nim do siebie – wszystko przekażesz zgodnie z przepisami i wtedy wracaj, aby się rozliczyć.

– Trzysta kilometrów? I ponownie tutaj – przecież ta jazda zabierze miesiąc. Nie mniej.

– Nic więcej zrobić nie mogę. Zrobiłem wszystko, co możliwe.

Zrozumiałem, że rozmowa z naczelnikiem łagru była przygotowanym wcześniej oszukaństwem. Na Kołymie nie wolno się z nikim radzić. Więzień i były więzień nie mają przyjaciół. Pierwszy z brzegu doradca pobiegnie do naczelnika, ażeby opowiedzieć i wydać kolegę, aby wykazać swą czujność.

Capko już dawno sobie poszedł, a ja wciąż siedziałem na podłodze w korytarzu i paliłem, paliłem.

Co to za Nowikow? Felczer z frontu? Odnalazłem Nowikowa. Był to człowiek ogłuszony przez Kołymę. Samotność, trzeźwość, niezdecydowane spojrzenia mówiły o tym, że dla Nowikowa Kołyma okazała się zupełnie nie taka, jakiej oczekiwał, rozpoczynając polowanie na wielkie ruble. Nowikow był jeszcze za bardzo nowicjuszem, za bardzo frontowcem.

– Słuchaj – powiedziałem. – Jesteś z frontu. A ja jestem tutaj od siedemnastu lat. Odsiedziałem dwa wyroki. Teraz zwalniają mnie. Ujrzę rodzinę. W moim felczerskim punkcie wszystko jest w porządku. Oto spis. Wszystko oplombowane. Podpisz akt przejęcia bez sprawdzenia.

Nowikow podpisał, nikogo się nie radząc. Nie poszedłem do Capka, aby mu powiedzieć, że akt przejęcia został podpisany. Poszedłem wprost do buchalterii. Buchalter przejrzał moje dokumenty – wszystkie zaświadczenia, wszystkie papierki.

– No cóż – powiedział. – Możesz dostać rozliczenie. Tylko jest jeden szkopuł. Wczoraj otrzymano telegram z Magadanu – wstrzymać wszystkie zwolnienia aż do wiosny, do przyszłej nawigacji.

– Co mi tam nawigacja. Ja przecież samolotem.

– Taki ogólny nakaz, przecież sam wiesz. Nie od wczoraj jesteś na tym świecie.

Ponownie usiadłem na podłodze w biurze i paliłem, paliłem. Przeszedł Capko.

– Jeszcze nie odjechałeś?

– Nie, nie odjechałem.

– No to bywaj…

Z jakiegoś powodu rozczarowanie nie było zbyt głębokie. Do takich uderzeń w plecy już się przyzwyczaiłem. Ale teraz nie powinno było się przydarzyć nic złego. Jeszcze całym swym ciałem i napięciem woli byłem w ruchu, w dążeniu, w walce. Całkiem po prostu coś tam nie zostało przemyślane do końca. Musi być jakaś omyłka w chłodnych rachubach przeznaczenia, w grze z moją osobą. Oto i ona.

Poszedłem do sekretarza naczelnika. Tego samego naczelnika, inżyniera pułkownika Kondakowa, który wyjechał właśnie ponownie.

– Czy był wczoraj telefonogram o powstrzymaniu zwolnień?

– Był.

– Ale przecież ja – czułem jak wysycha mi w gardle – przecież ja zostałem zwolniony przed miesiącem. Zgodnie z rozkazem 65. Wczorajszy telegram nie powinien się do mnie odnosić. Ja już jestem wolny. Od miesiąca. Jestem w drodze, w podróży…

– Tak, chyba tak – zgodził się lejtnant. – Chodźmy do buchaltera!

Buchalter przyznał nam rację, ale powiedział:

– Poczekamy na powrót Kondakowa. Niech on zadecyduje.

– No – powiedział lejtnant – nie radzę. Rozkaz podpisywał sam Kondakow. Z własnej woli. Nikt mu nie przedkładał do podpisu. Zedrze z ciebie skórę za niewykonanie rozkazu.

– Dobrze – powiedział buchalter, spojrzawszy na mnie z ukosa. – Tylko – pstryknął palcami – podróż na swój rachunek.

Bilet do Moskwy, na samolot i pociąg kosztował trzy i pół tysiąca rubli, a ja miałem prawo do opłaty tej podróży przez Dalstroj, gospodarza moich czternastu lat uwięzienia i trzech wolnych lat – a właściwie nie wolnych, lecz w charakterze wolnego najmu.

Ale, sądząc po tonie głównego buchaltera, pojąłem, że tutaj nie pójdzie on nawet na najmniejsze ustępstwo.

Na mojej książeczce byłego więźnia, bez naliczenia wysługi, w ciągu trzech lat zebrało się sześć tysięcy rubli.

Pomogły mi zebrać tę zadziwiająco wielką sumę zające, które łowiłem, gotowałem, piekłem i jadłem, oraz ryby, które również łowiłem, gotowałem, piekłem i jadłem.

Zapłaciłem w kasie trzy i pół tysiąca rubli, dostałem akredytywę, przepustkę do portu lotniczego w Ojmjakonie i począłem szukać samochodu jadącego w tym kierunku. Znalazłem go prędko. Dwieście kilometrów – dwieście rubli. Sprzedałem koc, poduszkę (po co mi to wszystko w samolocie?), sprzedałem medyczne książki temu samemu Capce, po państwowej cenie – sprzeda on te podręczniki i informatory dziesięć razy drożej. Ale nie miałem czasu zastanawiać się nad tym.

Gorzej było z czym innym. Zgubiłem swój talizman – nóż własnej roboty, który woziłem ze sobą przez wiele lat. Spałem na workach z mąką i widocznie wyleciał mi z kieszeni. Aby go odnaleźć, trzeba by rozładowywać cały samochód.

Nad ranem przyjechaliśmy do Ojmjakonu, gdzie pracowałem przed rokiem, do Tomtoru, tak miłego mojemu sercu pocztowego oddziału, gdzie

tak wiele listów wysłałem i odebrałem. Zsiadłem koło hotelu w porcie lotniczym.

– Słuchaj no – powiedział szofer ciężarówki – niczego nie zgubiłeś?

– Zgubiłem nóż na workach z mąką.

– Masz. Otworzyłem klapę skrzyni i nóż spadł na drogę. Dobre „piórko”.

– Weź sobie to piórko. Na pamiątkę. Już więcej nie potrzebuję talizmanu.

Ale moja radość była przedwczesna. W ojmjakońskim porcie nie było rejsowych samolotów i jeszcze od jesieni nagromadziło się tu pasażerów na dziesiątki maszyn. Listy po czternaście osób, codzienne jej sprawdzanie. Tranzytowe życie.

– Kiedy był ostatni samolot?

– Tydzień temu.

A więc przyjdzie posiedzieć tu do wiosny. Niepotrzebnie oddałem szoferowi swój talizman.

Poszedłem do kierownika robót w łagrze, gdzie przed rokiem pracowałem jako felczer.

– Wybierasz się na „kontynent”?

– Tak. Pomóż mi wyjechać.

– Pójdziemy jutro razem do Weltmana.

– A czy kapitan Weltman wciąż jeszcze jest naczelnikiem portu lotniczego?

– Tak. Tylko nie jest kapitanem, lecz majorem. Niedawno te nowe naszywki otrzymał.

Rano weszliśmy razem do gabinetu Weltmana i przywitaliśmy się.

– Wyjeżdża nam chłopak.

– A dlaczegóż to on sam nie przyszedł? Przecież mnie zna nie gorzej od ciebie.

– Tak po prostu, aby było ważniej, towarzyszu majorze.

– Dobrze. A gdzie masz rzeczy?

– Wszystko mam ze sobą. – Pokazałem maleńką walizeczkę z dykty.

– No to świetnie. Idź do hotelu i czekaj.

– Ale ja…

– Milcz! Rób jak każę. A ty, kierowniku robót, dasz traktor na jutro, do równania lotniska, co… Bez traktora…

– Dam, dam – uśmiechając się, powiedział Suprun.

Pożegnawszy się z Weltmanem i kierownikiem robót, wszedłem do hotelowego korytarza; stąpając pomiędzy nogami i ciałami, dotarłem do wolnego miejsca przy oknie. Było tu co prawda nieco chłodniej, ale potem, po odlocie kilku samolotów, gdy minie kilka kolejek, przesunę się do pieca, do samego pieca.

Minęła jakaś godzina, gdy leżący zerwali się na nogi, wsłuchując się chciwie w huk pochodzący z nieba.

– Samolot!

– Transportowy duglas!

– Nie transportowy, pasażerski.

Po korytarzu miotał się dyżurny portu lotniczego, w czapce uszance z kokardą, trzymając w ręku listę – tę właśnie listę czternastu osób, której już nie pierwszy miesiąc uczono się na pamięć.

– Wszystkich, których wywołano, proszę, aby szybko kupili bilety. Lotnik zje obiad – i w drogę.

– Siemionow!

– Jestem!

– Galicki!

– Jestem!

– A dlaczego wykreślono moje nazwisko? – wściekał się czternasty. – Przecież oczekuję w kolejce już trzeci miesiąc!

– Co to, mnie pan mówi? To naczelnik portu skreślił. Weltman – własnoręcznie. Przed chwilą. Odleci pan następnym samolotem. Wystarczy? A jeśli chce się pan wykłócać – oto gabinet Weltmana. On tam jest… Sam panu wyjaśni.

Ale czternasty nie zdecydował się wyjaśniać. Wszystko przecież może się przydarzyć! Na przykład Weltmanowi nie spodoba się fizjonomia czternastego. A wtedy nie tylko nie odleci następnym samolotem, lecz może być nawet skreślony z listy. Tak przecież się zdarzało.

– A kogo wpisali?

– No właśnie, nie mogę przeczytać. – Dyżurny z kokardą wpatrywał się w to, co zostało wpisane, i nagle wykrzyknął moje nazwisko.

– To ja.

– Do kasjera – szybko.

Pomyślałem sobie: Nie będę się bawić w szlachetność i nie odmówię. Odjadę, odlecę. Mam za sobą siedemnaście lat Kołymy.

Rzuciłem się do kasjera jako ostatni, wyciągając nieprzygotowane dokumenty, miętosząc pieniądze i gubiąc rzeczy.

– Biegnij szybko – powiedział kasjer. – Wasz lotnik już zjadł obiad, a komunikaty o pogodzie nieciekawe – trzeba ją przeskoczyć, dostać się do Jakucka.

Ledwie dysząc, słuchałem tej niebiańskiej mowy.

Dyżurny portu sprawdził mój bilet i wsadził bagaż do luku. Lotnik zamknął go i przeszedł do kabiny.

– W powietrze!

Dotarłem do miejsca, do fotela, nie mając siły o niczym myśleć ani niczego rozumieć.

Serce mi biło, biło przez całych siedem godzin, dopóki samolot nie znalazł się nagle na ziemi. Jakuck.

W jakuckim porcie spaliśmy, objąwszy się, z moim nowym towarzyszem – sąsiadem z samolotu. Należało wyliczyć jak najtańszą trasę do Moskwy; chociaż moje dokumenty drogowe wystawione były do Dżambułu, uważałem za mało prawdopodobne, aby kołymskie prawa działały też na Wielkiej Ziemi. Przypuszczalnie można będzie znaleźć pracę i mieszkanie nie tylko w Dżambule. Miałem jeszcze czas o tym myśleć.

A na razie – najtaniej samolotem do Irkucka, a stamtąd pociągiem do Moskwy. Po pięciu dobach na miejscu. Albo można jeszcze do Nowosybirska, a stamtąd do Moskwy – też koleją. Który samolot wcześniej odleci… Kupiłem bilet do Irkucka.

Do odlotu samolotu pozostawało kilka godzin i w ciągu tego czasu przemaszerowałem przez Jakuck, wpatrując się w zamarzniętą Lenę, w milczące, jednopiętrowe miasto, przypominające wielką wieś. Nie, Jakuck nie był jeszcze miastem, nie był Wielką Ziemią. Nie było w nim dymu z parowozu.

POCIĄG

Na irkuckim dworcu ułożyłem się w kręgu światła elektrycznej żarówki, jasnego i ostrego – jakkolwiek by było, miałem zaszyte w pasie wszystkie moje pieniądze. Był to płócienny pas, który uszyto mi przed dwoma laty w warsztacie krawieckim, i teraz miał spełnić swoje przeznaczenie. Ostrożnie przestępując nogi, wybierając właściwą drogę pomiędzy brudnymi, śmierdzącymi ciałami odzianymi w szmaty, chodził milicjant, a także – co było znacznie lepsze – wojskowy patrol z czerwonymi opaskami i automatami. To jasne, że milicjant nie poradziłby sobie z chuliganerią – i to stwierdzono najprawdopodobniej jeszcze na długo przed moim przyjazdem. Nie chodziło mi o to, że bałem się kradzieży. Już dawno przestałem się bać, lecz całkiem po prostu z pieniędzmi było lepiej niż bez nich. Światło padało mi wprost na oczy, ale tysiące razy przedtem działo się już to samo i nauczyłem się znakomicie spać w takim świetle. Podniosłem kołnierz buszłata, zwanego w oficjalnych dokumentach półpaltem, wsunąłem pewniej ręce do rękawów i zsunąłem odrobinę walonki; palcom zrobiło się luźniej i – zasnąłem. Przeciągów się nie bałem. Wszystko było jak zwykle: gwizdy parowozów, poruszające się wagony, dworzec, milicjant, bazar przy dworcu – tak jakbym się dopiero przebudził po wieloletnim śnie. Przeraziłem się i oblał mnie zimny pot. Przestraszyłem się ogromnej siły w człowieku, pragnienia i umiejętności zapomnienia. Zobaczyłem, że gotów jestem o wszystkim zapomnieć, wykreślić dwadzieścia lat ze swego życia. I to jakich lat! I kiedy to pojąłem, odniosłem zwycięstwo nad sobą. Wiedziałem już, że nie pozwolę mej pamięci na zapomnienie tego, co widziałem. Uspokoiłem się i zasnąłem.

Obudziłem się, obróciłem onuce na drugą stronę, umyłem się śniegiem – czarne bryzgi leciały na wszystkie strony – i poszedłem do miasta. Było to pierwsze prawdziwe miasto po 18 latach. Bo Jakuck to była wielka wieś. Lena oddaliła się od miasta, ale mieszkańcy obawiali się jej powrotu, wylewów, i piaskowe koryto-pole pozostawało puste, była tam tylko wichura. Tutaj, w Irkucku, były duże domy, bieganina mieszkańców, sklepy.

Kupiłem w mieście parę trykotowej bielizny – od 18 lat nie nosiłem takiej. Niewysłowioną przyjemność sprawiało mi wyczekiwanie w kolejkach, płacenie, podawanie paragonu. Wymiar? Zapomniałem, jaki wymiar. Jak największy. Sprzedawczyni pokręciła głową z niezadowoleniem. Pięćdziesiąty piąty? Właśnie, właśnie. Zapakowała bieliznę, której nie udało mi się nosić, gdyż mój rozmiar to 51 – wyjaśniło się to dopiero w Moskwie. Wszystkie sprzedawczynie ubrane były w jednakowe niebieskie sukienki. Kupiłem jeszcze pędzel do golenia i składany nóż. Te cudowne rzeczy kosztowały bajecznie tanio. Na Północy takie przedmioty robiło się samemu – i pędzle, i noże.

Zaszedłem do księgarni. W dziale antykwarycznym była na sprzedaż *Rosyjska historia* Sołowjowa – wszystkie tomy za 850 rubli. Nie, aż do Moskwy książek kupować nie będę. Ale potrzymać je w rękach, postać przy ladzie księgarni – to było jak dobry barszcz z mięsem… Jak szklanka ożywczej wody.

W Irkucku nasze drogi się rozeszły. Jeszcze wczoraj, w Jakucku, chodziliśmy po mieście wszyscy razem, razem kupowaliśmy bilety na samolot, staliśmy wszyscy razem w kolejkach, we czwórkę – nikomu nie przyszło do głowy powierzyć drugiemu pieniądze. To nie było przyjęte w naszym świecie. Doszedłem do mostu i spojrzałem w dół: na kipiel zielonej, przezroczystej aż do dna Angary – takiej mocnej i czystej. Dotykając zmarzniętą ręką brunatnej poręczy, wdychając zapach benzyny i zimowego, miejskiego pyłu, spoglądałem na spieszących się przechodniów i zrozumiałem, jak bardzo jestem mieszczuchem. Zrozumiałem, że najdroższy, najważniejszy dla człowieka jest ten okres, gdy tworzy się w nim obraz ojczyzny, gdy jeszcze nie narodziła się miłość ani nie powstała rodzina. Jest to okres dzieciństwa i wczesnej młodości. I serce mi się ścisnęło. Z całej duszy słałem pozdrowienia Irkuckowi. Był on moją Wołogdą i moją Moskwą.

Kiedy dochodziłem do dworca, ktoś szturchnął mnie w ramię. „Będą z tobą rozmawiać” – powiedział jasnowłosy chłopczyk w waciaku i odprowadził mnie w ciemność. Natychmiast z mroku wynurzył się niewysoki człowiek, patrząc mi uważnie w oczy.

Po jego spojrzeniu zorientowałem się, z kim mam do czynienia. Było dobrze mi znane – tchórzliwe i bezczelne, przymilne i pełne nienawiści. Z ciemności wyglądały jeszcze jakieś mordy, ale na razie nie musiałem zawierać z nimi znajomości, pojawią się w swoim czasie – z nożami, gwoździami, ze szpikulcami w rękach… Teraz przede mną jawiła się tylko jedna

twarz o bladej, ziemistej cerze, z opuchniętymi powiekami i drobnymi wargami, jakby doklejonymi do cofniętego, wygolonego podbródka. „Ty, kto jesteś?” – wyciągnął do mnie brudną rękę z długimi paznokciami. Odpowiedź była konieczna. Ani patrol, ani milicjant nie mogli mi tutaj okazać pomocy.

– Ty – z Kołymy?

– Tak, z Kołymy.

– Gdzie tam pracowałeś?

– Byłem felczerem grup poszukiwawczych.

– Felczerem? Konowałem? A więc piłeś krew naszego brata. Mamy z tobą rozmowę.

Ściskałem w kieszeni zakupiony nowy składany nóż i milczałem. Można było mieć tylko nadzieję na przypadek, na jakiś przypadek. Cierpliwość i przypadek – tylko to nas wybawiało i wybawia. I przypadek się wydarzył. Za sprawą dwu wielorybów, na których spoczywa świat aresztantów.

Ciemność się rozstąpiła. „Znam go”. W świetle pojawiła się nowa postać, zupełnie mi nieznana. Miałem wspaniałą pamięć do twarzy, ale tego człowieka nie widziałem nigdy.

– Ty? – Palec z długim paznokciem zakreślił półokrąg.

– Tak, on pracował na Kołymie – powiedział nieznajomy. – Mówią, że człowiek. Pomagał naszym. Chwalili.

Palec z paznokciem znikł.

– No to idź – powiedział ze złością złodziej. – Pomyślimy.

Na szczęście nie musiałem nocować na dworcu. Pociąg do Moskwy odchodził wieczorem. Z rana było mętne światło lamp elektrycznych, które w żaden sposób nie chciały zgasnąć. Przez trzaskające drzwi przeświecał irkucki dzień, chłodny i jasny. Chmary ludzi zapełniające przejścia, zajmujące każdy centymetr cementowej podłogi, zatłuszczonych ław – aby je zająć, gdy ktoś wstanie, ruszy się, odejdzie. Niekończące się stanie w kolejce przed kasą – po bilet do Moskwy, do Moskwy, a dalej zobaczymy… Nie do Dżambułu, jak widniało w dokumentach. Ale komu potrzebne te kołymskie dokumenty w tym ludzkim spędzie, w tym niekończącym się ruchu. W końcu znalazłem się przy okienku, gorączkowe ruchy, ażeby wydostać pieniądze, przesunąć paczkę błyszczących papierków do kasy, w której one znikną – nieuchronnie znikną, tak jak znikło całe moje dotychczasowe życie. Ale cud stawał się dalej i okienko wyrzuciło jakiś twardy przedmiot, chropowaty, twardy, cieniutki jak odłamek szczęścia –

bilet do Moskwy. Kasjerka coś tam krzyczała, coś jakby to, że pociąg jest pociągiem mieszanym, że miejscówka jest w mieszanym wagonie, że prawdziwą można dostać tylko na jutro lub pojutrze. Ale ja niczego nie zrozumiałem oprócz słów jutro i dzisiaj. Dzisiaj, dzisiaj. I ściskając mocno bilet, starając się wyczuć jego krawędzie swą pozbawioną czucia odmrożoną skórą, wyrwałem się, dotarłem do wolnego miejsca. Byłem człowiekiem z samolotu, nie miałem zbędnych rzeczy – jedynie niewielki dykciany kuferek. Byłem człowiekiem z Dalekiej Północy, nie miałem nic zbędnego – jedynie maleńką walizeczkę z dykty, tę samą, którą bez powodzenia starałem się sprzedać w Adygałachu, zbierając pieniądze na podróż do Moskwy. Nie opłacono mi jej – ale to wszystko było głupstwo. Najważniejsze – to twarda, kartonowa deseczka kolejowego biletu.

Wydyszawszy się gdzieś w kącie – moje miejsce przy jaskrawej lampie było oczywiście zajęte – poszedłem przez miasto do dworca odjazdowego.

Zaczęto już siadać do wagonów. Na górce stał pociąg przypominający zabawkę, nieprawdopodobnie maleńki, po prostu kilka brudnych kartonowych pudełek postawionych obok siebie – pomiędzy setkami innych, gdzie mieszkali dróżnicy i obsługa ruchu, gdzie była porozwieszana zamarznięta bielizna, wydająca trzask pod uderzeniami wiatru.

Mój pociąg niczym się nie odróżniał od tych składów wagonów przekształconych w baraki mieszkalne.

Skład nie był podobny do pociągu zdążającego przez tyle godzin do Moskwy, podobny był właśnie do mieszkalnego baraku. I tu, i tam schodzili po stopniach ludzie, i tu, i tam nad głowami ludzi przemieszczały się w powietrzu jakieś rzeczy. Pojąłem, że pociąg nie ma tego, co najważniejsze, nie ma życia, obietnicy ruchu – parowozu. Rzeczywiście, żaden z tych mieszkalnych baraków nie miał parowozu. Mój skład też wyglądał jak barak mieszkalny. I nie uwierzyłbym, że te wagony mogą mnie zawieźć do Moskwy – ale pasażerowie już wsiadali.

Przy wejściu do wagonu wrzała walka, straszna walka. Tak jakby praca skończyła się o dwie godziny wcześniej niż trzeba i wszyscy przybiegli do domu, do baraku, do ciepłego piecyka i rwą się do drzwi.

Jacy tam konduktorzy… Każdy sam szukał swojego miejsca, sam je zajmował i trzymał je. Moje miejsce na środkowej półce było oczywiście zajęte przez jakiegoś pijanego lejtnanta, któremu się bez przerwy odbijało. Ściągnąłem go na podłogę i pokazałem bilet. „Ja również mam bilet na to

miejsce” – zgodnie wyjaśnił lejtnant, czknął, osunął się na podłogę i natychmiast zasnął.

Wagon wciąż się zapychał i zapychał ludźmi. Podnosiły się i znikały gdzieś w górze jakieś ogromne toboły, jakieś walizy. Zapachniało ostrą wonią owczych kożuchów, ludzkiego potu, brudu, karbolu.

„Jak na punkcie tranzytowym” – powtarzałem sobie, leżąc na plecach, wciśnięty w wąską przestrzeń pomiędzy środkową i górną półką.

Z dołu do góry przesunął się obok mnie lejtnant z rozpiętym kołnierzem i czerwoną, wymiętą twarzą. Uczepił się za coś z wierzchu, podciągnął się na rękach i znikł…

W tym zgiełku, w krzyku tego wagonowego punktu tranzytowego, nie usłyszałem jednak tego, co było dla mnie najważniejsze, co chciałem usłyszeć, o czym marzyłem przez siedemnaście lat, co stało się dla mnie symbolem „kontynentu”, symbolem życia, symbolem Wielkiej Ziemi. Nie usłyszałem gwizdka parowozu. Nie pomyślałem o nim w trakcie rozgorzałej walki o miejsce w wagonie. I tak nie dosłyszałem gwizdka. Ale wagony drgnęły, zakołysały się i nasz wagon, nasza tranzytka, zaczął się gdzieś przemieszczać, co wyglądało, jakbym zasypiał, a barak przesuwał się przed moimi oczami.

Zmusiłem się, żeby zrozumieć, że ja jadę – do Moskwy.

Na jakimś rozjeździe, zaraz za Irkuckiem, rzuciło wagonem i z góry zwaliła się i zawisła na rękach postać lejtnanta, mocno zresztą trzymającego się górnej półki, na której spał. Lejtnantowi odbiło się i wprost na moje miejsce, a także na półkę mojego sąsiada trafiły wymiociny. Rzygał bez opamiętania. Sąsiad zdjął swoje futro – nie był to waciak ani buszłat, lecz palto z futrzanym kołnierzem, i klnąc niepowstrzymanie, próbował je oczyścić.

Sąsiad mój miał mnóstwo jakichś plecionych koszy, zaszytych i niezaszytych w rogoże. Od czasu do czasu pojawiały się z głębi wagonu jakieś kobiety, opatulone w wiejskie chusty, w półkożuszkach, z dokładnie takimi samymi plecionymi koszami na plecach. Kobiety coś tam krzyczały do mojego sąsiada, a on machał do nich ręką na powitanie.

– Szwagierka! Jedzie do krewnych do Taszkientu – objaśnił, chociaż o nic takiego nie prosiłem.

Najbliższy koszyk sąsiad chętnie otwierał i pokazywał zawartość. Oprócz znoszonego ubrania z marynarką i jeszcze jakichś tam rzeczy w koszyku niczego nie było. Za to było wiele fotografii – rodzinnych i gru-

powych – na olbrzymich *passe-partout*, część z nich to były jeszcze dagerotypy. Co większe fotografie były wyjmowane z kosza i sąsiad chętnie i dokładnie objaśniał, kto gdzie tu stoi, kto został zabity na wojnie, a kto został odznaczony, kto studiuje, aby zostać inżynierem. „A to – ja” – nieodmiennie wtykał palec gdzieś tam w środek fotografii i wszyscy, którym ją pokazywał, pokornie, uprzejmie i ze współczuciem kiwali głowami.

Trzeciego dnia wspólnego życia w tym trzęsącym się wagonie sąsiad mój, który wyrobił sobie pojęcie na temat mojej osoby jasne i bezwarunkowo słuszne, mimo że mu nic o sobie nie opowiadałem, powiedział do mnie, spiesząc się, dopóki uwaga innych sąsiadów była zajęta czymś innym:

– Mam w Moskwie przesiadkę. Czy pomożesz mi przenieść jeden koszyk przez wyjście? Przez wagę?

– Przecież w Moskwie mnie spotykają.

– Ach, tak. Zapomniałem, że macie się spotkać.

– A cóż ty wieziesz?

– Co? Ziarnka słonecznika. A z Moskwy powiozę kalosze…

Nie wychodziłem na żadnej stacji. Miałem dosyć jedzenia. Obawiałem się, że pociąg na pewno odjedzie beze mnie, że stanie się coś złego – szczęście nie może przecież trwać wiecznie. Naprzeciw, na średniej półce leżał jakiś człowiek w futrze, stale pijany, bez czapki i bez rękawic. Wsadzili go do wagonu pijani koledzy, wręczając bilet konduktorce. Jechał tak przez dobę, a potem gdzieś zlazł i powrócił z butelką jakiegoś ciemnego wina. Wypił je wprost z butelki i rzucił ją na podłogę. Podchwyciła ją zręcznie konduktorka i zaniosła do swego konduktorskiego legowiska, zawalonego kocami, których w mieszanym wagonie nikt nie brał, i prześcieradłami, które nikomu do niczego nie były potrzebne. W tym samym przedziale, za barierą z koców, na górnej, trzeciej półce rozlokowała się jadąca z Kołymy prostytutka, a być może i nie prostytutka, tylko zamieniona w nią przez Kołymę… Dama ta siedziała niedaleko ode mnie, na dolnym miejscu i kołyszące się, przyćmione światło wagonowej świecy padało od czasu do czasu na twarz, wyrażającą niezmierne zmęczenie, na wargi, wymalowane czymś, co nie było na pewno szminką do ust. Potem ktoś do niej podchodził, coś tam mówił i wtedy ona znikała w konduktorskim przedziale. „Pięćdziesiąt rubli” – powiedział lejtnant, który już zdążył wytrzeźwieć i okazał się bardzo miłym, młodym człowiekiem.

Zabawialiśmy się z nim bardzo ciekawą grą. Kiedy do wagonu wsiadał nowy pasażer, każdy z nas starał się odgadnąć zawód pasażera, jego wiek i czym się obecnie zajmuje. Wymienialiśmy spostrzeżenia, a potem on przysiadał się do pasażera, rozmawiał z nim i wracał do mnie z odpowiedzią.

W ten sposób dama z wymalowanymi ustami, ale z paznokciami bez śladu lakieru, została przez nas uznana za pracownika służby zdrowia, a leopardowe futro, w które była odziana – oczywiście sztuczne, podrabiane futerko – mówiło, że jego właścicielka to najprawdopodobniej siostra medyczna lub felczer, ale nie lekarz. Lekarz nie nosiłby sztucznego futra. Wtedy jeszcze nie słyszano o nylonie i syntetykach. Nasz wniosek okazał się słuszny.

Od czasu do czasu obok naszego przedziału przebiegało z wnętrza wagonu dwuletnie dziecko na krzywych nóżkach, brudne, oberwane, niebieskookie. Bladziutkie policzki pokryte były jakimś liszajem. W minutę-dwie po nim kroczył zdecydowanie i pewnie młody ojciec – w waciaku, z ciemnymi, mocnymi palcami robotnika. Łapał tego chłopczyka. Malec śmiał się, uśmiechał do ojca, a ojciec uśmiechał się do niego i w radosnym uniesieniu zabierał go na miejsce – w jednym z przedziałów naszego wagonu. Poznałem ich historię. Zwykłą kołymską historię. Ojciec, zasądzony za jakieś pospolite przestępstwo, dopiero co się zwolnił i jechał na „kontynent”. Matka dziecka nie chciała wracać i ojciec jechał wraz z synem, zdecydowany wyrwać dziecko, a być może i siebie, z chwytliwych objęć Kołymy. Dlaczego matka nie pojechała? Być może była to zwykła historia. Znalazła kogoś innego, polubiła swobodne kołymskie życie, a będąc już wcześniej wolna, nie chciała znaleźć się na „kontynencie” w charakterze człowieka drugiej kategorii… A może młodość przekwitała. Lub też miłość, kołymska miłość skończyła się – wszystko mogło się zdarzyć. A być może to bardziej straszne. Matka odbyła karę według pięćdziesiątego ósmego paragrafu – najbardziej pospolitego z pospolitych – i wiedziała, czym grozi jej powrót na Wielką Ziemię. Nowym wyrokiem i nową męką. Na Kołymie też nie ma gwarancji przed wyrokiem, ale – nie będą na nią polować, tak jak to zawsze czynią na „kontynencie”.

Niczego się nie dowiedziałem i nie chciałem się dowiadywać. Widać było szlachetność, przyzwoitość, miłość do dziecka, które ojciec na pewno rzadko widywał – przecież dziecko było w żłobku, w ogródku dziecięcym.

Nieumiejętne ręce ojca rozpinające dziecięce spodenki, ogromne różnokolorowe guziki, przyszyte prostymi, nieumiejętnymi, ale dobrymi rękami. Szczęście ojca i szczęście dzieciaka. Ten dwuletni malec nie znał słowa „mama”. Wołał „tato, tato!” I teraz on oraz ciemnoskóry ślusarz bawili się ze sobą, z trudem znajdując na to miejsce pośród pijaków, pomiędzy karciarzami, wśród spekulanckich koszy i tobołów. Właśnie tych dwoje ludzi w naszym wagonie odczuwało szczęście.

Pasażerowi, który spał już drugą dobę po odjeździe z Irkucka i który budził się jedynie po to, ażeby wypić, przełknąć nową butelkę wódki, koniaku lub nalewki, nie udało się dalej pospać. Pociąg szarpnął. Śpiący pasażer runął na podłogę i zaczął stękać, stękać. Wezwana przez konduktorów pomoc medyczna uznała, że ma on złamane ramię. Powlekli go na noszach i znikł z mojego życia.

Nagle w wagonie pojawiła się postać mojego wybawcy, a może to za dużo powiedziane – przecież nie doszło wtedy do niczego ważnego i krwawego. Znajomy siedział, nie poznając mnie i jakby nie chcąc poznać. Jednak wymieniliśmy spojrzenia i ja podszedłem do niego. „Chcę chociaż dojechać do domu, spojrzeć na bliskich” – były to ostatnie słowa błatniaka, które od niego usłyszałem.

Ot i wszystko: i ostre światło lampy na irkuckim dworcu, i spekulant wiozący z sobą dla kamuflażu cudze fotografie, i wymiociny wydalone przez gardło młodego lejtnanta, i smutna prostytutka na górnej półce konduktorskiego przedziału i dwuletni brudny dzieciak, wołający w szczęściu „tato! tato!”, to wszystko utkwiło w mej pamięci jako pierwsze szczęście, nieprzerwane szczęście „wolności”.

Dworzec Jarosławski. Szum miejskiego przypływu Moskwy – miasta, które było dla mnie najbardziej bliskie ze wszystkich miast świata. Zatrzymujący się wagon, droga twarz żony, która spotykała mnie tak jak i przedtem, gdy wracałem ze swoich licznych podróży. Tym razem delegacja była długa – prawie siedemnaście lat. A co najważniejsze – nie powracałem z delegacji. Wracałem z piekła.

TOM III

LEWY BRZEG

PROCURATOR JUDEI

Piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku do zatoki Nagajewo wszedł parowiec *Kim* z ładunkiem ludzi. To był już ostatni rejs, nawigacja kończyła się. Magadan powitał gości czterdziestostopniowymi mrozami. Zresztą, parowiec nie przywiózł gości, lecz prawdziwych gospodarzy tej ziemi – więźniów.

Przybyło całe naczalstwo, wszyscy zjawili się w porcie. Parowiec *Kim* spotykały wszystkie znajdujące się w mieście samochody ciężarowe. Żołnierze z formacji kadrowych otoczyli molo i rozpoczął się wyładunek.

Na telefoniczne wezwanie wszystkie wolne ciężarówki w kopalniach położonych w odległości pięciuset kilometrów od zatoki ruszyły puste do Magadanu.

Martwych pozostawiano na brzegu i zwożono na cmentarz, do bratnich mogił, nie przywiązując żadnych metek, sporządzając jedynie protokół konieczności ekshumacji zwłok w późniejszym czasie.

Najciężej chorych, ale jeszcze żyjących, rozwożono po szpitalach dla więźniów w Magadanie, Ole, Armani i Dukcze.

Chorych, których stan oceniano jako średni, odwożono do Centralnego Szpitala dla Więźniów – na lewy brzeg Kołymy. Szpital dopiero co przeniósł się tam z 23 kilometra. Gdyby parowiec *Kim* przybył rok wcześniej – nie trzeba by było jechać te 500 kilometrów.

Kierownik oddziału chirurgii Kubancew, świeżo przybyły z wojska, z frontu, wstrząśnięty był widokiem tych ludzi, tych strasznych ran. W każdym samochodzie, który przyjechał z Magadanu, znajdowały się trupy zmarłych w drodze. Chirurg rozumiał, że to mieli być ci „lżejsi”, nadający się do transportu, bo najbardziej chorych pozostawiono na miejscu. Powtarzał on słowa generała Radiszczewa, które udało mu się gdzieś tam przeczytać zaraz po wojnie. „Frontowe doświadczenia żołnierza nie potrafią człowieka przygotować do widoku śmierci w łagrach”.

Kubancew tracił zimną krew. Nie wiedział, jaki wydać rozkaz, od czego zacząć. Kołyma zwaliła na frontowego chirurga zbyt wielki ciężar. Trzeba

było jednak coś robić. Sanitariusze zabierali chorych z ciężarówek i nosili na noszach na oddział chirurgii. Nosze stały tam ciasno ustawione na wszystkich korytarzach. Zapachy potrafimy pamiętać jak wiersze, jak ludzkie twarze. Woń tej łagrowej ropy pozostała na zawsze w zapachowo-smakowej pamięci Kubancewa. Wspominał ją potem przez całe życie. Wydawałoby się, że woń ropy jest wszędzie jednakowa i wszędzie jednakowa jest również śmierć. Tak nie jest. Przez całe życie Kubancewowi wydawało się, że to pachną rany tych jego pierwszych kołymskich chorych. Kubancew palił, palił i czuł, że traci panowanie nad sobą, że nie wie, co ma polecić sanitariuszom, felczerom, lekarzom.

– Aleksieju Aleksiejewiczu – usłyszał nagle głos obok siebie. To Braude, chirurg-więzień, były kierownik tego samego oddziału, dopiero co usunięty z tego stanowiska na podstawie rozkazu wyższego naczalstwa, gdyż był więźniem, a do tego z niemieckim nazwiskiem. – Pan pozwoli, że ja pokieruję. Ja to wszystko znam. Jestem tu dziesięć lat.

Zdenerwowany Kubancew ustąpił mu miejsca i robota zawrzała. Operacje wykonywali jednocześnie trzej chirurdzy – asystowali im felczerzy. Inni dawali zastrzyki, wydawali sercowcom lekarstwa.

– Amputacje, tylko amputacje – mamrotał Braude. Lubił chirurgię, i, według jego własnych słów, cierpiał, jeżeli w jego życiu zdarzał się dzień bez operacji, bez jednego cięcia. – Teraz to nudzić się nie będziemy – cieszył się Braude. – A Kubancew, chociaż niezły chłop, to jednak stracił się. Frontowy chirurg! U nich tam cały czas instrukcje, schematy, rozkazy, a tu, proszę, samo życie, Kołyma!

Braude nie był jednak złym człowiekiem. Usunięty bez żadnego powodu ze swego stanowiska, wcale nie znienawidził swojego następcy, nie robił mu świństw. Na odwrót – widział zagubienie Kubancewa i wyczuwał, że tamten jest mu głęboko wdzięczny. Jakkolwiek by było, człowiek ma rodzinę, żonę, syna w szkole. Oficerowie otrzymują przydziały żywnościowe, wysoką pensję, wielkie ruble. A co ma Braude? Dziesięć lat wyroku za sobą i bardzo niepewną przyszłość. Braude pochodził z Saratowa, był uczniem sławnego Krauzego i sam się obiecująco zapowiadał. Ale trzydziesty siódmy rok zupełnie zniszczył jego przyszłość. Czyż więc będzie się mścić na Kubancewie za swoje niepowodzenia…?

I Braude wydawał polecenia, operował, wymyślał. Żył, zapominając o sobie, i chociaż w chwilach zadumy często nienawidził samego siebie za to, że tak mało dba o własne sprawy – nie potrafił się zmienić.

Dziś jednak zadecydował: odejdę ze szpitala. Wyjadę na „kontynent”.

Niedługo koniec bajki, a my nie znamy początku.

Piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku do zatoki Nagajewo wszedł parowiec *Kim* z ładunkiem ludzi – trzema tysiącami więźniów. W drodze więźniowie wszczęli bunt i naczalstwo podjęło decyzję zalania wszystkich ładowni wodą. Wszystko to przeprowadzono przy czterdziestostopniowym mrozie. Co to takiego odmrożenia III–IV stopnia, jak mówił Braude, czy obmrożenia, jak się wyrażał Kubancew – właśnie wtedy mógł je poznać, pierwszego dnia swojej kołymskiej pracy dla wysługi lat.

Wszystko to należy zapomnieć, i Kubancew, człowiek zdyscyplinowany i posiadający silną wolę, tak właśnie postąpił. Zmusił siebie do zapomnienia.

Po siedemnastu latach wspominał każdego felczera spośród więźniów, ich imiona i nazwiska, każdą siostrę medyczną, pamiętał, kto z kim „żył”, przypominając sobie szpitalne romanse. Pamiętał stopień każdego naczelnika, zwłaszcza tych najpodlejszych. O jednym tylko nie pamiętał – o parowcu *Kim* z trzema tysiącami poodmrażanych ludzi.

Jest takie opowiadanie Anatola France’a – *Procurator Judei*. I w nim Poncjusz Piłat nie może po siedemnastu latach przypomnieć sobie Chrystusa.

BÓL

To straszna historia – tak dziwna, że nie może jej zrozumieć nikt, kto nie był w łagrze, kto nie zna mrocznych głębin świata kryminalistów, królestwa błatniaków. Łagier jest dnem życia. Przestępczy świat – to nie jest dno dna. To jest zupełnie, zupełnie coś innego, coś nieludzkiego.

Istnieje takie banalne zdanie: Historia powtarza się dwukrotnie – pierwszy raz jako tragedia, drugi raz jako farsa.

Nieprawda. Jest jeszcze trzecia projekcja tych samych zdarzeń, wariant tego samego tematu, utworzony we wklęsłym zwierciadle podziemnego świata. Temat niewyobrażalny, a jednak realny, istniejący naprawdę, żyjący obok nas.

W tym wklęsłym zwierciadle uczuć i postępków widnieją jak najbardziej prawdziwe szubienice w kopalnianych „rozprawach", „honorowych sądach" błatniaków. Zabawiają się tam w wojnę, powtarzane są jej spektakle i leje się prawdziwa krew.

Istnieje świat sił wyższych, świat bogów Homera, schodzących do nas, ażeby dać się poznać i swoim przykładem doskonalić ludzki rodzaj. Co prawda bogowie się spóźniają. Homer chwalił Achajów, a my zachwycamy się Hektorem – moralny klimat nieco się zmienił. Czasami bogowie wzywają człowieka do nieba, ażeby jego, uczestnika „wielkich widowisk", uczynić widzem. Wszystko to poeta już dawno odkrył. Istnieje świat i istnieją podziemia piekieł, skąd czasami ludzie wracają, nie ginąc w nich na zawsze. Ale po cóż wracają? Serca ich są napełnione wiecznym strachem, pełne grozy świata ciemności, który wcale nie jest poza grobem.

Ten świat jest bardziej realny niż Homerowe niebo.

Szełgunow „kotwiczył się" na punkcie tranzytowym we Władywostoku – oberwany, brudny, głodny, niedobity jeszcze przez konwojentów za uchylanie się od pracy. Trzeba było żyć, a statki, podobnie jak wagoniki do pieców gazowych w Auschwitz, wywoziły ludzi za morze, parowiec za parowcem, etap za etapem. Za morzem, skąd nikt nie powracał, Szełgunow już zdążył być w zeszłym roku, w przyszpitalnej „dolinie śmierci", i doczekał

się odesłania z powrotem na „kontynent” – do złota Szełgunowowskich kości nie chciano brać.

Obecnie niebezpieczeństwo znów się przybliżyło, cała niepewność życia aresztanta odczuwana była przez Szełgunowa coraz to wyraźniej. I nie było wyjścia z tej niepewności, z tej beznadziei.

Punkt tranzytowy – to olbrzymie osiedle, poprzecinane we wszystkich kierunkach regularnymi kwadratami zon, omotane drutem i znajdujące się pod obstrzałem setek wieżyczek strażniczych, oświetlone, wręcz prześwietlone tysiącami jupiterów, oślepiających słabe aresztanckie oczy.

Nary tego ogromnego punktu tranzytowego – wrót Kołymy – to nagle pustoszały, to znów zapełniały się umęczonymi, brudnymi ludźmi – nowymi etapami z wolności.

Parowce powracały, punkt wypluwał nową porcję ludzi, wypróżniał się i znów napełniał.

W tej zonie, gdzie mieszkał Szełgunow – największej zonie punktu tranzytowego – opróżniano wszystkie baraki oprócz dziewiątego. Mieszkali w nim błatniacy. Hulał w nim sam Król – herszt. Nadzorcy tam się nie pokazywali, każdego dnia obsługa łagru zabierała spod wejścia trupy „dochodzących swych praw” u Króla.

Do tego baraku kucharze tachali z kuchni swoje najlepsze dania, a najlepsze rzeczy – „szmatki” – pochodzące ze wszystkich etapów obowiązkowo były „grane” w dziewiątym, królewskim baraku.

Szełgunow, który w prostej linii był potomkiem ziemio-wolnościowców Szełgunowów, którego ojciec był na wolności akademikiem, a matka – profesorem, od dziecięcych lat żył książkami i dla książek; będąc bibliofilem i pożeraczem książek, wraz z mlekiem matki wessał rosyjską kulturę. To dziewiętnasty wiek, złoty wiek ludzkości, uformował Szełgunowa.

Dziel się swą wiedzą. Wierz ludziom i kochaj ich – tak uczyła wielka literatura rosyjska, i Szełgunow od dawna już czuł się na siłach oddać społeczeństwu to, co odziedziczył. Poświęcać się – dla każdego. Powstawać przeciwko wszystkiemu, co jest zaprzeczeniem prawdy, nawet w najdrobniejszym wymiarze, zwłaszcza jeśli ta nieprawda znajduje się blisko.

Więzienie i zesłanie były pierwszą odpowiedzią państwa na przedsiębrane przez Szełgunowa próby życia w sposób wskazany mu przez książki, tak jak uczył dziewiętnasty wiek.

Szełgunow był zdumiony nikczemnością otaczających go ludzi. W łagrze nie było bohaterów. Szełgunow nie chciał wierzyć, że dziewiętna-

sty wiek go oszukał. Głębokie rozczarowanie do ludzi spotykanych w czasie śledztwa, etapu i pobytów na punktach tranzytowych przeszło nagle w poprzednią rześkość, w poprzednią egzaltację. Szełgunow szukał i natknął się na to, czego pragnął, o czym marzył – na żywe przykłady. Napotkał siłę, o której wiele razy czytał przedtem, i wiara w nią weszła w krew Szełgunowa. Był to przestępczy świat błatniaków.

Ówczesne naczalstwo gardziło sąsiadami i przyjaciółmi Szełgunowa na równi z samym Szełgunowem – i odnosiło się z obawą i nabożeństwem do kryminalistów.

Oto świat, który śmiało przeciwstawił się państwu, świat, który może wspomóc Szełgunowa w jego ślepym, romantycznym pragnieniu dobra, a także zemsty…

– Nie ma u was opowiadacza?

Ktoś wkładał buty, oparłszy nogę o nary. W świecie, w którym przez wiele lat istniały tylko onuce, posiadanie skarpetek i krawata wskazywało, że ich właściciel, jak to bezbłędnie ocenił Szełgunow, może być tylko z dziewiątego baraku.

– Jest tu jeden. Hej, pisarzu!

– Tu jestem, pisarz!

Szełgunow wychynął z ciemności.

– Pójdziemy do Króla – coś tam ciśniesz.

– Ja nie pójdę.

– Jak to: nie pójdziesz? Nie dożyjesz do wieczora, durniu!

Literatura piękna dobrze przygotowała Szełgunowa na spotkanie ze światem przestępczym. Z nabożeństwem przekroczył próg dziewiątego baraku. Wszystkie nerwy w tym jego pędzie do dobra napięły się i dźwięczały jak struna. Szełgunow powinien był uzyskać powodzenie, zaskarbić sobie uwagę, szacunek, miłość najwyższego słuchacza – tutejszego gospodarza, Króla. I Szełgunow ten sukces uzyskał. Wszystkie jego złe przygody skończyły się w tym momencie, kiedy wargi Króla rozwarły się w uśmiechu.

I cóż Szełgunow „ciskał” – daj Boże przypomnieć? Zagrywać pewną kartą – *Hrabia Monte Christo* – nie zechciał. Nie. Szełgunow wskrzesił przed Królem *Kroniki* Stendhala, autobiografie Celliniego, krwawe legendy włoskiego średniowiecza.

– Zuch, zuch! – chrypiał Król. – Ładnie, „pochawaliśmy” trochę kultury.

Od tego wieczoru nie mogło być mowy o żadnej pracy dla Szełgunowa. Przyniesiono mu obiad, tytoń, a następnego dnia przeprowadzono do dziewiątego baraku na stałe zameldowanie, jeżeli takie bywa w łagrze.

Szełgunow został nadwornym opowiadaczem.

– Coś taki niewesoły, opowiadaczu?

– Myślę o domu, o żonie…

– No tak…

– Widzisz, śledztwo, etap, punkt tranzytowy. Nie dają przecież korespondować, dopóki nie wywiozą na złoto.

– Ech, ty, jeleniu. A my to co? Napisz do swojej ślicznotki, a my wyślemy – bez skrzynek pocztowych, naszą własną koleją. No co, opowiadaczu?

– Do końca życia wam nie odsłużę.

– No to pisz.

I tak Szełgunow zaczął raz na tydzień wysyłać listy do Moskwy.

Żona jego była artystką, moskiewską artystką z generalskiej rodziny.

Kiedyś, w czasie aresztowania, obejmując go, powiedziała:

– Niech nawet nie będzie listów przez rok czy dwa. Będę czekać, zawsze będę z tobą.

– Listy nadejdą wcześniej – stanowczo, po męsku uspokajał żonę Szełgunow. – Znajdę odpowiednie kanały. I tymi kanałami będziesz otrzymywać listy. I będziesz na nie odpowiadać.

– Tak! Tak! Tak!

– Czy wezwać opowiadacza? Czy jeszcze nie nadojadł? – zapytał swego szefa z troską w głosie Kola Szczerbaty. – Może przyprowadzić kogucika z nowego etapu… Można z naszych, a można z pięćdziesiątego ósmego.

Kogucikami błatniacy nazywają pederastów.

– Nie. Wołaj opowiadacza. Wprawdzie kultury „pochawaliśmy” dosyć. Ale wszystko to – powieści, teoria. Z tym frajerem zagramy w jeszcze jedną grę. Czasu mamy aż nadto.

– Marzenie ty moje, opowiadaczu – powiedział Król, gdy dokonały się już wszystkie obrządki przed snem – i pięty zostały poczochrane, i krzyż włożony na szyję, i na plecach postawiono więzienne „bańki” – takie szczypiące, z podcięciem – marzenie ty moje, opowiadaczu, żeby do mnie pisała z wolności taka baba jak twoja. Świetna! – Król pokręcił w rękach połamaną, wytartą fotografią Maryny, żony Szełgunowa, przeniesioną przez

tysiące rewizji, dezynfekcji i kradzieży. – Świetna! Nadaje się na seans. Generalska córka! Artystka! Szczęśliwi wy jesteście, frajerzy – a my mamy tylko syfilugi. A na tryper to w ogóle nie zwracasz uwagi. No, kimamy. Już mi się coś śni.

I następnego wieczoru opowiadacz już nie „ciskał” romansów.

– Przypadłeś mi jakoś do serca, frajerze. Jeleń z jeleni, a jednak masz w sobie kroplę krwi żulika. Napiszesz list do żony mojego kolegi, człowieka jednym słowem. Jesteś przecież pisarzem. Jak najdelikatniej i jak najmądrzej. Jeżeli tyle powieści znasz. Chyba żadna nie oprze się twoim listom. A my to co – ciemny naród. Pisz. Człowiek przepisze i odeśle. Macie nawet jednakowe imiona – Aleksander. To ci heca. Co prawda nazywa się Aleksander tylko w tej sprawie. Ale mimo wszystko Aleksander. Więc Szura, Szurka.

– Nigdy nie pisałem takich listów – powiedział Szełgunow. – Ale mogę spróbować.

Każdy list, każdy jego sens Król formułował ustnie, a Szełgunow – Cyrano zamieniał go w żywe słowa.

Takich listów Szełgunow napisał pięćdziesiąt.

W jednym z nich było takie miejsce: „Przyznaję się do wszystkiego i proszę sowiecką władzę o przebaczenie…”

– Czyż urki, to znaczy błatniacy proszą o przebaczenie? – spytał Szełgunow, przerywając mimo woli pisanie.

– A jak? – odrzekł Król. – Ten gryps – to zabawka, kamuflaż, udawanie. Podstęp wojenny.

Więcej już Szełgunow nie pytał, lecz pokornie pisał to, co mu Król dyktował.

Szełgunow czytał te listy na głos, poprawiał styl i czuł się dumny ze swojego nieprzyćmionego umysłu. Król je akceptował, ledwie dostrzegalnym ruchem swych królewskich warg.

Wszystko się jednak kończy. Skończyło się również pisanie listów dla Króla. A być może była tego ważna przyczyna. Chodziła plotka, łagrowa „parasza”, że Króla odeślą jednak etapem na Kołymę – tam gdzie on tylu wysłał, zabijając i oszukując. A więc pochwycą go we śnie, zwiążą ręce, nogi i na statek. Pora była kończyć korespondencję, i tak już prawie rok Szełgunow-Cyrano przemawiał głosem miłości Krystiana do Roksany. Ale trzeba zakończyć grę po błatniacku, tak aby wystąpiła żywa krew…

Zapieczona krew widniała na skroni martwego człowieka leżącego przed oczami Króla.

Szełgunow chciał zasłonić twarz, zakryć patrzące z wyrzutem oczy.

– Czy ty widzisz, kto to? To twój imiennik, Szura, dla którego ty pisałeś listy. Dzisiaj operatywnicy zrobili go na czysto, odrąbali mu głowę siekierą. Widać, szedł zakryty szalikiem. Pisz: „Pisze kolega Szury! Szurę wczoraj rozstrzelali, a ja spieszę donieść, że jego ostatnimi słowami…” Napisałeś? – spytał Król. – Przepiszemy i dobra. Więcej listów pisać nie trzeba. Ten list mógłbym napisać i bez ciebie – uśmiechnął się Król. – Ale cenimy wykształcenie, pisarzu. My, ludzie ciemni…

Szełgunow napisał żałobny list.

Król zaś jakby wyczuł – został nocą schwytany i wywieziony za morze.

A Szełgunow, nie mogąc odnaleźć łączności z domem, stracił wszelką nadzieję. Przebijał się w pojedynkę przez rok, drugi, trzeci – błądził od szpitala do pracy, pomstując na żonę, która okazała się kanalią albo tchórzem, która nie skorzystała z „pewnych kanałów” łączności i zapomniała o nim, o Szełgunowie, zadeptując wszelkie wspomnienia.

Ale zdarza się też tak, że piekło łagru się kończy. Szełgunow zwolnił się i przyjechał do Moskwy.

Matka powiedziała, że nic nie wie o Marynie. Ojciec umarł. Szełgunow odszukał przyjaciółkę Maryny, pracującą z nią razem w teatrze, i zaszedł do jej mieszkania.

Przyjaciółka krzyknęła.

– Co się stało? – spytał Szełgunow.

– To ty nie umarłeś, Szura…

– Jak to, nie umarłem? Kiedy tutaj stoję?

– Będziesz pan wiecznie żyć. – Z drugiego pokoju wyłonił się jakiś człowiek. – To taka wróżba.

– Wiecznie żyć – tego mi chyba nie trzeba – powiedział cicho Szełgunow. – Ale o co chodzi? Gdzie jest Maryna?

– Maryna umarła. Po tym, jak ciebie rozstrzelali, rzuciła się pod pociąg. Tyle że nie tam, gdzie Anna Karenina, a w Rastorgujewie. Położyła głowę pod koła. Odcięły jej głowę równo, do czysta. Przecież ty przyznałeś się do wszystkiego. A Maryna nie chciała o tym słyszeć, wierzyła w ciebie.

– Przyznałem się?

– Przecież sam napisałeś. A o tym, że ciebie rozstrzelali, napisał twój kolega. To jej walizeczka.

Były w niej wszystkie, pięćdziesiąt listów, które Szełgunow napisał do Maryny z Władywostoku i przesłał swoimi kanałami. Kanały pracowały znakomicie, ale nie dla frajerów.

Szełgunow spalił swoje listy, które zabiły Marynę. Ale gdzież są jej listy, jej fotografia wysłana do Władywostoku? Szełgunow wyobraził sobie Króla czytającego jej listy pełne miłości. Patrzącego na przesłaną przez nią fotografię, na jej wysmukłe ciało, na jej delikatną twarz. Wyobraził sobie, jak ta fotografia służy Królowi „do seansu". I rozpłakał się. Płakał tak każdego dnia, przez całe życie.

Szełgunow rzucił się do matki, ażeby odnaleźć cokolwiek, chociaż jedną linijkę napisaną ręką Maryny. Choćby to były listy nie do niego. Znalazły się takie dwa wytarte listy i Szełgunow wyuczył się ich na pamięć.

Generalska córka pisze listy do błatniaka. W błatniackim języku istnieje słowo „chlestać się", oznacza ono – chwalić się i weszło do błatniackiej grypsery – „fieni" – z wielkiej literatury. „Chlestać się" oznacza być Chlestakowem. Król miał czym się „pochlestać": „Ten frajer – opowiadacz. Ale heca. Miły Szura. Tak trzeba pisać listy, a ty, parszywa suko, nie potrafiłaś złożyć dwóch słów…" Król wygłaszał fragmenty swej własnej opowieści Zoi Talitowej – prostytutce.

– Ja nie mam wykształcenia.

– Nie ma wykształcenia. Uczcie się, dranie, jak należy żyć.

Wszystko to widział bez trudu Szełgunow, stojąc w ciemnej moskiewskiej bramie. Scena Cyrana, Krystiana i Roksany odegrana w dziewiątym kręgu piekieł, prawie na lodzie Dalekiej Północy. Szełgunow zawierzył błatniakom, a oni spowodowali, że własnymi rękami zabił swą żonę.

Dwa listy wyblakły, ale atrament pozostał, papier nie zamienił się w proch.

Szełgunow czytał te listy każdego dnia. Jak je przechować na zawsze? Jakim klejem zalepić szczeliny, pęknięcia tych ciemnych kartek papieru listowego, który niegdyś był biały? Tylko nie ciekłym szkłem. Ono je spali, zniszczy.

Mimo wszystko – można tak skleić listy, że będą żyć wiecznie. Każdy archiwista zna takie sposoby, zwłaszcza archiwista muzeum literatury. Trzeba listy zmusić do mówienia – to wszystko.

Miła kobieca twarz została umocowana na szkle obok rosyjskiej ikony z dziewiętnastego wieku, trochę wyżej od ikony przedstawiającej Matkę Boską. Kobieca twarz, fotografia Maryny była tu zupełnie na miejscu i była

od nich lepsza… W czymże Maryna nie jest tak święta jak Matka Boska? W czym? Dlaczego tyle kobiet – to święte, równe apostołom wielkie męczennice, a Maryna jest tylko aktorką, która podłożyła głowę pod pociąg. A może religia prawosławna nie przyjmuje samobójczyń do anielskiego stanu? Fotografia kryła się pośród ikon i sama była ikoną.

Czasami Szełgunow budził się pośród nocy i nie zapalając światła, po omacku szukał fotografii Maryny. Odmrożone w łagrze palce nie potrafiły odróżnić ikony od fotografii, drzewa od kartonu.

A może Szełgunow był całkiem po prostu pijany. Szełgunow pił każdego dnia. Oczywiście, wódka – szkodzi, alkohol jest trucizną, a antabus jest dobrem. Ale cóż robić, jeśli na stole znajduje się ikona Maryny.

– Czy ty pamiętasz, Gienka, tego frajera, tego opowiadacza, pisarza? Co? Czy już dawno zapomniałeś? – pytał Król, gdy nadszedł czas układania się do snu, po spełnieniu wszystkich obrządków.

– Czemu miałbym zapomnieć? Pamiętam. To był dopiero jełop, osioł! – I Gienka pomachał rozstawionymi palcami ręki nad swoim prawym uchem.

TRĘDOWACI

Od razu po wojnie w szpitalu rozegrał się dramat – a raczej jego finał.

Wojna podjęła i wyniosła na światło dzienne takie warstwy życia, takie jego obszary, które dotychczas zawsze i wszędzie skrywały się na dnie przed ostrym światłem słonecznym. Nie chodzi tu o kryminalne podziemie ani o tajne stowarzyszenia. To coś całkiem innego.

W czasie działań wojennych rozbite zostały leprozoria i trędowaci zmieszali się z normalnymi ludźmi. Jaka to wojna, jawna czy tajna? Chemiczna czy bakteriologiczna? Zarażeni trądem z łatwością podawali się za rannych, okaleczonych w czasie wojny. Trędowaci wymieszali się z ludnością uciekającą na wschód, powrócili do normalnego, chociaż strasznego życia, traktowani jako ofiary wojny, a nawet, być może, jako bohaterowie.

Trędowaci żyli i pracowali. Wystarczyło jednak tylko, by wojna się skończyła, a przypomnieli sobie o nich lekarze, i przerażające kartoteki zaczęły się ponownie zapełniać.

Trędowaci żyli wśród ludzi, widząc wraz z nimi natarcia i odwroty, dzieląc z nimi radość lub gorycz zwycięstwa. Pracowali w fabrykach i na roli. Stawali się naczelnikami i podwładnymi. Nie zostawali tylko nigdy żołnierzami – nie pozwalały na to kikuty palców, nie do odróżnienia od wojennych obrażeń. Trędowaci podawali się za ofiary wojny – jednostki pośród milionów.

Siergiej Fiedorenko był kierownikiem składu. Będąc inwalidą wojennym, dobrze wypełniał swoje obowiązki, zręcznie sobie radząc za pomocą swoich nieposłusznych resztek palców. Czekała go kariera, partyjna legitymacja, ale gdy poczuł pieniądze w ręku, zaczął pić, hulać, aż został aresztowany, zasądzony i przypłynął jednym z rejsów kołymskich statków do Magadanu z dziesięcioletnim wyrokiem za przestępstwo pospolite.

Tutaj Fiedorenko podał inną przyczynę swojego kalectwa. Chociaż i tutaj nie brakowało samookaleczeńców, to było dogodniej, bardziej na czasie, rozpłynąć się w morzu odmrożeń.

W taki właśnie sposób spotkałem go w szpitalu – następstwa odmrożenia III–IV stopnia, niegojąca się rana, kikut stopy, kikuty palców na obu rękach.

Fiedorenko leczył się. Jednak bez rezultatów. Ale przecież każdy chory walczył z leczeniem, jak tylko potrafił. Po wielu miesiącach leczenia wrzodów na tle odżywczym Fiedorenko wypisał się i chcąc zatrzymać się w szpitalu, został sanitariuszem, a potem jako starszy sanitariusz trafił na oddział chirurgiczny z trzystoma łóżkami. To był centralny szpital, na tysiąc łóżek dla samych więźniów. W przybudówce na jednym z pięter mieścił się szpital dla wolnych.

Tak się przytrafiło, że lekarz, który prowadził historię choroby Fiedorenki, zachorował i zamiast niego począł „zapisywać" doktor Krasiński, stary wojskowy lekarz, amator Juliusza Verne'a (dlaczego?), człowiek, któremu kołymskie życie nie odebrało chęci, aby pogawędzić, porozprawiać, poplotkować.

W czasie oględzin Fiedorenki Krasińskiego coś tknęło – nie bardzo wiedział co. Zaalarmowało go coś, jeszcze ze studenckich czasów. Nie, to nie jest wrzód na tle żywieniowym ani kikut spowodowany wybuchem czy uderzeniem topora. To przecież jest wolno rozkładająca się tkanka. Krasińskiemu zabiło serce. Jeszcze raz przywołał Fiedorenkę i pociągnął go ku oknu, do światła, wpatrując mu się chciwie w twarz i sam sobie nie wierząc. Przecież to – trąd! To – lwia maska! Ludzka twarz podobna do pyska lwa. Krasiński gorączkowo kartkował podręczniki. Wziął wielką igłę i kilkakrotnie nakłuł białą plamkę, jakich było wiele na skórze Fiedorenki. Żadnego bólu! Zlany potem Krasiński napisał raport do naczalstwa. Chory Fiedorenko został odizolowany w oddzielnym pomieszczeniu, a skrawki skóry potrzebne do biopsji odesłano do centrum, do Magadanu, a stamtąd – do Moskwy. Po dwu tygodniach przyszła odpowiedź. Trąd! Krasiński chodził w aureoli sukcesu. Trwała korespondencja pomiędzy naczalstwami na temat wystawienia skierowania do kołymskiego leprozorium. Znajduje się ono na wyspie, a na obu brzegach stoją wycelowane na przeprawę karabiny maszynowe. Skierowanie, konieczne było skierowanie.

Fiedorenko nie zaprzeczał, że był w leprozorium i że trędowaci, pozostawieni sami sobie, uciekli na wolność. Jedni – aby doganiać cofających się, drudzy – spotykać hitlerowców. Podobnie jak to było z innymi ludźmi. Fiedorenko czekał na odjazd spokojnie, ale szpital szalał. Cały szpital. Także ci, którzy byli masakrowani w czasie śledztwa, których dusze stały się nico-

ścią w tysiącach przesłuchań, a ciało zostało złamane, umęczone przez pracę ponad siły, z wyrokami po dwadzieścia pięć i pięć bez praw, którzy nie mogli przeżyć, wyżyć, pozostać przy życiu… Wszyscy drżeli ze strachu, krzyczeli i przeklinali Fiedorenkę, bojąc się trądu.

To było takie samo zjawisko psychiczne jak to, które każe zbiegowi odłożyć znakomicie przygotowaną ucieczkę dlatego, że tego dnia dają w łagrze tytoń – albo „sklepik". Ile jest łagrów, tyle można znaleźć takich dziwnych, wbrew logice przykładów.

Na przykład ludzki wstyd. Jaka jest jego miara i gdzie są jego granice? Okazywało się, że ludzie, których życie zostało zniszczone, a przeszłość i przyszłość podeptane, znajdują się we władzy jakiegoś błahego przesądu, jakiegoś głupstwa, ponad którym nie mogą przejść, którego nie potrafią odrzucić. I ten nagły przejaw wstydu wyłania się jako delikatne, ludzkie uczucie, i pozostaje w pamięci jako coś prawdziwego i nieskończenie drogiego. W szpitalu wydarzyło się raz tak, że felczerowi, który naprawdę jeszcze nim nie był, a tylko całkiem po prostu „pomagał", polecono golenie żeńskiego etapu. Dla zabawy naczalstwo nakazało kobietom golenie mężczyzn, a mężczyznom – kobiet. Chodziło oczywiście o wstydliwe miejsca. Każdy zabawia się jak umie. Ale powołany *ad hoc* fryzjer-mężczyzna błagał swojego naczelnika, aby przeprowadzić ten obrządek w trybie normalnie stosowanej „sanitarnej obróbki", i w żaden sposób nie chciał pomyśleć, że przecież całe jego życie zostało zniszczone, że te wszystkie zabawy łagrowego naczalstwa – to jedynie brudna piana w kotle, w którym rozgotowuje się na śmierć jego własne życie.

Nieoczekiwanie odkrywa się u ludzi coś ludzkiego, delikatnego i jednocześnie śmiesznego.

W szpitalu trwała panika. Przecież Fiedorenko pracował tam przez kilka miesięcy. Na nieszczęście, w przypadku tej choroby „prodromalny okres", do czasu pojawienia się zewnętrznych oznak, trwa kilka lat. Ludzie, chorobliwie podejrzliwi, skazani zostali na wieczny strach nękający ich dusze, bez względu na to, czy byli to wolni, czy więźniowie.

Panika trwała. Lekarze gorączkowo poszukiwali – u chorych i u siebie – tych białych, pozbawionych czucia plamek. Oprócz fonendoskopu i młoteczka igła stała się nieodłącznym przyrządem lekarza przy wstępnych oględzinach.

Chorego Fiedorenkę przyprowadzano i rozbierano przed felczerami i lekarzami. Obok chorego stał nadzorca z pistoletem. Doktor Krasiński,

uzbrojony w ogromny wskaźnik, opowiadał o trądzie, wyciągając kijek to do lwiej twarzy byłego sanitariusza, to do jego rozkładających się palców, to do błyszczących białych plam na jego plecach.

Dosłownie wszyscy mieszkańcy szpitala, wolni i więźniowie, zostali poddani przeglądowi i nagle, na plecach Szury Leszczyńskiej, frontowej siostry medycznej, aktualnie dyżurującej na oddziale kobiecym, znaleziono białą, nieczułą plamkę. Leszczyńska była w szpitalu niedługo, od kilku miesięcy. Żadnej lwiej maski. Nie zachowywała się ani surowiej, ani bardziej pobłażliwie, ani głośniej czy bardziej rozwiązle niż jakakolwiek inna „siostra”- więźniarka. Zamknięto ją w jednym z pomieszczeń kobiecego oddziału, a skrawek jej skóry odwieziono do Magadanu i do Moskwy na analizę. I odpowiedź nadeszła: Trąd! Dezynfekcja po trądzie – to bardzo trudna sprawa. Należy spalić dom, w którym mieszkał trędowaty. Tak uczą podręczniki. Ale żeby spalić czy wypalić jedną z sal ogromnego piętrowego domu-giganta! Na to nikt się nie decydował. Podobnie jak w przypadku drogich futer, gdzie idzie się na ryzyko pozostawienia zarazy i uratowania futrzanego bogactwa, skrapiając je jedynie symbolicznie, ponieważ w wysokotemperaturowej komorze dezynfekcyjnej zginęłyby nie tylko mikroby, ale i same rzeczy. Naczalstwo milczałoby nawet w przypadku dżumy czy cholery.

Ktoś wziął na siebie odpowiedzialność za niespalenie. Pomieszczenia, w którym przebywał Fiedorenko w oczekiwaniu na odesłanie go do leprozorium, również nie spalono. Po prostu zalano wszystko fenolem, karbolem, opryskując je wielokrotnie.

Od razu też pojawiła się nowa istotna obawa. I Fiedorenko, i Leszczyńska mieszkali w dużych pokojach z kilkoma łóżkami.

Zarówno odpowiedź, jak i skierowanie – skierowanie na dwoje ludzi – wciąż jeszcze nie przychodziło, nie przyjeżdżało, bez względu na dopominanie się naczalstwa w codziennych, a raczej conocnych telegramach do Magadanu.

Na dole, w piwnicy, wygrodzono pomieszczenie i zbudowano dwie maleńkie komórki dla trędowatych-aresztantów. Przeniesiono do nich Fiedorenkę i Leszczyńską. Za mocnym zamkiem, pod strażą, mieli oczekiwać na rozkaz, skierowanie do leprozorium i na konwój.

Przemieszkali w swoich celach jedną dobę, a po jej upływie zmiana wartowników znalazła puste cele.

W szpitalu powstała panika. W celach wszystko było na swoim miejscu, i okna, i drzwi.

Pierwszy domyślił się Krasiński. Uciekli przez podłogę.

Siłacz Fiedorenko rozebrał bierwiona, wyszedł na korytarz, ograbił rozdzielnię chleba, salę operacyjną oddziału chirurgicznego i zabrawszy cały spirytus, wszystkie alkoholowe roztwory znajdujące się w szafkach, wszystkie „kodeinki", zawlókł tę zdobycz do podziemnej nory.

Trędowaci wyszukali miejsce, wygrodzili sobie łoże, narzucali na nie materace, koce, zagrodzili bierwionami od świata, konwoju, szpitala, leprozorium i przeżyli razem, jak mąż i żona, kilka dni – zdaje się, że trzy.

Znaleziono ich trzeciego dnia poszukiwań, w których brali udział ludzie z psami. Ja też byłem w tej grupie w wysokiej piwnicy szpitala. Fundament był tam bardzo wysoki. Rozsunięto bierwiona i znaleziono w głębi leżących nago oboje trędowatych. Okaleczone ręce Fiedorenki obejmowały białe, błyszczące ciało Leszczyńskiej. Oboje byli pijani.

Okryto ich kocami i zaniesiono do jednej z cel, już ich nie rozłączając więcej.

Kto przykrywał ich kocem, kto dotykał tych strasznych ciał? Specjalny sanitariusz, wynaleziony w szpitalu do „obsługi", za cenę (według wyjaśnień naczalstwa) zaliczeń siedmiu dni za jeden dzień roboczy. A zatem więcej niż na wolframie, ołowiu czy uranie. Siedem dni za jeden dzień. W tym przypadku paragraf nie miał żadnego znaczenia. Znalazł się frontowiec, który siedział za zdradę ojczyzny – otrzymał wyrok dwudziestu pięciu lat i pięciu pozbawienia praw – i naiwnie przypuszczał, że przez swoje bohaterstwo skróci wyrok, przybliży dzień powrotu na wolność. Więzień Korolkow – wojenny lejtnant – dyżurował przy celi przez okrągłą dobę. Spał również pod jej drzwiami. A kiedy przyjechał konwój z „wyspy", więźnia Korolkowa wzięto razem z trędowatymi jako „obsługę". Więcej nigdy już nie słyszałem ani o Korolkowie, ani o Fiedorence, ani o Leszczyńskiej.

W IZBIE PRZYJĘĆ

Etap ze Złocistego!

– Jaka to kopalnia?

– Sucza.

– Wołaj żołnierzy do rewizji. Sam nie dasz rady.

– A żołnierze przegapią. To kadra.

– Nie przegapią. Postoję w drzwiach.

– No, chyba że tak.

Wyładowywał się etap, zakurzony, brudny. Był to etap „znaczący” – zbyt wielu było barczystych, zbyt wielu obandażowanych, a odsetek chorych nadających się na oddział chirurgiczny zbyt wielki jak na etap z kopalni.

Wszedł lekarz dyżurny z wolnego najmu, kobieta – Klaudia Iwanowna.

– Zaczniemy?

– Poczekamy, aż przyjdą żołnierze na rewizję.

– Jakiś nowy tryb przyjmowania?

– Tak, nowy. Zaraz pani zobaczy w czym rzecz, Klaudio Iwanowna.

– Wychodzić na środek – o ty, ze szczudłami. Dokumenty!

Dyspozytor podał dokumenty – skierowanie do szpitala. „Akta personalne” odłożył, pozostawiając je sobie.

– Zdejmuj opatrunek. Daj nasze bandaże, Grisza. Klaudio Iwanowna, proszę obejrzeć złamanie.

Biały wężyk bandaża ześliznął się na podłogę. Felczer odsunął go nogą. Do łubków przymocowany był nie nóż, lecz kopia – olbrzymi gwóźdź, najbardziej portatywna broń w suczej wojnie. Zadźwięczał, padając na podłogę. Klaudia Iwanowna zbladła.

Żołnierze schwycili tę kopię.

– Zdejmuj wszystkie opatrunki.

– A gips?

– Rozłamujcie cały gips. Jutro nałoży się nowy.

Felczer, nawet nie patrząc, przysłuchiwał się znajomym dźwiękom kawałków żelaza, które padały na podłogę. Broń była pod każdym gipso-

wym opatrunkiem. Została włożona i zagipsowana.

– Czy pani pojmuje, co to oznacza, Klaudio Iwanowna?

– Tak, rozumiem.

– I ja też. Nie będziemy chyba pisać raportu do naczalstwa, a jedynie ustnie poinformujemy kierownika oddziału sanitarnego – co, Klaudio Iwanowna?

– Dwadzieścia noży na piętnastu ludzi z etapu – poinformował lekarza nadzorca.

– Nazywacie to nożami? To raczej kopie.

– A teraz, Klaudio Iwanowna, wszystkich zdrowych – z powrotem. I proszę iść dokończyć oglądać film. Pani wie, Klaudio Iwanowna, na tej kopalni ignorant lekarz napisał kiedyś diagnozę dotyczącą obrażenia doznanego przy upadku z samochodu – „*prolapsus* z samochodu”, w stylu *prolapsus recti* – wypadnięcia kiszki stolcowej. Ale zagipsowywać broń to się nauczył.

Pozbawione nadziei, złe oczy spoglądały na felczera.

– No, kto chory, tego położymy w szpitalu – powiedziała Klaudia Iwanowna. – Podchodźcie pojedynczo.

Skierowani na chirurgię chorzy, oczekując na odesłanie z powrotem, przeklinali, zupełnie się nie krępując. Utracona nadzieja rozwiązała im języki. Błatniacy obkładali przekleństwami dyżurnego lekarza, felczera, straż, sanitariuszy.

– Jeszcze ci oczy wyłupimy – dusił się błatniak.

– Co ty mi możesz zrobić, gnojku? Jedynie we śnie zarżnąć. W trzydziestym siódmym niemało pięćdziesiątego ósmego paragrafu zatłukliście pałkami w wyrobiskach. Już zapomnieliście o różnych staruszkach i „Iwanach Iwanyczach”?

Trzeba było uważać nie tylko na „chirurgicznych” błatniaków. Bardziej przykre było demaskowanie prób trafienia na oddział gruźliczy, kiedy chory miał przywiezione ze sobą w szmateczce „bakteryjne charki” – gdy przygotowywano go do lekarskich oględzin. Lekarz mówił: „Pluj do słoika” – i robiono dodatkową analizę na obecność pałeczek Kocha. Przed oględzinami lekarza chory brał do ust zakażoną plwocinę i oczywiście zarażał się przy tym gruźlicą. Ale za to trafiał do szpitala, ratował się przed najstraszniejszym – przed pracą w kopalni, w złotym wyrobisku. Chociaż na godzinę, chociaż na dzień, chociaż na miesiąc. Jeszcze ciężej było demaskować tych, którzy przywozili ze sobą w buteleczce krew albo rozdrapy-

wali palec, ażeby dodać krople krwi do swego moczu i z „hematurią” znaleźć się w szpitalu i poleżeć chociaż do jutra, chociaż przez tydzień. A potem – co Bóg da.

Takich było niemało i byli oni bardziej wykształceni. Aby się hospitalizować, nigdy nie wzięliby do ust gruźliczej plwociny. Zdarzało im się słyszeć, co to takiego białko, w jakim celu bierze się mocz do analizy, jaka z tego może być korzyść dla chorego. Miesiące spędzone na szpitalnych łóżkach wiele ich nauczyły. Byli chorzy z fałszywymi przykurczami – rozginano im pod narkozą, pod „rauszem”, stawy kolanowe i łokciowe. A w dwu przypadkach przykurcz, zrost, okazał się prawdziwy i lekarz, który sam się oszukał, na siłę rozerwał żywe tkanki, rozginając kolano. Przedobrzył, nie wziął pod uwagę swojej siły.

Większość była z „mostyrkami” – przekłucie wrzodu igłą, obficie umoczoną w nafcie, powodowało podskórne zapalenie. Takich chorych można było przyjmować, można było też nie przyjmować. Życie nie dało tu żadnych wskazówek.

Bardzo dużo było zwłaszcza kobiet z „mostyrkami” z sowchozu Elgen, a potem, kiedy utworzono specjalną kobiecą kopalnię złota Diebin – z taczkami, łopatami i kilofami – liczba takich chorych stamtąd znacznie się zwiększyła. To była ta sama kopalnia, gdzie sanitariuszki zarąbały lekarza toporem, doskonałą lekarkę o nazwisku Szicel, siwowłosą Krymczankę. Pracowała przedtem w szpitalu, ale „ankieta” zaprowadziła ją do kopalni i na śmierć.

Klaudia Iwanowna idzie, aby dokończyć oglądanie filmu łagrowej kultbrygady, a felczer kładzie się spać. Ale po godzinie budzą go: „Etap. Kobiecy etap z Elgenu”. To etap, gdzie będzie bardzo dużo rzeczy. Za sprawą nadzorców. Etap jest niewielki i Klaudia Iwanowna podejmuje się go przyjąć sama. Felczer dziękuje i ponownie zasypia, ale prawie natychmiast się budzi od szturchańca i gorzkich łez Klaudii Iwanownej. Co tam takiego się zdarzyło?

– Ja już nie mogę tu więcej żyć. Nie mogę. Rzucam dyżur.

Felczer spłukuje twarz garścią chłodnej wody z kranu i ocierając się rękawem, wychodzi do izby przyjęć.

Śmieją się wszyscy! Chorzy, przyjezdni konwojenci, nadzorcy. Oddzielnie, na kozetce miota się, przewracając z boku na bok, piękna, bardzo piękna dziewczyna. Nie jest ona po raz pierwszy w szpitalu.

– Witaj, Walu Gromowa.

– No wreszcie, chociaż teraz ujrzałam człowieka.

– Co to za hałas?

– Nie chcą położyć mnie w szpitalu.

– A dlaczego rzeczywiście nie chcecie jej przyjąć? Przecież u niej nie wszystko w porządku z gruźlicą.

– Przecież to kobieto-mężczyzna [1] – grubiańsko wtrąca się dyspozytor. – Było odpowiednie postanowienie jej dotyczące. Zabraniają przyjmować.

– Ona spała przecież beze mnie. Czy bez męża…

– Wszystkie one kłamią – bezwstydnie krzyczy Wala Gromowa. – Przecież widzicie, jakie mam palce. Jakie paznokcie…

Felczer spluwa na podłogę i odchodzi do drugiego pomieszczenia. A Klaudia Iwanowna dostała ataku histerii.

1. W oryginale „kobioł”, co w żargonie łagrowym oznacza kobietę spełniającą rolę mężczyzny w stosunkach homoseksualnych. Palce stanowiły najważniejszy element przy odbywaniu zbliżeń, dlatego istotne było nieposiadanie długich paznokci. Stąd dalej o nich mowa. [wróć]

GEOLODZY

Nocą Krista rozbudzono i dyżurny nadzorca przeprowadził go przez niekończące się ciemne korytarze do gabinetu naczelnika. Podpułkownik służby medycznej jeszcze nie spał. Lwow, upełnomocniony oficer MWD, siedział przy biurku naczelnika i rysował na kartce papieru jakieś nic nieznaczące ptaszki.

– Felczer izby przyjęć Krist melduje się na wasze wezwanie, obywatelu naczelniku.

Podpułkownik machnął ręką i nadzorca, który przyprowadził Krista, znikł.

– Słuchaj, Krist – powiedział naczelnik – przywiozą do ciebie gości.

– Przyjedzie etap – powiedział oficer.

Krist milczał, oczekując, co dalej nastąpi.

– Wymyjesz ich. Dezynfekcja i cała reszta.

– Słucham.

– Ani jeden człowiek nie powinien wiedzieć o tych ludziach. Żadnych kontaktów.

– Mamy do ciebie zaufanie – powiedział pełnomocny i rozkaszlał się.

– Nie dam sobie sam rady z komorą dezynfekcyjną, obywatelu naczelniku – powiedział Krist. – Sterowanie komorą dezynfekcyjną położone jest daleko od mieszalnika gorącej i zimnej wody. Para i woda są rozdzielone.

– To znaczy…

– Potrzebny jest jeszcze sanitariusz, obywatelu naczelniku.

Naczelnicy spojrzeli na siebie.

– Niech będzie sanitariusz – powiedział pełnomocny.

– A więc zrozumiałeś? Nikomu ani słowa.

– Zrozumiałem, obywatelu naczelniku.

Krist i pełnomocny wyszli. Naczelnik wstał, zgasił górne światło i zaczął wkładać płaszcz.

– Skąd taki etap? – niegłośno spytał Krist pełnomocnego, przechodząc przez głęboki przedsionek – według moskiewskiej mody, naśladowanej

wszędzie, gdzie tylko istniały gabinety naczelników, bez względu na to, czy wojskowych, czy cywilnych.

– Skąd? – Pełnomocny roześmiał się. – Ech, Krist, Krist, nigdy bym nie pomyślał, że możesz mi zadać takie pytanie… – I chłodno wymówił: – Z Moskwy, samolotem.

– Nie znają więc łagru. Więzienie, śledztwo i tak dalej. Wyda się im – nieznającym łagru, że to pierwsza szczelina, przez którą wyjrzą na „wolne" powietrze.

Następnej nocy pełen gwaru, przestronny westybul zapełnił się obcymi ludźmi – oficerami, oficerami i oficerami. Majorzy, podpułkownicy, pułkownicy. Był nawet jeden generał – niziutki, młody i czarnooki. Wśród konwojentów nie było ani jednego żołnierza.

Chuderlawy, wysoki starzec, naczelnik szpitala, z trudnością schylał się, składając raport maleńkiemu generałowi.

– Wszystko gotowe na przyjęcie.

– Doskonale, doskonale.

– Łaźnia!

Naczelnik machnął na Krista ręką i drzwi izby przyjęć rozwarły się.

Tłum oficerskich szyneli rozstąpił się. Złociste światło gwiazdek na naramiennikach ściemniało – cała uwaga przyjezdnych i spotykających poświęcona została maleńkiej grupie brudnych ludzi w jakichś potarganych łachmanach, ale nie państwowych – nie, jeszcze we własnych, cywilnych ze śledztwa, znoszonych na różnych podściółkach, na podłogach więziennych cel.

Dwunastu mężczyzn i jedna kobieta.

– Anno Pietrowna, proszę – powiedział aresztant, przepuszczając kobietę przed sobą.

– Co pan – idźcie i myjcie się. A ja tymczasem odpocznę.

Drzwi izby przyjęć zamknęły się.

Wszyscy mężczyźni stali wokół Krista i zachłannie spoglądali mu w oczy, starając się coś odgadnąć przed rozpoczęciem pytań.

– Od dawna pan na Kołymie? – spytał najodważniejszy, rozpoznawszy w Kriście „Iwana Iwanowicza".

– Od trzydziestego siódmego.

– W trzydziestym siódmym to my jeszcze byliśmy…

– Zamilcz – wtrącili się inni, starsi.

Wszedł nadzorca, sekretarz partyjnej organizacji szpitala Chabibulin, mający specjalne zaufanie do Krista. Chabibulin pilnował przyjezdnych i Krista.

– A golenie?

– Fryzjer został już wezwany – powiedział Chabibulin. – To Pers, z błatniaków – Jurka.

Pers zjawił się szybko razem ze swymi narzędziami. Został na wartowni poinstruowany i tylko coś mruczał.

Uwaga przyjezdnych ponownie zwróciła się ku Kristowi.

– A czy my pana nie narazimy?

– Jak wy możecie mnie narazić, panowie inżynierowie – czy dobrze mówię?

– Geolodzy.

– Panowie geolodzy.

– A gdzie my się znajdujemy?

– Na Kołymie. 500 kilometrów od Magadanu.

– No to żegnamy. Świetna rzecz – ta łaźnia.

To byli geolodzy – wszyscy! – z pracy poza granicami kraju. Otrzymali „terminy” od 15 do 25. O ich losie decydował specjalny zarząd, w którym było tak mało żołnierzy i tak wielu oficerów i generałów.

To „gospodarstwo” generałów nie było podporządkowane Dalstrojowi i Kołymie. Kołyma zapewniała im tylko szeroki horyzont – powietrze za okratowanymi oknami, duże racje żywnościowe, łaźnie trzy razy w miesiącu, pościel i bieliznę bez wszy oraz dach nad głową. O spacerach i kinie nie było jeszcze mowy. Moskwa wybrała dla nich daczę za kręgiem polarnym.

Geolodzy zaproponowali naczalstwu, że wykonają jakąś wielką specjalistyczną pracę – kolejny wariant przepływowego kotła Ramzina.

Iskrę twórczego płomienia można wydobyć zwykłą pałką – stało się to dobrze wiadome po „przekuwaniu” w licznych Kanałach Białomorskich. Zawiodła szeroka skala żywnościowych „bodźców i kar”, zaliczeń roboczych dni i nadziei – i oto niewolnicza praca staje się pracą błogosławioną.

Po miesiącu przyjechał maleńki generał. Geolodzy zapragnęli chodzić do kina – dla wolnych i więźniów. Maleńki generał uzgodnił to z Moskwą i zezwolił geologom na kino. Balkonową lożę, w której siedziało przedtem naczalstwo, przegrodzono i wzmocniono więziennymi kratami. Na kinowych seansach umieszczano tam, obok naczalstwa, geologów.

Z łagrowej biblioteki książek im nie dawano. Jedynie literaturę techniczną.

Sekretarz partyjnej organizacji, stary dalstrojowiec Chabibulin, po raz pierwszy w swoim życiu nadzorcy własnoręcznie taszczył do pralni węzły z bielizną geologów. Dręczyło go to bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

Gdy minął następny miesiąc i maleńki generał przyjechał ponownie, geolodzy poprosili o firanki na okna.

– Firanek – mówił przygnębiony Chabibulin – firanek im się zachciało.

Maleńki generał był zadowolony. Praca geologów posuwała się naprzód. Raz na dziesięć dni otwierała się w nocy izba przyjęć i geolodzy myli się w łaźni. Krist mało z nimi rozmawiał. Bo i cóż mogli mu opowiedzieć takiego ci uwięzieni geolodzy, czego Krist jeszcze się nie nauczył w ciągu swojego życia w łagrze.

Wtedy uwaga geologów zwróciła się w kierunku fryzjera – Persa.

– Ty z nimi wiele nie gadaj, Jurka – powiedział przy okazji Krist.

– Ten frajer będzie mnie jeszcze uczyć. – I tu Pers ordynarnie zaklął.

Minęła jeszcze jedna łaźnia; Pers przyszedł wyraźnie podpity, i być może „naczyfirzył się” [1] albo „chwycił kodeinki”. Trzymał się tylko zbyt dziarsko i spiesząc się do domu, wyskoczył z wartowni na zewnątrz, nie czekając na odprowadzającego go do łagru konwojenta. Krist usłyszał przez otwarte okno suchy szczęk wystrzału z rewolweru. Pers został zabity przez tego samego nadzorcę, którego przed chwilą golił. Skurczone ciało leżało przy ganku. Dyżurny lekarz zbadał puls, podpisał akt zejścia.

Przyszedł drugi fryzjer, Aszot – ormiański terrorysta z tej samej bojowej grupy eserów, która w 1926 roku zabiła trzech tureckich ministrów z Talaat-bejem na czele, winnym rzezi Ormian w 1915 roku, kiedy zginął ich milion… Wydział śledczy sprawdził „personalne akta” Aszota i więcej już nie zdarzyło mu się golić geologów. Znaleziono jakiegoś błatniaka, a przy tym zmieniono samą zasadę – za każdym razem golił ich nowy fryzjer. Uważano to za bardziej bezpieczne – nie nawiążą łączności. W więzieniu butyrskim w ten sposób zmieniają się wartownicy – systemem ruchomym.

Geolodzy niczego się nie dowiedzieli o Persie ani o Aszocie. Ich praca posuwała się z powodzeniem naprzód i maleńki generał zezwolił im po przyjeździe na półgodzinny spacer. To również stało się istotnym poniżeniem dla starszego nadzorcy Chabibulina. W łagrze pokornych, tchórzliwych, pozbawionych prawa ludzi nadzorca jest wielkim naczelnikiem.

A tutaj, służba nadzorcy w jej czystej formie nie spodobała się Chabibulinowi.

Jego oczy coraz bardziej powlekały się smutkiem, a nos czerwieniał. Chabibulin zdecydowanie się rozpił. I jednego razu spadł z mostu do Kołymy głową w dół, ale został uratowany i nie przerwał swej służby nadzorcy. Pokornie taszczył węzły z bielizną do pralni, pokornie zamiatał pokój i zmieniał firanki w oknach.

– Jak się żyje? – zapytywał Chabibulina Krist, bądź co bądź pełnili tu razem dyżury od ponad roku.

– Marnie – westchnął Chabibulin.

Przyjechał maleńki generał. Praca geologów szła znakomicie. Uśmiechając się z radością, generał obchodził więzienie geologów. Generałowi kroiła się nagroda za ich pracę.

Stanąwszy w progu na baczność, Chabibulin odprowadzał generała.

– No, ładnie, ładnie. Widzę, że nie zawiedliście – mówił wesoło maleńki generał. – A wy – tu generał przeniósł wzrok na stojących przy drzwiach nadzorców – postępujcie z nimi jak najgrzeczniej. Bo inaczej to was wbiję do trumny, psy!

I generał oddalił się.

Chabibulin, chwiejąc się, dotarł do pokoju przyjęć, wypił u Krista podwójną porcję waleriany i napisał meldunek z prośbą o natychmiastowe przeniesienie z tej pracy do jakiejkolwiek innej. Licząc na współczucie, pokazał go Kristowi. Krist próbował wyjaśnić nadzorcy, że dla generała ważniejsi są geolodzy niż setka takich Chabibulinów, ale urażony w swych najgłębszych uczuciach starszy nadzorca nie chciał zrozumieć tej prostej prawdy.

Pewnej nocy geolodzy zniknęli.

1. Napił się „czyfiru”, bardzo mocnej esencji herbacianej. [wróć]

NIEDŹWIEDZIE

Kociak wylazł spod pryczy i ledwo zdążył wskoczyć tam z powrotem – geolog Fiłatow rzucił w niego butem.

– Czego się wściekasz? – powiedziałem, odkładając zatłuszczony tom *Hrabiego Monte Christo*.

– Nie lubię kotów. Ten – to zupełnie co innego – Fiłatow przyciągnął do siebie szarego, o gęstej sierści szczeniaka i poklepał go po karku. – Czystej krwi owczarek. Ugryź go, Kazbek, ugryź – geolog podszczuwał szczeniaka na kota. Ale na nosie szczeniaka znajdowały się świeże jeszcze zadrapania pochodzące od pazurków kociaka i Kazbek tylko głucho warczał, nie chcąc się ruszyć.

Kociakowi marnie się u nas żyło. Pięciu mężczyzn odbijało sobie na nim nudę bezczynności – wylew rzeki powstrzymał nasz odjazd. Jużykow i Koczubiej, cieśle, już drugi tydzień grali w sześćdziesiąt sześć pod przyszłą wypłatę. Grali ze zmiennym szczęściem. Nagle, otwarłszy drzwi, kucharz krzyknął:

– Niedźwiedzie!

Wszyscy rzucili się pędem do drzwi.

Było nas pięciu, ale strzelba tylko jedna – miał ją geolog. Siekier dla wszystkich nie starczyło i kucharz zabrał ze sobą ostry jak brzytwa nóż kuchenny.

Niedźwiedzie szły górą ponad strumieniem – był to samiec i samica. Potrząsały, łamały, wyrywały z korzeniami młode modrzewie i zrzucały je do wody. Były same w tym świecie majowej tajgi i ludzie podeszli do nich bardzo blisko z podwietrznej strony – na dwieście kroków. Niedźwiedź miał brunatną sierść z rdzawym odcieniem; był to dwukrotnie większy od niedźwiedzicy stary samiec – dobrze było widać żółte kły.

Fiłatow – on był najlepszym strzelcem – przysiadł i oparł strzelbę o pień zwalonego modrzewia, ażeby strzelić na pewniaka, z bezpośredniej odległości. Wodził lufą, szukając dla kuli wolnego miejsca pomiędzy żółknącymi liśćmi krzewów.

– Wal – wrzeszczał z pobladłą od emocji twarzą kucharz – wal!

Niedźwiedzie posłyszały hałas. Reakcja była natychmiastowa, jak u futbolisty w czasie meczu. Niedźwiedzica pomknęła po pochyłości w górę – przez grzbiet na drugą stronę. Stary niedźwiedź nie pobiegł. Zwrócił pysk w stronę grożącego niebezpieczeństwa i obnażywszy kły, wolno szedł górą – ku rosnącym tam krzakom cedrowca. Zupełnie wyraźnie ściągał niebezpieczeństwo na siebie. On, samiec, ofiarowywał życie, aby ratować swą towarzyszkę, odciągał od niej śmierć, osłaniał jej ucieczkę.

Fiłatow wystrzelił. Był, jak już mówiłem, dobrym strzelcem – niedźwiedź upadł i potoczył się po pochyłości w kierunku parowu, dopóki złamany przez niego w czasie zabawy modrzew nie zatrzymał ciężkiego ciała. Niedźwiedzica już dawno zniknęła.

Wszystko było takie ogromne – niebo, skały – że niedźwiedź wyglądał jak zabawka. Został zabity od razu. Związaliśmy mu łapy, przetknęli przez nie drąg i chwiejąc się pod ciężarem ogromnej tuszy, zeszliśmy na dno parowu na śliski, dwumetrowej grubości lód, który jeszcze nie zdążył roztajać. Wlokąc, dotaszczyliśmy niedźwiedzia do progu naszej izdebki.

Dwumiesięczny szczeniak, który w ciągu swego krótkiego życia nie widział jeszcze niedźwiedzia, wcisnął się pod łóżko oszalały ze strachu. Kociak zachował się inaczej. Rzucił się z wściekłością na niedźwiedzią tuszę, z której w pięciu zdejmowaliśmy skórę. Rwał kawałki ciepłego mięsa, łowił grudki skrzepniętej krwi, skakał na węzłowatych, czerwonych mięśniach zwierza…

Skóra po ściągnięciu miała cztery metry kwadratowe powierzchni.

– Będzie ze dwanaście pudów mięska – powtarzał każdemu kucharz.

Zdobycz była bogata, ale ponieważ nie było jak jej wywieźć na sprzedaż, to rozdzielono ją od razu po równo. Kociołki i patelnie Fiłatowa kipiały dzień i noc, dopóki nie rozchorował się na żołądek. Jużykow i Koczubiej, upewniwszy się, że mięso nie nadaje się do rozliczeń w karcianej grze, zasolili każdy swoją część w wyłożonych kamieniami jamach i każdego dnia chodzili sprawdzać ich stan. Kucharz ukrył mięso nie wiadomo gdzie – znał jakiś sekret solenia, ale nikomu go nie ujawnił. Ja natomiast – karmiłem kotka i szczeniaka, i w trójkę rozprawiliśmy się z tym mięsem najlepiej ze wszystkich. Wspomnień o tym udanym polowaniu wystarczyło na całe dwa dni. Zaczęliśmy się kłócić trzeciego dnia, pod wieczór.

NASZYJNIK KSIĘŻNY GAGARINEJ

Okres śledztwa prześlizguje się po pamięci, nie pozostawiając żadnych widocznych i ostrych śladów. Dla każdego znajdującego się pod śledztwem więzienie, spotkania w nim i ludzie nie są rzeczą najważniejszą. Natomiast najważniejsze jest to, na co zużywana jest cała siła charakteru i nerwów – to zmaganie ze śledczym. To, co się dzieje w gabinetach budynku, w którym prowadzone są przesłuchania, silniej utrwala się w pamięci niż życie w więzieniu. Żadna z książek przeczytanych w więzieniu nie pozostaje w pamięci – uniwersytetami były jedynie więzienia przeznaczone do „odsiadywania wyroków" – z nich wychodzili astrolodzy, powieściopisarze, pamiętnikarze. Książek przeczytanych w więzieniu śledczym nie pamięta się. Dla Krista pojedynek ze śledczym nie odgrywał głównej roli. Krist rozumiał, że przeznaczony jest na zgubę – że areszt jest potępieniem, oddaniem na stracenie. I Krist pozostał spokojny. Zachował zdolność obserwacji, zachował zdolność działania na przekór usypiającemu rytmowi więziennego życia. Nie raz spotykał się ze zgubnym przyzwyczajeniem ludzkim – opowiadania o tym, co w człowieku najważniejsze, opowiadania o tym wszystkim swojemu sąsiadowi z celi, ze szpitalnego łóżka, z przedziału w więziennym wagonie. Te tajemnice, chronione na dnie duszy ludzkiej, bywały niejednokrotnie czymś oszałamiającym i nieprawdopodobnym.

Sąsiad Krista z prawej strony, mechanik wołokołamskiej fabryki, odpowiadając na prośbę przypomnienia najbardziej żywego wydarzenia, tego, co pozostało w pamięci jako coś dobrego, opowiedział, rozpromieniony wspomnieniem, jak w 1933 roku otrzymał na kartki dwadzieścia puszek konserw warzywnych, a po otwarciu ich w domu okazało się, że to konserwy mięsne. Zamknąwszy się na klucz przed sąsiadami, każdą puszkę przerąbywał toporem na pół – wszystkie były z mięsem, ani jedna nie zawierała warzyw. W więzieniu nie śmieją się z takich wspomnień.

Sąsiad Krista z lewej strony, sekretarz stowarzyszenia katorżan-więźniów politycznych, Aleksander Gieorgijewicz Andriejew, zmarszczył swe srebrzyste brwi. Zabłysły jego czarne oczy.

– Tak, istnieje taki dzień w moim życiu – 12 marca 1917 roku. Jestem carskim skazańcem na wieczną katorgę. Zrządzeniem losu trzydziestolecie tego wydarzenia obchodziłem tutaj, w więzieniu, razem z wami.

Z przeciwległych nar zlazł człowiek, zgrabny i pulchny.

– Pozwólcie mi wziąć udział w waszej zabawie. Jestem doktor Mirolubow, Walerij Andriejewicz. – Słaby, żałosny uśmiech pojawił się na twarzy doktora.

– Proszę siadać – powiedział Krist, robiąc mu miejsce. Aby to zrobić, wystarczyło podkurczyć nogi. Innym sposobem się nie dało.

Mirolubow od razu wlazł na nary. Na nogach doktor miał domowe pantofle. Krist ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Nie, to nie z domu. W Tagance, gdzie siedziałem dwa miesiące, było prościej.

– Przecież Taganka to więzienie dla przestępców kryminalnych!

– Oczywiście, dla kryminalnych – w roztargnieniu potwierdził doktor Mirolubow. – Wraz z pana pojawieniem się w celi – powiedział, podnosząc oczy na Krista – życie się tu zmieniło. Nasze gry nabrały sensu. To nie ten obrzydliwy „żuczek", który pochłaniał wszystkich… Czekano nawet na „pójście z potrzebą", ażeby do woli pograć w „żuczka" w ustępie. Pewnie doświadczenie…

– Tak, mam doświadczenie – powiedział smutno i zdecydowanie Krist.

Mirolubow zajrzał mu w oczy swoimi – wypukłymi, dobrymi i krótkowzrocznymi.

– Okulary zabrali mi błatniacy w Tagance.

W mózgu Krista jak zwykle mieszały się pytania, hipotezy, domysły… Szuka rady. Nie wie, za co został aresztowany. Zresztą…

– A dlaczego przeniesiono pana tutaj z Taganki?

– Nie wiem. W ciągu dwu miesięcy żadnego przesłuchania. A w Tagance… Wezwano mnie w charakterze świadka w sprawie kradzieży mieszkaniowej. W naszym mieszkaniu ukradziono sąsiadowi palto. Przesłuchali mnie i przedstawili nakaz aresztowania… Abrakadabra. Ani słowa – już trzeci miesiąc. I przenieśli do Butyrek.

– No cóż – powiedział Krist. – Trzeba uzbroić się w cierpliwość. Przygotować na niespodzianki. To znowu nie taka abrakadabra. Zorganizowana gmatwanina, jak wyrażał się krytyk Juda Grossman Roszczin. Pamięta pan takiego?

– Towarzysz broni Machna? Nie, nie pamiętam – powiedział doktor.

Zgasła nadzieja na wszechwiedzę Krista i znikł blask Mirolubowowskich oczu.

Artystyczne wzory na tkaninie scenariusza śledztwa były bardzo, bardzo różnorodne. Krist o tym wiedział. Wciągnięcie do sprawy o okradzenie mieszkania – choćby tylko w charakterze świadka – przywodziło na myśl słynne „amalgamaty". W każdym razie tagańskie przygody doktora Mirolubowa były jedynie kamuflażem śledztwa, Bóg jeden wie, dlaczego potrzebnym poetom z NKWD.

– Pomówmy, Waleriju Andriejewiczu, o czym innym. O lepszej stronie naszego życia. O najbardziej wyrazistym zdarzeniu w pańskim życiu.

– Tak, słyszałem, słyszałem, jak rozmawialiście. Istnieje takie wydarzenie w moim życiu, które przewróciło je do góry nogami. Tylko że to, co mi się przydarzyło, niepodobne jest do opowiadania Aleksandra Gieorgijewicza – Mirolubow skłonił się w lewo, w kierunku sekretarza generalnego stowarzyszenia katorżan-więźniów politycznych – ani do opowiadania tego kolegi – Mirolubow skłonił się w prawo, w kierunku wołokołamskiego mechanika… – W 1901 roku byłem studentem pierwszego roku medycyny Uniwersytetu Moskiewskiego. Byłem młody. Myślałem górnolotnie i głupio. Byłem naiwny.

– Po błatniacku – „łoch"? – podpowiedział Krist.

– Nie, nie „łoch". Po bytności w Tagance trochę rozumiem po błatniacku. A pan skąd to zna?

– Z samouczka – powiedział Krist.

– Nie, nie łoch, a taki… „gaudeamus". Czy to jasne? No, tak.

– Do rzeczy, do rzeczy, Waleriju Aleksandrowiczu – powiedział wołokołamski mechanik.

– Zaraz przystąpię. Tak mało mamy tu wolnego czasu… Przeglądam gazety. Ogromne ogłoszenie. Księżna Gagarina zgubiła swój brylantowy naszyjnik. Rodzinną, cenną pamiątkę. Temu kto znajdzie – pięć tysięcy rubli. Skończyłem czytać, zmiąłem i rzuciłem do kosza na śmieci. Idę i myślę: Gdybym to ja tak znalazł ten naszyjnik. Połowę odesłałbym matce. A za drugą połowę pojechałbym za granicę. Kupiłbym dobre palto. Kupiłbym abonament do Małego Teatru. Wtedy nie było jeszcze Artystycznego. Idę po bulwarze Nikołajewskim. A właściwie nie po bulwarze, a po deskach drewnianego chodnika – jeszcze tam wyłaził taki gwóźdź przy stąpnięciu. Zszedłem z chodnika, aby go obejść i patrzę – w rowie… Jednym słowem – znalazłem naszyjnik. Posiedziałem na bulwarze, pomarzyłem. Myślałem

o swym przyszłym szczęściu. Nie poszedłem na uniwersytet, lecz do kosza na śmieci, wydostałem gazetę i przeczytałem adres.

Dzwonię… Dzwonię. Otwiera lokaj. – Ja w związku z naszyjnikiem. – Wychodzi sam książę. Wybiega żona. Miałem wtedy dwadzieścia lat. Dwadzieścia. Była to wielka próba. Próba wszystkiego, czego się nauczyłem, z czym wyrosłem… Trzeba było zadecydować od razu – czy jestem człowiekiem czy nie. – Zaraz przyniosę pieniądze. – To – książę. – Albo może wygodniej czek? Proszę siadać. – A księżna zaraz tutaj, dwa kroki ode mnie. Nie usiadłem i mówię: – Jestem studentem. Przyniosłem naszyjnik nie dla nagrody. – Ach, tak – powiedział książę. – Proszę wybaczyć i siąść z nami do stołu, do śniadania. – A jego żona, Irina Siergiejewna, pocałowała mnie.

– Pięć tysięcy – wymówił jak zaczarowany wołokołamski mechanik.

– To wielka próba – rzekł generalny sekretarz stowarzyszenia katorżan-więźniów politycznych. – Podobnie ja swoją pierwszą bombę rzucałem na Krymie.

– Potem zacząłem bywać u księcia prawie każdego dnia. Zakochałem się w jego żonie. Przez trzy lata pod rząd jeździłem z nimi za granicę. Byłem już wtedy lekarzem. I w ten sposób nie ożeniłem się. Z powodu tego naszyjnika przeżyłem swe życie jako kawaler… A potem rewolucja. Wojna domowa. W czasie tej wojny zawarłem bliską znajomość z Putną, z Witowtem Putną. Byłem jego domowym lekarzem. Putna to był dobry chłop, ale oczywiście to nie książę Gagarin. Czegoś mu takiego brakowało… A przy tym nie miał takiej żony.

– Całkiem po prostu postarzał się pan o dwadzieścia lat, stał się pan o dwadzieścia lat starszy od „gaudeamusa”.

– Być może…

– A gdzie teraz jest Putna?

– Jest attaché wojskowym w Anglii.

Aleksander Gieorgijewicz, sąsiad z lewej strony, uśmiechnął się.

– Ja myślę, że wyjaśnienia przyczyn pana nieszczęść, jak lubił mawiać Musset, należy szukać właśnie w związku z Putną, w całym tym „komplek-sie”. Prawda?

– Ale jak?

– To już śledczy wiedzą. Radzę się przygotowywać do bitwy pod Putną – to rada starego.

– Przecież pan młodszy ode mnie.

– Młodszy, nie młodszy, a całkiem po prostu we mnie było mniej gaude-amusa, a więcej bomb – uśmiechnął się Andriejew. – Nie spierajmy się.

– A pan jak uważa?

– Zgadzam się z Aleksandrem Gieorgijewiczem – powiedział Krist.

Mirolubow poczerwieniał, ale powstrzymał się. Więzienne kłótnie wybuchają jak pożar w suchym lesie. I Krist, i Andriejew wiedzieli o tym. Mirolubow miał się o tym dopiero dowiedzieć.

Nadszedł wreszcie taki dzień i przesłuchanie, po którym Mirolubow przeleżał przez dwie doby twarzą w dół, nie wychodząc na spacer.

Na trzecią dobę Walerij Andriejewicz wstał i dotykając palcami zaczerwienionych powiek swoich niebieskich, umęczonych bezsennością oczu, podszedł do Krista. Podszedł i powiedział:

– Miał pan rację.

To Andriejew miał rację, a nie Krist, ale zaszła tu pewna subtelność w uznaniu swoich pomyłek, którą zarówno Krist, jak i Andriejew doskonale odczuli.

– Putna?

– Putna. Wszystko to zbyt straszne, zbyt straszne. – I Walerij Andriejewicz rozpłakał się. Przez dwie doby hamował się i jednak nie wytrzymał. Zarówno Andriejew, jak i Krist, obaj nie lubili płaczących mężczyzn.

– Proszę się uspokoić.

Nocą przebudził Krista gorączkowy szept Mirolubowa.

– Ja panu wszystko powiem. Nie uniknę zguby. Nie wiem, co robić. Jestem lekarzem domowym Putny. A teraz przesłuchują mnie nie w związku z kradzieżą w mieszkaniu, lecz – aż strach pomyśleć – w sprawie przygotowania zamachu na rząd.

– Waleriju Andriejewiczu – powiedział senny i ziewający Krist – w naszej celi nie tylko pan jest o to oskarżony. O, tam leży analfabeta Lońka, z tumskiego rejonu obwodu moskiewskiego. Lońka odkręcał nakrętki na torach kolejowych. Na ciężarki, podobnie jak Czechowowski zbrodniarz. Pan przecież mocny jest w literaturze i tych wszystkich gaude-amusach. Lońkę oskarżają o szkodnictwo i terroryzm. I nie histeryzuje. A obok Lońki leży brzuchacz Woronkow, naczelny kucharz kawiarni „Moskwa” – dawniej „Puszkin”, na Strastnej, bywał tam pan? Przydano jej taki brązowawy odcień. Woronkowa ciągnęli do „Pragi” na plac Arbacki – tam Filipow był dyrektorem. I oto w aktach sprawy Woronkowa ręka śledczego wypisała – i każda karta protokołu zeznań podpisana przez Woron-

kowa! – że Filipow proponował mu trzypokojowe mieszkanie i wyjazdy za granicę dla podniesienia kwalifikacji. Sztuka kucharska zamiera… *Dyrektor restauracji „Praga” Filipow proponował mi to wszystko w przypadku mojej zgody na przejście, a kiedy odmówiłem – zaproponował mi otrucie rządu. I ja się zgodziłem*. Pańska sprawa, Waleriju Andriejewiczu, także pochodzi z działu „techniki na granicy fantastyki”.

– Co pan mnie uspokaja? Co pan wie? Byłem razem z Putną prawie od samej rewolucji. Od czasów wojny domowej. W jego domu jestem swoim człowiekiem. Byłem z nim razem i na Przymorzu, i na południu. Jedynie do Anglii mnie nie puścili. Nie dali wizy.

– A Putna gdzie – w Anglii?

– Przecież już mówiłem – był w Anglii. Był w Anglii. A teraz już nie jest w Anglii, a tutaj, razem z nami.

– Ach, to tak.

– Trzeciego dnia – szeptał Mirolubow – były dwa przesłuchania. Na pierwszym zaproponowano mi, abym napisał wszystko, co wiem, o terrorystycznej działalności Putny i o jego poglądach w tej sprawie. Kto u niego bywał. Jakie prowadzono rozmowy. Napisałem o wszystkim. Dokładnie. Nie słyszałem o żadnych terrorystycznych rozmowach, nikt z gości… Potem była przerwa na obiad. Ja również dostałem obiad. Z dwóch dań. Na drugie groch. U nas w Butyrkach cały czas dają soczewicę – ze strączkowych, a tam – groch. A po obiedzie, gdy dano mi „popalić” – w ogóle to ja nie palę, ale w więzieniu zacząłem się do tego przyzwyczajać – siedli znowu „zapisywać”. Śledczy mówi: „Pan, doktorze Mirolubow, z takim oddaniem broni Putny, osłania go, swojego wieloletniego chlebodawcę i przyjaciela. To godne szacunku, doktorze Mirolubow. Putna nie odnosił się do pana tak jak pan do niego…”

– Co to znaczy?

– A ot co. To pisze sam Putna. Proszę przeczytać. I śledczy podał mi wielostronicowe zeznanie, napisane ręką samego Putny.

– Oho…

– Tak. Poczułem, że siwieję. W tym oświadczeniu Putna pisze: *Tak, w moim mieszkaniu przygotowywano zamach terrorystyczny, zawiązywał się spisek przeciwko członkom rządu, Stalinowi i Mołotowowi. W tych wszystkich rozmowach brał bezpośredni i jak najbardziej aktywny udział Kliment Jefremowicz Woroszyłow*. I ostatnie zdanie, palące mi mózg: *To wszystko może potwierdzić mój lekarz domowy, doktor Mirolubow*.

Krist gwizdnął. Śmierć podeszła zbyt blisko do Mirolubowa.

– Co robić? Co robić? Jak mówić? Charakter pisma Putny nie jest podrobiony. Zbyt dobrze je znam. I ręce nie drżały jak u carewicza Aleksieja po knucie – pamięta pan te historyczne dochodzenia, protokoły zeznań z czasów Piotra?

– Szczerze panu zazdroszczę – powiedział Krist – że miłość do literatury zwycięża wszystko. Zresztą to miłość do historii. Ale jeżeli już starcza panu siły duchowej na ujawnienie analogii, na robienie porównań, to wystarczy i na to, ażeby rozsądnie zorientować się w pana sprawie. Jedno jest jasne: Putna jest aresztowany.

– Tak, on jest tutaj.

– Lub w Łubiance. Albo w Lefortowie. Ale nie w Anglii. Proszę mi powiedzieć z czystym sumieniem – czy były jakieś niedopuszczalne poglądy – tu Krist udał, że podkręca wąsa – chociażby sformułowane w najbardziej ogólny sposób.

– Nigdy.

– Czy może: „Nigdy w mojej obecności”. Te subtelności śledztwa powinny być panu dobrze znane.

– Nie, nigdy. Putna – to w pełni prawowierny towarzysz. Wojskowy. Trochę nieokrzesany.

– Teraz jeszcze jedno pytanie. Z psychologicznego punktu widzenia – najważniejsze. Ale tylko szczerze.

– Ja wszędzie odpowiadam jednakowo.

– No, proszę się nie gniewać, markizie Pozo.

– Zdaje się, że drwi pan ze mnie.

– Nie, nie drwię. Proszę powiedzieć otwarcie, jak Putna odnosił się do Woroszyłowa.

– Putna go nienawidził – gorączkowo wyrzucił z siebie Mirolubow.

– No i znaleźliśmy rozwiązanie, Waleriju Andriejewiczu. Tutaj nie ma hipnozy, to nie robota pana Ornaldo, to nie zastrzyki ani środki medyczne. Nawet nie pogróżki ani stan wynikający z „ciągłego” przesłuchania. To zimna kalkulacja wydanego na zgubę. Ostatni bój Putny. Pan jest pionkiem w takiej grze, Waleriju Andriejewiczu. Pamięta pan z *Połtawy*…

Utracić życie – a z nim cześć.
Wrogów na miejsce straceń zwieść.

– Przyjaciół na miejsce straceń zwieść – poprawił Mirolubow.

– Nie. „Przyjaciół” – to byłoby dla pana i dla panu podobnych, Waleriju Andriejewiczu, mój miły gaudeamusie. Tu chodzi bardziej o wrogów niż o przyjaciół. Przychwycić jak najwięcej wrogów. Przyjaciół i tak się schwyta.

– Ale co ja mam robić, ja?

– Czy chce pan dobrej rady, Waleriju Andriejewiczu?

– Wszystko mi jedno, czy dobrej, czy złej. Nie chcę umierać.

– Nie, jedynie dobrej. Trzeba zeznawać tylko prawdę. Jeżeli Putnie zachciało się przed śmiercią nakłamać – to jego sprawa. Pana ratunek – to tylko prawda, jedynie prawda, nic oprócz prawdy.

– Ja zawsze mówiłem tylko prawdę.

– I „zeznawałem” prawdę? Istnieje tu wiele odcieni. Na przykład ocalenie za cenę kłamstwa. Albo: interes państwa i społeczeństwa. Klasowe interesy pojedynczego człowieka i jego indywidualna moralność. Formalna logika i logika nieformalna.

– Tylko prawdę!

– Tym lepiej. Znaczy to, że ma pan doświadczenie w zeznawaniu prawdy. Proszę przy tym pozostać.

– Niewiele mi pan poradził – rzekł z rozczarowaniem Mirolubow.

– Niełatwy przypadek – powiedział Krist. – Będziemy wierzyć, że „tam” doskonale wiedzą, co do czego. Jeśli potrzebna będzie pańska śmierć – to pan umrze. Nie będzie takiej potrzeby – to się pan uratuje.

– To smutne rady.

– Innych nie ma.

Krist spotkał Mirolubowa na parostatku *Kułu* – był to piąty rejs w okresie nawigacji 1937 roku. Rejs z Władywostoku do Magadanu.

Osobisty lekarz księcia Gagarina i Witowta Putny przywitał się z Kristem chłodno – przecież był on świadkiem jego duchowej słabości, jakiejś niebezpiecznej godziny jego życia i – jak to odczuwał Mirolubow – niczym mu nie pomógł w tej trudnej, śmiertelnej chwili.

Krist i Mirolubow uścisnęli sobie ręce.

– Cieszę się, że widzę pana przy życiu – powiedział Krist. – Ile?

– Pięć lat. Pan znęca się nade mną. Przecież ja nic nie jestem winien. A tutaj pięć lat łagrów. Kołyma.

– Był pan w bardzo niebezpiecznej sytuacji. Śmiertelnie niebezpiecznej. Szczęście pana nie opuściło – powiedział Krist.

– Idź pan do diabła z takim szczęściem.

I Krist pomyślał: Mirolubow ma rację. To szczęście jest nazbyt rosyjskie – cieszyć się, że niewinnemu dostało się pięć lat. Mogli przecież dać dziesięć, a nawet najwyższy wymiar.

Na Kołymie Krist i Mirolubow nie spotkali się. Kołyma jest wielka. Ale z opowiadań, z nich Krist się dowiedział, że Mirolubowowi wystarczyło szczęścia na wszystkie pięć lat łagrowej odsiadki. Mirolubow zwolnił się w czasie wojny, pracował jako lekarz na kopalni, zestarzał się i umarł jeszcze przed XX zjazdem partii.

AKADEMIK

Okazało się, że bardzo trudno jest wydrukować rozmowę z akademikiem. Nie dlatego, że akademik naplótł bzdur, nie. To był akademik o dużym nazwisku, bardzo doświadczony i lubiący wszelkiego rodzaju wywiady, a przy tym rozmawiał na dobrze mu znany temat. Dziennikarz, którego posłano dla przeprowadzenia rozmowy, posiadał wystarczające kwalifikacje i był to dobry dziennikarz, a przed trzydziestu laty – bardzo dobry. Przyczyną był szybki postęp naukowy. Cykl wydawniczy czasopism – „korekty szpaltowe", „formowanie kolumn", „harmonogramy wydawcy" – wszystko to beznadziejnie pozostawało w tyle za rozwojem nauki. Jesienią pięćdziesiątego siódmego roku, czwartego października, został wystrzelony sputnik. O przygotowaniach z tym związanych akademik coś niecoś wiedział, natomiast dziennikarz – zupełnie nic. Ale dla akademika, a także dla dziennikarza i redaktora stało się jasne, że po wystrzeleniu sputnika należy nie tylko zwiększyć zakres informacji, ale także zmienić sam ton artykułu. W swoim pierwszym wariancie artykuł miał być przepojony atmosferą oczekiwania wielkich, wyjątkowych wydarzeń. Teraz natomiast zdarzenia te już zaistniały. Dlatego w miesiąc po tej rozmowie akademik, znajdujący się w jałtańskim sanatorium, wysyłał bardzo długie telegramy – na własny rachunek – z opłaconą odpowiedzią. Umiejętnie odsłaniając cybernetyczne tajemnice, akademik starał się za wszelką cenę zachować odpowiedni „poziom" i jednocześnie nie powiedzieć za dużo. Redakcja, która miała podobne kłopoty związane z aktualizacją informacji i dostarczeniem ich na czas, wnosiła do ostatniej minuty poprawki w artykule akademika.

Odbitki szczotkowe zostały wysłane do Jałty przez specjalnego kuriera, który poleciał tam samolotem, i wróciły do redakcji upstrzone przekreśleniami i poprawkami akademika.

– Balzakowska korekta – powiedział przygnębiony kierownik redakcji.

Wszystko zostało uzgodnione, dopasowane, wyliczone i ciężka kolasa wydawniczej techniki wjechała w przetarte koleiny. Ale w momencie gdy formowano już kolumny druku, poleciała w kosmos Łajka i akademik,

znajdujący się w Rumunii na światowym kongresie pokoju, ponownie zaczął wysyłać telegramy z błaganiami i zadaniami. Redakcja zaś zamawiała pilne międzynarodowe rozmowy telefoniczne z Bukaresztem.

W końcu wydanie ujrzało światło dzienne i redakcja natychmiast utraciła całe zainteresowanie artykułem akademika.

Ale wszystko to było później, a teraz dziennikarz Gołubiew wchodził po wąskich marmurowych schodach ogromnego domu na głównej ulicy miasta, w którym mieszkał akademik. Dom miał tyle samo lat co dziennikarz. Postawiono go w okresie budowlanego boomu na początku stulecia. Były tam komercyjne mieszkania z łazienką, gazem, telefonem, kanalizacją i elektrycznością.

W bramie znajdował się stół dozorcy. Elektryczna lampka była tak ustawiona, żeby światło padało na twarz wchodzących. Przypominało to w jakiś sposób więzienie śledcze.

Gołubiew podał nazwisko akademika, dozorca przekazał je przez telefon, a otrzymawszy odpowiedź, powiedział dziennikarzowi „proszę” i otworzył przed nim ozdobione odlewami z brązu drzwi windy.

Biuro przepustek, pomyślał sobie ospale Gołubiew. Czego jak czego, ale biur przepustek to widział w swoim życiu niemało.

– Akademik mieszka na piątym piętrze – powiadomił go z szacunkiem dozorca. Na jego twarzy nie pojawiło się zdziwienie, gdy Gołubiew przeszedł mimo otwartych drzwi windy na czyste stopnie wąskich marmurowych schodów. Po przebyciu choroby Gołubiew nie znosił windy – ani jej wznoszenia, ani opadania, zwłaszcza opadania z jego podstępną „nieważkością”.

Odpoczywając na każdym półpiętrze, Gołubiew dobrnął wreszcie do piątego. Szum w uszach nieco ustał, serce zaczęło bić normalniej, oddech się wyrównał. Gołubiew trochę postał przed drzwiami mieszkania akademika, wyciągnął ręce i ostrożnie wykonał głową kilka ruchów gimnastycznych – tak zalecali lekarze leczący dziennikarza.

Przestawszy kręcić głową, namacał znajdującą się w kieszeni chusteczkę, wieczne pióro, notes i zdecydowanie zadzwonił.

Popularny akademik sam mu otworzył drzwi. Młody, ruchliwy, z bystrymi, czarnymi oczami wyglądał bardziej świeżo i młodziej od Gołubiewa. Przed rozmową dziennikarz przejrzał w bibliotece encyklopedię, a także kilka biografii akademika – zarówno jako delegata, jak i uczonego – i wiedział, że są obaj rówieśnikami. Przeglądając artykuły związane z przy-

szłą rozmową, Gołubiew zwrócił uwagę na to, że akademik ciskał gromy i błyskawice ze swego naukowego Olimpu na cybernetykę, obwołaną przez niego „najbardziej szkodliwą idealistyczną *quasi*-nauką”. „Wojująca pseudonauka” – tak się wyrażał akademik przed dwoma dziesiątkami lat. Rozmowa, dla której przyjechał Gołubiew do akademika, właśnie miała dotyczyć współczesnego znaczenia cybernetyki.

Akademik zapalił światło, aby Gołubiew mógł się rozebrać.

W ogromnym lustrze z ramą z brązu, stojącym w przedpokoju, widniało ich wspólne odbicie – akademik w czarnym garniturze z czarnym krawatem, czarnowłosy, czarnooki, ruchliwy, o gładkiej twarzy i prosta figura Gołubiewa ze zmęczoną twarzą pooraną zmarszczkami, podobnymi do głębokich szram. Ale błękitne oczy Gołubiewa pobłyskiwały chyba młodziej niż żywe, błyszczące oczy akademika.

Gołubiew umieścił na wieszaku swoje sztywne, nowe palto ze sztucznej skóry. Obok wytartego, skórzanego płaszcza gospodarza, podbitego futrem szopa, jego palto prezentowało się zupełnie przyzwoicie.

– Proszę – powiedział akademik, otwierając drzwi z lewa. – I proszę o wybaczenie, zaraz wrócę.

Dziennikarz rozejrzał się. Amfilada pokoi uchodziła w głąb w dwu kierunkach – w prawo i w lewo. Prowadziły do nich przeszklone drzwi, mahoniowe u dołu i gdzieś tam w głębi pojawiały się milczące cienie ludzi. Gołubiew nie miał okazji mieszkać w amfiladowo usytuowanych pokojach, ale pamiętał film *Maskarada* i mieszkanie Arbenina. Akademik pojawiał się gdzieś w oddali, potem znikał, potem znów się pojawiał i znikał podobnie jak Arbenin w filmie.

W pierwszym, dużym pokoju z prawej strony – za nim ciągnęła się dalej amfilada – jasnym, ze szklanymi drzwiami i weneckimi oknami, stał ogromny koncertowy fortepian białego koloru. Był zamknięty, a na jego pokrywie cisnął się tłum jakichś wzajemnie przesłaniających się, porcelanowych figurek. Na wspaniałych podstawkach stały wazy, wazki, większe i mniejsze statuetki. Na ścianach wisiały talerze i makaty. Dwa przestronne fotele obite były białym materiałem nawiązującym do koloru fortepianu. Gdzieś w głębi, za szkłem poruszały się cienie ludzi.

Gołubiew wszedł do gabinetu akademika, maleńkiego i ciemnego, podobnego do komórki. Zajmujące cztery ściany półki z książkami jeszcze bardziej go ścieśniały. Maleńkie, podobne do zabawki, mahoniowe rzeźbione biurko zdawało się uginać pod ciężarem ogromnego marmurowego

kałamarza z pokrywką z pozłacanego brązu. Półki na książki na trzech ścianach biblioteki przeznaczone zostały na poradniki i informatory, na czwartej znajdowały się własne prace akademika. Tam też stały znajome Gołubiewowi jego biografie i autobiografie. Wciśnięty do tego pokoju, dusił się w nim maleńki czarny fortepian. Przyciśnięty do niego okrągły stół zawalony był świeżymi czasopismami technicznymi. Gołubiew przeniósł stos czasopism na fortepian, przysunął krzesło i na skraju stołu położył pióro i dwa ołówki. Drzwi do przedpokoju akademik zostawił otwarte.

Podobnie jak w „tamtych" gabinetach, ospale pomyślał Gołubiew.

Wszędzie – na czarnym fortepianie, na bibliotecznych półkach – stały dzbanuszki, porcelanowe i gliniane figurki. Gołubiew wziął do ręki popielnicę upodobnioną do głowy Mefistofelesa. Kiedyś tam, dawno, kochał porcelanę, szkło i zawsze zdumiewał go znajdujący się w Ermitażu cudowny wytwór rąk ludzkich – biała porcelanowa figurka – *Sen*. Twarz śpiącego w fotelu człowieka przykryta była cieniusieńką chusteczką i wydawało się, że pracownicy muzeum narzucili na statuetkę kawałek merli, żeby figurka nie pokryła się pyłem, a była to jednak cieniutka chusteczka z porcelany. Gołubiew pamiętał jeszcze wiele cudownych rzeczy, tworów ludzkiej umiejętności. Ale głowa Mefistofelesa – prowincjonalnie masywna – była niezrozumiała. Z półek trąbiły gliniane barany, a zające z pyskami lwów siedziały przyciśnięte do okładek książek. Czyżby jakaś osobista pamiątka?

Koło drzwi stały dwie solidne, skórzane walizy z naklejkami zagranicznych hoteli. Naklejek było wiele, walizki były nowe.

W progu ukazał się akademik i przechwytując spojrzenie Gołubiewa, wyjaśnił:

– Proszę o wybaczenie. Jutro odlatuję do Grecji. Proszę. – Akademik przecisnął się do biurka i zajął wygodną pozycję. – Przemyślałem propozycję waszej redakcji – powiedział, spoglądając na lufcik; wiatr wniósł do pokoju żółty, pięcioramienny, klonowy liść, podobny do odrąbanej ludzkiej ręki. Liść zakręcił się w powietrzu i upadł na podłogę. Akademik pochylił się, przełamał suchy liść w palcach i rzucił do plecionego koszyka, przyciśniętego do nogi biurka. – I zgodziłem się – kontynuował. – Naszkicowałem trzy zasadnicze punkty mojej odpowiedzi, mojego wystąpienia czy poglądu – proszę to nazwać według uznania. – Akademik zręcznie wyciągnął spod ogromnego kałamarza maleńką kartkę papieru, na której nagryzmolono kilka słów. – Zagadnienie pierwsze formułuję tak…

– Poproszę – powiedział, bledniejąc Gołubiew – aby mówił pan nieco głośniej. Rzecz w tym, że ja źle słyszę. Proszę wybaczyć.

– Ależ co pan, co pan – uprzejmie odrzekł akademik. – Zagadnienie pierwsze formułuję… Czy tak wystarczy?

– Tak, dziękuję panu.

– A więc pierwsze zagadnienie…

Czarne, ruchliwe oczy akademika spoglądały na ręce Gołubiewa, który zrozumiał, a raczej odczuł całym ciałem, o czym akademik myśli. Pewnie o tym, że przysłany do niego dziennikarz nie włada stenografią. To uraziło go trochę. Oczywiście, że są dziennikarze nieumiejący stenografować, zwłaszcza ci starsi. Akademik spojrzał na ciemną, pomarszczoną twarz dziennikarza. Oczywiście są, ale przecież w takich przypadkach redakcja przysyła drugą osobę – stenografistkę. Mogłaby również przysłać samą stenografistkę, bez dziennikarza – byłoby jeszcze prościej. Na przykład „Przyroda i Wszechświat” zawsze przysyła do niego tylko stenografistkę. Przecież chyba redakcja nie myśli, przysyłając mu takiego niemłodego już dziennikarza, że potrafi on zadawać błyskotliwe pytania jemu, akademikowi. Nie może być mowy o żadnych błyskotliwych pytaniach. I nigdy nie było. Dziennikarz, myślał akademik, to coś na kształt kuriera dyplomatycznego – lub całkiem po prostu kuriera. On, akademik, traci czas dlatego, że brak stenografistki. Stenografistka – to coś elementarnego, to, jakby rzec, uprzejmość redakcji. Redakcja postąpiła z nim nieuprzejmie.

A na Zachodzie, proszę – tam każdy dziennikarz włada stenografią, potrafi posługiwać się maszyną do pisania. Tutaj zaś – jakby przed stu laty, gdzieś w gabinecie Niekrasowa. Jakie czasopisma były przed stu laty? Oprócz „Sowriemiennika” żadnego nie pamiętał, a przecież na pewno były.

Akademik był człowiekiem ambitnym i wrażliwym. W postępku redakcji upatrywał braku szacunku. A przy tym – wiedział o tym z doświadczenia – prowadzony przez dziennikarza zapis na pewno zmieni charakter rozmowy. Trzeba będzie wiele czasu stracić na korektę tekstu. Do tego wszystkiego na rozmowę mógł przeznaczyć godzinę – ponad to nie może, nie ma prawa. Jego czas jest droższy niż czas dziennikarza czy redakcji.

Tak myślał akademik, dyktując utarte zdania wywiadu. Zresztą nie dał znać po sobie, że jest zdziwiony czy zagniewany. „Wino, rozlane do szklanek, trzeba pić” – wspomniał francuskie przysłowie. Akademik myślał po francusku; ze wszystkich języków, które znał, najbardziej lubił francuski – najlepsze czasopisma naukowe w zakresie jego specjalności, najlepsze

powieści detektywistyczne… Akademik głośno wymówił to francuskie zdanie, ale dziennikarz, nie władający stenografią, nie odezwał się na to – czego właśnie akademik się spodziewał.

Tak, wino rozlane, myślał, dyktując, decyzja podjęta i sprawa się zaczęła. Akademik nie miał w zwyczaju zatrzymywać się w pół drogi. Uspokoił się i dyktował dalej.

W końcu to swego rodzaju zadanie techniczne: zmieścić się dokładnie w godzinie, nie dyktując szybko, ażeby dziennikarz nadążał z zapisywaniem, i dostatecznie głośno – ciszej wprawdzie niż z instytutowej katedry czy też na kongresach pokoju, ale znacznie głośniej niż w swoim gabinecie – mniej więcej tak jak na zajęciach w laboratorium. Zorientowawszy się, że te wszystkie problemy zostały z powodzeniem rozwiązane i uciążliwe, nieoczekiwane dodatkowe trudności przezwyciężone, akademik poweselał.

– Przepraszam – powiedział akademik – czy pan to nie ten Gołubiew, którego tak wiele drukowano w okresie mojej młodości, mojej naukowej młodości na początku lat trzydziestych? Wszyscy młodzi uczeni śledzili jego artykuły. Przypominam sobie tytuł jednego z nich – *Jedność nauki i literatury pięknej*. W tamtych latach – akademik uśmiechnął się, ukazując pięknie wyreperowane zęby – takie tematy były w modzie. Przydałby się ten artykuł i teraz do rozmowy o fizykach i lirykach z cybernetykiem Poletajewem. Wszystko to było dawno temu – westchnął akademik.

– Nie – odrzekł dziennikarz. – Nie jestem tym Gołubiewem. Wiem, o kim pan mówi. Tamten Gołubiew umarł w trzydziestym siódmym roku. – I Gołubiew skierował twarde spojrzenie ku bystrym, czarnym oczom akademika.

Akademik wydał jakiś niejasny dźwięk, który należałoby ocenić jako współczucie, zrozumienie i żal.

Gołubiew pisał, nie odrywając się. Francuskie przysłowie zrozumiał nie od razu. Znał język, ale zapomniał, dawno go zapomniał, a teraz nieznajome słowa wpełzły w jego zmęczoną, wyschniętą mózgownicę. To niezrozumiałe zdanie przesuwało się powoli, jakby na czworakach, po ciemnych zakątkach mózgu, zatrzymywało się, nabierało siły i w końcu dopełzło do jakiegoś jasnego kąta i Gołubiew z bólem i strachem pojął jego znaczenie w języku rosyjskim. Istota rzeczy nie tkwiła w jego treści, lecz w tym, że je zrozumiał – co jakby otworzyło przed nim nowe rejony tego, co zapomniane, gdzie również trzeba wszystko odtwarzać, umacniać, wznosić na nowo. A sił już brakło – i tych fizycznych, i psychicznych. Wydawało się,

że o wiele łatwiej byłoby niczego sobie nie przypominać. Na plecach dziennikarza wystąpił zimny pot. Bardzo chciało mu się palić, ale lekarze zakazali tytoniu – jemu, który palił od czterdziestu lat. Zakazali – i rzucił: stchórzył, zapragnął żyć. Wola potrzebna była nie na to, aby rzucić palenie, lecz żeby nie słuchać lekarskich rad.

W drzwiach pojawiła się kobieca głowa we fryzjerskim kasku.

Usługi domowe, odnotował dziennikarz.

– Przepraszam. – Akademik wylazł zza fortepianu i wyśliznął się z pokoju, dokładnie zamykając za sobą drzwi.

Gołubiew pomachał obrzmiałą ręką i zatemperował ołówek.

Z przedpokoju dał się słyszeć głos akademika – energiczny i w miarę ostry. Nikt mu nie wchodził w słowo ani nie odpowiadał.

– Szofer – wyjaśnił akademik, pojawiając się w ciemności – w żaden sposób nie może pojąć, na którą godzinę ma podjechać. – Kontynuujemy – powiedział, wchodząc za fortepian i przeginając się przez niego tak, aby Gołubiew mógł lepiej słyszeć. – Drugi rozdział – to osiągnięcia teorii informacji, elektroniki, logiki matematycznej – jednym słowem, tego wszystkiego, co przyjęto nazywać cybernetyką.

Badawcze spojrzenie czarnych oczu napotkało oczy Gołubiewa, ale dziennikarz pozostał niewzruszony. Akademik kontynuował ze swadą: „W tej modnej nauce pozostaliśmy trochę w tyle za Zachodem, ale szybko to naprawiliśmy i obecnie kroczymy w przodzie. Myślimy o powołaniu katedr logiki matematycznej i teorii gier”.

– Teorii gier?

– Właśnie, nazywają ją niekiedy teorią Monte Carlo – grasejując, ciągnął akademik. – Podążamy wraz z wiekiem. Inna rzecz, że wam…

– Dziennikarze nigdy nie nadążali za wiekiem – powiedział Gołubiew. – Nie to, co uczeni…

Gołubiew przysunął popielniczkę z głową Mefistofelesa.

– Zapatrzyłem się na nią – powiedział.

– No co pan – rzekł akademik. – Przypadkowy zakup. Ze mnie żaden kolekcjoner ani *amateur*, jak mówią Francuzi, a całkiem po prostu na tej glinie odpoczywają oczy.

– Oczywiście, oczywiście, piękne zajęcie. – Gołubiew chciał powiedzieć upodobanie, ale przestraszył się dźwięku „u”, żeby nie wyleciała niedawno wstawiona proteza, która nie wytrzymywała tego dźwięku. – No cóż, dzię-

kuję panu – powiedział, wstając i składając kartki. – Życzę wszystkiego najlepszego. Odbitki szczotkowe przyślemy.

– Tam, w razie czego – rzekł, marszcząc się akademik – niech coś sami dodadzą w redakcji, co trzeba. Przecież jako naukowiec mogę czegoś nie wiedzieć.

– Proszę się nie obawiać. Wszystko pan zobaczy na odbitkach.

– Życzę powodzenia.

Akademik wyszedł, odprowadzając dziennikarza do przedpokoju, zapalił światło i ze współczuciem patrzył, jak Gołubiew wciąga na siebie zbyt nowe, sztywne palto. Lewa ręka z trudnością trafiła do rękawa i Gołubiew poczerwieniał z wysiłku.

– Wojna? – z troską w głosie spytał akademik.

– Prawie – odrzekł Gołubiew. – Prawie. – I wyszedł na marmurowe schody.

Stawy barkowe Gołubiewa zostały uszkodzone w czasie przesłuchań w trzydziestym ósmym roku.

DIAMENTOWA MAPA

W trzydziestym pierwszym roku na Wiszerze często były burze.

Proste, krótkie błyskawice cięły niebo jak miecze. Kolczuga deszczu pobłyskiwała i dzwoniła; skały podobne były do ruin zamku.

– Średniowiecze – powiedział Wiliamson, zeskakując z konia. – Czółna, konie, kamienie… Odpoczniemy przy Robin Hoodzie.

Na wzgórku stało potężne dwunogie drzewo. Starość i wiatr oberwały korę z pni dwu zrośniętych topoli – bosy gigant w krótkich spodniach rzeczywiście podobny był do szkockiego bohatera. Robin Hood szumiał i wymachiwał rękami.

– Równo dziesięć wiorst pozostało do domu – powiedział Wiliamson, przywiązując konia do prawej nogi Robin Hooda. Schroniliśmy się przed deszczem w maleńkiej jaskini pod pniem i zapaliliśmy.

Naczelnik geologicznej grupy Wiliamson nie był geologiem. Był wojskowym, marynarzem, dowódcą łodzi podwodnej. Łódź zboczyła z kursu i wypłynęła u brzegów Finlandii. Załogę zwolniono, ale dowódcę Mannerheim przetrzymał przez całe pół roku w lustrzanej celi. W końcu Wiliamson został wypuszczony i przyjechał do Moskwy. Neuropatolodzy i psychiatrzy nalegali na demobilizację, z tym żeby pracował on gdzieś, gdzie jest czyste powietrze, w lesie, w górach. W ten sposób został naczelnikiem grupy geologicznej.

Od ostatniej przystani płynęliśmy przez dziesięć dób pod prąd górskiej rzeki – przepychając drągami czółno wzdłuż brzegów. Piątą dobę jechaliśmy konno, gdyż rzeki dalej nie było – pozostało tylko kamieniste koryto. Jeszcze przez jeden dzień konie szły wijącą się w tajdze ścieżką, a droga jakby była bez końca.

W tajdze wszystko wydaje się nieoczekiwane, wszystko jest nowym zjawiskiem: księżyc, gwiazdy, zwierzęta, ptaki, ludzie, ryby. Las niepostrzeżenie przerzedził się, krzaki się rozsunęły, ścieżka zamieniła się w drogę i przed nami pojawił się ogromny, omszały budynek z cegły, bez okien. Okrągłe, puste otwory okienne wyglądały jak strzelnice.

– Skąd cegła? – spytałem, zdumiony niezwykłością starej budowli w głuchej tajdze.

– Zuch! – krzyknął Wiliamson, osadzając konia. – Spostrzegłeś! Jutro wszystko pojmiesz.

Na drugi dzień również niczego nie zrozumiałem. Ponownie byliśmy w drodze. Jechaliśmy leśną, dziwnie prostą drogą. Młody brzeźniak przecinał ją tu i ówdzie, a jodły z obu stron wyciągały do siebie kosmate łapy, zrudziałe ze starości. Ale błękitne niebo ani na chwilę nie było nimi zakryte. Czerwony od rdzy zestaw kołowy wagonetki wyrastał z ziemi jak drzewo bez konarów i liści. Zatrzymaliśmy konie.

– To kolejka wąskotorowa – powiedział Wiliamson. – Chodziła od huty do składu – tego właśnie, z cegły. Słuchaj teraz. Tutaj kiedyś, jeszcze za cara, była belgijska koncesja wydobywająca i przetapiająca rudę. Huta, dwa wielkie piece, kolejka wąskotorowa, osada, szkoła, śpiewaczki z Wiednia. Koncesja przynosiła duże zyski. Żelazo spławiano barkami, gdy była wielka woda – wiosną i jesienią. Termin koncesji upłynął w 1912 roku. Rosyjscy przemysłowcy, z księciem Lwowem na czele, którym bajeczne zyski Belgów nie dawały spokojnie spać, prosili cara o przekazanie im tego przedsięwzięcia. Starania ich skończyły się sukcesem – Belgom nie przedłużono koncesji. Odmówili oni przyjęcia opłat za dokonane inwestycje i wynieśli się. Ale odchodząc, wszystko wysadzili w powietrze – hutę i wielkie piece, tak że nie pozostał kamień na kamieniu. Nawet kolejkę rozebrali aż do ostatniego styku szyn. Trzeba było rozpoczynać wszystko od nowa. Nie na to liczył książę Lwow. Nie zdążyli jeszcze zacząć, gdy wybuchła wojna. A potem – rewolucja, wojna domowa. I oto teraz, w 1930 roku – jesteśmy tutaj. To wielkie piece. – Wiliamson wskazał gdzieś w prawo, ale oprócz bujnej zieleni nie zobaczyłem niczego. – A oto huta – powiedział.

Przed nami rozciągał się wielki, ale płytki parów, wąwóz, cały zarośnięty młodym lasem. Pośrodku widniała wypukłość nasuwająca myśl o szkielecie jakiejś budowli. Tajga przykryła resztki huty, a na rozwalonym kominie, niby na wierzchołku skały, siedział brązowy jastrząb.

– Należy o tym wiedzieć, ażeby zobaczyć w tym hutę – powiedział Wiliamson. – Huta bez człowieka. Znakomita robota. Wszystkiego dwadzieścia lat. Dwadzieścia pokoleń traw: porów, turzyc, kiprzycy… I nie ma cywilizacji. A na kominie huty siedzi jastrząb.

– W przypadku człowieka ta droga jest dłuższa – powiedziałem.

– Znacznie krótsza – poprawił Wiliamson. – Ludzkich pokoleń trzeba mniej. – I nie pukając, otworzył drzwi do najbliższej izby.

Za prostym, oheblowanym i wyszorowanym do białości stołem siedział srebrnogłowy, ogromnego wzrostu starzec, w czarnym kastorowym surducie i okularach w złotej oprawie. Sinawe, wykrzywione podagrą palce obejmowały grubą księgę w skórzanej oprawie ze srebrnymi zapinkami. Niebieskie oczy z siecią czerwonych, starczych żyłek spoglądały na nas spokojnie.

– Dzień dobry, Iwanie Stiepanowiczu – powiedział, zbliżając się, Wiliamson. – Przyprowadziłem panu gościa.

Ukłoniłem się.

– Ciągle ryjecie? – wychrypiał starzec w złotych okularach. – Daremna robota, daremna. Poczęstowano by was, chłopcy, herbatą, ale wszyscy się rozbiegli. Baby poszły z malcami na jagody, synowie polują. Dlatego wybaczcie. Ten czas ma dla mnie szczególne znaczenie – i Iwan Stiepanowicz postukał palcem po grubej księdze. – Zresztą, wy mi nie przeszkadzacie.

Zapinka szczęknęła i księga została otwarta.

– Co to za książka? – spytałem mimo woli.

– Biblia, synku. Innych książek nie mam już w domu od dwudziestu lat… Łatwiej mi słuchać, niż czytać – oczy osłabły.

Wziąłem Biblię do rąk. Iwan Stiepanowicz uśmiechnął się. Książka była w języku francuskim.

– Nie umiem po francusku.

– No właśnie – powiedział Iwan Stiepanowicz, szeleszcząc stronicami książki.

Wyszliśmy.

– Kto to taki? – spytałem Wiliamsona.

– Buchalter, który rzucił światu wyzwanie, Iwan Stiepanowicz Bugriejew, podjął walkę z cywilizacją. Jest on jedynym, który pozostał w tej głuszy od 1912 roku. Był u Belgów głównym buchalterem. Zszokowany unicestwieniem huty, został wyznawcą Rousseau. Widzi pan, jaki z niego patriarcha. Myślę, że ma chyba siedemdziesiąt lat. Ma ośmiu synów i ani jednej córki. Żona-staruszka. Wnuki. Dzieci wykształcone. Zdążyły jeszcze wyuczyć się w szkole. Ale wnuków starzec nie pozwala uczyć. Łowienie ryb, polowanie, jakiś ogród, pszczoły i francuska Biblia opowiadana przez dziadka – to stanowi ich życie. W odległości czterdziestu wiorst znajduje się osada, szkoła, sklep. Trochę mu nadskakuję – istnieje pogłoska, że on

przechowuje mapę złóż tutejszych ziem, która pozostała po belgijskim zwiadzie geologicznym. Możliwe, że to nawet prawda. Poszukiwania były prowadzone – ja sam napotykałem w tajdze czyjeś stare szurfy. Stary nie daje mapy. Nie chce skrócić czasu naszej pracy. Trzeba będzie się bez niej obejść.

Nocowaliśmy w izbie starszego syna Iwana Stiepanowicza – Andrieja. Andriej Bugriejew miał czterdzieści lat.

– Dlaczego nie przyszedł pan do mnie pracować jako poszukiwacz?

– Ojciec tego nie pochwala – powiedział Andriej Bugriejew.

– Byłby zarobek!

– Pieniędzy to nam wystarcza. Przecież tu dużo zwierzyny. I wyrębu też. A przy tym jest wiele roboty przy gospodarstwie – dziadek układa dla każdego swój plan. Trzyletni – uśmiechnął się Andriej.

– Masz, weź gazetę.

– Nie, nie trzeba. Ojciec się dowie. A do tego oduczyłem się czytać.

– A syn? Przecież ma już piętnaście lat.

– Waniuszka to już zupełnie niekształcony. Proszę ojcu powiedzieć, a co ze mną gadać. – I Andriej Iwanowicz zaczął ze złością ściągać buty.

– A co, czy to prawda, że będą tu budować szkołę?

– Prawda. Za rok otworzą.

– A ty, widzisz, nie chcesz dla zwiadu pracować. Dla mnie cenny jest każdy człowiek.

– Gdzie są wszyscy twoi pracownicy? – zapytał Andriej Iwanowicz, zmieniając delikatnie temat rozmowy.

– Na Czerwonym Źródle. Grzebiemy się w starych szurfach. A Iwan Stiepanowicz ma przecież mapę, co, Andrieju?

– Nie ma żadnej mapy. To wszystko kłamstwa. Łgarstwa.

Nagle, w świetle pojawiła się zaniepokojona i pełna złości twarz Marii, żony Andrieja.

– Nieprawda, jest! Jest! Jest!

– Mario!

– Jest! Jest! Dziesięć lat temu sama ją widziałam.

– Mario!

– Po diabła chować tę przeklętą mapę? Dlaczego Waniuszka niekształcony? Żyjemy jak zwierzęta. Niedługo zarośniemy trawą!

– Nie zarośniecie – powiedział Wiliamson. – Będzie osada. Będzie miasto. Będzie huta. Będzie życie. I chociaż nie będzie wiedeńskich śpiewa-

czek, to będą szkoły, teatry. Twój Waniuszka zostanie inżynierem.

– Nie zostanie, nie zostanie – rozpłakała się Maria. – Jemu już pora się żenić. A kto za niego wyjdzie, za analfabetę?

– Co to za hałas? – Na progu stał Iwan Stiepanowicz. – Ty, Mario, idź do siebie – pora już spać. Andriej, źle pilnujesz żony. A wy, dobrzy obywatele, nie wnoście kłótni do mojej rodziny. Mapę mam i nie dam jej – wszystko to nie jest konieczne do życia.

– Nie tak bardzo jest nam potrzebna ta wasza mapa – powiedział Wiliamson. – W ciągu roku wykreślimy własną. Bogactwa zostały odkryte. Jutro Wasilczikow przywiezie rysunki – będziemy rąbać las pod osadę.

Iwan Stiepanowicz wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Wszyscy pospieszyli spać.

Przebudziłem się od obecności wielu osób. Świt ostrożnie wnikał do izby. Wiliamson siedział wprost na podłodze, wyciągając brudne bose nogi, a wokół niego głośno dyszała cała rodzina Bugriejewów, wszyscy, ośmiu synów, osiem synowych, dwadzieścia wnucząt i piętnaście wnuczek. Zresztą wnukowie i wnuczki dyszały gdzieś na ganku. Nie było tylko samego Iwana Stiepanowicza i jego staruszki – żony – ostronosej Sierafimy Iwanownej.

– Tak będzie? – pytał dławiącym się głosem Andriej.

– Będzie.

– A jakże on?

– A co on? – spytał twardo Wiliamson.

– Dziadek umrze – ze smutkiem wymówił Andriej i wszyscy Bugriejewowie westchnęli ponownie.

– Może nie umrze – niepewnie odrzekł Wiliamson.

– I babka umrze. – Synowe rozpłakały się.

– Matka w żadnym wypadku nie umrze – upewnił je Wiliamson i dodał: – Zresztą to już stara kobieta.

Nagle wszyscy podnieśli gwar, poruszyli się. Co młodsze wnuczęta dały nurka w krzaki, synowe rzuciły się do swoich izb.

Od dziadkowej izby wolno kroczył ku nam Iwan Stiepanowicz, trzymając w obu rękach ogromną, brudną, pachnącą ziemią wiązkę papierów.

– Oto ona, mapa. – Iwan Stiepanowicz trzymał w rękach zleżałe kartki pergaminu i palce mu drżały. Zza jego potężnych pleców wyglądała Sierafima Iwanowna.

– Proszę – oddaję. Dwadzieścia lat. Wybacz, Sima. Andrieju, Piotrze, Mikołaju, wszyscy moi rodzeni – wybaczcie. – Bugriejew rozpłakał się.

– No dosyć, dosyć, Iwanie Stiepanowiczu – powiedział Wiliamson. – Nie denerwuj się. Zamiast się martwić – ciesz się. – I kazał mi trzymać się w pobliżu Bugriejewa.

Starzec wcale nie myślał umierać. Szybko uspokoił się, odmłodniał i gadał bez przerwy od rana do wieczora, chwytając za ramię to mnie, to Wiliamsona, to Wasilczikowa – cały czas opowiadając o Belgach, jak to było, gdzie co stało, jakie zyski mieli jego gospodarze. Staruszek miał dobrą pamięć.

W pergaminowym, pachnącym ziemią zwitku znajdowała się mapa złóż tego kraju, zestawiona przez Belgów. Rudy: złoto, żelazo… Drogie kamienie: topazy, turkusy, beryl… Kamienie półszlachetne: agat, jaspis, kryształ gorski, malachit…. Nie było tylko tych kamieni, dla których właśnie przyjechał Wiliamson.

Iwan Stiepanowicz nie oddał diamentowej mapy. Diamenty znaleziono na Wiszerze dopiero po trzydziestu latach.

NIENAWRÓCONY

Troskliwie przechowuję mój stary składany stetoskop. To podarunek otrzymany w dniu ukończenia kursu felczerów od Niny Siemionownej, kierowniczki praktyk w zakresie chorób wewnętrznych.

Stetoskop ten – to obietnica wolności i niezależności, obietnica, która się spełniła. Zresztą niezależność i wolność – to dwie różne rzeczy. Ja nigdy nie byłem wolny, przez całe moje dorosłe życie byłem tylko niezależny. Ale wszystko to było później, o wiele później niż dzień, w którym przyjąłem ten podarunek z ledwie zatajonym bólem, z ledwo tajonym smutkiem – jak gdyby to nie mnie, a komu innemu należało dać ten stetoskop – symbol i znak mojego największego sukcesu na Dalekiej Północy, na rubieży życia i śmierci. Wszystko to wyraźnie odczuwałem – nie wiem, czy rozumiałem, ale na pewno odczuwałem, kładąc go obok siebie pod koc, niegdyś żołnierski, a obecnie drugiego czy nawet trzeciego okresu użytkowania, wydawany teraz kursantom. Gładziłem stetoskop poodmrażanymi palcami, a one nie odróżniały – czy to drewno, czy żelazo. Jednego razu wyjąłem po omacku z własnego worka stetoskop zamiast łyżki. I w tej pomyłce krył się głęboki sens.

Byli więźniowie, którzy łatwo przeżyli łagier – jeżeli ktokolwiek łatwo go może przetrwać; za najtrudniejszy okres swego życia uznają połagrowe bezprawie, błąkanie się, kiedy nie można uzyskać tej życiowej stabilności, która pomogła im wyżyć w łagrze. Ci ludzie w jakiś sposób przystosowali się do łagru i łagier przysposobił się do nich, dając im jedzenie, dach nad głową i pracę. Trzeba było gwałtownie zmienić nawyki. Ludzie ujrzeli krach swoich, jakże skromnych nadziei. Doktor Kalembiet, który odbył pięć lat swojego łagrowego wyroku, nie dał sobie rady z wolnością po łagrze i gdy upłynął rok, skończył ze sobą, pozostawiając kartkę: „Durnie nie dają mi żyć”. Ale nie chodziło tu o durniów. Inny lekarz, doktor Miller, przez całą wojnę z niezwykłą energią udowadniał, że nie jest Niemcem, ale Żydem – głosił to w każdym miejscu, w każdej ankiecie. Był jeszcze trzeci, doktor Braude – przesiedział ponad wyrok trzy lata, i doktor Miller wie-

dział, że los nie lubi żartować. Udało mu się udowodnić, że nie jest Niemcem, i został zwolniony w należnym terminie. Ale już po roku życia na wolności został oskarżony o kosmopolityzm. Wprawdzie nie było jeszcze formalnego oskarżenia, ale doświadczony naczelnik, czytający gazety i śledzący nowości literatury pięknej, zaprosił go na rozmowę wstępną. Rozkaz bowiem jest rozkazem, i utrafienie w „linię", zanim nadejdzie rozkaz – to wielka przyjemność dla biegłych w piśmie naczelników. To, co rozpoczęło się w centrum, na pewno dotrze w swoim czasie do Czukotki, do Indygirki i Jany, na Kołymę. Doktor Miller wszystko to dobrze rozumiał. W osadzie Arkagała, gdzie doktor Miller pracował jako lekarz, w jamie z nieczystościami utopił się prosiak. Prosiak udusił się łajnem, ale go wyciągnięto i zaczął się jeden z najostrzejszych sporów; w rozstrzygnięciu tego konfliktu uczestniczyły wszystkie organizacje społeczne. Prosiak jest wolny – ze sto osób, naczelników i inżynierów z rodzinami, żądało, aby oddać prosiaka do wolnej stołówki. To była rzadkość – odbijane kotlety wieprzowe, setki takich kotletów. Naczalstwu ciekła ślinka. Ale naczelnik łagru Kuczerenko nalegał, aby prosiaka sprzedano łagrowi – i wszyscy, cała zona, wszyscy w łagrze zajmowali się losem prosiaka przez kilka dni. O wszystkim innym zapomniano. W osadzie odbywały się zebrania – organizacji partyjnej, organizacji związkowej, żołnierzy oddziału straży.

Doktor Miller, były zek, naczelnik przychodni lekarskiej osady i łagrowego ambulatorium, miał rozstrzygnąć ten ostry spór. I doktor Miller rozstrzygnął – na korzyść łagru. Napisano protokół, w którym mówiło się, że prosiak utonął w łajnie, ale może być wykorzystany dla potrzeb łagrowego kotła. Takich protokołów spotyka się na Kołymie niemało. Kompot, który przesiąkł zapachem nafty: „Do sprzedaży w sklepie osady dla wolnych nie nadaje się, ale może być przemyty i sprzedany na użytek łagrowego kotła".

Ten właśnie protokół o prosiaku podpisał doktor Miller na dzień przed rozmową o kosmopolityzmie. To bardzo prosta chronologia, coś, co pozostaje w pamięci jako znaczące i życiowo ważne.

Po rozmowie ze śledczym Miller nie poszedł do domu, lecz wszedł do zony, nałożył fartuch, otworzył swój gabinet, wyjął strzykawkę i wprowadził sobie do żyły morfinę.

Po co to całe opowiadanie – o lekarzach samobójcach, o prosiaku, który utonął w nieczystościach, o bezgranicznej radości więźniów? A oto dlaczego.

Dla nas – dla mnie i dla setek tysięcy innych, którzy nie byli lekarzami w łagrze – życie po wyjściu z niego było ciągłym, codziennym, cogodzinnym nieprzerwanym szczęściem. Zbyt groźne było to piekło, które pozostało za naszymi plecami, i żadne poniewierki w wydziałach specjalnych, w wydziałach kadr, żadne tułaczki, żadne bezprawie trzydziestego dziewiątego paragrafu systemu wydawania dowodów osobistych nie potrafiło nas pozbawić tego uczucia szczęścia i radości – w porównaniu z tym, co widzieliśmy wczoraj i przedwczoraj, znajdując się na dnie.

Znaleźć się na praktyce na trzecim, wewnętrznym oddziale, to był dla absolwenta kursu felczerskiego wielki zaszczyt. Kierowała nim Nina Siemionowna – były docent katedry terapii diagnostycznej Charkowskiego Instytutu Medycznego.

Jedynie dwie osoby, dwu kursantów z trzydziestu, mogło przechodzić tam miesięczną praktykę.

Praktyka, bezpośrednia opieka nad chorymi – ach, jakie to nieskończenie odległe od książek, od „kursu”. Medykiem nie można zostać na podstawie książek – ani felczerem, ani lekarzem.

Na trzeci oddział pójdzie tylko dwóch mężczyzn – ja i Bokis.

– Dwóch mężczyzn? Dlaczego?

Nina Siemionowna była zgarbioną, starą kobietą z zielonymi oczami – siwa, pomarszczona, niedobra.

– Dwóch mężczyzn? Dlaczego?

– Nina Siemionowna nienawidzi kobiet.

– Nienawidzi?

– No, powiedzmy, nie lubi. Jednym słowem – dwóch mężczyzn. Szczęśliwcy.

Starosta kursu, Muza Dmitriewna, przyprowadziła mnie i Borysa przed zielone oczy Niny Siemionownej.

– Dawno tu jesteście?

– Od trzydziestego siódmego.

– A ja od trzydziestego ósmego. Z początku byłam na Elgenie. Przyjęłam tam trzysta porodów, a przedtem nigdy tego nie robiłam. A potem wojna – w Kijowie zginął mój mąż. Zginęło też dwoje dzieci. Chłopcy. Od bomby.

Wokół mnie umarło więcej ludzi niż w jakiejkolwiek bitwie na wojnie. Umarli bez żadnej wojny i żadnej się nie doczekawszy. A mimo wszystko umarli. Nieszczęście bywa różne, podobnie jak szczęście.

Nina Siemionowna siadła na łóżku chorego i odsunęła koc.

– No, to zaczniemy. Proszę wziąć do ręki stetoskop, przyłożyć do piersi chorego i słuchać… Francuzi osłuchują przez ręcznik. Ale stetoskop jest dokładniejszy, najbardziej pewny. Nie jestem zwolenniczką fonendoskopów – lekarz, który się nim posługuje, jest wielkim panem, nie chce mu się pochylić nad chorym. Stetoskop… Tego, co wam przedstawiam, nie znajdziecie w żadnym podręczniku. Proszę słuchać.

Obciągnięty skórą szkielet pokornie słuchał komend Niny Siemionownej. Wykonywał też moje rozkazy.

– Proszę wsłuchać się w ten dźwięk jakby z pudełka, o głuchym odcieniu. Trzeba zapamiętać go na całe życie, podobnie jak te kości, tę suchą skórę i blask oczu. Będzie pan pamiętać?

– Zapamiętam. Na całe życie.

– Czy pamięta pan, jak pan go słyszał wczoraj? Proszę osłuchać chorego ponownie. Dźwięk się zmienił. Proszę to opisywać i wciągać do historii choroby. Śmiało. Pewną ręką.

W sali znajdowało się dwunastu chorych.

– Żadnych interesujących chorych teraz tu nie ma. A to, co pan widział – to głód, głód i głód.

– Proszę usiąść z lewej strony. O tutaj, na moje miejsce. Proszę lewą ręką obejmować plecy chorego. Silniej, silniej. Co daje się usłyszeć?

I ja relacjonowałem.

– No, pora na obiad. Proszę iść, otrzymacie go w rozdzielni.

Zażywna rozdawczyni Szura wydała nam „doktorski” obiad. Uśmiechały się do mnie ciemne oczy siostry-gospodyni, ale ten jej uśmiech skierowany był bardziej do samej siebie…

– Dlaczegóż to, Olgo Tomasowna?

– Aha, spostrzegł pan. Ja zawsze myślę o czymś innym. O tym, co już przeszło. O tym, co było wczoraj. Staram się nie widzieć tego, co jest dzisiaj.

– To, co dzisiaj, to nie takie znów złe, nie takie straszne.

– Czy nalać panu jeszcze zupy?

– Tak, proszę.

Ale co innego leżało mi na sercu, nie te ciemne oczy. Nauka u Niny Siemionownej, opanowanie sztuki lekarskiej były dla mnie ważne ponad wszystko na świecie.

Nina Siemionowna mieszkała w oddzielnym pokoju, zwanym na Kołymie „kabinką”. Nikt oprócz gospodyni nigdy tam nie wchodził. Zamiatała

i porządkowała wszystko sama. Czy sama myła też podłogę – tego nie wiem. Przez otwarte drzwi widać było twarde, źle pościelone łóżko, szpitalną szafkę, taboret i wybielone ściany. Był tam jeszcze maleńki gabinet, sąsiadujący z kabinką, tylko że drzwi otwierały się na salę, a nie do sieni. Stał tam stół, coś na kształt biurka, dwa taborety i kozetka.

Wszystko było niby tak jak na innych oddziałach i jednocześnie czymś się odróżniało – chyba kwiatów nie było – ani w kabince, ani w gabinecie, ani na sali. A może była tu winna surowość Niny Siemionownej, jej stały brak uśmiechu. Ciemnozielone oczy rozpalały się szmaragdowym ogniem jakoś tak nie w porę, nie wtedy gdy powinny. Rozpalały się bez związku z rozmową czy jakąś sprawą. Ale te oczy nie ożywały tak sobie – lecz razem z uczuciami i myślami Niny Siemionownej.

Na oddziale nie istniała przyjaźń, nawet najbardziej powierzchowna, sanitariuszek czy sióstr. Wszyscy przychodzili do pracy, na dyżury, ale widać było, że prawdziwe życie pracowników trzeciego oddziału interny toczy się w żeńskim baraku, po dyżurach i pracy. Zazwyczaj w łagrowych szpitalach prawdziwe życie przywiera, jakby przykleja się do miejsca i czasu pracy – na oddział idzie się z radością, ażeby jak najszybciej rozstać się z przeklętym barakiem.

Na trzecim oddziale wewnętrznym nie było przyjaźni. Sanitariuszki i siostry nie lubiły Niny Siemionownej. Jedynie szanowały. Bały się. Obawiały się strasznego Elgenu, kołymskiego sowchozu, gdzie na ziemnych i leśnych robotach pracowały kobiety-więźniarki.

Wszystkie się bały oprócz rozdawczyni Szury.

– Chłopów tu przyprowadzać – trudna sprawa – mówiła Szura, z łoskotem wrzucając wymyte miski do szafy. – Ale ja już, chwała Bogu, jestem w piątym miesiącu. Niedługo odeślą do Elgenu i – zwolnią! Każdego roku zwalniają karmiące matki: dla nas to jedyna szansa.

– Pięćdziesiątego ósmego nie zwalniają.

– Ja mam dziesiąty punkt. Dziesiąty punkt zwalniają. To nie trockiści. Katiuszka pracowała w zeszłym roku tu, na moim miejscu. Jej chłop, Fiedia, żyje teraz ze mną – Katiuszkę z dzieckiem zwolnili, przychodziła się żegnać. Fiedia do niej mówi: „Pamiętaj, że to ja cię zwolniłem”. To już nie tak, że wyrok się skończył czy amnestia, ani też przez zielonego prokuratora, ale własnym sposobem, najbardziej pewnym… I rzeczywiście – zwolnili. Chyba i mnie zwolnił…

Szura ufnie wskazała na swój brzuch.

– Na pewno zwolnił.

– Właśnie o to chodzi. Odejdę z tego przeklętego oddziału.

– Jaka tu tajemnica się kryje, Szuro?

– Sam zobaczysz. Lepiej zabrać się – bo jutro niedziela – do gotowania lekarskiej zupy. Chociaż Nina Siemionowna nie bardzo lubi te świąteczne dni… Pewnie jednak pozwoli…

Lekarska zupa gotowana była na bazie medykamentów – wszystkich możliwych korzeni i kostek mięsnych rozpuszczonych w fizjologicznym roztworze soli – już wtedy jej nie trzeba – jak poinformowała mnie zachwycona tym Szura… Kisiel z czarnych jagód i malin, dzika róża, naleśniki…

Wszyscy pochwalili ten lekarski obiad. Nina Siemionowna dojadła swą porcję i wstała.

– Proszę zajść do mnie do gabinetu.

Wszedłem.

– Mam dla pana książkę.

Nina Siemionowna pogrzebała w szufladzie biurka i wydostała książkę podobną do modlitewnika.

– Czy to Ewangelia?

– Nie, to nie Ewangelia – wolno odrzekła Nina Siemionowna, a jej zielone oczy rozbłysły. – Nie, nie Ewangelia. To – Błok. Proszę.

Wziąłem do rąk nieśmiało i z nabożeństwem brudnoszary tomik z małej serii „Biblioteki poety”. Grubą, jeszcze kopalnianą skórą moich odmrożonych palców powiodłem po grzbiecie, nie mogąc wyczuć ani kształtu, ani wielkości książki. W tomiku znajdowały się dwie papierowe zakładki.

– Proszę mi głośno przeczytać te dwa wiersze. Tam gdzie zakładki.

– *Dziewczyna śpiewała w cerkiewnym chórze, W dalekiej, błękitnej sypialence.* Znałem kiedyś te wiersze na pamięć.

– Coś takiego? To proszę deklamować.

Zacząłem recytować, ale od razu się zgubiłem. Pamięć odmawiała „ujawniania” wierszy. Świat, z którego przyszedłem do szpitala, obchodził się bez nich. Były w moim życiu dni, a było ich niemało, kiedy nie mogłem i nie chciałem sobie przypomnieć żadnych wierszy. Cieszyłem się z tego jak z uwolnienia się od dodatkowego kłopotu – od czegoś niepotrzebnego w mojej walce na tych niskich kondygnacjach życia, w jego suterenach i kloacznych jamach. Wiersze mi tam tylko przeszkadzały.

– Proszę czytać z książki.

Przeczytałem obydwa wiersze i Nina Siemionowna rozpłakała się.

– Czy pan rozumie, że chłopczyk przecież umarł, umarł. Proszę, niech pan idzie i czyta Błoka.

Zachłannie czytałem Błoka przez całą noc w ciągu dyżuru, kończyłem i rozpoczynałem od nowa. Oprócz *Dziewczyny* i *Błękitnej sypialenki* były tam jeszcze płomienne wiersze *Zaklęci przez ogień i mrok*, poświęcone Wołochowej. Wiersze te rozbudziły we mnie zupełnie nowe siły. Po trzech dniach zwróciłem książkę Ninie Siemionownej.

– Pan myślał, że daję mu Ewangelię. Ja też ją mam. Proszę… – Podobny do Błoka, ale nie brudnoniebieski, lecz ciemnobrązowy tomik został wyciągnięty z biurka. – Proszę przeczytać Pawła Apostoła. Do Koryntian… O, to.

– Brak mi religijnych uczuć, Nino Siemionowna. Ale oczywiście odnoszę się z wielkim szacunkiem…

– Jak to? Pan, który przeżył tysiąc odmian życia? Pan, który powstał z martwych?… I brak panu uczuć religijnych? Czyż mało pan widział tutaj tragedii? – Twarz Niny Siemionownej zmarszczyła się, pociemniała, siwe włosy rozsypały się, wylazły spod białego, lekarskiego czepka. – A czy będzie pan czytać książki, czasopisma?…

– Pismo Moskiewskiego Patriarchatu?

– Nie, nie Moskiewskiego, lecz stamtąd…

Nina Siemionowna machnęła białym rękawem podobnym do anielskiego skrzydła, ukazując gdzieś w górę… Dokąd? Za odrutowanie zony? Za szpital? Poza ogrodzenie wolnej osady? Za morze? Za góry? Za granice? Poza rubieże nieba i ziemi?

– Nie – powiedziałem ledwie słyszalnym głosem, czując chłód swojej wewnętrznej pustki.

Czy wyjście z ludzkich tragedii ma tylko charakter religijny? Zdania kręciły mi się w mózgu, sprawiając ból jego komórkom. Myślałem, że już dawno zapomniałem o takich słowach. I oto znów się pojawiły, i co najważniejsze – podporządkowane mojej własnej woli. To było coś na kształt cudu. Powtórzyłem je jeszcze raz, jakbym czytał napisane czy wydrukowane w książce.

– Czy wyjście z ludzkich tragedii ma tylko charakter religijny?

– Tak, tylko. Niech pan idzie.

Wyszedłem, włożywszy Ewangelię do kieszeni i myśląc nie o Koryntianach ani nie o Pawle Apostole, i nie o ludzkiej pamięci, niepojętym cudzie, który dopiero co się zdarzył, ale zupełnie o czymś innym. I wyobraziwszy sobie to „inne”, zrozumiałem, że z powrotem znalazłem się w świecie

łagru, w tym zwyczajnym świecie łagru. Możliwość „wyjścia o charakterze religijnym” była czymś zupełnie przypadkowym i nieziemskim. Włożywszy Ewangelię do kieszeni, myślałem tylko o jednym: czy dostanę dzisiaj kolację.

Ciepłe palce Olgi Tomasownej chwyciły mnie za łokieć. Jej ciemne oczy były pełne uśmiechu.

– Niech pan idzie, niech pan idzie – powiedziała Olga Tomasowna, przemieszczając mnie do wyjściowych drzwi. – Jeszcze pan nienawrócony. Takim u nas nie dają kolacji.

Następnego dnia zwróciłem Ewangelię Ninie Siemionownej, która gwałtownym ruchem schowała ją do biurka.

– Wasza praktyka kończy się jutro. Proszę dać, podpiszę panu kartkę, pana zaliczenie. A to prezent dla pana – stetoskop.

WIZYTA MISTER POPPA

Mister Popp był dyrektorem amerykańskiej firmy, która ustawiała zbiorniki gazu w pierwszym etapie budowy Bierieznikchimstroju. Zamówienie było duże, robota szła dobrze i wicedyrektor uznał za niezbędną swoją obecność przy odbiorze.

W Bierieznikach budowały różne firmy. Jak mówił M. Granowski, kierownik budowy – kapitalistyczna międzynarodówka. Niemcy – kotły „Hanomag”; maszyny parowe – angielska firma Brown-Bovery; Amerykanie – zbiorniki gazu. Coś tam kulało u Niemców – potem uznano to wszystko za szkodnictwo. Kulało i u Anglików w centrali elektrycznej. Potem to również uznano za szkodnictwo.

Pracowałem wtedy w centrali elektrycznej, w TEC, i dobrze pamiętam przyjazd głównego inżyniera firmy Babcoc-Wilcox mister Holmesa. Na dworcu oczekiwał go naczelnik Chimstroju Granowski, ale Holmes nie pojechał do hotelu, lecz wprost do kotłów, na montaż. Jeden z angielskich monterów zdjął z Holmesa palto, wdział na niego kombinezon i Holmes spędził z nim trzy godziny w kotle, słuchając jego wyjaśnień. Wieczorem było zebranie. Mister Holmes był najmłodszym ze wszystkich inżynierów. Na wszystkie relacje, na wszystkie uwagi Holmes odpowiadał jednym krótkim słowem, które w przekładzie oznaczało: „Mister Holmesa to nie niepokoi”. Jednakże Holmes spędził w kombinacie dwa tygodnie i kocioł został uruchomiony na 20 procent projektowanej mocy. Po podpisaniu protokołu przez Granowskiego mister Holmes odleciał do Londynu.

Po kilku miesiącach moc kotła spadła i na konferencję został wezwany nasz własny specjalista – Leonid Konstantynowicz Ramzin. Bohater sensacyjnego procesu, jak to wynikało z ówczesnych warunków, nie był jeszcze na wolności, jeszcze nie został nagrodzony Orderem Lenina, nie otrzymał jeszcze Nagrody Stalinowskiej. Wszystko to miało nastąpić później i Ramzin o tym wiedział, zachowując się w elektrowni bardzo niezależnie. Przyjechał nie sam, lecz z towarzyszem o bardzo wyrazistej postaci, z którym również odjechał. Nie wlazł – tak jak mister Holmes – do kotła, lecz prze-

siedział w gabinecie dyrektora technicznego elektrowni Kastennera, który był również zesłańcem, zasądzonym za szkodnictwo w kopalniach w Kizielu.

Nominalnym dyrektorem TEC był niejaki Raczew, były czerwony dyrektor, niezły chłop, który nie zajmował się tym, na czym się nie znał. Pracowałem w biurze ekonomiki pracy w TEC i potem przez wiele lat woziłem ze sobą podania palaczy skierowane na ręce Raczewa. Na tym podaniu, w którym palacze skarżyli się na temat swoich wielu niezaspokajanych potrzeb, widniała bardzo charakterystyczna i bardzo prostoduszna rezolucja Raczewa: „Kier. SET. Proszę rozpatrzyć i w miarę możliwości odmówić".

Ramzin udzielił kilku praktycznych rad, ale bardzo nisko ocenił prace Holmesa.

Mister Holmes pojawił się w elektrowni nie w towarzystwie Granowskiego – naczelnika Chimstroju, lecz z jego zastępcą, głównym inżynierem Czistiakowem. Nie istnieje w życiu nic bardziej dogmatycznego niż etykieta dyplomatyczna. I tak oto Granowski, mający mnóstwo wolnego czasu, nie uznał za możliwe towarzyszyć na budowie głównemu inżynierowi firmy. Co innego, jeśliby sam szef przyjechał…

Mister Holmesowi towarzyszył na budowie główny inżynier Czistiakow, o ciężkiej masywnej postaci, która w powieściach określana bywa jako „pański wygląd". W biurze kombinatu Czistiakow miał ogromny gabinet, usytuowany naprzeciw gabinetu Granowskiego, w którym spędzał wiele godzin, zamknięty z młodą gońcówną biura.

Byłem wtedy młody i nie rozumiałem tego fizjologicznego prawa – dlaczego wielcy naczelnicy, oprócz swoich żon, żyją jeszcze z gońcównami, stenografistkami, sekretarkami. Miewałem wtedy wiele spraw do Czistiakowa i niemało się nakląłem przy tych zamkniętych drzwiach.

Mieszkałem w tym samym hotelu w pobliżu fabryki sody, gdzie w jednym z pokoi Konstantin Paustowski kreślił swojego *Kara-Bugaza*. Sądząc po tym, co Paustowski opowiedział o tych czasach – trzydziestego i trzydziestego pierwszego roku – widać, że nie spostrzegł on tego, co najważniejsze, czym naznaczyły te lata nasz kraj i społeczeństwo.

Tutaj, na oczach Paustowskiego dokonywał się wielki eksperyment deprawacji ludzkich dusz, rozszerzony później na cały kraj, przemieniony w krew trzydziestego siódmego roku. Właśnie tu i wtedy przeprowadzano pierwsze doświadczenie nad działaniem nowego łagrowego systemu –

z własną strażą, „przekuwaniem”, żywieniem w zależności od wykonania normy, zaliczaniem roboczych dni w zależności od wyników pracy. To system, który doczekał się rozkwitu na Kanale Białomorskim i doznał krachu na Kanale Moskiewskim, gdzie i do teraz znajdowane są w bratnich mogiłach ludzkie kości.

Na Bierieznikach eksperyment przeprowadzał Bierzin. Oczywiście nie on sam. Bierzin był zawsze posłusznym wykonawcą cudzych pomysłów – wszystko jedno czy bezkrwawych, czy krwawych. Ale dyrektorem Wiszchimzu – to także budowa pierwszej pięciolatki – był również Bierzin. Podlegał mu po łagrowej linii Filippow, a Wiszerski Łagier, w którego skład wchodziły Bieriezniki i Solikamsk z jego kamieniołomami, był ogromny. W samych tylko Bierieznikach było trzy, cztery tysiące ludzi.

Tutaj i właśnie tutaj rozwiązany został problem pozostawienia łagrów po sprawdzeniu ich za pomocą rubla, zarobków. Po doświadczeniu z Wiszerą – według naczalstwa, udanym – łagry objęły cały Związek Radziecki i nie było obwodu, na którego terenie nie byłoby łagru, nie było budowy, na której nie pracowaliby więźniowie. Właśnie po Wiszerze liczba więźniów w kraju osiągnęła liczbę 12 milionów. Właśnie Wiszera oznaczała zapoczątkowanie nowej drogi dla miejsc pozbawienia wolności. Domy poprawcze zostały oddane NKWD, a ci już zabrali się do pracy, opiewanej przez poetów, dramaturgów i reżyserów kina.

Oto, czego nie zobaczył Paustowski, pochłonięty swoim *Kara-Bugazem*!

Pod koniec trzydziestego pierwszego roku mieszkał razem ze mną w hotelowym pokoju młody inżynier Lewin. Pracował on w Bierieznikchimstroju jako tłumacz języka niemieckiego i przydzielony był do jednego z zagranicznych inżynierów. Kiedy spytałem Lewina, dlaczego on, z wykształcenia inżynier-chemik, pracuje jako zwykły tłumacz za trzysta rubli na miesiąc, odpowiedział mi: „Tak, oczywiście, ale tak lepiej. Żadnej odpowiedzialności. Już dziesiąty raz odkładają rozruch i posadzą przy tym z setkę ludzi – a cóż ja? Ja jestem tłumaczem. Pracuję przy tym niewiele i mam wolnego czasu tyle, ile tylko zechcę. I wykorzystuję go z korzyścią”. Lewin uśmiechnął się.

Ja również się uśmiechnąłem.

– Nie pojmuje pan?

– Nie.

– A czy nie zauważył pan, że wracam nad ranem?

– Nie, nie zauważyłem.

– Nie jest pan spostrzegawczy. Zajmuję się pracą przynoszącą mi wystarczający dochód.

– Cóż to takiego?

– Gram w karty.

– W karty?

– Tak. W pokera.

– Z cudzoziemcami?

– No, dlaczego z nimi. Z tymi z zagranicy niczego, oprócz sprawy prokuratorskiej, się nie dorobię.

– Ze swoimi?

– Oczywiście. Tutaj kawalerów – całe mnóstwo. I stawki duże. A pieniędzy mam… Żyję i dziękuję ojcu, że nauczył mnie dobrze grać w pokera. A czy pan nie chciałby spróbować? Mogę wiele nauczyć.

– Nie, dziękuję.

Zupełnie przypadkowo wstawiłem Lewina w opowieść o mister Poppie, której w żaden sposób nie mogłem rozpocząć.

Amerykańskiej firmie montaż szedł dobrze, zamówienie było duże i wicedyrektor przyjechał do Rosji sam. M. Granowski, naczelnik Bierieznikchimstroju, został tysiąckrotnie i na czas powiadomiony o przyjeździe mister Poppa. Zważywszy na to, zgodnie z zasadami protokołu dyplomatycznego, że on, M. Granowski, stary członek partii i naczelnik budowy jednego z większych obiektów pierwszej pięciolatki, stoi wyżej od szefa amerykańskiej firmy, to nie pojedzie on przecież witać osobiście mister Poppa na stacji Usolje. To niepoważnie. Zdecydował, że powita go w biurze, u siebie w gabinecie.

M. Granowskiemu było wiadome, że amerykański gość jedzie specjalnym pociągiem – z własnym wagonem i parowozem; o czasie przybycia pociągu na stację Usolje naczelnik budowy wiedział już od trzech dni na podstawie telegramu z Moskwy.

Rytuał spotkania został opracowany zawczasu: dla gościa zostaje podstawiony osobisty samochód naczelnika budowy i szofer wiezie gościa do hotelu dla gości zagranicznych, gdzie już od trzech dni dyrektor tego hotelu, partyjny dyrektor z awansu społecznego, rezerwuje dla zamorskiego gościa najlepszy pokój. Po toalecie i śniadaniu mister Popp powinien być zawieziony do biura, gdzie ma się rozpocząć robocza część wizyty – według minutowego rozkładu.

Specjalny pociąg z zamorskim gościem powinien był nadejść rano o godzinie dziewiątej i jeszcze wczoraj osobisty szofer Granowskiego został wezwany, poinstruowany i wielokrotnie obrugany.

– Może ja, towarzyszu naczelniku, jeszcze z wieczora przyprowadzę samochód na stację. I tam przenocuję – niepokoił się szofer.

– W żadnym wypadku. Trzeba pokazać, że u nas wszystko się wykonuje z dokładnością co do minuty. Pociąg gwiżdże, zwalnia bieg, a ty podjeżdżasz pod stację. Tylko tak.

– Dobrze, towarzyszu naczelniku.

Wymęczony wielokrotnymi próbami samochód jeździł próżny na stację z dziesięć razy – szofer ustalił prędkość, wyliczył czas. W noc poprzedzającą przyjazd mister Poppa szofer M. Granowskiego usnął i śnił mu się sąd…

Dyżurny, pełniący służbę w garażu – naczelnik budowy nie prowadził z nim żadnych konfidencjonalnych rozmów – rozbudził szofera, gdy zadzwoniono ze stacji i szofer, szybko zapuściwszy maszynę, pomknął na spotkanie mister Poppa.

Granowski był człowiekiem praktycznym. Tego dnia przyszedł do gabinetu o szóstej, przeprowadził dwa zebrania i trzy „objeżdżania”. Przysłuchiwał się przy tym najmniejszym szmerom na dole, rozsuwał zasłony i wyglądał przez okno na drogę. Zamorskiego gościa nie było.

O wpół do dziesiątej zadzwonił ze stacji dyżurujący tam pomocnik naczelnika budowy. Granowski wziął słuchawkę i usłyszał głuchy głos z silnym, obcym akcentem. Wyrażał on zdziwienie, że tak źle przyjmuje się mister Poppa. Nie ma samochodu. Mister Popp prosi, aby mu go przysłać.

Granowski wściekł się. Przeskakując po dwa stopnie, zbiegł w dół i ciężko dysząc, dotarł do garażu.

– Towarzyszu naczelniku, wasz szofer odjechał o wpół do ósmej.

– Jak to o wpół do ósmej?

Ale w tym momencie zawarczał samochód. Z pijanym uśmiechem szofer przekroczył próg garażu.

– Ty, co sobie myślisz, twoja taka owaka…

Ale szofer wyjaśnił. O wpół do ósmej nadjechał pasażerski z Moskwy. Powrócił nim z urlopu naczelnik oddziału finansowego budowy Grozowski z rodziną i tak jak zawsze zadzwonił po samochód Granowskiego. Szofer próbował powiedzieć mu o mister Poppie, ale Grozowski wyjaśnił, że to pomyłka – on nic o tym nie wie, i kazał szoferowi natychmiast przyjechać

na stację. Szofer pojechał, myśląc, że sprawa z cudzoziemcami została odwołana, a w ogóle, Grozowski, Granowski – on już nie wie, kogo ma słuchać, w głowie mu się od tego kręci. A potem pojechali do odległej o cztery kilometry osady Czurtan, gdzie znajdowało się nowe mieszkanie Grozowskiego – szofer pomagał mu nosić rzeczy, a później gospodarze poczęstowali go po podróży…

– Rozmówimy się później. Kto jest ważniejszy na tym świecie – Grozowski czy Granowski? A na razie – goń na stację.

Nie było jeszcze dziesiątej, gdy szofer przyleciał na stację. Mister Popp był w nieciekawym humorze. Kierowca, nie zważając na drogę, pomknął wraz z mister Poppem do hotelu dla cudzoziemców. Mister Popp rozgościł się w numerze, umył, przebrał i uspokoił się.

Teraz denerwował się Cyplakow, komendant hotelu dla cudzoziemców – taki miał wtedy tytuł: nie dyrektor, lecz komendant. Czy tak nazywające się stanowisko wymagało mniej pieniędzy niż na przykład „dyrektor budki z wodą” – nie wiem; ale tak właśnie brzmiała nazwa tego stanowiska.

Na progu numeru pojawił się sekretarz mister Poppa.

– Mister Popp prosi o śniadanie.

Komendant hotelu wziął z bufetu dwa wielkie cukierki bez papierków, dwie kanapki z powidłami, dwie z kiełbasą, usytuował to wszystko na tacy i dodając dwie szklanki bardzo cienkiej herbaty, wniósł wszystko razem do numeru mister Poppa.

Sekretarz natychmiast wyniósł tace z powrotem i postawił na szafce przy drzwiach. Mister Popp na pewno tego jeść nie będzie.

Cyplakow rzucił się, aby zawiadomić o tym naczelnika budowy, ale Granowski już o wszystkim wiedział – doniesiono mu o tym przez telefon.

– Cóż ty, stara suko! – ryczał Granowski. – Ty mnie hańbisz, ty hańbisz państwo! Przekazuj stanowisko! Do roboty! Do kopalni piasku! Łopatę do ręki! Szkodnicy! Gady! Zgnoję w łagrach!

Siwy już Cyplakow, czekając, aż naczelnik skończy z przekleństwami, myślał: Na pewno zgnoi.

Pora była przejść do roboczej części wizyty i tutaj Granowski trochę się uspokoił. Firma pracowała na budowie dobrze. Zbiorniki gazu stawiano w Solikamsku i w Bierieznikach. Mister Popp koniecznie uda się do Solikamska. Po to przecież przyjechał i wcale nie chce powiedzieć, że mu przykro. I nie jest mu wcale przykro. Jest raczej zdziwiony. Ale to wszystko głupstwo.

Na budowę Granowski poszedł z mister Poppem osobiście, odłożywszy na bok swoje dyplomatyczne wyrachowanie, odwołując wszystkie zebrania i spotkania. Do Solikamska również sam towarzyszył mister Poppowi i razem z nim powrócił. Protokoły zostały podpisane, mister Popp zadowolony, zbierał się z powrotem do domu, do Ameryki.

– Zostało mi trochę czasu – powiedział Granowskiemu mister Popp – dzięki dobrej robocie naszych – gość zamilkł na chwilę – i waszych majstrów. Kama to przepiękna rzeka. Chcę popłynąć parostatkiem Kamą w dół, aż do Permu, a może i Niżnego Nowogrodu. Czy to możliwe?

– Oczywiście – odpowiedział Granowski.

– A czy ja mogę zafrachtować statek?

– Nie. Przecież mamy inny ustrój, mister Popp.

– A kupić?

– I kupić też nie można.

– No, jeżeli nie można kupić pasażerskiego statku – rozumiem, że to naruszyłoby ruch na tej arterii wodnej – to może jakiś holownik, co? Ot, taki jak ta *Czajka* – i mister Popp wskazał na statek holowniczy przepływający mimo okien gabinetu naczelnika budowy.

– Nie, holownika też nie można. Proszę zrozumieć…

– Oczywiście, ja wiele słyszałem… Kupić – to byłoby najprościej. Ja pozostawię go w Permie. Podaruję go panu.

– Nie, mister Popp – u nas nie bierze się takich prezentów.

– No to co z tym zrobić? Przecież to absurd! Lato, przepiękna pogoda. Jedna z lepszych rzek na świecie, przecież to prawdziwa Wołga – czytałem o tym. W końcu też i czas. Przecież mam dużo czasu. A nie mogę odjechać. Proszę zapytać Moskwę.

– Co Moskwa? Moskwa daleko – zacytował z przyzwyczajenia Granowski.

– No to niech pan decyduje. Jestem waszym gościem. Jak pan powie, tak będzie.

Granowski poprosił o pół godziny czasu na przemyślenie sprawy, wezwał do siebie, do gabinetu, naczelnika komunikacji rzecznej Mironowa i naczelnika rejonu operacyjnego OGPU Ozolisa. Opowiedział im o pragnieniu mister Poppa.

Koło Bierieźników przepływały wtedy tylko dwa parostatki *Czerwony Ural* i *Czerwona Tataria*, w rejsach Czerdyń–Perm. Mironow powiedział, że *Czerwony Ural* znajduje się w dole rzeki koło Permu i w żaden sposób

nie może szybko przybyć. W górze, do Czerdyni podpływa *Czerwona Tataria*. Jeśli ją szybko zawrócić – i tu pomogą twoje zuchy, Ozolis – i gonić w dół bez zatrzymywania się, to jutro w ciągu dnia *Czerwona Tataria* przybije do przystani Bieriezników. Mister Popp może płynąć.

– Siadaj przy centralce – powiedział Granowski do Ozolisa – i naciskaj na swoich. Niech wasz człowiek wsiądzie na statek i płynie, nie dając marnować czasu na zatrzymywanie się. Powiedz, że to zadanie państwowej wagi.

Ozolis połączył się z Annowem – na przystani Czerdyń. *Czerwona Tataria* wypłynęła z Czerdyni.

– Goń!

– Lecimy.

Naczelnik budowy odwiedził mister Poppa w jego hotelowym pokoju – był już inny komendant – i powiadomił go, że pasażerski parostatek jutro o godzinie drugiej będzie miał zaszczyt przyjąć drogiego gościa na swój pokład.

– Nie – powiedział mister Popp – proszę dokładnie określić godzinę, abyśmy nie musieli sterczeć na brzegu.

– No to o godzinie piątej. O czwartej przyślę samochód po rzeczy.

O piątej Granowski, mister Popp i jego sekretarz przybyli na przystań. Parostatku nie było.

Granowski poprosił o wybaczenie, opuścił ich i popędził do centrali OGPU.

– Jeszcze nie mijał Iczeru.

Granowski stęknął. Dobre dwie godziny.

– Może powrócimy do pokoju w hotelu, a kiedy statek przypłynie – wtedy tu przyjedziemy. Coś przekąsimy – zaproponował Granowski.

– Chce pan powiedzieć, zjemy śnia-da-nie – z naciskiem powiedział mister Popp. – Nie, dziękuję panu. Mamy piękny dzień. Słońce. Niebo. Poczekamy tu, na brzegu.

Granowski pozostał z gościem na przystani, uśmiechał się i coś tam mówił, wciąż spoglądając w górę nurtu, na cypel, zza którego powinien ukazać się parostatek.

Tymczasem współpracownicy Ozolisa i sam naczelnik rejonowego oddziału obsiedli wszystkie linie i czekali, czekali.

O ósmej wieczorem *Czerwona Tataria* pojawiła się za cyplem i wolno zaczęła zbliżać się do przystani. Granowski uśmiechał się, dziękował

i żegnał się. Mister Popp dziękował bez uśmiechu.

Parostatek przybił i tutaj wynikła nieoczekiwana trudność, zahamowanie, które omal nie ułożyło do trumny chorego na serce Granowskiego, trudność, która została przezwyciężona dzięki doświadczeniu i zaradności naczelnika rejonowego oddziału Ozolisa.

Okazało się, że statek jest zajęty, zapchany ludźmi. Rejsy były rzadkie, a ludzi jeździło piekielnie dużo i zapchane były wszystkie pokłady, wszystkie kajuty, a nawet cała maszynownia. Dla mister Poppa nie było miejsca na pokładzie *Czerwonej Tatarii*. Nie tylko o to chodziło, że wszystkie bilety do kajut były wyprzedane. W każdej z nich zasuwali na urlop do Permu sekretarze komitetów rejonowych, naczelnicy cechów, dyrektorzy ważnych przedsiębiorstw.

Granowski poczuł, że traci przytomność. Ale Ozolis posiadał znacznie większe doświadczenie w takich sprawach.

Wszedł na górny pokład *Czerwonej Tatarii* wraz ze swoimi czterema zuchami, uzbrojonymi i w mundurach.

– Wszyscy wychodzić! Zabierać rzeczy!

– Przecież mamy bilety! Bilety do Permu!

– Do diabła z waszymi biletami! Wszyscy właźcie do ładowni. Daję trzy minuty do namysłu. Do Permu pojedziecie pod konwojem. Po drodze wyjaśnię.

Po pięciu minutach górny pokład został opróżniony i mister Popp wstąpił na pokład *Czerwonej Tatarii*.

ŁAGROWE WESELE

Do ujścia Ulsa szybko zbliżało się czółno. Koryto górskiej rzeki było tak strome, że płynące nią czółno widać było całe, jak na rysunku. Wpływało ono już na spokojne fale jeziora utworzonego przez połączenie wód Ulsa i Kutima, tego samego jeziora, na którym zupełnie niedawno wodował hydroplan głównego naczelnika Bierzina. Jego pilotem był Wołodia Gipus, lotnik osądzony za szkodnictwo, ale z „dziecinnym", trzyletnim wyrokiem. Bierzin był zbyt doświadczony i mądry, aby zaglądać do „sprawy" Gipusa, gdy na swojego osobistego pilota brał lotnika, który był „szkodnikiem".

Przylot Bierzina był właśnie tym najbardziej znaczącym wydarzeniem tego roku. Oczywiście oprócz wesela Wachminowa.

Czółno zbliżało się.

– Naczelnik płynie – powiedział z poczuciem winy Szurka Wienjaminow, sekretarz „działu ogólnego".

– I nie sam – powiedziałem ja, naczelnik działu pracy.

Staliśmy na brzegu i czekaliśmy, kiedy dłubanka dobije. Czółno zaryło dziobem w piasku, a Szurka i ja przytrzymaliśmy je, póki przybysze wysiadali. Naczelnik rejonu Stiepanow i jego zastępca Aleksandrow wrócili razem, jednocześnie. Przedtem nigdzie razem nie jeździli i nie powracali razem.

– No, jak tam wasze wesele?

– To nie nasze wesele, obywatelu naczelniku, to wesele Wachminowa.

– Ile wódki wypito?

– Ile było wypisane, tyle zostało wypite.

– Przecież nie dwa litry?

– Dwa, obywatelu naczelniku.

– A nie dziesięć? Nie dwadzieścia, jak powiedziano mi w Kutimie?

– Dwa, obywatelu naczelniku.

– Pisz rozkaz, Wienjaminow. Dla wszystkich więźniów, którzy uczestniczyli w weselu, po piętnaście dób izolatora… – Stiepanow umilkł i kierując

wzrok gdzieś mimo mnie, dodał: – A dla wolnych – doprowadzenie do wojskowego aresztu i upomnienie. Z wpisaniem do akt.

– A wy jesteście durnie! – powiedział Aleksandrow, były naczelnik artylerii Pobrzeża Czarnomorskiego, carski oficer, który odbył wyrok i pozostał na służbie w łagrze. – Durnie! Dorośli ludzie! Trzeba było zaprosić na wesele tego Saprykina, pełnomocnego i dowódcę oddziału straży. Przecież nie jesteście dziećmi. Trzeba było doczekać się naszego powrotu – albo mojego, albo Andrieja Maksimowicza. Ale wszystko szybko. Stale się spieszycie.

– A ja z Arzanowem nie siądę przy jednym stole – powiedział, chmurząc się Wienjaminow. – A do tego Saprykin. Po co nam Saprykin na weselu? Pański zastępca, kierownik techniczny rejonu Kranow, był.

– Kranow bywa wszędzie, gdzie można za darmochę wypić – powiedział Stiepanow. – Nie wiedzieliście o tym?

– Wiedzieliśmy.

– No, wołaj pana młodego.

Posłaniec pobiegł po Wachminowa, naczelnika KWO.

„Przekuwanie” miało swoje wynaturzenia, ale nie tylko mroczne i posępne. Bywały też wesołe.

Pośród ogromnej liczby rozkazów, które Moskwa przysyłała na początku lat trzydziestych, znajdowało się wiele prób znalezienia nowych dróg nacisku na aresztanta.

Stymulacja za pomocą środków dyscyplinarnych, bodźców zachęty i poprzez wypełnienie planu opierała się nie tylko na kotle, nie tylko na „skali żywieniowej”.

Najlepszymi „izotowcami” byli właśni izotowcy, tak jak później byli na Kołymie „stachanowcy” i „stachanowska” racja żywnościowa.

„Przekuwanie” rozpoczęło się w 1939 roku. W 1929 – więźniom, którzy systematycznie przekraczali zadaną normę, zezwalano na zawieranie małżeństw. Dokumenty znajdujące się w „aktach sprawy” stanowiły podstawę prawną do rejestracji małżeństwa.

Przyjeżdżające żony nie musiały przywozić „moskiewskiego” zezwolenia na widzenie. Należało je brać w przypadku „szkodników”, w ogóle w przypadku pięćdziesiątego ósmego paragrafu… Czas widzenia określony w rozkazie, doby czy godziny dzielone były na życzenie męża i żony prawie na minuty.

W Witaachu, gdzie znajdował się zarząd Wiszerskich Łagrów, wybudowano specjalny dom-hotel – Dom Spotkań. Tak właśnie był on nazywany we wszystkich ówczesnych dokumentach: Dom Spotkań! Był to już czternasty rok od rozpoczęcia rewolucji. Nazwa nikomu nie wydawała się dziwna. Ludzie mają krótką pamięć.

Przodowniczka pracy mogła dowolnego więźnia nazwać swoim mężem… I otrzymać widzenie w Domu Spotkań. Naczalstwo pilnowało tylko, aby w książce Domu Spotkań nie figurował pięćdziesiąty ósmy paragraf.

Dom Spotkań i praktyka z nim związana wywołały nowy problem dla GUŁagu: czy wolno więźniom żenić się z więźniarkami w trybie zachęty za wyróżniającą się pracę? Otrzymano z GUŁagu wyjaśnienie i rozesłano je do wszystkich łagrów. „Można, jeżeli według ankiety w «aktach sprawy»” więzień nie był związany małżeństwem. Północny rejon Wiszerskich Łagrów otrzymał właśnie takie wyjaśnienie.

Nie odkładając sprawy na dalszą metę, Wachminow, naczelnik KWO, złożył podanie, w którym wyraził chęć zawarcia małżeństwa ze swoją referentką Raisą Kolesniczenko.

Wachminow był to leningradzki czekista, pijaczyna, który zgubił swój nagan w czasie hałaśliwej popijawy w „Astorii”.

– Oprzytomniałem, rozumisz, w rowie. Pas z kaburą przewieszony przez ramię. Ale kabura pusta.

Wachminowa sądzono i dostał trzy lata. Odwołał się od wyroku do Moskwy i Moskwa rozpatrzyła sprawę. Wyrok został zwiększony do pięciu lat. Wachminow postanowił więcej nie korespondować z tak wysoko postawionymi organizacjami i po uszy pogrążył się w wychowawczej robocie w łagrze.

Pośród setek najprzeróżniejszych KWO, które napotkałem w swoim życiu, Wachminow był jednym z lepszych. Z piciem zupełnie zerwał. Jedynie tylko na tym weselu.

Raisa Kolesniczenko była córką jakiegoś ważnego sekciarza. Pragnęła ona tylko jednego: zapomnieć o ojcu, i w ogóle ujść w zapomnienie, zaszyć się w jakimś kącie, niczym się nie odróżniając od przyjaciółek, znajomych czy spotykanych ludzi – ani odzieżą, ani zainteresowaniami, ani sposobem poruszania się czy zachowaniem.

Z Wachminowem żyła już od dawna i teraz ucieszyła się z tego oficjalnego pretekstu do radości.

W rejonie akurat gościł wyjazdowy zespół „Granatowa Bluza” – znalazły się tam koleżanki dla Rai.

Po lewej ręce panny młodej siedziała wąskooka, z wąskimi wargami Szura Fanarina, donosicielka ze środowiska błatniaczek. Obok niej – Sorokin, kierownik tego granatowo-bluzowego zespołu. Styl „granatowa bluza” w stolicach już zamierał, a sam jego twórca, Jużanin, po nieudanej ucieczce za granicę przebywał w łagrze. Wszystko zaczyna się w Moskwie, ale nie w Moskwie się kończy. Uralska łagrowa „Granatowa Bluza” była czymś w rodzaju ostatniej fali powstałej od kamienia, rzuconego kiedyś z wielką siłą w stojącą wodę sztuki estradowej. Teksty do oratoriów „Granatowej Bluzy” ja też pisałem i jako przydatny im autor byłem z nimi w przyjaźni. Z miejsca na miejsce „Granatowa Bluza” przemieszczała się konno… Konie pod wierzch, konie juczne, błota, rzeczki, deszcze.

Tam, gdzie mieszkaliśmy, w centralnym rejonie, był klub. Przy klubie pracował plastyk, zasądzony na dziesięć lat w sprawie różokrzyżowców w Moskwie, w tym dziwnym procesie masonów.

Tego lata przyjechała do niego żona, ale w czymś nie dogodził naczalstwu – może odmówił namalowania portretu – i żonie dano na widzenie się z nim dokładnie tyle godzin, na ile zezwoliła Moskwa. Żona usiłowała do niego dotrzeć przez te setki wiorst od kolei, w górę rzeki, wciąż w górę i w górę…

Razem z żoną malarza przyjechała żona inżyniera Sziszowa. Inżynier Sziszow, delegowany za granicę, uczył się tam, ożenił i powrócił do Moskwy. Przeprowadzone zostały pertraktacje o zgodę na prawny przyjazd żony. Zezwolenie takie zostało wydane, ale Sziszowa aresztowano. Kobieta natomiast nie powróciła do swego kraju, lecz nie znając ani słowa po rosyjsku, wyjechała na północny Ural szukać na katordze męża. I znalazła. Widzenie ich, także na podstawie zezwolenia Moskwy, miało charakter swobodny – wolne mieszkanie, spacery. Inżynier i młoda Niemka objąwszy się, chodzili po brzegu, chodzili i chodzili… Później odjechała, nie znając języka, bez żadnych towarzyszących jej osób.

Wraz z Wienjaminowem chcieliśmy zaprosić inżyniera i jego żonę na ślub, ale Wachminow, były czekista, odrzucił naszą propozycję.

Po prawej stronie pana młodego siedział pochodzący stąd zastępca naczelnika rejonu, kierownik techniczny Krasnow. On wiedział o tym, że jest zezwolenie na wesele i że wypisane zostały dwa litry wódki, ale zamiast dwóch kierownik składu sprzedał dziesięć – wiadomości donosi-

cieli-stukaczy były jak najbardziej dokładne. Ale co to za stukacze – dowódca oddziału straży Azarow i miejscowy pełnomocny oddziału rejonowego, mąż w pełni oficjalny.

Azarow i Saprykin donosili przez radio do zarządu: „Pod nieobecność naczelnika rejonu odchodzi pijaństwo” i tak dalej.

Radiotelegrafista Kostia Pokrowski nie został zaproszony na wesele, czy to dlatego, że zbyt wielki z niego komsomolec, czy może dlatego, że nazbyt tchórzliwy.

Nadeszła też odpowiedź: dla naczelnika nagana, a dla wszystkich innych – kary.

Ale za stołem o niczym jeszcze nie wiedzieliśmy i podnosząc kielichy, krzyczeliśmy „gorzko”.

Z lewej strony Sorokina siedziała Zoja Iwanowna, z „Granatowych Bluz”, spokojne i dobre czterdziestoletnie babsko. Obok niej – Jurik Zagorski, podstarzały już błatniak, który potrafił stepować i umiał śpiewać.

Obok Jurika siedziała Sima Wróblewska – niepozorna i niełądna dziewczyna z bardzo pięknymi oczami. Na tę właśnie Simę zacząłem zwracać uwagę dopiero potem, jak Katia Aristachowa, moja ówczesna przyjaciółka, powiedziała do mnie przy jakiejś sposobności: „Dziwię się wam, mężczyznom, jacy z was durnie. Nikt z was nie chce spojrzeć na Simę, a ja byłam z nią w łaźni – nie ma tu lepszej od niej baby”.

Obok Krasnowa – tak samo jak on wywodzący się z miejscowych, komendant łagru Michajłow. Dalej Szurka Wienjaminow i ja. Nasz pokój sąsiadował z pokojem Wachminowa, razem pracowaliśmy i byliśmy takimi samymi aresztantami.

Wypiliśmy, pokrzyczeli „gorzko” i rozeszliśmy się.

Odpowiedź przyszła rano: wszyscy – kary, naczelnik – nagana. A rozkaz o weselach, zamążpójściach i ożenkach, mający stymulować wypełnianie i przekraczanie planu, został anulowany jako błąd.

Siedzieliśmy w izolatorze. Osiem dób. Chodziliśmy do niego na nocleg, bo przecież była to kara „z wyprowadzeniem do pracy”.

Zaledwie skończył się mój izolator, gdy niezaproszony na wesele radiotelegrafista, Kostia Pokrowski, przyniósł radiogram z zarządu. Wysyła się listę zwolnień. Było na niej też moje nazwisko. Pozbierałem swoje rzeczy i „spłynąłem” czółnem dwieście wiorst.

POTOMEK DEKABRYSTY

O pierwszym huzarze, sławnym dekabryście, napisano wiele książek. W zniszczonym, dziesiątym rozdziale *Eugeniusza Oniegina* Puszkin tak pisał:

Bachusa, Marsa i Wenery druh…

Rycerz, mądrala, człowiek nieogarnionych horyzontów, którego słowa nie rozmijały się z działaniem. I jak wielkie to było dzieło! O drugim huzarze, potomku, opowiem wszystko, co wiem.

Na Kadykczanie, gdzie, głodni i bezsilni, chodziliśmy w egipskim kołowrocie, nacierając krwawe pęcherze na piersiach przy wyciąganiu po stromiźnie wagonetek z rudą, odbywało się „wcinanie" sztolni – tej samej kopalni, która znana jest teraz na całej Kołymie. Przyszło mi samemu doświadczyć egipskiego trudu, zobaczyć, jak to jest.

Nadchodziła zima 1940–1941 roku, bezśnieżna, zła, kołymska. Chłód uciskał mięśnie, a skronie ściągał jakby obręczą. Do dziurawych brezentowych namiotów, w których mieszkaliśmy latem, wstawiono żelazne piecyki. Ale te piece ogrzewały tylko „świeże powietrze".

Pomysłowe naczalstwo przygotowywało ludzi do zimy. Wewnątrz namiotu został zbudowany mniejszy od namiotu szkielet, pozostawiający dziesięciocentymetrową warstwę powietrza pomiędzy nim a brezentową ścianą. Szkielet ten został poszyty asfaltową papą i powstał tak jakby podwójny namiot – nieco cieplejszy niż brezentowy.

Jednakże pierwsze noclegi w tym namiocie wykazały, że to niechybna śmierć – i to szybka. Trzeba było się stąd wydostać. Ale jak? Kto pomoże? W odległości jedenastu kilometrów znajdował się wielki łagier – Arkagała, w którym pracowali górnicy. Nasza „delegatura" była częścią tego łagru. A więc do niej – do Arkagały! Ale jak? Aresztancka tradycja wymaga, aby w takich przypadkach najpierw i przede wszystkim zwracać się do lekarza. W Kadykczanie istniał punkt felczerski i „łapiduchem" był w nim jakiś nie-

douczony lekarz, były student Moskiewskiego Instytutu Medycznego – tak o nim mówiono w naszym namiocie.

Trzeba było wielkiego wysiłku woli, aby po roboczym dniu znaleźć w sobie dość siły i pójść do ambulatorium w czasie „godzin przyjęć". Oczywiście nie trzeba było się ubierać ani wdziewać obuwia – wszystko było na ciele od łaźni do łaźni – brakowało sił. Szkoda wypoczynku na te „godziny przyjęć", które być może zakończą się znęcaniem, a nawet pobiciem (tak również bywało). A co najważniejsze – brak nadziei, niepewność sukcesu. Ale w poszukiwaniu szczęśliwego przypadku nie wolno gardzić żadną, najmniejszą nawet szansą – tak mi podpowiadało ciało i jego wymęczone mięśnie, a nie doświadczenie i rozum.

Wola podporządkowana została instynktowi – tak jak to bywa u zwierząt.

Naprzeciw namiotu, po drugiej stronie drogi stała izdebka-schronisko dla zwiadowczych grup poszukiwaczy, a może też dla „czujek", operatywników, w ich niekończącym się patrolowaniu tajgi.

Geolodzy już dawno odeszli, a namiot przemieniono na ambulatorium – „kabinkę", w której stała prycza, szafa z lekarstwami i wisiała zasłona ze starego koca. Odgradzał on przestrzeń, w której mieszkał „doktor".

Kolejka do lekarza ustawiała się wprost na dworze, na mrozie.

Przecisnąłem się do izdebki. Ciężkie drzwi wtłoczyły mnie do środka. Niebieskie oczy, wysokie czoło z łysiną i fryzura – nieodmienna fryzura: włosy – to potwierdzenie własnej tożsamości. W łagrze włosy – to świadectwo określonego położenia, bo wszystkich strzygą na zero. A ci, których nie strzygą – są przedmiotem zawiści wszystkich. Włosy są swego rodzaju protestem przeciwko reżimowi w łagrze.

– Moskwianin? – to pytał mnie „doktor".

– Moskwianin.

– Zawrzyjmy znajomość.

Wymieniłem swoje nazwisko i uścisnąłem wyciągniętą rękę. Była chłodna i nieco wilgotna.

– Łunin.

– Głośne nazwisko – powiedziałem, uśmiechając się.

– Rodzony prawnuk. W naszym rodzie najstarszemu synowi nadaje się imię Michaił albo Siergiej. Na zmianę. Ten Puszkinowski to był Michaił Siergiejewicz.

– O tym to wiemy.

Czymś bardzo odległym od łagru przesiąknięta była ta pierwsza rozmowa. Zapomniałem o swej prośbie, nie decydując się na wprowadzenie do rozmowy fałszywej nuty. A przecież – byłem głodny. Chciałem chleba i ciepła. Ale doktor jeszcze o tym nie pomyślał.

– Zapal!

Zacząłem skręcać papierosa różowymi, odmrożonymi palcami.

– Bierz więcej, nie krępuj się. W domu, o tym pradziadku – cała biblioteka. Jestem studentem wydziału medycznego. Nie douczyłem się. Aresztowali. W naszym rodzie wszyscy wojskowi, a ja – jestem lekarzem. I nie żałuję.

– A więc Marsa na bok. Eskulapa, Bachusa i Wenery druh.

– Jeśli chodzi o Wenerę, to z tym tu słabo. Za to gdy chodzi o Eskulapa, to pełna swoboda. Jedynie brak dyplomu. Jeślibym go miał, tobym im pokazał.

– A jak z Bachusem?

– Spirytusik jest. Sam rozumiesz. Ale ja tylko kieliszeczek i koniec. Szybko robię się pijany. Obsługuję przecież też osadę wolnych, więc wiesz… Przychodź.

Otworzyłem barkiem drzwi i wytarabaniłem się z ambulatorium.

– Ty wiesz, moskwianie to taki naród, że bardziej niż inni – kijowianie czy leningradczycy – lubią wspominać swoje miasto, ulice, ślizgawki, domy, rzekę Moskwę…

– Ja nie jestem urodzonym moskwianinem.

– A tacy właśnie jeszcze więcej wspominają, jeszcze lepiej pamiętają…

Przychodziłem przez kilka wieczorów pod koniec godzin przyjęć, aby wypalić papierosa z machorki – o chleb bałem się poprosić.

Siergiej Michajłowicz, jak każdy, któremu w łagrze żyło się łatwo, niewiele myślał o innych i nie mógł dobrze rozumieć głodnych – być może dlatego, że mu się dobrze wiodło, albo powodem była wykonywana praca: jego rejon, Arkagała w tym czasie jeszcze nie głodowała. Kopalniane nieszczęścia ominęły Arkagałę.

– Chcesz, to ci zrobię operację – wytnę ci twoją cystę na palcu.

– No cóż.

– Tylko uważaj, nie będę cię zwalniać z pracy. To nie wypada, rozumiesz chyba.

– Ale jakże pracować z operowanym palcem.

– No, jakoś tam sobie poradzisz.

Zgodziłem się i Łunin wyciął mi dość wprawnie tę torbiel – „na pamiątkę”. Kiedy po wielu latach spotkałem się z żoną, w pierwszych minutach naszego spotkania była niesłychanie zdziwiona, nie odnalazłszy w uścisku palców tej właśnie „łunińskiej” cysty. Zobaczyłem, że Siergiej Michajłowicz jest całkiem po prostu jeszcze bardzo młody, że potrzebny mu jest wykształcony rozmówca, a wszystkie jego poglądy na łagier, na „los”, w niczym nie różnią się od poglądów jakiegokolwiek wolnego naczelnika, że nawet skłonny jest zachwycać się błatniakami i że istota burzy trzydziestego ósmego roku ominęła jego świadomość.

Dla mnie każda godzina, każdy dzień wypoczynku były niezwykle cenne – mięśnie, którym zmęczenia wystarczy na całe życie, doskwierały, prosiły o pozostawienie ich w spokoju. Ceniłem każdy kawałek chleba, każdą miskę zupki – żołądek domagał się pożywienia, a oczy mimo mej woli szukały na półkach chleba. Ale przymuszałem się do wspominania Kitaj-grodu, Nikitskich Wrót, gdzie zastrzelił się pisarz Andriej Sobol, gdzie Sztern strzelał do samochodu niemieckiego posła – tej historii ulic Moskwy, której nikt nigdy nie napisze.

– Tak, Moskwa, Moskwa. A powiedz – ile miałeś kobiet?

Dla półgłodnego człowieka podtrzymywanie takiej rozmowy nie miało zupełnie sensu, ale młody chirurg słyszał tylko siebie i nie obrażał się z powodu mojego milczenia.

– Posłuchaj, Siergieju Michajłowiczu, przecież to, co się z nami dzieje, to przestępstwo, największe przestępstwo tego wieku.

– No, tego nie wiem – z niezadowoleniem powiedział Siergiej Michajłowicz. – Wszystko to Żydzi mącą.

Wzruszyłem ramionami.

Niedługo potem uzyskał przeniesienie do rejonu, do Arkagały, a ja pomyślałem o tym, bez smutku i urazy, że jeszcze jeden człowiek odszedł na zawsze z mojego życia, i o tym, że w rzeczywistości to takie łatwe – rozstawać się i pozostawać w rozłące. Ale wszystko wydarzyło się inaczej.

Naczelnikiem oddziału Kadykczan, gdzie pracowałem jak niewolnik przy egipskim kołowrocie, był Paweł Iwanowicz Kisielow. Był to niemłody, bezpartyjny inżynier, który każdego dnia tłukł więźniów. Z „wyjściem” naczelnika na oddział wiązało się bicie, uderzenia i krzyki.

Poczucie bezkarności? Drzemiąca gdzieś tam na dnie duszy żądza krwi? A może chęć wyróżnienia się w oczach naczalstwa? Władza – to straszna rzecz.

Zelfugarow, małoletni fałszerz monet z mojej brygady, leżąc na śniegu, wypluwał wybite zęby.

– Wszystkich moich krewnych rozstrzelali za podrabianie monet, a mnie, jako niepełnoletniego – na piętnaście lat łagru. Ojciec mówił do śledczego – weź pięćset tysięcy, gotówką, tylko utnij sprawę… Śledczy nie zgodził się.

My, czwórka zmienników przy kołowrocie, zatrzymaliśmy się koło Zelfugarowa – Korniejew, syberyjski wieśniak, błatniak Lonia Siemionow, inżynier Wroński i ja. Błatniak Siemionow mówił: „Bierz się za każdą robotę – nie ty będziesz odpowiadać, jeżeli popsujesz kołowrót czy dźwig. Pomału przyuczysz się”. Powiedzenie popularne u młodych kołymskich chirurgów.

A Korniejew i Wroński nie byli przyjaciółmi, lecz tylko znajomymi, całkiem po prostu znajomymi jeszcze z „Czarnego jeziora” – z tego łagrowego oddziału, w którym wracałem do życia.

Zelfugarow, nie wstając, zwrócił ku nam okrwawioną twarz z opuchniętymi, brudnymi wargami.

– Nie mogę wstać, chłopcy. Pod żebro zajechał. Ech, naczelnik, naczelnik!

– Idź do felczera.

– Boję się, że będzie jeszcze gorzej. Powie naczelnikowi.

– Wiecie co – odezwałem się – tak będzie bez końca. Ale jest wyjście. Kiedy przyjedzie naczelnik Dalstrojwęgla lub też jakieś inne wielkie naczalstwo, trzeba wyjść do przodu i dać Kisielowowi po mordzie. Rozejdzie się to po całej Kołymie i usuną go, bezwarunkowo przeniosą. A ten, kto uderzy, przyjmie na siebie wyrok. Ile lat dadzą za Kisielowa?

Przyszliśmy do pracy, obracali kołowrót, wrócili do baraku, zjedli kolację i chcieliśmy się kłaść spać. Wezwano mnie do „biura”.

Siedział tam, spoglądając w ziemię, Kisielow. On nie był tchórzem i nie lubił pogróżek.

– No co? – wesoło powiedział. – Na całą Kołymę stanie się głośnym, co? A ja oddam ciebie pod sąd – za próbę zamachu. Zabieraj się stąd, swołocz!…

Donieść mógł jedynie Wroński. Ale jak? Cały czas byliśmy razem.

Od tego czasu życie na oddziale stało się dla mnie lżejsze. Kisielow nie podchodził nawet do kołowrotu i do pracy przychodził z małokalibrową bronią, a do wgłębionej już sztolni nie spuszczał się.

Ktoś wszedł do baraku.

– Masz iść do doktora.

„Doktorem”, który przyszedł na miejsce Łunina, był niejaki Kolesnikow – także niedouczony medyk, młody, wysoki chłopak, więzień.

W ambulatorium siedział za stołem Łunin, odziany w półkożuszek.

– Zabieraj rzeczy, pojedziemy zaraz do Arkagały. Kolesnikow, pisz skierowanie.

Kolesnikow złożył kilka razy kartkę papieru, oderwał od niej maleńki skrawek, nieco większy od pocztowego znaczka, i drobniutkim pismem wykaligrafował: „Do izby chorych Łagru Arkagała”.

Łunin wziął papierek i pobiegł.

– Pójdę wziąć wizę od Kisielowa – zawołał.

Powrócił zmartwiony.

– Nie puszcza, rozumiesz. Mówi, że obiecałeś mu dać po mordzie. W żaden sposób nie chce się zgodzić.

Opowiedziałem całą historię.

Łunin porwał skierowanie.

– Sam sobie jesteś winien – powiedział do mnie. – Co ci do Zelfugarowa i do tych wszystkich… Ciebie przecież nikt nie bił.

– Bito mnie wcześniej.

– No, do widzenia. Samochód czeka. Coś tam wymyślimy. – I Łunin wsiadł do kabiny ciężarówki.

Minęło kilka dni, Łunin znów przyjechał.

– Idę do Kisielowa. W twojej sprawie.

Wrócił po półgodzinie.

– Wszystko w porządku, zgodził się.

– W jaki sposób?

– Mam taki jeden sposób, aby poskramiać serca niepokornych. – I Siergiej Michajłowicz opisał rozmowę z Kisielowem:

– Jakim trafem pan tu, Siergieju Michajłowiczu? Proszę siadać. Może pan zapali?

– Nie, dziękuję, nie mam czasu. Ja tutaj przywiozłem panu, Pawle Iwanowiczu, protokoły o pobiciach – wydział specjalny przysłał do podpisu. Ale zanim podpiszę, zdecydowałem się zapytać pana, czy to wszystko prawda?

– Nieprawda, Siergieju Michajłowiczu. Moi wrogowie gotowi są…

– Tak właśnie myślałem. Nie podpiszę tych protokółów. Wszystko jedno, niczego tu się nie poprawi, wybitych zębów nie wstawi się z powrotem.

– Tak, Siergieju Michajłowiczu. Proszę do mnie, do domu. Tam żona przygotowała nalewkę. Chowałem ją na Nowy Rok, ale przy takiej okazji…

– Nie, nie, Pawle Iwanowiczu. Ale usługa za usługę. Proszę puścić Andriejewa do Arkagały.

– Tego akurat w żaden sposób nie mogę zrobić. Andriejew – to coś jakby…

– Pana wróg osobisty?

– No właśnie.

– No, ale to mój osobisty przyjaciel. Myślałem, że pan odniesie się z większym zrozumieniem do mojej prośby. Proszę wziąć i przejrzeć protokoły pobić.

Kisielow milczał chwilę.

– Niech jedzie – powiedział.

– Proszę wypisać kartę zaopatrzenia.

– Niech sam przyjdzie.

Przekroczyłem próg „biura”. Kisielow patrzył w ziemię.

– Pojedziecie do Arkagały. Proszę wziąć kartę zaopatrzenia.

Milczałem. Urzędnik wypisał kartę i wróciłem do ambulatorium.

Łunin już odjechał, ale czekał na mnie Kolesnikow.

– Pojedziesz o dziewiątej wieczorem. Ostry przypadek zapalenia ślepej kiszki! – I wyciągnął do mnie papierek.

Już nigdy więcej nie widziałem ani Kisielowa, ani Kolesnikowa. W niedługim czasie Kisielowa przeniesiono na inne miejsce, do Elgenu, i tam po kilku miesiącach przypadkiem poniósł śmierć. Do mieszkania w domku, gdzie mieszkał, wlazł w nocy złodziej. Kisielow, usłyszawszy kroki, pochwycił ze ściany załadowaną dwururkę, odciągnął kurki i rzucił się za złodziejem. Złodziej wskoczył na okno i Kisielow uderzył go kolbą po plecach, wypuszczając sobie w brzuch ładunki z obu luf.

Wszyscy więźniowie we wszystkich rejonach węglowych Kołymy cieszyli się z tej śmierci. Gazeta z ogłoszeniem o pogrzebie Kisielowa przechodziła z rąk do rąk. W kopalni w czasie pracy oświecano zmięty kawałek gazety górniczą lampką. Czytali, cieszyli się i krzyczeli „hurra”. Kisielow umarł! Bóg jednak istnieje! To właśnie od Kisielowa wybawił mnie Siergiej Michajłowicz.

Arkagaliński łagier obsługiwał kopalnię. Na stu pracujących pod ziemią, stu górników – przypadało tysiąc osób obsługi. Głód zbliżał się już do

Arkagały. I oczywiście przede wszystkim głód pojawił się w barakach pięćdziesiątego ósmego paragrafu.

Siergiej Michajłowicz złościł się:

– Nie jestem słońcem, nie ogrzeję wszystkich. Zostałeś urządzony jako sprzątający w laboratorium chemicznym, to trzeba było żyć, trzeba było umieć żyć. Po łagrowemu, zrozumiałeś? – Klepnął mnie po ramieniu. – Przed tobą pracował tu Dimka. I widzisz, sprzedał wszystką glicerynę – stało tam dwie beczki – po dwadzieścia rubli za półlitrowy słoik; miodek, mówił, że aż ha! Dla więźnia wszystko jest dobre.

– Dla mnie to się nie nadaje

– A cóż się dla ciebie nadaje?

Siergiej Michajłowicz uganiał po łagrze. Miał on jedną pasję: naczalstwo w dowolnej jego postaci wprost zaczarowywało naszego doktora. Łunin był nieprawdopodobnie dumny ze swej przyjaźni czy nawet cienia tej przyjaźni z jakimkolwiek naczalstwem w łagrze, starał się pokazać tę bliskość, chwalił się nią i mógł o tej iluzorycznej bliskości rozprawiać całymi godzinami.

Siedziałem u niego, gdy przyjmował chorych, głodny, bojąc się poprosić o kawałek chleba, i słuchałem jego niekończących się hymnów pochwalnych.

– A cóż to jest naczalstwo? Naczalstwo – to, bracie, władza. Nie ma władzy, jeśli nie od Boga – cha, cha, cha! Trzeba umieć utrafić – i wszystko będzie dobrze.

– Ja z rozkoszą mogę utrafić mu w mordę.

– No widzisz, jakiś ty. Słuchaj, umówmy się w ten sposób: możesz do mnie przychodzić – bo przecież w ogólnym baraku nudno?

– Nudno?

– No, tak. Przychodź. Posiedzisz, popalisz. W baraku przecież nie dadzą ci popalić. Ja przecież wiem – setka oczu wpatruje się w skręta. Tylko mnie nie proś, abym cię zwalniał od pracy. Tego nie mogę, to znaczy mogę, ale mi nie wypada. Ale jak chcesz coś do żarcia, to sam rozumiesz, skąd mogę wziąć – to sprawa mojego sanitariusza. Nie chodzę sam po chleb. Tak więc, jeżeli ci się zdarzy, że będziesz potrzebować chleba – to powiedz sanitariuszowi, Mikołajowi. Czy ty, stary łagrowiec, nie potrafisz skombinować chleba? Posłuchaj, co dzisiaj mówiła żona naczelnika, Olga Pietrowna. Zapraszają mnie na popijankę.

– Ja już pójdę, Siergieju Michajłowiczu.

Nastały straszne dni, pełne głodu. I jakoś tak, nie mając już siły, aby poradzić sobie z głodem, zaszedłem jednego razu do ambulatorium.

Siergiej Michajłowicz siedział na taborecie i zrywał szczypcami martwe paznokcie z odmrożonych palców skurczonego, brudnego człowieka. Stukając, paznokcie spadały jeden za drugim do miednicy. Siergiej Michajłowicz zauważył mnie.

– Wczoraj nawrzucałem takich właśnie paznokci pół miednicy.

Zza zasłony wyjrzała kobieca twarz. My rzadko widywaliśmy kobiety, a przy tym z tak bliska i jeszcze do tego w pokoju, twarzą w twarz. Wydała mi się prześliczna. Ukłoniłem się i przywitałem.

– Dzień dobry – powiedziała niskim, cudnym głosem. – Sierioża, czy to twój kolega? Ten, o którym mi opowiadałeś?

– Nie – powiedział Siergiej Michajłowicz, rzucając szczypce do miednicy i odchodząc do umywalki, aby umyć ręce.

– Mikołaju – powiedział do wchodzącego sanitariusza – zabierz tę tacę i wynieś mu chleba – tu wskazał na mnie.

Poczekałem na chleb i odszedłem do baraku. Łagier to łagier. A tą kobietą, której uroczą, delikatną twarz pamiętam do dzisiaj – chociaż nigdy już więcej jej nie widziałem – była Edit Abramowna, siostra medyczna z wolnego najmu, wolna i partyjna, z kopalni Olczan. Zakochała się w Siergieju Michajłowiczu, związała się z nim i uzyskała jego przedterminowe zwolnienie już w czasie wojny. Jeździła do Magadanu do Nikiszowa, naczelnika Dalstroju, aby czynić starania o Siergieja Michajłowicza, a kiedy usunięto ją z partii za związek z więźniem – co było normalnym „środkiem prewencyjnym” – przekazała sprawę do Moskwy, uzyskała dla Łunina anulowanie karalności, uzyskała zgodę na egzamin w Uniwerystecie Moskiewskim pozwalający mu otrzymać dyplom lekarza, uzyskała przywrócenie mu wszystkich praw i wyszła formalnie za niego za mąż.

A kiedy potomek dekabrysty otrzymał dyplom, to rzucił Edit Abramowną i zażądał rozwodu.

– Tyle u niej krewnych! Jak u wszystkich Żydów. Mnie to nie odpowiada.

Porzucił Edit Abramowną, ale nie udało mu się porzucić Dalstroju. Trzeba było powrócić na Daleką Północ – chociaż na trzy lata. Umiejętność dogadywania się z naczalstwem przyniosła Łuninowi, lekarzowi z dyplomem, nieoczekiwanie wysoką nominację – kierownika oddziału chirurgii centralnego szpitala dla więźniów na Lewym Brzegu, w osadzie Diebin.

A w tym czasie, w 1948 roku, ja byłem już starszym felczerem na oddziale chirurgii.

Nominacja Łunina była czymś w rodzaju nagłego uderzenia pioruna.

Rzecz w tym, że kierownikiem oddziału był Rubancew, frontowy chirurg, major służby medycznej – rzeczowy i doświadczony, który przyjechał tu po wojnie wcale nie na trzy dni. Pod jednym względem był niedobry – nie potrafił żyć w zgodzie z „wysokim" naczalstwem, nienawidził lizusów, kłamców i w ogóle nie dogadzał Szczerbakowowi – naczelnikowi wydziału sanitarnego Kołymy. Przyjechawszy na podstawie umowy, jako nastawiony wcześniej wróg więźniów, Rubancew, rozumny człowiek, posiadający własne poglądy, szybko spostrzegł, że go oszukiwano w czasie „politycznego" szkolenia. Towarzyszami pracy Rubancewa byli łajdacy, szalbierze, oszczercy i nieroby. A ludźmi, którzy prowadzili pracę w szpitalu, w zakresie wszystkich specjalności, w tym i lekarzy – byli więźniowie. Rubancew pojął tę prawdę i nie ukrywał jej. Złożył podanie o przeniesienie do Magadanu, gdzie znajdowała się szkoła średnia – miał syna w wieku szkolnym. Spotkał się z ustną odmową. Po wielu staraniach w ciągu kilku miesięcy udało mu się urządzić go w internacie odległym o 90 kilometrów od Diebina. Rubancew począł prowadzić pracę w sposób zdecydowany, rozganiając nierobów i cwaniaków. O tych zagrażających spokojowi działaniach niezwłocznie doniesiono do Magadanu, do sztabu Szczerbakowa.

Szczerbakow nie lubił „subtelności" we wzajemnych stosunkach. Ordynarne przekleństwa, pogróżki, robienie „spraw" – wszystko nadawało się dla więźniów lub dla byłych więźniów – ale nie w stosunku do pracującego na umowie frontowego chirurga, posiadającego odznaczenia.

Szczerbakow odszukał stare podanie Rubancewa i przeniósł go do Magadanu. I chociaż rok szkolny był w pełni, a praca na oddziale chirurgicznym dobrze zorganizowana – trzeba było wszystko rzucać i odjeżdżać…

Z Łuninem spotkaliśmy się na schodach. Cechowało go to, że czerwienił się, gdy był zakłopotany. Zrobił się purpurowy. Ale poczęstował mnie papierosem, wyraził radość z powodu moich sukcesów, mojej „kariery", i opowiedział o Edit Abramownej.

Aleksander Aleksandrowicz Rubancew odjechał. I już w trzecim dniu po jego odjeździe urządzono w pokoju zabiegowym popijawę – próbowali, jak smakuje chirurgiczny spirytus; i lekarz naczelny Kowalow, i naczelnik szpitala Winokurow, którzy mieli respekt przed Rubancewem, nie odwiedzali

oddziału chirurgii. Rozpoczęły się pijaństwa w gabinetach lekarskich z udziałem zaproszonych sióstr i sanitariuszek ze środowiska więźniów. Jednym słowem – hulaj dusza! Operacjom na czystym oddziale towarzyszyło powtórne gojenie – nie tracono drogocennego spirytusu na obróbkę pola operacyjnego. Po oddziale tam i z powrotem snuli się na wpół pijani naczelnicy.

Szpital ten był moim szpitalem. Przyjechałem tu wraz z chorymi po ukończeniu kursu w końcu 1946 roku. Szpital wyrósł na moich oczach – był to budynek Kołympułku, i kiedy po wojnie jakiś specjalista z zakresu maskowania obiektów wojskowych zdyskwalifikował go – bo widoczny był wśród gór na dziesiątki wiorst – przekazano budynek na szpital dla więźniów. Gospodarze z Kołympułku, wyjeżdżając, powyrywali wszystkie rury wodociągowe i kanalizacyjne, jakie tylko można było wyrwać z ogromnego, dwupiętrowego, kamiennego budynku, a z widowni klubu wynieśli wszystkie meble i spalili je w kotłowni. Ściany porozbijano, a drzwi powyłamywano. Kołympułk odjeżdżał w rosyjskim stylu. Wszystko to odtwarzaliśmy, każdą cegiełkę, każdą śrubkę.

Zebrali się wszyscy lekarze i felczerzy, starając się wszystko wykonać jak najlepiej. Dla wielu z nich był to święty obowiązek – odwdzięczyć się za wykształcenie medyczne i pomóc ludziom.

Wraz z odejściem Rubancewa głowę podniosły wszystkie próżniaki.

– Dlaczego bierzesz spirytus z szafy?

– Idź ty, wiesz dokąd? – oznajmiła mi siostra. – Teraz, chwała Bogu, Rubancewa nie ma, Siergiej Michajłowicz kazał…

Byłem zdumiony i przybity zachowaniem Łunina. Pijatyka trwała dalej.

Na kolejnej pięciominutówce Łunin naśmiewał się z Rubancewa:

– Nie przeprowadził ani jednej operacji wrzodu żołądka, a zwie się chirurgiem!

Nie było to nowością. Rzeczywiście, Rubancew nie przeprowadził ani jednej operacji wrzodu żołądka. Wszyscy chorzy z oddziałów wewnętrznych, którzy przyszli z tą diagnozą, byli więźniami – wycieńczonymi dystrofikami – i nie było nadziei, że przetrzymają operację. „Niedobre tło” – tak mawiał Aleksander Aleksandrowicz.

– Tchórz! – krzyczał Łunin i przyjął do siebie dwunastu takich chorych.

Wszystkich dwunastu zoperowano – i wszyscy umarli. Wtedy przypomniało się szpitalnym lekarzom doświadczenie i miłosierdzie Rubancewa.

– Siergieju Michajłowiczu, tak pracować nie można.

– Nie ty będziesz mnie pouczać!

Napisałem prośbę o wezwanie komisji z Magadanu. Przeniesiono mnie do lasu, do leśnej delegatury. Chciałem do karnej kopalni, ale pełnomocny z rejonowego oddziału odradził mi – teraz to nie trzydziesty ósmy rok. Nie warto.

Przyjechała komisja i Łunin został „zwolniony z Dalstroju”. Zamiast trzech lat przypadło mu „odpracować” tylko półtora roku.

A po roku, kiedy zmieniło się szpitalne naczalstwo, powróciłem z felczerskiego punktu w lesie na prowadzenie izby przyjęć szpitala.

Potomka dekabrysty spotkałem kiedyś tam w Moskwie, na ulicy. Nie ukłoniliśmy się sobie.

Dopiero po upływie szesnastu lat dowiedziałem się, że Edit Abramowna jeszcze raz wystarała się o powrót Łunina do pracy w Dalstroju. Przyjechała razem z Siergiejem Michajłowiczem na Czukotkę, do osady Pewek. Tam odbyła się ostatnia rozmowa, wyjaśniająca, i Edit Abramowna rzuciła się do wody, do rzeki Pewek, utonęła, umarła.

Czasami nie działają na mnie środki nasenne i budzę się nocą. Wspominam wtedy przeszłość i widzę przed sobą uroczą, kobiecą twarz. Słyszę też niski głos: „Sierioża, czy to twój kolega…?”

KOMBIEDY

Na tragicznych stronicach historii Rosji trzydziestego siódmego i trzydziestego ósmego roku mieszczą się również linijki o charakterze lirycznym, napisane swoistym charakterem pisma. W celach butyrskiego więzienia – ogromnego organizmu wypełnionego życiem mnogości „bloków", „podziemi" i „wież", napchanych do granic możliwości, powodujących omdlenia znajdujących się w śledztwie więźniów, z całym szaleństwem aresztów, etapów bez wyroków i terminów, w celach nabitych żywymi jeszcze ludźmi – ustanowił się ciekawy obyczaj, utrzymujący się jako tradycja przez dziesiątki lat.

Nieustannie implantowana „czujność", przerodzona w szpiegomanię, stała się chorobą, rozprzestrzenioną na cały kraj. Każdej drobnostce, każdemu drobiazgowi, przejęzyczeniu przydawano złowrogi, utajony sens, podlegający wyjaśnieniu w gabinetach śledczych.

Wkładem resortu więziennictwa był zakaz przyjmowania paczek dla więźniów znajdujących się pod śledztwem – zarówno z odzieżą, jak i z żywnością. Mędrcy z prawniczego świata zapewniali, że operując dwoma bułkami francuskimi, pięcioma jabłkami i parą starych spodni, można przekazać do więzienia dowolny tekst, nawet kawałek *Anny Kareniny*.

Tym „sygnałom z wolności" – produktowi rozpalonych mózgownic gorliwych służbistów instytucji – położono kres w sposób całkowicie pewny. Odtąd przekazywać można było tylko pieniądze, mianowicie nie więcej niż pięćdziesiąt rubli miesięcznie jednemu aresztantowi. Przekazywać można było tylko okrągłe ilości – 10, 20, 30, 40 lub 50 rubli; tak ustrzegano się przed możliwością opracowania nowego „alfabetu" o charakterze cyfrowym.

Najprościej i najpewniej było w ogóle zabronić przekazywania czegokolwiek – ale ten środek pozostawiono śledczym prowadzącym „sprawę". „W interesie śledztwa" miał on prawo zakazu przesyłania pieniędzy. W zakazie podawania paczek żywnościowych tkwił też pewien handlowy

sens – odtąd obroty sklepu, „sklepiku” butyrskiego więzienia, zwiększyły się wielokrotnie. Z jakichś tam przyczyn administracja nie decydowała się na odrzucenie pomocy więźniom przez krewnych i znajomych, chociaż była pewna, że takie działanie nie wywoła żadnego protestu ani wewnątrz więzienia, ani też na zewnątrz, „na wolności”.

Człowiek rosyjski nie lubi świadczyć w sądzie w sprawie ograniczania i bez tego już iluzorycznych praw więźniów śledczych. Zgodnie z tradycją, w rosyjskim procesie świadek nieznacznie różni się od oskarżonego i jego „udział” w sprawie wpływa ujemnie na jego przyszłość. Jeszcze gorsza jest sytuacja więźniów śledczych. Wszyscy oni są już napiętnowani przyszłym wyrokiem, gdyż „żona Cezara nie ma wad”, a organy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych nie mylą się. Nikogo nie aresztuje się na darmo. Logicznym następstwem aresztowania jest wyrok; czy jest on mały, czy duży, w przypadku tego czy innego aresztanta znajdującego się pod śledztwem zależy to od „szczęścia” więźnia – jak mu się uda i od całego kompleksu przyczyn, w którego skład wchodzą i pluskwy, gryzące śledczego w noc przed referowaniem sprawy, i głosowanie w amerykańskim Kongresie.

Wyjście przez drzwi więzienia śledczego ma w rzeczywistości tylko jeden kierunek – do „czarnego kruka”, więziennego autobusu, odwożącego więźniów na dworzec. A tam – załadunek do wagonów towarowych, których nieskończona liczba wypełniona aresztantami będzie z wolna sunąć po kolejowych torach, i w końcu – jeden z tysięcy „obozów pracy”, łagrów. Ta nieunikniona konieczność odbija się na zachowaniu aresztantów. Beztroska, zuchowatość, przechodzą w mroczny pesymizm i upadek sił duchowych. W czasie przesłuchań więzień śledczy walczy z upiorem, upiorem o gigantycznej sile. Aresztant przyzwyczaił się mieć do czynienia z realnymi rzeczami, a teraz walczy z nim Upiór. Jednakże ten „płomień – pali, a ta dzida – boleśnie kłuje”. Wszystko jest przerażająco realne, oprócz samej „sprawy”. Napięty, stłamszony swoją walką z fantastycznymi zjawami, zdumiony ich rozmiarami aresztant traci wolę. „Podpisuje” wszystko, co tylko wymyślił śledczy, i od tej minuty staje się sam postacią tego nierealnego świata, z którym walczył, staje się pionkiem w strasznej i mrocznej, krwawej grze, rozgrywanej w gabinetach śledczych.

– Dokąd go poprowadzili?

– Do Lefortowa. Podpisywać.

Więźniowie pod śledztwem wiedzą o swym przeznaczeniu. Wiedzą też o tym ci ludzie z więzienia, którzy znajdują się z tamtej strony krat – admi-

nistracja. Komendanci, dyżurni, wartownicy, konwojenci przyzwyczajają się uważać więźniów śledczych za rzeczywistych, a nie przyszłych aresztantów. Znajdujący się pod śledztwem w 1937 roku aresztant spytał na apelu zmieniającego się dyżurnego komendanta straży o coś na temat wprowadzanej wtedy nowej konstytucji. Komendant odpowiedział ostro:

– Was to nie dotyczy. Wasza konstytucja – to kodeks karny.

Więźniów śledczych w łagrze także czekały „zmiany". W łagrze zawsze jest pełno takich więźniów – ponieważ otrzymanie wyroku wcale nie oznacza wybawienia się od permanentnego kontaktu ze wszystkimi paragrafami kodeksu karnego. „Działały" one tak jak na „wolności", jedynie wszystko – donosy, kary, przesłuchania, były jeszcze bardziej wynaturzone, z jeszcze bardziej ordynarną fantazją.

Kiedy w stolicy zakazano przyjmowania odzieżowych i żywnościowych paczek, na więziennych „peryferiach" – w łagrach – wprowadzono specjalną „śledczą rację żywnościową" – kubek wody i trzysta gramów chleba na dzień. Reżim karceru, który dotknął wszystkich znajdujących się pod śledztwem, szybko przybliżył ich do mogiły.

Za pomocą tej „śledczej racji" starano się uzyskać „najlepszy dowód winy" – dobrowolne przyznanie się obwinionego w śledztwie, oskarżonego więźnia.

W butyrskim więzieniu w 1937 roku zezwalano na przekazywanie pieniędzy – nie więcej niż 50 rubli na miesiąc. Za tę sumę każdy, kto miał pieniądze na rachunku osobistym, mógł nabyć żywność w więziennym „sklepiku", mógł wydać cztery razy w miesiącu po trzynaście rubli – „sklepik" bywał raz w tygodniu. Jeżeli przy areszcie więzień śledczy miał więcej pieniędzy, to pieniądze zaliczano mu na jego rachunek, ale wydać mógł nie więcej niż 50 rubli.

Oczywiście pieniędzy nikt nie miał przy sobie, wydawane były pokwitowania, a rozliczenie nanoszone było na odwrocie pokwitowania – ręką sprzedawcy i obowiązkowo czerwonym atramentem.

W celu porozumiewania się z naczalstwem i podtrzymywania koleżeńskiej dyscypliny w celi od niepamiętnych czasów istnieje instytucja starosty. Każdego tygodnia, dzień przed „sklepikiem", administracja więzienia wręcza staroście łupkową tabliczkę i kawałek kredy. Na tę deseczkę starosta powinien zawczasu nanieść wyliczenie wszystkich zakupów, które chcą poczynić aresztanci znajdujący się w celi.

Zazwyczaj na licowej stronie tabliczki – ogólną ilość produktów żywnościowych, a na jej odwrocie – zapis, z czyich zamówień składa się ta ilość. Schodzi na to zwykle cały dzień, przecież życie w więzieniu przepełnione jest wszelkiego rodzaju wydarzeniami – wymiar tych wydarzeń jest znaczący dla każdego aresztanta. Następnego dnia z rana starosta, a z nim jeden lub dwu więźniów, udają się do sklepu po zakupy. Reszta dnia schodzi na dzieleniu przyniesionych produktów – zważonych według „indywidualnych" zamówień.

W więziennym sklepie był dość duży wybór – masło, sery, białe bułki, papierosy, machorka…

Więzienne racje żywnościowe opracowane zostały raz na zawsze. Gdyby aresztanci zapomnieli, jaki to dzień tygodnia, to mogliby go rozpoznać po zapachu obiadowej zupy, po smaku jedynego kolacyjnego dania. W poniedziałki na obiad była zawsze zupa grochowa, a na kolację kasza owsiana, we wtorki – zupa z pszona i perłowa kasza. W ciągu sześciu miesięcy przebywania w śledztwie każde więzienne danie pojawiło się dokładnie dwadzieścia pięć razy – wyżywienie w butyrskim więzieniu zawsze słynęło ze swego urozmaicenia.

Ten, kto miał pieniądze, chociażby te cztery razy po trzynaście rubli, mógł dokupić sobie do więziennej „bałandy" i „szrapneli" coś bardziej smacznego, pożywnego czy bardziej przydatnego.

Ten, kto nie miał, nie mógł oczywiście niczego zakupić. W celi zawsze znajdowali się ludzie bez grosza przy duszy – nie jeden i nie dwóch. Mógł to być ktoś przywieziony z innego miasta, aresztowany gdzieś na ulicy w sposób jak najbardziej „skryty". Żona jego miotała się po wszystkich więzieniach, komendanturach i oddziałach milicji, na próżno starając się dowiedzieć, gdzie się jej mąż znajduje. Zasadą było unikanie odpowiedzi, zupełne milczenie wszystkich „instytucji". Żona nosiła paczkę od więzienia do więzienia – być może przyjmą, co znaczy, że jej mąż żyje, a nie przyjmą – to czekają ją noce pełne obaw.

Mógł to być też aresztowany ojciec rodziny; od razu po aresztowaniu przymuszono jego żonę, dzieci i krewnych, aby się go wyrzekli. Męcząc go od momentu aresztowania ciągłymi przesłuchaniami, śledczy próbował wymusić u niego „przyznanie się" do tego, czego nigdy nie zrobił. Jako sposób oddziaływania, oprócz pogróżek i bicia – pozbawiano aresztanta pieniędzy.

Krewni i znajomi mieli pełne podstawy do obaw przed chodzeniem do więzienia z paczkami. Upór w poszukiwaniach, dowiadywaniu się, w przynoszeniu paczek pociągały za sobą podejrzenia, niepożądane, poważne nieprzyjemności w pracy i nawet aresztowanie – bywały również takie przypadki.

Byli też innego rodzaju aresztanci pozbawieni pieniędzy. W sześćdziesiątej ósmej celi siedział Lońka, siedemnastoletni podrostek, rodem z tumskiego rejonu obwodu moskiewskiego – z miejsca, które w latach trzydziestych było zupełną głuszą.

Tłusty, białolicy, z niezdrową cerą, która od dawna nie widziała świeżego powietrza – czuł się w więzieniu znakomicie. Karmiono go tak jak nigdy w życiu. Specjałami ze sklepiku częstował go prawie każdy. Przyzwyczaił się do palenia papierosów, a nie machorki. Wszystko napełniało go podziwem – jak tu interesująco, jacy tu dobrzy ludzie – cały świat otworzył się przed ciemnym chłopakiem z tumskiego rejonu. Swoją sprawę prowadzoną w śledztwie uważał za jakąś grę, diabelską sztuczkę – wcale go ona nie niepokoiła. Pragnął tylko, żeby to jego więzienne życie w śledztwie, gdzie tak syto, czysto i ciepło, trwało bez końca.

Bardzo dziwna była ta jego sprawa. Było to dokładne powtórzenie sytuacji Czechowowskiego *Złoczyńcy*. Lońka odkręcał nakrętki z szyn kolejowych na ciężarki do łowienia ryb. Złapany na miejscu przestępstwa, został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej według pięćdziesiątego ósmego paragrafu punkt siedem, jako szkodnik. Lońka nigdy nie słyszał o opowiadaniu Czechowa, a „udowadniał” śledczemu podobnie jak klasyczny bohater tego opowiadania, że on nie odkręca nigdy dwu nakrętek pod rząd, że on „rozumie”…

Na zeznaniach tumskiego chłopaka śledczy budował jakieś nieprawdopodobne „koncepcje” – najbardziej niewinna z nich groziła Lońce rozstrzelaniem. Ale śledczemu nie udawało się z nikim Lońki „powiązać” – i tak siedział on już czwarty rok w więzieniu, czekając, dopóki śledztwo nie wyszuka tych „powiązań”.

Ludzie, którzy nie mają pieniędzy na swoim więziennym rachunku, muszą ograniczać się do więziennej racji, bez żadnych dodatków. Więzienna racja żywieniowa – to smętna sprawa. Nawet niewielkie urozmaicenie jedzenia jakoś ozdabia życie aresztanta, czyni je jakby weselszym.

Prawdopodobnie więzienna porcja żywieniowa (w odróżnieniu od łagrowej), w swoich kaloriach, białkach i tłuszczach, wywodzi się z jakichś teo-

retycznych rozważań, norm opartych na doświadczeniu. Obliczenia te opierają się też prawdopodobnie na jakichś tam „naukowych” pracach – uczeni lubią zajmować się takimi pracami. Równie prawdopodobne jest, że w moskiewskim więzieniu śledczym nadzór nad przygotowaniem pożywienia i doprowadzeniem zawartych w nim kalorii do żywego konsumenta stoi na dostatecznie wysokim poziomie. Prawdopodobnie też w butyrskim więzieniu sprawdzanie jakości jedzenia wcale nie jest tylko formalnością mającą charakter znęcania się nad więźniami, jak to jest w łagrze. Jakiś tam stary więzienny lekarz, odszukując w protokole miejsca, gdzie ma postawić swój podpis potwierdzający wydanie jedzenia, poprosi, być może, kucharza o nałożenie mu większej ilości soczewicy, najbardziej kalorycznego dania. Lekarz zażartuje, że przecież aresztanci bez powodu skarżą się na jedzenie, bo on, lekarz, z przyjemnością zjadł całą miseczkę ugotowanej dzisiaj soczewicy – nawiasem mówiąc, lekarzom podaje się na talerzach to, czego mają spróbować.

W butyrskim więzieniu nigdy nie skarżono się na jedzenie. Nie dlatego, że było to dobre jedzenie. W końcu aresztantowi znajdującemu się pod śledztwem nie w głowie jedzenie. I nawet najbardziej nielubiane aresztanckie danie – gotowana fasola, którą tutaj przyrządzano zadziwiająco niesmacznie i która otrzymała energicznie brzmiącą etykietę „danie do przełknięcia” – nawet ta fasola nie wywoływała skarg.

Sklepowa kiełbasa, masło, cukier, ser, świeże bułki – to były przysmaki. Każdemu było przyjemnie zjadać je przy herbacie, a nie przy państwowym wrzątku z „malinowym” napojem – przy prawdziwej herbacie, zaparzanej w kubku wrzątkiem z ogromnego, miedzianego czajnika o pojemności wiadra, czajnika z carskich czasów, z którego, być może, pili jeszcze „narodowolcy”.

Oczywiście „sklepik” był radosnym wydarzeniem w życiu celi. Pozbawienie „sklepiku” było ciężką karą, prowadzącą do sporów i kłótni – takie sprawy aresztanci przeżywają bardzo silnie. Przypadkowy hałas dosłyszany przez korytarzowego, spór z dyżurnym komendantem – wszystko to oceniane było jako zuchwałość; karą za to było pozbawienie kolejnego „sklepiku”. Marzenia osiemdziesięciu ludzi – rozmieszczonych na dwudziestu miejscach – zostawały rozbite w proch i pył. Była to ciężka kara. Dla tych, co nie posiadali pieniędzy, pozbawienie „sklepiku” powinno było być obojętne. Jednak wcale tak nie było.

Zakupy przyniesione, zaczyna się wieczorne picie herbaty. Każdy kupił to, co chciał. Ci, co nie mają pieniędzy, czują się zbędni w tym ogólnym święcie. Jedynie oni nie biorą udziału w tym nerwowym podnieceniu, które następuje w dniu „sklepiku".

Oczywiście wszyscy ich częstują. Mogą wypić kubek herbaty z cudzym cukrem i cudzym białym chlebem, wypalić cudzego papierosa – jednego czy drugiego – ale wszystko to nie tak jak w „domu", nie tak, jakby było kupione za własne pieniądze. Niemający pieniędzy są na tyle delikatni, że boją się zjeść każdy dodatkowy kawałek.

Wynalazczy umysł więziennych kolektywów znalazł wyjście likwidujące niezręczną sytuację kolegów nieposiadających pieniędzy, oszczędzające ich miłość własną i dające każdemu prawie oficjalne prawo korzystania ze „sklepiku". Każdy z nich będzie mógł zupełnie samodzielnie wydać swoje pieniądze, kupując to, co zechce.

Skąd więc brały się te pieniądze?

W tym właśnie miejscu ponownie rodzi się owo słynne słowo z okresu wojennego komunizmu, czasu pierwszych lat rewolucji. To słowo – to kombiedy, komitety biedoty. Ktoś nieznany rzucił tę nazwę w więziennej celi i jakimś dziwnym sposobem słowo to od razu przyjęło się, umocniło, popełzło z celi do celi – za pomocą przestukiwania, zapisane na papierku pozostawionym pod ławeczką w łaźni lub jeszcze prościej – przy przenoszeniu z więzienia do więzienia.

Butyrskie więzienie słynie ze swego wzorowego porządku. Jest to więzienie ogromne, mieszczące dwanaście tysięcy osób przy całodobowym ruchu aktualnych jego mieszkańców: każdego dnia regularnie kursujące więzienne autobusy przewożą więźniów na Łubiankę, a z Łubianki na przesłuchania, konfrontacje, na sąd, a także do innych więzień…

Wewnątrz więzienia, za przestępstwa „dokonane w celi", administracja sadza więźniów śledczych do wież – Policyjnej, Pugaczowskiej, Północnej i Południowej – znajdują się w nich specjalne „karne" cele. Istnieje też blok karcerowy, w którego celach nie można się położyć, spać można tylko na siedząco.

Jedna piąta mieszkańców celi każdego dnia jest gdzieś prowadzona – albo do „fotografa", gdzie wykonuje się zdjęcia według wszelkich reguł gry, *en face* i z profilu, z numerem przytwierdzonym do kotary, koło której siada aresztant; albo „grać na fortepianie" w obowiązkowej procedurze zdejmowania odcisków daktyloskopowych, która jakoś nigdy nie była uwa-

żana za coś obraźliwego. Albo na przesłuchanie, do odpowiedniego bloku, do którego prowadzą niekończące się korytarze tego gigantycznego więzienia, gdzie przy każdym zakręcie konwojujący brząka kluczem, uderzając o miedzianą sprzączkę własnego pasa, aby uprzedzić o zbliżaniu się „tajnego aresztanta”. I dopóki ktoś nie klaśnie w dłonie (na Łubiance klaszczą w odpowiedzi na pstrykanie palcami, zamiast pobrzękiwania kluczami), prowadzący więźnia nie puszcza go naprzód.

Ruch jest ciągły i nigdy się nie kończy – wrota wejściowe nigdy na długo się nie zamykają; nie było przypadku, żeby więźniowie z jednej sprawy spotkali się ze sobą w tej samej celi.

Aresztant, który przekroczył próg więzienia, wychodząc z niego choćby tylko na sekundę, na przykład gdy nagle jego wyjazd został odwołany, nie może powrócić bez dezynfekcji wszystkich rzeczy. Taka tu zasada, sanitarny przepis. Odzież tych, którzy często bywali wożeni na Łubiankę na przesłuchania, szybko sparciała. I bez tego w więzieniu odzież niszczyła się znacznie szybciej niż na wolności – w odzieży się śpi, przewracając się we śnie na wyścielonych deskami narach. Właśnie te deski razem z gorącą odwszalnią szybko niszczą odzież każdego więźnia znajdującego się w śledztwie.

Bez względu na dokładność kontroli „strażnik więzienny mniej myśli o swych kluczach niż aresztant o ucieczce” – tak twierdzi autor *Pustelni parmeńskiej*.

„Kombiedy” powstawały samorzutnie, jako aresztancka samoobrona i koleżeńska samopomoc. W tym przypadku komuś się przypomniały właśnie komitety biedoty. Cóż można wiedzieć – być może autor, przydający nową treść starej nazwie, sam był uczestnikiem prawdziwych komitetów biedoty rosyjskiej wsi pierwszych rewolucyjnych lat. Komitety samopomocy – to jest to, czym były więzienne kombiedy.

Organizacja działania kombiedu sprowadzała się do najprostszego rodzaju koleżeńskiej samopomocy. Przy wypisywaniu „sklepiku”, każdy, kto wypisywał sobie żywność, powinien był odliczyć dziesięć procent na kombied. Cała uzyskana suma dzielona była pomiędzy „bezpieniężnych” znajdujących się w celi – każdy z nich uzyskiwał prawo do indywidualnego wypisania sobie żywności ze „sklepiku”.

W celach, w których przebywało od 70 do 80 osób, stale było siedem, osiem nieposiadających pieniędzy. Najczęściej bywało tak, że kiedy pieniądze przychodziły, „dłużnik” starał się zwrócić to, co otrzymał od kolegów.

Nie było to jednak obowiązkowe. Całkiem po prostu w odpowiednim czasie odliczał te dziesięć procent, jeśli mógł.

Każdy „kombiedowiec” otrzymywał od 10 do 12 rubli na „sklepik”, a więc wydawał prawie taką samą sumę jak „pieniężni” ludzie. Za kombied nie dziękowano. Wyglądało to jak prawo aresztanta, jak niewzruszony więzienny obyczaj.

Przez długi czas, być może przez całe lata, więzienna administracja nie domyślała się istnienia tej „organizacji” – lub też nie zwracała uwagi na wiernopoddańcze informacje znajdujących się w celi „stukaczy” i więziennych tajniaków. Nie do pomyślenia jest jednak, aby nie donoszono o kombiedach. Całkiem po prostu administracja Butyrek nie chciała powtórzyć przykrego doświadczenia bezskutecznej walki z przesławną grą w „zapałki”.

W więzieniu zabronione są wszystkie gry. Szachy ulepione z chleba przeżuwanego przez „całą celę” były natychmiast konfiskowane i niszczone po ich znalezieniu lub wykryciu przez czujne oko strażnika, zaglądającego do celi przez „judasza”. Wyrażenie „czujne oko” zamiast sensu figuratywnego nabierało w więzieniu dosłowności. Było to obrysowane „judaszem” uważne oko strażnika.

Domino, warcaby – wszystko to jest jak najsurowiej zabronione w więzieniu śledczym. Książek się nie zabrania, więzienna biblioteka jest zasobna, ale znajdujący się w śledztwie aresztant nie ma z czytania żadnej korzyści oprócz oderwania się od własnych, tak ważnych i dojmujących rozmyślań. W ogólnej celi nie można skupić się nad książką. Książki służą do rozrywki, do oderwania się od rzeczywistości, zamiast domina i warcabów.

W celach, gdzie trzymani są kryminaliści, w użyciu są karty – w butyrskim więzieniu ich nie ma. I nie ma żadnych gier oprócz zapałek. Jest to gra dla dwu osób.

W pudełku z zapałkami jest ich pięćdziesiąt. Do gry pozostawia się trzydzieści i wkłada się je do pokrywki, stawiając ją pionowo – „dęba”. Potrząsa się nią, podnosi i zapałki wysypują się na stół. Ten, który rozpoczyna grę, ujmuje zapałkę dwoma palcami i działając nią jak dźwignią, odrzuca lub odsuwa na bok wszystkie zapałki, które tylko potrafi wybrać z całej kupki, nie poruszając innych. Jeśli poruszą się jednocześnie dwie zapałki, traci prawo do dalszych prób. Podejmuje grę drugi – aż do swego pierwszego błędu.

„Zapałki” – ta najprostsza dziecinna gra w bierki, przystosowana jedynie przez wynalazczy zmysł aresztantów do warunków więziennej celi.

W „zapałki” grało całe więzienie, od śniadania do obiadu i od obiadu do kolacji, namiętnie i z zapałem.

Pojawili się „zapałczani” mistrzowie celi, zgromadzono zestawy specjalnej jakości zapałek – z połyskiem od ciągłego użycia. Takich zapałek nie używano do zapalania papierosów.

Ta gra oszczędziła aresztantom wiele nerwowej energii, wniosła jakiś tam spokój do ich strwożonych dusz.

Administracja nie była w stanie wykorzenić tej gry, nie mogła jej zabronić. Przecież posiadanie zapałek było dozwolone. Były wydawane (pojedynczo), a także sprzedawane w sklepie.

Komendanci bloków próbowali rozłamywać pudełka, ale przecież w grze można się bez nich obejść.

W tej walce z grą w bierki administracja została skompromitowana – żadne jej interwencje do niczego sensownego nie doprowadziły. Całe więzienie w dalszym ciągu grało w „zapałki”.

Z tego samego powodu, bojąc się ponownej kompromitacji, administracja patrzyła również przez palce na kombiedy, nie mając chęci wdawania się w niesławną walkę.

Ale niestety, wieść o kombiedach pełzła wciąż wyżej i dalej, aż dosięgła Urzędu, skąd przyszedł groźny rozkaz – zlikwidować kombiedy, w których nazwie zdawało się istnieć wyzwanie, jakby apelacja do rewolucyjnego sumienia.

Ileż pouczeń odczytano na apelach! Ile przestępczych papierków z zaszyfrowanymi podliczeniami wydatków i zamówień przyłapano przy nagłych rewizjach w celach! Iluż starostów odwiedziło Policyjną i Pugaczowską wieżę, w których znajdowały się karcery i izby kar.

Wszystko to było na darmo; kombiedy istniały bez względu na wszystkie uprzedzenia i sankcje.

Sprawdzić ich istnienie rzeczywiście było trudno. Przy tym komendant bloku czy nadzorca długo pracujący w więzieniu inaczej patrzy na aresztanta niż jego wysoki naczelnik i czasami w duszy trzyma stronę aresztanta przeciwko naczelnikowi. Nie znaczy to, że mu pomaga. Nie, on całkiem po prostu patrzy na wykroczenia aresztantów przez palce, kiedy może to zrobić, nie widzi, kiedy może nie widzieć, całkiem po prostu mniej się czepia. Zwłaszcza jeśli nadzorca jest już niemłody. Dla aresztanta najlepszy jest

taki naczelnik, który nie jest młody i ma niski stopień. Połączenie tych dwu warunków niesie w sobie obietnicę względnie porządnego człowieka. A jeśli do tego jeszcze popija – to tym lepiej. Taki człowiek nie szuka kariery, a kariera więziennego, a zwłaszcza łagrowego nadzorcy – to krew więźniów.

Ale Urząd żądał likwidacji kombiedów i więzienne naczalstwo bezskutecznie próbowało uzyskać sukces.

Dokonano próby rozsadzenia kombiedów od wewnątrz – było to oczywiście najbardziej chytrze pomyślane rozwiązanie. Kombiedy były organizacją nielegalną, każdy aresztant mógł sprzeciwić się przymusowo robionym potrąceniom. Ten, kto nie chciał płacić takich podatków", mógł protestować i w przypadku takiej odmowy czy protestu znalazłby natychmiast pełne poparcie więziennej administracji. Jakżeby – przecież kolektyw więzienny to nie państwo, aby pobierać podatki, a więc kombiedy – to bezprawne żądania, wymuszenia, grabież…

Niewątpliwie, każdy aresztant mógł się nie zgodzić na odpis. Nie chcę – i basta! Pieniądze są moje i nikt nie ma prawa na nie nastawać itd. Przy takim oświadczeniu nie było żadnych potrąceń i zamówienie dostarczano w całości.

Jednakże kto zaryzykuje? Kto zaryzykuje, aby przeciwstawić się więziennemu kolektywowi – ludziom, którzy przebywają z tobą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, i jedynie sen ratuje cię przed nieprzyjaznymi, wrogimi spojrzeniami kolegów? W więzieniu każdy mimo woli poszukuje w sąsiedzie duchowego wsparcia i stać się obiektem bojkotu – to zbyt straszne. Straszniejsze niż pogróżki śledczego – chociaż żadnych „fizycznych" środków tu się nie stosuje.

Więzienny bojkot – to oręż wojny nerwów. I nie daj Boże, aby ktoś doświadczył na sobie ostentacyjnej pogardy kolegów. Jeżeli zaś ten aspołeczny obywatel okaże się zbyt gruboskórny i uparty – to w posiadaniu starosty znajduje się jeszcze silniej znieważająca, bardziej efektywna broń.

W więzieniu nikt nie ma prawa pozbawiać aresztanta racji żywnościowej (oprócz śledczych, którym to bywa potrzebne dla „prowadzenia sprawy") i uparciuch otrzyma swoją miskę zupy, swą porcję kaszy i swój chleb. Pożywienie dzieli rozdawca według wskazań starosty celi (jest to jedna z jego prerogatyw). Nary rozmieszczone są wzdłuż ścian celi z rozdzielającym je przejściem od drzwi do okna.

Cela ma cztery rogi i jedzenie rozdaje się, rozpoczynając po kolei od każdego z nich. Ta zmiana potrzebna jest po to, aby wzmożona pobudliwość nerwowa aresztantów nie była jątrzona przez jakiś drobiazg w rodzaju „góry” czy „dołu” butyrskiej zupy-bałandy, po to, by wyrównać wszystkim szanse na jej gęstość i temperaturę… – w więzieniu nie zajmują się głupstwami.

Przed rozdawaniem jedzenia starosta podaje komendę na jego rozpoczęcie i dodaje: A ostatni dostaje taki to a taki (Iksiński, Igrekowski) – zawsze ten, kto nie liczy się z kombiedem.

Ta poniżająca zniewaga, nie do zniesienia, może być dokonywana czterokrotnie w ciągu butyrskiego dnia – rano i wieczorem wydawana jest „herbata”, na obiad – zupa, a na kolację – kasza.

W czasie rozdawania chleba można tego dokonać po raz piąty. Wzywanie komendanta bloku dla wyjaśnienia podobnych spraw jest zbyt ryzykowne – przecież cała cela będzie świadczyć przeciwko naszemu uparciuchowi. W takich przypadkach należy kolektywnie łgać, „blokowy” w żaden sposób nie dojdzie prawdy.

Ale egoista i chciwiec – to człowiek twardego charakteru. A przy tym uważa on tylko siebie za niewinnie aresztowanego, wszystkich zaś swoich więziennych współmieszkańców – za przestępców. Jest on dostatecznie gruboskórny, wystarczająco uparty. Z łatwością znosi bojkot kolegów – te inteligenckie sztuczki nie zmuszą go do utraty cierpliwości i opanowania. Mogłaby na niego oddziałać „kocówa” – stara metoda przekonywania. W butyrskim więzieniu jednak żadnych „koców” nie bywa. Egoista już gotów jest święcić swoje zwycięstwo – bojkot nie oddziałuje w sposób właściwy. Ale w rozporządzeniu starosty, w rękach ludzi z więziennej celi znajduje się jeszcze jeden decydujący „środek”. Każdego dnia w czasie wieczornego apelu, przy przekazywaniu dyżuru, kolejny rozpoczynający służbę w tej zmianie komendant bloku zadaje aresztantom regulaminowe pytanie: „Czy ktoś coś zgłasza?”

Starosta występuje krok do przodu i żąda przeniesienia bojkotowanego uparciucha do innej celi. Nie trzeba wyjaśniać przyczyny, wystarczy zażądać. Nie później niż w ciągu doby, a bywa, że wcześniej, przeniesienie dokonuje się obowiązkowo – publiczne ostrzeżenie zdejmuje ze starosty odpowiedzialność za podtrzymywanie dyscypliny w celi. Jeśli nie przeniosą – uparciuch może zostać pobity, a nawet zabity: dusza aresztanta jest nieod-

gadniona, a podobne przypadki pociągają za sobą nieprzyjemne, wielokrotne wyjaśnienia komendanta bloku przed naczalstwem.

W przypadku śledztwa związanego z tym więziennym zabójstwem od razu wyjaśni się, że „blokowy” został uprzedzony. Lepiej po dobremu przenieść do drugiej celi, ustępując przed takim żądaniem.

Pojawić się w celi, będąc przeniesionym, a nie z „wolności” – to nie bardzo przyjemne. Wywołuje to zawsze podejrzenia, wzmożoną czujność nowych kolegów – czy to przypadkiem nie donosiciel? Dobrze, jeżeli on tylko został do nas przeniesiony za odmowę przynależenia do kombiedu, myśli starosta nowej celi. A jeżeli to coś gorszego? Starosta będzie próbował poznać przyczynę przeniesienia – za pomocą kartki wsuniętej pod kubeł na śmieci w toalecie albo stukaniem według systemu dekabrysty Bestużewa, albo według alfabetu Morse’a.

Dopóki nie dostanie odpowiedzi, „nowicjusz” nie może liczyć na współczucie i zaufanie nowych kolegów. Mija wiele dni, powód przeniesienia zostaje wyjaśniony, podniecenie opada, ale – i w nowej celi jest swój kombied, swoje własne potrącenia.

Wszystko zaczyna się od początku – jeśli w ogóle się zacznie, gdyż w nowej celi, nauczony gorzkim doświadczeniem, uparciuch zachowa się inaczej. Jego upór został przełamany.

W kamerach śledczych butyrskiego więzienia nie było żadnych kombiedów, dopóki dozwolone było przekazywanie paczek – odzieżowych i żywnościowych, a korzystanie z więziennego sklepu było praktycznie nieograniczone. Kombiedy pojawiły się w drugiej połowie lat trzydziestych jako ciekawa forma „własnego życia” aresztantów znajdujących się w śledztwie, jako postać potwierdzenia własnej osobowości człowieka pozbawionego praw: był to ten maleńki obszar, gdzie ludzki kolektyw, zwarty, jak to bywa zawsze w więzieniu w odróżnieniu od „wolności” i łagru, przy całkowitym pozostawaniu poza prawem, znajduje miejsce, w którym może uzewnętrznić swoją siłę duchową dla upartego umacniania powszechnego ludzkiego prawa do życia według własnego upodobania. Te duchowe siły przeciwstawiają się wszystkim więziennym i śledczym uregulowaniom i uzyskują nad nimi zwycięstwo.

MAGIA

W szybę stuknięto kijem i Gołubiew go rozpoznał. Była to szpicruta naczelnika oddziału. „Zaraz idę!” – wrzasnął Gołubiew do okna, wciągnął spodnie i zapiął kołnierz bluzy. W tej samej minucie na progu pokoju pojawił się goniec naczelnika, Miszka, i donośnym głosem wypowiedział tę zwykłą formułę, od której zaczynał się każdy roboczy dzień Gołubiewa.

– Do naczelnika!

– Do gabinetu?

– Na wartownię!

Ale Gołubiew już wychodził.

Z tym naczelnikiem dobrze się pracowało. Nie był on bezlitosny w stosunkach z więźniami, był rozsądny, i chociaż wszystkie górnolotne tematy przekładał na swój szorstki język, to jednak rozumiał, co do czego pasuje. Co prawda wtedy było w modzie „przekuwanie” i w tym nieznanym prądzie naczelnik chciał całkiem po prostu utrzymać się na właściwej fali. Być może. Być może. Ale wtedy Gołubiew o tym nie myślał.

Gołubiew wiedział, że naczelnik – nazwiskiem Stukow – miał wiele starć z wyższym naczalstwem, wiele spraw mu „szyto” w łagrze, ale ani nie znał ich szczegółów, ani nie wiedział, na czym w rzeczywistości polegały te niemające zakończenia sprawy, niezaczęte, a już przerwane dochodzenia.

Gołubiew lubił Stukowa za to, że ten nie brał łapówek i nie lubił pijanych. Z jakiegoś tam powodu Stukow ich nienawidził… Lubił go pewnie jeszcze za odwagę.

Stukow był człowiekiem starszym i samotnym. Uwielbiał różne nowości z dziedziny nauki i techniki, a opowiadania o moście Brooklińskim wprawiały go w zachwyt. Ale Gołubiew nie umiał niczego takiego opowiadać, co byłoby podobne do Brooklińskiego mostu.

Za to opowiadał mu o tym Miller, Paweł Piotrowicz Miller, inżynier górniczy.

Miller był ulubieńcem Stukowa, chciwego na wszystkie nowości nauki.

Gołubiew dognał Stukowa przed wartownią.

– Cały czas śpisz.

– Ja nie śpię.

– A o tym, że etap przyszedł z Moskwy – wiesz? Przez Perm. Więc mówię, że śpisz. Bierz swoich i będziemy wybierać ludzi.

Oddział znajdował się na samym krańcu wolnego świata, przy końcu kolejowej drogi – dalej to już szły jedynie wielodniowe piesze etapy przez tajgę i Stukowowi dano prawo, aby sam sobie pozostawiał potrzebnych mu ludzi.

Była to zadziwiająca magia, jakieś sztuczki, jakby z dziedziny psychologii stosowanej – te sztuczki pokazywane przez Stukowa, naczelnika, który postarzał się, pracując w miejscach uwięzienia ludzi. Stukow potrzebował widzów i pewnie jedynie Gołubiew mógł docenić jego zadziwiający talent, zdolność, która przez dłuższy czas wydawała się Gołubiewowi czymś nadprzyrodzonym, aż do tego momentu, kiedy poczuł, że sam posiada taką magiczną siłę. Wyższe naczalstwo zezwalało na przykład pozostawić w oddziale łagrów pięćdziesięciu cieśli. Etap ustawiał się przed naczelnikiem i to nie w jeden, lecz dwa lub trzy rzędy.

Stukow szedł z wolna wzdłuż etapu, poklepując szpicrutą po swoich niewyczyszczonych butach. Od czasu do czasu unosił rękę.

– Wychodź, ty – ty. I ty. Nie, nie ty. O ty…

– Ilu wyszło?

– Czterdziestu dwóch.

– No widzisz, jeszcze ośmiu.

– Ty… ty… ty.

Spisywano nazwiska i odkładano „akta personalne”.

Wszystkich pięćdziesięciu umiało się obchodzić z toporem i piłą.

– Trzydziestu ślusarzy!

Stukow szedł wzdłuż etapu, lekko się chmurząc.

– Wychodź ty… ty… ty… A ty – do tyłu. Tyś błatniak czy co?

– Błatniak, obywatelu naczelniku.

Trzydziestu ślusarzy zostało wybranych bez żadnej pomyłki.

Trzeba było dziesięciu kancelistów.

– Potrafisz wybrać na oko?

– Niestety.

– No to chodźmy.

– Wychodź ty… ty… ty…

Wyszło sześciu ludzi.

– W etapie nie ma więcej księgowych.

Sprawdzono według „akt” i rzeczywiście: więcej nie było. Dobrano kancelistów z następnych etapów.

Była to ulubiona zabawa Stukowa, oszałamiająca Gołubiewa. A sam Stukow cieszył się jak dziecko ze swych magicznych zdolności i męczył się, jeśli tracił pewność. Nie mylił się jednak, tylko całkiem po prostu nie był pewien i wtedy przerywał przyjmowanie ludzi.

Gołubiew za każdym razem z przyjemnością przyglądał się tej zabawie, niemającej nic wspólnego z okrucieństwem ani z czyjąś krwią.

Zdumiewała go znajomość ludzi. Zdumiewała go również ta odwieczna więź pomiędzy duszą i ciałem.

Tyle razy widział te sztuczki demonstrujące tajemniczą siłę naczelnika. Nie kryło się za nią nic innego oprócz wieloletniego doświadczenia w pracy z więźniami. Odzież aresztanta wygładza różnice i to ułatwia tylko zadanie – jak odczytać zawód człowieka z jego twarzy, z jego rąk.

– Kogo dzisiaj będziemy wybierać, obywatelu naczelniku?

– Dwudziestu cieśli. A to jeszcze telegram z zarządu – wydzielić wszystkich tych, co przedtem pracowali w organach – Stukow uśmiechnął się – i osądzeni są za przestępstwa pospolite lub administracyjne. Znaczy to, że ponownie zasiądą za stołami śledczych. No, co ty o tym myślisz?

– Niczego nie myślę. Rozkaz jest rozkazem.

– A czy ty pojąłeś, jak ja dobierałem cieśli?

– Chyba…

– Całkiem po prostu wybieram wieśniaków. Każdy wieśniak – to cieśla. I uczciwych pracowników też poszukuję pomiędzy wieśniakami. I nie mylę się. Ale jak rozpoznać po oczach pracowników organów – tego nie wiem. Mają rozbiegane oczy, czy jak? Powiedz.

– Nie wiem.

– I ja nie wiem. Ale może na starość się nauczę. Jeszcze przed emeryturą.

Etap ustawił się jak zawsze wzdłuż wagonów. Stukow wygłosił swoje zwykłe przemówienie o pracy, o zaliczeniach, wyciągnął rękę i przeszedł się dwukrotnie wzdłuż wagonów.

– Potrzebni mi są cieśle. Dwudziestu ludzi. Ale ja sam będę wybierać. Nie ruszać się.

– Wychodź ty… ty… ty… No, i wszyscy. Odłóżcie „akta”.

Palce naczelnika namacały w kieszeni kurtki jakiś kawałek papieru.

– Nie rozchodzić się. Jeszcze jedna sprawa.

Stukow podniósł rękę z papierkiem.

– Czy są wśród was pracownicy organów?

Dwa tysiące aresztantów milczało.

– Pytam, czy jest między wami ktoś, kto pracował przedtem w organach? W organach!

Z ostatnich szeregów, rozpychając sąsiadów, energicznie przedzierał się chuderlawy człowiek, rzeczywiście z rozbieganymi oczami.

– Ja pracowałem, obywatelu naczelniku, jako informator.

– Idź precz! – z pogardą i zadowoleniem powiedział Stukow.

RJABOKOŃ

Sąsiadem Rjabokonia na szpitalnym łóżku – pryczy pokrytej materacem wypchanym pociętym cedrowcem – był Peters, Łotysz, który jak wszyscy Łotysze bił się na wszystkich frontach wojny domowej. Kołyma była ostatnim frontem Petersa. Ogromne ciało Łotysza podobne było do ciała topielca – sinobiałe, napuchnięte i wzdęte od głodu. Ciało o wygładzonej skórze, która pozbyła się wszystkich zmarszczek – wszystko stało się zrozumiałe, opowiedziane do końca, wyjaśnione. Peters milczał przez wiele dób, obawiając się każdego zbędnego ruchu – już było czuć odleżyny, już zaczynały cuchnąć. I tylko jego wypłowiałe oczy uważnie śledziły ruchy lekarza, doktora Jampolskiego, gdy ten wchodził na salę. Jampolski, naczelnik szpitala, nie był doktorem. Nie był także felczerem. Całkiem po prostu był donosicielem i bezczelnym człowiekiem, który donosami przetarł sobie drogę. Jednak Peters o tym nie wiedział i w jego oczach pojawiała się nadzieja.

Ale Jampolskiego znał Rjabokoń – bądź co bądź Rjabokoń to były „wolny”. Jednakże nienawidził on tak samo Jampolskiego, jak i Petersa. I milczał w złości.

Rjabokoń nie był podobny do topielca. Ogromny, kościsty, o wysuszonych ścięgnach. Materac był za krótki, koc zaledwie okrywał ramiona – ale jemu było wszystko jedno. Z łóżka zwisały stopy wymiaru Guliwera i podobne do bilardowych kul, żółte, kościste pięty stukały o belkowaną podłogę, kiedy Rjabokoń wstawał, aby zgiąć się i wysunąć przez okno głowę – nie udawało się tego zrobić z ramionami, aby wysunąć je na zewnątrz – do nieba, do wolności.

Doktor Jampolski oczekiwał śmierci Łotysza z godziny na godzinę – tacy dystroficy powinni szybko umierać. Ale ten ciągnął swe życie, zwiększając średnie łóżko-dni. Śmierci Łotysza oczekiwał również Rjabokoń. Peters leżał na jedynej w szpitalu długiej pryczy i doktor Jampolski obiecał ją Rjabokoniowi po śmierci Łotysza. Rjabokoń bez obawy oddychał przy oknie chłodnym, wiosennie upajającym powietrzem, oddychał całą piersią i myślał, jak to on położy się na łóżko Petersa, kiedy ten umrze, i jak można

będzie wyciągnąć nogi – chociaż przez kilka dób. Potrzeba tylko jednego dnia, położyć się i wyciągnąć – aby wypoczęły jakieś tam ważne mięśnie – i Rjabokoń będzie żyć.

Obchód się skończył. Leczyć nie było czym – nadmanganian potasu i jodyna sprawiały cuda nawet w rękach Jampolskiego. A ten trzymał się, zdobywał doświadczenie i staż. Zgonami go nie obwiniano. Kogo zresztą nimi obwiniano?

– Dzisiaj zrobimy ci wannę, ciepłą wannę. Dobrze?

W wypłowiałych oczach Petersa mignęła złość, ale nic nie powiedział, nie wyszeptał niczego.

Czterej sanitariusze spośród chorych wraz z doktorem Jampolskim wepchnęli ogromne ciało Petersa do drewnianej beczki od solidolu, wyparzonej i wymytej.

Doktor Jampolski odnotował czas na ręcznym zegarku – podarunku dla kochanego doktora od błatniaków z kopalni, gdzie Jampolski pracował przed tą kamienną pułapką na myszy.

Po piętnastu minutach Łotysz coś tam zachrypiał. Sanitariusze i lekarz wytaszczyli chorego z beczki i zaciągnęli na pryczę, na tę długą pryczę. I Łotysz wyraźnie wymówił:

– Bieliznę! Bieliznę!

– Jaką bieliznę? – powiedział doktor Jampolski. – Bielizny u nas nie ma!

– To o śmiertelną koszulę on prosi – domyślił się Rjabokoń.

I wpatrując się w drgający podbródek Petersa, patrząc na zamykające się oczy, na szukające czegoś na ciele sine, napuchnięte palce, Rjabokoń pomyślał, że śmierć Petersa – to jego szczęście, nie tylko z powodu długiej pryczy, ale i dlatego, że on i Peters byli starymi wrogami – spotykali się w walkach gdzieś tam pod Szepetówką.

Rjabokoń był machnowcem. Jego marzenie spełniło się – legł na łóżku Petersa. A ja położyłem się na miejscu Rjabokonia – i słuchałem jego opowiadań.

Rjabokoń spieszył się z opowiadaniem, a ja spieszyłem się z zapamiętywaniem. Obaj byliśmy znawcami i śmierci, i życia.

– Ty myślisz, że Machno był antysemitą? Wszystko to bzdura. Wasza agitacja. Jego doradcami byli Żydzi. Juda Grosman, Roszczin, Baron. Ja byłem prostym żołnierzem z taczanką w tej dwutysięcznej grupie, którą *Bat'ko* wyprowadził do Rumunii. No, ale w Rumunii to mi się nie widziało.

Po roku przeszedłem granicę z powrotem. Dali mi trzy lata zesłania. Potem wróciłem, byłem w kołchozie, a w trzydziestym siódmym zamietli…

– Profilaktycznie? *Pjat' rokiw dałekich taboriw.*

Klatka piersiowa Rjabokonia była ogromna, okrągła – żebra uwypuklały się jak obręcze w beczce. Wydawało się, że gdyby Rjabokoń umarł przed Petersem, z klatki piersiowej machnowca można byłoby zrobić obręcze dla beczki – miejsca przedśmiertnej kąpieli Łotysza według recepty doktora Jampolskiego.

Jak szkielet obciągnięty skórą, Rjabokoń cały wydawał się pomocą naukową do studiowania anatomii – jakby posłuszną żywą konstrukcją, a nie modelem szkolnym. Mówił niewiele, ale znajdował jeszcze w sobie siły, aby uchronić się przed odleżynami, obracając się na łóżku, wstając i chodząc. Sucha skóra łuszczyła się na całym ciele, a na biodrach i lędźwiach widniały sine plamy przyszłych odleżyn.

– No, to ja przyszedłem. Trzech nas. Na ganku – Machno.

– Umiesz strzelać?

– Umiem, *bat'ka*!

– Ano, powiedz, jeżeli cię napadną we trzech, to co będziesz robić?

– Coś tam wymyślę, *bat'ka*!

– Toś słusznie rzekł. Gdybyś powiedział – „wszystkich porąbię!" – nie wziąłbym cię do oddziału. Trzeba chytrością, chytrością… A zresztą, cóż Machno? Machno jak Machno. Ataman. Umrzemy wszyscy. Słyszałeś – on umarł…

– Tak, w Paryżu.

– Świeć, Panie, nad jego duszą. Pora spać.

Rjabokoń naciągał na głowę rozpadający się koc, obnażając przy tym do kolan nogi, i zaczynał chrapać.

– Słuchaj, ty.

– No?

– Opowiedz o Maruśce, o jej bandzie.

Rjabokoń zrzucił koc z twarzy.

– No cóż. Banda jak banda. To z nami, to z wami. A ona – to anarchistka, Maruśka. Dwadzieścia lat była na katordze. Uciekła z moskiewskiego Nowińskiego Więzienia. Rozstrzelał ją Słaszczew na Krymie. Niech żyje anarchia! Krzyknęła i umarła. Wiesz, kim ona była? Na nazwisko miała Nikiforowa. Najprawdziwszy hermafrodyta. Słyszałeś? No, śpijmy.

Kiedy skończył się wyrok tego rodowitego machnowca, zwolniono go bez prawa wyjazdu z Kołymy. Na „kontynent” nie wywożono. Machnowiec zmuszony został podjąć pracę ładowacza w tym samym składzie, w którym pracował od świtu do nocy jako więzień. Już jako wolny, w tym samym składzie, na tym samym stanowisku pracy. Było to poniżenie nie do wytrzymania, które niewielu potrafiło znieść. Oczywiście oprócz specjalistów. A u więźnia główną nadzieję stanowi to, że coś tam się zmieni po zwolnieniu. Wyjazd, wysłanie, zmiana miejsca także mogą przynieść spokój, uratować.

Pensja była mała. Czy kraść ze składu tak jak przedtem? Nie, Rjabokoń miał inne plany.

Razem z byłymi trzema zekami Rjabokoń skrył się „w lodach” – umknął w głuchą tajgę. Zorganizowała się bandycka szajka – złożona z samych „frajerów”, niemająca związku ze światem przestępczym, ale przez wiele lat oddychająca jego atmosferą.

Był to jedyny na Kołymie przypadek ucieczki „wolniaszek” – nie-więźniów, których się strzeże i przelicza na apelach cztery razy na dzień, ucieczka wolnych obywateli. Był pomiędzy nimi główny buchalter kopalni, podobnie jak Rjabokoń, były więzień. Oczywiście nie było w szajce tych, co pracowali na umowie, tacy jeżdżą za wielkimi rublami. Wszyscy – to byli więźniowie.

Czterej zabójcy uprawiali grabież na tysiąckilometrowej trasie – stanowiła ją centralna droga – przez cały rok. Przez cały rok hulali, ograbiając samochody i mieszkania w osadach. Weszli w posiadanie samochodu ciężarowego – garaż dla niego znalazł się w górskiej rozpadlinie.

Rjabokoń wraz z towarzyszami łatwo decydowali się na zabójstwa. Nikt nie obawiał się nowego wyroku. Miesiąc, rok, dziesięć lat, dwadzieścia – to prawie wszystko jedno… Ale skończyło się to tak, jak kończą się wszystkie takie sprawy. Jakaś kłótnia, nieprawidłowy podział zdobyczy. Utrata autorytetu atamana-buchaltera. Buchalter złożył jakieś tam nieprawdziwe zeznania. Sąd. Dwadzieścia pięć i pięć pozbawienia praw. Wtedy nie rozstrzeliwano za zabójstwo…

Duchową łatwość zabijania Rjabokoń niósł przez życie jeszcze z Hulaj-Pola.

ŻYCIE INŻYNIERA KIPRIEJEWA

Przez wiele lat myślałem, że śmierć jest formą życia, i poprzestając na tym niepewnym osądzie, wypracowywałem formułę aktywnej ochrony swojego istnienia na tym smętnym padole.

Myślałem, że człowiek tylko wtedy może być nim naprawdę, kiedy w dowolnej chwili swojego życia potrafi odczuć całym swym ciałem, że gotów jest skończyć z sobą, że gotów jest sam ingerować we własne życie. Ta właśnie świadomość daje wolę życia.

Sprawdzałem siebie – wielokrotnie – i czując w sobie siłę, żeby umrzeć, pozostawałem przy życiu.

Znacznie później pojąłem, że ja całkiem po prostu skonstruowałem sobie umysłowy schron, uciekłem od problemu, gdyż w momencie decyzji nie będę już taki jak teraz, kiedy życie i śmierć – to rzecz wolnej woli. Osłabnę, zmienię się, sam siebie zdradzę. Nie zacząłem myśleć o śmierci, ale poczułem, że poprzednie postawienie problemu wymaga jakiejś innej odpowiedzi, że dane sobie samemu obietnice, przysięgi młodości są bardzo naiwne i bardzo względne.

Upewniła mnie w tym historia inżyniera Kipriejewa.

Nigdy nikogo w moim życiu nie zdradziłem, nie sprzedałem. Ale nie wiem, jak bym się zachowywał, gdyby mnie bito. Przeszedłem przez wszystkie swoje śledztwa jak najbardziej szczęśliwie – bez bicia, bez metody numer trzy. Żaden z moich śledczych, w czasie wszystkich śledztw, nie tknął mnie palcem. Ale to tylko przypadek, nic więcej. Całkiem po prostu przechodziłem śledztwo dostatecznie wcześnie – w pierwszej połowie trzydziestego siódmego roku, kiedy jeszcze nie stosowano tortur.

Inżynier Kipriejew został jednak aresztowany w 1938 roku i dobrze poznał groźne widowisko bicia w czasie śledztwa. Wytrzymał to bicie, a potem, rzuciwszy się na śledczego, ponownie zbity, posadzony został do karceru. Ale w tym miejscu śledztwa, gdzie trzeba złożyć podpis, śledczy łatwo uzyskali go od Kipriejewa: nastraszyli go aresztowaniem żony i Kipriejew „podpisał”.

Ten właśnie straszny cios, zadany jego moralnym zasadom, towarzyszył mu przez całe życie. W aresztanckim życiu niemało jest poniżeń i moralnych upadków. W dziennikach ludzi związanych z ruchem wyzwoleńczym w Rosji istnieje straszna skaza – prośba o łaskę. Przed rewolucją uważane to było za hańbę, hańbę na zawsze. Także po rewolucji do środowiska katorżan-więźniów politycznych i zesłańców nie przyjmowano w sposób zdecydowany tak zwanych „podawańców", tj. tych, którzy kiedykolwiek i z jakiegokolwiek powodu prosili cara o uwolnienie lub o złagodzenie kary.

W latach trzydziestych przebaczano nie tylko „podawańcom", ale nawet tym, którzy „podpisali" wiadome z góry kłamstwo, często nawet nabrzmiałe krwią.

Ludzie będący żywym przykładem nieustępliwości już dawno się zestarzeli, zginęli w łagrach i na zesłaniu, a ci, którzy siedzieli i przechodzili śledztwo, byli wszyscy „podawańcami". Dlatego właśnie nikt nie wiedział, na jakie moralne tortury skazał siebie Kipriejew, odjeżdżając na Morze Ochockie – do Władywostoku, a dalej do Magadanu.

Kipriejew był inżynierem-fizykiem z tego samego Charkowskiego Instytutu Fizyki, gdzie najwcześniej w Związku Sowieckim zbliżono się do reakcji jądrowej. Tam też pracował Kurczatow. Charkowski instytut nie uniknął „czystki". Jedną z pierwszych ofiar naszej atomowej nauki był inżynier Kipriejew.

Kipriejew znał swoją wartość. Ale jego naczelnicy jej nie znali. Okazało się przy tym, że moralna niezłomność niewiele ma wspólnego z talentem, z doświadczeniem naukowym, a nawet z pasją naukową. To były różne rzeczy. Wiedząc o biciu w śledztwie, Kipriejew przygotował się na to bardzo prosto – że będzie się bronić jak zwierzę, odpowiadać uderzeniem na uderzenie, nie wdając się w to, kto jest wykonawcą, a kto – twórcą tego systemu, metody numer trzy. Kipriejew został pobity i wrzucony do karceru. Wszystko zaczęło się od nowa. Opuszczały go siły fizyczne, a wraz z nimi i duchowe. Kipriejew „podpisał". Grozili mu aresztem żony. Kipriejew niezmiernie się wstydził tej słabości, tego, że przy spotkaniu z brutalną siłą on, inteligent Kipriejew – ustąpił. Wtedy też, w więzieniu, poprzysiągł sobie na całe życie, że nigdy nie powtórzy swego haniebnego postępku. Zresztą, to jedynie Kipriejewowi wydawało się, że postąpił haniebnie. Obok niego leżeli na narach ludzie, którzy także podpisali, nakłamali. Leżeli i nie umierali. Hańba nie ma granic – a raczej granice jej są bardzo osobiste, i każdy

mieszkaniec celi śledczej ma inne wymagania w stosunku do samego siebie.

Z pięcioletnim wyrokiem Kipriejew znalazł się na Kołymie; był pewien, że znajdzie drogę do przedterminowego zwolnienia, że potrafi wyrwać się na swobodę, na kontynent. Oczywiście inżynier zostanie doceniony. I zapracuje na zaliczenie roboczych dni dających wcześniejsze zwolnienie. I jakkolwiek Kipriejew odnosił się z pogardą do fizycznej pracy w łagrze – to szybko pojął, że przy końcu tej drogi nic go nie oczekuje oprócz śmierci. Jeśli będzie pracować tam, gdzie można by zastosować chociaż cień specjalistycznej wiedzy, którą posiadał – to wyjdzie na wolność. Nie straci przynajmniej kwalifikacji.

Doświadczenia pracy w kopalni, połamane palce włożone do zgarniarki, fizyczna słabość, a nawet nadwątlenie organizmu – wszystko to doprowadziło Kipriejewa do szpitala, a potem na punkt tranzytowy.

Nieszczęście polegało jeszcze na tym, że inżynier nie potrafił nie zajmować się wynalazkami, poszukiwaniem nowych rozwiązań naukowych i technicznych w tym chaosie łagrowego bytowania, w którym żył.

Jednakże łagier, łagrowe naczalstwo patrzyło na Kipriejewa jedynie jak na niewolnika, nie widząc w nim niczego więcej. Energia Kipriejewa, którą on sam w sobie tysiąckrotnie przeklinał, szukała ujścia.

Tylko że stawka w tej grze powinna być godna inżyniera. Taką stawką była wolność.

Kołyma jest nie tylko dlatego „cudaczną planetą”, że tam przez dziewięć miesięcy w roku jest zima. Tam w czasie wojny płacono sto rubli za jabłko, a pomyłka w rozdziale przywiezionych z kontynentu świeżych pomidorów doprowadzała do krwawych dramatów. Wszystko to – i jabłka, i pomidory, przeznaczone było oczywiście dla świata wolnych, do którego więzień Kipriejew nie należał. „Cudaczną planetą” była nie tylko dlatego, że „prawem tam tajga”. Nie dlatego, że Kołyma – to stalinowski specjalny łagier śmierci.

I nie dlatego, że tam „deficytem” jest machorka i herbata-czyfir; że jest to kołymska waluta, jej rzeczywiste złoto, za które nabywa się wszystko.

Bardziej deficytowe było szkło – wyroby ze szkła, naczynia laboratoryjne i szklane przyrządy. Mrozy powiększały kruchość szkła, a norma na „stłuczki” wcale się nie zwiększała. Prosty termometr lekarski kosztował trzysta rubli. Ale konspiracyjny handel termometrami nie istniał. Lekarz powinien był zgłosić pełnomocnemu rejonowego oddziału o takiej potrze-

bie, gdyż lekarski termometr trudniej było ukryć niż *Giocondę*. Ale lekarz nie składał zapotrzebowania. Całkiem po prostu płacił trzysta rubli i aby zmierzyć gorączkę ciężko chorym, przynosił termometr z domu.

Na Kołymie puszka od konserw była całym poematem. Blaszana puszka po konserwach – to miarka, bardzo wygodna miarka, zawsze pod ręką. Do mierzenia wody, krup, mąki, kisielu, zupy, herbaty. To kubek do picia „czyfiru" – w niej wygodnie też „zagotować czyfirek". Kubek taki jest zupełnie sterylny – robi to ogień. Herbatę czy zupę podgrzewa się i zagotowuje w piecyku lub w płomieniu ogniska.

Duża, trzylitrowa puszka – to klasyczny kociołek „dochodiagów", z drucianą rączką, którą tak wygodnie mocuje się przy pasie. A któż na Kołymie nie był dochodiagą?

Szklany słoik – to przebłysk światła przez oczka drewnianego obramowania przewidującego możliwość stłuczki. To także przezroczysty słoik, w którym tak wygodnie przechowuje się lekarstwa w ambulatorium.

Półlitrowa puszka – to naczynie na trzecie danie w łagrowej stołówce.

Ale to nie termometry, nie naczynia laboratoryjne, nie słoiki po konserwach stanowiły główny deficyt szkła na Kołymie.

Były nim – żarówki.

Na Kołymie istnieją setki kopalń głębinowych i odkrywkowych, tysiące ich oddziałów, odkrywek, szybów, dziesiątki tysięcy przodków uranowych, ołowiowych, wolframowych, tysiące łagrowych ekspozytur, osad dla wolnych, łagrowych zon i baraków oddziałów straży, i wszędzie potrzebne jest światło, światło, światło. Kołyma przez dziewięć miesięcy żyje praktycznie bez światła słonecznego. Bujne światło niezachodzącego słońca nie ratuje, nic nie daje.

Istniejąca energia i światło pochodzi od łączonych po dwa traktorów i lokomotyw. Narzędzia przemysłowe, bębny do przemywania rudy, przodki – wszystko potrzebuje światła. Oświetlane jupiterami wyrobiska przedłużają nocną zmianę, zwiększają efektywność pracy.

Wszędzie potrzebne są żarówki. Przywożą je z kontynentu – trzysetki, pięćsetki i tysiącświecowe – zdolne do oświetlania baraku i wyrobiska. Nierówna praca silników generatorów skazuje lampy na przedwczesne zużycie.

Lampa elektryczna – to problem wagi państwowej na Kołymie.

Nie tylko wyrobisko powinno być oświetlone. Musi być też oświetlona zona, drut kolczasty wraz z wieżyczkami strażniczymi według odpowiedniej normy, którą Daleka Północ jedynie podwyższa.

Oddziały straży muszą mieć zapewnione światło. Tutaj nie obejdzie się (tak jak w kopalnianym przodku) spisaniem na straty, tutaj są ludzie, którzy mogą uciec, i chociaż w zimie nie ma dokąd uciekać i nikt nigdy tego zimą nie robił – przepis pozostaje przepisem, i jeśli nie ma światła lub brakuje lamp, roznosi się wokół zony płonące pochodnie i pozostawia wetknięte w śnieg aż do rana, kiedy stanie się jasno. Pochodnia – to szmata umoczona w mazucie lub w benzynie.

Żarówki szybko się przepalają. I nie dają się regenerować. Kipriejew sporządził raport, który zadziwił naczelnika Dalstroju. Od razu poczuł order pojawiający się na jego mundurze. Oczywiście na mundurze, a nie na frenczu czy marynarce.

Regeneracja żarówek jest możliwa – byleby tylko było szkło.

I oto na Kołymę popłynęły groźne rozkazy. „Wszystkie przepalone żarówki dostarczać do Magadanu. Na terenie kombinatu przemysłowego na 47 kilometrze wybudowano zakład. Zakład regeneracji elektrycznego oświetlenia”.

Inżynier Kipriejew został mianowany naczelnikiem cechu w tym zakładzie.

Cały pozostały personel, wszyscy etatowi pracownicy, którymi obrósł remont lamp – pochodzili z wolnego najmu. Powodzenie przedsięwzięcia oddane zostało w pewne ręce wolnych ludzi.

Rezultat był olśniewający. Oczywiście po remoncie lampy długo nie pracowały. Ale ileś tam godzin, ileś tam złotych dób Kipriejew zaoszczędził Kołymie. Było bardzo wiele tych dób. Państwo otrzymało ogromne zyski, zyski na wojnę, zyski w złocie.

Dyrektor Dalstroju został odznaczony Orderem Lenina. Wszyscy naczelnicy związani z remontem żarówek również otrzymali odznaczenia.

Jednakże ani Moskwa, ani Magadan nie pomyślały o tym, żeby wyróżnić więźnia Kipriejewa. Dla nich Kipriejew był jedynie niewolnikiem, mądrym niewolnikiem i niczym więcej.

Mimo wszystko dyrektor Dalstroju uważał, że nie może zupełnie zapomnieć o swoim korespondencie z tajgi.

Nie może tego zrobić, przy tym wielkim kołymskim święcie, wyróżniony przez Moskwę, w czasie tego uroczystego wieczoru na cześć – na czyją cześć? – dyrektora Dalstroju i każdego z tych, co otrzymali ordery i podziękowania, bo przecież oprócz rządowego dekretu, dyrektor Dalstroju wydał swoje rozporządzenie o nagrodach, podziękowaniach i zachętach.

Dla wszystkich biorących udział w remoncie lamp, dla wszystkich kierowników zakładu, gdzie znajdował się cech regeneracji oświetlenia, przygotowano, oprócz odznaczeń i podziękowań, amerykańskie paczki okresu wojennego. Paczki te, wchodzące w skład dostaw na zasadzie *lend-lease'*u, zawierały garnitur, krawat, koszule i trzewiki. Garnitury, zdaje się, zginęły w czasie transportu, ale trzewiki – amerykańskie trzewiki z czerwonej skóry na grubej podeszwie – stanowiły przedmiot marzeń każdego naczelnika.

Dyrektor Dalstroju naradził się ze swoim pomocnikiem – i wszyscy zdecydowali, że o większym szczęściu, o lepszym podarunku inżynier-zek nawet marzyć nie jest w stanie.

O tym, ażeby skrócić inżynierowi wyrok lub zupełnie go zwolnić, dyrektor nawet nie myślał prosić Moskwy w tych niespokojnych politycznie czasach. Niewolnik powinien się cieszyć ze starych trzewików gospodarza i ubraniem z jego ramion.

O tych podarunkach rozprawiał cały Magadan, cała Kołyma. Miejscowi naczelnicy otrzymali obfitość orderów i podziękowań. Ale amerykański garnitur, trzewiki na grubej podeszwie – to było coś jak podróż na Księżyc, wzniesienie się w rejony innego świata.

Nastał uroczysty wieczór i na stole obciągniętym czerwonym suknem piętrzyły się błyszczące pudła z garniturami.

Dyrektor Dalstroju przeczytał rozporządzenie, w którym oczywiście nie było żadnej wzmianki o Kipriejewie, tak być nie mogło.

Naczelnik zarządu politycznego przeczytał „listę z podarunkami". Na końcu wymienione zostało nazwisko Kipriejewa. Inżynier podszedł do stołu jaskrawo oświetlonego lampami – jego lampami – i wziął pudło z rąk dyrektora Dalstroju.

Głośno i wyraźnie powiedział: „Amerykańskich znoszonych rzeczy ja nosić nie będę" – i położył pudło na stół.

Kipriejew został od razu, na miejscu aresztowany i dostał osiem lat dodatkowego wyroku z paragrafu – jakiego, nie wiem, ale i tak na Kołymie nie ma to żadnego znaczenia, nikogo to nie interesuje.

Zresztą – jakiż to paragraf za odmowę przyjęcia amerykańskich prezentów? Ee, nie tylko, nie tylko za to. We wnioskach śledczego prowadzącego nową sprawę Kipriejewa widniało: „Mówił, że Kołyma – to Auschwitz bez pieców".

Do tego drugiego wyroku Kipriejew odniósł się spokojnie. Rozumiał, na co się waży, odmawiając przyjęcia amerykańskich prezentów. Podjął jednak

pewne środki dotyczące osobistego bezpieczeństwa. Mianowicie takie: Poprosił znajomego, aby ten napisał do jego żony na kontynencie list, że on, Kipriejew, umarł. I sam przestał pisać listy.

Z fabryki usunięto go do kopalni, na roboty ogólne. Wkrótce wojna się skończyła i łagrowy system jeszcze bardziej się zróżnicował – Kipriejewa jako wyjątkowego recydywistę oczekiwał specjalny, zaszyfrowany łagier.

Inżynier zachorował i trafił do centralnego szpitala dla więźniów. Tutaj znalazło się zapotrzebowanie na jego umiejętności – trzeba było skompletować i uruchomić aparat rentgenowski, złożyć go ze staroci, z kalekich części. Naczelnik szpitala, doktor Doktor, obiecał zwolnienie, skrócenie wyroku. Inżynier Kipriejew niewiele wierzył takim obietnicom, przecież był na „liście chorych" – a zaliczenia czasu pracy dają tylko etatowym pracownikom szpitala. Ale chciało się wierzyć w obietnicę naczelnika, a gabinet rentgenowski – to nie kopalnia, to nie wyrobisko złota.

Tutaj spotykaliśmy Hiroszimę.

– Oto ona – bomba, to, czym zajmowaliśmy się w Charkowie.

– Samobójstwo Forrestala. Potok telegramów z wymyślaniami.

– Czy ty wiesz, w czym rzecz? Dla zachodniego inteligenta podjęcie decyzji zrzucenia bomby atomowej to sprawa bardzo skomplikowana, bardzo ciężka. Depresja psychiczna, obłąkanie, samobójstwo – to jest cena, którą płaci za taką decyzję zachodni inteligent. Nasz Forrestal na pewno by nie zwariował.

– Jak wielu porządnych ludzi spotykałeś w życiu? Takich prawdziwych, których by się chciało naśladować i służyć im.

– Zaraz, niech sobie przypomnę: inżynier-szkodnik Miller i jeszcze pięć osób.

– To bardzo dużo.

Zgromadzenie Ogólne podpisało protokół o ludobójstwie.

– Ludobójstwo? Z czym to się je?

Podpisaliśmy konwencję. Oczywiście trzydziesty siódmy rok – to nie ludobójstwo. To tępienie wrogów ludu. A więc można podpisać konwencję.

– Reżim przykręca wszystkie śruby. Nie powinniśmy milczeć. Tak jak w elementarzu: „My – to nie niewolnicy, a niewolnicy – to nie my". Powinniśmy coś zrobić, udowodnić samym sobie.

– Samemu sobie udowadnia się tylko własną głupotę. Żyć i przeżyć – to nasze zadanie. I nie zawieść… Życie to poważniejsza sprawa, niż ty myślisz.

Zwierciadła nie przechowują wspomnień. A to, co kryje się w mej walizce, trudno nazwać lustrem – kawałek szkła, tak jakby zmącona powierzchnia wody, zmącona i na zawsze już brudna rzeka, pamiętająca coś ważnego, coś nieskończenie bardziej ważnego niż to, co niesie kryształowy strumień, przezroczysty aż do dna, otwarty. Lustro zmętniało i niczego już nie odbija. Ale kiedyś lustro było lustrem, bezinteresownym prezentem, który przeniosłem przez dwa dziesięciolecia – łagru, wolności podobnej do łagru, i tego wszystkiego, co było po dwudziestym zjeździe partii. Lustro, które mi podarowano, to nie handlowe kalkulacje Kipriejewa, to było to, co zostało doświadczone, naukowo doświadczone i ślad tego doświadczenia połyskiwał w mroku rentgenowskiego gabinetu. Zrobiłem oprawę temu zwierciadlanemu odłamkowi. Właściwie nie zrobiłem, lecz zamówiłem. Ramka do tej pory jest cała, robił ją jakiś stolarz, Łotysz, chory-ozdrowieniec – za porcję chleba. Wtedy mogłem już dać porcję chleba za takie bardzo osobiste, bardzo lekkomyślne zamówienie.

Spoglądam na tę oprawę, toporną, pomalowaną olejną farbą do podłóg – w szpitalu prowadzony był wtedy remont i stolarz wyprosił troszkę farby. Potem ramkę polakierował, ale już dawno temu lakier się wytarł. W lustrze nic nie widać, a kiedyś goliłem się przed nim w Ojmjakonie i wszyscy wolni mi zazdrościli. Zazdrościli mi tak aż do 1953 roku, kiedy ktoś wolny i mądry przysłał do osady paczkę z lusterkami, z tanimi lusterkami. I te maleństwa – okrągłe i kwadratowe – były sprzedawane po cenach przypominających ceny żarówek. Mimo to wszyscy podejmowali z książeczek pieniądze i kupowali. Lusterka zostały rozsprzedane jednego dnia w ciągu jednej godziny.

Wtedy już moje, własnej roboty lusterko nie wywoływało zazdrości u ludzi goszczących u mnie.

Mam to lusterko ze sobą. To nie jest amulet. I nie wiem, czy przynosi ono szczęście. Być może lusterko przyciąga i odbija promienie zła, nie dając mi rozpłynąć się w ludzkim strumieniu – w którym nikt oprócz mnie nie zna Kołymy i inżyniera Kipriejewa.

Kipriejewowi było wszystko jedno. Uczył się u niego jakiś kryminalista, prawie błatniak, trochę bardziej wykształcony recydywista, wzięty przez naczelnika do przyuczenia, który włączał i wyłączał dźwignie, zgłębiając tajniki rentgenowskiego gabinetu. Figurował pod nazwiskiem Rogow.

W tym względzie naczalstwo miało swoje niemało ważne zamiary i najmniej chodziło tu o błatniaka Rogowa. Ale Rogow został usadowiony wraz z Kipriejewem w gabinecie rentgenowskim, a więc kontrolował go, śledził, donosił i, jako przyjaciel ludu, współpracował z państwem. Stale informował, uprzedzał o wszelakich rozmowach i wizytach. I jeżeli nie przeszkadzał, to w każdym razie donosił, strzegł.

To właśnie było głównym celem naczalstwa. A przy tym Kipriejew przygotowywał zmianę dla siebie – spośród niepolitycznych.

Jak tylko Rogow by się wyuczył – a był to zawód na całe życie – to Kipriejewa posłaliby do Bierłagu, zaszyfrowanego łagru dla recydywistów.

Kipriejew to rozumiał i nie zamierzał przeciwstawiać się losowi. Uczył Rogowa, nie myśląc o sobie.

Szczęście Kipriejewa polegało na tym, że Rogow uczył się źle. Jak każdy „nie-polityczny” wiedział o najważniejszym – że w żadnym przypadku naczalstwo o tego rodzaju ludziach nie zapomni – uczył się więc niezbyt uważnie. Ale godzina wybiła, Rogow oznajmił, że może już samodzielnie pracować, i Kipriejewa odesłano do tego zaszyfrowanego łagru. Jednak coś tam się w rentgenowskim agregacie popsuło i w wyniku pewnych działań lekarzy Kipriejewa ponownie przysłano do szpitala.

Doświadczenie Kipriejewa z blendą odnosi się właśnie do tego okresu.

Słownik wyrazów obcych z 1964 roku tak objaśnia słowo „blenda”: 3) diafragma (przesłona z dowolnie zmienianą wielkością otworu), w fotografii, mikroskopii i rentgenoskopii.

W słowniku wyrazów obcych sprzed dwudziestu lat słowa „blenda” nie ma. To nowość okresu wojny – okazyjny wynalazek związany z mikroskopem elektronowym. Do rąk Kipriejewa trafiła wyrwana stronica czasopisma technicznego i blenda została zastosowana w gabinecie rentgenowskim w szpitalu dla więźniów na lewym brzegu Kołymy.

Blenda była dumą inżyniera Kipriejewa – stanowiła jego nadzieję. Słabą zresztą nadzieję. O blendzie poinformowano na konferencji lekarskiej oraz wysłano doniesienie do Magadanu i do Moskwy. Żadnej odpowiedzi.

– A lustro potrafisz zrobić?

– Oczywiście.

– Duże. Coś na kształt trema.

– Dowolne. Byleby było srebro.

– A srebrne łyżki?

– Mogą być.

Wypisano ze składu grube szkło przeznaczone na stoły w gabinetach naczelników i przywieziono do gabinetu rentgenowskiego.

Pierwsza próba nie była udana i Kipriejew z wściekłością rozbił lustro młotkiem.

Jeden z tych odłamków – to moje lusterko, prezent Kipriejewa.

Za drugim razem wszystko się udało i naczalstwo otrzymało z rąk Kipriejewa swoje wymarzone tremo.

Naczelnik nie myślał nawet o tym, aby w jakiś sposób wyrazić wdzięczność Kipriejewowi. Po co? Wykształcony niewolnik i tak powinien być wdzięczny, że trzyma się go w szpitalu jako leżącego chorego. Jeśliby blenda została zauważona przez naczalstwo, to podziękowano by za to – nic więcej. Natomiast tremo – to realność, a blenda – to coś mitycznego, mglistego… Kipriejew w zupełności zgadzał się z naczelnikiem.

Nocami, zasypiając na swej pryczy w rogu gabinetu rentgenowskiego, doczekawszy się odejścia kolejnej baby od swojego ucznia i informatora, Kipriejew nie chciał jednak uwierzyć Kołymie ani samemu sobie. Przecie blenda to nie jest błahostka. To wyczyn techniczny. Niestety, ani w Moskwie, ani w Magadanie nie chciano mieć nic wspólnego z blendą inżyniera Kipriejewa.

W łagrze nie odpowiadają na listy i nie lubią, aby o tym przypominać. Pozostaje jedynie oczekiwanie. Na przypadek, na jakieś ważne spotkanie.

Wszystko to szarpało nerwy – jeśli ta delikatna jak safian materia mogła być jeszcze cała, mimo że rwana i targana.

Dla aresztanta nadzieja – to stałe kajdany. Nadzieja zawsze zniewala. Człowiek mający na coś nadzieję zmienia swoje zachowanie, częściej bywa nieszczery niż człowiek, który jej nie ma. Dopóki inżynier czekał na decyzję w sprawie tej przeklętej blendy, to puszczał mimo uszu wszystkie żarciki, którymi zabawiało się jego najbliższe naczalstwo, nie mówiąc już o pomocniku, który oczekiwał swego dnia i tej godziny, kiedy zostanie gospodarzem. Rogow nauczył się już robić lusterka – dochód, „napar” był zapewniony.

O blendzie wiedzieli wszyscy. I wszyscy żartowali z Kipriejewa – w tej liczbie sekretarz partyjnej organizacji szpitala, aptekarz Kruglak. Ten pucołowaty aptekarz to był niezły chłop, ale gorący, a co najważniejsze – nauczony, że więźniowie to zwykły motłoch. A ten Kipriejew… Aptekarz

przyjechał do szpitala niedawno i nigdy nie słyszał tej historii związanej z regeneracją żarówek. Nigdy nie pomyślał, ile trudu wymagało skompletowanie gabinetu rentgenowskiego w głuchej tajdze na Dalekiej Północy. Blenda wydawała się Kruglakowi chytrym wymysłem Kipriejewa, pragnieniem „wciskania ciemnoty", „ładowania tufty" – aptekarz już się nauczył tych słów.

W pokoju zabiegowym oddziału chirurgii Kruglak zwymyślał Kipriejewa. Inżynier schwycił taboret i zamachnął się nim na sekretarza organizacji partyjnej. Z miejsca wyrwano mu taboret i wyprowadzono na salę.

Kipriejewowi groziło rozstrzelanie. Lub też odesłanie do karnej kopalni, do zony specjalnej, co było jeszcze gorsze od rozstrzału. Kipriejew miał w szpitalu wielu przyjaciół, nie tylko z powodu luster. Historia z żarówkami była dobrze znana, jeszcze całkiem świeża. Starano się mu pomóc. Ale w tym przypadku – pięćdziesiąt osiem punkt osiem – terror.

Udano się do naczelnika szpitala. Zrobiły to kobiety-lekarze. Naczelnik szpitala Winokurow nie lubił Kruglaka. Znał on i cenił inżyniera, czekał na rezultat zapytania w sprawie blendy, a co najważniejsze, był niezłym człowiekiem. Był on naczelnikiem, który nie wykorzystywał swej władzy dla czynienia zła. Kombinator i karierowicz Winokurow nie przysparzał ludziom dobra, ale też nie życzył nikomu zła.

– Dobrze, nie przekażę pełnomocnemu materiałów dla wszczęcia sprawy przeciwko Kipriejewowi tylko w jednym przypadku – powiedział Winokurow – jeżeli nie będzie raportu osoby poszkodowanej, Kruglaka. Jeżeli raport zostanie przekazany – sprawa się rozpocznie. Karna kopalnia – to minimum.

– Dziękuję.

Z Kruglakiem rozmawiali mężczyźni, jego przyjaciele.

– Czy ty nie rozumiesz, że rozstrzelają człowieka? Przecież on jest wyjęty spod prawa. Nie to co ja i ty.

– Ale on podniósł rękę.

– Ręki nie podniósł, nikt tego nie widział. A ja, gdybym się z tobą kłócił, to już po drugim słowie dałbym ci po mordzie – bo wszędzie leziesz, do wszystkiego się czepiasz.

Kruglak, w istocie porządny chłop, zupełnie nieprzydatny dla kołymskich naczelników – poddał się namowom. Nie oddał raportu.

Kipriejew pozostał w szpitalu. Minął jeszcze miesiąc i do szpitala przyjechał generał major Dieriewjanko, zastępca dyrektora Dalstroju do spraw

łagrów – będący dla więźniów najwyższym naczelnikiem.

Naczalstwo lubiło zatrzymywać się w szpitalu. Było tam dość miejsca dla wysokiego północnego naczalstwa, było gdzie wypić i zakąsić, było gdzie odpocząć.

Generał major Dieriewjanko, naciągnąwszy biały fartuch, chodził z oddziału na oddział, dla rozgrzewki przed obiadem. Generał major był w różowym nastroju i Winokurow zdecydował się zaryzykować.

– Mam tutaj więźnia, który wykonał ważną dla państwa pracę.

– Cóż to za praca?

Naczelnik szpitala jakoś tam wyjaśnił generałowi majorowi, co to takiego blenda.

– Chcę przedstawić tego więźnia do przedterminowego zwolnienia.

Generał major zapytał o dane personalne i otrzymawszy odpowiedź, coś tam pomruczał.

– Słuchaj, co ci powiem, naczelniku – powiedział w końcu – blenda blendą, a ty lepiej odeślij tego inżyniera… Korniejewa…

– Kipriejewa, towarzyszu naczelniku.

– No właśnie, Kipriejewa. Odeślij go tam, gdzie powinien się znajdować zgodnie z danymi personalnymi.

– Słucham, towarzyszu naczelniku.

Po tygodniu Kipriejewa odesłano, a gdy minął następny tydzień, rozregulował się rentgen i Kipriejewa ponownie wezwano do szpitala.

Teraz nie było żartów – Winokurow obawiał się, ażeby gniew generała majora nie obruszył się na niego.

Naczelnik zarządu nie uwierzy, że rentgen się rozregulowuje. Kipriejew został wypisany na etap, ale zachorował i pozostał w szpitalu. Teraz nie mogło być już mowy o pracy w gabinecie rentgenowskim. Kipriejew rozumiał to dobrze.

Kipriejew cierpiał na zapalenie wyrostka sutkowatego – to wynik przechłodzenia głowy na łagrowej, kopalnianej pryczy. Operacja była życiową koniecznością. Nikt nie chciał jednak wierzyć ani temperaturze, ani oświadczeniom lekarzy. Winokurow szalał, żądał jak najszybszej operacji. Najlepsi chirurdzy szpitala przygotowywali się do zrobienia jej Kipriejewowi. Chirurg Braude był nieomal specjalistą od zapaleń wyrostka sutkowatego. Na Kołymie jest więcej przeziębień, niż trzeba, i Braude był bardzo doświadczony w tym względzie, wykonał setki takich operacji. Ale on miał tylko asystować. Operację miała przeprowadzić doktor Nowikowa, wybitny oto-

laryngolog, uczennica Wołczeka, który wiele lat przepracował w Dalstroju. Nowikowa nigdy nie była więziona, ale już wiele lat przepracowała na północnych krańcach kraju. I nie o wielkie ruble tu chodziło, a o to, że na Dalekiej Północy Nowikowej wiele wybaczano. Nowikowa była nałogową alkoholiczką. Utalentowana i mądra, a przy tym piękna, błąkała się latami po Dalekiej Północy. Rozpoczynała zawsze wspaniale, a potem przepadała na długie tygodnie.

Nowikowa miała pięćdziesiąt lat. Nie było nikogo z wyższymi od niej kwalifikacjami. Teraz akurat była w alkoholowym transie, który się już kończył, i naczelnik szpitala zezwolił na zatrzymanie Kipriejewa na kilka dni.

W ciągu tych kilku dni Nowikowa stanęła na nogi. Ręce przestały jej się trząść i wspaniale przeprowadziła operację – pożegnalny, w pełni medyczny podarunek swojemu technikowi od aparatury rentgenowskiej. Asystował jej Braude i Kipriejewa położono w szpitalu.

Kipriejew zrozumiał, że już nie może mieć więcej nadziei, że nie pozostanie w szpitalu ani jednej dodatkowej godziny. Czekał go ten zaszyfrowany łagier, gdzie do pracy wychodzono piątkami, łokieć przy łokciu, gdzie po trzydzieści psów otaczało kolumnę, kiedy pędzono więźniów.

W tej ostatniej beznadziei Kipriejew pozostał sobą. Kiedy kierownik oddziału wypisał choremu po operacji wyrostka sutkowatego, więźniowi-inżynierowi po poważnej operacji, specjalną, lepszą dietę – Kipriejew odmówił, oświadczając, że w trzystuosobowym oddziale znajdują się ciężej niż on chorzy, mający większe prawo do specjalnej diety.

I Kipriejewa odwieziono.

Przez piętnaście lat szukałem inżyniera Kipriejewa. Jego pamięci poświęciłem sztukę – zdecydowany sposób na ingerencję człowieka w życie pozagrobowe.

To było mało napisać sztukę poświęconą jego pamięci. Trzeba było jeszcze trafu, żeby w mieszkaniu komunalnym, przy centralnej ulicy w Moskwie, gdzie mieszka moja dawna znajoma, zmieniła się sąsiadka. Na podstawie ogłoszenia o zamianie.

Nowa sąsiadka, zawierająca znajomość z mieszkańcami, zauważyła przy wyjściu sztukę o Kipriejewie leżącą na stole; pokręciła ją w rękach. „Litery inicjałów są zgodne z inicjałami mojego znajomego. Tylko że on nie znajduje się na Kołymie, lecz w zupełnie innym miejscu”. Moja znajoma

zadzwoniła do mnie. Nie chciałem o tym rozmawiać. To pomyłka. A do tego bohaterem sztuki jest lekarz, a Kipriejew – to inżynier fizyk.

– No, właśnie, inżynier fizyk.

Ubrałem się i pojechałem do nowej lokatorki komunalnego mieszkania.

Los wyplata misterne wzory. Dlaczego? Dlaczego trzeba było tylu zbiegów okoliczności, ażeby zrządzenie losu wyrażone zostało tak przekonywająco? Za mało się wzajemnie szukamy i los bierze nasze życie w swoje ręce.

Inżynier Kipriejew pozostał przy życiu i mieszka na Północy. Wyszedł na wolność jeszcze dziesięć lat temu. Zawieziono go do Moskwy i pracował w zamkniętych łagrach. Po zwolnieniu powrócił na Północ. Chce tam pracować aż do emerytury.

Widziałem się z inżynierem Kipriejewem.

– Uczonym ja już nie będę. A szeregowym inżynierem – tak. Powrócić wyzutym z praw, zacofanym, kiedy wszyscy moi koledzy z pracy i ze studiów są już dawno laureatami?

– Co za bzdura!

– Nie, to nie bzdura. Na Północy łatwiej mi żyć. Łatwiej mi będzie oddychać przed emeryturą.

LIDA

Łagrowy wyrok, ostatni łagrowy wyrok Krista tajał. Martwy, zimowy lód drążony był wiosennymi strumyczkami czasu. Krist nauczył się nie zwracać uwagi na zaliczenia roboczych dni – środek niszczący wolę człowieka, zdradzieckie widmo nadziei, które demoralizuje aresztanckie dusze. Ale bieg czasu stawał się wciąż szybszy – tak zawsze bywa pod koniec wyroku; błogosławieni są ci, którzy zwolnili się nagle, przedterminowo.

Krist odganiał od siebie myśli o wolności, o tym, co w świecie Krista nazywa się wolnością.

Wychodzić na wolność – to bardzo trudna sprawa. Krist znał to z własnego doświadczenia. Wiedział, jak trzeba się na nowo uczyć życia, jak trudno wchodzić w świat istniejący w innych wymiarach, posiadający inne oceny moralne, jak trudno jest wskrzeszać pojęcia, które istniały w duszy człowieka przed jego aresztowaniem. Te pojęcia to nie były iluzje, lecz prawa innego, wcześniejszego świata.

Zwalniać się było trudno – ale i radośnie – gdyż zawsze znajdowały się, unosiły z dna duszy siły, które zapewniały mu pewność zachowania, śmiałość postępków i twarde spojrzenie na świtający, jutrzejszy własny dzień.

Krist nie obawiał się życia, ale też wiedział, że igrać z nim nie można, bo życie to poważna rzecz.

Krist wiedział również coś innego – że wychodząc na wolność, zostaje na zawsze „oznakowanym”, na zawsze „napiętnowanym” – obiektem polowania dla psów gończych, które w każdej chwili władcy życia mogą spuścić ze smyczy.

Krist nie bał się jednak pogoni. Sił było jeszcze wiele – duchowych nawet więcej niż przedtem, fizycznych – mniej…

Łowy trzydziestego siódmego roku zaprowadziły Krista do więzienia, po nowy, zwiększony wyrok, a kiedy i ten się skończył, otrzymał następny – jeszcze większy. Ale do rozstrzału prowadziło jeszcze kilka stopni, kilka szczebli tej strasznej drabiny łączącej człowieka z państwem.

Zwalniać się było niebezpiecznie. Na każdego więźnia kończącego wyrok zaczynało się w ostatnim roku regularne polowanie – czy przypadkiem nie na rozkaz i według opracowań Moskwy? – a przecież niby „włos ci z głowy nie spadnie” i tak dalej. Polowanie składające się z prowokacji, donosów, przesłuchań. W uszach tych, co czekali na zwolnienie, rozbrzmiewały wciąż głośniej i głośniej dźwięki strasznej łagrowej orkiestry, orkiestry-jazzu – siedmiu dmucha, jeden stuka. Ton jej był coraz bardziej złowrogi i mało kto mógł z powodzeniem – i przypadkowo! – ominąć ten więcierz, ten sak, niewód, usiąść w łódź i wypłynąć na otwarte morze, które dla oswobadzających się nie miało punktów orientacyjnych ani bezpiecznych kursów, po którym ani dniem, ani nocą pływanie nie było bezpieczne.

Krist znał to wszystko, bardzo dobrze pojął i wiedział, wiedział od dawna i strzegł się, jak tylko potrafił. Ale ustrzec się nie było można.

Obecnie kończył się trzeci, dziesięcioletni wyrok i trudno by było obliczyć ilość aresztowań, rozpoczętych spraw, prób spowodowania nowego wyroku, które skończyły się na niczym dla Krista, co oznacza, że były jego zwycięstwem, jego sukcesem. I Krist ich nie liczył. Liczyć je w łagrze to zły znak.

Kiedyś tam Krist, będąc dziewiętnastoletnim chłopcem, otrzymał swój pierwszy wyrok. Duszę Krista zawsze ożywiała chęć samozaparcia, a nawet ofiarności, pragnienie robienia wszystkiego własnymi rękami, a nie komenderowania, i wszystko to istniało razem z namiętnym uczuciem niepoddawania się cudzym rozkazom, cudzym poglądom, cudzej woli. Na dnie duszy Krista czaiło się zawsze pragnienie zmierzenia się siłami z człowiekiem siedzącym za stołem śledczego – pochodziło ono z młodzieńczych lektur i od ludzi, których widział i o których słyszał. Takich ludzi było w Rosji wielu, przynajmniej w Rosji żyjącej na kartach książek, w tym niebezpiecznym książkowym świecie.

We wszystkich kartotekach Związku Sowieckiego włączono Krista do ewidencji „ruchu” i kiedy dano sygnał do kolejnej nagonki, pojechał na Kołymę ze śmiertelnym piętnem „KRTD”. Liternik, literka, posiadacz najniebezpieczniejszej litery „T”. Na kawałku cienkiej papierosowej bibułki, wklejonej do „akt personalnych sprawy” Krista – „specjalna dyrektywa Moskwy” na kawałku cieniutkiego, przezroczystego papieru; tekst jej wydrukowany został ze szklanej płyty bardzo niewyraźnie, bardzo nieudolnie – być może też, że był to jakiś dziesiąty egzemplarz z maszyny do pisania. Przypadkowo Kristowi udało się mieć w ręku tę śmiercionośną kartkę –

nazwisko jego wpisane było pewną ręką, beztroskim, jasnym charakterem pisma kancelisty, tak jakby drukowany tekst był niepotrzebny temu, kto pisze na ślepo, nie patrząc, gdzie wpisze nazwisko, utrwalając je atramentem w odpowiednim wierszu. *W okresie uwięzienia pozbawić telegraficznej łączności pocztowej, wykorzystywać jedynie do ciężkiej, fizycznej pracy, donosić o zachowaniu raz na kwartał.*

„Dyrektywa specjalna" nakazywała zabić, nie wypuszczać żywym, i Krist to rozumiał. Nie było tylko kiedy o tym myśleć. I – nie chciało się myśleć.

Wszyscy „dyrektywowicze" wiedzieli, że ten kawałeczek papierosowej bibułki staje się obowiązujący dla każdego przyszłego naczalstwa – od konwojenta do naczelnika zarządu łagrów – aby śledzili, donosili, przedsiębrali środki, a jeśli jakikolowiek maleńki naczelnik nie wykaże się aktywnością w niszczeniu posiadaczy „dyrektyw specjalnych" – to doniosą na niego jego właśni koledzy, jego współpracownicy. Spotka się również z dezaprobatą wyższego naczalstwa. I jeśli aktywnie nie będzie uczestniczyć w wypełnianiu moskiewskich nakazów – to w łagrze kariera jego jest beznadziejna.

W oddziale zwiadu węglowego więźniów było mało. Buchalter oddziału, będący jednocześnie sekretarzem naczelnika, nie-polityczny, „pospoliciak" Iwan Bogdanow, rozmawiał z Kristem kilka razy. Była tam dobra robota – stróża. Stary Estończyk, dotychczasowy stróż, zmarł na serce. Krist marzył o tej pracy. I nie umieszczono go tam… Krist przeklinał. Słuchał go Iwan Bogdanow.

– Ty masz dyrektywę specjalną – powiedział.

– Wiem.

– Czy wiesz, jak to jest urządzone?

– Nie.

– „Akta personalne" są w dwu egzemplarzach. Jeden wędruje z człowiekiem, jako jego dowód osobisty, a drugi – „do przechowania w zarządzie łagrów". Ten drugi jest oczywiście niedostępny, ale nikt nigdy tam niczego nie sprawdza. Istota rzeczy leży w miejscowym karteluszku, w tym, który ci towarzyszy.

Niedługo potem Bogdanowa gdzieś przenoszono. Przyszedł pożegnać się z Kristem wprost na miejsce pracy, do rozpoznawczego szurfu. Maleńkie ognisko-podkurzacz odganiało komary. Iwan Bogdanow siadł na skraju szurfu i wyjął zza pazuchy papierek, cieniutki i wyblakły.

– Jutro wyjeżdżam. Oto twoja „dyrektywa specjalna”.

Krist przeczytał i zapamiętał na zawsze. Iwan Bogdanow wziął papierek i spalił go nad ogniskiem, nie wypuszczając z rąk, dopóki nie wypaliła się ostatnia litera.

– Życzę ci…

– Bądź zdrów.

Zmienił się naczelnik, zmienił się też sekretarz naczelnika – Krist miał w życiu bardzo wielu naczelników.

W kopalni zaczął bardzo mocno się męczyć i wiedział, co to oznacza. Zwolniło się stanowisko obsługującego wciągarkę. Ale Krist nie miał nigdy nic wspólnego z mechanizmami i nawet na radiolę spoglądał niepewnie, bez przekonania. Jednak Siemionow, błatniak, który odchodził z tej pracy do lepszej, uspokoił Krista.

– Ale z ciebie „jeleń”, frajerze, to wprost nie do wytrzymania. Wy wszyscy, frajerzy, jesteście tacy. Wszyscy. Czego się boisz? Więzień nie powinien się bać żadnych mechanizmów. Właśnie tu trzeba się uczyć. Żadnej odpowiedzialności. Trzeba tylko trochę śmiałości i to wszystko. Łap się za dźwignie i nie zatrzymuj mnie tutaj, bo ucieknie mi szansa…

I jakkolwiek Krist wiedział, że błatniacy to jedno, a frajer, zwłaszcza frajer z biletem specjalnym „KRTD”, to zupełnie, zupełnie coś innego, jeżeli mowa o odpowiedzialności – ta pewność Siemionowa jakoś mu się udzieliła.

Dyspozytor był ten sam i spał na miejscu, w kącie baraku. Krist podszedł do niego.

– Przecież ty masz dyrektywę specjalną.

– Skąd mam o tym wiedzieć?

– Ty to nie wiesz. Ale i ja, załóżmy, nie widziałem twoich „akt”. Spróbujemy.

W ten sposób Krist został operatorem wciągarki, poruszał dźwigniami windy elektrycznej, rozwijał stalową linę, opuszczał wagoniki w głąb kopalni. Trochę odpoczął. Miesiąc. A potem przyjechał jakiś „nie-polityczny” mechanik i Krist ponownie został odesłany do kopalni, popychał wagoniki, nasypywał węgiel i rozmyślał nad tym, że ten mechanik sam nie zechce pozostać przy tej nijakiej pracy operatora wciągarki, niedającej żadnego „nawaru”, że tylko dla takich literek jak Krist kopalniana wciągarka – to raj, i że kiedy ten „nie-polityczny” mechanik odejdzie, to Krist ponownie będzie poruszać te błogosławione dźwignie i włączać wciągarkę.

Ani jeden dzień z łagrowego okresu nie został przez Krista zapomniany. Stąd, z kopalni, zawieziono go do zony specjalnej, sądzono i dano mu ten właśnie wyrok, który dobiegał końca.

Krist zdołał ukończyć kurs felczerski i pozostał przy życiu, a co ważniejsze – zdobył niezależność, co było bardzo ważną cechą medycznej profesji na Dalekiej Północy, w łagrze. Obecnie Krist był kierownikiem izby przyjęć ogromnego, łagrowego szpitala.

Ale nie można było się ustrzec. Litera „T” w specjalnym bilecie Krista była cechą, piętnem, znakiem szczególnym, na podstawie którego szczuto Krista przez wiele lat, nie wypuszczając go z lodowatych, złotych wyrobisk przy sześćdziesięciostopniowym, kołymskim mrozie. Zabijając ciężką pracą, ponad siły, sławioną jako sprawa honoru, sławy, dzielności i bohaterstwa, zabijając rękami naczelników, kolbami konwojentów, kułakami brygadzistów, kuksańcami fryzjerów, łokciami kolegów… Zabijając głodem – nędzą łagrowej „zupki”.

Krist wiedział, widział i zaobserwował nieskończenie wiele razy, że żaden inny paragraf kodeksu karnego nie jest tak niebezpieczny dla państwa jak jego specjalny bilet z literą „T”. Ani zdrada ojczyzny, ani terror, ani ten cały straszny bukiet „punktów” pięćdziesiątego ósmego paragrafu. Czteroliterowy bilet Krista oznaczał zwierzę, które należy zabić, które nakazano zabić.

Na kogoś takiego polował cały konwój wszystkich łagrów, w przeszłości, obecnie i będzie tak robić w przyszłości – żaden naczelnik w tym świecie nie chciałby okazać słabości w tępieniu takiego „wroga ludu”.

Obecnie Krist jest felczerem dużego szpitala i prowadzi wielką wojnę z błatniakami – z tym światem kryminalistów, który państwo przywołało sobie na pomoc w trzydziestym siódmym roku, ażeby zniszczyć Krista i jego kolegów.

W szpitalu Krist dużo pracował, nie szczędząc sił ani czasu. Wyższe naczalstwo, zgodnie ze stałym nakazem Moskwy, nieraz wydawało polecenia, aby takich jak on usuwać z pracy i wysyłać na roboty ogólne. Ale naczelnik szpitala był starym kołymianinem i rozumiał, ile jest warta energia takich ludzi jak Krist. Naczelnik doskonale wiedział, że wkłada on wiele w swą pracę i będzie tak dalej czynić. A Krist też wiedział, że naczelnik to rozumie.

I oto wyrok powoli topniał jak zimowy lód w kraju, gdzie nie ma wiosennych, ciepłych deszczy przeobrażających życie, lecz tylko powolna, niszcząca praca słońca, raz chłodnego, raz palącego. Wyrok tajał, w miarę jak lód ustępował. Koniec wyroku był bliski.

Trwożna przyszłość zbliżała się do Krista. Cała będzie zatruta tą ważną notatką o karalności i paragrafie z literami „KRTD”. Ten zestaw liter zamknie mu drogę ku każdej przyszłości, w każdym miejscu w kraju, przy każdej pracy na całe życie. A litera „T” nie tylko pozbawi go dowodu osobistego, ale na zawsze nie pozwoli urządzić się w pracy, nie da mu wyjechać z Kołymy. Krist uważnie przyglądał się zwolnieniom tych nielicznych, którzy podobnie jak on dążyli do wyjścia na wolność, będąc w przeszłości napiętnowani literą „T” – w swoim moskiewskim wyroku, w swoim łagrowym dowodzie-formularzu i w swoich „aktach personalnych”.

Krist usiłował przedstawić sobie rozmiary tej gnuśnej siły, która sterowała ludźmi, starał się ją trzeźwo ocenić.

W najlepszym przypadku zostanie, po odbyciu wyroku, na tej samej pracy, w tym samym miejscu. Nie wypuszczą go z Kołymy. Pozostawią w oczekiwaniu na pierwszy sygnał, na pierwszy głos rogu wzywający do szczucia…

Co robić? Najprościej ze wszystkiego, być może – sznur… Wielu w taki sposób rozwiązywało ten właśnie problem. Nie! Krist będzie walczyć do końca. Walczyć jak zwierzę, walczyć tak, jak go uczono w czasie tej wieloletniej nagonki na człowieka, prowadzonej przez państwo.

Krist nie spał przez wiele nocy, rozmyślając o swoim prędkim, nieuniknionym zwolnieniu. Nie przeklinał, ale się obawiał. Poszukiwał właściwego rozwiązania.

Olśnienie przyszło, jak zawsze, niespodziewanie. Nagle, ale w następstwie strasznego napięcia – napięcia nie umysłowego ani sił serca, lecz całego jestestwa Krista. Przyszło tak, jak pojawiają się najlepsze wiersze, najlepsze linijki opowiadania. Myśli się nad nimi nocą i dniem, i przychodzi olśnienie jako radość z właściwego słowa, jako radość rozwiązania. Nie jest to jednak radość nadziei – na drodze Krista było zbyt wiele rozczarowań, błędów i ciosów.

Ale olśnienie nadeszło. Lida…

Krist pracował już długo w tym szpitalu. Jego niezmienne oddanie sprawom szpitala, energia i stałe wnikanie we wszystko, co tego szpitala dotyczyło – zawsze z myślą o jego korzyści! – stworzyło więźniowi Kristowi

specjalną pozycję. To nie felczer Krist był kierownikiem izby przyjęć, stanowisko to było dla wolnych. Nie wiadomo, kto je zajmował: wykaz etatów zawsze był rebusem, co miesiąc rozwiązywanym przez dwóch ludzi – naczelnika szpitala i głównego buchaltera. Przez całe swoje świadome życie Krist lubił faktyczną władzę, a nie zaszczyty na pokaz. W działalności pisarskiej Krista – w młodych latach – nie kusił go rozgłos, lecz uświadomienie sobie własnej siły i umiejętności napisania czegoś nowego, własnego, czego nikt inny zrobić nie może.

Prawnymi gospodarzami izby przyjęć byli dyżurni lekarze, ale w kolejności dyżurów było ich trzydziestu, i ciągłość nakazów, bieżącej łagrowej „polityki" i innych praw dotyczących świata więźniów i ich panów przechowywała jedynie pamięć Krista. Są to subtelne problemy, nie dla każdego dostępne. Ale wymagają uwagi i właściwych rozwiązań – dyżurni lekarze dobrze to rozumieli. Praktycznie decyzja o hospitalizacji każdego chorego należała do Krista. Lekarze wiedzieli o tym, mieli nawet bezpośrednie wskazówki naczelnika w tym względzie – oczywiście ustne.

Przed dwoma laty dyżurny lekarz-więzień odprowadził Krista na bok…

– Jest tutaj jedna dziewczyna.

– Żadnych dziewczyn.

– Poczekaj. Ja sam jej nie znam. Tu rzecz jest w tym… – i lekarz począł mu szeptać do ucha słowa brutalne i obrzydliwe. Rzecz polegała na tym, że naczelnik łagrowej instytucji, łagrowego oddziału, prześladował swoją sekretarkę – oczywiście „nie-polityczną". Jej łagrowego męża dawno już zgnojono w karnej kopalni na rozkaz naczelnika. Ale żyć z naczelnikiem nie zechciała. I właśnie teraz, przejazdem – etap jedzie dalej – czyni próbę dostania się do szpitala, ażeby uniknąć prześladowania. Z centralnego szpitala chorych po wyzdrowieniu nie odsyłają z powrotem: poślą na inne miejsce. Być może tam, gdzie jej ręka naczelnika nie dosięgnie.

– A, to tak – powiedział Krist. – Ano, dawaj tu tę dziewczynę.

– Ona jest tutaj. Wejdź, Lida!

Niewysoka, jasnowłosa dziewczyna stanęła przed Kristem i śmiało spotkała jego spojrzenie.

Ach, jak wiele ludzi przeszło przed oczami Krista w jego życiu. Ile tysięcy oczu pojął i rozszyfrował. Krist mylił się rzadko, bardzo rzadko.

– Dobrze – powiedział. – Kładźcie ją do szpitala.

Naczelniczek, który przywiózł Lidę, rzucił się do szpitala – protestować. Ale dla szpitalnych nadzorców młodszy lejtnant – to niewielka szarża. Nie

wpuszczono go do szpitala. Do pułkownika, naczelnika szpitala – nie dostał się, udało mu się tylko trafić do majora – naczelnego lekarza. Z trudem doczekał się przyjęcia i zameldował, o co chodzi. Naczelny poprosił lejtnanta, aby ten nie pouczał lekarzy w szpitalu, kto jest chory, a kto nim nie jest. A poza tym – dlaczego interesuje go los jego sekretarki? Niech poprosi o inną w miejscowym łagrze. Przyślą mu. Słowem, on, lekarz naczelny, nie ma więcej czasu. Następny…!

Lejtnant, przeklinając, odjechał i znikł na zawsze z życia Lidy.

Tak się zdarzyło, że Lida pozostała w szpitalu, pracowała na jakimś tam stanowisku w biurze i była członkiem kółka artystycznego. Krist nie dowiedział się, jaki miała paragraf – nigdy się nie interesował, za co zostali skazani ludzie, których spotykał w łagrze.

Szpital był ogromny. Olbrzymi dwupiętrowy budynek. Dwa razy na dobę konwój przyprowadzał „zmianę” obsługi z łagrowej zony – lekarzy, siostry, felczerów, sanitariuszy. Obsługa bezszelestnie rozbierała się w garderobie i tak samo bezgłośnie rozpływała się po oddziałach szpitala, i dopiero po przyjściu na miejsce pracy, zamieniała się w Wasilija Fiodorowicza, Annę Nikołajewną, Katię i Pietię, Waśkę i Żeńkę, „długiego” i „ospowatą” – w zależności od stanowiska, czy to był lekarz, siostra, szpitalny sanitariusz, czy też ktoś z obsługi zewnętrznej szpitala.

W związku ze swoją całodobową pracą Krist nie chodził do łagru. Czasami widywali się z Lidą i uśmiechali do siebie. Wszystko to było przed dwoma laty. W szpitalu już dwukrotnie zmienili się naczelnicy wszystkich jego „sekcji”. Nikt już nie pamiętał, jak położono Lidę do szpitala. Pamiętał – tylko Krist. Należało się dowiedzieć, czy Lida o tym pamięta.

Decyzja została podjęta i w czasie zebrania obsługi Krist podszedł do Lidy.

Łagier nie lubi sentymentalizmu, nie lubi długich i niepotrzebnych wstępów i wyjaśnień, nie lubi różnego rodzaju „podejść”.

I Lida, i Krist byli starymi kołymianami.

– Słuchaj, Lido, ty pracujesz w dziale ewidencji?

– Tak – powiedziała Lida. – Naczelnik sam też pisze na maszynie. Ale pisze marnie, niszczy blankiety. Wszystkie te dokumenty zawsze piszę ja sama.

– Wkrótce będziesz pisać dokumenty dla mnie.

– Gratuluję… – Lida strzepnęła z fartucha Krista niewidoczny pyłek.

– Będziesz wpisywać, czy był karany uprzednio, tam przecież jest taka rubryka?

– Tak, jest.

– Przepuść w słowie „KRTD” literę „T”.

– Zrozumiałam – powiedziała Lida.

– Jeżeli naczelnik zauważy, gdy będzie podpisywać – to uśmiechniesz się i powiesz, że pomyliłaś się. Że popsułaś blankiet…

– Wiem sama, co powiedzieć…

Obsługa ustawiła się już do wyjścia.

Minęły dwa tygodnie i Krista wezwano, wręczając mu zaświadczenie o zwolnieniu, bez litery „T”.

Do oddziału wydającego dowody osobiste razem z Kristem pojechało dwu znajomych inżynierów i lekarz, ażeby zobaczyć, jaki on otrzyma dowód. Czy może odmówią mu jako… Dokumenty oddawało się do okienka, odpowiedź po czterech godzinach. Krist zjadł obiad u znajomego lekarza bez żadnego zdenerwowania. We wszystkich takich przypadkach trzeba umieć się zmusić do obiadu, śniadania i kolacji.

Po czterech godzinach okienko wyrzuciło liliowy papierek rocznego dowodu osobistego.

– Na rok? – spytał Krist ze zdumieniem, wkładając w to pytanie własny osobisty sens.

W okienku ukazała się wygolona twarz wojskowego.

– Na rok. Nie mamy w tej chwili pięcioletnich blankietów. Taki się dowód panu należy. Jeżeli pan chce, proszę pozostać do jutra – przywiozą dowody, przepiszemy. A może za rok pan go wymieni?

– To ja już lepiej po roku go wymienię.

– Oczywiście. – Okienko zatrzasnęło się.

Znajomi Krista byli zdumieni. Jeden inżynier nazwał to szczęśliwym przypadkiem dla Krista, inny widział w tym dawno oczekiwane złagodzenie reżimu, tę pierwszą jaskółkę, która niezawodnie, na pewno przyniesie wiosnę. A lekarz upatrywał w tym woli Bożej.

Krist nie wyraził Lidzie ani jednego słowa wdzięczności. Ona też tego nie oczekiwała. Za to się nie dziękuje. Wdzięczność – to słowo nie na miejscu.

TĘTNIAK AORTY

Gienadij Piotrowicz Zajcew przejął dyżur o dziewiątej rano, a już o pół do jedenastej przyszedł etap chorych – kobiet. Pomiędzy nimi znajdowała się ta właśnie chora, o której uprzedzał Gienadija Piotrowicza Podszywałow – Jekatierina Głowacka. Ciemnoskóra, pełna, spodobała się Gienadijowi Piotrowiczowi, bardzo się spodobała.

– Ładna? – spytał felczer, gdy odprowadzono chore do łaźni.

– Ładna…

– To… – I felczer coś powiedział szeptem na ucho doktorowi Zajcewowi.

– To co, że Sieńki? – głośno powiedział Gienadij Piotrowicz. Sieńki czy Wieńki, a próba nic nie kosztuje.

– No to powodzenia. Życzę z całego serca!

Pod wieczór Gienadij Piotrowicz udał się na obchód szpitala. Dyżurni felczerzy, znając Zajcewowskie nawyki, nalewali do menzurek niezwykłe mieszaniny z *tinctura absenti* i *tinctura valeriani*, a nawet likier „Błękitna noc”, czyli po prostu denaturat. Twarz Gienadija Piotrowicza stawała się coraz bardziej czerwona, a krótko ostrzyżone włosy nie ukrywały purpurowej łysiny dyżurnego lekarza. Do żeńskiego oddziału Zajcew dotarł o jedenastej wieczorem. Oddział był już zamknięty na żelazne zasuwy, aby uniknąć zamachu gwałcicieli – błatniaków z oddziałów męskich. W drzwiach znajdował się „judasz”, czyli „oczko”, oraz guzik dzwonka elektrycznego na wartownię, do pomieszczenia straży.

Gienadij Piotrowicz zastukał, „oczko” mignęło i zabrzęczały zasuwy. Drzwi otworzyła nocna siostra dyżurna. Słabostki Gienadija Piotrowicza były jej doskonale znane, odnosiła się do nich z pobłażliwością, jaką ma jeden aresztant w stosunku do drugiego.

Gienadij Piotrowicz poszedł do zabiegówki i siostra podała mu menzurkę z „Błękitną nocą”. Wypił ją.

– Zawołaj mi tę, z tych dzisiejszych… Głowacką.

– Ale przecież… – Siostra z wyrzutem wskazała głową.

– Nie twoja sprawa. Zawołaj ją tutaj…

Katia zastukała do drzwi i weszła.

Dyżurny lekarz zamknął drzwi na zasuwkę.

Katia przysiadła na skraju kozetki. Gienadij Piotrowicz rozpiął jej szlafrok, zsunął kołnierz i wyszeptał:

– Powinienem cię osłuchać… twoje serce… Twoja kierowniczka prosiła… Ja po francusku… bez stetoskopu…

Gienadij Piotrowicz przywarł owłosionym uchem do ciepłej piersi Katii. Wszystko odbywało się tak, jak dziesiątki razy przedtem, z innymi. Twarz Gienadija Piotrowicza spurpurowiała, słyszał tylko głuche uderzenia własnego serca. Objął Katię. Nagle usłyszał jakiś dziwny i dobrze mu znajomy dźwięk. Wydawało się, że gdzieś obok mruczy kot czy też szemrze górski strumień. Gienadij Piotrowicz w zbyt wielkim stopniu był lekarzem – przecież asystował kiedyś Pletniewowi.

Jego własne serce biło coraz wolniej, coraz równiej. Gienadij Piotrowicz wytarł spocone czoło ręcznikiem i zaczął osłuchiwać Katię od początku. Poprosił ją, aby się rozebrała, i ona to uczyniła, zaniepokojona zmienionym tonem i trwogą w jego oczach i głosie.

Gienadij Piotrowicz wsłuchiwał się jeszcze raz, i jeszcze raz – kocie mruczenie nie milkło.

Pochodził po pokoju i otworzył zasuwkę. Nocna siostra dyżurna, uśmiechając się konfidencjonalnie, weszła do pokoju.

– Proszę mi dać historię choroby tej chorej – powiedział Gienadij Piotrowicz. – I proszę ją odprowadzić. Proszę mi wybaczyć, Katiu.

Gienadij Piotrowicz wziął teczkę z historią choroby Głowackiej i usiadł przy stole.

– Widzi pan, Wasiliju Kalinyczu – mówił na drugi dzień z rana naczelnik szpitala do nowego sekretarza organizacji partyjnej – pan jest młodym kołymianinem i nie zna pan wszystkich podłości panów katorżników. Proszę przeczytać, co dzisiaj machnął lekarz dyżurny. Oto raport Zajcewa.

Sekretarz podszedł do okna i odsunąwszy firankę, złowił na papier trochę światła rozpraszanego przez gruby lód za oknem.

– No więc?

– To, zdaje się, bardzo niebezpieczne…

Naczelnik zarechotał.

– Mnie – powiedział dumnie – mnie pan Podszywałow nie nabierze.

Podszywałow był więźniem, kierownikiem amatorskiego kółka „pańszczyźnianego teatru”, jak żartował sobie naczelnik.

– Na co?

– A oto na co, mój drogi Wasiliju Kalinyczu. Ta dziewucha – Głowacka – była w kultbrygadzie. Artyści przecież, wie pan, korzystają z pewnych swobód. Ona jest babą Podszywałowa.

– To tak…

– Samo się przez się rozumie, że jak tylko to ujawniono – szurnęliśmy ją z brygady do kobiecej, karnej kopalni. Jeśli chodzi o takie sprawy, Wasiliju Kalinyczu, to my rozłączamy kochanków. Który z nich jest bardziej potrzebny i coś znaczy – zostawiamy u siebie, a tego drugiego – do karnej kopalni…

– To nie jest zbyt sprawiedliwe. Należałoby oboje…

– Wcale nie. Przecież celem jest rozdzielenie. Ten, który przynosi korzyść, pozostaje w szpitalu. I wilk syty, i koza cała.

– Tak, tak…

– Proszę słuchać dalej. Głowacka pojechała do karnego łagru, a po miesiącu przywożą ją bladą, chorą – one przecież wiedzą, jakiego blekotu się nałykać – i kładą do szpitala. Z rana dowiaduję się o tym i każę wypisać ją do diabła. Odwożą ją. A po trzech dniach przywożą znowu. I tu mi powiedzieli, że ona – to wielka mistrzyni w wyszywaniu, przecież one wszystkie z Zachodniej Ukrainy to mistrzynie. Moja żona poprosiła, aby na mały tydzień położyć Głowacką – żona przygotowuje na moje urodziny jakąś niespodziankę, jakiś haft czy co, sam nie wiem… Słowem, wzywam Podszywałowa i mówię mu: Jeżeli dasz mi słowo, że nie będziesz próbował zobaczyć się z Głowacką – to położę ją na tydzień. Podszywałow zaklina się i dziękuje.

– No i co? Widzieli się?

– Nie, nie widzieli się. Ale teraz on działa przez podstawione osoby. Na przykład Zajcew – nie można powiedzieć, niezły lekarz. W przeszłości nawet sławny. Teraz nalega, napisał raport: „Głowacka ma tętniak aorty”. A wszyscy znajdywali u niej nerwicę serca, stenokardię. Z karnego przysyłali ją na chorobę serca, z fałszywym orzeczeniem – nasi lekarze od razu to ujawnili. Zajcew, jeśli chcesz widzieć, pisze, że „każde nieostrożne poruszenie Głowackiej może spowodować śmiertelne zejście”. Widzisz, jak ładują!

– Taak – powiedział sekretarz – ale przecież są jeszcze inni interniści, można dać innym zbadać.

Innym internistom naczelnik dawał Głowacką do zbadania już wcześniej, przed raportem Zajcewa. Wszyscy posłusznie uznali ją za zdrową. Naczelnik rozkazał, aby ją wypisano.

Do gabinetu ktoś zastukał, wszedł Zajcew.

– Pan chociaż przygładziłby włosy, zanim wejdzie do naczelnika.

– Dobrze – powiedział Zajcew, poprawiając włosy. – Ja do pana, obywatelu naczelniku, w ważnej sprawie: odsyłają Głowacką. Ona ma tętniak aorty, ciężki przypadek. Każdy ruch…

– Won stąd! – wrzasnął naczelnik. – Do czego oni już doszli, łajdacy. W gabinecie się już zjawiają.

Katia zebrała swoje rzeczy po tradycyjnym niespiesznym przeszukaniu, włożyła do worka i stanęła w szeregach etapu. Konwojent wywołał jej nazwisko, zrobiła kilka kroków – i ogromne szpitalne drzwi wypchnęły ją na zewnątrz. Przy szpitalnym ganku stała ciężarówka przykryta brezentem. Stojąca w skrzyni ciężarówki siostra medyczna wyciągnęła do Katii rękę. Z gęstej, mroźnej mgły wyszedł Podszywałow. Pomachał do niej rękawicą. Katia uśmiechnęła się do niego spokojnie i wesoło, wyciągnęła do siostry rękę i wskoczyła do samochodu.

Natychmiast zrobiło jej się gorąco w piersiach, zaczęło piec i tracąc przytomność, zobaczyła po raz ostatni zmienioną od strachu twarz Podszywałowa i oblodzone okna szpitala.

– Zanieście ją do izby przyjęć – zarządził dyżurny lekarz.

– Słuszniej by było zanieść do kostnicy – powiedział Zajcew.

KAWAŁEK MIĘSA

Tak, Gołubiew złożył tę krwawą ofiarę. Kawałek mięsa wycięty z jego ciała i rzucony pod nogi wszechmocnemu bóstwu łagrów. Żeby przebłagać boga. Przebłagać czy oszukać? Życie powtarza Szekspirowskie tematy częściej, niż nam się wydaje. Czy lady Makbet, Ryszard III, król Klaudiusz – istnieją tylko w dali średniowiecza? Czy Shylock, który chciał wyciąć z ciała weneckiego kupca funt żywego, ludzkiego mięsa – to tylko bajka? Oczywiście wyrostek robaczkowy ślepej kiszki jest organem szczątkowym, ważącym mniej niż funt. Oczywiście, że krwawa ofiara składana była z zachowaniem pełnej sterylności. A jednak… Szczątkowy organ wcale się takim nie okazał, lecz potrzebnym, aktywnym, ratującym życie…

Koniec roku napełnia strachem życie więźniów. Tych wszystkich, którzy nie są zbyt pewni swego miejsca (a kto z aresztantów może być pewien, że trzyma się go mocno?), oczywiście tych z pięćdziesiątym ósmym paragrafem, którzy po wieloletniej pracy w wyrobisku, w chłodzie i głodzie, wywojowali sobie iluzoryczne, niepewne szczęście kilkumiesięcznej, kilkutygodniowej pracy w swoim zawodzie lub jako jakikolwiek „prydurek” – buchalter, felczer, lekarz, laborant; wszystkich, którzy wybili się na stanowiska zastrzeżone dla wolnych (a tych z wolnego najmu brak) lub dla „niepolitycznych” (ci zaś, karani za przestępstwa pospolite, niewiele sobie cenią te „uprzywilejowane” prace lub – mogąc się zawsze urządzić na taką robotę – zajmują się pijaństwem albo czymś jeszcze gorszym).

Na etatowych stanowiskach pracują ci z pięćdziesiątym ósmym. I pracują dobrze. Doskonale. Ale bez żadnej nadziei. Gdyż wiedzą, że przyjedzie komisja i usunie z pracy, a naczelnikowi da naganę. Naczelnik zaś, nie chcąc psuć sobie stosunków z tą wysoką komisją, zawczasu pousuwa wszystkich, którzy nie powinni zajmować tych uprzewilejowanych stanowisk.

Dobry naczelnik oczekuje przyjazdu komisji; niech komisja sama popracuje – kogo jej się uda usunąć, to zrobi to i zabierze tych ludzi. To niedługa

sprawa. A kogo nie usunie, ten pozostanie, i pozostanie na długo – na rok, aż do przyszłego grudnia.

Trochę głupszy naczelnik sam usunie, nie czekając na przyjazd komisji, ażeby zameldować, że wszystko w porządku.

Ten zaś najgorszy i najmniej doświadczony, uczciwie wykonując rozkazy wysokiego naczalstwa, nie dopuszcza pięćdziesiątego ósmego paragrafu do żadnych prac, oprócz kilofu i taczki, piły i topora. U takich naczelników sprawy się mają najgorzej. Zostają szybko zwalniani z pracy.

Te właśnie najazdy – naloty komisji – bywają zawsze pod koniec roku; wysokie naczalstwo ma własne niedoróbki w zakresie kontroli i pod koniec roku stara się je nadrobić. I wysyła komisje. A są też tacy, co jadą sami. Osobiście. I delegacja leci, i „punkty” nie zostały pozostawione bez osobistego nadzoru – jest przecież miejsce, aby postawić „ptaszka”, że coś zostało wykonane, a również okazja, aby rozprostować kości, przejechać się, a przy tym pokazać siłę swego charakteru, całą swą wielkość.

Wszyscy o tym wiedzą, i więźniowie, i naczelnicy – od najniższych do tych najwyższych, z dużymi gwiazdami na naramiennikach. Nie jest to nowa zabawa, to dobrze znany obrzęd. A jednak denerwujący, niebezpieczny i nie do uniknięcia.

Ten grudniowy przyjazd może dokonać „przełomu” w losie wielu i szybko doprowadzić do grobu wczorajszych szczęśliwców.

Po takich przyjazdach nie bywa w łagrze żadnych zmian na lepsze dla nikogo. Więźniowie, a zwłaszcza ci z pięćdziesiątym ósmym paragrafem, niczego dobrego od tych przyjazdów nie oczekują. Jedynie czegoś złego.

Jeszcze wczoraj wieczorem rozpełzły się słuchy, łagrowa „panika”, te właśnie „parasze”, które się zawsze sprawdzają. Podobno przyjechało jakieś naczalstwo z całym samochodem „wojaków” i z więziennym autobusem, „czarnym krukiem”, ażeby zawieźć swą zdobycz do łagrów dla katorżan. Zakrzątnęli się miejscowi naczelnicy, wielcy stali się małymi w obliczu panów życia i śmierci – jakichś kapitanów, majorów i podpułkowników. Podpułkownik skrywał się gdzieś tam w głębinie gabinetów, a kapitanowie i majorzy biegali na zewnątrz z jakimiś listami, a na tych listach na pewno było nazwisko Gołubiewa. On to czuł, wiedział o tym. Ale jeszcze niczego nie ogłaszano, nikogo nie wywoływano. Jeszcze nikogo w zonie nie „spisywano”.

Przed półtora rokiem, w czasie kolejnego przyjazdu do osady „czarnego kruka”, kolejnego polowania na ludzi, Gołubiew, który nie znajdował się

wtedy na liście, stał obok wartowni z więźniem-chirurgiem. Chirurg pracował w szpitalu nie tylko w swojej specjalności, ale leczył też wszystkie choroby.

Kolejną partię pojmanych, złowionych, ujawnionych aresztantów wpychano do „czarnego kruka”. Chirurg żegnał się ze swym przyjacielem – zabierano go.

A Gołubiew stał obok chirurga. I kiedy ciężarówka potoczyła się, wzbijając obłok kurzu, i skryła w górskim wąwozie, chirurg, spoglądając Gołubiewowi w oczy, tak powiedział o swym jadącym na śmierć przyjacielu:

– Sam sobie winien. Ostry atak ślepej kiszki – i pozostałby tutaj.

Gołubiew dobrze zapamiętał te słowa. Zapamiętał nie tyle samą myśl, co zostało powiedziane, ile to, co pozostało w oczach: twarde spojrzenie chirurga i samochód w obłoku kurzu…

– Dyspozytor cię szuka. – Ktoś tam odbiegł i Gołubiew dojrzał w tym momencie dyspozytora.

– Zbieraj się!

W rękach dyspozytora widniały papiery – lista. Lista była niewielka.

– Zaraz – powiedział Gołubiew.

– Przyjdziesz na wartownię.

Ale Gołubiew nie poszedł na wartownię. Trzymając się obiema rękami za prawą część brzucha, zastękał i pokusztykał w kierunku ambulatorium.

Na ganek wyszedł chirurg, ten sam chirurg, w którego oczach coś się pojawiło, jakieś dawne wspomnienie. Być może pylisty obłok skrywający samochód, który na zawsze wywoził przyjaciela chirurga.

Badanie nie trwało długo.

– Do szpitala. I proszę wezwać siostrę operacyjną. A jako asystenta – lekarza z osady dla wolnych. Niezwłoczna operacja.

W szpitalu, odległym od zony o dwa kilometry, Gołubiewa rozebrano, umyto i wpisano do ewidencji.

Dwaj sanitariusze wprowadzili go i posadzili na stole operacyjnym. Następnie przywiązali parcianymi pasami.

– Zaraz będzie zastrzyk – usłyszał głos chirurga. – Ale ty, zdaje się, jesteś odważny chłopak.

Gołubiew milczał.

– Odpowiadaj! Siostro, proszę rozmawiać z chorym.

– Boli?

– Boli.

– Tak zawsze bywa z miejscowym znieczuleniem – Gołubiew posłyszał głos chirurga, który coś tam objaśniał asystentowi. – To tylko z nazwy znieczulenie. Oto on…

– Wytrzymaj jeszcze trochę!

Gołubiew szarpnął się całym ciałem od ostrego bólu, ale ból natychmiast stracił na ostrości. Chirurdzy coś tam zaczęli mówić jeden przez drugiego, wesoło i głośno. Operacja zbliżała się do końca.

– No, i usunęliśmy ci twój wyrostek. Siostro, proszę choremu pokazać jego mięso. Widzisz?

Siostra zbliżyła do twarzy Gołubiewa wężykowaty kawałek kiszki wielkości połowy ołówka.

– Instrukcja wymaga, żeby choremu pokazać, że krojono go nie na darmo, że wyrostek został rzeczywiście usunięty – to chirurg objaśniał swojemu wolnemu asystentowi. – Oto i mała praktyka dla pana.

– Jestem panu bardzo wdzięczny – powiedział wolny lekarz – za lekcję.

– Za lekcję humanitaryzmu i lekcję miłości bliźniego – niezupełnie jasno wyraził się chirurg, zdejmując rękawiczki.

– Jeśli coś się takiego przydarzy, proszę mnie koniecznie wezwać – powiedział wolny lekarz.

– Jeśli coś takiego, to na pewno wezwę – powiedział chirurg.

Sanitariusze, rekonwalescenci spośród chorych, ubrani w wyreperowane białe fartuchy, wnieśli Gołubiewa do szpitalnej izby. Było to maleńkie pomieszczenie przeznaczone dla chorych po operacji, ale w szpitalu niewiele było operacji i leżeli tam zwykli chorzy.

Gołubiew leżał na plecach, ostrożnie dotykając opatrunku, który go omotywał podobnie do biodrowej przepaski indyjskich fakirów czy jakichś tam jogów. Takie rysunki widywał w czasopismach w czasach swojego dzieciństwa, a potem prawie przez całe życie już nie wiedział, czy są w rzeczywistości tacy fakirzy i jogowie, czy też nie. Ale ta myśl o jogach prześliznęła się przez mózg i znikła. Napięcie woli i nerwowy wstrząs zmniejszały się, a całe ciało Gołubiewa wypełniało przyjemne uczucie spełnionego obowiązku. W każdej komórce jego ciała coś śpiewało jakąś miłą piosenkę. Na razie Gołubiew uratował się przed wysłaniem w nieznane czekającej go katorgi. Ale to tylko odroczenie. Ile dni zabliźnia się rana? Siedem, osiem. Oznacza to ponowne niebezpieczeństwo po dwu tygodniach. Dwa tygodnie – to okres bardzo długi, tysiącletni, wystarczający do tego, aby być przygotowanym na nową próbę. Przecież czas gojenia się rany – te siedem, osiem

podręcznikowych dni, to „pierwszy rychłozrost”, jak powiedzieliby lekarze. A jeśli rana zacznie ropieć? Jeżeli nalepka zakrywająca ranę przedwcześnie odejdzie od skóry? Gołubiew ostrożnie wymacał nalepkę, podsychającą, już stwardniałą merlę, przesyconą gumą arabską. Wymacał poprzez bandaż. Tak… Jest to zapasowe wyjście, rezerwujące jeszcze kilka dni, a być może i miesiąc. Jeżeli zajdzie potrzeba.

Gołubiew wspomniał wielką kopalnianą izbę chorych, w której leżał przed rokiem. Tam prawie wszyscy chorzy odwiązywali swoje bandaże, wprowadzali tam zbawienny brud – wprost z podłogi, rozdrapywali i rozją-trzali rany. Wtedy te opatrunki robione nocą wywoływały w Gołubiewie – był on nowicjuszem – zdziwienie, prawie pogardę. Przeszedł jednak rok i nastroje chorych stały się teraz zrozumiałe dla Gołubiewa, będąc nieomal przedmiotem jego zazdrości. Mógł teraz skorzystać z ówczesnego doświad-czenia.

Gołubiew zasnął i obudził się od tego, że czyjaś ręka odgięła nasunięty na twarz koc (Gołubiew zawsze spał na sposób łagrowy, starając się przede wszystkim chronić głowę w cieple). Pochylała się nad nim czyjaś bardzo piękna twarz, z wąsikami i podstrzyżoną modnie fryzurą. Jednym słowem, była to głowa zupełnie niearesztancka i otworzywszy oczy, Gołubiew pomyślał, że to – wspomnienie, jakby o jogach, albo sen, być może straszny, a być może nie.

– Frajeruga – wychrypiał z rozczarowaniem człowiek, zakrywając kocem twarz Gołubiewa. – Frajeruga. Nie ma tu ludzi.

Gołubiew odgiął z powrotem koc swoimi bezsilnymi palcami i spojrzał na niego. Człowiek ten znał Gołubiewa i Gołubiew też go znał. Na pewno. Ale nie trzeba, nie trzeba się spieszyć z rozpoznaniem. Trzeba sobie dobrze przypomnieć. Wszystko przypomnieć. I Gołubiew przypomniał sobie. Tym człowiekiem ostrzyżonym pod boks był… Oto przy oknie człowiek zdej-muje koszulę i zaraz Gołubiew zobaczy na jego piersi kłębek splecionych żmij… Człowiek obrócił się i kłębek żmij rzeczywiście pojawił się przed oczami Gołubiewa. Był to Kononienko, błatniak, z którym przed kilkoma miesiącami Gołubiew był na punkcie tranzytowym. Ważny błatniak z wie-loma wyrokami za zabójstwa, już kilka lat „przyhamowywał się” w dużych więzieniach śledczych. Jak tylko nadchodził czas wypisania go na etap, Kononienko zabijał na punkcie tranzytowym kogokolwiek, wszystko jedno kogo – dusił ręcznikiem jakiegokolwiek „frajera”. Ulubionym jego narzę-dziem był ręcznik, państwowy ręcznik, stanowiący jego autorski znak.

Oczywiście aresztowano go, rozpoczynano nową sprawę, ponownie sądzono i dodawano nowy dwudziestoletni wyrok do wielu setek lat, które znajdowały się na jego rachunku. Po zasądzeniu Kononienko starał się trafić do szpitala, na „odpoczynek", a potem ponownie zabijał i wszystko rozpoczynało się od nowa. Rozstrzeliwanie błatniaków zostało wówczas zniesione. Rozstrzeliwać można było tylko „wrogów ludu", według pięćdziesiątego ósmego.

Teraz Kononienko znajduje się w szpitalu, rozmyślał spokojnie Gołubiew, i każda komórka jego ciała tętniła radością, niczego się nie obawiając, wierząc w powodzenie. Teraz Kononienko jest w szpitalu. Przechodzi „szpitalną fazę" swoich złowieszczych przemian. Jutro, a być może pojutrze nastąpi, zgodnie z jego programem, kolejne zabójstwo. Czy nie są przypadkiem nadaremne wszystkie starania Gołubiewa – operacja, szalone natężenie woli? Na przykład jego, Gołubiewa, Kononienko udusi jako swą kolejną ofiarę. Być może nie należało uchylać się od odesłania do łagru dla katorżan, gdzie miałbyś asa karowego i sześciocyfrowy numer na plecach, gdzie dają pasiastą odzież? Ale za to tam nie biją, nie rozkradają „tłuszczu". Za to nie ma tam tych licznych Kononienków.

Łóżko Gołubiewa znajdowało się przy oknie. Naprzeciw niego leżał Kononienko. A przy drzwiach, z nogami skierowanymi do nóg Kononienki, leżał trzeci i twarz tego trzeciego Gołubiew dobrze widział, nie trzeba było się obracać, aby ją zobaczyć. Tego chorego Gołubiew również znał. Był to Podosienow, wieczny mieszkaniec szpitala.

Otworzyły się drzwi, wszedł felczer z lekarstwami.

– Kazakow! – krzyknął.

– Jestem – odkrzyknął, wstając, Kononienko.

– Do ciebie gryps. – Felczer przekazał złożony kilkakrotnie papierek.

Kazakow? – kotłowało się bez przerwy w mózgu Gołubiewa. Przecież to nie Kazakow, a Kononienko, „suchar", jak mówią błatniacy o skrywających się pod cudzym nazwiskiem; i pod jego nazwiskiem, Kazakowa, z jego paragrafami, jako „zmiennik", został on położony do tego szpitala. To jeszcze gorsze, jeszcze bardziej niebezpieczne. Gdyby Kononienko był tylko Kononienką – to jego ofiarą mógłby być Gołubiew, ale nie tylko. Tu jeszcze byłby wybór, przypadek, możliwość ratunku. Ale jeśli Kononienko jest Kazakowem – to dla Gołubiewa nie ma ratunku. Jeżeli tylko Kononienko zacznie coś podejrzewać – Gołubiew umrze.

– Ty co, spotykałeś mnie przedtem? Co tak na mnie patrzysz, jak boa dusiciel na królika. Lub jak królik na dusiciela? Jak to się prawidłowo mówi po waszemu, po uczonemu? – Kononienko siedział na taborecie koło łóżka Gołubiewa i darł papierek-gryps swoimi twardymi dużymi palcami, rozrzucając jego strzępy po kocu Gołubiewa.

– Nie, nie spotykałem – wychrypiał Gołubiew, bledniejąc.

– No i dobrze, żeś nie spotykał – powiedział Kononienko, zdejmując ręcznik z gwoździa wbitego nad łóżkiem do ściany i potrząsając nim przed twarzą Gołubiewa. – Jeszcze wczoraj zbierałem się do uduszenia tego „doktora". – Kiwnął głową w kierunku Podosienowa, na którego twarzy pojawiło się bezgraniczne przerażenie. – Co ten łajdak robi – mówił wesoło Kononienko, wskazując ręcznikiem w kierunku Podosienowa. – Do moczu – o tam stoi słoik pod łóżkiem – dodaje własną krew… Zadrapie palec i krople krwi dodaje do moczu. Uczony. Nie gorszy niż lekarz. Wniosek z analizy laboratoryjnej – krew w moczu. I nasz „doktor" pozostaje. No, powiedz, czy godzi się, żeby taki człowiek żył na świecie?

– Nie wiem.

– Nie wiesz? Wiesz. Wczoraj ciebie przynieśli. Byłeś ze mną na tranzytowym, może nie? Zanim mnie wówczas sądzono. Wtedy byłem jako Kononienko.

– Na oczy cię nie widziałem – powiedział Gołubiew.

– Nieprawda, widziałeś. Więc się zdecydowałem. Zamiast „doktora" – ciebie zrobię na czysto. Cóż on jest winien? – Kononienko wskazał na bladą twarz Podosienowa, do której wolno, wolniutko napływała, powracając, krew.

– Cóż on winien? Ratuje swoje życie. Tak jak ty lub na przykład ja…

Kononienko chodził po izbie, przesypując z dłoni do dłoni papierowe strzępy otrzymanej kartki.

– I „zrobiłbym" ciebie, odesłał na Księżyc bez drgnienia ręki. Ale oto felczer przyniósł gryps, rozumiesz… Muszę się stąd szybko wydostać. Suki rżną naszych na kopalni. Wszystkich złodziei znajdujących się w szpitalu wezwano „na pomoc". Ty nie znasz takiego życia… Jesteś frajeruga!

Gołubiew milczał. On znał to życie. Oczywiście jako „frajer", z boku.

Po obiedzie Kononienko został wypisany i na zawsze zniknął z życia Gołubiewa.

Dopóki trzecie łóżko stało puste, Podosienow zdążył przeleźć na skraj łóżka Gołubiewa, usiadł mu w nogach i zaszeptał:

– Kazakow na pewno nas udusi, obu. Trzeba powiedzieć naczalstwu.
– Odczep się, taka twoja mać – powiedział Gołubiew.

MÓJ PROCES

Brygadę naszą odwiedził sam FIODOROW. Jak zwykle w czasie zbliżania się naczalstwa, kółka taczek poczęły się szybciej obracać, a kilofy zadźwięczały raźniej i głośniej. Niewiele zresztą szybciej i niewiele głośniej – tutaj pracowali starzy łagiernicy, stare łagrowe wilki – gwizdali na każde naczalstwo, a przy tym nie było sił. Przyspieszenie tempa pracy było tchórzliwą daniną złożoną na ołtarzu tradycji, a może też przez wzgląd na brygadzistę – jeśli brygada zaprzestałaby pracować, to zostałby on obwiniony o zmowę, usunięty z pracy i osądzony. Bezsilne pragnienie znalezienia powodu do odpoczynku byłoby odebrane jako demonstracja, jako protest! Kółka taczek obracały się szybciej, ale bardziej z uprzejmości niż ze strachu.

FIODOROW, którego nazwisko powtarzały dziesiątki warg, spalonych i popękanych od wiatru i głodu, był pełnomocnym rejonowego oddziału NKWD w kopalni. Właśnie zbliżał się do wyrobiska, gdzie pracowała nasza brygada.

Mało jest widowisk posiadających taką siłę wyrazu jak zestawienie obok siebie ociężałych od tłuszczu figur łagrowego naczalstwa o czerwonych od spirytusu gębach, rozkarmionych, masywnych, odzianych w błyszczące na słońcu nowiutkie, śmierdzące, baranie półkożuszki, futrzane jakuckie czapy z nausznikami i wzorzyste rękawice-„kragi” – z postaciami „dochodiagów”, oberwanych „fitili”, „knotów”, ze sterczącymi na kształt białych dymków strzępami waty z ich znoszonych waciaków, dochodiagów o jednakowych, brudnych, kościstych obliczach i błyszczących od głodu, wpadniętych oczach. Tego rodzaju zestawienia można było widzieć każdego dnia, o każdej godzinie – i w „etapowych” wagonach Moskwa–Władywostok, i w porozrywanych łagrowych namiotach ze zwykłego brezentu, w których więźniowie spędzali zimę na biegunie chłodu, nie rozbierając się i nie myjąc, w których włosy przymarzały do ścianek i gdzie nie sposób było się ogrzać. Dachy namiotów były porozrywane – to kamienie trafiały w nie

w czasie bliskich wybuchów w wyrobiskach. Jeden wielki kamień pozostał w namiocie na zawsze – na nim siadano, jedzono i dzielono chleb…

Fiodorow bez pośpiechu posuwał się po wyrobisku. Za nimi szli jeszcze inni ludzie w półkożuszkach – kim byli, nie dane mi było wiedzieć.

Był to wiosenny okres, nieprzyjemny, kiedy wszędzie występowała lodowata woda, a jeszcze nie wydawano letnich gumowych chodaków-„czuni” i wszyscy mieli na nogach obuwie zimowe – płócienne „burki” uszyte ze starych watowanych spodni, z podeszwą z tego samego materiału, przemakające w ciągu pierwszych dziesięciu minut pracy. Palce u nóg, poodmrażane i krwawiące, ziębły nie do zniesienia. W gumowych chodakach też nie było lepiej przez pierwsze tygodnie – guma z łatwością przekazywała chłód wiecznej zmarzliny i nie było ucieczki od ćmiącego bólu.

Fiodorow przeszedł się po wyrobisku, o coś tam zapytał i nasz brygadzista, w wyrażającym szacunek skłonie, coś tam zameldował. Fiodorow ziewnął, a w jego złotych, pięknie wyreperowanych zębach odbiły się promienie słońca. Słońce było już wysoko – Fiodorow musiał więc być na tym spacerze po nocnej pracy. Ponownie o coś spytał.

Brygadzista zawołał na mnie: dopiero co podtoczyłem pustą taczkę z pełnym fasonem doświadczonego taczkarza – rączkami do góry, żeby ręce odpoczywały, odwróconą, kółkiem do przodu. Podszedłem do naczalstwa.

– To ty jesteś Andriejew? – spytał Fiodorow.

Wieczorem zostałem aresztowany.

Wydawano właśnie letnią odzież – bluzy, bawełniane spodnie, onuce, gumowe chodaki. Był to jeden z ważniejszych dni w życiu więźnia. Inny, jeszcze ważniejszy – w jesieni, kiedy wydawano odzież na zimę. Wydawano jak leci – „dopasowywanie” według „numerów” i „wzrostu” odbywało się już później, w baraku.

Nadeszła moja kolej i gospodarczy powiedział:

– Ciebie wzywa Fiodorow. Jak przyjedziesz od niego – to dostaniesz…

Wtedy nie zrozumiałem rzeczywistego sensu jego słów.

Jakiś nieznany cywil odprowadził mnie na skraj osady, gdzie stał maluteńki domek pełnomocnego rejonowego oddziału.

Siedziałem w zmierzchu, przed ciemnymi oknami izby Fiodorowa, żułem zeszłoroczną słomkę i o niczym nie myślałem. Na przyzbie była solidna ławeczka, ale więźniom nie przysługiwało prawo siadania na ławeczkach naczalstwa. Poskrobywałem i przygładzałem pod waciakiem swoją suchą jak pergamin skórę, brudną, popękaną, i uśmiechałem się.

Oczekiwało mnie na pewno coś dobrego. Owładnęło mną jakieś dziwne uczucie ulgi – prawie szczęścia. Jutro i pojutrze nie trzeba iść do pracy, nie trzeba machać kilofem, walić w te przeklęte kamienie, gdzie każde uderzenie wstrząsa cienkimi jak sznury mięśniami.

Wiedziałem, że zawsze istnieje dla mnie ryzyko otrzymania nowego wyroku. Łagrowe tradycje w tym względzie były mi dobrze znane. W 1938, w najbardziej groźnym kołymskim roku, „przyszywano sprawy" przede wszystkim tym, co mieli maleńki wyrok, i tym, co go kończyli. Robiono tak zawsze. A tutaj do karnej zony w Dżełgale przyjechałem jako „przesiedziały". Wyrok mój skończył się w styczniu czterdziestego drugiego roku, ale nie zostałem zwolniony, lecz „pozostawiony w łagrach do końca wojny" – podobnie jak dziesiątki tysięcy innych. Do końca wojny! Jeden dzień trudno było przeżyć, a co mówić o roku. Wszyscy „przesiedziali" stawali się obiektem bacznej uwagi władz śledczych. Już w Arkagale, skąd przyjechałem do Dżełgały, usiłowano „skleić" mi sprawę. Ale nie skleili. Osiągnęli tylko przeniesienie mnie do karnej zony, co oczywiście jest samo w sobie złowieszczą oznaką. Po co jednak męczyć się myśleniem o tym, czego nie mogę zmienić? Wiedziałem oczywiście, że trzeba być szczególnie ostrożnym w rozmowach i zachowaniu: nie jestem przecież fatalistą. A jednak – co zmieni się od tego, że o wszystkim wiem i wszystko przewiduję? Przez całe życie nie mogę się zmusić do tego, żeby łajdaka nazwać uczciwym człowiekiem. I myślę, że już lepiej nie żyć, niż nie móc rozmawiać z ludźmi lub mówić coś przeciwnego, niż się naprawdę myśli.

Jaki sens ma ludzkie doświadczenie? – mówiłem do siebie, siedząc na ziemi przed ciemnym oknem Fiodorowa. Jaki sens jest w tym, że się wie, czuje, domyśla, że ten człowiek – to donosiciel, stukacz, a ten – to łajdak, a tamten zaś – mściwy tchórz? Że bardziej korzystne dla mnie, bardziej pożyteczne i zbawienne jest być z nimi w przyjaźni, zamiast mieć w nich wrogów. Lub w skrajnym przypadku – milczeć. Trzeba by tylko kłamać – i im, i sobie, a to jest trudne, nie do zniesienia, znacznie trudniejsze niż mówienie prawdy. Co z tego, jeżeli nie potrafię zmienić ani własnego charakteru, ani własnego zachowania. Na cóż mi to przeklęte doświadczenie?

W izbie zapaliło się światło, firanka została zaciągnięta, drzwi się rozwarły i sprzątający, stojąc na progu, kiwnął do mnie ręką, zapraszając do wejścia.

Cały malusieńki pokoik – służbowy gabinet pełnomocnego rejonowego oddziału – zajmowało ogromne biurko z mnogością szuflad, zawalone tecz-

kami, ołówkami, zeszytami. Oprócz biurka w izdebce z trudem mieściły się dwa własnej roboty krzesła. Na jednym, pomalowanym, siedział Fiodorow. Drugie, surowe, wyślizgane przez setki aresztanckich zadów, przeznaczone było dla mnie.

Fiodorow wskazał mi krzesło, zaszeleścił papierami i „sprawa” się rozpoczęła…

Ustalona kolej losu więźnia w łagrze „łamie się”, a raczej może się zmienić z trzech powodów: ciężkiej choroby, nowego wyroku lub czegoś nadzwyczajnego. I tych nadzwyczajnych przypadków wcale nie tak mało w naszym życiu.

Słabnąc z każdym dniem w wyrobiskach Dżełgały, żywiłem nadzieję, że trafię do szpitala, gdzie albo umrę, albo wyzdrowieję, albo też odeślą mnie w jakieś miejsce. Upadałem już ze zmęczenia i słabości, przemieszczałem się, ciągnąc nogami po ziemi – nieznaczna nierówność, kamyczek, cienki kawałek drewna na drodze stwarzały przeszkody nie do przebycia. Ale każdego razu w godzinach przyjęć w ambulatorium lekarz nalewał mi do blaszanego czerpaczka roztworu nadmanganianu potasu i nie patrząc mi w oczy, chrypiał: „Następny!” Nadmanganian potasu dawano do wewnątrz, jako środek przeciwko dezynterii, smarowano nim też odmrożenia, oparzenia i rany. Nadmanganian potasu był uniwersalnym, ale też wyjątkowym środkiem leczniczym w łagrze. Zwolnienia z pracy nie dano mi ani razu – sanitariusz prostodusznie wyjaśniał, że „limit został wyczerpany”. Rzeczywiście, w każdym łagrze istniały dla każdego ambulatorium kontrolne wskaźniki grupy „W” – „czasowo zwolnionych od pracy”. Nikomu nie chciało się „zawyżać” limitu – lekarze i felczerzy spośród więźniów, o zbyt miękkim sercu, zagrożeni byli odesłaniem na „roboty ogólne”. Plan był Molochem, żądającym ludzkich ofiar.

Zimą Dżełgałę odwiedziło wysokie naczalstwo. Przyjechał Driabkin, naczelnik kołymskich łagrów.

– Czy wiecie, kim jestem? Jestem tym głównym, tym najbardziej głównym. – Driabkin był młodym, niedawno mianowanym naczelnikiem.

Otoczony tłumem ludzi z ochrony osobistej i miejscowych naczelników, dokonał obchodu baraków. W naszym baraku znaleźli się jeszcze ludzie, którzy nie utracili zainteresowania w rozmowach z wysokim naczalstwem. Spytali więc Driabkina:

– Dlaczego trzyma się tu dziesiątki ludzi bez wyroków – tych, dla których się one już dawno skończyły?

Driabkin był całkowicie przygotowany na takie pytanie:

– Co, nie macie wyroku? Czy nie czytano wam papierka, że jesteście zatrzymani do końca wojny? To jest właśnie wyrok. Oznacza on, że powinniście znajdować się w łagrze.

– Bezterminowo?

– Nie przerywajcie, gdy mówi z wami naczelnik. Będziecie zwalniani, jeśli będzie się o to starać miejscowe naczalstwo. Wiecie coś o takich charakterystykach? – Tu Driabkin wykonał ręką jakiś nieokreślony gest.

Jak wiele było za moimi plecami trwożnej ciszy, urywanych rozmów przy zbliżaniu się skazanego na zgubę człowieka, współczujących spojrzeń – oczywiście nie mogły to być uśmiechy: ludzie z naszej brygady już dawno oduczyli się uśmiechów. Wielu w brygadzie wiedziało, że Kriwickij wraz z Zasławskim coś tam na mnie ,,podali". I wielu współczuło, ale bali się to współczucie okazać, ażebym ich za sobą „nie pociągnął w sprawie", jeżeli współczucie będzie zbyt wyraźne. Dowiedziałem się później, że były nauczyciel Fiertiuk, zaproszony przez Zasławskiego na świadka, kategorycznie odmówił i Zasławski musiał występować ze swoim stałym partnerem, Kriwickim. Zeznania dwóch świadków – to minimum wymagane przez prawo.

Kto utracił siły, osłabł – temu niepowstrzymanie chce się bić. Uczucie to – zadziorność osłabionego człowieka – znane jest każdemu więźniowi, który kiedykolwiek głodował. Głodni biją się nie tak jak ludzie. Biorą rozpęd do uderzenia, starają się uderzyć ramieniem, ugryźć, podstawić nogę, przydusić za gardło… Powodów do kłótni jest nieskończenie wiele. Więźnia drażni wszystko: i naczalstwo, i czekająca go praca, i zimno, i ciężkie narzędzia, i stojący obok kolega. Aresztant spiera się z niebem, z łopatą, z kamieniem, i z tą żywą istotą stojącą obok niego. Najmniejsza sprzeczka gotowa jest przerodzić się w krwawą walkę. Ale donosów więźniowie nie piszą. Piszą je Kriwiccy i Zasławscy. To także duch trzydziestego siódmego roku.

„Nazwał mnie durniem, a ja napisałem, że chciał otruć naczalstwo. Wyrównaliśmy rachunki! On mnie cytat, a ja jemu – zesłanie. A nawet nie zesłanie, lecz być może i karę najwyższą".

Mistrzowie od takich spraw, Kriwiccy i Zasławscy, często sami trafiali do więzienia. Co oznacza, że ktoś tam posłużył się ich własną bronią.

W przeszłości Kriwicki był zastępcą ministra przemysłu zbrojeniowego, a Zasławski – felietonistą „Izwiestii”. Zasławskiego biłem wiele razy. Za co? Za to na przykład, że „przechytrzył”, że wziął bierwiono za wierzchołek, a nie przy pniu, za to, że o wszystkich rozmowach w zespole donosił brygadziście lub jego zastępcy – Kriwickiemu. Tego nie zdarzyło mi się bić – pracowaliśmy w różnych zespołach, ale nienawidziłem go za jakąś specjalną rolę, którą odgrywał przy brygadziście, za stałe nieróbstwo, za wieczny „japoński” uśmiech na jego twarzy.

– Jak się do was odnosi brygadzista?

– Dobrze.

– A z kim w brygadzie jesteście w złych stosunkach?

– Z Kriwickim i Zasławskim. – Wyjaśniłem to, jak tylko potrafiłem.

– Ee, to bzdura. Tak więc zapiszemy: „Kriwicki i Zasławski źle się do mnie odnoszą, dlatego że spierałem się z nimi w czasie pracy”.

Podpisałem.

Późną nocą szliśmy z konwojentem do łagru, ale nie do baraku, lecz do niziutkiego budynku z boku od zony, do łagrowego izolatora.

– Czy masz jakieś rzeczy w baraku?

– Nie, wszystko na sobie.

– Tym lepiej.

Mówi się, że przesłuchanie – to walka jednej woli z drugą: woli śledczego i woli oskarżonego. Przypuszczalnie tak jest. Ale jak można mówić o woli człowieka wymęczonego nieustannym głodem, chłodem i ciężką pracą w ciągu wielu lat – kiedy komórki mózgu już powysychały, utraciły swoje właściwości. Wpływ długotrwałego, wieloletniego głodowania na wolę człowieka, na jego duszę – to coś zupełnie innego niż jakakolwiek więzienna głodówka czy męczenie głodem doprowadzone do konieczności sztucznego odżywiania. Tutaj mózg człowieka nie został jeszcze zniszczony, a duch pozostał silny. Potrafi jeszcze władać ciałem. Jeżeli Dymitrowa przygotowywaliby do sądu kołymscy śledczy, to świat nie znałby lipskiego procesu.

– No to jak?

Najważniejsze – wysil resztki umysłu, domyśl się, zrozum, dowiedz się: jedynie Kriwicki i Zasławski mogli napisać oświadczenie przeciwko tobie. Na czyje żądanie? Według czyjego planu, zgodnie z jakim szyfrem? Spójrz, jak nastroszył się, jak zaskrzypiał krzesłem śledczy, gdy ledwo zdążyłeś wymówić te nazwiska. Trzymaj się twardo – zgłoś zastrzeżenie przeciwko świadkom. Przeciwko Kriwickiemu i Zasławskiemu! Zwycięż – i jesteś na „wolności". Znowu na „wolności" – w baraku. Od razu zakończy się ta bajka, radość samotności, ciemny, przytulny karcer, do którego światło i powietrze przenikają tylko przez szczelinę w drzwiach – i zacznie się: barak, wyprowadzanie do pracy, kilof, taczka, szare kamienie, lodowata woda. Gdzie słuszna droga? Gdzie ratunek? Gdzie szansa?

– No to jak? Chcecie, to według waszego wyboru wezwę dziesięciu świadków z waszej brygady. Proszę podać dowolne nazwiska. Przepuszczę ich przez swój gabinet i wszyscy zaświadczą przeciwko wam. Może nie? Ręczę, że tak. Przecież obaj jesteśmy dorosłymi ludźmi.

Karne zony odróżniają się od siebie muzykalnym brzmieniem swych nazw: „Dżełgała", „Złocisty"… Wybór miejsc dla tych zon jest przemyślany. Łagier Dżełgały umieszczony jest na wysokiej górze, a kopalniane wyrobiska – u dołu, w wąwozie. Oznacza to, że po wielogodzinnej, wyczerpującej pracy ludzie będą pełznąć w górę po oblodzonych, wyrąbanych w lodzie stopniach, chwytając się za poobłamywane krzaki zmarzniętej wikliny, pełznąć w górę, tracąc resztki sił, taszcząc na sobie „drwa", codzienną porcję drzewa na opał dla baraku. Rozumiał to oczywiście jakiś naczelniczek, wybierając miejsce pod karną zonę. Rozumiał też coś innego: że można będzie z wierzchu, po zboczu łagrowej góry staczać, zrzucać opornych, tych, którzy nie chcą lub nie mogą wyjść do pracy – tak właśnie robiono w czasie rannych odpraw w Dżełgale. Tych, co nie szli, rośli nadzorcy chwytali za ręce i za nogi, rozhuśtywali i zrzucali w dół. Tam oczekiwał zaprzężony do „włoku" koń. Przywiązywano ich do tego włoku za nogi i wleczono na miejsce pracy. Być może człowiek stał się nim właśnie dlatego, że był fizycznie silniejszy i bardziej wytrzymały od jakiegokolwiek zwierzęcia. Taki też pozostał. Ludzie nie umierali od tego, że ich głowy obijały się na dwukilometrowych dżełgalskich drogach. Przecież z włokiem galopem się nie jeździ.

Dzięki tej topograficznej właściwości Dżełgały z łatwością udawały się tam tak zwane „wyjścia do pracy bez ostatniego” – kiedy aresztanci sami starają się prześliznąć, stoczyć w dół, nie czekając na to, że zrzucą ich w przepaść nadzorcy. W innych miejscach „wyjścia bez ostatniego” przeprowadzane były za pomocą psów. Dżełgalińskie psy nie były tu używane.
Była wiosna i siedzenie w karcerze nie było już takie bardzo przykre. Do tego czasu zdążyłem poznać wykuty w skale i wiecznej zmarzlinie karcer Kadykczanu, a także izolator „Partyzanta”, gdzie nadzorcy specjalnie powyszarpywali cały mech pomiędzy bierwionami, służący jako uszczelnienie. Znałem wyciosany z zimowego modrzewia, oblodzony, dymiący parą oddechów karcer kopalni „Spokojna” i karcer „Czarnego Jeziora”, gdzie zamiast podłogi była lodowata woda, a zamiast nar – wąska ławeczka. Moje doświadczenie aresztanta było wystarczająco duże – potrafiłem na wąskiej ławeczce spać, widząc sny i nie spadając do lodowatej wody.

Łagrowa etyka zezwala na oszukiwanie naczalstwa, na „ładowanie tufty” w czasie pracy – przy obmiarach, podliczeniach i przy ocenie jakości jej wykonania. Przy każdej ciesielskiej robocie można w czymś przechytrzyć, na czymś oszukać. Jedno tylko należy wykonać sumiennie – budowę łagrowego izolatora. Barak przeznaczony dla naczalstwa może być wyciosany byle jak, ale więzienie dla więźniów powinno być ciepłe i solidne. „Przecież sami będziemy tam siedzieć”. I chociaż tradycja ta kultywowana jest przede wszystkim przez błatniaków, to jednak istnieje w niej jakieś racjonalne ziarno. Ale to jest teoria. W praktyce wszędzie króluje mech i kliny – łagrowy izolator nie jest tu wyjątkiem.

Karcer na Dżełgale charakteryzował się specjalną budową – bez okna, żywo przypominający sławne „kufry” butyrskiego więzienia. Okno zastępowała szczelina w drzwiach prowadzących na korytarz. Przesiedziałem tutaj miesiąc na karcerowej racji – trzysta gramów chleba i kubek wody. W ciągu tego miesiąca więzień obsługujący izolator dwa razy wsunął mi miskę zupy.

Osłaniając twarz, śledczy Fiodorow raczył ze mną rozmawiać:

– Nie chce pan może gazetki – o proszę, Komintern został rozwiązany. To pana zainteresuje.

Nie, to mnie nie zainteresowało. Gdyby można zapalić…

– To już proszę wybaczyć. Jestem niepalący. Otóż widzi pan – oskarżają pana o wychwalanie hitlerowskiej broni.

– Co to znaczy?

– No, to, że pan z uznaniem wyrażał się o niemieckiej ofensywie.

– Ja prawie nic o tym nie wiem. Nie widziałem gazet od lat. Od ośmiu lat.

– No, to nie jest najważniejsze. Otóż powiedział pan przy jakiejś sposobności, że stachanowski ruch w łagrze – to fałsz i kłamstwo.

W łagrze istniały trzy odmiany racji żywnościowych – „zaopatrzenia więziennego kotła" – stachanowska, przodownicza i robocza, oprócz karnych, śledczych i etapowych. Różniły się one między sobą ilością chleba i ilością dań. W sąsiednim wyrobisku nadzorca górniczy odmierzył każdemu robotnikowi odległość – zadanie, i umocował w tym miejscu papieros z machorki. Wywieziesz grunt do tego znaku – papieros jest twój, jesteś stachanowcem.

– Tak to się działo – powiedziałem. – Według mnie – to zwyrodnienie.

– Później mówił pan, że Bunin – to wielki rosyjski pisarz.

– On rzeczywiście jest wielkim rosyjskim pisarzem. Czy za to, co powiedziałem, można skazać?

– Można. To emigrant. Nienawidzący emigrant.

„Sprawa" szła dobrze. Fiodorow był wesoły i ożywiony.

– Widzi pan, jak się do niego odnosimy. Ani jednego ordynarnego słowa. Proszę zwrócić uwagę – nikt nie bije tak jak w trzydziestym ósmym roku. Żadnego nacisku.

– A trzysta gramów chleba na dobę?

– Taki rozkaz mój drogi, taki rozkaz. Nic na to nie poradzę. Rozkaz. Śledcza racja.

– A cela bez okna? Przecież ślepnę, a do tego nie ma czym oddychać.

– Czyżby już tak bez okna? To niemożliwe. Skądeś tam światło się dostaje.

– Przez szczelinę u dołu drzwi.

– No właśnie, właśnie.

– Zimą szczelinę wypełniałaby para.

– Ale teraz przecież nie ma zimy.

– To prawda. Teraz to już nie jest zima.

– Proszę posłuchać – powiedziałem – jestem chory. Opadłem z sił. Wielokrotnie zwracałem się do ambulatorium, ale nigdy nie dają mi zwolnienia od pracy.

– Proszę napisać podanie. Będzie to mieć znaczenie dla sądu i dla śledztwa.

Wyciągnąłem rękę po wieczne pióro – na stole leżała ich cała mnogość, różnych wielkości i różnych firm.

– Nie, nie, proszę zwykłym piórem.

– Dobrze.

Napisałem tak: *wielokrotnie zwracałem się o pomoc w ambulatorium – prawie każdego dnia*. Bardzo trudno było mi pisać – zbyt mało praktyki miałem w takich sprawach.

Fiodorow wygładził papierek.

– Proszę się nie niepokoić. Wszystko będzie zrobione zgodnie z prawem.

Tego samego wieczoru szczęknęły zamki mojej celi i otworzyły się drzwi. W kącie na stoliku dyżurnego paliła się „kołymka” – benzynowa lampka na cztery knoty, wykonana z puszki po konserwach. Przy stoliku ktoś siedział, ubrany w półkożuszek i czapkę z nausznikami.

– Podejdź.

Podszedłem. Siedzący wstał. Był to doktor Mochnacz, stary kołymianin, ofiara trzydziestego siódmego roku. Na Kołymie pracował najpierw na robotach ogólnych, a potem został dopuszczony do pełnienia obowiązków lekarza. Przyuczony był bać się naczalstwa. Byłem u niego w ambulatorium w zonie wielokrotnie.

– Witam, doktorze.

– Witaj. Rozbierz się. Oddychaj. Nie oddychaj. Obróć się. Schyl się. Możesz się ubierać.

Doktor Mochnacz usiadł przy stoliku i przy chwiejnym świetle „kołymki” napisał:

Więzień Szałamow W.T. jest praktycznie zdrów. W czasie przebywania w zonie do ambulatorium nie zwracał się.

Kier. ambulatorium lekarz Mochnatow.

Po miesiącu odczytano mi ten tekst na sądzie.

Śledztwo zbliżało się do końca, a ja w żaden sposób nie mogłem pojąć, o co mnie oskarżają. Wygłodzone ciało doskwierało i radowało się, że nie trzeba pracować. A jeśli mnie nagle wypuszczą i znów poślą do wyrobiska? Odganiałem te trwożne myśli.

Na Kołymie lato zaczyna się szybko, spiesznie. W czasie jednego z przesłuchań ujrzałem gorące słońce, błękitne niebo, poczułem subtelny zapach modrzewia. Brudny lód leżał jeszcze w parowach, ale lato nie czekało, aż on stopnieje.

Przesłuchanie zaciągnęło się, coś tam „uściślaliśmy” i konwojent nie zdążył mnie jeszcze odprowadzić, gdy do izdebki Fiodorowa podprowadzono drugiego człowieka. Był nim mój brygadzista Niestierenko. Zrobił krok w moją stronę i głucho wymówił: „Byłem zmuszony, zrozum, byłem zmuszony” – i znikł w drzwiach Fiodorowskiej izdebki.

Niestierenko pisał na mnie oświadczenie. Potwierdzali je Zasławski i Kriwicki. To mało prawdopodobne, ażeby Niestierenko cokolwiek słyszał o Buninie. I jeżeli Zasławski i Kriwicki byli łajdakami, to Niestierenko uratował mnie od głodowej śmierci, wziąwszy do swej brygady. Nie byłem tam ani lepszy, ani gorszy od każdego innego robotnika. Nie żywiłem złości do Niestierenki. Słyszałem, że odbywa w łagrze swój trzeci wyrok i że jest starym bywalcem Wysp Sołowieckich. Był on bardzo doświadczonym brygadzistą – znał się nie tylko na pracy, ale rozumiał też głodnych ludzi, nie współczuł im, lecz właśnie rozumiał. Takimi bywa bardzo niewielu brygadzistów. We wszystkich brygadach dawano po kolacji „repetę” – czerpaczek rzadkiej zupy z tego, co zostało. Zazwyczaj brygadziści dawali ją tym, którzy tego dnia najlepiej pracowali – był to sposób postępowania oficjalnie zalecany przez naczalstwo. Rozdawanie „repety” przybierało publiczny charakter, stawało się niemal uroczystością. Wykorzystywano je zarówno dla celów związanych z pracą, jak i z wychowaniem. Nie zawsze ten, kto pracował więcej niż inni, pracował od nich lepiej. I nie zawsze ten najlepszy pragnął jeść tę cienką zupkę.

W brygadzie Niestierenki dawano repety najgłodniejszym – oczywiście według uznania i na rozkaz brygadzisty.

Jednego razu wykuwałem w szurfie ogromny kamień. Ale to nie na moje siły było wytaszczyć stamtąd ten ogromny narzutowy głaz. Niestierenko spostrzegł to, milcząc, zeskoczył do szurfu, podkopał kamień kilofem i wypchnął go na górę… Nie chciałem wierzyć, że napisał na mnie oświadczenie. A zresztą…

Mówiono, że zeszłego roku z tej samej brygady poszło na sąd dwóch ludzi – Jeżikow, a po trzech miesiącach – Isajew, były sekretarz jednego z syberyjskich komitetów obwodowych. A świadkami byli wciąż ci sami – Kriwicki i Zasławski. Nie zwróciłem uwagi, co wtedy mówiono.

– O, tutaj proszę podpisać. I tutaj.

Nie trzeba było długo czekać. Dwudziestego czerwca drzwi się rozwarły i wyprowadzono mnie na gorącą, brunatną ziemię, pod oślepiające, palące słońce.

– Bierz rzeczy – buciki, czapkę. Pójdziesz do Jagodnego.

– Pójdziesz? – Dwaj żołnierze uważnie mnie oglądali.

– Nie dojdzie – powiedział jeden. – Nie weźmiemy.

– Jak to nie weźmiecie? – powiedział Fiodorow. – Zaraz zadzwonię do grupy operacyjnej.

Żołnierze ci to nie byli prawdziwi konwojenci wcześniej zamówieni i oddelegowani. Obydwaj należeli do grupy operacyjnej i powracali do Jagodnego – osiemnaście wiorst przez tajgę. Po drodze mieli mnie dostarczyć do jagodnieńskiego więzienia.

– A ty sam jak czujesz? – mówił jeden z nich.

– Dojdziesz?

– Nie wiem. – Byłem zupełnie spokojny. I nie miałem też gdzie się spieszyć. Słońce paliło zbyt mocno – spiekło mi policzki odwykłe od jasnego światła i świeżego powietrza. Usiadłem pod drzewem. Przyjemnie było posiedzieć na dworze, wdychać miękko poddające się płucom, wspaniałe powietrze, zapach zakwitającego głogu. Zakręciło mi się w głowie.

– No to pójdziemy.

Weszliśmy do jaskrawozielonego lasu.

– Możesz iść szybciej?

– Nie mogę.

Uszliśmy nieskończenie wiele kroków. Gałązki wikliny chłostały moją twarz. Potykając się o korzenie drzew, jakoś wydostałem się na polanę.

– Słuchaj, ty – powiedział starszy z operacyjników. – Chcemy pójść do kina w Jagodnem. Zaczyna się o ósmej godzinie. W klubie. Teraz jest druga. Mamy pierwszy wolny dzień w ciągu tego lata. Pierwsze kino od pół roku.

Milczałem. Naradzili się.

– Odpocznij – powiedział młody. Rozpiął torbę. – Masz tu biały chleb. Kilogram. Jedz, odpocznij i pójdziemy. Jeśliby nie kino – to czort z nim. Ale kino.

Zjadłem chleb, wylizałem z dłoni okruszynki, przyległem koło strumienia i ostrożnie napiłem się – chłodnej i smacznej wody. I ostatecznie utraciłem siły. Było gorąco, chciało się tylko spać.

– No, pójdziesz?

Milczałem.

Wtedy poczęli mnie bić, długo i starannie. Deptali po mnie, a ja krzyczałem i kryłem twarz w dłoniach. Zresztą nie bili mnie po twarzy – to byli ludzie doświadczeni.

Bili mnie długo, starannie. I czym więcej mnie bili, tym bardziej stawało się jasne, że naszego wspólnego posuwania się w kierunku więzienia przyspieszyć się nie da.

Wiele godzin brnęliśmy przez las i o zmroku wyszliśmy na „trasę” – ciągnącą się przez całą Kołymę szosę pośród skał i błot, drogę długości dwóch tysięcy kilometrów, zbudowaną za pomocą kilofa i taczki.

Byłem już prawie nieprzytomny i ledwie się ruszałem, gdy zostałem doprowadzony do jagodnieńskiego izolatora. Drzwi celi uchyliły się, otwarły i doświadczone ręce dyżurnego, posługując się drzwiami, wcisnęły mnie do środka. Słychać było tylko przyspieszone ludzkie oddechy. Po dziesięciu minutach spróbowałem osunąć się na podłogę i przyległem koło słupa pod narami. Gdy minęło jeszcze trochę czasu, podpełzli do mnie siedzący w celi złodzieje, aby zrewidować i zabrać, co się da; niestety, ich nadzieja na jakiś zysk była daremna. Oprócz wszy nie miałem nic. I przy akompaniamencie rozdrażnionych głosów rozczarowanych błatniaków zasnąłem.

Następnego dnia, o trzeciej po południu wezwano mnie na sąd.

Było bardzo duszno. Nie było czym oddychać. W ciągu ośmiu lat przez okrągłe doby przebywałem na powietrzu i teraz nie mogłem wytrzymać – tak mi było gorąco w maleńkim pokoju wojennego trybunału. Większa część dwunastometrowej powierzchni pokoiku oddana została trybunałowi, siedzącemu za drewnianą przegrodą. Mniejsza – przeznaczona była dla podsądnych, konwojentów, świadków. Ujrzałem Zasławskiego, Kriwickiego i Niestierenkę. Wzdłuż ścian stały surowe, niepomalowane ławki. Dwa okna z równą siecią drobnych oczek, według kołymskiej mody, tak

jakby to była surikowska izba Mienszikowa. W takim obramowaniu można było wykorzystywać pobite szkło – na tym właśnie polegała konstruktorska myśl, uwzględniająca trudny transport, kruchość i wiele innych możliwości – na przykład użycie poprzecinanych wzdłuż na dwie części szklanych słoików po konserwach. Wszystko to oczywiście wynikało z troski o okna naczalstwa i urzędów. W barakach dla więźniów nie było żadnych okien.

Przenikające przez takie okna światło było rozproszone i mętne – na stole przewodniczącego trybunału paliła się elektryczna lampa bez abażuru.

Sąd był bardzo krótki. Przewodniczący punkt po punkcie odczytał krótkie oskarżenie. Spytał świadków, czy potwierdzają swoje zeznania na poprzedzającym sąd śledztwie. Nieoczekiwanie dla mnie znalazło się nie trzech, lecz czterech świadków – jakiś Szajlewicz wyraził chęć uczestniczenia w moim procesie. Z tym świadkiem ani razu się nie spotykałem, ani nie rozmawiałem – był on z innej brygady. Nie przeszkodziło to, aby Szajlewicz szybko odbębnił to, co należało: Hitler, Bunin… Zrozumiałem, że Fiodorow wziął Szajlewicza na wszelki wypadek – gdybym nieoczekiwanie zgłosił sprzeciw wobec Zasławskiego i Kriwickiego. Ale Fiodorow niepotrzebnie się obawiał.

– Czy są pytania do trybunału?

– Są. Dlaczego z kopalni Dżełgała przyjeżdża na rozprawę przed trybunałem już trzeci oskarżony według pięćdziesiątego ósmego paragrafu, a świadkowie są wciąż ci sami?

– Wasze pytanie nie ma związku ze sprawą.

Byłem pewien, że wyrok będzie surowy – zabijanie było tradycją tych lat. Do tego jeszcze sąd w rocznicę wybuchu wojny, 22 czerwca. Naradziwszy się w ciągu trzech minut, członkowie trybunału „ogłosili” – „dziesięć lat i pięć pozbawienia praw obywatelskich”…

– Następny!

Na korytarzu wszczął się ruch, zastukały buty. Następnego dnia przeprowadzono mnie na punkt tranzytowy. Rozpoczęła się niejednokrotnie doświadczona przeze mnie procedura załatwiania formalności związanych z nowymi „aktami personalnymi” – niekończące się odciski palców, ankiety, fotografowanie. Teraz to już byłem taki to a taki, pięćdziesiąty ósmy paragraf, punkt dziesięć, wyrok dziesięć lat i pięć pozbawienia praw. Nie byłem już liternikiem ze straszną literą „T”. Miało to znaczące następstwa i, być może, uratowało mi życie.

Nie wiedziałem, co stało się z Niestierenką, z Kriwickim. Mówiono, że Kriwicki umarł. A Zasławski powrócił do Moskwy i został członkiem Związku Pisarzy, chociaż oprócz donosów niczego w życiu nie napisał. Widziałem go z daleka. Ale rzecz nie w Zasławskich i Kriwickich. Od razu po wyroku mogłem zabić donosicieli i fałszywych świadków. I zabiłbym ich na pewno, jeżeli po sądzie powróciłbym na Dżełgałę. Ale łagrowy obyczaj przewiduje, że ponownie sądzeni nigdy nie powinni powracać do tego łagru, skąd ich przywieziono na sąd.

KOBIETA ZE ŚWIATA BŁATNIAKÓW

Agłaję Diemidową przywieziono do szpitala z fałszywymi dokumentami. To nie było tak, że zostały podrobione jej „akta personalne”, jej aresztancki dowód osobisty. Nie, od tej strony wszystko było w porządku; miały one jedynie nową żółtą okładkę – świadectwo tego, że wyrok Agłai Diemidowej rozpoczynał się od nowa i od niedawna. Przyjechała pod tym samym nazwiskiem, pod jakim przywieziono ją do szpitala przed dwoma laty. Nic się nie zmieniło w jej „podstawowych danych”, oprócz wyroku – dwadzieścia pięć lat. A dwa lata temu teczka z jej aktami personalnymi była koloru niebieskiego, a wyrok – dziesięć lat.

Do kilku dwumiejscowych liczb, wpisanych atramentem w rubryce „paragraf’, dołączyła jeszcze jedna – z trzema miejscami. Ale wszystko to było jak najbardziej prawdziwe, niesfałszowane. Nieprawdziwe były jej dokumenty medyczne – koślawo napisana historia choroby, epikryza, analizy laboratoryjne. Sfałszowane zostały przez ludzi zajmujących w pełni oficjalne stanowiska, mających w swych rękach i druki, i pieczęcie, a także posiadających dobre czy niedobre imię – to nie takie znów ważne. Trzeba było wielu godzin, aby naczelnik ambulatorium kopalni wkleił fałszywą historię choroby, aby stworzył w pełnym artystycznym natchnieniu lipny dokument medyczny.

Diagnoza gruźlicy płuc jawiła się jako logiczne następstwo sprytnych codziennych adnotacji. Gruba paczka z kartami typowych dla gruźlicy wykresów temperatury, wypełnione blankiety z najróżniejszymi laboratoryjnymi analizami i groźnymi wynikami. Taka praca lekarza przypominała egzamin pisemny, gdzie na podstawie wyciągniętej kartki należy opisać proces rozwijającej się w organizmie gruźlicy, aż do takiego stanu, kiedy jedynym wyjściem staje się natychmiastowa hospitalizacja.

Taką pracę można wykonać, kierując się również sportowym zacięciem – chęcią udowodnienia tym w centralnym szpitalu, że w kopalni – też nie w ciemię bici. Całkiem po prostu przyjemnie jest przypomnieć sobie wszystko po kolei, czego się kiedyś uczyło w instytucie. Oczywiście nigdy

byś sobie nie pomyślał, że przyjdzie ci stosować swoje wiadomości w taki niezwykły, „artystyczny” sposób.

Najważniejsze: Diemidowa powinna zostać za wszelką cenę położona w szpitalu. I szpital nie może, nie ma prawa odmówić przyjęcia takiej chorej, choćby u lekarzy pojawiło się tysiące podejrzeń.

Podejrzenia pojawiły się od razu i dopóki problem przyjęcia Diemidowej rozstrzygał się w miejscowych „wyższych sferach”, ona siedziała sama w ogromnym pomieszczeniu izby przyjęć szpitala. Zresztą „sama” była jedynie w chestertonowskim znaczeniu tego słowa. Felczer i sanitariusze z izby przyjęć nie wchodzili tu oczywiście w rachubę. Nie liczyli się również dwaj konwojenci Diemidowej, nieodstępujący jej na krok. Trzeci konwojent błąkał się gdzieś z papierami po szpitalnych ostępach.

Diemidowa nie zdjęła nawet czapki, rozpięła tylko kołnierz swojego baraniego półkożuszka. Szybko paliła papierosa za papierosem, rzucając niedopałki do spluwaczki z trocinami.

Miotała się po izbie przyjęć od zakratowanych weneckich okien ku drzwiom, a za nią, w ślad za jej ruchami, podążali konwojenci. Kiedy powrócił dyżurny lekarz razem z trzecim konwojentem, zdążyło już ściemnieć, tak jak to na Północy, i trzeba było zapalić światło.

– Nie kładą? – spytała Diemidowa konwojenta.

– Nie, nie kładą – odpowiedział posępnie.

– Wiedziałam, że nie położą. Wszystkiemu winna Kruszynka. Zarąbała lekarkę, a na mnie się mszczą.

– Nikt na tobie się nie mści – powiedział lekarz.

– Ja wiem lepiej.

Diemidowa wyszła przed konwojentami, drzwi wyjściowe zatrzasnęły się, zawarczał silnik ciężarówki.

Natychmiast potem otworzyły się cicho wewnętrzne drzwi i do izby przyjęć wszedł naczelnik szpitala z całą świtą oficerów z wydziału specjalnego.

– Gdzież ona jest? Ta Diemidowa?

– Już ją zabrali, obywatelu naczelniku.

– Szkoda, szkoda, że nie popatrzyłem na nią. A jednak pan, Piotrze Iwanowiczu, z pańskimi anegdotami… – I naczelnik wraz ze swoimi towarzyszami wyszedł z izby przyjęć.

Naczelnikowi chciało się choć jednym oczkiem spojrzeć na słynną złodziejkę Diemidową, której historia rzeczywiście była nie całkiem zwy-

czajna.

Przed pół rokiem złodziejkę Agłaję Diemidową, zasądzoną na dziesięć lat za zabójstwo „dyspozytorki” (Diemidowa udusiła ręcznikiem zbyt dziarską dyspozytorkę), wieziono z sądu do kopalni. Konwojent był jeden, gdyż po drodze nie trzeba było nocować – to było tylko kilka godzin jazdy samochodem od osady zarządu, gdzie ją sądzono, do kopalni, w której pracowała. Na Północy przestrzeń i czas – to wielkości do siebie podobne. Często przestrzeń mierzona jest czasem: tak czynią jakuccy koczownicy – odległość od sopki do sopki wynosi sześć dziennych przemarszów. Wszyscy, mieszkający koło głównej arterii – szosy, mierzą odległość przelotami samochodów.

Konwojent Diemidowej wywodził się z nadterminowych młodych „starych”, od dawna przyzwyczajonych do swobód życia konwojenta, do jego niezwykłości, gdzie konwojent jest pełnym władcą aresztanckich losów. Nie po raz pierwszy konwojował on „babę”, taka przejażdżka kryła w sobie obiecujące wiadome rozrywki, jakie niezbyt często trafiają się szeregowemu „strzelcowi” na Północy.

W znajdującej się na trasie stołówce zjedli we trójkę obiad – konwojent, szofer i Diemidowa. Konwojent wypił dla animuszu spirytusu (na Północy wódkę pije tylko naczalstwo) i zaprowadził Diemidową w krzaki. Wiklina, łozy czy też młode osiki rosły w obfitości wokół każdej osady w tajdze.

W krzakach konwojent położył automat na ziemię i zabrał się do Diemidowej. Diemidowa wyrwała się i dwoma krótkimi seriami wpakowała dziewięć kul w ciało namiętnego konwojenta. Porzuciwszy automat w krzakach, powróciła do stołówki i odjechała jednym z przejeżdżających samochodów. Szofer wszczął alarm, trupa konwojenta i jego automat znaleziono bardzo szybko, a samą Diemidową zatrzymano po dwu dobach w odległości kilkuset kilometrów od miejsca jej niedoszłego romansu z konwojentem. Sądzono ją ponownie i skazano na dwadzieścia pięć lat. Tak jak przedtem, nie chciała pracować, ograbiała swoje sąsiadki w baraku i kopalniane naczalstwo zadecydowało, że pozbędzie się jej za wszelką cenę. Można się było spodziewać, że ze szpitala nie powróci już do kopalni, lecz zostanie odesłana gdzie indziej.

Diemidowa była złodziejką sklepów i mieszkań, „gorodusznicą” – według terminologii błatniaków-„urków”.

Błatniacki świat rozróżnia dwie kategorie kobiet: właściwe złodziejki, których zawodem jest kradzież, podobnie jak w przypadku błatniaków-

mężczyzn, i prostytutki, przyjaciółki błatniaków.

Pierwsza grupa, liczebnie znacznie mniejsza niż druga, cieszy się w kręgu „urków”, uważających kobiety za istoty niższego gatunku, pewnym szacunkiem – wymuszonym przez konieczność uznania ich zasług i wartości w zawodzie. Zazwyczaj złodziejka (słowo „złodziejka”, „złodziej” używane jest cały czas w sensie przynależenia do tajnego zakonu „urków”), żyjąca z jakimś złodziejem, nierzadko uczestniczy w opracowaniu planów kradzieży i w samych kradzieżach. Ale nie bierze udziału w męskich „sądach honorowych”. Samo życie podyktowało takie prawa – w miejscach pozbawienia wolności mężczyźni i kobiety są rozdzieleni i ta sytuacja wniosła pewne zróżnicowanie w codzienne życie, nawyki i zasady jednej i drugiej płci. Kobiety są mimo wszystko bardziej miękkie, ich „sądy” nie są tak krwawe, a wyroki nie tak okrutne. Zabójstwa dokonywane przez kobiety-błatniaczki zdarzają się rzadziej niż w „męskiej połowie” błatniackiego domu. Współżycie „złodziejki” z jakimkolwiek „frajerem” jest absolutnie wykluczone.

Prostytutki – to druga, duża grupa kobiet, związanych z błatniackim światem. To znane przyjaciółki złodziei, zdobywające dla nich środki do życia. Samo się przez się rozumie, że kiedy trzeba, uczestniczą one i w kradzieżach, i w „wystawianiu”, stoją na „cynku”, biorą udział w ukrywaniu i zbycie kradzionych rzeczy, ale wcale nie są pełnoprawnymi obywatelami „przestępczego świata”. Nieodmiennie są uczestniczkami hulanek, ale nie mogą nawet marzyć o dostępie do rozpraw-„prawiłek”. Rodowity „urka” od dziecinnych lat uczy się pogardy dla kobiet. „Teoretyczne” lekcje „pedagogów” idą w parze z poglądowymi przykładami starszych. Kobieta, istota niższa, stworzona jest jedynie po to, ażeby sycić zwierzęce żądze złodzieja, być przedmiotem jego ordynarnych żartów i ofiarą publicznego bicia, kiedy błatniak „bawi się”. Jest żywą rzeczą, którą błatniak bierze w czasowe użytkowanie.

Posłać swoją przyjaciółkę-prostytutkę do łóżka naczelnika, jeżeli jest to z korzyścią – to normalne, w pełni przez wszystkich akceptowane „podejście” do sprawy. Ona sama też tak uważa. Prowadzone na ten temat rozmowy mają zawsze cyniczny charakter, są lakoniczne i wyraziste. Czas jest cenny.

Złodziejska etyka niweluje wszelkie objawy zazdrości i sentymentalizmu. Według uświęconego prastarego obyczaju złodziejowi – przywódcy, cieszącemu się największym „autorytetem” w danej złodziejskiej kompanii,

przysługuje prawo wyboru swojej czasowej żony – najlepszej prostytutki. I jeśli jeszcze wczoraj, zanim pojawił się nowy przywódca, ta prostytutka spała z innym złodziejem, będąc jego uznaną własnością, którą mógł wypożyczać swoim kolegom, to od dziś wszystkie te prawa przechodzą na nowego gospodarza. Jeżeli nazajutrz zostanie on aresztowany, prostytutka ponownie wraca do swego poprzedniego przyjaciela. A jeśli i tego aresztują, to będzie powiadomiona, kto zostanie jej nowym właścicielem. Panem jej życia i śmierci, jej losu, pieniędzy, ciała, decydującym o jej postępowaniu.

Jakże tu może istnieć takie uczucie jak zazdrość…? Po prostu w błatniackiej etyce nie ma na nie miejsca.

Złodziej, jak mówią, to człowiek i nic co ludzkie nie jest mu obce. Całkiem możliwe, że czasami szkoda odstępować swoją przyjaciółkę, ale prawo jest prawem, i strażnicy „ideowej" czystości, stróże czystości błatniackich obyczajów (bez żadnego cudzysłowu) natychmiast wykażą popełniony przez zazdrosnego złodzieja błąd. I on podporządkuje się prawu.

Zdarzają się przypadki, kiedy indywidualny charakter i swoista histeria, charakteryzująca prawie wszystkich „urków", popychają błatniaka do obrony „swej baby". Wtedy staje się to przedmiotem oceny w czasie rozpraw-„prawiłek" i błatniaccy „prokuratorzy" żądają ukarania winnego, podpierając się autorytetem ustaleń o tysiącletniej ważności.

Zazwyczaj nie dochodzi jednak do zwady i prostytutka śpi z nowym władcą.

W świecie błatniaków nie ma miejsca żadne dzielenie się kobietą, nie istnieje żadna miłość „we troje".

Kobiety i mężczyźni są w łagrach rozdzieleni. Jednakże istnieją tam szpitale, punkty tranzytowe, ambulatoria, kluby, w których kobiety i mężczyźni widują się wzajemnie.

Zdumiewa jednak pomysłowość więźniów i ich energia skierowana na osiągnięcie celu. To zadziwia – jaką kolosalną jej ilość zużytkowuje się w więzieniu na zdobycie kawałeczka pogniecionej blachy, aby stała się ona nożem – narzędziem zabójstwa lub samobójstwa. Uwaga nadzorców zawsze ustępuje czujności więźnia – wiemy już o tym od Stendhala, który w *Pustelni parmeńskiej* tak mówi: „Strażnik mniej myśli o swych kluczach niż więzień o ucieczce".

W łagrze cała ogromna energia błatniaka skierowana jest na realizację randki z byle jaką prostytutką.

Ważne jest znalezienie miejsca, gdzie ta prostytutka powinna przyjść, bo że przyjdzie, w to błatniak nigdy nie wątpi. Karząca ręka zawsze dosięgnie winowajczynię. I oto przebiera się ona w męskie odzienie, idzie ponadprogramowo do łóżka z nadzorcą czy dyspozytorem, ażeby tylko o określonej godzinie prześliznąć się tam, gdzie oczekuje nieznany jej całkiem kochanek. Miłość przebiega spiesznie, jak kwitnienie traw latem na Dalekiej Północy. Prostytutka powróci do żeńskiej zony, natknie się na nadzorcę, posadzą ją do karceru, zasądzą na miesiąc izolatora, odeślą do karnej kopalni – wszystko to zniesie bez słowa skargi, a nawet z dumą: bo wypełniła swój obowiązek prostytutki.

Na Północy, w dużym szpitalu dla więźniów, zdarzył się taki wypadek, że do znanego błatniaka, leżącego na oddziale chirurgicznym, potrafiono przyprowadzić na całą noc prostytutkę do jego łóżka, i tam przespała się ona po kolei z ośmioma złodziejami znajdującymi się wtedy na sali. Dyżurnemu sanitariuszowi-więźniowi zagrożono nożem, a dyżurnemu wolnemu felczerowi podarowano garnitur zerwany z kogoś w łagrze; właściciel rozpoznał swoje ubranie i trzeba było włożyć wiele wysiłku, aby to ukryć.

Dziewczyna ta wcale nie była zmieszana ani speszona, kiedy wykryto ją rano na sali w męskim szpitalu.

– Chłopcy prosili, aby im dogodzić, to i przyszłam – wyjaśniła z całym spokojem.

Nietrudno się domyślić, że prawie wszyscy błatniacy i ich przyjaciółki są syfilitykami, a o chronicznej gonorei, nawet w naszym penicylinowym wieku, to i nie ma co mówić. Znane jest klasyczne już powiedzenie: „Syfilis to nie wstyd, lecz nieszczęście”. Tutaj zaś syfilis nie tylko nie przynosi wstydu, lecz uważany jest za szczęśliwy przypadek dla więźnia, a nie za nieszczęście. Jest to jeszcze jeden przykład przesławnej zmiany „skali odniesienia”. Przede wszystkim przymusowe leczenie wenerycznych jest obowiązkiem i o tym wie każdy błatniak. Wie o tym, że „przyhamuje się”, że nie trafi ze swoim syfilisem do żadnej głuszy, a będzie mieszkać i leczyć się w stosunkowo dobrze urządzonych osiedlach – gdzie znajdują się specjaliści, lekarze-wenerolodzy. Wszystko to jest na tyle dobrze przewidziane i obliczone, że za wenerycznych podają się nawet ci błatniacy, którym Bóg oszczędził trzech czy czterech krzyżyków reakcji Wassermana. I niejednoznaczność negatywnej oceny wyników tej reakcji przez laboratorium jest im również dobrze znana. Preparowane sztucznie wrzody i fałszywe skargi chorego – to zwykłe sprawy obok prawdziwych wrzodów i skarg.

Wenerycznie chorych, podlegających leczeniu, grupuje się w specjalnych zonach. Kiedyś w takich zonach w ogóle nie pracowano i były one najlepiej nadającym się „schroniskiem Mon Repos” dla błatniaków. Później takie zony tworzone były w specjalnych kopalniach czy też leśnych delegaturach, gdzie poza otrzymywaniem salwarsanu i racji żywnościowych aresztanci musieli pracować zgodnie ze zwykłymi normami. Ale w rzeczywistości w takich zonach nie było prawdziwego „zapotrzebowania” na pracę i żyło się w nich o wiele łatwiej niż przy normalnej kopalni.

Męskie weneryczne zony były zawsze miejscem, skąd trafiali do szpitala młodzi „żonowie” błatniaków, zarażeni syfilisem przez odbytnicę. Prawie wszyscy błatniacy są pederastami. Z braku kobiet deprawowali i zarażali mężczyzn – pod groźbą użycia noża lub, rzadziej, za „szmatki” (odzież) czy chleb.

Mówiąc o kobietach błatniackiego świata, nie sposób pominąć całej armii tych „Zojek”, „Maniek”, „Daszek” i innych istot płci męskiej, ozdobionych żeńskimi imionami. Zdumiewające było to, że nosiciele tych imion reagowali na nie w zupełnie normalny sposób, nie widząc dla siebie w tym żadnej hańby czy obrazy.

Żywić się na rachunek prostytutki to dla złodzieja żadna ujma – powinna ona wysoko cenić możliwość obcowania z nim. Z drugiej strony – to jeden z „kuszących” szczegółów zawodu, bardzo przypadający do gustu złodziejskiej młodzieży.

Szybko, szybko nas osądzą,
Poprowadzą w Pierwomajskie,
Etatowe dziewki zoczą,
Paczki nam przytaszczą rajskie

– tak śpiewa się w więziennej pieśni. „Etatowe dziewki” – to właśnie prostytutki.

Ale bywają przypadki, gdy uczucie zastępujące miłość, a także ambicja i uczucie żalu w stosunku do samej siebie skłaniają kobietę z błatniackiego świata do „nielegalnego” postępowania.

Oczywiście, od złodziejki wymaga się tu więcej niż od prostytutki. Według oceny błatniackich oskarżycieli, złodziejka, która żyje z nadzorcą, winna jest zdrady. Mogą ją zbić, wskazując w ten sposób popełniony błąd,

ale również całkiem po prostu zarżnąć, jako „sukę” [1]. Prostytutce taki postępek nie będzie poczytany za grzech.

W takich konfliktach kobiety z prawami jej świata rozwiązania nie zawsze są jednakowe i uzależnione są od indywidualnych cech człowieka.

Tamara Cułukidze, dwudziestoletnia złodziejska piękność, była przyjaciółka znanego tyfliskiego urki, zeszła się z naczelnikiem kulturalno-wychowawczej sekcji łagru, lejtnantem Graczowem – dziarskim, trzydziestoletnim, pięknym kawalerem.

Graczow miał w łagrze jeszcze jedną kochankę, Polkę Leszczewską, jedną ze sławnych „artystek” łagrowego teatru. Kiedy związał się z Tamarą, ta zażądała, ażeby porzucił Leszczewską. Zuchowaty Graczow żył jednocześnie z dwiema żonami, skłaniając się ku obyczajom muzułmanów. Będąc jednak człowiekiem doświadczonym, starał się dzielić swe względy równo pomiędzy obie kobiety, co mu się udawało. Dzielona była nie tylko miłość, ale też jej materialne oznaki: każdy jedzeniowy prezent był przez Graczowa przygotowywany w dwu egzemplarzach. Z kremem, wstążkami i perfumami postępował podobnie – i Leszczewska, i Cułukidze tego samego dnia otrzymywały jednakowe wstążki, jednakowe flakoniki perfum, jednakowe chusteczki.

Wyglądało to bardzo wzruszająco. A przy tym Graczow był chłopakiem postawnym i schludnym. I Leszczewska, i Cułukidze (mieszkały one w jednym baraku) nie posiadały się z zachwytu nad taktem swego ukochanego. Przyjaciółkami jednak nie zostały i kiedy nagle poproszono Tamarę przed oblicze szpitalnych złodziei, Leszczewska po cichu się cieszyła.

Jednego razu Tamara zachorowała i leżała w szpitalu na sali dla kobiet. Nocą drzwi się otworzyły i stukając kulami, przekroczył próg poseł urków. Błatniacki świat wyciągał po nią swą długą rękę.

Wysłannik przypomniał jej o błatniackim prawie własności w zastosowaniu do kobiet i polecił stawić się na oddziale chirurgicznym w celu spełnienia „woli zlecającego”.

Według słów posła znajdowali się tu ludzie znający tego tyfliskiego błatniaka, za którego przyjaciółkę uważana była Tamara. Teraz zastępował go tutaj Sieńka Gundosy (mówiący przez nos). To właśnie w jego objęciach powinna się natychmiast znaleźć.

Tamara schwyciła kuchenny nóż i rzuciła się na kulawego błatniaka. Ledwo go sanitariusze odwojowali. Oddalił się przy akompaniamencie

gróźb i ordynarnych przekleństw. Następnego dnia Tamara wypisała się ze szpitala.

Dokonano niemało prób, aby z powrotem skierować zbłąkaną córę pod sztandary błatniaków, ale za każdym razem bez powodzenia. Zadano jej cios nożem, ale rana okazała się głupstwem. Nadszedł koniec wyroku i Tamara wyszła za mąż za jakiegoś nadzorcę – człowieka z rewolwerem, i błatniacki świat nie zdołał jej pochwycić.

Błękitnooka Nastia Archarowa, kurgańska maszynistka, nie będąc ani złodziejką, ani prostytutką, z własnej woli związała na zawsze swój los ze światem błatniaków.

Od młodych lat otoczona była podejrzanym szacunkiem, złowieszczym poważaniem ze strony takich ludzi, o których czytała tylko w powieściach detektywistycznych. Ten szacunek, który Nastia zauważyła jeszcze „na wolności", miała też w więzieniu i w łagrze – wszędzie tam, gdzie pojawiali się błatniacy.

Nie było w tym nic tajemniczego – starszy brat Nastii był znanym uralskim „mistrzem skoku", i Nastia od młodych lat kąpała się w blasku jego przestępczej sławy, jego pełnego sukcesów, złodziejskiego losu. Niespostrzeżenie znalazła się w kręgu błatniaków, ich spraw i interesów, nie odmawiając pomocy przy przechowywaniu ukradzionych rzeczy. Pierwszy trzyletni wyrok umocnił ją w tym i sprawił, że stała się zawzięta i silnie związana ze światem błatniaków. Dopóki przebywała w swoim rodzinnym mieście, złodzieje, obawiając się gniewu jej brata, nie decydowali się wykorzystywać jej jako swojej własności. Biorąc pod uwagę jej społeczną „pozycję", to znajdowała się ona bliżej złodziejek, bo prostytutką wcale nie była, i jako złodziejka pojechała w daleką podróż na państwowy rachunek. Tutaj już nie było brata i od razu w pierwszym mieście, do którego trafiła po pierwszym zwolnieniu z łagru, jakiś błatniacki przywódca uczynił ją swą żoną, zaraziwszy ją przy tym tryprem. W niedługim czasie aresztowano go. Na pożegnanie zaśpiewał Nastii złodziejską piosenkę: *Zawładnie tobą koriesz mój*. Z tym „korieszem" (tj. druhem) Nastia również długo nie pożyła – wsadzono go także do więzienia, a w stosunku do niej zgłosił swe prawa kolejny władca. Był dla Nastii fizycznie odrażający – wiecznie ślinący się i pokryty jakimś liszajem. Spróbowała bronić się, wykorzystując nazwisko brata, ale wykazano jej, że nawet jej brat nie ma prawa naruszać wzniosłych zasad błatniackiego świata. Gdy zagrożono jej nożem, przestała się dalej opierać.

W szpitalu Nastia pokornie stawiała się na „miłosne” wezwania, często przesiadywała w karcerze i wiele płakała – czy to dlatego, że była skora do płaczu, czy też przerażał ją własny los, los dwudziestoletniej dziewczyny.

Wostokow, starszy już wiekiem szpitalny lekarz, poruszony jej losem, podobnym skądinąd do tysięcy innych, obiecał jej pomóc urządzić się w biurze na stanowisku maszynistki, jeżeli odmieni swoje życie. *To poza moją wolą* – pisała pięknym charakterem pisma Nastia. *Mnie nic nie uratuje. A jeśli już chce pan zrobić dla mnie coś dobrego, to proszę mi kupić kapronowe pończochy, możliwie najmniejszego wymiaru. Gotowa na wszystko dla pana, Nastia Archarowa*.

Złodziejka Sima Sosnowska była wytatuowana od nóg do głowy. Zadziwiające, przechodzące jedna w drugą erotyczne sceny o najbardziej wymyślnej treści, pokrywały jej całe ciało fantazyjnymi liniami. Jedynie twarz, szyja i ręce pozostały bez „nakłuć”. Sima znana była w szpitalu dzięki swej zuchwałej kradzieży – zdjęła z ręki konwojenta złoty zegarek, kiedy ten chciał w drodze skorzystać z przychylności ładniutkiej Simy. Miała ona znacznie łagodniejszy charakter niż Agłaja Diemidowa, inaczej konwojent leżałby w krzakach aż do nadejścia następnego. Sima patrzyła na to jak na zabawną przygodę i uważała, że złoty zegarek to niezbyt wygórowana cena za miłość. Konwojent omal nie zwariował i aż do ostatniej minuty żądał zwrotu zegarka, rewidując ją bezskutecznie dwa razy. Szpital był już niedaleko, etap liczył wiele osób – i konwojent nie zdecydował się na wszczynanie skandalu. Złoty zegarek pozostał u Simy. W niedługim czasie został przepity i ślad po nim zaginął.

W moralnym kodeksie błatniaka, podobnie jak w Koranie, istnieje zdeklarowana pogarda w stosunku do kobiety. Kobieta – to istota, którą się pogardza, istota niższa, którą godzi się bić i nie godzi się żałować. Odnosi się to w takim samym stopniu do wszystkich kobiet – każda inna kobieta, nienależąca do błatniackiego świata, jest także przedmiotem pogardy błatniaka. Zbiorowy gwałt – „chórem” – to wcale nie rzadkość na kopalniach Dalekiej Północy. Naczelnicy przewożą swe żony pod osłoną straży; kobieta nigdzie nie chodzi ani nie jeździ sama. W podobny sposób strzeżone są dzieci: defloracja małoletnich dziewczynek – to stałe marzenie każdego błatniaka. I nie zawsze pozostaje ono tylko marzeniem.

W pogardzie dla kobiet błatniak wychowuje się już od najmłodszych lat. Swoją przyjaciółkę-prostytutkę bije tak często, że ta, jak mówią, przestaje odczuwać całą pełnię miłości, jeżeli z jakiejś tam przyczyny nie otrzyma

kolejnej porcji bicia. Sama etyka świata błatniaków wyrabia w nich sadystyczne skłonności.

Błatniak nie powinien żywić żadnego uczucia przyjaźni czy koleżeństwa do swej „baby". Również nie powinien mieć żadnej litości dla obiektu swych niskich uniesień. Nie może też istnieć żadna sprawiedliwość w stosunku do kobiet swego własnego świata – ich problematyka wyrzucona została za bramę etycznej „zony" błatniaków.

Ale istnieje jeden wyjątek od tej ponurej zasady. Istnieje jedna jedyna kobieta, nie tylko odgrodzona od zamachów na jej godność, ale postawiona wysoko na piedestał. Kobieta poetycznie idealizowana w świecie błatniaków, kobieta, która stała się tematem ich lirycznej twórczości, bohaterką folkloru przestępców w ciągu wielu pokoleń. Kobietą tą jest – matka złodzieja.

W wyobraźni błatniaka świat, który go otacza, jest zły i nieprzyjazny, pełny jego wrogów. I istnieje w nim tylko jedna jasna postać, godna czystej miłości, szacunku i uwielbienia. To – matka.

Kult matki połączony ze złośliwą pogardą dla kobiety w ogóle to etyczna formuła kryminalistów dotycząca kwestii kobiecej, wypowiadana ze szczególnym więziennym sentymentalizmem. O tego rodzaju sentymentalizmie napisano wiele głupstw. W rzeczywistości jest to sentymentalizm zabójcy, podlewającego grządkę róż krwią swoich ofiar. Sentymentalizm człowieka, który opatruje ranę jakiegokolwiek ptaszka, a po godzinie gotów jest rozerwać go własnymi rękami, bo scena umierania żywej istoty – to najlepsze widowisko dla błatniaka.

Trzeba znać rzeczywiste oblicze autorów kultu matki, kultu otoczonego mgiełką poezji.

Z tym samym brakiem jakichkolwiek zahamowań i teatralnością, które każą błatniakowi „podpisywać się" nożem na ciele zabitego przez siebie renegata czy publicznie gwałcić kobietę w biały dzień, na oczach wszystkich, deflorować trzyletnią dziewczynkę lub zarażać syfilisem mężczyznę, „zojkę" – z taką samą ekspresją błatniak tworzy poetyczny obraz matki, ubóstwia ją, czyni ją obiektem więziennej liryki odwołującej się do najgłębszych uczuć i zobowiązuje wszystkich do oddawania jej, nieobecnej, wszelkiej czci i szacunku.

Na pierwszy rzut oka uczucie złodzieja do matki to jakby jedyne co ludzkie, co uchowało się wśród jego skażonych, kalekich emocji. Błatniak jest jak gdyby zawsze tym uważającym synem, a wszystkie ordynarne roz-

mowy o cudzej matce błatniacki świat natychmiast każe przerywać. Matka to jakiś wzniosły ideał i jednocześnie coś zupełnie realnego, co każdy posiada. Matka, która zawsze przebaczy i zawsze się ulituje.

Byśmy żyć mogli, mama pracowała,
A ja po cichu zaczynałem kraść.
Złodziejem będziesz, matka przestrzegała,
Ze łzami w oczach. Ojca jesteś maść.

Tak śpiewa się w jednej z klasycznych pieśni kryminalistów – *Los*.

Rozumiejąc, że w ciągu całego burzliwego i krótkiego życia złodzieja jedynie matka pozostanie z nim do końca, oszczędza ją on w swym cynizmie.

Ale i to, jedyne jak gdyby, jaśniejsze uczucie jest kłamliwe, podobnie jak wszystkie drgnienia duszy błatniaka.

Wysławianie matki – to kamuflaż, wychwalanie jej jest po to, aby oszukać, i tylko w najlepszym przypadku, mniej lub bardziej wyraziście przedstawia więzienny sentymentalizm.

I w tym, zdawałoby się, wzniosłym uczuciu złodziej kłamie od początku do końca, podobnie jak w każdej swojej wypowiedzi. Żaden ze złodziei nigdy nie posłał swej matce ani kopiejki, nawet nie pomógł jej na swój sposób, przepijając w hulankach tysiące ukradzionych rubli.

W tym uczuciu do matki nie ma nic oprócz udawania i teatralnej kłamliwości. Kult matki – to swego rodzaju zasłona dymna, przesłaniająca szpetny złodziejski świat.

Kult matki, nieprzenoszony na żonę i w ogóle na kobiety – to fałsz i kłamstwo.

Stosunek do kobiety – to papierek lakmusowy każdej etyki.

Zwróćmy tu uwagę, że to właśnie kult matki, współistniejący z cyniczną pogardą dla kobiet, uczynił jeszcze przed trzydziestu laty Jesienina tak popularnym autorem w przestępczym świecie. Ale o tym – w odpowiednim miejscu.

Złodziejce czy przyjaciółce złodzieja, kobiecie, która weszła wprost czy pośrednią drogą na teren przestępczego świata, zabrania się jakichkolwiek „romansów” z „frajerami”. Nieposłusznej, gdy taki przypadek się zdarzy, nie zabijają, nie – „robią ją na czysto”. Nóż to zbyt szlachetna broń, żeby jej używać w stosunku do kobiety – na nią wystarczy kij lub pogrzebacz.

Inaczej rzecz się ma, jeżeli chodzi o związek mężczyzny z „wolną kobietą”. To oznaka dzielności i powód do chwały, przedmiot chełpliwych opowiadań jednych i tajonej zawiści drugich. Takie przypadki wcale nie są rzadkie. Jednakże wokół nich tworzy się zazwyczaj tyle bajek, że prawda jest trudna do wyłowienia. Maszynistka przemienia się w kobietę-prokuratora, gońcówna – w dyrektorkę przedsiębiorstwa, sprzedawczyni – w ministra. Bajdy spychają prawdę w głąb sceny, w ciemności, i nie sposób się połapać w tym spektaklu.

Nie ulega wątpliwości, że pewna część błatniaków ma rodziny w miastach, z których pochodzą, rodziny od dawna porzucone przez mężów. Ich żony wraz z małymi dziećmi same walczą z życiem, każda po swojemu. Bywa, że mężowie powracają z miejsc pozbawienia wolności do swoich rodzin, ale zazwyczaj nie na długo. „Duch włóczęgi” ciągnie ich ku nowym wędrówkom, a do tego miejscowy wydział kryminalny przyczynia się do szybszego wyjazdu błatniaka. A w rodzinach pozostają dzieci, którym ojcowska profesja nie wydaje się czymś strasznym, lecz wywołuje współczucie i – co więcej – chęć pójścia w ojcowskie ślady, tak jak w pieśni *Los*:

Kto siłę ma, by z losem powojować,
Niech walczy wciąż, aż zbliży się już kres.
Mam mało sił, lecz przyjdzie mi zachować
Zmarłego ojca drogę i jej treść.

Złodzieje z ojca na syna – to właśnie jest kadrowe jądro przestępczego świata, jego „wodzowie” i „ideolodzy”.

Problemy związane z ojcostwem i wychowaniem dzieci są dla błatniaka nieodmiennie odległe – zagadnienia te są wyłączone z błatniackiego Talmudu. Przyszłość córek (jeśli gdzieś one istnieją) wydaje się złodziejowi normalna w postaci kariery prostytutki, przyjaciółki jakiegoś innego znamienitego złodzieja. Sumienie błatniaka zupełnie nie jest obciążone żadnym moralnym balastem (nawet w zakresie błatniackiej specyfiki). To, że synowie staną się złodziejami, wydaje mu się też zupełnie naturalne.

1. „Sukami” nazywano błatniaków, którzy przeszli na stronę władzy. [wróć]

ESPERANTO

Przypomniał mi tę historię wędrowny aktor, aktor-aresztant. Po koncercie łagrowej „kultbrygady” występujący w głównej roli, w jednej osobie również reżyser i cieśla, wymienił nazwisko Skorosiejewa.

Coś błysnęło mi w mózgu i przypomniałem sobie punkt tranzytowy trzydziestego dziewiątego roku, tyfusową kwarantannę i nas pięciu potrafiących wytrzymać, wystać wszystkie oczekiwania na odjazd, wszystkie etapy, wszystkie „stania” na mrozie i mimo wszystko pojmanych w łagrową sieć i wyrzuconych w bezkres tajgi.

Wszyscy pięciu, nic nie wiedzieliśmy o sobie, nie chcieliśmy wiedzieć i nie dowiedzieliśmy się, dopóki nasz etap nie znalazł się tam, gdzie mieliśmy razem pracować i mieszkać.

W różny sposób przyjmowaliśmy tajemniczą nowość etapu: jeden z nas zwariował, myśląc, że prowadzą go na rozstrzelanie, a jego przecież prowadzono ku życiu. Drugi chytrze kombinował i prawie przechytrzył los. Trzeci – ja! – byłem człowiekiem z krainy złota, obojętnym szkieletem. Czwarty – majster-złota rączka, mający ponad siedemdziesiąt lat. Piątym był… Skorosiejew – jak mówił, stając na palcach, ażeby każdemu spojrzeć w oczy.

– Skoro sieję… rozumi pan?

Było mi to obojętne, a od kalamburów oduczyłem się na zawsze. Ale majster-złota rączka podtrzymał rozmowę.

– W jakim charakterze pan pracował?

– Jako agronom w Narkomziemie.

Naczelnik geologicznego zwiadu, który przyjmował etap, przekartkował „akta” Skorosiejewa.

– Obywatelu naczelniku, ja jeszcze potrafię…

– Zatrudnię jako stróża…

Jako stróż Skorosiejew pracował gorliwie. Ani na minutę nie schodził ze stanowiska, obawiał się, że najmniejsze zaniedbanie wykorzysta jego

kolega – doniesie, sprzeda, zwróci uwagę naczelnika. Lepiej nie ryzykować.

Jednego razu przez całą noc trwała silna zamieć. Zmiennikiem Skorosiejewa był płowowłosy haliczanin Naryński – jeniec pierwszej wojny światowej, który został skazany za przygotowanie zamachu celem przywrócenia monarchii austro-węgierskiej, trochę z tego dumny, że ma taką niezwykłą, „rzadką sprawę" pośród całych stad trockistów i szkodników. Przejmując od Skorosiejewa dyżur, Naryński, śmiejąc się, zauważył, że nawet śnieg i zamieć nie potrafiły go ruszyć z jego posterunku. Gorliwość została więc zauważona. Pozycja Skorosiejewa umacniała się.

W łagrze padł koń. Nie była to wielka strata – na Dalekiej Północy konie marnie pracują. Ale mięso! Mięso! Trzeba było zdjąć skórę, a trup zamarzł w śniegu. Nie było mistrzów w tym fachu ani chętnych. Zgłosił się Skorosiejew. Naczelnik zdziwił się, ale też ucieszył – skóra i mięso! Skórę do rozrachunku, a mięso – do kotła. O Skorosiejewie rozprawiał cały barak, cała osada. Mięso! Mięso! Zaciągnięto końskiego trupa do łaźni, gdzie Skorosiejew rozmroził go, zdjął skórę i wypatroszył. Skóra na mrozie zesztywniała i została zaniesiona do składu. Mięsa nam jednak nie udało się pojeść – w ostatniej chwili naczelnik zmienił zdanie: nie było przecież weterynarza, nie było jego podpisu na protokole! Porąbano więc końskiego trupa na kawałki i po sporządzeniu protokołu spalono w ognisku w obecności naczelnika i kierownika robót.

Węgla, którego poszukiwał nasz zwiad, nie udawało się znaleźć. Dlatego powoli – po pięć, po dziesięć osób – zaczęły z łagru odchodzić etapy. Wierzchem, górą, ścieżyną w tajdze odchodzili ci ludzie z mojego życia na zawsze.

Tu, gdzie mieszkaliśmy, to był mimo wszystko zwiad, a nie kopalnia i każdy to rozumiał. Każdy starał się tu utrzymać jak najdłużej. „Przyhamować się" w tym miejscu, jak tylko potrafił. Jeden począł niezwykle gorliwie pracować. Drugi zaś – modlić się dłużej, niż to miał w zwyczaju. W naszym życiu pojawił się strach.

Przybył konwój. Aż zza gór przybył. Czyżby po ludzi? Nie, konwój nikogo nie odprowadzał, nikogo nie eskortował!

Nocą w baraku urządzono rewizję. Nie mieliśmy książek, nie mieliśmy noży, nie było ołówków chemicznych, gazet, papieru – czegóż więc szukać?

Zabierano cywilną odzież. Wielu ją miało – przecież w ekipie tego zwiadu pracowali również wolni, a sam zwiad był rozkonwojowany. Zapobieganie ucieczkom? Wykonanie rozkazu? Zmiana reżimu?

Zabierano wszystko bez sporządzania żadnych protokołów, żadnych spisów. Odbierano – i koniec! Oburzenie było bezmierne. Przypomniałem sobie, jak przed dwoma laty w Magadanie odbierano cywilną odzież, setki tysięcy zimowych futrzanych palt od setek etapów, od setek tysięcy ludzi zabranych na Północ, na Daleką Północ, od setek tysięcy nieszczęsnych więźniów. Ciepłe palta, swetry, drogie garnitury – drogie, na łapówkę dla kogokolwiek, żeby ratować swe życie w tej rozstrzygającej godzinie. Ale droga ratunku została odcięta w magadańskiej łaźni. To były góry wyższe od wieży ciśnień, wznoszące się ponad dach łaźni. Góry ciepłej odzieży, tragedii, spiętrzenie ludzkich losów, które nagle urywało się – skazując wychodzących z łaźni na śmierć.

Ach, jakże ci wszyscy ludzie walczyli, ażeby uchronić swe dobro od błatniaków, od jawnego rozboju w barakach, wagonach, punktach tranzytowych! Wszystko, co zdołało się uratować, ukryć przed błatniakami, zostało w łaźni odebrane przez państwo. Jakie to proste! I oto – znów to samo.

Do wolnej odzieży, która jakoś przesączyła się do kopalń, dopadano później. Przypomniałem sobie, jak rozbudzono mnie nocą, bo rewizje robiono codziennie – codziennie wyprowadzano ludzi. Siedziałem na narach i paliłem. Była to kolejna rewizja w poszukiwaniu wolnej odzieży. Nie miałem jej – wszystko pozostało w magadańskiej łaźni. Ale moi towarzysze mieli jeszcze taką odzież. Były to rzeczy drogocenne – symbole innego życia, zbutwiałe, porwane, nienaprawiane – nie starczało na to sił – ale jednak drogie.

Wszyscy stali przy swych miejscach i czekali. Śledczy siedział koło lampy i pisał protokół, protokół rewizji, „zatrzymania”, jak to się nazywa w łagrowym języku.

Siedziałem na narach i paliłem, nie denerwując się ani oburzając. Pragnąłem tylko jednego – żeby rewizja się skończyła i żebym mógł pójść spać. Ale zobaczyłem, jak nasz sprzątający, nazwiskiem Praga, rąbie własny garnitur, prześcieradła, ciacha swoje trzewiki.

– Tylko na onuce. Oddam tylko jako onuce.

– Zabierzcie mu topór! – wrzasnął śledczy.

Praga rzucił topór na podłogę. Rewizja zatrzymała się. Rzeczy, które Praga rwał, rozcinał, niszczył, były jego własnymi rzeczami. Nie zdążono

ich jeszcze wpisać do protokołu. Praga, widząc, że nie łapią go za ręce, na moich oczach zamienił w szmatki całą swą wolną odzież. I na oczach śledczego.

To było przed rokiem. I teraz – znów to samo.

Wszyscy byli poruszeni, podnieceni i długo nie zasypiali.

– Dla nas nie ma żadnej różnicy pomiędzy błatniakami, którzy nas ograbiają, a państwem – powiedziałem i wszyscy się ze mną zgodzili.

Stróż Skorosiejew wychodził na dyżur, na swą zmianę dwie godziny wcześniej od nas. Dwójkami, na ile zezwalała leśna ścieżyna, dotarliśmy do biura, bardzo dotknięci – naiwne poczucie sprawiedliwości jest głęboko zakorzenione w duszy człowieka i, być może, nie do usunięcia. Wydawałoby się, dlaczego tu się obrażać? Dlaczego złościć? Oburzać się? Przecież ta przeklęta rewizja to jeden z tysięcy przykładów. Na dnie duszy coś tam się jednak gotowało, coś, co było silniejsze od woli, od życiowego doświadczenia. Twarze aresztantów pociemniały od gniewu.

Na ganku biura stał sam naczelnik Wiktor Nikołajewicz Płutałow. Miał również ciemną od gniewu twarz. Nasza maleńka kolumna zatrzymała się przed biurem i natychmiast wezwano mnie do gabinetu Płutałowa.

– A więc mówisz, że państwo jest jeszcze gorsze niż błatniacy – patrząc na mnie spode łba i zagryzając wargi, powiedział Płutałow i z trudnością, niewygodnie usiadł na taborecie za biurkiem.

Milczałem. Skorosiejew! Niecierpliwy człowiek, pan Płutałow, nie odczekał nawet kilku godzin, aby nie ujawniać swojego stukacza! A może tu chodzi o co innego?

– Wasze rozmowy mnie nie obchodzą. Ale jeżeli mi donoszą lub, jak to po waszemu – „dują”?

– Dują, obywatelu naczelniku.

– A może „stukają”?

– Stukają, obywatelu naczelniku.

– Idź do roboty. Przecież wy sami gotowi jesteście pożreć jeden drugiego. Politycy! Wszechświatowy język. Wszyscy się nawzajem rozumieją. Przecież jestem naczelnikiem – muszę coś robić, gdy mi dują…

Płutałow splunął ze złością.

Gdy minął tydzień, z kolejnym etapem opuściłem ten błogosławiony zwiad, jadąc do wielkiej kopalni, gdzie od pierwszego dnia stanąłem zamiast konia w egipskim kołowrocie windy, napierając nań własną piersią.

Skorosiejew pozostał w ekipie zwiadu.

Odbywał się koncert łagrowego kółka artystycznego i wędrowny aktor-konferansjer, zapowiedziawszy kolejny numer, wybiegał do pokoju artystów – do jednego ze szpitalnych pokoi – aby wzmocnić ducha niedoświadczonych uczestników koncertu. Dobrze idzie – głośno oznajmiał i przechadzał się po pokoju artystów, ścierając jakąś brudną szmatką pot ze swego rozpalonego czoła.

Wszystko odbywało się tak jak u wielkich aktorów, bo i sam wędrowny aktor był nim na wolności. Ktoś znajomym głosem recytował na estradzie opowiadanie Zoszczenki *Lemoniada*. Konferansjer nachylił się do mnie.

– Daj zapalić.

– Proszę, zapal.

– Nie uwierzysz – powiedział nagle konferansjer – gdybym nie wiedział, kto to recytuje, pomyślałbym, że to ten pies, Skorosiejew.

– Skorosiejew? – Pojąłem, czyją intonację przypomina mi słyszany ze sceny głos.

– Tak. Jestem esperantystą. Rozumiesz? Wszechświatowy język. Nie jakiś tam *basic english*. I wyrok mam za esperanto. Jestem członkiem moskiewskiego stowarzyszenia esperantystów.

– Według pięćdziesiątego ósmego, punkt sześć? Za szpiegostwo?

– Jasna sprawa.

– Dziesięć?

– Piętnaście.

– A Skorosiejew?

– Skorosiejew – to zastępca prezesa zarządu stowarzyszenia. To właśnie on wszystkich sprzedał, wszystkich władował…

– Taki maleńki?

– A tak.

– A gdzie on jest teraz?

– Nie wiem. Udusiłbym go własnoręcznie. Proszę cię, jak przyjaciela – znaliśmy się z aktorem nie dłużej niż dwie godziny – jeśli go zobaczysz, jeśli spotkasz, wal w mordę. Wprost w mordę, a połowa grzechów będzie ci odpuszczona.

– To jednak połowa?

– Odpuści się, odpuści.

Tymczasem recytator opowiadania Zoszczenki *Lemoniada* złaził już ze sceny. To nie był Skorosiejew, lecz chudy i długi, jak wielki książę z rodu Romanowów, baron, baron Mendel – potomek Puszkina. Rozczarowałem

się, spoglądając na potomka Puszkina, a konferansjer wyprowadzał na scenę kolejną ofiarę. „Nad równiną siwą morza wicher ciemne chmury zgania…”

– Proszę posłuchać – pochylając się ku mnie, zaszeptał baron – czy to jest wiersz? „Wicher wieje, grom się toczy”? Nie takie bywają wiersze. Aż strach pomyśleć, że w tym samym czasie, tego samego roku, w tym samym dniu, o tej samej godzinie Błok napisał *Zaklęci przez ogień i mrok*, a Biełyj – *Złoto w lazurze*…

Zazdrościłem baronowi tego szczęścia – oderwania się, ucieczki, utonięcia w wierszach. Ja tak nie potrafiłem.

Nic nie zostało zapomniane. A minęło wiele lat. Po zwolnieniu przyjechałem do Magadanu, starając się zwolnić naprawdę, przepłynąć to straszne morze, którym przywieziono mnie na Kołymę przed dwudziestu laty. I chociaż wiedziałem, jak trudno mi przyjdzie żyć w bezustannej tułaczce, nie chciałem ani przez godzinę z własnej woli pozostać na przeklętej kołymskiej ziemi.

Pieniędzy wystarczyło mi ledwo, ledwo. Jadący w tamtą stronę samochód – rubel za jeden kilometr – przywiózł mnie do Magadanu. Miasto otulał rozbielony mrok. Mam tu znajomych – powinni być. Ale na Kołymie znajomych poszukuje się w dzień. W nocy nikt nie otworzy, nawet na dźwięk znajomego głosu. A trzeba mi dachu nad głową, nar i snu.

Stałem w pomieszczeniu dworca autobusowego i spoglądałem na podłogę, całą pokrytą ciałami, rzeczami, workami, skrzynkami. W ostateczności… Tylko że zimno było tu jak na dworze, z pięćdziesiąt stopni. Żelazny piecyk nie palił się, a drzwi stale trzaskały.

– Chyba znajomy?

W tym srogim mrozie ucieszyłem się nawet na widok Skorosiejewa. Uścisnęliśmy sobie ręce poprzez rękawice.

– Chodźmy do mnie na nocleg, mam tu swój dom. Przecież już dawno się zwolniłem. Wybudowałem na kredyt. Nawet ożeniłem się. – Skorosiejew roześmiał się. – Napijemy się herbaty…

Tak było zimno, że się zgodziłem. Długo wlekliśmy się po górach i wybojach nocnego Magadanu, zaciągniętego zimną, mętnobiałą mgłą.

– Tak, wybudowałem dom – mówił Skorosiejew, gdy ja paliłem, odpoczywając – kredyt. Kredyt od państwa. Zdecydowałem się uwić sobie gniazdo. Północne gniazdo.

Napiłem się herbaty, położyłem i zasnąłem. Ale spałem źle, mimo długiej podróży. Jakoś niedobrze przeżyłem wczorajszy dzień. Kiedy się obudziłem, umyłem i zapaliłem papierosa, zrozumiałem, dlaczego źle przeżyłem ten dzień.

– No to ja już pójdę. Mieszka tu mój znajomy.

– Ale niech pan zostawi walizkę. Jak znajdzie pan znajomych – wróci pan po nią.

– Nie, nie warto drugi raz wdrapywać się na górę.

– Mógłby pan u mnie się zatrzymać. Jakkolwiek by było, starzy przyjaciele.

– Tak. Żegnam.

Zapiąłem półkożuszek, wziąłem walizkę i już chwyciłem za klamkę.

– Żegnam.

– A pieniądze? – spytał Skorosiejew.

– Jakie pieniądze?

– A za łóżko, za nocleg. Przecież to nie za darmo.

– Proszę wybaczyć – powiedziałem. – Nie pomyślałem.

Postawiłem walizkę, rozpiąłem półkożuszek, wyszukałem w kieszeniach pieniądze, zapłaciłem i wyszedłem w białożółtą mgłę magadańskiego dnia.

NACZELNIK SZPITALA

Poczekaj, ty jeszcze podpadniesz, natniesz się – tak po błatniacku wygrażał mi naczelnik szpitala doktor Doktor – jedna z najbardziej złowieszczych postaci Kołymy…

– Stań, jak się należy!

Stałem tak „jak się należy”, ale byłem spokojny. Wykształconego felczera z dyplomem nie wyrzucą na pastwę jakiegoś zwierza, nie wydadzą doktorowi Doktorowi – to był czterdziesty siódmy, a nie trzydziesty siódmy rok – więc ja, który widziałem co nieco z tego, czego doktor Doktor nie mógłby nawet wymyślić, byłem spokojny i czekałem tylko na jedno – ażeby naczelnik odszedł. Byłem starszym felczerem oddziału chirurgii.

Nagonka rozpoczęła się niedawno, po tym, jak doktor Doktor wykrył w moich „aktach personalnych”, że byłem zasądzony według literowego kodu „KRTD”, a doktor Doktor był pracownikiem oddziału politycznego, czekistą, który posłał na śmierć niemało takich „KRTD”, i oto po ukończeniu kursu pojawił się w szpitalu, trafił w jego ręce felczer, który właściwie podlega likwidacji.

Doktor Doktor spróbował zwrócić się o pomoc do pełnomocnego NKWD Bakłanowa. Ale ten był frontowcem, młodym, wprost z wojny. Nieczyste sprawki samego doktora Doktora – bo specjalnie oddelegowani rybacy przywozili mu rybę, myśliwi zabijali dziczyznę, jednym słowem, wymuszone zaopatrywanie naczalstwa w żywność szło na pełnych obrotach – spowodowały, że nie znalazł on zrozumienia u Bakłanowa.

– Przecież on z pańskiego kursu, dopiero co ukończył. Sam go pan przyjmował.

– To w kadrach przegapili. Nie dojdziesz tu prawdy.

– No – powiedział pełnomocny. – Jeżeli będzie naruszać – jednym słowem – coś popełni, to usuniemy. Pomożemy.

Doktor Doktor ponarzekał na ciężkie czasy i zaczął cierpliwie czekać. Naczelnicy także potrafią cierpliwie oczekiwać na błąd swych podwładnych.

Centralny łagrowy szpital był wielkim szpitalem, na tysiąc łóżek. Byli w nim więźniowie-lekarze wszystkich specjalności. Wolne naczalstwo dopięło tego, że zezwolono na uruchomienie dwu sal dla wolnych przy oddziale chirurgicznym – jedną męską, drugą żeńską – dla pacjentów wymagających natychmiastowego leczenia po operacji. Na mojej sali leżała dziewczyna przywieziona tu ze ślepą kiszką, ale nie zoperowano jej, lecz leczono zachowawczo. Dziewczyna była bystra, zdaje się – sekretarz organizacji komsomolskiej zarządu górniczego. Kiedy ją przywieziono, szarmancki jak zawsze chirurg Braude pokazywał nowej pacjentce oddziały szpitala i coś tam rozprawiał o… złamaniach i zapaleniach kręgosłupa, oprowadzając kolejno po wszystkich oddziałach. Na dworze było sześćdziesiąt stopni mrozu, a w stacji krwiodawstwa nie było pieców – okno było całe zaszronione i nie sposób było gołą ręką chwycić za metal – ale pełen galanterii chirurg otworzył szeroko drzwi stacji i wszyscy cofnęli się do korytarza.

– Tu właśnie przyjmujemy zazwyczaj kobiety.

– Bez specjalnego powodzenia, jak przypuszczam – powiedziała dziewczyna, grzejąc własnym oddechem ręce.

Chirurg zmieszał się.

Ta właśnie bystra dziewczyna zaczęła przychodzić do mnie do dyżurki. Stała tam mrożona brusznica, cała miska, i gadaliśmy do późna. Jednego razu, o 12, drzwi dyżurki otwarły się na oścież i wszedł doktor Doktor. Był bez fartucha, w skórzanej kurtce.

– Na oddziale jest wszystko w porządku.

– Widzę. A pani – kim jest? – doktor Doktor zwrócił się do dziewczyny.

– Jedną z chorych. Leżę tutaj na żeńskiej sali. Przyszłam po termometr.

– Jutro już pani tu nie będzie. Zlikwiduję ten burdel.

– Burdel? Kto to taki? – spytała dziewczyna.

– To naczelnik szpitala.

– Aa, to to jest właśnie doktor Doktor? Słyszałam, słyszałam. Czy ci coś wleci za mnie? Za brusznice?

– Nic mi nie zrobią.

– No, na wszelki wypadek jutro do niego zajdę. Tak mu nagadam, że zrozumie, gdzie jest jego miejsce. A jeżeli cię ruszą, to daję ci słowo honoru…

– Nic mi nie zrobią.

Dziewczyny nie wypisali, jej wizyta u naczelnika szpitala odbyła się i wszystko ucichło aż do pierwszego ogólnego zebrania, na którym doktor Doktor wystąpił z referatem na temat obniżenia się dyscypliny.

– Na przykład na oddziale chirurgicznym felczer siedzi z kobietą na sali operacyjnej – doktor Doktor pomylił dyżurkę z salą operacyjną – i je bruszнice.

– To z kim tak?

– Z kim? – krzyknął ktoś z wolnych.

Ale doktor Doktor nie wymienił nazwiska.

Błysnęło, a ja nic nie zrozumiałem. Starszy felczer odpowiada za wyżywienie – naczelnik szpitala zdecydował się zadać niezwykle prosty cios. Zmierzono ilość kisielu i zabrakło dziesięć gramów. Z wielkim trudem udało mi się udowodnić, że jeśli wydaje się go maleńkim czerpaczkiem, a wytrząsa na wielki talerz – to nie daje się uniknąć straty tych dziesięciu gramów składających się z tego, co „przylepia się do dna".

Błyskawica mnie uprzedziła, choć nie było grzmotów.

Piorun uderzył drugiego dnia, bez błyskawicy.

Jeden z lekarzy na sali poprosił, żeby zostawić jego choremu, który już umierał, łyżkę czegoś smacznego. Chcąc spełnić jego prośbę, kazałem rozdawcy pozostawić pół miski jakiejś zupy z dietetycznego stołu. Było to wbrew przepisom, ale praktykowało się zawsze, na każdym oddziale. W czasie obiadu wleciał na oddział cały tłum wysokiego naczalstwa z doktorem Doktorem na czele.

– A to dla kogo? – Na piecyku grzało się pół miski dietetycznej zupy.

– To doktor Gusiew prosił dla swojego chorego.

– Chory doktora Gusiewa nie ma dietetycznego żywienia.

– Dawać tu doktora Gusiewa.

Doktor Gusiew, więzień, a do tego sądzony według 58-1-a – zdrada ojczyzny, blady od strachu pojawił się przed oczami naczalstwa. Niedawno wzięto go do szpitala po wielu latach podań i próśb. A tutaj takie pechowe polecenie.

– Nie wydawałem takiego zalecenia, obywatelu naczelniku.

– A więc pan, panie starszy felczerze, łże. Wprowadza pan nas w błąd – pienił się doktor Doktor. – Podpadłeś, przyznaj się. Naciąłeś się.

Żal mi było doktora Gusiewa, ale go rozumiałem. Nic nie powiedziałem. Milczeli również wszyscy członkowie komisji – lekarz naczelny, naczelnik łagru. Wściekał się jedynie doktor Doktor.

– Zdejmuj fartuch i do łagru. Na ogólne! Zgnoję w izolatorze!

– Słucham, obywatelu naczelniku.

Zdjąłem fartuch i od razu przemieniłem się w zwykłego aresztanta, którego poszturchiwano, na którego krzyczano – coś dawno nie mieszkałem w łagrze… A gdzie jest barak obsługi?

– Dla ciebie nie barak obsługi, lecz izolator.

– Nie ma jeszcze nakazu.

– Wsadź go na razie bez nakazu.

– Nie, nie przyjmę bez nakazu. Naczelnik łagru nie zezwolił.

– Naczelnik szpitala jest chyba wyżej niż naczelnik łagru.

– Słusznie, wyżej, ale dla mnie tylko naczelnik łagru jest naczalstwem.

W baraku obsługi nie siedziałem długo – nakaz został szybko wypisany i znalazłem się w łagrowym izolatorze, śmierdzącym karcerze, równie śmierdzącym jak dziesiątki innych, w których wcześniej siedziałem.

Ległem na nary i przeleżałem do następnego rana. Rano przyszedł dyspozytor. Znaliśmy się już wcześniej.

– Dano ci trzy doby z wyprowadzaniem na roboty ogólne. Wychodź, otrzymasz rękawice i – będziesz wozić taczką piasek w wykopie pod nowy budynek straży. Była cała komedia. Naczelnik łagru opowiadał. Doktor Doktor żąda dla ciebie karnej kopalni na zawsze… Ażeby przenieść do szyfrowanego łagru.

– Jeżeli za takie czyny do karnego czy specjalnego łagru, to przecież wtedy trzeba by każdego. A my stracimy wykształconego felczera.

Cała komisja wiedziała o tchórzliwości Gusiewa, wiedział też doktor Doktor i – tym więcej się wściekał.

– No to dwa tygodnie robót ogólnych.

– Tak też nie można. Zbyt ciężka kara. Tydzień z wyprowadzaniem do pracy w szpitalu – zaproponował pełnomocny Bakłanow.

– Co pan? Jeśli nie będzie robót ogólnych, taczki, to nie będzie też żadnej kary. Jeśli tylko ma chodzić nocować do izolatora, to będzie to tylko tak, *pro forma*.

– No dobrze – doba z wyprowadzaniem na ogólne roboty.

– Trzy doby.

– No już dobrze.

I oto po wielu latach ponownie chwytam się za rączki taczek, za maszynę OSO – dwie rączki i koło.

Jestem starym kołymskim taczkarzem. W trzydziestym ósmym roku w złotym wyrobisku posiadłem wszystkie tajniki taczkarskiej wiedzy. Wiem, jak napierać na rączki, żeby opór przypadał na barki, wiem, jak toczyć pustą taczkę z powrotem – kołem do przodu, rączkami do góry, żeby krew odpływała. Wiem, jak przewrócić taczkę jednym ruchem, jak obrócić z powrotem i postawić na trap.

Jestem profesorem taczkarskiego fachu. Z ochotą pchałem taczkę, pokazując swą klasę. Chętnie przesunąłem deskę trapu i wyrównałem go kamykiem. Tu nie chodziło o naukę. Całkiem po prostu – taczka to kara, i to wszystko. Praca ta, związana z karcerem, nie podlegała żadnej kontroli co do jej wydajności. Przez kilka miesięcy nie wychodziłem z dwupiętrowego, ogromnego budynku centralnego szpitala, obchodziłem się bez świeżego powietrza – żartowałem, że na dwadzieścia lat naprzód nałykałem się świeżego powietrza, pracując w kopalni, i nie będę wychodzić na dwór. I dopiero teraz oddycham czystym powietrzem, przypominam sobie taczkarski fach. Spędziłem tak dwie noce i trzy dni. Trzeciego dnia pod wieczór spotkał mnie naczelnik łagru. W ciągu całej swej łagrowej praktyki na Kołymie nie zdarzyło mu się spotkać takiego rodzaju kary za przewinienie, której zażądał doktor Doktor, i naczelnik łagru starał się tu coś zrozumieć.

Zatrzymał się przy trapie.

– Dzień dobry, obywatelu naczelniku.

– Dzisiaj się kończy twoja katorga, możesz już nie iść do izolatora.

– Dziękuję, obywatelu naczelniku.

– Ale dopracuj dziś do końca.

– Słucham, obywatelu naczelniku.

Przed samym końcem pracy – zanim uderzono w szynę – pojawił się doktor Doktor. Byli wraz z nim jego dwaj adiutanci, komendant szpitala Postiel i Grisza Kobieko, szpitalny protetyk dentystyczny. Postiel, były pracownik NKWD, był syfilitykiem, który zaraził kiłą dwie czy trzy siostry w szpitalu, w wyniku czego trzeba je było odesłać do wenzony, do żeńskiej zony dla wenerycznie chorych w leśnej delegaturze, gdzie mieszkają sami syfilitycy. Piękny Kobieko był szpitalnym stukaczem, donosicielem i twórcą nowych spraw – obaj tworzyli kompanię godną doktora Doktora.

Naczelnik szpitala podszedł do wykopu i trzej taczkarze, porzuciwszy pracę, wyszli i stanęli na baczność. Doktor Doktor przyglądał mi się z najwyższym zadowoleniem.

– Toś ty tu… To jest właśnie odpowiednia dla ciebie praca. Zrozumiałeś? To jest właśnie praca dla ciebie.

Doktor Doktor tak jakby przyprowadził świadków, aby sprowokować jakieś, choćby najmniejsze wykroczenie. Ale czasy się zmieniły, zmieniły. Rozumie to doktor Doktor i ja to rozumiem. Naczelnik i felczer – to nie to samo, co naczelnik i prosty robociarz. Daleko nie to.

– Ja, obywatelu naczelniku, mogę wszystko robić. Mogę być nawet naczelnikiem szpitala.

Doktor Doktor ordynarnie zaklął i oddalił się w kierunku wolnego osiedla. Uderzono w szynę i poszedłem już nie do łagru, do zony, jak przez dwa ostatnie dni, lecz do szpitala.

– Griszka, wody! – krzyknąłem. I poprosiłem o cokolwiek do zjedzenia po kąpieli.

Ale słabo znałem doktora Doktora. Komisje i kontrole spadały na oddział prawie każdego dnia.

A w oczekiwaniu na przyjazd wyższego naczalstwa doktor Doktor odchodził prawie od zmysłów.

Dobrałby się w końcu do mnie, ale inni wolni naczelnicy złamali mu karierę, podstawili nogę i wyparli go z wygodnego stanowiska.

Doktor Doktor nagle dostał urlop na kontynent, chociaż nigdy o to nie prosił. Na jego miejsce przyjechał inny naczelnik.

Pożegnalny obchód. Nowy naczelnik – korpulentny, leniwy, ciężko dyszy. Oddział chirurgiczny na drugim piętrze – szybko szli i zadyszeli się. Ujrzawszy mnie, doktor Doktor nie potrafił sobie odmówić chwili rozrywki.

– To jest właśnie ten „kontrrewolucjonista”, o którym ci na dole mówiłem – głośno powiedział, wskazując na mnie palcem. – Wciąż chciałem go zwolnić, ale nie zdążyłem. Radzę ci zrobić to natychmiast, od razu. Będzie w szpitalu czystsze powietrze.

– Postaram się – obojętnie powiedział gruby naczelnik, a ja zrozumiałem, że nienawidzi on doktora Doktora nie mniej niż ja.

SIERGIEJ JESIENIN I ZŁODZIEJSKI ŚWIAT

…Wszyscy oni zbóje lub złodzieje,
Jak przesądził los.
Polubiłem wzrok ich bez nadziei
Chudość twarzy z trosk.
Wiele zła z radości jest w mordercach,
Nie ma w piersi skarg.
W czerni lic wykrzywia się bluźnierca
Grymas sinych warg.

Siergiej Jesienin

Wczesną i brudną uralską wiosną sunął pieszy etap. Był rok 1929, ostatni rok, kiedy w Rosji znajdował się tylko jeden koncentracyjny łagier, jeden jedyny SŁON – „Sołowieckij Łagier Osobowo Naznaczenija" (Sołowiecki Łagier Specjalny). Tworzono czwarty oddział SŁON-a na północnym Uralu. Już w zeszłym roku Sołówki, Kiem, Uchta-Pieczora posłały tam swoich „doświadczonych" więźniów.

Jeszcze wszystko było przyszłością – i sołowiecka rozstrzeliwująca komisja, i same Sołówki jako symbol bezprawia, gdzie działał znamienity „Kuriłka", gdzie przy przechodzeniu z jednego miejsca na drugie więźniowie żądali, aby wiązać im za plecami ręce oraz żeby ten niezwykły sposób przemarszu został wpisany do protokołu. Tak wyglądała samoobrona aresztantów przed lakoniczną formułą „zabity w czasie ucieczki" lub „zabity przy próbie ucieczki". Kontrolowano jedynie liczbę wystrzelonych kul: jeżeli zostały wystrzelone dwie, to znaczy, że oddany został strzał ostrzegawczy i wszystko jest w porządku. Pojedyncza kula, będąca przyczyną

śmierci, stanowiła obciążenie wystarczające do nałożenia kary aż do… odwachu włącznie.

Wszystko było przyszłością – i film *Sołówki*, gdzie na taśmie filmowej uchwycony został przewodniczący „rozładowującej komisji” Iwan Gawriłowicz Filipow, stary putiłowski tokarz, a później naczelnik wielkich łagrów, zamęczony w magadańskim więzieniu w 1938 roku. To właśnie Filipow był naczelnikiem tego łagru na Uralu, dokąd zmierzał etap. Wszystko było później. Jeszcze zamiast tysięcy łagrów był tylko jeden jedyny – Sołowiecki.

SŁON był jedynym wówczas łagrem, ale wcale nie pierwszym w porewolucyjnej Rosji. Pierwszy łagier został utworzony w 1924 roku w Chołmogorach, w rodzinnych stronach Łomonosowa. Trzymano tam marynarzy – uczestników buntu w Kronsztadzie. A raczej ich połowę, dokładnie – parzyste liczby tego strasznego szeregu, w który ustawiono na kronsztadzkim molo wszystkich uczestników buntu, po jego stłumieniu.

Po odliczeniu do dwóch ci z nieparzystymi liczbami zrobili pięć kroków naprzód i zostali rozstrzelani.

Z liczbami parzystymi – otrzymali po dziesięć lat i po pobycie w więzieniu odesłano ich do Chołmogorów. Było im tam bardzo źle, bezprawie w nim było gorsze od tego na Sołówkach, i kiedy wiadomości o tym dotarły do Moskwy, dla aresztowania łagrowych naczelników wysłano cały oddział wojska. Komendant łagru, Łotysz Oje, zastrzelił się, a resztki marynarzy umieszczono w różnych miejscach na zesłaniu.

W 1925 roku na terenie klasztoru utworzono obóz koncentracyjny: dla kryminalistów, białogwardzistów i sekciarzy – takie były trzy grupy więźniów w tych pierwszych łagrach.

Utworzenie czwartego oddziału SŁON-a, niebawem przekształconego w samodzielny łagier, stało się początkiem „epoki łagrów”, trwającej bez mała trzydzieści lat.

„Etap”, który szedł na północ przez uralskie wioski, był etapem jakby wziętym z książek – takie to wszystko było podobne do tego, co przedtem się czytało u Korolenki, Tołstoja, Figner czy u Morozowa…

Pijani konwojenci o szalonych oczach, bijący po karku i wymierzający policzki, a co minutę – szczękający zamkami karabinów… Sekciarz-fiodorowiec przeklinający „smoki”; świeża słoma rozścielana na gołej ziemi w szopach przy etapowych izbach; zagadkowi ludzie z tatuażami, w inży-

nierskich czapkach, niekończące się kontrole, apele, liczenie, liczenie, liczenie…

Ostatnia noc przed pieszym etapem – to noc zbawienia. I spoglądając na twarze towarzyszy, tych, którzy znali wiersze Jesienina, a w 1929 roku takich było niemało, dziwiliśmy się, jak do końca trafne były słowa poety:

W czerni lic wykrzywia się bluźnierca
Grymas sinych warg.

Właśnie wszyscy mieli sine usta, a twarze – czarne. Wszystkie usta były wykrzywione – grymasem bólu wielu krwawiących pęknięć.

Jednego razu, gdy nie wiadomo dlaczego szło się jakoś łatwiej – może odcinek był krótszy niż inne – na tyle, że rozłożyliśmy się na nocleg, gdy było jeszcze jasno, i zdążyliśmy odpocząć – w kącie, gdzie leżeli złodzieje, dał się słyszeć cichy śpiew, zbliżony do recytatywu pod własną melodię:

Ty mnie już nie kochasz, nie masz serca…

Złodziej skończył śpiewać romans, który skupił wielu słuchaczy i dumnie rzekł:

– To zabronione.

– To Jesienin – powiedział ktoś.

– Niech będzie Jesienin – powiedział śpiewak.

Już wówczas – zaledwie trochę ponad trzy lata od śmierci poety – jego popularność w błatniackich kręgach była bardzo wielka. Był to jedyny poeta „przyjęty” i „uświęcony” przez błatniaków, którzy wcale nie darzą wierszy specjalnymi względami.

Później błatniacy uczynili go „klasykiem” – w dobrym tonie było mówić o nim z szacunkiem w złodziejskich kręgach.

Każdy wykształcony błatniak zna takie wiersze, jak *Rżnij harmonio*, *Znów tu piją, biją się i płaczą*. Bardzo dobrze znają też *List do matki*. Natomiast zupełnie są im nieznane *Perskie motywy*, poematy i wczesne wiersze.

Dlaczego Jesienin jest tak bliski duszy błatniaka? Przede wszystkim przez wszystkie wiersze Jesienina przewija się nieukrywana sympatia do świata błatniaków. Niejednokrotnie wypowiedziana jasno i wprost. Dobrze pamiętamy:

Wszystko żywe ma znak swój wczesny
Przekazany z dziecinnych lat
Gdybym to ja nie tworzył pieśni
Tworzyłby mnie złodziejski świat.

Błatniacy te wiersze również dobrze pamiętają. Podobnie jak i te wcześniejsze (1915) – *W kraju tym, gdzie żółci się pokrzywa…* i wiele, wiele innych utworów.

Ale chodzi tu nie tylko o bezpośrednie wypowiedzi, nie tylko o taką jak w *Czarnym człowieku*, gdzie Jesienin sam sobie wystawia czysto błatniacką ocenę:

Ten człowiek był awanturnikiem
Lecz tej wysokiej
I dobrej marki.

Nastrój, odniesienia, tonacja licznych wierszy Jesienina bliskie są błatniackiemu światu.

Jakież to pokrewne im nuty słyszą błatniacy w poezji Jesienina? Przede wszystkim to nuty tęsknoty, wszystko, co wywołuje żal, wszystko, co bliskie jest „więziennemu sentymentalizmowi".

Zwierząt zaś, tych braci naszych mniejszych
Nigdy ich nie biłem ja po łbie.

Wiersze o psie, o lisie, o krowach i koniach rozumiane są przez błatniaków jako słowa człowieka bezwzględnego w stosunku do innych i czułego w stosunku do zwierząt.

Ale… błatniacy potrafią przygarnąć psa i natychmiast żywego rozszarpywać na kawałki – brak im moralnych przeszkód, a są przy tym ogromnie ciekawi, zwłaszcza jeżeli chodzi o to – „wyżyje czy nie wyżyje?" Rozpoczynając jeszcze w dzieciństwie obserwacje nad złapanymi przez siebie motylami, którym obrywa skrzydła, nad ptakami, którym wykłuwa oczy, po dojściu do wieku dojrzałego błatniak wykłuwa oczy człowiekowi, kierując się tą samą czystą ciekawością co w dzieciństwie.

A za wierszami Jesienina o zwierzętach jawi się im pokrewna dusza. Wcale nie odczuwają w tych wierszach ich tragicznej powagi. Wydają im się one zręcznie rymowanym oświadczeniem.

Na nutki wyzwania, protestu, beznadziejności – na wszystkie te elementy poezji Jesienina błatniacy są niezmiernie wrażliwi. Niepotrzebne im są jakieś tam *Kobyle okręty* czy *Pantokrator.* Błatniacy – to realiści. W wierszach Jesienina wielu rzeczy nie rozumieją i to, czego nie rozumieją, odrzucają. Natomiast najbardziej proste wiersze z cyklu *Moskwa karczemna* odbierane są jako odczucia pokrewne ich duszom, ich podziemnemu bytowaniu z prostytutkami w ponurej atmosferze hulanek.

Pijaństwo, hulanki, wysławianie rozpusty – wszystko to znajduje odzew w złodziejskich duszach.

Przechodzą oni obojętnie obok Jesieninowskiej liryki związanej z pejzażem, obok wierszy o Rosji – ani trochę nie interesuje to błatniaków.

Natomiast w wierszach, które znają i po swojemu cenią, dokonują śmiałych cięć. Na przykład w wierszu *Rżnij, harmonio* obcięli ostatnią strofkę z powodu słów:

Kochana ma, ja płaczę
Nie gniewaj się…

Przekleństwa wmontowane przez Jesienina w jego wiersze wywołują nieodmiennie zachwyt. Jakżeby. Przecież język każdego błatniaka naszpikowany jest najbardziej wyszukanymi, wielopiętrowymi, wydoskonalonymi ordynarnymi przekleństwami. To ich leksykon, ich życie.

I oto mają przed sobą poetę, który nie zapomina tej „ważnej dla nich” cechy tego, co robią.

Upoetycznienie chuligaństwa również sprzyja popularności Jesienina wśród złodziei, jakkowiek wydawałoby się, że od tej strony nie powinien w ich środowisku wywoływać żadnego uznania. Przecież złodzieje starają się o to, aby w oczach „frajerów” wyraźnie być kimś innym niż chuligani, bo i rzeczywiście są oni zjawiskiem o wiele bardziej niebezpiecznym. Jednakże w oczach „prostego człowieka” chuligan – to coś bardziej strasznego niż złodziej.

Jesieninowskie chuligaństwo opiewane w jego wierszach odbierane jest przez złodziei jak coś, co się zdarza w ich „knajpach”, w czasie tajnych hulanek, nieokiełznanych i ponurych libacji.

Jestem taki jak wy, zgubiony,
Już nie mogę się cofnąć wstecz.

Każdy wiersz *Moskwy karczemnej* zawiera nutki znajdujące oddźwięk w duszy błatniaka; dalekie jednak od głębokiego humanizmu i jasnej liryki stanowiącej istotę Jesieninowskich wierszy.

Oni chcą wydobyć stamtąd inne, współdźwięczące dla nich linijki. A one tam są, u Jesienina istnieje ten ton – człowieka obrażonego na świat. Istnieje też jeszcze inna strona poezji Jesienina, która zbliża go do pojęć panujących w błatniackim świecie, do ich kodeksu. Chodzi tu o stosunek do kobiety. Błatniak odnosi się do niej z pogardą, uważając ją za istotę niższą. Kobieta na nic innego nie zasługuje oprócz znęcania się, ordynarnych żartów i bicia.

Błatniak zupełnie nie myśli o dzieciach; w jego moralności nie istnieją takie zobowiązania, brak jest pojęć, które wiązałyby go z „potomkami".

Kim będzie jego córka? Prostytutką? Złodziejką? Kim będzie syn? Błatniakowi zdecydowanie jest wszystko jedno. A czyż zgodnie z „prawem" złodziej nie jest zobowiązany ustąpić swą przyjaciółkę bardziej „autorytatywnemu" koledze?

Rozsiałem ja po świecie dzieci swe
I żonę też
Nietrudno było oddać

I tu zasady moralne poety w pełni odpowiadają prawom i gustom uświęconym złodziejską tradycją i warunkami życia.

Pij, wydro, pij!

Wiersze Jesienina o pijanych prostytutkach błatniacy znają na pamięć i od dawna przyjęli je „na uzbrojenie". Tak samo *Słowiczek ma jedną ładną piosenkę…* i *Ty mnie już nie kochasz, nie masz serca…* z własną melodią, włączone zostały do skarbnicy „folkloru" kryminalistów, jak również:

Nie chrap trójko u drzwi mych spóźniona!
Nasze życie minęło jak w śnie.
Może jutro w szpitalu gdzieś skonam
W wieczny spokój przemienię mój gniew.

Złodziejscy śpiewacy zamieniają tylko „szpital" na „więzienie".

Kult matki w połączeniu z ordynarnie cynicznym i pogardliwym stosunkiem do kobiety-żony stanowi charakterystyczną cechę codziennego życia złodziei.

Pod tym względem poezja Jesienina niezwykle finezyjnie odtwarza pojęcia błatniackiego świata.

Matka jest dla błatniaka obiektem jego sentymentalnych wzruszeń, czymś dla niego „najświętszym". To również należy do reguł dobrego zachowania złodzieja, do jego „duchowych tradycji". Współistniejąc z chamstwem wobec kobiet w ogóle, słodkawo-sentymentalny stosunek do matki wydaje się czymś kłamliwym i oszukańczym. Jednakże kult matki – to oficjalna ideologia błatniaków.

Pierwszym wierszem, który zna dosłownie każdy błatniak, jest *List do matki* („Żyjesz jeszcze, moja ty staruszko?"). Ten wiersz – to błatniacki *Boży ptaszek*.

Ale i wszystkie inne wiersze Jesienina o matce, jakkolwiek nie mogą się równać pod względem popularności z *Listem*, są mimo wszystko znane i uznane.

Nastroje poezji Jesienina, w pewnej jej części, z zadziwiająco utrafioną dokładnością zgadzają się z pojęciami świata błatniaków. Tym właśnie daje się wyjaśnić ta wielka, szczególna popularność poety w środowisku złodziei.

Starając się w jakiś sposób podkreślić swoją bliskość w stosunku do Jesienina, w jakiś sposób zademonstrować całemu światu swój związek z wierszami poety, błatniacy, z właściwą im teatralnością, tatuują swe ciała przekłamanymi często cytatami z jego poezji. Najbardziej popularnymi, spotykanymi u bardzo wielu młodych błatniaków, wśród różnych obrazków o seksualnej treści, wyobrażeń kart i nagrobków, są następujące:

Jak mało jest przebytych dróg,
Jak wiele popełniono błędów.

Albo:

Jak płonąć – to już tak by spłonąć,
Kto spłonął, gorzeć już nie będzie.

Stawiałem na pikową damę,
Zagrałem karowego asa.

Wydaje się, że żaden poeta na świecie nigdy jeszcze nie był w taki sposób propagowany.

Jedynie Jesienin został w taki osobliwy sposób zaszczycony, „uznany” przez błatniacki świat.

Uznanie – to cały proces. Od zaciekawienia przy pobieżnym zaznajomieniu się do włączenia wierszy Jesienina zgodnie z powszechną akceptacją wszystkich hersztów podziemnego świata minęło dwadzieścia, trzydzieści lat. Były to te same lata, kiedy Jesienina nie wydawano albo wydawano niewiele (*Moskwa karczemna* do dzisiaj nie została wydana). Tym więcej zaufania i ciekawości wzbudza on wśród błatniaków.

Błatniacki świat nie lubi poezji. Nie ma dla niej miejsca w tym ponurym świecie. Wyjątkiem jest Jesienin. Ciekawe, że jego biografia, jego samobójstwo nie odegrały tu żadnej roli, w niczym nie przyczyniły się do jego powodzenia.

Zawodowi kryminaliści nie znają samobójstw, odsetek samobójstw w ich środowisku równa się zeru. Najbardziej znający się na rzeczy złodzieje objaśniali tragiczną śmierć Jesienina tym, że poeta nie był jednak w pełni złodziejem, był czymś w rodzaju „odpadu”, „wybrakowanego frajera”, od którego wszystkiego można oczekiwać.

Ale na pewno – powie to każdy błatniak, doświadczony i niedoświadczony – w Jesieninie była „kropla krwi żulika”.

OSTATNI BÓJ MAJORA PUGACZOWA

Od początku i końca tych wydarzeń minęło chyba wiele czasu, bo przecież na Dalekiej Północy każdy miesiąc liczy się za rok – tak wielkie jest doświadczenie zdobyte w tym czasie przez ludzi. Uznaje to również państwo, zwiększając pensje, mnożąc ulgi dla tych, co tam pracują. W tej krainie nadziei, a więc i pogłosek, przypuszczeń, domysłów, hipotez, każde wydarzenie obrasta legendą wcześniej, niż zdoła dotrzeć do jakichś „wyższych sfer" raport czy doniesienie o nim miejscowego naczelnika, dostarczone przez szybkiego kuriera.

Zaczęto opowiadać, że to było tak: kiedy bawiący przejazdem wysoki naczelnik utyskiwał, że praca w dziedzinie kultury w łagrze kuleje, i to na obie nogi, „kultorg" major Pugaczow miał głośno na to odpowiedzieć: „Proszę się nie martwić, obywatelu naczelniku, przygotujemy taki koncert, że cała Kołyma będzie o nim mówić".

Można rozpocząć opowiadanie od razu od meldunku lekarza, chirurga Braudego, odkomenderowanego z centralnego szpitala do rejonu działań wojennych.

Można też zacząć od listu Jaszki Kuczenia, sanitariusza-więźnia leżącego w szpitalu. List ten został napisany lewą ręką – prawe ramię Kuczenia zostało przestrzelone karabinową kulą.

Albo od opowiadania doktor Potaninej, która niczego nie widziała i niczego nie słyszała, gdyż wyjechała, zanim doszło do tych nieoczekiwanych wydarzeń. Ten właśnie wyjazd śledczy określił jako fałszywe „alibi", jako przestępcze powstrzymywanie się od działania, czy jak to tam jeszcze się nazywa w prawniczym języku.

Areszty trzydziestych lat były aresztami przypadkowych ludzi. Były to ofiary kłamliwej i strasznej teorii o rozpalającej się walce klasowej w miarę umacniania się socjalizmu.

Profesorowie, pracownicy partyjni, wojskowi, inżynierowie, chłopi, robotnicy, zapełniający wówczas więzienia w ogromnej liczbie, nie kryli w swych duszach niczego specjalnego oprócz, być może, własnej przyzwo-

itości i jakiejś naiwności – jednym słowem takich cech, które raczej ułatwiały, niż utrudniały pracę ówczesnych „organów sprawiedliwości”. Nie byli oni ani wrogami ludu, ani przestępcami na miarę państwową, i umierając, do końca nie wiedzieli, dlaczego tak się musiało stać. Ich ambicja, ich nienawiść nie znajdowały podłoża. I porozrzucani w różne miejsca, umierali na białej kołymskiej pustyni – od głodu, chłodu, wielogodzinnej pracy, bicia i chorób. Od razu oduczyli się bronić jeden drugiego i wzajemnie podtrzymywać. Do tego właśnie dążyło naczalstwo. Dusze tych, co pozostali przy życiu, uległy pełnej deprawacji, a ich ciała utraciły zdolność podejmowania ciężkiej, fizycznej pracy.

Po wojnie na ich miejsce przybywali inni – jeden za drugim przypływały parowce, które przywoziły „repatriowanych” z Włoch, Francji, Niemiec, prostą drogą na Daleki Północny Wschód.

Było wśród nich wielu ludzi wprawionych do czego innego, z nawykami nabytymi w czasie wojny – śmiałych, umiejących ryzykować i mających zaufanie tylko do własnej, posiadanej broni. Oficerowie i żołnierze, lotnicy i zwiadowcy…

Łagrowa administracja, nawykła do anielskiej cierpliwości i niewolniczej pokory „trockistów”, zupełnie się nie niepokoiła i nie spodziewała się żadnych niespodzianek.

Nowicjusze zapytywali ocalałych „aborygenów”: „Dlaczego w stołówce zjadacie tylko zupę i kaszę, a chleb zanosicie do baraku? Dlaczego nie jeść zupy razem z chlebem, jak czyni to cały świat?” Uśmiechając się spękaniami swych sinych ust, pokazując przerzedzone przez szkorbut zęby, miejscowi mieszkańcy tak odpowiadali nowicjuszom: „Po dwu tygodniach każdy z was zrozumie i będzie podobnie postępować”.

Jak im to wyjaśnić, że jeszcze nigdy w życiu nie zaznali oni prawdziwego głodu, długoletniego, wyniszczającego wolę. I że nie sposób walczyć z ogarniającym cię namiętnym pragnieniem przedłużenia procesu jedzenia: aby w baraku, z kubkiem gorącej, „natopionej” ze śniegu, pozbawionej smaku wody dojeść, dossać swoją porcję chleba w najwyższej błogości.

Nowicjusze kiwali głowami z pogardą i odchodzili. Ale nie wszyscy.

Major Pugaczow rozumiał również coś innego. Dla niego było jasne, że przywieziono ich na śmierć – na zmianę tych żyjących trupów. Przywieziono ich jesienią; sądząc po tym, jak ma wyglądać zima – to uciec się nie uda. Ale latem, jeśli się nawet nie powiedzie – to można będzie umrzeć, będąc wolnym.

I tak przez całą zimę zawiązywała się sieć tego spisku, jedynego chyba w ciągu dwudziestu lat.

Pugaczow zrozumiał, że przeżyć zimę, aby potem uciec, będą mogli tylko ci, którzy nie będą pracować na robotach ogólnych, w górniczym przodku. Po kilku tygodniach pracy w takiej brygadzie nikt nigdzie nie ucieknie.

Uczestnicy spisku powoli, jeden za drugim przesuwali się do „obsługi". Sołdatow został kucharzem, sam Pugaczow był kulturalno-oświatowym, był też felczer, dwu brygadzistów, a były mechanik Iwaszczenko naprawiał broń w oddziale straży.

Ale bez konwoju żadnego z nich za druty nie wypuszczano.

Rozpoczęła się oślepiająca kołymska wiosna, bez kropli deszczu, bez spływu kry, bez śpiewu ptaków. Pomaleńku znikł śnieg, spalony przez słońce. Tam zaś, gdzie nie dochodziły jego promienie, w wąwozach, parowach, śnieg leżał dalej, podobny do płytek rudy srebra, aż do przyszłego roku.

I w końcu nastał wyznaczony dzień.

Do drzwi malutkiego pomieszczenia straży przy bramie łagru, wartowni posiadającej dwa wejścia – do wewnątrz łagru i na zewnątrz, w którym zgodnie z regulaminem dyżurują dwaj nadzorcy, ktoś zastukał. Dyżurny ziewnął i spojrzał na budzik. Była piąta rano. Dopiero piąta, pomyślał.

Odrzucił haczyk i wpuścił stukającego. Był to łagrowy kucharz, więzień Gorbunow, który przyszedł po klucze od spiżarni z żywnością. Klucze przechowywane były na wartowni i w ciągu dnia kucharz Gorbunow przychodził po nie trzykrotnie. A potem je odnosił.

Dyżurny powinien być sam, osobiście otwierać tę szafę w kuchni, ale on dobrze wiedział, że kontrolowanie kucharzy to beznadziejna sprawa, że nie pomogą żadne zamki, jeżeli kucharz zechce ukraść, więc dawał mu te klucze. Tym bardziej o piątej rano.

Dyżurny przepracował na Kołymie ponad dziesięć lat, od dawna już otrzymywał podwójną pensję i tysiące razy dawał kucharzom klucze do rąk.

– Weź. – I dyżurny wziął linijkę, pochylając się, aby rozrysować formularz porannego raportu.

Gorbunow, wszedłszy z tyłu za plecy dyżurnego, zdjął z gwoździa klucz, włożył go do kieszeni i chwycił dyżurnego za gardło. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i na wartownię, przez przejście od strony łagru, wszedł Iwaszczenko, mechanik. Pomógł Gorbunowowi udusić nad-

zorcę i zaciągnąć trupa za szafę. Nagan nadzorcy Iwaszczenko włożył sobie do kieszeni. Przez okno wychodzące na zewnątrz widać było, jak ścieżką wraca drugi dyżurny. Iwaszczenko pospiesznie ubrał się w szynel zabitego, jego czapkę, zapiął pas i usiadł za stołem zamiast nadzorcy. Ten drugi, powracający dyżurny otworzył drzwi i zrobił krok w ciemną norę wartowni. Natychmiast został schwycony, zaduszony i wrzucony za szafę.

Jego odzież włożył Gorbunow. Już dwóch spiskowców posiadało broń i mundury. Wszystko odbywało się według rozkładu, zgodnie z planem majora Pugaczowa. Nagle na wartowni pojawiła się żona tego drugiego nadzorcy, również po klucze, które przypadkowo zabrał jej mąż. „Baby nie będziemy dusić" – powiedział Gorbunow. Związali ją, wetknęli w usta ręcznik i ułożyli w kącie.

Powróciła z pracy jedna z brygad. Taka możliwość została przewidziana. Konwojent, który wszedł do wartowni, został od razu rozbrojony i związany przez obydwu „nadzorców". Karabin wpadł w ręce uciekinierów. Od tego momentu dowództwo objął major Pugaczow.

Placyk przed wartownią znajdował się pod obstrzałem z obu wieżyczek strażniczych, gdzie znajdowali się wartownicy, ale ci niczego osobliwego nie zauważyli.

Brygada ustawiła się do pracy trochę wcześniej, ale kto na Północy może powiedzieć, co to jest wcześnie, a co to jest późno? Chyba trochę wcześniej. A być może i później.

Brygada – dziesięciu ludzi – dwójkami ruszyła drogą prowadzącą do wyrobisk. Z przodu i z tyłu, w odległości sześciu metrów, tak jak każe regulamin, kroczyło dwu konwojentów w szynelach, jeden z nich z karabinem w ręku.

Wartownik z wieżyczki strażniczej zobaczył, że brygada skręciła z drogi na ścieżkę prowadzącą mimo pomieszczeń oddziału straży. Mieszkali tam żołnierze ze służby konwojenckiej – cały oddział, sześćdziesięciu ludzi.

Sypialnia konwojentów znajdowała się w głębi, a zaraz przy drzwiach było pomieszczenie pełniącego służbę dyżurnego oddziału i stojaki z bronią. Dyżurny drzemał przy stole i w półśnie widział, że jakiś konwojent prowadzi brygadę więźniów ścieżką, mimo okna straży.

To pewnie Czernienko, nie poznając konwojenta, pomyślał dyżurny. Koniecznie, obowiązkowo napiszę na niego raport.

Dyżurny był mistrzem w tworzeniu niesnasek i nie straciłby sposobności, aby nie zrobić komuś jakiegoś świństwa, tym bardziej z uzasadnionego

powodu.

Była to jego ostatnia myśl. Drzwi się rozwarły na oścież i do koszar wbiegło trzech żołnierzy. Dwóch rzuciło się do sypialni, a jeden z najbliższej odległości zastrzelił dyżurnego. Za żołnierzami wbiegli aresztanci. Wszyscy rzucili się do stojaków z bronią – karabiny i automaty znalazły się w ich rękach. Major Pugaczow silnie pchnął drzwi do koszarowej sypialni. Żołnierze, jeszcze w bieliźnie, rzucili się do drzwi, ale dwie serie z automatu, puszczone w sufit, zatrzymały ich.

– Padnij! – zakomenderował Pugaczow i żołnierze powpełzali pod łóżka. Zdobywcy automatów pozostali przy progu na straży.

„Brygada”, nie spiesząc się, zaczęła się przebierać w wojskową odzież, układać żywność, gromadzić broń i amunicję.

Pugaczow zarządził, aby nie brać żadnej żywności oprócz wojskowych sucharów i czekolady. Natomiast broni i amunicji wzięto, ile się dało.

Felczer przewiesił sobie przez ramię torbę z apteczką pierwszej pomocy.

Uciekinierzy ponownie poczuli się żołnierzami.

Przed nimi była tajga, ale czyż ona jest straszniejsza niż błota Stochodu? Wyszli na trasę – na szosie Pugaczow podniósł rękę i zatrzymał ciężarówkę.

– Wyłaź! – Otworzył drzwi samochodu.

– Przecież ja…

– Wyłaź, do kogo się mówi!

Szofer wylazł. Za kierownicą usiadł lejtnant wojsk pancernych Georgadze, a obok niego Pugaczow. Wleźli też pozostali uciekinierzy-żołnierze i samochód pomknął.

Zdaje się, że tu jest zakręt.

– Benzyna się skończyła! – Pugaczow zaklął.

Weszli w tajgę tak, jakby zanurzyli się w wodę – od razu znikli w ogromnym, milczącym lesie. Kontrolując swój marsz za pomocą mapy, nie schodzili ze swojej wymarzonej drogi ku wolności, na przełaj przez tutejszy niezwykły wiatrołom.

Na Północy drzewa umierają, leżąc, jak ludzie. Ich potężne korzenie podobne były do gigantycznych pazurów drapieżnego ptaka, wczepionych w kamienie. Od nich odchodziły w dół, ku wiecznej zmarzlinie tysiące drobnych odrostków-czułków. Każdego lata zmarzlina nieco ustępowała i do każdej piędzi odtajałej ziemi powoli wpełzał i umacniał się tam brązowy korzeń-czułek.

Drzewa osiągały swój dojrzały wiek w trzysta lat, z wolna dźwigając swoje ciężkie, potężne ciało, wsparte na tych słabych korzeniach.

Powalone przez burzę drzewa padały na wznak, wszystkie głowami w jedną stronę, i umierały, leżąc na miękkiej warstwie jaskraworóżowego lub zielonego mchu.

Zaczęli urządzać się na nocleg, szybko, jak to robili zawsze.

I tylko Aszot z Malininem w żaden sposób nie mogli się uspokoić.

– Co wy tam? – spytał Pugaczow.

– Widzisz, Aszot wciąż mi udowadnia, że Adam został wygnany z raju na Cejlon.

– Jak to, na Cejlon?

– Tak u nich, u mahometan, się mówi – powiedział Aszot.

– A ty co – jesteś Tatarem czy jak?

– Ja nie jestem Tatarem, mam żonę Tatarkę.

– Nigdy o tym nie słyszałem – powiedział, uśmiechając się, Pugaczow.

– No właśnie, i ja nigdy nie słyszałem – podchwycił Malinin.

– No – spać…!

Było chłodno i major Pugaczow przebudził się. Sołdatow siedział pełen czujności, położywszy automat na kolanach. Pugaczow odwrócił się na plecy, odszukał wzrokiem Gwiazdę Polarną – ulubioną gwiazdę pieszych wędrowców. Tutaj gwiazdozbiory usytuowane były nie tak jak w Europie, w Rosji – mapa gwiezdna nieba była nieco skrzywiona i Wielka Niedźwiedzica spełzała w kierunku horyzontu. Tajga była milcząca i surowa; ogromne, pełne narośli i zgrubień modrzewie stały daleko jeden od drugiego. Las był pełen tej niespokojnej ciszy, którą zna każdy myśliwy. Tym razem Pugaczow nie był myśliwym, lecz tropioną zwierzyną – leśna cisza była dla niego po trzykroć bardziej wypełniona niepokojem.

Była to jego pierwsza noc na wolności, pierwsza taka noc po długich miesiącach i latach strasznej, krzyżowej drogi majora Pugaczowa. Leżał i wspominał, jak rozpoczęło się to, co przesuwa się teraz przed jego oczami jak film pełen mocnych wydarzeń. Jak gdyby taśmę filmową z postaciami wszystkich dwunastu uciekających wraz z nim towarzyszy sam, własnoręcznie tak puścił w ruch, że zamiast powolnego jej biegu, jak co dzień, wydarzenia zaczęły przelatywać z nieprawdopodobną prędkością. I oto pojawił się napis „koniec filmu” – są na wolności.

Zaczyna się walka, rozgrywka, życie…

Major Pugaczow przypomniał sobie niemiecki obóz, z którego uciekł w 1944 roku. Front zbliżał się do miasta. Pracował jako szofer ciężarówki zwożącej śmieci wewnątrz ogrodzonego obozu. Przypomniał sobie, jak rozpędził samochód i rozwalił jednorzędowe ogrodzenie z drutu kolczastego, wyrywając stawiane w pośpiechu słupy. Wystrzały wartowników, krzyki, wariacka jazda przez miasto w różnych kierunkach, porzucony samochód, posuwanie się nocami w kierunku linii frontu i spotkanie – przesłuchanie w oddziale specjalnym. Oskarżenie o szpiegostwo i wyrok – dwadzieścia pięć lat więzienia.

Major Pugaczow wspomniał przyjazdy Własowa z jego „Manifestem", przyjazdy do głodnych, wyczerpanych i udręczonych rosyjskich żołnierzy.

„Wasza władza dawno się was wyrzekła. Każdy jeniec to zdrajca w oczach waszej władzy" – mówili własowcy. I pokazywali moskiewskie gazety z rozkazami i przemówieniami. Jeńcy już wcześniej o tym wiedzieli. Nie na darmo jedynie rosyjskim jeńcom nie przysyłano paczek. Francuzi, Amerykanie, jeńcy wszystkich narodowości otrzymywali paczki, listy, mieli swoje ziomkostwa, przyjaźnili się; Rosjanie nie mieli niczego oprócz głodu i nienawiści do wszystkiego na świecie. Nic dziwnego, że z niemieckich obozów tak wielu wstąpiło do „Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej".

Major Pugaczow nie wierzył własowowskim oficerom do czasu, aż sam dotarł do oddziałów Armii Czerwonej. Wszystko, co mówili własowcy, było prawdą. On nie był tej władzy potrzebny. Ona się go bała.

Potem były wagony dla więźniów, z kratami i konwojem, długa podróż na Daleki Wschód, morze, ładownia parowca i kopalnia złota na Dalekiej Północy. I głodowa zima.

Pugaczow podniósł się i usiadł. Sołdatow pomachał do niego ręką. Właśnie jemu, Sołdatowowi, należał się honor rozpoczynania tego, co miało dalej nastąpić, chociaż był jednym z ostatnich wciągniętych do spisku. Nie stchórzył, zachował zimną krew, nie zdradził. Zuch Sołdatow!

U jego nóg leżał lotnik, kapitan Chrustalow, którego los podobny był do losów Pugaczowa. Zestrzelony niemiecki samolot, niewola, głód, ucieczka, trybunał, łagier. Widział, jak Chrustalow przewrócił się na drugi bok – jeden policzek był bardziej czerwony od drugiego – „odleżał" go. Z Chrustalowem jako z pierwszym Pugaczow podjął przed kilkoma miesiącami rozmowę o ucieczce. O tym, że już lepsza śmierć niż aresztanckie życie, że lepiej umrzeć z bronią w ręku, niż upadać z głodu i pracy pod kolbami i pod butami konwojentów.

I Chrustalow, i major, obaj byli ludźmi czynu, i ta znikoma szansa, dla której postawiono na jedną kartę życie dwunastu ludzi, została przeanalizowana i omówiona z największą wnikliwością. Plan zasadzał się na przechwyceniu lotniska, a na nim – samolotu. Było tu kilka lotnisk i teraz idą właśnie przez tajgę do tego najbliższego.

To Chrustalow był tym brygadzistą, po którego posłali uciekinierzy po napadzie na pomieszczenie oddziału straży. Pugaczow nie chciał uciekać bez najbliższego przyjaciela. I oto teraz on śpi spokojnie i mocno.

A obok niego Iwaszczenko, zbrojmistrz, reperujący rewolwery i karabiny straży. To Iwaszczenko dowiedział się tego, co było niezbędne do zapewnienia sukcesu: gdzie znajduje się broń, kto i kiedy pełni służbę w oddziale, gdzie jest skład amunicji. Iwaszczenko – to były zwiadowca.

Przyciśnięci jeden do drugiego, mocno śpią Lewicki i Ignatowicz – obaj lotnicy, koledzy kapitana Chrustalowa.

Rozrzucił ręce na plecy sąsiadów czołgista Polakow – na plecy wielkoluda Georgadze i łysego wesołka Aszota, którego nazwiska major nie mógł sobie teraz przypomnieć. Położywszy sobie pod głowę torbę sanitariusza, śpi Sasza Malinin, łagrowy – a przedtem wojskowy felczer, własny felczer grupy specjalnej majora Pugaczowa.

Pugaczow uśmiechnął się. Każdy na pewno po swojemu wyobrażał sobie tę ucieczkę. Ale w tym, że wszystko tak się udawało, że wszyscy rozumieli się wzajemnie w pół słowa, Pugaczow widział nie tylko to, że on miał rację. Każdy wiedział, że bieg wydarzeń jest taki, jaki być powinien. Jest dowódca i jest cel. Pewny dowódca i trudny cel. Mają broń. Są na wolności. Można spać spokojnym żołnierskim snem, w tę pustą, bladoliliową tutejszą noc, przy dziwnym świetle, gdy drzewa nie rzucają cienia.

Obiecał im wolność i otrzymali ją. Prowadził ich na śmierć – a oni się jej nie bali. I nikt przecież nie wydał, myślał Pugaczow, do ostatniego dnia. O przygotowującej się ucieczce wiedziało przecież wiele osób w łagrze. Ludzie byli dobierani przez wiele miesięcy. Wielu, z którymi Pugaczow otwarcie rozmawiał, odmówiło, ale nikt nie pobiegł na wartownię z donosem. Ta okoliczność godziła Pugaczowa z życiem.

– Ale zuchy, ale zuchy – szeptał i uśmiechał się.

Zjedli trochę sucharów, czekolady, popili wodą i milcząc, ruszyli. Prowadziła ich ledwie widoczna ścieżka.

– Niedźwiedzia – powiedział Sołdatow, syberyjski myśliwy.

Pugaczow wraz z Chrustalowem weszli na przełęcz, do wieży triangulacyjnej i zaczęli patrzeć w dół na dwie szare wstęgi – rzeki i szosy. Rzeka wyglądała jak rzeka, ale szosa na dużej przestrzeni – około dziesięciu kilometrów – była zapełniona ciężarówkami z ludźmi.

– Pewnie z więźniami – starał się odgadnąć Chrustalow.

Pugaczow przypatrzył się.

– Nie, to żołnierze. Za nami. Trzeba będzie się rozdzielić – powiedział. – Ośmiu ludzi niech przenocuje w stogach, a my we czwórkę pójdziemy tym wąwozem. Jeżeli wszystko będzie dobrze, to nad ranem wrócimy.

Pod lasem weszli w suche koryto strumienia. Pora wracać.

– Spójrz, tam ich zbyt wielu, gońmy w górę strumienia.

Ciężko dysząc, podchodzili wzdłuż łożyska strumienia, a kamienie leciały w dół, pod nogi atakujących, szeleszcząc i łomocząc.

Lewicki odwrócił się, wystrzelił i upadł. Kula trafiła go wprost w oko.

Georgadze zatrzymał się przy wielkim głazie, odwrócił się i serią z automatu powstrzymał podchodzących wąwozem żołnierzy. Nie na długo jednak – automat jego zamilkł i strzelał jedynie karabin.

Chrustalow wraz z Pugaczowem zdążyli wspiąć się wyżej, na samą przełęcz.

– Idź sam – powiedział major do Chrustalowa – ja sobie postrzelam. – Nie spiesząc się, walił w każdego, który się pokazał.

Powrócił Chrustalow, krzycząc: „Idą!” I upadł. Zza wielkiego kamienia wybiegali ludzie.

Pugaczow porwał się, wystrzelił do biegnących i rzucił się z płaskiej przestrzeni na przełęczy w dół, do wąskiego koryta strumienia. W locie uchwycił gałąź iwy, utrzymał się i odpełzł na bok. Potrącone przez niego kamienie hurkotały, nie doleciawszy jeszcze do dołu.

Nie szukając drogi, szedł przez tajgę, aż opadł z sił.

A nad leśną polaną ukazało się słońce i postacie ludzi w mundurach, którzy pojawili się ze wszystkich stron, były dobrze widoczne dla tych, co ukryli się w stogach.

– Czyżby koniec? – powiedział Iwaszczenko i szturchnął łokciem Chaczaturiana.

– Dlaczego koniec? – odparł Aszot, celując. Szczęknął karabinowy wystrzał, na ścieżce upadł żołnierz.

Natychmiast ze wszystkich stron otwarto ogień w kierunku stogów.

Żołnierze rzucili się na rozkaz przez błoto do stogów, zatrzeszczały karabiny, rozległy się jęki.

Atak został odparty. W błotnistych kępach leżało kilku rannych.

– Sanitariusz, podpełznąć – rozkazał jakiś naczelnik.

Przewidując, co może być, ze szpitala wzięto sanitariusza-więźnia Jaszkę Kuczenia, mieszkańca Zachodniej Białorusi. Nie powiedziawszy ani słowa, aresztant Kuczeń zaczął pełznąć do rannego, wymachując torbą sanitarną. Zatrzymała go w pół drogi kula, która trafiła go w ramię.

Wyskoczył, nie bojąc się, naczelnik oddziału straży – tego właśnie oddziału, który został rozbrojony przez uciekinierów. Krzyczał: „Hej, Iwaszczenko, Sołdatow, Pugaczow, poddajcie się, jesteście otoczeni! Nie macie gdzie uciekać!”

– Chodź, przyjmuj broń! – krzyknął ze stogu Iwaszczenko.

I chlupiąc po błocie, Bobylow, naczelnik straży, pobiegł do stogów.

Kiedy przebiegł do połowy ścieżki, szczęknął karabin Iwaszczenki – kula trafiła Bobylowa wprost w czoło.

– Zuch – pochwalił kolegę Sołdatow. – Naczelnik taki odważny, bo mu już było wszystko jedno, albo by go rozstrzelali za naszą ucieczkę, albo skazali. No, trzymaj się!

Strzelano ze wszystkich stron. Zaterkotały przywiezione karabiny maszynowe.

Sołdatow poczuł, jak coś smagnęło mu ogniem po nogach, a na jego ramię opadła głowa zabitego Iwaszczenki.

Drugi stóg milczał. W błocie leżało z dziesięć trupów.

Sołdatow strzelał, dopóki coś nie uderzyło go w głowę i stracił przytomność.

Mikołaj Siergiejewicz Braude, starszy chirurg wielkiego szpitala, został wezwany przez generała majora Artiemjewa, jednego z czterech kołymskich generałów, naczelnika straży wszystkich kołymskich łagrów, do stawienia się w osadzie Liczan wraz z „dwoma felczerami, materiałem opatrunkowym i narzędziami” – tak głosił telefonogram.

Braude, nie zastanawiając się niepotrzebnie, szybko się przygotował i stary szpitalny samochód, który już wiele doświadczył, ruszył we wskazanym kierunku. Na szosie przeganiały go potężne studebakery, naładowane uzbrojonymi żołnierzami. Trzeba było przejechać tylko czterdzieści kilometrów, ale z powodu ciągłych zatrzymań, wywołanych nagromadzeniem

samochodów gdzieś tam w przodzie, oraz ciągłych kontroli dokumentów, Braude dotarł do celu dopiero po dwóch godzinach.

Generał major Artiemjew oczekiwał chirurga w mieszkaniu miejscowego naczelnika łagru. I Braude, i Artiemjew byli starymi kołymianami, los stykał ich ze sobą nie po raz pierwszy.

– Co tu się dzieje, wojna czy co?

– Wojna nie wojna, a w pierwszym starciu dwudziestu ośmiu zabitych. A rannych to pan sam zobaczy.

I dopóki Braude mył się przy spłuczce do mycia rąk, umocowanej na drzwiach, generał opowiedział mu o ucieczce.

– A pan – powiedział Braude, zapalając papierosa – pewnie wezwał samoloty, co? Dwie, trzy eskadry, i bombardowały, bombardowały… Albo od razu atomową bombą.

– Pan by wciąż żartował – powiedział generał major. – A ja, bez żadnych żartów oczekuję na rozkaz. To jeszcze dobrze, jeśli usuną mnie z wojsk straży, a mogą też oddać pod sąd. Różnie już bywało.

Tak, Braude wiedział, że różnie bywało. Przed kilkoma laty wysłano na piechotę trzy tysiące ludzi do jednego z portów, gdzie na brzegu były składy, i ludzie ci zginęli w czasie marszu w burzy śnieżnej. Z trzech tysięcy pozostało przy życiu około trzystu. W ofierze został złożony zastępca naczelnika zarządu łagrów, który podpisał rozporządzenie o wymarszu etapu. Oddano go pod sąd.

Braude wraz z felczerami do wieczora wyjmował kule, amputował, opatrywał. Tylko żołnierze straży byli ranni – nie było wśród nich ani jednego uciekiniera.

Na drugi dzień znowu przywieziono rannych. Dwóch żołnierzy otoczonych przez oficerów straży przyniosło na noszach pierwszego i jedynego uciekiniera, którego ujrzał Braude. Był on ubrany w wojskowy mundur i odróżniał się od żołnierzy jedynie zarostem. Miał roztrzaskane golenie obu nóg, przełamane wystrzałem lewe ramię, ranę głowy z uszkodzeniem kości ciemieniowej. Był nieprzytomny.

Braude udzielił mu pierwszej pomocy i na rozkaz Artiemjewa zawiózł wraz z konwojentami rannego do siebie do szpitala, gdzie były odpowiednie warunki do przeprowadzenia poważnej operacji.

Wszystko się zakończyło. Nieopodal stał wojskowy ciężarowy samochód pokryty brezentem – w nim złożono ciała zabitych uciekinierów. A obok drugi – z ciałami zabitych żołnierzy.

A major Pugaczow pełzł skrajem wąwozu.

Po tym zwycięstwie można było zwolnić całą tę armię, ale jeszcze przez wiele dni ciężarówki z żołnierzami jeździły tam i z powrotem po wszystkich odcinkach szosy o długości dwóch tysięcy kilometrów.

Dwunastego – majora Pugaczowa – nie było.

Sołdatowa długo leczono i wyleczono – aby go potem rozstrzelać. Był to zresztą jedyny wyrok śmierci spośród sześćdziesięciu – taka bowiem liczba przyjaciół uciekinierów i ich znajomych trafiła „pod sąd". Naczelnik miejscowego łagru dostał dziesięć lat. Kierownik ambulatorium doktor Potanina została przez sąd uniewinniona i zaraz po zakończeniu procesu zmieniła miejsce pracy. Generał major Artiemjew dokładnie przewidział, co się może stać – został usunięty ze stanowiska i zwolniony ze służby w wojskach straży.

Pugaczow z trudem spełzł do wąskiej gardzieli pieczary – było to niedźwiedzie legowisko, zimowe mieszkanie zwierza, który już dawno z niego wyszedł i wędrował po tajdze. Na ścianach jaskini i na leżących kamieniach trafiały się tu i ówdzie włosy z jego sierści.

Jak to się wszystko szybko skończyło, myślał Pugaczow. Przyprowadzą psy i znajdą. Wezmą mnie.

I leżąc w jaskini, przypomniał sobie swoje życie – trudne, męskie życie, które teraz kończy się na niedźwiedziej ścieżce w tajdze. Wspominał ludzi – wszystkich, których szanował i kochał, poczynając od swej matki. Wspomniał szkolną nauczycielkę Marię Iwanowną, która chodziła w jakiejś watowanej bluzce, pokrytej zrudziałym, wytartym czarnym aksamitem. I przypomniał sobie jeszcze wielu, wielu ludzi, z którymi stykał go los.

Ale najlepszymi, tymi, co najbardziej zasłużyli na pamięć, byli oni, jedenastu jego towarzyszy. Nikt z innych ludzi w jego życiu nie spotkał się z taką ilością rozczarowań, kłamstw i oszustwa. I w tym północnym piekle znaleźli jeszcze w sobie siły, aby jemu, Pugaczowowi, uwierzyć i sięgnąć po wolność. Byli to najlepsi ludzie jego życia.

Pugaczow zerwał brusznicę z krzaczka rosnącego na kamieniu u wejścia do jaskini. Szary, pomarszczony, zeszłoroczny owoc pękł mu w palcach, które zaraz oblizał. Przejrzała jagoda nie miała smaku, podobnie jak śniegowa woda. Jej skórka przywarła do wyschniętego języka. Tak, to byli najlepsi ludzie. I wiedział już teraz, jak brzmi nazwisko Aszota – Chaczaturian.

Major Pugaczow wspomniał ich wszystkich – jednego po drugim – i do każdego się uśmiechnął. A potem włożył do ust lufę pistoletu i wystrzelił ostatni raz w życiu.

BUKINISTA

Z nocy zostałem przeniesiony do pracy w dzień – był to oczywisty awans, umocnienie się, sukces na niebezpiecznej, ale dającej ocalenie drodze sanitariusza „spośród chorych”. Nie zauważyłem, kto zajął moje miejsce – w owych czasach nie starczało mi sił, oszczędzałem każdy swój ruch, każdą emocję – miałem już okazję powstawać z martwych i wiedziałem, ile kosztuje niepotrzebna ciekawość. Ale kątem oka w nocnym półśnie widziałem bladą, brudną twarz, zarośniętą rudą szczeciną, wpadnięte oczy niewiadomego koloru, powykręcane, odmrożone palce, kurczowo trzymające uchwyt zakopconej menażki. Noc w szpitalnym baraku była tak ciemna i nieprzejrzysta, że płomień benzynówki, kołyszący się, drgający jakby pod wpływem wiatru, nie potrafił oświetlić korytarza, sufitu, ścian, drzwi, podłogi i wyrywał z ciemności tylko kawałeczek tej całej nocy: róg szafki i pochyloną nad nią bladą twarz. Nowy dyżurny odziany był w ten sam szlafrok, w którym ja dyżurowałem, w brudny, porwany szlafrok, przeznaczony dla chorych do poruszania się po szpitalu. W ciągu dnia szlafrok wisiał na sali, a nocą bywał naciągany na waciak dyżurnego sanitariusza „spośród chorych”. Flanela była niezwykle cienka, przeświecała – ale jednak nie pękała; chorzy albo nie potrafili wykonać gwałtownego ruchu, albo obawiali się, żeby szlafrok nie rozpadł się na kawałki.

Półkrąg światła chwiał się, kołysał, miotał. Wydawało się, że to chłód, a nie wiatr, że to sam chłód kołysze tym światłem nad szafką dyżurnego sanitariusza. W świetlnej plamie chwiała się twarz naznaczona głodem, brudne, powykręcane palce błądziły po dnie menażki, starając się namacać to, czego nie udało się wyłowić łyżką. Palce, nawet te odmrożone, pozbawione czucia, były jednak pewniejsze od łyżki – zrozumiałem istotę tych ruchów, wymowę tego gestu.

Nie powinienem był o tym wszystkim wiedzieć – byłem przecież sanitariuszem dziennym.

Ale po kilku dniach – pospieszny wyjazd, bo życie potoczyło się szybciej, przyspieszone nagłą decyzją – i skrzynia ciężarówki, trzęsąca się przy

każdym silniejszym szarpnięciu samochodu, pełznącego po wymarzniętym korycie bezimiennej rzeczułki, zimową, tajgową drogą do Magadanu, na południe. W skrzyni ciężarówki podlatują i uderzają o dno, postukując jak drewno, przewalają się jak drewniane polana ciała dwóch ludzi. Konwojent siedzi w kabinie, a ja nie wiem – czy to uderza we mnie drewno, czy człowiek. Na jednym z przystanków dla zjedzenia czegoś chciwe mlaskanie sąsiada wydało mi się znajome. Rozpoznałem powykręcane palce i bladą, brudną twarz.

Nie rozmawialiśmy ze sobą – każdy z nas bał się, żeby nie spłoszyć swego szczęścia, szczęścia aresztantów. Samochód spieszył się – drogę trzeba przebyć w ciągu doby.

Obaj jechaliśmy na kurs felczerów, skierowani przez łagier. Magadan, szpital, kurs – wszystko to było jakby we mgle, w białej kołymskiej mgle. Czy są jakieś punkty wyznaczające drogę? Czy przyjmują pięćdziesiąty ósmy? Tylko dziesiąty punkt. A co ma mój sąsiad ze skrzyni samochodu? Także dziesiąty, „asa”. Inicjały „antysowieckiej agitacji”. Równoważne dziesiątemu punktowi.

Egzamin z języka rosyjskiego. Dyktando. Oceny zostają wystawione tego samego dnia. Piątka. Pisemna praca z matematyki – piątka. Egzamin ustny z matematyki – piątka. Od subtelności Konstytucji ZSRR przyszli kursanci zostali uwolnieni – wszyscy wiedzieli o tym wcześniej… Leżałem na narach, brudny, wciąż jeszcze podejrzanie zawszawiony – praca sanitariusza nie niszczyła wszy – a może mi się tylko tak wydawało: zawszawienie – to jedna z łagrowych psychoz. Już dawno nie ma wszy, a ty w żaden sposób nie możesz się zmusić, aby przyzwyczaić się – nie do myśli (co znaczy myśl?), lecz do uczucia, że nie masz już wszy; tak mi się w życiu zdarzało dwukrotnie i trzykrotnie. A Konstytucja czy „Astoria”, czy ekonomia polityczna – wszystko to nie dla nas. W butyrskim więzieniu, jeszcze w czasie śledztwa blokowy krzyczał: „Co wy pytacie o Konstytucję? Wasza konstytucja – to kodeks kryminalny!” I miał rację. Tak, naszą konstytucją był kodeks kryminalny. Ale to było dawno. Przed tysiącem lat. Czwartym przedmiotem była chemia. Ocena – trójka.

Ach, jak ostro ruszyli więźniowie z nauką na kursie, gdzie stawką było życie. Jak ostro ruszyli do przodu byli profesorowie instytutów, ażeby nieukom, nigdy nieinteresującym się medycyną bałwanom wbijać do łbów zbawienną wiedzę – od magazyniera Siłajkina do tatarskiego pisarza Min-Szabaja…

Chirurg pyta, wykrzywiając w uśmiechu cienkie wargi:

– Kto wynalazł penicylinę?

– Fleming! – To nie ja odpowiadam, lecz mój sąsiad z rejonowego szpitala. Ruda szczecina została już zgolona. Pozostała niezdrowa pulchność policzków (naparł na zupę [1] – przelatuje mi mimochodem przez głowę). Byłem zdumiony wiedzą rudego kursanta. Chirurg przyglądał się uradowanemu „Flemingowi". Kimże ty jesteś, nocny sanitariuszu? Kim? Kim byłeś na wolności?

– Jestem kapitanem. Kapitanem wojsk inżynieryjnych. Na początku wojny byłem naczelnikiem umocnionego rejonu na wyspie Dickson. Pospiesznie budowaliśmy te umocnienia. Jesienią czterdziestego pierwszego roku, kiedy rozsiała się poranna mgła, ujrzeliśmy w zatoce niemiecki krążownik *Admirał Speer*. Strzelając na wprost, rozwalił nasze umocnienia. I odpłynął. A mnie dali dziesięć lat. „Nie wierzysz – przyjmij to za bajkę".

Wszyscy kursanci uczyli się całymi nocami, wchłaniając, pakując w siebie wiedzę z całą pasją skazanych na śmierć, którym nagle dano nadzieję na przeżycie.

Ale Fleming, po jakiejś tam służbowej wizycie u naczalstwa, poweselał i przywlókł na naukę w baraku powieść. Pojadając gotowaną rybę – resztki czyjejś uczty – niedbale kartkował książkę.

Spostrzegłszy mój ironiczny uśmiech, Fleming powiedział:

– Teraz to wszystko jedno – uczymy się już trzy miesiące – wszystkich, co utrzymali się na kursie, wypuszczą z dyplomem. Dlaczego mam wariować? No zgódź się!

– Nie – powiedziałem. – Ja chcę się nauczyć leczyć ludzi. Nauczyć się prawdziwie dobrej roboty.

– Prawdziwie dobrą robotą jest życie.

W tym czasie wyjaśniło się, że kapitaństwo Fleminga – to tylko jego maska, jeszcze jedna maska na tej bladej, więziennej twarzy. Właściwie kapitaństwo nie było maską, maską były wojska inżynieryjne. Fleming był śledczym NKWD w stopniu kapitana. Informacje były przefiltrowywane, gromadziły się kropla po kropli – przez kilka lat. Kropla – to miernik czasu, tak jak w zegarze wodnym. Lub kropla spadająca na nagie ciemię więźnia w śledztwie – wodny zegar katowni Leningradu w latach trzydziestych. Piaskowy zegar odmierzał czas aresztanckich spacerów, wodny – czas na przyznanie się, czas śledztwa. Pośpiech piaskowego zegara i męka wodnego. Zegar wodny nie odliczał, nie mierzył minut, lecz ludzką duszę, ludzką

wolę, rozmiękczając ją kropla po kropli, drążąc jak skałę – tak jak w przysłowiu. Ten folklor śledczy był bardzo rozpowszechniony w trzydziestych, a nawet chyba już w dwudziestych latach. Kropla po kropli zostały zebrane słowa kapitana Fleminga i skarb okazał się bezcenny. Tak go również oceniał sam Fleming – bo jakżeby inaczej!

– Czy ty wiesz, co jest największą tajemnicą naszych czasów?

– Co?

– Procesy lat trzydziestych. Jak je przygotowywano? Przecież byłem wtedy w Leningradzie. U Zakowskiego. Przygotowanie procesów – to chemia, medycyna, farmakologia. Ujarzmienie woli środkami chemicznymi. Takich środków jest tyle, ile zechcesz. Czy ty naprawdę myślisz, że jeżeli takie środki istnieją – to nie będą ich stosować? Czyżby genewska konwencja…

– Posiadać chemiczne środki ujarzmienia woli i nie stosować ich w śledztwie, na „wewnętrznym froncie” – to już nazbyt ludzkie. Nie można uwierzyć w taki humanizm w dwudziestym wieku. W tym i tylko w tym leży tajemnica procesów lat trzydziestych, otwartych procesów, dostępnych dla każdego zagranicznego korespondenta i dla każdego Feuchtwangera. Na tych procesach nie było żadnych sobowtórów. Tajemnica tych procesów – to tajemnica farmakologii…

Leżałem na krótkich, niewygodnych podwójnych narach w opustoszałym kursanckim baraku, który słońce przestrzeliwało swymi promieniami na wylot i słuchałem tych wyznań.

– Doświadczenia prowadzono już wcześniej – w czasie procesów szkodników na przykład. Komedia z Ramzinem tylko trochę zahacza o farmakologię.

Kropla po kropli sączyło się opowiadanie Fleminga – czy to skapywała jego własna krew na moją czujną pamięć? Co to były za krople – krew, łzy, atrament? Ani atrament, ani łzy.

– Były oczywiście przypadki, kiedy medycyna okazywała się bezsilna. To były albo nieprawidłowe obliczenia przy przygotowywaniu roztworów, albo szkodnictwo. W takim przypadku – podwójne ubezpieczenie: zgodnie z zasadą.

– Gdzież są teraz ci lekarze?
– Kto to wie? Pewnie na Księżycu…

Arsenał śledztwa – to ostatnie słowo nauki, ostatnie słowo farmakologii.

To nie była szafa oznaczona literą „A” – dożylne, trucizny – ani też nie szafa „B” – heroina, silnie działające. Okazuje się, że greckie słowo heros przekłada się na rosyjski jako „silnie działający”. A gdzie przechowywane były medykamenty kapitana Fleminga? W szafie „P” – w szafie przestępstw czy w szafie „C” – cudów?

Człowiek, który rozporządzał szafą „P” i szafą „C” lub z innymi najwyższymi osiągnięciami nauki, dopiero na felczerskim kursie w łagrze dowiedział się, że człowiek posiada jedną wątrobę, że nie jest ona podwójnym organem. Dowiedział się o krwiobiegu – trzysta lat po Harveyu.

Tajemnica skrywała się w laboratoriach, podziemnych gabinetach, śmierdzących wiwariach, gdzie zwierzęta pachniały tak jak aresztanci magadańskiego punktu tranzytowego w trzydziestym ósmym roku. W porównaniu z nim butyrskie więzienie lśniło czystością jak oddział chirurgiczny, pachniało salą operacyjną, a nie wiwarium.

Wszystkie odkrycia nauki i techniki sprawdzane są najpierw w aspekcie ich przydatności dla potrzeb wojskowych – nawet tych przyszłych, w aspekcie utrafienia w ich przyszłe zastosowania. I tylko to, co zostało odsiane przez generałów, zostaje oddane na ogólne potrzeby. Medycyna, chemia, farmakologia już dawno podlegają kontroli wojska. Na całym świecie, w instytutach naukowych zajmujących się mózgiem, zawsze gromadzone były wyniki eksperymentów i obserwacji. Trucizny Borgiów zawsze były narzędziem praktycznej polityki. Dwudziesty wiek przyniósł niezwykły rozkwit środków chemicznych i farmakologicznych sterujących psychiką.

Ale jeżeli można lekarstwem zabić strach, to tysiąc razy można zrobić coś odwrotnego – ujarzmić ludzką wolę za pomocą zastrzyków, przez czystą farmakologię, chemią, pozbawioną zupełnie „fizyki” w postaci łamania żeber i deptania obcasami butów, wykruszania zębów i gaszenia papierosów na ciele więźnia znajdującego się w śledztwie.

Chemicy i fizycy – tak nazywano te dwie szkoły prowadzenia śledztwa. Fizycy – to ci, co stawiali najwyżej fizyczne oddziaływanie, widząc w biciu środek ujawnienia moralnych podstaw świata. Ujawnienia głębi ludzkiego jestestwa. I jakim podłym i nijakim okazywało się to ludzkie jestestwo. Pod groźbą kija wynalazcy robili naukowe odkrycia, a inni pisali wiersze i powieści. Strach przed biciem, żołądkowa skala „żywnościowej porcji" tworzyły wiele.

Bicie – to dostatecznie silne narzędzie oddziaływania na psychikę, wystarczająco efektywne.

Wiele korzyści przynosił również słynny, wszędzie stosowany „konwejer", kiedy jeden śledczy zmieniał drugiego, nie dając aresztantowi spać. Siedemnaście dób bez snu – i człowiek traci rozum – czy aby nie z gabinetów śledczych zaczerpnięte zostało to naukowe spostrzeżenie?! Ale i chemiczna szkoła nie poddawała się.

Fizyka mogła zapewnić potrzebny materiał dla „komisji specjalnych", dla różnych „trójek", ale dla otwartych procesów szkoła fizycznego oddziaływania nie nadawała się. Szkoła fizycznego oddziaływania (tak chyba jest u Stanisławskiego) nie mogłaby przygotować otwartego, krwawego teatralnego spektaklu, nie potrafiłaby przygotować „otwartych procesów", które poruszały całą ludzkość. Takie widowiska leżały w zakresie możliwości chemików.

Dwadzieścia lat po tej rozmowie wpisuję do tego opowiadania fragmenty artykułu z gazety: „Stosując niektóre środki psychofarmakologiczne, można na przykład na pewien czas usunąć uczucie strachu u człowieka. Co jest przy tym specjalnie ważne, jasne poczucie świadomości pozostaje zupełnie nienaruszone".

„Potem ujawniono jeszcze bardziej nieoczekiwane fakty. U ludzi, którym tłumiono fazę «B» ich snu przez siedemnaście kolejnych nocy, zaczęły powstawać różne zaburzenia stanu ich psychiki i zachowania".

Co to? Fragmenty zeznań jakiegoś byłego naczelnika zarządu NKWD w procesie sędziów?… Ostatni przed śmiercią list Wyszyńskiego lub Riumina? Nie, to są ustępy naukowego artykułu autorstwa rzeczywistego członka Akademii Nauk ZSRR. Ale przecież to wszystko – i stokroć więcej! – jest znane, sprawdzone i było stosowane w trzydziestych latach podczas przygotowywania „otwartych procesów".

Farmakologia nie była jedynym narzędziem śledczego arsenału tamtych lat. Fleming wymienił nazwisko, które było mi dobrze znane. Ornaldo!

Oczywiście! Ornaldo był znanym hipnotyzerem, w latach dwudziestych wielokrotnie występował w moskiewskich cyrkach, i nie tylko w moskiewskich. Specjalnością Ornalda była masowa hipnoza. Istnieją fotografie z jego słynnych występów. Są też ilustracje w książkach o hipnozie. Ornaldo – to oczywiście pseudonim. Nazywał się naprawdę M.A. Smirnow. Był moskiewskim lekarzem. Afisze z jego nazwiskiem obejmowały całe powierzchnie – rozklejano je wtedy na okrągłych, obracających się słupach ogłoszeniowych. Jego fotografia znajdowała się u Paolo-Swiszczowa w zaułku Stolesznikowskim. W witrynie wisiało ogromne zdjęcie ludzkich oczu i widniał napis: „Oczy Ornalda”. Pamiętam do dzisiaj te oczy, pamiętam ten wewnętrzny niepokój, który mnie ogarniał, kiedy słyszałem o nim lub widziałem jego cyrkowy występ. Hipnotyzer występował do końca lat dwudziestych. Istnieją robione w Baku w 1929 roku fotografie z jego występów. Potem przestał występować.

Z początkiem lat trzydziestych Ornaldo został zatrudniony jako tajny pracownik NKWD.

Chłodny dreszcz mnie przeleciał, gdy poznałem tę tajemnicę.

Często bez żadnego powodu Fleming chwalił Leningrad. Co prawda przyznał – on nie jest rodowitym leningradczykiem. Rzeczywiście Fleming został wezwany z prowincji przez estetów NKWD lat dwudziestych, jako jeden z ich godnych następców. Zaszczepiono mu gusty wykraczające poza normalne szkolne wykształcenie. Nie tylko Turgieniew i Niekrasow, ale i Balmont, i Sołogub, nie tylko Puszkin, ale też Gumilow.

– „A wy, królewskie psy, filibustierzy, kryjący złoto w ciemnym porcie”. Czy czegoś nie przekręcam?

– Nie, wszystko w porządku!

– Dalej nie pamiętam. Czyżbym był królewskim psem? Państwowym psem?

I uśmiechając się do siebie i swej przeszłości, opowiedział – pełen pietyzmu, tak jak czyni to puszkinista, który trzymał w ręku gęsie pióro Puszkina, którym napisana została *Połtawa* – jak dotykał teczek „sprawy Gumilowa”, nazywając ją spiskiem licealistów. Można było pomyśleć, iż dotknął kamienia Kaaby – taka błogość, takie wewnętrzne oczyszczenie widniało w rysach jego twarzy, że mimo woli pomyślałem – to jest też droga zaangażowania się w poezję. Zadziwiający, niezwykle rzadki trop w gabinecie

śledczym, prowadzący do skarbów literatury. Oczywiście nie tą drogą dochodzi się do moralnych wartości poezji.

– W książkach przede wszystkim czytam przypisy i komentarze. Jako człowiek przypisów, człowiek komentarzy.

– A tekst?

– Nie zawsze. Gdy jest na to czas.

Dla Fleminga i jego współpracowników zaangażowanie się w literaturę mogło nastąpić, jakkolwiek zabrzmi to świętokradczo – jedynie w ich pracy jako śledczych. I poznanie ludzi związanych z literaturą i życiem społeczeństwa, zniekształcone, ale mimo wszystko w jakiś sposób prawdziwe, rzeczywiste, nieskrywane przez tysiące masek. Głównym informatorem o sprawach inteligencji artystycznej owych lat, stałym, wnikliwym i wykwalifikowanym autorem wszelkiego rodzaju „memorandów" i przeglądów zajmujących się życiem pisarzy, był – nazwisko to tylko z początku było dla mnie zaskoczeniem – generał major Ignatjew. Pięćdziesiąt lat na służbie. Czterdzieści lat w sowieckim wywiadzie.

– Tę książkę, *Pięćdziesiąt lat w szeregu*, przeczytałem już wtedy, kiedy zaznajomiłem się z jego poglądami i zostałem przedstawiony samemu autorowi. Czy też on został mi przedstawiony – mówił w zamyśleniu Fleming. – Niezła książka te *Pięćdziesiąt lat w szeregu*.

Fleming niezbyt lubił gazety, wiadomości prasowe czy radiowe. Wydarzenia międzynarodowe nie zajmowały go. Co innego – jeżeli chodziło o sprawy wewnętrzne. Głównym uczuciem Fleminga było uczucie dotkliwej krzywdy wyrządzonej mu przez jakąś ciemną siłę, która odkryła przed gimnazjalistą nieograniczone możliwości, wyniosła go wysoko i naraz zrzuciła bezwstydnie w otchłań, nie pozostawiając po nim śladu. I w żaden sposób nie mógł zapamiętać prawidłowego zakończenia słynnej pieśni mojego dzieciństwa *Goreje, szumi pożar Moskwy*.

Przyswajanie kultury miało osobliwy charakter. Jakieś krótkoterminowe kursy, jakieś wycieczki do Ermitażu. Człowiek rósł. I wyrósł śledczy-esteta, zszokowany pojawieniem się brutalnej siły, która wdarła się do „organów" w latach trzydziestych, zmieciony, zniszczony przez „nową falę", wyznającą tylko działanie za pomocą ordynarnej siły fizycznej, gardzącą nie tylko psychologicznymi subtelnościami, ale nawet „konwejerami" czy „stójkami". Tej nowej fali nie starczało całkiem po prostu cierpliwości na prowadzenie jakichś tam naukowych kalkulacji, na wielką psychologię. Okazuje się, że rezultaty można uzyskać znacznie prościej, zwykłym biciem.

Powolni esteci sami powędrowali na Księżyc. Fleming tylko przypadkiem pozostał przy życiu. Nowa fala nie mogła czekać. Zanikał głodowy blask oczu Fleminga i profesjonalna spostrzegawczość zaczynała dochodzić do głosu…

– Słuchaj, patrzyłem na ciebie w czasie seminarium. Myślałeś o swoich sprawach.

– Ja chcę tylko zapamiętać, zapamiętać i opisać.

W mózgu Fleminga, wypoczętym i uspokojonym, falowały jakieś obrazy.

Na oddziale nerwic, gdzie pracował Fleming, przebywał Łotysz – wielkolud, który zupełnie oficjalnie otrzymywał potrójne porcje. Każdego razu, gdy wielkolud zaczynał jeść, Fleming siadał naprzeciw, nie mogąc ukryć swojego zachwytu wobec tego potężnego żarcia.

Fleming nie rozstawał się z menażką, tą samą, z którą przyjechał… To był talizman. Kołymski talizman.

Na tym samym oddziale błatniacy złapali kota, zabili go i ugotowali. Poczęstowali Fleminga jako dyżurnego felczera – tradycyjna „łapa”, kołymska łapówka, kołymskie przekupstwo. Fleming zjadł mięso i nic nikomu o kocie nie powiedział. Był to kot z oddziału chirurgicznego. Kursanci bali się Fleminga. Ale kogóż się oni nie bali? W szpitalu Fleming pracował już jako felczer, etatowy konował. Wszyscy byli do niego wrogo usposobieni, obawiając się go, wyczuwając w nim nie tylko pracownika organów, ale posiadacza jakiejś niezwykle ważnej, strasznej tajemnicy.

Wrogość się powiększyła, a atmosfera tajemniczości zagęściła po nagłym wyjeździe Fleminga na spotkanie z młodą Hiszpanką. To była najprawdziwsza Hiszpanka, córka któregoś z członków rządu Republiki Hiszpanii. Wywiadowczyni, wplątana w sieć prowokacji, dostała dziesięć lat i została wyrzucona na Kołymę, aby tam umrzeć. A Fleming, jak się okazuje, nie został zapomniany przez swoich starych i dalekich przyjaciół, przez swoich towarzyszy pracy. Czegoś tam miał się dowiedzieć od Hiszpanki, coś tam potwierdzić. Chora jednak nie czeka. Po wyzdrowieniu została wysłana etapem do kobiecej kopalni. Fleming zaś nagle, zostawiając pracę w szpitalu, jedzie na spotkanie z nią, przez dwa dni poniewiera się na trasie o długości tysiąca wiorst, po której jadą jeden za drugim samochody i stoją co kilometr czaty wywiadowców z bezpieki. Ma jednak szczęście i wraca ze spotkania bez żadnych kłopotów. To, co zrobił, mogłoby ucho-

dzić za romantyczny wyczyn, dokonany w imię łagrowej miłości. Niestety, Fleming nie podróżuje dla miłości, nie dokonuje dla niej bohaterskich czynów. W tym przypadku działa siła znacznie większa niż miłość, silniejsza od niej pasja, która przeniesie go bezpiecznie przez wszystkie łagrowe zasadzki.

Wielokrotnie Fleming wspominał lata trzydzieste z ich nagłym potokiem zabójstw. Śmierć Sawinkowa, którego syn został rozstrzelany, a rodzina – żona, dwoje dzieci, matka żony – nie chciała wyjeżdżać z Leningradu. Wszyscy popełnili samobójstwo i pamięć Fleminga zachowała słowa napisane przez dziecko na karteczce: „Babciu, my niedługo umrzemy…”

W roku pięćdziesiątym Fleming skończył odsiadywanie wyroku w „sprawie NKWD”, ale do Leningradu nie powrócił. Nie otrzymał zezwolenia. Żona, przez wiele lat strzegąca „powierzchni mieszkalnej” w Leningradzie, przyjechała stamtąd do Magadanu, ale nie udało się jej jakoś urządzić i wyjechała z powrotem. Przed dwudziestym zjazdem Fleming powrócił do Leningradu, do tego samego pokoju, w którym mieszkał do momentu katastrofy…

Szalone kłopoty. Tysiąc czterysta rubli za wysługę lat. Znawcy farmakologii, wzbogaconej obecnie wykształceniem felczera, nie udało się powrócić do swej „specjalności”. Okazało się, że wszyscy „starzy pracownicy”, wszyscy weterani tych spraw, wszyscy pozostający przy życiu esteci zostali posłani na emeryturę. Aż do ostatniego gońca.

Fleming podjął pracę jako selekcjoner książek w sklepie bukinistycznym na Litiejnym. Fleming uważał, że jest z krwi i kości rosyjskim inteligentem, jakkolwiek jego przynależność do inteligencji miała tak osobliwy charakter. Do samego końca Fleming nie chciał oddzielić swego losu od losów rosyjskiej inteligencji, być może czując, że tylko obcowanie z książkami pozwoli mu zachować potrzebne kwalifikacje, jeżeli uda mu się dożyć lepszych czasów.

W czasach Konstantina Leontjewa kapitan „wojsk inżynieryjnych” poszedłby do klasztoru. Ale świat książek, niebezpieczny i wzniosły świat służby książce, ubarwiony fanatyzmem, jak każda pasja związana z książkami, także zawiera w sobie element moralnego oczyszczenia. Przecież nie zostanie dozorcą były wielbiciel Gumilowa i znawca komentarzy do jego wierszy i jego losów. Być felczerem, pracować w nowym zawodzie? Nie, to już lepiej zostać bukinistą.

– Ja staram się, cały czas zabiegam. Rumu?

– Nie piję.

– Ach, co za pech, jak mi przykro, że ty nie pijesz. Katia, on nie pije! Rozumiesz? Ja wciąż się dobijam. Jeszcze wrócę do swojej pracy.

– Jeśli powrócisz do tej pracy – zsiniałymi ustami powiedziała Katia – to ja się powieszę, utopię od razu jutro.

– Żartuję. Cały czas żartuję.

– Zabiegam. Wciąż chodzę koło tego. Składam jakieś podania, prawuję się, jeżdżę do Moskwy. Przecież przywrócono mi członkostwo partii. To jakże? – Pojawił się wyciągnięty zza pazuchy Fleminga plik zmiętych papierków. – Czytaj. To poświadczenie Drabkinej. Była u mnie na Igarce.

Przebiegłem wzrokiem obszerny tekst poświadczenia autorki *Czarnych sucharów*. „Będąc naczelnikiem ambulatorium w łagrze, dobrze odnosił się do więźniów, i za to właśnie został w krótkim czasie aresztowany i osądzony…” Przeglądałem brudne, lepkie, wielokrotnie nieuważnie kartkowane palcami naczalstwa „zeznania” Drabkinej…

– Potrzebne ci to wszystko?

– Potrzebne. Wypełniam tym życie. A może, a może, diabeł go wie. Pijemy?

– Ja nie piję.

– Ech. Za wysługę lat. Tysiąc czterysta. Ale mnie trzeba czegoś innego…

– Zamilcz albo ja się powieszę – krzyknęła Katia, żona.

– Ona jest chora na serce – wyjaśnił Fleming.

– Weź się w garść. Pisz. Masz dobry styl. Do gazet. A opowiadanie, powieść – to jest właśnie list uwierzytelniający.

– Nie, ja nie jestem pisarzem. Ja załatwiam…

I parskając mi śliną do ucha, zaczął mi coś szeptać bez ładu i składu, jak gdyby nigdy nie było żadnej Kołymy i jakby to on, Fleming, w trzydziestym siódmym roku sam stał przez siedemnaście dób na „konwejerze” w czasie śledztwa i przez to jego psychika się w widoczny sposób rozstroiła.

– Teraz wydaje się wiele pamiętników. Wspomnień. Na przykład *W świecie odtrąconych* Jakubowicza. Niech wydadzą.

– Czy napisałeś swoje wspomnienia?

– Nie. Natomiast chcę polecić do wydania jedną książkę – wiesz jaką? Chodziłem do Lenizdatu – ale mówią, nie twoja sprawa…

– Jakąż to książkę?

– Notatki Sansona, paryskiego kata. To dopiero byłby pamiętnik!

– Paryskiego kata?

– Tak. Pamiętam, że Sanson odciął głowę Charlotte Cordet i klepał ją po policzkach, które się zaróżowiły na odciętej już głowie. I jeszcze jedno: wtedy odbywały się „bale ofiar”. Czy u nas też się odbywają?

– Bal ofiar związany jest z thermidorem, a nie wprost z czasami po okresie terroru. Natomiast notatki Sansona – to falsyfikat.

– To nie o to chodzi – czy to jest falsyfikat czy nie. Była taka książka? Napijmy się rumu. Próbowałem wielu napojów, ale najlepszy jest rum. Rum. Jamajski rum.

Żona nakryła do obiadu – pojawiły się góry jakiegoś tłustego jedzenia, które prawie natychmiast były pochłaniane przez żarłocznego Fleminga. Nieposkromiona łapczywość na jedzenie, jako uraz psychiczny, pozostała mu na zawsze, podobnie jak tysiącom innych byłych więźniów – do końca życia.

Rozmowa jakoś się urwała i w zapadającym miejskim zmierzchu usłyszałem obok siebie dobrze mi znane kołymskie mlaskanie. Pomyślałem o życiowej sile kryjącej się w zdrowym żołądku i przewodzie pokarmowym, w zdolności pochłaniania wszystkiego – na Kołymie właśnie to było obronnym refleksem życia Fleminga. Niewybredność i łapczywość. Duchowa niewybredność, przyswojona za biurkiem śledczego, także stanowiła przygotowanie, była swojego rodzaju amortyzatorem przy tym kołymskim upadku, który dla Fleminga nie był upadkiem w otchłań – on już wcześniej wiedział o tym wszystkim i to go uratowało: osłabiło duchowe męczarnie – jeżeli w ogóle je przeżywał! Żadnych innych duchowych urazów Fleming nie doświadczył – widywał rzeczy gorsze i obojętnie spoglądał na zagładę wszystkich w swoim sąsiedztwie, gotów walczyć tylko o własne życie. Życie zostało uratowane, ale w duszy jego pozostał jakiś głęboki ślad, który należało zatrzeć, oczyścić skruchą. Skruchą – poprzez przejęzyczenia, połowiczne aluzje, głośne rozmowy z sobą samym, bez ubolewania czy potępienia. „Całkiem po prostu nie miałem szczęścia”. I mimo wszystko opowiadanie Fleminga było skruchą.

– Widzisz tę książeczkę…?

– Legitymacja partyjna?

– Aha. Nowiutka. Ale to wszystko nie było takie proste, nieproste.

Pół roku temu komitet obwodowy rozpatrywał sprawę mojej rehabilitacji. Siedzą, czytają materiały. Sekretarz komitetu, ten Czuwasz, mówi jakoś tak bez życia i szorstko:

– No, to wszystko jasne. Proszę pisać decyzję: przywrócić w prawach z przerwą w stażu.

Zapiekło mnie jak ogień: „z przerwą w stażu”. Pomyślałem sobie – jeżeli teraz nie powiem, że się nie zgadzam z decyzją, to potem zawsze będą mi mówić – a dlaczego milczeliście, kiedy rozpatrywano waszą sprawę? Po to przecież wzywa się was osobiście, ażeby dać możliwość w porę powiedzieć, zgłosić… Podnoszę rękę.

– No, co tam masz? – Jakoś tak bez życia i szorstko.

Mówię: „Nie zgadzam się z decyzją. Przecież zawsze, wszędzie, gdzie będę pracować, zażądają wyjaśnienia powodu tej przerwy”.

– Patrz, jakiś ty szybki – mówi pierwszy sekretarz komitetu. – Dlategoś taki zuch, bo masz zapewnioną bazę materialną – ile otrzymujesz za wysługę lat?

Ma rację, ale mu przerywam i mówię:

– Proszę o pełną rehabilitację bez przerwy w stażu.

A sekretarz nagle:

– Co ty tak naciskasz? Czego się gorączkujesz? Przecież masz ręce po łokcie we krwi!

Zaszumiało mi w głowie.

– A wasze – mówię – wasze nie są naznaczone krwią?

Sekretarz zaś mówi:

– Nas tutaj nie było.

– A tam – mówię – tam, gdzie byliście w trzydziestym siódmym roku? Tam nie maczaliście rąk we krwi?

Sekretarz na to:

– Dość tego gadania. Możemy przegłosować. Idź stąd.

Wyszedłem na korytarz, a oni podjęli decyzję: „Odmówić partyjnej rehabilitacji”.

Przez pół roku dobijałem się o to w Moskwie. Zmienili decyzję. Ale przyjęli jednak to sformułowanie „Przywrócić z przerwą w stażu”. Ten, który referował moją sprawę w KKP, powiedział – nie trzeba było się kłócić w komitecie obwodowym.

– Ja cały czas zabiegam, prawuję się, jeżdżę do Moskwy i dobijam się. Pij!

– Ja nie piję.
– To nie rum, to koniak. Pięciogwiazdkowy koniak! Dla ciebie.
– Zabierz butelkę.
– No i słusznie, zabiorę, wyniosę, wezmę ze sobą. Nie obrażaj się.
– Ja się nie obrażę.
Minął rok i otrzymałem od bukinisty ostatni list:

W czasie mojego wyjazdu z Leningradu umarła nagle moja żona. Wróciłem po pół roku, zobaczyłem wzgórek mogiły, krzyż i amatorską fotografię – jej, w trumnie. Nie potępiaj mnie za słabość, jestem zdrowym człowiekiem, ale nic nie mogę zrobić – żyję jak we śnie, utraciłem sens w życiu. Ja wiem: to przejdzie, ale trzeba na to czasu. Co ona zobaczyła w życiu? Chodzenie po więzieniach, aby otrzymać zaświadczenie i zezwolenie na paczkę. Pogarda społeczeństwa, podróż do mnie do Magadanu, życie w nędzy, a teraz – finał. Wybacz, potem napiszę więcej. Tak, ja jestem zdrów, ale czy zdrowe jest społeczeństwo, w którym żyję? Cześć.

1. W języku łagrowym oznaczało to jedzenie szczególnie dużej ilości zupy. [wróć]

PO LIST

Na wpół pijany radiooperator otworzył na oścież moje drzwi.

„Jest gryps do ciebie z zarządu, zajdź do mojej chawiry” – i znikł w śniegu i mgle. Odsunąłem od piecyka tuszki zajęcy, które przywiozłem z mojego ostatniego wyjazdu – w tym roku był urodzaj na zające, ledwo można było nadążyć stawiać sidła, a już pół dachu baraku było nimi usłane, ich zamrożonymi tuszkami. Sprzedać nie było gdzie, więc prezent z dziesięciu zajęczych ciał nie był zbyt drogi, wymagający rewanżu czy zapłaty. Ale zające trzeba było najpierw rozmrozić.

Gryps z zarządu – to telegram, radiogram, telefonogram na moje nazwisko – pierwszy telegram od piętnastu lat. Szokujący, napawający strachem, podobnie jak na wsi, gdzie każdy telegram – to jakaś tragedia, czyjaś śmierć. Wezwanie, aby się stawić na zwolnienie? – nie, z tym się nie spieszą, a przy tym już dawno jestem wolny. Poszedłem do radiooperatora do jego warownego zamku, radiostacji znajdującej się za potrójną palisadą, z trzema furtami zamykanymi na kłódki, z zamkami, które otworzyła mi jego żona. Przeciskałem się przez kolejne drzwi, przybliżając się do mieszkania gospodarza. Ostatnie drzwi i wkroczyłem w łopot skrzydeł, w smród kurzego pomiotu, przedzierając się poprzez trzepoczące skrzydłami kury i piejące koguty; zginając się i chroniąc twarz, przekroczyłem jeszcze jeden próg, ale i tam go nie było. Były jedynie świnie, trzy utuczone wieprzki i większa od nich maciora. Była to już ostatnia przeszkoda.

Radiooperator siedział w otoczeniu rozsad ogórków i skrzynek ze szczypiorkiem. Całkiem po prostu miał on zamiar zostać milionerem. Na Kołymie bogacą się i w ten sposób. Wielkie ruble w postaci wysokich stawek, polarnych przydziałów, naliczania procentów – to jeden ze sposobów. Drugi to handlowanie machorką i herbatą. A hodowla kur i świń – to trzeci sposób.

Przyciśnięty przez swoją florę i faunę do samego skraju stołu radiooperator podał mi, jak papuga mająca wyciągnąć moje szczęście, plik papierków – wszystkie były jednakowe.

Pogrzebałem w telegramach, niczego nie rozumiejąc, i swojego nie znalazłem, ale radiooperator łaskawie wyjął go koniuszkami palców.

„Przyjechać list”, znaczyło: proszę przyjechać po list – poczta oszczędzała na treści, ale adresat oczywiście pojął, o co chodzi.

Poszedłem do naczelnika rejonu i pokazałem mu telegram.

– Ile kilometrów?

– Pięćset.

– No cóż…

– Pięć dób wystarczy.

– Dobra. Ale pospiesz się. Nie czekaj na samochód. Jutro Jakuci podrzucą cię psami do Baragonu. A tam zabiorą cię renifery, pocztowy zaprząg, jeżeli nie będziesz skąpy. Najważniejsze, aby się dostać do centralnej trasy.

– Dobrze, dziękuję.

Wyszedłem od naczelnika i zrozumiałem, że nie dotrę do tej przeklętej trasy, nawet nie dotrę do Baragonu, bo przecież nie mam półkożuszka. Zostałem kołymianinem bez półkożuszka. Sam sobie byłem winien. Przed rokiem, kiedy zwalniałem się z łagru, magazynier Siergiej Iwanowicz Korotkow podarował mi prawie nowy biały półkożuszek. Podarował także wielką poduszkę. Ale starając się rozstać ze szpitalami i wyjechać na kontynent, sprzedałem i półkożuszek, i poduszkę – całkiem po prostu po to, żeby nie mieć zbędnych rzeczy, które i tak czeka jeden koniec – ukradną je albo odbiorą błatniacy. Tak przedtem postąpiłem. Ale nie udało mi się wyjechać – dział kadr w porozumieniu z magadańskim NKWD nie dał na to zgody. Kiedy więc skończyły mi się pieniądze, zostałem zmuszony ponownie podjąć pracę w Dalstroju. Tak też zrobiłem i pojechałem tam, gdzie znajdował się radiooperator wraz z latającymi kurami, ale półkożuszka nie zdążyłem już kupić. Poprosić kogoś o pożyczkę na pięć dni – na Kołymie będą się śmiać z takiej prośby. Pozostawało kupić półkożuszek w osadzie.

I rzeczywiście. Znalazł się półkożuszek i znalazł się sprzedawca. Tylko że półkożuszek – czarny ze wspaniałym baranim kołnierzem – podobny był bardziej do waciaka: nie miał kieszeni ani pół, jedynie kołnierz i szerokie rękawy.

– Coś ty, odciąłeś poły czy co? – spytałem sprzedającego, łagrowego nadzorcę Iwanowa. Iwanow był kawalerem i ponurakiem. Poły odciął na rękawice – modne kragi – z półkożuszka wychodziło pięć par takich krag, a każda para warta była tyle, ile cały półkożuszek. Tego, co zostało, nie można było oczywiście nazwać półkożuszkiem.

– A co, tobie nie wszystko jedno? Ja sprzedaję półkożuszek. Za pięćset rubli. Ty go kupujesz. To zupełnie zbędne pytanie – czy odciąłem poły czy nie.

Rzeczywiście pytanie było zbędne, więc szybko zapłaciłem Iwanowowi, przyniosłem półkożuszek do domu i począłem czekać nocy.

Psi zaprzęg – szybkie spojrzenie czarnych oczu Jakuta, odrętwiałe palce, którymi uchwyciłem się sań, pęd, i zaraz za zakrętem – jakaś rzeczka, lód, krzaki bijące boleśnie po twarzy. Ale wszystko mam przywiązane, umocowane. Dziesięć minut takiego pędu i pocztowa osada, gdzie…

– Mario Antonowna – podrzucą mnie?

– Podrzucą.

Tutaj, jeszcze zeszłego roku latem zgubił się maleńki jakucki chłopczyk, pięcioletnie dziecko, i ja wraz z Marią Antonowną próbowaliśmy rozpocząć poszukiwania. Przeszkodziła w tym matka. Paliła fajkę, długo ją paliła, a potem skierowała na nas swoje czarne oczy.

– Nie trzeba szukać. Sam przyjdzie. Nie zabłądzi. To jego ziemia.

A oto i renifery – dzwoneczki, sanie, kij kajura-poganiacza. Tylko że ten kij nazywa się chorej, a nie ostoł, jak przy psim zaprzęgu.

Maria Antonowna, której tak się nudzi, że odprowadza każdego, kto tędy przejeżdża poza obrzeże tajgi – co tu nazywają okolicą w tajdze – odprowadziła mnie również.

– Żegnam, Mario Antonowna.

Biegnę obok sań, ale częściej siadam, przysiadam się, czepiam, padam i znowu biegnę. Pod wieczór pojawił się blask świateł wielkiej trasy, warkot przejeżdżających we mgle samochodów.

Rozliczam się z Jakutami i podchodzę do ogrzewalni – do drogowego dworca. Piecyk się nie pali – brak drew. Mimo wszystko – jest dach i są ściany. Już jest kolejka na samochód do centrum, do Magadanu. Ale niewielka – tylko jeden człowiek. Zawarczał silnik samochodu, człowiek wybiega we mgłę. Znów warkot. Odjechali. Teraz ja muszę wyjść na mróz.

Pięciotonówka dygocze, ledwie zatrzymała się na mój znak. Miejsce w kabinie jest wolne. Na wierzchu nie można jechać tak daleko w taki mróz.

– Dokąd?

– Na Lewy Brzeg.

– Nie wezmę. Wiozę węgiel do Magadanu, a do Lewego Brzegu nie opłaca mi się, byś wsiadał.

– Zapłacę ci jak do Magadanu.

– To inna sprawa. Siadaj. Taryfę znasz?

– Tak, rubel za kilometr.

– Pieniądze z góry.

Wyjąłem pieniądze i zapłaciłem. Samochód zanurzył się w białej mgle i zwolnił. Dalej nie dało się jechać w tej mgle.

– Prześpimy się, co? Na Jewraszce. – Co to takiego Jewraszka? Jewraszka – to suseł. A więc stacja Susłowo. Zwinęliśmy się w kabinie, nie gasząc silnika. Przeleżeliśmy, aż zaczęło się robić jasno i biała zimowa mgła nie wydała się tak straszna jak wieczorem.

– Trzeba zagotować czyfirku – i pojedziemy.

Kierowca zagotował w konserwowej puszce, służącej mu za kubek, paczkę herbaty, ostudził w śniegu i wypił. Jeszcze raz zalał wodą, zagotował, wypił i schował kubek.

– Jedziemy!

– A ty skąd jesteś?

Powiedziałem mu.

– Bywałem u was. Nawet pracowałem w waszym rejonie jako szofer. Jest w waszym łagrze taki niegodziwiec – Iwanow, nadzorca. Ukradł mi kożuch. Poprosił o niego, żeby móc dojechać – w zeszłym roku było zimno – i tyle go widziałem. Zginął bez śladu. Nie oddał. Przekazywałem mu przez ludzi. Mówi, że nie brał i koniec. Sam się tam wybieram, aby odebrać kożuch. Taki czarny, piękny. Po co mu taki kożuch? Chyba że potnie na kragi – i rozsprzeda. Właśnie na to jest moda. Mógłbym sam uszyć te kragi – a teraz ani krag, ani kożucha, ani Iwanowa.

Obróciłem się, przygniatając kołnierz swojego półkożuszka.

– Ot, taki właśnie czarny jak twój. Suka. No, spaliśmy, to teraz trzeba dodać gazu.

Samochód pomknął, hucząc i wyjąc silnikiem na zakrętach – kierowca był za sprawą czyfiru znów w formie.

Kilometr za kilometrem, most za mostem, kopalnia za kopalnią. Już zrobiło się całkiem jasno. Samochody przeganiały się wzajemnie i wymijały, jadąc z przeciwka. Nagle wszystko zatrzeszczało, runęło i samochód nasz zatrzymał się, dobijając do pobocza.

– Wszystko – w diabły!!! – Kierowca podskakiwał. – Węgiel – w diabły! Kabina – w diabły! Burta – w diabły! Pięć ton węgla – w diabły! Wszystko poszło w diabły!

Sam nie był nawet draśnięty, a ja nie od razu zrozumiałem, o co chodzi.

Nasz samochód zwaliła czeska „tatra”, jadąca z przeciwka. Na jej żelaznej burcie nie znalazło się żadne draśnięcie. Kierowcy przyhamowali samochód i wyleźli.

– Szybko podlicz – krzyczał kierowca „tatry” – ile warte są twoje straty, węgiel, nowe burty i coś tam jeszcze. Zapłacimy. Tylko bez protokołu, zrozumiałeś?

– Dobrze – powiedział mój kierowca. – To będzie…

– Zgoda.

– A ja?

– Wsadzę ciebie na pierwszą lepszą maszynę jadącą w tym kierunku. To czterdzieści kilometrów, dowiozą. Wyświadcz mi tę przysługę.

– Czterdzieści kilometrów – to godzina jazdy.

Zgodziłem się, wsiadłem do jakiejś maszyny i pomachałem ręką przyjacielowi nadzorcy Iwanowa.

Nie zdążyłem jeszcze zmarznąć, gdy samochód zaczął już hamować – most. Lewy Brzeg. Zlazłem.

Trzeba było znaleźć miejsce na nocleg. Tam, gdzie był list, nocować nie mogłem.

Wszedłem do szpitala, w którym kiedyś pracowałem. Zaszedłem tylko na chwilę – postać w cieple – w łagrowym szpitalu obcym nie wolno się grzać. Przechodził znajomy felczer, więc poprosiłem go o nocleg.

Następnego dnia zastukałem i wszedłem do mieszkania, w którym wręczono mi list, napisany dobrze mi znanym charakterem pisma, energicznym, silnie pochylonym w prawo, ale jednocześnie wyraźnym i czytelnym. Był to list Pasternaka.

Z *LEND-LEASE'*U

Świeże ślady traktora były jakby śladami jakiegoś przedhistorycznego zwierza, w każdym razie najmniej przypominały dostarczane z *lend-lease'*u wytwory amerykańskiej techniki. My, więźniowie, słyszeliśmy o tych zamorskich darach, które wprowadziły zamęt w uczucia łagrowego naczalstwa. Używane ubrania z dzianiny, pulowery i dżempery, zebrane za oceanem dla kołymskich więźniów, zostały rozchwytane przez magadańskie żony generałów nieomal w bójkach. W spisach te wełniane skarby figurowały jako „używane", co oczywiście ma znacznie większy zakres znaczeniowy niż przymiotnik „noszone" lub wszelkie b/u – „było w użyciu", o brzmieniu znajomym tylko w łagrze. W słowie „używane" kryje się pewna tajemnicza niejednoznaczność, bo może oznaczać zarówno znalezienie się w rękach właściciela, jak i trzymanie ubrania w szafie, przez co staje się ono używanym, nie tracąc zupełnie niczego ze swoich wielu wartości, które byłyby nie do pomyślenia, gdyby w dokumencie było słowo „noszone".

Kiełbasa z *lend-lease'*u wcale nie była używana, ale my widzieliśmy tylko z daleka te legendarne puszki. Natomiast konserwy wieprzowe z *lend-lease'*u, w pękatych puszkach – to danie znaliśmy dobrze. Wyliczana, wymierzana według bardzo skomplikowanej tablicy zamienników wieprzowa konserwa, rozkradana chciwymi rękami naczelników i ponownie przeliczana i przemierzana przed dopuszczeniem jej do kotła, rozgotowywana w nim dalej do postaci tajemniczych włókienek, które pachniały wszystkim oprócz mięsa – ta wieprzowa konserwa z *lend-lease'*u drażniła tylko nasz wzrok, a nie podniebienie. Wrzucona do kotła nie miała żadnego smaku. Żołądki łagierników wolały mieć do czynienia z czymś rodzimym, na przykład ze zgniłym, starym mięsem renifera, którego nie potrafiłoby rozgotować nawet siedem łagrowych kotłów. Mięso to nie znika, nie staje się efemerydą jak wieprzowa konserwa.

Owsiana kasza z *lend-lease'*u – tę jedliśmy i chwalili. Ale wszystko jedno, na porcję składało się mniej niż dwie stołowe łyżki.

Z *lend-lease*’u pochodziły również wytwory techniki, które nie dały się zjeść: nieporęczne topory-tomahawki, wygodniejsze już w użyciu łopaty z krótkimi, niepodobnymi do rosyjskich, styliskami, oszczędzającymi siłę ładowacza. Łopaty natychmiast były przerabiane według rosyjskiego wzorca – z długim styliskiem i rozpłaszczone, aby więcej ziemi dało się nią podebrać.

Gliceryna w beczkach. Gliceryna! Już pierwszej nocy stróż naczerpał menażką całe wiadro i w tę samą noc rozsprzedał łagiernikom jako „amerykański miodek”, od razu się bogacąc.

Z *lend-lease*’u były także ogromne, czarne, pięćdziesięciotonowe diamondy z przyczepami i żelaznymi skrzyniami, jak też pięciotonowe studebakery, z łatwością pokonujące każdą górę – nie było na Kołymie lepszych od nich maszyn. Tymi właśnie studebakerami i diamondami rozwożono po całej tysiącwiorstowej trasie, dniem i nocą, amerykańską pszenicę z *lend-lease*’u, w białych, pięknych płóciennych workach z amerykańskim orłem. Z tej mąki wypiekano pulchne, pozbawione smaku „porcje” chleba. Ten chleb z *lend-lease*’u miał zadziwiającą cechę. Wszyscy, którzy go jedli, przestali prawie chodzić do ustępu; raz na pięć dób żołądek wyrzucał to coś, co trudno było nazwać wypróżnieniem. Żołądek i jelita łagiernika wchłaniały bez reszty ten wspaniały biały chleb z domieszką kukurydzy, mączki kostnej i czegoś tam jeszcze, może zwyczajnej ludzkiej nadziei, i nie nadszedł jeszcze czas na policzenie tych, których uratowała ta właśnie zamorska pszenica.

Studebakery i diamondy zżerały duże ilości paliwa. Ale benzyna również przychodziła z *lend-lease*’u, jasna, lotnicza. Rodzime samochody – gaziki – zostały przerobione na gaz drzewny; dwie kolumny piecowe, ustawione w pobliżu silnika, spalały drewniane obrzynki. Powstało słowo „klocek” i kilka wytwarzających je kombinatów, na których czele postawieni zostali partyjniacy na umowie. Techniczne kierownictwo tych kombinatów składało się z głównego i zwykłego inżyniera, fachowca od norm, planisty i buchalterów. Ilu robociarzy pracowało na każdej tarczowej pile tnącej klocki na jednej zmianie – dwóch czy trzech – już nie pamiętam. Może nawet trzech. Nadchodziła technika z *lend-lease*’u i do nas też przyszedł traktor, wprowadzając do naszego języka nowe słowo – „buldożer”. Przedhistoryczny zwierz został spuszczony z łańcucha – puszczony został w ruch amerykański buldożer, z błyszczącym jak lustro, nawieszonym szerokim nożem, metalową tarczą – lemieszem, który też jak lustro odbijał niebo,

drzewa, gwiazdy i brudne aresztanckie oblicza. I nawet konwojent podszedł do tego zamorskiego cudu i powiedział, że można się golić przed takim żelaznym zwierciadłem. Ale my nie potrzebowaliśmy się golić – taka myśl nie mogła nam przyjść do głowy.

W mroźnym powietrzu długo było słychać westchnienia i postękiwania nowego amerykańskiego traktora. Na mrozie buldożer kaszlał i złościł się. Wreszcie sapnął, zawarczał i śmiało ruszył do przodu, przygniatając kępy, z łatwością przełażąc przez leżące pnie – była to pomoc zza morza.

Teraz nie będziemy już musieli zrywać ciężkich jak ołów daurskich modrzewi – zwalone drzewa przeznaczone na budulec i opał rozrzucone były wzdłuż lasu na zboczu góry. Ręczne podciąganie do miejsc układania ich w stosy – to właśnie określa się wesołym słowem „zrywka” – jest na Kołymie nie do wytrzymania, przekracza możliwości człowieka. Ręczna zrywka poprzez kępy, kręte ścieżki na zboczu góry, była ponad ludzkie siły. W pewnym okresie, jeszcze przed trzydziestym ósmym rokiem, posyłano tam konie, ale konie, znosząc Północ znacznie gorzej niż ludzie, okazały się od nich słabsze, i powyzdychały, nie wytrzymując trudów zrywki. Teraz na pomoc nam (czyżby nam?) przyszedł lemiesz zamorskiego buldożera.

Nikomu nawet nie postała w głowie taka myśl, że zamiast ciężkiej, przekraczającej nasze siły zrywki, dadzą nam jakąś lekką pracę. Całkiem po prostu zwiększą nam normę przy wyrębie lasu – wszystko jedno, trzeba będzie robić coś innego, równie poniżającego, równie upokarzającego jak każda praca w łagrze. Żaden amerykański buldożer nie wyleczy naszych poodmrażanych palców. Ale, może – amerykański towot! Ach, towot, towot. Beczka, w której go przywieziono, została natychmiast zaatakowana przez tłum dochodiagów, od razu, na miejscu rozwalono kamieniem dno beczki.

Ci najbardziej głodni orzekli, że to masło z *lend-lease*’u, i zanim naczalstwo odegnało wystrzałami ten tłum dochodiagów, stawiając przy beczce wartownika, zostało z niej mniej niż połowa. Szczęśliwcy łykali to masło z *lend-lease*’u, nie wierząc, że to całkiem po prostu towot – przecież ten uzdrowieńczy, amerykański chleb także był nieciekawy, również miał taki dziwny, metaliczny smak. I wszyscy, którym udało się dotknąć towotu, przez wiele jeszcze godzin oblizywali palce, przełykali najmniejsze drobinki tego zamorskiego szczęścia, przypominającego w smaku młody kamień. Bo kamień nie od razu stał się kamieniem, lecz narodził się jako miękka, podobna do masła żywa materia. Żywa, a nie martwa. Martwą

materią kamień bywa w starości. Młode, płynne tufy wapiennych skał w górach czarowały oczy uciekinierów i pracowników geologicznego zwiadu. Trzeba było wysiłku woli, aby oderwać się od tych pobrzeży kisielu, od tych podobnych do mleka rzek ciekłego kamienia. Ale tam były góry, skały, wąwozy, a tu – dostawa z *lend-lease*'u, wytwór rąk ludzkich…

Nic złego nie stało się z tymi, którzy wpakowali ręce do beczki. Wytrenowane na Kołymie żołądek i jelita dały sobie radę z towotem. A przy jego resztkach postawiono wartownika, gdyż towot to życie maszyn, istot o wiele ważniejszych dla państwa niż ludzie.

I oto jedna z tych istot przybyła do nas zza oceanu – jako symbol zwycięstwa, przyjaźni i czegoś tam jeszcze.

Trzystu ludzi bezgranicznie zazdrościło aresztantowi siedzącemu za kierownicą amerykańskiego traktora – był nim Grińka Lebiediew. Pomiędzy więźniami znajdowali się traktorzyści lepsi od niego, ale wszyscy – to pięćdziesiąty ósmy paragraf, liternicy, literki. Grińka Lebiediew był kryminalistą, a dokładniej – ojcobójcą. Każdemu z tych trzystu marzyło się jego ziemskie szczęście: siedząc za kierownicą terkoczącego, dobrze nasmarowanego traktora, pojechać z łomotem na wyrąb.

Wyrąb lasu posuwał się wciąż dalej i dalej. Przygotowywanie materiału budulcowego prowadzi się na Kołymie wzdłuż koryt strumieni, gdzie w głębokich wąwozach, wyciągając się do słońca, ukryte w ciemności drzewa nabierają wysokości. Na błotnistym zboczu góry, wystawione na wiatr i światło, rosną karły, połamane, powykręcane, umęczone wiecznym zwracaniem się ku słońcu, wieczną walką o kawałek odtajałej ziemi. Drzewa na zboczach gór nie przypominają drzew, lecz jakieś potworki nadające się do zbioru osobliwości. I jedynie w ciemnych wąwozach, przy korytach górskich rzeczułek drzewa osiągają pełen wzrost i nabierają siły. Wyrąb lasu podobny jest do wydobywania złota i prowadzi się go przy tych samych złotonośnych strumieniach. Jest tak samo intensywny i pospieszny – strumień, koryto, płuczka, prowizoryczny barak, rabunkowy zryw – a rzeczka i kraj zostają pozbawione lasu na trzysta lat, złota zaś – na zawsze.

Gdzieś tam istnieje leśnictwo, ale przy osiąganiu przez modrzewie dojrzałości w ciągu trzystu lat, o jakiej gospodarce leśnej może tu być mowa, do tego w czasie wojny, gdy w odpowiedzi na *lend-lease* gwałtownie wzrosła gorączka złota, przyhamowywana zresztą obecnością wieżyczek strażniczych przy więźniarskich zonach.

Na porębach pozostawiono wiele budulcowego drewna, a także przygotowanych już, pociętych pni. W śniegu utonęło wiele „odziomków”, które spadły na ziemię, ledwie udało się je wywindować na wątłe, spiczaste aresztanckie ramiona. Słabe aresztanckie ręce, dziesiątki tych rąk, nie potrafią unieść na czyjeś ramię (i nie ma zresztą takiego ramienia) dwumetrowego bierwiona, przeciągnąć go, ciężkiego jak żelazo, kilkadziesiąt metrów po kępach i jamach. Wiele drewna porzucono z powodu braku sił przy zrywce i właśnie buldożer miał nam pomóc. Ale w pierwszej jego wyprawie na kołymskiej, rosyjskiej ziemi przeznaczone mu było wykonać całkiem inną pracę.

Zobaczyliśmy, jak terkoczący buldożer zawrócił w lewo i zaczął podjeżdżać na występ skalny w formie tarasu, którędy prowadziła stara droga obok łagrowego cmentarza, którą setki razy goniono nas do pracy.

Nie zastanawiałem się nad tym, dlaczego w ciągu ostatnich tygodni prowadzą nas do pracy inną drogą, a nie gonią po znajomej ścieżce, wydeptanej obcasami konwojentów i gumowymi czuniami więźniów. Nowa droga była dwukrotnie dłuższa od starej. Na każdym kroku spotykaliśmy wzniesienia i pochyłości. Zanim dotarliśmy do pracy, już byliśmy zmęczeni. Ale nikt nie pytał, dlaczego prowadzą nas inną drogą.

Tak ma być, taki jest rozkaz, więc pełzliśmy na czworakach, czepiając się kamieni, rozbijając o nie do krwi nasze palce.

Dopiero teraz zobaczyłem i zrozumiałem, o co chodzi. I błogosławiłem Boga za to, że darował mi czas i siłę, abym to wszystko mógł ujrzeć.

Wyrąb lasu posunął się do przodu. Zbocze góry było nagie, śnieg, jeszcze nie głęboki, został wydmuchany. Pieńki powyrywano co do jednego – pod większe podkładano amonit i pieniek wzlatywał w górę. Mniejsze wyrywano lewarami. A te najmniejsze – wprost rękami, jak krzewy cedrowca…

Góra została obnażona i przemieniona w gigantyczną scenę widowiska, łagrowego misterium.

Obnażyła się mogiła, gigantyczna aresztancka mogiła, kamienna jama do wierzchu wypełniona niedającymi się zniszczyć zwłokami jeszcze z trzydziestego ósmego roku. Ciała nieboszczyków spełzały po zboczu góry, odsłaniając kołymską tajemnicę.

Na Kołymie ciała nie przekazuje się ziemi, lecz kamieniom. Przechowują one tajemnice, ale też je wyjawiają. Kamień jest bardziej pewny niż ziemia. Wieczna zmarzlina także przechowuje i ujawnia tajemnice. Każdy

z naszych bliskich, którzy zginęli na Kołymie, każdy z rozstrzelanych, zabitych, których głód pozbawił krwi, może być jeszcze rozpoznany choćby po dziesiątkach lat. Na Kołymie nie było pieców gazowych. Trupy czekają w kamieniu, w wiecznej zmarzlinie.

W trzydziestym ósmym roku w kopalniach złota do rycia takich mogił stawały całe brygady, bez przerwy drążące, wysadzające w powietrze, pogłębiające ogromne, szare, twarde i zimne kamienne doły. Kopanie mogił w trzydziestym ósmym roku było lekką pracą – nie było tam „zadania", „normy" obliczonej na śmierć człowieka, rozdzielonej na czternaście godzin jego roboczego dnia. Kopać mogiły było łatwiej, niż stać we wdzianych na bosą nogę gumowych czuniach w lodowatej wodzie wyrobiska złota – „podstawowego produktu", „najważniejszego metalu".

Te mogiły, ogromne kamienne doły, były do wierzchu wypełnione ciałami nieboszczyków. Niezniszczalnymi nagimi szkieletami obciągniętymi skórą, brudną, porozdrapywaną i pogryzioną przez wszy.

Kamień i Północ przeciwstawiały się ze wszystkich sił tej pracy, nie dopuszczając martwych do swego wnętrza. Kamień, ustępujący pola, zwyciężany, poniżany, obiecywał, że o niczym nie zapomni, że będzie czekać i przechowywać tajemnicę. Surowe zimy, gorące lata, wiatry, deszcze w ciągu sześciu lat odebrały mu nieboszczyków. Ziemia się otworzyła, ukazując swoje podziemne składy, w podziemiach Kołymy bowiem znajduje się nie tylko złoto, nie tylko cyna, nie tylko wolfram i uran, ale i nie dające się zniszczyć ludzkie ciała.

To one właśnie spełzały po zboczu, być może po to, aby zmartwychwstać. Już wcześniej widziałem z oddali – z drugiej strony strumienia – te poruszające się, czepiające za sęki i kamienie przedmioty, widziałem to poprzez rzadki, przerąbany las i myślałem, że to pnie, niepozrywane jeszcze pnie.

Teraz góra była naga, a tajemnica jej odsłonięta. Mogiła „rozwarła się" i martwe ciała poczęły się obsuwać po kamiennym zboczu. W pobliżu drogi dla traktora została wykuta, wyrąbana nowa, ogromna bratnia mogiła – ale przez kogo? Z baraku do tej roboty nie brano. Była to bardzo duża mogiła. I dla mnie, i dla moich towarzyszy, jeśli pozamarzamy, umrzemy, znajdzie się tam miejsce, nowe mieszkanie dla martwych.

Buldożer zgarniał te zastygłe trupy, tysiące, tysiące podobnych do szkieletów martwych ciał. Wszystko pozostało nienaruszone: powykręcane palce

rąk, ropiejące palce nóg – kikuty po odmrożeniach, porozdrapywana do krwi sucha skóra i płonące głodowym blaskiem oczy.

Próbowałem pojąć swoim osłabionym, umęczonym mózgiem, skąd w tych stronach znalazła się taka ogromna mogiła. Przecież tu, zdaje się, nie było kopalni złota – jestem przecież starym kołymianinem. Ale potem pomyślałem, że znam jedynie maleńki kawałeczek tego świata, ogrodzony kolczastą zoną z wieżyczkami strażniczymi, przypominającymi okres czterospadowych dachów w budownictwie Moskwy. Jej wysokościowce – to wieżyczki strażnicze strzegące moskiewskich aresztantów. Tak właśnie wyglądają te budynki.

Co miało priorytet: czy kremlowskie baszty-wartownie, czy łagrowe wieżyczki strażnicze? Co posłużyło za wzorzec dla moskiewskiej architektury? Strażnicza wieżyczka łagrowej zony – to była główna idea tych czasów, znakomicie oddana przez symbolikę architektury.

Pomyślałem, że znam jedynie kawałeczek tego świata, jego znikomo małą cząstkę, że w odległości dwudziestu kilometrów może stać izdebka geologów tropiących uran czy złoto pod przyszłą kopalnię dla trzydziestu tysięcy więźniów. W pofałdowaniach gór można wiele ukryć. A potem wspomniałem płomienną zachłanność kiprzyc, szalone kwitnienie letniej tajgi, starającej się skryć w trawie każde ludzkie dzieło – złe i dobre. Ale trawa jeszcze mniej pamięta niż człowiek. Jeśli ja zapomnę, to i ona zapomni. Natomiast kamień i wieczna zmarzlina nie zapomną.

Grinia Lebiediew, ojcobójca, był dobrym traktorzystą i sprawnie kierował dobrze nasmarowanym zamorskim traktorem. Wykonywał swoją pracę dokładnie: pobłyskując nożem-lemieszem buldożera, zgarniał trupy w kierunku mogiły, spychał je do jamy i znów powracał do zrywki.

Naczalstwo zadecydowało, że pierwszą wyprawą otrzymanego z *lend-lease*’u buldożera, pierwszym jego zadaniem nie będzie praca w lesie, lecz coś znacznie ważniejszego.

Robota została zakończona. Buldożer nazgarniał na nową mogiłę kupę kamieni i skalnych odłamków, pod którymi skryli się nieboszczycy. Ale nie zginęli.

Buldożer przybliżał się do nas. Grinia Lebiediew, kryminalista, ojcobójca, nie spoglądał na nas – literników, pięćdziesiąty ósmy paragraf. Powierzono mu zadanie państwowej wagi i on je wypełnił. Na kamiennym obliczu Grini Lebiediewa wyryta była duma, świadomość dobrze wypełnionego obowiązku.

Buldożer przejechał z łomotem mimo nas – na lustrzanej powierzchni noża nie było ani jednego zadrapania, ani jednej plamki.

GRAFIT

Czym podpisuje się wyroki śmierci: atramentem, tuszem do wypisywania paszportów, tuszem do długopisów, alizaryną? Można zaręczyć, że ani jeden wyrok śmierci nie został podpisany zwykłym ołówkiem.

W tajdze atrament nie jest nam potrzebny. Deszcz, łzy, krew rozpuszczą każdy atrament, każdy ołówek chemiczny. Takich ołówków nie wolno przesyłać w paczkach, zostają skonfiskowane przy rewizjach. Są ku temu dwa powody. Więzień może podrobić dokumenty, a także taki ołówek – to drukarska farba służąca do produkcji złodziejskich kart, „wycierek", a więc… Dopuszcza się tylko czarny ołówek ze zwykłym grafitem. Jego odpowiedzialność jest na Kołymie niezwykła.

Wpatrując się w gwiazdy, w słońce kartografowie porozprawiali z niebem i ustalili na naszej ziemi punkt odniesienia. Nad tym punktem, wyciętym w marmurowej płycie, na wierzchołku góry lub skały – umocowali trójnóg, orientacyjny drewniany znak. Trójnóg ten dokładnie wskazuje miejsce na mapie i od tej góry, na której się znajduje, poprzez jary i wąwozy, przez leśne polany, pustkowia i niezarośnięte błota ciągnie się niewidoczna nić, niewidzialna siatka południków i równoleżników. W gęstej tajdze wycina się przesieki – tam każdy zacios, każde oznakowanie chwytane jest w krzyżujące się nici niwelatora i teodolitu. Pomierzona zostaje ziemia i pomierzona zostaje tajga, a my chodzimy, napotykając na świeżych zaciosach ślad kartografa, topografa, mierniczego ziemi – zwykły czarny grafit.

Kołymska tajga porysowana jest przesiekami topografów. A jednak nie wszędzie one istnieją – tylko w lasach otaczających osady, „produkcję". Pustkowia, polany, nieporośnięte miejsca lasotundry i nagie sopki wrysowane są istniejącymi tylko w powietrzu, wyobrażalnymi liniami. Nie ma tam ani jednego drzewa, aby się na nie zorientować, nie ma pewnych reperów. Repery ustawia się na skałach, na brzegach strumieni, na wierzchołkach nagich gór. I od tych niewzruszonych, biblijnych baz ciągnie się pomiar tajgi, pomiar Kołymy i więzienia. Zaciosy na drzewach – to setki

przesiek, przez które w „krzyż nici” teodolitu chwytana jest i przeliczana tajga.

Tak, do znakowania zaciosów nadaje się tylko zwykły czarny ołówek. Nie może być chemiczny. Chemiczny ołówek rozpłynie się, rozpuści w soku drzewa, zostanie zmyty przez deszcz, rosę, mgłę, śnieg. Sztucznie wyprodukowany, chemiczny, nie nadaje się do dokonywania zapisów dotyczących nieśmiertelności, wiecznego trwania. Ale grafit, węgiel sprasowany pod olbrzymim ciśnieniem w ciągu milionów lat i przemieniony, jeśli nie w kamienny węgiel, to w diament lub w to, co więcej jest od niego warte – w ołówek, w grafit, który potrafi zapisać to, o czym wiedział i co widział…? To większy cud niż diament, chociaż chemiczna natura diamentu i grafitu jest taka sama.

Instrukcja zabrania topografom używania ołówków chemicznych nie tylko dla oznaczeń na zaciosach. Każda legenda lub też notatka do niej przy zdejmowaniu na oko mapy terenu wymaga grafitu dla jej uwiecznienia. Grafit – to przyroda, grafit uczestniczy w obrotach Ziemi, opierając się przy tym lepiej oddziaływaniu czasu niż kamień. Pod działaniem deszczów, uderzeniami wiatrów i rzecznych fal rozpadają się wapienne góry, a młody modrzew – mający tylko dwieście lat i życie przed sobą – zachowuje na swoim zaciosie cyfrę-znak o związku biblijnej tajemnicy z teraźniejszością.

Ten umowny znak w postaci cyfry kaligrafuje się na świeżym zaciosie, na świeżej ranie drzewa broczącego sokiem, drzewa roniącego żywiczne łzy.

W tajdze można pisać tylko grafitem. W kieszeniach topografów, ich waciaków, kamizelek, bluz, spodni, półkożuszków zawsze znajdują się kawałki grafitowych ołówków.

A przed nimi – papier, notatnik, torba, zeszyt i drzewo z zaciosem.

Papier – to jakby jedno ze stadiów przepoczwarzania się drzewa w diament i grafit. Grafit – to wieczność. Najwyższa twardość przechodząca w najwyższą miękkość. Ślad grafitowego ołówka w tajdze jest wieczny.

Zacios wykonuje się ostrożnie. Na wysokości pasa robi się w pniu modrzewia dwa nacięcia i rogiem siekiery odłamuje się kawałek żywego drzewa, aby zrobić miejsce na zapis. Tworzy się coś w rodzaju daszku nad domkiem, kawałek czystej deski z nawisem chroniącym od deszczu, miejsce przygotowane pod wieczysty zapis – praktycznie do końca sześciusetletniego modrzewiowego żywota.

Zranione ciało modrzewia upodabnia się do objawionej ikony – Czukockiej Bogurodzicy, Dziewicy Marii Kołymskiej, oczekującej na cud i objawiającej cud.

A leciutki, subtelny zapach żywicy, zapach modrzewiowego soku, zapach jego krwi wydobytej toporem człowieka wdycha się jak aromat dzieciństwa, zapach przeobrażonego w rosę kadzidła.

Cyfra została postawiona i raniony modrzew, smagany wiatrem i spalany słońcem, będzie przechowywać ten „punkt orientacyjny", wyprowadzający w wielki świat z tajgowej głuszy – przez przesiekę do najbliższego trójnogu, do punktu triangulacyjnego na wierzchołku góry, gdzie pod nim, w jamie przywalonej kamieniami znajduje się marmurowa płyta, na której wyryto rzeczywistą długość i szerokość. Ten zapis nie jest dokonany za pomocą grafitowego ołówka. I wzdłuż tysiąca nici ciągnących się od tego trójnogu, wzdłuż tysiąca linii prowadzących od zaciosu do zaciosu powracamy do naszego świata, żeby wiecznie pamiętać o życiu. Służba topografów – to służenie życiu.

Ale na Kołymie nie tylko topograf zobowiązany jest do używania grafitowego ołówka. Oprócz tych, co służą życiu, istnieją i ci, co służą śmierci, którym także nie wolno korzystać z ołówków chemicznych. Instrukcja „Archiwum Nr 3" – tak bowiem nazywa się wydział rejestrujący zgony więźniów w łagrze – mówi: „na lewą goleń więźnia należy przywiązać zrobioną z dykty tabliczkę z numerem akt personalnych. Numer ten powienien być napisany zwykłym grafitowym ołówkiem – nie chemicznym". Sztucznie wyprodukowany ołówek przeszkadza nieśmiertelności.

Wydawałoby się, jaki jest sens liczyć na ekshumację? Na nieśmiertelność? Na zmartwychwstanie? Na przeniesienie prochów? Czy mało jest na Kołymie bezimiennych bratnich mogił, dokąd zwalano zwłoki w ogóle bez żadnych tabliczek? Ale instrukcja jest instrukcją. Teoretycznie mówiąc – wszyscy goście wiecznej zmarzliny są nieśmiertelni i gotowi powrócić do nas, ażebyśmy im zdjęli tabliczki z ich lewych goleni i rozpoznali znajomych i krewnych.

Byleby numer na tabliczce napisany był zwykłym czarnym ołówkiem. Ani deszcze, ani podziemne źródła nie zmyją numeru „akt personalnych", wiosenne wody nie naruszają lodu wiecznej zmarzliny, która nigdy nie poddaje się letniemu ciepłu i ujawnia swoje podziemne tajemnice – ale tylko część, tylko część tych tajemnic.

„Akta personalne”, ich formularz – to dowód osobisty więźnia, zawierający zdjęcia z profilu i *en face*, odciski dziesięciu palców obu rąk, rysopis i znaki szczególne. Pracownik rejestru, zatrudniony w „Archiwum Nr 3”, powinien sporządzić akt zgonu więźnia w pięciu egzemplarzach z odciskami wszystkich dziesięciu palców i ze stwierdzeniem ewentualnego wyłamania złotych zębów. Na złote zęby sporządza się oddzielny protokół. Tak było w łagrach od zawsze i wiadomości o wyłamywaniu złotych zębów w Niemczech nikogo na Kołymie nie dziwiły.

Niektóre państwa nie chcą tracić złota umarłych. Protokoły o wybitych złotych zębach sporządzane były od wieków w więziennych instytucjach i obozach. Trzydziesty siódmy rok dostarczył śledztwu i łagrom wielu ludzi ze złotymi zębami. Dla tych, których spotkała śmierć w kopalnianych przodkach Kołymy – bo niedługo tam pożyli – złote zęby, wyłamane im po śmierci, były jedynym złotem, które dostarczyli państwu przy wydobywaniu złota w kopalniach Kołymy. Wagowo ilość złota w protezach była większa niż to, co oni zdołali tam wykopać, wygrzebać, wyrąbać kilofem w ciągu swojego niedługiego życia.

Palce zmarłego powinny być pokryte drukarską farbą, więc zapas jej, przy dużym zużyciu, przechowywany jest u każdego pracownika rejestru. Ażeby dla identyfikacji nie wozić ciała uciekiniera, odrąbuje mu się obydwie dłonie – znacznie je łatwiej przewieźć w wojskowej torbie niż ciało trupa. Tabliczka na nodze – to oznaka kultury. Andriej Bogoliubski nie miał jej na nodze – trzeba więc było rozpoznawać po kościach, według obliczeń Bertillona.

My wierzymy w daktyloskopię – jej sztuka nigdy nas nie zawodziła, bez względu na to, jak by kryminaliści kaleczyli koniuszki swych palców, opalając je nad ogniem, wytrawiając kwasem, raniąc nożem. Daktyloskopia nie zawodziła – palców jest przecież dziesięć – a nikt z błatniaków nie decydował się na opalenie ich wszystkich. Nie wierzymy Bertillonowi – szefowi wydziału identyfikacji w policji paryskiej, ojcu zasady antropologicznej w kryminologii, gdzie tożsamość ustala się na podstawie szeregu pomiarów różnych części ciała i ich wzajemnych proporcji. Odkrycia Bertillona nadają się może dla artystów, dla malarzy – nam odległość od końca nosa do końca ucha nic nie dawała.

My wierzymy w daktyloskopię. Wszyscy umieją odciskać palce, „grać na fortepianie”. W trzydziestym siódmym, kiedy wymiatano wszystkich,

którzy odcisnęli swe palce już wcześniej, każdy wkładał wyuczonym ruchem swe wyuczone palce w wyuczone ręce pracownika więzienia.

Odcisk przechowuje się wiecznie w aktach personalnych. Tabliczka z ich numerem skrywa nie tylko miejsce śmierci, ale i jej tajemnicę. A numer na tabliczce napisany jest grafitem.

Kartograf, wytyczający nowe drogi na ziemi, nowe drogi dla żywych ludzi, i grabarz, pilnujący prawidłowości grzebania zgodnie z prawem dla martwych, zobowiązani są korzystać z tego samego – z czarnego grafitowego ołówka.

SENTENCJA

Nadieżdzie Jakowlewnej Mandelsztam

Ludzie wynurzali się z niebytu – jeden za drugim. Nieznajomy człowiek kładł się obok na narach, przyciskając się w nocy do mojego kościstego ramienia, przekazując odrobinę swego ciepła – mizerne krople – i w zamian otrzymując moje. Bywały noce, że przez resztki buszłata i waciak już żadne ciepło nie dochodziło, spoglądałem więc z rana na sąsiada jak na martwego, dziwiąc się trochę, że jak żywy wstaje na wezwanie, ubiera się i pokornie wykonuje rozkazy. We mnie było mało ciepła. Niewiele mięsa zostało już przy moich kościach. Wystarczało go tylko dla podtrzymywania złości – ostatniego ludzkiego uczucia. Właśnie nie obojętność, lecz złość była ostatnim ludzkim uczuciem – tym, które bliższe jest kościom. W dzień wynurzający się z niebytu człowiek znikał, przepadał na zawsze – węglowy zwiad miał wiele odcinków. Nie znam tych ludzi, którzy spali obok mnie. Nie zadawałem im żadnych pytań, nie dlatego, żebym się kierował arabskim przysłowiem: „Nie pytaj, to nie będą ci łgać”. Było mi obojętne, czy będą mi kłamać czy nie, istniałem poza prawdą, poza kłamstwem. Błatniacy ujmują to szorstkim powiedzeniem, które przenika głęboka pogarda wobec pytającego: „Nie wierzysz – uznaj za bajkę”. O nic więc nie rozpytywałem i nie wysłuchiwałem bajek.

Co pozostawało ze mną, aż do końca? Nienawiść. I nie rozstając się z nią, liczyłem na śmierć. Ale śmierć, niedawno tak bliska, zaczęła się powoli odsuwać. Zamiast niej nie przyszło jednak życie, lecz półświadomość, stan istnienia, na który brak określeń i który nie jest życiem. Każdy dzień, każdy wschód słońca niósł ze sobą niebezpieczeństwo nowego, śmiertelnego wstrząsu. Ale jednak się nie pojawiał. Pracowałem, gotując wrzątek – wykonując najlżejszą ze wszystkich prac, lżejszą niż bycie stróżem, ale nie nadążałem z rąbaniem drew dla tytana – zbiornika do gotowania wody, systemu „tytan”. Mogli mnie wygonić – ale dokąd? Tajga daleko, a nasza osada, po kołymsku „delegatura” – to jak wyspa w bezmiarze tajgi.

Ledwie powłóczyłem nogami, odległość dwustu metrów dzieląca namiot od miejsca pracy wydawała się nieskończenie wielka i niejeden raz siadałem, aby odpocząć. Jeszcze teraz pamiętam wszystkie wyboje, wszystkie jamki, wszystkie bruzdy na tej śmiertelnie trudnej ścieżce; pamiętam także strumień, przy którym kładłem się na brzuchu i chłeptałem chłodną, smaczną, ożywczą wodę. Dwuręczna piła, którą taszczyłem na ramieniu albo wlokłem za sobą, trzymając za jedną rączkę, wydawała mi się niewiarygodnym ciężarem.

Nigdy nie potrafiłem zagotować wody na czas, doprowadzić tytana do wrzenia w porze obiadu. Ale nikt z robotników, wolnych – byli to wczorajsi więźniowie – nie zwracał na to uwagi, czy woda kipiała czy nie. Kołyma nauczyła nas wszystkich rozróżniać wodę do picia według jej temperatury. Albo gorąca, albo zimna, a nie gotowana czy surowa.

Nie obchodził nas dialektyczny przeskok ilości w jakość. Nie byliśmy filozofami. Byliśmy robociarzami i nasza gorąca woda nie miała tej ważnej cechy przeskoku w jakość. Jadłem, z obojętnością starając się zjeść wszystko, co wpadało w oczy – obrzynki, okruchy jedzenia, zeszłoroczne jagody na błocie. Wczorajszą albo przedwczorajszą zupę z „wolnego” kotła. Ale nie, wczorajsza zupa wolnym nie zostawała.

W naszym namiocie były dwie strzelby, śrutówki. Kuropatwy nie bały się ludzi i z początku strzelano je wprost przy wejściu do namiotu. Zdobycz była zapiekana w całości w popiele ogniska albo gotowana po dokładnym oskubaniu. Puch i pierze szły na poduszki, to także handel i pewne pieniądze – dodatkowy zarobek wolnych właścicieli broni i ptaków w tajdze. Wypatroszone i oskubane kuropatwy gotowały się w puszkach po konserwach – trzylitrowych, powieszonych nad ogniskiem. Nigdy nie znajdowałem resztek po tych tajemniczych ptakach. Głodne wolne żołądki rozdrabniały, mełły wszystkie ptasie kości, nic nie pozostawiając. To także był jeden z cudów tajgi.

Nigdy nie spróbowałem nawet kawałeczka tych kuropatw. Dla mnie były jagody, korzenie traw, przydziałowa porcja. I – nie umierałem. Zacząłem bardziej obojętnie, bez nienawiści spoglądać na zimne, czerwone słońce, na nagie góry, gdzie wszystko – skały, zakręty strumieni, modrzewie, topole – wszystko było jakieś kanciaste i nieprzyjazne. Wieczorami znad rzeki podnosiła się chłodna mgła – i nie było ani jednej godziny w ciągu doby w tajdze, żeby mi było ciepło.

Doskwierały odmrożone palce u rąk i nóg, ciężkie od bólu. Jaskraworóżowa skóra tych palców taka już pozostała, podatna na zranienia. Palce były wiecznie poowijane jakimiś brudnymi szmatami, chroniącymi je przed nowym zranieniem, przed bólem, ale nie od infekcji. Z dużych palców u nóg sączyła się ropa i nie było jej końca.

Budzono mnie uderzeniem w szynę. Z uderzeniem szyny kończyłem pracę. Po jedzeniu od razu kładłem się na nary i oczywiście nie rozbierając się, zasypiałem. Namiot, w którym mieszkałem i spałem, wydawał mi się jakby zasnuty mgłą – gdzieś tam poruszali się ludzie, słychać było ordynarne, głośne wyzwiska, wybuchały awantury, robiło się nagle cicho przed niebezpiecznym ciosem. Awantury same szybko wygasały, nikt nikogo nie powstrzymywał, nie rozdzielał, całkiem po prostu gasła ich siła napędowa i następowała cisza nocna, zimna, pod bladym, wysokim niebem, widocznym przez dziury w namiocie, z chrapaniem, stękaniem, rzężeniem, kaszlem i nieświadomymi przekleństwami śpiących.

Jednego razu w nocy zorientowałem się, że słyszę te postękiwania i rzężenia. Było to nagłe odczucie, jakby olśnienie, ale nie ucieszyło mnie. Później, przypominając sobie tę chwilę zdziwienia, zrozumiałem, że zmniejszyła się moja potrzeba snu, zapomnienia, utraty pamięci – że „odespałem się”, jak mawiał Mojsiej Mojsiejewicz Kuzniecow, nasz kowal – wielki mądrala.

Pojawił się uporczywy ból w mięśniach. Nie wiem, czy w ogóle miałem wtedy jakieś mięśnie, ale tkwiący w nich ból nie chciał porzucić ciała. Potem pojawiło się we mnie coś innego niż złość czy nienawiść. Pojawiło się zobojętnienie – niczego się już nie bałem. Zrozumiałem, że wszystko mi jedno – czy będą mnie bić czy nie, czy dostanę obiad i swoją porcję chleba – czy też jej nie dostanę. I chociaż pracując w zwiadzie geologicznym, stanowiącym ,,delegaturę” bez konwoju, nie byłem bity – biją tylko w kopalni – przypomniałem ją sobie, mierząc moją odwagę miarą kopalni. To zobojętnienie, odwaga stanowiły jakiś pomost prowadzący od śmierci. Świadomość tego, że nie będą mnie tu bić, że nie biją, rodziła nowe siły, nowe uczucia.

Po zobojętnieniu przyszedł strach, nie bardzo wprawdzie silny – prędzej obawa utraty tego zbawczego dla mnie sposobu życia, tej ratującej mnie pracy przy gotowaniu wody, wysokiego, chłodnego nieba i ćmiącego bólu w zniedołężniałych mięśniach. Zrozumiałem, że boję się, aby nie odjechać stąd do kopalni. Całkiem po prostu boję się. Nigdy w życiu nie szukałem

czegoś, co jest lepsze od dobrego. Moje kości z dnia na dzień obrastały mięsem. Zazdrość – tak właśnie nazywało się to następne uczucie, które powróciło do mnie. Zacząłem zazdrościć moim martwym towarzyszom – ludziom, którzy zginęli w trzydziestym ósmym roku. Zacząłem też zazdrościć moim żyjącym sąsiadom, którzy coś tam żują, którzy zapalają jakiegoś papierosa. Nie zazdrościłem tylko naczelnikowi, kierownikowi robót, brygadziście – to był inny świat.

Miłość nie powróciła do mnie. Ach, jakże odległa jest miłość od zazdrości, od strachu, od złości. Jak mało jest ona ludziom potrzebna! Miłość przychodzi wtedy, gdy wszystkie inne ludzkie uczucia zdołały powrócić. Miłość przychodzi ostatnia, ostatnia powraca, ale czy powraca? Nie tylko zobojętnienie, strach i zazdrość zaświadczały mój powrót do życia. Litość nad zwierzętami powróciła wcześniej niż współczucie w stosunku do ludzi.

Jako najsłabszy w tym świecie szurfów i rozpoznawczych szybów, pracowałem razem z topografem – nosiłem za nim łatę i teodolit. Bywało, że dla zwiększenia szybkości poruszania się topograf zarzucał na plecy rzemienie teodolitu, a mnie pozostawała leciutka łata z wymalowanymi na niej cyframi. Topograf sam był przedtem więźniem. Dla dodania sobie odwagi – tego lata w tajdze było wielu uciekinierów – topograf wlókł ze sobą małokalibrowy karabinek wyproszony u naczalstwa. Ale karabinek jedynie nam przeszkadzał. I nie tylko dlatego, że był dodatkowym przedmiotem w naszej trudnej wędrówce. Siedliśmy raz, by odpocząć na polanie, i topograf, bawiąc się bronią, przymierzył się do czerwonobrzuchego gila, który podleciał, aby z bliska rozeznać zagrożenie i odciągnąć wroga. Samiczka gila siedziała gdzieś na jajkach – tylko tym dało się wytłumaczyć szaleńczą odwagę ptaszka. Topograf złożył się, ale ja odsunąłem lufę w bok.

– Zabierz broń!

– Co ty? Oszalałeś?

– Zostaw ptaka i koniec.

– Zameldуję naczelnikowi.

– Czort z tobą i twoim naczelnikiem.

Topograf nie chciał jednak zwady i nic naczelnikowi nie powiedział. A ja pojąłem, że powróciło do mnie coś bardzo ważnego.

Nie pierwszy rok nie widziałem na oczy gazet i książek, od dawna przyuczywszy się nie żałować tej straty. Każdy z pięćdziesięciu moich sąsiadów, mieszkańców dziurawego brezentowego namiotu, miał podobne odczucia – nie pojawiła się w nim ani jedna gazeta, ani jedna książka. Wyższe naczal-

stwo – kierownik robót, naczelnik zwiadu, dziesiętnik – zjawiało się w naszym świecie bez książek.

Mój język, ordynarny kopalniany język, był biedny – podobnie jak uczucia ożywiające jeszcze moje kości. Pobudka, rozprowadzenie do różnych robót, obiad, koniec pracy, koniec dnia, obywatelu naczelniku, pozwólcie się zwrócić, łopata, szurf, tak jest, świder, kilof, zimno na dworze, deszcz, zimna zupa, gorąca zupa, chleb, porcja, zostaw popalić – już nie pierwszy rok obchodziłem się dwudziestoma słowami. Połowa z nich to były przekleństwa. W czasach mojej młodości, w dzieciństwie, istniała taka anegdota, jak podróżującemu za granicą Rosjaninowi wystarczało tylko jedno słowo wymawiane w różnych intonacyjnych kombinacjach. Bogactwo rosyjskich przekleństw, jego niewyczerpane możliwości obrażania, nie odkryło się przede mną ani w dzieciństwie, ani w młodości. Anegdota na temat przekleństw wyglądała tutaj jak język jakiejś pensjonarki. Ale ja nie szukałem innych słów. Czy one istniały – nie wiedziałem. Nie potrafiłem na to odpowiedzieć.

Byłem przerażony, oszołomiony, kiedy w mym mózgu, o tu – dokładnie to pamiętam – pod prawą kością ciemieniową – narodziło się słowo zupełnie w tajdze nieprzydatne, słowo, którego ja sam nie rozumiałem, nie mówiąc o moich towarzyszach. Wykrzyknąłem to słowo: „Sentencja! Sentencja!” Zaśmiałem się.

– Sentencja! – krzyczałem wprost w północne niebo, do podwójnej polarnej zorzy, nie rozumiejąc jeszcze znaczenia tego słowa, które zrodziło się we mnie. A jeśli ono tylko powróciło – to tym lepiej! Przepełniła mnie wielka radość.

– Sentencja! To ci wariat! Rzeczywiście wariat! Czyś ty cudzoziemiec, czy co? – zjadliwie pytał mnie górniczy inżynier Wroński. Ten sam Wroński od trzech okruchów tytoniu: Wroński, daj zapalić.

– Niestety, nie mam.

– No, chociaż trzy okruszyny.

– Trzy okruszynki? Proszę.

I brudnym palcem wyciągał z kapciucha pełnego machorki trzy okruszki tytoniu.

„Cudzoziemiec?” – to pytanie przenosiło nasz los w świat prowokacji i donosów, śledztwa i dodatkowych wyroków.

Ale mnie nie obchodziło prowokacyjne pytanie Wrońskiego. Odkrycie było ogromne.

Uczucie złości – to ostatnie uczucie, wraz z którym człowiek odchodził w niebyt, powracając do materialnego, nieożywionego świata. Ale czy martwego? Nawet kamień nie był dla mnie martwy, nie mówiąc już o trawie, drzewach, rzece. Rzeka była nie tylko uosobieniem życia, nie tylko jej symbolem, ale i samym życiem. Życiem był jej wieczny ruch, spokój, niemilknąca swoista rozmowa, własne zadanie, które każe jej biec wraz z prądem przeciw wiatrowi, przebijać się przez skały, przecinać stepy i łąki. Rzeka zmieniała wysuszone przez słońce, obnażone koryto i ledwie widoczną nitką wody przeciskała się gdzieś tam pomiędzy kamieniami, spełniając swój odwieczny obowiązek – strumyczek pozbawiony nadziei na pomoc nieba – na zbawczy deszcz. Pierwsza burza, pierwsza ulewa – i woda znosiła brzegi, kruszyła skały, wyrzucała z korzeniami drzewa i wściekle gnała w dół tą swoją odwieczną drogą…

Sentencja! Sam sobie nie wierzyłem, bałem się, zasypiając, że w ciągu nocy zniknie to odnalezione słowo. Ale słowo nie znikało.

Sentencja! Niechże tak nazwą rzeczkę, przy której stała nasza osada, nasza delegatura „Rio-rita”. W czym jest ta nazwa lepsza od „Sentencji”? To zły smak władającego ziemią kartografa wprowadził na światowe mapy Rio-ritę. I nie można już poprawić.

Sentencja – w tym słowie tkwiło coś z Rzymu, z łaciny, jakaś nieugiętość. Dla mnie, w dzieciństwie, starożytny Rzym obrazował historię walki politycznej, zmagań ludzi, a starożytna Grecja była królestwem sztuki, chociaż w Grecji byli również politycy i mordercy, a w Rzymie było wielu ludzi sztuki. Ale moje dzieciństwo wkrótce zaostrzyło widzenie tych dwu tak różnych światów, ukierunkowało je, zawęziło i rozdzieliło. Sentencja – to rzymskie słowo.

Przez cały tydzień nie mogłem dojść, co znaczy słowo „sentencja”. Wymawiając je szeptem, straszyłem i śmieszyłem moich sąsiadów. Pragnąłem je odgadnąć, wyjaśnić, przetłumaczyć… A po tygodniu wreszcie zrozumiałem – i zadrżałem od strachu i radości. Strach – to była obawa powrotu do tego świata, dokąd wrócić nie mogłem. Radość – dlatego, że widziałem, jak powraca do mnie życie pomimo mojej własnej woli. Minęło wiele dni, zanim nauczyłem się przywoływać z głębin mózgu wciąż nowe i nowe słowa, jedno za drugim. Każde wydostawało się z trudem, pojawiało się nagle i każde oddzielnie. Myśli i słowa nie powracały ciągłym strumieniem. Każde powracało w pojedynkę, niekonwojowane przez inne, znane, i najpierw zjawiało się poprzez język, a potem wyłaniało się z mózgu.

A później nadszedł dzień, kiedy wszyscy, pięćdziesięciu robotników, wszyscy rzucili pracę i pobiegli w kierunku osady, nad rzekę, wyłażąc ze swych szurfów i rowów, porzucając niedopiłowane drzewa i niedogotowaną zupę w kotle. Wszyscy biegli szybciej ode mnie, ale i ja, zbiegając z góry, dokusztykałem na czas, pomagając sobie przy tym rękami.

Z Magadanu przyjechał naczelnik. Dzień był jasny, gorący i suchy. Na ogromnym modrzewiowym pniu przy wejściu do namiotu stał patefon. Grał, pokonując syczenie igły, jakąś symfoniczną muzykę.

I wszyscy stali w krąg – mordercy i koniokrady, błatniacy i frajerzy, dziesiętnicy i robociarze. Naczelnik stał obok. Miał taki wyraz twarzy, jakby to on sam napisał dla nas tę muzykę, dla naszej głuchej delegatury. Ebonitowa płyta kręciła się i syczała, a z nią obracał się sam pień, nakręcony na swoje trzysta kręgów, nawinięty jak mocna sprężyna na całe trzysta lat…

Tytuł oryginału: *Kolymskie rasskazy*

Copyright © by Iraida Pawłowna Sirotinskaja
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2015, 2020
Copyright © for the Polish translation by Juliusz Baczyński

Informacja o zabezpieczeniach
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz fotografia na okładce: Zbigniew Mielnik

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Opowiadania kołymskie*, wyd. III poprawione, dodruk, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8188-711-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08
fax: 61 867 37 74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**